JERZY ŻUŁAWSKI

Trylogia księżycowa

wolnelektury.pl

FUNDACJA nowoczesna Polska

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

JERZY ŻUŁAWSKI

Trylogia księżycowa

Na srebrnym globie

RĘKOPIS Z KSIĘŻYCA

Pięćdziesiąt lat blisko upłynęło już od owej podwójnej wyprawy, najszaleńszej zaiste, jaką kiedykolwiek człowiek przedsięwziął i wykonał — i cała rzecz poszła niemal w zapomnienie, gdy pewnego dnia w jednym z dzienników w K... pojawił się podpisany przez asystenta małego miejscowego obserwatorium artykuł przypominający wszystko na nowo. Autor artykułu twierdził, że ma w ręku niewątpliwe wiadomości o losie wystrzelonych przed pięćdziesięciu laty na Księżyc szaleńców. Rzecz narobiła wiele wrzawy, chociaż początkowo nie brano jej zbyt poważnie. Ci, co słyszeli lub czytali o owym nadzwyczajnym przedsięwzięciu, wiedzieli, że śmiali awanturnicy ponieśli śmierć, ruszali więc teraz ramionami na wieść, że ci, od dawna za umarłych uważani, nie tylko żyją, ale przysyłają nawet wiadomości wprost z Księżyca.

Asystent mimo wszystko uporczywie obstawał przy swoim zdaniu i pokazywał ciekawym stożkową, żelazną kulę, czterdzieści centymetrów wysoką, w której miał odnaleźć rękopis na Księżycu sporządzony. Misternie odkręcającą się, wewnątrz próżną kulę, pokrytą grubą warstwą rdzy i żużlu, można było oglądać i podziwiać; rękopisu jednakże asystent nikomu nie chciał pokazać. Twierdził, że są to papiery zwęglone, których treść on dopiero odczytuje za pomocą sztucznych zdjęć fotograficznych, robionych z wielkim trudem i największą ostrożnością. Ta tajemniczość wzbudzała podejrzenia, zwłaszcza że asystent do tego czasu nie powiedział, jak doszedł do posiadania kuli; ale zaciekawienie wzrastało ciągle. Czekano z pewnym niedowierzaniem przyrzeczonych wyjaśnień, a tymczasem zaczęto sobie przypominać ze współczesnych pism dzieje całej wyprawy.

I nagle zaczęli się ludzie dziwić, że mogli tak prędko zapomnieć... Wszakże w czasie owej wyprawy nie było pisma codziennego, tygodniowego lub miesięcznego, które by przez parę lat z rzędu nie poczuwało się do obowiązku poświęcenia w każdym numerze kilku szpalt temu wypadkowi, tak niesłychanemu i nieprawdopodobnemu. Przed samą wyprawą pełno było wszędzie sprawozdań ze stanu robót przygotowawczych; opisywano niemal każdą śrubę w „wagonie", który miał przebyć międzyplanetarne przestrzenie i wysadzić śmiałych szaleńców na powierzchnię Księżyca, znaną do tego czasu jedynie ze znakomitych zdjęć fotograficznych, dokonywanych od szeregu lat w „Licke-Observatory" — zajmowano się żywo wszystkimi szczegółami przedsięwzięcia; na naczelnym miejscu umieszczano portrety i życiorysy obszerne podróżników. Wiele wrzawy wywołała wieść o cofnięciu się jednego z nich w ostatniej niemal chwili, bo niespełna na dwa tygodnie przed naznaczonym terminem „odjazdu". Ci sami, co niedawno jeszcze rzucali gromy na cały „niedorzeczny i awanturniczy" plan wyprawy, a uczestników jej nazywali wprost półgłówkami, zasługującymi jedynie na dożywotnie zamknięcie w szpitalu, oburzali się teraz na „tchórzostwo i odstępstwo" człowieka, co powiedział otwarcie, że się spodziewa mieć grób na Ziemi również spokojny, a nierównie późniejszy niż jego niedoszli towarzysze na Księżycu. Największe jednak zaciekawienie wywołała osoba nowego śmiałka, zgłaszającego się na opróżnione miejsce. Przypuszczano powszechnie, że go uczestnicy wyprawy

nie przyjmą do swego grona, gdyż czas był już za krótki, aby nowy towarzysz mógł odbyć konieczne przedwstępne ćwiczenia, którym tamci przez kilka lat się oddawali, doszedłszy w końcu do niesłychanych wprost wyników. Opowiadano o nich, że nauczyli się znosić w lekkim odzieniu mróz czterdziestostopniowy i czterdziestostopniowe gorąco, obywać się całymi dniami bez wody i oddychać bez szkody dla zdrowia powietrzem bez porównania rzadszym od atmosfery ziemskiej na wysokich górach. Jakież tedy było zdziwienie, gdy się dowiedziano, że nowy ochotnik, przyjęty, dopełnił liczby „lunatyków", jak ich nazywano. To tylko sprawozdawców pism doprowadzało do rozpaczy, że nie mogli się dowiedzieć bliższych szczegółów o tym tajemniczym awanturniku. Mimo natarczywe nalegania nie dopuszczał do siebie reporterów, ba! nawet nie przysłał żadnemu dziennikowi fotografii ani nie odpowiadał na listowne zapytania. Inni członkowie wyprawy zachowywali również ścisłe milczenie co do jego osoby. Na dwa dni dopiero przed wyruszeniem wyprawy w drogę pojawiła się wiadomość bliższa, choć nieco fantastyczna. Jednemu z dziennikarzy udało się po wielu trudach zobaczyć nowego uczestnika przedsięwzięcia i rozpuścił natychmiast wieść, że to ma być kobieta w przebraniu męskim. Nie bardzo wierzono tej pogłosce, a zresztą nie było już czasu zajmować się nią. Stanowcza chwila nadchodziła. Gorączkowe oczekiwanie zamieniło się po prostu w szał. Okolica nad ujściem Kongo, skąd wyprawa miała „wyruszyć w drogę", zaroiła się od ludzi przybyłych ze wszystkich części świata.

Fantastyczny pomysł Juliusza Vernego miał być nareszcie urzeczywistnionym — w sto kilkanaście lat po śmierci swego autora.

Na wybrzeżu Afryki, dwadzieścia kilka kilometrów od ujścia Kongo, zionął otwór obszernej, gotowej już studni z lanej stali, która miała za kilkanaście godzin wystrzelić na Księżyc pierwszy pocisk z zamkniętymi w nim pięcioma śmiałkami. Osobna komisja sprawdziła jeszcze raz w pośpiechu wszystkie zawiłe obliczenia; zrobiono raz jeszcze przegląd zapasów i narzędzi: wszystko było w porządku, wszystko było gotowe.

Na drugi dzień na krótko przed wschodem słońca potworny huk wybuchu oznajmił światu na paręset kilometrów wokoło, że podróż rozpoczęta...

Według niezmiernie ścisłych i dokładnych obliczeń pocisk miał pod działaniem wybuchowej siły prostopadłego rzutu, przyciągania Ziemi i siły rozpędowej, nabytej przez dzienny obrót Ziemi dookoła osi, zakreślić w przestworzu olbrzymią parabolę z zachodu na wschód i wszedłszy w oznaczonym punkcie i w oznaczonej godzinie w sferę przyciągania Księżyca, spaść prawie pionowo na środek jego tarczy ku nam zwróconej, w okolicy *Sinus Medii*. Bieg pocisku, obserwowany z różnych punktów Ziemi przez setki teleskopów, okazał się zupełnie prawidłowym. Dla patrzących pocisk zdawał się cofać na niebie w kierunku od wschodu na zachód, zrazu znacznie wolniej niż Słońce, potem coraz szybciej, w miarę jak się od Ziemi oddalał. Ten ruch pozorny był wynikiem obrotu Ziemi, wobec którego pocisk w tyle pozostawał.

Śledzono go długo, aż wreszcie w pobliżu Księżyca już i najsilniejsze teleskopy nie były zdolne go spostrzec. Mimo to łączność między zamkniętymi w pocisku awanturnikami a Ziemią nie ustawała jeszcze przez pewien czas ani na chwilę. Podróżnicy obok mnóstwa innych przyrządów zabrali ze sobą znakomity aparat do telegrafii bez drutu, który według obliczeń powinien był funkcjonować nawet na odległość trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, dzielących Księżyc od Ziemi. Obliczenia atoli zawiodły w tym wypadku; ostatnią depeszę otrzymały stacje astronomiczne z odległości dwustu sześćdziesięciu tysięcy kilometrów. Czy to ze względu na niedostateczną siłę prądu wytwarzającego fale, czy też wadliwą budowę przyrządu, telegrafowanie na większą odległość było niemożliwe. Ale ostatnia depesza brzmiała nader zachęcająco: „Wszystko dobrze, nie ma powodu do obaw".

W sześć tygodni wysłano według umowy drugą wyprawę. Tym razem znalazło w pocisku pomieszczenie dwóch tylko ludzi; wieźli za to ze sobą znacznie większe zapasy żywności i potrzebnych narzędzi. Aparat telegraficzny mieli znacznie silniejszy niźli poprzedni; nie było wątpliwości, że wystarczy do przesyłania wiadomości z Księżyca. Atoli z Księżyca depeszy już nie otrzymano. Ostatni telegram wysłali już podróżnicy z pobliża celu wyprawy, przed samym spadkiem na księżycową powierzchnię. Wiadomość była nie najpomyślniejsza. Pocisk z niewytłumaczonej przyczyny zboczył nieco z drogi i wskutek

tego widocznym było, że spadnie na Księżyc nie prostopadle, lecz skośnie, pod kątem dość ostrym. Ponieważ pocisk nie był zbudowany dla takiego spadku, więc podróżnicy obawiali się, czy nie poniosą śmierci przez rozbicie. Widocznie obawy się spełniły, gdyż to była ostatnia depesza.

Wobec tego zaniechano zamierzonych wypraw dalszych. Nie można się było łudzić co do losu nieszczęśliwców; po cóż było powiększać jeszcze bezużyteczne ofiary? Żal jakiś i wstyd ogarnął ludzi. Najwięksi zwolennicy „międzyplanetarnej komunikacji" przycichli teraz, a o wyprawach mówiono i pisano już tylko jako o szaleństwie, będącym wprost zbrodnią. W kilka lat wreszcie cała rzecz poszła w zapomnienie na długi przeciąg czasu[1].

Przypomniał ją dopiero, jak się powiedziało, artykuł nieznanego dotąd, a wkrótce głośnego asystenta w pomniejszym obserwatorium astronomicznym. Odtąd każdy tydzień przynosił coś nowego. Asystent odsłaniał powoli rąbki swej tajemnicy, a chociaż niedowiarków nigdy nie brakło, zaczęto zapatrywać się na rzecz coraz poważniej. Sensacyjna wieść rozeszła się wkrótce po całym cywilizowanym świecie. Wreszcie asystent opowiedział, w jaki sposób doszedł do posiadania cennego rękopisu i jak go odczytał, a nawet pozwolił ludziom fachowym oglądać jego zwęglone szczątki wraz z cudownymi iście odbitkami fotograficznymi.

Otóż, jak się rzecz miała z ową kulą i rękopisem:

„Pewnego dnia po południu — opowiadał asystent — gdy siedziałem zajęty notowaniem codziennych spostrzeżeń meteorologicznych, oznajmił mi służący zakładu, że jakiś młody człowiek chce ze mną mówić. Był to mój kolega i dobry przyjaciel, właściciel wioski nieopodal położonej. Widywałem go rzadko, gdyż choć mieszkał niedaleko, nieczęsto się do miasta wybierał. Zatrzymałem go tedy i uporawszy się co prędzej z robotą, wyszedłem do drugiego pokoju, gdzie mnie, jak zauważyłem, niecierpliwie oczekiwał. Zaraz po powitaniu oświadczył, że mi przynosi wiadomość, która mię ucieszy niewątpliwie. Wiedział, że od lat zajmuję się z zapałem badaniem meteorytów, przyszedł mi tedy powiedzieć, że przed kilku dniami spadł w jego wiosce meteor znacznej, jak się zdaje, wielkości. Kamienia nie znaleziono, gdyż upadł w trzęsawisko i prawdopodobnie zagłębił się znacznie, ale jeśli go chcę mieć, on jest gotów dać mi kilku robotników dla jego wydobycia. Kamień naturalnie chciałem mieć i uwolniwszy się na parę dni z obserwatorium, pojechałem sam na miejsce w celu poszukiwań. Ale mimo niewątpliwych znaków i usilnej pracy nie mogliśmy nic znaleźć. Wydobyto tylko duży kawał obrobionego żelaziwa kształtu kuli armatniej, której obecność w tym miejscu mocno mnie zadziwiła. Zwątpiłem już o pomyślnym wyniku poszukiwań i wydałem właśnie polecenie zaprzestania dalszych robót, gdy przyjaciel zwrócił moją uwagę na ową kulę. Istotnie wyglądała zastanawiająco. Powierzchnia jej była pokryta żużlem, jaki się tworzy na żelaznych meteorytach przy rozżarzaniu się ich podczas przejścia przez atmosferę ziemską. Czyżby to ona miała być owym spadłym meteorem?

W tej chwili — nagle — błysnęła mi pierwsza myśl. Przypomniała mi się wyprawa sprzed lat pięćdziesięciu, której historię znałem dosyć dobrze. Dodać muszę, że nie podzielałem nigdy przekonania o bezwzględnej zatracie podróżników mimo beznadziejnej treści ostatniej depeszy, jaką od nich Ziemia otrzymała. Za wcześnie było jednak teraz wyjawiać domysły, zabrałem więc tylko kulę i przewiozłem z największą ostrożnością do domu, pewny niemal w duchu, że znajdę w niej cenne wskazówki o tych zaginionych. Z jej niewielkiego względnie ciężaru odgadłem zaraz, że jest wydrążona.

W domu w największej tajemnicy zabrałem się do roboty. Nie łudziłem się ani na chwilę, że jeśli się w niej znajdują jakie papiery, to musiały ulec zwęgleniu podczas rozpalania się żelaza w ziemskiej atmosferze. Należało zatem otworzyć kulę tak, aby tych przypuszczalnych szczątków nie zniszczyć, a może — myślałem — da się z nich co odcyfrować.

Praca była nadzwyczajnie ciężka, zwłaszcza że nie chciałem brać nikogo do pomocy. Przypuszczenia moje zbyt były niepewne, a nawet — przyznaję — fantastyczne, aby je można było przedwcześnie rozgłosić.

Spostrzegłem, że szczyt kuli stanowi śruba, którą należało odkręcić. Osadziłem więc kulę szczelnie w ciężkim śrubsztaku, aby ją uchronić od wstrząśnień mogących uszkodzić

[1] *na długi przeciąg czasu* — dziś popr.: na długi czas.

jej zawartość, i zabrałem się do roboty. Śruba była zardzewiała i nie chciała odchodzić. Po długich usiłowaniach nareszcie udało mi się ją poruszyć. Pamiętam, ten pierwszy zgrzyt obracanej śruby przejął mię dreszczem radości i niepokoju zarazem. Musiałem pracę przerwać na chwilę, gdyż trzęsły mi się ręce. Powróciłem do niej po godzinie, z bijącym jeszcze sercem.

Śruba poruszała się z wolna, gdy wtem posłyszałem dziwny świst. Początkowo nie mogłem zrozumieć jego przyczyny. Prawie bezmyślnie poruszyłem śrubą w odwrotnym kierunku i świst ustał prawie natychmiast; zaledwie jednak znów nieco odkręciłem śrubę, dał się zaraz słyszeć, choć był teraz słabszy. Nareszcie pojąłem wszystko! Wnętrze kuli było całkowitą próżnią! Świst pochodził z wdzierania się powietrza do środka szczeliną przez rozluźnienie śruby utworzoną!

Ta okoliczność upewniła mnie w przekonaniu, że jeśli kula zawiera w sobie papiery, to nie będą całkiem zniszczone, gdyż brak powietrza musiał je uchronić od spalenia, gdy kula rozżarzyła się, przebywając atmosferę ziemską! W parę chwil przekonałem się o słuszności tych domysłów. Po usunięciu śruby znalazłem w kuli, której wnętrze wyłożone było jeszcze warstwą wypalonej gliny, zwój papierów zwęglonych, ale niespalonych. Nie śmiałem prawie oddychać z obawy, aby tych cennych dokumentów nie uszkodzić. Wyjąłem je z największą ostrożnością i... popadłem w rozpacz. Na zwęglonym papierze litery były prawie niewidoczne, a ponadto papier był tak kruchy, że się niemal rozsypywał w ręku.

Bądź co bądź, postanowiłem dokonać dzieła i treść rękopisu odczytać. Kilka dni zeszło mi na rozmyślaniu, jak się wziąć do tego. Wreszcie uciekłem się do pomocy promieni rentgenowskich. Przypuszczałem — i jak się później okazało słusznie, że atrament, którego użyto do pisma, zawierał składniki mineralne, a zatem zaczernione nim miejsca będą stawiały większy opór promieniom rentgenowskim niż sam zwęglony papier. Naklejałem tedy ostrożnie każdą kartę rękopisu na cienką błonę, rozpiętą w ramie, i robiłem rentgenowskie zdjęcia fotograficzne. W ten sposób otrzymałem klisze, które po przeniesieniu obrazu na papier dały mi rodzaj palimpsestów, gdzie litery, po obu stronach papieru pisane, łączyły się ze sobą. Było to trudne do odczytania, ale bynajmniej nie niemożliwe.

Za kilka tygodni postąpiłem był już tak daleko z odczytywaniem rękopisu, że nie widziałem potrzeby zachowywania dłużej całej rzeczy w tajemnicy. Wtedy to napisałem ów pierwszy artykuł donoszący o wypadku... Dzisiaj leży przede mną cały rękopis gotowy, odczytany, uporządkowany i przepisany i nie mam zgoła wątpliwości, że został spisany na Księżycu ręką jednego z pięciu najpierw wyprawionych podróżników i wysłany z Księżyca na Ziemię.

Co do reszty — treść rękopisu mówi sama za siebie".

Do tego wyjaśnienia, które poprzedziło ogłoszenie tekstu rękopisu, dodał asystent krótką historię samejże wyprawy.

Przypomniał zatem, że pierwsza myśl wyszła od irlandzkiego astronoma, O'Tamora, a pierwszym jej zapalonym i niewątpiącym w urzeczywistnienie zwolennikiem stał się młody, sławny podówczas w Brazylii portugalski inżynier, Piotr Varadol. Ci, pozyskawszy trzeciego towarzysza w Polaku, Janie Koreckim, który im oddał do rozporządzenia całą, dość znaczną fortunę, rozpoczęli zabiegi około urzeczywistnienia jasno już określonego planu. Przede wszystkim tedy przedstawiono szkice projektu akademiom i ciałom naukowym, a następnie wezwano pomocy fachowych powag do opracowania jego szczegółów. Myśl spotkała się z nadspodziewanym uznaniem i obudziła zapał; wkrótce nie była to już sprawa kilku ludzi, lecz całego cywilizowanego świata, który zapragnął wysłać swych przedstawicieli na Księżyc celem dowiedzenia się bliższych szczegółów o tym globie. Na wniosek akademii i astronomicznych instytutów rządy pospieszyły z pomocą pieniężną, a że nie brakło i znacznych ofiar prywatnych, więc wkrótce inicjatorowie mieli do rozporządzenia kapitały, z którymi można było już nie jedną, ale kilka wypraw urządzić. Tak też postanowiono. Jak wiadomo jednak, dwie tylko z tych wypraw doszły do skutku.

Załogę pierwszego pocisku stanowić miało pięciu ludzi, w tej liczbie trzej autorowie projektu; czwartym był Anglik, lekarz Tomasz Woodbell, piątym Niemiec Braun, który wszakże cofnął się w ostatniej chwili. Na miejsce jego zgłosił się nieznajomy ochotnik.

W drugim pocisku zamknęło się dwóch braci, Francuzów, nazwiskiem Remogner.

Po tym krótkim zarysie historycznym asystent w dalszym ciągu memoriału rozwodził się obszernie nad techniczną stroną przedsięwzięcia. Opisał tedy szczegółowo zbudowanie olbrzymiej armaty w kształcie stalowej studni, mówił o budowie pocisku, który po dostaniu się na bezpowietrzną powierzchnię Księżyca można było zamienić na hermetycznie zamknięty wóz poruszany osobnym motorem elektrycznym, opisywał przyrządy ochronne, mające podróżników zabezpieczyć od zmiażdżenia w chwili wystrzału, a następnie spadku na Księżyc, wreszcie wymieniał wszystkie przedmioty składające się na wewnętrzne urządzenie i zaopatrzenie „przenośnego pokoju".

Księżyc nie jest światem gościnnym. Astronomowie wiedzą o tym od dawna, chociaż go znają tylko z daleka i — jednostronnie. Mimo niesłychanego udoskonalenia przyrządów optycznych w dwudziestym wieku, Księżyc oparł się zwycięsko próbom przybliżenia go do Ziemi za ich pomocą na taką odległość, aby można było zbadać wszystkie szczegóły jego powierzchni. Krążąc około Ziemi w średniej odległości trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, wydaje się w szkłach o tysiąckrotnym powiększeniu odległym od niej na 384 km, co stanowi jeszcze zawsze pokaźny kawałek drogi. Silniejszych zaś szkieł nie można używać do jego badania, gdyż przy znaczniejszym powiększeniu z powodu za małej przeźroczystości atmosfery ziemskiej otrzymuje się obraz tak niewyraźny, że niepodobna poznać na nim nawet gór, w słabszych szkłach dokładnie widocznych.

Nadto badaniu dostępna jest tylko jedna półkula księżycowego globu. Księżyc bowiem, odbywając swą drogę naokoło Ziemi w dwudziestu siedmiu dniach, czterdziestu trzech minutach i jedenastu sekundach, wykonywa w tym czasie tylko jeden obrót około swej osi, tak że zwrócony jest ku Ziemi zawsze tą samą stroną swej powierzchni. Zjawisko to nie jest przypadkowe. Księżyc nie jest dokładną kulą, ale zbliża się kształtem do bardzo mało wydłużonego jaja. Siła przyciągania Ziemi sprawia, że jaje owo zwraca się ku niej ostrym końcem i tak krąży, jakby na uwięzi, nie mogąc się odwrócić.

Znana astronomom połowa Księżyca wystarczyła jednak, aby go zdyskredytować najzupełniej w opinii ludzi marzących o zamieszkaniu innych niż Ziemia światów. Ta powierzchnia naszego satelity, większa co do obszaru dwa razy od Europy, przedstawia się w teleskopach jako bezwodna i pustynna wyżyna, zasiana wprost niezliczoną ilością obrączkowych gór, podobnych z kształtu do olbrzymich kraterów, nierzadko o stukilometrowej średnicy, których brzegi wznoszą się do siedmiu tysięcy metrów ponad okoliczne równiny. W północnej części zwróconej ku nam półkuli ciągnie się szereg obszernych kolistych płaszczyzn, nazwanych przez pierwszych selenografów morzami. Równiny te o stromych brzegach, utworzonych przez niebotyczne łańcuchy górskie, poprzerzynane są w różnych kierunkach mnóstwem szczelin, których pochodzenie zawsze zastanawiało astronomów, zwłaszcza że na Ziemi nie istnieje nic podobnego. Szczeliny te, nieraz na sto kilkadziesiąt kilometrów długie, a na parę szerokie, dochodzą głębokością do tysiąca metrów i więcej.

Jeśli sobie uprzytomnimy jeszcze, że ta powierzchnia pozbawiona jest niemal zupełnie atmosfery, że „dzień" księżycowy, trwający naszych dni czternaście, jest tam latem, podczas którego upał dochodzi do niesłychanego natężenia, a czternastodniowa noc zimą, mroźniejszą niż nasze zimy podbiegunowe, będziemy mieli obraz kraju, wcale nie zachęcającego do obrania go sobie za „stałe miejsce pobytu". Tym więcej podziwiać trzeba poświęcenie ludzi, którzy z narażeniem własnego życia wybrali się na ten glob w tym jedynie celu, aby powiększyć zasób ludzkiej wiedzy nieulegającymi wątpliwości wiadomościami o najbliższym Ziemi ciele niebieskim.

Podróżnicy mieli zresztą zamiar przebyć tylko jak najprędzej tę niegościnną półkulę i dostać się na drugą, od Ziemi odwróconą stronę Księżyca, gdzie spodziewali się niebezpodstawnie znaleźć znośne warunki do życia. Większość piszących o Księżycu uczonych twierdzi wprawdzie, że i na tamtej stronie atmosfera jest zbyt rzadka, aby można nią oddychać; wszakże O'Tamor, opierając się na wieloletnich badaniach i obliczeniach, wnosił, że znajdzie tam powietrze o dostatecznej gęstości dla utrzymania życia, a z powietrzem wodę i roślinność, mogącą dostarczyć najlichszego bodaj pożywienia. Ci śmiali ludzie gotowi zresztą byli nawet na śmierć, byle wydrzeć przedtem gwiaździstemu niebu bodaj jedną z tych jego tajemnic, które tak zazdrośnie ukrywa przed człowiekiem. Odwagę ich podnosiła myśl, że poświęcenie to w żadnym razie nie pozostanie bezowocnym, gdyż będą

mogli spostrzeżeń swych udzielić pozostałym na Ziemi ludziom przy pomocy wziętego ze sobą telegraficznego aparatu. A nuż — myśleli czasem, upojeni wielkością swego przedsięwzięcia — nuż znajdą na tamtej tajemniczej stronie Księżyca raj czarodziejski i dziwny, świat nowy, zgoła odmienny od ziemskiego, a gościnny? Marzyli wtedy o wezwaniu nowych towarzyszy do przebycia owych setek tysięcy kilometrów, o założeniu tam, na tej jasnej, Ziemi w ciche noce świecącej, kuli nowego społeczeństwa, nowej ludzkości, szczęśliwszej... może...

Tymczasem trzeba się było liczyć z koniecznością przebycia górzystej, bezpowietrznej i bezwodnej pustynnej wyżyny, zajmującej całą ku Ziemi zwróconą półkulę Księżyca. Nie było to drobnostką. Obwód Księżyca wynosi blisko jedenaście tysięcy kilometrów; gdyby zatem upadli, jak się spodziewali, na środek ku Ziemi zwróconej tarczy, mieliby do zrobienia około trzech co najmniej tysięcy kilometrów, nimby się dostali w okolice, gdzie mieli nadzieję móc oddychać i żyć. Pocisk — kształtu wydłużonego, z jednej strony stożkowo zakończonego cylindra — był też odpowiednio urządzony, aby go można zamienić na pewien rodzaj zamkniętego automobilu, i zaopatrzony obficie w zapasy zgęszczonego powietrza, wody, żywności i paliwa, mogące wystarczyć dla pięciu osób na cały rok, to jest nawet na dłużej, niż potrzeba dla dostania się na odwrotną stronę Księżyca.

Oprócz tego wzięli z sobą podróżnicy znaczną liczbę różnych narzędzi, małą biblioteczkę i... sukę z dwojgiem szczeniąt.

Była to piękna i wielka angielska wyżlica, należąca do Tomasza Woodbella, którą przed puszczeniem się w drogę ochrzczono zgodnie mianem Seleny.

Te wszystkie rzeczy przypomniał szczegółowo memoriał asystenta w K... mający służyć za objaśnienie do wydanego wkrótce potem rękopisu.

Rękopis sam, spisany po polsku na Księżycu przez Jana Koreckiego, uczestnika pierwszej wyprawy, składał się z trzech części, powstałych w różnych czasach, a wiążących się ze sobą w organiczną całość, stanowiącą opowieść o przedziwnych losach i przejściach rozbitka wyrzuconego na ląd zawieszony w błękicie trzysta osiemdziesiąt cztery miliony metrów ponad Ziemią.

A oto przedruk dosłowny owego rękopisu według pierwszego wydania, sporządzonego przez asystenta obserwatorium w K...

RĘKOPISU CZĘŚĆ PIERWSZA. DZIENNIK PODRÓŻY

Na Księżycu, dnia...

Czas, Księżyc

Mój Boże! jakąż ja datę mam położyć?! Ów wybuch potworny, któremu kazaliśmy się wyrzucić z Ziemi, rozsadził nam rzecz uważaną tam za najtrwalszą ze wszystkiego, co istnieje, rozsadził nam i popsuł czas. W istocie to jest okropne! pomyśleć tylko, że tu, gdzie jesteśmy, nie ma lat, nie ma miesięcy ani dni, naszych krótkich, rozkosznych, ziemskich dni... Zegarek mi mówi, że upłynęło już z górą czterdzieści godzin od chwili, kiedyśmy tu spadli; spadliśmy w nocy, a słońce jeszcze nie wzeszło. Spodziewamy się je ujrzeć dopiero za dwadzieścia kilka godzin. Wzejdzie i pójdzie po niebie leniwie, dwadzieścia dziewięć razy wolniej niż tam, na Ziemi. Trzysta pięćdziesiąt cztery godziny będzie świecić nad naszymi głowami, a potem przyjdzie znowu noc trwająca trzysta pięćdziesiąt cztery godzin. Po nocy znów dzień, taki sam, jak poprzedni, i znowu noc, i znów dzień — i tak bez końca, bez odmiany, bez pór roku, bez lat, bez miesięcy...

Jeśli dożyjemy...

Siedzimy bezczynnie, zamknięci w naszym pocisku, i czekamy słońca. O! ta straszna tęsknota za słońcem!

Noc wprawdzie jest jasna, jaśniejsza bez porównania od naszych — tam — ziemskich nocy podczas pełni. Olbrzymi półkrąg Ziemi tkwi nad nami nieruchomie[2] w czarnym niebie u zenitu i zalewa białym światłem tę pustkę straszliwą wokół nas... W tym dziwnym świetle jest wszystko takie tajemnicze i martwe. I mróz... Och! jaki straszny mróz! — Słońca! słońca!

O'Tamor od chwili upadku nie odzyskał jeszcze przytomności. Woodbell, choć sam pokaleczony, nie odstępuje go ani na chwilę. Obawia się, że to jest wstrząśnienie mózgu, i bardzo mało robi nadziei. Na Ziemi — powiada — wyleczyłby go. Ale tutaj w tym ohydnym mrozie, tu, gdzie za jedyne niemal pożywienie mamy zapas sztucznego białka i cukru, gdzie musimy oszczędzać powietrza i wody... To by było straszne! stracić O'Tamora, właśnie jego, który jest duszą naszej wyprawy!...

Ja, Varadol i Marta, a nawet Selena z obojgiem szczeniąt, jesteśmy zdrowi. Marta zdaje się nic nie wiedzieć i nie czuć. Wodzi tylko oczyma za Woodbellem, zaniepokojona jego ranami. Szczęśliwy Tomasz! Jak go ta kobieta kocha!

Och! ten mróz! Zdaje się, że nasz pocisk zamknięty zamienia się wraz z nami w bryłę lodu. Pióro wysuwa mi się ze zgrabiałych palców. O, kiedyż nareszcie wzejdzie słońce!

Tejże nocy w 27 godzin później.

Z O'Tamorem coraz gorzej, nie można się łudzić — to jest już agonia. Tomasz, czuwając nad nim, zapomniał o własnych ranach i sam teraz tak osłabł, że się musiał położyć; Marta zastępuje go przy chorym. Skąd ta kobieta bierze tyle sił? Odkąd się otrząsnęła z pierwszego oszołomienia po spadku, jest najczynniejsza z nas wszystkich. Zdaje mi się, że jeszcze nie spała.

Ach! ten mróz...

Varadol siedzi osowiały i milczący. Na kolanach jego zwinięta w kłębek Selena. On mówi, że im tak cieplej obojgu. Szczenięta położyliśmy w łóżku obok Tomasza.

Próbowałem spać, ale nie mogę. Mróz mi spać nie daje i to upiorne światło Ziemi nad nami. Już tylko mało co więcej nad pół tarczy jej widać. Znak to, że słońce wzejdzie niebawem. Nie umiemy dokładnie obliczyć, kiedy to nastąpi, gdyż nie wiemy, w którym punkcie tarczy Księżyca się znajdujemy. O'Tamor byłby to z łatwością obliczył ze stanu gwiazd, ale on leży bezprzytomny. Będzie się musiał Varadol w jego zastępstwie wziąć do tej roboty. Nie wiem, dlaczego z tym zwleka.

Powinniśmy byli według obliczenia spaść na *Sinus Medii*, ale Bóg jeden wie, gdzie się istotnie znajdujemy. Na *Sinus Medii* powinno by już słońce świecić o tej porze. Widocznie spadliśmy dalej ku „wschodowi" — jak na Ziemi tę stronę Księżyca nazywają, gdzie dla nas będzie słońce zachodziło — niezbyt jednak daleko od środka księżycowej tarczy, gdyż Ziemia jest nad nami niemal w zenicie.

Tyle nowych, dziwnych wrażeń odbieram zewsząd, że ich nie mogę zebrać ani uporządkować. Przede wszystkim to niesłychane, wprost strachem przejmujące uczucie lek-

[2] *nieruchomie* — dziś: nieruchomo.

kości... Wiedzieliśmy na Ziemi, że Księżyc, czterdzieści dziewięć razy od niej mniejszy, a osiemdziesiąt jeden razy lżejszy, będzie nas przyciągał sześć razy słabiej, choć się bliżej jego środka ciężkości znajdujemy; ale co innego jest wiedzieć o czymś, a co innego czuć. Jesteśmy już blisko siedemdziesiąt godzin na Księżycu i nie możemy się jeszcze przyzwyczaić do tego. Nie umiemy zastosować wysiłku naszych mięśni do zmniejszonej wagi przedmiotów, ba! nawet własnego ciała. Powstaję szybko ze siedzenia i podskakuję blisko na metr w górę, mimo że się chciałem tylko podnieść. Varadol chciał przed kilku godzinami zgiąć hak z grubego drutu, przymocowany do ściany naszego domu. Chwycił go dłonią — i podniósł się cały w górę na dłoni! Zapomniał, że waży teraz zamiast siedemdziesięciu kilku, tylko niespełna trzynaście kilogramów! Co chwilę któryś z nas rzuca gwałtownie przedmiotami, chcąc je tylko przesunąć. Wbicie gwoździa staje się rzeczą prawie niemożliwą wobec tego, że młotek, ważący na Ziemi dwa funty, waży tutaj zaledwie sto siedemdziesiąt parę gramów! Pióra, którym piszę, nie czuję prawie w ręku.

Marta powiedziała przed chwilą, że ma wrażenie, jakby się już stała duchem, pozbawionym ważkiego ciała. To jest bardzo dobre określenie. W istocie jest coś nieswojskiego w tym uczuciu dziwnej lekkości... Można by naprawdę uwierzyć, że się jest duchem, zwłaszcza wobec widoku Ziemi świecącej na niebie jak Księżyc — tylko czternaście razy większy i jaśniejszy od tego, który ziemskie noce rozjaśnia. Wiem, że to wszystko prawda, a wciąż mi się zdaje, że śnię lub znajduję się w gmachu opery na jakiejś dziwnej feerii. Lada chwila — myślę — spadnie kurtyna i te dekoracje się zwiną jak sen...

I o tym przecież wiedzieliśmy dobrze przed wyruszeniem w drogę, że tak Ziemia będzie świecić nad nami, jak olbrzymia, nieruchoma lampa zawieszona wśród nieba. Ciągle powtarzam sobie, że to rzecz tak prosta: Księżyc odbywa swoją drogę zwrócony ku Ziemi wciąż jedną stroną, a więc ona musi się wydawać nieruchomą patrzącym na nią z Księżyca. Tak, to jest rzecz naturalna, a przecież straszy mnie ten świecący szklany upiór Ziemi, wpatrujący się w nas od siedemdziesięciu godzin nieruchomie[3] i uporczywie z samego zenitu!

Widzę ją przez szybę w zwróconej ku górze ścianie pocisku i rozróżniam gołym okiem ciemniejsze plamy mórz i rozjarzone tarcze lądów. Przesuwają się przede mną z wolna, wyłaniają się po kolei z cienia: Azja, Europa, Ameryka — zwężają się na krawędzi świetlistego globu i zachodzą, aby znów po dwudziestu czterech godzinach się ukazać.

Tak mi się zdaje, że cała Ziemia zamieniła się w oko rozwarte, bezlitosne i czujne i wpatruje się uporczywie a ze zdziwieniem w nas, którzyśmy od niej uciekli z ciałem — pierwsi ze wszystkich jej dzieci.

W pierwszej chwili po upadku, gdyśmy nieco oprzytomnieli i odśrubowali żelazne pokrywy zasłaniające okrągłe szyby naszego domku, zobaczyliśmy ją już nad sobą. Była niemal w pełni. Wtedy podobna była do oka szeroko w osłupieniu rozwartego; teraz z wolna zasuwa się na tę straszną, nieruchomą źrenicę powieka cienia. W chwili kiedy słońce, niepoprzedzone świtem, wybuchnie zza skał jak płomienna i bezpromienna kula na czarnym niebie, już się to oko zmruży do połowy, a zamknie się całkiem, gdy słońce stanie prostopadle nad nami.

W trzy godziny później.

Odwołany do O'Tamora, przerwałem to pisanie, którym zapełniam długie godziny, z konieczności bezczynnie spędzane.

Z tą straszliwą ostatecznością nigdyśmy się nie liczyli, że możemy zostać sami bez niego. Byliśmy przygotowani na śmierć, ale na własną, nigdy na jego śmierć! A tu nie ma ratunku... Tomasz też leży w gorączce i miast chorym się opiekować, sam wymaga opieki. Marta nie odstępuje ich ani na chwilę, zwracając się to do jednego, to do drugiego, a my z Piotrem stoimy bezradni i nie wiemy, co począć.

O'Tamor nie odzyskał przytomności i już jej nie odzyska. Sześćdziesiąt lat z górą przeżył na Ziemi, aby tu...

Nie, nie! nie mogę tego słowa wymówić! To jest straszne! on! na samym wstępie!...

Jesteśmy tu tak okropnie sami w tej długiej, straszliwym mrozem przejmującej nas nocy.

---

[3]*nieruchomie* — dziś: nieruchomo.

Przed paru godzinami Marta, jakby przejęta nagle tym uczuciem bezbrzeżnej pustki i samotności, rzuciła się ku nam ze złożonymi rękami, wołając:

— Na Ziemię! na Ziemię! — i zaczęła płakać.

A potem znowu wołała:

— Czemu nie telegrafujecie na Ziemię! czemu nie dacie tam znać? Patrzcie, Tomasz chory!

Biedna dziewczyna! — cóżeśmy jej mieli odpowiedzieć?

Wie równie dobrze, jak my, że już na sto dwadzieścia kilka milionów metrów przed Księżycem aparat nasz przestał funkcjonować... Wreszcie Piotr jej to przypomniał, a ona, jak gdyby przesłanie wiadomości mogło chorych uratować, zaczęła się domagać natarczywie, aby ustawić armatę, którąśmy wzięli z Ziemi na wypadek zepsucia się telegraficznego aparatu.

Ten strzał, to już teraz jedyny — ostatni sposób porozumienia się z tymi, co tam zostali.

Ulegliśmy obaj z Varadolem i odważyliśmy się na wyjście z pocisku.

Przyznaję, że strach mię zdejmował przed tym krokiem. Tam, poza chroniącymi nas ścianami istotnie jest niemal próżnia... Barometr bowiem wykazuje istnienie na zewnątrz nas atmosfery, której gęstość nie wynosi ani trzechsetnej części gęstości ziemskiego powietrza. Okoliczność, że ta atmosfera w ogóle istnieje, chociaż w takim rozrzedzeniu, jest dla nas nader pomyślna, gdyż pozwala nam spodziewać się, że znajdziemy ją na *tamtej stronie* w dostatecznej do oddychania gęstości. Ach! z jakimż drżeniem serca wysuwaliśmy przed kilkudziesięciu godzinami po raz pierwszy barometr na zewnątrz! Z początku rtęć tak gwałtownie spadła, iż zdawało się nam, że się zrównała zupełnie z powierzchnią. Ogromny, zimny przestrach ścisnął nas za gardło: to by znaczyło — próżnia absolutna, a z nią śmierć nieuchronna! Ale za chwilę rtęć, powróciwszy do równowagi, podniosła się w rurce na 2,3 mm! Odetchnęliśmy swobodniej — choć tym powietrzem tam oddychać nie można!

I mieliśmy teraz wyjść dla ustawienia armaty w tę próżnię! Włożywszy nasze „nurkowe ubrania" i umocowawszy nad karkiem zbiorniki ze zgęszczonym powietrzem na zapas, stanęliśmy gotowi we wgłębieniu znajdującym się w ścianie pocisku. Marta zamknęła za nami szczelnie drzwi od wnętrza, aby wraz z nami nie uciekło stamtąd tak cenne dla nas powietrze, a wtedy myśmy otworzyli zewnętrzną klapę...

Dotknęliśmy stopami księżycowego gruntu i w tejże chwili ogarnęła nas straszliwa głusza. Widziałem przez szklaną maskę na twarzy, że Piotr porusza ustami, domyślałem się, że mówi, ale nie słyszałem ani słowa. Tam powietrze jest zbyt rzadkie, aby mogło głos ludzki przewodzić.

Podniosłem odłam kamienia i rzuciłem go pod nogi. Upadł wolno, wolniej niż na Ziemi i zgoła bez stuku. Zatoczyłem się jak pijany; zdawało mi się, że jestem już rzeczywiście w świecie duchów.

Musieliśmy się porozumiewać na migi. Ziemia, która nas żywiła, teraz świecąc pomagała się nam porozumieć.

Wyjęliśmy armatę, umieszczoną w schowku w ścianie, otwieranym na zewnątrz, i puszkę z materiałem wybuchowym, osobno dla niej przyrządzonym. Ta robota poszła nam łatwo; wszak armata waży tutaj zaledwie szóstą część tego, co ważyła na Ziemi!

Teraz należało tylko ustawione działo dokładnie do pionu nabić, umieściwszy w wydrążonej kuli kartkę; wobec lekkości materiałów na Księżycu — siła wybuchu wystarczy w zupełności, aby zanieść ją po prostej linii na Ziemię. Ale tego nie potrafiliśmy już zrobić. Potworny, ohydny, straszliwy mróz ścisnął nas żelaznymi szponami za piersi. Wszak tu od trzystu kilkudziesięciu godzin słońce już nie świeciło, a nie ma dość gęstej atmosfery, aby mogła przez tak długi czas utrzymać ciepło rozpalonych zapewne w długim dniu kamieni...

Powróciliśmy do pocisku, który się nam wydał rozkosznym, ciepłym rajem, choć tak oszczędzamy paliwa!

Przed wschodem słońca, które ten świat ogrzeje, niepodobna ponawiać próby wyjścia. A tego słońca jak nie ma, tak nie ma!

Kiedyż nareszcie się zjawi i co nam przyniesie?

70 godzin 46 minut po przybyciu na Księżyc.

O'Tamor umarł.

Pierwszego dnia księżycowego, 3 godziny po wschodzie słońca.

Jest nas już tylko czworo. Za chwilę puszczamy się w drogę. Wszystko gotowe: pocisk nasz po przymocowaniu kół i ustawieniu motoru zamienił się w wóz, który nas powiezie przez te pustynie ku krajowi, gdzie będzie można żyć... O'Tamor tu zostanie...

Uciekliśmy od Ziemi, ale śmierć, wielka władczyni ziemskich plemion, przebyła wraz z nami te przestrzenie i oto przypomniała się zaraz na wstępie, że jest przy nas — nielitosna, zwycięska jak zawsze. Uczuliśmy jej obecność i bliskość, i wszechwładztwo tak żywo, jak nigdy tam na Ziemi. Spoglądamy mimo woli po sobie: na kogo teraz kolej?...

Noc jeszcze była, gdy nagle Selena zerwała się z kąta, gdzie w kłębek zwinięta leżała od paru godzin, i wyciągnąwszy pysk ku świecącemu przez okno półksiężycowi Ziemi, zaczęła wyć przeraźliwie. Podskoczyliśmy wszyscy, jakby podrzuceni jakąś wewnętrzną siłą.

— Śmierć idzie! — krzyknęła Marta.

A Woodbell, który czując się zdrowszym, stał znowu przy łóżku O'Tamora, odwrócił się ku nam powoli:

— Już przyszła — rzekł.

Wynieśliśmy trupa z pocisku. W tym skalistym gruncie niepodobna wykopać grobu. Księżyc nie chce przyjąć naszych umarłych, jakże przyjmie nas żywych?

Ułożyliśmy tedy zwłoki na wznak na tej twardej księżycowej skale, twarzą ku niebu i świecącej na nim Ziemi, i poczęliśmy gromadzić z rzadka rozsypane po płaszczyźnie kamienie, aby z nich ułożyć mogiłę. Otoczyliśmy ciało niewysokim wałem, nie mogliśmy jednak znaleźć dość dużej płyty kamiennej, aby je przykryć. Wtedy Piotr przez rurę, łączącą nasze głowy i umożliwiającą porozumiewanie się, rzekł:

— Zostawmy go tak... Czy nie widzisz, że patrzy na Ziemię?

Spojrzałem na trupa. Leżał na wznak i zdawał się istotnie szklistymi, rozwartymi oczyma wpatrywać w to oko Ziemi, mrużące się ciągle, ciągle przed blaskiem dla nas jeszcze niewidocznego słońca, które miało wzejść niebawem.

Niech tak zostanie...

Z dwóch sztab żelaznych, ułamków potrzaskanego rusztowania, które nas uchroniło od rozbicia się podczas spadku, zrobiliśmy krzyż i umocowaliśmy go w wale kamiennym nad głową O'Tamora.

Wtem — gdy właśnie ukończywszy smutną robotę, mieliśmy wracać do pocisku — stało się coś dziwnego. Szczyty gór, majaczące przed nami w trupim świetle Ziemi, nagle, bez żadnego przejścia, na jedno mgnienie oka stały się krwawoczerwone, a potem zaraz rozpłonęły białym, jarzącym blaskiem na tle wciąż jednakowo czarnego nieba. Podnóża gór przez kontrast oświetlenia poczerniawszy teraz zupełnie, były prawie niewidoczne i tylko te cyple najwyższe, jak w ogniu do białości rozżarzona stal, wisiały nad nami, powiększając się z wolna, lecz ciągle. Z powodu braku perspektywy powietrznej, umożliwiającej na Ziemi ocenienie odległości, te jasne plamy zdawały się wisieć na tle czarnego nieba wśród gwiazd tuż przed naszymi głowami, oderwane od podstawy skalistej, która w szarości się zgubiła. Nie śmieliśmy ręki wyciągnąć w obawie, aby nie natknąć palcami na te kawały żywego światła.

A one rosły wciąż przed naszymi oczyma, co sprawiało wrażenie, jakby zbliżały się do nas wolnym, nieubłaganym ruchem; mieliśmy ich już pełne oczy, już, zda się, były tuż, tuż przed nami... Cofnęliśmy się mimo woli, zapominając, że te szczyty są od nas o setki, a może tysiące metrów odległe.

Wtem Piotr obejrzał się i krzyknął. Odwróciłem głowę za jego przykładem i — osłupiałem uderzony nowym a niesłychanym widowiskiem na wschodzie.

Nad czarną piłą jakiegoś grzbietu górskiego iskrzył się bladawy, srebrzysty słup światła zodiakalnego. Patrzyliśmy w nie, zapomniawszy na chwilę o zmarłym, gdy wtem po pewnym czasie zaczęły u dołu słupa, tuż nad krawędzią widnokręgu, błyskać drobne, ruchliwe, skaczące czerwone płomyki, wiankiem obok siebie ułożone.

To słońce wschodziło! z utęsknieniem oczekiwane, upragnione, życiodajne słońce, którego O'Tamor tu już nie zobaczy!

Rozpłakaliśmy się obaj jak dzieci.

W tej chwili to słońce świeci już nad horyzontem, jasne i białe. Owe, naprzód widziane, płomyki czerwone, to były protuberancje, olbrzymie wytryski żarzących się gazów, które strzelają na wszystkie strony z kuli słonecznej, a na Ziemi, gdzie atmosfera je zalśniewa, widoczne bywają tylko podczas całkowitych zaćmień słońca. Tutaj — wobec braku powietrza — zapowiedziały nam ukazanie się tarczy słonecznej i przez długi czas jeszcze co dnia je tak będą zapowiadać, rzucając na chwilę krwawy odblask na góry, nim się rozjarzą do biała w pełnym blasku dziennym.

Po kilkudziesięciu minutach dopiero na miejscu ruchliwego wianka czerwonych ogników, kiedy już blask spełznął ze szczytów tu w dolinę, biały rąbek tarczy słonecznej ukazał się nam nad widnokręgiem; godziny całej potrzebowała ta tarcza, aby się wyłonić całkowicie zza tych skał na wschodzie.

Przez cały ten czas mimo okropnego mrozu zajmowaliśmy się przygotowaniami do podróży. Ale istotnie każda chwila jest droga; dłużej zwlekać niepodobna. Teraz już wszystko gotowe.

Ze wschodem słońca zrobiło się cieplej. Promienie jego, choć tak ukośnie jeszcze padają, grzeją całą mocą, nieosłabione przez pochłaniającą atmosferę, jak to jest na Ziemi. Dziwny widok...

Słońce płonie jak jasna, bezpromienna kula, położona na górach jakby na olbrzymiej, czarnej poduszce. Dwie są tutaj tylko barwy, męczące kontrastem oko nad wszelki wyraz: biała i czarna. Niebo jest czarne i mimo że zrobił się już dzień, zasiane niezliczonym mnóstwem gwiazd: wokoło nas krajobraz pusty, dziki, przestraszający — bez złagodzeń światła, bez półcieni, w połowie lśniącobiały od słonecznego blasku, w połowie zaś zupełnie czarny w cieniu. Nie ma tu atmosfery, która tam na Ziemi nadaje niebu tę cudowną, błękitną barwę, a sama, światłem przesycona, roztapia w sobie gwiazdy przed wschodem słońca i stwarza świty i zmierzchy, różowi się zorzą i zasępia chmurami, przepasuje się tęczą i powoduje delikatne przejścia od światła do mroku.

Nie! stanowczo oczy nasze nie są stworzone do tego światła i tego krajobrazu.

Znajdujemy się na rozległej równinie z litej skały, porysowanej tu i ówdzie niewielkimi szczelinami i powydymanej w obłe, niewysokie, podłużne garby, ciągnące się w kierunku północno-zachodnim. Na zachodzie (*wschód* i *zachód* naszego świata oznacza zgodnie z *istotnym* stanem rzeczy, a więc *przeciwnie*, niż to widzimy na ziemskich mapach Księżyca), na zachodzie tedy widać niewielkie, ale nadzwyczajnie strome wzgórza, nad którymi w północno-zachodniej stronie króluje niebotyczna, poszarpana piła jakiegoś szczytu. Od północy grunt wznosi się powoli, do znacznej jednak, jak się zdaje, wysokości. Na wschodzie mnóstwo szczelin, garbów, wyrw i małych kotlinek, podobnych do dołków sztucznie wygrzebanych; ku południu rozciąga się nieprzejrzana okiem płaszczyzna.

Varadol utrzymuje na podstawie pospiesznie dokonanych pomiarów wysokości Ziemi na niebie, że znajdujemy się istotnie na *Sinus Medii*, gdzieśmy według obliczeń spaść byli powinni. Mnie się to jakoś nie zdaje, gdyż szczyty, okalające od zachodu i północy ową płaszczyznę, znane z map: *Mosting*, *Sommering*, *Schroter*, *Bode* i *Pallas* nie odpowiadają ani rozmieszczeniem, ani wysokością temu, co tu widzimy. Ale ostatecznie wszystko jedno! Ruszamy ku zachodowi, aby posuwając się wzdłuż równika, gdzie według map grunt zdaje się być najrówniejszym, okrążyć kulę księżycową i dostać się na *tamtą stronę*.

Za chwilę — nic tu już z nas nie pozostanie, kromia[4] grobu i krzyża, oznaczającego po wieczne czasy miejsce, gdzie pierwsi ludzie wylądowali na Księżyc.

Żegnaj mi więc, grobie towarzysza, pierwsza budowlo, jakąśmy wznieśli na tym nowym świecie! Żegnaj, martwy przyjacielu, ojcze nasz drogi i niedobry, któryś nas wywiódł ze Ziemi[5] i opuścił na wstępie do nowego życia! Oto krzyż, zatknięty na twojej mogile, jest jakby sztandarem, świadczącym, że Śmierć zwycięska, przybywszy z nami, wzięła już ten kraj w posiadanie... My uciekamy przed nią, ty tu z nią zostaniesz, spokojniejszy od nas, zapatrzony w nieruchomą Ziemię, która cię zrodziła, z krzyżem nad głową, którego wiernym byłeś wyznawcą!

---

[4]*kromia* — dziś: krom; oprócz.
[5]*ze Ziemi* — dziś: z Ziemi.

Pierwszego dnia księżycowego, 197 godzin po wsch. słońca. *Mare Imbrium*, 11° zach. dł., 17°21' pn. szer. księżycowej.

Nareszcie mogę zebrać myśli! Co za straszliwy, bezlitośnie długi dzień, co za straszliwe słońce, zionące ogniem blisko od dwustu godzin z tego bezdennego, czarnego nieba! Dwadzieścia godzin upłynęło już od południa, a ono stoi jeszcze prawie prostopadle nad naszymi głowami wśród tumanu nieprzyćmionych gwiazd, obok czarnego kręgu Ziemi w nowiu, obrębionego płomienną obrączką nasyconej światłem atmosfery. Dziwne jest to niebo nad nami! Wszystko się dokoła nas zmieniło i tylko konstelacje gwiazd są te same, któreśmy ze Ziemi widzieli, ale tu, gdzie powietrze wzrokowi nie przeszkadza, widno[6] tych gwiazd bez porównania więcej. Cały firmament zdaje się być zasianym nimi jak piaskiem. Gwiazdy podwójne błyszczą jak kolorowe punkty, zielone, czerwone lub sine, nie zlewając się w kolor biały, jak na Ziemi. Przy tym tu niebo, pozbawione barwnego tła powietrza, nie jest gładką wydrążoną kopułą; czuje się owszem jego głębię niezmierną; nie potrzeba obliczeń, aby poznać, która gwiazda jest dalej, a która bliżej. Patrząc na Wielki Wóz, czuję olbrzymie odsunięcie w głąb niektórych jego gwiazd w porównaniu z innymi, bliższymi, podczas gdy na Ziemi wyglądał jak siedem ćwieków, wbitych w gładki strop. Droga Mleczna nie jest tu smugą, lecz bryłowatym wężem, wijącym się przez czarne otchłanie. Mam takie wrażenie, jakbym spojrzał na niebo przez stereoskop jakiś cudowny.

A co najdziwniejsza, to słońce wśród gwiazd, płomienne, straszne, a niezaćmiewające ani najlichszego ze świateł niebieskich...

Upał jest straszliwy; skały, zda się, wkrótce zaczną topnieć i rozpływać się jak lód na naszych rzekach w piękne dnie marcowe. Tyle godzin tęskniliśmy do słońca i ciepła, a teraz musieliśmy uciec przed nim, aby zachować życie. Stoimy od kilkunastu godzin na dnie głębokiej szczeliny, ciągnącej się od stóp poszarpanych turni *Eratosthenesa* wzdłuż *Apeninu* w głąb *Morza Dżdżów*. Tutaj dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią, znaleźliśmy cień i trochę chłodu...

Ukrywszy się tu, spaliśmy, obezwładnieni znużeniem, przez kilkanaście godzin bez przerwy. Zdawało mi się we śnie, że jestem jeszcze na Ziemi, w jakichś gajach zielonych i chłodnych, gdzie po świeżej murawie szemrał rozlany przeczysty potok. Po błękitnym niebie szły białe obłoki, słyszałem śpiew ptaków i brzęczenie owadów, i głos ludzi wracających z pola.

Obudziło mnie szczekanie Seleny, dopominającej się jadła.

Otwarłem oczy, ale rozmarzony snem, nie mogłem długo pojąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, i co znaczy ten zamknięty wóz, w którym się znajdujemy, co znaczą te skały wokoło, puste i dzikie? Zrozumiałem nareszcie wszystko i niewysłowiony żal chwycił mnie za piersi. Selena tymczasem, widząc, że już nie śpię, przyszła do mnie i położywszy pysk na moich kolanach, poczęła się we mnie wpatrywać swymi rozumnymi oczyma. Zdawało mi się, że widzę w tym wzroku jakiś niemy wyrzut... Pogłaskałem ją w milczeniu po głowie, a ona zaczęła skomleć żałośnie, oglądając się na szczenięta igrające swobodnie w kącie wozu. Te szczenięta, Zagraj i Leda, to jedyne istoty, które tutaj są wesołe.

Kobieta, Miłość, Kochanek

A prawda! czasem jeszcze i Marta jest wesoła jak małe zwierzątko, ale to tylko wtedy, gdy Woodbell, wciąż niedomagający, wyciąga rękę, aby dotknąć jej ogromnych i bujnych, ciemnobrunatnych włosów. Wtedy jej smagła twarz rozjaśnia się uśmiechem, a duże jej czarne oczy płoną bezbrzeżną miłością, wpatrzone w twarz kochanka, taką męską i piękną jeszcze do niedawna, a teraz zwiędłą i strawioną przez gorączkę. Robi wszystko, aby go rozweselić, aby mu każdym ruchem, każdym spojrzeniem powiedzieć, że go kocha i przy nim jest szczęśliwa nawet tu, gdzie tak trudno być szczęśliwym. Nie mogę się powstrzymać od bolesnej zazdrości, gdy widzę, jak ona pełne, wiśniowe i takie namiętne usta przesuwa po jego wychudłej ręce, szyi i twarzy, jak całuje powieki jego zimnych stalowych oczu, a potem, wziąwszy jego głowę w dłonie, tuli ją jak małe dziecię do piersi o nieskazitelnych liniach i śpiewa mu dziwne, dla nas niezrozumiałe pieśni. Słyszał je pewnie z tych samych tak gorąco całujących ust tam, w jej rodzinnym kraju, na Malabarskim Wybrzeżu i teraz, gdy je słyszy, śnić mu się muszą rozkołysane palmy i szumy błękitnego morza... Ta kobieta przemyciła mu tu w swej duszy cały ten świat, który dla nas przepadł bezpowrotnie.

[6] *widno* — dziś w tym znaczeniu: widać.

Nie zapomnę nigdy dnia, w którym ją zobaczyłem po raz pierwszy. Było to właśnie bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości, że Braun się cofa. Siedzieliśmy wszyscy czterej w Marsylii, w hotelowym pokoju, którego okna wychodziły na zatokę, i rozmawialiśmy o tym odstępstwie towarzysza, które nas wszystkich bardzo żywo obeszło.

Wtem doniesiono nam, że jakaś kobieta chce się widzieć z nami natychmiast. Wahaliśmy się jeszcze, czy ją przyjąć, gdy ona weszła sama. Ubrana była tak, jak się w południowych Indiach ubierają córki bogatych krajowców; twarz, nadzwyczaj piękna, miała wyraz na pół zalękniony, na pół stanowczy. Zerwaliśmy się wszyscy ze zdziwieniem, a Tomasz zbladł i przechyliwszy się przez stół, począł się jej bacznie przypatrywać. Ona zatrzymała się u drzwi ze spuszczoną głową.

— Marto! ty tutaj! — krzyknął wreszcie Woodbell.

Postąpiła naprzód i podniosła głowę. Na twarzy jej nie było już ani śladu wahania lub niepewności, rozlała się na niej natomiast iście południowa, namiętna miłość. Powieki opadły jej ciężko na płomienne, czarne źrenice, usta nieco rozchylone i okrągła pełna broda wysunęły się naprzód. Wyciągnęła ręce ku Tomaszowi i odpowiedziała, patrząc mu w oczy spod spuszczonych powiek:

— Przyszłam za tobą i pójdę za tobą, choćby na Księżyc!

Woodbell był blady jak trup. Chwycił się dłońmi za głowę i jęknął raczej, niż zawołał:

— To niemożliwe!

Wtedy ona spojrzała po nas, a poznając snadź po wieku, że O'Tamor jest naszym wodzem, rzuciła mu się do nóg tak szybko, że nie miał czasu się cofnąć.

— Panie! — wołała czepiając się jego odzienia — panie, weźcie mnie ze sobą! Ja jestem kochanką tego waszego towarzysza, kocham go, wszystkom dla niego porzuciła, niechże on mnie teraz nie porzuca! Dowiedziałam się, że wam brak towarzysza, i przyjechałam aż z Indii! Weźcie mnie! ja wam kłopotu nie zrobię, sługą waszą będę! Ja jestem bogata, bardzo bogata, dam wam złota i pereł, ile zechcecie — ojciec mój był radżą w Travancore na Malabarskim Wybrzeżu i wielkie skarby zostawił! Silna też dosyć jestem, patrzcie!

To mówiąc, wyciągnęła śniade, nagie, okrągłe ramiona.

Varadol się żachnął:

— Ależ do takiej podróży trzeba przygotowania! To co innego niż podróż parowcem z Travancore do Marsylii!

Na to ona zaczęła opowiadać, jak w tajemnicy przed Tomaszem nawet odbywała te same ćwiczenia, któreśmy robili, licząc zawsze na to, że się jej w ostatniej chwili uda nas ubłagać, byśmy ją wzięli ze sobą. Teraz tylko korzysta ze sposobności, wykonując zamiar z dawna powzięty. Wie od Tomasza, że tam, na Księżycu, śmierć może znaleźć, ale ona nie chce żyć bez niego! I znowu nas błagała.

Wtedy O'Tamor, milczący do tego czasu, zwrócił się do Tomasza z zapytaniem, czy ją chce wziąć ze sobą, a potem, gdy Woodbell, niezdolny słowa wymówić, skinął głową, położył rękę na bujnych włosach dziewczyny i rzekł powoli i z namaszczeniem:

— Pójdziesz z nami, córko. Może cię Bóg wybrał za Ewę nowemu pokoleniu, oby szczęśliwszemu niż ziemskie!

Tak mi żywo stoi ta scena w pamięci...

Ale oto Marta mnie woła. Tomasz znowu gorączkuje, trzeba mu dać chininy.

W dwie godziny później.

Żar, zamiast ustawać, wzmaga się jeszcze. Posunęliśmy się znów głębiej, aby go uniknąć. Póki nie minie, niepodobna nawet myśleć o dalszej podróży. Strach mnie przejmuje, gdy sobie przypomnę, że mamy do zrobienia blisko trzy tysiące kilometrów, nim się dostaniemy do celu... A kto nam zaręczy, że tam będzie można żyć?... Jeden O'Tamor nie wątpił, ale jego nie ma już między nami.

Drogomierz na naszym wozie wskazuje, że przebyliśmy już sto sześćdziesiąt siedem kilometrów; policzywszy czas, wypada po jednym kilometrze na godzinę. A wszak posuwaliśmy się stosunkowo bardzo szybko.

Wyruszyliśmy w cztery godziny po wschodzie słońca, kierując się wprost ku zachodowi. Sądząc, że się znajdujemy na *Sinus Medii*, chcieliśmy się przedostać na płaszczyznę między górami *Sommering* i *Schroter*, a stamtąd, okrążywszy *Sommering* od północy i zachodu, zbliżyć się do równika i wzdłuż niego posuwać się prosto w kierunku pierścienia górskiego *Gambart* i wyższego, dalej ku zachodowi na równiku położonego *Landsberg*.

Grunt był wyjątkowo równy, prawie bez szczelin, toteż wóz posuwał się szybko. Nadzieja i ożywienie wstąpiły w nasze serca; było nam ciepło i lekko — jedynie wspomnienie O'Tamora zasępiało na chwilę naszą wesołość. Tomasz był zdrowszy, a Marta, widząc to, promieniała radością. Zaczęliśmy na nowo snuć urocze plany. Droga wydawała nam się niedaleka, trudy niezbyt wielkie. Podziwialiśmy niesłychaną dzikość przepysznego w swej martwocie krajobrazu lub też staraliśmy się z mapą rozłożoną przed oczyma odgadywać naprzód fantastyczne widoki, które nas czekają. Varadol zaczął przypominać wszystkie badania i dowodzenia O'Tamora, według których odwrotna strona Księżyca ma być krajem bynajmniej nie pozbawionym warunków do życia, a ciekawym i wspaniałym nad wszelki wyraz. Rzeczywiście — mówiliśmy sobie — jeśli tam są takie same góry, jak te, które błyszczą się teraz w słońcu przed nami na widnokręgu, a oprócz tego jeszcze zieloność i woda, to warto, zaiste, przebyć trzysta osiemdziesiąt cztery tysiące kilometrów, aby kraj ten zobaczyć! Rozmawialiśmy żywo, a Tomasz i Marta, przytuleni, jak zwykle, całym ciałem do siebie, snuli już różowe plany przyszłego życia w tym raju. Nawet Selena, słysząc ożywione głosy, zaczęła szczekać radośnie i skakać po całym wozie wraz z rozbawionymi szczeniętami.

Tak upłynęły trzy godziny i przebyliśmy już około trzydziestu kilometrów, gdy wtem Varadol, który z kolei stał przy sterze motoru, zatrzymał wóz. Przed nami wznosił się niewysoki, obły wał skalisty, ciągnący się od południa ku północnemu zachodowi. Wał można było przebyć z łatwością, ale chodziło o oznaczenie dokładne kierunku, w którym się mamy posuwać. W północno-zachodniej stronie wznosiły się jakieś poszarpane, niebotyczne turnie, któreśmy mieli za szczyty krateru *Sommering*. Krater ów, jak astronomowie na Ziemi tutejsze obrączkowe góry nazywają, wznosi się wprawdzie tylko na tysiąc czterysta metrów ponad okoliczną równinę, podczas gdy te turnie zdawały się nam bez porównania wyższe, ale przypisywaliśmy to łatwemu do wytłumaczenia optycznemu złudzeniu. Zresztą i to przypuszczenie było możliwe, że spadliśmy z naszym pociskiem w południowo-zachodniej części *Sinus Medii*, na płaszczyźnie otwierającej się ku szerokiemu półkolu cyrku *Flammariona*, i mamy teraz po prawej ręce krater. *Mosting* o pokaźnej wysokości 2300 metrów. W każdym razie należało ową górę okrążyć od północy, aby nie zmienić pierwotnego planu. Woodbell radził, aby zrobić jeszcze raz pomiary astronomiczne dla oznaczenia punktu, w którym się znajdujemy, ale nie chcąc teraz tracić czasu, odłożyliśmy tę robotę do pory gorętszej, kiedy będziemy się musieli zatrzymać z powodu zbyt wielkiego upału.

Skierowaliśmy tedy wóz wprost ku północy. Droga stawała się coraz uciążliwszą. Grunt wznosił się z wolna w górę; tu i ówdzie spotykaliśmy szczeliny, które trzeba było wymijać, lub całe pola z litej skały, podobnej do gnejsu, zasypane luźnymi odłamkami głazów. Posuwaliśmy się coraz wolniej i z wielkim trudem. W kilku miejscach musieliśmy, przywdziawszy powietrzochrony, wyjść z wozu i torować drogę, odwalając zagradzające głazy. Błogosławiliśmy wtedy małą siłę przyciągania Księżyca, dzięki której wielkie nawet odłamy skał mogliśmy z łatwością poruszyć i usunąć. Bawiła nas nawet początkowo ta robota. Każdy z nas, poruszający ogromne bryły, wydawał się patrzącym nań olbrzymem. Nawet Marta nam pomagała. Tomasz tylko został w wozie przy sterze, zbyt był bowiem osłabiony. Ból w ranach ustał, ale gorączka wracała co chwilę.

Posuwaliśmy się tak kilkanaście kilometrów od punktu, gdzieśmy zawrócili ku północy. Mieliśmy po lewej ręce wciąż szereg drobnych i nadzwyczajnie stromych wzgórz, spoza których sterczały olbrzymie i nieprawdopodobnie przepaściste turnie. Przed nami grunt wznosił się ciągle, a z ogromnego wału, jaki tworzył, sterczał jeden ostry szczyt. Na prawo, ku wschodowi, ciągnął się jakiś łańcuch coraz to wyższych gór.

Upłynęło już dwadzieścia cztery godziny od wschodu słońca, kiedyśmy się dostali na gładką płaszczyznę z litej skały, po której można się było szybciej posuwać. Postanowiliśmy się tutaj zatrzymać dla odpoczynku. Przy tym dziwny układ krajobrazu coraz więcej nas niepokoił.

Byliśmy wszyscy już prawie pewni, że znajdujemy się w jakiejś innej okolicy Księżyca, a nie na *Sinus Medii*. Należało nareszcie zrobić dokładne pomiary dla oznaczenia długości i szerokości księżycowej punktu, w którym się znajdujemy.

Po krótkim posiłku wzięliśmy się zaraz do pracy. Piotr nastawił instrumenta[7] astronomiczne. Środek tarczy ziemskiej odchylony był od zenitu o 6° ku wschodowi i 2° ku północy; znajdowaliśmy się zatem pod 6° zachodniej długości i 2° południowej szerokości księżycowej, to znaczy na krańcu *Sinus Medii*, obok krateru *Mosting*. Co do tego nie mogło być wątpliwości, pomiary były bardzo dokładne.

Postanowiliśmy tedy ruszyć dalej, nie zmieniając kierunku.

Jużeśmy mieli puścić się w drogę, gdy wtem Varadol zawołał:

— A nasza armata! zostawiliśmy armatę!

Istotnie, teraz dopiero przypomnieliśmy sobie, że armata nasza, jedyny i ostatni środek porozumienia się z mieszkańcami Ziemi, została wraz z nabojem i kulą przy grobie O'Tamora. Śmierć jego i pogrzeb tak nas w chwili wyruszenia oszołomiły, że zapomnieliśmy zabrać ze sobą tak cennej dla nas armaty. Była to strata niepowetowana, a tym dotkliwsza, że po zerwaniu telegraficznego połączenia to była ostatnia nić, która nas wiązała z Ziemią. Uczuliśmy się nagle tak bezbrzeżnie osamotnionymi, jak gdybyśmy się o setki kilometrów oddalili w tej chwili znów od globu, który jest już od nas o setki tysięcy kilometrów oddalony.

Pierwszą myślą naszą było wrócić i zabrać zostawioną armatę. Obstawał przy tym zwłaszcza Woodbell, utrzymując, że musimy się porozumieć z Ziemią, aby powstrzymano dalsze zamierzone wyprawy, póki nie damy znać, żeśmy znaleźli tutaj warunki do życia.

— Jeśli my mamy zginąć — mówił — po cóż mają ginąć jeszcze i inni... Wszak wiecie, że tam na Ziemi bracia Remogner są gotowi do drogi. Oczekują od nas wieści telegraficznej, ale nasz aparat nie funkcjonuje. Trzeba ich powstrzymać przynajmniej do czasu.

Jednakże niełatwo było wrócić. Przede wszystkim wobec olbrzymiej podróży, jaką mamy przed sobą, każda godzina jest dla nas droga, gdyż w razie powtarzanych zwłok zapasy żywności i powietrza mogą się wyczerpać, a wtedy bylibyśmy skazani na niechybną zgubę. I tak z powodu choroby O'Tamora musieliśmy się dość długo zatrzymać, a wiedzieliśmy, że jeszcze nieraz upał lub mróz powstrzymają nas w pochodzie na całe dziesiątki godzin. Po wtóre, któż z nas mógł zaręczyć, że trafimy do miejsca, gdzie armata została.

Varadol starał się usunąć skrupuły Tomasza.

— Wszak bracia Remognerzy — mówił — nie wyruszą w drogę, nie otrzymawszy wiadomości od nas. Zresztą nie wiadomo, czy wystrzelona kula upadnie na Ziemię w takim miejscu, gdzie ją będzie mógł ktoś znaleźć, a zatem depesza bardzo łatwo może nie dojść do rąk, dla których będzie przeznaczona.

Przypomniała się nam i ta okoliczność, że z armaty, zbudowanej wyłącznie dla pionowego strzału, możemy korzystać tylko w bliskości środka księżycowej tarczy, gdzie Ziemia znajduje się w zenicie nad nami. Na strzał paraboliczny z innego miejsca Księżyca siła naboju nie wystarcza, a choćby wystarczyła, to nie mamy sposobu ustawienia armaty tak dokładnie, abyśmy mogli być pewni, że kula, biegnąc po linii krzywej, mimo to nie ominie swego celu, Ziemi. Tak więc powstrzymawszy jednym strzałem dalsze wyprawy, nie moglibyśmy już potem, posunąwszy się ku krawędzi widocznej z Ziemi księżycowej tarczy, przyzwać drugim strzałem nowych towarzyszy w razie znalezienia pomyślnych warunków do życia. W ten sposób bylibyśmy skazani tutaj na wieczyste osamotnienie. Tymczasem jeśli się teraz zdarzy, że bracia Remognerzy mimo wszystko przybędą, to przywiozą może ze sobą silniejszy aparat telegraficzny, i tak zyskamy towarzyszy i sposób stałego porozumiewania się z mieszkańcami Ziemi.

Te wszystkie względy przemawiały za tym, aby nie tracić czasu na poszukiwanie armaty, w istocie mało dla nas przydatnej. Po krótkiej zwłoce tedy ruszyliśmy w dalszą drogę.

Upłynęło znów dwadzieścia cztery godziny i mieliśmy już około stu trzydziestu kilometrów drogi poza sobą. Słońce stało już 28° nad horyzontem i ciepło wzmagało się ciągle. Zauważyliśmy przy tym ciekawe zjawisko. Podczas gdy ściana wozu oświetlona słońcem była tak rozgrzana, że parzyła niemal, strona od słońca odwrócona zimna była jak lód. Uczucia mrozu doznawaliśmy także za każdym razem, gdyśmy wjechali w cień jakiegoś cypla skalnego, których coraz więcej spotykaliśmy po drodze. Powodem tych

[7] *instrumenta* — dziś: instrumenty.

gwałtownych przejść ciepła i zimna jest tu brak atmosfery, która na Ziemi zmniejsza wprawdzie bezpośrednią siłę słonecznych promieni, ale za to ogrzewając się sama, rozprowadza ciepło równomiernie i zapobiega zbyt szybkiemu jego ubytkowi przez promieniowanie.

Z tego samego powodu każdy cień jest tutaj nocą. Światło, w atmosferze nierozproszone, dociera tylko do tych miejsc, które są wystawione na działanie słonecznych promieni. Gdyby nie refleks rozświetlonych w słońcu gór i światło Ziemi, musielibyśmy za każdym razem, gdy wjeżdżamy w cień, zapalać elektryczne latarnie.

Przebyliśmy już ową pochyłą, gładką płaszczyznę i zaczęliśmy się zwracać ku zachodowi, aby okrążyć domniemany krater *Mosting*. Droga stawała się coraz cięższa i tylko z wielkim trudem i bardzo powoli mogliśmy się posuwać naprzód.

Byliśmy w kraju górzystym i nad wszelki wyraz dzikim. Krajobraz to w niczym niepodobny do alpejskich krajobrazów na Ziemi. Tam wśród grzbietów górskich, łączących ze sobą szczyty, ciągną się doliny, wyżłobione działaniem wody przez przeciąg tysięcy lat; tutaj ani śladu tego wszystkiego. Grunt tu cały jest sfałdowany i podniesiony, pokryty mnóstwem niełączących się ze sobą głębokich kotlin, okrągłych, o wystających brzegach, albo też gładkimi, zupełnie luźnymi kopami, dochodzącymi nieraz do znacznej wysokości. Miejsce dolin zajmują głębokie szczeliny, ciągnące się całymi milami, podobne do cięcia olbrzymiego toporu, które w prostym kierunku rozłupało grunt i znajdujące się na nim wzgórza. Nie wątpię ani na chwilę, że są to pęknięcia zastygającej i kurczącej się skorupy Księżyca.

Natomiast nie spotkaliśmy nigdzie ani śladu działania wody, tak przepotężnej na Ziemi erozji. Sądzę też, że ten kraj nigdy nie posiadał powietrza ani wody.

Wobec tego dziwiła nas z początku obecność mnóstwa luźnych głazów, rozsypanych na skalnym podłożu. Ale w kilkadziesiąt godzin później, gdy natężenie upału doszło do granic wprost niemożliwych, przyczyna, krusząca te skały w zastępstwie wody, objawiła nam się sama. Przejeżdżaliśmy właśnie obok wysokiej skały, z kamienia nadzwyczaj podobnego do naszego marmuru, gdy wtem w naszych oczach oderwał się u jej szczytu głaz o kilkunastometrowej średnicy i runął w przepaść, rozbijając się na gruby piarg. Stało się to wszystko w straszliwej, grozą przejmującej cichości. Z powodu braku powietrza nie słyszeliśmy huku, grunt tylko pod naszym wozem zadrgał, jakby się nagle Księżyc zakołysał na swych panwiach[8].

To wściekły ząb słońca odgryzł kawałek tego kamiennego świata. Skały, ściśnione[9] w nocy mrozem jak żelazną obręczą, podczas straszliwego upału dnia rozszerzają się od strony wystawionej na działanie palących promieni. W cieniu ciągle jest chłodno; nierównomierne rozszerzanie się tedy jednolitych bloków musi powodować ich pękanie i kruszenie.

Tymczasem piarg ów ostry, zaścielający ogromne przestrzenie, dał nam się we znaki. Przebywaliśmy takie miejsca, gdzie za pomocą kół wóz nasz nie mógł się zgoła posuwać. Tam zakładaliśmy „łapy", działające u wozu zupełnie jak nogi u zwierząt, i tak podrzucani nimi, przedzieraliśmy się przez złomiska głazów albo wspinaliśmy się na bystre zbocza.

Mimo licznych prób, dokonywanych na Ziemi z pociskiem zamienionym na wóz, nie mieliśmy wyobrażenia o uciążliwościach podobnej, dłużej trwającej, podróży. Jestem przekonany, że gdyby siła przyciągania Księżyca, a co za tym idzie, i ciężkość na nim była tylko o połowę większa, musielibyśmy byli zginąć wśród tych skalisk, niezdolni ruszyć się z miejsca.

Upłynęła już od wschodu słońca trzecia ziemska doba, przez którą posunęliśmy się zaledwie o dwadzieścia kilometrów naprzód. Upał stawał się już nieznośny. W dusznym i rozpalonym powietrzu wozu, wstrząsany wciąż jego ruchami, Woodbell zapadł znów w gorączkę. Rany, otrzymane w chwili upadku pocisku na powierzchnię Księżyca, zaczęły mu znów dokuczać. Szczęście, żeśmy troje przynajmniej wyszli bez szwanku! Dreszcz zgrozy mnie przejmuje na samo wspomnienie owego potwornego wstrząśnienia!

Naprzód, jeszcze w przestworzu, głuchy wybuch min umieszczonych u dołu pocisku, a mających zmniejszyć chyżość spadku, potem wysunięte jednym naciśnieniem[10] guzika

[8]*panew* — część łożyska ślizgowego; obejma osi; tu: w zn. przenośnym.
[9]*ściśniony* — dziś: ściśnięty.
[10]*naciśnienie* — dziś: naciśnięcie.

stalowe rusztowanie ochronne i... Nie! to się opisać nie da! Widziałem tylko w ostatniej chwili, jak Marta, przechyliwszy się na swym hamaku, przycisnęła usta do ust Tomasza. O'Tamor zawołał: „Oto jesteśmy!" — i... straciłem przytomność.

Gdym oczy otworzył, O'Tamor leżał we krwi, Woodbell we krwi, Varadol i Marta zemdleni... Z pogruchotanego rusztowania stalowego zrobiliśmy potem krzyż na grobie O'Tamora...

Chronometry nasze wskazywały dziewięćdziesiąt osiem godzin po wschodzie słońca, kiedy upadając ze znużenia i upału, spostrzegliśmy nareszcie, że się zbliżamy do szczytu wyniosłości, na którąśmy się z takim trudem wdzierali. Przez te cztery ziemskie doby, stanowiące mało co więcej niż czwartą część „dnia" księżycowego, spaliśmy niewiele, postanowiliśmy tedy zatrzymać się jakiś czas dla odpoczynku. Woodbell zwłaszcza potrzebował snu i spokoju.

Wóz ustawiliśmy w cieniu skały, który nas chronił od upieczenia się żywcem w nieznośnych promieniach słońca, po czym ułożyliśmy się wszyscy do snu. Po dwóch godzinach obudziłem się, pokrzepiony znakomicie. Tamci jeszcze spali. Nie chcąc ich budzić, przywdziałem powietrzochron i wyszedłem sam z wozu, aby zbadać okolicę. Zaledwie wychyliłem się z cienia, doznałem uczucia, jak gdybym się dostał do wnętrza rozpalonej huty. Już nie gorąco, ale wprost żar lał się z nieba; grunt parzył mi stopy nawet przez grube podeszwy powietrzochronu. Musiałem zebrać wszystkie siły woli, aby się nie cofnąć z powrotem do wozu.

Znajdowaliśmy się w płytkiej szyi skalnej, rozdzielającej dwa kopiaste wzgórza z litego głazu i kończącej się wśród nich rodzajem przełęczy, która, o ile mogłem dostrzec z miejsca, gdzie stałem, przechodziła w płaszczyznę, występującą poza owe kopy ku zachodowi. Te kopy zasłaniały mi też widok od północy i od południa. Tylko ku wschodowi widok był rozległy na drogę, którąśmy właśnie przebyli. Patrzyłem na kamieniste pola, pełne kotlin, wyrw, szczelin i szczytów — i wprost nie wierzyłem własnym oczom, żeśmy się przez nie zdołali przedostać z naszym wielkim i ciężkim wozem.

Na Ziemi, przy sześć razy większym ciężarze, byłoby to absolutnym niepodobieństwem.

W tej chwili uczułem, że mnie ktoś trąca. Obejrzałem się: za mną stał Varadol i dawał jakieś rozpaczliwe znaki. Jak ja wyszedł z wozu w powietrzochronie, ale nie wziął ze sobą rury do mówienia, więc nie mogliśmy się porozumieć. Widziałem tylko, że był blady i czymś ogromnie zmieszany. Przypuszczałem, że Tomaszowi zrobiło się gorzej, i pędem pobiegłem do wozu. On poszedł za mną.

Zaledwie, znalazłszy się w wozie, zrzuciliśmy powietrzochrony, gdy Varadol rzekł, nachylając się ku mnie:

— Nie budź tamtych i słuchaj: stała się rzecz straszna, pomyliłem się.

— Co? — zawołałem, nie rozumiejąc jeszcze, o co mu chodzi.

— Myśmy spadli nie na *Sinus Medii*.

— Więc gdzież jesteśmy?

— Pod *Eratosthenesem*, na przełęczy łączącej ten krater z księżycowym *Apeninem*.

Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Wiedziałem ze zdjęć fotograficznych powierzchni Księżyca, robionych na Ziemi, że grzbiet górski, na którym się znajdujemy, urywa się niemal prostopadle ku położonej na zachodzie olbrzymiej równinie *Mare Imbrium*.

— Jakże my stąd zejdziemy! — zawołałem w przerażeniu.

— Cicho. Bóg jeden raczy wiedzieć. Moja wina. Upadliśmy na *Sinus Aestuum*. Patrz...

Tu podsunął mi mapę i kartki zapisane szeregiem cyfr.

— Czy się tylko nie mylisz? — odezwałem się.

— Tym razem nie mylę się, niestety! I tamte pomiary były dokładne, zapomniałem tylko, że wówczas Ziemia nie mogła się znajdować w zenicie ponad środkiem księżycowej tarczy. Wszak wiesz, że Księżyc podczas obrotu naokoło osi podlega małym wahaniom, tak zwanym libracjom, wskutek czego Ziemia nie wydaje się całkowicie nieruchomą na niebie, lecz zakreśla maleńką elipsę. Otóż ja zapomniałem wziąć poprawki z tego jej wychylenia od zenitu i dlatego oznaczyłem według jej położenia fałszywie długość i szerokość księżycową punktu, w którym robiłem pomiary. Teraz możemy za to wszyscy zapłacić życiem!

— Uspokój się! — rzekłem, choć drżałem sam na całym ciele. — Może się nam uda ocalić.

Za czym wzięliśmy się razem do sprawdzania obliczeń. Tym razem nie było zgoła wątpliwości. Po zrobieniu koniecznej poprawki okazało się, że spadliśmy na *Sinus Aestuum* pod 7°35' zach. dł., a 13°8' pn. szer. księżycowej. Posuwaliśmy się cały czas wzdłuż stromych wzgórz u stóp olbrzymiego *Eratosthenesa*, mając przed sobą niewielki, lecz nadzwyczajnie bystry krater bez nazwy, tkwiący już w trzonie poczynającego się tu *Apeninu*. Obecnie znajdowaliśmy się pod 11° zach. dł., a 15°51' pn. szer. księżycowej.

Oznaczyliśmy sobie ten punkt na mapie Księżyca. Według mapy przełęcz, którąśmy mieli o kilkaset kroków przed sobą, wznosi się 962 m nad poziom *Mare Imbrium*.

Jest to rzecz zadziwiająca, że podczas gdy astronomowie ziemscy mogą z odległości setek tysięcy kilometrów z łatwością obliczyć wysokość każdej góry księżycowej, mierząc w teleskopie długość cienia, jaki rzuca, my, znajdując się na tej górze, musieliśmy się uciekać do pomocy mapy sporządzonej na Ziemi, aby wiedzieć, jakie jest jej wzniesienie. Brak takiej atmosfery, która by mogła być wzięta w rachubę, uniemożliwiał dokonywanie barometrycznych pomiarów wysokości. Zmiana, jakąśmy zauważyli w barometrze, zasadzała się na tym, że rtęć w rurce opadła tak, iż się zrównała prawie z powierzchnią cieczy w naczyniu. Na tej wysokości, gdzieśmy się znajdowali, była próżnia niemal absolutna.

Tomasz i Marta zbudzili się wkrótce. Niepodobna było ukrywać przed nimi istotnego położenia. Powiedziałem im tedy jak najoględniej, jak rzeczy stoją. Nie wywarło to na nich zbyt silnego wrażenia. Tomasz zmarszczył się tylko i przygryzł wargi, a Marta, o ile mogłem wnosić z jej zachowania się, nie zdawała sobie dobrze sprawy z grozy położenia.

— To cóż — odezwała się — zjedziemy, jakeśmy wyjechali, albo się wrócimy.

Zjedziemy, jakeśmy wyjechali! mój Boże! Wszak to, żeśmy trafili na drogę, która nas tu wywiodła, było czystym przypadkiem! A wracać się? — tyle trudów i tyle godzin straconych?...

Postanowiliśmy wreszcie udać się na ową przełęcz, aby zobaczyć, czy się z niej nie da spuścić na równinę *Mare Imbrium*. Wóz ruszył z miejsca i za kilkanaście minut znajdowaliśmy się nad przepaścią.

Osłupieliśmy wobec widoku, który się przed nami nagle otworzył. Skała urywała się u nóg naszych niemal prostopadle, a tam w dole, tysiąc metrów niżej, rozciągała się jak okiem zasięgnąć nieprzejrzana równina *Mare Imbrium*, z rozrzuconymi po niej z rzadka szczytami. Brak perspektywy powietrznej sprawiał, że góry, nadzwyczaj nawet odległe, rysowały się wyraźnie naszemu oku, odbijając swą niesłychaną lśniącą białością od zupełnie czarnego tła gwiaździstego nieba. Widok zaiste czarodziejski; na chwilę zapomnieliśmy nawet o grozie położenia.

Na widnokręgu ku północy sterczał przed nami wśród niezmierzonej płaszczyzny, jak wyspa wśród morza, majestatyczny krater *Timocharis*, oddalony od nas czterysta kilometrów, a wysoki na siedem tysięcy stóp.

Na Ziemi góry, z dala widne, przybierają z powodu nieprzeźroczystości powietrza barwę sinawobłękitną; tutaj szczyt ów wyglądał w słońcu jak do białości rozpalona stal z grubymi, czarnymi pasmami cieniów i lśniącymi się czerwono żyłami ciemniejszych skał. Nieco ku zachodowi również wyraźnie szczerbiła się na niebie piła niższego odeń i więcej jeszcze oddalonego krateru *Lambert*. Od samego zachodu ograniczały widnokrąg liczne drobne wyniosłości i skały, łączące się z trzonem znacznie nam bliższego łańcucha księżycowych *Karpat*, ograniczających *Mare Imbrium* od południa.

Poza tym łańcuchem, ciągnącym się w kierunku promienia naszego widzenia, od południowego zachodu wznosiły się w dali, na niższych wzgórzach oparte, nieprawdopodobnie olbrzymie turnie *Kopernika*, jednej z największych gór Księżyca. Jeślim powiedział, że *Timocharis* błyszczał jak stal rozpalona, to nie mam już porównania na określenie światła, jakie biło z odległości setek kilometrów od owego potężnego pierścienia skał, mierzącego dziewięćdziesiąt kilometrów średnicy!

Na północnym wschodzie sterczały zza licznych wzniesień w niezmiernej oddali same szczyty szerokiego cyrku *Archimedesa*. Widok od wschodu i od południa mieliśmy zamknięty z jednej strony niebotycznym pasmem księżycowego *Apeninu*, z drugiej przepaścistym *Eratosthenesem*, łączącym się z *Apeninem* przełęczą, na której właśnie staliśmy.

A w tych ramach *Morze Dżdżów*. Jakąż straszną ironią wydała nam się ta nazwa, przez starych ziemskich astronomów wymyślona! Pustynia straszliwa, sucha, zimnoszara, poorana tu i owdzie potwornymi szczelinami, wydęta w lekkie, podłużne garby, ciągnące się od świetnego *Timocharisa* na widnokręgu ku *Eratosthenesowi*. Nigdzie ani śladu życia, ani odrobiny zieleni! W słońcu tylko, u stóp olbrzymich, odległych kraterów, lśniły się gdzieniegdzie świetne, do pasm drogich kamieni podobne, żółte, czerwone i stalowosine żyły jakichś pokładów...

Patrzyliśmy przed siebie w milczeniu, nie wiedząc, jaką obrać drogę. Dostawszy się na płaszczyznę *Morza Dżdżów*, mielibyśmy przed sobą przestrzeń, po której byśmy mogli raźno się posuwać; ale w tym była cała trudność, jak się na nią dostać, jak się spuścić z owej tysiąc metrów wysokiej, prostopadłej ściany?

Po krótkiej naradzie ruszyliśmy piechotą ku południu w tej nadziei, że się nam może uda znaleźć drogę po zboczu krateru *Eratosthenesa*. Szliśmy po wąskiej płaszczyźnie, wciśniętej między skały a przepaść otwierającą się ku *Mare Imbrium*. W jednym miejscu przejście było tak wąskie, że chcieliśmy już zawrócić, zwątpiwszy, aby się nam udało tędy przedostać z wozem. Na szczęście Marta, która nam towarzyszyła, przypomniała, że posiadamy pewien zapas min, którymi będzie można z łatwością rozsadzić niewielki zastępujący nam próg skalny. Ominęliśmy go tedy, przeciskając się ponad zawrotną przepaścią, i poszliśmy dalej. Teraz grzbiet górski, znacznie rozszerzony i płaski, podnosił się z wolna ku górze. Szliśmy wciąż ku południu; na prawo i na lewo piętrzyły się już potworne turnie pierścienia *Eratosthenesa*.

Po upływie pół godziny od chwili okrążenia owego progu stanęliśmy zatrzymani nową przepaścią, która się tak niespodziewanie otworzyła pod naszymi nogami, że Piotr, który szedł naprzód i pierwszy się wdarł na zasłaniający ją przed naszym wzrokiem próg, skoczył w tył z okrzykiem przestrachu. Zaiste trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego nad widok, jaki się roztaczał teraz przed nami.

Posuwając się wciąż w południowym kierunku, dostaliśmy się, nie wiedząc o tym, w głęboką szczerbę, wyrżniętą już w samej grani *Eratosthenesa*. Na prawo i na lewo piętrzyły się poszarpane turnie, z których jedna lśniąco biała w słonecznym blasku, druga w cieniu całkiem niemal czarna. A przed nami... nie! któż to opisać zdoła! — przed nami otchłań! czeluść bezdenna i niewypowiedziana, coś tak potwornego, wprost tak drapieżnego w niesłychanym majestacie grozy, ogromu i martwoty, że teraz jeszcze dreszcz paraliżującej trwogi mnie przechodzi, gdy sobie o tym przypomnę!

Przed nami było wnętrze krateru *Eratosthenesa*.

Potężny wał górski, najeżony jak piła szczytami, zataczał tu krąg zamknięty o średnicy kilkudziesięciu kilometrów, tworząc w ten sposób rozległą kotlinę, najstraszniejszą zapewne, jaką kiedykolwiek widziało ludzkie oko. Turnie, wznosząc się przeszło na cztery tysiące metrów ponad dnem tej przepaści, spadały ku niej prawie pionowo, we wściekłych jakichś podrzutach. Wyglądało to, jakby w otchłań waliły w skoku zastygłe, o iglice poszarpane kamienne kaskady. Kotlina, zagłębiona jakie dwa tysiące metrów w stosunku do poziomu oddzielonej od niej wałem równiny *Mare Imbrium*, wydawała nam się znacznie jeszcze głębszą z powodu olbrzymich gór okolicznych i grubych cieniów, które ją w całości prawie zalegały. Z dna jej sterczało kilka odosobnionych, z rzadka rozsianych stożkowych szczytów, dochodzących połowy wysokości okolicznego wału. Patrzyliśmy na nie z góry naszego kamiennego okna. Z paru z nich wybuchały co pewien czas niewielkie obłoki ciemnoszarego dymu, opadające w tej chwili z powodu braku atmosfery i rozścielające się płasko u ich podnóża jak popiół. Nie było wątpliwości, że mieliśmy jeszcze niewygasłe wulkany przed sobą.

Jaskrawe przeciwieństwa światła i cieniów wzmagały jeszcze uczucie grozy. Cały wschodni brzeg wnętrza tonął w grubym mroku, zlewając się w jedną tajemniczą i ciemną oponę z czarnym niebem u góry; brzeg zachodni za to iskrzył się w słońcu białą ścianą, porysowaną ciemnymi żlebami i zjeżoną mnóstwem nieprawdopodobnych iglic, jak gdyby kościanych wieżyc, widniejących na tle czarnych plam cienia. Od południa wał z powodu odległości wydawał się niższy i był podobny do najeżonej kolcami bramy tej straszliwej czeluści. U stóp naszych — zawrotna przepaść.

A nad tym wszystkim, po czarnym, niemigotliwymi gwiazdami zasianym niebie szło ogniste bezpromienne słońce, coraz bliższe Ziemi, która lśniła trupim blaskiem, wygięta w wąski, ostry sierp, zawieszony nad tym padołem jakby znak śmierci.

Mimo woli w uszach zaszumiały mi słowa Danta:

Vero é che in su la proda mi trovai
Della valle d'abisso dolorosa...

I na przypomnienie tych słów w mózgu moim, osłabłym ze znużenia, upału i przestrachu, zaczęła się budzić wizja dantejskiego piekła, które zaiste nie mogło być straszliwszym od tego, co miałem przed oczyma! Poruszające się na dnie olbrzymiego kotła dymy zdały mi się korowodami potępieńczych duchów, wirujących około potwornej postaci Lucyfera, którego kształty przybrał w mych oczach jeden z wulkanicznych stożków... Pełno duchów, straszna procesja potępieńców. Snują się wszędzie, po skalistych stokach czeluści płyną ogromną falą, zsuwają się w głąb żlebami, przewalają się, kotłują, cisną. Niektóre chcą się wznieść w górę, na świat, na słońce — odrywają się od dna całymi chmurami i opadają znowu jak ołowiane pary na miejsce wieczystej kaźni...

A wszystko odbywa się w takiej strasznej, dreszczem przejmującej głuszy...

Świat zaczął mi w głowie wirować; czułem, że jestem bliski utraty przytomności.

Wtem doleciał mnie płacz. Byłem tak oszołomiony, iż w pierwszej chwili sądziłem, że istotnie słyszę głos potępieńców... Ale tym razem nie była to wizja. Rzeczywiście słychać było płacz przez rurę, łączącą głowy naszych powietrzochronów.

Oprzytomniałem nieco i spojrzałem dokoła. Woodbell, oparty plecami o skałę, stał blady ze spuszczoną głową; Varadol, podobny z ruchów do dzikiego zwierza na uwięzi, chodził niespokojnie, o ile mu grunt i długość rury na to pozwalały, i rozglądał się, jak gdyby szukał wśród tych turni drogi i wyjścia. Marta klęczała na ziemi z czołem przy kolanach i trzęsła się od łkania, przestrachem i najwyższym podrażnieniem nerwów wywołanego.

Niezmierną litością zdjęty, zbliżyłem się ku niej i oparłem z wolna dłoń na jej ramieniu. Wtedy ona z jakąś dziecięcą skargą zaczęła wołać, jak w ową pamiętną długą noc przed śmiercią O'Tamora:

— Na Ziemię! Na Ziemię!

Taka głęboka, przejmująca rozpacz była w jej głosie, że nie mogłem znaleźć słowa, aby ją pocieszyć. Zresztą jak to zrobić? — położenie nasze było istotnie rozpaczliwe. Zwróciłem się do Varadola:

— Co teraz będzie?

Piotr ruszył ramionami.

— Nie wiem... śmierć. Wszak stąd zejść niepodobna.

— A gdyby wrócić — wtrąciłem.

— O tak! wrócić, wrócić! — łkała Marta.

Varadol zdawał się płaczu jej nie słyszeć. Patrzył przez chwilę przed siebie, a potem odpowiedział, zwracając się do mnie:

— Wrócić... chyba po to, aby straciwszy wiele drogiego czasu, spotkać na innej drodze podobną znów do tej przeszkodę. Patrz! — tu odwrócił się twarzą ku północy i wskazał okiem nieprzejrzaną równinę *Mare Imbrium*, leżącą poza nami — gdybyśmy się mogli tam dostać, mielibyśmy względnie równą drogę przed sobą, ale tam się nie dostaniemy... Chyba na łeb...

Spojrzałem we wskazanym kierunku. *Morze Dżdżów*, gładkie, oświetlone słońcem, wydało mi się rajem, zwłaszcza w porównaniu ze strasznym wnętrzem *Eratosthenesa*. Poczynało się tuż prawie u naszych stóp, zda się, tak bliskie, że dość skoczyć, aby się tam znaleźć. Dzieliło nas jednak od upragnionej równiny tysiąc metrów pionowej skały nie do przebycia!

Zbiliśmy się wszyscy w kupkę i poczęliśmy patrzyć z niewypowiedzianym pożądaniem na tę przestrzeń, mogącą nas zbawić. Nie czuliśmy znużenia ani gryzących promieni słońca, które już połową tarczy wyjrzało zza krawędzi skalnej nad nami.

Po chwili Piotr powtórzył:

— Tam się nie dostaniemy...

Odpowiedział mu głośny, spazmatyczny płacz Marty, która niezdolna już była panować nad sobą.

Varadol żachnął się niecierpliwie:

— Milcz! — krzyknął chwytając ją za ramię — bo cię stąd strącę! Dość mamy kłopotu!

Wtedy nagle Tomasz wysunął się naprzód:

— Daj pokój... i ty nie płacz; dostaniemy się na *Mare Imbrium*. Wracajmy po wóz.

Tyle było stanowczości i pewności siebie w tych spokojnie, choć dobitnie powiedzianych słowach, że zwróciliśmy się na miejscu, aby wykonać rozkaz, nie śmiejąc sprzeciwić się ani pytać.

Woodbell nas jeszcze zatrzymał.

— Patrzcie — mówił wskazując zewnętrzne, ku *Morzu Dżdżów* opadające stoki *Eratosthenesa* — widzicie tę grań, tu o pięćdziesiąt metrów niżej poczynającą się u stóp urwistej ściany? O ile można stąd ocenić, opada dość łagodnie aż ku płaszczyźnie; tędy zdołamy zjechać na dół...

— Ale ta ściana... — szepnąłem mimo woli, poglądając[11] na prostopadle urwaną skałę, która nas dzieliła od rozłożystego grzbietu grani, poprzednio niedostrzeżonej.

— Głupstwo! jesteśmy przecież wprawni w spinaniu[12] się po skałach! obejdziemy ją bokiem z łatwością. A wóz?... wóz zepchniemy naprzód, uwiązawszy go na linach. Nie zapominajcie, że jesteśmy na Księżycu, gdzie ciała są sześć razy lżejsze, a spadek z wysokości pięćdziesięciu metrów znaczy tyle, co z wysokości ośmiu na Ziemi!

Uczyniliśmy według rady Tomaszowej.

W sto dziewięć godzin po wschodzie słońca poczęliśmy zjeżdżać po stromym zboczu *Eratosthenesa*, aby się dostać na *Mare Imbrium*. Prawie całe trzy ziemskie doby trwało owo spuszczanie się w dolinę, tuż u naszych stóp leżącą. Większą część drogi przebyliśmy pieszo, prażeni nielitościwymi, coraz więcej prostopadłymi promieniami słońca, upadając ze znużenia i wysiłku.

Wóz wypadło istotnie stoczyć na linach w przepaść z wysokości kilkudziesięciu metrów. Jemu to nie zaszkodziło, ale psy zamknięte w nim potłukły się mocno, mimo wszelkich z naszej strony ostrożności. Parę razy zatrzymywaliśmy się, straciwszy całkowicie nadzieję, aby się nam udało z życiem zejść w dolinę. Grań nie była drogą tak wygodną, jak nam się to z góry i z dala wydawało. Poprzerywana piętrami i rozpadlinami, zmuszała nas do nawrotów i okrążań, tym trudniejszych, że wszędzie musieliśmy wóz wlec za sobą albo spuszczać go naprzód po linach. Często rozpacz nas ogarniała. Wtedy Woodbell, choć osłabiony gorączką i ranami, okazywał najwięcej przytomności i siły woli. Jeżeli żyjemy i żyć będziemy, jemu to mamy do zawdzięczenia.

Przez te trzy doby, nie wiem, czyśmy spali więcej niż dwanaście godzin, wyszukując za każdym razem miejsca jak najwięcej zacienione, aby się uchronić od upieczenia żywcem w promieniach słońca. Chwilami upał odbierał nam wprost przytomność.

Było właśnie księżycowe południe i słońce stało prostopadle nad naszymi głowami obok czarnej kuli Ziemi w nowiu, otoczonej krwawą obwódką nasyconej światłem atmosfery, kiedyśmy wyczerpani do ostatnich granic stanęli wreszcie na płaszczyźnie.

Upał był tak potworny, że dech nam w piersiach zapierało, a krew przysłaniała oczy i waliła w skroniach młotami. Już i cień nie dawał ochrony! rozżarzone skały zionęły zewsząd ogniem jak czeluść hutniczego pieca.

Selena ziajała gwałtownie z wywieszonym językiem, szczenięta skomliły żałośnie rozciągnięte bez ruchu w kącie wozu. Z nas co chwilę ktoś popadał w omdlenie; zdawało się, że śmierć nas spotka u wstępu do tak upragnionej równiny!

Trzeba było uciekać przed słońcem — ale dokąd?

Wtedy Marta przypomniała, żeśmy schodząc z góry, widzieli głęboką szczelinę, którą snadź teraz nierówności gruntu zasłaniają przed nami. Ruszyliśmy tedy we wskazanym kierunku i istotnie po godzinie szybkiej jazdy, która się nam rokiem wydała, natrafiliśmy na ową szczelinę. Jest to wądół o pionowych ścianach, utworzony przez pęknięcie skorupy

[11] *poglądać* — dziś: spoglądać.
[12] *spinać się* — dziś w tym znaczeniu: wspinać się.

księżycowej, do tysiąca metrów głęboki, a na paręset szeroki, zresztą w niczym niepodobny do ziemskich wąwozów i jarów.

Ciągnie się, o ile możemy stąd ocenić, dziesiątki kilometrów równolegle do pasma *Apeninu*. Na mapach Księżyca nie jest naznaczony; uszedł zapewne uwagi astronomów z powodu cienia, w jakim prawie zawsze musi być pogrążony, leżąc w bliskości wysokich gór.

Dla nas ta szczelina stała się ocaleniem. Natrafiwszy na miejsce, w którym się poczyna, zjechaliśmy bystro w jej głąb i tu dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią *Mare Imbrium*, znaleźliśmy trochę chłodu...

Sen pokrzepił nas znakomicie. Tomasz tylko, którego trzymała dotąd żelazna siła woli, zapadł znów w gorączkę. Jest tak osłabiony, że ruszać się nie może. Mimo to za jakie dwadzieścia godzin puścimy się w dalszą drogę. Słońce poczyna się od zenitu przechylać ku zachodowi. Tam na równinie upał musi być wciąż jeszcze straszliwy, ale w każdym razie nie taki, jak przed kilkudziesięciu godzinami. Zresztą my po odpoczynku łatwiej go znieść zdołamy.

Po głębokiej rozwadze zmieniliśmy plan podróży. Zamiast na zachód zwrócimy się wprost na północ, ku biegunowi Księżyca. Zyskujemy na tym podwójnie. Przede wszystkim mamy przed sobą przeszło tysiąc kilometrów względnie równej i dobrej drogi przez płaszczyznę *Mare Imbrium*, co przyspieszy znacznie podróż. Po wtóre, zbliżając się ku biegunowi, dostajemy się w okolice, gdzie słońce nie stoi we dnie tak wysoko nad horyzontem ani tak głęboko w nocy pod horyzont nie zapada; spodziewamy się więc spotkać tam znośniejszą temperaturę. Jedno bowiem jeszcze takie południe jak dzisiaj, a śmierć nasza byłaby nieuchronna.

Na *Mare Imbrium*, 340 godzin po wschodzie słońca.

Dzień się już ma ku schyłkowi. Wkrótce, za czternaście i pół godziny, zajdzie słońce, które teraz stoi nad dalekimi obłymi wzgórzami na zachodzie, wzniesione zaledwie kilka stopni ponad horyzont. Wszystkie nierówności terenu, każdy głaz, każda mała wyniosłość — rzucają długie, nieruchome cienie, krające w jednym kierunku tę olbrzymią płaszczyznę, na której się znajdujemy. Jak okiem zasięgnąć — nic, tylko pustynia bezbrzeżna, śmiertelna, zorana w długie, kamienne skiby z południa ku północy, po których na poprzek czernią się owe pasy cieniów... Daleko, daleko na widnokręgu sterczą najwyższe iglice szczytów widzianych z *Eratosthenesa*, a teraz kulistością księżycowej bryły przed nami u podstawy zasłoniętych.

W miarę jak się oddalamy od równika, szklana Ziemia nad nami przechyla się od zenitu ku południu. Dopełnia się teraz do pierwszej kwadry i świeci jasno — jak siedem Księżyców w pełni. Tam, gdzie słabnący blask słońca nie dochodzi, srebrzy się jej upiorna poświata. Mamy dwa światła niebieskie, z których jedno, silniejsze, wydaje się przez kontrast żółte, a drugie sine. Cały świat jest na poły jaskrawożółty i na poły szarosiny. Gdy spojrzę na wschód, żółci się pustynia i żółcą się odległe szczyty *Apeninu* księżycowego; od zachodu, pod brylantowe słońce, wszystko jest zimne, sine i mroczne. A nad dwubarwną pustynią ciągle to niebo z czarnego aksamitu, pełne różnokolorowych, drogocennych kamieni, zadęte bajecznym tumanem drobnego złotego piasku...

Noc się przybliża. Wysłała już swego zwiastuna, jedynego, jaki jej pozostał na tym świecie pozbawionym zmierzchu i wieczornej zorzy... Chłód idzie przed nią po pustyni, przysiada w każdej szczelinie, w każdym cieniu, i czeka cierpliwie, rychło żółwie słońce sczołga się z firmamentu i ześlizgnie z pustyni, pozostawiając jemu i nocy samowładne królowanie...

Póki jesteśmy w pełnym blasku, nie domyślamy się nawet jeszcze obecności tego przybysza, ale w cieniu przejmuje nasze rozgrzane ciała lekki dreszcz, mówiący o jego bliskości...

W zamkniętym naszym wozie nie jest już tak duszno i wszystkim nam jakoś rzeźwiej i weselej. Varadol pełen nadziei snuje znów plany lub bawi się ze suką[13] i szczeniętami; Woodbell jest znacznie zdrowszy, rozmawia teraz z Martą, stojąc przy sterze. Gdy podniosę nieco wzrok od papieru, widzę ich dwoje. Martę zwłaszcza widzę wyraźnie. Jest do mnie bokiem zwrócona i śmieje się teraz. Dziwnie się śmieje. Usta jej przybierają taki

[13]*ze suką* — dziś: z suką.

kształt, jak gdyby całowały powietrze. Tego uśmiechu pełne ma oczy i pełną pierś, która się wznosi drobnymi, szybkimi ruchami. Podczas upału dnia pierś miała odsłoniętą, za gorąco było nawet dla niej, którą opaliło indyjskie słońce. Teraz okryła się pod szyję. Nie wiem, dlaczego szukam mimo woli wciąż oczyma tej przepysznej, smagłej a tak ciepłej w kolorycie piersi i dziwnie mi czegoś brakuje, gdy jej nie widzę. Niepotrzebnie myślę tak wiele o tej kobiecie, ale jej tu jest naprawdę pełno. Od czasu jak śmierć oddaliła się nieco od naszego wozu, cała jego szczupła atmosfera jest nią przesiąknięta. Nawet Varadol niby igra z psami, a wiem, że patrzy na nią ukradkiem. Gniewa mnie to. Czemu Tomasz nie zwraca na to uwagi? A zresztą — cóż mnie to obchodzi...

Już przeszło od sześćdziesięciu godzin jesteśmy w drodze. Wóz posuwa się ciągle. Śpimy na zmianę podczas jego ruchu i teraz podczas ruchu piszę. Zatrzymaliśmy się tylko trochę, aby nabić na nowo akumulatory naszego motoru elektrycznego. Dla oszczędności paliwa, którego będziemy w nocnym mrozie wiele potrzebowali, puściliśmy maszynę w ruch za pomocą rozprężającego się zgęszczonego powietrza. Akumulatory musimy nabijać, bo same baterie przy szybkiej jeździe nie wystarczają.

A posuwamy się ciągle szybko naprzód, o ile tylko teren na to pozwala. Znaczne nierówności gruntu nie pozwoliły nam wziąć się[14] od razu ku północy po wydostaniu się ze *Szczeliny Zbawienia*. (Tak nazwaliśmy ów wądół pod *Eratosthenesem*, gdyż zbawił nas istotnie chłodem od śmierci). Pod 12° zach. dł. natrafiliśmy na jedną z owych smug świetlnych, które jak promienie rozchodzą się od góry *Kopernika* na setki kilometrów naokoło. Smugi te, w słabszych nawet teleskopach ziemskich dokładnie widoczne, zadziwiały zawsze astronomów. Są to, jakeśmy się przekonali naocznie, kilkanaście kilometrów szerokie pasy na szkliwo stopionej skały. Nie umiem sobie wytłumaczyć powstania tych dziwnych utworów...

W ogóle wiele tu jest dla nas zagadką nawet z tych rzeczy, które niemal dotykamy rękami. Jak powstała owa płaszczyzna, wśród której się znajdujemy, jak powstały te pierścienie górskie o kilkudziesięciu, a nieraz i kilkuset kilometrach średnicy i wale wzniesionym na kilka tysięcy metrów? To pewna, że nie są to wygasłe kratery wulkanów, jak niegdyś na Ziemi sądzono. Zajrzeliśmy do wnętrza *Eratosthenesa* i widzieliśmy tam wulkaniczne stożki, nieróżniące się niczym od ziemskich wulkanów, ale sam ten okrągły pierścień zaiste nie był kraterem nigdy! Przemawia przeciw temu — pomijając jego potworne rozmiary — i rodzaj skały, z której wał jest utworzony, i zaklęśnięcie dna poniżej powierzchni otaczających go równin, i wiele innych rzeczy, które mieliśmy sposobność stwierdzić własnymi oczyma.

Zdaje się, że aby zrozumieć te zadziwiające formacje, trzeba się cofnąć myślą do zamierzchłych okresów, kiedy Księżyc był jeszcze płynną, rozpaloną kulą, zastygającą dopiero na powierzchni w zimnych przestworach międzygwiaździstych[15]. Wtedy to potworne, wprost siłę ludzkiej wyobraźni przechodzące wybuchy gazów, pochłoniętych przez płynną masę, a teraz podczas jej stygnięcia wydzielanych, wydymały jego jeszcze podatną powierzchnię i tworzyły jakby olbrzymie bąble i bańki. Bąble te, pękając, zastygały równocześnie, nim spłynęły całkowicie w otaczającą je równinę. Jako ich ślad pozostały właśnie te obrączkowe góry. Słońce poprzegryzało w nich potem szczyty, poszczerbiło je i poszarpało; siły wulkaniczne wysadziły we wnętrzu niektórych z nich stożkowe kratery — i oto jakie są dzisiaj, nie zniszczone wszystko niwelującą na Ziemi wodą, świadczące o twórczej potędze we wszechświecie, dla której planetarne bryły i słońc ogniste kule są tylko posłusznym materiałem w olbrzymim tyglu wieczystego stawania się.

Tak żywo o tym wszystkim mówią mi wielkie góry i drobne, często po drodze spotykane, a na ich podobieństwo utworzone kotlinki, że gdy się wpatrzę w otaczający mnie krajobraz, to mi się zdaje chwilami, że te od słońca jaskrawożółte głazy to masa jeszcze żarząca się, płynna i niemal żywa; zdaje mi się, że wnet pocznie płaszczyzna cała jak morze falować, giąć się i wzdymać, róść, pęcznieć i pod parciem wewnętrznych gazów bryzgać ku czarnemu niebu pierwotną lawą, tężejącą w góry pierścienne a olbrzymie.

A ileż to setek tysięcy wieków od owych czasów minęło! Skorupa Księżyca zastygła i popękała, kurcząc się ciągle; jakieś tajemnicze siły ogniowe powypalały w niej ogromne

[14]*wziąć się* — tu: skierować się; zwrócić się.
[15]*międzygwiaździsty* — dziś: międzygwiezdny.

promienne smugi zeszklonego kamienia i tu, gdzie niegdyś hasały rozpętane, zmagające się twórcze siły, cisza jest teraz i martwota tak straszliwa i ostateczna, że nas aż dziwi i wstydzi wśród niej własne życie...

Do tej chwili posuwamy się ciągle po owej jasnej smudze, utworzonej przez żyłę szkliwa idącą od *Kopernika*. Stanowi ona dla nas wygodną i równą drogę. Kierunek jej północno-wschodni jest nam bardzo na rękę, gdyż zawiedzie nas prosto na płaszczyznę między *Archimedesem* a *Timocharisem* którą przebyć nam trzeba. *Archimedesa* nie widno[16] wcale teraz, gdy jesteśmy na płaszczyźnie. W stronie, gdzie się powinien znajdować, stoją tylko przed nami drobne, strome wyniosłości, podobne do górzystej wysepki wśród morza. Jest to zapewne grupa „kraterów", wznosząca się pod 11° zach. dł., a 19° pn. szer. księżycowej. Spodziewamy się wyminąć ją przed zachodem słońca. A potem na północ, wciąż na północ, byle dalej od tej straszliwej strefy, gdzie obok złowieszczego sierpa Ziemi wprost nad głowami wspina się w zenicie zabójcze słońce jak rumak rozszalały, ognisty i wściekły. O! bo to nie jest nasze ziemskie, życiodajne słońce, ta leniwa kula biała i bezpromienna! — to jakiś bóg zachłanny i szyderczy, bóg niszczyciel i pożerca! A nas czworo to jedyne żywe ofiary, jakie sobie upatrzył na tej płaszczyźnie śmierci! Musimy mu ujść, nim po raz drugi wypłynie na czarny, złotem wyszyty całun firmamentu.

Przerywam pisanie. Varadol, który zluzował Tomasza, woła od motoru, że na mnie teraz kolej stanąć przy sterze wozu. Tamci już śpią. Marta, jak zwykle, z hamaku swego wychylona, z głową na piersi tego — jedynego wśród nas szczęśliwego człowieka!

Pierwszego dnia księżycowego, 4 godziny po zach. słońca, na *Mare Imbrium* 10° zach. dł., 20°28' pn. szer. księż.

Już się tedy zaczęła noc, długa — dla której ziemskie doby są cząstkami mniejszymi niż godziny dla ziemskiej nocy. Ziemia, przechylająca się wciąż ku południu, świeci nad nami jak wielki jasny zegar. Z posuwania się cienia po jej tarczy możemy z łatwością oznaczyć porę. Była o zachodzie w pierwszej kwadrze, o północy będzie w pełni i znów będzie w kwadrze o wschodzie słońca. Rolę minutowej wskazówki na tym niebieskim zegarze odgrywają części świata. Po zachodzeniu ich w cień możemy poznać godziny, które są jakby minutami dla naszej siedemsetdziewięciogodzinnej doby.

Po zachodzie słońca zrobiło się zimno tak nagle, że doznaliśmy uczucia, jakbyśmy z łaźni parowej skoczyli wprost do basenu z lodowatą wodą. Zachód słońca zgotował nam wspaniałą niespodziankę: oczekiwaliśmy po nim natychmiastowej nocy, a tymczasem długi czas trwało jeszcze dziwne jaśnienie, kłócące się z blaskiem Ziemi, a podobne nieco do naszych zmierzchów.

Skończyła się była właśnie owa smuga szkliwa, która nas wiodła przeszło sto kilometrów, kiedyśmy wyjechali z cienia drobnych kraterów, o których wspominałem poprzednio. Zbliżaliśmy się już do dwudziestego równoleżnika, posuwając się teraz wprost ku północy, kiedy tarcza słoneczna, niezarumieniona zachodem, owszem, jasna i błyszcząca jak we dnie, poczęła się powoli pogrążać pod horyzont. Ogarnęła nas nagle straszna tęsknota za tym znikającym słońcem, które się nam ukaże znowu dopiero za czternaście dni. Stanęliśmy wszyscy obok siebie przy zachodnim oknie naszego wozu. Marta zwróciła na płask dłonie ku zapadającej gwieździe dnia i poczęła śpiewnym a monotonnym głosem odmawiać indyjskie hymny, którymi fakirzy żegnają na Ziemi tego jasnego boga.

Woodbell odpowiadał jej czasem jakimiś niezrozumiałymi zdaniami z świętych ksiąg, przypominając sobie zapewne podobne chwile spędzone w Travancore, kiedy słońce płomienne tonęło w bezbrzeżnym oceanie.

Słońce tymczasem, zagłębione cząstką tarczy, zdawało się stać na widnokręgu i czekać. Blask jego rozświetlił wyciągnięte dłonie dziewczyny i iskrzył się na jej białych zębach widocznych wśród rozchylających się purpurowych warg. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że oni rozmawiają oboje — ta dziewczyna i to słońce.

Za pół godziny już tylko rąbek słonecznej tarczy był widoczny. Kamienna pustynia sczerniała popod ten skrawek białej jasności, jak gdyby się zamieniła w morze atramentu. Tu i ówdzie tylko lśniły gładkie głazy, odbijające sine światło Ziemi. Marta skończyła już hymny i stała wpatrzona w pustynię, z głową opartą o ramię Tomasza.

---

[16]*nie widno* — dziś: nie widać.

Wszystkich nas ogarnął dziwny smętek; nawet Piotr, najmniej do wzruszeń skłonny, zasępił się i poruszał wargami, jakby odpowiadając z cicha jakimś myślom czy wspomnieniom. A ja... Hej! jakże szalenie szybko przemknęło to moje życie na Ziemi. Dziwny taniec widm i wspomnień miałem na oczach: śniły mi się nadwiślańskie równiny i chmurne turnie Tatr — a wszystko zaludnione takim nieprzeliczonym orszakiem znajomych, drogich, a pożegnanych już na wieki... Na wieki!...

Wtem słońce nagle zagasło. Czerwone protuberancje, jak drobne, ogniste języki, drgały jeszcze przez chwilę nad horyzontem, wreszcie znikły i one — a w nagle spadającym na pustynię zmroku było coś tak niespodziewanego, że mimo woli przycisnęliśmy się do siebie, jak gdyby chcąc się ochronić przed czymś, co się na nas rzuca jak szary żbik na przechodnia. Ale był to tylko zmrok, nie noc. W tejże bowiem chwili, gdy ostatni rąbek słońca zatonął, wystrzelił na zachodzie słup jasności, zasklepiony na kształt kopuły, a podobny do bajecznej fontanny świetlanego pyłu.

Światło zodiakalne lśniło przed nami w takiej niesłychanej wspaniałości, w jakiej go na Ziemi nigdy ludzkie oczy nie widziały. Patrzyliśmy długo w oniemieniu na ten słup roziskrzony, lekko od pionu ku południu się przechylający i zasiany różnokolorowymi gwiazdami, przezierającymi przez ten kosmiczny pył, krążący dokoła słońca i teraz po jego zachodzie odbijający nam w twarz jego światło.

Teraz zgasło już wszystko i tylko Ziemia świeci nad nami i gwiazdy, dziwne gwiazdy, w czarne niebo wgłębione, niemigotliwe i różnobarwne. Ta różnokolorowość gwiazd nieprzyćmionych powietrzem, którego tu nie ma, jest tak zastanawiająca, że nie mogę do tego przywyknąć, choć przecież świeciły nade mną przez przeciąg całego długiego dnia księżycowego.

Ziemia posyła nam tyle światła, że możemy przy jej blasku odbywać podróż bez przerwy. Bardzo to dla nas pomyślna okoliczność, gdyż nie potrzebujemy tracić czasu i możemy się przez noc posunąć tak daleko na północ, że nie będziemy już narażeni podczas drugiego dnia na prostopadłe promienie słońca. Strachem nas tylko przejmuje myśl o nocnym mrozie, który już dobrze chwyta.

Grunt znowu jest nierówny, co nas zmusza do licznych zboczeń i wykrętów opóźniających podróż. Na przodzie wozu zapaliliśmy elektryczną latarnię oświetlającą nam drogę. Gdyby nie to, moglibyśmy łatwo wpaść w jaką szczelinę, nie dość jasno widoczną przy mdłym świetle Ziemi. Kierujemy się według gwiazd, gdyż z kompasem nie możemy trafić jakoś do ładu na tym dziwnym świecie. Przy tym metalowe ściany wozu zmieniają położenie igły.

Na *Mare Imbrium*, 7°45' zach. dł., 24°1' pn. szer. księż. o pierwszej godzinie drugiej księżycowej doby.

Minęła już północ i zapomnieliśmy nawet, jak słońce wygląda; nie możemy pojąć, jak mogliśmy się skarżyć na jego żar. Blisko od stu osiemdziesięciu godzin, które upłynęły od zachodu, jesteśmy narażeni na mróz tak niesłychany, iż zdaje się, że myśl zamarza w mózgu. Nasze piece pracują całą siłą, a my, skuleni obok nich, trzęsiemy się od zimna. Pisząc, oparłem się o piec. Skóra piecze mi się na plecach, a równocześnie czuję, jak krew we mnie od mrozu zastyga i krzepnie. Psy cisną nam się na kolana i wyją bez ustanku — a nas obłęd już napada. Patrzymy na siebie w milczeniu z jakąś dziwną nienawiścią, jak gdyby które z nas było temu winne, że tu słońce przez trzysta pięćdziesiąt cztery i pół godziny nie świeci i nie grzeje...

Chciałem się przemóc i zanotować kilka wrażeń z odbytej po zachodzie słońca podróży, ale widzę, że nie jestem zdolny do skojarzenia najprostszych wyobrażeń. Mózg mam zamrożony, niepodatny, jakby był maszyną z lodu. Przez myśl przesuwają mi się na przemian luźne obrazy i jakieś rozpaczliwe błyski, których nie mogę w żaden sposób powiązać ze sobą. Niekiedy doznaję uczucia, jak gdybym spał na jawie. Widzę Martę, Tomasza, psy, Piotra, piec — i nie wiem zupełnie, co to znaczy, nie wiem, kto ja jestem, skąd się tu wziąłem, po co...

Istotnie, po co?

Chciałem się nad tym zastanowić, przypomnieć sobie, ale nie mogę. Musiała być jakaś przyczyna, dla której opuściłem z tymi ludźmi Ziemię... Nie pamiętam. Nuży mię[17] myślenie.

Zdaje mi się, że stoimy. Nie słyszę syczenia motoru. Trzeba iść i zobaczyć, co się stało, ale wiem, że ani ja, ani oni nikt tego nie zrobi. Musielibyśmy się oddalić od pieca.

Co za ohydny mróz!

Widzę przez okno jakieś skały, które Ziemia oświetla jasno. Pewnie dlatego stoimy, że jesteśmy wśród skał... To jest wszystko dziwne i wszystko obojętne...

Co ja piszę? Czyżbym już rzeczywiście dostawał obłędu? Senny jestem straszliwie, a wiem, że jak usnę, zamarznę i już się nie obudzę... Trzeba się otrząść[18], przyjść do przytomności...

To dziwne, że pierwszej nocy na *Sinus Aestuum* takiego mrozu nie było. Widocznie ciągną się pod tamtą płaszczyzną jakieś żyły wulkaniczne, które grunt nieco ogrzewają.

Piszmy, piszmy, aby nie zasnąć, bo to śmierć.

Od zachodu słońca posuwaliśmy się ciągle ku północnemu zachodowi — w coraz to silniejszym świetle dopełniającej się Ziemi i w coraz to większym mrozie. Pod 9° zach. dł., 21° pn. szer. przedarliśmy się przez niskie, obłe wały zagradzające nam drogę. Nie zmienialiśmy kierunku, dążąc, zamiast wprost na północ, ku północnemu wschodowi w stronę wzgórz, rozciągających się szeroko naokoło pierścienia *Archimedesa* w tej nadziei, że znajdziemy tu może jaki czynny krater, a w nim ciepło. Jesteśmy na granicy tego górzystego kraju, ale wszystko martwe i zimne. Wjechaliśmy w środek dziwnego półksiężyca, utworzonego ze skał, amfiteatralnie spiętrzonych. Varadol robił pomiary astronomiczne, by oznaczyć położenie tych gór. Z pomiarów jego wynika, że jest to wyniosłość, oznaczana na mapach księżycowych zazwyczaj literą *E*, a leżąca pod 7°45' zach. dł., 24°1' pn. szer. księżycowej.

Mróz, mróz, mróz... ale trzeba się przemóc i nie spać. Byle tylko nie spać, bo to śmierć! Ta śmierć musi tu być gdzieś blisko. Tam na Ziemi powinni ją malować siedzącą na Księżycu, bo to jest jej królestwo...

Dlaczego my stoimy? Ach prawda! wszystko jedno!

Tak, trzeba się przemóc. O czym to ja pisałem? Aha! te góry... Dziwny amfiteatr, ze cztery kilometry szeroki, otwarty od południa. Nad nim jak lampa zawieszona Ziemia. Najwyższy szczyt na północy, wprost przed nami. Ma pewnie jakie tysiąc dwieście metrów. Tak to wszystko strasznie wygląda. Teatr dla olbrzymów, dla potwornych kościotrupich olbrzymów. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby te stoki zasnuły się nagle tłumem ogromnych kościotrupów, z wolna w świetle Ziemi idących i zajmujących miejsca widzów. Olbrzymie czaszki tych, którzy by zasiedli najwyżej, bieliłyby się na tle czarnego nieba, wśród gwiazd. Zdaje mi się, że to wszystko widzę. Kościotrupy gigantów siedzą i tak mówią do siebie: „Która godzina? Jest już północ; Ziemia, nasz wielki i jasny zegar, stoi w pełni na niebie — pora zaczynać". — A potem do nas: „Pora zaczynać, umierajcie zatem; patrzymy...".

Dreszcz mię przechodzi.

Palus Putredinis, na dnie szczeliny, 7°36' zach. dł., 26° pn. szer. księż. Druga doba, 62 g. po pn.

Stało się zatem. Jesteśmy skazani na śmierć, zgoła bez nadziei ocalenia. Wiemy o tym od sześćdziesięciu godzin, to dość czasu, aby się z tą myślą oswoić. A jednak — ta śmierć...

Spokoju, spokoju, wszak to do niczego nie prowadzi. Trzeba się zgodzić z tym, co jest nieuchronne. Zresztą nie jest to przecież dla nas czymś niespodziewanym; wybierając się w tę podróż — jeszcze tam, na Ziemi — wiedzieliśmy, że się na śmierć narażamy. Ale czemuż ta śmierć nie spadła na nas nagle jak piorun, czemu pojawiła się przed nami i zbliża się tak powoli, że możemy każdy krok jej obliczyć, że wiemy, kiedy pocznie nas chwytać za gardła zimną dłonią i dusić...

Tak, dusić. Udusimy się wszyscy. Zapas zgęszczonego powietrza wystarczy nam przy największej oszczędności zaledwie na trzysta godzin. A potem... No, cóż, trzeba się zawczasu przygotować na to, co będzie potem. Przez trzysta godzin jeszcze będzie wszystko

[17] *mię* — dziś: mnie.
[18] *otrząść* — dziś raczej: otrząsnąć.

tak, jak dotąd. Będziemy oddychali, jedli, spali, poruszali się... W ciągu tego czasu wypróżni się ostatni zbiornik zagęszczonego powietrza, jedyny, jaki nam pozostał. Za trzysta godzin — to będzie księżycowe popołudnie... Słońce będzie stało jeszcze dość wysoko. Będzie jasno i ciepło — nawet gorąco, może za gorąco. Przez jakiś czas, kilka godzin, będzie wszystko jeszcze w porządku. Potem zaczniemy powoli uczuwać jakąś ociężałość, szum w głowie, bicie serca... Atmosfera naszego wozu, nieodświeżana tlenem, którego nam już brakuje, będzie przepełniona wydychanym przez nas kwasem węglowym. Teraz usuwamy go sztucznie, ale wtenczas po cóż go będzie usuwać, kiedy nie będziemy mieli tlenu, aby go nim zastąpić? Zaczniemy się tedy zatruwać tym kwasem węglowym. Uderzenie krwi, ociężałość, duszność, senność... Tak, senność, nieprzezwyciężona senność. Położymy się na hamakach, oczekując śmierci: Marta wychyli się zapewne ze swego hamaku i oprze głowę na piersi Tomasza, jak zwykle... Potem zaczniemy śnić... Ziemia, rodzinne kraje, łąki, powietrze — dużo, dużo powietrza, całe ogromne, błękitne, czyste morze! A we śnie dusząca, straszna zmora tu na piersiach; zdaje mi się, że ją już czuję! ugniata żebra, dławi za gardło, ściska serce. Przestrach ogarnia. Chciałoby się ją otrząść, powstać, uciekać... Wreszcie sny się skończą. Na Księżycu, śród niezmiernej płaszczyzny *Mare Imbrium* będą cztery trupy w zamkniętym wozie.

Nie! albo nie tak! W chwili kiedy nam braknie świeżego powietrza, otworzymy drzwi wozu — na oścież. Jedna sekunda i będziemy się znajdowali w próżni. Krew tryśnie ustami, uszami, oczyma, nosem; kilka kurczowych, rozpaczliwych ruchów klatką piersiową, kilka wściekłych uderzeń serca i — koniec.

Po co ja piszę to wszystko? — po co ja piszę w ogóle? Przecież to nie ma sensu ani celu. Za trzysta godzin umrę.

W godzinę później

Powracam do pisania. Muszę się czymś zająć, bo ta myśl o nieuchronnej śmierci jest okropna. Chodzimy po wozie i uśmiechamy się do siebie bezmyślnie albo rozmawiamy o rzeczach całkiem obojętnych. Przed chwilą Varadol opowiadał, jak w Portugalii przyrządzają pewien sos z wątróbek kurcząt z kaparami. Podczas tego myśleliśmy wszyscy, nie wyłączając i jego, o tym, że za dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć godzin umrzemy.

Właściwie śmierć nie jest wcale straszna — dlaczegóż się jej tak boimy? Przecież...

Ach! jakież jest marne to całe filozofowanie o śmierci! Głośniej niż wszyscy mędrcy, zalecający spokój przed zgonem, mówi tykot mego zegarka w kieszeni. Słyszę ciche, drobne, metaliczne uderzenia i wiem, że są to kroki zbliżającej się *śmierci*. Będzie tutaj, nim zajdzie słońce tego długiego dnia, który wkrótce się zacznie. Nie spóźni się ani o godzinę.

Znajdowaliśmy się właśnie byli wśród owych podkowiastych skał, zdrętwiali od mrozu, kiedy Varadol, spojrzawszy przypadkiem na wskazówkę manometru jednego ze zbiorników zgęszczonego powietrza, wydał przeraźliwy okrzyk. Podskoczyliśmy wszyscy, jakby zelektryzowani, patrząc w kierunku, który nam Piotr wskazywał drżącą ręką, niezdolny z przerażenia wymówić ni słowa.

W jednej chwili zrobiło mi się gorąco: manometr nie wykazywał wewnątrz żadnego ciśnienia. Wtedy przyszło mi na myśl, że może wobec potwornego mrozu powietrze w zbiorniku umieszczonym w ścianie uległo skropleniu. Otworzyłem kurek — zbiornik był pusty. Tak samo drugi, trzeci, czwarty i piąty. Jedynie w szóstym, ostatnim, znajdowało się powietrze.

Ogarnął nas nagle obłęd przerażenia. Nie zastanawiając się nad przyczyną zagadkowego dla nas dotychczasowego wypróżnienia zbiorników ani nad tym, co robimy, co robić należy i czy w ogóle robić co można, rzuciliśmy się wszyscy naraz do motoru, nie czując mrozu, znużenia, senności, nic — opętani tą jedną myślą: uciekać, uciekać, jak gdyby przed śmiercią można było uciec.

W kilka chwil wóz był już w ruchu. Wyjechawszy z zamkniętej wśród skał płaszczyzny, pędziliśmy całą siłą bez opamiętania na północ wśród drobnych wzgórz, rozpościerających się od pierścienia *Archimedesa*, a zalegających całą zachodnią część, graniczącego tu z *Morzem Dżdżów Bagna Zgnilizny*. Teren był nadzwyczajnie przykry i nierówny. Wóz podskakiwał, trząsł się, wznosił lub zapadał, podrzucając nas niemiłosiernie; myśmy na to nie zważali, sądząc w straszliwym paroksyzmie trwogi i rozpaczy, że się nam uda dostać na drugą stronę Księżyca, nim się skończy nasz szczupły zapas powietrza!

Co za śmieszna myśl! Powietrza starczy nam zaledwie na trzysta godzin, a od bieguna księżycowego dzieli nas w prostej linii blisko dwa tysiące kilometrów drogi, z czego połowa przypada na kraj górzysty i niedostępny!

Mróz ścinał nam krew w żyłach i oddech zapierał w piersi, ale my, nie zważając na nic, pędziliśmy bez ustanku na przełaj przez góry, srebrzące się w świetle Ziemi, przez czarne kotliny, przez piargiem zasłane pola — byle dalej i dalej. Nawet o śnie, morzącym nas do niedawna, nikt już teraz nie myślał.

W tej piekielnej jeździe, równie bezcelowej jak szalonej, powstrzymała nas dopiero nagła przeszkoda. Pędząc wprost na oślep, natrafiliśmy na szczelinę, podobną do *Szczeliny Zbawienia* pod *Eratosthenesem*, ale znacznie szerszą i głębszą bez porównania. Spostrzegliśmy ją z tak bliska, że niewiele brakowało, a bylibyśmy runęli w nią wraz z wozem.

Wóz stanął — i nagle ogarnęła nas straszliwa apatia. Energia rozpaczy, którą podnieceni gnaliśmy bez pamięci przez tyle godzin, znikła równie szybko, jak się była pojawiła, ustępując miejsca niewypowiedzianemu, obezwładniającemu przygnębieniu. Naraz stało się nam wszystko zupełnie obojętnym. Po co się męczyć i natężać, kiedy to jest bezcelowe. Musimy umrzeć.

Usiedliśmy około pieca bezczynnie i w milczeniu. Mróz dokuczał nam coraz straszliwiej, ale nie dbaliśmy już o to. Wszakże śmierć jest zawsze jednakowa, czy od mrozu, czy od uduszenia. Minęło sporo czasu. Bylibyśmy niewątpliwie umarzli, gdyby nie Woodbell, który pierwszy oprzytomniał i zaczął nas nakłaniać do poważnego zastanowienia się nad położeniem.

— Szukajmy wyjścia, sposobu ocalenia — mówił — choćbyśmy go nawet nie znaleźli, to zyskamy przynajmniej to, że zająwszy się czymś, odwrócimy na chwilę myśl od śmierci, której zmora nas gnębi.

Istotnie rada była dobra, ale byliśmy tak wyczerpani i zmrożeni, że przyjęliśmy ją całkiem obojętnie, nie odpowiadając nawet na przedstawienia Tomasza.

Pamiętam, że patrzyłem na Tomasza i widziałem, że mówił coś jeszcze, ale nie zrozumiałem z tego ani słowa. Jedyną rzeczą, która mię w owej chwili zajmowała, było: jak on też będzie po śmierci wyglądał?

Z obłędnym uporem wpatrywałem się w jego poruszające się szczęki i obdzierałem je w myśli z ciała, potem obnażałem tak samo jego czaszkę, żebra, piszczele — i patrząc na człowieka, miałem kościotrupa przed oczyma, który się zdawał mówić do mnie ze złośliwym grymasem: „Tacy będziecie wszyscy — niezadługo!".

Tomasz, widząc wreszcie, że z nami nie dojdzie do ładu, stanął sam przy motorze i za chwilę wóz posuwał się wzdłuż krawędzi szczeliny. Po upływie jakiej pół godziny dojechaliśmy do miejsca, w którym się szczelina kończyła. Varadol spostrzegł to i podrzucony nagle weń wstępującą rozpaczliwą energią, skoczył do motoru, krzycząc jak szalony:

— Możemy szczelinę okrążyć i jechać dalej na północ, ku biegunowi, tam, gdzie jest powietrze!

Śmiał się i rzucał, jak gdyby naprawdę zmysły postradał, gdy jednak chciał uchwycić za ster, Tomasz usunął go z lekka i rzekł krótko a stanowczo:

— Nie okrążymy szczeliny, ale wjedziemy w nią.

Piotr patrzył na niego chwilę osłupiałym wzrokiem, a potem nagle, dostawszy widocznie jakiegoś ataku nerwowego, rzucił się i chwycił go za gardło.

— Morderco! — ryczał — dusicielu! ty nas chcesz zabić, zatracić, a ja chcę żyć! żyć! słyszysz?! Na północ, na północ, ku biegunowi, tam jest powietrze!

Pienił się i krzyczał, a że był silniejszy od Tomasza, więc nimeśmy mogli zdążyć z pomocą, przewrócił go i przytłoczył kolanami. Skoczyłem wraz z Martą, aby szaleńca obezwładnić, i zaczęło się szamotanie, któremu towarzyszyło zajadłe szczekanie przestraszonych psów. Chwyciliśmy go wreszcie za ramiona, gdy nagle wyprężył się w naszych rękach, krzyknął i obwisł bezwładnie. Tomasz podnosił się z ziemi zmęczony i zbladły.

Wtem wóz się nachylił; uczułem gwałtowne wstrząśnienie i straciłem przytomność.

Gdy przyszedłem na powrót do zmysłów, spostrzegłem, że leżę w hamaku, a Tomasz stoi nade mną i naciera mi skronie eterem. Marta i Varadol siedzieli obok zasępieni i milczący.

Tomasz jest istotnie dzielnym człowiekiem. Podczas jego szamotania się z Piotrem wóz, pozbawiony steru, uderzył przodem o skałę. Rzucony tym wstrząśnieniem naprzód, uderzyłem głową o ścianę wozu i zemdlałem.

Tomasz i Marta wyszli z przygody bez szwanku, również Varadol, który bez przytomności leżał na podłodze, obezwładniony poprzednim atakiem. Wtedy Tomasz, spostrzegłszy, co się stało, polecił Marcie ułożyć nas na hamakach, a sam cofnął wóz, nawrócił i wjechał w głąb szczeliny. Tutaj dopiero, na samym dnie, gdzie, jak słusznie przypuszczał, jest bez porównania cieplej niż na powierzchni, zajął się trzeźwieniem nas. Piotr pierwszy się ocucił. Nie pamiętał zgoła szału, który nas tak przeraził. Wreszcie i ja odzyskałem zmysły.

Na razie nie groziła nam już śmierć z umarznięcia, gdyż w tej niezmiernie głębokiej szczelinie mróz nie jest tak wielki. Widocznie wnętrze Księżyca, podobnie jak wnętrze Ziemi, nie jest jeszcze całkiem pozbawione własnego ciepła, choć on, jako mniejszy 49 razy od Ziemi, znacznie też wcześniej musiał zastygnąć.

Tomasz przewidywał to i dlatego wjechał z wozem w szczelinę, pragnąc, abyśmy się mogli spokojnie naradzić, co począć, zabezpieczywszy się od bezpośredniego niebezpieczeństwa, które nam groziło ze strony paraliżującego naszą myśl mrozu.

Zaczęliśmy się naradzać. Przyszło nam na myśl, że może uda się za pomocą powietrznej pompy tłoczącej zgęścić na tyle otaczającą nas niesłychanie rzadką atmosferę księżycową, aby nią odświeżać powietrze w wozie. Pomysł ten błysnął nam jak gwiazda nadziei i ocalenia, toteż niezwłocznie wzięliśmy się wspólnymi siłami do jej wykonania. Jednakowoż po godzinie usilnej, wytężającej pracy przekonaliśmy się, że jest to rzecz niedająca się urzeczywistnić. Atmosfera Księżyca jest tutaj tak rzadka, że po całkowitym zasunięciu tłoka w pompie nie zgęszcza się jeszcze do tego stopnia, aby mogła przezwyciężyć ciśnienie powietrza w naszym wozie i klapę sobie otworzyć. Próbowaliśmy ją następnie zgęścić za pomocą pompy w jednym z opróżnionych zbiorników, zatkawszy poprzednio szczelnie szparę, którą nam powietrze uciekło, ale i to okazało się niemożebnym.

Zniechęceni i wyczerpani, porzuciliśmy wreszcie bezcelową robotę. Tomasz pociesza nas jeszcze, że może dalej ku północy znajdziemy nieco gęstszą atmosferę, przy której nasza pompa da się zużytkować, ale wiem, że on sam w to nie wierzy. Na całej ogromnej przestrzeni *Mare Imbrium* atmosfera będzie równie rzadka, to znaczy, prawie jej nie będzie — a nim przestrzeń tę przebędziemy, wyczerpią się nasze zapasy powietrza i wtedy przyjdzie to, co jest nieuchronne. Za dwieście dziewięćdziesiąt godzin pomrzemy.

Mimo to jak tylko zadnieje i cieplej się zrobi, wyjedziemy z tej szczeliny i podążymy dalej na północ. Nie wiedzie to wprawdzie do niczego, ale ostatecznie i stanie w miejscu do niczego nie wiedzie. A może... może... istotnie znajdziemy gdzie nieco gęstszą atmosferę...

Na tymże miejscu, 70 godzin po pn.

Odkryliśmy nareszcie przyczynę, która spowodowała stratę naszych zapasów powietrza. Zbiorniki zostały uszkodzone podczas zsuwania wozu ze stoków *Eratosthenesa*. Jakiś ostry głaz, znajdujący się na drodze, po której wóz się ślizgał, zarysował je głęboko, a wewnętrzne ciśnienie gazu dokonało reszty. Szczeliny są widoczne. Dwie rzeczy mnie tylko zadziwiają w tym wszystkim: naprzód, że parcie zgęszczonego powietrza nie rozsadziło uszkodzonych miedzianych zbiorników, następnie, że nie spostrzegliśmy wcześniej straty. Łamię sobie nad tymi zagadkami głowę, jak gdyby ich rozwiązanie mogło w czymkolwiek zmienić nasze położenie.

Nie umiem o niczym innym myśleć, tylko ciągle i ciągle stoi mi przed oczyma to widmo śmierci. A to najstraszniejsze, że wiedząc, iż umrzemy, czujemy się najzupełniej zdrowymi. To zwiększa grozę tego czegoś okropnego, co ma na nas spaść. Tomasz jest najspokojniejszy z nas wszystkich, ale widzę, zwłaszcza z jego zachowania się wobec Marty, że i on bez ustanku myśli o tym, co ma nastąpić. Przesuwa jakimś delikatnym, wprost kobiecym ruchem dłoń po jej włosach i patrzy na nią tak, jakby chciał prosić przebaczenia. A ona całuje jego rękę, mówiąc mu tą pieszczotą i oczyma: „Nie martw się, Tom, wszystko jest dobrze, wszak umrzemy razem...".

Dla nich jest to może istotnie pewną pociechą, że umrą razem, ale dla mnie, przyznam się, ta wspólność losu w niczym nie zmniejsza jego okropności. Znajduję się w stanie takiego wzburzenia wszystkich władz umysłowych, że refleksje nie wywierają na mnie zgoła wpływu. Trzeźwo myślę o wszystkim, ze wszystkiego jasno zdaję sobie sprawę, powta-

rzam sobie w duszy setki razy, że umieram wraz z tymi ludźmi jako dobrowolna ofiara tej wszechpotężnej żądzy poznania, która nas oderwała od Ziemi i rzuciła na ten glob niegościnny — wmawiam w siebie, że powinienem się zgodzić z losem i zachować spokój wobec tej nieuchronnej konieczności, a mimo te wszystkie piękne refleksje czuję wciąż jedno: strach, bezbrzeżny, rozpaczliwy strach! Takie to jest nieubłagane i tak powoli się zbliża...

Nie pojmuję rzeczywiście, dlaczego nie pomyślimy o szybkim rozwiązaniu tego okropnego położenia? Wszak w naszej mocy leży skrócić to życie, które teraz jest już tylko śmieszną parodią życia, a nadto zmorą i ciężarem...

W godzinę później.

Nie! Nie mogę tego zrobić! Nie wiem, co mię powstrzymuje, ale nie mogę. Może to dziecinna tęsknota za słońcem, dobrą gwiazdą dnia, które ma wzejść ponad nami niezadługo, może jakieś śmieszne, niemal zwierzęce przywiązanie do życia, choćby nie wiem jak krótkie być już miało, może resztki głupiej, nieuzasadnionej zgoła nadziei...

Wiem, że nic nas nie ocali, a tak strasznie pragnę żyć i tak się... boję...

Wszystko jedno! — niech się dzieje, co chce.

Jestem straszliwie znużony. Niechby już wreszcie przyszło to — nieuchronne! Przy każdym oddechu myślę, że mam już o jeden oddech mniej. Wszystko jedno!...

O wschodzie słońca.

Wyruszamy w drogę za godzinę. Krawędź zachodnia szczeliny błyszczy się już nad nami w słonecznym blasku. Wyjedziemy na rozległą pustynię zobaczyć jeszcze raz słońce, zobaczyć gwiazdy i Ziemię, spokojną, rozświetloną i tak cichą na tym czarnym niebie...

I pojedziemy ku północy. Po co? — nie wiem. Nikt z nas nie wie. Ale pojedziemy. Śmierć pójdzie cicho koło nas przez kamieniste pola, przez góry i doliny, a gdy wskazówka manometru przy ostatnim zbiorniku powietrza dojdzie do punktu zerowego, śmierć wejdzie do wozu.

Nie mówimy do siebie; nie mamy o czym mówić. Staramy się tylko zajmować czymkolwiek, więcej może z fałszywego wstydu przed drugimi niż dla własnej rozrywki. Bo jakaż robota może zająć człowieka, który wie, że wszystko, co robi, jest bezcelowe?

A zatem pójdźmy naprzeciw swego losu!

Druga doba księżycowa, 14 godzin po południu. Na *Mare Imbrium*, 8°54' zach. dł., 32°16' pn. szer. księż., między kraterami c–d.

Jesteśmy ocaleni! — a ocalenie przyszło tak nagle, tak niespodziewanie i w tak dziwny, a... straszny sposób, że do tej chwili nie mogę ochłonąć, choć to już dwanaście godzin mija od czasu, jak śmierć, towarzysząca nam przez dwa ziemskie tygodnie, odwróciła się od nas i odeszła.

Odeszła, ale nie bez łupu... Śmierć nigdy bez łupu nie odchodzi. Jeśli z litości albo z musu pozwoli żyć tym, których już miała w swoich szponach, to bierze sobie za nich okup dowolny, gdzie go znajdzie, bez wyboru...

O wschodzie słońca puściliśmy się w drogę, mocą przyzwyczajenia raczej niż z jakiej wyrozumowanej potrzeby. Byliśmy pewni, że nie dożyjemy wieczora tego długiego dnia. Jechaliśmy w milczeniu, z tą zmorą śmierci, siedzącej pośród nas i czekającej spokojnie chwili, kiedy nas będzie mogła wziąć w swe zimne, duszące objęcia. Czuliśmy jej obecność tak żywo, jak gdyby była jakąś uchwytną, dostrzegalną istotą, i oglądaliśmy się ze zdziwieniem, że jej nie widzimy.

W tej chwili jest to wszystko już tylko wspomnieniem, ale wówczas było rzeczywistością straszliwą nad wszelki wyraz. Nie mogę nawet zrozumieć, jak zdołaliśmy przeżyć w takiej ohydnej, niezaradnej trwodze, z tym nieubłagalnym widmem na oczach trzysta kilkadziesiąt godzin! Nie przesadzę, gdy powiem, żeśmy każdej godziny umierali myśląc, że nieuchronnie musimy umrzeć. Bo ocalenia — zwłaszcza takiego — nikt się z nas nie spodziewał.

Teraz wydaje mi się to snem okropnym i muszę wszystkie zmysły przywołać ku pomocy, aby uwierzyć, że to rzeczywiście na jawie się działo.

Nie pamiętam już dokładnie drogi, którąśmy przebywali.

Godzina wlokła się za godziną, wóz posuwał się wciąż szybko ku północy, a my patrzyliśmy jakby we śnie na mijane krajobrazy. Teraz czuję, że wszystkie wrażenia zlały się

u mnie w jedno z tym wrażeniem nieubłaganej śmierci. Nie mogę teraz owego chaosu odmotać. Wszystko, co pamiętam z tej drogi, było straszne. Początkowo posuwaliśmy się granicą między *Palus Putredinis* a *Mare Imbrium*, mając po prawej stronie okolicę górzystą i dziką. Na lewo, ku zachodowi, rozciągała się równina przechodząca w dali w niewysokie, faliste wzgórza ciągnące się równolegle do kierunku naszej jazdy. Poza tymi wzgórzami jaśniały odległe szczyty *Timocharisa* oświetlone prosto na nie padającymi promieniami słońca.

Pozostała mi w pamięci groza i dziwnie łączące się z nią niesłychane bogactwo barw tego krajobrazu. Najwyższe iglice krateru były białe, ale od nich spadały ku dołowi smugi i koła grające wszystkimi kolorami tęczy. Nie wiem, czemu to przypisać; czyżby *Timocharis*, pierścień górski wielkości *Eratosthenesa*, był istotnie niegdyś czynnym, a teraz wygasłym olbrzymim kraterem? Byłyżby te barwy smugami osiadających na kraterach feldszpatów, trachitów, siarki, law i popiołu? Nie umiem tej zagadki rozwiązać, a wtedy nie zastanawiałem się nawet nad nią. Miałem tylko wrażenie czegoś nieprawdopodobnego, czegoś, co mi przywodziło na myśl baśnie o krajach czarodziejskich i górach zbudowanych z drogich kamieni. Wpatrzony w te roziskrzone od słońca szczyty, podobne do stosu topazów, rubinów, ametystu i diamentów, odczuwałem równocześnie mrozem przejmującą ich martwotę. Było coś nielitościwie srogiego i nieubłaganego w tym ostrym lśnieniu barwnych głazów, lśnieniu nieprzyćmionym i niezłagodzonym niczym, nawet powietrzem... Jakiś.... przepych śmierci bił od tych gór.

W kilkanaście godzin po wschodzie słońca, mając wciąż szczyty *Timocharisa* na widoku, wjechaliśmy w cień niewysokiego krateru *Beer*. Minąwszy go, przesunęliśmy się wzdłuż podnóża jeszcze niższego odeń, a tuż obok położonego krateru *Feuillée* i wjechaliśmy na niezmierną, okiem nieprzejrzaną równinę, ciągnącą się sześćset kilometrów przed nami, aż do północnego krańca *Mare Imbrium*. Zwróceni ku północy mieliśmy szczyty *Timocharisa* już nieco poza sobą; ku północnemu wschodowi za to ukazał się nam na skraju widnokręgu odległy, w cieniu pogrążony wał pierścienia *Archimedesa*.

Doznałem nagle wrażenia, że mijamy olbrzymią bramę, szeroko rozwartą ku równinie śmierci. Bezbrzeżny, dławiący strach opętał mnie znowu. Odruchowo chciałem zatrzymać wóz, skręcić gdzie wśród ginące za nami skały, byle tylko nie wjeżdżać na tę rozległą płaszczyznę, której — wiedziałem — nie przebędziemy żywi.

Zdaje się, że nie tylko we mnie powstało to uczucie; tamci troje patrzyli również zasępionym wzrokiem na otwartą przed nami kamienistą pustynię.

Woodbell, ponury, z głową opuszczoną na piersi i zaciśniętymi ustami zdawał się długo mierzyć oczyma przestrzeń równiny, której krańców nie było widno[19], a potem z wolna przeniósł wzrok na wskazówkę manometru, przytwierdzonego do ostatniego zbiornika ze zgęszczonym powietrzem. Mimo woli spojrzałem za jego przykładem. Wskazówka w niewielkim mosiężnym bębnie opadała ciągle, powoli, ale bez ustanku.

Wtedy nagle błysnęła mi straszna, potworna myśl; powietrza nie wystarczy dla *czworga*, ale dla *jednego* może by wystarczyło. Jeden z tym zapasem mógłby dotrzeć aż do takich okolic, gdzie atmosfera Księżyca będzie dość gęsta, aby się nadała choćby przy użyciu pompy do oddychania.

Przeląkłem się tej ohydnej myśli i zaledwie się pojawiła, chciałem ją odegnać, ale ona była silniejsza od mojej woli i powracała ciągle. Nie mogłem oczu oderwać od wskazówki manometru, a w uszach dźwięczało mi ciągle: dla czworga nie wystarczy, ale dla jednego...

Spojrzałem wreszcie na towarzyszy ukradkiem, jak złodziej, i — rzecz okropna — w oczach ich rozpłomienionych, niespokojnych wyczytałem myśl tę samą. Zrozumieliśmy się wzajemnie. Przez chwilę panowało wśród nas przygnębiające, podłe milczenie.

Wreszcie Tomasz potarł ręką czoło i odezwał się:

— Jeśli mamy to zrobić, to trzeba robić prędko, nim się zapas uszczupli...

Wiedzieliśmy, o czym mówił; Varadol skinął głową w milczeniu; ja uczułem żrący rumieniec na twarzy, ale nie zaprzeczyłem.

— Czy będziemy ciągnęli losy? — zapytał znów Tomasz, zmuszając się widocznie do wykrztuszenia tych słów. — Ale... — tu głos mu zadrgał i załamał się, przybierając jakiś

[19] *nie było widno* — dziś: nie było widać.

miękki, błagalny ton — ale... chciałbym... was prosić, aby... Marta została przy życiu... także...

Zapanowało znowu głuche, przygnębiające milczenie. Wreszcie Piotr wybąknął:

— Dla dwojga nie wystarczy...

Tomasz odrzucił głowę jakimś dumnym ruchem:

— A zatem dobrze, niech się stanie! Tak lepiej.

To mówiąc, wziął cztery zapałki, jednej z nich odłamał główkę, a ukrywszy je w dłoni, tak że tylko końce było widać, wyciągnął ku nam rękę.

Podczas całej tej rozmowy Marta stała na uboczu i nic nie słyszała. Przystąpiła do nas właśnie w chwili, gdyśmy wyciągali palce po owe losy, i zapytała znienacka głosem zupełnie spokojnym:

— Co robicie?

A potem do Tomasza:

— Pokaż, co masz w ręce...

I wyjęła mu z dłoni te zapałki, które miały być wyrokiem śmierci dla trojga z nas, aby czwarte mogło żyć.

Stało się to wszystko tak szybko i niespodziewanie, że nie mieliśmy jej czasu przeszkodzić. Rumieniec wstydu oblał nas aż po białka oczu; zrozumieliśmy, że ta dziewczyna zaszła nas na spełnianiu wstrętnej zbrodni egoizmu, podłości i tchórzostwa. Spojrzeliśmy po sobie i nagle rzuciliśmy się sobie w objęcia, wybuchając spazmatycznym, długo tłumionym płaczem.

O ciągnieniu losów nie było już mowy. Przez reakcję, która jest zasadniczym prawem duszy ludzkiej, wzajemna zawiść, wywołana bliskością i nieuchronnością śmierci wiszącej nad nami, zamieniła się teraz w uczucie jakiegoś ciepła i serdecznego wylania. Zeszło na nas dziwne, bezbrzeżne ukojenie. Usiedliśmy blisko obok siebie — Marta przytuliła się zwinnym, gibkim ciałem do piersi Tomasza — i zaczęliśmy rozmawiać serdecznie, przyciszonym głosem o mnóstwie drobiazgów, które nas niegdyś na Ziemi obchodziły. Każde wspomnienie, każdy szczegół nabierały dla nas teraz wielkiego znaczenia — czuliśmy, że ta rozmowa to pożegnanie życia.

A wóz tymczasem pędził bez ustanku na północ przez niezmierzoną, śmiertelną równinę.

Mijały godziny i doby ziemskie; wskazówka manometru opadała ciągle, ale my byliśmy już spokojni, zgodziwszy się z losem. Rozmawialiśmy, jedli, nawet spali, jak gdyby nic nie było zaszło. Czułem tylko dziwny, przykry ucisk w okolicy serca i gardła, jak człowiek, który poniósłszy wielką stratę, stara się o niej zapomnieć, a nie może.

Około południa znajdowaliśmy się już między 31 a 32 równoleżnikiem. Upał, chociaż bardzo znaczny, nie dokuczał nam już w tym stopniu, jak dnia poprzedniego, gdyż pod tą szerokością księżycową słońce wznosi się tylko na sześćdziesiąt stopni niespełna ponad horyzont. Ziemia, zawieszona od południa na niebie w tej samej wysokości, była w nowiu, kiedy bezpromienna tarcza słońca, dotknąwszy płomiennej obrączki jej atmosfery, poczęła z wolna poza nią zachodzić.

Mieliśmy mieć zaćmienie słońca, trwające tu około dwóch godzin, a przedstawiające się mieszkańcom Ziemi jako zaćmienie Księżyca.

Świetlna obrączka atmosfery ziemskiej stała się, z chwilą gdy ją słońce dotknęło, podobną do wieńca z krwawej błyskawicy, otaczającej ogromną czarną plamę, jedyną na niebie, na której nie świeciły gwiazdy. Blisko godziny potrzebowała tarcza słoneczna, aby zajść poza ten czarny wśród płomienia krąg. Przez ten czas wieniec zażegał się coraz krwawiej i szerzej. Z chwilą gdy słońce znikło, światło było już tak silne, że widno[20] przy nim było zarysy krajobrazu majaczące w pomarańczowym obrzasku. Czarna plama Ziemi wyglądała teraz jak zionący otwór jakiejś potwornej studni wydrążonej w gwiaździstym niebie; naokoło niej wiła się wąska, krwawopłomienna obwódka, przechodząca dalej stopniowo w światło czerwone, pomarańczowe i żółte, szeroko w krąg rozpostarte, a ginące wreszcie na czarnym tle słabą, białawą poświatą. A zza tego płomiennego wieńca wystrzelały na wschód i zachód dwa snopy promieni, dwie fontanny złocistego

[20]*widno (...) było* — dziś w : widać było.

pyłu świetlnego: było to światło zodiakalne, widoczne podczas zaćmienia, podobnie jak po zachodzie słońca.

Oświetlenie na Księżycu stało się tymczasem z pomarańczowego czerwonym; wyglądało to tak, jakby kto wylał krew na mroczną przed nami pustynię.

Musieliśmy się zatrzymać, gdyż w tym krwawym i słabym świetle niepodobna byto rozpoznać drogi. Razem z cieniem spadł na nas po zniknięciu słońca i chłód dotkliwy. Otuliwszy się tedy, zbiliśmy się razem w kupkę, czekając, rychło słońce się znów ukaże. Nad nami palił się wciąż w niesłychanym przepychu świetlny, rogaty wieniec różnobarwnych płomieni — gdy wtem psy zaczęły wyć, naprzód z cicha, później coraz głośniej i rozpaczliwiej. Wycie to przejęło nas lodowatym dreszczem: przypomniała nam się noc przed zgonem O'Tamora, kiedy Selena tak samo wyła, witając śmierć wchodzącą do naszego wozu. I nagle wobec tych wspaniałości na stropie niebieskim uczuliśmy tak żywo całą bezbrzeżną, straszną nędzę naszego położenia; zdało się nam, że te ognie i blaski rozpaliły się jakby na szyderstwo ponad głowami umierających, na których słońce już nie chciało patrzyć...

W zbiorniku mieliśmy powietrza już tylko na jakie dwadzieścia godzin.

Po upływie dwóch godzin rąbek słońca począł się wyłaniać na zachodniej stronie czarnej tarczy ziemskiej, a świetlna aureola zwężała się już i gasła powoli. Na widok słońca doznałem naprzód uczucia niespodziewanego zdziwienia — przywykłem już tak do tej krwawej nocy, tak mi już się zdawało, że jest zwiastunką nocy głębszej, wieczystej, która nas ogarnie pod nieobecność słońca, iż świtający dzień był dla mnie czymś niepojętym. A potem naraz — nie wiem skąd — wstąpiła we mnie otucha, jakby z pojawieniem się słońca cud jaki miał nas uratować.

— Będziemy żyć! — zawołałem tak nagle i z takim przekonaniem, że oczy wszystkich zwróciły się na mnie z wyrazem pytania i nadziei.

Wtem stała się rzecz zadziwiająca. Z paki, w której był zamknięty bezużyteczny teraz aparat telegraficzny, doleciało nas kołatanie. Z początku nie wierzyliśmy własnym uszom, ale kołatanie słychać było coraz wyraźniej. Rzuciliśmy się ku pace: po jej otwarciu okazało się, że aparat stuka istotnie, jak gdyby odbierał przesyłaną skądś depeszę. Nadaremnie jednak staraliśmy się treść depeszy wyrozumieć. Coś się było popsuło czy pomieszało, zaledwie mogliśmy złowić kilka oderwanych słów:

„Księżyc... za godzinę... od środka tarczy... pod kątem... niech... Francja... tamci... a jeżeli... śmierć..."

Ogarnęło nas bezbrzeżne zdumienie. Varadol poskoczył do aparatu i zatelegrafował:

— Kto się odzywa?

Czekaliśmy chwilę — żadnej odpowiedzi. Piotr powtórzył pytanie po raz drugi i trzeci, ale bez skutku. Aparat zamilkł i stukanie już się nie ponowiło.

Minęło pół godziny najzupełniejszej ciszy i zaczęliśmy już przypuszczać, że cała ta sprawa była jakimś niepojętym złudzeniem.

Słońce wyszło było właśnie spoza Ziemi i stało na niebie obok niej. Upał wzmagał się znowu.

Wtem mignęło coś i błysnęło przed nami w promieniach słońca, a równocześnie grunt pod nogami zatrząsł się jak mur uderzony kulą armatnią. Krzyknęliśmy z przestrachu i podziwu. Rzuciwszy się ku oknu, spostrzegliśmy masę jakąś o metalicznym połysku, która odbiwszy się od powierzchni Księżyca, zatoczyła w naszych oczach ogromny łuk w przestrzeni i uderzyła znów dalej, i znowu się odbiła po raz drugi, trzeci, czwarty, sadząc w potwornych kozłach ku północnemu zachodowi.

Milczeliśmy zdumieni, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego zjawiska, aż nagle Piotr zakrzyknął:

— Bracia Remognerzy przybywają!

Teraz rozjaśniło nam się wszystko! Wszak to upłynęło właśnie sześć ziemskich tygodni od czasu, gdyśmy około północy spadli na Księżyc — to jest termin, w którym miała podążyć za nami druga wyprawa. Aparat nasz telegraficzny kołatał pod wpływem depeszy, przesyłanej widocznie z bliskości Księżyca przez braci Remognerów na Ziemię. Mógł już i przedtem słabiej się odzywać, tylko kołatanie wewnątrz paki, gdzie był zamknięty, uszło naszej uwagi. Również bracia Remognerzy nie zauważyli widocznie naszej depeszy, zajęci w ostatniej chwili przygotowaniem do spadku.

Wszystkie te uwagi przebiegły mi błyskawicą przez myśl, gdyśmy w największym pośpiechu puszczali w ruch motor poruszający nasz wóz. W parę chwil później pędziliśmy już całą siłą w kierunku, gdzie pocisk znikł sprzed naszych oczu, opętani jedną, potężniejszą w tej chwili nad wszystko inne myślą: „Bracia Remognerzy mają ze sobą powietrze!".

W niespełna pół godziny dojechaliśmy do miejsca, gdzie pocisk upadł nareszcie po kilkakrotnym odbiciu. Straszliwy widok przedstawił się naszym oczom: wśród rozrzuconych szczątków strzaskanego pocisku leżały dwa pokrwawione i zmiażdżone trupy.

Przywdzialiśmy co prędzej powietrzochrony i wypełniwszy je resztą naszego zapasu, wyszliśmy z wozu, drżąc ze wzruszenia, wywołanego (po cóż to ukrywać!) nie tyle straszliwym zgonem przyjaciół, jak raczej obawą, czy ich zbiorniki powietrza nie ucierpiały podczas katastrofy.

Dwa pękły istotnie i leżały próżne wśród pogruchotanych płyt metalowych, ale cztery inne zostały nienaruszone.

Byliśmy ocaleni!

Na chwilę ogarnął nas istny szał radości, tak mało licujący z tym, co się dokoła nas znajdowało. Ale wszak myśmy przez trzysta pięćdziesiąt godzin umierali, a dowiedzieliśmy się teraz, że będziemy żyć!

Upewniwszy się co do swego losu, mogliśmy dopiero zastanowić się nad losem, który spotkał braci Remognerów. Ostatecznie ta sama okoliczność, która nas ocaliła, stała się przyczyną ich śmierci. Czysty przypadek, wprowadzający jakąś niedokładność w obliczenie, kazał im spaść tuż przed nami zamiast na środek księżycowej tarczy, oddalony od nas w tej chwili blisko o tysiąc kilometrów. Ten przypadek zaopatrzył nas w zapasy powietrza, ale ich zabił. Spadając bowiem w tej okolicy, upadli nie prostopadle na księżycową powierzchnię, lecz pod kątem; pocisk tedy uderzył o twardy grunt bokiem, gdzie nie był zabezpieczony rusztowaniem ochronnym, i odbijając się parę razy, musiał się wreszcie roztrzaskać. Mróz nas przeszedł, gdyśmy pomyśleli, że to samo mogło się było stać z nami...

Pogrzebawszy starannie trupy wśród kamieni, zajęliśmy się spadkiem po nich. Wybraliśmy spomiędzy szczątków wszystko, co nam się mogło przydać, więc przede wszystkim przenieśliśmy do naszego wozu owe tak cenne zbiorniki ze zgęszczonym powietrzem, następnie żywność, zapasy wody i niektóre mniej uszkodzone narzędzia. Z drżeniem serca szukaliśmy ich aparatu telegraficznego w nadziei, że może będzie dość silny, aby się znieść za jego pomocą z mieszkańcami Ziemi. Ta nadzieja atoli okazała się płonną; aparat podczas rozbicia uległ zniszczeniu. Ten sam los spotkał większość astronomicznych instrumentów. Motor wozu zabraliśmy, choć mocno jest uszkodzony.

Co za szczęście dla nas, że przynajmniej miedziane zbiorniki powietrza przetrwały bez szkody tę okropną katastrofę!

Po zabraniu dobytku nieszczęśliwych braci Remognerów puściliśmy się niezwłocznie w dalszą drogę ku północy, gdyż upał, przerwany chłodem podczas zaćmienia słońca, wzrastał znów szybko i należało znaleźć jakąś wyniosłość, która by nam mogła użyczyć cienia.

Zatrzymaliśmy się dopiero tutaj, między niewielkimi kraterami *c–d*.

Stożki te, bystre, stykające się niemal podstawami, są niewątpliwie wulkanicznego pochodzenia. Cała okolica, pokryta siarką, żółci się w oślepiającym blasku słonecznym. Głębokie żleby, którymi zbocza kraterów pokryte są od wierzchu aż do podstawy, dają nam doskonałe schronienie przed piekącym upałem.

Jesteśmy ocaleni, a jednak przygnębienie nie opuszcza nas ani na chwilę. Mimo woli mam na oczach[21] okropne, pokaleczone trupy Remognerów; nie jesteśmy w niczym winni ich śmierci, a przecież czuję jakby wyrzut: wszak ich śmierć nas ocaliła...

Zmęczony jestem tymi wszystkimi przejściami, zmęczony długim pisaniem. Trzeba się położyć i wypocząć nieco przed dalszą podróżą. Trudy bowiem, a zapewne i niebezpieczeństwa jeszcze się dla nas nie skończyły.

Spojrzałem w tej chwili na Selenę, igrającą ze szczeniętami, które ogromnie wyrosły w ciągu tych paru tygodni... Dziwna rzecz, gdy nam groziła śmierć z braku powietrza,

[21] *mam na oczach (...)* — dziś popr.: mieć przed oczami (jakiś obraz).

byliśmy przez pewien czas gotowi poświęcić życie trojga z nas dla uratowania czwartego, a nikomu nie przyszło na myśl, że można było zabić psy, które przecież także zużywały wiele powietrza, i przedłużyć w ten sposób czas, jaki — sądziliśmy — pozostawał nam do życia! Jakaż by to była okropna rzecz, gdybyśmy tak byli istotnie kogo z nas poświęcili, oszczędzając psy li tylko przez zapomnienie!

Ostatecznie niebezpieczeństwo minęło na razie i lepiej, że psy żyją. Przez swą zwierzęcą prostotę przypominają nam one więcej Ziemię, niż my sobie możemy przypominać nawzajem swymi osobami. Z rozczuleniem patrzę na te zwierzęta... Jesteśmy tak samotni i tak strasznie od Ziemi oderwani. Dwóch ludzi wysłała za nami, ale my zobaczyliśmy już tylko ich trupy. Mieliśmy nadzieję, że z przybyciem braci Remognerów zyskamy towarzyszów, a zarazem sposób porozumiewania się z Ziemią, tymczasem ocalili nam oni życie, ale skazani jesteśmy za to na wieczyste osamotnienie.

Na *Mare Imbrium*, 9° zach. dł., 37° pn. szer. księż., druga doba. 152 godziny po południu.

Od stu blisko godzin, to znaczy prawie cztery doby ziemskie, wleczemy się przez równinę, która zdaje się nie mieć końca! Jak okiem zasięgnąć — nie widać nic, żadnej wyniosłości, żadnego szczytu, na którym by się wzrok mógł zatrzymać. Straszliwa jednostajność krajobrazu przytłacza nas i nuży. Odbywałem raz na Ziemi podróż przez Saharę, ale zaiste Sahara wydaje mi się pięknym, urozmaiconym krajem wobec tej pustaci, która nas otacza! Na Saharze spotyka się ciągle jakieś łańcuchy skał, jakieś faliste piaskowe wzniesienia, poza którymi ukazują się często zielone wierzchołki palm rosnących na rozkosznych oazach; ponad Saharą jest błękitne niebo, które w krótkich odstępach czasu osrebrza się świtem, rozjaśnia w blasku południa, zorzą rumieni lub zaciąga gwiaździstą nocy oponą; po Saharze wichry się przechadzają i mącąc to piaszczyste morze, świadczą ruchem o życiu; tutaj nie ma nic z tego wszystkiego. Kamienne podłoże, poorane w niegłębokie bruzdy, zwietrzałe na powierzchni od słonecznego żaru, jednostajne, straszne, jak to niebo nad nami, niezmieniające się prawie w przeciągu trzystu kilkudziesięciu godzin! Wiatr, błękit, zieloność, woda, życie — wszystko to wydaje nam się jakąś miłą, przepiękną, ale nieprawdopodobną bajką, słyszaną czy przeżytą kiedyś w młodości, dawno, bardzo już dawno... Według ziemskiej rachuby czasu jesteśmy na Księżycu dopiero niespełna dwa miesiące, ale nam zdaje się, że to już wiek upłynął od chwili, kiedyśmy opuścili Ziemię. Przyzwyczajamy się z wolna do nowych warunków życia; już nas nie dziwi to, co nas otacza, dziwią nas raczej wspomnienia mówiące nam, że tam, na tej jasnej kuli, zawieszonej nad nami w odległości setek tysięcy kilometrów wśród gwiazd na czarnym niebie, jest kraj, gdzieśmy się wychowali, taki odmienny od tego, a tak rozkoszny, tak niesłychanie rozkoszny!...

O! ludzie nie umieją cenić piękności Ziemi! — Gdyby się dostali tutaj, gdzie my jesteśmy, kochaliby ją tak, jak my ją teraz, straconą na wieki, kochamy, i tak jak my śniliby o niej w snach gorączkowych, niespokojnych, pełnych upartej a bolesnej tęsknoty... Ach! jakże te sny są nużące! Budzę się po kilku godzinach i widzę, że słońce stoi na niebie prawie w tym samym miejscu, gdzie stało, nim zasnąłem, a wóz nasz mimo nieustannego ruchu wciąż na tej samej jest pustyni, jednakowo od widnokręgu odległy — i zaczynam przypuszczać, że nie ma czasu ani przestrzeni, lecz tylko bezmiar a wieczność!

Dla rozrywki i aby w tej pustce nie oszaleć, opowiadamy sobie rozliczne a długie, czasem dziecinne historie albo czytamy zabrane ze Ziemi książki. Mamy trochę dzieł przyrodniczych, obszerną historię cywilizacji, kilku najznakomitszych poetów i Biblię. Biblię zwłaszcza czytujemy często. Zazwyczaj Woodbell rozkłada księgę i dźwięcznym, wyraźnym głosem odczytuje rozdziały z *Genesis*[22] lub Ewangelie...

My słuchamy, jak Bóg stworzył Ziemię dla człowieka, aby po niej chodził, i Księżyc, aby Ziemia miała swe światło nocne, jak kazał nocy następować po dniu, jak wygnał Adama z kwitnącego raju w kraj pusty i nieurodzajny; słuchamy, jak Zbawiciel zeszedł na świat, aby odkupić ludzkie plemię, jak chodził z wierną rzeszą po wonnych łąkach i zielonych wzgórzach Galilei, jak cierpiał i umarł; słuchamy tego wszystkiego, patrząc na Ziemię podobną do srebrnego sierpa na czarnym nieba aksamicie, jadąc przez puste,

[22] *Genesis* — Księga Rodzaju.

straszliwe obszary pod słońcem, które wlokąc się leniwie, zapomina nam znaczyć dni i godziny...

Marta tonie całą duszą w tych opowieściach, a gdy Tomasz skończy czytanie, zadaje mu różne, nieraz dziwne pytania... Wszystko odnosi do naszego obecnego położenia... Niedawno powiedziała do Tomasza: „My jesteśmy tu oboje jak Adam i Ewa". — Istotnie, oni tutaj są pierwszą parą ludzi, wygnaną z Ziemi na pustynię, jak ongi tamci byli z raju wygnani — ale my z Piotrem, czymże my jesteśmy? Jest coś nieludzkiego w naszym obecnym istnieniu: Tomasz i Marta mają sami w sobie rację swego bytu, lecz my — po co my żyjemy?

Przypomina mi się, cośmy mówili na Ziemi, wybierając się w tę nadniebną drogę: udajemy się tam dla *poznania*! Teraz widzę, że poznanie samo nie zadowala człowieka, jeśli nie ma sposobu utrwalić go i innym przekazać. Widzimy takie cuda, jakich jeszcze od stworzenia świata żaden człowiek nie widział, i spostrzegamy sami ze zdziwieniem, że jest nam to dość obojętne, gdyż nie mamy komu opowiedzieć tego, co widzimy! Z tego też powodu — mimo woli — nie badamy wielu rzeczy, które byśmy badać mogli i powinni... Ach! gdybyśmy mieli środek porozumiewania się z Ziemią! Bez tego życie nasze jest bezcelowe. Szczęśliwy Tomasz i Marta szczęśliwa! — oni żyją dla siebie!

Kobieta, Miłość, Samotnik, Wiedza, Mężczyzna

Pali mnie jakaś straszna gorączka, gdy na nich patrzę, gdy myślę o nich. Żyjąc na Ziemi przez trzydzieści sześć lat, należałem do tych — przyznaję dziś — szaleńców, dla których istnieje jedna tylko miłość: wiedzy, i jedna tęsknota: za prawdą. Teraz zaczynam tęsknić za tą wielką tajemnicą wieczystego życia, którą ma w sobie kobieta, i za tym świętym obłędem, w którym się owa tajemnica objawia — za miłością...

Cha! Cha! — jakże śmiesznie wygląda to zdanie tu napisane! Jestem sam i sam będę aż do śmierci, co wpadnie na mnie i zdławi mnie wraz z tą niewyzyskaną potęgą stwarzania życia, wraz z tą wiedzą bezużyteczną, jak źródło bijące wśród skał niedostępnych i nieurodzajnych...

Marta... Nie wiem, czemu to imię napisałem. Cóż mnie obchodzi ta półdzika Malabarka, piękna jak młode zwinne zwierzę, którą na ten świat setki tysięcy kilometrów od Ziemi odległy zagnała nie najszczytniejsza żądza docieczenia tajemnic, lecz zwykła, głupia miłość do mężczyzny? — Tak, nic mnie nie obchodzi, a jednak myślę o niej bez ustanku, uparcie, aż boleśnie. Jest nas tu trzech mężczyzn, silnych, mądrych — a jednak nie myśmy na ten świat człowieka przenieśli, lecz ona, ta głupia, wątła kobieta. Z nas ten tylko ma wartość, którego ona wybrała...

My dwaj jesteśmy niczym i w istocie służymy tylko tamtym dwojgu swym mózgiem, tak jak zwierzęta robocze mięśniami.

Właściwie to jest niesprawiedliwość. Dlaczego on, dlaczego tylko on, dlaczego właśnie on?...

Marta mówiła na Ziemi, prosząc nas, by ją wziąć na Księżyc: „Będę waszą niewolnicą". A w istocie my jesteśmy jej niewolnikami, chociaż ani ona nam kiedy rozkazuje, ani my nie staramy się jej służyć. Jesteśmy jej niewolnikami przez tę tak ogromnie prostą rzecz, że mimo woli służymy, choć w różny sposób, do celu, który ona jedna może urzeczywistnić: stworzyć tu nową ludzkość.

Hej! gdzie mnie myśl unosi! Zaledwie widmo śmierci zeszło z mych oczu, a już starym, ziemskim, ludzkim zwyczajem myślę o przyszłości, która się może nigdy nie spełni. Ludzkość, nowa ludzkość! a tu dokoła nas pustynia, a tu kraj bezpowietrzny, bezwodny i martwy. Księżyc jeszcze nam nic nie dał, żyjemy dotąd tą odrobiną Ziemi, którąśmy ze sobą zabrali. Nie mamy nawet zgoła danych, mogących nas utwierdzić w przypuszczeniu, że znajdziemy tutaj warunki do życia. Przebyliśmy już około kilkuset kilometrów, nie spostrzegłszy wcale zmiany w ukształtowaniu powierzchni gruntu ani w gęstości atmosfery. Powietrze tu ciągle tak rzadkie, że nie jest zdolne we dnie zaćmić gwiazd ani pomalować na błękitny kolor czarnego nieba; na skalistym podłożu nie widno nigdzie śladów, iżby tu kiedykolwiek była i działała woda.

A jednak nie tracimy nadziei. Prawie wszystkie nasze rozmowy zaczynają się pełnym ufności zwrotem: „A gdy już przybędziemy na *tamtą* stronę...". Jaka będzie *tamta* strona? Wiemy o tym również niewiele, jak w chwili, kiedyśmy się z Ziemi w tę podróż puszczali, to znaczy: nic zgoła nie wiemy.

Pod *Trzema Głowami*, 7°40' zach. dł., 43°6' pn. szer. księż., przed północą drugiej doby.

Znajdujemy się u stóp góry wznoszącej się w północnej części *Mare Imbrium*, a różnej od wszystkich wyniosłości, któreśmy dotąd po drodze spotykali. Światło Ziemi, wzniesionej tutaj tylko czterdzieści kilka stopni ponad widnokrąg, pada ukośnie na skały podobne do olbrzymiej gotyckiej świątyni lub bajecznego zamku dla wielkoludów.

Blask nocny jest tu znacznie słabszy niż tam, gdzie Ziemia świeciła nad nami w zenicie; widne przy nim wszakże ogólne zarysy. Pierwsza to góra, która nie ma postaci pierścienniego krateru. Wyglądała raczej na szczątek ruin takiego pierścienia, zniszczonego jakimś straszliwym kataklizmem natury czy też powolnym działaniem wody.

Tak jest, mówimy już: *działaniem wody*, a choć to jest tylko słabe przypuszczenie, uczuwamy taki dreszcz radości, jak gdyby było prawdą... Bo jeśli tu woda była, to można się spodziewać, że tam dalej, na *tamtej stronie*, woda jest, a jeśli jest woda, to musi być i powietrze w dostatecznej dla oddychania gęstości. Mimo mrozu, który choć znacznie słabszy niż poprzedniej nocy, gnębi nas dotkliwie, wyszliśmy na chwilę z wozu i badaliśmy przy ukośnym świetle Ziemi okolicę, szukając śladów potwierdzających nasze przypuszczenie. Pewnego nic nie wiemy, ale to niewątpliwe, że inne przyczyny musiały się złożyć na utworzenie tej góry niż spotykanych dotąd obrączkowych wzniesień. Tuż przed nami piętrzy się ściana niemal prostopadła, z trzema potężnymi szczytami, niby kawał cyklopiego muru z tkwiącymi w nim basztami. Nazwaliśmy to sobie *Trzema Głowami*. Mur ciągnie się w kierunku północno-wschodnim i zwrócony jest ku nam czarną, nieoświetloną stroną. Szczyty jeno same bielą się płaszczyznami nachylonymi ku Ziemi i wyglądają jak trzy srebrne kaski na czarnych głowach. Cała góra różni się od tła nieba tylko tym, że na jej czerni nie ma gwiazd, których niebo jest pełne. Kształt jej tak poznajemy, jak się na Ziemi poznaje w nocy ciemną na ciemnym, lecz gwiaździstym błękicie chmurę.

Jesteśmy pogrążeni w absolutnej nocy, gdyż góra nam Ziemię zasłania. Drogę rozjaśniamy przed sobą elektrycznymi latarniami. Utrudnia to podróż niezmiernie. Każda wyniosłość rzuca tu już długi cień i musimy się posuwać z największą ostrożnością, aby nie uwięznąć w jakiej nierówności gruntu lub płytkiej rozpadlinie, których tu coraz więcej spotykamy. Zdaje się, że niewiele drogi zrobimy przed wschodem słońca, zwłaszcza że mróz, potęgujący się z końcem nocy, zmusi nas prawdopodobnie do zatrzymania się dłuższy czas na miejscu. Chcielibyśmy przedtem dotrzeć chociaż do szczytu *Pico*, który według mapy oddalony jest od nas około siedemdziesięciu kilometrów ku północy, gdyż wiemy już z doświadczenia, że w pobliżu gór jest znacznie cieplej niż na równinie. Tłumaczymy sobie to zjawisko wulkanicznym charakterem wielu z nich: muszą tam być gdzieś w pobliżu podziemne żyły wewnętrznego ognia.

Po krótkim postoju, wywołanym koniecznością opatrzenia motoru, puszczamy się w dalszą drogę. Muszę przerwać pisanie, gdyż niepodobna nawet myśleć o nim podczas ruchu. Wobec nierównego gruntu i licznych cieniów, jakie rzuca światło nachylonej ku widnokręgowi Ziemi, musimy ciągle mieć się wszyscy na baczności. Ze snem tak się teraz urządzamy, że aby nie wstrzymywać wozu, jedno tylko śpi, a troje czuwa. W tej chwili śpi Marta. Słyszę jej równy, spokojny oddech, widzę przy blasku przyćmionej latarni jej twarz, wyzierającą spośród stosu futer. Usta ma trochę rozchylone, jakby do uśmiechu lub pocałunku... O czym ona śni teraz?

Ach! głupstwo! Puszczamy się w drogę.

Trzecia doba, 30 godzin po północy, na *Mare Imbrium* 9°14' zach. dł., 43°58' pn. szer. księż.

Dziwne, dziwne jest to, co widzę...

Niemal o samej północy wyruszyliśmy spod *Trzech Głów*. Droga była straszliwie uciążliwa, zwłaszcza że co chwilę zapadaliśmy w cień drobnych wyniosłości gruntu. Parę razy w ciągu godziny musieliśmy się zatrzymywać i badać z pomocą światła elektrycznego teren lub też robić pomiary wysokości gwiazd, będących teraz jedynym dla nas drogowskazem. Okolica, pokrajana cieniami, podobna jest do kłębów chmur, lekko z wierzchu posrebrzonych. Niepodobna nic rozeznać oprócz ogólnych zarysów. A jednak... Może właśnie dlatego...

W przeciągu trzydziestu godzin ujechaliśmy zaledwie czterdzieści parę kilometrów. Wreszcie dotarliśmy teraz do dziwnej szarej smugi, podobnej do ławicy piasku. Ciągnie się na znacznej przestrzeni ku północnemu zachodowi lekko wygiętym łukiem, odbijając jaśniejszą barwą od ciemnego tła kamienistej pustyni. O ile mogę dojrzeć przy świetle Ziemi, kończy się u szczególnej grupy skały, podobnej z dala do fantastycznych zjawisk jakiegoś zamku czy miasta. Miasta?...

Puszczamy się wzdłuż tej smugi, gdyż stanowi dla nas drogę znacznie równiejszą od zaścielonej głazami pustyni, a nie zwodzi nas zbyt z wytkniętego kierunku. Posuwamy się dość szybko, a tymczasem owa grupa skał, widna z dala, występuje przed nami coraz wyraźniej. Teraz można już rozróżnić dokładnie poszczególne głazy, fantastycznie spiętrzone, a przypominające do złudzenia ruiny wież i gmachów.

Nie wiem, co mam myśleć o tym wszystkim. Staram się zdać sobie sprawę... Nie, nie! to jest zbyt dziwne doprawdy! Jakaś zabobonna niemal trwoga mnie ogarnia...

Czyżby to...

Trzecia doba, 36 godzin na *Mare Imbrium*

Przekleństwo! — przekleństwo! Jeżeli stracimy Tomasza... Wyniszczony był tak straszliwie pierwszą gorączką, a teraz znowu... O Boże! ratuj go, bo my już... To trupie miasto...

59 godzin po północy, na *Mare Imbrium* pod *Pico*, 9°12' zach. dł., 45°27' pn. szer. księż.

Zbieram myśli... Trzeba nareszcie zapisać.

Pamiętam, wstałem był[23] właśnie od tych kart i patrząc na niepojęte ruiny czy spiętrzone głazy, wykrzyknąłem mimo woli:

— Ale to wygląda doprawdy jak miasto!

Tomasz, który przez cały czas stał przy oknie i obserwował ze wzrastającym zajęciem widne[24] przed nami skały, odwrócił się żywo na moje słowa. Na twarzy malowało mu się wzruszenie.

— Zdaje mi się, że masz słuszność — rzekł poważnie, z lekka drżącym głosem. — To w istocie może być miasto...

— Co?!

Podskoczyliśmy wszyscy ku oknu, chwytając za lunety. Nawet Piotr odszedł od steru, zatrzymawszy wóz, aby się przypatrzyć temu dziwu. Tomasz wyciągnął rękę:

— Patrzcie — mówił — tam na prawo. Wszakże to są zwaliska bramy kamiennej. Widać oba filary, a w górze trzyma się jeszcze kawałek łuku... Albo tu, w głębi, czyż to nie jest wieża rozwalona do połowy? A tam, patrzcie, gmach jakiś obszerny, z niską kolumnadą na przodzie i dwiema ściętymi piramidami po bokach. Ręczę, że ten niby wąwóz, zasypany miejscami mnóstwem głazów, był niegdyś ulicą... Teraz to jest zwalone i martwe... Trupie miasto.

Nie umiem określić uczucia, jakie mną owładnęło.

Im dłużej patrzyłem, tym skłonniejszy byłem do uwierzenia, że Tomasz ma słuszność. W oczach mi rosły coraz nowe wieżyce, łuki i kolumny, kawałki rozsypanych murów i ulice zasłane gruzem gmachów. Światło Ziemi posrebrzało te fantastyczne ruiny; z czarnego jeziora cienie wyskakiwały tajemniczo jak zjawione[25] duchy. Przeszedł mnie dreszcz nieokreślony. Jakieś księżycowe Pompei czy Herkulanum, jeno[26] nie z piasku wygrzebane, lecz raczej w piasek się rozsypujące — straszliwe, większe, więcej trupie w tym opuszczeniu potwornym i w tym dziwnym świetle...

Varadol wzruszył ramionami i mruknął:

— Tak, to istotnie podobne do zwalisk te skały... Ale przecież tu nigdy nie było żywej istoty.

— Kto to wie — odpowiedział Tomasz. — Dzisiaj ta strona Księżyca nie ma powietrza ani wody, ale mogła je mieć niegdyś przed wiekami, przed tysiącami wieków, kiedy glob księżycowy szybciej się jeszcze obracał i Ziemia wschodziła i zachodziła na jego niebie...

— To możliwe — szepnąłem w zamyśleniu.

---

[23] *wstałem był* — forma daw. czasu zaprzeszłego.
[24] *widny* — dziś w tym znaczeniu: widoczny.
[25] *zjawiony* — dziś w tym znaczeniu: zjawiający się.
[26] *jeno* (daw.) — tylko.

— Nie spotkaliśmy nigdzie śladów erozji, a to dowodzi, że tu nigdy wody nie było; to zaś świadczy o braku powietrza, a więc i życia — odezwał się Piotr.

Woodbell uśmiechnął się i wyciągnął rękę, wskazując grunt pod naszym wozem:

— A ten piasek? a *Trzy Głowy*, któreśmy minęli niedawno? Wszak wyglądały jak szczątek góry wodą rozmytej. Nie można twierdzić, że tu wody nigdy nie było. Może tylko odwieczne działanie mrozu i żaru słońca zatarło i zniweczyło to, co ona zbudowała...

Przez chwilę panowało wśród nas głuche milczenie, potem Woodbell rzekł nagle:

— Zdaje mi się, że mamy przed sobą najciekawszą zagadkę, jakąśmy mogli spotkać na Księżycu. Trzeba ją rozwiązać.

— Jak to rozumiesz? — spytałem.

— Ano, podjedziemy ku tym gruzom i zwiedzimy je...

Nie wiem dlaczego, mróz mnie przeszedł po kościach; nie był to strach, ale coś, co było do niego bardzo podobne. Te zwaliska — gmachów czy też skał — wyglądały jak białe trupy na niezmierzonej pustyni.

Piotr znowu ramionami ruszył z niechęcią:

— Dziwne fantazje! szkoda czasu na oglądanie skał, które przy świetle Ziemi mają istotnie trochę podobieństwa do gmachów, ale nic ponadto.

Mimo to zwróciliśmy wóz ku ruinom. Marta patrzyła w nie z natężeniem i widocznym niepokojem zarazem.

— A jeśli to jest miasto umarłych, przez zmarłych zbudowane — szepnęła, gdy już zaledwie dwa kilometry dzieliły nas od arkady stanowiącej wejście do tego dziwnego miejsca.

— Miasto umarłych... zapewne — rzekł, uśmiechając się Tomasz — ale wierz mi, że musiało być niegdyś przez żywych zbudowane.

— Albo przez siły przyrody — dorzucił Piotr i w tejże chwili zatrzymał wóz gwałtownie na miejscu.

Poskoczyliśmy ku niemu, zobaczyć, co się stało. Ława piasku skończyła się była właśnie, a przed nami leżało pole tak zasłane dużymi głazami, że nie mogło być mowy o przedostaniu się przez nie z wozem bliżej ku miastu. Tomasz, spostrzegłszy to, zawahał się chwilę, a potem zawołał:

— Pójdę piechotą!

Zrazu poczęliśmy go wszyscy powstrzymywać od tego zamiaru, nie zdając sobie nawet sprawy, dlaczego to robimy.

Czyżby to było przeczucie tego, co miało nastąpić? Ostatecznie jednak postawił na swoim. Piotr zaklął pod wąsem i powiedział, że trzeba być skończonym wariatem, aby tracić czas i narażać się przez wyjście z wozu na straszliwy mróz dla urojenia; ja ofiarowałem się towarzyszyć Tomaszowi, ale gdy powiedział, że wyjdzie sam, nie nalegałem. Do tej chwili nie wiem, co mnie właściwie powstrzymało, obawa zimna czy też to dziwne, niewytłumaczalne, a przykre uczucie jakiegoś lęku na widok trupiego miasta... Dość, żem pozostał we wozie[27] — i źle się stało.

Tomasz, wyszedłszy z wozu, ruszył wprost przed siebie w kierunku piętrzących się fantastycznie zwalisk. My, stojąc przy oknie, widzieliśmy go w świetle Ziemi jakby na dłoni. Posuwał się z wolna, schylając się często, zapewne w celu zbadania gruntu. Na chwilę znikł w cieniu niewielkiej skałki sprzed naszych oczu, potem zobaczyliśmy go znowu, znacznie już dalej. Naraz stało się coś dziwnego. Woodbell, uszedłszy może trzecią część drogi, wyprostował się, stanął jak wryty i nagle zwróciwszy się, począł biec w szalonych susach na powrót w stronę wozu.

Patrzyliśmy na jego ruchy nie mogąc ich sobie wytłumaczyć. Wtem o kilkanaście kroków przed wozem potknął się i upadł. Widząc, że nie wstaje, rzuciliśmy się obaj, przejęci już trwogą, iść mu z pomocą. Nimeśmy wyszli, zbiegła chwila czasu, gdyż trzeba było przywdziać powietrzochrony. Załatwiwszy się z tym, wybiegliśmy wreszcie. Woodbell leżał bez przytomności. Nie było czasu zastanawiać się, co mu się stało — chwyciliśmy go więc na ręce i zanieśliśmy co prędzej do wozu.

Gdyśmy zdarli z niego powietrzochron, przedstawił nam się straszny widok. Twarz obrzękła i sina zlana była cała krwią, cieknącą obficie z ust, nosa i oczu; na nabrzmiałych

[27] *we wozie* — dziś: w wozie.

dłoniach i na szyi widać było także gęste krople krwi, choć nie mogliśmy nigdzie odkryć rany.

Marta na widok tej strasznej postaci wydała dziki okrzyk i zaledwie udało się przemocą Varadolowi powstrzymać ją od rzucenia się na ciało i uspokoić nieco. Ja tymczasem zająłem się trzeźwieniem nieszczęśliwego. Z początku sądziliśmy, że powalił go atak apoplektyczny, gdy jednak Piotr obejrzał porzucony powietrzochron, okazała się nam właściwa przyczyna zemdlenia. Szkło w masce, czegośmy zrazu nie zauważyli, było rozbite. Pękło widocznie, gdy Tomasz się potknął i upadł, a w następstwie tego powietrze uciekło z powietrzochronu. Nim zdążyliśmy przybiec z pomocą, cały prawie zbiornik był wyczerpany. To spowodowało wybuch krwi i omdlenie; ale z jakiej przyczyny tak biegł, pozostało na razie tajemnicą.

Po dość długim czasie udało się nam wreszcie przywołać go wspólnymi siłami do przytomności. Pierwszym znakiem powracającego życia był oddech głęboki, kurczliwy, po którym mu się znowu krew ustami rzuciła. Potem otwarł oczy i dysząc szybko, jakby z wysiłkiem, jął na nas patrzeć błędnie, nie pojmując snadź, co się z nim dzieje. Nagle krzyknął przeraźliwie, wyciągając ręce, jakby coś odpychał, i zemdlał znowu. Ocuciliśmy go powtórnie, ale mimo to nie odzyskał przytomności: wpadł w gorączkę, która zda się być zapowiedzią dłuższej choroby.

Ułożywszy jak najtroskliwiej chorego na hamaku, puściliśmy się w dalszą drogę. O fantastycznych skałach czy też tajemniczym mieście nikt z nas już nie myślał, tak byliśmy zakłopotani strasznym wypadkiem i zdjęci pragnieniem jak najprędszego wydostania się z tej złowrogiej okolicy.

W dwadzieścia kilka godzin dotarliśmy wreszcie do stoków *Pico*, gdzie obecnie stoimy. Zatrzymamy się tutaj aż do rana.

Stan Woodbella jest wciąż bardzo groźny. Krwotoki wprawdzie już ustały, ale gorączka wzmaga się ciągle. Czasem zrywa się i rzuca, jakby chciał uciekać, majaczy i wykrzykuje jakieś niezrozumiałe zdania, w których powtarza się często imię nieszczęśliwych braci Remognerów. Po takich wybuchach następują chwile zupełnego obezwładnienia. Wygląda wtedy tak trupio blady, jakby w całym ciele jego nie pozostała ani jedna kropla krwi.

Zaniepokojeni jesteśmy tym wszystkim do najwyższego stopnia. Marta odchodzi od zmysłów z rozpaczy i trwogi, ale stara się zapanować nad sobą, widząc, że jej pomoc potrzebna jest teraz choremu. My ją pocieszamy, jak możemy, i ukrywamy przed nią własne obawy...

Jest w tym całym strasznym wypadku jakaś zagadka. Nie mogę pojąć, co mogło Tomasza skłonić do owej szalonej ucieczki, która ostatecznie stała się przyczyną nieszczęścia? Bo to pewna, że maska rozbiła się dopiero wtedy, gdy upadł. Żałuję teraz, że nie przyszło nam na myśl wyjść z wozu i zbadać drogę, którą przeszedł. Może by to było pomogło do rozwiązania zagadki... Bo tam coś być lub coś się stać musiało! Jeśli kto, to właśnie Tomasz, który okazał tyle przytomności umysłu i spokoju w najgorszych położeniach, nie byłby się dał opanować trwodze bez powodu. Ale co go przestraszyło? co go tu w ogóle na tym martwym świecie przestraszyć mogło?... Nie przeszedł nawet połowy drogi do bram owego rzekomego miasta trupów...

Pod *Pico*, 148 godzin po północy.

Odetchnęliśmy nareszcie spokojniej; zdaje się, że nam się uda utrzymać Tomasza przy życiu. Teraz zasnął — to znak, że przełomowa chwila choroby już minęła. Zachowujemy się jak można najciszej, mówimy nawet tylko szeptem, aby go nie obudzić. Może go ten sen ocali.

Boimy się tylko, aby psy szczekaniem nie narobiły hałasu, gdyż zbudzić teraz Tomasza, znaczyłoby go zabić. Toteż nieustannie ktoś z nas czuwa przy psach; jeśliby się który odezwał, wyrzucimy go natychmiast z wozu. Ale na szczęście psy zachowują się spokojnie. Selena, ulubiona jego suka, usiadła nieruchomo przy hamaku jakby na straży i nie spuszcza oka ze swego chorego pana. Jestem przekonany, że to rozumne zwierzę zdaje sobie doskonale sprawę ze stanu, w jakim się pan znajduje. W oczach jej widno[28] tyle żałości i niepokoju... Gdy się kto z nas zbliża do chorego, ona warczy z cicha, jak-

[28]*widno* — dziś w tym znaczeniu: widać.

by ostrzegając, że czuwa i nie da mu krzywdy zrobić, a potem wywija ogonem, aby dać poznać, że wierzy w nasze przyjazne zamiary i cieszy się naszą troskliwością.

Z drugiej strony hamaku siedzi Marta. Od stu godzin prawie się nie odzywa. Otwiera usta tylko wtedy, gdy się musi z nami porozumieć co do czuwania nad chorym. Nie umiem sobie wyobrazić większej boleści. Nie płacze, nie narzeka, owszem, jest spokojna, ale w tym spokoju, w tych zaciśniętych ustach i suchych, szeroko rozwartych oczach jest coś strasznego, co łamie po prostu serce patrzącym na to. Mamy jakąś cześć dla niej i dla jej bólu. Pragnęlibyśmy ją pocieszyć, dodać jej otuchy i nadziei, a doprawdy, że nie śmiemy się do niej zbliżyć ani odezwać. Ona też patrzy na nas dziwnie obojętnie; znać, że obchodzimy ją tylko o tyle, o ile pomagamy jej ratować Tomasza. Poza tym nie istniejemy dla niej zgoła.

Pod *Pico*, przed wschodem słońca dnia trzeciego.

Najwyższy szczyt *Pico* rozbłysnął już w słońcu; za trzy lub cztery godziny i tutaj w dole dzień nastanie. Przez całą noc widzieliśmy przed sobą w świetle Ziemi srebrną ścianę potężnej góry; teraz ściana ta zszarzała i pociemniała przez kontrast z roziskrzonym w słońcu szczytem.

Podobnie jak *Trzy Głowy*, *Pico* nie jest kraterem, lecz raczej olbrzymim złomem zniszczonego pierścienia górskiego. Stoimy pod jego najwyższym szczytem, sterczącym od północnego zachodu. Urywa się on tutaj prawie prostopadle ku dolinie. Można dostać zawrotu na widok tej straszliwej wysokości, tym wydatniejszej, że wokoło rozciąga się gładka równina. Szczyt wznosi się nad nią półtrzecia tysiąca metrów w górę.

Trudno zgadnąć, co mogło spowodować rozsypanie się owego pierścienia górskiego, z którego ten cypel tylko pozostał. Może skała, utworzona z miękkiego materiału, skruszała pod wpływem zmian temperatury, a może rozmyła ją woda?

Już po raz drugi robimy w tej podróży to przypuszczenie. Tutaj przemawia za tym i ta okoliczność, że nie widać nigdzie wału złomów skalnych, który by musiał powstać, gdyby tę górę były rozgryzły mrozy i słońce. Tam, gdzie niegdyś snadź[29] się wznosił grzbiet pierścienia, znajduje się zaledwie gładkie, niewysokie wzniesienie, majaczące przed nami niewyraźnie w blasku Ziemi. Piotr mimo straszliwego zimna wypadł na chwilę z wozu, aby zbadać grunt. Nie mógł się dłużej zatrzymać, ale przyniósł kawałek kamienia, który jest ogromnie podobny do skał osadzających się z wody...

Gdy słońce wzejdzie i oświeci tę okolicę, może dowiemy się czegoś pewniejszego.

Tomasz śpi ciągle od trzydziestu blisko godzin. Jesteśmy przez to nieco swobodniejsi, ale z drugiej strony tak długi sen zaczyna nas niepokoić. Strach zbiera patrzeć na tę twarz tak trupio bladą. Oczy ma zamknięte, zapadłe policzki obciągnięte żółtą, niemal przejrzystą skórą, usta spalone i bezkrwiste. Leży bez ruchu — żebra zaledwie się podnoszą w słabym oddechu. Czasem mam złudzenie, że nie żywego człowieka, ale trupa widzę przed sobą. Rad bym, żeby się już obudził.

Marta, ciągle milcząca, nie odstępuje od łóżka ani na chwilę. Pokonana znużeniem, zasypia nawet tak, siedząc. Trwa to jednak krótko; zaraz się budzi i patrzy znów szeroko rozwartymi oczyma na chorego, jakby go chciała wzrokiem uzdrowić. Zaczynam się naprawdę o jej zdrowie obawiać. Tego by jeszcze brakowało, żeby się i ona rozchorowała. Ale wszelkie przedstawienia z naszej strony na nic się nie zdają. Z trudem możemy ją tylko nakłonić, aby jadła.

Niespokojny jestem, co będzie, jeśli się Woodbell przed nastaniem dnia nie obudzi. Chcielibyśmy zaraz puścić się w dalszą drogę, a boimy się przerwać mu snu. Pierwotnie mieliśmy zamiar zwrócić się od *Pica* na wschód, aby okrążyć łańcuch *Alp*, tworzący północno-wschodni kraniec *Mare Imbrium*, ale ostatecznie udajemy się wprost na północ ku olbrzymiemu pierścieniowi *Platona*. Piotr po dokładnym zbadaniu map utrzymuje, że uda nam się przedostać przez ten pierścień wprost na *Mare Frigoris*, poza którym znajduje się kraj górzysty, ciągnący się aż do bieguna. To by nam skróciło znacznie drogę.

Na *Mare Imbrium*, 10° zach. dł., 47° pn. szer. księż., 20 godzin po wschodzie słońca dnia trzeciego.

Dojeżdżamy nareszcie do krańca niezmiernego *Morza Dżdżów*, dla którego przebycia potrzebowaliśmy prawie dwóch miesięcy czasu. Tutaj — są to dwa dni, ale tam na Ziemi

[29] *snadź* (daw.) — podobno, widocznie.

tymczasem dwa razy Księżyc się odmienił, dwa razy rozbłysnął w pełni i dwa razy zaćmił się nowiem.

Od kilkunastu godzin widzimy już przed sobą potężny wał pierścienia *Platona*. Część jego wschodnia lśni się już w słońcu jak ogromny biały mur na ciemnym niebie; w stronie zachodniej jeszcze noc, szczyty jeno wyższe płoną tam jak pochodnie. Jest to stanowczo najwspanialszy i najpotężniejszy widok ze wszystkich, jakieśmy dotąd spotykali; jesteśmy jednak tak zaniepokojeni zdrowiem Tomasza, że nie zwracamy prawie uwagi na to, co nas otacza.

Tomasz obudził się o wschodzie słońca. Patrzył na nas przez chwilę w zdumieniu, a potem usiłował usiąść w hamaku, ale siły mu nie dopisały. Upadł w tył bezwładnie i dopiero Marta go podniosła i posadziła. Podbiegłem co rychło z zapytaniem, czy sobie czego nie życzy; Piotr tymczasem stał przy sterze wozu.

Tomasz zaczął się naprzód dziwić, że jest dzień. Nie pamiętał nic ze swej choroby, zapomniał nawet o wypadku, który ją poprzedził. Napomknąłem mu o tym; namyślał się przez chwilę, szukając widocznie w pamięci, a potem nagle zbladł — jeśli można mówić o zblednięciu twarzy i tak już trupio bladej — i zakrywszy oczy rękami, począł powtarzać z wyrazem trwogi:

— To było straszne, straszne!

Dreszcz nim wstrząsnął.

Gdy się po chwili uspokoił trochę, spróbowałem ostrożnie dowiedzieć się, co go przestraszyło i wywołało tę fatalną w skutkach ucieczkę, ale wszystkie moje usiłowania spełzły na niczym. Milczał uporczywie lub zbywał mnie odpowiedziami bez związku, tak że w końcu zaprzestałem bezcelowych pytań, zauważywszy, że go tym tylko nużę i męczę. Musiałem mu za to ze wszystkimi szczegółami opowiedzieć, w jakim stanieśmy go znaleźli[30] i cały przebieg choroby. Słuchał tego uważnie, wymawiając niekiedy półgłosem łacińskie nazwy lekarskie, dopytywał się o najdrobniejsze okoliczności i objawy, a wysłuchawszy wszystkiego, zwrócił się wreszcie do mnie i rzekł z dziwnym spokojem, uśmiechając się nawet cokolwiek:

— Wiesz, zdaje się, że ja umrę.

Zaprzeczyłem żywo i stanowczo, ale on pokiwał tylko głową:

— Jestem lekarzem i teraz, gdy jestem przytomny, z tego stanowiska patrzę na własną chorobę. Dziwię się tylko, że jeszcze żyję. Gdym upadł, jak powiadasz, rozbiło się szkło w masce powietrzochronu. Jeślim od razu nie umarł, to tylko dzięki temu, że przybiegliście mi dość szybko z pomocą, nim powietrze, zawarte w zbiorniku, który miałem ze sobą, zdołało się wydobyć przez otwór i rozproszyć. Z tego, co opowiadasz o stanie, w jakim znaleźliście mnie, wnoszę jednakże, że atmosfera w moim powietrzochronie musiała już być niezmiernie rzadka, toteż krew wskutek wewnętrznego wyższego ciśnienia zaczęła ze mnie uchodzić już nie tylko ustami i nosem, lecz nawet porami skóry. Gdybyście się byli parę sekund spóźnili, bylibyście już tylko zastali bezkrwistego trupa. Dziwię się zresztą, jak wobec tak strasznego upływu krwi zdołałem przetrzymać tyle dni gorączki... Chociaż nie mogła być silna, bo skądże... przy braku krwi i tak słabej akcji serca. Ale ostatecznie przetrzymałem gorączkę i żyję, ale to nie znaczy bynajmniej, że będę żył. Nie mam krwi. Patrz, pulsu prawie nie znać; dotknij piersi — czujesz, jak serce bije? ledwo je można poczuć. Na Ziemi może bym wyszedł z tego, ale tutaj brak warunków...

Urwał zmęczony i przymknął oczy. Myślałem, że znów zasypia, ale on, oparłszy się tylko o poduszkę, wodził spod przymkniętych powiek oczyma za Martą, krzątającą się około przyrządzania lekarstwa, które sam sobie przed chwilą przepisał. Niesłychany, bezdenny żal był w tym wzroku. Poruszył parę razy ustami, a potem, podniósłszy powieki, rzekł cicho, patrząc mi prosto w oczy:

— Wy będziecie dla niej dobrzy? prawda?

Bolesny kurcz ścisnął mnie za serce, a równocześnie zdawało mi się, że jakiś bezczelny, ohydny głos szepce mi do ucha: „Gdy on umrze, Marta dostanie się jednemu z was, może tobie...”.

---

[30] *w jakim stanieśmy go znaleźli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: w jakim stanie go znaleźliśmy.

Spuściłem oczy ze wstydu przed samym sobą, ale on zdaje się wyczytał już był tę myśl z mej twarzy, choć Bogiem się świadczę, że krócej trwała niż najszybsze mgnienie oka!

Uśmiechnął się z niezmierną boleścią i wyciągając ku mnie trupią rękę, pełną cieniuchnych, niebieskich żyłek pod żółtą skórą, dodał:

— Nie kłóćcie się o nią. Zostawcie jej... szanujcie... szanujcie...

Nie mógł dokończyć. Po chwili dopiero, zaczerpnąwszy tchu, rzekł szorstko, zmieniając nagle ton:

— Zresztą ja może będę żył. Nie ma zgoła konieczności, abym musiał umierać.

Zacząłem go skwapliwie zapewniać, że będzie żył, ale sam wątpię o tym.

Od czasu tej rozmowy upłynęło kilkanaście godzin, ale stan jego w niczym się nie poprawia, owszem, zdaje się nawet pogarszać. Ciągle powtarzają się bicia serca, duszność, omdlenia. Nie wiem, jak to dalej pójdzie. Zrobił się przy tym ogromnie drażliwy i wymagający. Marta nie może go ani na krok odstąpić; na nas spogląda jakby na wrogów.

Próbowałem jeszcze kilkakrotnie dowiedzieć się od niego przyczyny owej tajemniczej ucieczki, ale za każdym razem, gdy tylko rozmowę na to sprowadzę, milknie natychmiast, a oczy jego przybierają wyraz takiej trwogi, że nie mam serca dręczyć go pytaniami. Ostatecznie, co mi na tym zależy? Dość że stało się nieszczęście i oby na tym tylko był koniec.

Trzecia doba księżycowa, 66 godzin po wschodzie słońca pod *Platonem*, w drodze na wschód.

Przypuszczenia Varadola zawiodły całkowicie. Przedostanie się z wozem przez środek pierścienia *Platona* jest czystym niepodobieństwem. Musimy okrążyć łańcuch *Alp*, co niezmiernie przedłuża naszą drogę. Ale nie ma innej rady.

Mało co ponad 30 godzin minęło od wschodu słońca, gdyśmy stanęli pod turniami *Platona*, zrobiwszy w tym czasie blisko sto kilometrów drogi, po gruncie, co prawda, wyjątkowo gładkim.

Olbrzymi, mierzący dziewięćdziesiąt kilka kilometrów średnicy pierścień *Platona* tkwi w północnej krawędzi *Morza Dżdżów*. Na południowy wschód od niego ciągnie się pasmo *Alp* księżycowych aż ku *Palus Nebularum*, którym *Mare Imbrium* łączy się z *Mare Serenitatis*.

Pasmo przerwane jest tylko w jednym miejscu szeroką doliną poprzeczną, bodaj czy nie jedyną na tej stronie Księżyca, wiodącą ku *Mare Frigoris*, przez które trzeba nam się będzie przedostać w drodze do bieguna. Na zachód od *Platona* ciągnie się na niezmierzonej przestrzeni brzeg stromy i wysoki, wygięty w półkole, w które jeszcze wgłębia się obszerna *Zatoka Tęcz*. Sam pierścień *Platona* utworzony jest z wału górskiego, otaczającego wewnętrzną płaszczyznę obszaru około 7500 km^2! Szczyty najwyższe we wschodniej części wału dochodzą do półtrzecia tysiąca metrów wzniesienia.

Zbadawszy te wszystkie rzeczy bardzo dokładnie na mapie, spostrzegliśmy, że w południowym wale *Platona*, tuż około tkwiącego w nim niewielkiego krateru, grzbiet się obniża i rozpłaszcza, tworząc pewien rodzaj szerokiej przełęczy.

Otóż chcieliśmy według planu Piotra dla skrócenia sobie drogi dostać się przez tę przełęcz na środkową równinę, a przerznąwszy ją w kierunku północnym, poszukać znowu wyjścia na wyżynę, opadającą już łagodnie ku *Mare Frigoris*.

Przybywszy pod stoki *Platona*, znaleźliśmy z łatwością miejsce wyszukane na mapie. Pomocnym nam w tym był ów strzelisty krater, sterczący nad przełęczą. Droga na przełęcz nie wydawała się zbyt trudną; grunt wznosił się z wolna i nie widno było[31] na nim nierówności. Mimo to nie odważyliśmy się puścić od razu z wozem w drogę. Trzeba się było wpierw przekonać, czy rzeczywiście da się tędy przejechać.

Pozostawiwszy tedy Woodbella pod opieką Marty, puściliśmy się obaj z Piotrem naprzód pieszo. Wóz miał czekać naszego powrotu.

Okrążyliśmy krater w trzonie *Platona* od wschodu, postępując wciąż ku górze. Droga nie była tak łatwa, jak nam się to z dołu wydawało. Spotykaliśmy kamieniste pola i urwiska, które trzeba było wymijać. Mimo to byliśmy pewni, że wóz zdoła tę drogę przebyć. Byliśmy obaj w jak najlepszym usposobieniu. Słońce, niewysoko jeszcze ponad horyzontem świecące, grzało nas w miarę, było nam ciepło i lekko; dookoła nas roztaczały się

[31] *widno było* — dziś w tym znaczeniu: widać było.

widoki zaiste cudowne! Zbocza skał, poprzerywane jak smoła czarnymi cieniami, iskrzyły się w oślepiającym słońcu całą symfonią cudownych tęczowych barw. Deptaliśmy po skarbach, za jakie na Ziemi można by kupować królestwa i korony: wśród skruszałych głazów krwawiły się ciemne rubiny — żyły malachitów łyskały z dala podobne do trawników, na których rozsypane odłamy onyksów i topazu świeciły jak kwiaty — a czasem z jakiej szczeliny, gdy wdarł się w nią promień słońca, wytryskała nagle tęczowo fontanna blasku, istna orgia światła, rozszczepionego w olbrzymich pryzmach kryształu górskiego.

To niesłychane bogactwo, zgromadzone przez jakiś wybryk przyrody w jednym miejscu, oślepiało nas zrazu i oszałamiało, ale wkrótce przyzwyczailiśmy się tak do tego widoku i tych bezużytecznych tu dla nas skarbów, że deptaliśmy po nich jakby po zwykłych krzemieniach.

Czarodziejskie otoczenie wywarło na nas jednak wpływ znamienity: było nam wesoło. Zapomnieliśmy o wszystkich zmartwieniach i kłopotach, o chorobie Tomasza, o przebytych trudach i nieszczęściach, o niebezpieczeństwach, które nam jeszcze grożą, nawet o niepewnej przyszłości! Cieszyliśmy się jak dzieci pięknym rankiem i pięknymi widokami. Do niewygodnych trochę powietrzochronów przyzwyczailiśmy się zupełnie, a myśl o niebezpieczeństwie, jakim groziła otaczająca nas próżnia, mimo świeżego wypadku z Woodbellem nie mąciła nam jakoś pogody umysłu. Korzystając z lekkości naszych ciał na Księżycu przy nieosłabionej sile mięśni, przesadzaliśmy ogromne głazy lub skakali[32] z wysokich urwisk.

Te wybuchy dobrego humoru powstrzymywała tylko myśl o konieczności pośpiechu. Powietrza i żywności wzięliśmy ze sobą na czterdzieści godzin, co było wcale niewiele, zważywszy, że mogła zajść jakaś nieprzewidziana okoliczność, zmuszająca nas do zatrzymania się w drodze.

W niespełna dziesięć godzin staliśmy już na przełęczy.

Przed nami roztworzył się widok na tajemnicze wnętrze *Platona*. Wał północny pierścienia, odległy od nas prawie o sto kilometrów, widniał w dali jak olbrzymia poszarpana piła, najeżona licznymi szczytami. Aż po ten kres rozciągała się równina gładka, ciemnoszara, jak morze zastygłe i ciche. Tu i ówdzie tylko przecinały ją nieco jaśniejsze, szerokie pasy, z rozsianymi na nich z rzadka niskimi kraterami, podobnymi raczej do płytkich kotlinek. U stóp naszych skała urywała się od wewnątrz nadzwyczajnie bystro; nie było mowy, abyśmy się mogli tędy z wozem przedostać.

Beznadziejny smutek wionął na nas z tego morza śmierci. Niepodobna sobie wyobrazić krajobrazu, gdzie by było więcej spokoju i więcej martwoty. Skały tu nawet spływają jakoś z wolna i jakby leniwie ku głębinom, szczyty dźwigają się senne, ogromne, a takie w blaskach słońca ponure, jak gdyby wzniosły się z trudem i niechętnie li tylko dlatego, że im kazano stanąć na straży i ogrodzić ową okropną pustą i szarą równinę.

Poprzednia wesołość nasza zniknęła bez śladu.

Dziwna[33], jak krajobraz działa na ludzkie serca! Patrzyłem długo w milczeniu, nie mogąc oczu oderwać od tej pustki, i ściskał mnie żal coraz większy — nie wiem, za czym i za kim... Tak mi się stało wszystko obojętnym i nużącym, i niewartym wysiłku, a tak ponętną wydawała mi się Śmierć-ukoicielka, która przecież niedawno, wisząc mi na głową, takim piekielnym napełniała mnie strachem.

Czułem, że mnie ten widok zabija, nie mogłem znieść go już dłużej, a przecież potrzebowałem całego wysiłku woli, aby się odeń oderwać.

Zwróciłem się twarzą ku południowi i świecącemu na niebie sierpowi Ziemi. Ponad szczyty krateru, który nam przy wchodzeniu służył za drogowskaz, a teraz w dole pozostał, zobaczyłem przed sobą *Morze Dżdżów*. Ogromna, ogromna przebyta płaszczyzna! Patrzyłem na nią tak, jak niegdyś z przełęczy pod *Eratosthenesem*, tylko wówczas leżała jeszcze przede mną jako nieznana droga do nieznanego upragnionego kraju — teraz miałem ją już poza sobą...

---

[32]*przesadzaliśmy (...) lub skakali* — daw. konstrukcja zdaniowa, w której jedna końcówka fleksyjna odnosi się do dwóch lub więcej czasowników; dziś: przesadzaliśmy lub skakaliśmy.

[33]*dziwna* — dziś w tym znaczeniu: dziwne a. dziwna rzecz, sprawa itp.

Szara była, martwa i przestronna jak wówczas, tylko zamiast płonących w słońcu szczytów *Timocharisa* i *Lamberta* czerniły się przed mym okiem w cieniu spowite iglice: *Pico* i dalej ku wschodowi — *Piton*.

Sierp Ziemi stał ponad tym morzem, bliższy już horyzontu niż szczytu nieba. I tak mi się wydała cała równina, jak droga szeroka od tej Ziemi wiodąca. Jaka straszna, jaka ciężka droga i daleka! Nimeśmy ją przebyli[34], dwa razy przeszło nad nami słońce, jak płomień rażący i żywy, dwa razy ogarnęły nas mroźne długotrwałe cienie. A ileż trudów, ileż przygód i cierpień! Zejście z *Eratosthenesa*, śmiertelny żar południowy, potem mróz zajadły, a potem znowu to widmo Śmierci, towarzyszące nam przez tyle godzin! a potem śmierć braci Remognerów — a potem nieszczęśliwy wypadek i choroba Tomasza. Śmiercią O'Tamora nasza droga zaczęła — ale nie jest jeszcze skończona.

Pogrążony byłem w tych myślach ponurych i w jakiejś nagłej, budzącej się, a nieprzemożonej tęsknocie ku Ziemi, widnej z daleka nad nieprzejrzaną płaszczyzną — gdy krzyk Varadola wyrwał mnie z zadumy. Odwróciłem się szybko, pewny, że znów przychodzi jakieś nieszczęście, ale Piotr stał zdrowy przy mnie i tylko ręką wskazywał w stronę dalekiego północnego wału *Platona*. Spojrzałem w tym kierunku i dostrzegłem coś jakby nikły obłok, nie! zaledwie nikły cień obłoku, przysłaniający podnóża gór przed chwilą jeszcze doskonale widoczne.

Drgnąłem na ten widok, jak gdyby to nie obłok się przesuwał, lecz góry same z miejsc się ruszyły i szły przed nami. A Piotr krzyczał tymczasem przez rurę:

— Obłok! a więc tam jest atmosfera, jest powietrze, tam będzie można oddychać!

Szalona radość brzmiała w tych nadzieją wezbranych słowach. Istotnie, ponad tą równiną śmierci Jak ją nazwałem, ukazał się nam pierwszy promyk życia. Obłok ten nie świadczy wprawdzie jeszcze, iżby tamtą atmosferą można już oddychać człowiekowi, ale w każdym razie nie ulega wątpliwości, że powietrze jest tam gęstsze niż w przebywanych dotąd okolicach, kiedy mogą się w nim obłoki tworzyć i utrzymywać choćby nisko nad powierzchnią. Dymy kraterów zewnątrz *Eratosthenesa* opadały natychmiast, jak piasek, na ziemię.

Pokrzepieni tym zjawiskiem, utrwalającym nas w nadziei znalezienia na tamtej stronie Księżyca, a może i pierwej, dostatecznie gęstego powietrza, zaczęliśmy się spuszczać z powrotem ku *Mare Imbrium* w weselszych znów usposobieniach, choć właściwy cel wycieczki nie został osiągnięty: nie znaleźliśmy drogi przez pierścień *Platona*. Sądząc, rozmawialiśmy o tym, co dalej czynić należy. Może na zachodzie od *Platona* wynaleźlibyśmy miejsce, którędy by się można wydostać na stromy brzeg wyżyny, ale niepodobna odważyć się na to. Gdyby nam się bowiem to nie udało, musielibyśmy zrobić tysiące kilometrów, nimbyśmy okrążyli krawędź *Mare Imbrium* od zachodu. Znacznie bezpieczniej zwrócić się od razu na wschód. Może się uda przedrzeć wspomnianą już poprzednią doliną w paśmie *Alp*, a nawet gdyby się to okazało niepodobieństwem, to i tak, okrążając cały łańcuch, niewiele stosunkowo drogi nadłożymy.

Z tym postanowieniem zeszliśmy w dolinę. Jakież jednak było nasze przerażenie, gdyśmy nie spostrzegli wozu w tym miejscu, gdzie by stać powinien! Zrazu sądziliśmy, żeśmy się zabłąkali, ale nie, okolica była ta sama; widno było[35] doskonale głazy, pod którymi wóz zostawiliśmy. Mimo znużenia pobiegliśmy ku nim pędem, nie dowierzając jeszcze własnemu wzrokowi. Wozu nie było. Staraliśmy się wynaleźć ślady jego kół, aby odgadnąć, w której go mamy szukać stronie, ale na skalistym gruncie nie mogliśmy odkryć żadnego znaku. Ogarnęła nas rozpacz. Żywność, którąśmy wzięli ze sobą, była już zjedzona, wody mieliśmy już tylko resztkę, a powietrza zaledwie na kilkanaście godzin. Varadol zaczął nawoływać; zapomniał, że jedyną istotą mogącą tutaj krzyk jego usłyszeć byłem ja, połączony z nim rurą do mówienia!

Puściliśmy się na poszukiwania. Schodziliśmy całą okolicę, strawiwszy na to sześć godzin czasu, ale wozu nigdzie ani śladu. Kiedyśmy po bezowocnych poszukiwaniach wrócili na dawne miejsce, głód zaczął nam już dokuczać, woda się skończyła, a zapas powietrza był na schyłku. Bezradni rzuciliśmy się na ziemię, oczekując śmierci. Varadol

[34]*nimeśmy ją przebyli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: nim ją przebyliśmy.
[35]*widno było* — dziś w tym znaczeniu: widać było.

przeklinał głośno, a ja z dziką rozpaczą łamałem sobie głowę, co ich też mogło skłonić do odjechania przed naszym powrotem.

Nagle błysnęła mi myśl, że może Tomasz uciekł przed nami umyślnie, aby nas wydać na pastwę śmierci, poruszony chorobliwą zazdrością, której przebłysk spostrzegłem już był u niego poprzednio, gdy mówił o swym zgonie i o Marcie. Wściekłość mnie ogarnęła. Zerwałem się i chciałem biec, gonić go, zemścić się, zabić — wtem...

Wtem o kilkanaście kroków przed sobą zobaczyłem Martę. Szła ku nam powoli, uśmiechając się przez szklaną maskę na twarzy swym zwykłym, smutnym uśmiechem. Przyskoczyliśmy obaj do niej i zaczęliśmy krzyczeć na przemian z oburzenia i radości. Marta przypatrywała się jakiś czas spokojnie naszym ustom, a gdyśmy zaprzestali, ochrypli i wzajemnie swym głosem ogłuszeni, zaczęła dawać znaki, że nic nie słyszy! Zapomnieliśmy o tym, że wobec braku powietrza między nami słyszeć nas nie może! Złość nagle nas opuściła i zaczęliśmy się śmiać, dając jej na migi do zrozumienia, że chcemy wrócić do wozu. Zaprowadziła nas — wóz stał nieopodal za głazem, który go zakrywał.

Tutaj dopiero wyjaśniło się wszystko. W jakiś czas po naszym odejściu słońce, zataczając pochyły łuk na firmamencie, zaszło za głaz tak, że wóz znalazł się w cieniu. Woodbell zaczął się trząść z zimna. Marta tedy ruszyła wozem, a okrążywszy głaz, stanęła przy nim od południa, gdzie słońce dostatecznie ogrzewało chorego. My, powróciwszy, przerażeni zniknięciem wozu, szukaliśmy go daleko, a żadnemu z nas nie przyszło na myśl zajrzeć pod skałę tuż obok się znajdującą. Marta widziała nas z wozu, ale rozumiała, że się oddalamy znowu, chcąc zbadać inną stronę okolicy, i czekała cierpliwie naszego powrotu. Dopiero spostrzegłszy, że powróciwszy po raz drugi, do wozu się nie zbliżamy, wyszła dowiedzieć się, co to ma znaczyć, nie przypuszczając zresztą, że wozu nie możemy znaleźć! Całe zajście skończyło się szczęśliwie na śmiechu, choć mogło się było stać dla nas niebezpiecznym.

Woodbella zastaliśmy w stanie względnie dość dobrym. Przez czas naszej nieobecności zemdlał tylko cztery razy. Teraz jest spokojniejszy i mówi, że ma się lepiej. Nie widać tego wprawdzie po jego trupio bladej i straszliwie wychudzonej twarzy, ale daj Boże, aby tak było. Dość już ofiar, jak na początek.

Wyruszyliśmy w drogę według ułożonego planu. Do tego czasu posuwamy się ku wschodowi ciągle jeszcze pod coraz wyżej piętrzącymi się turniami *Platona*. Wkrótce dojedziemy do łańcucha *Alp*.

Ze względu na zdrowie Tomasza konieczny jest jak największy pośpiech. Im prędzej znajdzie się w kraju, gdzie będzie mógł wyjść z zamkniętego wozu, poruszać się swobodnie i oddychać, tym prawdopodobniejszy jest jego ratunek. Będziemy też pędzić dzień i noc, aby tylko dalej od tej pustyni, a bliżej bieguna, gdzie prawdopodobnie zacznie się okolica niepozbawiona powietrza i wody.

Pod *Alpami*, 3° zach. dł., 47°30' pn. szer. księż., 161 godzin po wschodzie słońca trzeciej doby.

Coraz mniej mamy nadziei, aby się udało Tomasza utrzymać przy życiu. Gnamy bez pamięci, o ile tylko teren na to pozwala, ale biegun wciąż jeszcze daleki, a Tomasz tymczasem gaśnie nam w oczach. Drżymy z niepokoju i niecierpliwości, a na domiar wszystkiego pasmo *Alp*, zagradzające nam drogę, zmusza nas do trzymania się kierunku południowo-wschodniego, tak że zamiast zbliżać się do upragnionego bieguna, oddalamy się od niego na razie. Wkrótce, za kilkanaście godzin, dojedziemy do ujścia *Poprzecznej Doliny*; oby się dało przynajmniej skręcić nią na północ! Do tego czasu mamy po lewej ręce wciąż nad sobą pionowe ściany *Alp*, wobec których nasz wóz wygląda jak drobniuchny owad pod murem ogromnej fortecy. Czekamy z utęsknieniem chwili, kiedy się przed nami otworzy brama w tym murze, a za nią przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów długi korytarz skalny, wiodący na *Mare Frigoris*. Spotykamy już luźne, drobne, a strome skały, które stoją jak słupy przed gardzielem[36] doliny; znak to, że się do niej zbliżamy.

Woodbell dopytuje się ciągle, czy jeszcze daleko. Chciałby jak najprędzej być na biegunie, a tymczasem od *Sinus Aestuum* jeszcześmy nie zrobili ani połowy drogi! Strach mnie przejmuje, gdy o tym pomyślę! On, zdaje się, zapomniał o odległości. Mówi z utęsknieniem o kraju biegunowym, powietrzu i wodzie, jakby o rzeczach, które znajdziemy

[36]*gardziel* — dziś rodz. ż.; forma N.lp: gardzielą.

już jutro — a tymczasem rzecz to więcej niż pewna, że jutro księżycowe, choć takie odległe, nie przyniesie nam jeszcze nic z tego. Tomasz, w miarę jak sił mu ubywa, coraz mocniej wierzy w swe wyzdrowienie. Robi plany na przyszłość i układa już sobie życie z Martą... Obawiam się tej jego wiary; na Ziemi mówią, że to zły znak u chorego.

Marta słucha wszystkiego cierpliwie ze swym zwykłym smutnym uśmiechem. Co ona musi cierpieć! — Wszak niepodobna, aby nie widziała, że on umiera.

W *Poprzecznej Dolinie*, 82 godziny po południu.

Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że wszystko na darmo. Rozpacz mnie ogarnia, bo ja chcę, aby żył, chcę tym goręcej, że czuję w mózgu ohydną, wstrętną żmiję, która mimo mej woli szepce: Jeśli on umrze, Marta dostanie się jednemu z was, może tobie... Nie, nie! on musi żyć, musi, a jeśliby umarł, wiem, że i Marta pójdzie za nim. Co wtedy? co wtedy? — po co my tu zostaniemy? w jakim celu?... Skarżyłem się niegdyś, że my obaj służymy tym dwojgu, a teraz czuję, że ta służba jest jedyną racją naszego istnienia tutaj. Z ich śmiercią zacznie się nasze umieranie, bo nic ze siebie stworzyć nie będziemy zdolni, życie nasze i praca nie przydadzą się nikomu, ani nam samym, bo po co? po co?...

Chyba, gdyby po jego śmierci Marta została przy życiu, gdyby jednemu z nas, może mnie, owinęła tak ręce około szyi, tak ustami do ust przylgnęła, jak teraz Tomaszowi... Czuję, jak gdyby jakaś kula gorącego powietrza pękała mi w piersi, tamując oddech i rozlewając żar po wszystkich żyłach...

Precz, precz te myśli! — Zresztą tym jednym mógłby być Varadol... Nie! lepiej, żeby kobiety między nami nie było! Czuję, że wbrew woli zaczynam pragnąć śmierci Tomasza i nienawidzić Varadola... A ona siedzi spokojna, zapatrzona w twarz umierającego kochanka...

Woodbell nie chce umierać; tak rozpaczliwie broni się śmierci. Co chwilę, zdaje się, na przekór własnym myślom, opowiada, że będzie żył, i każe nam przyświadczać. Przyświadczamy nieszczerze, jedna Marta kiwa głową z głębokim przekonaniem i powtarza niskim, śpiewnym głosem: „Tak, ty będziesz żył... ty mój...". Przy tym oczy zachodzą jej jakąś mgłą rozkoszy i upojenia... Czyż ona może się naprawdę łudzić, że ten wyschnięty trup bez sił, bez kropli krwi w żyłach może żyć?

A jednak cóż bym dał za to, aby żył!

W południe nie zatrzymywaliśmy się. Przede wszystkim upał nie był tak wielki, jak poprzednich dni, a to z powodu znacznej szerokości księżycowej; po wtóre, ze względu na Tomasza zależy nam nadzwyczajnie na pośpiechu. Zrobiliśmy też już moc drogi od chwili wyruszenia spod stoków *Platona*. Jesteśmy w połowie *Poprzecznej Doliny*; przed zachodem powinniśmy dobić do *Morza Mrozów*.

Około południa, minąwszy drobne, na płaszczyźnie rozsiane cyple skalne, znaleźliśmy się nagle u szerokiego ujścia doliny. Pionowa ściana *Alp* załamuje się tu i cofa ku wschodowi, przerwana gardzielą olbrzymiego wąwozu. Płaszczyzna *Mare Imbrium* zachodzi tutaj szerokim półkolem, zwężając się ku właściwej dolinie, zawalonej u wstępu upłazem, nieco naprzód kolisto występującym, jakby olbrzymim piętrem skalnym, na kilkaset metrów wysokim. Po drugiej stronie owego półkola, jak słupiec bramy, sterczy majestatycznie *Mont Blanc* księżycowy, o wierzchołku wzniesionym cztery tysiące metrów bez mała nad okoliczną równinę.

Zawahaliśmy się chwilę, nimeśmy wjechali[37] w dolinę. Przestraszyło nas owo piętro. Jeśli takich spotkamy po drodze więcej — myśleliśmy — podróż nasza, zamiast skrócić, jeszcze się przedłuży, gdy będzie trzeba wspinać się za każdym razem po bystrych zboczach.

Varadol wyjął znowu odbitki fotograficzne powierzchni Księżyca. Zawiodły one nas już kilkakrotnie, ostatni raz na *Platonie*, ale nie było innego sposobu zorientowania się w okolicy. Wreszcie po krótkim namyśle odważyliśmy się zapuścić w dolinę. Przyczynił się do tego postanowienia i Tomasz. Nalegał z uporem chorego, który nie znosi sprzeciwiania, aby zwrócić ku północy, gdyż on wie, że przedłużanie drogi dla ominięcia *Alp* przez *Palus Nebularum* zabije go niewątpliwie.

Co z tego człowieka zrobiła choroba! Niegdyś stanowczy, przytomny a spokojny, pełen rozwagi i nieugiętej woli, teraz jest jak dziecko kapryśne i uparte. Łaje nas o byle co, a potem znów przeprasza lub błaga, aby go ratować... Wolimy to jednak niż okresy

[37] *nimeśmy wjechali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: nim wjechaliśmy.

zupełnego upadku sił, kiedy leży na wznak całymi godzinami, podobny raczej do trupa niż do żywego człowieka. Poza tym mówi dość wiele, jakby chciał dźwiękiem własnego głosu upewnić się, że jeszcze żyje. Tylko gdy który z nas przez nieuwagę wspomni o jego nieszczęśliwym wypadku, milknie natychmiast i zaczyna drżeć na całym ciele z oznakami najwyższej trwogi. Darmo zachodzę w głowę, co to może być za tajemnica...

Było już po południu, gdyśmy stanęli pod piętrem, zawalającym wejście do doliny. Z wielkim trudem znaleźliśmy drogę, która nam pozwoliła wedrzeć się na nie. Stanąwszy na jego wysokości, obejrzeliśmy się jeszcze raz poza siebie na *Mare Imbrium*, któreśmy za chwilę mieli[38] stracić z oczu na zawsze. Co do siebie, to przyznam się, że nie bez pewnego żalu żegnałem tę równinę, choć nie zaznaliśmy na niej nic okrom[39] trudów, cierpień i rozpaczy... Dziwne jest serce ludzkie. Dążyliśmy przez tę płaszczyznę całe dwa miesiące, od południa do południa księżycowego, z jednym tylko życzeniem, aby ją przebyć jak najprędzej, a teraz oglądałem się za nią prawie że z tęsknotą.

Doliną posuwamy się dość szybko i względnie łatwo. Szerokich pięter już nie spotykamy, a mniejsze wyniosłości, nie zajmujące całej szerokości doliny, dają się omijać. Teraz słońce stoi tak na niebie, że oświetla oba jej brzegi. Z jednej i drugiej strony wznosi się potężny wał górski, do czterech tysięcy metrów wysoki. Dolina, kilkanaście kilometrów szeroka na owym wstępnym piętrze, zwęża się ku północnemu wschodowi. Wygląda to tak, jakby się jej ściany potężne zbliżały ku sobie, ściskając nas coraz więcej. Mamy wrażenie, że się posuwamy olbrzymim, prosto pod sznur wyrąbanym w skałach korytarzem. Gdy spojrzymy przed siebie, widzimy daleki wylot tego korytarza, podobny do maleńkiej a głębokiej szczerby wśród białych skał, wypełnionej szmatem nieba. Nie wiem, czy mnie wzrok nie łudzi, ale zdaje mi się, że to niebo nie jest już tak czarne, a gwiazdy na nim mniej liczne i błyszczące. Świadczyłoby to o istnieniu gęstszej atmosfery nad *Mare Frigoris*... Barometr nasz także wznosi się powoli. Byle tylko Tomasza dowieźć żywcem do kraju, gdzie dość będzie dla piersi powietrza!

W *Poprzecznej Dolinie*, 168 godzin po południu, trzecia doba księżycowa.

Zrobiliśmy już od wschodu słońca pięćset kilkadziesiąt kilometrów i zbliżamy się do ujścia doliny. Przestronna gardziel skalna zwęża się coraz więcej i wały po obu stronach są coraz niższe. Ujście wąwozu na *Mare Frigoris*, widne przed nami wyraźnie, zdaje się rozprzestrzeniać w miarę, jak się doń zbliżamy, a skały, tworzące tę bramę, rosną nam w oczach. O zachodzie słońca wjedziemy znowu na płaszczyznę; obyśmy tylko wjechali wszyscy...

O! jakąż straszną krzyżową drogę przebyliśmy dzisiaj! Od kilkudziesięciu godzin drżymy za lada szelestem, spoglądając ku hamakowi Woodbella — czy to już?... On tam dogorywa; co do tego nie ma zgoła wątpliwości. Stał się teraz cichy i spokojny, patrzy na nas tylko błagalnymi oczyma, w których widno[40], że tak pragnie, tak straszliwie pragnie życia! A my mu nic poradzić nie możemy.

Ostatnie wstrząśnienia podczas przeprawy przez szczelinę zaszkodziły mu jeszcze. Przebyliśmy już prawie dwie trzecie drogi, gdy pod 3° wsch. dł. mniej więcej natrafiliśmy na przeszkodę, która o mało nie zmusiła nas do zawrócenia z powrotem na *Mare Imbrium*. Słońce stało już nisko nad horyzontem i cała zachodnia strona doliny tonęła w nieprzeniknionym cieniu, rozjaśnionym zaledwie tu i ówdzie skośnym słabym światłem Ziemi. Musieliśmy się trzymać podnóża wschodniego wału, aby uniknąć zagubienia się w nocy. Wał dochodził tutaj największej wysokości i olbrzymi wznosił się stromo nad nami, tak prawie, jak pionowa krawędź *Alp*, pod którą przesuwaliśmy się przed południem.

Otóż w tym miejscu nagle spostrzegliśmy o paręset kroków przed sobą czarną pręgę, zagradzającą nam drogę na całej szerokości. Gdyśmy się do niej zbliżyli, okazało się, że jest to szczelina przecinająca na poprzek[41] oba wały skalne i dno doliny. Wypełniona była grubym cieniem aż po brzegi, tak że nie mogliśmy się nawet domyśleć jej głębokości. Tysiące metrów wysokie ściany gór rozdarte nią były aż do podstawy.

Zatrzymaliśmy się bezradni nad tą nową a nieprzebytą przeszkodą.

---

[38] *któreśmy (...) mieli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: które mieliśmy.
[39] *okrom* — oprócz.
[40] *w których widno* — dziś: w których widać.
[41] *na poprzek* — dziś: w poprzek.

Widzieliśmy na mapie tę szczelinę, przerzynającą wyżynę, która dzieli *Mare Imbrium* od *Mare Frigoris*, aż gdzieś od północnych stoków *Platona* w południowo-wschodnim kierunku, ale nie przypuszczaliśmy, aby była tak głęboka, iżby krajała i dno *Poprzecznej Doliny*, leżące od dwu do trzech tysięcy metrów niżej od poziomu okolicznych wyżyn, rozciągających się poza wałami. Pot mi wystąpił kroplami na czoło, gdym zobaczył tę otchłań tuż przed nami. Piotr zaczął kląć z cicha.

Tymczasem Tomasz, zaniepokojony zarówno naszym zachowaniem jak i tym, że wóz stoi, zaczął się dopytywać, co się stało. Baliśmy się powiedzieć mu prawdy, on jednak, nie dowierzając widocznie naszym wybiegom, zebrawszy ostatek sił, podniósł się i wyjrzał przez okno. Patrzył przez chwilę, a potem położył się spokojnie i na pozór obojętnie. Z ust wypadło mu tylko:

— Oni nie chcą, abym żył...

— Kto? — zapytałem zdziwiony.

— Bracia Remognerzy — odpowiedział chory i zamilkł, przymknąwszy oczy, jakby już oczekiwał śmierci.

Nie mówiłem z nim więcej i nie miałem nawet czasu zastanawiać się nad znaczeniem tych dziwnych słów, gdyż trzeba było naradzić się z Piotrem, co począć teraz. Myśleliśmy już nawet o powrocie na *Mare Imbrium*, gdy Piotrowi przyszła szczęśliwa myśl, aby za pomocą silnego reflektora oświetlić dno szczeliny i zobaczyć, jak właściwie jest głęboka. Zbliżywszy się tedy do samej krawędzi, puściliśmy promień światła elektrycznego. Szczelina, dość w tym miejscu wąska — nie była też głęboka. Natomiast dno jej zasypane było całkowicie gruzem, wśród którego sterczały ogromne odłamy kamienia. Podobne to było do wyschniętego łożyska potężnego strumienia górskiego. I kto wie czy tędy w istocie nie płynęła kiedy woda, skorzystawszy z drogi utworzonej przez inne siły?

Blask reflektora przesuwał się po czarnych, bezładnie spiętrzonych głazach, błyskał na czołach wynioślejszych i ginął w głębokich nieregularnych rozpadlinach, a my patrzyliśmy ciągle, nie umiejąc nic postanowić. Wtedy Marta zbliżyła się ku nam.

— Czemu nie puszczacie się w drogę? — zapytała takim głosem, jakby nam wydawała rozkaz.

A potem dodała, wskazując głową Tomasza:

— Ja muszę żyć, dla niego... przy mnie teraz nie potrzebujecie się niczego obawiać...

Spojrzeliśmy na nią w zdumieniu. Co się z nią stało? Nigdy się jeszcze tak do nas nie odzywała. Oczy błyszczały jej dziwnie, w całej postaci, w słowach i w ruchu znać było majestat jakiś nowy, a pewny siebie. Oh! jakże ta kobieta jest piękna i godna pożądania! Varadol wpatrzył się w nią płomiennym wzrokiem, a mnie nagle ogarnęła wściekłość na niego. Chwyciłem go brutalnie za ramię i krzyknąłem cały zapieniony:

— Czy nie widzisz, że nie mamy czasu do stracenia! mów, w tył czy naprzód jedziemy?

Piotr zwrócił się do mnie gwałtownie i tak przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, gotowi skoczyć sobie do oczu.

Wtem zabrzmiał półgłośny, szyderczy a pogardliwy śmiech Marty. Doznałem nagle wrażenia, jakby mi się skóra jeża wbiła w serce setką kolców. Spuściliśmy obaj wzrok zawstydzeni, a ona odeszła, wzruszając z lekka ramionami. Uczułem, że zaczynam jej nienawidzić.

Ostatecznie postanowiliśmy spuścić się w szczelinę i przebyć ją po zaścielających dno głazach. Łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać. Znalazłszy w jednym miejscu tuż pod wschodnią ścianą doliny skośny upłaz, poczęliśmy zsuwać po nim wóz z największą ostrożnością. Najgorsza jednak przeprawa czekała nas na dnie szczeliny. Nie dochodziło tu już światło słońca ani Ziemi, tak że znaleźliśmy się w nocy absolutnej. Wprost nie umiem opowiedzieć trudów przebycia tych paruset metrów. Reflektor latarni elektrycznej rozświetlał tylko wąski pas przed nami, niepodobna się było prawie orientować. Na przemian jeden z nas szedł naprzód piechotą, a drugi pozostawał przy sterze. Wóz nachylał się ciągle, podskakiwał, uderzał o głazy lub opadał, raz uwiązł nawet tak, że zwątpiliśmy, czy nam się go uda wydostać. Wreszcie dobiliśmy do przeciwległej krawędzi szczeliny. Na szczęście grunt się tu obsunął, przez co utworzyła się pochyłość, po której z pomocą „łap" wdarliśmy się na górę.

W połowie pochyłości mniej więcej dostaliśmy się już w światło słoneczne. Przejście od cienia do blasku za jednym podrzutem wozu było tak szybkie, że musiałem zmrużyć

oczy przed tą jasną falą zalewającą nas nagle. Gdym rozwarł powieki i obejrzał się poza siebie, doznałem wrażenia, że całe przebycie szczeliny było snem. O paręset kroków za sobą widziałem krawędź raptownie urywającego się gruntu; między nią a nami był pas absolutnej czarności. Miałem tylko jakby niejasne wyobrażenie, że przed chwilą byliśmy tam, na dnie tej, jak się zdawało, bezdennej rozpadliny, w tej gęstej nocy, żeśmy się tam przedzierali po czarnych, okropnych głazach, błyskających przed nami w świetle elektrycznym tak nagle i na krótko, jakby naraz z nicości powstały i na powrót się rozpływały w nicość — ale nie mogłem wprost uwierzyć w rzeczywistość tej straszliwej przeprawy.

Wydostawszy się na poziom *Poprzecznej Doliny*, zatrzymaliśmy się na chwilę, aby odjąć „łapy" i opatrzyć wóz, czy szwanku nie poniósł. Wszystko było w porządku i mogliśmy się puścić w dalszą drogę. Wszystko — z wyjątkiem zdrowia Tomasza. Doznane wstrząśnienia tak go osłabiły, że parę godzin leżał jak martwy, jęcząc tylko z cicha niekiedy.

Ujechaliśmy już kawał drogi, gdy Tomasz nagle się zerwał i usiadł na hamaku. W szeroko rozwartych oczach paliła mu się znowu gorączka. Piotr zajęty był przy sterze wozu, ale my z Martą nadbiegliśmy natychmiast. On przez chwilę patrzył na nas błędnie, a potem zawołał nagle:

— Marta! ja umrę!

Marta zbladła i pochyliła się ku niemu:

— Nie. Ty będziesz żył — wymówiła z cicha, ale dobitnie i nagle krwawy rumieniec oblał ją całą.

Tomasz potrząsnął z lekka głową, a ona, nachyliwszy się jeszcze więcej ku niemu, zaczęła mówić coś półgłosem po malabarsku. Nie rozumiałem słów, ale widziałem, że wywarły wielkie wrażenie na Tomaszu. Naprzód twarz mu się rozjaśniła, potem przebiegł po niej uśmiech niewypowiedzianie smętny, a wreszcie łzy mu się zakręciły w oczach i z cichym jękiem począł całować włosy pochylonej na jego pierś dziewczęcej głowy.

Od tej chwili jakiś czas przeleżał spokojnie, trzymając wciąż rękę Marty w wyschniętych i spotniałych dłoniach. Atoli wkrótce znów się począł zrywać i siadać; snadź mu brakowało oddechu.

— Marta, ja umrę — powtarzał co chwila w trwodze, a ona odpowiadała niezmiennie:

— Ty będziesz żył.

Zwykle cichnął po tej odpowiedzi, jak małe płaczące dziecko, gdy mu matka dłoń na oczach położy. Ale raz usłyszawszy te słowa, odpowiedział:

— Cóż mi z tego, kiedy nie dożyję...

A potem dodał:

— Oni mi żyć nie pozwolą... Remognerzy...

Nie mogłem już powstrzymać ciekawości i zapytałem go wręcz, co mają Remognerzy wspólnego z jego chorobą.

Wahał się przez chwilę, aż wreszcie rzekł:

— Teraz już wszystko jedno... teraz wam opowiem...

I zaczął opowiadać z wolna, cichym głosem, przerywanym przez bicie serca i duszność.

— Pamiętacie — mówił — to trupie miasto tam na pustyni za *Trzema Głowami*? Dziś jeszcze majaczy przede mną ze swymi wieżami w gruzach i z tymi wpół rozwalonymi bramami... Wiem, że umrę, ale żal mi jeszcze, żem go nie zwiedził. Ale, widzicie, to było tak... Gdym wyszedł z wąwozu, musiałem się wspinać po różnych spiętrzonych kamieniach, podobnych do zrujnowanego bruku starego rzymskiego gościńca gdzieś w Szwajcarii lub we włoskim Apeninie... Nareszcie wydostałem się na miejsce nieco równiejsze. Teraz miasto było przede mną jak na dłoni. Widziałem już wyraźnie ogromną bramę o połowie łuku i potężnych filarach, gdy wtem, wtem...

Chwycił nas za ręce i wzniósł się nieco na pościeli. Oczy miał szeroko otworzone, twarz trupio blada stała się teraz zieloną.

— Ja wiem — mówił — wam się zdaje i mnie zdawało się... kiedyś... że jedyną prawdą jest ta wiedza... na doświadczeniu oparta, w matematyczne dająca się ująć formuły, a jednak są rzeczy niepojęte i dziwne... Możecie się śmiać ze mnie, ale to postaci rzeczy nie zmieni... Bardzo mało wiemy dotąd na pewno, bardzo, bardzo mało.

Zamilkł na chwilę i spojrzał na nas, jakby badając, czy nie szydzimy w duchu z jego słów, ale myśmy siedzieli cisi i zadumani. Odetchnął więc głęboko i ciągnął dalej przerwane opowiadanie:

— Wtem... zobaczyłem... dwa cienie — nie! dwóch ludzi, trupów czy upiorów — wyszli spod bramy i posuwali się wprost ku mnie... Nogi zadrżały pode mną. Zamknąłem oczy chcąc odegnać przywidzenie, ale gdym je po chwili znów otworzył, zobaczyłem... cztery kroki przed sobą — obu braci Remognerów! Stali obaj, trzymając się za ręce, okropni, nabrzmiali, skrwawieni, tacy, jak ich znaleźliśmy — i patrzyli obaj we mnie tak strasznie... Znacie mnie, nie jestem lękliwy, nie jestem skłonny do przywidzeń, ale to wam mówię, oni tam stali i ze strachu zamieniłem się w bryłę lodu. Nie mogłem się poruszyć, odwrócić... Wtedy oni zaczęli mówić, tak, mówić! a ja słyszałem ich głos, choć tam nie było powietrza, tak jak was tu słyszę...

— I co mówili? — zapytałem mimowolnie.

— Po co wam to wiedzieć — rzekł. — Dość że ja to słyszałem. O! zadość, zadość... Powiedzieli mi, jak ja umrę i jak wy pomrzecie, wy obaj... Wyznaczyli dzień i godzinę. I powiedzieli mi jeszcze, że nie opuszcza się Ziemi bezkarnie i nie zagląda się bezkarnie w tajemnice oku ludzkiemu zakryte. Lepiej nam było — mówili — umrzeć tam, na *Mare Imbrium*, niż im nieżywym kradnąc powietrze, przedłużać życie na męki, tylko na męki... „Myśmy poszli za wami — tak mówili, słyszałem — i wyście śmierci naszej winni, ale i wy..." Mówiąc to, błyskali zawistnie zbielałymi oczyma i uśmiechali się obaj złośliwie strasznymi, nabrzmiałymi usty[42].

W tej chwili dostrzegłem, że stoi za nimi O'Tamor blady, biały, wyschnięty... On się nie uśmiechał i nic nie mówił, tylko był smutny i patrzył na mnie jakby z litością... Krzyknąłem z przerażenia i zbierając całą siłę woli, oderwałem zlodowaciałe nogi od gruntu i zacząłem uciekać. Zapomniałem już o mieście, o wszystkim. Potknąłem się, chciałem się podnieść i powstać, ale wnet uczułem, że mi brak powietrza, i straciłem przytomność.

Umilkł wyczerpany, a nas opanowało dziwne przygnębienie. Jestem przekonany w głębi duszy, że to wszystko było złudzeniem, podobnie jak owo miasto mam dziś za złudzenie wywołane dziwnym ugrupowaniem skał, a jakoś nie śmiałem mu tego powiedzieć. A zresztą... bo ja wiem? Są dziwne zagadki i tajemnice. Na ten glob zastygły przyszli już ludzie i przyszła Śmierć; może z ludźmi i ich nieodłączną towarzyszką, Śmiercią, przyszło i to *Coś* nieznane, które od wieków urąga na Ziemi wszelkiej wiedzy, wszystkim badaniom i dociekaniom?

Po tym opowiadaniu Tomasz zasnął na pół godziny.

Gdy się obudził, zaczął pytać, gdzie jesteśmy. Powiedziałem mu, że się zbliżamy do końca *Poprzecznej Doliny* i wkrótce dostaniemy się na *Mare Frigoris*. Słuchał, jakby nie rozumiał tego, co mówię.

— A tak — rzekł wreszcie — tak, tak... mnie się śniło, że byłem na Ziemi.

Następnie zwrócił się do Marty:

— Marta! opowiadaj, jak to jest na Ziemi.

I Marta zaczęła opowiadać:

— Na Ziemi jest powietrze błękitne, a po nim chodzą chmury. Na Ziemi jest dużo, dużo wody, całe ogromne morze. Na wybrzeżu morza jest piasek i muszle różnokolorowe, a dalej są łąki, na których kwitną takie wonne, słodkie, wilgotne kwiaty... Za łąkami znowu są lasy, pełne różnych zwierząt i śpiewających ptaszków. Gdy wiatr zawieje, to morze huczy szeroko i lasy szumią, i trawy szeleszczą.

Tak opowiadała z dziecinną prostotą, a my słuchaliśmy jej słów jak najpiękniejszej, czarodziejskiej bajki... Chory poruszył z lekka wargami, jakby za nią powtarzał: a lasy szumią, a trawy szeleszczą...

— My tam już nie będziemy — rzekł wreszcie głośno.

Odpowiedziało mu nagłe łkanie Marty. Nie mogła się już powstrzymać. Czoło oparła o brzeg hamaku i trzęsła się cała w nieutulonym, strasznym, rozpaczliwym płaczu.

— Cicho, cicho — mówił Tomasz, dotykając z lekka dłonią jej włosów. Ale i jego lęk zaczynał ogarniać.

Zwrócił się twarzą ku nam i zaczął znów mówić głosem urywanym i jakby z trudem wydobywającym się z piersi.

— Ratujcie mnie! miejcie litość! ratujcie! Ja nie chcę umierać! tutaj nie chcę! Tu tak strasznie! ratujcie mnie! Ja chcę... żyć, jeszcze... żyć... Marta...

---

[42]*usty* — dziś popr. forma N.lm: ustami.

Rozpłakał się jak kobieta, a płacząc wyciągał jeszcze ku nam chude, błagalne dłonie.

Cóżeśmy mu mieli odpowiedzieć? jak go ratować?

Zbliżamy się do ujścia doliny i płaszczyzna Morza Mrozów widna już przed nami. Mam bolesną pewność, że przebędziemy ją sami, bez Tomasza — niestety!

Na *Mare Frigoris*, trzecia doba księżycowa, 23 godziny po zachodzie słońca.

Rzucam okiem na ostatnie słowa za dnia napisane: sprawdziły się. Na równinę *Mare Frigoris* wjechaliśmy sami. Tomasz Woodbell umarł dziś o zachodzie słońca.

Taka pustka straszliwa! Ubywa nas ciągle; już tylko troje zostało...

Nie mogę myśleć o niczym innym, jak tylko o tej cichej, a tak strasznej śmierci Tomasza.

Tarcza słoneczna dotknęła już była dolnym brzegiem widnokręgu, gdyśmy wreszcie po tygodniu drogi wyjechali ze skalnego korytarza. Przed nami rozciągała się gładka, ostatnimi promieniami słońca pozłocona płaszczyzna. Mówię: pozłocona, gdyż słońce, czegośmy poprzednich zachodów nie spostrzegali, skłoniwszy się na horyzont, przybrało barwę żółtawą i rozjaśniło nieco krąg czarnego nieba naokoło siebie. Znak to niewątpliwy, że atmosfera jest tu już gęściejsza. Zauważyliśmy i drugą rzecz nader pomyślną: *Mare Frigoris* jest całe zasłane piaskiem. Widocznie była ta równina niegdyś dnem prawdziwego morza.

Otucha wstąpiła nam w serce, zwłaszcza że Tomasz na pozór przynajmniej miał się lepiej. Zaczynaliśmy się już rozweselać, już się nam zdawało, że lotem ptaka przelecimy tę płaszczyznę i nim słońce wzejdzie, staniemy wraz z Tomaszem w Kraju Życia, poczujemy wianie wiatrów, usłyszymy szmer wody, zobaczymy zieleń...

Miało się stać inaczej.

Zaledwie ujechaliśmy kilkanaście metrów po płaszczyźnie, Tomasz odezwał się z prośbą, aby zatrzymać wóz. Najlżejszy ruch męczył go niesłychanie...

— Chcę odpocząć — mówił słabnącym głosem — i popatrzeć na słońce, nim zajdzie.

Stanęliśmy tedy, a on zaczął patrzyć na słońce, lejące mu na twarz całą strugą blaski ostatnie i złote. Patrzył przez chwilę nieruchomie, a potem odezwał się do Marty:

— Marta, jak to jest: *Słońce, ty boże jasny...* Jak dalej?

A Marta na to, podobnie jak przy pierwszym z Księżyca widzianym słońca zachodzie, stanęła w pełnym blasku, wyciągnęła ręce i wznosząc ku niknącemu światłu pełne łez oczy, zaczęła pół mówić, pół śpiewać dziwny, w falistych rytmach rozpływający się hymn:

> Słońce, ty boże jasny, odchodzisz od nas do krain, których nie znamy!
>
> Słońce, o światłości nieba, o rozkoszy ziemi, odchodzisz, pozostawiając w smutku nasze oczy, aby zaświecić tym, którzy z ciał już wyzwoleni...
>
> Którzy z ciał już wyzwoleni, a nowych jeszcze nie wzięli, jako niewolnicy, których na chwilę puszczono, aby mieli dzień ciszy i spokoju, nim powrócą do kaźni i łańcuchów.
>
> Dobry jest *On*, dobry jest Przedwieczny, Niewymawialny i Niepojęty, który uczynił dzień ciszy wśród walk i utrapienia...
>
> W Nim jest źródło i ujście wszechrzeczy, w Nim są roztopione dusze tych, co walkę już ukończyli, powracając w miejsce, skąd wyszli byli przed wiekami...
>
> O Słońce, boże jasny, ty idziesz pod stopy Jego, a w smutku pozostają tu nasze roztęsknione oczy...

Woodbell słuchał i zdawał się zasypiać. Nagle rozwarł oczy:

— Marta! O'Tamor umarł?

— Umarł.

— Remognerzy umarli?

— Umarli.

— Ja umrę także... I oni... oni... — na nas wskazał oczyma.

— Oni pomrą. Ty będziesz żył — odpowiedziała znowu z tym dziwnym, głębokim przeświadczeniem.

— A tak... — szepnął chory — ale co mnie z tego...

Na chwilę zapanowało milczenie. Selena wspięła się przednimi łapami na hamak i lizała jego zwieszoną dłoń. On spojrzał i zrobił ruch ręką, jakby chciał pogłaskać wierne zwierzę, ale widocznie sił mu już brakowało...

— Moja, moja suka... — szepnął tylko.

Potem powiedział, że chce popatrzyć na Ziemię. Zwróciliśmy go tak, aby ją mógł widzieć. Stała właśnie w kwadrze ponad skałami od południa. Patrzył długo, wyciągając ręce z ogromną tęsknotą ku temu jaśniejącemu na niebie półkręgowi, przez który przesuwał się właśnie z wolna cień Oceanu Indyjskiego, z jasnym, wgłębiającym się weń trójkątem Indii.

— Patrz, patrz! tam jest Travancore — zawołał chory.

— Tam jest Travancore — powtórzyła Marta jak echo.

— Tam byliśmy szczęśliwi...

— Tak, szczęśliwi...

Chory zaczął się znowu niepokoić.

— Marta! czy ja tam pójdę po śmierci?... Bo widzisz, nie chcę... błąkać się tutaj... po tej pustyni... w tym mieście umarłych... Marta, czy ja tam pójdę?...

Marta milczała, schyliwszy głowę, a Tomasz począł znów nalegać...

— Marta! czy ja tam pójdę... po śmierci?... na Ziemię?

Kurcz bólu wykrzywił twarz dziewczyny, ale się przemogła i odpowiedziała cicho, głosem pełnym łez...

— Pójdziesz na chwilę, na dzień ciszy... Potem powrócisz do mnie.

Oczy zachodziły mu już bielmem śmierci, dłonie bezwładnie opuszczonych rąk były sine i zimne. Drgnął jeszcze raz i szepnął ledwo dosłyszalnie:

— Marta, jak to jest na Ziemi?

Marta zaczęła znów opowiadać o morzu, o łąkach, o kwiatach, a jemu na ustach osiadał jakiś bolesny, lecz spokojny uśmiech i oczy przymykały się z wolna.

Rozwarł je jeszcze raz na chwilę, spojrzał na Ziemię i na słońce, jaśniejące już tylko wąskim rąbkiem nad pustynią, westchnął lekko i skonał z ostatnim błyskiem gasnącego dnia.

Gwałtowny, szalony płacz Marty rozległ się w nagle zapadającym mroku.

Po ciemku już wykopaliśmy grób i przysypaliśmy mu piaskiem oczy.

I znowu jesteśmy w drodze od dwudziestu blisko godzin.

Posuwamy się po równej, piaszczystej pustyni. Minęliśmy już przy wyjściu z *Poprzecznej Doliny* 50 równoleżnik; Ziemia wzniesiona jest już tylko 40° nad widnokręgiem, ale na szczęście nie ma na tej płaszczyźnie wyniosłości, które by cień rzucały. Jeśli się da, pojedziemy całą noc bez przerwy...

Ogromny smutek nas gnębi. Marta siedzi obezwładniona, zdziczała boleścią, a u nóg jej Selena wyje za swym zmarłym panem. Dajemy jej pokarm, chcąc ją uciszyć, ale nie chce jeść. Przyzwyczajona była brać wszystko z ręki Tomasza.

Na *Mare Frigoris*, 0°6' wsch. dł., 55° pn. szer. księżycowej, po północy, z początkiem doby czwartej.

Zwracamy się wprost na północ ku biegunowi. Od stu siedemdziesięciu kilku godzin, to jest od śmierci Woodbella, posuwaliśmy się w północno-zachodnim kierunku. Teraz już grób jego pozostał za nami daleko, daleko... Tydzień minął już na Ziemi, jakeśmy go pochowali.

Przez cały tydzień piasek sieje się przez koła naszego wozu i tylko syk motoru przerywa ciszę, nieustannie wśród nas panującą. Marta nie płacze, siedzi niema z zaciśniętymi ustami i szeroko rozwartymi oczyma, w których łzy już wyschły. Selena nie żyje.

Po śmierci Tomasza nie chciała jeść, wyła tylko całymi godzinami i biegała po wozie, węsząc wszystkie przedmioty, które do niego należały, których ręką bodaj dotykał. Wreszcie położyła się w kącie, osłabła i osowiała, warcząc groźnie, gdy się kto z nas chciał do niej zbliżyć. Obawialiśmy się, aby nie popadła w wścieklizną, i dlatego, choć z wielkim żalem, musieliśmy ją zabić. Zresztą pewien jestem, że i tak nie byłaby długo żyła.

Tak więc strasznie cicho jest w naszym wozie, bo my cóż my z Piotrem możemy do siebie mówić? Stała się rzecz zła. Śmierć Tomasza, to nie tylko śmierć człowieka, nie tylko strata dzielnego, wiernego i drogiego przyjaciela: to straszliwe nieszczęście, to potworna

Kobieta, Mężczyzna, Pożądanie, Konflikt

ironia, rzucająca nagle między nas dwóch tę kobietę, której obaj zarówno pragniemy. Nie mogę spojrzeć na nią, aby mnie nie przeszedł dreszcz pożądania, a równocześnie odczuwam jasno całą okropną ohydę tego... świętokradztwa wobec świeżej mogiły przyjaciela. Zdaje mi się, że duch Tomasza jest jeszcze gdzieś blisko, że pluje mi w serce, widząc te myśli moje, ale nie mogę się oprzeć, nie mogę, nie mogę! Gorączka mózg mi trawi, krew faluje wściekle we wszystkich żyłach, a oczy mam jej tak pełne, że choć zamknę powieki, widzę ją przed sobą z jakąś straszną, niesłychaną wyrazistością.

Powstrzymuję swe myśli przemocą jak zgraję wściekłych psów, ale one zrywają się ze smyczy mej woli, rzucają się wszystkie na nią, bezczelnie zdzierają z niej suknie, łaszą się i ocierają o każdy jej kształt, wiją się około jej ciała i brudzą je ohydnymi pyskami, a widząc, że mimo wszystko jest niewzruszona i zimna, zaczynają szczekać i targać ją zębami i gryźć, i szarpać... O, te podłe myśli moje, jakże mnie one męczą straszliwie!

Z Varadolem dzieje się to samo; wiem, czuję, widzę to. On wie również, co się dzieje we mnie. Stąd ta głucha, zaciekła nienawiść między nami. Po co się łudzić, po co nazywać rzeczy pięknymi imionami! Jesteśmy obaj podli, bo ona jest między nami. Jest nas dwóch tylko na tym strasznym świecie, a coś w głębi naszych dusz woła, że nas o jednego za wiele. Nie mówimy do siebie wcale i nie patrzymy sobie w oczy. Czasem tylko chwytam z boku spojrzenia Varadola, straszne spojrzenia, przez które błyska śmierć, jak pożar przez okna płonącego wewnątrz domu.

Czy się go boję? Nie! nie! po stokroć nie! — choć wiem, że każdej chwili, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, może mnie uderzyć z tyłu i zabić — ot, na przykład teraz, gdy piszę schylony, a on stoi za mną i widzi mój odsłonięty kark... Dreszcz mnie przechodzi, ale nie odwracam się, nie chcę schwycić jednego z tych spojrzeń, w których widzę jak w zwierciadle podłość własną. Zresztą, istotnie, nie boję się tej nagłej i niespodziewanej śmierci, która mnie może spotkać; śmierć tylko wtedy jest straszna nad wszelki wyraz, gdy się zbliża powoli a nieuchronnie — wiem to z doświadczenia. Strach mi tylko jednego, strach mi myśli, że on może posiąść tę kobietę, do której nie większe ode mnie ma prawa, że może pocałunkami zarumienić jej od łez jeszcze bladą twarz, zmusić jej pierś, zrywaną jeszcze łkaniami nieukojonymi, do szybkich, namiętnych westchnień... a! myśleć o tym nie mogę!

Szpiegujemy się wzajemnie tak, że doprawdy, póki obaj żyjemy, ona bezpieczna jest między nami!

Ale czasem ogarnia mnie wściekłość. Chciałbym napluć sobie w twarz, a potem stanąć przed nim i powiedzieć głośno: „Pójdź! bijmy się o nią, gryźmy się, jak dwa wściekłe wilki o sukę — niepewni jutra, niepewni życia, wygnańcy na tym świecie, walczmy o tę wobec nas tak wzgardliwie obojętną kochankę naszego świeżo zmarłego przyjaciela! Nim jutro umrzemy, pójdź! bijmy się dzisiaj!".

Ale jestem zanadto hipokrytą i tchórzem, aby to uczynić... Och! jak ja gardzę sobą!

I nią gardzę, i jej nienawidzę! Są chwile, kiedy byłbym zdolny rzucić się na nią, zmusić razami jej milczące, smutne usta do krzyku — a potem zdławić ten krzyk wraz z życiem. Może by lepiej tak było... Zostalibyśmy sami, bez celu, bez pobudki do życia, może byśmy wtedy nawet dobrowolnie pomarli, ale przynajmniej nie byłoby między nami...

Kobieta

Po co ona żyje? co ją tu trzyma? jak ona może jeszcze żyć, jeśli kochała tamtego człowieka i jeśli naprawdę on dla niej był wszystkim, i z nim wszystko się dla niej skończyło? My jesteśmy podli, ale i ona jest podła! Pies, suka nierozumna — okazała więcej przywiązania, bo nie przeżyła śmierci pana, który ją wykarmił! A wszakże ta suka nie odebrała ani setnej części tych pieszczot, nie doznała ani tysiącznej części tej miłości, którą on okazywał kobiecie! Ale kobieta żyje... I kto wie, kto wie, może z tych oczu, na pozór w boleści zastygłych i zagasłych, rzuca już na nas ukradkowe spojrzenia, może w jej mózgu, pełnym jeszcze obrazu tamtego, zmarłego, rodzi się już cicha myśl, którego z tych dwóch żywych wybrać, aby pełnić odwieczne dzieło kobiety?...

Może, może jest w tym wszystkim jakaś pierwotna, żywiołowa, przez naturę w istoty nasze włożona, a więc święta, żądza istnienia i stwarzania, która nie ogląda się na nic, nie liczy się z przeszłością ani o przyszłości myśli — ale dla mnie w tej chwili jest to tak wstrętne, takie ohydne i potworne!

A! czemu ta kobieta żyje!

A jednak — czuję — że jej śmierci nie przeniósłbym[43].

Na *Mare Frigoris*, 0°30' wsch. dł., 61° pn. szer. księż., czwarta doba, 172 godziny po północy.

Marta miała słuszność, mówiąc Tomaszowi: „Ty będziesz żył!". Ach! że ja od razu wówczas tego nie zrozumiałem!

Upłynęło już było trzy czwarte nocy, gdy spostrzegłem, siedząc przy sterze, że Piotr kręci się wciąż koło mnie z takim wyrazem twarzy, jakby chciał zacząć rozmowę. Do tego czasu ograniczaliśmy się do zamiany słów koniecznych tylko, zdziwiło mnie to więc, ale i ucieszyło zarazem. Czułem, że czas nareszcie zrzucić z siebie tę nieznośną, gniotącą zmorę i wyjaśnić nasz wzajemny stosunek.

Zapytałem go tedy, jak mogłem najuprzejmiej:

— Czy życzysz sobie czego ode mnie?

— Owszem, owszem — podchwycił skwapliwie, siadając obok — chciałem z tobą pomówić...

Zauważyłem, że zmuszał się do uśmiechu, ale twarz drgała mu kurczowo. Mimo woli spojrzałem mu na ręce. On, jakby zrozumiał moje przelotne spojrzenie, zarumienił się i wyjąwszy dłonie z kieszeni, oparł je próżne na kolanach. Po chwili zaczął, jąkając się nieco:

— Tak, tak, widzisz, chciałem z tobą... Bo zdaje mi się, że tej nocy zatrzymać się nie potrzebujemy, gdyż nie ma wielkiego mrozu, a droga równa i dość jasno, choć Ziemia nisko stoi nad widnokręgiem; zresztą przyznasz, należy się spieszyć, a więc...

Nie spuszczałem zeń oka, a on mieszał się coraz bardziej.

Nagle zmieniając ton, krzyknął porywczo:

— Do krocset! jedziemy bez przerwy ku północy, nieprawdaż?

— Tak... — przyświadczyłem, siląc się na spokój.

Znowu nastała chwila kłopotliwego milczenia. Varadol zerwał się i zaczął chodzić niespokojnie. Zdawałem sobie jasno sprawę z tego, co się z nim dzieje, wiedziałem, o czym chciał ze mną mówić, i że dlatego plótł rzeczy obojętne, bo nie mógł wykrztusić słowa stawiającego nas twarzą w twarz wobec rzeczy, którą nareszcie wcześniej czy później należało rozstrzygnąć. Przez chwilę uczuwałem złośliwą radość z powodu jego męki, a potem, ale to tak zupełnie nagle, żal mi się go zrobiło. Było jedno mgnienie oka, kiedy gotów byłem rzucić się mu na szyję i — bo ja wiem, co? — zakląć go na naszą dawną przyjaźń, ustąpić mu tej kobiety albo prosić go, aby się zgodził na jej śmierć — nie wiem. Ale opanowałem się natychmiast; to nie prowadziło do niczego zgoła. Uczułem natomiast, że niepodobna odwlekać stanowczej rozmowy.

— Czy to mi tylko chciałeś powiedzieć? — zagadnąłem go znienacka.

On się zatrzymał, uderzony snadź życzliwym tonem mego głosu, i spojrzał mi badawczo w oczy. Potem uśmiechnął się z dziwnym smutkiem i powiódł dłonią po czole. Widziałem, że ręka drżała mu jak w febrze.

— Tak istotnie, chciałem nadto...

Urwał nagle i spojrzał na Martę. Wahał się jeszcze chwilę, aż wreszcie zmarszczył brwi i urywanym, suchym głosem wyrzekł po niemiecku, aby go Marta nie mogła zrozumieć:

— Co my zrobimy z tą kobietą?

Spodziewałem się tych słów, a mimo to podziałały tak na mnie, jak uderzenie młota w głowę. Zahamowałem gwałtownie wóz, bo krew mi uderzyła do mózgu i przysłoniła ciemną falą oczy. Serce biło mi w piersi, w ustach uczułem nieprzyjemną suchość. Chwila stanowcza nadeszła.

Spojrzałem na Varadola. Stał przede mną blady jak trup i patrzył mi uparcie w oczy. Tego wzroku nie zapomnę do śmierci! Był w nim niepokój i podłe, psie niemal błaganie, i groźba zarazem jakaś straszliwa.

Bez słowa odpowiedzi odsunąłem go odruchowo na bok i nie zdając sobie wprost sprawy z tego, co robię, podszedłem ku Marcie, która siedziała nad jakimś szyciem. On poszedł za mną.

---

[43] *przenieść* — tu: przetrzymać, wytrzymać, znieść.

— Czemu ty żyjesz, kobieto? — zapytałem z nagła z niesłychanie, jak teraz myślę, śmiesznym tragizmem, choć wówczas, Bóg świadkiem, nie miałem wcale do śmiechu ochoty!

Marta spojrzała na nas zdziwiona, a potem, oblawszy się krwawym rumieńcem, wyrzekła powoli, głosem z lekka drżącym, jakby się usprawiedliwiając:

— Czekam na powrót Tomasza...

Mnie porwała wściekła złość.

— Dość tych głupich bajań! — krzyknąłem, wyrywając jej równocześnie z rąk robotę, nad którą była pochylona.

Nie wiem, co by się było stało, ale w tej chwili rzuciłem okiem na ten kawałek płótna: była to koszulka dziecięca.

Zrozumiałem nagle wszystko. Niezdolny słowa przemówić, wyciągnąłem tylko rękę, pokazując tę rzecz Piotrowi. Krzyknął z lekka i odszedł szybko ku sterowi wozu.

Matka, Kobieta, Mężczyzna

Więc dlatego mówiła ona do umierającego Tomasza z takim przekonaniem: „*Ty* będziesz żył!" — dlatego nie poszła za nim!

Wszak według wierzeń jej ludu w dziecię urodzone po śmierci ojca przechodzi dusza zmarłego. Więc ona czeka, pewna, że Tomasz w dziecięciu do niej powróci okrążywszy wprzód duchem Ziemię, za którą tak tęsknił przy zgonie? Musiała mu powiedzieć tę „wesołą nowinę" i to, że tak czekać nań będzie — może wówczas gdy mówiła do niego przed śmiercią coś po malabarsku?

Wszystko to błyskawicą przez myśl mi przebiegło.

Spojrzałem na nią: płakała teraz cicho z twarzą ukrytą w tej małej koszulce, wykrojonej z bielizny zmarłego.

I nagle stało się ze mną coś dziwnego. Doznałem takiego wrażenia, jakby mi w sercu coś pękło, wrzód jakiś nieznośny, a równocześnie opadła z mych oczu łuska. Marta wydała mi się zupełnie inną istotą. Patrzyłem na nią ze zdziwieniem, jakbym ją po raz pierwszy zobaczył. To nie była już kobieta, o której posiadanie byłem niemal gotów przed chwilą walczyć z moim przyjacielem i jedynym współtowarzyszem na tym świecie; to była matka nowego pokolenia, zwyciężająca śmierć przez wielką tajemnicę życia i miłości.

Niewypowiedziana wdzięczność zalała mi duszę, wdzięczność za to, że zasłoniła się tym nimbem macierzyństwa przed nami, którzyśmy — ślepi! — widzieli w niej tylko cenny spadek po zmarłym. Schyliłem się bezwiednie i pocałowałem ją w rękę.

Drgnęła, ale snadź zrozumiała mój pocałunek, bo w tej chwili wzniosła twarz zapłakaną jeszcze, ale już dumną nowym i uznanym dostojeństwem.

Dziwna jest natura ludzka! Przecież to wszystko nie rozwiązuje sprawy, lecz odsuwa ją tylko na czas jakiś, a mimo to jesteśmy obaj tacy spokojni teraz, jak gdyby cała rzecz była już załatwiona. Mamy to przeświadczenie, że ta kobieta nie należy do żadnego z nas żyjących, lecz do tego, co umarł, i szanujemy ją, nie zastanawiając się — że przyjdzie może znowu czas, kiedy...

Ale nie! nie! nawet myśleć nie chcę o tym!

Teraz tylko na północ, wciąż na północ!

Pod *Timaeusem*, po wschodzie słońca czwartej doby księżycowej.

Żaden wschód jeszcze nie wzbudził w nas takiej radości i takiej nadziei, jak ten ostatni. Poprzedził go brzask, zjawisko, któregośmy tutaj na Księżycu jeszcze nie widzieli.

Noc była się właśnie skończyła i spodziewaliśmy się, że lada chwila szczyt góry, majaczącej przed nami w świetle Ziemi, a świadczącej, że dobijamy już do północnego krańca *Mare Frigoris*, rozbłyśnie nagle pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Nim się to jednak stało, zauważyliśmy, że czarne niebo od wschodu przybiera barwę nieco jaśniejszą, jakby je zasnuła lekka, opalowomleczna mgła. Sądziliśmy naprzód, że w jakiś niewytłumaczony sposób pojawia się pod tą znaczną szerokością — minęliśmy już bowiem sześćdziesiąty równoleżnik — światło zodiakalne, widoczne w pobliżu równika i przed wschodem słońca. Ale nie, nie było to światło zodiakalne; niebo osrebrzało się z lekka szeroko nad widnokręgiem i gwiazdy ćmiły się w białawym obrzasku. Wkrótce i szczyty *Timaeusa* — to bowiem był ów krater, do któregośmy się zbliżali[44], rozpłonęły[45]

[44]*do któregośmy się zbliżali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: do którego zbliżaliśmy się.
[45]*rozpłonąć* — dziś: rozpalić się.

w słońcu, ale, o dziwo! zakwitły na tle nocy jak lekko spłonione róże. Niepodobna było wątpić dłużej; ten świt i to światło zwiastowały nam, że tu powietrze dosyć już gęste, aby się rozświetlić przesiewającymi się przez nie promieniami i barwę ich białą zarumienić.

Przejęła mnie wielka, słodka radość; uśmiechnąłem się do Piotra, zapatrzonego całą duszą w to zjawisko, a potem zwróciłem się do Marty.

— Patrz — zawołałem — dziecię twoje przyjdzie już na świat tam, gdzie będzie można oddychać tak, jak na Ziemi!

Ona wzniosła głowę i popatrzyła ku wschodowi, który powlekał się, jak sen, lekką złotością, rozlewającą się tak po horyzoncie, jak się po naszych sercach rozlewała nadzieja nowego życia.

Słońce wschodziło powoli, wolniej jeszcze niż dni poprzednich, bo nie szło prosto w górę, lecz słaniało się po łuku pochylonym mocno ku południu i nisko nad widnokręgiem wiszącej Ziemi. Wyszedłszy całe, stanęło na niebie w wielkim kręgu jakby mgły białawej, przechodzącej w błękit, gubiący się w czarnym tle naokoło. W pobliżu słońca gwiazd już nie widać. Błyszczą jeszcze w dalszych stronach firmamentu, ale znikła już ich różnokolorowość i są coraz więcej podobne do tych migotliwych płomyków, którymi się tam na Ziemi nocny błękit nieba rozkwieca.

Jeszcze jedna, najwyżej dwie księżycowe doby, a będziemy mogli wyjść z tego wozu i odetchnąć pełną piersią po raz pierwszy księżycowym powietrzem.

Przez ostatnią noc ujechaliśmy ogromny kawał świata.

Mróz nocny jest tu w pobliżu bieguna znacznie lżejszy niż pod równikiem, gdyż słońce tu nie zapada tak głęboko pod widnokrąg, toteż nie zatrzymywaliśmy się w drodze ani na chwilę. O zachodzie słońca wjechaliśmy na *Mare Frigoris*, a teraz mamy już tę płaszczyznę poza sobą.

Od zachodniej strony rozpoczyna się już kraj górzysty; *Timaeus* jest jego słupem granicznym, który właśnie mijamy.

Przed nami, ku północy, rozciąga się płaszczyzna, wrzynająca się szeroką zatoką w pogórze, a sięgająca, jak mapy wskazują, do 68 równoleżnika. Nie jest ona już taka równa, jak *Morze Mrozów*, owszem, pofałdowana jest cała niskimi a równoległymi wzgórzami, które nam jednak nie utrudniają podróży, gdyż mają nader łagodny spadek. Powinniśmy ją przebyć, nim dzień się skończy, tak że najbliższa noc zastanie nas już w górach. Będzie nas wtedy jeszcze około sześciuset kilometrów dzieliło od bieguna...

Ale cóż znaczy sześćset kilometrów, gdyśmy ich już tyle przebyli?

Jesteśmy pełni otuchy i nadziei, wszystkie nieporozumienia między nami się rozwiały, znikły te zmory okropne, które nas w nocy dręczyły, jakby mgła, rozpływająca się w blasku wschodzącego słońca — krzepi nas ta myśl błogosławiona, że do upragnionego celu naszej ciężkiej pielgrzymki wieziemy zarodek nowego życia, i tak nam jakoś dobrze, tak spokojnie, że aż zdaje nam się chwilami, że nie żałujemy opuszczonej Ziemi.

Czemuż Tomasza nie ma z nami? Dzielił nasze udręczenia, cóż bym dał za to, gdybyśmy mogli się z nim podzielić nadzieją życia!

Czwarta doba księżycowa, 78 godzin po wschodzie słońca, 0°2' wsch. dł., 65° pn. szer. księżycowej.

Dziwny smutek mnie gnębi. Nie wiem, skąd przyszedł i czego chce ode mnie? Podróż odbywa się raźno, niebo nad nami zaciąga się z wolna ciemnym błękitem, skroś którego niewzruszone dotąd gwiazdy poczynają migotać, wszystko zapowiada bliskość owej „ziemi obiecanej", gdzie mamy nareszcie wypocząć po niewysłowionych trudach, trwających już czwarty miesiąc, a ja zamiast się radować, jestem smutny, coraz bardziej smutny.

Co temu winno[46]? może ta Ziemia, chyląca się wciąż ku widnokręgowi, którą za kilkaset godzin stracimy już z oczu zupełnie, może te groby, znaczące naszą drogę przez okropną bezpowietrzną pustynię Księżyca, może te przejścia wewnętrzne, po których dusza moja nie zdołała jeszcze ochłonąć, a może myśl o tym dziecięciu zmarłego, które się ma narodzić w kraju nieznanym i na los nieznany?

Spokojny jestem, tylko ten smutek nieznośny i to zmęczenie! Oczy nam już oślepły od rażących blasków słońca, nuży mnie widok płaszczyzn dzikich a bezkresnych i gór

[46]*co temu winno* — dziś: co temu winne.

przepaścistych, sterczących nad nami... O, gdyby mała, maleńka sadzawka wody, gałązka, trawka bodaj zieleni!...

Okolica tu wygląda na cmentarz ogromny. Jedziemy dnem od wieków wyschłego morza, po osadowych, na powierzchni skruszałych ławach wapienia, z którego sterczą resztki rozmytych pierwotnych skał pierścienniych.

Co się stało z tym morzem, które tu snadź[47] niegdyś falowało, wyciągając wygięte karki bałwanów ku Ziemi, widnej wówczas jak tarcza złota wśród chmur, przeciągających nad wodami? Brzeg tylko stoi nad suchą kotliną, stromy, ogromny, wyżarty uderzeniami fal już nieistniejących... Wiatry rozwiały starte na pył jego okruchy; teraz i wiatrów tu już nie ma. Pustka i martwota...

Tak straszliwie pragnę dostać się już do kraju, gdzie nareszcie zobaczę życie! O, byle jak najprędzej! bo sił może zabraknąć.

Marta z nas trojga jest może najcierpliwsza, ale cóż! ona swój świat ma teraz w sobie! I zdaje się, że o tym świecie swoim myśli więcej nawet niż o zmarłym kochanku. Widzę często, jak siedząc nad robotą, opuszcza nieraz ręce i patrzy gdzieś w przyszłość, uśmiechając się do swych myśli. Jestem pewien, że oczyma duszy widzi już wtedy maleńkie, różowe dziecię, wyciągające do niej rączęta. Czasem tylko głębokie westchnienie spędza jej z twarzy ten uśmiech niewypowiedzianej błogości i łzami napełnia jej oczy. To wspomnienie Tomasza, który nie zobaczy już swego dziecka. Ale potem uśmiecha się znowu; wie, że gdyby nie był umarł, nie mogłaby dusza jego powrócić do niej w dziecięciu.

Marta, zajęta wciąż swymi myślami, niewiele do nas mówi, ale kiedyś powiedziała mi: „Dobrze, że przyszłam tu za Tomaszem, bo teraz dam mu na nowo życie...".

Jakże nie ma się czuć szczęśliwą, jeżeli może tak o sobie powiedzieć?

Czwarta doba, 17 godzin po południu, na wyżynie przed *Goldschmidtem*, 1°3' wsch. długości, 69°3' pn. szer. księż.

Skończyły się już równiny; jesteśmy w górach, ciągnących się aż do bieguna. Szczególna to wyżyna, zasiana luźnymi obrączkowymi wzniesieniami, wśród których sterczą rozległe i wysokie pierścienie górskie, jak na przykład ogromny *Goldschmidt* przed nami i stykający się z nim od wschodu, a jeszcze wyższy *Barrow*. Przychodzi mi teraz na myśl, że to takie dziwne, iż my tu spotykamy góry i lądy jeszcze ludzką nogą niedeptane, a już ponazywane przez ludzi... Śmieszna myśl.

Południe zastało nas dzisiaj na szczycie granicznego wału wyżyny. Gdyśmy się obejrzeli poza siebie, zobaczyliśmy nisko nad horyzontem pustyni Ziemię w nowiu, przesłoniętą lekkim oparem powietrza. Świetlna obrączka jej atmosfery błyszczała przez tę zasłonę jeszcze krwawiej niż za dni poprzednich. Tuż nad nią, ocierając się prawie o jej ogromną czarną kulę, stało słońce w niewielkiej otęczy z promieni.

Mam takie wrażenie, że Ziemia spadła w przeciągu tych czterech miesięcy z zenitu ku widnokręgowi, a to tylko my uciekliśmy spod niej, zbliżając się do bieguna. Klimat tu jest już zupełnie inny. Popołudniowe słońce, nieznacznie nad horyzont wzniesione, nie razi nas żarem, nie oślepia blaskiem. Jakieś smutne i znużone wydaje się to słońce, tak jak my... Dookoła na wyżynie pełno długich cieniów. Niebo od północy coraz więcej się wybłękitnia, gwiazd już w tej stronie nie widać, choć jeszcze od południa świecą mdłym, białawym blaskiem, rozrzucone w szeroki krąg wokoło Ziemi i słońca.

Znużony jestem nad wszelki wyraz. Mimo lekkości własnego ciała na Księżycu, mam czasem wrażenie, że głowa moja, ręce i nogi są z ołowiu. Boję się, abym się nie rozchorował. Tak nieskończenie długą wydaje mi się ta podróż, że mimo oznak zbliżającego się kresu drogi, zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek staniemy u celu... Zresztą — cel? gdzie, jaki cel? Ach! wszystko jest nużące i smutne.

Marta jest niesłychanie dobra. Zdaje mi się, że gdyby nie ona, nie chciałoby mi się ręką ruszyć, aby zwrócić ster wozu ku biegunowi, ku któremu zdążamy z takim wysiłkiem... Ale ona widzi moje straszne znużenie i umie jakimś ciepłym, poczciwym, świętym słowem dodać mi otuchy, podtrzymać me siły. Czym ja na tyle dobroci z jej strony zasłużyłem? — czy tą krzywdą, jaką jej myślami i żądzami swymi wyrządzam? Jestem tak znużony, że wszystko mi jest obojętne, z wyjątkiem, dalibóg, szczęścia tej kobiety. Pragnąłbym żyć, aby jej się przydać na co... A kto wie, czy będę żył...

[47] *snadź* (daw.) — widocznie, zapewne.

Przed nami góry, wielkie, strome góry. Trzeba je przebyć. Te i jeszcze inne, i znowu inne, bo do bieguna jeszcze daleko... Nie mam już sił. Nawet pisać już nie mogę. Wyrazy mi się nie kleją, zapominam wciąż, co miałem powiedzieć. Chciałoby mi się tylko wyciągnąć na hamaku i patrzyć spod wpół spuszczonych powiek na Martę, uśmiechającą się wciąż do myśli o swym dziecięciu.

Szczęśliwa!

Na przełęczy między *Goldschmidtem* a *Barrowem*, 161 godzin po południu czwartej doby księżycowej.

Walczę resztką sił z ogarniającym mnie wciąż znużeniem. Czuję, że jestem chory, i boję się tego. Jak oni sobie we dwoje dadzą radę beze mnie? Droga jest coraz przykrzejsza, a noc, długa noc się zbliża. Czy doczekam jej końca? Może po O'Tamorze i Woodbellu teraz na mnie kolej przychodzi? Wszak *oni* pono przepowiedzieli...

Żal by mi było umierać. Chciałbym jeszcze zobaczyć dziecinę, która się ma narodzić, chciałbym odetchnąć choć raz pełnymi piersiami.

Ach! kiedyż będzie koniec tej drodze! Sądząc według mapy, góry, które właśnie przebywamy, są ostatnią najpoważniejszą przeszkodą dzielącą nas od bieguna. Spuściwszy się z przełęczy, na której się obecnie znajdujemy, zwrócimy się szerokim wąwozem ku zachodowi wzdłuż północnych stoków *Goldschmidta*, potem, skręciwszy znów ku północy, miniemy pierścienie *Challis* i *Main*, okrążymy od wschodu pierścień *Gioja*, przebywając jego niską odnogę, wyciągniętą w kierunku równoleżnika, i dostaniemy się na równinę przedzieloną od kraju biegunowego już tylko jednym wąskim pasmem gór.

Tak się przedstawia nasza droga według map. Ale mapy tych okolic, źle widocznych ze Ziemi, są bardzo niedokładne. Dodać trzeba, że większą część tej drogi wypadnie nam odbyć w nocy, nierozjaśnionej nawet światłem Ziemi, którą będą już góry przed nami zasłaniać.

Z tej tu wysokości widać kawał świata przed nami, ale już tylko szczyty gór błyszczą się rumiano w słońcu, doły zalewa czarne morze cienia. Gdy tam zjedziemy, będą gwiazdy jedynymi naszymi przewodnikami.

W głowie mojej coś się zepsuto czy przerwało. Tylko przy największym wysiłku woli mogę trzeźwo myśleć. Co chwilę pojawiają się jakieś wizje, jakieś wpółsenne marzenia i strachy. Czyżbym miał gorączkę? Kąsam się w palce, aby oprzytomnieć. Ale i to mi nie pomaga. Wszystkie obrazy chwieją mi się przed oczyma; widzę mroczne morze z pływającymi po nim krwawymi szczytami gór, nasz wóz wydaje mi się okrętem, który lada chwila strącimy na tę otchłań... Jestem tak straszliwie znużony. Dokąd my popłyniemy przez ten czarny ocean? Czy może ku Ziemi?... Ach, prawda! Ziemia pozostała daleko, daleko w przestworzach niebieskich; tam nie powrócimy już nigdy. Nigdy.

W głowie mi huczy straszliwy młyn; zdaje się, że mam gorączkę.

Po zachodzie słońca w wąwozach między górami.

Zwlokłem się jeszcze z hamaka. Marta kazała mi się położyć, ale co ona wie! Ja miałem jeszcze coś zrobić czy napisać — nie pamiętam, ale muszę sobie przypomnieć. Jestem pewien, że utopimy się w ciemności, jeśli nie zrobię... Ale co ja to miałem zrobić?

Czemu tu jest tak ciemno? Jakaś bomba pękła mi widocznie w głowie, musiała pęknąć, bo głowa mi się rozdyma, pęcznieje, rośnie, jest teraz tak wielka jak Księżyc...

Jakie to zabawne, że my jesteśmy na Księżycu! A może mi się śni tylko? Bo skądże by się tu wzięły psy? Gdzież jest Woodbell?... Coś się z nim stało, ale nie pomnę... Było mu Tomasz na imię...

Ktoś stoi przy mnie i mówi, żebym się położył, bo mam gorączkę. A wszystko jedno! dlaczegóż ja nie mam mieć... czy mi nie wolno...

Pióro robi się strasznie ciężkie... ale i palce moje są ciężkie... Nie wiem, co to wszystko znaczy — słyszę jakieś dwa głosy obok siebie — już nie mogę...

RĘKOPISU CZĘŚĆ DRUGA. NA TAMTEJ STRONIE

I

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem, otworzywszy oczy po długiej chorobie, która mnie pozbawiła przytomności pod koniec owej straszliwej podróży przez bezwodną i bezpowietrzną pustynię księżycową. Dzisiaj, gdy się zbieram do spisania dalszych przygód naszych na tym globie, stoi mi ta chwila tak żywo w pamięci, jakby zaledwie kilkanaście godzin od niej upłynęło. A wszakże, gdy policzę księżycowe doby, widzę, że na Ziemi mija już rok jedenasty od czasu, gdyśmy spadli na powierzchnię Księżyca, a dziesięć lat od wyjścia z wozu po półrocznym blisko zamknięciu. Teraz oddychamy już pełną piersią pod niebem tak samo, jak na Ziemi, błękitnym, nad brzegiem prawdziwego falistego morza i patrzymy na lasy roślin dziwnych i nieprawdopodobnych, ale również zielonych i pełnych właściwego sobie życia. Sto trzydzieści cztery razy okrążyło słońce ten świat w naszych oczach i jużeśmy się z nim prawie zżyli[48]. Włos nam siwieje, a obok nas wzrasta nowe pokolenie — pokolenie ludzi, którzy kiedyś będą uważali za mit historię o dostaniu się tu swych praojców z Ziemi, wychylającej się przed nimi zza widnokręgu w postaci olbrzymiej, świecącej kuli, gdy zapuszczą czasem ku krańcom bezpowietrznej pustyni. Dla nich będzie to ciekawe, rzadko widywane światło niebieskie; dla nas jest to matka, którąśmy opuścili[49] na zawsze, nie mogąc atoli zerwać ostatniej, ale najsilniejszej nici wiążącej nas z nią — tęsknoty.

Przejdzie jeszcze kilkadziesiąt lub nieco więcej dni księżycowych i pomrzemy my wszyscy, którzyśmy na Ziemi byli[50] urodzeni, a nowe pokolenie, czytając kiedyś mój pamiętnik, będzie go zapewne przez długi czas uważało za jakąś świętą księgę *Exodus*, nim się pojawi tutaj „krytyk" i dowiedzie niezbicie, że podanie o ziemskim pochodzeniu ludzi jest tylko dziecinną fantazją zamierzchłych czasów.

Myślę o tym jako o rzeczy całkiem naturalnej; wszakże i mnie już wiele z tego, co sam przeżyłem, wydaje się tylko snem fantastycznym. Zwłaszcza choroba, podczas której leżałem przez całą księżycową dobę bez przytomności, utworzyła w życiu moim dziwną przerwę, tak że mi trudno było zrazu powiązać to, co się działo przed nią, z tym, co zobaczyłem, przyszedłszy do siebie, odróżnić rzeczywistość od gorączkowych majaczeń. Ale istotnie, przebudzenie moje było nader dziwne.

Otworzyłem oczy i nie mogłem nic zgoła zrozumieć z tego, co mnie otaczało. Spojrzawszy dokoła, spostrzegłem, że się znajduję na obszernej łące wśród wzgórz, pokrytej dziwnie świeżą, puszystą zielonością. Cała okolica zalana była łagodnym półświatłem, podobnym do ziemskich świtów, gdy słońce wydostaje się dopiero spod horyzontu. Tylko nagie szczyty wysokich gór płonęły w pełnym czerwonym blasku. Nad nimi sklepiało się niebo blado błękitne, lekką mgłą zaciągnięte. Patrzyłem długo, nie umiejąc sobie zdać dokładnie sprawy z tego, gdzie się znajduję. Wtedy zobaczyłem na łące dwoje ludzi, idących z wolna i schylających się co chwila, jak gdyby czegoś szukali. Dokoła nich skakały dwa psy, poszczekując wesoło.

Zdawało mi się zrazu, że jestem na Ziemi w jakiejś nieznanej okolicy, i myślałem, skąd się tu wziąłem, gdy wtem przypomniała mi się nagle nasza księżycowa wyprawa i długa podróż w zamkniętym wozie przez pustynie lunarne. Rozejrzałem się jeszcze raz dokoła, o ile mogłem to uczynić, nie podnosząc głowy, która mi ciążyła, jakby ołowiem nalana. Gdzież się podział wóz? gdzie są te dzikie krajobrazy, które widziane przez jego okna, tkwiły mi jeszcze w pamięci? Chciałem zawołać na ludzi, znajdujących się nieopodal, ale nagle ogarnęło mnie takie ogromne znużenie, że nie mogłem głosu wydobyć. Zresztą zacząłem przypuszczać, że te wszystkie niesłychane przygody były snem tylko. Miałem zrobić wyprawę na Księżyc, zasnąłem gdzieś na jakiejś łące — kto wie, jak długo spałem — i śniło mi się, żem już tam był, żem walczył z okropnymi trudami, tracił towarzyszy, na śmierć się narażał... To tylko dziwne, że nie znam tej okolicy...

Niejasna świadomość ciężkiej przebytej choroby zaczęła się budzić w moim umyśle. Tak, zapewne miałem gorączkę i w gorączkowych marzeniach wędrowałem po Księżycu.

---

[48] *jużeśmy się z nim (...) zżyli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: już się z nim zżyliśmy.
[49] *którąśmy opuścili* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: którą opuściliśmy.
[50] *którzyśmy (...) byli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: którzy byliśmy.

Ostatecznie dobrze, że ta mara już przeminęła. Doznałem ogromnej ulgi na myśl, że to wszystko snem było tylko, że znajduję się na Ziemi i nigdy nie będę zmuszony jej opuścić. Zrobiło mi się dziwnie słodko i błogo, a po chwili uczułem, że znowu zapadam w sen.

Gdym się obudził po raz drugi, spostrzegłem, że nad posłaniem moim stoją dwie, poprzednio widziane, postacie i rozmawiają półgłosem. Zdawało mi się, żem dosłyszał wyraz: „śpi" — na co drugi głos odpowiedział: „Będzie żył". Zdziwiło mnie to, ale nie chciałem dać poznać po sobie, że czuwam, i tylko leżąc bez ruchu, zacząłem pilnie przypatrywać się spod wpółprzymkniętych powiek stojącym nade mną ludziom. Choć, jak mi się zdawało, spałem dość długo, oświetlenie okolicy w niczym się nie zmieniło, trudno mi było zatem w niepewnym blasku rozpoznać pochylone nade mną twarze. Po pewnym czasie, gdy oczy przywykły do słabego światła, ludzie ci wydali mi się znajomymi, nie mogłem sobie atoli przypomnieć ich imion. Z wolna przeniosłem z nich wzrok na góry, widne na skraju widnokręgu i wciąż jednakowo u szczytów oświetlone, choć, jak zauważyłem, blask padał na nie teraz z innej strony.

W tej chwili zobaczyłem między nimi coś, co zajęło całą moją uwagę. Nad głęboką przełęczą między dwiema wysokimi górami stał ogromny szarobiały krąg, do połowy zza horyzontu wychylony. Patrzyłem nań długo, aż naraz wszystko mi się rozjaśniło: to była Ziemia — tam, na niebie świecąca!

Świadomość, że istotnie znajduję się na Księżycu, powróciła w całej pełni i dreszczem mnie przejęła. Krzyknąłem głośno i zerwałem się z posłania. Piotr i Marta — ich to bowiem przed chwilą widziałem nad sobą — podbiegli ku mnie z oznakami żywej radości, ale ja uczułem tylko ogromny zamęt w głowie i znowu straciłem przytomność.

Było to już ostatnie zemdlenie w ciągu mojej długiej choroby. Ocuciwszy się zeń, zacząłem z wolna powracać do zdrowia. Sto kilkadziesiąt godzin jeszcze upłynęło, nim zdołałem podnieść się i chodzić o własnej mocy. Piotr i Marta czuwali tymczasem z iście macierzyńską troskliwością nade mną, a ja, zbyt jeszcze osłabiony, aby móc rozmawiać i wypytywać, rozmyślałem jeno nad tym, co mnie otaczało. Wiedziałem już, że podczas mej choroby przybyliśmy do kraju z dawna upragnionego, gdzie nie brak powietrza i roślinności, ale długo nie mogłem się jeszcze oswoić z myślą, że stało się to w sposób całkiem naturalny. Trudno mi bowiem było uwierzyć, żem cały ziemski miesiąc leżał bez przytomności, a wóz tymczasem, posuwając się wciąż ku północy, dotarł wreszcie do bieguna, odległego od nas jeszcze o paręset kilometrów, w chwili gdy mnie gorączka z nóg zwaliła.

Znajdowaliśmy się istotnie na samym północnym biegunie księżycowym. Dziwny kraj! kraj wiecznego światła i mroku zarazem, gdzie nie ma stron świata, nie ma wschodów ani zachodów, południa ani północy. Oś księżyca jest prawie prostopadła do płaszczyzny ekliptyki, stąd też słońce nie zapada tutaj pod horyzont ani nie wznosi się na niebie, lecz zdaje się tylko toczyć wieczyście po widnokręgu. Gdy się wyjdzie na górę, których tam jest kilka w pobliżu, widzi się to słońce jak kulę czerwoną i ognistą, czołgającą się leniwie u samego nieboskłonu. Szczyty gór płoną wieczyście w różowym obrzasku, który pada na nie z coraz innej strony; od stworzenia świata te góry nie miały nocy. Ale za to zielone doliny u ich stóp nigdy nie widziały słońca. Znajdują się one wiecznie w cieniu wzgórz; panuje tu wieczysty zmierzch lub świt wieczysty. Na świeżą, ciemną ich zieloność padają tylko odblaski nagich, słońcem zarumienionych szczytów, podobnych do olbrzymiego wieńca bladych róż rzuconych na murawę. Jeno[51] czasem, raz na parę ziemskich miesięcy, słońce, wzniesione wskutek libracji Księżyca parę linii nad horyzont, błyśnie w jakiej głębokiej szczerbie między skałami płomienną, zarumienioną twarzą i stanie tak na chwilę w bramie z gór, jak cherub złocisty. Wtedy płynie wąwozem ogromna rzeka światła, spada ze skał kaskadami i znaczy się na mrocznej łące szeroką, złotoczerwoną smugą. Parę godzin przemija, słońce chowa się za góry, znowu łagodny półmrok zalewa cichą dolinę.

Czasami tylko przez ten mrok idzie od strony przeciwnej dziwny, słaby, do szerokiej, bladej, ruchliwej tęczy podobny obrzask nad górskie czoła — to księżycowa zorza biegunowa, podobna do ziemskiej jak sen do rzeczywistości, ale jak sen piękna, czysta i smutna.

---

[51] *jeno* (daw.) — tylko.

Jest coś zadziwiająco tajemniczego w tym słabym świetle biegunowych krain Księżyca. Pamiętam, że patrząc na nie, doznawałem wrażenia, jak gdybym znalazł się we śnie na jakichś zaczarowanych Polach Elizejskich. Lekkie opary mgieł błądzą tam po nieskalanej zieleni jak duchy; ogromnej, upajającej ciszy żaden głos nie przerywa. Nadto panuje tutaj ciągle chłodna a pogodna wiosna. Mieszkaliśmy w tym kraju więcej niż pół roku, a przez ten czas raz tylko zaciągnęło się chmurami blado błękitne niebo. Deszcz nie pada tam prawie nigdy i dlatego też nie ma wód, źródeł ani potoków. Powietrze jednakże tak jest nasycone parą wodną, że wilgoć ta wystarcza zupełnie dla rozwoju roślinności. Nasze trawy, drzewa i kwiaty poschłyby tam niezawodnie, ale też kraje przy księżycowym biegunie posiadają odrębną, sobie właściwą, a do warunków zastosowaną florę.

Łąki tutejsze utworzone są z dziwnie soczystych roślin, podobnych do ziemskich mchów i tak samo jak one obdarzonych zdolnością wysysania wilgoci wprost z powietrza, tylko w daleko jeszcze wyższym stopniu. Gromadzą one w sobie tyle wody, że wyciskając naręcze tych porostów, otrzymywaliśmy po parę litrów tego tak cennego dla życia płynu. Napój zyskiwaliśmy zatem z łatwością, nieco gorzej było z pożywieniem. Znaleźliśmy parę gatunków soczystych roślin dających się jeść i wielką ilość ciekawych żyjątek, podobnych do dużych ślimaków bez skorupy, ale nie mieliśmy przy czym przyrządzić tej strawy. Nasze ze Ziemi zabrane zapasy paliwa wyczerpały się wkrótce, a w całej szerokiej okolicy nie mogliśmy znaleźć niczego, co by je mogło zastąpić. Nawet grubsze zdrzewiałe[52] gałązki mchów były tak wilgocią nasiąkłe, że niepodobna z nich było rozniecić ognia, a o wysuszeniu ich w tym jak łaźnia parą przesyconym powietrzu nie mogło być mowy. Torf, któryśmy tam w wielkiej obfitości znaleźli[53], również wodą ociekał, gdy go się tylko w dłoni ścisnęło.

Właśnie byłem już zdrowszy i wychodziłem z naprędce skleconego namiotu na przechadzki po równinie, kiedyśmy zostali[54] zagrożeni brakiem paliwa. Wiedliśmy na ten temat długie narady i robiliśmy różne próby, które zawsze spełzały na niczym. Piotr podał myśl, aby wynosić grubsze, połupane gałązki i wyciśnięty torf na góry, gdzie słońce świeciło, w tej nadziei, że tam może łatwiej wyschną niż w mrocznej dolinie. Atoli i tam ciepło słonecznych promieni było za słabe. Po kilkudziesięciu godzinach torf, poprzednio z wody wyciśnięty, nabierał znowu tyle wilgoci z powietrza, że cała praca okazywała się daremną.

Więc poświęciwszy wszystkie sprzęty drewniane, bez których tylko mogliśmy się obyć, rozpaliliśmy wielkie, ostatnie ognisko, próbując nad nim zebrany w okolicy palny materiał wysuszyć. Gdyby nam się to było udało, moglibyśmy utrzymywać wieczny ogień, podsycany wciąż nowym, przez siebie wysuszonym paliwem. Ale niestety i ta nadzieja nas zawiodła. Spaliliśmy wszystko, co się tylko spalić dało, a otrzymaliśmy zaledwie maleńką garstkę suchych gałązek i torfu. Pokazało się, że do wysuszenia pewnej ilości materiału trzeba go w trójnasób tyle spalić. Nasz „wieczny ogień" zagasł po kilkunastu godzinach. Skorzystaliśmy tylko tyle, że puściliśmy przy nim w ruch maszynę nabijającą akumulatory wozu.

Musieliśmy się zatem obywać bez ognia. Powietrze nasycone wielką ilością pary wodnej, zawsze równomiernie ogrzane, znakomicie przechowywało skąpe ciepło słoneczne, tak że chłód nie dawał się nam we znaki. Bardzo nam trudno było jednak przyzwyczaić się do surowej strawy. Resztki zapasów sztucznego, bardzo odpowiednio dla organów trawienia przyrządzonego białka i cukru schowaliśmy starannie na wypadek, gdybyśmy się kiedyś w dalszej podróży znaleźli w okolicy niedostarczającej nam pożywienia. Nie odstępowaliśmy bowiem ani na chwilę od zamiaru posunięcia się dalej ku środkowi odwróconej od Ziemi półkuli Księżyca. Ale na razie od tej wyprawy powstrzymywały nas trzy okoliczności. Przede wszystkim ja byłem po przebytej chorobie zbyt jeszcze osłabiony, aby znieść trudy podróży, a następnie i Marta, która spodziewała się już wkrótce przyjścia na świat Tomaszowego dziecięcia, nie mogłaby się teraz narażać... Do tego dołączała się wobec braku paliwa obawa przed długimi, mroźnymi nocami, które miały na nas spaść, jak tylko, oddalając się od bieguna, opuścimy krainę wieczystego półświatła.

---

[52]*zdrzewiały* — dziś: zdrewniały.
[53]*któryśmy (...) znaleźli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: który znaleźliśmy.
[54]*kiedyśmy zostali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: kiedy zostaliśmy.

Mimo wszystkie niedostatki i obawy miesiące spędzone na biegunie należą do najprzyjemniejszych wspomnień mojego życia na Księżycu. Namiot płócienny, z Ziemi przywieziony, ustawiliśmy dokładnie na samym punkcie biegunowym, tak że wprost nad głowami mieliśmy konstelację Smoka, gdzie świeci polarna gwiazda Księżyca. Co prawda, widzieliśmy tę gwiazdę, która nam długo była drogowskazem, raz tylko u zenitu podczas zaćmienia słońca, gdyśmy się już w dalszą puścić mieli drogę. Gwiazdy bowiem, na bezpowietrznej pustyni dzień i noc widoczne, tu nie okazują się nigdy, krom[55] gdy słońce zajdzie poza tarczę Ziemi i krótka noc ogarnie te kraje wieczystego świtu.

W namiocie spaliśmy tylko, zaś większą część czasu spędzaliśmy pod gołym niebem, rozkoszując się krajobrazem, który, mimo żeśmy się z nim oswoili, nie stracił dla nas łagodnego a przejmującego uroku. Wszystko tam jest dziwnie harmonijne i dostrojone do ogólnego, niesłychanie spokojnego tonu: zieloność i góry różowe, i blade niebo nad nimi, i świeże, chłodne, balsamiczną wonią tamecznych ziół przesiąkłe powietrze. I nam w dusze wchodził spokój... Ciepła serdeczność panowała w naszym szczupłym gronie. Wszystkie urazy, namiętności i nieporozumienia były od nas tak dalekie jak owe straszne, przebyte pustynie, których wspomnienie wciąż jeszcze przejmowało nas dreszczem.

Czas mijał niepostrzeżenie, podczas gdyśmy godzinami całymi rozmawiali to o Ziemi, której rąbek ukazywał się jeszcze niekiedy w czasie pełni w postaci szarobiałej chmurki nad widnokręgiem, to o drogich towarzyszach, śpiących pod cichymi wśród pustyń mogiłami, to o przyszłości nieznanej, która nas czekała. Mówiliśmy o dziecku mającym przyjść na świat, o krajach, które zobaczymy, o wszystkim, z wyjątkiem jednej tylko rzeczy... Nigdy nie poruszaliśmy sprawy, która już raz o mało nie doprowadziła do wybuchu między mną a Piotrem, a mianowicie: do kogo z nas Marta ma w przyszłości należeć. Dziwna, ale zdaje mi się, że w owym czasie istotnie nawet nie myśleliśmy o tym. Przynajmniej ja nie myślałem. Wszak dzisiaj, po latach, gdy wszystko od dawna jest już rozstrzygnięte i dokonane, mogę się przyznać sam przed sobą... Kochałem tę kobietę, kochałem ją nawet więcej, niźli to zdolny jestem dziś wyrazić, ale miłość to była jakaś dziwna...

Kiedym patrzył na nią, na twarz jej delikatną i zeszczuplałą, z której nie schodził nigdy pół smutny, pół marzący uśmiech, na dłonie jej drobne i blade, ciągle robotą jakąś zajęte, wydawała mi się tak niepodobną do tej Marty znanej kiedyś, pięknej, namiętnej, pewnej siebie, a czasem wzgardliwej, i czułem równocześnie, jak mi wzbierało w piersi jakieś morze bezbrzeżnej czułości dla tej tak dobrej, a tak biednej istoty. Miałem ochotę przesuwać z wolna a lekko rękę po jej włosach i mówić jej, że gotów jestem zrobić wszystko, co leży w mej mocy, wyrzec się wszystkiego, czego bym mógł żądać, aby tylko ona choć trochę była przez to szczęśliwsza — z wdzięczności jedynie za to, że ją mogę widzieć.

Na Ziemi śmiano by się z takiej miłości; ja, gdy dzisiaj o tym myślę, jestem tylko smutny, bo widzę, żem nic dla niej nie zdołał uczynić, choć zrobiłem największe, na jakie mnie stać było, poświęcenie.

A wszakże, jeśli żyję, jej to jedynie mam do zawdzięczenia. Gdym wówczas na przełęczy pod *Barrowem* zapadł w gorączkę, jej tylko starania przywróciły mi zdrowie i dzisiaj myśl o niej utrzymuje mnie przy życiu. Myśl to bolesna, ale tam na biegunie była jeszcze ode mnie daleka, nie przeczuwałem nawet jeszcze, jak się wszystko ułoży, i dlatego mówię, był to najszczęśliwszy okres mego życia na Księżycu. Martę miałem wciąż przy sobie. Póki byłem chory, czuwała nade mną; gdym już wyzdrowiał, odbywaliśmy razem wycieczki po dolinie, szukając ślimaków na obiad albo zbierając wonne zioła, którymi ona potem stroiła wnętrze namiotu.

Kiedy siły odzyskałem już w zupełności, wspinałem się z Piotrem na góry, aby zobaczyć słońce i ogromny, blady krąg Ziemi na nieboskłonie, aby spojrzeć ciekawym okiem na kraje nieznane i tajemnicze, nigdy wzrokiem ludzkim niedosiężone, w które mieliśmy się zapuścić. Marta pozostawała wtedy w namiocie; był to czas, kiedy trud mógł jej już zaszkodzić.

Podczas jednej z takich wycieczek Piotr pokazał mi z góry drogę, którędy przybyliśmy na tę dolinę, i opowiadał o niesłychanych trudach, z jakimi musiał walczyć w górzystym

[55] *krom* — oprócz.

kraju wśród nieprzeniknionej nocy, mając mnie chorego i Martę, wciąż jeszcze obezwładnioną bólem po stracie Tomasza.

— Wszystko musiałem sam jeden robić — mówił do mnie — i były chwile, kiedy mnie już rozpacz ogarniała. Parę razy straciłem drogę w skałach, kiedy indziej znowu musiałem wóz cofać, zapuściwszy się w wąwozy bez wyjścia. Myślałem, że już nie wydostaniemy się z życiem. W tych chwilach zwątpienia otuchą napełniał mnie widok barometru, który wznosił się ciągle. Ale pewna nadzieja zaświtała we mnie dopiero, gdyśmy się dostali na równinę za *Gioją*. Astronomowie ziemscy, chrzcząc ową górę tym mianem, nie przeczuwali nawet, że będzie ono miało dla nas znaczenie dosłowne — że po trudach i cierpieniach niewypowiedzianych tutaj zaświta nam wreszcie *radość*.

Noc się już rozjaśniła. Byliśmy tak blisko bieguna, że rozproszone w dość gęstej atmosferze światło słońca, niegłęboko pod horyzontem schowanego, tworzyło rodzaj szarego zmierzchu, dozwalającego rozróżniać przedmioty. Tam też odważyłem się po raz pierwszy wyjść z wozu bez powietrzochronu. W pierwszej chwili doznałem zawrotu głowy; atmosfera była jeszcze rzadka i trzeba było silnie robić piersiami, ale można było oddychać. Nigdy nie zapomnę radosnego uczucia, jakie mnie przejęło, gdym zaczerpnął nareszcie księżycowego powietrza.

Potem opowiadał mi, jakie olbrzymie trudy ponosił przy przebyciu ostatniego pasma gór, dzielącego równinę pod *Gioją* od *Kraju Biegunowego*. Na pomoc Marty nie mógł liczyć, zwłaszcza że ja, zawieszony wciąż między życiem a śmiercią, wymagałem jej nieustannej opieki, musiał zatem sam w słabym obrzasku prowadzić wóz po bystrym[56] zboczu, zasypanym zwietrzałymi kamieniami.

W osiemdziesiąt parę godzin po północy stanął na przełęczy. Stamtąd rozpościerał się już widok na *Kraj Biegunowy*.

— Zdawało mi się — mówił — że zobaczyłem ziemię obiecaną; przed wzrokiem moim, przywykłym już do widoku dzikich skał i pustyń, leżała ta ogromna, zielona równina. Radość zaparła mi oddech w piersi, w oczach uczułem łzy. Więc przez łzy patrzyłem na mroczne łąki i na słońce czerwone, widoczne z góry nad nami, choć daleko jeszcze było do pory, o której wzejść by powinno na tym południku.

Gdy to mówił, mimo woli obejrzeliśmy się obaj za słońcem. Leżało na widnokręgu w stronie świata, która dotąd była dla nas północą, a odtąd stać się miała południem. Na półkuli Księżyca odwróconej od Ziemi był dzień.

Wtenczas po raz pierwszy ogarnęła mną nieprzemożona żądza poznania tych krajów tajemniczych, nad którymi właśnie słońce stało. Schodząc z góry, już tylko o tym myślałem, a po powrocie do namiotu zacząłem układać plany dalszej podróży.

Piotr również był zdania, iż należy się zapuścić na południe, ku środkowi nieznanej półkuli.

— Tu nam jest dobrze — mówił — i moglibyśmy ostatecznie spędzić tu już całe życie, ale żyć moglibyśmy jeszcze spokojniej na Ziemi. Przybyliśmy na Księżyc, aby zbadać jego tajemnice, należy to zatem zrobić.

Tak więc nowa wyprawa została w zasadzie postanowiona, wstrzymał nas na razie tylko wzgląd na Martę. Czekając więc chwili, kiedy będzie sposobna do dalszej drogi, robiliśmy przygotowania i gromadzili[57] zapasy.

Przede wszystkim przerobiliśmy wóz. Nie było celu brać ze sobą tak ciężkiej machiny. Mieliśmy początkowo zamiar odjąć jego górną połowę, przez co byłby się stał podobny do głębokiej łodzi na kołach, ale powstrzymała nas od tego myśl, że możemy się znaleźć w okolicach mroźnych nocy, gdzie wóz szczelnie zamknięty i opalony będzie dla nas stanowił nieocenione schronienie. Odjęliśmy zatem tylko całą tylną część, dającą się odśrubować, gdzie poprzednio mieściły się nasze magazyny. Do zamykania powstałego przez to otworu mieliśmy płytę aluminiową, stanowiącą przedtem zamknięcie magazynów od zewnątrz. Oprócz tego usunęliśmy wszystkie części metalowe, służące do wzmocnienia ścian, a teraz niepotrzebne. Motor, zabrany niegdyś nieszczęśliwym Remognerom, naprawiliśmy, o ile się dało, i umieściliśmy w wozie na wypadek, gdyby się nasz zepsuł.

---

[56] *bystry* — tu: stromy.

[57] *robiliśmy (…) i gromadzili* — konstrukcja, w której jedna końcówka fleksyjna odnosi się do dwóch czasowników: robiliśmy i gromadziliśmy.

Te wszystkie przygotowania oraz sporządzenie zapasu żywności i wody, którą trzeba było mozolnie z mchów wycisnąć, zabrały nam więcej niż trzy miesiące czasu. Wreszcie wszystko było gotowe.

Piąty już raz stała Ziemia w pełni od czasu naszego przybycia na biegunową równinę, kiedy, powracając z dalszej, samotnej wycieczki, usłyszałem w namiocie kwilenie dziecka. Żaden głos w życiu nie przejął mnie tak do głębi duszy, jak ten słaby płacz istoty, która przychodziła powiększyć nasze grono i rozweselić naszą samotność. Usłyszawszy go, rzuciłem naręcze uzbieranych jadalnych mchów i pędem już wpadłem do namiotu. Na posłaniu leżała Marta, blada i wysilona, ale promieniejąca radością. Zdawała się nawet nie spostrzegać mego przybycia. Całą jej uwagę pochłaniała maleńka istotka, owinięta w białe chusty i krzycząca wniebogłosy, którą namiętnym jakimś ruchem przytulała do wezbranej piersi.

— Mój Tom, mój Tom, mój śliczny, ukochany synek! — szeptała słabym głosem i śmiała się przez łzy.

Przy posłaniu kręciły się oba psy i wyciągając ciekawe mordy, obwąchiwały to nieznane im krzykliwe stworzonko.

Obejrzałem się za Piotrem i zadziwiła mnie jego postawa. Siedział w kącie namiotu zadumany i ponury. Ale na razie nie zastanawiałem się nad tym dłużej. Podbiegłem do Marty, chcąc jej powiedzieć, że cieszę się jej dziecięciem, że ją błogosławię za ten dar życia, ale nie mogłem głosu wydobyć.

Chwyciłem tylko jej drobną, wychudłą rękę i wybąkałem coś niezrozumiałego. Spojrzała na mnie, jakby mnie dopiero teraz spostrzegła. Doznałem przykrego ukłucia w sercu, bo wzrok jej mówił mi, że jestem jej tak obojętny, jak tylko człowiek może być obojętnym dla drugiego człowieka. Nagły smutek mnie ogarnął, a ona zauważyła to widocznie, bo uśmiechnęła się do mnie, jak gdyby chcąc naprawić mimo woli wyrządzoną mi przykrość, i rzekła wskazując na dziecię:

— Patrz, Tomasz powrócił, mój, mój Tomasz...

Zrozumiałem wtenczas, że żaden z nas nie zajmie nigdy miejsca w sercu tej kobiety, bo oddane będzie zawsze temu dziecięciu, w którym ona kocha nie tylko własną krew i własne ciało, ale także duszę zmarłego kochanka.

W milczeniu zabrałem się do przygotowania pożywienia i napoju dla Marty. Piotr wyszedł za mną z namiotu.

— Cóż ty myślisz o tym wszystkim? — zagadnął mnie, gdyśmy byli na dworze.

Nie wiedziałem na razie, co odpowiedzieć.

— A cóż, syn Tomasza przyszedł na świat... — wybąknąłem po chwili.

— Tak, syn Tomasza — powtórzył Piotr i zadumał się.

Nie chciałem go więcej o nic dopytywać, wiedziałem, o czym myślał.

Jak gdyby z obawy przed poruszaniem drażliwego tematu, mówiliśmy odtąd ze sobą prawie wyłącznie o wkrótce mającej się rozpocząć podróży. Marta szybko nabierała sił, zdrowie małego Toma zgoła nie budziło obaw, postanowiliśmy więc przed nadejściem najbliższej pierwszej kwadry Ziemi puścić się w drogę. Była to najodpowiedniejsza pora, gdyż na środkowym południku odwrotnej półkuli księżycowej, wzdłuż którego mieliśmy się posuwać ku równikowi, właśnie z pierwszą kwadrą dzień się rozpoczyna. Wyruszywszy więc o tym czasie, mielibyśmy dwa ziemskie tygodnie światła przed sobą i w razie nieznalezienia pomyślnych warunków do życia moglibyśmy przed zapadnięciem nocy powrócić do *Kraju Biegunowego*.

Tymczasem w dwa tygodnie po narodzeniu Toma wypadł nów, a podczas niego zaćmienie słońca, drugie już, jakieśmy mieli na Księżycu oglądać. Pierwszego, tam nad pustynią, przytłoczeni obawą wiszącej nad nami śmierci, nie badaliśmy wcale, teraz za to chcieliśmy lepiej skorzystać ze sposobności. Wziąwszy tedy ze sobą narzędzia astronomiczne, upakowane w małym wózku, który ciągnęły psy, wyszliśmy na wzgórze najbliżej bieguna położone, skąd było widać Ziemię i słońce.

Widowisko było wspaniałe, ale badania nieświetnie się powiodły. Niski stan Ziemi na widnokręgu przy atmosferze parą wodną przesyconej nie dopuszczał ścisłych pomiarów i przeszkadzał obserwacjom, tak że w kilka minut po zajściu słońca za tarczę Ziemi rzuciliśmy narzędzia astronomiczne, aby gołym okiem podziwiać tylko czarodziejską grę światła na nieboskłonie. Ziemia widniała przed nami na tle krwawo-złotej zorzy w postaci

ogromnego czarnego półkręgu. Szeroko naokół niej zażegnięte niebo pociemniało dalej i zasiało się gwiazdami. Wyglądało to, jakby stała na nocnym firmamencie łuna jakiegoś wielkiego pożaru albo jakby to migotliwe światło polarne, które się żarzy na Ziemi w pobliżu biegunów, nagle tu przeniesione, skostniało i zastygło przed nami w niesłychanym jakimś wzmożeniu.

Do tego czasu mam niezatarte wspomnienie tego widoku na oczach. Zdawało mi się wówczas, że mi się pokazał w ogniu sczerniały trup Ziemi. Było w tym coś strasznego i dziwnie przejmującego. Dzisiaj jeszcze, gdy myślę o Ziemi, staje mi przed oczyma w takiej okropnej, czarnej postaci, jak ją widziałem wtenczas, i muszę wysilać całą moc wyobraźni, aby ją sobie przedstawić jako srebrną, świecącą tarczę.

Nie mogłem znieść długo tego nad wyraz wspaniałego, ale jakiegoś bolesnego widoku i zwróciłem wzrok na gwiazdy, od paru miesięcy niewidziane. Błyszczały wszystkie nad moją głową, wyiskrzone jak czasem u nas, na Ziemi, w zimowe noce. Patrzyłem na nie z lubością, jak na dawnych, dobrych znajomych, wyszukiwałem znane od dziecinnych lat konstelacje i pytałem się ich w myśli, co tam słychać na tym rodzinnym moim globie, leżącym teraz przede mną jak żużel na płomiennej łunie.

Naraz spostrzegłem, że gwiazdy ćmią mi się w oczach. Przetarłem powieki, sądząc, że łzy dawnym wywołane wspomnieniem wzrok mi zasłoniły, ale to nie pomogło: gwiazdy coraz słabiej były widoczne. I Piotr to zauważył. Byliśmy zaniepokojeni, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego zjawiska. Tymczasem gwiazdy przygasały ciągle, a nawet zorza w stronie, gdzie słońce zaszło na Ziemię, stawała się coraz mniej wyraźną i jakby zamazaną. W kilkanaście minut ogarnęła nas noc absolutna, bezgwiezdna, tylko w południowej stronie nieba znać było jeszcze lekki obrzask czerwonawy. Równocześnie uczuliśmy silny ciąg wiatru, rzecz w tej okolicy dla nas nową. Przejęci zdumieniem i trwogą nie śmieliśmy się ruszyć z miejsca.

Nareszcie zaćmienie się skończyło i słońce wyjrzało zza kręgu Ziemi. Domyśleliśmy się tego raczej po powracającym dniu, gdyż mimo jasności ani słońca, ani okolicy nie mogliśmy dojrzeć. Wszystko tonęło w gęstym, mlecznobiałym tumanie mgły.

Teraz dopiero zrozumieliśmy wszystko. W *Kraju Biegunowym* nie tworzą się chmury i deszcz nie pada tylko dlatego, że powietrze wciąż jest równomiernie ogrzane, brak więc pobudki, aby się z niego para wodna wydzielała.

Tak bywa w zwykłych warunkach, podczas zaćmienia jednakże nastąpiło nagłe oziębienie, wskutek czego powstał wiatr, a para wodna w chłodniejszym powietrzu w mgłę się skropliła.

To naturalne wyjaśnienie nieoczekiwanego zjawiska uspokoiło nas znacznie, ale położenie nasze było tymczasem bardzo przykre. Dotkliwy chłód nas przejmował, a w tej ćmie niepodobna było odnaleźć drogi na dolinę, gdzie stał namiot. Nadto trapiła mnie myśl o Marcie. Nie było jednak rady, trzeba było siąść i czekać, aż się rozjaśni.

Jakoż, istotnie, wkrótce mgła się zaczęła podnosić. W niespełna pół godziny odkrył się widok na dolinę; już tylko szczyty wyższych gór tonęły w chmurze, gęstniejącej z każdą chwilą. Było widoczne, że spadnie deszcz, nie tracąc więc czasu, zaczęliśmy się spuszczać z pagórka. Nimeśmy jednak zeszli[58] z niego do połowy, błysło nad nami — a prawie równocześnie z głuchym echem grzmotu lunął na nas istny potop. W parę sekund byliśmy przemoczeni do nitki. Przez strugi lejącej się z niebios wody nic nie można było widzieć; błyskawice i grzmoty nie ustawały ani na chwilę.

Trwało to ze dwie godziny, przez które, przeziębli i zmokli, tuliliśmy się wraz z psami pod jakimś wystającym cyplem skalnym, który nam zresztą słabą tylko był ochroną. Gdy tylko deszcz ustał, powstaliśmy natychmiast, aby się puścić w dalszą drogę z powrotem, ale zaledwie wyjrzeliśmy zza owego cypla, stanęliśmy, przerażeni widokiem, jaki się przed nami roztaczał.

Na miejscu zielonej kotliny leżało u naszych stóp szeroko rozlane jezioro.

Pierwszą myślą moją było: co się dzieje z Martą i dzieckiem? Miejsce, gdzie stał namiot, musiało być teraz zatopione. Puściłem się pędem ku jezioru, nie zważając na krzyki Piotra, który mnie chciał zatrzymać. Dopadłszy do wody, poszedłem dalej w bród. Zrazu nie było głęboko, ale wkrótce miałem już wodę po pas. Zawahałem się chwilę, niepewny,

[58] *Nimeśmy (…) zeszli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: nim zeszliśmy.

czy brnąć dalej, czy się wrócić, a tymczasem Piotr, skoczywszy za mną do wody, chwycił mnie za rękę i zmusił do powrotu na brzeg.

Położenie moje było okropne. Straszliwy niepokój o los Marty aż potem kroplistym pokrył mi czoło, a musiałem przyznać słuszność Piotrowi, że brodząc przez zalew, narażam tylko życie, a jej w niczym pomóc nie mogę.

— Jeśli Marta zawczasu powódź spostrzegła — mówił — i schroniła się na pagórek, pomoc nasza jest jej na razie niepotrzebna, dość będzie czasu odszukać ją, gdy woda opadnie. A jeśli nie zdążyła uciec, także nic jej nie pomożemy.

Mówił to spokojnie, nawet z jakimś okrucieństwem, które mnie dreszczem przejmowało. Popatrzyłem mu w oczy i zdawało mi się, żem w nich wyczytał okropną, zawistną myśl: „Raczej niech zginie, niżby kiedykolwiek miała być twoją...".

— Pójdę im na pomoc mimo wszystko! — zawołałem.

— Idź — odpowiedział i usiadł spokojnie na brzegu.

Chciałem iść rzeczywiście, ale łatwiej to było powiedzieć, niż wykonać. A zresztą — dokąd miałem iść? — na środek tego jeziora? szukać ich pod wodą?

Usiadłem na brzegu obok Piotra, zły i zrozpaczony, i począłem uporczywie wpatrywać się w wodę. Po powierzchni jej pływały tu i ówdzie oderwane gałązki mchów, zresztą równa była i gładka; żaden powiew wiatru jej nie marszczył. Myślałem był właśnie, jak w tak krótkim czasie tyle wody mogło się zlać z atmosfery i ile godzin upłynie, nim to morze zdąży wyschnąć i my będziemy mogli odnaleźć trupy naszej towarzyszki i dziecięcia (jużem był bowiem nie wątpił, że poginęli), gdy naraz spostrzegłem, że gałązki mchów płyną wszystkie dość szybko w jedną stronę. Widocznie niósł je prąd, co było znakiem, że woda znalazła sobie gdzieś ujście z kotliny. To spostrzeżenie ucieszyło mnie niezmiernie, gdyż pozwalało się spodziewać, że na opadnięcie wody nie przyjdzie nam czekać zbyt długo. Aby się więc upewnić, czy się nie mylę w przypuszczeniu, puściłem się brzegiem w tę stronę, w którą woda zdawała się płynąć.

Uszedłszy parę kilometrów natrafiłem na rodzaj zatoki, którą przebyłem w bród. Za nią byłem już pewny istnienia odpływu: na powierzchni znać było wynioślejsze miejsca, wyłaniające się z toni na kształt płaskich zielonych wysepek.

Wszystko to razem stanowiło widok niesłychanie piękny i ciekawy, zwłaszcza że w gładkiej szybie wody wśród zielonych wysp odbijały się czoła nadbrzeżnych łysych gór, już znowu słońcem różowo oświetlonych. Wówczas jednak niewiele zważałem na krajobraz, zajęty jedną tylko myślą: o Marcie. Bodaj czy nie po raz pierwszy wtedy uczułem jasno, jak mi ta kobieta jest droga i jakim straszliwym ciosem byłaby jej śmierć dla mnie... Z tą potworną myślą nie mogłem się pogodzić. Nie umiałem sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłaby się uratować, a mimo to czułem gdzieś w głębi duszy resztkę jakiejś rozpaczliwej nadziei, że ona żyje, i biegłem coraz szybciej naprzód, jak gdyby od tego, czy dotrę w krótkim czasie do miejsca odpływu nagromadzonej wody, mogło zależeć jej ocalenie!

Ale byłem zbyt wzburzony, aby móc myśleć logicznie — miałem tylko jasną świadomość tego, że życie moje bez tej nie mojej kobiety i tego nie mojego dziecka nic nie jest warte i że gotów jestem nie zażądać jej nigdy dla siebie, gdybym ją przez to mógł ocalić... Kto wie, czy los nie podsłuchuje czasem cichych ślubów człowieka...

Upłynęło już dwanaście godzin od chwili rozstania się z Piotrem, kiedy powstrzymała mnie w pochodzie szumiąca rzeka, utworzona z wody odpływającej szerokim wąwozem, który, dotąd przez nas niedostrzeżony, stanowił bramę biegunowej kotliny ku nieznanej stronie kuli Księżyca. Znużony i zgłodniały usiadłem nad brzegiem, nie wiedząc, co począć.

Bezcelowość mojej gonitwy teraz dopiero okazała mi się w całej pełni. Zniechęcony do najwyższego stopnia, rozciągnąłem się bez myśli i woli na mchu ociekającym jeszcze świeżo opadłą wodą i patrzyłem w niebo znowu tak samo spokojne i blade, jak przed owym złowrogim zaćmieniem słońca.

Wtem zdawało mi się, że mnie ktoś woła po imieniu. Zerwałem się na równe nogi, nadsłuchując pilnie. Po chwili znowu głos mnie doleciał, tym razem już wyraźniej. Jakoż, rozglądając się bacznie, dostrzegłem po drugiej stronie w rzekę zamienionego wąwozu — Martę z dzieckiem na ręku, dającą mi z dala znaki. Ogarnął mnie istny szał radości. Nie zważając na niebezpieczeństwo, rzuciłem się w bród i wkrótce stałem tuż przy niej.

Radość głos mi zatamowała, począłem więc tylko okrywać pocałunkami jej ręce, których mi ona, sama mocno wzruszona, nie broniła.

— Mój przyjacielu, mój dobry, drogi przyjacielu — powtarzała jeno zbladłymi jeszcze, a już uśmiechającymi się wargami.

Gdyśmy się oboje nieco uspokoili, zaczęła mi opowiadać, jak podczas katastrofy, spostrzegłszy powódź podmywającą namiot, zdążyła się jeszcze z dzieckiem i najcenniejszymi dla nas sprzętami schronić do wozu, który stał nie opodal. To ją ocaliło. Wóz, szczelnie zamknięty, po usunięciu wielu części przedtem go obciążających dość był lekki, aby się utrzymać na powierzchni wzrastającej wciąż wody, podsycanej strugami okropnej ulewy i w kaskadach walącymi się z gór potokami. W grzmocie piorunów i przy migotaniu nieustannych błyskawic unosił się wóz na falach jak ongi arka Noego, tym podobniejszy do niej, że tak samo uratował ród ludzki na tym globie od zatraty.

Położenie Marty nie było bynajmniej godne zazdrości. Pozbawiona możności sterowania swym zaimprowizowanym statkiem, była zdana na wolę fali i wichrów, które miotały nim jak łupiną. Do przestrachu, wywołanego nagłą katastrofą, dołączał się jeszcze niepokój o nasz los i absolutna nieświadomość, jak się to wszystko skończy. Po ustaniu ulewy, gdy woda przestała wreszcie wzrastać, zauważyła Marta, że wóz płynie w pewnym oznaczonym kierunku. Domyśliła się, że go unosi prąd odpływającej gdzieś wody, ale to wzmogło tylko jej obawy. Wóz mógł z odpływem wpaść w jaką szczelinę albo w najlepszym wypadku zostać zapędzonym w odległą okolicę, gdzie by nam potem trudno go było znaleźć.

Odetchnęła dopiero nieco, gdy po kilkunastu godzinach spostrzegła, że z opadającego zalewu wyłaniają się łysiny pagórków. Wszystkie jej usiłowania jednakże, aby statek ku jednej z takich łysin skierować, spełzały na niczym. Słyszała już szum wody, uchodzącej owym wąwozem, nad którym ją spotkałem, i była przygotowana, że wóz z nią gdzieś w nieznany kraj popłynie, gdy szczęśliwym trafem zatrzymał się u przylądka utworzonego z wystającej skały nad gardzielą parowu. Przytomna kobieta skorzystała z chwili i zarzuciła linę przez otwarte okno na sterczący głaz, zabezpieczając się w ten sposób przed prądem, mogącym wóz każdej chwili unieść na nowo. W czasie gdy ja przyszedłem, niebezpieczeństwo już minęło, gdyż woda opadła do tego stopnia, że wóz osiadł na suchym miejscu.

W kilkanaście godzin później pozostały już tylko w kotlinie niewielkie kałuże, wyglądające jak szklane szyby wśród zielonych porostów.

Na Piotra czekaliśmy jeszcze spory kęs czasu. Doprowadziły go do nas psy biegnące za moim śladem. Przyszedłszy, zmierzył nas podejrzliwym wzrokiem i nie mówiąc ani słowa, zabrał się do przeglądu ocalonych w wozie zapasów i narzędzi. Dziwny to człowiek! — żyję tu już z nim ziemskich lat jedenaście, a przecież zdarzają się ciągle okoliczności, w których nie umiem sobie zdać sprawy z jego charakteru, będącego szczególną mieszaniną odwagi, poświęcenia i stanowczości — z namiętnością oraz skłonnością do samolubstwa, zawiści, skrytości i zniechęcenia. Wiem o nim to jedno tylko, że jest zgoła nieobliczalny.

Katastrofa wyrządziła nam dość znaczne szkody. Straciliśmy w powodzi wiele potrzebnych przedmiotów bezpowrotnie, wielu innych musieliśmy z mozołem szukać po rozległej kotlinie. Namiotu uniesionego przez wodę na razie nie mogliśmy odnaleźć. Całe szczęście, że wobec robionych od dawna przygotowań do dalszej podróży większa część naszego dobytku w czasie ulewy znajdowała się już była we wozie[59]. Odnieśliśmy jednak z tej powodzi także ważną korzyść, mianowicie: odpływająca woda wskazała nam drogę, którą się mamy puścić na południe.

Rozumowanie nasze było bardzo proste: jeżeli woda tak prędko odpłynęła, widocznie wąwóz musi prowadzić ku miejscom niżej położonym, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znajdziemy jakiś znaczniejszy zbiornik wody, wielkie jezioro lub morze, a co za tym idzie, i wybrzeża skrapiane deszczem, a więc zapewne niepozbawione życia.

Nim nadeszła pora odjazdu, byliśmy już od dawna ze wszystkim gotowi. Wóz stał opatrzony u samego ujścia wąwozu, otwierającego się przed nami jak brama do nowego świata; należało tylko motor elektryczny puścić w ruch za pomocą akumulatorów, nabitych jeszcze w czasie, kiedyśmy mieli ogień. Nawet duży kawał drogi zbadaliśmy naprzód,

[59] *we wozie* — dziś: w wozie.

zapuszczając się w wąwóz piechotą. Nie był to bity gościniec, zwłaszcza że ostatnie wody miejscami głęboko grunt poryły, ale w każdym razie można się było tędy puścić, nie narażając się na nadzwyczajne trudności. Czekaliśmy więc już tylko sposobnej pory, aby wyruszyć w ślad za tymi wodami, co spłynęły ku południu, w nieznany kraj przedziwnych cudów przyrody, którego długich nocy nie rozświetla nigdy srebrny krąg Ziemi, błyszczący nad pustyniami.

II

Czterdzieści godzin przed nastaniem pierwszej kwadry Ziemi wyruszyliśmy w drogę. Na nieznanej półkuli Księżyca, dokąd zdążaliśmy, była jeszcze noc, ale niebawem miało już słońce oświecić te kraje.

Nie bez przykrego uczucia żalu, a nawet i niepokoju, opuszczaliśmy krainę biegunową. Znaliśmy ją już i wiedzieli[60], co nam dać może, podczas gdy wszystko, co nas czekało, było tajemnicą i przypuszczeniem. Mieliśmy się znowu narazić na palące słońce długich dni i mrozy nocy, zdających się nie kończyć nigdy, mieliśmy przebywać znowu wąwozy, góry, a może i pustynie w podróży do kraju, o którym nie wiedzieliśmy zgoła, czy nas przygarnie i wyżywi. Nadto brak paliwa niepokoił nas mocno. Co się stanie, myśleliśmy, jeśli się nabój naszych akumulatorów skończy nadspodziewanie prędko, prędzej, niż znajdziemy materiał do rozpalenia ognia i puszczenia w ruch maszyny, aby je nabić na nowo! Czy zdążymy wtedy powrócić piechotą przed nocą do *Kraju Biegunowego*, aby się zabezpieczyć przed nadchodzącym zimnem, tym groźniejszym dla nas, że nie będziemy mieli ognia? Była chwila wkrótce po wyruszeniu w drogę, kiedy chcieliśmy już wobec tych obaw zawrócić na mchami porosłą łąkę biegunową, aby przepędzić na niej całe życie, grzejąc się przy słabym cieple rozproszonych w atmosferze skośnych promieni słońca i żywiąc się jak ziemskie zwierzęta surowymi ślimakami i porostem. Ale wahanie trwało niedługo; ciekawość i nadzieja przemogły. Zapas żywności mógł nam wystarczyć na dość długi czas, wzięliśmy też ze sobą trochę wyciśniętego z wody torfu, spodziewając się, że w słonecznych okolicach uda się go nam o tyle wysuszyć, aby móc ogień rozpalić. Zresztą postanowiliśmy w razie najgorszym po wyczerpaniu naboju połowy akumulatorów zawrócić do *Kraju Biegunowego*.

W pierwszych kilkudziesięciu godzinach drogi nie zdarzyło nam się nic godnego uwagi. Wąwóz się skończył i wydostaliśmy się na równinę podobną do biegunowej, tylko znacznie obszerniejszą. Znać na niej było również niedawną powódź; w promieniach wschodzącego właśnie słońca błyszczały jeszcze tu i ówdzie rozlegle, płytkie kałuże. Tutaj zastanowiła nas już odmienna flora, choć od bieguna byliśmy zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów oddaleni. Wśród znanych nam już porostów, ale znacznie niklejszych niż na biegunie i rdzawą barwą zachodzących, sterczały z ziemi jakieś suche badyle, z rzadka rozsiane, a tak spiralnie zwinięte, jak u nas młode listki paproci. Chłód dawał się czuć silnie po nocy, którą te okolice już mają, choć z powodu, że słońce kryje się zaledwie parę stopni pod horyzont, podobna być musi raczej do zmierzchu. Rozgrzewaliśmy się, zabijając ręce, jak czynią na Ziemi dorożkarze, kiedy Marcie przyszło na myśl, aby nałamać owych badyli i spróbować rozniecić z nich ognisko.

Wzięliśmy się zaraz do roboty, jakież było jednakże moje zdziwienie, kiedy pierwszy badyl, ujęty ręką, począł się rozwijać, to znów kurczyć, zupełnie jak żywa istota. Puściłem go z mimowolnym okrzykiem trwogi. Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zacząłem badać te szczególne rośliny. Uciąłem jedną z nich nożem i przekonałem się, że są to wielkie, podłużne i mięsiste liście zwinięte podwójnie, naprzód w trąbkę, a potem w ślimak, podobnie jak rulony angielskiego tytoniu, o brunatnej, z drobnych zdrzewiałych[61] łusek utworzonej zewnętrznej powłoce. Na stronie wewnętrznej, jasnozielonej, rozsiane były liczne różowe żyłki. Cała roślina, póki żywa, obdarzona była zdolnością ruchu, podobnie jak nasze mimozy. Najwięcej zaciekawiło mnie jednak to, że wszystkie te zwinięte liście były znacznie cieplejsze od otoczenia — widocznie organizm ich przez jakieś procesy che-

[60]*Znaliśmy (…) i wiedzieli* — konstrukcja z jedną końcówką fleksyjną odnoszącą się do kilku czasowników: znaliśmy i wiedzieliśmy.

[61]*zdrzewiały* — dziś: zdrewniały.

mo-biologiczne[62] sam sobie w wielkiej ilości wytwarza ciepło, którego mu brak podczas długich nocy.

Wszystko to było bardzo ciekawe, ale ostatecznie nadzieja rozpalenia ognia spełzła znowu na niczym. Zwracaliśmy więc z utęsknieniem oczy ku czerwonemu słońcu, czekając, rychło skąpe jego promienie ogrzeją okolicę.

Do chłodu dołączył się i inny kłopot — nie wiedzieliśmy mianowicie, jaką obrać drogę. Mieliśmy jechać w stronę, w którą wody spłynęły, ale trudno to było rozeznać na równinie, całkiem podczas powodzi zalanej. Gdyśmy się jeszcze namyślali, rozglądając się po okolicy, Piotr zauważył w odległości paruset metrów jakiś duży, biały przedmiot. Ruszyliśmy zaciekawieni w tę stronę i znaleźliśmy nasz namiot, który uniesiony przez powódź, zatrzymał się dopiero tutaj na niewielkim pagórku. Ucieszyliśmy się z odzyskania zguby podwójnie, raz, że namiot, jedyny, jakiśmy posiadali[63], był nam istotnie potrzebny, po wtóre zaś, że mogliśmy teraz wywnioskować, w jakim kierunku wody spłynęły. Namiot dostał się na tę równinę przez wąwóz, któryśmy właśnie przebyli[64], a zatem linia pociągnięta od ujścia wąwozu do miejsca, gdzieśmy go znaleźli[65], wytyczała mniej więcej kierunek prądu odpływającej wody. Linia ta biegła przez płaszczyznę ku południu z małym zboczeniem na zachód.

Posuwając się w tę stronę, natrafiliśmy na wąski, kręty wąwóz górski, a następnie po przebyciu jeszcze jednej niewielkiej kotlinki dostaliśmy się na szeroką, zieloną dolinę, ciągnącą się wprost ku południu.

Po obu jej stronach wznosiły się wysokie pasma gór z licznymi, tkwiącymi w ich trzonie kraterami, podobnymi do tych, które zasiewają bezpowietrzną półkulę Księżyca. Szczyty gór pokryte były śniegiem; śnieg, spadły widocznie w nocy, leżał także jeszcze miejscami w dolinie, tając dopiero w promieniach niewiele nad horyzont wzniesionego słońca. Ściekające zeń wody tworzyły spory potoczek, płynący bystro w licznych zakrętach.

W tej dolinie postanowiliśmy zatrzymać się pewien czas, przekonaliśmy się bowiem, że dalsza droga na południe o tak wczesnej porze dnia narażałaby nas na dotkliwe zimno w okolicach, gdzie jest coraz większa różnica między średnią ciepłotą dnia a nocy.

Gdyśmy wyruszyli znowu, słońce ubiegło już blisko trzecią część swojej dziennej drogi. Było ciepło i jasno. Śniegi w dolinie zniknęły całkowicie, a owe zwinięte badyle, przeważające już tutaj nad nikłymi porostami, zaczęły pod wpływem słonecznego ciepła rozwijać się szybko w ogromne, różnymi odcieniami zieloności malowane liście. Kształt ich był nader rozmaity; jedne podobne były do olbrzymich wachlarzy obwieszonych delikatną, ruchliwą frędzlą, inne znowu, nakrapiane różnymi barwami, wśród których przeważała czerwona i ciemnobłękitna, przypominały jakieś bajeczne pawie pióra. Były tam i takie, co miały brzegi wycięte w formę akantusowego liścia i najeżone kolcami, i takie, co zwinięte u dołu, tworzyły lejki, i jeszcze inne, gładkie i lśniące albo pokryte długim, żółtozielonym włosem, spadającym po obu stronach aż do ziemi — słowem, największa rozmaitość barw i kształtów, a wszystko żyjące, ruchliwe, wijące się za najlżejszym dotknięciem. Nad brzegiem strumyka, wpół zanurzone w jego kryształowej fali, ciągnęły się znowu długie wodorosty, jak rdzawozielone węże i liny, obwieszone, niby kwiatami, kręgami śnieżnej białości o silnym, upajającym zapachu. Gdzie indziej znowu, gdzie woda rozlewała się szerzej i prąd ustawał, rozwijała się delikatna rzęsa z kul, w których postaci przetrwała mróz nocy, pokrywając nurt leciuchną i drżącą siatką, podobną do najprzedniejszych koronek z fioletowego i zielonego jedwabiu.

Byliśmy oczarowani tym zdumiewającym przepychem roślinności; za każdym krokiem spostrzegaliśmy coś nowego i godnego uwagi. Z zarośli poczęły wychodzić na słońce przedziwne stworzenia, podobne do długich jaszczurek, o jednym oku i kilku parach nóg. Przyglądały nam się ciekawie i pierzchały szybko za zbliżaniem się wozu. Psy puściły się za jednym z tych zwierząt i złowiły je. Odebraliśmy im tę zdobycz, ale zwierzę było już nieżywe, mogliśmy więc tylko na zwłokach podziwiać niezmiernie ciekawą jego budowę, zasadniczo odmienną od organicznych ustrojów na Ziemi. Kościec ograniczał się do podłużnego pierścienia, złożonego z ruchomych kręgów umieszczonych po obu bokach

[62]*chemo-biologiczny* — dziś: chemiczno-biologiczny.
[63]*jakiśmy posiadali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: jaki posiadaliśmy.
[64]*któryśmy (…) przebyli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: który przebyliśmy.
[65]*gdzieśmy (…) znaleźli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: gdzie znaleźliśmy.

tuż pod skórą. Całą czaszkę tworzyły tylko silne szczęki, mózg mieścił się pod grzbietem, wewnątrz pierścienia. To, co uważaliśmy za nogi, było dwoma szeregami sprężystych, bezkostnych macek, za pomocą których zwierzę czołgało się po ziemi z nadzwyczajną szybkością.

Znacznie później znaleźliśmy na Księżycu jeszcze wiele innych zadziwiających stworzeń, ale żadne nie zaciekawiło nas tak, jak to pierwsze, nader typowe dla tutejszej fauny.

W ogóle cała podróż nasza przez ową dolinę była jakby snem czarodziejskim, pełnym niespodziewanych a fantastycznych obrazów. Godziny mijały za godzinami, a widoki przed naszymi oczyma zmieniały się ciągle. Miejscami dolina zwężała się, tworząc skaliste przesmyki, przez które przedzieraliśmy się z trudem tuż nad brzegiem potoku, urosłego już w sporą szumiącą rzeczkę, to znowu wjeżdżaliśmy na rozległe, koliste równiny, gdzie woda rozlewała się w szerokie jeziora o brzegach zarosłych albo piaszczystych. Zwierząt spotykaliśmy coraz więcej. Głębie wód roiły się od szczególnych potworków, w powietrzu unosiły się jakieś latające jaszczurki, podobne z daleka do ptaków o grubej szyi i długim ogonie. Ale co szczególna — wszystkie zwierzęta na Księżycu są nieme. Brak tutaj tych niezliczonych głosów życia, które brzmią wśród ziemskich łąk i lasów; jedynie gdy wiatr powieje, szeleszczą ogromne liście tutejszych roślin, przerywając wraz ze szmerem strumienia wieczystą głuszę.

Bujna wegetacja ogromnie utrudniała nam posuwanie się naprzód. Co chwila trzeba było stawać i odwijać oplątane koło osi badyle tamujące ruch kół; czasem znowu przebijaliśmy się przez zarośla tak gęste, że wóz w nich prawie ustawał. Nieradzi byliśmy tym opóźnieniom, zwłaszcza że podróż i tak odbywała się bardzo powoli, gdyż musieliśmy się często zatrzymywać, już to dla zbadania okolicy lub poszukiwań żywności i paliwa. Pożywienia znajdowaliśmy pod dostatkiem. Nieocenioną usługę oddawały nam w tym względzie psy przez swój instynkt zwierzęcy; krążąc wciąż po zaroślach, wynajdywały jadalne, mięsiste rośliny lub smaczne mięczaki. Znacznie gorzej było jednak z paliwem. Torf, zabrany z *Kraju Biegunowego*, wysechł wprawdzie i palił się wcale dobrze, ale musieliśmy go oszczędzać, bo zapas był niewielki, a w całej okolicy nie mogliśmy nic znaleźć, czym by się po jego wyczerpaniu ogień dało podsycić. Drzew takich, jak na Ziemi, nie ma tutaj wcale, zaś owe szerokie liście są tak soczyste, że gotują się raczej na ogniu, miast płonąć. Ten brak niepokoił nas bardzo, zwłaszcza że torfowiska, pokrywające niemal całą przestrzeń *Kraju Biegunowego*, pozostawiliśmy już daleko za sobą.

Tymczasem nadchodziło południe księżycowe i trzeba się było ostatecznie zdecydować, czy mamy jechać dalej, czy też z braku ognia wracać przed nocą do *Kraju Biegunowego*? Początkowo mieliśmy zamiar pójść za tą myślą; Marta zwłaszcza, bojąc się nocnego mrozu ze względu na Toma, namawiała nas do powrotu. Ja skłaniałem się również ku temu, ale Piotr oparł się stanowczo.

— Wracać teraz — mówił — znaczy skazać się na dozgonne pozostanie w biegunowej krainie. Zważcie, że obecnie mamy jeszcze akumulatory nabite, nabój ten wystarczy, aby przebyć jeszcze raz tę drogę z powrotem, ale co dalej? Jeślibyśmy kiedy chcieli znów wyruszyć w inne okolice Księżyca, jak nabijemy wyczerpane akumulatory wobec niemożliwości rozpalenia tam ognia?

— Ale podróż ku południu również do niczego nie prowadzi — zauważyłem — a narażamy się na mróz nocny, którego bez ognia nie będziemy mogli przetrzymać...

— Przed nocą możemy znaleźć jeszcze opał...

— Możemy go również nie znaleźć.

— Tak, ale to jest tylko przypuszczenie, podczas gdy wiemy z pewnością, że na biegunie go nie znajdziemy nigdy. Zresztą mamy jeszcze trochę torfu. Przy tym zapasie w ostateczności zdołamy jakoś przetrzymać, a następny dzień poświęcimy cały na poszukiwania.

Nie mogliśmy Piotrowi odmówić słuszności, więc też ruszyliśmy dalej w stronę równika.

W kilkanaście godzin po południu niebo zaciągnęło się chmurami i spadł obfity deszcz. Był on dla nas bardzo pożądanym gościem, gdyż odświeżył upalne i duszne powietrze. Zaledwie strugi wody spłynęły i słońce zza obłoków wyjrzało, uderzył nas niezwykle silny szum.

Sądziliśmy początkowo, że to potok wezbrany tak szumi, ale wkrótce przekonaliśmy się, co było właściwą przyczyną tego zjawiska. Byliśmy właśnie w miejscu, gdzie dolina, załamując się ku zachodowi, tworzyła kolano, tak że dalsza jej część usuwała się sprzed wzroku. Gdyśmy się jednak znaleźli na zakręcie, otworzył się nam rozległy i wspaniały widok.

Paręset metrów przed nami dolina urywała się nagle, spadając szerokimi upłazami ku nieprzejrzanej równinie, ciągnącej się aż po krańce widnokręgu. Potok staczał się w spienionych kaskadach po tych terasach, tworząc na nich szereg coraz niżej położonych stawów, aż wreszcie, dosiągłszy poziomu płaszczyzny, płynął przez nią krętą, srebrną wstęgą, ginącą gdzieś w niezmiernej oddali. Jak okiem zasięgnąć, kraj był równy i płaski, jedynie w pobliżu granicznych gór wznosiły się z rzadka rozsiane, obrączkowe wzgórza, nalane wodą jak czary. Takie małe i koliste jeziorka, tylko o brzegach mniej wyniosłych, widno też było[66] po całej płaszczyźnie. Bliższe wyglądały jak duże pawie oka, dalsze podobne były do pereł, naszytych gęsto na sinozielonym pluszu. Między nimi, jak srebrne nici różnej grubości, wiły się potoki, może nawet wielkie rzeki.

Wyszliśmy z wozu i stojąc na krawędzi terasy, patrzyliśmy długo w głębokim milczeniu na ten dziwny kraj przed sobą. Pierwsza odezwała się Marta.

— Zjedźmy tam — rzekła — tam jest tak ładnie!...

Istotnie było tam pięknie, ale czy będzie tam i dobrze? Mimo woli zadawaliśmy sobie to pytanie, przygotowując się do zjazdu po stromych upłazach na równinę.

Znalazłszy się po wielu trudach na dole, zostawiliśmy wóz nad brzegiem strumienia i zabraliśmy się zaraz do poszukiwań jakiegoś palnego materiału. Zeszliśmy całą okolicę wszerz i wzdłuż w kilkukilometrowym promieniu, kopaliśmy głębokie doły w nadziei natrafienia na torf lub na jaką żyłę węgla kamiennego, zrywaliśmy różne rośliny, próbując, czy się nie zdadzą na opał, ale wszystko na próżno. Za kilkanaście godzin miało już zajść słońce, kiedy wyczerpani i zniechęceni, zaprzestaliśmy wreszcie bezowocnych prób i poszukiwań.

Położenie nasze było nader przykre i zaczęliśmy już żałować, żeśmy opuścili zbyt lekkomyślnie *Kraj Biegunowy*. Strach nas przejmował na samą myśl, co się z nami stanie w nocy. Torfu mieliśmy niewiele, trzeba go było nadzwyczajnie oszczędzać, aby na całą noc wystarczył. Gdyśmy zrobili przegląd zapasu, pokazało się, że na dwadzieścia cztery godziny wypadała niewielka garstka zaledwie wypełniająca mały, przenośny piecyk.

Mężczyzna, Kobieta, Matka, Dziecko, Opieka

— Ależ my pomarzniemy, paląc tak oszczędnie! — zawołała Marta, gdyśmy jej pokazali przygotowane porcje.

Piotr ruszył ramionami:

— Paląc więcej, pomarzniemy jeszcze pewniej — gdyż torfu braknie! Musimy się dobrze okrywać.

— Po cośmy wyjechali z *Kraju Biegunowego*! — zawodziła Marta. — Tom zimna nie zniesie — on taki maleńki i biedny.

— Ach! Tom! — szepnął Piotr lekceważąco przez zęby.

Już wtedy spostrzegłem, że każda wzmianka o dziecku drażniła go niewymownie. Dotykało mnie to podwójnie; przede wszystkim, sam pokochałem ogromnie rozkosznego dzieciaka, po wtóre zaś, chodziło mi o Martę. Namiętnie do syna przywiązana, odczuwała boleśnie niechęć Piotra i nieraz widziałem, jak zwracała nań spojrzenie, w którym wyrzut łączył się z instynktowną obawą. Zauważyłem także, że dziecka nie zostawiała nigdy przy Piotrze, choć mnie powierzała je często, gdy sama musiała się czymś zająć.

— Tom nie jest najważniejszą osobą — mruczał Piotr dalej — i choćby umarzł...

Marta znosiła zwykle milcząco podobne uwagi, ale teraz zerwała się nagle i przyskoczyła do Piotra z roziskrzonymi oczyma.

— Słuchaj, ty — wołała stłumionym głosem — Tom *jest* najważniejszą osobą i nie umarznie, bo pierwej ja zabiję ciebie i twymi kośćmi w tym piecu napalę!

Mówiąc to błysnęła mu przed oczyma małym indyjskim sztyletem, jakich ostrza tam zwykle zatruwają. Nie wiedzieliśmy nawet do tego czasu, że ma tę straszną broń przy sobie.

---

[66]*widno (...) było* — dziś w tym znaczeniu: widać było.

Piotr cofnął się mimo woli. Usiłował się naprzód uśmiechnąć, ale w głosie i wzroku Malabarki była taka straszna, nieubłagana groźba, że zbladł i na darmo starał się ukryć pomieszanie.

Roześmiałem się głośno, choć nieco wymuszenie, aby załagodzić sprawę.

— Marta dba o syneczka, ani słowa! — zawołałem. — Pójdź, Piotr, pomyślimy, jak się od nocnego mrozu zabezpieczyć, nie ofiarując własnych kości na opał!

Plan mój był dosyć prosty. Wykopaliśmy wspólnymi siłami obszerny dół, w którym wóz mógł się z łatwością zmieścić, a wtoczywszy go tam, przykryliśmy go jeszcze na wierzch ziemią i narzniętymi liśćmi. W ten sposób mogliśmy się spodziewać, że wóz nie będzie tracił dużo ciepła i da się łatwiej ogrzać.

Słońce już było zaszło, gdyśmy wreszcie ukończyli robotę. Jednak nie wchodziliśmy jeszcze do wozu — po długim dniu powietrze było ciepłe i miłe; szeroka, czerwona zorza wieczorna oświecała jeszcze z wolna w zmierzchu tonącą równinę, na której lśniły się tylko bliższe jeziora jak czary żywym srebrem albo, gdy pod zorzę było na nie spojrzeć, krwią nalane.

Usiedliśmy razem na wzgórku nieopodal wozu, ale rozmowa jakoś się nam nie kleiła. Ostatnie zajście silne na nas wszystkich wywarło wrażenie. Toteż po paru luźnie rzuconych uwagach zamilkliśmy i ciszę przerywał już tylko szum niedalekich kaskad i zlewający się z nim głos Marty, która śpiewała dziecięciu do snu jakieś rzewne i przeciągłe pieśni indyjskie.

Słuchałem tego śpiewu w zadumie, patrząc na gasnącą w mroku szybę jeziora, gdy wtem lekki okrzyk Piotra wyrwał mnie z zamyślenia. Spojrzałem nań pytająco, a on wyciągnął rękę w stronę równiny:

— Patrz, patrz!

Na równinie działo się coś dziwnego. W miarę jak niebo ciemniało, ziemia stawała się coraz jaśniejsza. Zrazu jakby garść drobnych, błękitnych iskier rozsypanych nad brzegiem potoku. Później tych iskier pojawiło się coraz więcej; błyskały na prawo, na lewo, przed nami, wszędzie. W pół godziny już cała równina lśniła, jakby tumanem niebieskawej, gwiaździstej mgły zasnuta. Jeziora wyglądały na niej jak czarne plamy.

Marta zaprzestała śpiewu i patrzyła wraz z nami na to czarodziejskie zjawisko.

Po pewnym czasie dopiero przekonałem się, że to była fosforescencja owych dziwnych, liściastych roślin pokrywających tu obszar ogromny. Wewnętrzna ich powierzchnia błyszczała tak jak próchno w głębi naszych lasów.

Nie trwało to długo. Zaledwie mieliśmy czas nasycić się niezwykłym widokiem, gdy światełka poczęły gasnąć jedno po drugim. Liście zamykały się i zwijały pod wpływem chłodu na sen dwutygodniowy.

Obfita rosa zaczynała padać — i nam czas już był ukryć się w dobrze zabezpieczonym wozie.

Noc była mroźna, ale przetrwaliśmy ją nie najgorzej z naszym zapasem torfu dzięki przedsięwziętym ostrożnościom. Z wozu nie wychylaliśmy się ani na chwilę, aby nie tracić ciepła. Przez szyby nie mogliśmy także widzieć, co się dzieje na zewnątrz, gdyż jak wspomniałem, wóz cały był szczelnie okryty ziemią i chwastami. Przez te dwa tygodnie nocy byliśmy całkowicie odcięci od świata.

Dopiero gdy nasze kalendarzowe zegary wskazywały porę wschodu słońca, odważyłem się wyjrzeć na świat. Dla zabezpieczenia się przed zimnem ubrałem się w powietrzochron, którego grube i odpowiednio zrobione ściany stanowiły znakomitą ochronę. Wyszedłszy z wozu, przekonałem się, że ostrożność moja nie była zbyteczna.

Spojrzawszy na równinę w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, nie mogłem jej zrazu poznać. Cały świat pokrywała gruba warstwa wyiskrzonego od mrozu śniegu. Tafle jezior po części zginęły pod śniegiem, po części zaś lśniły matowymi szybami lodu. Zdawało mi się, żem został nagle przeniesiony w jakieś arktyczne kraje.

Powróciłem co prędzej do wozu z wieścią, że teraz jeszcze wychodzić nie można. Ta zima wprawiła nas w niewesołe usposobienie, gdyż zapas torfu był już na schyłku. Istotnie przez całą noc nie cierpieliśmy tyle od chłodu, co z początkiem dnia, nim nastała „wiosna". Trzy ziemskie doby musieliśmy jeszcze na nią czekać, obywając się, co gorsza, w ostatku bez ognia. Ale po siedemdziesięciu godzinach walki z mrozem słońce wreszcie zwyciężyło.

Śnieg roztopiony spływał strugami, jeziora wystąpiły z brzegów, potoki wszystkie wezbrały i gdyśmy po tym czasie wyszli na świat, na ociekającej wodą równinie rozwijały się już do słońca ogromne, wielokształtne liście i tylko szczyty gór okrywał jeszcze biały całun.

Z wyruszeniem w dalszą podróż, o której ciągle myśleliśmy, trzeba się było wstrzymać, aż okolica trochę podeschnie. Tymczasem zabraliśmy się na nowo do poszukiwań paliwa.

Podczas jednej z wycieczek, któreśmy w tym celu robili[67] we wszystkich kierunkach, natrafiliśmy przypadkiem na głęboki dół, poprzedniego dnia księżycowego wykopany w nadziei znalezienia torfu lub węgla. Dół był po brzegi wypełniony wodą. Minąłem go obojętnie, ale Piotr, snadź[68] czymś niezwykłym uderzony, stanął i jął się pilnie weń wpatrywać. Uszedłem już był kawałek drogi, kiedy mnie głos jego doleciał:

— Janie! — wołał, przyzywając mnie ręką — pójdźże, pójdź co prędzej i patrz!

Zastałem go na klęczkach; jedną ręką wspierał się na krawędzi dołu, drugą dawał mi znaki. Twarz, pochylona nad dołem, płonęła mu od wzruszenia.

— Co się stało? — zawołałem.

Zamiast odpowiedzieć, zaczerpnął dłonią wody o szczególnej, brudnożółtej barwie i podsunął mi ją pod sam nos.

— Nafta! — krzyknąłem radośnie, poczuwszy znany, ostry zapach.

Piotr skinął głową z tryumfalnym uśmiechem. Aby się przekonać, czy nas pozory nie łudzą, umoczyłem w cieczy chustkę od nosa i zapaliłem. Buchnęła jasnym, czerwonym płomieniem, w który patrzyliśmy obaj jak w tęczę zwiastującą nam nowe życie.

Pospieszyliśmy niezwłocznie podzielić się z Martą tą dobrą nowiną.

Znalezienie źródła nafty miało dla nas olbrzymie znaczenie. Teraz mogliśmy już puścić się dalej ku południu lub pozostać na miejscu, nie obawiając się mroźnych nocy ani niedostatku gotowanego pożywienia. Kilkadziesiąt godzin poświęciliśmy zebraniu jak największego zapasu tego błogosławionego płynu. Wykopaliśmy w tym celu jeszcze parę głębokich dołów i zbieraliśmy gromadzącą się w nich ropę do czego się dało. Przed nadejściem południa mieliśmy już wszystkie rezerwuary pełne. Teraz odbyliśmy walną naradę, co dalej czynić. Najprzezorniej byłoby pozostać na miejscu, w pobliżu źródeł nafcianych, ale nie mogliśmy się oprzeć pokusie posunięcia się dalej, ku morzu, które, sądząc ze wszystkiego, nie powinno było zbyt być odległym. Oprócz ciekawości przemawiała za podróżą i ta okoliczność, że na wybrzeżu znajdziemy klimat znacznie złagodzony wpływem wielkiego zbiornika wody i mniej podległy dziennym wahaniom, mimo że przybliżymy się do równika. Mieliśmy zresztą tak znaczny zapas paliwa, że mogliśmy się z nim odważyć nawet na próbną tylko podróż, byliśmy bowiem pewni, że zdołamy w razie niepomyślnych okoliczności powrócić do źródeł nafcianych, do których, posuwając się nazad w górę za biegiem strumienia, nietrudno nam będzie trafić.

Ten dzień i najbliższą noc spędziliśmy jeszcze w tym samym miejscu na kraju *Równiny Jezior*, jak nazwaliśmy ową wielką płaszczyznę, odkładając rozpoczęcie podróży do dnia następnego w tym mniemaniu, że będzie nam znacznie dogodniej mieć przed sobą trzysta kilkadziesiąt godzin słonecznych, podczas których nie będzie trzeba przerywać drogi z powodu nocy i mrozu. Ale za to, rychło tylko pierwszy świt zaróżowił śniegi, ruszyliśmy, nie czekając nawet wschodu słońca, choć mróz dobrze dawał się we znaki.

Ranne lub jakby tutaj powiedzieć należało: wiosenne powodzie zastały nas blisko sto kilometrów od miejsca, gdzieśmy stali, licząc po ziemsku, sześć przeszło tygodni. Zrazu nastanie roztopów zakłopotało nas bardzo; grunt rozmiękł do tego stopnia, że jazda stawała się wręcz niemożliwą. Dość wcześnie jednak przypomnieliśmy sobie, że wóz po założeniu odpowiedniego steru i zastąpieniu kół wachlarzami da się z łatwością zamienić na pływający statek, wobec czego nie tylko nie potrzebowaliśmy się obawiać powodzi, lecz owszem mogliśmy z niej skorzystać, puszczając się na fale wezbranego strumienia. Pomysł to był nadzwyczaj szczęśliwy, zwłaszcza że ten strumień i tak był dla nas nicią mającą nas zaprowadzić do morza. Oszczędzaliśmy przy tym mnóstwo paliwa, gdyż silny prąd unosił nas sam tak szybko, że nie potrzebowaliśmy się uciekać do pomocy wachlarzy dla przyspieszenia biegu.

---

[67] *któreśmy (…) robili* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: które robiliśmy.
[68] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

Cały długi dzień księżycowy spędziliśmy tak na falach, z rzadka tylko przybijając do brzegu już to dla wypoczynku, już to dla zwiedzenia jakiej ciekawej okolicy nabrzeżnej.

Nim powódź opadła, posunęliśmy się tak daleko za biegiem wody, że strumień zamienił się w dużą rzekę, której koryto aż nadto było głębokie dla naszego drobnego statku.

Widoki i charakter krajobrazu po drodze zmieniały się ciągle. Przez pewien czas płynęliśmy wśród rozległego i jak się zdaje, dość suchego stepu, pokrytego roślinnością drobną i wątłą, zgoła niepodobną do wspaniałych liściastych krzewów rosnących wyżej nad strumieniem. Było coś niezmiernie smutnego w jednostajnym widoku tej okolicy.

Wzgórza obrączkowe, nalane wodą po brzegi, i okrągłe jeziorka o skalistych, mało nad poziom wzniesionych krawędziach, wśród kopiastych pagórków — pozostawiliśmy już daleko za sobą; teraz na prawo i lewo rozciągała się płaszczyzna rdzawozielona, od której odbijały tylko miejscami fioletowe łączki jakiegoś drobnego niby-kwiecia lub ławy żółtego piasku, zalegające nieznaczne wzniesienia. Rzeka rozlewała się tu szeroko i płynęła tak leniwie, że puściliśmy motor poruszający wachlarze, aby bieg statku przyspieszyć.

Było już nieco po południu, kiedyśmy się zbliżyli do łańcucha skalistych wzgórz, zamykających ów step od południa. Rzeka była tu na przestrzeni paru kilometrów ścieśniona z obu stron skałami tak, że żegluga stawała się wysoce niebezpieczną. Prąd porywał nas co chwila i uderzał statkiem o rafy. Jedynie silnej budowie pocisku, teraz na łódź zamienionego, mamy do zawdzięczenia, żeśmy wyszli cało.

Tuż za ową bramą rzeka rozlewała się w duże jezioro, którego brzegi, utworzone z małych pagórków pokrytych nad wyraz bujną roślinnością i poprzerywane licznymi zatokami, tworzyły jeden z najmilszych widoków, jakie spotkaliśmy na Księżycu.

Jeszcześmy byli nie przepłynęli[69] jeziora, kiedy niebo, dotąd prawie ciągle pogodne, zaciągnęło się z nagła ciemnymi chmurami. Zrazu radzi byliśmy temu, gdyż upał nieznośny srodze nam już dokuczał, ale wkrótce zaczęliśmy się niepokoić, przeczuwając nadejście burzy. Słychać już było dalekie, potężne grzmoty, a niebo od południa rozjaśniało się raz wraz krwawymi błyskawicami. Zaledwie mieliśmy tyle czasu, aby skręciwszy w bok, ukryć się w małej, wzgórzami zasłoniętej zatoce, gdy burza rozszalała się na dobre.

Burza

Znałem na Ziemi straszliwe burze tropikalnych krajów, ale przecież czegoś tak potwornego nie umiałbym sobie wyobrazić. Ogłuszające grzmoty zlewały się w jeden, nieustanny huk, przed oczyma wciąż nam stały pioruny, jak struny jakiejś ognistej harfy, gęsto między niebem a ziemią nawiązane. Deszcz... nie! to nie był już deszcz! potop lejącej się z chmur wody zamienił całą atmosferę w wiszące, wściekłymi wichrami targane jezioro. Powietrze, zmieszane z deszczem i pryskającymi pod wichrem w górę falami, było tak przesiąkłe elektrycznością, że rozbłyskiwało się czasem samo ze siebie, a wtedy mieliśmy przed oczyma dziwne, piekielne widowisko: pod krwawo z dołu zaczerwienionymi chmurami — atmosfera z przeźroczystego ognia, pełna kropel wielkich jak pięść, podobnych do kapiącego, roztopionego metalu.

Czasem burza uciszała się nagle; chmury, jak rozstępująca się na dwie strony zasłona, otwierały widok na błękitne niebo i słońce, ale zaledwie mieliśmy czas odetchnąć, niebo czerniało znowu i znów z natarciem straszliwego orkanu, pędzącego od południa, zaczynały ryczeć gromy i pluskać strugi tryskającej z chmur wody.

Trwało to wszystko z przerwami blisko czterdzieści godzin. Znużeni, zalękli i oszołomieni patrzyliśmy na te potworne zapasy ognia, wody i powietrza, przywiązawszy statek linami do jakichś sterczących z brzegu korzeni w obawie, aby zatoka, skacząca czasem pod nami jak dziki zwierz w agonii, ostatnimi zrywany dreszczami, nie odrzuciła nas na pełne jezioro, na pastwę wichrom i falom.

Wreszcie uciszyło się wszystko i rozjaśniło na niebie — i już tylko wezbrane potoki szumiały wśród pagórków, wzdymając rozkołysaną jeszcze powierzchnię jeziora.

Wody wezbrały ogromnie. Musieliśmy jeszcze przeszło dwadzieścia godzin czekać, nim opadły do tego stopnia przynajmniej, że można się było odważyć na dalszą podróż. Płynęliśmy teraz znacznie szybciej, gdyż prąd wezbranej rzeki wzmógł się bardzo. Po drodze spotykaliśmy wszędzie ślady strasznego spustoszenia: całe obszary ziemi spłu-

[69] *Jeszcześmy (...) nie przepłynęli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: jeszcze nie przepłynęliśmy; *byli nie przepłynęli*: daw., dziś nieużywana forma czasu zaprzeszłego.

kane, ogromne, dziwne rośliny, tworzące tu już gęste lasy szczególnie poplątanych liści i długich, grubych a mięsistych łodyg, leżały miejscami potargane wichrem na strzępy. Z każdej szczeliny buchały kaskady mętnej wody; na równinach stały płytkie kałuże, nad którymi gromadziło się mnóstwo najróżniejszych a przeważnie potwornych, do gadów podobnych zwierząt.

Dzisiaj, gdyśmy się już na Księżycu zaaklimatyzowali, wiemy, że te burze straszliwe są tu codziennym zjawiskiem w dosłownym tego wyrazu znaczeniu. Powstają one z powodu niesłychanego upału w porze popołudniowej, a są dla tego świata mimo swą okropność dobrodziejstwem, gdyż odświeżają atmosferę i wysychający grunt. Gdyby nie one, życie byłoby tu niemożliwe.

Nie będę opisywał naszej popołudniowej podróży — przeszła bez wypadków. Krajobraz tylko zmieniał się przed nami ciągle, a z nim i roślinność, choć zaznaczyć wypada, że flora na tym globie, niemającym wyraźnych stref, jest znacznie jednostajniejsza niż na Ziemi.

Zbliżał się już wieczór, kiedy dostaliśmy się w miejsce, gdzie rzeka, zwolniwszy biegu, poczęła się rozlewać szeroko i tworzyć liczne mielizny, utrudniające nadzwyczaj żeglugę. Przyszło nam na myśl, że ma to być zapowiedzią niedalekiego ujścia.

— Zobaczymy morze — mówiliśmy sobie, obracając oczy ku słońcu, jakby chcąc się upewnić, że jeszcze wystarczy dnia, aby dotrzeć do tego upragnionego celu podróży.

Ale tymczasem żegluga stawała się coraz trudniejszą. Uwięzgnęliśmy[70] parę razy na mieliznach, tak że wreszcie postanowiliśmy zamienić znów statek na wóz i puścić się dalej drogą lądową.

Zachód słońca zastał nas u podnóża niewysokich, z rzadka jakąś niby-trawą porosłych wydm piaszczystych. Przeczuwaliśmy, że za nimi znajduje się już morze; zdawało nam się nawet, że słyszymy wielki, stłumiony łoskot fal i czujemy rozchodzącą się w powietrzu ostrą woń morskiej wody. Dlatego też, gnani niecierpliwością, mimo zapadający zmrok[71] nie przerywaliśmy podróży.

Mrok zgęstniał już znacznie, kiedy dostaliśmy się nareszcie na szczyt owych wydm piaszczystych. Wytężaliśmy wzrok, aby zobaczyć morze, ale niepodobna było nic rozeznać. Przed nami lśniła się tylko upiornie fosforyzującymi roślinami pokryta płaszczyzna; od wschodu, skąd słychać było jakieś bełkotania i jakby łoskot tryskającej wody, snuły się gęste, białe mgły czy opary, jak duchy błądzące po świetlistych łąkach. Nie wiedzieliśmy zrazu, co robić: pozostać przez noc na wyżynie czy też spuścić się na dół, gdy wtem wiatr, zerwawszy się nagle, rozwiał snujący się pasmem opar i odkrył potoczek, ściekający o kilkadziesiąt kroków przed nami po kamiennych progach w nieduże naturalne baseny, schodami w szereg ułożone. Widok ten trwał jedną chwilę, gdyż zaraz gęsty opar pokrył wodę na nowo i tylko plusk i bełkotanie wciąż uszu naszych dolatywały. Zastanowiła nas ta niezwykła ilość i gęstość oparu i ruszyliśmy w kierunku basenów. Za chwilę znajdowaliśmy się w gęstej, ciepłej mgle. Koła wozu tętniły teraz po kamieniu.

Gdy wiatr znowu mgłę rozegnał, spostrzegliśmy, że znajdujemy się tuż nad brzegiem jednego z basenów. Ciepły, wilgotny powiew musnął nas po twarzy.

— Cieplice! — zawołaliśmy równocześnie obaj z Varadolem.

Istotnie musiały się gdzieś w pobliżu znajdować gorące źródła, gdyż woda, odpływająca strumykiem i rozlewająca się po basenach, miała dwadzieścia kilka stopni Celsiusa. Nie pora była badać po ciemku okolicę, postanowiliśmy tylko skorzystać z nader szczęśliwego przypadku i spędzić mroźną noc nad tą wodą, dostarczającą nam znacznej ilości ciepła.

Noc mieliśmy dość niespokojną. W cztery ziemskie doby po zachodzie słońca spadł gruby śnieg i mroźny wiatr przewiewał tak, że dla zabezpieczenia się od zimna musieliśmy wóz zepchnąć na ciepłą wodę basenu. Ciemności były nieprzeniknione. Niekiedy tylko, gdy wiatr na chwilę rozegnał wciąż podnoszące się z wody opary, widzieliśmy błyszczące w górze gwiazdy. Wtedy ukazywał się nam także na południu szeroki pas błękitnego światła, biegnący wzdłuż krańców widnokręgu. Dziwiło nas to zjawisko, gdyż nie znikało długo w noc, choć fosforyzujące rośliny, któreśmy uważali[72] początkowo za przyczynę

[70] *uwięzgnęliśmy* — dziś popr. forma: uwięźliśmy.
[71] *mimo zapadający zmrok* — dziś z D.: mimo zapadającego zmroku.
[72] *któreśmy uważali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: które uważaliśmy.

tego światła, zamknęły się były już dawno. Blask ten ciekawy zagasł dopiero dobrze po północy, gdy mróz z dala od cieplic musiał już być nadzwyczaj tęgi

Nim to jednak nastąpiło, zaniepokoiła nas inna rzecz. Mianowicie około północy dało się odczuć silne wzburzenie wody, któremu towarzyszył głuchy grzmot podziemny. Prawie równocześnie dostrzegliśmy przez mgłę na wschodzie krwawą, słupem w górę idącą pożogę. Po kilku godzinach zgasła, ale wkrótce rozpaliła się znowu i trwała tak na niebie z małymi przerwami przez cztery ziemskie doby, podobna do strasznego, piekielnego ducha, pojawiającego się we mgle i nocy nad śnieżną pustynią.

Temperatura wody w basenie, kołysanej ciągłymi wstrząśnieniami gruntu, podniosła się wtedy cokolwiek, tak że cierpieliśmy raczej ze zbytku gorąca niż z jego braku.

Już w nocy podczas trwania zjawiska, które nas z początku zaniepokoiło, a nawet przeraziło, domyślaliśmy się, że gdzieś w pobliżu znajduje się wulkan, którego wybuch właśnie widzimy. Przemawiało za tym także samo istnienie silnych cieplic, pojawiających się najczęściej w wulkanicznych okolicach.

Nadchodzący dzień potwierdził nasze domysły. Zrazu mimo jasności nic nie mogliśmy widzieć, gdyż z powodu mrozu nie opuszczaliśmy jeszcze basenu, a mgły widok nam zasłaniały. Dopiero w czterdzieści godzin po wschodzie słońca wyszliśmy z wozu, przybiwszy od południa do kamiennego brzegu. Parę kroków szliśmy jeszcze w gęstej mgle, aż nagle, jakby za podniesieniem czarodziejskiej zasłony, otworzył się szeroki widok przed nami.

Stanęliśmy jak wryci, przejęci podziwem i radością.

O kilkanaście metrów poniżej, w odległości dwóch do trzech kilometrów od miejsca, gdzieśmy stali, było — morze.

Jego to fosforyzujące od drobnych żyjątek fale świeciły nad mdłym obrzaskiem długo w noc przez mgły i cienie.

Teraz widzieliśmy je wyraźnie. Nieprzejrzana, u brzegu lodem jeszcze ścięta, ale dalej już falująca i ruchliwa, słońcem pozłocona wodna płaszczyzna ciągnęła się od naszych stóp gdzieś poza kresy widnokręgu.

W pierwszej chwili byliśmy tak zachwyceni tym upragnionym widokiem, żeśmy długo nie mogli oczu odeń oderwać. Po pewnym czasie dopiero, nasyciwszy się tym, od czasu opuszczenia Ziemi niewidzianym majestatem, zaczęliśmy się rozglądać po okolicy. Od zachodu, wśród rozległych równin, połyskiwało szeroko rozlane, licznymi ławami piasku poprzerywane ujście rzeki, na której falach odbyliśmy większą część podróży dnia ostatniego. Od wschodu krajobraz był niezmiernie dziki i urozmaicony. Przede wszystkim pociągał tu wzrok niebotyczny, u szczytu śniegiem ubielony stożkowy szczyt wulkanu, panującego majestatycznie w odległości kilkudziesięciu kilometrów nad okolicznymi skalistymi wzgórzami. Południowe stoki tych gór, opadające ku morzu, czerniły się gęstymi lasami szczególnych a wielkich, dziwnie poplątanych liściastych krzewów i pnączów, rozwijających się właśnie z nocnego snu do życia, zaś bliżej nas tryskały wśród fantastycznie spiętrzonych głazów i małych dymiących jeziorek liczne perliste, chmurą białej mgły owiane gejzery. Odpływający z nich potok skakał po tarasach, zataczał się w basenach i ściekał szemrząc po głazach znów niżej, aż ginął w końcu wśród gąszczu zarośli, dążąc ku morzu.

Tu się miała zakończyć nasza odyseja.

III

Dziesięć lat ziemskich minęło od czasu, jak przybyliśmy nad brzeg morza, gdzie dzisiaj jeszcze mieszkamy. Niewiele się tutaj od tej pory zmieniło. Morze huczy tak samo i tak samo co noc świeci nam długo roziskrzonymi falami; co pewien czas powtarzają się wybuchy wulkanu, któryśmy przez pamięć naszego drogiego przyjaciela nazwali *Otamorem*; tak samo biją gejzery i strumyk szemrze po kamieniach — tylko na jednym z basenów teraz wznosi się na palach domek zimowy, a niżej nad brzegiem morza szałas, służący nam za letnie mieszkanie; tylko na piaszczystym wybrzeżu lub na łąkach bawi się czworo dzieci, zbierając muszle i kwiaty lub igrając z kilkoma psami, zrodzonymi już na Księżycu.

I myśmy już przywykli do tego świata. Nie dziwią nas długie mroźne noce ani dni, podczas których leniwie pełznące słońce ogniem z nieba zionie; popołudniowe, straszli-

we burze, przeciągające regularnie co siedemset dziewięć godzin nad naszymi głowami, przestały napełniać nas trwogą; na dziki, fantastyczny krajobraz, na roślinność tak od ziemskiej różną i potworne a niedołężne księżycowe zwierzęta patrzymy jak na rzeczy dobrze znane i naturalne... Za to Ziemia we wspomnieniach naszych staje się czymś podobnym do snu, który przeszedł i pozostawił po sobie jeno[73] nieuchwytny jakiś i tęsknotą rozmarzający ślad w pamięci.

Siadamy czasem nad brzegiem morza i rozmawiamy o niej długo, długo... Opowiadamy sobie o krótkich ziemskich dniach, o lasach, o ptakach, o ludziach i krajach, które oni zamieszkują, o mnóstwie rzeczy znanych i drobnych, jakby o czymś niezmiernie ciekawym i w bajce tylko zasłyszanym. Tom jest już dosyć duży i rozumny i słucha tego wszystkiego rzeczywiście jak bajki. On nigdy nie był na Ziemi...

Ostatecznie urządziliśmy sobie tutaj życie dosyć znośnie. U stóp *Otamora* na skruszałym wulkanicznym podłożu odkryliśmy pnącze, których grube i tęgie korzenie są dosyć zdatnym materiałem, mogącym zastąpić od biedy ziemskie drzewo. Wysuszone i ze zdrzewiałych[74] łusek oczyszczone wielkie liście, nadzwyczaj silne i trwałe, zastępują nam skórę, a z włókien innych tkamy sobie rodzaj grubego i miękkiego płótna. Na równinie za rzeką znaleźliśmy po długich poszukiwaniach pokład brunatnego węgla, a także odkryliśmy znacznie bliższe od pierwszych źródła nafty. Żelazo, srebro, miedź, siarka i wapno znajdują się tu w dość znacznej obfitości; morze dostarcza nam mnóstwa bardzo przydatnych muszel i bursztynu, różniącego się od ziemskiego tylko barwą płomiennoczerwoną.

Z morza też wyławiamy przeważnie pożywienie. Żyją tu najrozmaitsze, szczególne, a jadalne skorupiaki i jakieś niby ryby, niby jaszczurki, wcale smaczne i pożywne. Oprócz tego zbieramy w piasku lub po zaroślach jaja — żadne z tutejszych stworzeń nie przychodzi na świat żywe, lecz wszystkie znoszą jaja, niesłychanie na mróz odporne, a wylęgające się nadzwyczaj szybko w słonecznym cieple — albo też przyrządzamy smaczne i posilne potrawy z kilku gatunków roślin, obficie tutaj rosnących.

Początkowo przykrzyło nam się tylko bez mięsnego pożywienia, ale teraz jużeśmy się przyzwyczaili[75]. Wszystkie zwierzęta tutejsze mają mięso łykowate i smrodliwe tak, że jeść go niepodobna. Psy nim tylko nie gardzą.

Upłynęło kilka dni księżycowych, nimeśmy się tutaj jako tako zagospodarowali[76]. Naprzód wzięliśmy się do wyszukania budulca i paliwa, po czym zaczęliśmy wznosić na palach, zrobionych z mocnych korzeni, domek zimowy na tym samym stawku cieplic, gdzieśmy we wozie pierwszą noc spędzili. Po ukończeniu tej najważniejszej roboty zaczęły się nasze długie wycieczki po okolicy, któreśmy odbywali przeważnie pieszo, mając ze sobą wózek z zapasami i narzędziami, ciągniony przez psy. Psy są tutaj dla nas jedynymi zwierzętami roboczymi; ze stworzeń księżycowych chowamy tylko pewien rodzaj dużych, skrzydlatych jaszczurek, znoszących wielkie i smaczne jaja.

Czasami puszczaliśmy się na morze, płynąc wzdłuż brzegów. Wybrzeże ku zachodowi jest płaskie i piaszczyste, na wschodzie za to występują liczne, z wulkanicznych gór utworzone przylądki, pooddzielane głębokimi, daleko w głąb kraju wrzynającymi się zatokami. Prawie każda taka wycieczka, wodna czy lądowa, przynosiła jakąś korzyść; znajdowaliśmy coś nowego, co nam się mogło przydać, albo przynajmniej poznawaliśmy właściwości i tajemnice tej okolicy, w której snadź[77] będziemy mieszkać już do śmierci.

Po trzynastu dniach księżycowych, to znaczy po ziemskim roku naszego pobytu nad morzem, znaliśmy już okolicę wcale dobrze, a oprócz domu mieszkalnego mieliśmy warsztaty, małą hutę, składy, stajnie dla psów, słowem, wszystko, co nam tu jest niezbędne do życia. Skończył się okres gorączkowej, wytężającej czynności i z wolna przychodziła na nas nuda i gorsza od niej tęsknota za opuszczoną Ziemią. Były to dla nas czasy okropne; pamiętam, że nie mogliśmy sobie dać rady. Podczas dnia zwiedzaliśmy jeszcze okolicę, błądząc samopas po górach, albo zajmowaliśmy się dość łatwym gromadzeniem żywności, ale w długich nocach rozpacz nas już ogarniała. Zamknięci w małym domku

---

[73]*jeno* (daw.) — tylko.

[74]*zdrzewiały* — dziś: zdrewniały.

[75]*jużeśmy się przyzwyczaili* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: już się przyzwyczailiśmy.

[76]*nimeśmy się (...) zagospodarowali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: nim się zagospodarowaliśmy.

[77]*snadź* (daw.) — zapewne, prawdopodobnie.

nad powierzchnią ciepłego stawu, bezczynni i rozleniwieni, staraliśmy się tylko spać jak najwięcej.

Ale i to nie zawsze się udawało. Siedzieliśmy wtedy milczący, nudą i tęsknotą obezwładnieni i niechętni sobie wzajemnie. Jest to prawdą, jedną z najniewątpliwszych, że nic tak ludzi nie zniechęca ku sobie, jak cierpienie i nuda. Miałem niestety sposobność stwierdzić to kilkakrotnie.

Można się było wprawdzie zająć i tym, i owym, zaprowadzić jakieś ulepszenia, pomyśleć o przyszłości, ale niezdolnymi do tego czyniła nas myśl, że skazani jesteśmy tutaj na wymarcie. Ludzie na Ziemi nawet nie wiedzą o tym, że większą część swej energii zawdzięczają myśli — czasem nieświadomej — że pracują nie tylko dla siebie, ale i dla tych, co przyjdą po nich. Człowiek chce żyć — otóż to jest wszystko. A tymczasem śmierć nieubłagana stoi mu przed oczyma i gdyby nie znalazł wybiegu, sposobu oszukania jej — a może tylko siebie? — dalibóg, nie wierzę, aby inna myśl oprócz tej strasznej i paraliżującej: *ja umrę*, mogła postać w jego głowie! Są różne lekarstwa: jest wiara w nieśmiertelność duszy, jest wiara w nieśmiertelność ludzkości i dzieł człowieczych. Człowiek czynami swymi przedłuża własne istnienie, bo jeśli wspomni czasem o tych wiekach, kiedy jego już nie będzie, to wyobraża sobie, że jednak pozostanie wówczas jeszcze jakiś ślad jego pracy, i tak we własnych myślach staje się sam obecnym tej przyszłości, na którą już nie będzie patrzył żywymi oczyma. Ale do tego potrzeba mu wiedzieć, że będą po nim istnieli ludzie, którzy jeśli już nie wspomną jego imienia, to przynajmniej, nie wiedząc o tym, będą z jego pracy korzystać. To jest nieodzowny warunek życia jego czynów. Bo dzieła ludzkie są jak ludzie sami: żyją lub umierają. Dzieło, które żadnej zmiany w niczyjej świadomości nie powoduje, jest martwe.

Są to wszystko uwagi ogromnie proste i naturalne, ale uświadomiłem je w sobie zupełnie i jasno dopiero na Księżycu podczas owych długich, bezczynnych i beznadziejnych dni w początkach naszego pobytu nad morzem.

Nieraz myślałem: dobrze by było zbadać granice tej wielkiej wody, przejechać ten kraj wzdłuż i wszerz, poznać jego góry i rzeki, porobić mapy, opisać rośliny, zwierzęta i minerały — ale w tej chwili stawało mi w myśli szydercze pytanie: i co komu z tego przyjdzie? Istotnie, co komu z tego przyjdzie, myślałem, komu opowiem to, co poznam, komu zostawię to, co piszę? Tom?... Ależ mały Tom umrze tak samo jak ja, nieco później wprawdzie, ale to rzeczy nie zmienia: będzie ostatnim człowiekiem na tym świecie, na którym my jesteśmy pierwszymi. Z nim skończy się wszystko...

Ta świadomość paraliżowała wszystkie me czyny, czy to gdy zamierzałem badać ten kraj zadziwiający i to morze, którym Księżyc nalany jest jak srebrna czara, suchym dnem zwrócona ku Ziemi, czy to kiedy myślałem o postawieniu trwalszego domu, założeniu nowych i lepszych warsztatów, ogrodu i zwierzyńca, słowem, o podniesieniu dobrobytu naszego małego gospodarstwa.

Wtedy to uczuliśmy obaj z Piotrem konieczność dania początku tutaj nowej ludzkości i oczy nasze zwróciły się znów na Martę. Usprawiedliwiam się dzisiaj sam przed sobą z tego, gdyż wiem, że to było zbrodnią i samolubstwem. I wtedy to wiedziałem, ale... ale... Człowiek — chce żyć, za każdą cenę i jakkolwiek bądź, ale żyć — otóż to wszystko!

Było coś strasznego w naszym postanowieniu, zwłaszcza że było powzięte na trzeźwo i chłodno. Przynajmniej co do mnie...

Przywiązałem się był do Marty jakąś wielką miłością, cichą i tkliwą, ale ów czas, kiedy pożądałem jej dla siebie, dla zmysłów swych i szczęścia, minął już dawno i jak mi się zdawało, bezpowrotnie. Nawet nie wiem, dlaczego minął... Czasem zdaje mi się, że tylko dlatego, iż pokochawszy ją prawdziwie, przekonałem się zarazem, że ona mnie nie kocha i nigdy kochać nie będzie, zajęta wieczyście myślą o tamtym, zmarłym i odrodzonym w jej synu.

Nie o Marcie tedy myślałem w owym czasie przede wszystkim, ale o dzieciach, o małych, wesołych dziewczynkach, z którymi, gdyby już urosły duże, mógłby się Tom ożenić, dając w ten sposób początek nowej ludzkości. Marzyłem o tym jak o największym szczęściu; wszak wtedy praca nasza nie byłaby próżna, ze wszystkiego, co byśmy odkryli lub zrobili, korzystaliby ci, mający z pokolenia w pokolenie żyć przez długie wieki na księżycowym globie.

Nie powiem, aby te marzenia moje były całkiem nieosobiste. Owszem, myśląc o dzieciach, wyobrażałem sobie mimo woli, że są to moje dzieci, a poza ich wesołymi, uśmiechniętymi twarzyczkami błyskała mi cicha, dobra i pogodna postać Marty, mojej Marty... Nużące to były i aż bolesne marzenia, bo tak mi się zdawały dziwnie niepodobne do urzeczywistnienia...

A potem znowu robiłem sobie wyrzuty, patrząc na bądź co bądź niegościnny i nie dla ludzi stworzony świat księżycowy. Jaki będzie — myślałem — los przyszłej ludzkości, lekkomyślnie tu przez nas dla nadania celu własnym czynom i racji własnemu życiu stworzonej? Poznałem już był o tyle warunki tego globu, że wiedziałem, iż ludzkość nie zdoła się na nim nigdy tak rozwinąć, jak na Ziemi. Człowiek będzie tu zawsze przybyszem i natrętem, który przyszedł nieproszony i — za późno. Tak jest, za późno. Księżyc mimo wszystko jest globem obumierającym.

Patrząc na tutejsze życie, zajmujące tak niesłychanie małą część powierzchni całego globu, na rośliny niby wspaniałe i bujne, ale o wiele mniej od ziemskich żywotne, na zwierzęta dziwaczne, ale skarlałe i niedołężne, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że patrzę na przepych zachodzącego słońca. Tu życie już się przestało rozwijać, jest dojrzałe, przejrzałe nawet i czekające końca. I oto przyroda, pracując tutaj od wieków bez porównania więcej niż na Ziemi (gdyż Księżyc, jako mniejszy, pierwej od niej ostygł i pierwej stał się „światem"), nie zdołała wypracować sobie rozumnej istoty, a jeśli nawet wypracowała, to czas jej minął bezpowrotnie. To najlepszy dowód, że glob ten, zwłaszcza dzisiaj, nie jest dla takich istot.

Człowiekowi będzie tu zawsze ciasno i marnie.

Takie refleksje budziły się we mnie, ale uczucie jest u człowieka zawsze silniejsze od abstrakcyjnej myśli: mimo wszystko pragnąłem całym sercem, aby tu po nas byli ludzie. Czasem oszukiwałem sam siebie i starałem się upozorować to samolubne pragnienie, że chcę ludzkości dla Toma, aby go uchronić od losu najstraszliwszego: być człowiekiem samotnym i ostatnim. Ale to nieprawda: ja chciałem nowego pokolenia dla siebie.

Nie wiem, co Piotr myślał, jak czuł i rozumował, ale to pewna, że to samo pragnienie nie mniej silnie go opanowało. Dość długi czas upłynął, nim zaczęliśmy o tym rozmawiać ze sobą. Pamiętam, było to jakoś o zachodzie słońca; Marta z Tomem na ręku poszła ku cieplicom, a my siedzieliśmy obaj w milczeniu na wybrzeżu morskim.

Piotr patrzył długo za odchodzącą, a potem zaczął z cicha liczyć księżycowe dni, któreśmy już przeżyli[78].

— Dwudziesty trzeci zachód słońca — odezwał się wreszcie głośno.

— Tak — odparłem bez myśli — dwudziesty trzeci, jeśli policzymy i dnie spędzone na biegunie, podczas których, co prawda, nie mieliśmy zachodów.

— I co dalej? — spytał Piotr.

Ruszyłem ramionami:

— Nic. Jeszcze kilkanaście zachodów, może kilkadziesiąt lub paręset i będzie koniec. Tom zostanie sam.

— Nie o Toma mi idzie — rzekł. A po chwili dodał: — W każdym razie jest źle.

Milczeliśmy dość długo, potem Piotr znów zaczął:

— Marta...

— A tak, Marta — powtórzyłem.

— Trzeba coś postanowić?

Zdawało mi się, że w głosie jego usłyszałem znowu tę nutę, pamiętną mi z okropnej podróży przez *Mare Frigoris* po śmierci Woodbella. Odezwał się we mnie głuchy bunt. Spojrzałem mu bystro w oczy i odrzekłem z naciskiem:

— Trzeba.

On uśmiechnął się jakoś dziwnie i nic nie odpowiedział.

Tego dnia nie mówiliśmy już więcej o tej sprawie.

Długa noc przeszła w milczeniu i nudzie. Tom był trochę niezdrowy i Marta, zaniepokojona, ciągle nim była zajęta. Patrzyliśmy na jej bezbrzeżną czułość macierzyńską i kto wie, czy nie wtedy właśnie zrodził się w nas nieświadomie wstrętny plan wyzyskania

[78] *któreśmy (...) przeżyli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: które przeżyliśmy.

jej miłości dla dziecka, aby ją nakłonić do uległości względem naszych życzeń. W każdym razie ta noc pustki i nudy przekonała nas, iż trzeba ostatecznie „coś postanowić".

Rankiem następnego dnia wybraliśmy się z Piotrem do lasów u stóp *Otamora*. Podczas tej wycieczki omówiliśmy sprawę ostatecznie: jeden z nas miał pojąć Martę za żonę, a drugi zobowiązać się nigdy mu w drogę nie wchodzić.

„Jeden z nas!" — powtarzałem w myśli te słowa z jakimś tęsknym i bolesnym niepokojem.

W ustach Piotra, gdy je wymawiał, brzmiały jak groźba. Nie wiem, możem się łudził, ale tak mi się zdawało. Wybór między nami dwoma mieliśmy pozostawić Marcie, a dopiero w razie gdyby go bezwarunkowo nie chciała dokonać, mieliśmy ciągnąć losy. Piotr upierał się wprawdzie, aby rzecz od razu dać losowi do rozstrzygnięcia, twierdząc, że Marta nie zechce wybierać, ale ja sprzeciwiłem się temu stanowczo i wymogłem na nim tyle, że się zgodził wpierw Martę zapytać o zdanie. Przystał na to niechętnie i mówiąc wreszcie: „tak", miał na ustach zagadkowy uśmiech, a w oczach dziwnie niedobre błyski.

Przyszedłszy do domu, zwlekaliśmy jeszcze długo ze stanowczą rozmową, tak byliśmy pewni niechęci Marty względem tego, z czym mieliśmy się do niej zwrócić. Przez cały czas Piotr chodził zamyślony i ponury, udając, że się czymś zajmuje, a ja błąkałem się nad morzem z sercem pełnym niewytłumaczonej obawy. Tego dnia miały się losy nas wszystkich rozstrzygnąć.

Wreszcie nadchodziło południe, duszne i upalne. Słońce, świecące na niebie od stu kilkudziesięciu godzin, prażyło całą okolicę nieznośnym skwarem, od którego więdły rośliny, czekając odświeżających deszczów. Nad morzem od południowo-wschodniej strony, tam, gdzie słońce już przeszło ponad równikiem, zbierały się gęste i czarne chmury. W niewielkich odstępach, podczas których powietrze wisiało nad nami zastygłe i ciężkie, zrywał się szalony, krótkotrwały wicher, bił o brzeg morskimi falami, wichrzył lasy, łamał perliste fontanny gejzerów i wył między skałami, zapowiadając codzienną porę burz.

Z letniego domku na wybrzeżu przenieśliśmy się do pieczary w okolicy gejzerów, która służyła nam zazwyczaj za schronienie w czasie burzy. Siedzieliśmy właśnie wszyscy troje przed jej wejściem, a mały Tom, czepiając się kolan matki, usiłował spacerować na własnych nogach naokoło tej podpory, kiedy Piotr rzucił na mnie znaczące spojrzenie, a potem z wyrazem nagłego postanowienia zwrócił się ku Marcie.

Uczułem przyspieszone bicie serca, które mnie aż w gardle dławiło. Nadchodząca burza działała na nas zawsze podniecająco; tego dnia przyłączyło się jeszcze osobliwe rozdrażnienie, spowodowane myślą o bliskiej i stanowczej, a tak ważnej rozmowie z Martą. Szczególnie na Piotrze znać było nienaturalny stan: rozszerzone źrenice błyszczały mu niespokojnie, pierś wznosiła się szybko w nierównym oddechu, a na policzkach paliły się krwawe wypieki. Patrzyłem weń z zapartym oddechem, a on bez wstępów i przygotowań zapytał tak wprost:

— Marta, którego z nas wolisz?

Marta, zaskoczona tym nagłym pytaniem, zdawała się zrazu nie rozumieć, o co mu chodzi. Popatrzyła ze zdumieniem na mnie, na niego, potem znów na mnie i wzruszyła pogardliwie ramionami.

Piotr powtórzył:

— Marta, którego z nas wolisz?

Jego wzrok, uparcie w nią wbity, musiał jej więcej powiedzieć niż to pytanie, gdyż nagle wszystko zrozumiawszy, zbladła i z lekkim okrzykiem zerwała się z siedzenia. W ręku błysnął jej znowu sztylet, którym już raz groziła Piotrowi.

— Z was? Żadnego! — krzyknęła.

Piotr przybliżył się o krok.

— A jednak musisz wybierać i... wybrać — rzekł z naciskiem.

Jej oczy w niemej rozpaczy zatrzepotały jak ptaki, opętane przerażeniem. Zdawało mi się, że przez chwilę, przez krótką, przelotną chwilę zatrzymały się na mojej twarzy z jakimś błagalnym wahaniem czy namysłem — ale nie! to musiało mi się zdawać, na pewno tylko mi się zdawało, gdyż w tejże chwili podniosła obronnym ruchem rękę ze sztyletem i wyrzekła twardo:

— Nie wybiorę, a ciekawam, który z was się do mnie zbliżyć ośmieli! Nie chcę żadnego!

I znów, pamiętam, zdawało mi się, że ostatni wyraz zmiękł jej dziwnie w ustach, a oczy jej znów się z mym wzrokiem spotkały — ale niewątpliwie było to tylko złudzenie. Byłem wówczas tak podniecony... Święty Boże! chcę wierzyć, że to było złudzenie!

Tom, gdy matka wstała, usiadł na ziemi i patrzył z zaciekawieniem na całą scenę. Teraz Piotr dotknął ręką jego głowy. Marta to spostrzegła.

— Precz! — zawołała z trwogą — precz! nie zbliżaj się do niego! on mój!

Piotr się nie ruszył. Dotykając wciąż palcami głowy malca, patrzył na Martę uporczywie z szyderczym uśmiechem.

— A co będzie z Tomem? — spytał wreszcie.

Marta zawahała się.

— Z Tomem? co będzie z Tomem? — powtórzyła prawie bezwiednie.

— A tak, gdy my pomrzemy, a on zostanie sam...

Te słowa uderzyły w nią jak piorun. Otworzyła szeroko oczy, jakby dostrzegłszy nagle otchłań, o której dotąd nie myślała; westchnęła głęboko i usiadła, czując snadź, że sił jej brakuje.

— Tak, co będzie z Tomem... — powtarzała szeptem, patrząc na dziecko z bezradną rozpaczą.

A Piotr wtedy zaczął jej tłumaczyć i przedkładać, że dla miłości Toma musi wybrać jednego z nas. Wszakże nie zechce skazać ukochanego synka na straszną, samotną śmierć, a przedtem na straszniejsze jeszcze samotne życie? Cóż on będzie robił po naszym zgonie? Opuszczony, smutny, zdziczały, będzie się błąkał samotnie po tych górach i nad brzegiem tego morza, ostatni człowiek, jedyny człowiek na tym globie, myślący o jednej tylko nieuchronnej rzeczy, o śmierci.

Przyjdą chwile, kiedy będzie przeklinał matkę, która mu dała życie. Nie mając się do kogo odezwać, zapomni ludzkiej mowy. Słowa, które się od nas nauczył, będzie gubił jedno po drugim, tak jak się rozsypuje niebacznie pieniądze na pustyni, gdzie nic za nie kupić nie można. Może zostanie mu wreszcie w pamięci kilka ostatnich bezużytecznych słów, których dźwiękiem będzie się długo pieścił, choć to będą zapewne słowa straszne, wyrażające grozę, samotność, opuszczenie i smutek. Gdy będzie rozpaczał, nikt go nie ukoi; gdy będzie czego potrzebował, nikt mu nie dopomoże. Jeśli zachoruje, u posłania jego będzie stało jedynie okropne, szydercze widmo głodowej śmierci. Wtedy nawet psy, szczęśliwsze od niego o tyle, że się tu będą mnożyć i rozradzać, opuszczą swego pana, niezdolnego im już wydawać rozkazów. Może tylko jeden, wierniejszy, który mu był przyjacielem i towarzyszem samotności w braku człowieka, pozostanie dłużej, aż w i końcu przerażony pełnymi ostatniej rozpaczy martwymi oczyma, których zamknąć nie będzie komu, zacznie wyć ze strachem przeciągle i długo. Inne, już zdziczałe, zbiegną się na ten głos i... sprawią sobie ucztę z ciepłego jeszcze trupa ostatniego człowieka na Księżycu.

Mówił jeszcze długo, malując wszystkie okropności, na jakie Tom będzie skazany po naszym zgonie, a ja — skarz mnie Boże! — pomagałem mu pastwić się nad tą kobietą i przekonywałem ją, że dla Toma powinna wybrać jednego z nas...

Marta słuchała tego wszystkiego, nie odpowiadając ani słowa. Tylko na jej twarzy, początkowo zdumiałej[79], malowały się kolejno: strach, rozpacz, przygnębienie, rezygnacja.

Od południa słychać już było pierwsze, dalekie grzmoty nadciągającej burzy... Marta siedziała niema.

Gdyśmy wreszcie skończyli i Piotr zapytał ją, czy się zgadza poślubić jednego z nas, zdawała się zrazu nie słyszeć pytania. Dopiero gdy je powtórzył, drgnęła i podniosła głowę, jakby ze snu obudzona. Popatrzyła na nas, a potem odezwała się głucho, z trudem wymawiając wyrazy:

— Ja wiem, wam nie o Toma idzie, ale wszystko jedno... Macie słuszność... Ja dla Toma... zrobię... wszystko...

Westchnęła spazmatycznie i umilkła.

— Brawo — zawołał Piotr — to rozumnie! A zatem — dodał, pochylając się ku niej — którego z nas wolisz?

Ja stałem na uboczu i patrzyłem na Martę. Cofnęła się odruchowo, jakby przejęta nagłym wstrętem, ale opanowała się w tejże chwili i spojrzała na nas. I znowu, znowu, już

[79] *zdumiały* — dziś: zdumiony.

po raz trzeci zdawało mi się, że wzrok jej zatrzymał się chwilę na mnie, wzrok biednej, szczutej, osaczonej i o litość błagającej łani.

Wszystka krew uderzyła mi ze ściśnionego[80] serca do mózgu.

Musiał i Piotr jej spojrzenie pochwycić, bo zbladł nagle i zwrócił się ku mnie z wyrazem jakiejś strasznej zaciętości.

W tej chwili Marta wybuchnęła gwałtownym, długo powstrzymywanym płaczem i rzucając się na ziemię poczęła wśród łkań zawodzić z rozpaczą:

— Tomasz! mój Tomasz! mój dobry, ukochany Tomasz!

Wzywała zmarłego, jakby ją mógł wybawić od żywych.

Piotr żachnął się niecierpliwie.

— Nie ma co mówić ani na co czekać — rzekł. — Ciągnijmy losy.

Chciałem się jeszcze opierać. Było mi duszno i straszno. Chmury powlokły już pół nieba, nad morzem raz wraz przelatywały olśniewające błyskawice. Mały Tom, widząc matkę płaczącą, zaczął sam płakać.

Postąpiłem krok ku Marcie.

— Marta...

— Marta — powtórzyłem, dotykając z lekka dłonią jej ramienia.

— Precz! precz! — zawołała — wy wstrętni obaj!...

— Ciągnijmy losy — naglił Piotr.

Obejrzałem się. Stał za mną, trzymając w zamkniętej dłoni dwa końce chustki.

— Kto wyciągnie węzełek, ten ją weźmie. — Wskazał głową na leżącą wciąż na ziemi.

Ze mną działo się coś strasznego. W głowie miałem dziwną jasność, byłem nawet spokojny, tylko brakowało mi oddechu, jakby mi kto piersi całą górą przywalił. Patrzyłem na dwa rogi chustki, sterczące z Piotrowej dłoni, i naprzód zajął mnie obrąbek, w jednym miejscu nieco oderwany... Potem przypomniała mi się inna scena, na *Mare Imbrium*, gdzie tak samo mieliśmy ciągnąć losy — o śmierć... jak teraz o... miłość!

Piotr się niecierpliwił.

— Ciągnij! — zawołał.

Spojrzałem na niego. Twarz miał kurczowo wykrzywioną, oczy wbite we mnie uparcie. Zrozumiałem naraz wszystko. Jeśli wyciągnę los, będę musiał natychmiast zabić tego człowieka, gdyż w razie przeciwnym on mnie zabije. Mimo woli wsunąłem rękę do kieszeni szukając broni. Ale wtedy przyszło mi na myśl, że równie łatwo może się los dostać Piotrowi. Co wtedy? Czy będę miał dość siły, aby się wyrzec tej ukochanej kobiety, wiedząc, że marny przypadek wszystko rozstrzygnął? Czy się nie zbuntuję kiedy przeciw niemu?

Kroplisty pot pokrył mi czoło.

Gdybym wiedział, że Marta mnie woli, że ma dla mnie choć trochę więcej serca niż dla Piotra, nie czekałbym losu...

Ale tak...

Wszak powiedziała przed chwilą: wstrętni obaj... Obaj!

Mam jej zadawać gwałt i do tego zabijać człowieka... albo uchylić czoła przed przypadkiem?...

Spojrzałem na Martę. Przestała już płakać i siedziała teraz cicho, zapatrzona w dalekie morze, jakby nie wiedząc, że my tu o parę kroków...

Straszliwa, bezdenna, bolesna litość zdjęła mnie nad tą kobietą.

Trwało to wszystko zaledwie sekundę, ale już mimo woli wsuwałem znów palce w zanadrze i dotykając rękojeści rewolweru, wybierałem błędnym wzrokiem, kogo mam zabić: Piotra, Martę, siebie czy Toma, któregośmy zrobili nieświadomym narzędziem tortury dla niej...

Wreszcie po tym niesłychanym naprężeniu nerwów wszystko się we mnie rozprzęgło. Została tylko obojętność i... duma. Otworzyłem dłoń, zaciśniętą już około rewolweru.

— Ciągnij! — zasyczał Piotr zdławionym głosem.

— Nie! — odpowiedziałem z nagłym postanowieniem.

— Co?!

— Nie będziemy ciągnęli losów.

---

[80] *ściśniony* — dziś: ściśnięty.

Jeszcze nie mógł zrozumieć. Wsunął prędko rękę do kieszeni i usłyszałem trzask podnoszonego kurka rewolweru. A więc i on był przygotowany — nie omyliłem się. Ruchem szybkim jak błyskawica chwyciłem go za obie ręce. Przegiął się i zwinął w żelaznym uścisku, w oczach miał najwyższe przerażenie.

Usłyszałem przeraźliwy krzyk Marty. W pierwszej chwili zdawało mi się, że zadrgało w nim coś, jak gdyby radość, ale potem pomyślałem, że ona może obawia się o Piotra. Spojrzałem na niego — patrzył mi w oczy z bezsilną, rozpaczną[81] wściekłością. Zdawało mi się, że oczekiwał śmierci. Uśmiechnąłem się i wstrząsnąłem głową.

— Nie! to nie to... Bierz ją sobie — rzekłem i puściłem go.

W pierwszej chwili oniemiał ze zdumienia. Popatrzył na mnie błędnie, a potem uśmiechnął się z przymusem:

— Jesteś szlachetny, tak, dziękuję ci... Co prawda, ja jestem młodszy, więc słusznie... Ale — tu zniżył głos — ale, czy mi przyrzekasz, że nigdy... nigdy...

Wskazał znów ruchem głowy w stronę Marty.

Spojrzałem mu w oczy.

— Tak, wiem, nie potrzeba... Dziękuję ci, ty jesteś... — wyrzekł prędko.

Przejął mnie wstręt nieopisany. Piotr zawahał się na chwilę, a potem odwrócił się szybko i podszedł ku Marcie. Spojrzałem i ja na nią i znowu nasze oczy się spotkały, ale teraz wzrok jej wyrażał jakąś bezbrzeżną pogardę czy nienawiść. Odwróciła się natychmiast, gdy spostrzegła, że na nią patrzę.

— Marta, mam być twoim mężem — rzekł Piotr.

— Wiem o tym — wymówiła to całkiem obojętnie.

— Marta...

— Co?

— Zbliża się burza...

— Widzę...

Piotr westchnął nerwowo.

— Pójdź, ukryjmy się w pieczarze.

W oczach tliła mu się straszna, zwierzęca namiętność, przez kurczem ściśnięte szczęki z trudem dobywały się słowa, a ciałem jego wstrząsały raz po raz febryczne dreszcze.

Nie śmiałem spojrzeć na Martę. Usłyszałem tylko jej głos, stłumiony, obojętny:

— Dobrze. Idę.

Piotr zawahał się jeszcze:

— Marta, oddaj pierwej sztylet.

Rzuciła nim o ziemię, aż ostrze dźwiękło[82] po kamieniach, i nie oglądając się weszła do groty. Piotr, chwyciwszy Toma na ręce, poskoczył za nią.

W tej chwili oślepiająca błyskawica przeleciała po czarnym niebie i głuchy, echem przedłużony huk grzmotu oznajmił początek burzy. Już i deszcz ulewny zaczynał padać, chłodząc spiekłą i wysuszoną ziemię.

Zakręciło mi się w głowie i runąłem na kamienie, wybuchając straszliwym, niemęskim łkaniem. Nade mną ryczały nieustanne gromy, a świat cały ćmił się rozszalałą ulewą.

Tak się ułożyło nasze życie na Księżycu.

IV

Zaczęło się tedy dla mnie życie samotne. Stosunki me z Piotrem nigdy nie były zbyt serdeczne, a wobec Marty nie mogłem się przemóc, aby być takim samym, jak przedtem. Coś stało między nami, jakiś żal obustronny i wstyd... bo ja wiem? I ona zmieniła się nie do poznania. Schudła, pobladła, zbrzydła nawet; zawsze w sobie zamknięta i małomówna, zdawała się mnie unikać. Całe długie godziny spędzała sam na sam z Tomem. Jedynie widok tego dziecka mógł dokazać cudu, że twarz jej zasępiona rozjaśniała się na chwilę uśmiechem szczęścia. Syn był dla niej wszystkim, o nim tylko myślała. Brała go często na kolana i pieściła długo i namiętnie albo opowiadała mu różne, przedziwne historie, których nawet nie mógł jeszcze rozumieć: o Ziemi, pozostawionej daleko, daleko w błękicie, o ojcu, leżącym w grobie wśród straszliwej pustyni, o sobie...

[81] *rozpaczny* — dziś: rozpaczliwy.
[82] *dźwiękło* — dziś: dźwięknęło a. zadźwięczało.

Piotr był zazdrosny. Zawsze dla dziecka niechętny, teraz spoglądał na nie czasem takim wzrokiem, że znając jego charakter, obawiałem się, aby mu nie uczynił jakiej krzywdy. Zresztą zazdrosny był i o mnie, choć unikałem wszelkich pozorów mogących mu dać pochop do tego. Z Martą sam na sam nie spotykałem się w początkach nigdy, a i w jego obecności niewiele z nią rozmawiałem. Za każdym razem jednak, gdym do niej słowo przemówił, czułem na sobie jego wzrok niespokojny i drapieżny.

Ciężkie było życie moje i Marty, ale bodaj czy on nie był najnieszczęśliwszy z nas trojga. Marta miała przynajmniej pociechę w dziecięciu, ja zaś to dumne, choć marne zadowolenie, jakie daje spełnienie dobrowolnej ofiary, podczas gdy on, Piotr, nękany zazdrością przy boku pożądanej, a zimnej dla siebie kobiety, nigdzie nie miał oparcia. Ja mimo woli odsunąłem się od niego, a Marta była wprawdzie we wszystkim uległa i powolna jego życzeniom, ale na każdym kroku dawała mu do poznania, że uważa go jedynie za narzędzie, za pomocą którego chce zapewnić błogosławieństwo ludzkiego towarzystwa swemu synowi na Księżycu. Nie widziałem nigdy, aby się doń zwróciła z cieplejszym, serdecznym słowem; gdy okrywał jej ręce lub twarz pocałunkami, nie broniła się, ale siedziała nieruchoma, sztywna i obojętna, tylko w oczach jej przebijał się czasem wyraz znużenia i... wstrętu.

A przecież on ją kochał po swojemu, ten człowiek, i wszelkich środków używał, aby wymóc na niej wzajemność jak gdyby taką rzecz czymkolwiek można było wymóc! Były chwile, kiedy jej groził i starał się okazać swą przewagę, ale ona wtedy patrzyła nań obojętnie i spokojnie, niestrwożona, ale i niemająca ochoty mu się sprzeciwiać. Gdy co rozkazał, spełniała bez szemrania, ale i bez uśmiechu, zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy o co prosił. To go doprowadzało do rozpaczy. Widziałem, że chciał czasem wywołać u niej bodaj bunt i nienawiść, aby ją tylko wyrwać z tej strasznej obojętności. Chwytał się więc ostatniego sposobu: prześladował Toma. Przy mnie nie śmiał się tknąć dziecka; powiedziałem mu raz, że gdy najmniejszą krzywdę wyrządzi chłopcu, strzelę mu w łeb, a wiedział, że od owego pamiętnego południa zawsze rewolwer noszę przy sobie. Ale podczas mojej nieobecności bił Toma. Dowiedziałem się o tym dopiero znacznie później i przypadkiem... Marta bez słowa, bez wybuchu, pogroziła mu wtedy sztyletem, który ja jej oddałem, podniósłszy go wówczas, gdy wchodząc do groty, rzuciła nim o ziemię.

Więc znowu kiedy indziej, popadając z ostateczności w ostateczność, Piotr rzucał się jej do nóg i szlochał, i błagał zmiłowania.

Byłem raz niepostrzeżenie świadkiem takiej sceny. Wracałem był właśnie z samotnej wycieczki do dość odległych źródeł nafty, kiedy zbliżywszy się ku domowi, usłyszałem podniesiony głos, a potem płacz Piotra. Marta siedziała na ławce w ogródku, założonym przez nas na wzgórzu, skąd się roztaczał niesłychanie wspaniały widok na góry i morze, a u nóg jej na piasku leżał Piotr. Złożone ręce oparł o jej kolana i modlił się do niej wprost twarzą, wzrokiem, głosem.

— Marta — mówił — Marta, zmiłuj się ty nade mną! czy nie widzisz, co się ze mną dzieje! Przecież to jest okropne... Ja szaleję za tobą, ja od zmysłów odchodzę, a ty... ty...

Jakieś spazmatyczne, niemiłe łkanie przerwało mu mowę.

Marta nawet nie drgnęła.

— Czy chcesz czegoś ode mnie, Piotrze? — spytała po chwili.

— Chcę twojej miłości!

— Jesteś moim mężem...

— Kochaj mię!

— Dobrze. Kocham cię.

Mówiła to wszystko powoli, spokojnie i tak strasznie obojętnie, że mnie aż mróz przeszedł.

Piotr zerwał się na równe nogi:

— Kobieto! nie drażnij mnie! — syknął.

— Dobrze. Nie będę cię drażniła.

Piotr chwycił ją obiema rękami za ramiona, twarz miał ściągniętą od bezsilnej wściekłości. Mimo woli wyciągnąłem rewolwer; tętno biło mi gwałtownie, ale czułem, że mi ręka nie zadrży.

— Czy mnie chcesz bić, Piotrze? — zapytała Marta znowu takim głosem, jakby mówiła: „Czy chcesz się napić wody?”.

— Tak, będę cię bił, tłukł, mordował, aż... aż...

— Dobrze, bij mię[83], Piotrze...

On jęknął i zatoczył się jak pijany.

Przystąpiłem bliżej, aby przerwać swoją obecnością tę straszną scenę.

Widok wieczystego, przygnębiającego smutku Marty i wewnętrznych, okropnych walk Piotra był mi nad wszelki wyraz przykry, a że i oni unikali mnie po części, choć każde z innego powodu, więc tak wszystko złożyło się na to, że większą część długich dni księżycowych spędzałem w najzupełniejszej samotności. Przywykłem do tego powoli. Zresztą mogłem już teraz myślą o przyszłości zapełnić pustkę i nudę, na którą się sam dobrowolnie skazałem. Inaczej wprawdzie wyobrażałem sobie był niegdyś małżeństwo „jednego z nas" z Martą: marzyłem o jakiejś pogodnej, cichej, choć niepozbawionej tęsknego smutku sielance, o nowym, serdecznym węźle, łączącym nasze szczupłe grono, o rozmowach długich, prowadzonych głosem przyciszonym, a wypełnionych zapobiegliwą troską o szczęście i wygody tych, którzy mają przyjść po nas; ale choć rzeczywistość zniszczyła doszczętnie te wszystkie piękne marzenia, to przecież dała mi jeden nieoceniony skarb: nadzieję nowego pokolenia. Kochałem już to przyszłe pokolenie, te nie moje dzieci, jeszcze nim przyszły na świat. W długich samotnych wędrówkach myślałem o nich nieustannie. Dla nich gromadziłem zapasy, badałem okolicę, spisywałem spostrzeżenia; dla nich odgrzebałem z pyłu i uporządkowałem przywiezioną z Ziemi biblioteczkę; dla nich robiłem cegły i wypalałem wapno, aby zbudować murowany dom i małe obserwatorium astronomiczne; dla nich wytapiałem z rudy żelazo albo kułem ze srebra, obficie się tu znachodzącego, różne naczynia, sporządzałem szkło, papier i inne, niezbędne dla cywilizowanego człowieka materiały. Tak się niewymownie cieszyłem tymi dziećmi, które się miały dopiero narodzić! Zdawało mi się, że z ich przyjściem coś się musi koniecznie zmienić na lepsze, że ich uśmiech i szczebiot rozwieje wreszcie tę duszną atmosferę, która wśród nas panowała.

Nie czekałem zbyt długo. W rok niespełna powiła Marta bliźniaczki: dwie córeczki. Przyszły na świat w nocy. Gdy usłyszałem z drugiej izby, gdzie siedziałem z Tomem, ich pierwszy, słaby płacz, zerwałem się podrzucony szaloną radością, ale w tejże chwili ścisnął mnie za serce taki straszliwy, nieukojony ból, że zacząłem gryźć palce, aby stłumić przemocą wydzierające się łkania, a łzy polały mi się z oczu.

Tom patrzył na mnie ze zdziwieniem, nadsłuchując równocześnie głosów dochodzących z drugiej izby.

— Wuju — rzekł wreszcie (tak mnie zawsze nazywał) — wuju, co to tam tak płacze, czy mama?

— Nie, dziecko, to nie mama płacze, to... takie małe dzieciątko jak ty, jeszcze mniejsze.

Tom zrobił poważną minę i zaczął się namyślać.

— A skąd to dziecko? a po co to dziecko? — pytał znów.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. On tymczasem przypatrywał mi się bacznie.

— Wuju, a o co wuj płacze? — zapytał nagle.

Istotnie, o co ja płakałem?

— Bom głupi! — rzekłem opryskliwie, odpowiadając raczej własnym myślom niż jemu.

Dzieciak pokiwał głową z niesłychaną powagą.

— A nieprawda! ja wiem, że wuj nie głupi. Mama tak nie mówiła. Mama powiedziała, że wuj jest dobry, bardzo dobry, tylko... tylko...

— Tylko co? jak ci mama powiedziała?

— Zapomniałem...

W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął Piotr. Był blady i widocznie wzruszony. Uśmiechnął się do mnie gorzko, ale szczerze — po raz pierwszy od roku — i rzekł:

— Dwie córki...

A zaraz dodał:

— Janie, proszę cię, Marta chciała, żebyś jej przyprowadził Toma.

---

[83] *mię* (daw.) — mnie.

Wszedłem do izby, gdzie leżała chora. Zobaczywszy syna, wyciągnęła do niego ręce od razu.

— Tom! pójdźże i patrz! masz dwie siostrzyczki, dwie naraz! To dla ciebie! Ty mi przebaczysz, Tom, prawda? przebaczysz... Ale to dla ciebie, tylko dla ciebie, mój najmilszy, jedyny, ukochany synku! — mówiła urywanym głosem, przyciskając dziecko do piersi.

Tom się zadumał.

— Mamo, a co ja będę robił z tymi siostrzyczkami?

— Co ci się spodoba, mój maleńki, będziesz je bił, kochał, drapał, pieścił, wszystko, co ci się spodoba! A one będą cię słuchały i pracowały za ciebie, gdy dorosną, wiesz?

— Marta! co ty mówisz! — krzyknął Piotr — Marta! to są moje dzieci!

Popatrzyła na niego chłodno:

— Wiem o tym, Piotrze; to są *twoje* dzieci...

Piotr zrobił ruch, jakby się na nią chciał rzucić, ale przemógł się i przystępując do łóżka, rzekł, jak umiał najłagodniej.

— To są *nasze* dzieci, Marta. Czy nie masz już dla mnie żadnego słowa? nic?...

— Owszem. Dziękuję ci.

Po czym zaczęła znowu głaskać i całować namiętnie jasną główkę syna:

— Mój Tom, mój najmilejszy, ukochany, złoty synek...

Piotr wybiegł z izby jak oszalały, a mnie robiło się duszno. Było coś potwornego w tej wyłącznej miłości matki.

Narodziny tych dwóch dziewczątek, Lili i Róży, niewiele zmieniły nasze życie — wbrew oczekiwaniom. Stosunek Piotra i Marty wciąż był jednakowy. Współczułem od dawna z Martą, ale teraz zacząłem czuć głęboką litość nad losem tego człowieka. Osowiał, zasępił się, w każdym słowie, w każdym ruchu jego znać było ogromne, śmiertelne znużenie i przygnębienie. Młodszy o kilka lat ode mnie, pochylił się i osiwiał; zapadłe oczy płonęły mu jakimś niezdrowym blaskiem. Nigdy nie byłbym przypuszczał, że rok życia zdoła tak złamać ten niespożyty organizm, który przetrwał zwycięsko, najlepiej z nas wszystkich, niesłychane trudy podróży przez pustynię. Ostatecznie powodem tego była Marta, ale nie mogłem jej winić... Kochała tego pierwszego, który umarł; poza nim i jego synem nie było już miejsca w jej sercu — to było całe nieszczęście.

Zdaje mi się nawet, że córek nie kochała. Dbała o nie wprawdzie troskliwie, ale widoczne było, że robiła to tylko z myślą o Tomie. Miały dla niej znaczenie cennych zabawek dla synka, których nie trzeba uszkodzić, rzadkich zwierzątek, wymagających baczności i pielęgnowania, bo strata mogłaby być niepowetowana. Nawet sposób, w jaki się wyrażała o córkach, świadczył o tym — mówiła o nich zawsze: „Tomowe dziewczynki". Piotr patrzył na to bezradny i posępniał coraz więcej.

W każdym razie te dzieci sprawiały Marcie wiele kłopotu i w pierwszych zwłaszcza miesiącach zajmowały dużo czasu, tak się więc złożyło, że Tom był nieustannie pod moją opieką. Zyskałem towarzysza. Dzieciak był bardzo rozumny i nad wiek rozwinięty. Wypytywał się ciągle o rozmaite rzeczy i rozmawiał ze mną jak dorosły. Po pewnym czasie tak się przywiązałem do niego, że niepodobna mi już było obejść się bez jego towarzystwa. Przez kilka samotnych dni księżycowych przyzwyczaiłem się do nieustannej włóczęgi, teraz na wszystkie, nawet dalekie wycieczki brałem ze sobą Toma. Marta powierzała mi go chętnie, wiedząc, że jest przy mnie bezpieczny, bezpieczniejszy nawet niż w domu, gdyż ojczym nie mógł go znosić.

Zbudowałem wózek i nauczyłem sześć tęgich psów chodzić w zaprzęgu. Wobec lekkości naszej na Księżycu wystarczał ten zaprzęg najzupełniej, aby nas łatwo i szybko przewozić z miejsca na miejsce. Czasem robiliśmy dalsze wycieczki, trwające dwa i więcej dni księżycowych. Wtedy ze względu na nocne mrozy brałem wóz szczelnie zamykany, pędzony elektrycznym motorem i dający się opalać, który przerobiłem z naszego starego wozu, zmniejszywszy go jeszcze znacznie. Wewnątrz oprócz mnie i Toma mieściły się jeszcze dwa psy oraz znaczne zapasy żywności i paliwa.

W ten sposób podróżując, zwiedziliśmy z Tomem prawie całe północne wybrzeże środkowego morza księżycowego i dostaliśmy się na wschód i zachód aż tak daleko, gdzie już rozrzedzające się ku krańcom pustyni powietrze zmusiło nas do odwrotu. Najdalej ku zachodowi wysuniętym punktem, gdzieśmy dotarli, było *Mare Humboltianum*, nizina położona pod tą mniej więcej szerokością księżycową, co *Mare Frigoris*, a widoczna czasem

z Ziemi podczas sprzyjających libracji Księżyca, jak mała ciemna chmurka na samym prawym rąbku górnej części srebrzystej tarczy.

I myśmy już stąd zobaczyli Ziemię, wyłaniającą się spod horyzontu. Zatrzymałem się tu przez całą długą, dwutygodniową noc, aby się tylko napaść do syta widokiem tego, od dawna niewidzianego, od dawniejsza jeszcze porzuconego rodzinnego mojego świata.

O wschodzie słońca Ziemia stanęła w pełni (znajdowaliśmy się bowiem na 90 południku, stanowiącym zachodnią granicę widocznej półkuli Księżyca). Gdy zobaczyłem tę rozlśnioną, z lekka zarumienioną tarczę i spostrzegłem przesuwające się po niej jasne zarysy Europy, owładnęła mną naraz taka niewysłowiona, nieprzemożna tęsknota za tym globem świecącym na niebie, że nie umiałem dać sobie rady. Zdawało mi się, żem — wypędzony z raju — zobaczył znowu po długiej wędrówce na chwilę jego odblask złoty, i wyciągnąłem ręce ku niemu z nierozumnym, naiwnym, dziecinnym, ale niepohamowanym pragnieniem: dostania się tam jeszcze raz, choćby... po śmierci. Jednak w tej chwili przypomniała mi się Ziemia taka, jaką ją widziałem po raz ostatni w *Kraju Biegunowym*: sczerniała, trupia na tle krwawej pożogi — i nagle ogarnął mnie wielki smutek.

Kondycja ludzka

Wszystkie nieszczęścia, wszystkie złe namiętności i nędze ludzkie, które tam od wieków prześladują ród człowieczy, nie wyłączając i groźnej ich królowej — nieubłaganej śmierci, przyszły tu za nami, na ten glob, dotąd cichy i spokojny w swej martwocie. Wszędzie źle jest człowiekowi, bo wszędzie nosi sam w sobie zaród nieszczęścia...

Ponure dumania przerwał mi głos Toma. Stał przy mnie, obudziwszy się przed chwilą z długiego snu, i patrzył na nieznany, świetlisty krąg na niebie.

— Wuju, a co to jest? — rzekł wreszcie, wyciągając rączkę.

— Przecież wiesz, to jest Ziemia. Mówiłem ci nieraz, że cię zawiozę tu, skąd ją widać, i pokażę. Zresztą widziałeś już ją przecie, gdyśmy tu przyjechali, nie pamiętasz?

— Nie, nie widziałem tej Ziemi. Tamta była inna, taka z jednej strony rogata, a ta jest okrągła.

— To jest ta sama Ziemia, dziecko.

Tom namyślał się przez chwilę.

— Wuju...

— Co?

— Ja już wiem, to ona pewnie urosła albo rozwinęła się rano, tak jak te duże liście.

Starałem mu się wytłumaczyć, jak umiałem najprzystępniej, powód zmian Ziemi. Słuchał z roztargnieniem, widocznie nie rozumiejąc tego, co mówiłem. Wreszcie przerwał mi znowu zapytaniem:

— Wuju, a co to jest ta Ziemia?

Opowiadałem mu tedy, może po raz setny, że są tam morza, góry, lądy i rzeki takie, jak na Księżycu, tylko daleko większe i piękniejsze; że jest tam dużo domów, zbudowanych obok siebie, które się nazywają miastami, a w tych miastach mieszka wiele, wiele, całe mnóstwo ludzi i małych dzieci; mówiłem, że stamtąd przybyliśmy na Księżyc: i ja, i mama, i Piotr, i ojciec jego, który już nie żyje, a nawet oba stare psy, Zagraj i Leda, z którymi tak się lubi bawić.

Gdym skończył, Tom, słuchający opowiadania z wielkim zajęciem, zrobił filuterną minkę i rzekł głaszcząc mnie po brodzie:

— To ja już wiem, ale teraz, proszę cię, wuju, nie żartuj, tylko powiedz tak *naprawdę*, co to jest ta Ziemia?

Oba psy stały przy nas i przekrzywiając głowy, przypatrywały się również ciekawie świecącemu na niebie kręgowi.

W kilkanaście godzin po wschodzie słońca puściliśmy się w drogę z powrotem. Ziemia, przyćmiona blaskiem dziennym, widniała za nami już tylko jako szaropopielaty, kolisty obłok wystający zza widnokręgu.

Kiedy indziej odbyliśmy znowu daleką wycieczkę ku południu. Wybrzeże morskie, biegnące łamaną linią mniej więcej między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym równoleżnikiem, cofa się w okolicy 140° wsch. szer. księż. ku równikowi, tworząc na kilka kilometrów szeroki półwysep, a może i przesmyk, łączący się z lądami południowej półkuli. Chciałem się był właśnie o tym przekonać i dlatego puściłem się owym językiem, ale nie zdołałem dotrzeć dalej, jak tylko do trzydziestego równoleżnika. W dalszym posuwaniu się na południe powstrzymał mnie klimat niepodobny do zniesienia. Noce mimo

sąsiedztwa mórz były tak mroźne, że przypominały mi zimna panujące na bezpowietrznej półkuli, a podczas straszliwego skwaru dziennego nie ustawały prawie potworne, orkanowe burze. Grunt był skalisty, wulkaniczny i zupełnie nagi. Żadnej rośliny, żadnego życia, nic — tylko okropna, martwa pustynia między dwoma nieprzejrzanymi morzami, wśród których sterczały ostre czuby wulkanicznych wysp, nierzadko owinięte chmurą dymu albo krwawą łuną ognia.

Była chwila podczas tej wycieczki, kiedy żałowałem już, że wziąłem Toma ze sobą, obawiając się, abyśmy obaj nie stracili życia. Nie mogąc dla stromych gór posuwać się środkiem owego pasa lądu, trzymaliśmy się wschodniego wybrzeża, gdzie u stóp dzikich i fantastycznych skał ciągnęła się na paręset metrów szeroka, niska równina. Było około południa i przypływ, wywołany przyciąganiem słońca, nadzwyczajnie tutaj powolny, ale dość znaczny, podniósł morze tak, że się jego powierzchnia zrównała prawie z poziomem wybrzeża. Obawiając się zatopienia tych miejsc, gdzieśmy się znajdowali, oglądałem się już za jakim wyjściem na strome zbocza skał, gdy wtem zerwała się burza, poprzedzona nagłym orkanem ze wschodu. Ogromne fale zaczęły skakać na brzeg; jedna z nich uderzyła w nasz wóz i rzuciła go kilkadziesiąt kroków wstecz, tuż pod wystający cypel skalny. Nie było ani chwili do stracenia. Przytroczyłem wóz łańcuchem do głazu, po czym zamknąwszy go szczelnie z zewnątrz, zacząłem się z Tomem na ramionach wdzierać na skały. Nie pamiętam w życiu takiej śmiertelnej trwogi, jaką przeżyłem wówczas. Uczepiony z zwietrzałych głazów nogami i jedną ręką — w drugiej trzymałem chłopca drżącego z przestrachu — miałem wprost pod sobą rozhukane, wściekłe, spienione morze, a nad głową zionącą deszczem i gromami chmurę. Na szczęście zrąb skalny zasłaniał mnie od bezpośredniego natarcia huraganu, gdyż w przeciwnym razie byłbym niewątpliwie runął w przepaść wraz z głazami, które oderwane wichrem u szczytu, sypały się gradem dokoła mej głowy. Straszne położenie pogarszał jeszcze piekielny niepokój o wóz pozostawiony w dole. Gdyby bałwany zerwały łańcuch i uniosły wóz albo rozbiły go o skały, ba! tylko motor uszkodziły, bylibyśmy wydani niechybnie na zgubę, gdyż piechotą bez zapasów żywności, bez ochrony przed zimnem nie zdołalibyśmy się dostać do domu. Toteż jak tylko wydrapałem się do miejsca, gdzie można było wygodnie oprzeć nogi, usadowiłem Toma pod głazem, okrywszy go dobrze i przywiązawszy tak, aby go wicher nie strącił, a sam powróciłem zaraz na dół w celu lepszego umocowania wozu. Po wielu trudach udało mi się wreszcie zaciągnąć go w rozpadlinę, gdzie był zabezpieczony od uderzeń bałwanów.

Kilka godzin przesiedzieliśmy tak z Tomem, oczekując końca burzy. Zalękniony dzieciak tulił się do mnie i dopytywał z płaczem, po cośmy tu przyszli? Nie umiałem mu odpowiedzieć, po cośmy tu przyszli, tak jak od dawna nie umiem już odpowiedzieć sam sobie, po co w ogóle przyszliśmy na Księżyc...

Nauczony doświadczeniem, byłem już ostrożniejszy z powrotem i wybierałem drogę dostatecznie wzniesioną nad poziom morza.

Zresztą był to jedyny wypadek, kiedy w podróży groziło nam poważne niebezpieczeństwo. Wszystkie inne wyprawy odbywaliśmy bez przygód i wesoło.

Mieliśmy także dużą i mocną łódź. Drugi motor elektryczny, który niegdyś miał służyć nieszczęśliwym Remognerom, naprawiłem na spółkę z Piotrem i umieściłem w szalupie, aby poruszał pędzącą ją śrubę. Szalupy tej używaliśmy do wypraw rybackich, a także puszczałem się nią z Tomem w przedpołudniowych lub wieczornych okresach ciszy na pełne morze.

Podczas jednej z takich wycieczek odkryłem wyspę, ze wszech miar godną uwagi. Już z daleka zastanowiła mnie jej postać.

Wszystkie wyspy, które poznałem do tego czasu, były albo wysadzonymi nad powierzchnię morza wulkanami, albo też szczytami zalanych wodą gór pierścieniowych. Ta zaś zrobiła na mnie od razu wrażenie szczątka morzem pochłoniętego lądu. Była obszerna i dość płaska, jedynie w południowo-zachodniej jej stronie wznosiło się pasmo gór niewysokich, pokruszonych odwiecznym działaniem deszczów i wichru. Brzegi miała strome, uderzeniami fal snadź wyżarte, gdyż morze na szerokiej przestrzeni wokoło było tak płytkie i zasłane mieliznami, że trudno nam było naszą, nieznacznie tylko zagłębiającą się szalupą przybić do lądu.

A ląd to był ciekawy, zgoła niepodobny do znanych nam okolic księżycowych. Przede wszystkim zastanowiła mnie całkowicie odmienna roślinność; mniej bujna niż gdzie indziej, odznaczała się bez porównania większą rozmaitością gatunków. Na tych kilku kwadratowych kilometrach ziemi spotkałem zaledwie trzy czy cztery krzewy znane mi skądinąd, ale za to niezliczoną moc roślin, nieznachodzących[84] się gdzie indziej. Wszystkie były dziwnie smutne i skarlałe. Patrząc na nie, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że mam przed sobą resztki pokolenia zamarłego i zewsząd wypartego, które się tutaj jakimś cudem ostało jeszcze, świadcząc o postaci życia na Księżycu przed wielu, wielu wiekami, kiedy tu, gdzie teraz jest morze, były lądy, a woda zalewała inne okolice.

To samo myślałem, zobaczywszy zwierzęta żyjące na tej dziwnej wyspie. Niewiele ich było, te jednak, które spotkałem, różniły się również od wszystkich mi znanych. Było coś starczego i smutnego w ich wyglądzie i zachowaniu się. Gdy przechodziłem, wyłaziły z nor niedołężne, karłowate potworki i patrzyły na mnie rozumnie i ostrożnie, ale bez obawy. Dopiero pies, którego wziąłem był ze sobą, napędził im strachu; poczęły się kryć przed jego napaścią, wydając na poły gniewne, na poły żałosne sapanie, będące, jak się przekonałem, jedynym głosem, jaki są zdolne wydać.

Tom był ze mną — jak zawsze. Dziwił się wszystkiemu i wciąż się zatrzymywał, zajęty to jakimś barwnym kamykiem lub muszlą, to napotkaną wonną roślinką, która układem listków przypominała ziemskie kwiaty. Odszedłem był właśnie od niego kilkadziesiąt kroków, gdy posłyszałem wołanie:

— Wuju! wuju! chodź no i patrz, jakie ładne kije!

Zwróciłem się i zobaczyłem, że malec siedzi na ziemi wśród mnóstwa białych, cienkich a długich kości. Zacząłem je oglądać; nie znam na Księżycu zwierzęcia, z którego by mogły pochodzić.

Schyliwszy się, spostrzegłem między nimi zastanawiający przedmiot: był to kawałek grubej, z jednej strony mocno zdartej blachy miedzianej, przypominającej kształtem szeroki nóż. Serce zabiło mi gwałtownie; jeślim się nie mylił, jeśli to istotnie był przedmiot sztucznie obrobiony, to na Księżycu kiedyś, dawno przed naszym przybyciem, żyły już istoty rozumne...

Przypomniało mi się owo *Miasto Umarłych*, spotkane przed laty na *Mare Imbrium*, a pamiętne strasznym wypadkiem, który spowodował śmierć Woodbella. Odjechaliśmy wówczas od tych skał, tak łudząco podobnych do ruin, w których niegdyś może rozbrzmiewało życie, i nie przekonaliśmy się, czym były właściwie: przedziwną igraszką przyrody czy też upiorem grodu, zamarłego przed wiekami — a oto teraz znalazłem znowu rzecz zdającą się świadczyć o istnieniu tutaj rozumnych stworzeń na długo, długo przed naszym przybyciem.

Zabrałem się do skrzętnych poszukiwań.

Zwiedziłem całą wyspę wzdłuż i wszerz, wchodziłem do skalistych grot u stóp pasma wzgórz, ale nie znalazłem niczego, co by mnie mogło niewątpliwie przekonać o słuszności mych przypuszczeń. Wprawdzie zdawało mi się, że w tej i owej grocie spostrzegam ślady celowej pracy; na wybrzeżu niewielkiego stawku znalazłem dwa czy trzy kawałki skamieniałego korzenia, które miały na sobie jakieś niby narznięcia, a grobla, zmuszająca strumyk do rozlania się w staw, wyglądała tak, jakby była sztucznie zbudowana, w innej znów stronie leżały na sobie głazy, jakby szczątek zwalonego muru; ale to wszystko mogło być zarówno dziełem przypadku albo nierozumnych, ale przemyślnych zwierząt. Wszakże na Ziemi bobry na przykład wznoszą ciekawe budowle...

Nie rozwiązałem tedy najważniejszej zagadki, ale w każdym razie wskutek dokonywanych poszukiwań upewniłem się w mniemaniu powziętym od samego początku, że wyspa ta jest pozostałością większego, zaginionego w morzu lądu i daje przybliżony obraz świata księżycowego i rozwijającego się na nim życia w epokach zamierzchłych, poprzedzających okres obecny.

Nazwałem ten kraj *Wyspą Cmentarną*. Lubiłem tutaj często zawijać i patrzyć ze szczytu wzgórza na rozciągające się dookoła, słońcem posrebrzone morze, pod którego falami zaginęła prawdopodobnie reszta tego lądu — i życie, kto wie jak dziwne i bogate?

---

[84]*nieznachodzący się* (daw.) — nieznajdujący się; od: *znachodzić*: znajdować.

Przede mną na widnokręgu widniały szczyty dalekich wulkanów, nad którymi panował chmurny, prawie nieustannie łuną nakryty, olbrzymi stożek *Otamora*. Morze szumiało, wzdymając się przypływem ku leniwie pełznącemu po niebie słońcu, a ja — kołysany tym szumem wielkim i szerokim, mającym w sobie coś z szelestu skrzydeł przelatujących eonów, coś z tajemniczego głosu ludzkiej duszy, pogrążony w pół śnie, pół jawie — marzyłem o tym, co na tym globie przeszło, może bez świadka myślącego — a bezpowrotnie...

Kiedy się tutaj życie rozpoczęło? Może wtedy Ziemia, zawieszona w mroźnych przestworzach, stygła dopiero na powierzchni, a słońce z powodu szybszego ruchu obrotowego księżycowej bryły, który z wiekami zwolnił dopiero, szło raźniej nad tutejsze lądy i morza, znacząc bujnemu, budzącemu się życiu dnie i noce krótkie, szybko po sobie następujące, bez mrozu i bez nieznośnego skwaru? Wówczas — i Ziemia nie stała nad straszliwą pustynią śmierci, lecz krążyła po księżycowym niebie, wschodząc i zachodząc... Wówczas — może nie było jeszcze wcale bezpowietrznej i bezwodnej pustyni?

Wszak wieki długie, niesłychanie długie wieki martwoty mogły na tej półkuli, która zwróciwszy się raz stale ku Ziemi, straciła powietrze, a z nim wodę, zatrzeć tak dalece wszelki ślad dawnego życia, że dzisiaj tak się wydaje, jakby pustynią była od początku świata? Tomasz niegdyś to przypuszczał.

Przymykałem oczy i wyobrażałem sobie, że w nieustannym i jednostajnym łoskocie fal morskich słyszę głosy owego pierwotnego życia. Lasy złożone z drzew wybujałych i śmigłych, nie potrzebujących giąć się i stulać przed mrozem nocy, którego jeszcze nie ma, szumią rozkołysane wiatrem; przez gąszcza ich przedzierają się zwierzęta ogromne i silne, ojce skarlałych dziś na tym świecie potomków; w gałęziach łopocą skrzydła potężnych latających jaszczurów... Jest wieczór i wiatr przycicha na chwilę — a tam nad mgły oparzelisk wstaje olbrzymi, krwawy, jasny krąg Ziemi.

I kto wie, kto wie, czy na to światło wschodzące nie patrzyły z murów miast ogromnych i z wysmukłych wieżyc oczy rozumne? czy nie wyciągały się ku niemu jakieś ręce, od mądrej pracy oderwane, aby powitać srebrnego anioła-stróża, co rozjaśnia długie noce? Kto wie, czy tu na Księżycu nie domyślano się kiedy, że na tym olbrzymim globie, wśród nieb zawieszonym, są także istoty myślące, czy nie zgadywano, jak wyglądają? jak żyją?

I mimo woli wyobraźnia moja w inną zwracała się stronę; odrywała się od Księżyca jak ptak wylatujący z klatki i szybowała dalej, setki tysięcy kilometrów w przestworze, tam do tej Ziemi, którą mi tęsknota tak upiększała i takim malowała czarem, jak słońce zachodzące maluje gór śnieżne szczyty...

Zazwyczaj marzenia te na *Wyspie Cmentarnej* przerywał Tom, zniecierpliwiony zbyt długim moim milczeniem. Wracaliśmy tedy do domu, gdzie Marta niecierpliwie oczekiwała malca. Tutaj Tom nie należał już do mnie. Matka, stęskniona długą rozłąką, chwytała go w objęcia, a gdy się skończyły niezliczone, namiętne uściski i pocałunki, siadała z nim na progu i poczynała swą wiecznie powtarzaną opowieść o młodym, pięknym i dobrym Angliku, jego ojcu, za którym ona poszła na Księżyc, a który śpi pod piaskiem wielkiej i cichej księżycowej pustyni... W końcu opowiadała już raczej sobie samej niż synowi, a gorące, rzęsiste łzy płynęły jej na jasną główkę dziecka.

Piotr, złamany i przygnębiony, dłubał coś koło domu albo szedł doglądać dziewczątek.

Ja, niepotrzebny nikomu, cofałem się więc znowu na ubocze, aby dumać w samotności albo zająć się jaką robotą.

Godziny mijały po godzinach, słońce wschodziło i zachodziło, przechodziły ziemskie lata, liczone z trudem na dniach księżycowych. Tom wyrastał i dziewczątka biegały już za nim po łąkach, ale dla mnie nic się nie zmieniło. Starym nałogiem włóczyłem się samotnie po całym pustym kraju, spędzałem długie godziny na *Wyspie Cmentarnej*, a gdym przyszedł do domu, patrzyłem nieodmiennie na smutną, milczącą Martę i Piotra podobnego raczej do upiora niż do żywego człowieka. I tylko tęsknota za Ziemią wzbierała wciąż w mej piersi i rosła z latami, aż stała się w końcu nieznośnym, przytłaczającym ciężarem. Aby się przed nią bronić, myślałem o nowym pokoleniu, chwytałem się gorączkowo roboty, ale w chwilach przerwy, kiedy znużony i wyczerpany padałem na ziemię, ona powracała — zwycięska, nieodparta, pokazując mi blade twarze moich towarzyszy tutaj i rozmaite sny o tamtych, których opuściłem na wieki...

V

Tam, gdzie są lata znaczone zmiennymi porami i słońcem, którego łuk wznosi się lub opada na sklepieniu niebieskim: na Ziemi, siódmy rok już dobiegał od czasu naszego przybycia na Księżyc, kiedy Marta spostrzegła, że będzie po raz trzeci matką. Przyjścia dziecka oczekiwała niecierpliwie, spodziewając się, że to będzie syn, którego z góry przeznaczała na raba[85] Tomowi. Nie kryła się z tym zgoła, owszem, gdy tylko spostrzegła, że po długiej przerwie znowu ma zostać matką, powiedziała do nas:

— Teraz dopiero będę spokojna, gdy dam Tomowi nareszcie służącego i niewolnika...

Mówiła to na pozór obojętnie, jak się mówi o jakiejś rzeczy bardzo naturalnej, ale ja dostrzegłem w jej głosie dziwną, skomplikowaną nutę...

Było to coś jakby okrzyk tak ciężko okupionego tryumfu, że przez to już prawie tryumfem być przestaje — coś jak westchnienie robotnika, zrzucającego z ramion własnowolnie podjęte brzemię ze wstrętem, ale i z radością, że wyniósł je tam, gdzie zamierzył, i nie upadł, nie zrzucił go pierwej.

Piotr, złamany zupełnie, od dawna poddawał się już spokojnie okrucieństwu Marty, która go raniła ciągle każdym słowem, każdym czynem, a tak nieznacznie i nieubłaganie, jak gdyby czyniła to bezwiednie, będąc tylko narzędziem jakiejś okropnej fatalności. Ale wówczas po tych słowach Marty spojrzał na nią przygasłym wzrokiem i uśmiechnął się szyderczo, a potem wyciągnął rękę do Toma. Chwycił chłopca za ramię i przyciągnąwszy ku sobie, zaczął go oglądać. Tom umysłowo był bardzo rozwinięty, ale jak na swój wiek wyglądał nader wątle. Ojczym odsunął szeroki rękaw jego bluzy i obnażył jego drobne, dziecięce ramię, uderzył z lekka dłonią w jego wąskie barki, pomacał uda i kolana, stuknął w pierś, uśmiechnął się znów szyderczo i trzymając rękę na głowie zalęknionego chłopca, zaczął powoli cedzić słowa, ze wzrokiem utkwionym w Marcie:

— Tak... Tom jest ostatecznie dość mocny, aby przewodzić nad dziewczętami, ale jego brat może być silniejszy.

Marta zbladła i spojrzała niespokojnie na chłopca.

Ale niepokój jej nie trwał długo. W błyszczących oczach dziecka wyczytała snadź to, co musiało być po wszystkie czasy wypisane w oczach twórców nowego porządku, bo uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała krótko:

— Tom będzie silniejszy, choćby tamten miał być i większy.

Rzeczywiście Tom już wtenczas, jako małe, sześcioletnie chłopię, zdradzał nadzwyczajną bystrość i energię. Rozwijał się bardzo prędko i w sposób jakiś szczególny, pod wieloma względami odmienny od tego, w jaki rozbudza się zazwyczaj dusza dzieci tam, na Ziemi. Zawczasu nauczył się samodzielności i miał zmysł praktyczny tak nadzwyczajnie rozwinięty, że nas czasem zadziwiał. Nie było u niego ani śladu owego marzycielstwa ziemskich dzieci, niewątpliwie bardzo powabnego, ale świadczącego zarazem o jakiejś sztucznej wybujałości umysłu. Tom był trzeźwy, tak strasznie trzeźwy, że mnie aż serce bolało, gdym patrzył na tę jasnowłosą główkę dziecka, w której myśli, nieprzerywane i nieplątane niesfornymi marzeniami, płynęły tak spokojnym i zwartym szeregiem, jakby pod łysą czaszką starca. Chłopak mimo wszystko miał dużo serca: kochał matkę nadzwyczajnie i do mnie bardzo się przywiązał, jedynie Piotra nie mógł znosić. Zawsze pewny siebie i przytomny jak ojciec, w jego obecności bywał zalękniony i zmieszany. Zresztą nie wiem nawet, czy użyłem odpowiednich wyrazów na określenie tego, co się musiało dziać w duszy tego dziecka w obecności ojczyma. Milczał przy nim zawsze tak uparcie, że zdawało się, wolałby narazić się nawet na plagi[86], niż usta otworzyć. Oczy tylko biegały mu niespokojnie. Był w jego zachowaniu się jakiś strach, ale też był i upór, i zaciętość, i nienawiść, i wstręt... Piotr to czuł i widział — i zdaje mi się, że już wtenczas sam się bał tego dziwnego dzieciaka.

Marta miała słuszność: Tom nie był jednym z tych, którzy stworzeni są na to, aby kogokolwiek słuchać. Za dużo w nim było stanowczego, światowładnego ducha angielskiego i za dużo płomiennej krwi dumnych radżów z Travancore.

---

[85] *rab* — niewolnik.
[86] *plagi* — razy, bicie.

Toteż pewien byłem, że jeśli mu się brat narodzi, choćby nawet był większy i silniejszy od niego, będzie za nim tak samo biegał i tak samo pokornie w oczy mu patrzył, jak te dwie małe dziewczynki, Lili i Róża.

Ale Tomowi brat się nie narodził, przyszła natomiast na świat trzecia dziewczynka, którąśmy nazwali Adą.

Marta bez radości i wzruszenia powitała narodziny tego dziecięcia.

— Tom — mówiła w kilkadziesiąt godzin później, gdyśmy na jej życzenie chłopca przyprowadzili do łóżka. — Tom, nie będziesz już miał brata. Ale masz za to trzy siostrzyczki. Muszą ci wystarczyć — za żony, za towarzyszy, za służące...

Tom nie pytał już, jak przy narodzeniu pierwszych dziewczątek, co będzie z siostrzyczkami robił, lecz obejrzał się tylko na Lilę i Różę, trzymające się w kącie za ręce i wpatrzone w malca, jak zwykle, oczyma pełnymi miłości i podziwu, dotknął palcem z lekka maleńkiej, wrzeszczącej wniebogłosy nowo narodzonej istotki i rzekł kiwając poważnie głową:

— Wystarczą, mamo, wystarczą...

— Tom — ozwałem się wtedy, dotknięty niemile słowami Marty i zachowaniem się dziecka — musisz być dla nich dobry.

— A po co? — zapytał naiwnie.

— Aby cię kochały — odpowiedziałem.

— One i tak mnie kochają...

— Tak, my Toma bardzo kochamy — odezwały się dziewczątka prawie jednocześnie.

— Widzisz, Tom — mówiłem dalej kaznodziejskim tonem — one są lepsze od ciebie, bo cię kochają, choć ty może nie zawsze na to zasługujesz. Ale ta mała może cię nie kochać...

Tom nic nie odpowiedział, ale zauważyłem, że spojrzał na dziecko z niechęcią, zmarszczywszy drobne brwi.

Ostatecznie może to i dobrze się stało, że się Tomowi nie brat narodził. Byłby jego niewolnikiem albo — wrogiem.

Kondycja ludzka

Wyszedłszy wtedy z izby i później jeszcze przez pewien czas myślałem długo nad straszną ironią ludzkiego istnienia, która przeszła za nami z Ziemi na Księżyc. Przypomniał mi się O'Tamor, biedny, szlachetny marzyciel! Jak on sobie to roił, że tu na Księżycu z dzieci Tomasza i Marty, uchronionych od złego wpływu ziemskiej „cywilizacji", wyrośnie pokolenie idealne, nieposiadające tych wad i nieznające tych różnic, które są przyczyną odwiecznych nieszczęść ludzkości na Ziemi! Patrzę na te dzieci i zdaje mi się, że stary, szlachetny marzyciel O'Tamor zapomniał, iż potomstwo człowieka będą zawsze składały istoty ludzkie, noszące w swej piersi zaród tego wszystkiego, co się stało ohydą ziemskich pokoleń. I czy to nie jest najstraszliwsza ironia, że człowiek wroga swego przenosi sam w sobie nawet na gwiazdy świecące w niebie?

Dobrze się stało, że Tom nie ma brata. Przynajmniej opóźni się nadejście okresu walk bratobójczych i niewoli, a my tymczasem może pomrzemy i nie będziemy potrzebowali patrzeć na to.

A dziewczątka... Tak mi się zdaje, że dziewczątka te są stworzone na to, aby podlegały. Nie będą może nawet rozumieć swej krzywdy — szczęśliwe, gdy ich brat, mąż i pan będzie czasem wobec nich łaskawy... Co do Lili i Róży jestem tego już pewien, Ada zaś zbyt jeszcze jest mała — ma zaledwie w tej chwili trzy lata, licząc po ziemsku, aby można jakieś prawdopodobne przypuszczenia robić o przyszłym stosunku jej do przyrodniego brata. Spostrzegam tylko, że go nie kocha tak, jak te starsze. Tom również jest dla niej więcej obojętny.

Zwracanie bacznej uwagi na wzrost i duchowy rozwój tych czworga dzieci stanowi w ostatnim czasie moją najmilszą, choć smutną rozrywkę. Pod względem fizycznym przystosowały się one znakomicie do warunków księżycowego świata, który dla nas, z Ziemi przybyłych, jest ciągle obcy i nieznośny, choć już tyle lat tu żyjemy. Taką rzeczą na przykład, niezmiernie dla nas ciężką, jest regulowanie snu. Podczas długiego dnia prawie tyle samo spać potrzebujemy, co podczas nocy. Pociąga to za sobą tę niedogodność, że trzecią część czasu, kiedy słońce stoi na niebie, tracimy na sen, bardzo nieregularny i z tego powodu mało pokrzepiający, a za to dwie trzecie nocy przesiadujemy bezsennie, nękani zimnem, ciemnością i gorszą od nich nudą. Dzieci, tu urodzone, śpią we dnie bardzo

mało: zaledwie godzinę lub dwie najwyżej w dwudziestogodzinnych odstępach, ale za to prawie całą noc przesypiają z małymi przerwami.

W kilkanaście godzin po zachodzie słońca ogarnia je już nieprzezwyciężona senność. Jeśli się w nocy zbudzą, to na dwie, trzy lub cztery godziny najwyżej, po czym znów zasypiają, jak u nas na Ziemi susły i świstaki śpią do czasu, kiedy pierwszy lekki obrzask na niebie zapowiada nadejście dnia.

Znoszą także bez porównania lepiej od nas klimat tutejszy.

Upały nie osłabiają ich do tego stopnia i nie wywołują tego rozdrażnienia ani senności, co u nas.

Ale najwięcej zastanawia mnie to, że te dzieci i na mróz są znacznie wytrzymalsze niż my, starsi. Rankiem, gdy natężenie zimna wzmaga się najwięcej, dzieci rozbudzone z długiego snu wybiegają często na dwór, a nawet oddalają się znacznie, podczas gdy my odważamy się wyjść tylko w razie ostatecznej konieczności.

Inicjatorem tych wycieczek jest zawsze Tom. Obie starsze dziewczynki wybiegają tylko za nim, zarówno jak stary Zagraj, wiedzione, zdaje się, nawet takim samym ślepym przywiązaniem. Ten pies i te dziewczynki stanowią nieodstępny dwór Toma.

Myślałem początkowo, że dzieci idą się bawić w śniegu, topniejącym rychło po wschodzie słońca, albo używają ślizgawki na brzegu zamarzłego w nocy morza. Ale wkrótce przekonałem się, że ta mała drużyna wychodziła tak rano pod przewodnictwem Toma na — polowanie! Dziwna[87], że myśmy na ten pomysł nie wpadli! Wszystkie tutejsze zwierzęta zasypiają na noc, zagrzebując się w ziemi dla ochrony przed mrozem.

Tom wyśledził to sam i przy pomocy Zagraja, który węch ma znakomity, wyszukiwał pod śniegiem kryjówki różnych potworków i zabijał je, nim się obudziły. Mięso tutejszych zwierzątek lądowych jest wprawdzie, jak już wspomniałem, nie do użycia, ale za to ich skóry dostarczają nam pięknych i trwałych futerek albo rogowego materiału, wielce podobnego do szylkretu. Polowanie podczas dnia przedstawia wielkie trudności, gdyż zwierzęta nauczyły się już nieufności względem nas i prześladujących je zarówno z nami psów, jakże się więc zadziwiłem, gdy Tom przyniósł mi pewnego ranka kilkanaście skórek, wśród których parę było świeżych, a reszta już starannie wyprawionych! Te pochodziły z dawniejszych połowów. Chłopak widział, jak myśmy skórki, odarte z zabitych zwierząt, czyścili ostrymi muszlami i wyprawiali solą, zbierającą się obficie nad brzegiem morza, i zrobił to wszystko na swoją rękę, a wcale nie gorzej od nas!

Już to nie brak mu sprytu. Mając lat osiem, znał już dokładnie nasze fabryki i rozumiał cel i znaczenie każdego urządzenia, przydatność każdego narzędzia i materiału. Ja wziąłem na siebie obowiązek nauczania go — ale do książek niewiele ma ochoty. Ciekaw jest wszystkiego, co ma wartość praktyczną, inne rzeczy natomiast mało go obchodzą. Chciałem go nauczyć geografii ziemskiej, historii tamecznych ludów, obeznać go z przystępnymi dla jego umysłu arcydziełami wielkich ziemskich pisarzy, ale spostrzegłem bardzo rychło, że to zgoła nie zajmuje chłopca, tak ciekawego w innych kierunkach. Zrazu nie przerywałem nauki, sądząc, że zdołam w nim rozbudzić zmysł historyczny i estetyczny, a zaprzestałem usiłowań dopiero wtedy, gdy mnie raz podczas takiej naukowej pogadanki wprost zapytał:

— Wuju, po co mi ty opowiadasz to wszystko?

Nie wiedziałem, co mu mam odrzec, bo istotnie — po co?... A on pytał znowu:

— To wszystko, o czym mi mówisz, jest podobno na Ziemi, którą, pamiętam, raz widziałem podczas wycieczki jak dużą świecącą banię, a skąd ty, wuju, podobno przybyłeś tutaj — prawda?

— Tak, to jest na Ziemi, skąd ja przybyłem i skąd w ogóle ludzie pochodzą.

Chłopak spojrzał na mnie, jakby się wahał, czy ma powiedzieć to, co myśli, a wreszcie odezwał się z zafrasowaną miną:

— Ale ja nie wiem, wuju, czy to wszystko jest prawda...

Dotknęła mnie ta uwaga, tak zresztą naturalna u dziecka, któremu się opowiada o rzeczach dziejących się na odległej i raz tylko przez nie widzianej planecie.

— Czy przekonałeś się kiedykolwiek, abym mówił nieprawdę?

---

[87] *Dziwna* — dziś w tym znaczeniu: dziwne a. dziwna rzecz itp.

— Nie, nie, nigdy! — zaprzeczył żywo, po czym dodał znów ciszej: — Ale teraz nie mogę się przekonać, że mi mówisz prawdę...

Wyjąłem z kieszeni zegarek.

— Wiesz, co to jest? zegarek... Czy myślisz, że ja albo Piotr, albo matka twoja potrafimy zrobić taką maszynkę? Widzisz także książki, których my nie drukujemy, narzędzia astronomiczne nie przez nas zbudowane. Otóż skądże by się to wszystko tutaj wzięło, gdybyśmy tego byli nie przynieśli ze sobą ze Ziemi? A jeśli z Ziemi przybyliśmy tutaj, to musimy przecież wiedzieć, jak tam jest i co tam było.

Chłopiec zamyślił się.

— To ja już wierzę wujowi, ale... po coście wy tu przybyli na Księżyc, kiedy wam na Ziemi było dobrze, jak słyszę?...

— Po cośmy przybyli? Tak... Widzisz, chcieliśmy wiedzieć, jak to jest na Księżycu.

— Ale ja, prawda, ja się nigdy nie dostanę na Ziemię? Co?

— Nie, nie dostaniesz się nigdy.

— To wiesz ty co, wuju, naucz mnie ty lepiej robić takie zegarki i szkła powiększające, a nie mów mi już o tym, którędy się jedzie z jakiejś tam Europy do Ameryki albo co robił ten Aleksander Wielki i ten drugi, Napoleon...

Musiałem przyznać w duchu, że Tom ma słuszność.

Nie był tam nigdy i nigdy tam nie będzie, więc po cóż mu mówić o tym, co mnie obchodzi tylko dlatego, że jestem rodem z Ziemi? Te wiadomości na nic mu się nie przydadzą, a jeśli zechce kiedy on lub jego potomstwo dowiedzieć się czegoś o Ziemi, o której może już tylko niejasna wieść będzie chodziła, że jest matką ludzkiego plemienia, a widzieć ją można świecącą na niebie z krańców śmiertelnej pustyni — to będą tu przecież te księgi, któreśmy ze sobą przywieźli, księgi, zaiste, więcej czarodziejskie dla przyszłych mieszkańców Księżyca niż dla ziemian najfantastyczniejsze baśnie z *Tysiąca i jednej nocy*.

Odtąd postanowiłem uczyć Toma tylko tego, co ma dlań wartość realną w przyszłym życiu na Księżycu. Do tego okazywał nadzwyczajną ochotę.

Pochłaniał chciwie wszelkie wiadomości, jeśli tylko zrozumiał, że mogą mu być użyteczne. Tak na przykład astronomia początkowo mało go zajmowała, a wziął się do niej z całym zapałem dopiero wtedy, gdy mu wykazałem korzyści praktyczne, jakie odnieść można z pomiaru wysokości gwiazd.

Jestem przekonany, że gdybyśmy nie byli zabrali[88] książek, które tu po nas pozostaną, przepadłaby dla następnych pokoleń cała idealna strona tej odrobiny przywiezionego tu z Ziemi duchowego dorobku człowieka, bo za pośrednictwem niezaprzeczenie zdolnego, ale dziwnie trzeźwego Toma nie dałaby się zachować. A ja myślę jednak ciągle o tym przyszłym pokoleniu... Chciałbym, aby to nie byli ludzie dzicy. Niech wiedzą, że duch ludzki jest potężny, że tworzy rzeczy wielkie i piękne, że wyszukuje Boga w złotym pyle gwiazd i siebie samego wśród ścięgien i żył ciała, że zdolny jest gorąco pożądać prawdy dla prawdy i piękna dla piękna i że jest najskuteczniejszą bronią w życiowej walce człowieka z otaczającą go przyrodą; niech umieją cenić tego ducha i korzystać z jego siły...

Tak mi pilno powiedzieć o tym wszystkim Tomowi, choć on niestety nie zawsze chce tego słuchać, tak mi pilno, jakbym się obawiał, aby mi czasu nie zabrakło. Bo gdy ja umrę, bo gdy pomrzemy wszyscy my, ziemianie, nauczycielem i prorokiem księżycowego ludu będzie już tylko on, praojciec jego — i te stare książki, wraz z ludźmi z dalekiej planety na ten świat przeniesione.

Gdy mu raz powiedziałem, że musi być pilny i uczyć się wszystkiego, nie tylko tego, co jemu się podoba, bo będzie w przyszłości wychowawcą nowego pokolenia, popatrzył na mnie zdumionymi oczyma i zapytał:

— A ty, wuju, cóż ty wtenczas będziesz robił? Przecież ty wszystko umiesz...

— Ja wtenczas nie będę już żył.

— Któż cię zabije?

Tom nie rozumiał, że jest inna śmierć, naturalna. Widział zabijane zwierzęta i sam je zabijał, ale nie widział jeszcze istoty umierającej. Zacząłem mu wtedy tłumaczyć konieczność śmierci. Słuchał mnie uważnie, aż wtem przerwał mi nagle, wykrzykując:

— To i Piotr umrze?

---

[88] *gdybyśmy nie byli zabrali* — daw. czas zaprzeszły; dziś: gdybyśmy nie zabrali (wcześniej).

— Umrze, synu, jak ja, jak mama twoja, jak ty sam wreszcie...

Tom potrząsnął głową:

— Ja nie umrę, bo... co by mi z tego przyszło?

Roześmiałem się mimo woli z tej dziecinnej uwagi i znów mu wykładałem, że śmierć od ludzkiej woli nie zależy, ale chłopiec był roztargniony i myślał widocznie o czym innym. Wreszcie odezwał się głosem przyciszonym i jakby z wahaniem:

— Wuju, kiedy Piotr umrze, to niech on pierwej umrze niż ty, najpierw z nas wszystkich, prędko niech umrze. Przecież on jest całkiem niepotrzebny. Wtedy zostałbyś ty sam z nami i z mamą i byłoby nam dobrze...

Zgromiłem chłopca za te słowa, mówiąc, że nikomu śmierci życzyć nie powinien, a tym mniej Piotrowi, który przecież jest ojcem jego siostrzyczek, Lili i Róży. Tom popatrzył ponuro i westchnął, a potem odezwał się z wyrzutem:

— Czemuż ty, wuju, nie jesteś ojcem moich siostrzyczek? Ja cię wolę niż Piotra i mama także... Piotr jest niepotrzebny.

Czułem, jak jakieś najtajniejsze, najgłębsze fibry zadrgały we mnie, a równocześnie przestrach mnie ogarnął. Bo to była myśl, która w ostatnim czasie i mnie coraz częściej przychodziła do głowy.

Nie mogę się winić: dotrzymałem raz powziętego postanowienia i wytrwałem na dobrowolnie obranym, a tak niesłychanie śmiesznym stanowisku poczciwego nauczyciela cudzych dzieci, ale com ja przewalczył, co przecierpiał — tego dzisiaj mi już nie wypowiedzieć!

Bo przecież tę kobietę, jedyną na tym świecie, a tak mi drogą, miałem wciąż przy sobie, widziałem, że jest nieszczęśliwa, a czasem łudziłem się nawet, że może ze mną byłaby szczęśliwsza. Były takie dnie, że patrząc na Piotra, ściskałem rękojeść rewolweru w kieszeni, i takie, gdy lufę brałem w zęby, z palcem na cynglu, sądząc, że dłużej nie wytrzymam, nie zniosę...

Ale zniosłem i wytrzymałem. Zniosłem, chociaż krew mi nieraz wzrok przesłaniała, a spazm jakiś chwytał mnie za piersi, zniosłem, choć nie można sobie wymarzyć takiej pokusy, która by mnie we śnie lub na jawie nie była nawiedzała i trapiła[89].

Owego pamiętnego dnia, gdyśmy mieli ciągnąć losy o Martę, myślałem, zrzekając się jej posiadania, że się uspokoję i zapomnę z czasem, ale na darmo mijały lata, na darmo błąkałem się z dala od niej po księżycowych lądach, daremnie poświęcałem się wychowaniu Toma i myśli o przyszłym pokoleniu: ona jest mi ciągle tak samo droga, jak tam, w *Kraju Biegunowym*, gdy po długiej, dzięki niej szczęśliwie przebytej chorobie chodziłem z nią razem po wonnych mrocznych łąkach, rozmawiając o rzeczach obojętnych, a tak pełnych znaczenia.

Mięśnie i ścięgna wciąż mam silne i krzepkie, ale duchem starzeję się już, czuję to; tęsknota za Ziemią rozstraja moje myśli i smutek coraz większy mnie obejmuje: nie tylko patrzę na wszystko przez łzy, ale nawet myślę przez łzy o wszystkim — jeno[90] ta miłość moja nie chce się we mnie zestarzeć i osłabnąć, owszem, zda się, że wzrasta z wiekiem, razem z gniotącą mnie coraz ciężej tęsknotą. Wiem, że jestem śmieszny, a przecież nawet śmiać się ze siebie[91] nie mogę.

Czasem próbuję szydzić. Powtarzam sobie brutalnie, że kocham Martę tylko dlatego, że jest jedyną kobietą na Księżycu, a nie do mnie należy; że to niby wzniosłe uczucie jest tylko w pryzmacie ducha ludzkiego załamanym najgrubszym zwierzęcym popędem, i wiele, wiele podobnych rzeczy, ale powiedziawszy sobie po raz setny to wszystko, mimo woli szukam Marty oczyma i czuję, że dałbym się z chęcią przybić na krzyż, gdybym mógł przez to jeden pogodny uśmiech na jej usta wywołać.

Kondycja ludzka

W człowieku nawet na pustyni, nawet na innym globie, tkwi obok innych dzikich instynktów także poczucie słuszności czy prawa. Nie wiem, czy jest wynikiem li tylko wychowania czy też jakiejś wrodzonej organizacji duchowej, ale to pewna, że istnieje i odzywa się głośno nawet tam, gdzie nie ma nikogo, kto by mu jego milczenie mógł wytknąć.

---

[89] *nie była nawiedzała i trapiła* — daw. czas zaprzeszły; dziś: nie nawiedzała i trapiła (wcześniej).

[90] *jeno* — tylko.

[91] *ze siebie* — dziś: z siebie.

Marta należała do Piotra. Zgodziłem się był na to i ta myśl bądź co bądź powstrzymywała mnie od niejednego kroku, który inaczej byłbym może zrobił. Starałem się tak usunąć z jej oczu, aby nawet od siebie samego oddalić podejrzenie, że się chcę jej przypodobać. Zresztą i ona nie szukała mego towarzystwa; spostrzegłem nawet, że obecność moja wprawia ją zawsze w zakłopotanie. Ale to wszystko zmieniło się po narodzeniu najmłodszej dziewczynki, kiedy nastąpiło zupełne zerwanie między Martą a Piotrem.

W dwie doby księżycowe po przyjściu na świat tego dziecka, nieco przed zachodem słońca siedzieliśmy razem — co nam się zresztą dość rzadko zdarzało — i patrzyliśmy w milczeniu na szerokie morze. Zachodzące słońce pozłociło jego wody, z lekka wiatrem wzruszone i poczynające już w cieniu skał fosforyzować. Śniegi na szczycie *Otamora* były zupełnie krwawe od słońca; po czarnej chmurze dymu, zawieszonej nad kraterem, błyskały także ciemnoczerwone refleksy.

Milczenie przerwała Marta. Nie zmieniając postawy, nie odrywając oczu, zapatrzonych gdzieś w dalekie perspektywy morskie, zaczęła do nas mówić, na pozór spokojnie, jak zawsze, choć nie uszło mej uwagi, że głos drżał jej z początku.

— Spełniłam wielką zbrodnię — zaczęła — bo nie dotrzymałam wiary mojemu zmarłemu mężowi i chętnie za to będę pokutować setki tysięcy lat w rozmaitych wcieleniach... Ale wy wiecie, że zrobiłam to jedynie dla jego syna, w którym on sam żyje dla mnie. Nigdy się z tym nie kryłam. Coście wy myśleli i jakieście wy mieli zamiary, to mnie nie obchodzi; ja chciałam, aby Tom miał siostry i brata... Nie ma wprawdzie brata, ale ma trzy siostry, i ja uważam, że spełniłam swój obowiązek. Ciężki obowiązek, ty wiesz o tym, Piotrze. Żal mi cię, boś się łudził, że możesz być dla mnie czymś więcej... Nie moja wina... Ale teraz wszystko skończone. Odzyskuję na powrót swobodę. Nie pytam się, czy wy... czy ty, Piotrze, zechcesz mi ją dać: ja ją sobie biorę sama. Nie jestem już twoją żoną...

Odetchnęła głęboko i zamilkła.

Byliśmy tak zaskoczeni i słowami, i niespodziewanym tonem tego, co powiedziała, że siedzieliśmy przez pewien czas w milczeniu, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi. Zresztą jakąż jej można było dać odpowiedź? — ona jej nawet nie czekała...

„Biorę sobie swobodę... Nie jestem już twoją żoną..."

Dziwne wrażenie wywarły na mnie te słowa. Przez chwilę dźwięczały mi w uszach jak hasło nowego życia, jak obietnica czegoś, czego się nawet nie śmiałem spodziewać, jak... nie! nie umiem już powiedzieć, co się ze mną działo! Tak mi się zdało, że to jedno zdanie zaciera i niweczy wszystko smutne, co przeszło; w piersiach uczułem jakąś pełnię, jakiś napływ krwi, raźniej w żyłach tętniącej...

Spojrzałem na Martę.

Siedziała nieruchoma i cicha, w morze zapatrzona — i tylko pod zastygłym, niezmiernie smutnym uśmiechem usta zadrgały jej czasem tak, jakby się miała rozpłakać.

„Biorę sobie swobodę..."

Tak przed chwilą mówiły jej usta.

Ale jej oczy i uśmiech jej mówiły teraz, że bierze ją sobie nie jak skrzydła, które są prawem lotu, lecz jak całun, który jest prawem do spokoju, że jest ta swoboda dla niej nie brzaskiem zapowiadającym dzień, ale zmierzchem, który przynosi odpocznienie...

Na powiekach zabłysły jej łzy i przez te łzy patrzyła uparcie w dal, na słońcem pozłocone księżycowe morze.

Serce ścisnęło mi się bolesnym kurczem, bo zrozumiałem, że można się od przeszłości odwrócić, ale zmazać jej niepodobna.

Tymczasem Piotr odezwał się sucho:

— Wszystko mi jedno.

A po chwili dodał:

— Co teraz zamierzasz robić?

Marta drgnęła:

— Nic... Żyć jeszcze trochę dla Toma... dla dzieci... A potem...

— Dla dzieci — powtórzył Piotr jak echo.

Właśnie od wybrzeża biegły obie dziewczynki, śmiejące się, rozpromienione, z fartuszkami pełnymi uzbieranych kamyczków, muszel i bursztynu. Wołały głośno Toma,

który nieopodal budował jakieś młyny na strumyku. Piotr powiódł za nimi z wolna oczyma.

— Dla dzieci... — powtórzył raz jeszcze i podparł głowę na dłoni.

Pamiętam tę chwilę jak dzisiaj. Słońce dotykało już widnokręgu i świat ze złotego zaczynał się stawać purpurowym. Lekki wiatr od morza przynosił nam z ostrym zapachem wodorostów szmer rozbijającej się na żwirze fali i dźwięczne, srebrzyste głosy dziecięce.

Nagle Marta powstała i zwróciła się ku Piotrowi.

— Piotrze, daruj — odezwała się głosem niskim i ciepłym, jakiego z dawna już u niej nie słyszałem — daruj, ja może... byłam niesprawiedliwa... daruj, ale ja... widzisz, nie mogłam, nie mogę... Żal mi, żeś miał przeze mnie... takie życie...

Wyciągnęła ku niemu rękę.

Piotr powstał również, popatrzył na nią, potem na dłoń wyciągniętą, znów na twarz jej i nagle wybuchnął strasznym, spazmatycznym śmiechem.

— Cha, cha, cha! to dobre, tak jednym słowem, za tyle lat! cha! cha! cha! chcesz swobody? dobra myśl! może nowego wyboru? cha! cha! cha! „Piotrze, daruj! Nie jestem już twoją żoną!"

Śmiał się jak opętany i wykrzykiwał różne niezrozumiałe słowa. Potem nagle urwał, odwrócił się i odszedł ku domowi.

Marta stała przez chwilę zmieszana, z wyrazem wstrętu i upokorzenia na twarzy, aż wreszcie i jej nerwy odmówiły posłuszeństwa i wybuchnęła głośnym, nieutulonym płaczem — po raz pierwszy od owej burzy, kiedy została żoną Piotra.

Odszedłem w milczeniu, jeszcze więcej przygnębiony niż zwykle.

Długą, czternastodniową noc przepędziliśmy prawie nie mówiąc do siebie. Na drugi dzień na pozór wszystko wróciło do dawnego trybu. Wzięliśmy się zaraz z rana do zwykłych dziennych zajęć, rozmawialiśmy nawet po staremu, nie wspominając o „rozwodzie", który od owego wieczora stał się istotnie rzeczą dokonaną. Stosunek dotychczasowy między Martą a Piotrem był tego rodzaju, że zerwanie go odczuliśmy wszyscy raczej jako ulgę. Spostrzegłem zwłaszcza korzystną zmianę w usposobieniu Marty. Nie powiem, żeby była weselsza, ale przynajmniej nie znać było na niej dawnego przymusu; rozmawiała z nami swobodniej, nawet dla Piotra była lepsza, choć tak brutalnie odtrącił jedyne serdeczne wyrazy, z jakimi się do niego zwróciła.

A co się z nim działo? To snadź[92] na zawsze pozostanie dla mnie zagadką.

Na pozór przyjął wszystko obojętnie i niespodziewany wybuch owego wieczora, kiedy Marta z nim zerwała, był jedynym objawem jego skrytych uczuć. A jednak ileż żalu, upokorzenia, boleści musiało się zebrać w namiętnej duszy tego człowieka! I jakiejże siły woli musiał użyć, aby to wszystko stłumić i zamknąć w sobie! Bo on ją kochał mimo wszystko — i kocha ją do tego czasu; pod tym względem nie mam zgoła wątpliwości.

Pierwszego dnia po zerwaniu przyszedł do mnie około południa, gdym był właśnie powrócił z wycieczki morskiej i wiązałem łódź do pala na wybrzeżu. Przez chwilę kręcił się niespokojnie, jakby chciał mi coś powiedzieć, lecz nie wiedział, jak zacząć. Potem, jakby powziąwszy nagłe postanowienie, chwycił mnie za rękę i wyrzekł patrząc mi bystro w oczy:

— Pamiętasz obietnicę daną mi wtedy, gdym ja Martę brał?...

Spojrzałem na niego zdziwiony, nie wiedząc jeszcze, do czego zmierza. On zaś ciągnął dalej:

— Przyrzekłeś mi wtenczas, że nigdy nie będziesz się starał zdobyć Marty dla siebie, nigdy! pamiętasz?

Skinąłem głową w milczeniu.

Piotr uśmiechnął się gorzko.

— Zresztą, jak chcesz. To jest śmieszne. Jak chcesz. Tylko pierwej... strzel mi w łeb.

Ostatnie słowa wypowiedział głucho, a z taką bolesną namiętnością, że mnie aż dreszcz przeszedł. Chciałem mu odpowiedzieć, uspokoić go, ale on, nie czekając na to, odwrócił się i odszedł.

Od tego czasu zaczęły się dla mnie najstraszliwsze walki i męczarnie. Marta w istocie nie należała już teraz do nikogo, a jednak czułem, że wyciągnąć po nią rękę byłoby

[92] *snadź* — zapewne, prawdopodobnie.

zbrodnią podwójną: zbrodnią wobec niej, żądnej już tylko ciszy i żyjącej po zrzuceniu wstrętnego jarzma li wspomnieniem dawno zmarłego kochanka i troską o jego syna — i wobec Piotra, tak zgnębionego i nieszczęśliwego, że każda krzywda jemu wyrządzona stawała się czymś więcej niż zbrodnią — była podłością. A przecież zdarzały się chwile i okoliczności, kiedy się wahałem i musiałem użyć całej woli, aby nie strzelić Piotrowi w łeb, jak sam sobie tego życzył, i nie rozpocząć z Martą nowego życia. Takie pokusy nachodziły mnie zwłaszcza wtedy, gdy widziałem wzrastającą przychylność Marty wobec siebie. Uśmiechała się do mnie często i nazywała mnie po staremu swoim przyjacielem, a mnie roiło się już po głowie, że gdyby nie Piotr, moglibyśmy być ze sobą szczęśliwi — oboje. Na szczęście wkrótce przychodziło opamiętanie.

„Wszakże Marta — myślałem — jest mi tylko dlatego przychylna, że nie stanąłem nigdy między nią a wspomnieniem tego zmarłego, jedynie umiłowanego człowieka, że nigdy nie skalałem świętości jej uczucia, nie tknąłem jej ciała ani nie zażądałem duszy, które ona oddała na wieczność tamtemu, co leży teraz pod piaskami *Mare Frigoris*. Lecz gdybym tylko zapragnął czegoś więcej..."

Straszne błędne koło!

Mimo to raz byłem już bliski szalonego czynu...

Urządziliśmy we troje wycieczkę na szczyt krateru *Otamora*. Dziewczynki zostawiliśmy w domu pod opieką Toma, któremu można je już było powierzyć z całą ufnością. Przedarłszy się od strony morza przez zarośla pnączów i przebywszy lasy ogromnych, zdrzewiałych[93] liściowców, dostaliśmy się na pochyłą równinę, podobną do rozległej hali, a porosłą krzewiącymi się płasko po ziemi wielkolistnymi mchami. Tutaj byliśmy już nieraz, zapragnęliśmy jednak dostać się wyżej, na sam szczyt, jeśliby to było możebne, aby się nasycić wspaniałym widokiem, jaki się musi roztaczać z wierzchołka tego najwyższego w całej okolicy stożka.

Dalsza droga nie była łatwa, bo trzeba się było wdzierać bystro w górę głębokim żlebem, wyrżniętym wśród skał zastygłej i zwietrzałej lawy, a zawalonym w górnej części śniegiem prawie po brzegi. Tu na Księżycu łatwiej wprawdzie przebyć taką drogę niż na Ziemi, gdzie ciało ludzkie waży sześć razy więcej, ale mimo to był to trud niemały.

Po kilkunastu godzinach wysiłku znaleźliśmy się już pod samym zrębem krateru, dalsze atoli wdzieranie okazało się czystym niepodobieństwem. Wyżej śnieg tajał od gorących par, wznoszących się ustawicznie z olbrzymiego lejka, którego brzegi sterczały teraz nad nami, do szerokiego osobnego łańcucha wzgórz podobne, a woda, ściekając, zamarzała w czasie wiatru i pokrywała skały szklistą powłoką lodową, na której niepodobna się było utrzymać.

Przekonawszy się o niemożliwości dalszej podróży, zasiedliśmy na śniegu, chcąc przed powrotem odpocząć i rozejrzeć się po okolicy.

Widok był niezrównany. Tuż przed nami, poza masą czerniejących u stóp naszych lasów, rozciągało się w bezkresną dal morze, grające wszystkimi barwami tęczy i usiane wyspami, podobnymi stąd do małych, czerniejących punktów wśród roziskrzonej płaszczyzny. Niektóre z nich, rozleglejsze, tworzyły plamy obrębione, jak pawie oka, kolorową opaską. Na lewo, ku wschodowi, ukazywały się spoza sterczącej grani poczerniałe szczyty i pierścienie pomniejszych kraterów górzystej krainy, wśród których tu i owdzie błyskała błękitna wstęga zatoki, wrzynająca się w ląd głęboko. Na prawo, poza gejzerami, o których świadczył nam tylko drobny obłoczek białawej mgły, rozciągała się szeroka równina, przerznięta krętą rzeką, na której w dali, jak perły na sznur nanizane, świeciły odlegle, o pasmo zielonych wzgórz oparte jeziora.

Siedzieliśmy dość długo, zachwyceni czarownym widokiem, gdy wtem zaniepokoił nas głuchy grzmot podziemny. Pary, wznoszące się nad kraterem, sczerniały i zbiły się w ogromny kłąb, z którego wkrótce zaczął się sypać na nas drobny i duszący popiół. Należało wracać co prędzej, gdyż widocznie zbliżał się wybuch wulkanu. Nie zdążyliśmy już jednakże ujść dość wcześnie. Znajdowaliśmy się zaledwie w połowie owego żlebu, kończącego się przy łąkach nad lasami, gdy nagle przy wzmożonym łoskocie podziemnym zatrzęsły się skały, z których poczęły na wszystkie strony opadać lawiny, a chmura dymu, dotąd czarna, rozbłysła krwawym blaskiem.

[93] *zdrzewiały* — dziś: zdrewniały.

Nie było czasu do namysłu. Z największym pośpiechem schroniliśmy się w pobliskiej szczelinie, oczekując z drżeniem chwili, kiedy znów będziemy mogli posunąć się ku dołowi.

Niebo nad nami, pokryte gęstymi kłębami dymu, wyglądało jak ognista czeluść piekielna; głuchy grzmot nie ustawał już teraz ani na chwilę, a powietrze, przesycone wyziewami siarki i drobnym popiołem, dusiło nas i parzyło nam płuca. Z góry zaczynały już padać większe, gorące żużle, pokrywające brudny śnieg dokoła mnóstwem czarnych plam. Musieliśmy uciekać ze żlebu, którym teraz płynęła wartko woda ze stopionego śniegu, zmieszana z popiołem i ziemią.

Wybuch był dość silny, a wstrząśnienia gruntu, któreśmy odczuwali[94], musiały się rozchodzić szeroko i u stóp góry, bo gdy wiatr, rozegnawszy na chwilę duszące pary i tumany popiołu, odsłonił świat przed nami, zobaczyliśmy morze burzliwe i spienione.

Przyczepieni do bystrej turni, sterczącej jak przylądek w miejscu, gdzie żleb rozchodził się ku dołowi w dwie strony, zasłonięci nieco od góry wystającymi głazami, przesiedzieliśmy tak kilkanaście godzin, niepewni zdrowia i życia. Martę ogarniał przy tym straszliwy niepokój o dzieci. Tom był już wprawdzie obeznany z trzęsieniem ziemi, dość częstym i niezbyt groźnym w tych okolicach, i można było polegać na jego przezorności i rozsądku, ale Martę, a także i mnie trapiła myśl, że w razie naszej śmierci i dziatwa pozostawiona sobie byłaby skazana na niechybną zgubę. Piotr był obojętny i spokojny lub przynajmniej udawał spokój.

Wreszcie uciszyło się nieco. Silny wiatr, który się zerwał nagle od morza, oczyścił trochę powietrze i rozgarniał rzednące powoli tumany dymu. Deszcz popiołu i żużli przestał już padać. Odetchnęliśmy swobodniej i zabieraliśmy się właśnie do dalszej drogi z powrotem, gdy wtem zaniepokoił nas jakiś dziwny a potężny szum i syk nad nami. Piotr wyskoczył pierwszy z kryjówki, aby zobaczyć, co by to było, ale zaledwie stanął na wystającym głazie, wydał straszliwy okrzyk przerażenia: z góry pędził żlebem rozhukany potok lawy! Widziałem, że Piotr chciał zawrócić do nas, ale w tejże chwili zawył orkan, poprzedzający ten wylew płynnego ognia, i zmiótł go tak sprzed naszych oczu, że nie wiedzieliśmy na razie, co się z nim stało.

Skwar nieznośny i duszący wionął ku nam: oba żleby wypełniała już płynna, czerwono świecąca masa, hucząc w dół potwornymi kaskadami ognia i kamienia razem. Nie było ani chwili do stracenia. Gdyby się wylew wzmógł, lawa mogłaby nam odciąć powrót, wypełniając poprzeczne wgłębienia między żlebami, albo co gorsza, rozkruszyć i unieść nasz ostrów kamienny, tak jak wartki prąd wezbranego potoku unosi po drodze gliniaste wysepki. Zatem, nie myśląc już o Piotrze, którego w pierwszej chwili miałem za straconego, pochwyciłem na ramiona Martę, oniemiałą z przerażenia, i począłem co prędzej spuszczać się ku dołom, czepiając się poszarpanego grzbietu sterczącej wśród żlebów grani.

Jakie to było schodzenie, o tym dzisiaj nawet straszno mi myśleć! Skały, o które rozbijała się piekielna fala, drżały pod moją nogą, jak pokład statku pędzonego przeciw wiatrowi całą siłą pary; okropny skwar groził nam upieczeniem się żywcem. Marta zemdlała i zwisła mi bezwładnie na ramieniu, co krępowało w najwyższym stopniu moje ruchy. A musiałem przecież uważać, aby się nie poślizgnąć, bo każdy krok fałszywy znaczył: śmierć.

Jakim cudem, na wpół uduszony od żaru, oślepiony gorącym dymem i blaskiem lawy, ogłuszony niewypowiedzianym szumem i potłuczony sypiącymi się z góry kamieniami, dostałem się z Martą na równinę, skąd wyszliśmy byli przed kilkudziesięciu godzinami, tego już dzisiaj nie umiem powiedzieć.

Byliśmy jednak ocaleni. Lawa spłynęła gdzieś bokami przez lasy, które zadymiły w jednej chwili, i pozostawiła w środku ogromny trójkąt wolny, którego wierzchołek stanowiła łąka i stercząca nad nią grań, a podstawę morskie wybrzeże, ciągnące się przeszło tysiąc metrów pod nami.

Wziąłem się przede wszystkim do ocucenia Marty. Gdy otworzyła oczy i przekonała się, że nie grozi nam już niebezpieczeństwo, zaczęła się zaraz dopytywać o Toma. Uspokoiłem ją, że Tom jest w domu i zobaczymy go niewątpliwie w dobrym zdrowiu, nim

[94]*któreśmy odczuwali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: które odczuwaliśmy.

nadejdzie południe. Wtedy ona wyciągnęła obie ręce do mnie i poczęła powtarzać jak wówczas w *Kraju Biegunowym*, gdym ją odszukał po powodzi:

— Mój przyjacielu, mój przyjacielu...

Było w jej głosie coś tak niesłychanie miękkiego i słodkiego, że dreszcz wstrząsnął całym moim ciałem, a spazm jakiś serdecznie ścisnął mnie za gardło. Pochyliłem nad nią twarz, aby mnie oczy nie zdradziły, a ona wtenczas wzięła moją głowę w dłonie i przygarnęła ją do piersi, mówiąc:

— Tobie winna jestem życie własne i więcej: życie Toma, któremu jesteśmy jeszcze potrzebni. Ty jesteś dobry...

Pierś miała odsłoniętą, bo cucąc ją, rozerwałem suknię pod szyją. Dotknąłem czołem tej piersi, a równocześnie uczułem na głowie łzy spływające jej z oczu.

Nagły pożar rozpalił się we mnie. Miałem tę kobietę, tak jeszcze piękną, a tak nade wszystko pożądaną i ukochaną, tuż przed sobą; wystarczyło wyciągnąć ręce, objąć ją, obsypać pocałunkami, zadusić w uściskach. Krew przysłoniła mi oczy, w uszach zahuczały rozkiełzane tętna żył; czułem ciepło i miękkość jej ciała, zapach jego upajał mnie, odurzał, oszaleniał... — Wszakże jesteśmy — błyskało mi w mózgu jak przez mgłę — jedynymi ludźmi teraz na tym globie, bo Piotr prawdopodobnie leży gdzieś martwy między głazami... A zresztą cóż mnie Piotr obchodzi, co mnie obchodzi wszystko na świecie i za światem, kiedy ona... Niewypowiedziana błogość, niewysłowione szczęście rozlało się spokojną falą po całej mej istocie.

— Nie!

Targnąłem się całą mocą i odskoczyłem w tył.

Piotr leży tam może w tej chwili gdzieś na skałach, pokrwawiony, półmartwy, i czeka ratunku, a ja...

Marta spojrzała na mnie i — zrozumiała.

— Masz słuszność — rzekła, jakby mi odpowiadała, choć nie odezwałem się ani słowa — masz słuszność, idź i poszukaj Piotra...

Potem wstała i uścisnęła mi rękę.

— Dziękuję ci — szepnęła.

Piotra znalazłem istotnie niedaleko miejsca, skąd wiatr go strącił. Leżał zaczepiony o ostry głaz, który go ocalił od stoczenia się w ogniem zionącą przepaść, bezprzytomny, ale jeszcze ze słabymi oznakami życia.

Zaniosłem go do domu, a wspólnym usiłowaniom Marty i moim udało się przywrócić mu zdrowie.

Kęs czasu minął już od tego wypadku, a ja, pomny na chwilę słabości, staram się tym silniej, aby moja wola panowała zawsze nad tą resztą, która z nią razem tworzy duszę człowieczą.

A Piotr?... Siaduje po staremu milczący i ponury na progu domu i — nie wiem — może żałuje czasem, że nie zginął wówczas na stokach *Otamora*.

Ze mną wszystko snadź[95] skończone. Wkrótce i te dzieci nie będą mnie już potrzebowały. Zacząłem sobie budować grób na *Wyspie Cmentarnej*...

VI

Po sześciu dniach.

Patrzę na ostatnie słowa, przed kilku księżycowymi dobami napisane, i oczy mi się ćmią — nie łzami już, bo wyschły dawno, ale jak gorący piasek gryzącym bielmem przerażenia i rozpaczy. Nie dla siebie zbudowałem grób na *Wyspie Cmentarnej*.

— Czemu... czemu?!

Odwieczne, głupie, a tak straszliwie bolesne pytanie bez odpowiedzi!

Zostałem sam.

Sam z czworgiem dzieci, tutaj zrodzonych, które nie są moimi dziećmi. Jestem ostatnim na Księżycu człowiekiem z tych, co z Ziemi przybyli. Tamci dwoje, Marta i Piotr, poszli za O'Tamorem, za Remognerami, za Woodbellem. A ja żyję.

Jest to los, którego się najwięcej obawiałem i — najmniej spodziewałem...

[95] *snadź* (daw.) — prawdopodobnie, widocznie.

I pomyśleć, że stało się to wszystko tak prędko! Sześć dni księżycowych, pół ziemskiego roku! Kto by się był wówczas spodziewał! A przecież trzeci już raz wzeszło to leniwe słońce nad to morze, jak pogrzebałem tamtych. Jestem sam, tak straszliwie, tak okropnie sam, że zaczynam, się zrywać w ciemności po nocach, a we dnie lękać się szelestu i cieniów, które rzucają mi pod nogi rozkołysane w wietrze rośliny-dziwolągi.

Tak, jestem sam. Bo przecież te dzieci — to nie są moi bliźni. To są istoty z innej planety w dosłownym znaczeniu tego wyrazu.

Cóż bym dał za to, aby tu mieć jeszcze przy sobie bodaj na jedną krótką chwilę Martę lub Piotra!

Gdy Marta zachorowała, nie przeczuwałem nawet, że się to wszystko tak strasznie skończy.

Widziałem wprawdzie od dawna, że organizm jej wyczerpany jest wszystkim, co przeszła, i osłabiony nurtującym w niej smutkiem, ale przecież ta myśl była ode mnie daleka, tak daleka!

Ostatniego dnia już Marta nie była zdrowa. Cichsza jeszcze i więcej zadumana niż zwykle, spędziła prawie cały dzień z dziećmi na morskim wybrzeżu. Bawiła się z Tomem i pieściła nawet dziewczynki, dość zdziwione tym rzadkim u niej objawem czułości macierzyńskiej. Około południa, gdy przyszedłem nad morze powiedzieć, że czas już wracać ku domowi na stawach, bo wkrótce nadciągną burze, uśmiechnęła się do mnie i powtórzyła parę razy:

— Czas wracać, czas wracać...

Te wszystkie drobne szczegóły tak mi żywo stoją w pamięci, tak natarczywie na myśl się nasuwają, że teraz, gdy piszę, mam ją przed oczyma, widzę każdy jej ruch, słyszę jej głos — i wierzyć mi się nie chce, że jej już naprawdę nie ma i że naprawdę nigdy jej już nie zobaczę...

Idąc ku domowi wzięła najmłodszą Adę na ręce i dopytywała jej się, czy kocha Toma. Dziecię wstrząsnęło główką z przeczeniem.

— Nie. Nie kocham.

Marta posmutniała.

— Dlaczego nie kochasz? dlaczego? Aduś?

— Bo Tom jest niedobry. Tom chce, żebym go słuchała.

— To źle — mówiła matka — trzeba Toma słuchać i kochać go, bo ty jesteś jego...

— Nie. Ja nie jestem Tomowa. Lili i Róża są Tomowe. Ja jestem swoja.

Zacząłem się głośno śmiać z tej odpowiedzi dziecka, ale Marcie zabłysły w oczach łzy.

— Niepodobna być swoją, niepodobna — szeptała raczej do siebie. Mimo to ucałowała dziewczynkę serdecznie.

Po południu rozmawiała długo z Tomem. Zawoławszy go do siebie, opowiadała mu o ojcu, powtarzając może po raz tysiączny mnóstwo szczegółów, które razem składały się na jakąś dziwną niby baśń, niby pieśń uwielbienia dla zmarłego kochanka. Tomasz był dzielnym i szlachetnym człowiekiem, ale we wspomnieniach Marty obraz jego stał się jakimś bożyszczem, wcieleniem wszystkiego, co wielkie, dobre i piękne.

Napominała też Toma, by był dobry dla sióstr. Zastanowiło mnie to najwięcej, bo takie nauki rzadko z jej ust słyszał.

Przed wieczorem Marta zaczęła się skarżyć na ogólne osłabienie, zawrót głowy i bóle w kościach. Zazwyczaj znosiła wszelkie dolegliwości w milczeniu, tak że mogliśmy się tylko domyślać z jej twarzy, że jej coś brakuje, gdyż nigdy ani słowem nie mówiła nam o tym i nie szukała u nas współczucia ani pomocy. Nawet gdyśmy się dopytywali, widząc czasem, że mizernie wygląda, wstrząsała tylko głową i mówiła z uśmiechem: „Nic mi nie jest..." — Albo: „To przejdzie; nie umrę jeszcze, bo jeszcze jestem Tomowi potrzebna".

Wobec tego tym więcej zaniepokoiła mnie jej skarga tego wieczora. Spojrzałem na nią baczniej i dopiero teraz spostrzegłem przy świetle gasnącego dnia, że ma gorączkowe wypieki na policzkach, a oczy podkrążone i zapadłe. Nie straciły nic ze swego dawnego blasku: wylane łzy i smutek gryzący nie zdołały ich przyćmić, ale paliły się teraz jakimś niezdrowym płomieniem, niepodobnym zgoła do dawnej, gwiezdnej ich jasności.

Gdy słońce zaszło, Marta, która się była położyła — więcej z osłabienia niż dla potrzeby snu — zaczęła się niepokoić i zrywać. Widoczne było, że ogarniają gorączka. Wołała dzieci,

które już spały, to znów usprawiedliwiała się ledwo zrozumialnym[96] szeptem — przed sobą czy też przed duchem Tomasza, stojącym jej snadź[97] na oczach — ze swego życia i wydania na świat tych biednych dziewczątek, a nawet z miłości do nich, której nie udało jej się całkowicie przemóc i pokonać. Zdaje się, że w jej przekonaniu ta miłość macierzyńska należała się wyłącznie synowi, a każdy objaw jej względem córek był krzywdą wyrządzoną jemu i pamięci zmarłego.

Po pewnym czasie uspokoiła się nieco. Siedzieliśmy obaj z Piotrem przy jej łóżku, zgnębieni i zaniepokojeni do najwyższego stopnia, zwłaszcza że pozbawieni środków lekarskich, czuliśmy się bezsilni wobec choroby. Marta patrzyła na nas długo szeroko rozwartymi oczyma, a potem naraz zapytała, czy słońce już zaszło? Odpowiedziałem jej, że już się zaczęła długa noc na Księżycu.

— A prawda! — rzekła znacznie przytomniej. — Przecież na świecie jest ciemno, a tu światła się palą... Nie zauważyłam zrazu. A tam, nad *Mare Frigoris*, co teraz jest?

— Tam jest teraz dzień. Właśnie słońce wzeszło tam niedawno.

— Tak, słońce wzeszło... I świeci teraz nad grobem Tomasza, prawda? I to samo słońce znad tego grobu przyjdzie tu do nas z rana?

Skinąłem głową w milczeniu.

— To samo słońce... — mówiła znowu chora. — I pomyśleć, że tak codziennie, przez tyle dni księżycowych, to słońce patrzyło na grób, a potem na mnie tu żywą, i znów szło na grób opowiadać mu, co tu widziało.

Zakryła oczy rękami i poczęła drżeć na całym ciele.

— To jest okropne! — powtarzała.

Piotr sposępniał i spuścił głowę. Zdawało mi się, że na pożółkłym i zwiędłym jego obliczu dostrzegłem nagły krwawy rumieniec, rozlewający się aż po zbrużdżone czoło.

Musiała to dostrzec i Marta, bo zwróciła się ku niemu:

— Nie chciałam ci, Piotrze, zrobić przykrości... teraz... Zresztą ty nie jesteś winien. Jakżebyś ty mnie był potrafił zmusić, abym została twą żoną, gdybym ja nie była chciała sama... dla Toma...

Zamilkła, oddychając głęboko. Po chwili odezwała się znowu:

— Chciałabym doczekać rana. To tak strasznie błąkać się w ciemności i szukać drogi tam, na pustynię. Gdy tu dzień nastanie, nad *Morzem Mrozów* będzie świecić Ziemia. Wolę przy jej świetle stanąć nad grobem, bo nie wiem, czy bym śmiała tak w pełnym blasku słońca spojrzeć...

— Marta! co ty mówisz! — krzyknąłem mimo woli.

Spojrzała na mnie i odpowiedziała krótko:

— Ja umrę.

Około północy zacząłem się już naprawdę obawiać, że umrze. Nękała ją jakaś choroba, której nawet nie umieliśmy nazwać. Widzieliśmy tylko nadzwyczajny upadek sił, który w połączeniu z powracającą wciąż gorączką nie wróżył nic dobrego.

Choroba

Zresztą co znaczą wszystkie lekarskie nazwania! Ja wiem, co to za choroba, znam ją aż nadto dobrze: nazywa się życie! Budzi człowieka z nieświadomości, pieści się z nim, igra, a wśród igraszek targa go i szarpie, morduje, tłoczy, aż wreszcie zmoże go i zniweczy. Z tą chorobą wszyscy się rodzimy i nie masz na nią lekarstwa — krom[98] śmierci.

Piotr nie odstępował prawie od łóżka Marty. Patrząc na jego twarz ponurą i nieruchomą, mimo niepokoju, jaki mnie ogarniał z powodu Marty, zastanawiałem się mimo woli, co za uczucia mogą się kryć pod tą maską? Niestety, miałem się dowiedzieć o tym aż nazbyt prędko!

Nad ranem Marta była bardzo niespokojna, a dopiero pierwszy brzask dzienny sprowadził na nią ukojenie.

— Zobaczę jeszcze słońce! — mówiła i próbowała się uśmiechać zbladłymi wargami.

Teraz ja sam siedziałem przy niej, bo Piotr, znużony długą bezsennością, uległ wreszcie moim namowom i położył się spać w sąsiedniej izbie. Ranny brzask wdzierał się przez szyby z grubego, na Księżycu wyrobionego szkła, a światło lamp żółkło coraz więcej.

---

[96]*zrozumialny* — dziś: zrozumiały.
[97]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[98]*krom* — oprócz.

Śnieg leżał na polach jak zwykle i gdy wiatr rozegnał nieco pary, podnoszące się wciąż z gorących stawów, widno było[99] przez okna wielką i lśniącą płaszczyznę.

W tym ostrym i zimnym, od śniegu odbitym blasku nadchodzącego dnia, kłócącym się z żółtym i martwiejącym światłem lampy, patrzyłem na Martę i nie miałem już zgoła wątpliwości, że wkrótce odejdzie od nas na wieki. Przez tę dwutygodniową noc zmieniła się nie do poznania. Twarz jej się wyciągnęła i pobladła; usta, niegdyś takie pełne, purpurowe i ponętne, zachodziły już bladosiną barwą śmierci. Spod spuszczonych, niemal przeźroczystych, siatką drobnych żyłek powleczonych powiek patrzyły oczy gasnące już i nad wyraz smutne.

Oparłem czoło o krawędź łóżka i kąsałem palce, aby nie wybuchnąć okropnym, niemęskim płaczem, który mi się targał w piersi jak zwierz na uwięzi.

Tymczasem na świecie robiło się coraz jaśniej. Opary, do niedawna jeszcze szare, przechodziły teraz przed oknami, poruszane wiatrem, jak lekkie, śnieżnobiałe widma. Czasem tuman ich skłębił się i świat zasłaniał, czasem wyciągały się w długie powiewne postacie, które zjawiały się nagle, biły pokłon przed oknem i przechodziły znów dalej. Wtedy widno było między ich smugi[100] białe pola i chmurą owinięte, perliste kolumny gejzerów i dalej nad nimi, na tle jasnobłękitnego nieba szczyt *Otamora* zaróżowiony już pierwszymi promieniami słońca.

Marta zapytała o dzieci, ale usłyszawszy, że jeszcze śpią, nie dała ich budzić.

— Niech śpią — szeptała — jeszcze je zobaczę... nim słońce wzejdzie. Tymczasem dobrze, że jest tak cicho.

Potem zwróciła się ku mnie:

— Ty będziesz im zawsze opiekunem, prawda?

— Będę — odpowiedziałem zdławionym łzami głosem.

— I nie opuścisz ich nigdy?

— Nie.

— Przysięgasz mi?

— Tak. Przysięgam.

Wyciągnęła ku mnie rękę:

— Dobry jesteś, mój przyjacielu — szepnęła. — Umrę spokojnie, wiedząc, że ty o nich nie zapomnisz.

Pochwyciłem jej rękę i przycisnąłem namiętnie do ust. Palce jej drgnęły lekko, jakby chciały moją dłoń uścisnąć. Chłód bił już od nich tak, że nawet moje gorące wargi nie zdołały ich rozgrzać.

— Chciałabym ci jeszcze powiedzieć — zaczęła po chwili — przed śmiercią, że byłeś mi... drogi. Robiłam sobie z tego powodu wyrzuty większe niż z tego, że byłam żoną Piotra... Może... gdybym była została twoją miast jego, byłoby życie na Księżycu poszło innym torem, byłabym może żyła jeszcze dzisiaj...

Mówiła to wszystko cichym, gasnącym głosem, a we mnie nagle zerwała się burza. Ryknąłem płaczem jak małe dziecko i okrywając jej dłoń pocałunkami bez pamięci, wyrzucałem z piersi przez łzy bezładne słowa miłości, tak długo tajone, a rozpętane dopiero teraz — wobec umierającej.

Ona przechyliła się nieco i położyła drugą rękę na mej głowie:

— Cicho — mówiła — cicho... Ja wiem... Nie płacz... Tak jak się stało, lepiej się stało... Byłeś mi drogi za swą szlachetność, za miłość dla Toma, zresztą — ja nie wiem sama, za co... ale mimo wszystko może bym nie była dobra dla ciebie, gdybyś był stanął między mną a tamtym, zmarłym, który jeden miał do mnie prawo. Cicho już, nie płacz. Wiesz już teraz. Myślę, że Tomasz mi przebaczy, żem to czuła i teraz tobie w godzinę śmierci powiedziała... Ja byłam taka nieszczęśliwa...

Zamilkła wyczerpana, a ja, ukrywszy twarz na jej piersi, trząsłem się cały, targany wewnętrznym łkaniem.

Ale ona po chwili zaczęła znowu.

— Niech będzie... wyznam ci już wszystko. I tak po raz ostatni z tobą rozmawiam... W owo południe...

---

[99] *widno było* — dziś w tym znaczeniu: widać było.

[100] *widno było między ich smugi* — dziś: widać było między ich smugami.

Umierająca urwała na chwilę, jakby nagły wstyd, nieblednący nawet wobec śmierci, głos jej zatamował, ale ja wiedziałem, o jakim ona południu mówiła!

Milczała przez jakiś czas, z lekka tylko poruszając wargami, aż wtem, z nagłym wybuchem, podnosząc ręce ku skroniom, zakrzyknęła:

— Czemuś ty Piotra nie zabił?!

W tej chwili posłyszałem stłumiony jęk za sobą. Było w nim coś tak strasznego, że mimo woli zerwałem się i odwróciłem głowę. We drzwiach, dłonią o uszak oparty, stał Piotr, blady jak trup, i patrzył na nas szeroko rozwartymi oczyma. Musiał stać tu już dość długo i słyszał zapewne wszystko, co Marta do mnie mówiła.

Gdy zauważył, że go spostrzegłem, postąpił chwiejnie parę kroków naprzód i zabełkotał coś niezrozumiałego.

Marta ze stłumionym okrzykiem wstrętu odwróciła się ku ścianie.

— Przepraszam — wyjęknął Piotr — przepraszam, to mimo woli... Nie chciałem...

W tej chwili rozległy się w drugiej izbie głosy i tupotania.

— Dzieci! — zawołała Marta i wyciągnęła ręce.

Ale dziewczynki onieśmielone zatrzymały się w progu i tylko Tom przypadł do niej, więc wzięła jego głowę w drżące dłonie i przygarnęła ku łonu.

Piotr spojrzał na to i przystąpił do mnie:

— Obiecałeś jej — tu wskazał głową Martę — pamiętać o wszystkich dzieciach... o wszystkich! jednakowo...

Nim zdążyłem odpowiedzieć, zaskoczony tą dziwną uwagą, jego już nie było w izbie.

Między pląsające przed oknem opary przedostawał się już promień słoneczny, zamieniał górne szyby w kawałki jaśniejącego złota i biegł świetlistym snopem przez duszną atmosferę pokoju. Marta leżała bez ruchu, wpatrzona gasnącym wzrokiem w płat słonecznego światła, który coraz niżej ześlizgiwał się po ścianie i jak anioł zstępujący płynął ku jej poduszkom. Dziewczątka poczęły się na palcach zbliżać do łóżka, patrząc ze zdziwieniem na bladą i nieruchomą twarz matki.

Duszno mi było, w ustach czułem żrącą gorycz. Ten nastający dzień przychodził do mnie jak bezlitosne, bolesne szyderstwo, bo wiedziałem, że zacznie się z nim pustka i patrzenie w przeszłość. Chwile mijały w milczeniu...

Nagle Tom krzyknął:

— Wuju, wuju! ja się boję! Mama patrzy tak strasznie!

Odwróciłem się: promień słońca, padłszy na poduszki, oświecał twarz Marty zastygłą i martwą, szklistymi oczyma w słońce jeszcze wpatrzoną.

— Wasza matka umarła... — szepnąłem jakimś cudzym i zdławionym głosem do dzieci, które się cisnęły teraz zalęknione i zdumiałe dokoła łóżka. Po czym pochyliłem się, aby przymknąć jej powieki.

W tej chwili rozległ się huk wystrzału. Poskoczyłem ku drzwiom: Piotr leżał w sąsiedniej izbie na podłodze z roztrzaskaną skronią i dymiącym rewolwerem w ręku.

Zatoczyłem się na progu jak pijany.

Dzisiaj oboje leżą już w grobie. Ja sam oddałem im ostatnią śmiertelną posługę, owinąłem ich ciała w duże, z roślinnych włókien utkane i żywicą przepojone całuny i we własnych ramionach na łódź je zaniosłem, która je miała powieźć na *Wyspę Cmentarną*. W łodzi obok mnie i trupów siadło czworo dzieci. Troje starszych skupiło się koło ciała matki. Tom, zdumiały[101] i przestraszony widokiem śmierci, siedział milczący u nóg trupa; Lili i Róża chwytały całun rączkami i wołały z płaczem matki, jak gdyby dopominając się jeszcze należnych im pieszczot, których im za życia skąpiła.

Ciało Piotra leżało w łodzi opuszczone. Najmłodsza dziewczynka tylko podpełzła ku niemu i głaszcząc rączką pokrywające je zwoje grubej tkaniny, szeptała cichutko:

— Biedny tatuś, biedny...

Smutnej naszej podróży sprzyjała cudowna pogoda. Słońce, jeszcze niewysoko nad widnokrąg wzniesione, rozświetlało złociście ogromną a spokojną, zaledwie w drobne skiby leciuchnym powiewem zoraną płaszczyznę morza, wśród której majaczyły przed nami dalekie wyspy, w przeźroczystej, błękitnej mgle zatopione. I nigdy w życiu nie czułem tak żywo i tak boleśnie tej bezlitosnej i strasznej ironii, która się mieści w pięknie

[101] *zdumiały* — dziś: zdumiony.

przyrody, obojętnej zarówno na radość, jak i na ból człowieka. Bo przecież ja wiozłem na tej łodzi dwie ostatnie istoty ludzkie, które ze mną przybyły na ten glob i znały, jak ja, rodzinną mą Ziemię, wiozłem je martwe, aby napełnić grób dla siebie zbudowany i pozostać już potem na wieki samotnym — a słońce świeciło spokojne, przepiękne i wspaniałe tak samo, jak wtedy, gdym szczęśliwym dzieckiem igrał w jego blasku na tej odległej ode mnie w tej chwili planecie.

Z łodzi zaniosłem ich oboje na plecach do grobu, który zbudowałem na wyżynie w najpiękniejszej okolicy wyspy. Lekkie były te trupy, sześćkroć lżejsze, niźli bywają na Ziemi, a przecież uginałem się pod ich brzemieniem... I nic dziwnego! Niosłem przecież do grobu resztkę mojego gorzkiego szczęścia!

Martę pochowałem w grobie, który niegdyś dla siebie przeznaczyłem. Dla Piotra wykopałem drugą mogiłę, nieco niżej.

I będę żył dalej... Nieraz wprawdzie, kiedy ciężar niewypowiedzianej tęsknoty przygniata mnie i łamie, zbiera mnie straszna pokusa, aby odejść z tego globu jedyną, jaka mi pozostała, drogą, którą stąd poszło już przede mną tamtych sześcioro: O'Tamor, dwaj Remognerzy, Woodbell, Varadol i Marta, ale wtedy przypomina mi się przysięga dana umierającej, że nie opuszczę jej dzieci. Dla nich muszę żyć. Jestem teraz tak skazany na życie, jak — póki ona żyła — byłem skazany na miłość. I te dwie najlepsze rzeczy na świecie stały się dla mnie najsroższym bólem i najgorszym cierpieniem...

Dni moje do tych dzieci należą. Staram się wszelkimi siłami o nich ciągle myśleć, zajmuję się nimi, uczę je, garnę ku sobie, chronię i rozwijam, bo dalibóg, na mnie bezdzietnym ciąży duchowe ojcostwo księżycowego pokolenia.

Ale nocami wracam na Ziemię i rozmawiam ze zmarłymi. Coś się już w mózgu moim popsuło i zerwało albo też ból ze serca[102] wstający mgłą go przesłonił, bo jawa snem mi się wydaje, a senne marzenia są dla mnie życiem prawdziwym...

Tęsknię do snów. Chodzę w nich po Ziemi i z rozczuleniem całuję jej drzewa, kwiaty, nawet proch i kamienie — i tak mi się zdaje, że mnie z niej nigdy nie oderwała szalona pycha poznania tajemnic gwiaździstych przestworzy.

Czasem znowu przychodzą do mnie zmarli towarzysze.

Więc idzie naprzód siwy O'Tamor i obwinia się, on, co był dobrocią samą, że wywiódł nas lekkomyślnie na ten glob pusty, jak lampa dla Ziemi wśród nieb zawieszony. Potem widzę Remognerów. Skarżą się, że poszli za nami i śmierć znaleźli. Woodbell pojawia się blady i pyta, cośmy z Martą zrobili? czy była z nami szczęśliwa? Piotr opowiada mi we śnie to, co za ostatnich lat życia z oczu tylko jego czytałem: o swej dzikiej i namiętnej miłości do Marty, która go tak pożarła, jak ogień garstkę wiórów pożera; o losie swym strasznym, który mu nie dał ani jednej chwili szczęścia, a kazał natomiast przez lata całe widzieć wstręt, odrazę i pogardę w oczach pożądanej i posiadanej kobiety i milczeć, i tłumić w sobie wszystką miłość i wszystek ból, i obrażoną dumę męską; opowiada mi, jakie piekielne rzeczy w jego duszy się działy w ową ostatnią noc, kiedy widział mnie z twarzą ukrytą na jej piersi, i później jeszcze, kiedy przykładał rewolwer do czoła...

Ten korowód smutnych duchów zamyka Marta. Zjawia się przede mną cicha, z bolesnym uśmiechem do ust przywartym, i dziękuje mi za to, że byłem człowiekiem, a czasem, zdaje mi się, wyrzuca oczyma, że nie byłem.

Taka otchłań smutku i żalu jest we mnie...

Tak te duchy rozmawiają ze mną. A chociaż nic mi nie mówią wesołego, to przecież swojsko mi jest i dobrze z nimi, bo to są moi bliźni.

To nowe pokolenie księżycowe, wzrastające dokoła mnie, jest już jakieś inne. Dzieci to są jeszcze, a przecież czuję już, że tworzą dla siebie świat odrębny, który dla mnie, z Ziemi przybyłego, zawsze będzie obcy, podobnie jak mój świat jest niedostępny dla nich, urodzonych na Księżycu.

A przecież ja, brat tych sześciu grobów rozsianych po Księżycu, muszę żyć z tymi, dla których ten glob jest ojczyzną — i kto wie jak długo jeszcze...

---

[102] *ze serca* — dziś: z serca.

RĘKOPISU CZĘŚĆ TRZECIA. WŚRÓD NOWEGO POKOLENIA

I

W *Kraju Biegunowym*.

Dojrzewa już to pokolenie, a ja jestem wśród niego coraz mniej potrzebny i coraz smutniejszy... Poszedłem tedy w *Kraj Biegunowy*, aby patrzeć na Ziemię i być samotnym.

Od naszego EXODU z Ziemi Utraconej upłynęło już dwieście dziewiętnaście dni księżycowych, a sześćdziesiąt siedem upłynęło od śmierci Marty i Piotra.

Dziwno mi, że nie umieram...

*

Mieszkam więc znowu na *Biegunie*. Bezbrzeżna tęsknota za ojczyzną moją, Ziemią, ciśnie mnie coraz więcej. Zapominam wobec niej nawet o tym pokoleniu zdanym mi przez Martę w godzinę śmierci. Ale ono żyje tam nad morzem i jest szczęśliwe. Gdym odchodził, budziło się w nim wiosenne uczucie miłości. Zanadto rozkosznie i nadto... boleśnie było mi patrzeć na tę wiosnę...

Tutaj jest cisza i samotność, i wspomnienie...

*

Było znowu zaćmienie słońca i Ziemia czarna jak trup na tęczach złocistych, i ulewa, i powódź...

Od EXODU naszego dni księżycowych dwieście dwadzieścia sześć...

Jakiś niepokój mnie zbiera, co się dzieje z dziećmi Marty. Trzeba będzie iść tam znów, nad morze, i zobaczyć, czy mnie nie potrzebują.

Sen miałem przykry i Martę we śnie widziałem.

*

Byłem w *Krainie Ciepłych Stawów* po siedmiu księżycowych dniach nieobecności... Przywiodła mnie tam troska o dzieci Marty.

Tom jest mężem swoich sióstr, Lili i Róży.

To jest rzecz zastanawiająca, jak ci ludzie karleją na Księżycu! Tom jest już dorosły, a głową nawet ramion mi nie sięga. Ada, zdaje się, będzie jeszcze mniejsza...

Za pobytu mego nad morzem był straszliwy wybuch *Otamora*, największy ze wszystkich, jakie pamiętam. Południowa strona krateru obsunęła się w morze... Był to dzień księżycowy dwóchsetny trzydziesty i ósmy od EXODU naszego — w czternaście godzin po południu wybuch się rozpoczął.

Kiedy odchodziłem, Róża spodziewała się potomstwa.

Adę zabrałem ze sobą — zbyt tam była opuszczona... Potrzebuje teraz mojej opieki więcej niż kiedykolwiek. To straszne, że mi jeszcze umrzeć nie wolno!

Przybyłem do *Kraju Biegunowego* w dwieście pięćdziesiąt jeden dni księżycowych od naszego EXODU.

Tom starał się zatrzymać mnie przy odejściu, ale mimo to widziałem, że był rad, iż odchodzę. Tom jest samowładny i niechętnym okiem patrzył na moją powagę wobec jego żon. Rad jest także z odejścia ze mną Ady, której nie lubi, gdyż mu się ona nie chce poddać, choć to dziecko jeszcze.

*

Idą godziny blade i chłodne, jak to światło niewidzialnego słońca na biegunie — długi, długi! nieskończony szereg godzin...

Z trudem tylko utrzymuję rachubę czasu; mówię niewiele i Ada przy mnie milczy. Przesiaduje całymi godzinami na zielonych mchach i wodzi smutnymi, bladymi oczyma dziecka po różowo oświetlonych szczytach gór...

A ja...?

Nie wiem już sam doprawdy...

Od dawna przestałem żyć teraźniejszością, a tym więcej przyszłością. Oglądam się za to poza siebie i patrzę nieustannie w twarz moim wspomnieniom. Niewesołe towarzystwo! Smutny jestem tam nad morzem i smutny tu, gdzie widzę Ziemię na skraju niebokręgu.

*

Długi już czas upłynął od zapisania tej ostatniej notatki. Ada wyrasta i zaczyna tęsknić za rodzeństwem, widzę to po niej, choć wprost nie chce się przyznać do tego.

I ja myślę, że mimo wszystko czas mi powrócić nad morze. Starzeję się, a gdybym umarł w tej pustce i samotności, Ada byłaby skazana na zagładę. Dla niej powrócę znowu, choć Bóg widzi, jak bym rad pozostać tutaj i umrzeć, patrząc na Ziemię!

A i tak się już boję, że to dziecię za długo żyło ze mną, milczącym i smutnym samotnikiem. Dziwne jest to dziecko i to dziwne, że w tej samotności, miast się zbliżyć, stajemy się coraz więcej obcymi wzajem dla siebie. Ona patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczyma i widzę, że myśli o wielu rzeczach, których mi nie mówi.

Wszak mogę się przyznać sam przed sobą? — jestem tutaj z tą dziewczyną tak długo, a przecież nie przywiązałem się do niej, owszem, razi mnie wciąż jej obecność, tak chciałbym być sam i dumać bez przeszkody o przeszłości... o Ziemi...

A jednak trzeba wracać... do Toma, do dzieci Tomowych, które patrzyć na mnie będą ze zdumieniem i zgrozą, na starego, siwego człowieka, który przybył ongi ze Ziemi, a teraz długo żył w samotności...

Trzeba mi wracać... Wracać nam trzeba, Ado...

Jeszcze mi umrzeć nie wolno.

II

Nad morzem przy *Ciepłych Stawach*.

Od EXODU naszego dni księżycowych czterysta dziewięćdziesiąt dwa, to znaczy blisko trzydzieści osiem lat ziemskich.

Bardzo dawno już nie zapisywałem nic na tych kartach — dzisiaj biorę je w rękę, aby zanotować śmierć Róży.

Umarła, rzecz straszna, z winy swego męża i brata, ukochanego niegdyś mego wychowanka, Toma, który w gniewie uderzył ją kamieniem w głowę!

Druga żona Toma i dzieci jego starsze przyjęły ten czyn w milczeniu — zdaje im się, że on ma prawo zabijać wszystkich, którzy mu nie są posłuszni. Jedna Ada, zawsze z dala się trzymająca od Tomowej rodziny, wystąpiła teraz przeciw zabójcy. Bez wybuchu, bez krzyku, tylko z groźną twarzą i podniesionymi rękoma szła dziewczyna ku niemu, a on się cofał lękliwie, choć mógł ją jednym uderzeniem dłoni powalić, bo większy jest i silniejszy.

Ale ona zatrzymała się dwa kroki przed nim i pokazując jedną ręką za siebie, na świeży trup kobiety, poczęła drugą trząść nad jego głową i wołać:

— Za krew twojej żony przeklinam cię w imieniu Starego Człowieka!

(Starym Człowiekiem mnie tutaj teraz nazywają).

Tom się uląkł, ale po chwili spojrzał na mnie, wciąż milczącego, posępnym wzrokiem, a potem rzekł do Ady, usiłując nadać hardość swemu głosowi:

— Róża była moja, wolno mi było robić z nią wszystko... żywić ją lub zabić. Dlaczegóż była nieposłuszna?

Ten straszny wypadek i ta zbrodnia — mimowolna, gdyż nie wierzę do tej chwili, aby Tom z zamiarem zabójstwa uderzył był żonę — oświetliły mi nagle trzy rzeczy, z których dotąd nie dość jasno zdawałem sobie sprawę.

Widzę przede wszystkim tyraństwo Toma i zdaje mi się, że ja temu jestem winien, bom go wychował, a nie umiałem zrobić go innym. Zresztą nie trzeba może było spędzać samotnych lat w *Kraju Biegunowym*, a tych tu zostawiać swemu losowi...

A potem zadziwiła mnie Ada. Widzę z jej wystąpienia i z wielu rzeczy, które mi się dopiero teraz przypominają, to, na co nie dość dotąd zwracałem uwagi, mianowicie szczególny jej stosunek do brata i jego rodziny. Zdaje mi się, że oni się nienawidzą wzajemnie, a mimo wszystko tamci boją się tej dziewczyny, najmłodszej z pierwszego pokolenia tutejszych ludzi. Ona trzyma się z dala od nich i jest wśród nich jakby kapłanką, choć nie wiem, czy ten wyraz dobrze rzecz określa. Żal mi Ady, bo jest samotna i samotna, zda się, będzie zawsze na tym świecie, tak jak ja — żal mi jej tym więcej, że ja nie zdołam być dla niej tym, czym może być wobec tego powinienem: dobrym ojcem i przyjacielem. Ale w jej też stosunku do mnie więcej jest czci jakiejś zabobonnej niż miłości. Snadź i temu ja sam jestem winien...

A trzecia rzecz, która mnie najwięcej przestraszyła, bo najbliżej mnie dotyczy: oni uważają mnie... Ale nie! może się tylko łudzę! Cóż, że Ada przeklinała Toma w *moim* imieniu? Wszak jestem tu najstarszy, więc pewnie tylko dlatego... A jednak, gdyby tak było, czyżbym i temu... bałwochwalstwu ja był winien?

Jak oni wszyscy dziwnie wymawiają te wyrazy, którymi mnie mianują: *Stary Człowiek*...

*

Miałem dzisiaj znowu sen, który od lat mnie już trapi niezmiennie i sprawia, że coraz więcej obcym się czuję wśród tego świata...

Śniło mi się, że byłem na Ziemi.

Ale dziś był to sen dziwny...

Miałem dookoła siebie ludzi, z którymi rozmawiałem z najwyższym zajęciem o sprawach państw, narodów, postępu... Mówiono mi, że granice niektórych krajów zmieniły się od czasu, gdy Ziemię opuściłem, że teraz są już inne prawa i wiele z dawnych wierzeń upadło. Zaciekawiony byłem tym wszystkim i chciałem po długim niewidzeniu obejrzeć Ziemię własnymi oczyma, aby się przekonać, jak wygląda.

Wybrałem się więc w podróż i szedłem przez znane mi niegdyś okolice i miasta. Rzeczywiście, zmieniło się wiele. Lotem ptaka przelatywałem nad lądy i dziwiłem się, że na miejscu dawnych stolic widziałem gruzy, na miejscu łanów kwitnących pustynie i zgliszcza, a tam, gdzie niegdyś rozciągały się pustynie, spotykałem wody lub pola uprawne i łąki, otaczające stolice nowe, pełne ruchu i życia. Zatrzymywałem się czasem i zachodziłem do domów ludzi i zapytywałem o rzeczy z moich czasów, ale nikt mi już nie umiał odpowiedzieć. Wstrząsano tylko głowami i mówiono: „Nie wiemy nic o tym", albo „Zapomnieliśmy".

Przestrach mnie ogarniał i żal niewysłowiony, bo widziałem, że ta Ziemia jest już inna i niepodobna zgoła do tej, jaką ja znałem.

„Widocznie — myślałem we śnie — upłynęły już nie lata, ale wieki od czasu, jak stąd odszedłem; na Księżycu tak trudno liczyć długie, podobne do siebie dnie — musiałem ich wiele pogubić w pamięci... Przybywam na Ziemię, której nie znam i która już mnie nie zna".

I naraz uczułem się tak straszliwie nieszczęśliwym! Obcy na Księżycu, z którym zżyć się nie zdołałem, obcy na Ziemi, na którą jakimś cudem wróciłem — za późno! Gdzież sobie miejsce teraz znajdę?

Szybowałem więc dalej w powietrzu z ogromną pustką w sercu, a tymczasem po krótkim dniu noc się już robiła. Pierwsze gwiazdy rozbłyskały już na niebie, kiedy wewnętrznym pędem niesiony znalazłem się nad bezbrzeżną płaszczyzną oceanu. Pode mną wiły się fale, jak potworne, przelewające się skręty jakiegoś zwierza o śliskiej i błyszczącej łusce, a w falach odbijał się tuman złocistych świateł niebieskich.

Spojrzałem dokoła: tutaj jedynie nic się nie zmieniło! Ta woda była tak samo niezmierzona, jak dawniej, i tak samo ruchliwa.

Ale gdy o tym myślałem, spostrzegłem, że morze dziwnie się wydyma i podnosi ku mnie swe fale. Teraz też dopiero zauważyłem, że wprost nade mną stoi Księżyc w pełni, a przez ocean idzie ku niemu olbrzymi wał przypływu. Zląkłem się widma tego świata tam w górze i chciałem uciekać dokądś, gdzie blask jego nie sięga, ale nagle sił mi zabrakło. Uczułem, że opadam na wzdymające się wciąż fale, a one rosną i podrzucają

mnie coraz wyżej, ku Księżycowi, wyginają się w jakieś potworne, niesłychanie długie szyje o pienistych grzywach, ryczą przytłumionym śmiechem i coraz wyżej, coraz wyżej mną rzucają. W najwyższym przerażeniu obejrzałem się na Księżyc: rósł w mych oczach, coraz bliższy, wydymał się, zajmował już pół widnokręgu, całe niebo było nim już nakryte, jak szarosrebrnym kaskiem. Zdawało mi się, że dostrzegam już na jego krawędziach wychylające się główki skarlałego potomstwa Marty i słyszę złośliwy śmiech i wołanie:

— Wróć do nas! wróć do nas, Stary Człowiecze! tyś już nie ziemski!

Rozpacz, przestrach, wstręt, obrzydzenie i straszliwa żądza pozostania na Ziemi, chociażby ona znać mnie już nie chciała, wszystko to naraz przeszło burzą przez pierś moją; krzyk okropny wydarł mi się z gardła, wytężyłem wszystkie siły, aby się oprzeć rzucającym mnie w przestrzeń falom, chwytałem się wody rękami, biłem nogami powietrze...

Na darmo! Uczułem nagle, że Ziemia, zamiast pod mymi nogami, jest mi już nad głową, a ja spadam na Księżyc z powrotem...

Straszny sen! straszniejsza rzeczywistość...

*

Od naszego EXODU dni księżycowych pięćset i jeden.

Tom wybrał się statkiem z dwoma najstarszymi synami w podróż odkrywczą na południe. Z opowiadań jego wnoszę, że dotarli prawie do samego równika. W dalszej jednak podróży powstrzymały ich straszliwe, tropikalne burze morskie. I tak z niczym wracać musieli.

Tom po powrocie rozmawiał długo ze mną. Mówił dużo o matce swojej i o Róży i żałował jej śmierci. Potem, wspomniawszy o wyprawie i opisawszy mi straszliwe trudy, jakie przebył, zadumał się, a wreszcie powiedział, iż się obawia, że to była ostatnia jego podróż...

Istotnie — patrzę na niego i nie pojmuję już doprawdy... Ten człowiek, przeżywszy zaledwie połowę mego wieku, jest już starcem. Na Ziemi byłby w pełni lat dopiero... Tutaj ludzie wcześniej dojrzewają i wcześnie się starzeją. Tym dziwniejsza, że ja żyję...

Powiedziałem mu to, a on popatrzył na mnie i rzekł po chwili wahania:

— Tak, ale Ada i dzieci moje mówią, że ty jesteś Starym Człowiekiem...

Dziwnie te wyrazy zabrzmiały w jego ustach.

— Ale ty — odparłem — ty, co znasz mnie od dzieciństwa swego, co ty mówisz o mnie?

Tom nic nie odpowiedział.

*

W czternaście dni księżycowych po śmierci Róży umarł Tom. Pozostawił dwanaścioro dzieci, pięcioro ze zmarłej żony, a siedmioro z Lili.

Pochowałem go sam na *Wyspie Cmentarnej* obok grobów Marty i Piotra, i Róży, i najmłodszego, trzynastego jego dziecięcia, które umarło było wkrótce po narodzeniu.

Lili rozpacza straszliwie po śmieci męża. Zdaje mi się, że i ona wkrótce za nim pójdzie.

Ada jedna jest spokojna...

Patriarchą księżycowego ludku jest teraz Jan, najstarszy syn Róży i Toma, ożeniony z córką Lili...

A ja... ja się już nie liczę od dawna...

*

Ada powiedziała mi dzisiaj z głębokim przekonaniem, że ja nie umrę... Nie wiem, czy ona jest szalona i to księżycowe pokolenie, które słucha ją i snadź[103] jej wierzy, czy też istotnie ja sam jestem dziwnym wyjątkiem wśród ludzi...

Bo istotnie — dlaczego ja jeszcze żyję?

---

[103]*snadź* (...) — widocznie, prawdopodobnie.

*

Lili umarła.

Z pierwszego pokolenia księżycowego Ada już tylko jedna jest przy życiu.

Od EXODU naszego dni księżycowych pięćset i siedemnaście...

*

Strach mnie przejmuje, bo tu naprawdę koło mnie dzieje się coś, czego nie mogę i nie chcę, nie chcę! zrozumieć...

Ten ludek podczas burzy, sroższej dzisiaj niż zazwyczaj i połączonej z groźnym wybuchem *Otamora* — ten ludek przyszedł tedy pod moje mieszkanie z ofiarami, mając na czele szaloną kapłankę, Adę, której snadź długi niegdyś pobyt i samotność w *Kraju Biegunowym* zmysły odebrały. Już od czasu opłakanego zabójstwa Róży, które ją straszliwie wstrząsnęło, zacząłem uważać, że w jej głowie coś niedobrego się dzieje — teraz widzę, że ma naprawdę pomieszanie zmysłów. Ale ja to jeden widzę! — oni ją czczą i mają za natchnioną! I dzisiaj pod jej szalonym przewodnictwem — straszno powiedzieć! — modlili się do mnie, abym powstrzymał wichry i uspokoił kołyszącą się pod ich nogami ziemię! Więc oni mają mnie naprawdę za...

O! jakże ja strasznie jestem samotny w towarzystwie tej obłąkanej i tych karłów, zaledwie zasługujących na miano ludzi!

*

Takie mnie czasem straszne ogarnia zniechęcenie... Zabrałem się dzisiaj do porządkowania zapylonej od dawna biblioteki mojej i papierów i przyszła mi nagle ochota spalić to wszystko i ten pamiętnik także...

Nie spaliłem. Ale książki i papiery zostały rozsypane na podłodze — leżą w bezładzie przed oczyma moimi, a mnie się ręki nie chce ściągnąć, aby je podjąć.

Niech tak zostaną. Gdy umrę — zapewne nikt ich już nie poruszy.

III

Tyle dni, tyle nieskończenie długich dni i nocy...

Zdaje mi się, że straciłem rachubę czasu. Tak ciężko liczyć dnie, podobne do siebie jak krople wody, dnie, którym mój stary ziemski zegar nie może wydążyć — i ustaje w biegu, nim słońce wzniesie się w południe... Tylko serce moje znaczy uderzeniami każdą cząstkę doby, a kiedy je zapytam, która jest godzina, odpowiada niezmiennie, że jest godzina nieukojonej tęsknoty, a kiedy je zapytam, ile tych godzin upłynęło, odpowiada tylko: „Za dużo! za dużo!".

Tak jest, o nieutulone, samotne serce moje! za dużo tych godzin, za dużo tęsknoty, za dużo już życia...

Włosy mam siwe od dawna, od jak dawna? — A bo ja wiem? Tam na Ziemi musiało już upłynąć lat kilkadziesiąt od czasu, kiedym trupami napełniał pierwsze groby na *Wyspie Cmentarnej*. Przybyło już tych grobów dzisiaj. Kopałem mogiły dla Toma, dla Lili i Róży, którzy przecież byli dziećmi, gdym ja się już chylił; dokoła mnie wzrastają prawnuki tych, co ze mną na ten świat przybyli z Ziemi — a ja ciągle żyję.

To jest tak zadziwiające, że czasem nie rozumiem już własnej istoty: gotów bym sam przypuścić, że prawdę mówi ta wśród księżycowego pokolenia rozszerzona o mnie legenda, że ja w ogóle nigdy nie umrę...

Przypominam sobie — na Ziemi, na mojej ukochanej, na zawsze straconej Ziemi, czytałem raz w książce jakiegoś uczonego przyrodnika, że śmierć jest zjawiskiem niepojętym i przypadkowym, niewynikającym bynajmniej z warunków życia. Strach mnie przenika, gdy pomyślę, że wobec tego mogłaby zapomnieć o mnie i nie przyjść...

*

Jeśli dobrze liczę, pięćdziesiąt z górą lat minęło już od czasu, kiedy z pomarłymi dziś towarzyszami opuściłem Ziemię.

Z tych ludzi, których ja znałem, zapewne mało kto żyje; ci, którzy w dzieciństwie słyszeli o szaleńcach udających się w podróż na Księżyc, są teraz siwi i zapomnieli może imion owych podróżników, których tam mają za straconych...

Pięćdziesiąt lat! Ileż się rzeczy od tego czasu musiało zmienić na Ziemi. Może bym znanych niegdyś okolic nie poznał teraz. I pamięć moja już słabnie... Tkwi w niej jeszcze mnóstwo szczegółów, z którymi się pieszczę z lubością w długich godzinach rozmyślań, ale widzę, że z każdym dniem stają się coraz luźniejszymi obrazami, mozaiką drogocennych, tęsknotą moją rozlśnionych kamieni, która się już rozsypuje i łamie...

Składam tę mozaikę w myśli wciąż od nowa; kamyki, które już w ciągu długich lat pogubiłem, uzupełniam jakimś smutnym rojeniem i znowu zmieniam obrazy, bawiąc się na starość tymi skarbami wspomnień jak dziecko kalejdoskopem.

I takie są perliste te wspomnienia, gdy przez łzy na nie patrzę!

O! gdyby jeden dzień, jedna godzina tam — na Ziemi! Gdyby zobaczyć jeszcze ludzi, takich prawdziwych, do mnie podobnych ludzi! o! gdyby słyszeć szum lasów: świerków, lip i dębów, gdyby zobaczyć jeszcze rozpuszczone na wiatr warkocze brzeziny, widzieć na łąkach trawę, czuć zapach ziemskich ziół i kwiatów, słyszeć śpiew ptaszęcy, patrzyć, jak łany pokrywają się na wiosnę runią ozimin lub falują w lecie złocistymi kłosami!

Wiele rzeczy na Ziemi zmienić się musiało, ale ludzie są tak samo, tak samo są ptaki i rośliny!

Czasem przypomina mi się złota gadka, że dusza ludzka z ciała uwolniona może wędrować do woli po światach, gwiazdach i słońcach. Niegdyś małym chłopcem, mieszkając jeszcze na Ziemi, marzyłem, myśląc o tym, o podróżach po gwiaździstym przestworzu — teraz pragnąłbym tylko być na Ziemi, wiecznie, wiecznie na Ziemi! A gdy czasem strach mnie przejmuje, że ta Ziemia dzisiaj już inna, niż ja ją znałem przed pięćdziesięciu laty, to przypominam sobie, że są przecież ludzie, są lasy i śpiewające w nich ptaki, są łany i kwitnące na nich kwiaty... To wystarczy duchowi mojemu, jeśli będzie miał wolność iść tam...

Jak dawno ja już nie słyszałem śpiewu ptasząt!

A pamiętam, pamiętam jeszcze ranki takie, całe ptactwem rozśpiewane... Szary świt robi się na świecie, niebo blednie, potem różowi się lekko od wschodu — cisza jest ogromna — słychać tylko szelest dużych pereł rosy, spadającej z liści drzew. Wtem naraz pierwszy, krótki, urwany świergot, po nim drugi w innej stronie i trzeci, czwarty... Jeszcze chwila ciszy, a potem jakby wszystkie drzewa, wszystkie krzewy ożyły: świergot wszczyna się naokoło, klaskanie, gwizd, bicie i gwar — zrazu można jeszcze poszczególne głosy odróżnić: tu kos się odezwał, tam z lasu słychać krzyk sójki, ówdzie bliżej wróble, sikorki, pliszki, a w górze skowronek — później już jest tylko jeden ogromny, radosny, dźwięczny chór; powietrze drży od niego, listki, zda się, drżą i kwiaty, i trawy... Na świecie tymczasem robi się coraz jaśniej, na niebie coraz rumianiej — aż wreszcie i słońce wypływa na firmament.

Tutaj słońce wschodzi leniwie i cicho... Chciałoby się przypuścić, że nie spieszy się dlatego, że go nie wołają żadne głosy... Kilkugodzinnego, szarego świtu, podczas którego okolica leży nieodmiennie ścięta mrozem i śniegiem spowita, nie rozwesela śpiew ptasząt... Słońce tu na Księżycu wschodzi zawsze nad martwym światem i w bezdennej głuszy. Jedynie człowiek zakrzyknie, z dalekiej gwiazdy przybyły, przebudzone dziecko zapłacze z cicha albo pies zdziczały, skostniały od mrozu zaskomli w jamie, z której wygnał przed wieczorem jakiegoś księżycowego potworka...

I przez cały, nieskończenie długi dzień panuje cisza, chyba że wiatr się zerwie, rozbudzi morze i zaświszcze po skałach albo szeroki gardziel wulkanu ryknie, odpowiadając huczącym gromom...

*

Tak mi żywo stanęło dziś w myśli, com przeżył. Przerzucam pożółkłe karty pamiętnika, a gdy na chwilę przymknę oczy, to mi się zdaje, że słyszę turkot wozu, wiozącego nas

przez okropne księżycowe pustynie, zdaje mi się, że widzę znów to niebo czarne i rozświetloną na nim Ziemię, te olbrzymie góry, wyglądające jak węgiel w cieniu, a mieniące się wszystkimi barwami tęczy w blasku słońca, co bezpromienne, potworne płynie wśród gwiazd różnokolorowych ku wyginającej się w coraz węższy sierp Ziemi. A potem przypominają mi się te pierwsze lata spędzone już tu, nad brzegiem morza. Przez zamknięte powieki widzę Martę smutną i bladą. Piotra i te dzieci rozkoszne, których dzisiaj także już nie ma. Ada tylko jeszcze została przy życiu, ale zdaje mi się, że nie pamięta już rodziców, choć z tego, co ode mnie o nich słyszała, opowiada wiele z fantastycznymi dodatkami nowemu pokoleniu. Była jeszcze taka maleńka, gdy oni pomarli. Dzisiaj jest po mnie najstarsza na tym świecie, a te karzełki czczą ją prawie tak samo, jak mnie, z tą tylko różnicą, że mnie boją się ponadto, choć, Bóg widzi, nie wiem, dlaczego, bo nigdy nic złego im nie wyrządziłem.

To prawda, że nie umiem się z nimi obchodzić jak z równymi sobie ludźmi. Czasem robią na mnie raczej wrażenie dziwnie zmyślnych zwierzątek. Już pierwsze tu urodzone pokolenie różniło się od nas, z Ziemi przybyłych. Tom i jego siostry, nawet gdy dorośli, wyglądali wobec mnie jak dzieci. Ich wzrost zarówno jak i siły zastosowały się już do warunków tutejszego świata: mniejszej jego masy i zmniejszonego ciężaru przedmiotów. Wobec tego zaś plemienia, co teraz żyje dokoła mnie, ja jestem prawdziwym olbrzymem. Wnuczęta Marty, ludzie już dojrzali (dziwnie tu prędko dojrzewają ci ludzie!), sięgają mi głowami zaledwie do pasa i gną się pod ciężarem przedmiotów, które ja jedną ręką z największą łatwością podrzucam. Mimo tak wątłego ciała są jednakże bardzo zdrowi i wytrzymali nadzwyczajnie na mróz i gorąco.

Długie noce przesypiają wprawdzie po większej części, ale gdy zajdzie potrzeba, umieją na najtęższym mrozie pracować z zapalczywością, która we mnie podziw wzbudza.

Duch w tych karzełkach dziwnie zmarniały. Co się to porobiło z tymi okruszynami cywilizacji, któreśmy ze sobą z Ziemi przywieźli[104]! Poglądam naokół siebie i mam takie wrażenie, jakbym się dostał między jakieś istoty w połowie zaledwie będące ludźmi... Umieją one czytać i pisać, umieją z rudy wytapiać metale, zakładać sidła i tkać odzienie, posługując się ogniem, znają nawet użyteczność różnych narzędzi mierniczych, rozmawiają ze mną dość czystą polszczyzną i rozumieją nieźle treść książek pisanych po francusku i angielsku — ale pomiędzy sobą posługują się jakąś dziwną, ubogą gwarą, na którą składają się poprzekręcane słowa polskie, angielskie, malabarskie i portugalskie, a pod ciasnymi ich czaszkami myśli płyną leniwie i ociężale; zda się, że z największym wysiłkiem łączą je w słowa, pomagając sobie przy tym ruchami rąk i twarzy, jak dzicy gdzieś w głębi Afryki lub na południowych krańcach amerykańskiego lądu.

I taki niezmierzony smutek mnie ogarnia, gdy patrzę na to trzecie pokolenie przybyłych tu z Ziemi ludzi! Smutek tym większy, że nie mogę się w przeświadczeniu własnej wyższości oprzeć uczuciu pogardy dla tych biednych niby-ludzi, a zarazem czuję, że jestem współwinnym w zbrodni, która się stała. Bo myśmy naprawdę sponiewierali zbrodniczo dostojność ludzkiej rasy, przeniósłszy ją tu we własnych osobach i pozwalając jej się mnożyć na tym nie dla niej utoczonym globie... Natura jest nieubłagana zarówno wtedy, gdy w tryumfalnym pochodzie kroczy naprzód i spełniając swe od wieków umiłowane dzieło rozwoju, stwarza formy ciągle nowe, a coraz to wyższe — jak i wtedy, gdy obrażona cofa się i odwołuje to, co stworzyła. Daremnie z nią walczyłem, chcąc w księżycowym pokoleniu utrzymać ducha na tej wysokości, do jakiej wzbił się na Ziemi. Jedyny, a nieoczekiwany skutek mych usiłowań, to ta z bojaźnią połączona cześć, jaką dla mnie mają. Jestem dla nich nie tylko olbrzymem, ale i tajemniczą istotą, która wie, czego oni nie wiedzą, i rozumie, czego oni pojąć nie są zdolni...

A przy tym Ada opowiada im ciągle, że na północy jest kraj, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, a dalej jest okropna, bezbrzeżna i śmiertelna pustynia, a nad pustynią świeci olbrzymia złocista gwiazda i że ja z tej gwiazdy na Księżyc przybyłem. Czyż to nie dość, aby zamącić biedne mózgi tych karzełków? Nie byli tam nigdy i nie widzieli świecącej Ziemi, lecz Ada była ze mną w *Kraju Biegunowym* i opowiada im teraz cuda, a oni słuchają jej z zapartym oddechem i poglądają lękliwie ku mojej, wobec nich olbrzymiej, siwej postaci...

[104]*któreśmy (...) przywieźli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: które przywieźliśmy.

I tak jestem wśród nich samotny!

*

Jest noc. Nie umiem, niestety, jak ci księżycowi ludkowie przespać trzystu godzin z rzędu — więc siedzę i dumam.

Mieszkam sam w starym domu, który zbudowałem był[105] niegdyś z Martą i Piotrem; we dnie kręcą się tutaj dokoła stawu karzełki i przyglądają mi się ciekawie, choć przecież znają mnie od dzieciństwa, ale nie wiem, dlaczego żaden z nich wejść się tutaj nie waży. Ada jedna przychodzi do mnie o pewnych stałych porach dnia, składa żywność, porządkuje, co trzeba, a jeśli mnie w domu zastanie, zadaje parę zwyczajnych, utartych pytań, a potem spędza jeszcze, siedząc na progu, parę godzin w milczeniu — i odchodzi zostawiając mnie znowu samego.

Zdaje mi się, że ona pojmuje te odwiedziny jako pewien rodzaj obowiązku względem mnie i spełnia je jak gdyby obrządek czci należnej *Staremu Człowiekowi*.

Obłąkana jest ta kobieta dziwnym obłędem. Na pozór zupełnie spokojna i przytomna, ma ideę maniacką, która, nie wiem, skąd się wzięła w jej umyśle... Zdaje jej się, że ja jestem nadprzyrodzoną istotą, władnącą[106] tym księżycowym światem, a ona moją kapłanką i prorokinią tego ludku, który w nią wierzy niezachwianie.

Jakiś mit, jakaś nowa, fantastyczna religia powstała w jej biednej głowie, złożona ze zdań Pisma Świętego i opowiadań moich o Ziemi i naszym tu przybyciu. Głosi ją dzieciom Toma, które jej więcej wierzą niż mnie.

Początkowo starałem się przez długi czas przeciwdziałać wszelkimi sposobami rozszerzaniu się tego mitu, w którym tak niepoślednie miejsce zajmowała moja osoba, ale przekonałem się w końcu, że jestem pod tym względem zupełnie bezsilny. Tłumaczyłem Adzie długo, że przecież ja —- jak i rodzice jej, których musi jeszcze pamiętać — jestem takim samym człowiekiem, jak ludzie na Księżycu, a jeśli jestem większy i silniejszy, to tylko dlatego, że się na innej, większej planecie, na Ziemi, urodziłem. Słuchała uważnie i w milczeniu, a gdym się wreszcie zniecierpliwił, szepnęła, spoglądając na mnie z chytrym uśmieszkiem:

— A jak ty, Stary Człowieku, zdołałeś dostać się tu ze Ziemi i przenieść moich rodziców, czego by nikt inny nie potrafił? skąd ty wiesz wszystko, czego nikt inny nie wie? a przede wszystkim, dlaczego ty nie umierasz, tak jak inni?

Zgromiłem ją i zakazałem jej raz na zawsze rozsiewania o mnie baśni, ale nie na wiele się to przydało. W kilka godzin usłyszałem tylko, jak mówiła do Jana, który jest teraz księżycowym patriarchą, a szedł właśnie do mnie w jakimś interesie:

— Stary Człowiek się gniewa, Stary Człowiek nie chce, aby wiedziano, że on jest... Starym Człowiekiem.

Jan się strapił ogromnie.

— To źle, to bardzo źle, a ja właśnie chciałem prosić go, aby przeniósł pod mój dom kamień, którego ja wraz z synami nie mogę ruszyć z miejsca...

— Trzeba go przebłagać — rzekła Ada — przynieście tylko dużo ślimaków, sałaty i bursztynu, ja mu to oddam. A przede wszystkim — tu położyła palec na ustach — nie mówcie nic przy nim! sza! bo on tego nie chce!

Wyszedłszy zza węgła, skąd wysłuchałem całej rozmowy, zgromiłem znowu Adę i udałem się ku domowi Jana, aby zrobić, czego sobie życzył. Na odchodnym słyszałem jeszcze, jak Ada szepnęła zafrasowanemu „patriarsze":

— A widzisz! on słyszy i wie wszystko!

Skąd się u tej kobiety wzięło to szaleństwo — nie wiem, ale to pewna, że jest treścią całej jej istoty i tajemnicą jej ogromnej powagi wśród księżycowego ludu. Gdy żyło jeszcze pierwsze pokolenie — Róża i Lili obawiały jej się, a nawet Tom, który wobec mnie nie zawsze był skłonny do uległości, drżał przed nią. Dzisiaj — dzieci jego nie ośmieliłyby się w niczym sprzeciwić jej rozkazowi.

Mnie oburza to bałamuctwo, które wprowadza w biedne mózgi wnucząt Marty, a przecież czuję dla niej równocześnie wielką litość... Zwłaszcza że w tym spokojnym

[105]*zbudowałem był* — forma daw. czasu zaprzeszłego; dziś: zbudowałem (dawniej, przedtem).
[106]*władnący* — dziś: władający.

jej szaleństwie spostrzegam chwile jasne, przebłyski świadomości, wśród których zdaje sobie snadź[107] sprawę, że żyje w urojeniach i zapewne cierpi.

Pamiętam raz taki wypadek:

Było już po północy, kiedy Ada przyszła do mnie. Zadziwiły mnie jej odwiedziny o tak niezwykłej porze, zwłaszcza że mróz tu nie żartuje i wychodzić z domu w nocy nie jest rzeczą przyjemną ani zwyczajną.

Zastała mnie pochylonego nad jakąś książką, a nie chcąc mi przerywać, usiadła cicho w kącie na ławie.

Widziałem, że ma ochotę rozmawiać ze mną, ale naumyślnie nie zwracałem na nią uwagi. Ada siedziała przez pewien czas w milczeniu, aż wreszcie widząc, że na nią nie zważam, zbliżyła się do mnie i lekko, leciuchno dotknęła dłonią mego ramienia:

— Panie...

Odwróciłem się szybko. Tak nie mówiła do mnie nigdy. Z ust jej słyszałem tylko zawsze: „Stary Człowieku". I dziwna! słysząc teraz wyraz: „Panie!" — doznałem niezwykłego uczucia: był w nim odcień radości, że ktoś do mnie po ludzku przemawia, a obok tego jakby oburzenie, że tak ktoś śmie przemawiać.

— Panie... — powtórzyła znowu Ada.

— Czego chcesz, dziecko? — zapytałem, jak mogłem najłagodniej.

Musiałem to pytanie parę razy powtórzyć, nim mi wreszcie odpowiedziała.

— Chciałam się zapytać... chciałabym wiedzieć...

— Co?

— Panie! ja nic nie wiem! — zawołała nagle z takim tragizmem w głosie i z taką rozpaczą w utkwionych we mnie oczach, że gdym na nią spojrzał, zamarła mi na ustach złośliwa uwaga, iż wobec tego nie powinna by tak wiele rozprawiać księżycowym ludziom.

A ona tymczasem ciągnęła dalej:

— Ja zgoła nic nie wiem... I chciałam cię prosić, abyś mi powiedział wreszcie, co to wszystko znaczy, kto ty jesteś właściwie i co my jesteśmy? Widzę, że jesteś samotny i stary, silny i wielki, ale zdaje mi się, że pamiętam jeszcze moich rodziców, którzy byli również inni niż my dzisiaj, podobni do ciebie...

Zamilkła, a po chwili powtórzyła znowu, patrząc mi w oczy:

— Powiedz, kto ty jesteś i co my jesteśmy?

A we mnie stało się coś dziwnego. Zdawało mi się wprawdzie, że na to jej pytanie byłem już dał[108] odpowiedź od dawna i niejednokrotnie, ale mimo to wezbrała we mnie żądza mówienia, mówienia po ludzku do tej kobiety, która wreszcie po ludzku się do mnie odezwała. Ogarnęło mnie rozczulenie, czułem, jak serce mi mięknie, a łzy się cisną do oczu; z piersi nie mogłem na razie wydobyć głosu.

Po chwili powtórzyłem tylko za nią jak echo:

— Kto ja jestem!...

Zdawało mi się, że ja sam właściwie nie wiem już tego dobrze...

A Ada mówiła znowu:

— Tak, kto ty jesteś, panie... Nazywamy cię wszyscy Starym Człowiekiem, ale ja dzisiaj myślałam... i właśnie przyszłam spytać się ciebie... powiedz mi prawdę, czy ty jesteś rzeczywiście Starym Człowiekiem?

To imię moje tutejsze, które sama rozpowszechniła niegdyś, wymawiała teraz z zabobonnym strachem, zatrzymując się na chwilę i zniżając głos za każdym razem.

— Chcę wiedzieć — mówiła dalej — czy ty rzeczywiście stamtąd, z tej Ziemi, którą widziałam, przyszedłeś tutaj i czy możesz wszystko zrobić, co zechcesz, i czy naprawdę nigdy nie umrzesz, i czy my, gdybyś nas opuścił, powracając na Ziemię, będziemy rzeczywiście skazani na zgubę, tak jak myślimy?

Powiedziała to wszystko jednym tchem prawie i utkwiła we mnie błyszczące i niespokojne oczy.

A cóż ja miałem odpowiedzieć? Przed chwilą jeszcze chciałem się przed nią wywnętrzyć, powtórzyć raz jeszcze tak od serca wszystko, com już tyle razy opowiadał, o Ziemi, o naszym tu przybyciu, o pomarłych moich towarzyszach, ale gdym słów jej słuchał,

---

[107] *snadź* (daw.) — zapewne, prawdopodobnie.

[108] *byłem (...) dał* — forma daw. czasu zaprzeszłego: dałem (przedtem, dawniej).

powstała we mnie nagle ta świadomość, że to wszystko będzie daremne, bo ona chce, abym ja ją utwierdził w mniemaniu, że jestem Starym Człowiekiem, to znaczy, według ich rozumienia, jakąś nadprzyrodzoną istotą.

Smutek mnie znowu ogarnął i długo nie mogłem znaleźć słów...

— Dlaczego się pytasz? — zagadnąłem wreszcie. — Wszakże mówiłem ci już nieraz.

— Tak... ale ja bym chciała, żebyś mi powiedział prawdę!

Przypomniało mi się, jak przed wielu, wielu laty podobnie odezwał się do mnie mały Tom, gdym mu pokazywał Ziemię i opowiadał, że stamtąd przybyłem. „Wuju, powiedz mi teraz prawdę!" — mówił.

— Powiedz mi — nalegała dalej Ada — powiedz, czy to prawda jest, żeś ty przybył z moimi rodzicami z owej gwiazdy ogromnej, którą ty nazywasz Ziemią?

Chwyciła mnie za rękę i patrzyła we mnie płonącymi oczyma. Nigdy jeszcze nie widziałem jej takiej.

— Powiedz mi! — wołała — bo ja to powtarzam tym ludziom, a oni wierzą w ciebie!

Ostatnie słowa wymówiła z jakimś krzykiem serdecznym, który mnie wprost przestraszył. Nie przypuszczałem nigdy, że w tej skrytej, obłąkanej, starzejącej się już dziewczynie mogą się odbywać walki i może płonąć takie uczucie. „Oni wierzą w ciebie!" — w tym mieściła się w tej chwili cała dziwna tragedia jej życia. Ona stworzyła księżycowemu ludowi nową, bałwochwalczą i fantastyczną wiarę i teraz, gdy nagle zbudziła się w niej wątpliwość w to, co sama głosiła, przyszła do mnie, aby usłyszeć z ust mych potwierdzenie, bo — oni wierzą we mnie! W tym okrzyku brzmiało coś jak gdyby skarga, że ci ludzie są tacy biedni i marni wobec mnie, a zarazem i prośba, aby im nie odbierać tej ich wiary.

Patrzyłem na nią długo i zdaje mi się, że miałem łzy w oczach.

— Ado, uwierzysz temu, co ci teraz powiem?

— Uwierzę, uwierzę!

Zawahałem się chwilę: może by się zaprzeć swego ziemskiego pochodzenia? Gdyby myśleli, żem się na Księżycu urodził jak oni, przestaliby mnie może uważać za wyższą istotę? Ale naraz wydało mi się tak niesłychaną potwornością zaprzeć się Ziemi, że na myśl tę samą pot mi wystąpił na czoło. Bądź co bądź postanowiłem wytłumaczyć Adzie, że jestem wprawdzie człowiekiem starym, ale bynajmniej nie Starym Człowiekiem w ich rozumieniu, i że powinni to pojąć, choćby im bolesna była strata rozpowszechniającego się zabobonu.

— Istotnie, przyszedłem tu z Ziemi — zacząłem, lecz Ada nie dała mi już dokończyć.

— Więc to prawda? — zawołała — prawda?

Skinąłem głową w milczeniu. W tej chwili uczułem, że Ada chwyta mnie za nogi.

— Dziękuję ci, Stary Człowieku, i proszę, przebacz mi, żem śmiała... Teraz już wiem, ty jesteś Starym Człowiekiem!

Spojrzałem na nią zdumiony. W oczach jej, przed chwilą jeszcze przytomnych i rozumnych, palił się znowu ten tajemniczy ogień, który ją pożera, ręce jej drżały, a na lica wystąpiły gorączkowe rumieńce.

— Dziękuję ci, Stary Człowieku — powtarzała — pójdę i powiem ludowi...

Nim zdołałem ochłonąć ze zdumienia, w jakie wprawiły mię[109] te niespodziewane słowa Ady, jej już przy mnie nie było. Wymknęła się tak prędko, że nie miałem czasu zatrzymać jej ani na nią zawołać.

Ada jest szalona, ale dziwno mi, że Tomowe potomstwo tak bezwarunkowo wierzy jej słowom, dziwno mi, że te wszystkie baśnie znalazły u nich grunt tak podatny...

Zastanawiam się nieraz, jak się wszystko stało. Może i ja tu sam jestem winien po części: zbyt się odsuwałem od nowego księżycowego plemienia, a spostrzegłszy, że otacza legendą moją osobę, uważałem to zrazu za dzieciństwo i nie starałem się stłumić jej w zarodku. Gdym wreszcie przerażony wystąpił do walki z nią, było już za późno.

Jeszcze za życia Toma zauważyłem, że poczynają wśród jego dzieci krążyć różne fantastyczne wieści o mnie. Z dosłyszanych przypadkiem zdań dowiedziałem się, że wiedzę moją i moją nadzwyczajną w stosunku do nich siłę uważają za objaw jakiś nadprzyrodzony. Uchodziłem w ich oczach za potężnego czarnoksiężnika co najmniej. Tom wprawdzie

[109] *mię* (daw.) — mnie.

nie rozpowszechniał tego mniemania, ale — o ile wiem — nie przeczył mu także. Mnie początkowo to bawiło tylko.

Ale po śmierci Toma rzeczy przybrały znacznie gorszą postać. Zdaje mi się, że dzisiaj jestem dla tego ludku już czymś daleko więcej niż czarnoksiężnikiem. Sądzą, że wszystko wiem i mogę, a jeśli nie zawsze robię to, o co mnie proszą, to tylko dlatego, że nie chcę. Wszak proszono mnie, abym zażegnał południowe burze, mówiąc, że Adzie się to, niestety, nie udaje, choć działa w moim imieniu! I ona posłała ich do mnie, bo — ja wszystko mogę!

Kiedyś znowu Jan pytał mi się[110] w wielkiej tajemnicy, kiedy mam zamiar opuścić ich i odejść na Ziemię? Ada przepowiada im, że to nastąpi niewątpliwie, a oni się boją mego odejścia!

To pewna, że z najwyższym a bolesnym smutkiem patrzę na to, co się w głowach tego pokolenia dzieje. Nie mogę nic na to poradzić — może tylko nie chce mi się już walczyć z naiwną ciemnotą... Wszystko mnie męczy, wszystko mnie przygnębia. Rad jestem, gdy mogę zapomnieć na chwilę o tym, gdzie jestem i co się dokoła mnie dzieje i — przymknąwszy oczy — na jawie śnić o Ziemi.

Tam są ludzie — prawdziwi — i takie lasy, takie ptaki, takie kwiaty pachnące na łąkach...

O! tam...

I tylko coraz mi pilniej odejść stąd na zawsze! O! gdybym to mógł tak, jak oni w to wierzą, powrócić na Ziemię! Obłąkany jestem tą myślą o Ziemi. Czymkolwiek się zajmę, ta myśl powraca ciągle i w nocy nie daje mi spokoju. Gdy zasnę, snują mi się przed oczyma różne fantastyczne obrazy, ale wszystkie są wariacjami jednego motywu: Ziemia! Ziemia! Ziemia!

Niegdyś, gdym tam jeszcze mieszkał, były to dla mnie różne lądy i różne kraje, narody i społeczeństwa — teraz stopiło się to wszystko w jedną myśl, jedną miłość i tęsknotę. Nie umiem już rozróżnić z odległości lat i przestrzeni państw ani ludów odmiennego języka i wiary; nawet ludzkość cała zlewa się w mojej duszy w nierozdzielną jedność ze zwierzętami, roślinami i całą ziemską bryłą i tak to wszystko błyszczy i świeci w mojej myśli, jak tam z czarnego nieba nad pustyniami!

Ziemia! Ziemia! Ziemia!

*

Przypomniał mi się dzisiaj Tom z tych czasów szczęśliwych, kiedy, dzieckiem, był jeszcze moim nieodłącznym towarzyszem i przyjacielem[111]. Myślałem o nim długo — i teraz, w cichą, mroźną noc księżycową snują mi się przed oczyma samotnika barwne obrazy z lat jego chłopięcych...

Bądź co bądź jedyny to był człowiek z nowego pokolenia, którego naprawdę kochałem. I tak nadzwyczajnie obchodziło mnie wszystko, co jego dotyczyło.

Rozwijał się zadziwiająco szybko — widocznie pod wpływem warunków tutejszego świata. Gdy miał lat czternaście, był już dorosłym i dojrzałym mężczyzną. Obie starsze dziewczynki także już dorastały... Patrzyłem na nie jak na rozkwitające kwiaty, nieświadome jeszcze swego uroku, ale już wonne i przeczuwające może instynktownie, że są powabne i że dopełnia się w nich jakaś tajemnica, wzrasta jakaś moc niepojęta, przez którą są cenne, pożądane i święte.

Zachowanie się ich względem Toma uległo znacznej zmianie. Dawniej — były to dwie służki, dwa drobne motylki, kręcące się wciąż koło jego jasnowłosej głowy, szukające tylko sposobności, aby mu się przypodobać lub przydać na co. On był świadomy swej ogromnej przewagi nad siostrami i uważał ją za rzecz całkiem naturalną. Lekceważył sobie nawet dziewczątka. Jeżeli czasem, w przystępie rzadkiej czułości, pogłaskał którą z nich po bujnych i miękkich włosach albo nawet pocałował, to czynił to zawsze z miną dobrotliwego władcy, który raczy wynagradzać przywiązanie swoich poddanych, ale dba także o to, aby ich nie zepsuć zbyt częstymi objawami swego monarszego zadowolenia.

[110] *pytał mi się* — dziś z B.: pytał mnie.

[111] *kiedy, dzieckiem, był jeszcze moim nieodłącznym towarzyszem i przyjacielem* — dziś: kiedy, jako dziecko, był (...).

Ten stosunek Toma do sióstr sprawiał mi nawet przykrość od samego początku i niejednokrotnie robiłem chłopcu uwagi, widząc, że posługuje się siostrami bezwzględnie, a w zamian jedynie — pozwala się im kochać. Nie przeczuwałem, że na pewien czas przynajmniej zmieni się to całkowicie.

W czasie, o którym mówię, dziewczątka stały się powściągliwsze w objawach swej miłości dla przyrodniego brata, a nawet, jak mi się zdawało, poczęły go unikać. Niekiedy tylko, gdy on tego nie widział, rzucały za nim lękliwe, ukradkowe spojrzenia, rumieniąc się przy tym za każdym razem, gdy się do nich zbliżał. W miarę jak się odsuwały od Toma, stawały się coraz czulsze i serdeczniejsze wzajem dla siebie.

Zmiana ta dokonywała się prędko, a tak jakoś nieznacznie, że spostrzegłszy ją, nie umiałem sobie już zdać sprawy z tego, kiedy się to wszystko stało. To tylko wiedziałem, patrząc na tych troje... dzieci jeszcze, sądząc po ziemsku, że mam przed oczyma przewrót zupełny, dokonany przez przyrodę, która chce stwarzać, choćby później mścić się miała na narzędziach i dziełach swej wielkiej woli.

To już nie było rodzeństwo: to były dwie kobiety i mężczyzna.

Oni sami, rzecz prosta, nie rozumieli tego jeszcze. Tom usiłował po dawnemu postępować ze siostrami[112], ale z trudnością mu to przychodziło. W ich towarzystwie tracił pewność siebie i mieszał się. Widno było, że[113] te ciche, wątłe dziewczęta miały teraz przewagę nad nim, przyszłym panem księżycowego świata. Teraz on, miast[114] posługiwać się nimi, służył im raczej. Znosił im żywność, dbał o ich odzienie, wygody, rozrywki, zbierał dla nich barwne muszelki i kawałki bursztynu, które one potem wplatały we włosy, albo też woził je w piękny czas łódką po morzu. Wycieczkom tym ja zazwyczaj towarzyszyłem, gdyż — dziwna rzecz! — dziewczęta, razem z Tomem wychowane i spędzające dotąd całe dnie z nim razem, nie chciały się teraz puszczać z nim sam na sam. Nieraz chciałem, jako silniejszy i doświadczeńszy, wiosłować za Toma, ale on nie pozwalał na to. Zauważyłem, że nie tyle mu idzie o oszczędzanie mnie, jak raczej o popisanie się przed siostrami siłą swą i zręcznością.

Odwieczna komedia rozgrywała się przed mymi oczyma, ale rad na nią patrzyłem. Zdawało mi się, że mam troje ptasząt przed sobą i trzymam dłoń na ich bijących sercach, wiem, jak te serca uderzają, i rozumiem nawet to, czego one same jeszcze nie rozumieją. Bodaj czy nie jedyny to był od śmierci Marty okres w moim życiu, kiedy czułem się niemal szczęśliwym... Jakiś powiew wiosenny i rzeźwy szedł na mnie od tych dzieci, w których dokonywała się wielka tajemnica życia i miłości.

I to już dzisiaj są dawne wspomnienia! Z rozczuleniem je przywołuję do pamięci, bo tak niewiele miałem dni na tym globie, które bym mógł z przyjemnością wspominać i bez bólu.

Tylko — znowu ta straszna ironia życia! Miłość Toma do Lili i Róży — bo obiedwie[115] kochał jednakowo — ta miłość, której sam widok kładł mi jakąś błogą pozłotę na serce, sprowadziła na ten świat owo skarlałe pokolenie, którym się teraz powoli zaludnia okolica *Ciepłych Stawów*.

Ilekroć to mi na myśl przyjdzie, wstrząsam się, jak gdybym nagle w koszu róż znalazł obrzydliwe, kłębiące się robactwo.

Zresztą może jestem niesprawiedliwy dla tych karzełków. Oni są przede wszystkim biedni, tacy biedni, że gdy na nich patrzę, to moja duma ludzka aż się wije z bólu...

Tom był od nich jeszcze o całe niebo wyższy. Pamiętam jego drobną a szlachetną postać... Energiczny był i rozumny; w oczach miał jeszcze to, czego mi tak trudno dopatrzeć się we wzroku jego dzieci: duszę.

Zanadto jest to wszystko dla mnie bolesne i aż mi trudno pisać o tym spokojnie.

Czemu się to wszystko tak stało? — Zabawne pytanie, na które nie może być odpowiedzi! — Dlatego, dlaczegośmy tu przybyli, dlaczego Tomasz umarł i pozostawił Martę między nami dwoma, dlaczegom ja wyrzekł się jej, choć bliższy byłem jej sercu, dlaczego ona umarła i dlaczego ja żyję — to znaczy z tej jakiejś fatalnej i nieubłaganej konieczności,

[112]*ze siostrami* — dziś: z siostrami.
[113]*widno było, że (...)* — dziś w tym znaczeniu: widać było.
[114]*miast* — dziś: zamiast.
[115]*obiedwie* — dziś: obydwie.

co gwiazdy wznieca i gasi, a zarówno dba o wolę i szczęście człowieka, jak wiatr o ziarnko morskiego piasku, który niesie...

*

Odczytuję znowu to, co na tych kartkach ostatniej nocy zapisałem, i pytam się mimo woli siebie, po co ja to i dla kogo piszę?

Niegdyś, notując wypadki z naszej podróży przez martwą pustynię, i później, kiedym opisywał pierwsze lata naszego życia na Księżycu, myślałem, że zostawię ten pamiętnik księżycowym ludziom, aby przyszłe pokolenia wiedziały, jak dostaliśmy się tutaj i cośmy musieli przecierpieć i przewalczyć, nim się nam udało znaleźć znośne warunki do życia. Ale dzisiaj... Przecież to jest śmieszne — ta myśl! Księżycowi ludzie, tacy jak są, nie będą tego nigdy czytali. I nawet nie chcę, aby czytali kiedykolwiek. Co im do tego? co im do moich przejść, uczuć, bólów? Czyżby je zdołali zrozumieć? czyżby widzieli w tych kartach co więcej nad fantastyczną i trochę niejasną dla nich opowieść? A zresztą po co się mają dowiadywać, jeśliby to pojąć zdołali, że są zwyrodniałym szczątkiem wspaniałej rasy, która włada swym duchem nad daleką i piękną gwiazdą? Od dnia, w którym by to zrozumieli, musieliby tylko tęsknić, wstydzić się i boleć, tak jak ja, gdy patrzę na nich.

Niech więc tutejsza ludzkość zapomni z czasem, czym była niegdyś na innej planecie, i niech nie miewa „metafizycznych tęsknot".

Ja ten pamiętnik piszę dziś dla siebie. Gdybym mógł marzyć o wysłaniu go jakim cudownym sposobem na Ziemię, pisałbym go jak list do tych braci moich z ducha, którzy tam zostali, pozdrawiałbym i błogosławił na każdej karcie ziemskie łany szerokie, zboża, kwiaty i owoce, lasy i sady, ptaki i ludzi, wszystko, wszystko, co mi jest dzisiaj we wspomnieniach tak niewypowiedzianie drogie!

Ale ja wiem, niestety, że się to nigdy nie stanie, że nie mogę nawet słowa jednego posłać na Ziemię, do której wzlatam tylko myślą i wzrokiem, gdy czasem, przemożony tęsknotą, wybiorę się w *Kraj Biegunowy*, aby zobaczyć świecącą nad pustyniami moją ojczyznę.

Piszę więc dla siebie. Gawędzę sam ze sobą, jak wszyscy starcy. A gdy mi się czasem na przelotną chwilę uda wywołać w sobie złudzenie, że piszę to wszystko dla ludzi, którzy na Ziemi zostali, to serce raźniej mi w piersiach bije i skronie mi płoną, bo mi się zdaje wtedy, że nawiązuję jakąś nić między sobą a tą setki tysięcy oddaloną rodzinną moją planetą!

Rad bym wtedy opisywał najdrobniejsze szczegóły z mojego tu życia, spowiadał się z myśli i skarżył z bólów, i wyliczał rzadkie, krótkotrwałe radości....

Tylko... tych radości — było tak niewiele!

*

Pisałem tedy o jedynej wiośnie, jaką miałem na tym smutnym globie, patrząc na budzącą się miłość między Tomem a dziewczętami.

Powinienem był może zostać przy nich... Ale mnie się zdawało, że gdy odejdę od nich na jakiś czas, przykazawszy, aby za mojej nieobecności nic ważnego nie przedsiębrali, to przedłużę ową świeżość i wiosnę ową, a powrócę w czas lata, aby wiązać snop dojrzały.

Ja stary szaleniec! — nie mniejszym cudem byłoby zatrzymać spadający kamień przez odwrócenie się od niego! Życie poszło swym zwyczajnym torem!

Gdym przybył nad morze po kilku dniach księżycowych, spędzonych w *Kraju Biegunowym*, Tom powitał mnie z dziwną powagą i wprowadził do starego domu, który przedtem zamieszkiwaliśmy wspólnie.

— Tu jest twój dom — rzekł — taki, jakim go opuściłeś. Nie ruszyliśmy niczego. Ada tylko zamieszkiwała go podczas twej nieobecności i dwa stare psy twoje, które pozostawiłeś.

— A ty? — zapytałem — a starsze dziewczęta? gdzieżeście wy przebywali?

Tom obejrzał się. Poszedłem za jego wzrokiem i spostrzegłem dopiero teraz, że nieopodal wśród zarośli nad brzegiem wyższego ciepłego stawu wznosił się prawie już ukończony, nowy domek.

— Ja zbudowałem sobie nowy dom — rzekł Tom.

— Po co? — zapytałem z mimowolnym zdziwieniem.

Tom wahał się przez chwilę, wreszcie wskazał na zbliżające się ku nam właśnie starsze dziewczęta i rzekł, patrząc mi prosto w oczy:

— To są moje żony!

— Która? — zapytałem prawie bezwiednie.

Zaległo milczenie. Tom zwiesił głowę, a dziewczęta poglądały ku nam trwożliwie.

— Która z nich? — powtórzyłem teraz już świadomie.

— Ja je obie kocham — odparł — i obie są moje!

Mówiąc to, wziął dziewczęta za ręce i przywiódł je do mnie:

— Pobłogosław nas, Stary Człowieku!...

Wówczas to po raz pierwszy przezwał mnie tym imieniem, które dzisiaj już do mnie przyrosło — na zawsze, jak się zdaje.

Odtąd życie nasze uległo pewnej zmianie, na pozór nieznacznej, a przecież bardzo istotnej. W szczupłym naszym towarzystwie nastąpił rozłam. Tom z żonami tworzył osobną, zamkniętą w sobie rodzinę, której węzły zacieśniały się w miarę, jak potomstwo przychodziło na świat. Ja i Ada zostaliśmy na uboczu. Z każdym dniem czułem, że jestem mniej na tym świecie potrzebny, z każdym dniem wzrastała we mnie tęsknota za moim światem tak odległym, a takim innym — a życie tymczasem szło koło mnie z niepowstrzymanym pędem.

Nierad myślę o późniejszym pożyciu Toma ze siostrami. Nie był dla nich dobry, choć one kochały go niezmiennie do ostatniego tchu. Za wiele od nich wymagał i zbyt był despotyczny. Nawet ja utraciłem dawny wpływ na niego. Po części te przykre stosunki były powodem, że po raz drugi wyprawiłem się był do *Kraju Biegunowego*, wziąwszy Adę tym razem ze sobą.

A później, po powtórnym moim powrocie, to już zda się początek tego ostatniego aktu mej księżycowej tragedii, który trwa aż po dziś dzień jeszcze. Straszna śmierć Róży, obłąkanie Ady, później zgon Toma i Lili — i ta nieutulona moja tęsknota za Ziemią, i ta okropna samotność, wzmagająca się dla mnie z dniem każdym, chociaż z każdym dniem prawie ludniej tutaj na Księżycu.

Tom doczekał się z dwóch swoich żon licznego potomstwa, sześciu synów i siedmiu córek, z których wszakże najmłodsza umarła w kilkanaście dni księżycowych po urodzeniu. Jeszcze za życia rodziców Jan, najstarszy syn Róży, mając lat mniej więcej piętnaście, ożenił się z córką Lili; później w miarę dorastania pobrali się wszyscy parami. Dzisiaj, po śmierci Toma, Róży i Lili, żyje tu na Księżycu oprócz mnie i Ady, dwanaścioro dzieci Toma, dwadzieścia i sześcioro jego wnucząt i dwoje prawnucząt, po najstarszym synu Jana, od dwóch lat już żonatym. Razem czterdzieści dwoje ludzi, którzy zaludniają ten glob, osiedlając się coraz dalej ku zachodowi, wzdłuż wybrzeża morskiego. Razem z nimi posuwa się „cywilizacja". Wznoszą się domki, kuźnie, zagrody dla psów...

Ja pozostałem w dawnym domku na Ciepłych Stawach i tutaj snadź[116] do śmierci już pozostanę, która oby przyszła jak najprędzej. I tak jestem już wyjątkiem na tym dziwnym świecie, gdzie ludzie, z Ziemi przeszczepieni, tak wcześnie dojrzewają i umierają tak wcześnie...

IV

Zdaje mi się, że byłbym szczęśliwy, gdybym bodaj mógł dać znak jakiś ludziom na Ziemi, że tu żyję i myślę o nich. To jest tak niewiele, a tak bym pragnął móc to uczynić!

Przecież to jest straszne, gdy pomyślę, że tyle setek tysięcy kilometrów, taka przestrzeń międzyplanetarna, nigdy nie przebyta, dzieli mnie od tej bryły z kamienia i gliny, na której się urodziłem!

O ileż szczęśliwsze są ode mnie te karzełki, myślące tylko o tym, aby połów na morzu był obfity, aby sałata pięknie wyrosła i aby zdziczałe psy nie poszarpały jajonośnych jaszczurów w zagrodach...

[116] *snadź* (daw.) — zapewne, prawdopodobnie.

*

Spędziłem dzisiaj kilka godzin na *Wyspie Cmentarnej*. Dawniej, przed laty, lubiłem tam przesiadywać i myśleć o przeszłości zastygłego dziś księżycowego globu; teraz bywam tam znowu często, ale siedząc na grobami pokrytym, zielonym pagórku nad morzem, myślę tylko o Marcie, Piotrze, o Tomie i o sobie, który może nareszcie, nareszcie! spocznę wkrótce obok nich. Dzisiaj, gdym tam tak siedział i patrzył na cichą płaszczyznę morza, zebrał mnie nagle taki bezbrzeżny żal, taki nieutulony smutek, że zacząłem płakać jak dziecko i ręce wyciągać do grobów, i prosić je, aby się otwarły, przemówiły do mnie albo wzięły mnie do swego towarzystwa.

Czuję, że dłużej żyć mi niepodobna. I co mnie właściwie trzyma na tym świecie? Boleść, żal, tęsknota, najgorsze osamotnienie — wszystko to już przeżyłem — od dawna nie jestem już nikomu potrzebny: czas odejść.

Tak jest, czas odejść. Chcę tylko raz jeszcze zobaczyć Ziemię, popatrzyć na tę jasną kulę, zawieszoną w błękicie, na tarcze lądów krążące po niej z wolna i przesuwające się nad nimi białe plamy chmur — chcę jeszcze raz wytężyć oko: może rozeznam ten kraj, w którym się urodziłem — a potem...

Gdym wiosłował z powrotem ku wybrzeżu, zamiar mój dojrzał. Pójdę w *Kraj Biegunowy*, aby przynajmniej patrzyć na Ziemię.

Z tym postanowieniem zbliżałem się ku domowi, układając sobie w myśli całą wyprawę i zastanawiając się nad przygotowaniami do niej, jakie wypadnie porobić.

Na progu letniego domku spotkałem Adę. Przyszła o zwykłej godzinie, a nie zastawszy mnie, czekała cierpliwie mego powrotu.

Serce miałem tak pełne nadziei ujrzenia znowu Ziemi, chociażby z daleka, że nie mogłem się powstrzymać, aby się nie podzielić z Adą swym zamiarem.

— Słuchaj! — zawołałem, gdy się ze mną witała — wkrótce już od was odejdę!

Popatrzyła na mnie z tą tajemniczą, maniakalną powagą, którą zawsze wobec mnie zachowuje, i odrzekła po chwili:

— Wiem, że kiedy zechcesz, to odejdziesz, Stary Człowieku... ale...

Nigdy może nie sprawił mi takiej przykrości, jak wówczas, ten dziwny sposób obchodzenia się ze mną tutejszych ludzi, do którego ostatecznie powinienem się już był[117] przyzwyczaić. W pierwszej chwili ścisnęło mi się serce uczuciem niewypowiedzianego osamotnienia i bolesnej goryczy, a potem nagła złość mnie zebrała.

— Dość tych błazeństw! — krzyknąłem, uderzając nogą o próg domu — odejdę, kiedy mi się będzie podobało i dokąd zechcę, ale nic w tym nie ma tajemniczego ani nadzwyczajnego! Idź do Jana i powiedz mu, że chcę mieć na jutro rano psy do wózka; wybieram się w *Kraj Biegunowy*.

Ada nie odrzekła ani słowa i odeszła, aby spełnić mój rozkaz.

W dwie godziny może zauważyłem niezwykły ruch przed domem. Jan i jego bracia, i dzieci ich, słowem, wszyscy, nie wyłączając kobiet, zgromadzili się i stali z odkrytymi głowami, poglądając w milczeniu i trwożliwie na drzwi. Z grupy wysunęła się Ada i stanęła na progu. Była w uroczystym stroju: miała jakieś wieńce na głowie, sznury ogromnych, krwawoczerwonych bursztynów i niebieskawych pereł zwisały jej z szyi aż do pasa. W ręku trzymała laskę, zrobioną z pacierzowych kręgów psa, wygładzonych i nanizanych sztywno na długi drut miedziany.

— Stary Człowieku! chcemy mówić do ciebie!

Ogarnęła mnie złość niewypowiedziana. W pierwszej chwili chciałem pochwycić zawieszony na ścianie rzemienny harap[118] i rozegnać tę hołotę, co z taką pompą przyszła tu do mnie — ale później żal mi się ich zrobiło. Co oni winni...

Przemogłem się tedy i wyszedłem przed dom, postanawiając w duchu przemówić raz jeszcze do ich rozsądku.

Zmieszany gwar potakiwania, który powstał po wezwaniu Ady, ucichł natychmiast, gdym tylko stanął na progu. W ciszy słychać tylko było płacz najmłodszego wnuka Janowego i rozpaczliwy, stłumiony szept matki:

— Cicho, cicho, bo Stary Człowiek się rozgniewa...

---

[117] *powinienem (...) był* — forma daw. czasu zaprzeszłego; dziś: powinienem (wcześniej, dawniej).
[118] *harap* — bicz.

Ogarnęło mnie uczucie bezbrzeżnej litości.

— Czego chcecie ode mnie? — rzekłem odsuwając na bok Adę.

Teraz Jan wystąpił naprzód. Patrzył mi przez chwilę w oczy wzrokiem nieporadnego i zalęknionego karzełka, a wreszcie, oglądnąwszy się poza siebie, jakby w widoku towarzyszy pragnął zaczerpnąć odwagi, przemówił:

— Chcemy cię prosić, Stary Człowieku, żebyś od nas nie odchodził jeszcze.

— Tak, tak! nie odchodź jeszcze! — powtórzyło za nim trzydzieści kilka głosów.

Była w nich taka obawa i taka prośba, że uczułem znowu budzące się we mnie wzruszenie.

— I co wam na tym zależy? — odezwałem się, stawiając pytanie raczej własnym myślom niż im.

Jan pomyślał przez chwilę, a potem zaczął z wolna, wiążąc z widocznym trudem w zdania myśli swe rozpierzchłe i niejasne uczucia:

— Bylibyśmy sami... Przyszłaby długa noc i mróz, och! zły mróz, który kąsa jak pies, a my bylibyśmy sami... Potem słońce by wzeszło, a ciebie by nie było, Stary Człowieku... Ada — tu obejrzał się na stojącą obok „kapłankę" — Ada mówiła nam, że ty się znasz ze słońcem i jeszcze z inną gwiazdą, większą od słońca, tajemniczą i czerniejącą czasem, a czasem jasną, którą ona widziała, będąc z tobą tam, na północy... Mówiła, że ty stamtąd przyszedłeś i mówisz do tej gwiazdy, gdy ją zobaczysz, w świętym języku, tym, którym my musimy rozmawiać z tobą... My się boimy, żebyś ty tam, na tę gwiazdę nie wrócił, bo — zostalibyśmy sami... Więc cię prosimy...

— Tak, tak! prosimy cię! zostań z nami! — wołały karlice i karły, kończąc zdanie Jana.

Przez jakiś czas stałem w milczeniu, nie wiedząc zgoła, co mam odpowiedzieć. Mężczyźni i kobiety zwarli się teraz ciasnym kręgiem dokoła mnie i wyciągali ręce, i prosili trwogą nabrzmiałym głosem:

— Zostań z nami! zostań!...

Czułem, że daremną rzeczą byłoby powtarzać im teraz to, co mówiłem tyle razy, iż ja jestem zwyczajnym człowiekiem, nieobdarzonym zgoła żadnymi tajemniczymi siłami i tak samo, jak oni wszyscy, śmierci podległym. Nie wiedziałem, co robić, w uszach brzmiał mi tylko nieustanny, do jakiejś przeciągłej litanii podobny głos: „Zostań z nami!".

Spojrzałem na Adę. Stała na uboczu w swym kapłańskim stroju, z ogromną powagą w całej postaci, ale zdawało mi się, że na jej ustach dostrzegam jakiś uśmiech — pół szyderczy, pół smętny...

— Po coś ich tu przywiodła? — zapytałem.

Uśmiechnęła się znowu i podniosła na mnie dotąd spuszczone ku ziemi oczy:

— Wszak słyszysz, Stary Człowieku, czego chcą od ciebie.

Dokoła brzmiało bez ustanku:

— Zostań z nami!...

Tego było mi już za wiele.

— Nie! nie zostanę! — krzyknąłem twardo. — Nie zostanę, bo...

I znowu nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Jakże im wytłumaczyć, że idę zobaczyć Ziemię, gwiazdę ogromną i jasną, za którą tęsknię, nie utwierdzając ich tym samym w mniemaniu, że jestem nadprzyrodzoną istotą?...

Dokoła mnie zrobiło się teraz cicho. Spojrzałem na nich i — kto by dał temu wiarę! — zobaczyłem, że te karły płaczą na myśl, że ja ich opuszczę! Nie wołali już, nie prosili mnie, ale w ich załzawionych, we mnie utkwionych oczach przebijała się jakaś psia pokora i błaganie głośniejsze od krzyku.

Żal mi się ich zrobiło.

— Odejdę od was — rzekłem już łagodniej — ale nie teraz jeszcze... Możecie spać spokojnie!

Usłyszałem coś jakby westchnienie ulgi z kilkudziesięciu piersi.

— A gdy kiedyś udam się w podróż — dodałem tknięty nagłą myślą — w podróż tam ku północy, gdzie świeci gwiazda najpiękniejsza, o której słyszeliście ode mnie i od Ady, wtedy wezmę i was ze sobą, abyście ją zobaczyli i mogli później opowiadać swym dzieciom i wnukom...

— Wielki jesteś, Stary Człowieku! wielki i łaskawy! — odpowiedziały mi liczne i radosne głosy. — Nie odchodź tylko od nas na tę gwiazdę, o której mówisz!

— Gdybym mógł odejść! — westchnąłem mimo woli — ale, niestety, jestem tylko człowiekiem, takim jak wy...

W grupie karłów powstał ruch i ożywienie. Poglądali po sobie i zdawało mi się, że na szerokich ustach dostrzegam coś podobnego do chytrego uśmiechu porozumienia, który mówił: „Wiemy już, wiemy! Ada nam mówiła, że Stary Człowiek z jakiejś niewytłumaczonej przyczyny nie chce, żebyśmy wiedzieli, iż on jest... Starym Człowiekiem".

Ogarniało mnie znowu zniechęcenie; odwróciłem się i wszedłem do izby. Przed domem powstał gwar — widziałem przez okno, jak wszyscy kupili się koło Ady, która coś rozprawiała żywo, zapewne o mnie i o mojej nadprzyrodzoności.

Obecnie jest już blisko zachodu słońca i księżycowy ludek rozszedł się już od dawna po domkach, poprzylepianych do kamiennych brzegów ciepłych stawów, ciągnących się długim szeregiem ku południowemu zachodowi. Za kilkanaście godzin poukładają się do długiego snu i będą marzyć zapewne o przyobiecanej im przez Starego Człowieka podróży i o Ziemi, ogromnej, dziwnej i zmiennej gwieździe, którą znają tylko z opowiadania.

*

Za kilkanaście godzin będę ja jedyną czuwającą istotą na Księżycu.

Ale teraz ruch jeszcze wszędy panuje. Widzę przez okno, jak przed domem Jana krzątają się jego starsi synowie; nieopodal kobiety kończą w pośpiechu gromadzenie żywności przed mającą wkrótce zapaść nocą.

Nie wiem, czy dobrze robię, zatrzymując się jeszcze pośród tych ludzi... Zresztą, nie ma o czym myśleć: przyobiecałem im, że pozostanę jeszcze.

Ale, pociesz się, stare serce moje! — niedługo już pozostanę! Jeszcze kilka dni, kilkanaście najwyżej długich dni księżycowych, a wyruszę na północ, w *Kraj Biegunowy*, aby tam już życia dokonać, patrząc na Ziemię.

Ci ludzie, wiem, pomni mej obietnicy, będą chcieli iść ze mną. Więc wezmę kilku z nich w tę drogę, niechaj zobaczą Ziemię i niech wracają potem do swych braci — beze mnie.

Zbyt wielka tęsknota mnie ciśnie. Żałuję nawet, żem uległ i obiecał pozostać tu jeszcze, a jeśli się czasem czego obawiam, to tylko, aby mi sił nie zabrakło i życia odejść stąd w tę krainę, gdzie będę miał Ziemię przed oczyma!

Ale nie! siły moje wystarczą jeszcze, wystarczą! Dziwię się czasem sam niespożytości swego organizmu. Toż to kilka lat brakuje mi już tylko do setki, a zda się, że każdy dzień, miast wyczerpywać me siły i nadwątlać zdrowie, hartuje mnie tylko coraz więcej...

I znowu myślę mimo woli o owym śmiesznym a przestraszającym podaniu, rozpowszechnionym wśród tutejszego ludu, że ja nigdy nie umrę...

Przestraszająca, okropna myśl! bo niestety, tylko fizyczna natura człowieka może się przyzwyczaić do tego, co jest z nią sprzeczne, dusza przenigdy! Ból mój i tęsknota moja nie tylko że nie zmniejszają się z latami, ale owszem, rosną wciąż bez ustanku, nadmiernie...

Odpędzam tę myśl od siebie, a z lubością natomiast i ukojeniem myślę o tym, że za kilkanaście dni księżycowych zobaczę Ziemię. Serce mi drży w piersi tak dziwnie i gorąco, jak gdybym był dwudziestoletnim młodzieniaszkiem i miał iść na schadzkę z jakąś wymarzoną, a nade wszystko drogą Beatryczą, z którą dotąd w snach tylko poważałem się rozmawiać...

Ale — wiem — kochanka moja będzie zimna, niema i daleka i ja tylko będę ku niej wyciągał rozpaczliwe, stęsknione ręce, i ja tylko będę jej wołał przez te nieprzebyte otchłanie niebieskie, ona — ani głos mój usłyszy, ani jedną mi myśl, jedno wspomnienie poświęci.

To jest rzecz dziwna i straszna zarazem — mieć przedmiot swej tęsknoty na niebie... Zdaje mi się, że do tej dalekiej, niewidocznej stąd gwiazdy mej rodzinnej przywiązany jestem długą nicią, zadzierzgniętą o serce, która może się rozciągać w nieskończoność, ale nie pęknie nigdy. I tak zawieszony u niedostępnego mi już świata, czuję, że ten grunt pod moimi nogami jest mi obcy i obcy zawsze będzie...

Straszna jest miłość gwiazd. Bo Ziemia jest dla mnie w tej chwili już tylko gwiazdą, którą kocham nade wszystko. Jeśli są duchy, które ze wspanialszych i światlejszych światów, ze słońc może płomiennych spadają na ciemne planety, to cierpią zaiste, zachowawszy pamięć, najsroższe męczarnie, które i mnie znosić wypadło w udziale...

Ileż razy co dnia powtarzam sobie, że ów pogardzony i obżałowany przeze mnie księżycowy ludek karłów, co się nieomal w prochu czołga przede mną, Starym Człowiekiem, jest jednak stokroć ode mnie szczęśliwszy.

Teraz oto, skończywszy robotę, snują się te człowieczki dokoła swych domków i uśmiechają się do siebie z pogodą i zadowoleniem. Jan, który naturalnym prawem starszeństwa jest tu ich władcą, zawezwie ich przed wieczorem tak, jak to raz na zawsze przed laty nakazałem, celem wspólnego odczytania kilku ustępów z wyznaczonych przeze mnie książek. Dawniej, jeszcze za życia Toma, gdy Jan był małym chłopcem, przewodniczyłem zazwyczaj sam tym wieczornym zgromadzeniom, objaśniałem im Biblię lub inne księgi do czytania przeznaczone i opowiadałem długie powieści o Ziemi i ludziach — ale teraz nie pokazuję się nawet na miejscu zgromadzeń tam, pod krzyżem, którego znaczenie oni zaledwie rozumieją. Po co mam do nich mówić, kiedy każde me słowo po swojemu na opak tłumaczą, do każdej prawdy dorabiają zaraz fantastyczne a naiwne legendy?

Chociaż — powtarzam to znowu — co oni winni! Co winni, że wszystko, co słyszą, odnoszą do siebie, niezdolni wznieść się myślą ponad ten szmat lądu, który zamieszkują? Co winni, że słuchając ksiąg genezyjskich, myślą o swym dziadu Piotrze, którego grób na *Wyspie Cmentarnej* znają, i zwracają oczy na mnie z wyrazem bałwochwalczego lęku? To, że ludzie mogą zamieszkiwać inny świat, jakąś gwiazdę, podobną do tych, co błyszczą w nocy nad nimi, uważają za rzecz, w którą wierzyć wprawdzie trzeba, gdyż ja tak powiedziałem, ale której niepodobna sobie wyobrazić.

Zrobiłem wszystko, co tylko leżało w mej mocy, aby rozbudzić duszę u tych ludzi, a opuściłem ręce dopiero wtedy, gdy przekonałem się o bezwarunkowej próżności swych zabiegów — nie powinien bym sobie zatem robić wyrzutów, a mimo to czuję na sobie ciążącą straszną odpowiedzialność za ten upadek plemienia ludzkiego, które mnie było zdane.

I znowu ironia życia: oni się uważają za szczęśliwych, a ja rozpaczam nad nimi i bezradną troską o nich powiększam swój ból i swą tęsknotę...

V

Znowu lata na Ziemi upłynęły od czasu, jak po raz ostatni do kart tych zaglądałem. Dziś otwieram pamiętnik, aby zapisać datę opuszczenia tej krainy nad morzem. Odchodzę wreszcie do *Kraju Biegunowego* — na zawsze już, jak się zdaje.

Od EXODU naszego dni księżycowych sześćset dziewięćdziesiąt i jeden.

*

Wszystko jest już gotowe; stary wóz nasz, zmniejszony do połowy i naprawiony, zaopatrzyłem w żywność i paliwo, które będą mi mogły wystarczyć na długi czas pobytu w *Kraju Biegunowym*, na dłużej może, niż będę potrzebował... Bo stary przecież jestem...

Miałem dziś z rana wyruszyć, ale tymczasem zaszła okoliczność, która o jeden dzień księżycowy przynajmniej opóźni mój wyjazd.

Rzecz tak się miała. Od czasu wyprawy Toma na południe, ku równikowi, której omal że życiem nie przypłacił, zakazałem surowo takich przedsięwzięć, będąc z góry pewnym, że nie wiodą do celu, a narażają niepotrzebnie podróżników. Dotąd słuchano święcie mego rozkazu, a ja pewien byłem, że i zawsze tak będzie, zwłaszcza wobec małej przedsiębiorczości tutejszego pokolenia, zwróconego całą istotą tylko ku praktycznym i codziennym sprawom życia.

A jednak omyliłem się. Snadź[119] i tutaj przedostała się z Ziemi i tli w piersiach tych karzełków utajona odrobina tego ognia, co tam pchnął ludzi do stworzenia postępu i odkrycia nowych lądów wśród oceanu. Od jakiegoś czasu już zauważyłem, że niektórzy

[119]*snadź* — widocznie, prawdopodobnie.

z mężczyzn poglądają[120] tęskliwym[121] okiem ku południu, za dalekie morze. Pytali mi się[122] kiedyś, co tam jest za tym morzem. Odpowiedziałem im, że nie wiem, ale oni, jak mogłem z wyrazu twarzy sądzić, nie uwierzyli temu. Podejrzewali raczej, że nie chcę im powiedzieć...

Ostatnią noc spędziłem z Janem przy pobliskich źródłach naftowych, zajmując się przygotowaniem zapasów na podróż do *Kraju Biegunowego*. Gdy rankiem powróciłem nad morze, aby pożegnać się z księżycowym ludkiem i pobłogosławić go, nim odejdę dokonać życia z dala od tych okolic, dowiedziałem się, że korzystając z mej nieobecności, trzej mężczyźni, najsilniejsi i najodważniejsi z całego zaludnienia, puścili się, jak nam ich żony opowiadają, na południe. Zbudowali sanie, umieścili w nich drugi motor elektryczny i wziąwszy ze sobą oprócz zapasu żywności dwa psy i futra, wyprawili się nocą po zamarzniętym morzu, aby dotrzeć przed rankiem do przeciwległego brzegu na południowej półkuli.

Szalone przedsięwzięcie! Pewien jestem, że nie powrócą nigdy, ale tymczasem ulec muszę prośbom Jana i Ady i czekać jeszcze dzień jeden, aby ich pobłogosławić, jeśliby wrócili... nim odejdę.

Pytałem się żony Kaspra, najstarszego z trzech awanturników, po co oni poszli na południe? Odpowiedziała, że chcieli zobaczyć, co tam jest. Nadto żadnych objaśnień dać mi nie mogła.

Szkoda tych ludzi, bo zginą niewątpliwie, a są dzielni, jak dali tego dowód.

*

Nadszedł już tedy dzień odjazdu! — Słońce wzeszło od paru godzin i lody już tają; wkrótce siędę do wozu i ruszę ku północy.

Bez żalu żegnam ten kraj, choć wiem, że odjeżdżam, aby nie wrócić tutaj już nigdy.

Tylko... oglądam się jeszcze za grobem Marty na dalekiej *Wyspie* i tak mi dziwnie na sercu...

Wczoraj przed wieczorem kilka godzin spędziłem na tym grobie. Ciężko mi się z nim było rozstawać: to jedyna rzecz, którą kocham na tym świecie. Wziąłem z niego grudkę ziemi — przycisnę ją do ust, gdy będę umierał w dalekim kraju.

Czas mi już w drogę... Księżycowy lud zbiera się, aby mnie pożegnać. Nie szemrają, nie opierają się — wiedzą, że tak być musi. Ada, Jan i dwaj jego bracia mają mi jeszcze towarzyszyć do *Kraju Biegunowego*. Nie mogłem im tego odmówić...

Tamci trzej nie powrócili jeszcze i zapewne nigdy już nie wrócą. Lecz nie będę już dłużej czekał. Zresztą wszyscy tak są przygnębieni moim odjazdem, że o nich już nawet nie myślą. Jan tylko wspomniał dziś o wschodzie słońca ich imiona i dodał:

— Spotkało ich nieszczęście, bo wyruszyli, nie pytając Starego Człowieka o radę.

Odpowiedział mu nagły wybuch płaczu pośród kilku zgromadzonych dokoła niego.

— Odtąd nie będzie już kogo pytać! — mówili wśród łkań, cisnąc się ku mnie...

Zdaje się, że ci ludzie mnie kochają. Dziwne odkrycie w tej ostatniej chwili...

Wszystko jedno! czas mi w drogę!

*

W drodze, na *Równinie Jezior*.

Z ulgą oddycham w tej chwili, gdy pomyślę, że poza mną leży już moje księżycowe życie, a przede mną jeszcze krótki pobyt w *Kraju Biegunowym*, pierwszej ongi przystani naszej na Księżycu, a potem — śmierć w obliczu Ziemi, ukochanej, na niebiosach rozświetlonej ojczyzny mojej.

Powoli wszystko snem mi się już staje — życie moje przeszłe i ci ludzie, pozostawieni tam nad morzem — wszystko to ginie mi w srebrnej jakiejś mgle sennej, przez którą prześwieca tylko w duchu moim płomienny krąg Ziemi.

---

[120] *poglądać* — dziś: spoglądać.
[121] *tęskliwy* — dziś: tęskny.
[122] *pytali mi się* — dziś z B.: pytali mnie.

Niecierpliwy już jestem i tak bym ją rad jak najprędzej zobaczyć, że tęsknoty ukoić nie mogę. Noc jest, a sen się mych powiek nie ima. Próbuję skrócić pisaniem długie godziny.

Oto zatrzymaliśmy się na noc tu, gdzie Piotr znalazł był niegdyś pierwsze źródła naftowe. Ile to lat już upłynęło od tego czasu! I znowu wracam myślą mimo woli do tego życia minionego, które leży już poza mną. Stają mi przed oczyma pomarli towarzysze moi i Marta, i dzieci jej pierwsze, które także już nie żyją...

Ach! Precz te wspomnienia, rozstrajające mnie tylko teraz, gdy sił mi potrzeba, aby dotrzeć do kraju, gdzie zobaczę Ziemię!

Z tęsknotą rwałem się do tej podróży, a przecież przyznać muszę, że ciężkie mi były ostatnie chwile pożegnania. Takie to dziwne jest serce ludzkie i taka moc przyzwyczajenia. Snadź[123] i do krat więziennych przyzwyczaić się można.

Ostatniego rana, zaledwo skończyłem pisać poprzednią notatkę, spostrzegłem gromadzącą się przed moim domem całą ludność tego świata. Stawali w milczeniu, posępni i smutni, i czekali. Przeliczyłem ich z okna: byli wszyscy z wyjątkiem owych trzech. Wóz stał w pogotowiu...

Wtedy obejrzałem się jeszcze raz na te kąty, w których z górą pięćdziesiąt lat przeżyłem, a nie chcąc, aby czczono może kiedyś bałwochwalczo ten dom, jako miejsce pobytu Starego Człowieka, podpaliłem go własnoręcznie wraz ze wszystkim, co w nim jeszcze pozostało, a czegom niegdyś używał, i wyszedłem do zgromadzonego ludu... Jasny płomień buchnął za mną przez drzwi i okna.

To był mój stos pogrzebowy.

Przytłumiony krótki okrzyk wyrwał się z ust zgromadzonych, gdym stanął przed nimi. Poglądali na płonący dom i na mnie, ale nikt się nie ruszył, aby gasić ogień: czuli, że ja chciałem tak... Milczeli wszyscy.

— Jestem dzisiaj po raz ostatni wśród was — zacząłem, aby coś powiedzieć, gdyż w tej ciszy, przerywanej tylko trzaskiem płomienia, ogarnęło mnie przygnębienie i smutek.

— Odchodzę od was — mówiłem dalej — do kraju, kędy już dawno odejść zamierzałem. Wątpię, abym kiedy powrócił tu jeszcze, ale wy, gdy zechcecie, będziecie mnie mogli tam odwiedzać, póki nie umrę...

Karły patrzyły ciągle w milczeniu na płonące belki dachu i na mnie; niektórzy, widziałem, mieli duże łzy w oczach.

Odetchnąłem głęboko, bo ciężar jakiś przywalał mi piersi.

— Wzrośliście wszyscy w moich oczach — zacząłem znowu, z trudem szukając słów — byliście ze mną do tej chwili, a odtąd macie się rządzić sami. Pamiętajcie, że jesteście ludźmi, pamiętajcie!

Głos mi się złamał w piersi.

— Dawałem wam nieraz nauki, nie zapominajcie o nich! Zostawiam wam księgę, świętą księgę przywiezioną z Ziemi, gdzie jest mowa o stworzeniu świata, odkupieniu i przeznaczeniu człowieka, czytajcie ją często i żyjcie jak należy.

Urwałem znowu, czując, że mówię rzeczy banalne i bezużyteczne.

Wtedy jedna młoda kobieta wystąpiła spośród zgromadzonych i odezwała się:

— Stary Człowieku, nim odejdziesz, powiedz, czy dobrze jest, aby mąż bił żonę?

Te słowa były jak gdyby hasłem. W jednej chwili otoczył mnie rój kobiet i mężczyzn i poczęli pytać głosami żałośliwymi:

— Stary Człowieku, powiedz, czy dobrze jest, aby brat zaprzęgał młodszego do pracy dlatego, że jest słabszy?

— Powiedz, czy dzieci mają prawo wyganiać rodziców z chaty, którą oni sami niegdyś zbudowali?

— Powiedz, czy słuszne jest, aby jeden z ludzi mówił: „To są moje pola" — i nie pozwalał innym zbierać z nich plonu?

— Czy słusznie, aby jeden drugiemu odbierał żonę?

— Aby psuł narzędzia?

— Aby się mścił za wyrządzoną krzywdę?

— Aby okłamywał dla własnej korzyści?

---

[123] *snadź* (daw.) — tu: przecież, widocznie; prawdopodobnie.

— Powiedz, czy to jest słusznie!

— Powiedz, nim odejdziesz, bo i ty, i księgi uczyliście, aby tego nie czynić, a tymczasem to się dzieje wśród nas codziennie!

Straszliwy ból ścisnął mnie za serce. Opuszczając ten ludek, widziałem już jasno, jakimi torami pójdzie dalszy jego rozwój. Dużo z ducha ludzkiego zginęło w drodze na Księżyc, ale zło człowiecze przyszło tu z nami ze Ziemi!

Kondycja ludzka

— To jest źle! — odrzekłem wreszcie. — Jeśli pod moim okiem takie rzeczy się dzieją, cóż będzie dopiero, gdy odejdę?

— Więc czemu odchodzisz? — odpowiedziano mi.

Było to pytanie takie proste, a tak straszne zarazem. Czemu ja odchodzę?

Zwiesiłem głowę jak winowajca, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

W głuszy słychać tylko było trzask płonącego domu i stłumiony, daleki poryk wulkanu.

Lud się już nie odzywał. Zrozumiał snadź[124] to, co i ja czułem w owej chwili, że odjazd mój jest bezwzględną koniecznością losu, której się daremnie opierać.

— Może powrócę do was jeszcze kiedy. Żyjcie tymczasem w zgodzie i po ludzku — bąknąłem, wiedząc, że kłamię im i sobie.

— Nie wrócisz! — odezwała się milcząca dotąd Ada.

A potem, zwracając się twarzą do obecnych, dodała podniesionym głosem:

— Stary Człowiek was opuszcza!

Było coś strasznego w tym krzyku, który dreszczem przejął wszystkich zgromadzonych.

— Tak być musi! — rzekłem głucho.

W godzinę później znajdowałem się już we wozie[125], dążąc wraz z Adą i trzema jej bratankami ku północy...

*

Czwarty dzień księżycowy jesteśmy już w drodze. Słońce, wszedłszy dziś z rana, nie poszło już słupem w górę, ale zatoczywszy się na nieboskłonie, czołga się niemal po nim, rumiane, wzniesione zaledwie parę stopni nad siną linię gór na południowym wschodzie. Znak to, że się zbliżamy do celu podróży. Na północy rośnie przede mną górskie pasmo; rozróżniam już gołym okiem najwyższe, wieczyście słońcem oświetlone szczyty i wąwóz wśród nich, stanowiący bramę biegunowej kotliny.

Tak mi serce bije...

Dzień dzisiejszy nie będzie miał końca, bo w chwili kiedy słońce zajść by powinno na tej półkuli, staniemy już na biegunie, w kraju wiecznego świtu, gdzie o każdej godzinie jest równocześnie wschód, zachód, południe i północ dla różnych południków, których węzeł ma się tam pod stopami.

I wtedy — zobaczę Ziemię!

*

W *Kraju Biegunowym*.

Po czterech księżycowych dobach podróży, właśnie w godzinie, kiedy słońce w okolicach *Ciepłych Stawów* miało zachodzić, nadeszła wielka chwila: przedarliśmy się przez wąwóz w paśmie gór, stanowiącym graniczny mur biegunowej kotliny.

Religia

Z tak ogromnym wzruszeniem wstępowałem w ten kraj, mając oczy utkwione w stronę nieba, gdzie mi się niebawem miała ukazać Ziemia — a gdym ją nagle w szczelinie skał zobaczył, tak byłem do głębi przejęty tym widokiem, że nie zważałem zrazu na to, co czynią moi towarzysze. Dopiero po chwili, podniósłszy się z kolan (bo na kolanach ją witałem, tę ojczyznę moją daleką, i z rękami wyciągniętymi tak, jak je dziecko wyciąga ku matce), spojrzałem na moją drużynę. Jan, syn jego najstarszy i dwaj jego bracia, którzy tu przyszli ze mną, stali dokoła mnie z odkrytymi głowami, skamieniali, z świętą grozą

[124] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[125] *we wozie* — dziś: w wozie.

na twarzach, poglądając osłupiałym wzrokiem na półkrąg Ziemi. Ada stała na przodzie i miała ręce wyciągnięte ku Gwieździe Pustyni.

Sporo czasu upłynęło, nim wreszcie zwróciła się do swoich zadumanych towarzyszy:

— Stamtąd on przybył — rzekła przytłumionym głosem, jakby nie chcąc, abym ja słyszał — i tam powróci, gdy czas nadejdzie. Upadnijcie na twarz.

I oni na twarz upadli przed widokiem Ziemi, po której deptali ich ojcowie...

Powstawszy, nie śmieli się zbliżyć do mnie, a gdy ja, wreszcie ochłonąwszy, zawołałem ich i począłem im jeszcze wzruszeniem przerywanym głosem tłumaczyć zjawisko, które mieli przed sobą, stali dokoła mych kolan zalęknieni, grozą przejęci, jakby niepewni, czyli w najbliższej chwili nie uniosę się nad ich głowy i nie poszybuję bladym powietrzem, hen, ku tej świetlistej gwieździe!

Ach! gdybym to mógł uczynić!...

I wtedy, gdym do nich mówił — nierozumiany — zajęła mnie nagle ta myśl tak, że bezwiednie prawie zamilkłem, zapatrzony na Ziemię, czując tylko, że tym ludziom dokoła siebie nie mam nic zgoła do powiedzenia.

I oni milczeli dość długo, aż wreszcie, skupiwszy się nieco poza mną, zaczęli trącać się łokciami i szeptać:

— Patrz, patrz, *on* przybył stamtąd! — mówił jeden do drugiego, wskazując snadź[126] na Ziemię.

— Wtedy, gdy tu jeszcze nikogo nie było...

— Tak... *On* tu przywiódł dziada Piotra i jego żonę, Martę...

— A jednego, który był ojcem naszego praojca, pozostawił na pustyni martwym. Tak Ada uczy.

— Tego w Piśmie nie ma. Tam jest tylko mowa o Adamie, to niby Piotr, i o...

— Cicho, Pismo jest inne. Pismo także *on* przyniósł stamtąd...

— Tak, wszystko *on* zrobił, dla pierwszych ludzi zrobił tu morze i słońce, i stawy...

Odwróciłem się szybko, usłyszawszy te ostatnie słowa, i półgłosem prowadzona rozmowa ucichła natychmiast.

Chciałem ich strofować, ale w tejże chwili przyszło mi na myśl, że to jest próżny wysiłek. Powiedziałem im więc tylko, aby rozbili namiot, bo tutaj dłuższy czas pozostaniemy.

I płyną od tej chwili godziny, znaczone niewidzialnym słońcem na zaróżowionych szczytach gór — płyną, dla nich, zda się, powoli, dla mnie aż nazbyt prędko!

Tak mi jest drogi ten *Kraj Biegunowy*, że strachem i boleścią przejmuje mnie myśl o samej możliwości powrotu tam, nad brzeg morza, do *Ciepłych Stawów*... Przebywając tutaj, mam to wrażenie, że się znajduję już w ostatnim przedsionku, niemal na samym progu księżycowego świata, że stamtąd już tylko krok jeden przez międzygwiezdną przestrzeń do Ziemi — i dalibóg, więcej mnie nęci ku sobie ta bezbrzeżna martwa pustynia, co się poczyna za tymi tam górami przede mną, niż ów kraj żyzny, gdzie mieszkałem tak długo.

Nawet grób Marty na *Wyspie Cmentarnej* nie pociąga mnie teraz. Wszak tutaj więcej mam z niej dokoła siebie niż tam... Tutaj ona do mnie należała, choć nie mówiliśmy o tym nigdy ze sobą; tu stała ona nad moim łożem, gdym chorował, tutaj chodziła ze mną po zielonych, puszystych łąkach albo wdzierała się na różowe szczyty gór — a tam... była żoną innego, tam patrzyłem jeno na ból jej i poniżenie, sam poniżony i zbolały.

Dobrze mi jest tutaj, w *Kraju Biegunowym*, tak dobrze, jak tylko może być człowiekowi, który stracił wszystko, nawet ziemię spod nóg, i zawieszony na srebrzystej, martwej gałce wśród błękitów, żyje tylko przeszłością i oddalą, i myślą o tym, co jest niepowrotne...

Cicho, cicho, stare, niepoprawne, nieutulone serce moje! Oto masz świetlisty krąg Ziemi przed sobą, oto masz te same łąki, po którychśmy razem z nią, tą cudzą i martwą, błądzili — a zapewne i grób już niedaleko — czegóż ci nadto potrzeba, stare serce moje?

*

[126]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

O bracia moi! tam, na tej jasnej kuli, która się świeci w tej chwili przed moimi oczyma!

O bracia moi dalecy! o bracia moi nieznani, a nade wszystko drodzy!

O Ziemio, gwiazdo przejasna! radości mych oczu! światło płonące nad pustyniami!

Ziemio! raju rozkoszny! klejnocie najprawdziwszy, szmaragdzie jasny, w lazur mórz oprawny, o kwiatów snopie! kadzielnico przewonna! harfo ptaszęcymi rozśpiewana głosy[127]!

O Ziemio! Ziemio! ojczyzno moja! matko moja stracona!

Łkanie mi się wydziera ze starej, stęsknionej piersi, a łez już nie mam, abym cię opłakiwał, gwiazdo świecąca nad pustyniami! świecie nad inne godzien miłości!

Oto wyciągam ręce do ciebie — najdalszy, najnieszczęśliwszy z tych synów, a jedyny, któremu ty się raczysz zjawiać teraz w tej złotej postaci — gwiazda wśród gwiazd na niebie!

Oto się modlę do ciebie, ja opuszczony i samotny, ja, któregoś ty dzieckiem znała, a który się teraz zestarzałem nie na twoim matczynym łonie:

> Ziemio!
> daruj, iżem odszedł od ciebie, szaleństwem żądzy poznania obłąkany, którąś ty sama we mnie wychowała, uwiedziony srebrną twarzą tego globu martwego, któryś ty przed wiekami wyrzuciła ze siebie, aby nocom twym świecił i kołysał twoje morza!

Proszę cię, syn twój marnotrawny, któremuś ty wszystko dobro dała, postać wyniosłą i myślącego ducha, kwiaty, aby oczy swe radował, i ptaki, aby się pieśnią poił, i braci, aby miał z kim ból i radość dzielić; syn marnotrawny i srodze ukarany, a niemogący już wrócić, aby najlichszym być z dzieci na twym szerokim łonie:

> Ziemio!
> nie zapominaj o mnie! świeć oczom moim, nim je bielmo gorąco pożądanej śmierci przysłoni!

Piję, wchłaniam światło twoje całą swą istotą! Upajam się światłem twoim do obłędu, do szału!

Światło twoje — od mórz lazurowych odbite, od śnieżnych szczytów i łanów zielonych, od drobnych, łyskliwych listków drzew, od kwietnych kielichów, od rosy, która tam błyszczy na łąkach, od strzech wieśniaczych i od strzelistych wież kościołów, od twarzy ludzkich, które w zamyśleniu poglądają ku niebu — setki tysięcy mil przebiegło, dążąc tu do mnie przez pustkę odwieczną i jest mi teraz wszystkim: i lazurem mórz twoich, i łanów zielenią, błyskotliwością rosy i barwnością kwiatów, i odblaskiem ducha ludzkiego, zwierciedlącego się w ku niebu zwróconych oczach!

> O Ziemio! Ziemio moja!
> O! kiedyż duch mój, z ciała wyzwolony, będzie mógł pójść po tych świetlnych strunach, między tobą a tym strasznym światem nawiązanych, a łona twego dopadłszy, wiatrem cichym całować to wszystko, co tak ukochał i za czym tęskni tak bezmiernie!
> O Ziemio!

VI

Dziwne mam przeczucie, że wkrótce już umrę. Ta myśl krąży koło mnie, pełne jej jest powietrze, pełne jej są krwawe promienie słońca — niebo wydaje mi się podobnym do cichego, miękkiego całunu, a Ziemia świeci na nim jak srebrna lampa w grobie. Nigdy jeszcze nie czułem tak żywo, jak teraz, że umrę wkrótce...

Bez bólu, bez żalu i niepokoju myślę o tym, ale — co dziwniejsza — i bez radości, którą by powinno wzbudzić w mej piersi nadchodzące ostateczne wyzwolenie.

Zdaje mi się, że coś mi jeszcze pozostaje do zrobienia, coś niezmiernie prostego, a ogromnie ważnego, na co jednak wpaść nie mogę. I to mnie gnębi, to sprawia, że nie cieszę się śmiercią wybawicielką, która — wiem — blisko już krąży koło mnie.

[127] *ptaszęcymi (...) głosy* — dziś: ptaszęcymi głosami.

We śnie słyszę wyraźnie, jak mnie wołają tam, ze Ziemi[128]. A ja — także we śnie — odpowiadam im za każdym razem: pragnę iść do was, ale nie wiem drogi...

Czyż nie przez pustynię bezpowietrzną wiedzie droga na Ziemię?

*

Byłem niedawno na górze, skąd niegdyś patrzyliśmy z Piotrem na zaćmienie słońca, a potem na jezioro, zalewające nagle całą kotlinę biegunową.

Wziąłem był[129] Adę ze sobą na tę wycieczkę. Prosiła mnie o to sama. Widząc, że wychodzę często na okoliczne góry, aby popatrzeć na Ziemię lub pustynię, widną już stąd na kraju niebokręgu, nalegała, abym ją zabrał kiedy, bo i ona chce widzieć, na co ja patrzę i za czym tęsknię.

Idąc dziś ze mną, przybrała się w najświetniejsze kapłańskie szaty, a Janowi powiedziała, że idzie patrzyć na ojczyznę Starego Człowieka. W drodze śmieszyła mnie jej powaga; zdawało się, patrząc na nią, że wstępuje na tę górę dla spełnienia jakiejś wielkiej i świętej ofiary. Jestem pewien, że tak też myśleli ludzie, których zostawiłem w namiocie w dolinie. Poglądali za nią z czcią i jakby lękiem.

Wstępowaliśmy w milczeniu na górę. Śmiech, który mnie zbierał w dolinie, gdym patrzył na kapłańskie szaty Ady, odleciał teraz gdzieś daleko ode mnie — zapomniałem nawet, że ta kobieta postępuje za mną. Patrzyłem na Ziemię, wznoszącą się z wolna nad horyzont, w miarę jak postępowałem wyżej, i na słońce, które tutaj już widoczne, stało jak kula czerwona po przeciwległej stronie widnokręgu. Pod nogami miałem kobierzec z rośliny jakiejś do wrzosu podobnej a zaróżowionej słońcem — nad głową blade, zastygłe niebo...

Dziwne przejmowało mnie wrażenie! Zdawało mi się, że wstępując na tę górę, oddalam się już na zawsze od księżycowych ludzi i od tego całego obmierzłego mi świata; zdawało mi się, że istotnie jestem jakimś tajemniczym Starym Człowiekiem, który spełnił już swe ciężkie dzieło i powraca teraz do ojczyzny, tam, między gwiazdy... A słońce pali się za mną czerwone i żegna mię[130] na tym świecie, który trudem mi był tylko i boleścią, a Ziemia wznosi się przede mną ogromna, jasna, gotowa przyjąć mnie na swe światłe łono...

Jużem stał na szczycie góry, w otchłani nad wyraz czystego powietrza, gdy spojrzawszy na tarczę Ziemi — dostrzegłem przesuwający się po niej jasny klin Europy. Widoczna była dokładnie, choć chmury jakieś, przesuwające się nad Francją i Anglią, zatarły z tej strony jej kontury... Ale szerokie polskie równiny na wschodzie błyszczały jak srebrne, wygładzone zwierciadło, oparte z jednej strony o ciemny pas Morza Bałtyckiego, z drugiej o łańcuch karpacki, lśniący teraz szczytami jak sznur drogocennych pereł.

Takie mi było niespodziane a czarowne to zjawisko mojej ojczyzny na niebieskim błękicie, że stałem przez chwilę z zatrzymanym oddechem, cały w oko zamieniony, aż nagle, ryknąwszy płaczem jak dziecię, upadłem na twarz na szczycie księżycowej góry.

Gdym się po niejakim czasie podniósł, uspokoiwszy się nieco, spostrzegłem ze zdziwieniem, że Ada klęczy u moich nóg, a duże łzy spływają jej po twarzy.

— Co tobie? — spytałem prawie mimo woli...

Ona, zamiast odpowiedzieć, objęła mnie tylko rękoma za kolana i wybuchnęła głośnym płaczem. Po chwili dopiero wśród łkań zdołałem rozeznać urywane słowa:

— Ty jesteś nieszczęśliwy, Stary Człowieku! — mówiła.

— I ty z tego powodu płaczesz?

Nie odrzekła już ani słowa i tylko, stłumiwszy łkanie, wpatrywała się w złocistą tarczę Ziemi...

I znowu długi czas upłynął w milczeniu.

Wreszcie Ada podniosła głowę i spojrzała mi w twarz dziwnie przenikliwym wzrokiem.

— Tutaj na Księżycu jest wszystko smutne i nieszczęśliwe, nawet ty — rzekła. — Po co ty tu przyszedłeś? po co... z tej gwiazdy...

[128]*ze Ziemi* — dziś: z Ziemi.
[129]*wziąłem był* — forma daw. czasu zaprzeszłego: wziąłem (wcześniej, dawniej).
[130]*mię* — dziś: mnie.

Urwała, a po chwili odezwała się znowu.

— Tamci, moi rodzice, pomarli. A dlaczego ty nie umierasz?

— Nie wiem.

Powiedziałem prawdę; nie wiem istotnie, dlaczego ja nie umieram.

W owej chwili lęk mnie znowu zebrał, bo przyszła mi na myśl ta okropna księżycowa gadka, że ja nie umrę nigdy.

Ada tymczasem milczała przez jakiś czas, aż wreszcie odezwała się głębokim, stłumionym głosem, sobie samej odpowiadając:

— Bo ty jesteś Starym Człowiekiem. A mimo to jesteś nieszczęśliwy...

— Właśnie dlatego — odparłem bezwiednie.

Schodząc po jakimś czasie z góry, doznałem jeszcze złudzenia, które mi łzy wycisnęło z oczu. Oto, gdy nagle na skręcie zobaczyłem namiot Jana i towarzyszy, stojący na tym samym miejscu, gdzie niegdyś stał nasz, zdawało mi się przez krótką chwilę, że w tym namiocie oczekuje mnie Marta z maleńkim Tomaszem przy piersi i Piotr zadumany jak zwykle, ale jeszcze młody i nie tak złamany, jak później, tam nad brzegiem morza.

To rozkoszne złudzenie mojej starczej myśli rozwiał brutalnie widok karłów kręcących się dokoła namiotu.

Spostrzegłszy ich, zatrzymałem się z jakąś nagłą wewnętrzną odrazą. Ada zauważyła to.

— Ty nie chcesz iść do nich, Stary Człowieku? — zapytała.

Cóżem miał odpowiedzieć? Obejrzałem się mimo woli na Ziemię; zeszedłem już był w dolinę: tylko rąbek jej widno było[131] na widnokręgu.

Ada, schwyciwszy moje przelotne spojrzenie, zrobiła ruch przerażenia, a potem złożyła błagalnie ręce:

— Nie! nie! jeszcze nie teraz! Oni cię jeszcze potrzebują.

Bała się, abym nie wrócił tam, do ojczyzny mojej!

— Czy myślisz, że mogę powrócić na Ziemię? — rzekłem.

— Możesz wszystko, co zechcesz — odparła — ale... nie chciej!

Przyszedłszy do namiotu, znużony i rozstrojony, położyłem się spać, ale sen miałem bardzo niespokojny. Przede wszystkim przez parę godzin nie pozwalały mi zasnąć szepty mych towarzyszy za płócienną ścianą, którzy otoczywszy Adę, wypytywali ją o mnie, com podczas wycieczki mówił, co robił?... Drażniły mnie strasznie te głosy, a gdym wreszcie zasnął, śniły mi się ubiegłe czasy, Marta, księżycowa pustynia i Ziemia! Ziemia!...

Męczą mnie te sny...

*

Chciałbym już zostać sam. Towarzystwo tych ludzi, co przyszli tu ze mną, męczy mnie już i nuży. Zdaje mi się, że stoją bezustannie między mną a Ziemią i cień jakiś rzucają mi na duszę.

A oni tymczasem ani myślą o odjeździe! Rozłożyli się obozem na równinie, urządzają się i robią zapasy, jak gdyby mieli wieki tutaj mieszkać. Czyżby może łudzili się, że zdołają z czasem i mnie nakłonić do powrotu?

Kto wie czy nie ma w tym wszystkim ręki Ady? Coraz więcej zadziwia mnie ta kobieta. Czasem nie wiem już doprawdy, czy mam rzeczywiście z obłąkaną do czynienia, tak mi się jej czyny i słowa w nowym przedstawiają świetle. Bo czyż to nie jest zastanawiające, że ta szalona jest właściwie najrozumniejsza ze wszystkich tutaj urodzonych ludzi?

A zresztą, co mnie to wszystko obchodzi? Wszakże jestem człowiekiem z innego świata, człowiekiem odchodzącym już i tak nad wszelki wyraz, tak okropnie znużonym tym, co przeżyłem.

O! gdyby ci ludzie zechcieli dać mi nareszcie spokój i odejść, pozostawić mnie w samotności!

Ziemio moja, Ziemio! ty nie wiesz, jak mi ciężko żyć bez ciebie i jak bym pragnął już umrzeć! Bodaj jutro, dziś, zaraz...

---

[131] *widno było* — dziś w tym znaczeniu: widać było.

*

Cóż ja za bluźnierstwo napisałem! Wczoraj jeszcze pragnąłem umrzeć, a dziś chcę żyć, muszę żyć jeszcze bodaj kilka dni księżycowych — potem niech się dzieje co chce! Szum mam w głowie, a jakąś pełnię niewysłowioną i rozkoszną w piersi. Tak jest, tak jest! muszę tego dopełnić, muszę!

Chwała Bogu, że wóz nasz stary mam ze sobą i pod dostatkiem zapasów...

A przecież to takie proste! Dziwna, że wcześniej nie pomyślałem o tym!

O Ziemio! o bracia moi ukochani! nie jestem ja tak opuszczony i oderwany od was, jak sam do niedawna jeszcze sądziłem — mam sposób przesłania wam wiadomości o sobie i — chociaż mi życiem przyjdzie zapłacić za to — uczynię to, tak mi Boże dopomóż!

Umrę wtedy na pustyni, w pełnym blasku mojej gwiazdy i matki, lecz przedtem...

*

Obym ją znalazł! O niej teraz tylko myślę, o niej marzę i dalibóg, nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu pragnąłem tak spotkania ukochanej kobiety, jak dziś pragnę znaleźć ją, tę armatę, zostawioną przed pięćdziesięciu laty przy grobie O'Tamora!

Gdy przyszło mi to po raz pierwszy na myśl, ogarnął mnie istny szał radości, zdawało mi się, że zstępuje na mnie jakieś objawienie cudowne, które mi wskazuje sposób porozumienia się z bracią moją, pozostałą na Ziemi!

Bo doprawdy, pięćdziesiąt ziemskich lat tu żyję, a dotąd ani razu nie pomyślałem o tym, że tam na *Sinus Aestuum*, wśród kamiennej pustyni przy grobie O'Tamora, stoi armata wymierzona dokładnie w środek srebrnej tarczy ziemskiej i czeka tylko iskry, aby wyrzucić powierzony jej list w przestrzenie, ku Ziemi.

Tak jest, ja pójdę na martwą pustynię szukać tej armaty, pójdę szukać trupa starca O'Tamora w skalistym grobie, który jej tam pilnuje przez lat pięćdziesiąt, patrząc na Ziemię pustymi oczodołami... Wiem, że nie wrócę z tej wyprawy; zbyt jestem już stary i zbyt znękany, a nade wszystko nie mam dokąd wracać ani po co. Śmierć mną pogardziła, nie chciała przyjść po mnie tu nad morze, więc ja pójdę naprzeciw niej, w ten kraj okropny, gdzie zaprawdę musi być jej siedlisko.

I spocznę tam na wieki obok O'Tamora i wystrzelonej armaty, na skałach, pod jasnym kręgiem Ziemi u zenitu... Byle jak najprędzej!

Ale przedtem... Serce mi bije gwałtownie! Przedtem zwinę ten pamiętnik, tę księgę boleści, którą niegdyś chciałem pozostawić przyszłym księżycowym ludziom, przycisnę do piersi, ucałuję i poślę w kuli, jak list w stalowej kopercie, do was, o bracia moi dalecy, ukochani bracia moi!

Marzę o tym z bijącymi tętnami w skroniach, jak tam na Ziemi znajdzie ktoś kulę stalową — może po tygodniach dopiero, może po latach, po wiekach? — a otworzywszy, wyjmie z niej zwitek papierów... Będziecie wtedy, o bracia moi nieznani, czytali to, com pisał z nieustanną myślą o was i o wspólnej matce naszej, Ziemi, którą wy znacie w zieleni, w przepychu kwiecia i srebrzystościach zimowych poranków, a ja znam także jako światło niebieskie, przeczyste i spokojne, płonące od wieków nad krainą ciszy i śmierci!

O bracia moi! wy nie wiecie, jak piękna jest matka wasza, gdy się patrzy na nią przez nieba otchłanie! I nie wiecie, jak ja tęsknię za nią i za wami i przeklinam to niebo, które między nami legło, choć mi tak blaskiem maluje ojczyznę moją!

*

A więc tak było:

Słońce stanęło już po raz trzeci nad pustynią i po raz trzeci Ziemia sczerniała nowiem od chwili, jak przybyliśmy po długiej i uciążliwej podróży do *Kraju Biegunowego*, kiedy Jan, zaszedłszy mnie zamyślonego na wzgórzach, odezwał się z nagła:

— Stary Człowieku, czas wracać!

Drgnąłem na te słowa, a tak byłem w myślach o Ziemi pogrążony, żem ich nie rozumiał zrazu i sądziłem, że on mnie wzywa do powrotu tam — skąd przyszedłem!

Ale on mówił tymczasem:

— Żony nas czekają i dzieci... Czas wracać nad morze do *Ciepłych Stawów*, do pól naszych i zagród, Stary Człowieku...

Mówił nieśmiało, jakby pytał raczej, a nie żądał, lecz w głosie jego i twarzy wyczytałem mimo to niezłomne postanowienie.

I nagle zdjęła mnie ogromna żałość: ci ludzie przybyli tu ze mną i myślą teraz o powrocie, o rodzinach swych, o ojczyźnie, do której tęsknią i którą wnet zobaczą — a ja?... Mój dom, moja rodzina i ojczyzna tam — na niebie! ani mi do niej powrócić, ani żyć w niej kiedy, choć przecież pewnie stokroć gorsza tęsknota żre mnie za nią niż tych ludzi za kawałkiem Księżyca nad brzegiem księżycowego morza! Zazdrość mnie ogarnęła.

— Wracajcie! — odparłem sucho.

— A ty? — zawołał Jan z najwyższym zdziwieniem i przerażeniem, cofając się o krok przed zamaszystym ruchem mej ręki, którą mu wskazałem drogę na południe, i poglądając ku mnie w górę.

— Ja zostanę tutaj. Wszakże wam mówiłem, biorąc was w drogę ze sobą, że odjeżdżam, aby nie powrócić już nigdy...

— Tak — szepnął Jan — ale ja myślałem, że z czasem przecież... Tu nie jest dobrze dla ludzi...

— Więc wracajcie. Ja zostanę.

Teraz nie odrzekł ani słowa. Pochylił tylko głowę, jakby ugodzony ciężarem w kark, i odszedł szybko — do Ady! — pomyślałem od razu — po radę!

Jakoż nie omyliłem się. Po chwili przyszła księżycowa kapłanka. Byłem przygotowany na jakąś śmieszną scenę z dodatkami tłumnych próśb, zaklęć, a nawet płaczu, w rodzaju tej, która się odegrała przed wyruszeniem w drogę — jakież mnie tedy ogarnęło zdziwienie, gdy Ada przyszła sama i cicha i nie pytając o nic ani prosząc, rzekła tylko:

— Zostajesz tutaj, aby patrzeć na Ziemię, Stary Człowieku?

Skinąłem głową milcząco.

— Ale *tam* nie odejdziesz jeszcze? — to mówiąc wskazała ruchem głowy Ziemię i leżącą pod nią martwą księżycową pustynię.

Mimo woli spojrzałem w ową stronę i wtedy nagle zaświtała we mnie po raz pierwszy ta myśl, że mógłbym się udać tam, na pustynię, którą przed pięćdziesięciu laty przebywałem z towarzyszami, aby przynajmniej na krótki czas, nimbym umarł z wyczerpania, czuć się bliższym Ziemi, mieć ją wprost ponad głową. Dzisiaj myśl ta owładnęła mną już niepodzielnie, towarzyszy każdemu memu ruchowi i pozbyć się jej nie mogę, ale wówczas był to pierwszy przebłysk zaledwie, który na razie wnet stłumiłem, sądząc, że jest to rzecz niemożliwa — jak gdyby śmierć stała już u kresu możliwości i niepodobna było kupić tego, za co życiem trzeba zapłacić.

— Tam nie odejdziesz? — powtórzyła kapłanka.

Zawahałem się.

— Nie. Jeszcze nie.

— Więc... czy nie mógłbyś jeszcze powrócić z tymi biedakami nad morze? Oni tak pragną mieć cię wśród siebie.

— Nie — odpowiedziałem ostro, widząc, że się już zaczynają prośby — zostanę tutaj.

— Jak ci się podoba, Stary Człowieku. Oni będą bardzo smutni, ale... jak ci się podoba, tak zrobisz. Gdy wrócą sami, zapytają ich ci, co pozostali w domach: „A gdzie jest Stary Człowiek, na którego patrzyliśmy od dziecka?". Oni zaś spuszczą tylko głowy i odpowiedzą: „Opuścił nas". Ale jak ci się podoba. Ostatecznie wiedzą, że jesteś gościem wśród nich i że przyjdzie czas, kiedy się będą musieli rządzić sami.

— Ty im zostaniesz i będziesz nimi rządzić. Nawet Jan cię słucha i poważa.

— Nie, ja nie zostanę z nimi.

Spojrzałem na nią zdziwiony, a ona po krótkiej chwili wahania schyliła się do moich kolan:

— Mam prośbę do ciebie, Stary Człowieku...

— Mów.

— Nie odpędzaj mnie!

— Co?

— Nie odpędzaj mnie. Pozwól mnie zostać ze sobą.

— Ze mną tutaj? w *Kraju Biegunowym*?

— Tak jest. Z tobą w *Kraju Biegunowym*.

— Ależ dlaczego? cóż ty tu będziesz robić? Tam są twoi bliźni, nad morzem!

— Ja wiem, ty nie jesteś mój bliźni, bo ty jesteś z gwiazd dalekich, jak wiem, ale pozwól mi...

Zamyśliłem się nad tą dziwną prośbą.

— Dlaczego chcesz pozostać ze mną? — spytałem wreszcie po raz drugi — tutaj nie jest dobrze ani wesoło...

Ada pochyliła głowę i głosem stłumionym, głębokim, ale mocnym odpowiedziała:

— Bo ja cię kocham, Stary Człowieku.

Milczałem, a ona po chwili ciągnęła dalej:

— Wiem, że to jest karygodna zuchwałość, gdy mówię do ciebie, że cię kocham, ale ja nie umiem nazwać inaczej tego, co czuję. Rodziców moich już nie pamiętam prawie. Przypominam sobie tylko, że byli nieszczęśliwi. Na ciebie patrzę od dziecka i widzę w tobie wielkość jakąś, jakieś światło, jakąś potęgę, coś, czego nie znam, ale wiem, że z gwiazd tu przyszło z tobą.

Umilkła, a gdym zdumiony wsłuchiwał się jeszcze w przebrzmiałe jej słowa, podjęła znowu:

— A przy tym i ty byłeś nieszczęśliwy i taki samotny, samotny przez całe życie, jak ja. Nie wiem, po co przyszedłeś z tej gwiazdy jaśniejącej na Księżyc... Tak chciałeś... Wiem, że robisz wszystko, co zechcesz, wystarczasz sobie i mnie nie potrzebujesz, ale ja ci chcę służyć i być z tobą do ostatka. Nie odpędzaj mnie. Ty wielki, ty dobry i mądry!

To mówiąc, schyliła się znowu do moich nóg i tak już pozostała z czołem na moich kolanach.

— A gdy zechcesz już odejść, powrócić do swej jaśniejącej na niebie ojczyzny — mówiła znowu po niejakim czasie — to ja odprowadzę cię aż po kraniec tej wielkiej i martwej pustyni, pożegnam i będę patrzeć jeszcze długo, długo za tobą, Stary Człowieku, aż mi znikniesz sprzed oczu, a wtedy wrócę do ludzi nad morskim brzegiem i powiem im tylko: „On już odszedł"... Potem umrę.

Tymczasem, gdy tak mówiła głosem rozpływającym się w obcym dotąd u niej dla mnie szepcie marzenia, księżycowi ludkowie, podkradłszy się już blisko, nadsłuchiwali jej słów z zapartym oddechem. I nagle usłyszałem stłumiony głos Jana:

— Stary Człowiek odejdzie od nas... na Ziemię!

A potem płacz. Dziwny, przejmujący, półcichy płacz.

I szczególna! Zwykle drażnił mnie i gniewał płacz tych antropomorfów, a teraz, nie wiem, czy to wobec wzruszenia, jakie wywołały we mnie niespodziewane słowa Ady, czy wobec tej budzącej się myśli o ostatecznej podróży na pustynię pod świecącą się Ziemię: dość, że przejął mnie wielki smutek i litość.

Zwróciłem się ku nim, a Jan, ośmielony snadź[132] moim wzrokiem, postąpił parę kroków i odezwał się, spoglądając mi w oczy:

— Stary Człowieku, czy to już nieodwołalne? Czy tam cię już oczekują? Czy zapowiedziałeś już swe przybycie? Musimyż pozostać[133] sami?

W tej chwili — jakby mnie kto obuchem uderzył w głowę! Jeden błysk, jedna myśl:

Armata!

Tak jest! armata! przy grobie O'Tamora, tam, na pustyni!

Zakołowało mi wszystko przed oczyma; obiema rękami przycisnąłem serce, bojąc się, by mi snadź[134] piersi nie rozsadziło.

Oczy utkwiłem w rąbku tarczy ziemskiej, widnym nad horyzontem, a przez myśl szły mi teraz jakieś szalone błyskawice: podróż, pustynia, armata, strzał, bracia moi ziemscy, ten pamiętnik... a potem szara mgła, roztapiająca w sobie wszystko: zrozumiałem, to śmierć!

Zapomniałem zupełnie, gdzie jestem, co się dokoła mnie dzieje. Oni w oniemieniu patrzyli na mnie, snadź z najwyższym zdziwieniem, ale ja ich nie widziałem. Jak przez sen doleciał mnie tylko głos Ady:

---

[132]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

[133]*musimyż pozostać* — konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż; znaczenie: czy musimy pozostać.

[134]*snadź* (daw.) — tu: wszakże, przecież.

— Odejdźcie, Stary Człowiek mówi ze Ziemią[135]. Wkrótce nas opuści.

Gdym oprzytomniał nieco z pierwszego, piorunującego wrażenia, jakie ta myśl na mnie wywarła, spostrzegłem, że jestem sam.

Zrozumiałem, że to jest objawienie, że muszę iść na pustynię, znaleźć armatę, przesłać Ziemi ostatnią wieść i ostatnie pozdrowienie i — umrzeć na pustyni.

W jakiś czas opowiedziałem Adzie i Janowi o swym postanowieniu; przyjęli to z głowami posępnie spuszczonymi, ale bez słowa oporu, jak gdyby byli na to przygotowani.

O powrocie ich teraz nad morze nie ma już mowy. Chcą pozostać tutaj aż do chwili mego odjazdu.

Obecnie, gdy stanę twarzą ku Ziemi, mam słońce po prawej ręce; nim zatoczy pół kręgu i stanie po stronie lewej, niosąc dzień na pustynną półkulę — wyruszę w drogę.

*

Spowiedź, Kondycja ludzka

Skończyła się tedy moja księżycowa tragedia! Jestem tutaj, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem na Księżycu łąki, zieloność i życie; wówczas przybyłem tu, odbywszy podróż przez śmiertelną pustynię — obecnie wybieram się, aby przebyć ją po raz drugi i ostatni.

Chmurno jest w sercu moim, ale spokojnie. Patrzę na minione życie i zdaje mi się, że czas jest zrobić rachunek sumienia. Chciałbym, tak jak czynią na Ziemi ludzie na śmierć się gotujący, wyspowiadać się z grzechów, a dziwna rzecz! na usta cisną mi się nieszczęścia moje. Byłożby to oboje jednym i tym samym?

Więc Ty, Panie, który słyszysz snadź zarówno głos najlichszego robaka, jak łoskot światów w przestrzeń pędzących, który widzisz mnie tu na Księżycu tak, jak niegdyś widziałeś mnie na Ziemi, przyjm tę spowiedź, przez którą Ci wyznawam[136], żem był grzeszny i nieszczęśliwy!

Oto gdy byłem dzieckiem, ciasno mi było na Ziemi, którąś dla mnie zbudował, i wylatywałem nieustanną, w skrzydła tęsknoty ubraną myślą do tych światów odległych, błyszczących na firmamencie, tak że pieszczot matki odbiegałem, aby marzyć o cudach, któreś Ty stworzył — nie dla mnie! — Byłem grzeszny i nieszczęśliwy...

Kiedym dorastał i pochłaniał te okruszyny wiedzy, któreś ty ludziom zdobyć pozwolił, dusza wciąż we mnie krzyczała: mało! i śniła o zrywaniu siedmiorakich pieczęci i podnoszeniu zasłon, Twoją zasuniętych ręką. Grzeszny byłem i nieszczęśliwy.

A zaledwie stałem się mężem, opętała mnie żądza bujania w przestworzach — jak gdybym, stojąc na Ziemi, nie był również w bezmiarach wszechświata i nie unosił się nad otchłaniami — i skorzystałem ze sposobności i z lekkim sercem rzuciłem matkę-żywicielkę dla srebrnej, uwodzącej lunatyków twarzy Księżyca. Grzeszny byłem, Panie, i jestem nieszczęśliwy...

Patrzyłem na śmierć towarzyszy i przyjaciół, łamiąc się w duchu, a gotów byłem walczyć z nimi o odrobinę powietrza, potrzebną dla utrzymania życia, albo o kobietę, która nie należała do żadnego z tych, co po nią ręce wyciągali... A kiedy byłem świadkiem jej nieszczęścia, którego sam biernym sprawcą się stałem, nie uczyniłem nic, aby ją z niego wybawić... Grzeszny byłem i nieszczęśliwy...

Zostałem sam na tym okropnym świecie, na który mnie własna wola zaniosła, a mając sobie powierzone młode pokolenie ludzkie, nie umiałem rozbudzić w nim ducha ani zwrócić ócz jego ku niebu... Owszem, miasto[137] miłości, pogardę miałem dla nieszczęsnych i zezwoliłem, aby mnie czcili, podczas gdy Tobie jednemu cześć się należy... Byłem grzeszny i nieszczęśliwy...

A teraz łamany bólem, znużony tęsknotą, opuszczam tych powierzonych losem mej pieczy i przewodnictwu i idę po ostatnią smutną rozkosz, po śmierć w obliczu Ziemi!

Grzeszny jestem, Panie! i nieszczęśliwy!

Życie moje rozłamało się na dwie wielkie części, z których jedna była pragnieniem rzeczy nieznanych, a druga tęsknotą za straconymi... A obie były smutne i nad wyraz bolesne...

---

[135] *ze Ziemią* — dziś: z Ziemią.
[136] *wyznawam* — dziś: wyznaję.
[137] *miasto* (daw.) — tu: zamiast, miast.

A czegom pragnął, nie osiągnąłem, bo oto zaledwie o marny krok posunąłem się we wszechświecie, a nawet nie znam tajemnic miejsca, gdzie się znajduję. Na darmo wszystko poświęciłem, na darmo przebrnąłem przestrzenie błękitu, przebyłem pustynię straszniejszą niż jakiekolwiek na Ziemi, daremnie lat kilkadziesiąt żyłem na tym srebrnym globie: zagadki są dokoła mnie dzisiaj tak, jak przed połową wieku...

A po czym tęsknię — wiem, że nigdy nazad[138] nie osiągnę.

I to jest całe życie moje!

O! czas, czas! że się już zakończy!

Z umiłowaniem i upragnieniem poglądam ku pustyni, na którą rychło strącę wóz, aby być samotnym — aż do śmierci.

Ci ostatni ludzie, których widzę, pozostaną tutaj... Wyjdą zapewne na górę i będą jeszcze długo poglądali za mną, za czarnym wozem, niknącym w zorzy słonecznej, a potem powrócą do swego ludu i powiedzą: Stary Człowiek już odszedł.

I z tego, z tych słów, wyrośnie tutaj kiedyś w przyszłości legenda, tak jak z naszego na ten świat przybycia!

Grzeszny jestem...

Zbliża się chwila odjazdu.

VII

Na *Mare Frigoris*.

Jestem sam — i takim straszliwym lękiem przejmuje mnie ta bezbrzeżna samotność i głusza. Zdaje mi się, że już umarłem i płynę w tym wozie, jak w Charonowej łodzi, ku jakimś nieznanym krainom...

A przecież znam to bezdroże i widziałem już te góry, rysujące się na horyzoncie dokoła. Jechałem już tędy przed laty, przed długimi laty! Ale wtenczas dążyliśmy ku życiu, a teraz...

Boże! daj mi tyle sił jeszcze tylko, abym zdołał dotrzeć tam, do grobu O'Tamora! O nic Cię już więcej nie proszę.

Obiecałem księżycowemu ludkowi, że jeśli sił mi starczy powrócić z pustyni, zamieszkam już pośród nich do końca życia, ale ja wiem, że nie powrócę z pustyni...

Chociaż może potrzebniejsza by teraz była obecność ma przy *Ciepłych Stawach* niż kiedykolwiek.

Jeśli to jest prawdą...

Dziwną i straszną wieść usłyszałem w chwili odjazdu.

Słuchajcie mnie, ziemscy ludzie:

Już miałem siadać do wozu i żegnałem skupioną koło mnie gromadkę, gdy nagle u wejścia do kotliny spostrzegłem dwóch ludzi. W pierwszej chwili sądziłem, że to złudzenie, ale wkrótce niepodobna już było wątpić: dwóch karłów zbliżało się szybko ku nam. Jan spostrzegł ich także i wydał okrzyk:

— Posyłają za nami! Tam się musiało stać coś złego!

Jakoż nie omyliło go przeczucie — przybywali posłowie znad morza z dziwną a straszną wieścią.

Wkrótce po moim odjeździe z krainy *Ciepłych Stawów* śmiali awanturnicy, których miałem już za straconych, powrócili z wyprawy na południową półkulę. Ale powróciło ich dwóch tylko. Trzeci nie wróci nigdy. I ci dwaj takie przynieśli wieści, że co prędzej uradzono posłać za mną do *Kraju Biegunowego* i nakłaniać mnie do przyjazdu nad morze.

Dwaj wybrani posłowie ruszyli w górę za biegiem rzeki, a potem kierując się słyszanymi niegdyś opowiadaniami Ady, dostali się na wyżynę ponad *Równinę Jezior* i stąd, przedzierając się wąwozami, trafili szczęśliwie i dość wcześnie do biegunowej kotliny.

Słuchałem niecierpliwie tego opowiadania, pragnąc dowiedzieć się wreszcie szczegółowo, co ich skłoniło do tak nadzwyczajnej podróży?

Wreszcie posłowie, nagabywani przeze mnie i Adę, poczęli, przerywając sobie wzajemnie, opowiadać historię wyprawy owych awanturników.

---

[138] *nazad* (daw., gw.) — z powrotem.

Z chaotycznych wyrazów i zdań dowiedziałem się jeno[139] tyle, że przy sprzyjającym i nader silnym wichrze na saniach opatrzonych żaglami przebyli w ciągu długiej nocy lotem strzały zamarznięte morze i dotarli o wschodzie słońca do przeciwległego brzegu na południowej półkuli. To było jasne, ale dalej trudno się było połapać w tym wszystkim, co mówili... Zresztą było to takie nadzwyczajne...

Wśród gór na rozległych równinach mają tam mieszkać jakieś dziwne istoty, pół ludzkie, a pół zwierzęce, kryjące się przed mrozem w głębokich jamach, wykopanych dokoła rozwalających się w gruzy, od wieków snadź[140] opuszczonych miast. Z tymi to istotami, nad wyraz drapieżnymi, musieli podróżnicy staczać walki, z których, postradawszy tylko jednego towarzysza, wyszli zwycięsko jedynie dzięki posiadaniu broni palnej. Z powrotem uciekali w najwyższym przestrachu, bo owe istoty goniły ich zawzięcie po lodach.

— To są złe potwory! — mówił opowiadający, trzęsąc się na samo ich wspomnienie — małe, ale bardzo złe! Musieliśmy uciekać, bo ich jest dużo, dużo, i są złe! Mają takie, o, długie ręce i dzioby zamiast ust... Kaspra pochwyciły na długi sznur i rozszarpały, a potem zawlokły trupa do głębokiej jamy, w której mieszkają. Tam kraj jest piękny, ale te potwory złe! Towarzysze biednego Kaspra opowiadali nam o tym. Te potwory ich goniły, ale oni mieli sanie z motorem i psy, więc zdołali uciec, choć z wielkim trudem. O! tam jest kraj dziwny! bardzo dziwny, za morzem, na południu. Tam stoją wielkie wieże, ale rozwalone, są jakieś ogromne maszyny czy fabryki, ale popsute, zarosłe. Te potwory pilnują tego i kłaniają się wieżom, zdaje się jednak, że nie wiedzą, co z tym robić. Mieszkają w jamach i są złe.

Daremnie wypytywałem, chcąc się dowiedzieć bliższych szczegółów o owych istotach, żyjących za księżycowym morzem: nic nadto nie umieli mi powiedzieć. Usłyszałem tylko jeszcze historię powrotu podróżników zza morza, okropną, dreszczem przejmującą odyseję! Wiatr z powrotem im nie sprzyjał, więc też nie starczyło jednej nocy na przebycie morza. Lód już puszczał rankiem, gdy przerażeni dotarli szczęśliwie do jakiejś drobnej i pustej prawie wysepki, na której chroniąc się w jamach przed straszliwym równikowym upałem, przesiedzieli cały dzień w oczekiwaniu nocy i mrozu, aby się puścić po lodzie dalej z powrotem. Drugiej nocy wicher odrzucił ich daleko na zachód, a na domiar złego zepsuł im się motor przy końcu podróży, tak że walcząc z niewysłowionymi trudami, musieli iść pieszo morskim wybrzeżem, powierzywszy psom ciągnienie sań po piasku.

I oto dotarli wreszcie do krainy *Ciepłych Stawów*, ażeby się dowiedzieć, że Starego Człowieka już tam nie ma.

— Więc czego chcecie ode mnie? — spytałem, wysłuchawszy tego zadziwiającego opowiadania.

— Broń nas, Stary Człowieku, broń! — zakrzyknęli równocześnie obaj posłowie. — Źle nam się dzieje bez ciebie i nieszczęścia na nas spadają! Te potwory drapieżne przebędą teraz niewątpliwie morze, kiedy się już dowiedziały o naszym istnieniu, i będą walczyć z nami, gnębić nas, trapić! A ich jest więcej! znacznie więcej niż nas!

Ze złożonymi rękoma rzucili mi się do kolan; czułem utkwione w sobie pytające, niespokojne i błagalne spojrzenia Jana i jego braci — Ada tylko była nieruchoma i na pozór obojętna.

A ja stałem do głębi wstrząśnięty, wahający się jeszcze, niepewny, co powiedzieć, co zrobić, uderzony nie tyle możliwością najazdu owych istot na ludzką kolonię księżycową, co samą wieścią, że tu żyją jakieś istoty i rozumne, jak się zdaje. Była chwila, kiedym już myślał wyrzec się ostatniego szczęścia, umiłowanego zamiaru przesłania wieści o sobie wam, ziemscy bracia moi, aby pozostać wśród księżycowego pokolenia, poznać owe dziwne, potworne narody, mieszkające za morzem, o których istnieniu dowiedziałem się dopiero teraz, przypadkiem, po kilkudziesięcioletnim tu pobycie, a w razie potrzeby bronić przed nimi potomstwo moich pomarłych przyjaciół.

Ale krótko trwało to wahanie. Jakiś bezbrzeżny smutek mnie ogarnął. I co mnie obchodzą księżycowe narody, te z Ziemi przybyłe i tamte, szczątki jakiegoś dawnego księżycowego ludu, mieszkające jak krety w jamach dokoła rozwalonych miast, w których snadź niegdyś panowali dumnie ich przodkowie? Niechaj się żrą, niech walczą, niech się

[139] *jeno* (daw.) — tylko.
[140] *snadź* (daw.) — widocznie.

wygubią wzajemnie... Co mnie to obchodzi? Stary jestem i nie wiem, czy mi życia stanie, aby odbyć daleką, śmiertelną podróż na bezpowietrzną pustynię — mamże je marnować teraz dla głupiej litości lub głupszej jeszcze ciekawości? A kto mi zaręczy zresztą, że opowiadanie tych dwóch szaleńców jest prawdziwe? Może to nie miasta tam stoją, lecz skały spiętrzone? może owe rzekome narody księżycowe są tylko bezrozumnymi zwierzętami? Stary już jestem i nie mam czasu przekonać się o tym, bo pilno mi umrzeć tam, przy grobie O'Tamora, w pełnym blasku Ziemi.

— Nic wam już pomóc nie mogę — szepnąłem wreszcie — myślcie sami o sobie. Podróż mnie czeka nieodwołalna, a droga moja w innym kierunku wiedzie niż wasza...

— Wiedziałam, że tak odpowiesz — odezwała się Ada, podczas gdy ja stawiałem już nogę na stopniach wozu.

Ale Jan chwycił mnie jeszcze za kolana:

— Przyrzeknij nam tylko — zawołał — jeśli inaczej być już nie może, przyrzeknij nam, że powrócisz do nas z tej pustyni, dokąd zmierzasz! Będziemy cię oczekiwali i myśl o tobie będzie nas krzepiła w walkach, które stoczyć nam wypadnie!

Zawahałem się.

— Jeśli sił i życia stanie, powrócę!

Ada zwróciła się ku gromadce:

— Powróci, ale tam!

To mówiąc, wyciągnęła rękę ku rąbkowi Ziemi, błyszczącemu nad widnokręgiem.

Byłem już w wozie i rękę trzymałem na sterze, gdy doleciały mnie jeszcze ostatnie jej słowa:

— A tutaj przyjdzie znowu dopiero po wiekach, po wiekach... gdy się dopełni...

*

Na *Mare Imbrium*, pod *Trzema Głowami*.

Straszliwą przebyłem drogę, dążąc ku wam, o bracia moi! Kamienne przerażenie mnie chwyta, gdy pomyślę o tej samotności bezdennej i o przeprawach onych przez góry, rozpadliny, pustynie rozległe i martwe. Płynąłem przez morza ciemności sam i piekła ogniste mam jeszcze przed sobą, żary oślepiające i mrozy nielitościwe. I pustkę... pustkę...

Inną drogą się tutaj dostałem niż ta, którą przebywaliśmy niegdyś — ale niemniej straszliwą. — Obawiając się pamiętnej groźnej rozpadliny w *Poprzecznej Dolinie*, abym snadź w niej nie uwiązgł[141], okrążyłem z *Morza Mrozów* pierścień *Platona* od zachodu i tak się dostałem na tę wielką równinę, która mnie aż pod stopy *Eratosthenesa* powiedzie...

Po cóż mam opowiadać straszliwości dotychczasowej przeprawy? — gorsze mnie jeszcze pewno rzeczy czekają.

Byłem też na miejscu, gdzie ongi widzieliśmy *Miasto Umarłych*. Ale pustynia tam gładka, nie dojrzałem nic, ani skały nawet, ni śladu...

Czy wtedy nas zmysły łudziły, czy pomyliłem się teraz w pomiarach i minąłem z dala to miejsce przeklęte?

A może karawana trupów zwinęła tymczasem kamienne namioty i poszła dalej na pustynię, na bezbrzeżną śmierci równinę?...

Lęk idzie za mną, idzie lęk przede mną — a ja z okropną ostatnią samotnością swoją...

Słońce wstaje rozlśnione — błyszczą gwiazdy różnokolorowe na czarnym aksamitnym niebie — i strasznie... strasznie... I po co mam szukać *Miasta Umarłych* — znajdę je rychło, dość rychło — czyż to nie jest Kraj Śmierci dookoła mnie?

*

Pod *Eratosthenesem*.

Jeszcze ostatni, krótki wysiłek... Ostatnia góra, ostatni szczyt. Okrążę go od zachodu i południa i tak się dostanę na *Sinus Aestuum* — i stamtąd, znad grobu kamiennego starca O'Tamora...

[141] *uwiązgł* — dziś: uwiązł.

Dzikie, poszarpane turnie przede mną — i Ziemia, już prawie w zenicie, w pełni jak kwiat rozwinięta — i słońce tuż pod nią...

Starczy jeszcze żywności i starczy powietrza — oby sił jeszcze starczyło! Ubywa mi ich coraz więcej, gwałtownie, nagle... Wiem, że umrę tutaj... Sypiać już z dawna nie mogę, nawet w nocy, nawet w czas południowego żaru. Gdym zasnął po raz ostatni, kędyś w pośrodku *Morza Dżdżów* po słońca zachodzie, prześladowały mnie we śnie różne głosy i zwidzenia... Naprzód zdawało mi się, że słyszę za sobą wołanie pozostawionego ludu, który mnie błagał, abym powrócił i bronił go przed księżyczanami, którzy przebyli już równikowe morze i palą mu chaty, i zabijają żony i dzieci... Zaledwie usnąłem, zbudzony tą marą, gdy znowu pokazały mi się postacie moich zmarłych przyjaciół i towarzyszy. Witali mnie pośród siebie i wzywali, abym do nich poszedł, cień między cienie — błądzić po pustce na wiekuistość... A wreszcie śniło mi się, że mnie wołano ze Ziemi — i to był jedyny głos, któremu odpowiedziała cała moja istota.

Zbudziłem się i idę za tym głosem, o bracia moi ziemscy — i wiem, że już nie zasnę, aż wtedy, gdy wolno mi będzie w śnie ostatecznym na zawsze przymknąć powieki.

To już niedługo — wszak prawda? — niedługo...

*

Nad grobem O'Tamora — w ostatnią godzinę.

Niech Bogu będą dzięki Najwyższemu: znalazłem drogę i miejsce owo... przeklęte! gdzie po raz pierwszy dotknęła noga nasza księżycowego gruntu, i... błogosławione! skąd posłać mogę na Ziemię wieść o sobie.

Stoję nad trupem starca O'Tamora i dziwię się, widząc, że młodszy jest ode mnie, żywego. Lata przeszły nad nim, nie dotknąwszy go, tak jak wiatr lekki przechodzi nad granitowymi skałami. Tu w tej pustce bezpowietrznej nie ma zepsucia: starzec O'Tamor wygląda tak, jak w chwili, gdyśmy, go opuszczali — patrzy nieustannie w błyszczącą Ziemię szeroko rozwartymi, martwymi oczyma. A ja, który młodzieńcem odszedłem od jego grobu, stoję teraz nad nim z siwą po pas brodą i resztką siwych włosów na wyłysiałej czaszce, i z przerażeniem w gasnących oczach...

Za długo żyłem, starcze O'Tamorze! za długo żyłem!...

Działo znalazłem: gotowe jest i niezepsute; czeka na mnie od pięćdziesięciu lat z górą... A oto piszę ostatnie wyrazy, nim zamknę te papiery w kuli, która je poniesie ku Ziemi.

Zapasy żywności już się wyczerpały, powietrza starczy mi zaledwie na dwie lub trzy godziny. Muszę się śpieszyć...

Od EXODU naszego dni księżycowych siedemset i siedem.

O, Ziemio! O Ziemio Utracona!

NA TYM URYWA SIĘ RĘKOPIS, ODNALEZIONY W KULI SPADŁEJ Z KSIĘŻYCA.

Pisałem w Krakowie, w zimie 1901–2.

Zwycięzca

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Malahuda drgnął i obrócił się w karle[142] gwałtownie. Szelest był wprawdzie tak lekki, lżejszy, niż wydać mogła opadająca karta w pożółkłej księdze, którą czytał, ale ucho starca pochwyciło go natychmiast w tej bezdennej ciszy świętego miejsca.

Osłonił oczy dłonią przed światłem rozjarzonego do połowy pająka[143], który zwisał u sklepionego stropu, i spojrzał ku drzwiom. Były otwarte, a w nich — zstępując właśnie z ostatniego stopnia, z jedną nogą w powietrzu jeszcze zawieszoną — stała młoda dziewczyna. Była naga, jak kobiety niezamężne zwykły w noc chodzić po domu, z ramion tylko zwisało jej puszyste białe futro, z zewnątrz i wewnątrz jednakowym miękkim włosem pokryte.

Zupełnie z przodu rozwarte i mające jeno[144] szerokie otwory na ręce w miejsce rękawów, spływało miękką falą po jej młodym ciele aż po drobne kostki stóp, w płytkie białe ciżmy futrzane obutych. Włosy jej złotorude zwinięte były ponad uszyma w dwa ogromne węzły, z których jeszcze wolno puszczone końce kos[145] opadały na ramiona, rozsypując złote iskry po śnieżnej bieli futra. Na szyi miała sznur bezcennych purpurowych bursztynów, które według podania należały przed wiekami do świętej kapłanki Ady — i z pokolenia w pokolenie przechowywane były jako klejnot najdroższy w rodzinie arcykapłana Malahudy.

— Ihezal!

— Tak, to ja, dziadku.

Stała wciąż we drzwiach, biała na tle ciemnej, zionącej czeluści wiodących gdzieś w górę schodów, z ręką na kutej klamce, patrząc ogromnymi czarnymi oczyma na starca.

Malahuda powstał. Drżącymi rękoma zgarniał leżące przed nim księgi na marmurowym stole, jak gdyby je chciał ukryć, nierad i pomieszany... Mamrotał coś do siebie, poruszając szybko wargami, brał ciężkie foliały i przekładał je bez celu na drugą stronę, aż naraz zwrócił się ku przybyłej:

— Czy nie wiesz, że oprócz mnie nikomu tutaj wchodzić nie wolno? — rzekł niemal gniewnie.

— Tak... ale... — urwała, jakby szukając słów.

Duże oczy jej, jak dwa ptaki szybkie i ciekawe, przeleciały po tajemniczej komnacie, muskając olbrzymie, bogato rzezane i złotem nabite skrzynie, w których księgi święte chowano, zatrzymały się chwilę na dziwnych ozdobach czy znakach tajemnych z kości i złota na wykładanych gładzoną lawą ścianach — i powróciły znów na twarz starca.

— Wszakże teraz już wolno — rzekła z naciskiem.

Malahuda w milczeniu odwrócił się i poszedł w głąb ku wielkiemu zegarowi, który całą wysokość ściany zajmował. Przeliczył spadłe już kule w miedzianej misie i spojrzał na wskazówki.

— Jeszcze trzydzieści dziewięć godzin do wschodu słońca — rzekł twardo — idź i śpij, jeśli nie masz co robić...

Ihezal nie poruszyła się. Patrzyła na dziadka, podobnie jak ona w domowy strój odzianego, jeno że futro miał na sobie lśniące, czarne i pod nim kaftan i spodnie z miękko wyprawnej, czerwono barwionej psiej skóry, a na siwych włosach złotą obręcz, bez której nie wolno było nawet arcykapłanom wchodzić do miejsca świętego.

— Dziadku...

— Idź spać! — powtórzył stanowczo.

Ale ona nagłym ruchem przypadła mu do kolan.

— *On przyszedł!* — krzyknęła z radosnym, przemocą dotychczas powstrzymywanym wybuchem — dziadku, on przyszedł!

Malahuda cofnął rękę i usiadł z wolna w karle, spuszczając na pierś bujną, siwą brodę.

---

[142]*karzeł* — tu: rodzaj daw. krzesła z oparciem i podłokietnikami, o nogach z przodu i z tyłu uformowanych w kształt cyfry X.

[143]*pająk* — tu: żyrandol wieloramienny (sześcio- lub ośmio-) zawieszany u sufitu sal bawialnych, świetlic i innych większych pomieszczeń.

[144]*jeno* (daw.) — tylko.

[145]*kosa* (daw.) — warkocz.

Dziewczyna patrzyła na niego teraz z niewysłowionym zdumieniem.

— Dziadku, dlaczego nie odpowiadasz? Od dziecka, ledwo mówić zaczęłam, uczyłeś mnie, jako pierwszego słowa, tego pozdrowienia odwiecznego, które nas, ludzi, odróżnia od zwierząt i podlejszych od nich szernów, i gorszych, bo postać ludzką noszących, morców — i witałam cię zawsze, jak należy, słowami: „On przyjdzie!" — a ty zawsze odpowiadałeś, jako należy: „Przyjdzie zaprawdę!" — Dlaczegóż teraz, kiedy ten wielki, szczęśliwy dzień nam zawitał, że mogę zawołać do ciebie: „On przyszedł" — ty mi nie odpowiadasz „Przyszedł, zaprawdę!"?

Mówiła szybko, zapalczywie, z dziwnym gorączkowym błyskiem w oczach, chwytając oddech białą piersią, po której falowały, skrząc się w odbitych miedzianymi zwierciadłami światłach, bezcenne purpurowe bursztyny świętej kapłanki Ady...

— Dziadku! prorok Tuheja, którego pono starcem znali jeszcze pradziadowie twoi, napisał był ongi: „Przyjdzie w dniu największego uciśnienia i lud swój wybawi. A jako odszedł był od nas starcem w on dzień, bo nigdy młodym nie był, tak powróci po dopełnieniu czasów młodzieńcem światłym i promiennym, albowiem nigdy już starym nie będzie!". Dziadku! on jest tam! On idzie! Powrócił z Ziemi, na którą odszedł był przed wiekami, aby wypełnił, co przyobiecał przez usta pierwszej swej prorokini Ady — idzie w glorii i majestacie, młody, zwycięski, piękny! O! kiedyż ten świt nadejdzie! kiedyż go będę mogła ujrzeć i pod nogi jego błogosławione rzucić te włosy!

To mówiąc, szybkim, prawie nieświadomym ruchem — u nóg starca schylona — rozerwała węzły kos ponad uszyma, zalewając posadzkę malachitową wonnym, miałkim, złotym potopem.

Malahuda milczał wciąż. Zdawać się mogło, że nie widzi nawet klęczącej przed nim dziewczyny ani nie słyszy potoku jej słów. Oczy przygasłe i zamyślone zwrócił w głąb komnaty — przez przyzwyczajenie może? — gdzie w mroku błyszczał na ścianie odblaskami świecznika złoty znak święty, wyobrażać mający wychyloną zza widnokręgu Ziemię ze stojącym nad nią Słońcem, tak jak są widywane każdej północy przez Braci Wyczekujących w *Kraju Biegunowym*...

Ihezal mimo woli poszła oczyma za jego wzrokiem i spostrzegła wyłaniające się z mroku dwie złączone tarcze złociste na czarnym marmurze[146], wyrażające tak prostym sposobem wszystkie wielkie tajemnice, z wieku na wiek, z pokolenia w pokolenie przekazywane: jako że ludzie przyszli na Księżyc z Ziemi, gwiazdy ogromnej, świecącej nad bezpowietrzną pustynią, i że tam odszedł On, Stary Człowiek (który to imię przybrał i nim się kazał nazywać, nie dozwalając wymawiać innego) — i stamtąd powróci zwycięskim młodzieńcem i wybawicielem. Nabożny lęk ją objął, uniosła się i wielkim palcem prawej dłoni nakreśliła szybko na czole koło, a potem większe półkole od jednego ramienia przez usta ku drugiemu — i linię poziomą przez pierś, szeptając jednocześnie zwykłe słowa zaklęcia: „On nas wybawi — pognębi wroga naszego — tak będzie zaprawdę".

Malahuda powtórzył jak echo:

— Tak będzie, zaprawdę... — Jakiś spazm gorzkiego bólu czy ironii zdławił mu ostatnie słowo w gardle.

Ihezal spojrzała mu w twarz. Milczała przez chwilę, a potem nagle, uderzona snadź czymś niezwykłym, a dopiero teraz w obliczu starca spostrzeżonym, odskoczyła w tył, krzyżując ręce na nagiej, spod rozwartego futra wychylającej się piersi.

— Dziadku!...

— Cicho, dziecko, cicho.

Powstał i chciał ją ująć za dłoń, ale ona mu się usunęła. A potem krzyk:

— Dziadku! ty... nie wierzysz, że to... On?!

Stała o parę kroków przed nim, z naprzód wyciągniętą szyją, z szeroko rozwartymi oczyma i rozchylonymi usty[147], wyczekująca odpowiedzi, jakby życie jej od słów, które miała usłyszeć, zawisło.

Arcykapłan spojrzał na wnuczkę i zawahał się.

— Proroctwa się wszystkie zgadzają i jeżeli kiedykolwiek miał przyjść Zwycięzca...

---

[146]*dwie złączone tarcze złociste na czarnym marmurze* — w tym miejscu w tekście znajduje się odpowiedni rysunek.

[147]*rozchylonymi usty* — dziś: rozchylonymi ustami.

Urwał i zamilkł. Miałże powiedzieć[148] tej tak wierzącej dziewczynie o tym, do czego po długiej walce zaledwie sam się śmiał przyznać przed sobą i co jeszcze od starego serca wszelkimi siłami odpychał? Miałże jej powiedzieć, że on, arcykapłan, stróż Prawdy i Tajemnicy, ostatni z odwiecznego i wygasającego już na nim kapłanów rodu, on — przodownik wszystkiego ludu, mieszkającego na północnym brzegu *Wielkiego Morza*, hen daleko na wschód poza śnieżnym szczytem zionącego ogniem *Otamora*, przy *Ciepłych Stawach*, najstarszej księżycowej osadzie, i dalej poza *Przesmykiem* na zachód i na północ, aż po *Stare Źródła*, którędy droga w *Kraj Biegunowy* wiedzie i kędy przed wiekami pono pierwszy raz błogosławioną naftę odkryto — miałże powiedzieć on, który całe długie życie szanował i przykazywał wierzyć w przyjście Zwycięzcy: że teraz, kiedy doniesiono mu, iż przyszedł zaprawdę, on przestał wierzyć, że miał przyjść w ogóle?

Sam nie umiał dobrze zdać sobie sprawy z tego, co w nim zaszło, czy też snadź[149] wydobyło się na wierzch z nieświadomej jakiej głębi wobec tej wstrząsającej wiadomości.

Przed zachodem słońca odbywał jeszcze zwykłe z ludem modlitwy i kazał[150], cytując słowa ostatniego proroka Tuhei, właśnie teraz przez tę dziewczynę mu odrzucone... Czynił tak co dzień, przez długi ciąg swego żywota, od kiedy został kapłanem — i wierzył tak od dziecka, przez ojca swego, arcykapłana Bormitę, nauczony, że Stary Człowiek ongi[151] żył między swoim ludem i odszedł na Ziemię przed wiekami, i powróci znów młodzieńcem, aby lud swój wybawić. Ta wiara była dla niego tak jasna i tak prosta. Nawet nie zastanawiał się nad nią głębiej, nie zwracał nawet nigdy uwagi na dowodzenie „uczonych", którzy utrzymywali, że historia o ziemskim pochodzeniu ludzi na Księżycu jest zwykłą, w ciągu wieków powstałą legendą, że żaden „Stary Człowiek" nigdy nie istniał ani też nigdy żaden „Zwycięzca" z międzygwiezdnych przestrzeni nie zejdzie... Nauk takich on nie zwalczał nawet, odstępując pod tym względem od starego zwyczaju, który i ojciec jego, arcykapłan Bormita, jeszcze zachowywał, od zwyczaju, co kazał kacerzy[152] do słupa przywiązanych na morskim wybrzeżu kamienować. Kiedy kapłani, jego podwładni, domagali się tej kary, kiedy wołali o nią na bluźnierców, zwłaszcza zaciekli Bracia Wyczekujący, on wzruszał tylko ramionami ze spokojem i wielką pogardą w duszy — zarówno dla tych, co kamieniami chcieli wiarę umacniać, jak i dla owych, litości godnych szaleńców, którzy ludzkim słabym rozumem dociekać usiłowali rzeczy niedocieczonych, zamiast wierzyć z błogą radością w gwiezdne swoje pochodzenie i w Obietnicę, która się kiedyś spełni...

Między innymi pobudek tej łagodności jego pojąć nie mógł mnich Elem, przełożony zakonu Braci Wyczekujących, i gromić go śmiał nieraz przez posły za ten brak gorliwości w rzeczach świętych — ale czyż nie on, Malahuda, był panem, królującym w odwiecznej arcykapłańskiej stolicy przy *Ciepłych Stawach* wszystkiemu ludowi księżycowemu? Sądzić mu należało, a nie być sądzonym. On to raczej mógł Elema potępić i wszystkich z nim razem Braci Wyczekujących za kacerstwo widoczne, iż nadejście Zwycięzcy każdego dnia już obiecywali, nie bacząc, że wszyscy prorocy na przyszłość je zapowiedzieli... Nierad też był powadze i wpływowi, jaki sobie Bracia wśród ludu zyskać umieli. Nie opuszczali oni wprawdzie nigdy siedzib swoich w *Kraju Biegunowym* — zakon im tego zabraniał — ale co rok (tak dziwnie: „rokiem", nazywano na Księżycu okres na przemian dwunastu i trzynastu dni po siedemset dziewięć godzin, odpowiadający czasowi przejścia słońca przez zodiak; opowiadają, że ten podział czasu ludzie z sobą z Ziemi przynieśli) — otóż co roku, zwłaszcza dnia dwunastego, który jest świętym i pamiątkowym dniem odejścia Starego Człowieka, odbywały się tłumne pielgrzymki do *Kraju Biegunowego*, nastręczające dla Braci Wyczekujących dość sposobności oddziaływania na lud.

Nie w mocy Malahudy było zakazać tych pielgrzymek, tradycją wieków uświęconych, choć niechętnym na nie patrzył okiem, widząc, jak Bracia lud demoralizują i odciągają od zadań życia realnych, obiecując mu rychłe już przyjście Zwycięzcy...

Zapewne, i on — Malahuda — w przyjście Zwycięzcy wierzył niezłomnie, ale zdawało mu się to zawsze czymś tak odległym, czymś, co jest prawie że tylko obiecanym, tak że

[148]*miałże powiedzieć* — konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy miał powiedzieć.
[149]*snadź* (daw.) — tu: przecież, wszakże.
[150]*kazać* — tu: mówić kazanie; wygłaszać mowę umoralniającą.
[151]*ongi* — niegdyś, kiedyś dawniej.
[152]*kacerz* — odstępca religijny; heretyk.

gdyby go był kto zapytał: czy przypuszcza możliwość doczekania się za swego żywota owego Przyjścia? — byłby z pewnością odczuł takie pytanie jako naruszenie dogmatu, orzekającego, iż Przyjście w przyszłości nastąpi... Wszakże prorok Ramido powiedział był wyraźnie: „Nie nasze oczy i nie oczy synów naszych ujrzą Zwycięzcę — ale przyjdą po nas ci, którzy go twarzą w twarz oglądać będą". A cóż, że prorok Ramido przed stu kilkudziesięciu laty umarł?...

Religia, Zbawienie, Kapłan

Tak było aż do wczorajszego dnia wieczorem. Skończył był właśnie modły z ludem i stał jeszcze na szerokim tarasie przed świątynią, tyłem do zachodzącego słońca i morza odwrócony — i ręce do ostatniego wieczornego podnosząc błogosławieństwa, odwieczne wymawiał pozdrowienie: „On przyjdzie!" — kiedy wśród ludu zgromadzonego ruch się wszczął jakiś i niepokój. Bliżej stojący odpowiedzieli mu jeszcze zwykłymi słowy: „Przyjdzie zaprawdę...", ale ci, którzy dalej stali, odwracali się już poza siebie, wskazując dłońmi dziwną grupę, która się szybko ku świątyni zbliżała.

Malahuda spojrzał i zdumiał się. Pośród małej garstki zebranych snadź[153] przypadkowo przechodniów szli, a raczej biegli dwaj Bracia Wyczekujący. Poznał ich z dala po odkrytych ogolonych głowach i długich szarych szatach, jakie mieli na sobie. Nieopodal stał wózek psami zaprzężony, którym snadź tu przybyli. Już samo zjawienie się mnichów, nieopuszczających w ciągu życia nigdy swych siedzib, było czymś niesłychanym, ale miary zdumienia starego kapłana dopełnił sposób ich zachowania się, wprost niepojęty. Patrzył i sądził, że ma ludzi szalonych przed sobą, nie śmiał bowiem przypuszczać, aby się popili mnichowie[154], nieznający wedle ślubów trunku żadnego. Biegli krokiem tanecznym, w pląsach, wymachując rękoma i z rozpromienioną twarzą rzucali naokół jakieś okrzyki, których treści nie mógł pojąć z dala. A lud w dole słyszał je i rozumiał snadź, bo ciżbą[155] całą począł się naraz tłoczyć ku przybyłym — ruchliwy, oszalały a krzyczący, tak iż niewiela, a Malahuda sam został na stopniach świątyni ponad opustoszałym placem. W tejże jednak chwili uderzyła na niego powrotna fala tłumu. Nim mógł zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, spostrzegł około siebie twarze oszalałe obłędną jakąś radością, podniesione ręce i setki gąb rozwartych a krzyczących: lud cały pchał się teraz na stopnie świątyni, a na przedzie szli obaj Bracia na rękach niemal niesieni i wołający z płaczem naraz i śmiechem:

— On przyszedł! On przyszedł!

Nie rozumiał i długo jeszcze pojąć nie mógł, choć Bracia opowiadali mu, że spełniona jest wielka obietnica i dokonany czas przez proroków naznaczon, bo oto poprzedniego dnia o godzinie, kiedy w *Kraju Biegunowym* słońce staje nad zaćmioną Ziemią, powrócił po wiekach do ludu swego On, Stary Człowiek — odmłodzony i promienny, Zwycięzca i wybawiciel!...

„Bracia Wyczekujący" przestali już istnieć — są oni teraz „Braćmi Radosnymi" — po dwóch rozesłani idą z dobrą nowiną do wszystkich plemion księżycowych, nad brzegiem *Wielkiego Morza* i w głębi lądu nad strumieniami zamieszkałych, wieścić przyjście Zwycięzcy, koniec złu wszelakiemu i wybawienie z ręki szernów i morców!

A oto za nimi, razem z Elemem i kilku dla towarzystwa pozostałymi Braćmi, idzie On sam, Zwycięzca — i kiedy świt nowy wzejdzie, zjawi się ludowi tutaj, nad brzegiem *Morza Wielkiego*...

Tak mówili Bracia — wyczekujący niegdyś, a dzisiaj już radośni, a lud cały przed arcykapłanem śmiał się i płakał, i w pląsach a okrzykach sławił Najwyższego, który dopełnił danych prorokom obietnic.

Malahuda wzniósł ręce. Szał radosny jak fala ogarnął w pierwszej chwili i jego. Stara pierś wzdęła mu się uczuciem niewysłowionej, rzewnej wdzięczności, że teraz właśnie, w porze ucisku srogiego i w dniu gorzkiej niedoli, Zwycięzca przychodzi — oczy zaszły mu łzami, a gardło ścisnął spazm serdeczny, dławiąc w nim okrzyk weselny, który się już z głębi duszy dobywał... Zakrył oczy dłońmi i rozpłakał się wobec ludu na stopniach świątyni.

Lud patrzył z szacunkiem na łzy arcykapłana, a on trwał tak długo z zakrytą twarzą i głową na pierś pochyloną... I przyszło mu na myśl całe życie jego, wszystkie tęskno-

[153]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[154]*mnichowie* — dziś popr. forma M.lm: mnisi.
[155]*ciżba* — tłum.

ty i uniesienia — i wszystko, na co patrzył oczyma swoimi: klęski ludu i nieszczęścia, i pognębienie, które on koił, powtarzając wciąż świętą, a spełnioną już dziś Obietnicę... Tęskność jakaś rozlewna zajęła teraz w sercu jego miejsce poprzedniej radości.

— Bracia moi! bracia... — zaczął, wyciągając drżące od starości i wzruszenia ręce ponad falującym tłumem... I nagle spostrzegł, że nie wie, co ma powiedzieć. Zawrót jakiś, tak niesłychanie do lęku podobny, spadł mu na głowę i pierś. Westchnął głęboko, chwytając oddech kurczowo, i zakrył znów oczy. Pod czaszką zahuczał mu dziwny, opętany wir, z którego tylko jedna uporczywa myśl jasno się wyłaniała, ta myśl: „Odtąd będzie inaczej!". Uczuł, że odtąd będzie inaczej, że cała wiara, oparta na Obietnicy i oczekiwaniu, przestaje po prostu istnieć z tą chwilą, a na jej miejsce przychodzi coś nowego, coś nieznanego...

Lud tańczył wokoło i wznosił pomieszane, weselne okrzyki, a jemu, arcykapłanowi, w tej wielkiej i radosnej chwili dziwny, bolesny żal wszedł do serca za tym wszystkim, co było: za tymi modłami o zachodzie słońca, którym on przewodniczył, za tą wiarą, za oczekiwaniem, że przyjdzie dzień nareszcie, że dzień zaświta...

I nie wiadomo dlaczego, pomyślał nagle, że Bracia Wyczekujący kłamią. Przeląkł się zrazu tej myśli, gdyż spostrzegł, iż łączy się z nią prawie że nadzieja, prawie życzenie, aby tak było. Przycisnął pierś rękoma i pochylił głowę, kajając się w duchu niedowiarstwa swego, ale myśl pierwsza wracała ciągle, szepcąc mu natarczywie w ucho, że przecież on, arcykapłan, jest stróżem wiary i nie wolno mu tak na słowo przyjmować za prawdę wieści, podstawami jej wstrząsających...

Świadomość obowiązku uderzyła mu nagle do głowy i zapanowawszy nad innym uczuciem, przywróciła równowagę wewnętrzną. Zmarszczył brwi i spojrzał bystro na wysłanników. Ci jednak, ludzie prości, skromni i nieuczeni, siedzieli teraz na stopniach u jego nóg, podróżą i krzykiem radosnym znużeni — i tylko z fanatycznie wciąż rozpłomienionymi oczyma mruczeli zachrypłym głosem, odpowiadając sobie na przemian, pieśń jakąś starą, ze spełnionych już dzisiaj proroctw złożoną... Serca ich czyste i jasne, wielką radością rozpalone, nie przeczuwały nawet rozterki, jaka się w duszy zwierzchnika ludu toczyła.

„Z gwiazd przyszli ludzie! tak rzekł Stary Człowiek!" — śpiewał Abelar, wiekiem i trudami zakonnego czuwania pochylony.

„I na gwiazdy kiedyś powrócą! tak rzekł Stary Człowiek!" — odpowiadał mu młody, radosny głos Renoda.

„Albowiem przyjdzie Zwycięzca i lud swój wybawi!"

„Przyjdzie zaprawdę! Radujmy się!"

Lud tymczasem parł się już na stopnie świątyni i wołał arcykapłana po imieniu, z długiego jego milczenia niezadowolony. Zmieszane bezładne głosy wyzywały go do jakichś nieokreślonych czynów, to znowu żądały od niego potwierdzenia radosnej nowiny albo też wołały, aby drzwi świątyni otworzył i zebrane wiekami skarby rozdał ludowi w tym dniu na znak, iż wypełniona jest Obietnica i wesele odtąd na całym Księżycu ma panować.

Chłop jakiś stary podszedł ku niemu i targnął za szeroki rękaw czerwonej kapłańskiej szaty, kilka kobiet i niedorostków wyminęło go, przekraczając niedostępny o zwykłej porze próg świątyni — ciżba i nieporządek rosły dokoła.

Malahuda wzniósł głowę. Za bliski już i zbyt poufały był mu ten tłum... Po chwili zmieszania i słabości uczuł się znowu panem i przewodnikiem. Skinął ręką na znak, że chce mówić i powiedział krótko, spokojnie, że przyszła wprawdzie wieść, jakoby spełniona już była Obietnica, ale on, arcykapłan, zbadać wpierw wszystko musi, nim razem z ludem szaty radosne przywdzieje, i przeto chce, aby go zostawiono w pokoju[156] razem z wysłannikami.

Ale tłum, posłuszny zazwyczaj na pierwsze skinienie, tym razem zdawał się słów naczelnika swego nie słyszeć. Wołano dalej i rozprawiano żywo. Byli tacy, którzy krzyczeli, że Malahuda utracił już władzę i nie powinien rozkazywać, kiedy przyszedł Zwycięzca, oczekiwany i jedyny na Księżycu pan. Inni nie chcieli iść do domów, utrzymując, iż dnia tego słońce nie zajdzie, aby się wypełniły dość niejasne słowa proroka Rochy, który powiedział był: „A kiedy przyjdzie On, dzień już nastanie wieczny"...

[156] *w pokoju* — tu: w spokoju.

Słońce jednakowoż zachodziło — z wolna, ale stanowczo, jak dnia każdego, krwawiąc szeroką łuną nieboskłon i rozzłoconą w gęstych oparach wodę *Ciepłych Stawów*. Krwawiło się też morze rozległe i dachy szeroko na wybrzeżu rozsiadłej osady — a w dali — nad nią — błyszczały w słońcu trzy szczyty kamiennej wieży, w której na pohańbienie ludu mieszkał szern Awij, w otoczeniu żołnierzy swoich i morców, przysłany tutaj zza *Morza Wielkiego*, aby na znak poddaństwa haracz ze wszech ludzkich osad pobierać.

Nie wiadomo, kto pierwszy zwrócił w ten wieczór oczy na owo zamczysko, ale nim Malahuda spostrzegł, co się dzieje, wszystkie twarze — groźne — patrzyły już w tamtą stronę i podniosły się w górę ręce, uzbrojone naprędce w kije i kamienie. A przed tłumem, na przydrożnym głazie, stał w łunie zachodzącego słońca młody, czarnowłosy Jeret, daleki krewny arcykapłana, i wołał:

— Czyż nie jest obowiązkiem naszym oczyścić dom na przyjęcie Zwycięzcy? Wszakże pogardziłby nami i jako niegodnych od oblicza swego odtrącił, gdybyśmy jego tylko dłońmi chcieli zwyciężać!

A tłum ryczał za nim:

— Na hak Awija! Śmierć szernom! śmierć morcom!... — i walił się już ławą[157] ku czarnej wieży w oddali.

Malahuda pobladł. Wiedział, że załoga w zamku nie jest zbyt liczna i że tłum rozżarty może roznieść dziś całą twierdzę, tak iż nie pozostanie kamień na kamieniu, ale wiedział też, że za Awijem i jego garstką stoi cała straszliwa i zgubna potęga szernów — i że jedno ścięgno zerwane w skrzydle obrzydłego namiestnika znaczy znów wojnę nieubłaganą dla całego ludzkiego plemienia, a może znów klęski straszne i niewypowiedziane pogromy, jako za dawnych lat, za pradziada jego bywało.

Począł krzyczeć, aby się wstrzymali, ale głosu jego teraz nikt już nie słuchał, mimo że i obaj Bracia Wyczekujący tłumowi zastąpili drogę, wołając, że nie wolno pełnić niczego przed przybyciem Zwycięzcy, który jeden ma prawo wieść[158] i rozkazywać.

Jeret pchnął starszego z mnichów w pierś, aż upadł w tył na kamienie — i walił naprzód razem z całym tłumem wąskim przesmykiem między stawami.

Wtedy Malahuda uderzył w dłonie i na ten znak z dwóch dolnych skrzydeł gmachu, obok stopni wiodących do głównych wrót świątyni, sypać się poczęli zbrojni ludzie, kopijnicy, łucznicy i procarze, stałą straż arcykapłana i miejsca świętego tworzący.

Jak zgraja dobrze wytresowanych psów na jedno ręki skinienie zwrócili się na prawo i zwartym szeregiem, z gotową do uderzenia bronią w dłoniach, zastąpili przejście ludowi.

Jeret zwrócił się twarzą ku arcykapłanowi.

— Każ bić, stary psie! — ryczał spieniony — każ bić! niech przychodzący Zwycięzca nasze trupy tutaj zastanie zamiast wrogów ścierwa podłego! niech wie, że oprócz szernów i właśni nas gnębią tyrani, z którymi też porządek zrobić należy!

Chwila była groźna. Tłum miotał wyzwiska i rzucał już na zbrojnych kamieniami, którzy stali dotychczas spokojni i niewzruszeni pod gradem obelg i pocisków, ale po drgających twarzach i zaciśniętych kurczowo pięściach znać było, że dość pół słowa rozkazu, dość skinienia, mrugnięcia powiek bodaj, a pójdą ławą i będą tłukli i łamali, obojętni dla sprawy, za którą na rozkaz się biją, lecz radzi, że bić im pozwolono ten wrogi im zawsze i nienawistny tłum.

A ze zgrai coraz gęściej podnosiły się okrzyki wrogie dla arcykapłana. Wyzywano go i klęto, wołano, że jest sługą i przyjacielem szernów, i rzucano mu w oczy haniebny pokój, który był zawarł z nimi, mimo że ongi sławiono go jako zbawcę, iż tym pokojem właśnie lud od zguby ocalił.

Malahuda zwrócił się ku zbrojnym. Wznosił już rękę, aby dać znak, gdy nagle poczuł, że ktoś go chwyta za przegub dłoni i gwałtownym ruchem powstrzymuje. Obrócił się oburzony: za nim stała złotowłosa Ihezal.

— Ty!...

— On przyszedł! — wyrzekła twardo, rozkazująco prawie, z rozpłonionym[159] wzrokiem, nie puszczając z uścisku ręki starca.

---

[157] *ławą* — szeregiem (o sposobie atakowania).
[158] *wieść* — tu: przewodzić.
[159] *rozpłoniony* — dziś: rozpłomieniony.

Malahuda się zawahał. A jej oczy nagle zapełniły się łzami, osunęła się na kolana i przyciskając usta do dłoni, którą od wydania krwawego rozkazu powstrzymała, powtórzyła cicho i błagalnie:

— Dziadku! On przyszedł...

Arcykapłan, stanowczy zawsze i mimo wielką łaskawość, gdy postanowił coś, nieubłagany, uczuł w tej chwili, po raz pierwszy w życiu, że musi ustąpić... A przy tym ogarnęło go dziwne zniechęcenie, niemal bezwład duchowy. Wszak jutro ma tu przyjść ten, co odtąd władać pono będzie miast niego, niechaj więc już on sam...

Wdano się w układy z tłumem mimo namiętnej opozycji Jereta. Zapadająca noc ułatwiła porozumienie. Tłum zgodził się ustąpić pod warunkiem, że zbrojni otoczą wieżę i przynależny do niej ogród warowny — i noc całą długą, czuwając na przemian, w namiotach przepędzą, aby snadź[160] przed ranem, zasiągłszy[161] języka, nie umknął kto z tych, przyjściem Zwycięzcy na śmierć już skazanych.

Teraz dopiero mógł Malahuda zabrać obu wysłanników, aby zbadać dokładnie wieść, którą przynieśli.

Przybysze zmęczeni byli i senni, kiedy arcykapłan skinął na nich i wiódł przez kręte krużganki świątyni, które łączyły się z jego prywatnym mieszkaniem. Cień już zalegał przejścia i sale; tu i ówdzie jeno[162] rozpalał się w czerwonym świetle nafcianej pochodni złocisty znak Przyjścia: dwa złączone półkręgi Ziemi i Słońca... Coraz cięższe przygnębienie ogarniało starego arcykapłana. Patrzył na święte znaki po ścianach, na majaczące w mroku stołby[163] ołtarzy i kazalnice, kędy[164] razem z wybranymi wśród ludu modlił się o zesłanie Zwycięzcy i skąd niewątpliwe Przyjście jego wieścił — i dziwna, gorzka czczość wypełniała mu serce. Wieczorna pustka świątyni wydała mu się czymś strasznym, a odtąd stałym i już niezmiennym: odczuł po raz drugi, że upragnione Przyjście jest przede wszystkim zniszczeniem tego, co było, unicestwieniem religii oczekiwania, zrosłej[165] już z jego duszą...

Religia, Świątynia

Było mu, jakby kto powrozem jakimś twardym pierś jego oplątał i ścisnął — tak mocno, że nie może chwycić oddechu, a każdy wysiłek mięśni, aby zaczerpnąć powietrza, jako ból gryzący odczuwa. Obejmowało go bezradne a nieubłagane przerażenie. To, o czym sam wieścił zawsze, że przyjdzie w przyszłości jako wyzwolenie, zdało mu się teraz, gdy przyszło tak niespodziewanie (mimo proroctwa, mimo zapowiedzi, mimo wiarę ciągłą — tak niespodziewanie!), czymś przygniatającym i strasznym.

Za każdą cenę nie chciał — tak jest, nie chciał — wierzyć temu, co się stało. Teraz już, idąc przez puste krużganki z przybyłymi z wieścią posłami, nie taił nawet przed sobą, że wprost pragnie, aby się wieść okazała fałszywą.

Ale wysłannicy, gdy wreszcie samotrzeć[166] z nimi się zamknął, dawali takie niezbite dowody i mówili takim tonem przekonania, że niepodobna było dłużej wątpić o prawdzie ich słów. Senność ich odbiegła, gdy poczęli — po raz setny już może — mówić o tym, na co własnymi patrzyli oczyma. Opowiadali, przerywając sobie wzajemnie, rzecz zaiste dziwną i niepojętą. Mówili oto, jak onego[167] dnia, kiedy wszyscy razem z przełożonym Elemem zajęci byli zwykłymi w obliczu Ziemi modłami, błysła ponad ich głowami lśniąca kula ogromna i spadła na sam środek biegunowej równiny — i jak wyszedł z niej człowiek jasnowłosy, do księżycowych ludzi podobny, jeno[168] dwakroć przenoszący[169] ich wzrostem i dziwnie jasny, śmiejący się a mocarny. Mówili — obaj naraz, bezładnie — jak Elem, zjawisko zoczywszy[170], przerwał modlitwy proszalne natychmiast, a rozumiejąc, co się stało, pieśń zawiódł dziękczynną i tryumfalną i od Ziemi się już odwróciwszy, szedł ku

[160]*snadź* (daw.) — tu: przecież, wszakże.
[161]*zasiągłszy* — dziś: zasięgnąwszy.
[162]*jeno* (daw.) — tylko.
[163]*stołb* a. *stołp* (daw.) — wolno stojąca wieża obronna, wzniesiona w obrębie murów zamku; donżon; tu: podwyższenie, na którym wewnątrz budynku umieszczono ołtarz itp.
[164]*kędy* (daw.) — gdzie.
[165]*zrosły* — dziś: zrośnięty.
[166]*samotrzeć* (daw.) — sam z dwoma towarzyszami, tj. we trzech.
[167]*on* (daw.) — ów, tamten; tu forma D. *onego*: owego, tamtego.
[168]*jeno* (daw.) — tylko, lecz.
[169]*przenosić* — tu: przewyższać.
[170]*zoczyć* (daw.) — zobaczyć.

przybyłemu Zwycięzcy w gronie oszołomionych jeszcze i na wpół nieprzytomnych Braci — i opowiadali, co słyszeli i widzieli, jako ich witał Zwycięzca i co Elem przemawiał do niego — powtarzali wszystko słowy prostymi[171] i nieuczonymi z zapałem wielkim i dziecięcą niemal radością w oczach.

Malahuda słuchał. Wsparł pochyloną siwą głowę na dłoni i milczał. W miarę jak Bracia opowiadali mu coraz nowe szczegóły, dotyczące dziwnego przybysza, on w myśli przebiegał proroctwa stare i zapowiedzi w odwiecznych księgach złożone, wydostawał z bogatej, latami wyćwiczonej pamięci słowa i zdania Pisma i porównywał je wszystkie z tym, co słyszał — i widział, że zgadza się wszystko co do litery. I zamiast radości, posępność coraz większa a niewytłumaczona spadała mu na duszę.

Odprawił wreszcie Braci, kiedy im już senność znużone języki plątać poczynała, ale sam długo jeszcze nie szedł na spoczynek. Wielkimi krokami przemierzał salę i zachodził kilkakroć w opustoszałe krużganki świątyni, jak gdyby odnaleźć w nich chciał na powrót — coś... sam nie wiedział, jak to ma nazwać: wiarę? spokój? pewność? Ale troskę znajdował tylko i strach niepojęty.

Śnieg już nocny pokrywał księżycowe pola i padał dużymi płatami na marznące morskie zatoki, kiedy Malahuda, znużony i stargany wewnętrzną rozterką, udał się nareszcie do swojej sypialnej komnaty. Sen jednak nie czepiał się jego powiek tej nocy. Budził się co kilka godzin, nim nadchodziły pory zwykłych nocnych posiłków — i długo później nie mógł zasnąć. Po północy o drugim wstawaniu zaszła ku niemu Ihezal, odprawił ją jednak pod pozorem, że ma ważne zajęcia, wymagające samotności — i poszedł znów do świątyni.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, po co idzie i czego chce, aż dopiero gdy stanął w wielkiej sali u drzwi z kutej złoconej miedzi, znajdujących się poza wyniosłą kazalnicą, a wiodących do miejsca najświętszego, gdzie księgi prorockie chowano, zrozumiał naraz, że to było nieświadomą myślą jego od wieczora, której tylko przez dziwny lęk jakiś nie śmiał wykonać: iść tam i przejrzeć jeszcze raz te wszystkie księgi odwieczne i święte, księgi, które tylko w porze wielkich uroczystości, w drogie tkaniny owinięte, wnoszono za nim na kazalnicę, aby z nich Słowo czytał ludowi.

Tak! iść tam i tych ksiąg, którym zawsze był tylko posłuszny, spytać się nareszcie, czy nie kłamią — przebiec gasnącymi oczyma jeszcze raz ich treść, ale nie jako dotychczas bywało, ze czcią jeno a nabożeństwem, lecz z tą badawczą ciekawością, która niewątpliwie jest grzechem... Czuł, że popełnia świętokradztwo, wchodząc tu dzisiaj z tą myślą, ale nie mógł się już oprzeć... Dawnym, codziennym nałogiem sięgnął jeszcze po złotą obręcz u dźwierzy[172] wiszącą i nakrywszy nią włosy, przycisnął zamek tajemny...

Za rozwartymi drzwiami zionęła czeluść w dół wiodących schodów. Zstępował nimi z kagankiem, od stóp kazalnicy wziętym, czytając bezmyślnie złote na ścianach napisy, które zapowiadały śmierć nagłą i klęski wszelakie tym, którzy by się tutaj bez nabożnej myśli wnijść ośmielili. A potem, kiedy się już znalazł w sali podziemnej, bogatym nakrytej sklepieniem, drzwi nawet za sobą nie zamknąwszy, jął z pośpiechem dobywać ze skrzyń rzezanych[173], suto drogim metalem i kamieniami nabitych, pergaminy stare, jak twarz jego pożółkłe i działaniem wieków zetlałe: karty nieliczne z proroctwami pierwszej kapłanki Ady, jej ręką pono w *Kraju Biegunowym*, gdzie życia dokonała, spisane, a z trudem wielkim przed dwoma setkami lat od Braci Wyczekujących dobyte, i potem księgi inne, na przemian proroctwa i historię ludu zawierające, aż do grubych foliałów spisanych przez ostatniego męża bożego, Tuheję, którego znali jeszcze jego pradziadowie.

Rzucił to wszystko — całe brzemię stuleci — na stół marmurowy i rozjarzywszy świecznik, czytać począł szybko, pośpiesznie, nawet zwykłego znaku przed otwarciem księgi na czole nie kreśląc.

Mijały długie godziny, których każdą dwunastkę oznajmiała kula, spadająca z zegaru[174] w misę miedzianą; starzec, znużony, zasypiał chwilami w wysokim karle i budził się znów, i znowu czytał księgi, tak dobrze mu znane, a w przerażająco nowej postaci stające dzisiaj przed jego oczyma. Dawniej widział w nich prawdę, a dzisiaj znalazł tylko

[171]*słowy prostymi* — dziś: słowami prostymi.
[172]*dźwierze* (daw.) — drzwi.
[173]*rzezany* — tu: rzeźbiony.
[174]*zegaru* — dziś popr. forma D.: zegara.

tęsknotę, która zrazu — na kartach kapłanki Ady i u rzadkich pierwszych proroków — nieokreślona i mgława, jakimś wyśnionym (a może nawet rzeczywistym?) widmem Starego Człowieka wywołana, rosła i krystalizowała się w miarę postępu czasów i nieszczęść na lud spadających. Naprzód była tam tylko mowa o Starym Człowieku, który lud na Księżyc z Ziemi przywiódł i odszedłszy na Ziemię, ma z niej kiedyś znowu powrócić, a później dopiero jawić się poczęła obietnica wybawiciela, który, będąc w istocie swej Starym Człowiekiem, będzie zarazem odmłodzoną jego postacią i przyjdzie jako Zwycięzca, aby lud uciśniony wyzwolić. I spostrzegł Malahuda, iż Ada pierwszy raz powrót Starego Człowieka zapowiedziała, kiedy jej doniesiono w *Kraju Biegunowym* o najściu na osady przy *Ciepłych Stawach* szernów zza morza, o których istnieniu na Księżycu przedtem ludzie podobno nawet nie wiedzieli — i że później w ciągu wieków każde nieszczęście i każda klęska miały swego proroka, który tym rychlejsze przyjście Zwycięzcy obiecywał, im cięższa na lud dola spadała.

Gorzki, ironiczny uśmiech osiadł na jego wargach. Z coraz większą zapamiętałością, gorączkowo przerzucał pisma szanowne i czczone, grzebał w nich drżącymi rękoma i okiem rozpłonionym[175] — i wynajdował sprzeczności i błędy, i tak, nie wiedząc prawie, co czyni (a czynił rzecz nieodwołalną), walił gmach wiary życia swego całego.

Na ostatnią kartę ostatniej księgi ciężko opadły mu dłonie. Wiedział już na pewno, że żaden Zwycięzca nigdy przez nikogo naprawdę nie był przyobiecany i że wszystkie proroctwa były jeno wyrazem tęsknoty ludu, uciemiężonego przez potwornych i złośliwych księżycowych pierwobylców...

— A jednak — przyszedł!

Była to dla niego zagadka nie do rozwiązania, paradoks jakiś ironiczny a straszny! A przy tym jeszcze i druga rzecz: jakieś błędne koło uczucia, z głębi najtajniejszych wnętrzności jego się wyłaniające. Oto przed chwilą zburzył był w duszy całą wiarę swoją, a teraz czuje, że wszystko w nim się oburza na myśl, że ten przybysz dziwny, przez proroków w istocie nieprzepowiedziany, przez proste ukazanie się swoje wywróci całą religię oczekiwania, na owych proroctwach opartą!

I znowu przyszło mu na myśl, że on może nigdy naprawdę nie wierzył, że słowa, które mówił do siebie i do ludu, inne miały znaczenie niż to, które on sam pozornie do nich przywiązywał, że wszystko to był sen jakiś, który teraz przez dziwny i przekorny wypadek stał się rzeczywistością, zgoła niewołaną...

A czuł jednocześnie, że żal mu jest wiary.

Starał się ująć to wszystko w jakąś formułę, usiłował zrozumieć sam, o co mu chodzi właściwie, ale myśli rozpierzchały się za każdym razem, pozostawiając jeno bolesną pustkę w jego głowie i sercu.

I właśnie kiedy tak dumał, weszła była jasna Ihezal — i oto stoi przed nim z tym strasznym pytaniem na ustach i w oczach płonących:

— Dziadku! ty nie wierzysz, że to... On?

Postąpił kilka kroków ku dziewczynie i ujął ją miękko oburącz za głowę.

— Wyjdźmy stąd, Ihezal...

Przed chwilą jeszcze, gdy dłoń ku niej wyciągał, oporna teraz oszołomiona snadź tym, co w oczach starca spostrzegła, dała mu się prowadzić spokojnie i bez słowa. Ujął ją więc wpół i wiódł w górę po schodach, pozostawiając za sobą w nieładzie rozrzucone księgi święte i czcigodne, których był strażnikiem... Złoty znak Przyjścia błyszczał za nimi w dogasającym blasku świecznika.

Gdy weszli z powrotem do świątyni, wlewał się już przez okna szary blask dnia przychodzącego, który na kilkadziesiąt godzin przed wschodem słońca na Księżycu jego zjawienie się już zapowiada.

Malahuda, wnuczkę wciąż wpół trzymając, podszedł z nią ku ogromnemu oknu, na wschód zwróconemu. Przez opary, z *Ciepłych Stawów* wstające, widać było w nikłej szarej poświacie zamarzłe morze i śniegiem pokryte góry na wybrzeżu. Cisza była ogromna po wszystkich ludzkich osadach, jeno z trójszczytowego zamku szerna Awija, snu nieznającego, bił blask pochodni czerwony i krzyki jakieś a nawoływania. Dookoła, w śniegiem przysypanych namiotach, czuwali według rozkazu zbrojni arcykapłana.

---

[175] *rozpłoniony* — dziś: rozpłomieniony.

Milczeli długo oboje, we wstający świt nowego dnia zapatrzeni, aż nareszcie biała Ihezal, odstąpiwszy kilka kroków, rzuciła futro na posadzkę świątyni i stając nago, jako prawo przysięgającym każe, obróciła dłonie ku wschodowi, a potem ku północy, w stronę, kędy jest Ziemia, i rzekła:

— Jeślibym kiedy zaprzestała wierzyć w Niego, jeślibym Mu nie oddała wszystkich sił moich, mojej młodości i życia mego całego i tętna wszystkiej krwi mojej, jeślibym oprócz Niego pomyślała o jakimkolwiek innym człowieku: niech zginę marnie i przepadnę, albo niech matką morca się stanę! Słyszy Ten, który jest!

Malahuda zadrżał i mimo woli pokrył oczy dłonią, słysząc to straszliwe zaklęcie, ale nie wyrzekł ani słowa.

Świt coraz srebniejszy[176] robił się na świecie, rzucając perłowe blaski na nagą dziewczynę, falą złotych włosów jeno okrytą.

II

Elem stał na szczycie wzgórza, oddzielającego *Kraj Biegunowy*, w którym słońce nigdy nie wschodzi ani nie zachodzi, od wielkiej bezpowietrznej pustyni, blaskiem świętej gwiazdy, Ziemi, oświetlonej. Różowe, po horyzoncie ślizgające się słońce płonęło mu na gładko wygolonej czaszce i drżało metalicznymi połyskami po długiej, kruczej, kędzierzawej brodzie. Ziemia stała w pierwszej kwadrze; tam daleko, nad *Wielkim Morzem*, w krainie przez ludzi zamieszkałej, był właśnie poranek. Zakonnik, tyłem od srebrnego sierpa Ziemi odwrócony, patrzył w dół, w mroczną zieloną kotlinę. Większa część Braci rozeszła się już była za jego rozkazem na cały świat księżycowy, roznosząc po ludzkich osadach radosną nowinę o przybyciu Zwycięzcy — nieliczna garść tych, którzy pozostali, krzątała się około przygotowań do podróży. Elem widział z góry, jak w długich, ciemnych habitach, z golonymi czaszkami — snuli się skrzętnie dokoła namiotów (jako „wyczekujący" bowiem w namiotach, nie w domach mieszkali), wynosząc sprzęty i zapasy na drogę potrzebne lub przygotowując wózki i psy do zaprzęgu. Zwycięzca snadź spał jeszcze w swoim lśniącym wozie, do wydłużonej kuli podobnym, w którym przebył międzygwiezdne przestrzenie, bo cisza tam była i nikt się w pobliżu nie ruszał.

Za godzin kilkanaście miano już na zawsze opuścić *Kraj Biegunowy*, dachy te, niezliczonym pokoleniom mnichów służące, tę łąkę chłodną i zieloną — i różowym słońcem ozłocone wzgórza, skąd na widnokręgu nad pustynią Ziemię widać jasną. Elem myślał o tym bez żalu; owszem, duma radosna pierś mu rozpierała, że za jego życia i przełożeństwa dokonały się czasy i przyszedł ten od wieków zapowiedziany i oczekiwany. Odtąd poczynała się nowa era. On widział ją już w myśli, jasną, tryumfalną — widział pokonanych i upokorzonych szernów nienawistnych, którzy jako pierwobylcy śmią sobie rościć jedyne do Księżyca prawo, mimo że on przez Starego Człowieka ludziom był oddany — myślał z rozkoszą o wytępieniu do nogi, do imienia przeklętych morców, a ponadto myślał o wielkim tryumfie i władztwie Braci niegdyś Wyczekujących, a dzisiaj Weselnych, którzy pierwsi według obietnicy przychodzącego Zwycięzcę ujrzeli i przyjęli, i z nim teraz razem, jak orszak wierny i nieodstępny, pójdą zaprowadzać nowe królestwo na księżycowe kraje...

Pilno mu było wyruszyć już na południe, w one ludzkie dziedziny, których nie widział — w pustynię i daleką Ziemię wpatrzony — od kiedy chłopięciem wstąpił do Zakonu, ale które go znały panem co najmniej równym arcykapłanowi na stolicy przy *Ciepłych Stawach*, a nawet wyższym od niego, bo władnącym[177] z dala duchami i od zdobywczej mocy szernów niezawisłym.

Ale tymczasem, nim wywieść miał nareszcie z wieczystych siedzib żywych Braci Zakonu, co z nim razem Przyjścia się doczekali, należało zrobić porządek ze zmarłymi.

Obejrzał się. Na szczycie wzgórza, kędy stał, i dalej, na innych ku *Pustyni* opadających grzbietach, głazami podparci siedzieli wszyscy Bracia Wyczekujący, którzy zmarli, nim nadszedł Zwycięzca — i trupimi, zaschłymi twarzami patrzyli bezmyślnie w stronę srebrnej Ziemi na czarnym widnokręgu.

---

[176] *srebniejszy* — dziś: bardziej srebrny.
[177] *władnący* — dziś: władający.

Tak przed wiekami — z twarzą ku Ziemi — ułożyć się tutaj kazała pierwsza kapłanka i święta Bractwa założycielka, Ada, która po odejściu Starego Człowieka dokonała życia w *Kraju Biegunowym*, patrząc na *Gwiazdę Wielką* ponad *Pustyniami* — i tak za jej przykładem umieszczano wszystkich Braci, którzy pomarli.

Kto raz wstąpił do Zakonu, wyrzekał się wszystkiego i nie opuszczał już *Biegunowej Krainy* za życia ani po śmierci. Bracia tracili rodzinę, nie znali majętności, trunku ani jadła gotowanego, czyści mieli być, wstrzemięźliwi i prawdomówni a zwierzchnikowi swemu posłuszni, a obowiązkiem ich najpierwszym było: czekać w pogotowiu... Czas, niemający w tej dziwnej krainie dnia ani nocy, spędzali na pracy ręcznej i modłach, które odprawiano na górze, z twarzą ku Ziemi zwróconą. A kto umarł, zwalniał się od pracy, lecz w modłach żywym towarzyszył. Nie palono go bowiem ani w grobie chowano, lecz wyniósłszy na wzgórze, opierano plecami o głaz, aby patrzył na Ziemię i czekał Przyjścia razem z żywymi.

Byli tacy, którzy, czując zbliżającą się śmierć, wyprowadzać się tam towarzyszom kazali, aby w obliczu Ziemi życia dokonać.

W chłodnym i rozrzedzonym powietrzu trupy się nie psuły. I z biegiem lat ten Zakon umarły liczniejszy się stał od żywego Zakonu. Słońce krążyło około wyschłych trupów, a one trwały tak — niezmienne, spokojne i „wyczekujące". Kiedy Ziemia była na nowiu i słońce płomienne stało ponad nią, rozjarzały się czerwonym blaskiem poczerniałe twarze i gorzały tak, dopóki blask słoneczny z nich nie zszedł, ustępując miejsca wzmagającemu się wciąż, trupio sinemu światłu Ziemi. O godzinie pełni Bracia Wyczekujący przychodzili modlić się na górę, a kiedy posiadali na głazach wśród trupów, mając słońce za plecami, trudno było zaprawdę rozróżnić, którzy są żywi, a którzy umarli.

Tak właśnie siedzieli byli dnia poprzedniego, zmarli z żywymi pospołu, kiedy owa wielka rzecz się stała. A gdy Elem zawołał: „On przybył!" — zdziwił się, że wstali tylko żywi, aby witać z nim Zwycięzcę, że nie powstały zarazem te trupy i nie zawiodły hymnu radosnego, tak jak oni, że czasy się już wypełniły i koniec nędzy na Księżycu...

I teraz patrzył prawie z oburzeniem na tę rzeszę nieżywą, że trwa jeszcze wciąż w bezmyślnym i bezcelowym już oczekiwaniu, twarzami martwymi ku Ziemi zwrócona, chociaż ten, wyglądany i wyczekiwany, jest już pomiędzy nimi. Zdawało mu się ciągle, że ruszyć się winny te wszystkie trupy, stare, zeschłe i w proch się już rozsypujące — i inne, niedawne, z pozoru jakoby jeszcze żywe — powstać i iść tłumnie tam w dolinę i witać tego, którego za życia i po śmierci oczekiwały.

Ale wśród trupów cisza była niezmierna i wieczne, uroczyste milczenie. Elem szedł z wolna. Minął kilku niedawno na spoczynek ułożonych Braci, wstępując ku szczytowi wzgórza, kędy był grób kapłanki Ady. Widny był z dala głaz olbrzymi i wiecznie słońcem oświetlony, już na łysym czole wzgórza, a pod nim, od strony ku Ziemi dokładnie zwróconej, na tronie z czarnych kamieni siedział drobny, zeschły trup świętej prorokini, która twarzą w twarz Starego Człowieka oglądała: garstka kości, sczerniałą powleczonych skórą, w sztywnych szatach kapłańskich, gęsto złotymi naszytych ozdobami. Dookoła u stóp jej były groby przełożonych Zakonu i mężów świętym życiem celujących, którym w nagrodę cnoty to czestne[178] ku wyczekiwaniu miejsce przeznaczono.

Elem oparł się dłonią o podnóże grobowego tronu i patrzył ku Ziemi... Stała w kwadrze, jasna i daleka jak zawsze, z wyraźnymi na srebrnej tarczy zarysami mórz i lądów, z dawnej i głuchej już wieści tylko księżycowemu ludowi znanych.

Strach go jakiś przejął.

— Matko Ado — szepnął wznosząc dłoń, aby dotknąć zeschłych stóp — matko Ado, święta Założycielko! Oto, jakoś przyrzekła, powrócił Stary Człowiek młodzieńcem do ludu swojego i jest pomiędzy nami! Matko Ado, pójdź go powitać...

Ostrożnie objął ciało i chciał je ruszyć z wiekowego siedzenia, gdy naraz posłyszał głos za sobą:

— Nie tykaj!

Odwrócił się. Wśród trupów siedział bez ruchu Choma, najstarszy z Braci Zakonu i wiekiem już zdziecinniały. Patrzył gniewnie na przełożonego i powtarzał wciąż, trzęsąc siwą brodą:

— Nie tykaj! nie tykaj! nie wolno!...

---

[178] *czestny* — dziś: poczesny; uczczony, obdarzony czcią.

— Co tu robisz? — zapytał Elem.

— Wyczekuję, jako Zakon każe. Jest godzina wyczekiwania.

To mówiąc, wyciągnął drżącą, suchą dłoń, wskazując Ziemię, dokładnie w pierwszej kwadrze stojącą.

— Czas wyczekiwania już się skończył — rzekł Elem. — Idź na dolinę; tam jest Zwycięzca.

Choma potrząsł starą głową:

— Prorok Samielo powiedział: „Powstaną ci, którzy umarli, aby witać tęsknotę żywych oczu swoich!". Umarli jeszcze czekają i ja czekam razem z nimi. Zwycięzca nie przybył!

Elema nagły gniew zebrał:

— Głupiś jest ty i trupy są głupie! Jak śmiesz wątpić, gdy ja ci mówię, że Zwycięzca jest pomiędzy nami?! Trupy nie wstają tylko dlatego, że są martwe — i to ich wina! Ale je wszystkie pod stopy Zwycięzcy zwleczemy!

To mówiąc, pewnym krokiem wstąpił na piedestał i owinąwszy płaszczem ciało Ady, wziął je na ręce i począł schodzić ku dołowi z tym brzemieniem. Choma jęknął głucho i zakrył oczy, aby nie patrzeć na to świętokradztwo przełożonego.

On tymczasem szedł ku dolinie, stanowczy i już spokojny, z ciałem pierwszej kapłanki w ramionach, a spotkawszy w drodze kilku Braci, którzy wyszli go szukać, rozkazał im zebrać inne zwłoki i ułożyć z nich wielki stos na równinie...

— Czas ich wyczekiwania także się skończył — rzekł — niechaj odpoczną...

Ten, którego nazywano Zwycięzcą, powstał był tymczasem i wyszedł ze swego lśniącego wozu stalowego.

Elem, spostrzegłszy go z dala, złożył szybko ciało Ady na mchu i pobiegł z powitaniem.

— Panie, panie! — mówił, zginając się — bądź pozdrowiony...

Wszystka swada i pewność siebie odbiegła go na widok tego olbrzymiego przybysza, dwakroć wzrostem księżycowych ludzi przewyższającego (jest podanie, że taki wzrost mieli pierwsi prarodzice, których Stary Człowiek z Ziemi przywiódł z sobą), zwłaszcza że trudno mu było porozumieć się z nim, gdyż mówił językiem dziwnym, podobnym do zachowanego w najstarszych jeno księgach świętych, którego ludzie niepiśmienni od dawna już na Księżycu nie rozumieli.

Przybysz uśmiechnął się, widząc zakłopotanie mnicha.

— Nazywają mnie na Ziemi Markiem — rzekł.

Elem pochylił znów głowę.

— Wolno ci, panie, na Ziemi nosić imię, jakie zechcesz; tutaj u nas masz od wieków tylko jedno: Zwycięzca!

— Zwyciężyłem rzeczywiście więcej, niż możesz przypuszczać — rzekł Marek — przybywając tutaj z Ziemi. Tamci mieli towarzyszów, ja jestem sam — dodał jakby do siebie, patrząc w stronę dalekiej Ziemi na niebie.

Potem zwrócił się znów do Elema:

— I nie dziwno wam, że przybyłem?

— Wiedzieliśmy, że przybędziesz.

— Skąd?

Elem spojrzał na niego zdumionymi oczyma:

— Jak to? czyż nie dałeś przyrzeczenia Adzie, kiedy jako... Stary Człowiek stąd odchodziłeś? A później wszyscy nasi prorocy...

Urwał z przestrachem, gdyż „Zwycięzca" wybuchnął tak szalonym i nieposkromionym śmiechem, jakiego od wieków nie słyszano w cichej *Biegunowej Krainie*. Śmiały mu się usta i oczy, i cała młoda twarz się śmiała — przysiadł aż na ziemi i począł jak dziecko rozbawione bić się dłońmi po udach.

— Więc wy, więc wy... — mówił, dusząc się od śmiechu — wy myślicie, że ten wasz „Stary Człowiek", sprzed sześciu- czy siedmiuset lat — to ja? Ależ to nadzwyczajne! Tutaj, jak widzę, cała legenda urosła! I ja mam być teraz jak chiński bożek... O! drodzy, ziemscy towarzysze moi! gdybyście wy wiedzieli, jakie mi te kochane karły przyjęcie zgotowały! Pójdźże, mój papieżu, niech cię uściskam!

Mówiąc to, pochwycił oniemiałego Elema i uniósłszy z ziemi jak piórko, począł z nim tańczyć po równinie.

— O, ukochany, zacny potomku podobnych do mnie szaleńców! — wołał — jakże ja się cieszę, żeście wy tutaj na mnie czekali! Będziemy sobie tutaj żyli wesoło, ty pokażesz mi wszystko, co widzieć pragnę, a potem — potem muszę cię zabrać z sobą, gdy będę powracał na Ziemię!

Postawił zakonnika obok i mówił dalej:

— Wiesz! bo ja mogę wrócić każdej chwili, gdy zechcę! Nie tak, jak tamci szaleńcy sprzed siedmiu setek lat, dzięki którym wy się po Księżycu roicie.

Chwycił go za rękę jak dziecko i pociągnął ku wozowi.

— Patrz, przede wszystkim spadłem tutaj, nie gdzieś na bezpowietrznej pustyni, którą tamci musieli z trudem przebywać. Strzał był dobrze wymierzony? co? w sam środek kotliny biegunowej, między wasze domki, którzyście mnie mimo mej wiedzy tu oczekiwali... A potem — widzisz, że pocisk stoi w zewnętrzny płaszcz swój stalowy wgłębiony jakby w armatę! Tak, tak, czcigodny szamanie! przyjechałem we własnej kolubrynie, która się sama nabiła zagęszczonym powietrzem, spadając. A widzisz, jak stoi, wymierzona? Pod tym samym kątem, jak spadła... Tam pod spodem jest rodzaj nóg, które w grunt się zagłębiły — prześliczna laweta! Dość mi wejść, zamknąć się i guzik tam nacisnąć i — wracam na Ziemię. Tą samą drogą — rozumiesz? matematycznie tą samą drogą, którą przybyłem — wracam na Ziemię!

Mówił szybko i wesoło, nie zważając, że mnich nawet treści słów jego nie rozumie. W chaosie tym zdołał on złapać tylko jedno zdanie: „wracam na Ziemię!". I nagły, potworny przestrach chwycił go dławiącą garścią za krtań.

— Panie, panie! — zdołał jeno wykrztusić, czepiając się kurczowo wzniesionymi dłońmi jego rękawa.

Marek spojrzał na niego — i żart zamarł mu na ustach. Mnich wyglądał wprost strasznie. Trzęsły mu się drobne, dziecinne ręce, a w oczach wzniesionych wyła jakaś okropna prośba i rozpacz, i lęk...

— Czego?... czego ty?... — szepnął mimo woli, o krok się cofając.

Elem wybuchnął:

— Panie! ty nie wracaj na Ziemię! My na ciebie czekali! panie, czy ty rozumiesz, co to znaczy: my czekali na ciebie przez długich siedem setek lat! Przybyłeś oto i mówisz rzeczy dziwne, których ani ja nie pojmuję, ani nie pojmie nikt na Księżycu! My wiemy tylko jedno: gdyby nie wiara w ciebie, gdyby nie ufność, że przyjdziesz naprawdę, życie by tutaj było niemożliwe — w nędzy, w uciśnieniu, w takiej poniewierce! A ty mówisz teraz, że odjedziesz, i chcesz mi pokazywać...

Odwrócił się i nagłym ruchem wyciągnął dłoń ku cichym, drobnym zwłokom Ady, zniesionym na mniszym płaszczu z góry, skąd Słońce widać i Ziemię.

— Patrz! Oto jest Ada, kapłanka twoja, która cię znała, gdyś był tutaj Starym Człowiekiem, i której pierwszej obiecałeś powrócić! Czekała na ciebie do końca dni swoich, a kiedy zmarła, czekała jeszcze, ślepymi oczyma zwrócona ku Ziemi, tak jako my czekaliśmy codziennie, tak jako tamci z nią i z nami czekali!

To mówiąc, pokazywał ręką wzgórze, kędy snuli się — z dala w różowym słońcu widoczni Bracia Wyczekujący, ruszając z odwiecznych miejsc trupy, aby je na dół pod nogi Zwycięzcy poznosić.

— Tamci już ciebie nie potrzebują! Przyszedłeś — i skończyło się już ich nużące pośmiertne czuwanie! Spłoną na wieczny spoczynek tu w tej kotlinie, kędy nigdy jeszcze ogień nie płonął, bo my bez ognia, jakoby na godzinę z domu wyszedłszy, w tych namiotach przez siedem wieków ciebie czekali! Ale my cię potrzebujemy, potrzebują cię ci wszyscy, po księżycowym globie rozsiani, nad morzem dalekim, na równikach, na górach i nad strumieniami!... A ty, przybywszy, igrasz ze mną, a potem — chcesz wracać!

Mówił to wszystko gorąco, niemal uroczyście, bez cienia przestrachu, który pierwsze zdania w gardle mu dławił. Przy ostatnich słowach głos jego zadrgał, jakby gorzką jakąś, bolesną ironią.

Marek się już nie śmiał. Patrzył na mnicha szeroko rozwartymi oczyma, jak gdyby teraz dopiero zrozumiał, że szalone przybycie jego na Księżyc związało się przez przypadek z czymś wielkim, że wziął — nie wiedząc o tym — jakieś brzemię na ramiona... Przed

chwilą śmiał się z legendy, w którą wplótł się mimo woli — teraz strach go ogarnął. Przetarł dłonią czoło i spojrzał po mnichach, którzy właśnie z gór stare zwłoki znosili i w milczeniu je na mchu układali, wszystkie twarzą ku niemu zwrócone.

— Czego wy chcecie ode mnie? — rzekł mimo woli.

— Zbaw nas, panie! — zakrzyknął Elem.

— Zbaw nas, zbaw nas, panie! — powtórzyli chórem, jak echo, Bracia Wyczekujący.

— Ale co wam się dzieje? mówcież nareszcie...

Urwał i odetchnął głęboko.

— Co wam jest?

Elem obejrzał się na skupiających się za nim Braci, a potem wystąpił naprzód.

— Panie — zaczął — gnębi nas zło. Szerny nas gnębią. Kiedyś stąd jako Stary Człowiek odchodził...

Marek przerwał mu niecierpliwie ruchem ręki. Przysiadł na ziemi i przyzwał mnicha skinieniem do siebie.

— Przepraszam cię, bracie — rzekł, kładąc dłoń na drobnym jego ramieniu — przepraszam za moje zachowanie, ale... Słuchajże mnie teraz dobrze i staraj się zrozumieć to, co mówię. Zrobię dla was wszystko, co tylko w mocy mej leży, chociaż... ja nie jestem — rozumiesz mnie? — ja nie jestem tym waszym Starym Człowiekiem. Tamten umarł przed siedmiuset laty, tu na Księżycu, na bezpowietrznej pustyni, a wiem o nim i o was tylko dlatego, że przed śmiercią przysłał nam w kuli na Ziemię swój pamiętnik... Ja całkiem przypadkowo na Księżyc przybyłem, nie wiedząc, że wy mnie tu czekacie...

Elem uśmiechnął się nieznacznie. Wszak — jako Ada w pismach swych świadczy — to było zawsze zwyczajem Starego Człowieka, że nie chciał, aby wiedziano, iż on jest... Starym Człowiekiem. To samo teraz powtarza się u Zwycięzcy. Jednakże skłonił głowę w milczeniu, jakoby zgadzając się na to, co słyszy.

Marek tymczasem mówił dalej:

— Ale przybyłem. I koniec końców, widząc, że mnie potrzebujecie, gotów jestem... Nie wiem, czy zrobić potrafię, czego wy się po mnie spodziewacie. Kto są ci szernowie? To pierwobylcy tutejsi, nieprawdaż?

— Tak. Straszni. Od kiedy ty od nas... od kiedy odszedł od nas Stary Człowiek, całe dzieje nasze to jedna i nieustanna walka z ich złą przemocą. Tam, przy Ciepłych Stawach, gdzie pierwsza była osada, są księgi w podziemnym skarbcu złożone... My tutaj ksiąg nie potrzebujemy; z ust do ust wieść o tobie się przekazywała — ale tam są księgi. Niektóre z nich zapowiadają twoje przyjście. A inne zaczynają się zawsze od słów: „Ażeby Stary Człowiek wiedział i znał niedolę ludu swego, kiedy powróci Zwycięzcą...". I rzeczywiście mało jest kart w nich, które by mówiły o czym innym, jak o niedoli ludu twojego, panie. Tam jest spisana nasza historia. Kiedy przybędziesz nad *Ciepłe Stawy*, o panie! i przeczytasz te księgi, dowiesz się, że szernowie trapią nas już od siedmiu setek lat. Zaraz po odejściu... Starego Człowieka przeprawili się przez *Wielkie Morze* i zaczęli niszczyć nasze siedziby. Były czasy, kiedy nikt nie mógł oddychać. Palili domy nasze, młódź naszą mordowali i uprowadzali nasze kobiety. A dzisiaj, dzisiaj, kiedy ty powróciłeś, o panie! jest gorzej, niż było kiedykolwiek! Wszystkie ludzkie osady, na północ od *Morza Wielkiego* aż po krańce *Pustyni* rozsiane, są pod władzą szernów! Przy *Ciepłych Stawach*, tam, gdzie jest arcykapłańska stolica, mają swego namiestnika, który z wieży warownej włada i haracz pobiera. Uczyniono pokój z szernami, panie, ale lepsza śmierć od takiego pokoju. Tu — w *Kraju Biegunowym*, kędy my, ciebie wyczekujący, mieszkali, to miejsce jedyne, dokąd wraża moc ich nie sięga! Boją się widoku błogosławionej Ziemi, którą gwiazdą złą i przeklętą nazywają, jak gdyby w zwierzęcej ciemności swej przeczuwali, że stamtąd ty przyjdziesz, zbawca nasz, a ich pogromca i pognębiciel. Ratuj nas, panie!

— Ratuj nas, ratuj! — zakrzyknęli znowu mnisi i zaczęli się cisnąć do Zwycięzcy i obejmować rękoma jego nogi. Oni, którzy się rodzin i mienia dla oczekiwania jego wyrzekli, przypomnieli sobie teraz, że mają tam w ujarzmionym kraju krewnych i znajomych, i zaczęli, przerywając sobie wzajemnie, opowiadać bezładnie krzywdy, które się tamtym stały od szernów, morderstwa, pożogi i uciśnienia.

W tym gwarze jękliwych i nienawiścią zawziętych głosów jedno tylko zdanie wyraźnie wciąż się powtarzało:

— Ratuj nas! ratuj!

Marek siedział na ziemi z zaciśniętymi ustami i ściągniętą brwią. Ważył coś w myśli długo, choć głosy błagalne już umilkły i cisza pełna oczekiwania zrobiła się dokoła niego... Była chwila, że spojrzał mimo woli na wóz swój błyszczący i każdej chwili gotowy do odjazdu, jak gdyby chciał siąść weń i uciekać w międzyplanetarne przestrzenie tam ku Ziemi — ale myśl tę szybko odrzucił od siebie. Postanowienie jakieś twarde ścięło rysy jego młodej twarzy.

— Jacy są ci szernowie? czy podobni do ludzi? — zapytał.

— Nie, nie! Oni są straszni!

— Straszni, straszni! — zawołali mnisi.

Marek zwrócił pytające oczy na Elema. Na twarzy zakonnika malował się wstręt, z bólem wprost graniczący. Pochylił głowę, a po chwili wykrztusił:

— Straszni są. Sam ich, panie, zobaczysz.

— Chcę wiedzieć teraz. Czy mają co ludzkiego w sobie?

— Nic. Okrom rozumu. A i ten jest inny, bo zła i dobra nie rozróżnia.

— Jak wyglądają?

— Mniejsi są od nas. Tak, jeszcze mniejsi. Mają skrzydła, ale tylko z trudem ich używają. Umieją wydawać głos i mowę ludzką potrafią zrozumieć, między sobą jednak porozumiewając się za pomocą świetlnych rozbłyśnięć na czole... Ach! są straszni! i ohydni! ohydni! i źli...

Marek powstał. Dookoła niego byli teraz wszyscy Bracia zgromadzeni; nieopodal leżał ogromny stos ciał i kości, ze wzgórza słonecznego zniesionych. Ruszono też z miejsca namioty stare i podkładano pale i płótna, ażeby płomieniom dać lepszą strawę. Elem, spostrzegłszy, że Zwycięzca przygląda się stosowi, przerwał opowiadanie i pojrzał[179] mu w twarz pytającym wzrokiem.

— Czy mamy ich spalić? — rzekł po chwili.

Marek nie odpowiadał. Więc mnich przystąpił ku niemu bliżej i odezwał się znowu:

— Panie, czy mam stos podpalić? Czy wolno im już spocząć, a nam wracać do ludzi? Do domów naszych i do rodzin niegdyś opuszczonych?

Z wolna i jakby z wahaniem Marek pochylił głowę.

— Tak — wyrzekł nareszcie — przyjmuję swój los...

Kiedy w kilkanaście godzin później wyruszyli odwieczną drogą przez wąwozy, łączące *Kraj Biegunowy* z zamieszkanym światem Księżyca, płonął za nimi jeszcze w opustoszałej kotlinie olbrzymi stos z nieużytecznych już namiotów rozwiązanego Zakonu i ciał pomarłych jego członków zbudowany. Marek obejrzał się: słońce było czerwone od snujących się dymów, które przysłaniały szarosrebrny rąbek Ziemi, wyglądającej jeszcze znad horyzontu.

Nad strumieniem spotkano ludzi z bliższych osad, którzy na wieść o przybyciu Zwycięzcy śpieszyli już, aby go powitać. Marek przypatrywał się z ciekawością tym karlikom, wśród których było też kilka kobiet, drobnych i wcale ładnych. A oni padali wszyscy na twarz, dotykali z oznakami czci szat jego i witali go dziwnym językiem, w którym zaledwie z trudem mógł pochwytać uchem przekręcone do niepoznania słowa polskie, angielskie i portugalskie.

Przy pierwszym spotkaniu zbyt był zaciekawiony widokiem tych ludków, aby mógł zważać na to, jak go witają; później jednak, gdy coraz nowe gromadki przybywały, usiłował protestować przeciw bałwochwalczym oznakom czci, które mu oddawano. Ale wkrótce przekonał się, że jest pod tym względem bezsilny. Strofowani — albo nie rozumieli, o co mu chodzi, albo też uważali gniew jego za karę za jakąś przewinę i poczynali się usprawiedliwiać z jeszcze większymi objawami czołobitności. Kiedy zaś starał się ich łagodnie przekonać, że jest takim, jak oni, człowiekiem, chociaż z Ziemi przybyłym, uśmiechali się tylko chytrze, podobnie jak Elem, gdy mu mówił, że Stary Człowiek dawno umarł i on nie ma z nim nic wspólnego.

Zaprzestał tedy bronić się na próżno — odkładając usunięcie tego przedziwnego nieporozumienia na stosowniejszą porę — i szedł ku *Morzu Wielkiemu* w orszaku nieproszonych wyznawców swoich, jak młody i jasny bóg, dwakroć wierną rzeszę wzrostem przewyższający.

---

[179] *pojrzeć* — dziś: spojrzeć.

Mężczyźni zabiegali mu drogę drobnymi kroczkami i skarżyli mu się snadź[180] (nie rozumiał ich bowiem dobrze i często uciekał się do pomocy Elema, który, jako piśmienny, znał język „święty", polski, którym niegdyś Stary Człowiek przemawiał) i każdy opowiadał o krzywdach swoich, waśniach i kłopotach, i każdy prosił go znowu, aby on go pomścił lub wynagrodził — naprzód, przed wszystkimi innymi, ponieważ on właśnie na to zasługuje. Powstawały stąd kłótnie, a nawet bójki, które nieraz Marka mimo woli do śmiechu pobudzały.

Kobiety były wstrzemięźliwsze. Szły na uboczu i patrzyły na niego tylko dużymi, zachwyconymi oczyma, a gdy się odezwał do której, uciekały bez odpowiedzi, jak sarny spłoszone. Raz wspomniał przy nich na wpół żartem o szernach... Spostrzegł, że bladły na sam dźwięk tego imienia i skupiały się w lękliwą gromadkę, poglądając[181] z niewymownym przestrachem ku mężom swoim i towarzyszom.

— Panie! czynisz, co sam zechcesz, ale lepiej przy kobietach nie mówić o szernach — zauważył Elem.

— Dlaczego?

Mnich pochylił głowę.

— Są rzeczy straszne...

Nim jednak zdążył dokończyć zdania, przerwał mu ruch, jaki się wszczął nagle w pielgrzymiej gromadce.

Kończył się już pierwszy dzień podróży i schodzili byli właśnie na równinę, śpiesząc na noc ku osadom u *Starych Źródeł*, kędy[182] przed wiekami pierwszy raz na Księżycu naftę odkryto, kiedy pielgrzymi i mnisi, orszak Zwycięzcy stanowiący, poczęli się skupiać i krzyczeć, wskazując rękoma w kierunku pobliskich zarośli. Marek spojrzał w tamtą stronę i spostrzegł człowieka, nieco roślejszej od innych budowy, który, wyskoczywszy z gęstwiny, stanął na cyplu skalnym ponad drogą i zaczął miotać jakieś wyzwiska czy przekleństwa. Odpowiedziano mu gradem obelg. Niektórzy rzucali kamieniami, które go jednakże nie dosięgały — kobiety kryły się z płaczem za plecami mężczyzn, a mnisi spluwali na przemian i kreślili święty znak Przyjścia na czole, ustach i piersi.

— Morzec! Morzec! — rozlegało się dokoła.

Człowiek na skale zaśmiał się urągliwie i naciągnął łuk, który miał w ręku. Strzała świsnęła, godząc trafnie w szyję młodą, drobną kobietkę, co właśnie u nóg Markowych szukała schronienia.

Okrzykowi zgrozy odpowiedział znów wyzywający i tryumfalny śmiech napastnika. Z niepojętą szybkością napinał teraz łuk, szyjąc strzałami raz w raz w zalęknioną i zbitą gromadkę. Jedna ze strzał drasnęła Marka w czoło, znacząc na nim szeroką krwawą szramę. Odruchowo wyrwał broń z zanadrza i gruchnął w stronę napastnika.

Strzał był dobrze wymierzony. Człowiek na skale wypuścił z dłoni cięciwę, zatrzepotał w powietrzu rękoma i bez krzyku runął głową na dół, padając tuż przy drodze. Kilku mężów poskoczyło ku niemu i zaczęli rozdzierać skórzaną tunikę na jego piersi. Marek sądził, że szukają rany od nieznanej im broni palnej, lecz oni spostrzegłszy pod piersiami upadłego dwa czerwone znamiona, jakby sześciopalczastych dłoni, poczęli krzyczeć znów: „Morzec! Morzec!" — i bić w niego kamieniami, gdyż dyszał jeszcze i przewracał oczyma, tocząc z ust krwawą pianę.

Marek rzucił się ku nim, zgrozą przejęty.

— Stójcie, psy! — krzyknął — przecież ten człowiek żyw jeszcze, a bronić się już nie może!

Elem go zatrzymał:

— Panie, daj pokój. To nie jest człowiek. To morzec...

A widząc pytający wzrok Marka, dodał schylając głowę swoim zwyczajem:

— Opowiem ci później, panie. Daj pokój. Dobrze jest, że zginął.

Ciało nieznajomego tworzyło już tylko jedną krwawą masę, w którą wciąż biły kamienie. Marek odwrócił ze wstrętem głowę od tego widoku, a mnisi tymczasem, tańcząc około niego, śpiewać jęli jakiś hymn tryumfalny:

---

[180] *snadź* (daw.) — widocznie.
[181] *poglądać* — dziś: spoglądać.
[182] *kędy* (daw.) — gdzie.

„Przyszedł nam Zwycięzca!
Poraził szerna, poraził morca piorunem!
Dla ludzi jest Księżyc; śmierć wrogom naszym!
Chwała Zwycięzcy, gdziekolwiek stąpi noga jego błogosławiona!...”

W milczeniu wysunął się Marek z koła pląsających i poszedł naprzód. Z ostatniego zakrętu drogi, tuż w pobliżu osad ludzkich silnie już snadź odwiedzanej, widać było całą szeroką równinę, drobnymi pierściennymi wzgórzami usianą, na którą niegdyś — przed siedmiuset laty — z tego właśnie miejsca patrzył był po raz pierwszy Stary Człowiek, takim jak on teraz młodzieńcem.

Usiadł na przydrożnym kamieniu i zamyślił się głęboko... I dziwno mu było, że nie umie właściwie myśli swoich sformułować. Patrzył na równinę bezbrzeżną, ku zachodowi chylącym się słońcem już pozłoconą i czarnych okrągłych jezior pełną, i myślał o tym, że spędziwszy dotąd czas w *Biegunowym Kraju* wiecznego półświtu, będzie teraz widział pierwszy zachód słońca na Księżycu i że mu niewypowiedzianie smutno jest w ten czas zachodu... I myślał, że pusta wesołość jego zgubiła się gdzieś w przeciągu kilkuset godzin i że dąży z dziwnie ściśnionym sercem ku dalekiemu morzu, kędy rozstrzygną się jego losy, tak niepojęcie w rdzeń ludzkich spraw na Księżycu wplątane... I naszła go teraz tęsknota za Ziemią, którą — śmiały i żądny nowości szaławiła — zda się tak niedawno, śmiejąc się, opuszczał... Była chwila, że chciał wstać i uciekać, wracać do *Kraju Biegunowego* i siąść w lśniący wóz swój, który stoi tam gotów do powrotnej drogi — ale nagły bezwład go ogarnął, wsparł łokcie na kolanach i twarz w dłoniach ukrył...

— Obiecałem los swój przyjąć na siebie — wyszeptał.

Z długiej zadumy obudziło go lekkie dotknięcie. Wzniósł oczy. Przed nim klęczała niemłoda i wynędzniała kobieta i wznosiła ku niemu twarz pełną bezgranicznej, ślepej, martwej trwogi. Ręce i usta trzęsły jej się jak w febrze — spoza zaciętych zębów ledwo zdołał się przestrachem zdławiony głos wydobyć...

— Panie, panie — jęczała — ty wiesz wszystko, tak... patrzyłeś na mnie... wiem, że wiesz... ale — ja niewinna jestem, panie! Szerny przemocą mnie porwały...

I nagle w obłąkanym strachu krzyknęła, chwytając się za jego nogi:

— Panie! Zwycięzco! miej miłosierdzie ze mną! Nie wydaj mnie ty przed nimi, bo żywcem mnie w ziemi zakopią! Ja wiem, że słusznie prawo tak nakazuje, ale ja jestem niewinna!

Padła na twarz, wstrząsana rozpaczliwym łkaniem. Nie mogła już mówić, mamrotała tylko i mełła między szczękającymi zębami słowa jakieś niezrozumiałe a błagalne.

Marek się zerwał. Potwornie straszna a nieprawdopodobna myśl uderzyła go obuchem w głowę. Chwycił płaczącą kobietę za ramiona i postawił przed sobą na ziemi. Zamilkła nagle i patrzyła na niego osłupiałymi oczyma, czekając snadź[183] śmierci.

— Jak się nazywasz? — rzekł po chwili dziwnie nieswoim głosem.

— Nechem...

— I ten... morzec? ten, którego zabito?...

— Tak, panie, tak, to mój syn! Ale ja niewinna!

Usiłowała ustami dotknąć dłoni jego. Ale on szarpnął ją i krzyknął:

— Twój syn i... czyj?

Kobieta zaczęła znowu trząść się cała.

— Panie! ja winna nie jestem! Szerny przemocą mnie porwały! Nikt o tym nie wie krom ciebie... Myślano, że jestem z ofiarą u Braci Wyczekujących... Ja ukryłam... Panie! ja wiem, że powinnam była zadusić, jak tylko na świat przyszedł, ale nie mogłam, ty daruj, nie mogłam! Przecież to mój syn był!

Marek odruchowo w napadzie bezgranicznego obrzydzenia odtrącił ją od siebie i zakrył oczy rękoma. Było w tym tak coś potwornego i przerażającego, a przy tym wszystkim fizjologiczne prawa wywracającego do góry nogami, że ścisnął głowę dłońmi, czując, że obłęd ją chwyta...

Oprzytomniał dopiero nieco, kiedy posłyszał za sobą nawoływania zdążającego wreszcie orszaku. Zwrócił się szybko do leżącej wciąż bez ruchu kobiety:

[183] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

— Nechem, wstań. I bądź spokojna.

Chciała mu dziękować, on jednak ze wstrętem cofnął dłoń. Nie mógł się przemóc, aby spojrzeć na nią.

W milczeniu resztę dziennej drogi odbywał. Było już pod wieczór, kiedy znaleźli się na równinie wśród osad przy *Starych Źródłach*. Z niskich, kamiennych domków, przeważnie w ziemię wkopanych dla lepszej przed nocnymi mrozami ochrony, wyległa ludność naprzeciw przychodzącego Zwycięzcy i witała go hałaśliwie radosnymi okrzykami, ale on nie słyszał ich prawie. Szedł wśród weselnego tłumu z nachmurzoną twarzą, unikając szczególnie oczyma widoku kobiet, z których każda mogła być przecież równie skalana, jak ta, która się niedawno u nóg jego włóczyła. Lud patrzył na groźną minę jego i wróżył z niej sobie rychły a stanowczy pogrom wszystkich szernów. Niektórzy z dala oglądali z uciechą wzrost jego wyniosły i mięśnie potężne, tylko przez cześć bojaźliwą nie śmiejąc ich dotykać, i mówili głośno, jaką te silne ręce klęskę szernom zadadzą.

Przeznaczono mu najlepszy dom na nocne przezimowanie. Był ci wprawdzie w tej osadzie, jak po wszystkich innych na Księżycu, dom oddzielny i niezamieszkany, z dawnego rozkazu Braci Wyczekujących utrzymywany a zowiący się „Domem Zwycięzcy", kędy mógłby znaleźć schronienie, kiedy przybędzie — ale ponieważ z pokoleń w pokolenia Zwycięzca nie przybywał, więc okazało się teraz, że zaniedbany dom na spichlerz gminny jest obrócony i tak zrujnowany, iż mieszkać w nim niepodobna. Zaradzono temu, usuwając z chaty sołtysa, który był zarazem miejscowym kapłanem.

Kiedy wieczorem Marek znalazł się sam, kazał natychmiast przyzwać Elema do siebie. Zakonnik wszedł, po raz pierwszy w szatę czerwoną na znak radości przybrany i ze srebrnym diademem na czole, tak jak był kazał w małej wiejskiej świątyńce o przybyciu Zwycięzcy, którego właśnie wiedzie z sobą... Stanął z szacunkiem przy drzwiach i czekał.

Marek — w małej, za niskiej na wzrost jego izdebce — leżał na pęku skór z nafcianym kagankiem przy głowie. Gdy Elem wszedł, uniósł się na łokciu i wpił w niego błyszczące oczy.

— Kto są morcy? — zapytał z nagła.

Elem pobladł i coś jakby cień gorzkiego wstydu, z nienawiścią zmieszanego, przemknęło po jego suchej twarzy.

— Panie...

— Kto są morcy? — powtórzył Marek zapalczywie — czy to...?

Nie dokończył, ale zakonnik go zrozumiał.

— Tak, panie — szepnął — tak... To dzieci szernów.

— Więc wasze kobiety... oddają się tym potworom?

— Nie, panie. Nie oddają im się.

— A więc? a więc?

Zerwał się nagle i usiadł na posłaniu.

— Słuchaj! a więc wy jesteście psy! Znam ja tę historię! I na Ziemi niegdyś mówiono o czarcim potomstwie! Słuchaj! was należy wszystkich kamienować zamiast tych nieszczęśliwych!

Gniew mu prawie głos zatykał.

— Pójdź tu! i mów natychmiast, skąd powstała bajka o dzieciach szernów, w którą nawet kobiety same w obłąkaniu uwierzyły!

— Nie, panie, to nie bajka.

Marek spojrzał na niego szeroko rozwartymi oczyma.

— Panie, pozwól mi mówić... Szernowie dziwną moc posiadają. Popod skrzydłami, szerokimi skrzydłami z rozpiętej na kościach błony, mają coś w rodzaju gibkich wężowych rąk o sześciopalczastych dłoniach. Całe ciało ich jest pokryte czarnym, krótkim włosem, miękkim, gęstym i lśniącym, z wyjątkiem czoła i tych dłoni właśnie, które są nagie i białe... I te dłonie...

Odetchnął głęboko i pot otarł z czoła. Znać było, że trudno mu mówić o tej strasznej rzeczy.

— W tych dłoniach jest ich moc — zaczął znowu po chwili. — Jeżeli obie naraz dotkną nagiego ciała ludzkiego, wstrząsa człowiekiem bolesny a częstokroć i zabójczy dreszcz, podobny jak przy dotknięciu niektórych ryb morskich... A jeśli to jest kobieta...

— Ach! — krzyknął Marek.

— Jeśli to jest kobieta... albo suka, lub jakakolwiek samica, poczyna i rodzi. Wydaje płód — wedle swego rodzaju — do siebie tylko na oko podobny, ale zły i przewrotny jak szerny...

— Czy jesteś pewien, że tak jest w istocie?

— Tak, panie...

W głowie Marka zakręcił się wir krzyczących myśli. Było to tak niepojęte... A jednak — przypomniały mu się badania niektórych ziemskich biologów, którzy, działając na niezapłodnione jajka mechanicznie albo za pomocą chemicznych odczynników, zmuszali je do podziału i płód z nich żywy otrzymywali... Widocznie w dłoniach tych księżycowych potworów była jakaś zdolność wydawania prądu elektrycznego czy innej emanacji, która wstrząsając cały organizm, odgrywała rolę plennika...

— Nie, nie, nie! To niemożliwe! — powtarzał głośno, przyciskając rękoma rozszalałe tętno w skroniach...

— A jednak, panie, jest tak. Sam dzisiaj morca zabiłeś.

— Skąd wiesz, że to był morzec?

— Tam, gdzie kobietę dotknęły przeklęte dłonie szerna, morzec piętna ma czerwonosine. Widziałeś sam... Zabijamy ich i tępimy jak dzikie zwierzęta, bo gorsi są od samych szernów nawet, gdyż złość ich przewrotną łączą z ludzkim wyglądem.

Zapanowało głuche milczenie.

Po długiej chwili dopiero Marek wzniósł głowę i zapytał bezdźwięcznie:

— Czy to... częste przypadki?

— Nie. Teraz nie. Kobietę, która była w obecności szerna, zakopujemy bez sądu żywcem po szyję do ziemi i tak ją zostawiamy, póki nie zamrze z głodu i pragnienia. Ale dawniej...

Ciężko mu było mówić. Znać, że jego ludzka duma, przez dalekich przodków z Ziemi przyniesiona, cierpiała niewymownie wobec tych wyznań. Pochylił głowę przed płonącym wzrokiem Marka i dokończył cicho:

— Dawniej morców bywało dużo... Szczęściem, że oni są już niepłodni. Wytępiliśmy ich. Wymordowaliśmy. Nie było litości ani z jednej, ani z drugiej strony... Teraz już rzadko... Chyba że szernowie porwą kobietę.

— A dawniej? Czy same kobiety?...

Elem zaprzeczył żywym ruchem głowy.

— Nie. Nigdy. To ból podobno straszliwy. Kurcz mięśnie wykręca i łamie kości... Ale...

— Co?

— Był czas, że — pokonani — musieliśmy jako haracz...

Marek się rzucił na posłaniu.

— Kobiety im swoje oddawać!?

— Tak. Dziesięć co rok. Oni morców potrzebują: nam nienawistni — im służą jak psy wierne... A szernowie sami nie lubią pracować...

Marek zakrył znów oczy. Dreszcz wstrząsał jego ciałem mimo ciepła, które z rozpalonego ogniska po izbie się rozchodziło.

— I te kobiety... na zawsze już u szernów zostawały? — spytał, nie patrząc na mnicha.

— Nie. Szernowie je zabijali albo odsyłali, gdy się już zestarzały...

— A wtedy wy?...

— Wtedy myśmy je zabijali. Były przecież matkami morców — dodał po chwili tonem usprawiedliwienia.

W ciszy, która zapadła po ostatnich słowach zakonnika, słychać tylko było uderzenia wichru, który miotał padającym już śniegiem, pokrywając nim glob księżycowy na długą, mroczną, czternaście ziemskich dni trwającą noc.

Marek siedział długo w milczeniu, z zakrytą twarzą. Wreszcie odjął dłonie od oczu i ściągając brwi, rzekł do siebie głośno i twardo:

— Trzeba zwyciężyć!

Elem radosnym ruchem wzniósł ręce do góry, ale Marek go nie widział. Patrzył przed siebie gdzieś w mroczną dal, gdzieś w los swój niespodziewany.

III

Awij zbyt gardził tymi ziemskimi intruzami na Księżycu, zwącymi się ludźmi, aby posyłać posły i pytać: dlaczego mu o zachodzie słońca nie złożono zwykłej obowiązkowej daniny albo co ma oznaczać wrogi ruch, który spostrzegł z wieczora około trójszczytowego zamczyska swego nad morzem? Postanowił natomiast spalić całą osadę przy *Ciepłych Stawach*, a ludność wyrżnąć do nogi. Nie wydawał jednak rozkazu, na który otaczający go morcy z utęsknieniem czekali. Wiedział, że załoga nie jest zbyt liczna i w razie oporu — a widział był gromadzących się zbrojnych — mogło przyjść do ciężkiej walki o wątpliwym wyniku, wolał więc zatrzymać się aż do czasu przybycia posiłków. Była to bowiem właśnie noc, kiedy szernowie przybywali z zamorskiego kraju odebrać co wieczór składany haracz i zmienić w zamku załogę.

Warowna wieżyca, gdzie mieszkał Awij, stała wśród otoczonego mocnym murem ogrodu, który się łączył z małą ubezpieczoną przystanią nad morzem. Szernowie, orszak Awija tworzący, a nade wszystko nieliczni jego morcy nie ośmielali się nigdy wyjść poza bramy tego muru, wiedząc, że mimo wszystkie pakty czekałaby ich tam śmierć niechybna z ręki znienawidzonej i nienawidzącej ich człowieczej ludności — ale w obrębie warowni czuli się zupełnie bezpiecznymi. Ufali tęgości murów, a więcej jeszcze postrachowi swego okropnego imienia, który trzymał od nich z dala każdą ludzką istotę. W razie zabicia szerna albo chociażby napaści tylko mścili się straszliwie, o morców mniej im chodziło i mało dbali, jeśli którego z nich, niebacznie w głąb kraju się zapuszczającego, śmierć spotkała, chociaż się bowiem nimi posiłkowali, w głębi serca gardzili nimi prawie tak samo jak ludźmi.

A przy tym z zamku w razie niebezpieczeństwa poważnego odwrót był zawsze otwarty — we dnie na łodziach, w nocy na żaglowych saniach przez zamarzłe morze. Tą też drogą przybywali każdej czwartej nocy potworni ziomkowie Awija po haracz. Właśnie wielkorządca czekał ich przybycia.

Jednak jeszcze więcej niż brak owych posiłków powstrzymywało go od wydania krwawego rozkazu wrodzone szernom lenistwo. Trzeba by postanowić i odezwać się do morców i wydać odpowiednie zarządzenia... Myślał o tym wszystkim i wyobrażał sobie z rozkoszą buchające wśród nocy płomienie i jęk zarzynanych ofiar, ale tymczasem nie chciało mu się ruszyć ani skinąć.

Leżał na szerokiej sofie, miękką czerwoną tkaniną na lśniącym włochatym ciele owinięty, nogi z zadzierżystymi pazurami podciągnął pod siebie — straszne, sześciopalczaste dłonie ukrył w fałdach obwisłej błony szerokich nietoperzych skrzydeł... Obok w miedzianych trójnogach płonęły zioła wyszukane, których ostra i odurzająca woń osobliwą rozkosz sprawiała szernowi. Zamglonym i sennym wzrokiem swoich czworga okrągłych krwawych oczu pojrzał ku drzwiom, gdzie na czatach siedziało sześciu morców, skulonych od zimna, którego ich pan zdawał się wcale nie odczuwać.

Przyszło mu na myśl, że jest północ i poselstwo szernów powinno już było przybyć. Chciał coś powiedzieć, wydać rozkaz jakiś, ale nie chciało mu się. Morcy z trudnością tylko i niedokładnie rozumieli mowę barwnych błysków na jego białym, fosforyzującym czole, on zaś nie miał ochoty trudzić się wydawaniem głosu. Przeciągnął więc tylko ścierpłe skrzydła, strzepnął nimi i ziewnął głośno, otwierając bezzębną gębę, otoczoną rogową naroślą w kształcie dzioba szerokiego, a krótkiego, z jedną haczystą w pośrodku zadziorą.

Morcy się zerwali, jak sfora psów dobrze ułożonych, a jeden z nich, chłop — jak na wzrost księżycowych ludzi ogromny, z krwawosinym sześciopalczastym piętnem na policzku, przyskoczył ku panu i przysiadł na posadzce, patrząc pytająco w jego krwawe ślepia.

— Czy poselstwo przybyło? — błysnął szern ku niemu.

Morzec — Nuzar go nazywano — spojrzał na niego z rozpaczliwym pomieszaniem i jęknął:

— Panie...

Awij zacharczał:

— Bydlę! z wami trzeba jak z psami albo ludźmi głosem rozmawiać! Czy przybyło poselstwo? — pytam.

— Nie jeszcze, panie, ale wkrótce przybędzie...

— Głupiś.

Odwrócił się na drugi bok i kazał dosypać ziół na trójnogi. Morcy, bądź co bądź ludzkie płuca mający, dusili się od gęstego nieznośnego dymu. Żaden jednak nie śmiał się przyznać do tego: za hańbę uważałby sobie nie rozkoszować się tym, co szernowi, wyższej istocie, przyjemność sprawiało.

Awij przymknął tymczasem dwoje dolnych oczu, do bliskiego patrzenia służących, a górne — dalekowidzkie, w których wzroku zarysy bliższych przedmiotów w niewyraźną mgłę się roztapiały, wytężył gdzieś w mrok przed siebie i marzył o zamierzonej rzezi, jak jej się będzie ze szczytu wieży swojej nadmorskiej przyglądał...

— Jak poselstwo z posiłkami przybędzie — charknął znowu po chwili — zapalicie osadę...

— Może by zaraz...?! — krzyknął Nuzar z roziskrzonymi oczyma.

— Milcz, psie, i słuchaj...

Zabijcie wszystkich. Wolno wam. Nie złożyli haraczu...

A zresztą tak mi się podoba.

Malahuda... Możecie go dać psom. Za stary jest dla mnie, twarde musi mieć mięso. I w pół dnia nie skruszałby...

Ale on ma córkę... Widziałem...

Mlasnął głośno, uderzając językiem o dziób rogowy.

— Ihezal jej na imię...! — wyrwał się jeden z morców, młody, zaledwie dorastający chłopak.

— Milcz, psie.

Może by po niej mądrzejsze morce były niż wy...

Jak tylko przyjdzie poselstwo...

Ale poselstwo nie przychodziło. Minęła cała długa noc i dopiero około świtania dwóch szernów postawionych na czatach, a osobiste towarzystwo Awija stanowiących — doniosło, że w szarym brzasku widać żagle zbliżających się sań na morzu...

W namiestnika wstąpiła nagła energia. Zerwał się i zatrzepotał ciężkimi skrzydłami, wydając zgrzytliwe dźwięki, które oznaczały to, co ludzie śmiechem nazywają.

— Za kilka godzin będzie tu morze płomieni!

Potem zasępił się na chwilę.

— Szkoda, że noc już minęła, trzeba było w nocy...

Nuzar, który stał przy oknie, zwrócił ku Awijowi dziką, ohydnym piętnem naznaczoną gębę:

— Czy iść im na pomoc?

Wyciągnął rękę przed siebie.

— Zamek cały jest otoczony. Widzę namioty przysypane śniegiem. Czuwali całą noc... Nawet na morzu, na lodzie straże porozstawiano.

Awij rzucił się ku oknu, wytężając w słaby, ostry brzask budzącego się dnia parę swych dalekowidzkich oczu. Rzeczywiście dookoła zamku ciągnął się nieprzerwany podwójny pierścień śnieżnych kopczyków, pod którymi kryły się namioty zbrojnych. Tu i ówdzie wydostający się dym świadczył, że czuwano. Ku owym właśnie kopczykom zbliżały się od strony zamarzłego morza pędem wichru skrzydlate sanie szernów.

Namiestnik patrzył przez chwilę, aż nagle potworna twarz mu się rozjaśniła.

— Tchórze! Patrzcie: nie potrzeba pomocy!

Istotnie ze zbliżeniem się sań ludzkie straże same się rozstąpiły, puszczając je wolno do wnętrza zwartego pierścienia. To jednak, co Awijowi wydało się być skutkiem trwogi, było mądrze obmyślanym planem Jereta, który ze swoimi ludźmi zajął był zaniedbany przez zbrojnych, a najważniejszy posterunek na lodach morza. Nie chciał on dać się wymknąć i tym przybywającym wrogom, a przy tym obawiał się, że w razie oporu i bitwy szernowie mogą za wcześnie dać znać swoim ziomkom i przedwcześnie pomoc sobie przeważającą sprowadzić. Za saniami jednakże koło zamknęło się natychmiast z powrotem.

Tymczasem świt się zbliżał — i nim spóźnieni szernowie odpoczęli po trudach nocnej podróży, zaszły w osadzie przy *Ciepłych Stawach*, stolicy księżycowego kraju — wielkie wypadki. Prawie wschodzące słońce, ześlizgując się po ośnieżonych zboczach krateru *Otamora*, zaglądało na brzeg morski i straże Jereta usuwały się pośpiesznie z lodów, które

mogły lada godzina zacząć pękać, kiedy gońcy z północy dali znać, iż Zwycięzca z ostatniego nocnego postoju wyruszył i niebawem stanie wśród oczekującego go ludu.

Wieść radosna rozeszła się w jednej chwili po całej osadzie, zwłaszcza że mieszkańcy, nie mogący się przez całą długą noc ranka doczekać, o świcie już mimo mrozu wychodzić zaczęli z domów i stawali na stoku wzgórza, skąd widać było szeroką, śniegiem ubieloną równinę. Słońce wychodziło z morza leniwie i przenosząc złotymi promieniami obły grzbiet wyniosłości, na której miasto było zbudowane, strącało cienie oczekujących daleko, daleko na białą równinę, ścieląc je, jakby wysłanniki[184] tęsknoty ludu, pod nogi nadchodzącemu...

A on szedł naprzeciw wschodzącego słońca po śniegach topniejących, po strzelającej spod nich bujnej, żywej, księżycowej zieleni, sam jak słońce jasny i rozpromieniony — wesoły, że po długiej nocy światło znów widzi, rad, że usłyszy za chwilę łoskot morza na skalistym brzegu. Młody, krzepki i śmiały, cieszył się życiu i dziwnym przygodom swoim, niepomny już przygnębienia i wątpliwości, które go trapiły w dniu poprzednim i w ciągu długiej nocy jeszcze.

Zabawnie lekką wydawała mu się dzisiaj ta mimowolnie podjęta rola, która wczoraj (ach! to „wczoraj" o dwa ziemskie tygodnie odległe!) straszyła go takim ciężkim i nieznośnym brzemieniem. Z dziecinną prawie radością w dwudziestokilkuletnim sercu myślał o tym, że zjawił się tutaj jak młody, zwycięski bóg, z dalekiej gwiazdy zesłany, że wyzwoli i uszczęśliwi lud księżycowy, a potem odleci znowu przez otchłań przestrzeni do dalekiej ojczyzny swojej, żegnany jak dobre i na wieki w ludzkiej pamięci tutaj żywe zjawisko. Myślał, jak kiedyś, powróciwszy na Ziemię, będzie opowiadał, wskazując jasny Księżyc wschodzący, że był tam i dobro zdziałał i że tam, w niebieskich przepaściach, błogosławią imię jego. Zdawało mu się teraz, że czynem swoim nadzwyczajnym, przebywając międzyplanetarne przestwory, zyskał prawo przyjęcia na się urosłej w ciągu wieków legendy o wybawicielu, a z prawem i obowiązek spełnienia wedle sił tego, czego się tutaj po nim spodziewają. A zresztą czyż nie tkwi w tym zrządzenie jakiegoś niepojętego Losu czy Opatrzności, że właśnie on na Księżyc się dostał, kiedy tu na Zwycięzcę z gwiazd przybyłego czekano?

Myślał o tym wszystkim, idąc nad brzegiem rozpętanego z lodów strumienia, po kwiatach i ziołach przedziwnych, spod nóg mu do życia po nocnym śnie wystrzelających — i wielka radosna duma przepełniała mu serce i pewna siebie moc huczała w rozkiełzanych tętnach. Śmiał się do biegnących obok „krasnoludków" i cieszył się razem z nimi wschodzącym słońcem „nowego dnia". Zdjęła go głęboka, wesołym ludziom właściwa dobrotliwość — rozmawiał łaskawie z cisnącymi się karlikami, uśmiechał się do kobiet, a nawet na biedną Nechem, która od chwili pamiętnego wyznania nie odstępowała go ani krokiem, biegnąc jak pies przy jego nodze, innym dzisiaj patrzył już okiem. Żal mu jej tylko było i cieszył się, dufny w swe siły, że z jego przyjściem skończy się wszechwładztwo szernów i to ognębienie[185] rodu ludzkiego. Myśląc o tym, uśmiechnął się do patrzącej wciąż w jego oczy kobiety i pogładził ją dłonią po głowie.

— Jaki ty dobry jesteś, panie! — zawołała z wyrazem nieopisanej psiej wdzięczności w dużych, wybladłych oczach.

— Dlaczego nazywasz mnie dobrym? Wszakże zabiłem twojego...

— Ach, tak, tak, panie! zabiłeś go, ale to był morzec i nawet śmiał zranić ciebie — rzekła, patrząc na szeroką krwawą szramę na czole Markowym. — Bronić go jednak chciałeś, kiedy go kamienowano, i nade mną biedną litość okazałeś! Gdyby tamci wiedzieli...

Wstrząsnęła się cała i zgarnęła w sobie pod falą nieopisanego strachu.

Marek chciał odpowiedzieć, ale gwar mu przerwał nagle powstający, z dalekimi zmieszany krzykami. Spostrzeżono ich już w osadzie przy *Ciepłych Stawach* i ludzie, na wałach czatujący, poczęli zbiegać w dół, na równinę, i łączyć się wśród okrzyków ze świtą Zwycięzcy. Rychło też i bramy miasta się otworzyły, przepuszczając idącą na powitanie starszyznę.

---

[184]*ścieląc je jakby wysłanniki* — dziś: (...) jakby (niby) wysłanników.
[185]*ognębienie* — dziś: zgnębienie.

Teraz Elem, Braćmi Zakonu otoczony, wystąpił naprzód — poważny, uroczysty, w kapłańskie szaty czerwone odziany, i wiódł orszak cały ku bramom, pośród cisnącego się zewsząd tłumnie ludu.

W powitalnym poselstwie Malahudy nie było. Przyszli po niego starsi z ludu, ale on wyprawił ich samych, mówiąc, że czekać będzie Zwycięzcy na stopniach świątyni, aby go przyjąć tutaj, gdzie niegdyś Stary Człowiek mieszkał... Kiedy po ich odejściu pozostał sam, wezwał Ihezal i nie wołając sług, począł się przy jej pomocy ubierać. Kazał z zamczystych, złotem i miedzią kutych szaf dobywać szaty co najkosztowniejsze: stare, pracowicie niegdyś przez pobożne kobiety dziergane tuniki, płaszcze z najprzedniejszych futer ze szczerozłotymi zapięciami i pasy tak gęsto drogim nasadzone kamieniem, że wałki skórzane trzeba było pod nie podkładać, aby ciężarem bioder nie obrażały.

— Po raz ostatni, po raz ostatni... — mówił, patrząc na krzątającą się Ihezal.

Wybrał wreszcie tunikę czerwoną, po kostki nóg sięgającą i wyszytą całą w dziwne kwiaty, jakich nigdy na Księżycu nie widziano (mówią niektórzy, że na Ziemi pono rosną takie), spiął ją ponad biodrami pasem szerokim z pożółkłej kości, złota i kamieni, który był niegdyś własnością wielkiego kapłana i proroka Ramidy, i przykrył to wszystko bezcennym czarnym płaszczem, zrobionym z futra żywcem ze skóry odartych szernów. Płaszcz ten, jako pamiątka odniesionego przed wiekami świetnego zwycięstwa (rzadkie one były w historii księżycowego ludu — niestety!), ceniony był na równi ze świętościami największymi i razem z nimi w podziemnym skarbcu chowany. Stamtąd wyniosła go teraz na rozkaz dziadka Ihezal razem z kołpakiem prastarym ze zwieszającymi się aż do pasa sznurami bursztynów i pereł ogromnych, w którego złotym, rzezanym naczółku, otoczony bajecznej wielkości szmaragdami, świecił się jasny kamień, wedle podania przez Starego Człowieka ongi noszony.

Malahuda nałożył kołpak na włosy, rytualną, złotą związane obręczą — wsunął na stopy sandały białe, rubinami zdobne, narzucił kosztowny łańcuch na szyję i wyciągnął ciężką od pierścieni dłoń po laskę kościaną, dłutem misternie wyrobioną...

Teraz Ihezal wsparła ramieniem starca, uginającego się pod ciężarem szat i łańcuchów — i wiodła go do świątyni... A on przystawał na stopniach i oglądał się za każdym krokiem, mrucząc coś do siebie niewyraźnie. W wielkiej sali podszedł do głównej kazalnicy i oparłszy się ramieniem o zloty znak Przyjścia, świecący na jej przodzie, ocierał pot, rzęsiście mu na czoło występujący.

— Po raz ostatni, po raz ostatni — szeptał i kiwał głową, ciężkim arcykapłańskim nakrytą kołpakiem...

Ihezal odeszła nieco ku przodowi. Milcząca i posłuszna dotychczas, czuła w tej chwili, że duszność opada ją w tej opustoszałej świątyni. Stanęła u szeroko rozwartych drzwi wchodowych i wsparta na jednym z dwóch olbrzymich filarów alabastrowych, portal podtrzymujących, patrzyła przed siebie, poza miasto, na daleką równinę, po której stąpał kędyś Zwycięzca. Była chwila, że zdawało jej się, iż słyszy płacz dziadka poza sobą; na jedno mgnienie oka rysy twarzy ściągnęły jej się jakimś kurczem bólu i niechęci, ale nie obejrzała się nawet... Bezwiednym, sennym niemal ruchem sięgnęła dłońmi poza uszy i nabrawszy w nie pełno włosów złotych i długich, ściągnęła je na usta, na białą szyję i pierś, spod rozchylonej ametystowej szaty wyglądającą... Płomień uderzył jej na skroń, wargi purpurowe poczęły drżeć — przysłoniła ogromne czarne oczy powiekami, wsłuchana w cichy i jasny śpiew swojej duszy:

— O! przyjdź... o! przyjdź...

Wyjdę naprzeciw ciebie z mrocznej świątyni, uklęknę przed tobą na złotym piasku i patrzyć będę w twe oczy, które muszą być jasne, jako te gwiazdy, skąd do mnie przychodzisz!

Przychodzisz do mnie, bo ja jestem tęsknota ludzkich, dalekiej gwiazdy rodzinnej pomnych, pokoleń, ja jestem miłość, która zjawę twą wypielęgnowała, ja piękno ostatnie wydziedziczonych i smutnych wygnańców.

O, przyjdź! — o, przyjdź! promienny, zwycięski, boski!...

Gorąca fala załopotała jej w piersi i rozkosznym uściskiem oddech zdławiła... Mroczna świątynia poczęła jej ginąć w oczach, przed którymi falowało tylko jakieś morze światła, blasku i zieleni...

Trwała tak długo w słodkim, półsennym odrętwieniu, aż wyrwał ją z zadumy nagły łomot kroków i krzyki wpadających zewsząd ludzi. Wołano arcykapłana.

Zwycięzca wszedł już był w bramy miasta i zdążał właśnie ku świątyni.

Nagłym podrzutem targnęła się w tył; serce zatłukło jej się w piersi jakimś niespodziewanie opadającym ją lękiem chciała ukryć się, uciekać, ale w tej chwili ogromna niemoc wzruszenia ją ogarnęła... Przyciskając dłońmi huczące serce, z niepojętymi łzami w oczach osunęła się cicho do stóp alabastrowej kolumny.

Jak przez sen widziała dziadka, który, nagle zmieniony i spokojny, z dziwnie śmiało podniesioną głową, w szatach swych arcykapłańskich przez młodszych kapłanów pod ręce prowadzony, przeszedł koło niej ku rozwartym drzwiom z długim, pośpiesznie gromadzącym się za nim orszakiem — słyszała jak przez sen hałas kroków licznych po kamiennej posadzce, okrzyki i daleki szum rozfalowanego przed świątynią ludu — a potem nagły mrok ją ogarnął, dzwony jakieś w uszach zahuczały: zdawało jej się, że leci wirowym, przyśpieszonym ruchem w otchłań gdzieś nieskończoną i bezdenną.

Tymczasem Malahuda stał już na szerokich stopniach świątyni, w tym samym miejscu, kędy[186] wczoraj właśnie otrzymał był pierwszą wieść o przybyciu Zwycięzcy. Teraz wieść stała się już jawą: ten przybysz dziwny i niepojęty szedł ku niemu, na rękach oszalałego z radości ludu niemal niesiony, widny z daleka, olbrzymi, jasny, promienny...

Arcykapłan ściągnął brwi... Twarda, nienawistna a uparta zawziętość zastygła mu w twarzy. Wsparł się oburącz na lasce kościanej i czekał w orszaku dostojników miasta i świątyni, ku niezmiernemu zdumieniu i zgorszeniu ludu, który się spodziewał, że arcykapłan zejdzie ze stopni, aby kornie powitać Zwycięzcę na dole.

— Malahuda! Malahuda! — krzyczano zewsząd, wołając go.

On jednak nie drgnął nawet. Patrzył przed się spokojnie spod siwych, krzaczastych brwi i jeno[187] w miarę jak krzyki stawały się coraz natarczywsze, łącząc się z wyzwiskami, w jego stronę rzucanymi, uśmiech coraz wynioślejszy i bardziej ironiczny drgał na jego zaciśniętych wargach.

— Malahuda! zejdź i pokłoń się Zwycięzcy, którego wiodę oto ludowi!

Elem stał przed nim, w purpurowej szacie od wczoraj przywdzianej — i niemal rozkazującym ruchem ręki wskazywał plac mrowiem ludzi zaległy.

— Przystoi mi miano Jego Wysokości — odparł starzec — jestem arcykapłanem, rządzącym wszystkim ludem księżycowym!

Czarne oczy zakonnika zapłonęły nagle porywczym gniewem.

— Nie jesteś niczym! — zakrzyknął — jeden Zwycięzca dziś włada i ci, którzy jemu służą!

— Dopóki nie złożę swej władzy, jestem, czym byłem... — rzekł Malahuda spokojnie — i nim twój Zwycięzca wejdzie na stopnie świątyni, mogę cię kazać okuć i wrzucić do lochu razem z Braćmi, którzy zakon swój złamali, opuszczając bez mego pozwolenia *Kraj Biegunowy*.

Twarz Elema poczerwieniała, a na skroniach wystąpiły mu sine żyły.

— Ja niczyjego pozwolenia nie potrzebuję — mówił, dusząc się od wściekłości — i nie słucham nikogo, nie tak, jak ty, sługo i pachołku szernów!

Zwycięzca wchodził na stopnie świątyni, Malahuda więc, nie odpowiadając już nawet na straszliwą obelgę zakonnika, usunął go jeno dłonią sprzed siebie i stanął twarzą w twarz wobec dziwnego przybysza.

Marek, stojąc o kilka stopni poniżej, patrzył na starca z dobrym, jasnym uśmiechem i wyciągał dłoń na powitanie. On jednakże uśmiechem nie odpowiedział ani dłoni nie wyciągnął, nie skłonił nawet głowy, choć wszyscy dokoła na twarz w powitalnym upadli pokłonie.

Patrzył przez chwil kilka prosto w oczy przybyłemu, aż odezwał się wreszcie:

— Witam cię, panie, ktokolwiek jesteś, ponieważ cię tutaj powszechna wola ludu przywiodła...

— Sam przybyłem, z własnej woli jedynie — odparł Marek, poważniejąc.

Malahuda skłonił z lekka głowę.

---

[186] *kędy* (daw.) — gdzie.
[187] *jeno* (daw., gw.) — tylko.

— Dla mnie przyprowadza cię wola ludu, który od siedmiu setek lat czekał na Zwycięzcę i ciebie nim dzisiaj mianuje.

— Nie jestem jeszcze „Zwycięzcą", ale chciałbym się nim stać, widząc, co się tu z wami dzieje...

— Jesteś nim, o panie! — wtrącił Elem — jesteś nim, odkąd noga twoja na Księżycu stanęła!

Malahuda zmarszczył z lekka brwi i nie zważając na słowa współzawodnika, mówił dalej:

— Musisz być Zwycięzcą, panie, kiedy tutaj przyszedłeś i wywracasz wszystko, co było dotychczas...

Marek chciał odpowiedzieć, ale stary arcykapłan wzniósł rękę, jakby nakazując milczenie.

— Nie wiem, skąd przybyłeś, ani jak, ani po co — prawił — ale widzę, że większy od nas jesteś i snadź potężniejszy; pełnij więc, jeżeli chcesz, to, czemu myśmy nie podołali... A jeżeli rzeczywiście z Ziemi przybyłeś i jeżeli to prawda, że przed wiekami podobny tobie człowiek ludzkie pokolenie tutaj przesiedlił — z tej gwiazdy wielkiej, gdzie podobno lepiej ludziom było, to wiedz, że obowiązkiem jest twoim odkupić dzisiaj tę winę straszliwą tamtego i od nędz nas zbawić, na które od wieków jesteśmy skazani... Dotychczas podtrzymywała nas nadzieja, że przyjdzie Zwycięzca; w tej oto świątyni, przed której progiem cię witam, ja lud codziennie tym słowem krzepiłem — pamiętaj, że od dzisiaj, kiedy ty przyszedłeś, nie ma już nadziei, a więc musi być jawa!

Nie wszyscy w tłumie mogli przemowę Malahudy dosłyszeć, ci jednak, którzy ją słyszeli, poczynali już głośno szemrać na niezrozumiałe i wprost kacerskie słowa, jakie z ust świętobliwego arcykapłana padały, ale on nie zważał na to. Zdania, które wczoraj jeszcze jemu samemu byłyby się wydawały czymś tak strasznym i potwornym, że pomyśleć by je było trudno, teraz wymawiał jasno i dobitnie wobec ludu, któremu prawił zawsze, iż błogosławić winien Starego Człowieka, który ludzi na Księżyc sprowadził — i wobec tego Zwycięzcy, o którym kazał codziennie, że przyjdzie w glorii, a wszyscy w serc rozradowaniu na twarz, witając go, padną.

— Nie wiem, czy byłeś obiecany — mówił, a głos mu rósł, potężniał i grzmiał w drobnej piersi — nie wiem, czyś ty był obiecany, choć Księgi wszystkie pełne są Obietnicy, ale widzę oto, żeś przybył — i dlatego powiadam ci jeszcze raz: wypełnić musisz to, co sobie tęsknota nasza krwawa wyśniła od wieków, a jeśli nie wypełnisz — zaprawdę, że lepiej byłoby dla nas i dla ciebie, aby noga twoja nie postała była nigdy na Księżycu, bo będziesz pośród nas przeklęty.

Wśród tłumu zerwały się naraz okrzyki grozy i oburzenia, a nawet przestrachu, że potężny Zwycięzca mścić się może na ludzie za bluźnierstwa arcykapłana. Wołano, że Malahuda, jeżeli nie jest dotknięty nagłym szaleństwem, to na śmierć zasłużył tymi słowami, i wzywano Elema, aby wziął po nim kołpak arcykapłański i wiódł Zwycięzcę w progi świątyni. Starzec niewzruszenie tę burzę przeczekał, a gdy na chwilę uciszyła się nieco, rzekł znowu, do Zwycięzcy się zwracając:

— Jestem czterdziestym czwartym i snadź ostatnim już arcykapłanem, rządzącym ludem księżycowym. Wiodłem go, krzepiłem i karciłem w potrzebie, jako dziadowie i pradziadowie moi, dopóki tęsknił i czekał. Dzisiaj ten lud powiada, obwołując ciebie, dziwnego przybysza, oczekiwanym Zwycięzcą, że rola i ciężki trud mój są już skończone. Rad jestem temu, bo sił mi już więcej nie staje — i nie wiem, co bym mógł tutaj jeszcze zrobić... Składam więc dostojeństwo swoje i władzę na progu świątyni i ostatnim arcykapłańskim czynem ogłaszam za rozwiązaną religię dawną, która nas dotychczas krzepiła i utrzymywała. Budujże ty teraz nową swoimi czynami. Bóg widzi, że inaczej nie mogę.

To mówiąc, sięgnął rękoma po ciężki kołpak arcykapłański, aby go zdjąć z siwej głowy...

Marek postąpił szybko naprzód i chwycił go za rękę.

— Nie! — zawołał — pozostań nadal, czym byłeś, i rządź jak dotychczas! Z tego, co mówiłeś, widzę, że możemy być przyjaciółmi, a nawet braćmi...

Malahuda uwolnił z lekka dłoń swą z uścisku Markowego.

— Nie! przyjaciółmi ani braćmi być nie możemy. Z innych gwiazd jesteśmy — i za wiele o tym trzeba by mówić. Z porządku rzeczy mógłbyś albo ty być władzy mojej

poddany, albo ja twym sługą. Pierwsze jest niemożliwe, drugiego nie chcę, dopóki nie dowiem się z czynów, ktoś jest. Od dziś dnia nie ma już tego, co było — i ja jestem niepotrzebny.

Zdjął kołpak z głowy i rzucił go na bruk kamienny, rzucił laskę, pas i łańcuch kosztowny, aż wreszcie zdjął z ramion i płaszcz ze skóry szernów, uszyty ongi w roku zwycięstwa, i chyląc się po raz pierwszy, rozesłał go pod nogi przybysza.

— Przez ten płaszcz — rzekł — ze skór wrogów naszych zdziałany a arcykapłańskie barki od wieków kryjący, droga twoja do świątyni. Pamiętaj, że zdeptać go musisz, aby wnijść. Zniszczyłeś religię, zniszcz wrogów naszych, jeśli chcesz, abyśmy cię kiedyś błogosławili.

To powiedziawszy, ze wszystkich oznak dostojeństwa i władzy rozdziany, w jednej szacie tylko i z odkrytą głową siwą począł schodzić sam ze stopni, prosto w tłum, który teraz, nienawistnych przed chwilą okrzyków niepomny, z mimowolnym szacunkiem przed nim się rozstępował.

Marek milczał, stojąc bez ruchu, choć po odejściu Malahudy wzywały go coraz liczniejsze głosy ludu, aby wszedł do świątyni — choć wzywał go Elem, który podjął był porzuconą czapkę arcykapłańską i na znak nowej władzy nakrył nią łysą czaszkę swoją.

Stał tak przez jakiś czas — cichy i zadumany, ważąc snadź[188] w myśli to, co usłyszał — aż wreszcie i lud przycichnął dziwnym zachowaniem się jego zaniepokojony.

Wtedy Marek nagle wzniósł głowę i krokiem pewnym wstąpił na czarny, koralem szyty i perłami płaszcz ze skóry szerna, rozesłany przez ostatniego arcykapłana dawnej ery pomiędzy nim a złotymi wrotami świątyni.

Tłum, widząc to, wybuchnął radosnym okrzykiem tryumfu i uniesienia; zaczęto się cisnąć znowu do jego nóg, sławiono moc i błogosławiono naprzód jego imię, przyszłymi zwycięstwami głośne.

Marek wzniósł ręce i dawał znak, że chce mówić — ale długi czas upłynął, nim lud, przycichłszy nieco, pozwolił mu dojść do słowa. Zaledwie jednak usta otworzył, stało się zgoła coś niespodziewanego. Oto od strony północy, kędy trójszczytowy zamek szernów się wznosił, buchnęła fala gęstych i czarnych dymów, słońce w mgnieniu oka przysłaniając, a wraz podniósł się krzyk straszliwy trwogi i wściekłości. Słychać też było szczęk i nawoływania z nagła powstającej walki; tłum zakotłował się i ruszył — jedni cisnęli się ku Zwycięzcy, pomocy jego wzywając, inni zaś biegli, krzycząc, ku domostwom swoim zagrożonym.

Oto szernowie pod wodzą Awija wypadli byli z cytadeli i przełamawszy nagłym natarciem łańcuch arcykapłańskich straży, wpadli do osady, szerząc przestrach, mord i pożogę. Marek, podniósłszy głowę, dojrzał z dala ich czarne postacie, jak wznosiły się ciężko na skrzydłach szerokich ponad tłum, miotając weń z góry pociski i żagwie płonące...

IV

Ihezal, przytulona do stóp alabastrowej kolumny, nie mogła wyrozumieć słów, którymi Malahuda witał Zwycięzcę, ale słyszała dźwięk jego głosu i pojęła, że mówił rzeczy ważne i uroczyste. Z ukrycia swego patrzyła przez cały czas na dziadka, na płaszcz jego czarny i wysoki kołpak arcykapłański, które jej zasłaniały poniżej stojącego przybysza z dalekiej gwiazdy. Złorzeczyła w duchu temu szerokiemu płaszczowi i powitaniu, w nieskończoność się przeciągającemu, drżąc z niecierpliwości, aby ujrzeć co prędzej twarz tego oczekiwanego, a nie śmiała w dziwnym jakimś lęku wyjść z kryjówki lub chociażby ruszyć się z miejsca. Wytężała wzrok, jakby przebić chciała nim stojącą między nią a Zwycięzcą postać arcykapłana, gdy on jednakże zrobił ruch, mogący jej widok odsłonić, przymykała mimo woli oczy, przyciskając jednocześnie dłońmi łopotające[189] w piersi serce...

„Teraz go ujrzę!" — myślała widząc, że Malahuda usuwa się nieco na bok, i zawarła znów szczelnie powieki.

Jakieś wewnętrzne znużenie ogarnęło ją: odwróciła twarz w głąb świątyni i poczęła patrzeć bezmyślnie na złoty znak Przyjścia na przodzie kazalnicy.

Zdawało jej się, że jest jeszcze to, co było...

---

[188] *snadź* (daw.) — widocznie, zapewne, prawdopodobnie.
[189] *łopotający* — dziś: łopoczący.

...Oto arcykapłan Malahuda stoi na kazalnicy i prawi, a ona — dzieweczka nieletnia, w barwnym tłumie ludu ukryta, słucha tej przedziwnej powieści czy bajki...

„Z dalekiej gwiazdy, świecącej nad pustyniami, przyszli ludzie onego czasu...

I stamtąd przyjdzie, gdy czas się dopełni, Zwycięzca jasny i promienny...

Dzień nastanie wtedy na Księżycu wieczny i szczęście..."

Słońce wpada do świątyni przez kolorowe szyby i drży na ciemnych, malowanych ścianach, drży na głowach zasłuchanego ludu — złote jak ta bajka wyśniona:

„Z dalekiej gwiazdy, świecącej nad pustyniami..."

A jak On będzie wyglądał? Czy oczy jego będą błękitne? czy włos będzie złoty i długi? A gdy usta otworzy, młode i purpurowe, jaki głos z nich wypadnie? co za wezwanie? jakie błogosławieństwo?

Pójdzie przez księżycowe góry i doliny — aż po ostatnie wszystkich krajów końce — od pustyni aż do sinego morza jasny jak słońce, uśmiechniony[190] jak zorza...

Drgnęła. Wszakże On jest tutaj! o krok — w pobliżu. Gwałtownym ruchem zwróciła się ku drzwiom. Oto dziadek jej zdejmuje złoty kołpak z głowy i rzuca na kamienną posadzkę; widzi, jak Elem schylił się po niego skwapliwie, nie wiedzieć dlaczego śledzi pilnie ruchy jego białych rąk, goniących po schodach toczącą się czapkę... A potem...

Usłyszała krzyk i przelękła się, spostrzegłszy, że jest jej własny. Na skórę szerna rozpostartą, na stopień najwyższy wstąpił i uderzył ją w oczy nadludzkim swoim zjawiskiem.

— On, on!... — szeptała, nie mogąc wzroku oderwać od tej olbrzymiej, jasnej postaci, górującej tak ponad tłumem księżycowym, jak wyniosły krater *Otamora* góruje nad okolicznymi wzgórzami. Lęk, miotający nią jeszcze przed chwilą, zniknął nagle — czuła tylko jakieś straszne i rozkoszne razem unicestwienie i spokój, spokój nagłą cichą falą skądś spływający...

— Tak. To On — mówiło w niej coś z głębokim i dziwnie pewnym przeświadczeniem.

— Przyszedł.

Wobec tego wydało jej się wszystko inne mało ważnym i nic nie znaczącym. Patrzyła z jakimś obojętnym uśmiechem na Malahudę, zstępującego z odkrytą głową ze stopni, na Elema w arcykapłańską czapkę ubranego, na tłum cisnący się około nóg Zwycięzcy.

— Około Jego nóg...

I uśmiechała się jeszcze, chociaż nagła burza powstającej walki u bram miasta zwiała w mgnieniu oka tłum ze stopni świątyni — uśmiechała się, patrząc, jak Zwycięzca biegł, niby młody jasny bóg, w stronę dymów i strzelających z nich ogni, nawołując mężów i zbrojnych, cofających się w pierwszej chwili pod natarciem. Kiedy jej znikł z oczu, patrzyła jeszcze za nim zaczarowanymi źrenicami z tym samym spokojnym uśmiechem na ustach.

Do świątyni zaczęły wpadać tłumnie kobiety, szukając tutaj wedle zwyczaju schronienia przed niebezpieczeństwem. Biegły z krzykiem i narzekaniem, niektóre w lęku okropnym, obłąkane wprost z przerażenia. Ostry zapach dymu i spalenizny wpadał za nimi przez drzwi rozwarte.

Ihezal — nieruchoma — patrzyła na nie ze zdumieniem, jakby nie rozumiejąc, co krzyczą i czego się boją, kiedy On jest pośród ludu...

On!...

Jedna, widząc wnuczkę starego kapłana tak we drzwiach stojącą, szarpnęła ją za rękaw szeroki, mówiąc coś szybko i popędliwie, czego ona zgoła nie rozumiała. Inne wołały ją także, ciągnąc w mroczną głąb świątyni, ale ona uwolniła się z ich rąk i wyszła owszem przed bramę. Plac był pusty zupełnie; na stopniach leżał stratowany płaszcz ze skóry szerna, porozgniatanych pereł i korali pełny...

Ihezal podjęła go i narzuciwszy sobie na ramiona, weszła na powrót do świątyni. Kobiety pokryły się w dalszych krużgankach, a częścią[191] w otwartym dzisiaj skarbcu podziemnym; w wielkiej hali nie było nikogo. Dziewczyna przeszła przez nią, a minąwszy kazalnicę, zwróciła się na lewo, kędy[192] schody kręte, owijające się wężem dookoła filaru, wiodły na szczyt wyniosłego dachu.

---

[190]*uśmiechniony* — dziś: uśmiechnięty.
[191]*częścią* — dziś w tym znaczeniu: częściowo.
[192]*kędy* (daw.) — gdzie.

Szła z wolna, coraz bliższa malowanego sklepienia — i nie myśląc o niczym innym, uśmiechała się cicho, że jej niknie w dole mozaikowa posadzka, a rosną natomiast coraz bliższe kwiaty i postacie u góry.

Za każdym razem, gdy się znalazła na wysokości którego z okien, uderzała na nią zmieszana fala zgiełku, od strony toczącej się walki bijąca, ona jednak nie zwracała na to uwagi, ciesząc się tylko jak dziecko, że jest coraz wyżej i wyżej...

Ocknęła się dopiero stanąwszy na dachu, kiedy wionął jej w oczy rzeźwy wiatr od morza. W pierwszej chwili nie wiedziała prawie, jak się tutaj dostała na tę górującą nad miastem i okolicą wysoczyznę. Spostrzegła teraz dopiero świadomie, że podeptany płaszcz ma na ramionach, i rzuciła go z nagłym obrzydzeniem precz od siebie. Jakiś spazm niespodziewany i gwałtowny ścisnął ją za gardło: powstrzymywała się przemocą, aby nie płakać, chociaż nie wiedziała, o co chce płakać i czemu się od płaczu powstrzymuje...

Morze huczało szeroko, pod blask słońca złote i ruchliwe. Fale, w miarę jak zbliżały się ku brzegowi, dostawały białych grzyw i rzucały się na piasek z głuchym łoskotem, rozlewając się po nim srebrnymi kręgami. Gnał je wicher, powstały kędyś daleko na środku wód, pod leniwie wschodzącym słońcem, hen — poza wyspą, widną z dala, którą nazywano *Cmentarną*, gdyż według podania pochowane tam były szczątki pierwszych ludzi, z Ziemi na Księżyc ze Starym Człowiekiem przybyłych. Ihezal, tyłem o kamienną balustradę dachu oparta, patrzyła na słońce i na wyspę, widoczną stąd jak czarnosina plama na srebrzystej roztoczy[193].

Dziwny był ten wiatr i ten łoskot morza nieustanny przy jasnym słońcu na pogodnym niebie, które, dość wysoko już wzniesione, lało żar na twarz jej, słonym powiewem wichru smaganą. Wciągała z lubością w pierś ten rzeźwy oddech morza, rozchylając spieczone wargi purpurowe. Pod przymknionymi[194] powiekami, w oczach blaskiem oślepłych, poczęło jej wszystko mącić się i falować: morze wzburzone i złote, niebo i wyspa ta czarna, zdająca się na grzbietach fal lecieć ku niej przyśpieszonym ruchem...

„Z dalekiej gwiazdy świecącej nad pustyniami przyszli ludzie onego czasu..." — zadźwięczało jej w uszach wspomnieniem.

Nagle odwróciła się. Wszakże On tam jest i walczy! Jak gdyby teraz dopiero zrozumiawszy nareszcie, po co tutaj wyszła, zerwała się gwałtownie i przebiegła przez platformę ku drugiemu końcowi, skąd widać było miasto i szerokie za nim równiny. Szczęk walki milknął już i dymy opadały z wolna nad przygasającymi zgliszczami.

Szernowie, zwycięzcy w pierwszym ataku, mimo szalone natarcie[195] zmuszeni byli do sromotnej ucieczki. Przyczynił się do tego przede wszystkim popłoch, który wybuchnął w szeregach oddanych im morców, kiedy zobaczyli walczącego po ludzkiej stronie olbrzyma. W panicznym przestrachu rzucali broń i biegli ukryć się za mur warowny, porzucając panów swych na pastwę losów, niepomni straszliwej i okrutnej kary, jaka ich czeka za to odstępstwo. Własnym siłom pozostawiona garstka szernów walczyła zajadle — nie mogła jednak podołać przewadze. Unosząc się ciężkim i niedołężnym lotem ponad ludzkimi szeregami, razili je z góry ogniem i strzałami, co chwilę jednak któryś z nich upadał, dosiężony straszliwą bronią palną Zwycięzcy lub dobrze wymierzonym kamieniem procarzy. Nie cofali się jednakże mimo strat do ostatniej chwili, aż skrzydła im mdleć poczęły, wydając ich na pastwę rozwścieczonego tłumu.

Ihezal widziała z góry, jak bliżsi warownego zamku krzywym, ociężałym lotem zdążać poczęli nagle ku jego wieżom, padając poza ogrodzeniem od ran i znużenia. Ci jednak, którzy zbytnio w głąb ponad ludzką osadę się odbili, nie zdołali już bezpiecznego miejsca dosięgnąć i upadali wśród walczących, na dachy domów lub bruk uliczny, aby znaleźć tu natychmiastową i straszną śmierć z ręki przeważających zwycięzców. Łamano im skrzydła i tłuczono członki kamieniami albo rzucano związanych w żar dopalających się domostw. Żaden jednak z torturowanych nie prosił łaski ani zmiłowania, czy to wiedząc, że prośba byłaby daremna, czy też przez bezgraniczną dla rodu ludzkiego pogardę.

Ihezal obojętnym okiem rzuciła na te — naturalne, jak jej się zdawało — końcowe sceny walki i szukała w tłumie Zwycięzcy. Stał opodal, bój już skończywszy, ale jeszcze ze

[193]*roztocza* — rozciągająca się przestrzeń, płaszczyzna.

[194]*przymkniony* — dziś: przymknięty.

[195]*mimo szalone natarcie* — dziś, poza niektórymi konstrukcjami (np. mimo wszystko) najczęściej z D.: mimo szalonego natarcia.

straszną swą bronią w ręku — czujny i uważny, jak z ruchów poznać było można. Rozglądał się wkoło i dawał głosem i ręką jakieś rozkazy. Dziewczyna słów nie mogła dosłyszeć, ale domyślała się łatwo, że idzie o odcięcie powrotu dwom czy trzem szernom, w zamęcie walki nad osadą zagubionym i pragnącym się teraz dostać do warowni. Jeden z nich, nie mogąc już latać ze znużenia, krył się tylko po dachach, przerzucając się na skrzydłach — gdy go wypłoszono — z trudem z jednego na drugi. Inny usiadł na zrębie muru i czekał spokojnie śmierci z ręki Zwycięzcy, który, spostrzegłszy go właśnie, wymierzył ku niemu broń swą zabójczą. Za trzecim goniono z krzykiem i nawoływaniem.

Ten, widząc, że odwrót ma odcięty, a nie mogąc się na znużonych skrzydłach wznieść dość wysoko, aby od strzał ludzkich być zabezpieczonym, rzucił się w wolną od wojowników stronę, ku świątyni i morzu — i przepadł gdzieś między domami. Spostrzeżono jego ucieczkę, a w obawie, aby osadę okrążywszy, nie dostał się ponad morzem do zamku, zaczęto go szukać pośpiesznie i zapalczywie.

Zwycięzca, ubiwszy drugiego szerna, wziął też udział w pościgu i biegł ku świątyni, rozglądając się wkoło bystrymi oczyma.

Właśnie na niego patrzała Ihezal, czekając z mimowolnym pragnieniem, aby spojrzał w jej stronę, gdy nagle uderzył ją łomot jak gdyby spadającego tuż za nią ciała. Odwróciła się szybko — i krew jej w żyłach zamarła z przerażenia. O kilka kroków za nią leżał na płaskim kamiennym dachu świątyni ścigany szern. Leżał na pozór bezwładnie — jedno skrzydło zranione i podziurawione w kilku miejscach broczyło żółtawozieloną krwią — na piersiach i nogach miał też szerokie rany od strzał; znać jednak było, że żył: pierś mu dyszała ciężko, a czworo czerwonych i błyszczących oczu wpatrywało się uporczywie w dziewczynę.

Ihezal nie zdołała nawet krzyknąć, zaczarowana tym strasznym wzrokiem. Poznała wielkorządcę Awija po złotych na ramionach i u przegubów stóp obręczach i patrzyła na niego z martwym przerażeniem, z którym łączyła się wzrastająca ciekawość. Potworny i poraniony szern, po raz pierwszy w życiu z bliska widziany, wydał jej się mimo wszystko dziwnie i groźnie pięknym.

Była w nim jakaś moc zła i przewrotność napełniająca trwogą, a wraz i podziwem. Leżał na jednym boku, na złamanym skrzydle — drugie, czarne i lśniące, z granatowymi połyskami, roztoczył szeroko na posadzce. Głowę miał nieco uniesioną i pod słabo fosforyzującym czołem błyszczało czworo okropnych, krwawych oczu...

— Ukryj mnie! — charknął ludzką mową, patrząc wciąż na dziewczynę. W słowach jego nie było prośby, lecz raczej rozkaz nieodparty. Ihezal bezwiednie zbliżyła się o krok ku niemu.

— Ukryj mnie, suko! prędko! — zasyczał znów szern. A ona automatycznym, bezwolnym ruchem zbliżała się wciąż, nie mogąc oczu od płonących źrenic jego oderwać. Naraz, w chwili kiedy już krok ich tylko dzielił, zraniony szern podrzucił się gwałtownie ostatkiem siły i błyskawicznie wysunął spod skrzydeł straszne białe dłonie.

Z nagłym krzykiem grozy skoczyła w tył, unikając zgubnego uścisku. W tym momencie wróciła jej cała przytomność: chwyciła leżący podarty płaszcz arcykapłański i niespodziewanym ruchem zarzuciła go na głowę wrogowi — a potem, nie mając nic innego pod ręką, zaczęła zdzierać z siebie szaty i krępować nimi lepiej spętanego szerna.

Tymczasem biegnący wojownicy ze Zwycięzcą na czele byli już przed bramą świątyni. Usłyszała na schodach łomot ich kroków i głośne nawoływania. Nie zważając na to, że jest prawie naga, rzuciła się ku balustradzie i przechylona — z rozpuszczonymi włosami — poczęła krzyczeć:

— Pójdźcie[196]! pójdźcie...

Tchu jej zabrakło; nie zdołała już powiedzieć, że uciekającego wielkorządcę pojmała.

Z jej głosu domyślono się jednak na dole, że szern tam być musi, rzucono się tedy z pośpiechem, aby go ująć.

— Żywcem, żywcem! — wołał Jeret, który wpadł pierwszy. — Zwycięzca kazał brać żywcem!

W mgnieniu oka przywalono Awija kupą zmagających się, ruchliwych ciał. Osłabiony ranami i zaplątany w podartych szatach niewieścich, nie mógł się nawet opierać; biorący

[196]*pójdźcie* (daw.) — dziś w zdaniu rozkazującym: chodźcie tu.

go ludzie jednak nie dowierzali tej jego bezwładności, wiedząc o straszliwej broni, jaką szernowie posiadają w swych białych i miękkich dłoniach, które złączone uderzają nieprzyjaciela piorunującym i zabójczym prądem lub — wedle woli — władzę mięśni jego niweczą. Przewalono go tedy na piersi, usiłując ująć każdą dłoń z osobna.

Lewą, spod zranionego skrzydła, szybko wzięto w powrozy, ale do prawej, którą padając przyległ sobą, trudno się było dostać, nie uwalniając go z pęt zarazem. Po krótkiej naradzie Jeret rozkazał czterem co najcięższym chłopom klęknąć na plecach obalonego, a sam z pomocą dwóch jeszcze junaków począł mu wyłamywać zdrowe prawe skrzydło, aby wygrzebać dłoń, ukrytą pod nim i pod piersiami.

Szern, milczący dotychczas pogardliwie, szczeknął z bólu i rzucił się w bok gwałtownie, przewracając gniotących go ludzi, upadł jednakowoż natychmiast, zamroczony potężnym uderzeniem pałki w kark. Teraz wydobyto i drugą rękę i wzięto na powróz.

Jeret kopnął leżącego wciąż twarzą na posadzce.

— Wstawaj, gadzie! — krzyknął.

Awij uniósł głowę i łypnął krwawymi oczyma, ale nie ruszył się z miejsca. Tedy po trzech ludzi chwyciło za każdą linę, do przegubów dłoni twardo przywiązaną, i bacząc, aby rąk nie złączył, pociągnięto go ku przodowi dachu, skąd było widać plac, mrowiem ludu zaległy. Tutaj Jeret kazał mu założyć widły pod pachy i dźwignąwszy tak przerzucić przez kamienną balustradę, że zawisł na linach ponad przyczółkiem świątyni.

Poznano z dołu wielkorządcę i podniesiono ogromny krzyk tryumfu. Niedorostki rzucały kamieniami, które jednak nie dosięgały wysoko zawieszonego — plwano w tę stronę i miotano nienawistne wyzwiska i szyderstwa. Szern nie jęknął nawet. Rozkrzyżowany w powietrzu na przodzie świątyni, z bezwładnie obwisłymi skrzydłami i wygiętymi w tył rękoma, patrzył tylko czworgiem swoich dzikich oczu w tłum, z niesłychaną nienawiścią i wzgardą.

Na dach świątyni wszedł Zwycięzca z nieodstępnym Elemem.

— Tu jest, tu jest, panie! — wołał nowy arcykapłan, wiodąc go ku przodowi platformy.

Marek wychylił się, a ujrzawszy szerna, cofnął się z nagłym wstrętem, tak ten widok był potworny i ohydny zarazem.

— Zdjąć go! — zakrzyknął.

Ludzie, trzymający Awija, ściągnęli go, lubo[197] niechętnie, nie śmiąc się jednak rozkazowi opierać — i przywiedli na postronkach z rozkrzyżowanymi wciąż rękoma przed Zwycięzcę.

Elemowi zapłonęły oczy.

— Jaką mu śmierć przeznaczasz, panie? — pytał natarczywie, kręcąc się około kolan Markowych. — Można by go upiec na rożnie albo, co lepsza, rybom dać zjeść... Ty nie wiesz, panie, jak się to robi? Drze się na nogach mięso na strzępy, aby ryby przywabić, a potem chowa się po pas w wodę...

— Precz! — syknął Marek przez zęby, a potem rozejrzał się wkoło.

— Kto go ujął? — zapytał.

Zaległo głuche milczenie. Ludzie oglądali się jedni na drugich; ci, którzy później przyszli, wskazywali wcześniej przybyłych, aż wreszcie wszystkie oczy zwróciły się na wtuloną w kąt platformy dziewczynę.

— Kto go ujął? — powtórzył Marek.

— Ja.

Wyszła z ciżby i stanęła przed nim. Tak, jak zdarła była[198] ubranie z siebie, aby szerna nim spowić, stała teraz naga do pasa; od białych bioder tylko spływała jej do stóp lśniąca i fałdzista fioletowa szata... Marek spojrzał na nią, a ją nagle krwawy oblał rumieniec. Mimowolnym ruchem ściągnęła na pierś rozsypane po barkach włosy, jakby ukryć się w nich pragnąc...

— Ty? — szepnął ze zdumieniem — ty?!

— Wnuczka Malahudy! — szemrano poznawszy ją w tłumie. — Arcykapłana starego ostatnia latorośl!

---

[197] *lubo* (daw.) — choć.

[198] *zdarła była* — daw. forma czasu zaprzeszłego; dziś: zdarła (wcześniej).

Ona stała tymczasem, patrząc w oczy Zwycięzcy, ze skrępowanym szernem u nóg prawie — i czuła, że pod jego wzrokiem wszystkie siły ją opuszczają. Krew ze zbielałych warg uciekła jej gdzieś do piersi i drgała ckliwymi ciarkami w tętnicach; nogi nagle zesłabłe[199] już się uginały... Wysiliła jeszcze wszystką wolę, aby nie upaść...

Naraz uczuła, że ktoś ją obejmuje ramieniem.

— To moja narzeczona — rzekł Jeret, podtrzymując słaniającą się.

Żachnęła się i wyrwała z jego objęć z nagle odzyskaną mocą.

— Nieprawda! — krzyknęła — nieprawda!

I złożywszy na piersi ręce, wołała szybko, jakby z najcięższego jakiegoś zarzutu chcąc się oczyścić:

— Ty nie słuchaj tego, panie, bo to nieprawda! Może... niegdyś... istotnie... ale teraz...

Zamilkła nagle.

— Teraz? — zapytał Marek, zdumiony tą całą sceną.

— Teraz — dokończyła, drżący głos mimowolnie zniżając — teraz ty jeden panem moim jesteś, Zwycięzco, z dalekiej gwiazdy przybyły, którego imię niech będzie błogosławione po wszystkie wieki wieków!

Mówiąc to, osunęła się na kolana i przypadła czołem do jego stóp, zsypując na nie pochyleniem głowy płynne i jaśniejące złoto swych włosów.

Tymczasem koło nich szmery jakieś rosły, aż wybuchły nagle burzą zgiełkliwych głosów. Marek, który chciał był[200] właśnie odpowiedzieć klęczącej przed nim dziewczynie, wzniósł głowę i pojrzał[201] dokoła pytającym wzrokiem, nie mogąc ze zmieszanych słów i wykrzyków[202] dobrze wyrozumieć, o co idzie.

— Panie! — ozwał się Elem — lud żąda śmierci Ihezal, wnuczki Malahudy...

Marek uczuł, jak dziewczyna w nagłym lęku przylgnęła piersią do jego kolan.

— Co? — rzekł — co? Czym zawiniła?

Nikt nie odpowiadał. Nagła cisza zapadła, a wszystkie twarze posępne i milczące patrzyły z bezlitosnym wyrokiem w oczach na złotowłosą dziewczynę. Marek spojrzał na Jereta, który — sam byłego arcykapłana krewny — mienił się być przed chwilą jej narzeczonym. Młody wojownik brwi miał zmarszczone i kąsał usta, nie odzywał się jednak ani słowem protestu.

— Musi umrzeć — wyrzekł wreszcie Elem.

— Musi umrzeć! — krzyknięto naraz ze wszystkich stron.

— Czego wy chcecie od niej? co zawiniła? — powtórzył Marek, kładąc obronnym ruchem dłoń na jej włosach.

— Nic nie zawiniła — rzekł Elem — ale umrzeć musi. Była sam na sam z szernem — tu wskazał charczącego w powrozach Awija — samowtór[203] z nim była, więc musi umrzeć.

— Ależ ona go ujęła! — krzyknął Marek.

— Tak, lecz czyniąc to, była z nim sama tutaj i dlatego musi umrzeć w piasku zakopana. Takie jest prawo.

— Takie jest prawo! musi umrzeć! — zawołano zewsząd.

Zwycięzca zapłonął nagłym gniewem:

— Pluję na prawa wasze! Ja tu dziś prawa stanowię, odkąd uznaliście mnie panem! Będzie żyła, bo ja chcę tego!

Elem zgiął się w pokorze.

— Ty możesz wszystko, Zwycięzco, ale nie zechcesz sam chcieć tego, czego my nie chcemy, aby z krwi naszej dzieci szernom się rodziły!

Ihezal zerwała się gwałtownie.

— Ja czysta jestem! — krzyknęła z płonącymi oczyma, twarzą do tłumu zwrócona — słyszycie, czysta! Kto śmie...

Łkanie zdławiło jej dalsze słowa w gardle. Zakryła oczy i padając znów do kolan Markowych, powtórzyła cichym i błagalnym głosem:

---

[199] *zesłabły* — dziś: osłabły.
[200] *chciał był* — daw. forma czasu zaprzeszłego; dziś: chciał (wcześniej).
[201] *pojrzeć* (daw.) — dziś: spojrzeć.
[202] *wykrzyk* — dziś: okrzyk.
[203] *samowtór* (daw.) — sam z towarzyszem; we dwóch (we dwie, we dwoje).

— Czysta jestem... Daj na śmierć, Zwycięzco, ale wierz, żem czysta...

Marek schylił się i wziął płaczącą jak dziecko na ręce.

— Jest pod moją opieką! słyszycie? — rzekł. — Nikt jej nie tknie. Ja sam biorę na siebie odpowiedzialność za nią.

Szmer przeszedł między zgromadzonymi, ale nikt nie śmiał się sprzeciwić. Marek zaś dodał jeszcze, zwracając się ku Elemowi:

— A przede mną ty za nią odpowiadasz! Jeśli włos jej z głowy spadnie, to ciebie żywcem w piasku każę zakopać!

Mówił twardym, rozkazującym tonem, do którego przywykł już nadspodziewanie w tym krótkim, wśród księżycowych ludzi spędzonym, czasie.

Elem schylił się w milczeniu.

— A z szernem co każesz zrobić, panie? — zapytał po chwili.

— Będzie żyw tymczasem. Umieścić go w pewnym i dobrym schowaniu. A teraz idźcie stąd wszyscy i zostawcie mnie samym.

Platforma opróżniała się szybko. Awija zwleczono na powrozach krętymi schodami i na rozkaz Elema przykuto z rozkrzyżowanymi rękoma, sznury zastępując łańcuchami, w podziemnym skarbcu świątyni, która odtąd miała być mieszkaniem Zwycięzcy, jako jedyny wzrostowi jego odpowiadający gmach w całej osadzie.

Na dachu pozostała z Markiem tylko Ihezal i ociągający się z odejściem Jeret.

Zwycięzca spojrzał na niego pytająco.

— Panie — rzekł młodzian — ona miała być moją żoną...

— A chciałeś jej śmierci!

— Nie. Nie chciałem ja. Tylko takie jest prawo.

— Było.

— Tym lepiej dla niej, że: było. Jednak i dziś żaden człowiek nie weźmie kobiety skażonej dotknięciem szerna.

Nie wierzysz, że jest czysta?

— Chcę wierzyć i wierzę, kiedy ty to mówisz, Zwycięzco, z gwiazd ku radości oczu naszych zesłany! Ale jeśli tak, prośbę mam do ciebie, ja, który psem twoim jestem i służyć ci będę, jako zechcesz. Nie odbieraj ty mi jej, panie! Ja ją kocham.

Marek zaśmiał się swobodnym, ziemskim swoim śmiechem.

— Nawet dzieckiem będąc, nie bawiłem się lalkami! Cóż bym ja z nią robił?

Ihezal, obojętnie dotychczas słuchająca rozmowy, wzniosła naraz oczy na niego.

Zadrgało w nich jakieś bolesne pytanie, jednakże nie powiedziała nic; zacięła tylko usta i patrzyła na dalekie morze... Marek spojrzał na nią i raz pierwszy przyszło mu na myśl, że jest prawie naga. Sprawiło mu to nieokreśloną przykrość, że Jeret patrzy tak na nią. Zdjął czerwoną szeroką chustkę, którą miał zawiązaną na szyi, i narzucił ją na drobne ramiona dziewczęcia. Nie poruszyła się wcale ani nawet wzrokiem mu nie podziękowała.

— O czym myślisz? — rzekł Zwycięzca nieco opryskliwie, zwracając się ku zapatrzonemu w dziewczynę Jeretowi.

Uśmiechnął się.

— Myślę, panie, że gdyby nie ty, byłbym stracił całe szczęście życia swojego. Bo anibym śmiał, ani mógł opierać się prawu i ciało Ihezal żarłby już piasek w tej chwili...

Patrzył na dziewczynę płonącymi oczyma, nie śmiejąc się jednak zbliżyć do niej, czy to ze względu na obecność Zwycięzcy, czy też nieruchomą i zadumaną postawą jej powstrzymany.

— A ty — zapytał Marek — ty o czym myślisz teraz?

Wzniosła na niego smutne, ale jasne i spokojne oczy.

— Śni mi się powieść dawna, spisana w księgach ukrytych w skarbcu świątyni... Śni mi się błogosławiona prorokini Ada, która, nie znając męża, służyła niegdyś Staremu Człowiekowi, a kiedy na Ziemię powracał, odprowadziła go aż po krańce *Wielkiej Pustyni* i tam już życia dokonała, patrząc w daleką gwiazdę...

Zwycięzca roześmiał się nieco wymuszenie.

— Ja jestem „Młody Człowiek" — rzekł — i kiedy będę wracał na Ziemię, wezmę cię z sobą... Wezmę was oboje — poprawił się, wskazując na Jereta — tam będziecie szczęśliwi...

Ihezal uśmiechnęła się lekko, nie odwracając już oczu od wielkiego sinego morza.

V

Słońce zaledwie zaczynało się przechylać ku zachodowi, kiedy po zburzeniu zamku szernów lud odprowadzał w tryumfie Zwycięzcę do świątyni, obwołując go jedynym panem globu księżycowego...

Walka była ciężka i długa. Szturm przypuszczano w samo południe, w porze, kiedy codziennie szaleją burze nad wielkim księżycowym morzem — i w mgnieniu oka przełamano obronne mury dziedzińca. Ludzie, którzy dawniej na samą myśl o szernach z zabobonnym lękiem kreślili zbawczy znak Przyjścia na piersi i ustach, teraz — widząc obiecanego Zwycięzcę na czele szeregów — rzucali się w wir boju z zapamiętałością i odwagą niesłychaną. U bram trójszczytowej wieży jednakże spotkali się z oporem, o który mało co nie rozbiło się ich waleczne natarcie. Tym razem nie szernowie to byli, ale morcy, którzy, zbiegłszy sromotnie w pierwszym boju, teraz rozpaczliwie się bronili do ostatniego tchu, wiedząc, co ich czeka w razie pogromu. Każde drzwi trzeba było oddzielnie zdobywać, każdy korytarz i zakręt schodów, niemal stopień każdy.

Morcy, wyparci przeważającą liczbą z jednego stanowiska, cofali się na drugie, wyżej położone, broniąc się wciąż zaciekle. W ogłuszających grzmotach rozszalałej burzy postępowano w ten sposób z wolna ku szczytowi wieży, ślizgając się we krwi i gubiąc w ciemności wąskich przechodów[204], spotęgowanej jeszcze gęstymi na niebie chmurami i deszczem ulewnym.

Zwycięzca nie brał osobiście udziału w walce toczącej się wewnątrz; zbyt wielki wzrostem, aby się w ciasnych krużgankach móc swobodnie poruszać, pozostał na zewnątrz i stamtąd całą bitwą dowodził, bacząc jedynie, aby kto z oblężonych nie uszedł, z zamętu boju skorzystawszy. I to był rzeczywiście zamiar zamkniętych w wieży szernów. Widząc, że strach przed ich imieniem, który dotychczas ludzi z dala trzymał od warowni, znikł bez śladu, a o zwycięstwie już zwątpiwszy, pozostawili morcom obronę dostępu na najwyższe piętra, a sami poczęli się gromadzić na wąskiej platformie między trzema szczytami, czatując już tylko na sposobną chwilę do ucieczki. Spostrzegł ich Marek i z ruchów zrozumiał, że chcą skorzystać z niedołężnych skrzydeł swoich i rzucić się ku morzu ponad głowami napastników, a opanowawszy tam pod słabą strażą ludzką zostawione okręty, ujść bez obawy pościgu do ojczystych swych krajów. Krzyknął więc na Jereta, którego niejako w charakterze adiutanta miał przy boku, aby flotylli w zatoce pilnował, sam zaś zgromadził co najlepszych łuczników koło siebie i z ich pomocą począł razić zjawiających się na dachu szernów. Strzały z cięciw, słabymi napinanych rękoma, rzadko wprawdzie donosiły i małą wyrządzały szkodę, ale za to palna broń Zwycięzcy straszliwe wśród szernów czyniła spustoszenie. Po niejakiej chwili pozostali przy życiu przestali się już nawet jawić na dachu i zwątpiwszy snadź[205] o możliwości ucieczki za pomocą skrzydeł, szukali tylko wewnątrz murów ocalenia.

Był to jednak moment, kiedy przerzedzone szeregi morców z najwyższego piętra wyparte rzuciły się były właśnie w popłochu ku szczytowi, chcąc zająć ostatnie obronne stanowisko u miedzianej kraty, zamykającej wejście na dach. Dwie fale spotkały się na ciemnych schodach — i szernowie, pogromem rozwścieczeni, rzucili się z góry na morców, pędząc ich na nowo do śmiertelnej walki. Morcy, z dwóch stron napastowani, wpadli w szał. Strachem i czcią tłumiona nienawiść do pomiatających nimi panów wybuchła nagle z rozkiełzaną potęgą. Nie bacząc, że ludzkie bronie z tyłu śmiercią im grożą, zwrócili się ku górze i natarli gwałtownie na swoich ojców i ciemiężycieli.

Walka była krótka. Szernowie, nie wytrzymawszy naporu liczniejszej kupy, rzucili się z powrotem na dach, otwierając przejście goniącym za nimi morcom. Tutaj jednak powitał ich znowu zabójczy ogień Zwycięzcy. Oszaleli tedy, straciwszy wszelką nadzieję ratunku, puścili się wszyscy lotem, jak chmara olbrzymich i strasznych sępów, wprost na Marka, chcąc na tym groźnym olbrzymie pomścić przynajmniej śmierć swoją niechybną.

Kilku ich już tylko było, jednak Zwycięzca, z nagła napadnięty, byłby im uległ niechybnie, gdyby nie zgromadzeni koło kolan jego łucznicy, którzy z niesłychaną zręczno-

[204]*przechód* — dziś: przejście.
[205]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

ścią szyli strzałami rzucających się na niego wrogów. Mimo to otrzymał kilka strasznych uderzeń prądu z ręki napastników, jeden zdążył nawet rzucić mu się na pierś i zduszony potężną dłonią olbrzyma, trupem jeszcze wisiał na nim, uczepiony dziobem i zadzierżystymi szponami nóg.

Marek, osłabiony i wyczerpany długą walką, osunął się na ziemię, kiedy ze szczytu wieży zabrzmiał okrzyk tryumfu. Ludzie po wymordowaniu morców opanowali zamek w zupełności.

Bronił się jeszcze tylko jeden Nuzar, podręczny niegdyś Awija, z krwawym piętnem na gębie. Wdrapał się on na jeden z trzech ostrych szczytów wieży i stamtąd, zrywając dachówki, raził usiłujących go na próżno dosięgnąć napastników. Ludzie, wewnątrz wieży walczący, nie mieli łuków ani proc z sobą, poczęli tedy wołać na pozostałych w dole, aby broń przynieśli, gdy z nagła wybuchający niespodziewany pożar na dolnych piętrach zmusił ich do cofnięcia się.

Nuzar pozostał sam. Widząc uchodzących zdobywców zsunął się z ostrego stożka i siadł na gzymsie platformy, oczekując spokojnie śmierci. Spostrzegł go z dołu Zwycięzca i począł wołać, aby uchodził przed pożarem, obiecując mu życie i zdrowie. Morzec wahał się przez chwilę, obietnicy snadź[206] nie dowierzając, gdy jednak Marek powtórzył zapewnienie, wyciągnął pęk lin z ukrycia i uwiązawszy je u balustrady, spuścił się z płonącej baszty w sam środek ludzkiego tłumu. Widząc go zawieszonym w powietrzu, kilku łuczników napięło cięciwy, biorąc go już na cel niechybnym strzałom, ale Marek powstrzymał ich dość wcześnie, nakazawszy szacunek dla swego przyrzeczenia.

— Jest moją własnością ten morzec — wołał — kto go tknie, moją własność naruszy!

Tymczasem on dosiągł już ziemi, ale nie wierzył jeszcze w swe ocalenie, bo nie oddalał się od płonącej baszty, śledząc jeno[207] nieufnym okiem otaczających go ludzi.

Zbliżył się Elem ku niemu.

— Chodź, psie parszywy, do Zwycięzcy — rzekł.

Morzec mruknął coś, ale ruszył posłuszny za arcykapłanem wśród rozstępujących się z wyrazem wstrętu i nienawiści ludzkich szeregów.

Marek, siedząc wciąż na ziemi, dał mu znak, aby się zbliżył.

— Panie, jest niezwiązany, miej broń w pogotowiu — ostrzegał Elem.

Jeret, który powrócił był właśnie od okrętów, zaśmiał się.

— Lepiej go związać od razu — rzekł rzucając pętlę, aby pochwycić w nią szyję morca.

Było już jednak za późno. Nuzar, odbiwszy powróz lewą ręką, wyciągnął nóż prawą w zanadrzu dotychczas ukrytą i błyskawicznym ruchem rzucił się na Zwycięzcę, godząc w jego obnażoną szyję.

Zwycięzca uchylił się przed ciosem i pochwycił uzbrojone ramię morca, wznosząc go wysoko ponad głowę. Nuzar chciał się bronić zębami, ale dosięgnął tylko zwisającego rękawa Zwycięzcy i począł kąsać zajadle.

— Śmierć! śmierć! — wołały zewsząd oburzone nienawistne głosy.

— Będzie żyw — rzekł Marek — potrzebny mi on do menażerii... Dajcie jeno powroza.

Morzec zwinął się w potężnym uścisku Markowych dłoni, ale nie jęknął nawet ani się już nie bronił, gdy ten krępował mu ciasno ręce na plecach złożone.

Rzucił koniec sznura Jeretowi.

— Zaprowadź go do skarbca, tam, kędyście owego szerna przytroczyli. I pilnuj. Gdy kiedyś wracać będę na Ziemię...

Nie dokończył zdania. Zaśmiał się tylko głośno do siebie na myśl, jakie nadzwyczajne przywiezie okazy z sobą.

Tymczasem walka była nieodwołalnie i pomyślnie skończona. Oprócz morca ujętego ani jeden z mieszkańców wieży nie pozostał żyw.

Burza, szalejąca prawie przez cały czas, ustała teraz. W północnej stronie nieba, około wysokiego stożka krateru *Otamora*, kłębiły się jeszcze i przewalały czarne chmury — grzmot stamtąd szedł jeszcze przytłumiony, daleki — ale nad miastem i morzem świeciło już jaskrawe słońce na bladym, księżycowym błękicie...

---

[206] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[207] *jeno* (daw.) — tylko.

Marek w weselnym orszaku wracał ku świątyni. Patrzył na to słońce i dziwno mu było, że zaledwie zdążyło wpełznąć od horyzontu po zenit przez ten czas, w którym tak wiele rzeczy się stało... Wszakże o świtaniu zoczył dopiero z dala mury tego miasta — i ranek był, kiedy go na stopniach tej świątyni witano — a oto teraz odprowadza go lud tutaj, jako do domu, i sławi go, zwycięzcę w dwóch krwawych bitwach i samowładnego pana wszystkiej księżycowej krainy.

Takie to było niepojęte i tak nagłe, a tak po prostu się stało, że uśmiechnął się mimo woli ze zdziwieniem, jakby do snu własnego, myśląc o tym wszystkim. Wprawdzie od świtania do tej chwili, po ziemsku licząc, tydzień z górą upłynął, ale tutaj jest pół dnia dopiero — i zdawać by się mogło, że to sen był przedziwny, gdyby nie ten lud, wznoszący wokół okrzyki i zieleń mu pod nogi ścielący, gdyby nie te dymy ciężkie, co się tam w północnej stronie pod czarnymi chmurami włóczą dookoła zwalisk i zgliszczy...

Na schodach świątyni odprawił tłum do domów. Mimo wyraźne jego życzenie nie chciano się rozchodzić i długo, długo wznoszono jeszcze na cześć jego okrzyki, zbawcą go zowiąc, zwycięzcą, ukochaniem i od wieków oczekiwanym błogosławieństwem księżycowego globu, aż ujść w końcu musiał do wnętrza przed tymi niekończącymi się uwielbieniami... Nie chciał nawet, aby mu towarzyszył Elem lub ktokolwiek z dodanych mu do służby ludzi.

Odczuwał nieprzepartą potrzebę samotności: chciał wreszcie poza tym gwarem tłoczących się wydarzeń zastanowić się trochę, połapać się, rozważyć. Zdawało mu się, jakby myśli jego samej tchu brakowało — i musi teraz tego tchu zaczerpnąć, jeżeli nie ma pozostać w tyle poza stającymi się bez jego udziału zdarzeniami.

A przy tym znużony był i senny. W przeciągu stu kilkudziesięciu godzin, które upłynęły od świtania, spał bardzo mało, a nie miał natury tych księżycowych karłów, niemal bezsennie przetrzymujących trzysta pięćdziesięciogodzinny dzień... Ubezwładniał go upał południa i miarowy, jednostajny łoskot rozfalowanego jeszcze po burzy morza.

Wszedł do wnętrza świątyni i zamknął kute brązowe drzwi za sobą.

Mrok go ogarnął nagły, barwnymi witrażami okien roztęczony, i chłód, z podziemnych gdzieś gmachów bijący.

Pusta świątynia wydała mu się czymś wielkim i tajemniczym — jakąś istotą żywą, której naraz serce i treść bytu wydarto; nieledwie olbrzymią maszyną, która w ruchu była przez wieki całe, a teraz nagle stanęła za jego przybyciem. Patrzył na znaki złote i napisy, z dziwnie poplątanych liter złożone, i myślał, że miały one znaczenie, a teraz stały się nieme i głuche, z chwilą gdy on tu wszedł i zapowiedź — może wielką? — którą one głosiły, zwrócił mimo woli na siebie. Lęk go ogarnął niemal zabobonny. Rankiem jeszcze sądził, że on jest — nie wiedząc o tym — tym przyobiecanym nędznemu księżycowemu ludowi wybawicielem, a teraz gotów by prawie uwierzyć, że wdarł się w miejsce, które istotnie do kogoś należało, że przywłaszczył sobie lekkomyślnie czyjeś tajemnicze i wielkie prawa — i oto każdy napis zagadkowy i złoty z tych ścian patrzy na niego złowieszczo a groźnie, jak na samozwańca...

Odruchowo chciał biec i zwołać lud, i krzyczeć...

Uśmiechnął się sam do siebie.

— Znużony jestem i senny — rzekł głośno.

A potem przypomniały mu się słowa, niegdyś przed wiekami na Ziemi przez mędrca wielkiego wypowiedziane: „Tak daleko sięga prawo człowieka, pokąd sięga jego moc...".

— Znużony jestem i senny — powtórzył — i taki niemocny teraz i dlatego w prawo swoje zbawiania tego ludu nie wierzę...

Prawo — zbawiania!...

W głębi pomiędzy dwoma filarami przygotowano mu posłanie, ale nie mógł się jakoś jeszcze odważyć, aby legnąć tu na sen — w tym świętym miejscu.

Zachciało mu się naraz powietrza i przestrzeni. Po krętych, nie dość dla ogromu ciała jego wygodnych schodach wyszedł na dach i rzucił się w pełnym słońcu na kamienną posadzkę platformy.

Przez małą chwilę usiłował myśleć o tym wszystkim, co się tu dzieje, i zdać sobie sprawę z tego, co go to wszystko obchodzi i czemu właściwie tak czynny udział bierze w wydarzeniach, ale myśli rozpierzchłe nie chciały go słuchać.

Ciężka senność zawierała mu z wolna powieki. Rozgrzane, od pożaru słonecznego drgające powietrze paliło go w piersi za każdym oddechem, żar głowę ogniem mu obejmował, ale on nie czuł już siły, aby się w cień usunąć...

„Zrobię to za chwilę" — myślał zasypiając, rozleniwieniem znużenia objęty...

Morze uspokoiło się już po burzy i gdy wzniósł jeszcze na chwilę ciężkie powieki, lśniło mu w oczy ogromną, blasku i przestrzeni pełną powierzchnią, zlewając się w snem zamroczonej myśli jego z marzennymi obrazami Ziemi.

Zasypiał, gdy naraz zdało mu się, chłód jakiś rozkoszny i wonny wionął mu w twarz — niby ktoś zawołał na niego z cicha po imieniu — zamajaczyły mu włosy złote, na drobną, tak zabawnie drobną i białą pierś dziewczęcą rozsypane — usta drgające, purpurowe...

Chciał sobie jeszcze imię, jakieś imię przypomnieć...

Usnął.

Kiedy się obudził nareszcie po długim i ciężkim śnie, zdawało mu się naprzód, że śpi jeszcze. O kilka kroków przed nim na białej, rozesłanej skórze siedziała Ihezal. Miała na nagim ciele jeno błękitną, rozwartą szatę; włosy jej związane były we dwa ogromne węzły ponad uszyma, z wolno spadającymi na pierś końcami, które tworzyły jakby szeroki złoty haft na brzegach rozciętej tuniki. Patrzyła na niego z cichym uśmiechem...

Przez pewien czas nie śmiał się ruszyć, aby nie spłoszyć snadź[208] tego zjawiska, tak mu się wydało pięknym i słodkim[209]. Uczuł, że nie leży już na kamieniach posadzki, lecz ma pod sobą miękkie i puszyste skóry, nad głową zaś zasłonę w kształcie namiotu, która go chroni od palącego słońca.

— Ihezal!... — wyszeptał mimowolnie.

Uśmiechnęła się znowu.

— Czy spałeś już dosyć, panie?

Nie odpowiadał. Przez chwilę zdawało mu się, że znowu zapada w sen, dziwnie słodki i rozkoszny...

Zerwał się nagle.

— Spałem...?

— Tak, panie. Spałeś dwadzieścia godzin z górą.

Spojrzał na słońce. Stało w tym samym miejscu, jak w chwili, kiedy sen go zmorzył.

„Ach, prawda! — pomyślał — jestem na Księżycu..."

Zwrócił z wolna oczy na dziewczynę.

Spuściła głowę.

— Czuwałam nad tobą prawie przez cały czas, kiedy spałeś, Zwycięzco.

— Jak weszłaś tutaj? — zapytał — drzwi zamknąłem za sobą...

— Ja mieszkam tutaj... — Zostałam w gmachu łączącym się ze świątynią, który dziadek mój, arcykapłan Malahuda, opuścił. Chciałam być w pobliżu, aby ci móc służyć, panie. Ale jeśli każesz, opuszczę te komnaty.

— Zostań. Gdzie dziadek twój?

— Nie ma go. Poszedł na te równiny szerokie, które stąd widzisz, Zwycięzco, a może w te góry tam na północy poza śnieżnym *Otamorem*, albo na morze sine... Nie ma go już, jak nie ma dnia wczorajszego, jak nie ma niczego, co wczoraj jeszcze było: jesteś tylko ty jeden...

Mówiła to śpiewnie, z dziwnym upojeniem w głosie, który zdawał się wzbierać i drżeć, jakby chciał więcej powiedzieć, niż te proste słowa wyrażały.

Marek wyciągnął z wolna rękę i położył ją lekko, ostrożnie na filigranowym ramieniu dziewczęcia. Patrzył na nią przez chwilę z jakimś mimowolnym podziwem, aż naraz zapytał:

— Słuchaj! czy ty wierzysz, że ja jestem owym, przez proroków waszych zapowiedzianym Zwycięzcą? Wierzysz naprawdę?

Ihezal spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma.

— Ja *wiem* o tym — odrzekła.

— Skąd... skąd wiesz?...

Złożyła ręce na piersi i mówić poczęła żywo:

---

[208] *snadź* (daw.) — tu: przecież, wszakże.

[209] *wydało się pięknym i słodkim* — daw. czas.: *być*, *wydawać się*, *stawać się* itp. wymagały N.; dziś z B.: wydało się piękne i słodkie.

— Zaledwie przyszedłeś, a już usta wszystkie i wszystkie ręce ciebie błogosławią! Mocny jesteś jak bóg i potrafisz w bitwie być srogim i strasznym dla wroga, lecz mówiono mi także, iż pełniłeś już czyny miłosierdzia, które my tu na Księżycu z dawnego imienia zaledwie znamy... I piękny jesteś, panie, tą bujną i młodą mocą swoją, piękniejszy od wszystkiego, co kiedykolwiek oczy moje widziały! Chyba Ziemia jedna, gwiazda przejasna i święta, na którą patrzyłam raz, będąc w *Kraju Biegunowym*, nie jest mniej piękna od ciebie... Ale ty stamtąd właśnie zeszedłeś do nas, z wysoka na ten padół nędzy, bolu[210] i łez! O jakże jasny jesteś, jak piękny i boski, panie mój jedyny!

— Bądź przy mnie — szepnął Marek — bądź przy mnie... Nie jestem ja taki, jak ci się wydaję, i ta Ziemia nie jest taka jasna, jak stąd wygląda, gdy się poprzez gwiazdy i niebo na nią patrzy; ale ty bądź przy mnie, a wtedy... Chciałbym, odchodząc stąd, dobro zostawić po sobie, abyście mnie mogli wspominać jasnym i błogosławić...

Ihezal patrzyła nań zachwyconymi oczyma, przygarniając się bezwiednie ku jego kolanom. On się uśmiechnął i ukrył jej ręce maleńkie w swej dłoni.

— Chciałbym, żebyś ty mnie też pamiętała i błogosławiła. Jesteś jak kwiat...

Naraz, zmieniając ton, odsunął dziewczynę od siebie i rzekł znienacka, prawie surowo:

— Dlaczego jesteś naga?

Purpurowy rumieniec nagle okrył całe jej ciało, zaróżowił niemal opalowe paznokcie jej dłoni. Szybkim, nerwowym ruchem zebrała fałdy rozwartej tuniki, kryjąc się w niej cała.

— Panie — rzekła — ty się nie gniewaj... Tutaj dziewczęta zawsze tak chodzą po domu... Idąc do ciebie zapomniałam, że w domu swoim już nie jestem... To nie przez brak szacunku...

Zgarniała wciąż jeszcze fałdy sukni, choć szczelnie już nimi była zakryta, patrząc z lękiem w twarz Zwycięzcy...

A on poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili dopiero ozwał się tonem na pozór obojętnym, który jednak jemu samemu fałszywie zabrzmiał w uchu:

— I czy tak... widują cię... widują was wszyscy?

Ihezal nagle zrozumiała. Rozkoszny, obezwładniający dreszcz przebiegł jej drobne ciało, dłonie zaciśnięte około zgarniętych na piersi fałdów rozwarły się, opadając wzdłuż bioder. Patrzyła mu prosto w oczy.

— Odtąd nie będzie mnie widział nikt — rzekła.

Marek wzruszył ramionami.

— To mi wszystko jedno — rzekł niemal opryskliwie, patrząc w inną stronę. — Jeśli tu taki zwyczaj... Ale, ale! co chciałem mówić? A tak. Gdzie jest twój dziadek? Chciałbym go zobaczyć...

Wnuczka arcykapłana spoważniała.

— Poszedł, panie. Mówiłam ci już. Teraz Elem... Ale gdy każesz, szukać go będą wszędzie...

— Tak, tak. Wydaj polecenie. Chciałbym z nim mówić o wielu rzeczach...

Stała, patrząc mu w oczy śmiało i spokojnie, jakby czując się już jego wyłączną własnością — świętą i nietykalną.

— Wydaj polecenie — powtórzył.

Wyciągnęła dłoń ku niemu:

— Daj mi, panie, znak, że mam prawo wydawać rozkazy w twoim imieniu, a poślę ludzi na poszukiwania.

Marek zawahał się, nie wiedząc, co zrobić, gdy naraz przypomniał mu się dawny, z powieści mu już tylko znany ziemski obyczaj przelewania władzy. Z uśmiechem ściągnął pierścień z palca i podał go oczekującej dziewczynie.

Wzięła go i bez słowa zwróciła się ku schodom, z dachu płaskiego w głąb świątyni wiodącym.

Przeszła przez nawę i bocznymi drzwiami zapuściła się w głąb opuszczonego pałacu arcykapłańskiego...

Gdy po pewnym czasie wyszła stamtąd, miała na sobie strój bogaty: na szczelnie zapiętej fioletowej tunice lekkie futro złociste i sznur krwawych bursztynów prorokini Ady

[210] *bolu* — dziś: bólu.

na szyi. Zbliżyła się teraz do miedzianych drzwi świątyni, z zewnątrz zapartych, i odsunąwszy wrzeciądze, rozwarła je na oścież.

Na dziedzińcu czekał lud. Co starsi i godniejsi zgromadzeni byli z Elemem na schodach, czekając cierpliwie przebudzenia się Zwycięzcy, aby ułożyć z nim nowy porządek rzeczy i ład zaprowadzić, przez złożenie władzy najwyższego dostojnika, Malahudy, naruszony. Nieopodal stał Jeret z młodzieżą, snując w zapalczywej głowie plany wojenne: pilno mu było iść ze Zwycięzcą tam, na drugą, tajemniczą stronę *Wielkiego Morza*, aby szernów potwornych, nim się spostrzegą, we własnych ich gniazdach wydusić...

A dalej był lud. Ci, którzy walczyli, i ci, którzy z dala przyglądali się walce, i inni, którzy skargi przed Zwycięzcę chcieli pozanosić, i inni, którzy przyszli z prośbami, i jeszcze inni, których tylko ciekawość niesyta przywiodła, aby ogromnego przybysza z Ziemi oglądać. Stały też na uboczu i kobiety, nieśmiałe wobec mężów i władców, ale przeważnie z rozpłonionymi oczyma i błogosławieństwem na ustach dla tego, który przybył, aby zmienić to, co było, wiedząc, że cokolwiek będzie nowego, lepszym tylko być może dla nich, dźwigających dotychczas twarde i srogie jarzmo mężowskiego prawa.

Ciągnęło się to mrowie ludzkie, jak okiem można było zasięgnąć, i falowało, szumiąc, prawie morzu z drugiej strony świątyni podobne.

Gdy drzwi świątyni się rozwarły, myślano zrazu, że to Zwycięzca wychodzi, i ogromna fala przypływu przeszła tłum, rzucając nim o stopnie kamienne, niby o brzeg skalisty.

Elem ze starszymi z ludu poruszył się także. Widząc wychodzącą dziewczynę, zapłonął gniewem.

— Jak śmiesz włóczyć się tędy — krzyknął — gdy my na Zwycięzcę czekamy?

Ihezal nie odezwała się ani słowa; wolnym i pewnym krokiem szła ku wyniosłemu miejscu po prawej stronie schodów, skąd zazwyczaj dziedziczni arcykapłani wolę swą ogłaszali ludowi.

Elem chwycił ją za odzież.

— Dokąd idziesz? Bacz lepiej, abyś się z arcykapłańskiego gmachu co rychlej wyniosła, gdyż czas już mnie się tam wprowadzić...

Nie odpowiedziała i teraz. Uwolniwszy się jeno stanowczym ruchem od zakonnika, wstąpiła na mównicę i wzniosła ponad głowę rękę z pierścieniem.

— Ludu! — zawołała donośnym głosem — Zwycięzca przysyła wam przeze mnie pokój i pozdrowienie!

— Ściągnijcież tę szaloną! — krzyknął Elem — nie pozwólcie mówić z arcykapłańskiego stolca obwinionej o stosunek z szernem Awijem!

Na dźwięk nienawistnego imienia lud się poruszył: dały się słyszeć pomruki i groźne okrzyki.

Jeret poskoczył ku mównicy:

— Ihezal, zejdź! zejdź, jeśli ci życie miłe! Tyś naprawdę szalona!

Zdawała się go nie widzieć. Oczy jej, spokojne i jasne, jakby snem jakimś zaczarowane, błądziły po rozfalowanym morzu głów ludzkich.

— Precz, precz z mównicy! — krzyczano. — Zwycięzca ma tylko prawo przemawiać i Elem, sługa jego wierny!

Ihezal wzniosła znów rękę, w której rozbłysnął słonecznymi promieniami jasny kamień pierścienia.

— Oto znak: pierścień Zwycięzcy, w jego ja mówię imieniu, wnuczka arcykapłana, szerna Awija pogromicielka i jak prorokini Ada, męża nieznająca, sługa tego, czyje imię niech będzie błogosławione na wieki! On mnie wyrwał z rąk waszych, gdyście mnie niewinnej śmiercią grozili, i przysłał tutaj, ażebym była ustami jego błogosławiącymi.

— Kłamie! — krzyknął Elem — pierścień ukradła! Hej! ludzie! zwlec mi ją tutaj!

Tłum jednakże słów tych już nie słuchał. Szeroki okrzyk na cześć Zwycięzcy uderzył o mury świątyni; poczęto cisnąć się ku dziewczynie i poselstwo jej witać radosnymi słowy. Więc Elem, wystąpiwszy naprzód, uniósł oburącz kołpak arcykapłański i wołał:

— Patrzcie! nad głową moją błyszczy kamień z ręki Starego Człowieka i ja jeden mam prawo w imieniu Zwycięzcy przemawiać, ja, którym go pierwszy powitał i przywiódł!

Na dole poczęły się tworzyć dwa obozy. Niektórzy, widząc arcykapłańską czapkę ze świętym kamieniem na głowie dawnego przełożonego Braci Wyczekujących, stawali po

jego stronie i wołali, aby Ihezal ustąpiła, ale ogromna większość zgromadzonych oświadczyła się za nią.

— Kto dał czapkę Elemowi? — pytano. — Wszakże Malahuda złożył ją do stóp Zwycięzcy, a on nie oddał jej nikomu; Elem ją sobie sam przywłaszczył!

Nawet ci, którzy rankiem sami domagali się od Elema, aby wziął kołpak po Malahudzie, krzyczeli teraz głośno, że jest samozwańcem i że Ihezal jedna, z pierścieniem Zwycięzcy przychodząca, ma prawo w jego imieniu przemawiać do ludu. Zapomniano już obelg ciskanych niedawno w twarz staremu arcykapłanowi, gdyż witał dziwnymi słowy ziemskiego przybysza — i żałowano go niemal, że złożył urząd i zniknął. Toteż gdy Ihezal oświadczyła, że Zwycięzca pragnie starca odnaleźć i mieć przy swoim boku, lud podniósł okrzyk radosny i był gotów w pierwszym zapale przebiec cały glob księżycowy, aby go odszukać.

Elem, posłyszawszy to, pobladł. Przez chwilę patrzył na tłum i na zbrojnych, których teraz właściwie, jako arcykapłan, pod swoją miał władzą, ale widocznie obawiał się w ten sposób pod bokiem Zwycięzcy mocy swej próbować, bo skinął jeno na starszych i wszedł z nimi pośpiesznie do świątyni. Nie znalazłszy tutaj Marka, zwrócił się z nieodstępnym orszakiem ku schodom wiodącym na górę.

Marek, odprawiwszy Ihezal, długim snem jeszcze rozleniwiony, przysiadł był[211] na kamiennej poręczy od strony morza i patrzył na dalekie, rozsiane po nim wyspy, nie słysząc zgoła kłótni, po drugiej stronie gmachu się toczącej. Był trochę podniecony krótką rozmową i dziwnym zachowaniem się złotowłosej dziewczyny, cieszył się przeto, że mu w tej chwili nikt samotności nie przerywa. Zmarszczył tedy brwi niechętnie, spostrzegłszy wchodzącego Elema i towarzyszących mu starców.

— Czy nie mówiła wam Ihezal — zaczął, uprzedzając powitanie — że chcę zostać sam?

Elem się zatrząsł.

— Panie — rzekł — sądziliśmy, żeś to powiedział, aby się uwolnić od natrętnej dziewczyny, która cię nużyła zapewne prośbami, abyś jej dziadkowi, co cię dziś rano znieważył, winę raczył darować...

Marek wzruszył ramionami.

— Wy mnie nużycie, przychodząc tutaj bez potrzeby.

— Sprawy ludu czekają, panie...

— Czekamy twoich rozkazów! — odezwali się chórem starcy, pokłon niski wybijając.

— Kto rządził dotychczas?

Zapanowało milczenie. Aż jeden ze starszych ozwał się:

— Malahuda, arcykapłan, ale on...

— Zgubił się. Wiem. Kazałem szukać Malahudy, a gdy go zobaczę, dowiem się od niego o wszystkim i postanowię... Z tego, co mówił, witając mnie, sądzę, że to najrozumniejszy wśród was człowiek.

— Ja jestem arcykapłanem twoim — rzekł Elem.

Marek poczynał się już niecierpliwić.

— A bądź nim sobie, bądź, mój przyjacielu, każę cię wezwać, gdy cię będę potrzebował.

— Kazałeś szukać Malahudy, panie...

— Tak.

Elem postąpił krokiem[212] bliżej. Głos zadrżał mu tajonym wzburzeniem, nieledwie groźbą, gdy mówił:

— Panie, jam cię pierwszy powitał, jam cię tu przywiódł, ja obiecanym Zwycięzcą na globie naszym ogłosił, a teraz...

— A teraz wynoś mi się stąd, pókiś cały! — krzyknął Marek, uderzając nogą o posadzkę, aż się mury świątyni zatrzęsły. — Jam tu jest panem dzisiaj nie przez ciebie, ale przez to, żem tak chciał! Czy zrozumiałeś?!

Elem przestraszony zgiął się w pokorze, lecz w oczach spuszczonych tliła mu się złość jadowita.

---

[211] *przysiadł był* — daw. czas zaprzeszły; dziś: przysiadł (wcześniej).

[212] *postąpił krokiem* — dziś: postąpił o krok.

— Błogosławiona niech będzie wola twoja, panie — rzekł — my jeno sługami twymi jesteśmy... A jeślim ci się nie w porę przypomnieć ośmielił, to dlatego tylko, że rozkazów twoich łaknie lud, za pasterza i władcę swego cię mający...

Marek się uśmiechnął.

— Nie gniewaj się, arcykapłanie — rzekł, z naciskiem tytuł wymawiając — ale teraz naprawdę przyszedłeś nie w porę. Wolałbym zobaczyć kucharza, który by mnie nakarmił, bo głodny jestem diabelnie... Z wami później pomówię...

Elem odwrócił się w milczeniu i schodził po stopniach posępny, ważąc snadź w myśli jakieś plany czy zamiary...

CZĘŚĆ DRUGA

Wieść o przybyciu Zwycięzcy i straszliwym pogromie szernów rozeszła się szeroko po kraju — i kiedy onego dnia przyszła godzina wieczornej modlitwy, obszerny plac przed świątynią nie mógł pomieścić mnóstwa napływających zewsząd tłumów. Oprócz mieszkańców *Ciepłych Stawów* i osad najbliższych i oprócz tych, którzy z orszakiem Marka razem tutaj ściągnęli, przybywały gromady rybaków znad morskiego brzegu i myśliwców, w głębokich zaroślach na stokach rozłożystych *Otamora* zamieszkałych, szli poszukiwacze bursztynu i pereł — rolnicy, mięsiste i jadalne rośliny księżycowe uprawiający — ludzie wpółdzicy, na *Przesmyku* między morzami osiadli, w ustawicznych walkach z morcami do krwawego trudu zaprawieni — i inni, z wiosek kwitnących, przywykli do zbytku i wszelkiej wygody.

Miejscowi kupcy porozkładali kramy na schodach świątyni, zachwalając przybyłym sieci rybackie i sprzęt wszelaki, na który często ze zdumieniem poglądali ludzie prości, z dala przychodzący, nie wiedząc, ku jakiemu by służył użytkowi. Ruch był około kramów ustawiczny. Po bokach placu zaś, pod podcieniami, w południe od żaru słonecznego chroniącymi, tworzyły się grupy ciekawych około kilku Braci Wyczekujących, którzy przybyli na plac pod wieczór i opowiadali już po raz tysiączny może o cudownym przyjściu Zwycięzcy, co się objawił im pierwszym, jako od wieków było zapowiedziano, a teraz niesie pokój i błogosławieństwo na świat księżycowy. Inni cisnęli się znowu ku żołnierzom arcykapłańskim i zbrojnym Jereta, słuchając z zajęciem i uciechą o przebiegu bitwy, straszliwym pogromem szernów zakończonej. Wznoszono ręce, sławiono wielkość i moc Zwycięzcy i kupowano chętnie, płacąc toczonymi ziarnami bursztynu, skóry pobitych szernów, które zwycięscy żołnierze najwięcej dającemu ofiarowali, aby za uzyskaną cenę nabyć znów upajającego soku z rośliny noja lub rzucić ją jako stawkę w grze z towarzyszami.

Niektórzy szli też ku morzu, gdzie na stopniach wielkiego gmachu rozłożył się kupiec niewiast, sprzedając je stosownie do wieku i urody po dwie do sześć garści bursztynowych ziaren. Sarkano wprawdzie na zbyt wysoką cenę dnia dzisiejszego, ale płacono ją w końcu, gdyż natłok przybyłych był wielki i chętnych dość się znajdowało, którzy chcieli przy sposobności nabyć jasnowłose niewolnice do odległych domostw swoich.

Narzecza różne krzyżowały się w powietrzu — klątwy, śmiechy i nawoływania; z otwartych na ścieżaj drzwi gospód biły w ciepłym wieczornym powietrzu ochocze śpiewy pijących tęgi sok noi, mieszając się z odgłosem hymnów bractw, oczekujących w nabożnym skupieniu ukazania się Zwycięzcy.

Jakoż wyszedł rzeczywiście i stanął — ogromny — przed świątynią o tej właśnie wieczornej godzinie, kiedy od wieków najwyższy arcykapłan zwykł był witać lud pozdrowieniem: „On przyjdzie!".

Gdy go jeno spostrzeżono, przerwano targi, śpiewy i hałasy — i sławić poczęto imię jego tysiącem głosów: błogosławiono dzień i godzinę, kiedy przybył na Księżyc, i osobno tę porę, kiedy nogą wstąpił do świątyni, i tę, kiedy szernów, odwiecznych wrogów ludu, mocarną dłonią pogromił.

A on stał wśród niemilknących okrzyków — w miejscu, gdzie zwykle bogato strojni arcykapłani stawali — stał w odzieży pospolitej, z głową odkrytą i w skórzanej jeno bluzie, na piersi rozpiętej, ale taka jasność i moc biła od wyniosłej, młodej postaci jego, że nie tylko ci, którzy go teraz po raz pierwszy widzieli, ale i mieszkańcy *Ciepłych Stawów*, znający go od rana, ku niemu jeno zachwycone zwracali oczy, zapomniawszy zgoła o cisnącym się około nóg jego Elemie.

Marek wzniósł ręce na znak, że chce mówić. Długa chwila upłynęła, nim uciszyło się na tyle, że mógł się odezwać bez obawy, iż głos jego utonie w zmieszanym gwarze tłumu. W odleglejszych zakątkach placu wadzono się wprawdzie jeszcze i śpiewano, ale bliżej świątyni zbiła się ciżba słuchaczów, oczekujących w nabożnym skupieniu i ciekawości pierwszych słów Zwycięzcy do ludu.

On powiódł jasnym okiem dokoła i odrzucił w tył bujną grzywę znad skroni.

— Bracia — zaczął — przybyłem tutaj z dalekiej gwiazdy, Ziemi, ale braćmi was mianuję, bo i wy przez zapomnianych ojców swoich stamtąd pochodzicie. Nie wiedziałem, po co przychodzę, a zastałem tutaj trud, który podejmuję... Tak się złożyło, że pierwej

wypadło mi działać, niźli do was przemawiać. I dobrze się stało. Gdybym był mówił z wami jeszcze na początku tego długiego dnia, który oto chyli się ku zachodowi, byłbym wielu rzeczom zaprzeczył, może rozwiał wiele waszych nadziei... ale dzień przeszedł nam na wspólnym krwawym trudzie. Walczyłem z wrogami waszymi i poznałem, jacy są straszni. Poznałem krzywdy wasze i nędzę, której po części sami winni jesteście — ale to cierpień waszych nie umniejsza. Mówiły mi o tym skargi wasze i te księgi, któreście wy nazwali świętymi... Czytałem je wszystkie, odpoczywając po boju, który i was wiele krwi i życia kosztował. Ale bój jeszcze nieskończony, wiecie o tym sami. Wrogowie wasi są źli i mocni, i trzeba ich zgnieść doszczętnie w ich własnych siedzibach...

Z ksiąg waszych dowiedziałem się także, o czym już i przedtem zasłyszałem, że oczekujecie z rodzinnej gwiazdy waszej, Ziemi, Zwycięzcy, który was wyzwoli. Oto z Ziemi przybyłem i chcę was wyzwolić. Nauczę was wszystkiego, co umiem sam. Sporządzimy broń palną, jakąście w moim ręku widzieli — i ja sam z pomocą dobranych naczelników wyćwiczę szeregi, z którymi pójdziemy za *Wielkie Morze* złamać na zawsze wrogą szernów potęgę...

Z nagła wybuchające radosne okrzyki przerwały Markowi; poczekał więc nieco, aż się uciszyło, po czym znów podjął:

— Ale to pierwsza dopiero część zadania, które oto wziąłem na siebie. Potem chcę wykorzenić zło, jakie się między wami zagnieździło. Widzę wśród was panów i niewolników, widzę bogatych i nędzarzy, pokrzywdzonych i krzywdzicieli... Widzę prawa okrutne i błędy, i zabobony, srogość z jednej, a z drugiej strony pobłażanie dla tych, którzy sobie umieją kupić bezkarność. Kobiety wasze są uciśnione, a mężowie sądzą, że spełnili swój obowiązek, gdy im głodu cierpieć nie dadzą. I na Ziemi niegdyś tak było, a przeszliśmy przez to, wierzę więc, że i wy z moją pomocą inaczej żyć będziecie.

Znowu okrzyki mu odpowiedziały, ale tym razem nie tak liczne i powszechne jak poprzednio. Owszem, niektórzy z dostojników i kupcy co bogatsi szemrać między sobą poczynali, przelękli nowatorskimi planami ziemskiego przybysza. Nie śmiano jednak przeczyć w głos — mówiono tylko z cicha, że porządek rzeczy na Księżycu jest ustalony i że właściwie nikomu się krzywda nie dzieje, a już bynajmniej nędzarzom, którzy nic nie tracą, nic i tak nie posiadając. Gorszy jest raczej los władnych i bogatych, bo oprócz trudów znosić muszą jeszcze i obawę, aby dobytków swych lub mocy nie postradali.

Zwycięzca mów tych nie słyszał; odetchnąwszy tedy niewiele, mówił tak dalej:

— A kiedy wszystko będzie już tak, jak być powinno, kiedy wolni już będziecie od wroga, który was gnębił, i wolni od zła, co mieszka między wami — wtedy zostawię was samych, abyście się rządzili, powracając do ojczyzny mojej, widnej stąd na niebiosach — na jasną rodzinną gwiazdę moją... Może kilku z was nawet wezmę z sobą, abyście zobaczyli przestwór wszechświata i gwiazdy nad głową i pod nogami, i Ziemię, z której był początek Księżyca i gdzie był ludziom początek na Księżycu mieszkającym.

Ale nim to nastąpi, nim sami tu zostaniecie (bo wszystkich zabrać z sobą nie mogę!), ja panem waszym jestem i słuchać mnie macie we wszystkim, jeżeli chcecie, iżbym się stał dla was naprawdę tym przyobiecanym Zwycięzcą, za jakiego dziś mnie już głosicie.

Kazałem szukać człowieka, który mnie witał dziś rano na tych schodach i mówił słowa mądre; chciałem z nim razem prawa nowe dla was stanowić, ale nie znaleziono go dotychczas. Rząd więc tymczasem pozostawiam w ręku Elema, który będzie wolę moją nad wami wykonywał, dopóki nie nauczycie się rządzić sami i własną rozumną wolą, jak ludy ziemskie rządzą się już od wieków. Nad zbrojnymi przekładam dzielnego Jereta, który będzie mi też pomocny w formowaniu szeregów, o których wspomniałem. Ażebyście zaś wiedzieli, że w kobiecie cenię zarówno człowieka, nie pogardzając nią, jak wy to czynicie, biorę sobie za przyboczną woli mej głosicielkę Ihezal, wnuczkę zaginionego arcykapłana waszego...

Okrzyki rozległy się znowu a nawoływania. Powtarzano słowa Markowe, tłumacząc je na różne sposoby, rozprawiano o zaginionym arcykapłanie Malahudzie i o nowej władzy Elema, a nade wszystko podawano sobie z ust do ust wiadomość o zamierzonej wyprawie do kraju szernów i dziwiono się temu przedsięwzięciu, jako czemuś niesłychanemu, o czym dotychczas nie śmiałby nikt nawet zamarzyć...

— W broń palną szeregi swoje uzbroi — powtarzano — w straszliwą broń, którą sam raził szernów uciekających przed oczyma naszymi!

— I zapas piorunów rozda między wojowników! Zdobędziemy bogactwa szernów i wytracimy ich do nogi!

— Tak, tak! Księżyc należy do ludzi. Stary Człowiek oddał go nam w dziedzictwo!

— Niech żyje Zwycięzca! niech żyje! niech żyje!

Sławiono go znowu i wielbiono bez końca.

A on dostojnym ruchem monarszym skinął tłumowi i miał się już cofnąć z łaskawym na ustach uśmiechem, gdy naraz poczuł, że ktoś podniesioną dłonią dotyka jego łokcia...

Stał obok niego człowiek niewielki, o dużej, bujnym włosem porosłej głowie, i patrzył na niego przenikliwie, niemal groźnie, drobnymi, siwymi oczkami.

— Jeśli masz skargę lub prośbę, udaj się z tym do Ihezal — rzekł Marek.

Człowieczek potrząsnął głową na znak przeczenia.

— Z tobą chcę mówić — odezwał się — i spytać cię, dlaczego lud bałamucisz?

— A! co? co?

Marek tak był zdumionym[213] tym niespodziewanym pytaniem czy zarzutem, że zrazu nie umiał znaleźć właściwej odpowiedzi. Mały człowieczek wytłumaczył sobie snadź[214] na swoją korzyść to zakłopotanie olbrzyma, gdyż ściągnął brwi i powtórzył surowo:

— Dlaczego lud bałamucisz? Po co te bajki o Ziemi? Nie będę tutaj rozprawiał przed tłumem, ale jeśli chcesz, pójdź ze mną do świątyni i wytłumacz się...

Teraz cała rzecz wydała się Markowi niezmiernie zabawną[215]. Zaciekawił go ten pewny siebie człowiek.

— Ależ owszem, owszem... Rad będę posłyszeć...

Mówiąc to, pochwycił poważnego malca pod pachę i wszedł z nim do wnętrza.

— A teraz — rzekł, gdy byli już sami — opowiedz mi, mój przyjacielu, jak to ja lud bałamucę?

Mały człowieczek odchrząknął i usiłował przybrać jak najpoważniejszy wyraz twarzy.

— Jestem Roda — rzekł z godnością.

— Bardzo mi przyjemnie.

— Jestem Roda — powtórzył tamten, widząc, że imię jego nie robi na Marku zgoła wrażenia.

— Słyszę! I cóż z tego?

— Arcykapłan Malahuda powinien mnie był kazać ukamienować...

— Na szczęście nie zrobił tego. Nie miałbym teraz przyjemności...

Roda zmarszczył brwi:

— Dajmy pokój żartom. Nie po to chciałem mówić z tobą...

— Bardzo dobrze. Więc: co?

— Całe życie walczyłem przeciw ogłupianiu biednego tłumu tymi kapłańskimi bajkami o ziemskim ludzi pochodzeniu.

— A! więc?

— Wiesz pan równie dobrze jak ja, że Ziemia zgoła nie jest zamieszkana, a przynajmniej na pewno nie ma na niej istot do ludzi podobnych.

Marek słuchał teraz z rzeczywistym i rosnącym wciąż zaciekawieniem.

— Jak to? a ja?

— Pan nigdy na Ziemi nie byłeś — rzekł Roda z głębokim przekonaniem...

— To rzecz dla mnie nowa! — zawołał Marek.

Cień niechęci przemknął po szerokiej twarzy Rody.

— Nie grajmy w chowankę. Wobec mnie to niepotrzebne. Przecież ja wiem.

— Więc ludzie, powiadasz pan, zawsze mieszkali na Księżycu? tutaj, tutaj zawsze mieszkali?!

— Nie. Tutaj nie mieszkali. Przywiódł ich tu, nie wiem dla jakich celów, mąż w legendzie Starym Człowiekiem nazwany.

— Przywiódł ich? skąd?

— Skąd pan teraz przybywasz — odparł Roda patrząc, bystro w oczy Zwycięzcy.

— A skądże ja przybywam, jeśli łaska?

---

[213]*był zdumionym* — dziś z B.: był zdumiony.

[214]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

[215]*wydała się (...) zabawną* — dziś z B.: wydała się zabawna.

Roda nie odpowiedział natychmiast. Siedząc na stole, obok którego zajął miejsce Marek, wsparł dłonie na kolanach i nachylił się nieco, patrząc wciąż w oczy Markowi, jakby z góry chciał zbadać wrażenie, jakie słowa jego wywrą. Po chwili dopiero rzekł powoli i dobitnie:

— Przybywasz pan... z tamtej strony.

— Nie rozumiem — rzekł Marek zupełnie szczerze.

Roda skrzywił się znowu z niechęcią.

— Widzę, że nie chcesz pan być ze mną szczerym — rzekł — ale mniejsza o to. Na dowód, jak dokładnie znam prawdę, opowiem panu to wszystko, o czym sam zresztą wiesz najlepiej, a wtedy może zdołamy się porozumieć, gdy pan zobaczysz, jak te bajki chybiają celu wobec mnie.

— Więc skąd ja przybywam? — powtórzył Marek z lekką niecierpliwością.

Roda uśmiechnął się z odcieniem pewnej siebie wyższości.

— Zacznijmy od początku — rzekł. — Legenda, przez kapłanów podtrzymywana, głosi, że ludzie przybyli na Księżyc z Ziemi. Otóż ja utrzymuję po pierwsze: że Ziemia nie może być zamieszkana, po wtóre: że gdyby nawet była zamieszkana, to istoty tam żyjące nie byłyby do ludzi podobne, a po trzecie: że chociażby były do ludzi podobne, to nie mogłyby się nigdy dostać na Księżyc. I udowodnię panu...

Marek się uśmiechnął.

— Mój drogi panie Roda, przed kilku tysiącami lat żył na Ziemi mędrzec, który utrzymywał naprzód, że nic nie istnieje, następnie, że nawet gdyby coś istniało, człowiek o tym nie mógłby wiedzieć, a wreszcie, że choćby wiedział, nie mógłby tego komuś drugiemu udzielić. Był on płatnym nauczycielem wiedzy o wszystkich rzeczach...

— Cóż to ma za związek?...

— Niewielki. W każdym razie zabawne to dla mnie, z Ziemi przybyłego, gdy pan tak mówisz, którego ojcowie również z Ziemi tutaj przybyli.

— Choćbyś pan rzeczywiście z Ziemi przybył, to i tak ja miałbym słuszność. Ale to jest wykluczone. Posłuchaj pan tylko. Ziemia, znacznie większa od Księżyca, jest też cięższa od niego i przeto przedmioty ważą tam więcej...

— Skąd pan masz takie wiadomości? — przerwał zdumiony Marek.

— Niestety! wyznać to muszę: od was.

— Jak to?

— Rzecz prosta. Pański ziomek, który przed wiekami ludzi z „tamtej strony" przywiódł na tę, znany w legendzie pod mianem Starego Człowieka, miał z sobą księgi... Zazdrosny był o swoją wiedzę, jak wy wszyscy (widzę to, mówiąc z panem), tedy wracając na „tamtą stronę", spalił księgi razem ze swym domem; coś niecoś jednak zdołano uratować... Ale to nie jest w przechowaniu arcykapłanów, o nie! Oni tylko księgi z płonnymi bajkami chowali! Tego skarbu, zawiści waszej wydartego, strzeże od wieków mój ród i stąd ja wiem niejedno.

— Tak, rozumiem. Z ksiąg na Ziemi spisanych czerpiesz pan dowody, że Ziemia nie jest zamieszkana. Bardzo słusznie.

— Mniejsza o to, skąd je czerpię. Ale to pewna[216], że je mam, i to niezbite. Mówisz pan, że ludzie na Ziemi są pańskiego wzrostu i postawy? Mój łaskawco! olbrzym taki, ważąc sześć razy więcej, mimo najsilniejszych mięśni nie mógłby się tam nawet poruszać! Samo ciśnienie gęstego powietrza tamtejszego piersi by mu zgniotło. Cha, cha, cha! chciałbym widzieć, jak byś pan na Ziemi wyglądał!

Mówiąc to, zacierał ręce z zadowoleniem i śmiał się chytrze, patrząc w oczy Markowi.

— A przy tym — rzekł po chwili — te krótkie tamtejsze dni i noce nie mogą sprzyjać rozwojowi życia; roślinność, nim by miała czas w słońcu się rozwinąć, już by ginąć musiała w nocnym cieniu... Zresztą — czy pan wie, co znaczą te białe plamy pokrywające przez kilka dni naszych niektóre okolice Ziemi? czy pan wie?

— Chcę pańskie zdanie usłyszeć — rzekł Marek.

— To śnieg! — wykrzyknął Roda tryumfalnie — śnieg, świadczący, że trwa tam zima i we dnie także, a przez czas tak długi, iż żadne żywe stworzenie znieść by tego nie zdołało!

[216] *to pewna* (daw.) — dziś: to pewne.

— Prawie zaczynam wierzyć, że Ziemia jest niezamieszkana... Dziwno mi jeno wobec tego, skąd ja przybyłem doprawdy!

Roda przypatrzył się uważnie Markowi.

— Więc mimo wszystko nie chcesz się pan przyznać?... Dobrze. Mógłbym przytoczyć jeszcze mnóstwo dowodów, że na Ziemi ludzie nie żyją ani żyć nie mogą, ale to, jak widzę, nie wiedzie do celu. Opowiem więc panu wprost, skąd przyszedł ów „Stary Człowiek" i skąd pan przychodzisz...

— Czekam na to.

Roda z obszernej teki, którą miał przy sobie, wyciągnął mapę i rozłożył ją przed oczyma Marka.

— Patrz pan!

— Mapa bezpowietrznej półkuli Księżyca — rzekł Marek, rzuciwszy okiem na kartę — mapa przerysowana ze zdjęć fotograficznych, jakie my robimy na Ziemi...

Roda się roześmiał.

— Nie wiem, jakie wy „zdjęcia" robicie na Ziemi, ale to pewne, że z odległości map takich się nie rysuje! Ten, który to skreślił, był tam, na miejscu. Z daleka, z daleka robi się tylko mapy takie!

To mówiąc, rzucił przed oczy Marka urywek zniszczonej karty Europy, wyratowany ongi ze spalonego domu Starego Człowieka.

Teraz Marek zaśmiał się z kolei.

— Ależ mój panie Roda! czyż ta mapa nie jest znacznie dokładniejsza i więcej szczegółowa[217]?

— A właśnie, właśnie. Ażeby tak „dokładną" mapę narysować, trzeba mieć wiele... fantazji i wzór daleko, daleko na niebie! Patrz pan, ile tu pięknych barw, jakie ograniczenia lądów, w rzeczywistości nieistniejące! A te kółka! co znaczą? każde ma nawet swą nazwę specjalną i dowcipną.

Marek wzruszył ramionami.

— Zaczynam przypuszczać naprawdę, że nigdy na Ziemi nie byłem.

— Jeśliś pan dotychczas wierzył, że tam byłeś, to jesteś pan obłąkany — odparł Roda. — Nie przypuszczam tego jednakże — dodał po chwili — Zbyt pan jesteś rozumny... To myśmy tylko mieli uwierzyć!

Zeskoczył ze stołu i chodząc wielkimi krokami, począł mówić szybko i płynnie, jakby powtarzał rzecz wielokrotnie już wygłaszaną.

— Na bezpowietrznej półkuli Księżyca był niegdyś kraj bujny i obfity... Tam w blasku gwiazdy Ziemi mieszkali ludzie, na łąkach zielonych, pod szczytami śniegiem ubielonymi, nad brzegiem błękitnych, falujących mórz... A tutaj, tu, gdzie Ziemi nie widać i cień jest w nocy nieprzenikniony, żyli tylko szernowie, nieśmiejący się nawet zapuszczać w okolice tamtej półkuli — w kraj przez ludzi zajęty... Ludzie tam byli potężni a straszni, a szczęśliwi. Z czasem jednakże dobroczynna gwiazda Ziemia z niewytłumaczonego powodu przestała kraj ten nocami ogrzewać, powietrze uciekło, wyschły morza... A wtedy ludzie...

Urwał i wpatrzył się bystro w Marka przenikliwymi źrenicami.

— Wtedy? — podchwycił Marek.

— Znam waszą tajemnicę — rzekł Roda po chwili milczenia. — Spojrzyj pan jeno na mapę, ona was zdradziła! Tamta, ku Ziemi zwrócona strona Księżyca pełna jest szczelin, jam i czeluści. To wejścia do waszego kraju, do państwa waszego, któreście sobie pod powierzchnią pustego gruntu założyli! Tam — w jaskiniach sztucznie oświetlonych żyjecie sobie do dziś dnia szczęśliwi, w dobrobycie i zbytku... Macie miasta podziemne, łąki i podziemne morza... Strzeżecie zazdrośnie swego istnienia w obawie szernów, a może i nas, wydziedziczonych!

Twarz ściągnęła mu się namiętną nienawiścią, zęby zabłysły spod rozchylonych kurczowo warg.

— Przeklęty niech będzie Stary Człowiek! przeklęty, ktokolwiek nas wywiódł tu na tę nędzę! Ale my się tam dostaniemy z powrotem! wcześniej czy później dostaniemy się!...

---

[217] *więcej szczegółowy* — dziś: bardziej szczegółowy.

Słabi jesteśmy, to prawda, ale nas jest więcej — z pewnością! Bo was przecie wielu w tych jaskiniach być nie może...

Marek położył mu rękę z wolna na ramieniu.

— Panie Roda, uspokój się pan — rzekł. — Proszę mi wierzyć, że to wszystko jest tylko tworem pańskiej wyobraźni... Tamta połowa Księżyca jest niezamieszkana. Ludzie żyją na Ziemi... A czy to nie było zbrodnią tutaj ród ludzki przeszczepiać, to już rzecz inna... Stało się.

— Tak, tak, stało się! Ażeby to się zaś odstać nie mogło, żebyśmy nie powrócili do was, pan przychodzisz tutaj i opowiadasz nam odwieczną bajkę o Ziemi! Tak! tam na błękit patrzeć mamy, na gwiazdę daleką, byle tylko od Księżyca wzrok odwieść, byle tylko na nim nie szukać dobra nam należnego!

A może — ciągnął dalej — może już i wam szernowie zaczęli się dawać we znaki? Odkryli może przejścia wasze tajemne, nachodzą was i gnębią? Co? czy tak? I pana tu wysłano, przypomniano sobie o nas, marnych potomkach wygnańca czy zbrodniarza jakiegoś, którego czcić nam każą kapłani — i my teraz pod bohaterskim pańskim przewodnictwem mamy walczyć i szernów w ich kraju własnym na waszą korzyść pokonywać! Wszakże pan głosisz wyprawę!...

Dusił się prawie słowami, wyrzucając je zapamiętale z nienawiścią i gorzkim szyderstwem w błyszczących oczach. Nadaremnie Marek usiłował mu przerwać. Zacietrzewiony mędrzec nie słuchał go wcale. Na wszystkie przedstawienia machał tylko rękoma, pewny, że zna prawdę istotną i niewątpliwą, którą wydrzeć mu usiłują.

Wreszcie Marek zniecierpliwił się.

— Więc czego pan ostatecznie chcesz ode mnie? — zakrzyknął.

— Chcę, abyś pan ludu nie bałamucił, i tak już dostatecznie kapłańskimi bajkami ogłupionego! — odparł Roda stanowczo. — Chcę, abyś pan nie prawił o Ziemi, nie rozbudzał tęsknot mglistych a nieukojonych! Tutaj zbyt twarde i ciężkie mamy zadania, aby wolno było dla igraszki zwracać oczy nasze ku błękitom i prawić nam o śmiesznej niby-ojczyźnie, kędy nigdy noga nasza nie postoi. Tego żądam od pana. A gdybym jeszcze w pańską dobrą wolę mógł uwierzyć, żądałbym, abyś nam wskazał drogę do kraju, gdzie wy mieszkacie...

— A jeśli pańskich żądań nie spełnię?

— Wtedy między nami walka na śmierć i na życie.

— Choćbym wam dopomógł szernów zwyciężyć?

— Tak. Choćbyś nam pan dopomógł szernów zwyciężyć, bo baśniami swymi więcej nam krzywdy zrobisz na przyszłość, niżby mogli zrobić szernowie...

Marek powstał i zagórował nagle ogromnym wzrostem nad nikłą postacią swego przeciwnika. Ten odruchowo cofnął się o krok, ale nie chcąc okazać mimowolnego przestrachu, jaki go ogarnął, zmarszczył brwi i rzekł twardo:

— Czekam pańskiej odpowiedzi.

— Mój panie Roda — odezwał się teraz Marek — mogę panu przyrzec uroczyście, że bajek ludowi prawić nie będę, ale niemniej stanowczo oświadczam panu, że nie przestanę mu przypominać, iż z Ziemi przybyli tutaj jego przodkowie i tam, na niebie, jest jego prawdziwa ojczyzna. To wznieść was tylko może i uszlachetnić...

Roda zwrócił się bez słowa ku wyjściu.

— Czekaj pan jeszcze — zawołał Marek za nim. — Żądałeś pan także, aby wam wskazać drogę do kraju, skąd przybywam, i tam was zawieść. Wszystkich, gdy powracać będę, wziąć z sobą nie mogę, ale w wozie moim na sześcioro ludzi waszej wagi jest miejsce... Czy zechcesz pan odbyć ze mną podróż na Ziemię i przekonać się naocznie, że jest zamieszkana?

Roda zatrzymał się, słuchając z uwagą słów Marka.

Przebiegły uśmiech igrał mu około ust.

— Aha! słusznie. Chcesz mnie pan zabrać raczej ze sobą, aby tutaj po pańskim odejściu nikt już nie osłabiał wiary w ziemską bajkę, aby tu zgasło zarzewie...

Przerwał i zamyślił się.

— Więc jak pan tutaj przybyłeś? — zapytał po chwili z nagła.

Marek zakreślił szeroki ruch ręką.

— W pocisku... Możesz go pan zobaczyć w *Kraju Biegunowym*. Tkwi tam we własnym pancerzu...

— I możesz pan powrócić... tak samo?...

— Tak jest. Mogę powrócić. Dość wejść do wnętrza i zaśrubowawszy szczelnie otwór, nacisnąć guzik, rozbijając szybkę, która go zasłania...

— Guzik za szybką? — spytał Roda chciwie.

— Tak. Pocisk, wypchnięty wtedy powietrzem, które sam, spadając, w pancerzu zagęścił, powróci dokładnie na miejsce, skąd był wyrzucony, to jest na Ziemię...

Zwykły chytry uśmiech zjawił się znów na szerokich wargach Rody.

— Przypuśćmy, że nie na Ziemię, tylko do któregoś z otworów stanowiących wejście do waszych miast podziemnych na tamtej stronie... Ale mniejsza o to... Chciałem... Mniejsza. Doskonale obmyślana komunikacja, doskonale! Zwłaszcza że w ten sposób powracający poseł nam drogi zdradzić nie może... Jeno...

Urwał nagle i nie słuchając już, co Marek mówił, wyszedł pośpiesznie ze świątyni.

Zwycięzca popatrzył za nim i machnął ręką pogardliwie. Po chwili jednakże niespodziewana chmura zasępiła mu czoło. Zrobił ruch, jakby chciał iść za wychodzącym: przyszło mu na myśl, że trzeba by straż postawić przy wozie w *Kraju Biegunowym*, ale wkrótce znowu roześmiał się sam ze swych obaw.

— Straż mimo wszystko trzeba postawić — szepnął — będzie bezpieczniej.

Zdawało mu się, że w mrocznej głębi między filarami błysła ametystowa tunika złotowłosej Ihezal, i krzyknął na nią głośno, echo mu jednak tylko odpowiedziało. Więc uśmiechnął się znowu do siebie, ale już nie tak swobodnie, jak poprzednio, i zwrócił się w głąb, ku wielkiej kazalnicy z czarnego marmuru i kutym miedzianym drzwiom poza nią. Otworzył je znanym już sobie sposobem i zapaliwszy kaganek, począł schodzić w dół.

Dawny, ukryty skarbiec świątyni był opustoszały. Zamczyste i bogate skrzynie, pełne szat przekosztownych i wszelkiego drogocennego sprzętu, rozkazał nowy arcykapłan poprzenosić do swego mieszkania po drugiej stronie placu, które zajął był rad nierad, kiedy Zwycięzca polecił zostawić dawny pałac arcykapłański wnuczce Malahudy. W opróżnionym skarbcu leżały jeno księgi, niegdyś święte, zwalone bezładnie na stos obok usuniętego pod ścianę stołu malachitowego. A w głębi, tam gdzie nad płytą z polerowanej lawy błyszczał tajemniczo złoty Znak Przyjścia, poniżej złotego napisu, którego dziwne, odwieczne litery splatały się w słowa wielkiej Obietnicy: ON PRZYJDZIE — z rozkrzyżowanymi w łańcuchach rękoma przykuty był potężny niegdyś wielkorządca, szern Awij, jeniec dziś niemocny, jakby na świadectwo, że czas się dopełnił i przyszedł zaprawdę na Księżyc Zwycięzca... Skrzydła na nim obwisłe, do ściany przygniecione, krwawiły jeszcze mimo opatrunku — krwawiła też szeroka rana na szyi, z której ściekająca po piersi posoka utworzyła kałużę u nóg pokonanego...

Marek uniósł w górę kaganek i oświetlił nim potworną twarz szerna. Ten łypnął krwawymi oczyma i wpatrzył się nienawistnym wzrokiem w zwycięskiego przeciwnika. W pewnej chwili nabrzmiały mu mięśnie w przykutych wężowych ramionach i drgnęły skrzydła przygniecione, ale natychmiast snadź[218] przypomniał sobie o swej bezmocy[219], bo nie próbując bezcelowego wysiłku, przymknął powieki i obwisł ciężko na żelaznych pętach. Marek odstąpił wstecz kilka kroków...

Wiedział on już, że szernowie, którzy z ludźmi się stykali, mowę człowieczą rozumieją, nie mógł się jednak zdobyć dotychczas na przemówienie słowem do tej tak nieludzkiej istoty... Gdy otworzył usta, głos mu w gardle zamierał — i ogarniał go wstręt, z lękiem po prostu graniczący. Raz — w obecności jego — Elem do Awija zagadał; powiedział mu z polecenia Zwycięzcy, aby się nie obawiał tortur ani śmierci, bo będzie w błyszczącym wozie jego wzięty żywcem na Ziemię. Awij w odpowiedzi zacharczał jakieś przekleństwo — i Markowi brzmiał dotychczas w uszach ten głos ohydny i nieprawdopodobny, tym straszniejszy, że ludzki, a wychodzący z gęby potwora, w niczym do człowieka niepodobnego.

Usiadł na niskim malachitowym stole i postawił obok płonący kaganek. Niepewne, migotliwe światło rozpalało się w złotych tarczach świętego Znaku i zakrywało je znowu

[218]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[219]*bezmoc* — dziś: przemoc.

ogromnym, ruchliwym cieniem szerna, który za każdym drgnieniem płomienia błądził jak widmo po gładzonej ścianie. Potwór, na pozór martwy, trwał z bezwładnie obwisłymi skrzydłami i spuszczoną głową, a cień wychylał się spoza niego nagłymi rzutami, chwiał się, opadał i znowu wznosił się w górę, gasząc nagle lśniące litery napisu i tarcze Przyjścia złociste. Mimowolny lęk począł Marka ogarniać. Poruszył się, jak gdyby chciał wstać i uciec na światło, gdy naraz spostrzegł, że szern otworzył znów oczy i wpatruje się w niego przenikliwie...

Przemógł się i powstał.

— Czy ci tu krzywdy nie robią? — zapytał dziwnie zmienionym, jakby nie swoim głosem.

Szern przymknął leniwie oczy — i po długiej chwili dopiero odrzucił:

— Odejdź, psie. Nudzisz mnie.

Nagły gniew Marka napadł.

— Milcz, zwierzu! Jestem twoim panem i każę cię obatożyć!

— Każ.

— Ująłem cię.

— Nieprawda. Dziewka mnie przypadkiem ujęła, nie ty, klocu.

— Wezmę cię z sobą na Ziemię...

Szern zaśmiał się zgrzytliwie.

— Ty sam na Ziemię nie wrócisz. Zdechniesz tutaj.

— Wrócę. Ale pierwej wytracę szernów do nogi. Wytracę was tak w kraju waszym, jak tutaj wytraciłem. Oprócz ciebie żaden szern tu już nie jest żyw.

Awij otworzył obie pary oczu i przypatrzył się baczniej Markowi.

— Rozkuj mnie i puść — odezwał się po chwili — a pozwolę ci zdrowo wrócić na Ziemię.

Teraz Marek roześmiał się.

— Owszem, rozkuję cię, ale pod warunkiem, że będziesz mi służył za przewodnika do kraju waszego, który chcę zawojować.

Szern nie raczył odpowiedzieć. Odwrócił głowę w przeciwną stronę i począł patrzeć z zajęciem w migotliwy płomień kaganka. Wtedy Marek, przezwyciężając wstręt, zbliżył się i dotknął dłonią kosmatej, miękkiej jego piersi.

— Cóż? czy poprowadzisz? — powtórzył.

Awij przeniósł z wolna wzrok na twarz Zwycięzcy, przyglądał mu się spokojnie i długo, a potem warknął:

— Źle zrobiłeś, żeś mnie nie zabił. Teraz ja będę w końcu zwycięzcą, bo ty jesteś głupi. Jak wszyscy ludzie.

— Więc nie powiedziesz?

— Ja powiodę! — odezwał się naraz niespodziewany głos z kąta sklepionej izby.

Marek odwrócił się żywo. Zapomniał był o obecności Nuzara, który, za nogę przykuty, leżał w cieniu na garści barłogu.

— Ty? ty? Czy znasz kraj szernów? — zapytał.

— Tak — odrzekł morzec, powstając. — Tam się urodziłem z ludzkiej branki, którą potem uduszono. A powiodę cię, panie, bo widzę, że jesteś od szernów silniejszy, i wiem, że zwyciężysz.

Awij zwrócił łeb w stronę dawnego sługi swego i wyrzucił z bezbrzeżną pogardą jeden tylko wyraz:

— Głupi!

II

— Malahudy nie znaleziono?

Sewin skłonił głowę.

— Nie, Wasza Wysokość, nie znaleziono dotychczas...

Urwał i spojrzał w oczy nowemu arcykapłanowi, jakby chcąc z nich wyczytać istotną myśl tego pytania. Elem wpatrzył się również przez krótką chwilę w swego powiernika. Potem, spuściwszy oczy, ręką pełną drogocennych pierścieni przesuwać zaczął stosy pism leżących na marmurowym stole. Nie podnosząc wzroku, spytał jakby od niechcenia:

— Może... nie dość pilnie go szukają? Zwycięzca chce...

Na ustach Sewina zaigrał chytry uśmiech.

— Posłowie radzi by spełnić, czego sobie życzy Zwycięzca, a także i Wasza Wysokość, ale są trudności nieprzezwyciężone. Dawnego arcykapłana widywali wszyscy, ale dziwna, jak mało jest ludzi, którzy go znają dokładnie z oblicza! Między wysłanymi na poszukiwanie nie masz ani jednego, który by mógł go poznać, zwłaszcza jeśli w przebraniu się ukrywa...

Elem odetchnął z ulgą.

— Czy mamy go szukać dalej? — zapytał Sewin po chwili, widząc, że arcykapłan milczy.

— Tak, tak. Niech go szukają...

— Ci sami ludzie, co dotychczas?

— Jeżeli nie można znaleźć innych, którzy by go lepiej znali...

— Stanie się, jak Wasza Wysokość każe.

— Chciałbym jednak wiedzieć, gdzie przebywa — rzekł Elem po chwili.

Sewin spojrzał mu w oczy i skłonił głowę na znak, że zrozumiał.

Arcykapłan wstał i poszedł ku szerokiemu oknu, otwierającemu się na plac przed świątynią. Tu — na obszernej wolnej przestrzeni ćwiczyli się właśnie żołnierze pod wodzą Jereta w używaniu nowej palnej broni, sporządzonej przez zaufanych robotników, którym Zwycięzca powierzył tajemnicę wyrobu tego strasznego narzędzia. Elem nadsłuchiwał przez jakiś czas łoskotu bijących w tarcze strzałów i krzykliwego głosu komendy, a potem zwrócił się znów do oczekującego w pokorze Sewina.

— Kogo ci ludzie słuchają? — zapytał z nagła.

— Wasza Wysokość jest władającym arcykapłanem...

Elem przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

— Sewin, kogo ci ludzie słuchają? Zwycięzcy czy Jereta?

Sewin wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Więc powinieneś wiedzieć!

— Jak Wasza Wysokość każe. Ale...

— Co chciałeś powiedzieć? mów!

— Nie wiem, jak to Waszej Wysokości rzec... Może lepiej by było, gdyby Zwycięzcy słuchali, a nie Jereta?...

Pan i zausznik[220] spojrzeli sobie znowu w oczy.

— Myślisz, że Jeret?...

— Tak, Wasza Wysokość. Dzisiaj jest jeszcze bezwzględnie Zwycięzcy oddany, ale wzbiera w nim żal z powodu tej dziewczyny i może kiedyś, z czasem...

Elem nie śpieszył się z odpowiedzią. Ważył coś w myśli długo, patrząc przez okno, jak pod uderzeniem kul rozkrusza się mur gruby, za cel strzałom ćwiczących się żołnierzy służący — aż wreszcie rzekł z wolna:

— Mylisz się, Sewin. Jeret jest całą duszą błogosławionemu Zwycięzcy oddany, tak jak i mnie, arcykapłanowi, można więc śmiało pouczać wojowników, że jemu przede wszystkim ślepe winni posłuszeństwo. Zrozumieją to tym łatwiej, że Jereta przecież Zwycięzca sam za wodza im postawił.

Teraz arcykapłan odszedł od okna; przemierzywszy kilkakroć wolnym krokiem wielką salę, siadł znowu przed marmurowym, różnymi pismami zarzuconym stołem — i pogrążył się w czytaniu.

Sewin nie odchodził. Elem tedy, spostrzegłszy po chwili jego wyczekującą postawę, wzniósł na niego pytające oczy.

— Chciałeś czego jeszcze? — rzekł.

— Zapytać chciałem, czy Wasza Wysokość nie każe uwięzić byłego brata naszego, Chomy?

Elem poruszył się żywo.

— Ach tak! Choma... Więc co?

---

[220]*zausznik* — powiernik, człowiek zaufany.

— Wiedzieliśmy zawsze, że jest wiekiem zdziecinniały, chociaż nie brak było ludzi, którzy częstokroć posłuch jego słowom dawali... Ale teraz obawiam się, czy szaleństwo jego nie przekroczyło dozwolonej prawem miary...

— Czy słuchają? — zapytał Elem wprost, odrzucając niecierpliwie wszelkie omówienia, jakich zwykle nawet w rozmowie ze swym zausznikiem używał.

— Dotychczas nie bardzo, ale mogą zacząć go słuchać pewnego dnia...

Elem zamyślił się.

— To nieprędko nastąpi! — rzekł po chwili, jakby do siebie.

— Nie wiem. Doniesiono mi właśnie, że Choma zjawił się między rybakami w okolicy *Przesmyku*: tam są ludzie ciemni, dzicy i nieokrzesani...

— Wielu z tych rybaków zaciągnęło się do szeregów Jereta — wtrącił arcykapłan.

— Tak, ale nie wszyscy. Ci, którzy pozostali w domach, słuchają teraz bluźnierstw zdziecinniałego starca. Wasza Wysokość wie, co on prawi...

Elem skinął głową w milczeniu.

— Mówi — ciągnął Sewin dalej, utkwiwszy oczy w swym zwierzchniku — że Zwycięzca nie jest Zwycięzcą, gdyż nie powstali umarli na jego przyjęcie, jak w Piśmie było zapowiedziane, a więc my wszyscy Bracia Wyczekujący, którzyśmy wyszli z *Kraju Biegunowego*, jesteśmy wiarołomcami, a nawet ośmiela się Waszą Wysokość...

— Dobrze — przerwał Elem — już dobrze. To nie ma znaczenia. Chomy więzić nie rozkażę. Jest zdziecinniały i nikt rozumny zważać na niego nie będzie. Pilnujcie jeno dobrze, aby został między rybakami. Niechaj nigdzie dalej się nie zapuszcza.

— Jak Wasza Wysokość...

— Ale to mi przypomniało tego mędrka Rodę. Co z nim?

Sewin rzucił głową pogardliwie.

— Ten nie jest niebezpieczny! Zbyt wiele dowodzi i nazbyt chce pouczać. Śmieją się z niego, jak zawsze, jak ongi za czasów Malahudy...

— Czyż nie ma on zwolenników?

— Garść nieliczną, o której nie warto i wspominać! I jeśli Wasza Wysokość zechce przyjąć mą radę...

— Mów!

— Lepiej zostawić go w pokoju. Dopóki się go nie prześladuje, uwierzyć mu mogą tylko ludzie uczeni i poniekąd światli... A taki ruch śmiało można lekceważyć. A lud... Lud chciwy jest żyznych krajów, które szernowie za morzem zamieszkują, ale nie wierzy zgoła, aby na *Wielkiej Pustyni* znaleźć się mogło co godnego pożądania. Dopiero gdyby Wasza Wysokość wydała ostre zarządzenia przeciwko Rodzie lub co gorsza na śmierć go skazała, tłum by się zaczął zastanawiać i przypuszczać, że jednak coś prawdy musiało być w słowach skazanego... Co innego jest ze starym Chomą. On, jako członek zakonu, bezpośrednio nam podlega... i to nie zdziwiłoby nikogo...

Arcykapłan skinął ręką na znak, aby zamilkł.

— Tak, tak. Już dobrze. Namyślę się, co postanowić...

Sewin skłonił się, a widząc, że Elem, zatopiwszy wzrok w rozłożonych papierach, o nic go już więcej nie pyta, wysunął się po cichu z komnaty. Zaledwie jednak drzwi się za nim zawarły, dawny przełożony Braci Wyczekujących zerwał się od stołu i szybkim krokiem chodzić zaczął po izbie. Na czaszce niegdyś golonej włos mu już gęsty porastał; długa i czarna broda odcinała się ostro od lśniącej, żółtej szaty, którą miał na sobie. Stanowcze i dumne usta zaciskały mu się kurczowo — oczy pod ściągniętymi brwiami latały niespokojnie, zwracając się wciąż ku oknu wychodzącemu na plac, gdzie właśnie Zwycięzca ćwiczył swych wojowników.

Przystanął i patrzył. Śledził chciwym okiem każdy zwrot sprawnej gromady, chwytał szybkie ruchy rąk, które wznosiły broń ku twarzy, i po każdym błysku wystrzału wiódł wzrokiem w stronę rozsypującego się pod uderzeniem kul muru.

— To już dzisiaj wieczorem — szepnął do siebie.

Spojrzał na słońce — stało jeszcze wysoko, bardzo wysoko — i nagła niecierpliwość go ogarnęła. On, który żyjąc w *Kraju Biegunowym*, przez lata całe nie znał czasu, dni, wschodów ani zachodów, drżał teraz na myśl, że koniec dnia jeszcze daleki, że nie wnet

jeszcze zamarznie lód w wieczornym chłodzie, budując skrzydlatym saniom Zwycięzcy most przez szerokie morze ku tajemniczej krainie szernów. Pilno mu już było, aby wyprawa w drogę wyruszyła. Mówił sobie głośno, że chce jak najrychlejszego pogromu odwiecznych wrogów ludu, ale w głębi duszy czuł, że rad także będzie, kiedy Zwycięzca na bój stąd odejdzie, jemu — arcykapłanowi — niepodzielną i niezamąconą władzę zostawiając.

A kiedy Zwycięzca powróci...

Nie myślał, nie chciał myśleć nic złego. Wierzył niezłomnie, że ten, który przybył, jest przez księgi święte i proroków zapowiedzianym, setki lat przez Braci Wyczekujących wyglądanym Zbawcą — wierzył, że w nim jest czasów dopełnienie i nowy świata księżycowego porządek, ale mimo woli wyobrażał sobie ten porządek nowy jako okres swojej władzy i panowania...

A kiedy Zwycięzca powróci zza *Morza Wielkiego*...

Nie myślał jeszcze nic złego. Stawał mu jednak w wyobraźni cudowny, lśniący wóz Zwycięzcy, na powrót w przestrzeń międzygwiezdną ulatujący, ku Ziemi! — której on, arcykapłan, będzie błogosławił, opłakując odejście i dzięki czyniąc zarazem odchodzącemu w glorii Zwycięzcy, co szernów piorunową bronią poraził i nasienie ich na Księżycu wygubił, aby lud mógł żyć bez troski pod rządem niewzruszonym Elema, pierwszego z nowej arcykapłanów rodziny.

A jeśli... Jeśliby?...

Nie chciał przypuszczać, aby Zwycięzca zapragnął pozostać na Księżycu i rządy samowolnie nadal sprawować, jemu cień władzy jeno pozostawiając... Żaden prorok nie mówił nigdy, że Zwycięzca na Księżycu pozostanie, i to nie było zgoła dogmatem, w który by wierzyć należało...

Dalej nie myślał już Elem jasno — owszem, powstrzymywał wolą przewidującą wyobraźnię, która mu na przekór majaczyła przed oczyma postaciami niewyraźnymi Chomy, Rody, a nawet Malahudy starego, który słowy bluźnierczymi witał niegdyś na stopniach świątyni radość oczu ludzkich, jasnego i błogosławionego z Ziemi przybysza...

Otrząsł się rychło z tych majaków i przetarł czoło, jakby ostatni ślad mimowolnych myśli chcąc opędzić, ale spojrzał mimo to przez okno niespokojnym wzrokiem na Jereta, który właśnie ze Zwycięzcą rozmawiał — i uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc służbistą, ale ponurą postawę młodego wojownika...

Jeret istotnie od owego dnia pierwszego, kiedy to prosił Zwycięzcę na dachu świątyni, aby mu nie zabierał dziewki ukochanej, wcale się do niego nie odzywał okrom[221] zamiany koniecznych słów w sprawach wojska i wyprawy. Marek, polubiwszy dzielnego i zapalczywego młodzieńca, odczuwał boleśnie tę niechęć z jego strony, ale na próżno usiłował ją przełamać, próbując z nim czasem rozpocząć żywszą jakąś rozmowę. Jeret na pytania odpowiadał krótko i z szacunkiem, rozkazy spełniał niezwłocznie, ale nie uśmiechnął się nigdy, ani też nigdy nie dał się wyciągnąć na pogawędkę o rzeczach niedotyczących bezpośrednio spraw wojny z szernami.

W końcu Marek dał za wygraną. Przez kilka długich dni księżycowych, z górą pół roku wedle ziemskiej rachuby — żyli obok siebie bliscy, co parę godzin prawie się stykając, zakładali warsztaty dla wyrobu broni palnej, dobierali robotników i ćwiczyli, a potem żołnierzy ćwiczyli znowu razem — i Zwycięzca musiał przyznać po niewoli[222], że trudno by mu było wymarzyć sobie lepszego, inteligentniejszego i bardziej oddanego sprawie pomocnika niż ten człowiek, coraz więcej obcy mu w duszy i coraz dalszy...

Dzisiaj odbywało się już ćwiczenie przed wyprawą ostatnią i Marek, siedząc na stopniach świątyni, przypatrywał się z zadowoleniem zadziwiającej sprawności strzelców, którzy bili kulami w rzucane naczynia z gliny, nigdy prawie nie chybiając, kiedy Jeret niespodzianie stanął przed nim.

— Wszystko jest gotowe, Zwycięzco — rzekł — i jeśli ci się podoba, możemy dzisiaj wyruszyć, skoro jeno lód po zachodzie morze nam zetnie...

— Tak! — odpowiedział Marek, przybierając mimo woli lapidarny ton, jaki Jeret do rozmów ich był wprowadził.

---

[221] *okrom* — oprócz, poza.
[222] *po niewoli* — tu: mimo woli.

Dowódca księżycowej młodzieży zwrócił się bez słowa w stronę wybrzeża morskiego, gdzie sanie żaglowe już przygotowane na lód nocny czekały, ale zrobiwszy zaledwie kilka kroków, zatrzymał się nagle...

— Jeret?...

— Zdawało mi się, panie, żeś na mnie zawołał.

— Nie. Nie wołałem cię...

Odwrócił się tedy, aby iść dalej, ale teraz Marek rzeczywiście zawołał na niego.

— Jeret, pójdź[223], chciałbym z tobą pomówić...

Powstał i szedł naprzeciw chłopaka, który — posłuszny — zatrzymał się w miejscu, oczekując uważnie rozkazu czy zapytania. Ale Zwycięzca nie rozkazywał ani nie pytał, jeno[224] zbliżywszy się ku niemu, usiadł na kamieniu, jak to czynić miał we zwyczaju, kiedy rozmawiał z ludźmi księżycowymi tak znacznie niższymi wzrostem od siebie — i ująwszy go za dłoń, patrzył mu długo w oczy jasnym, ale smutnym wzrokiem. Młodzieniec wytrzymał spokojnie to spojrzenie, nie spuszczając źrenic, brwi mu się tylko zbiegły i stwardniały w dwa skurczone łuki, głęboką bruzdą przedzielone...

— Jeret — zaczął Marek po chwili — od kiedy tu jestem między wami, troje tylko ludzi spotkałem, których chciałbym mieć za przyjaciół... Jeden z nich, starzec Malahuda, zginął mi w tej godzinie, kiedym go poznał, a drugi, ty...

Urwał, jakby szukając wyrażenia...

Jeret wzniósł szybko oczy i poruszył nieznacznie ustami, a choć nie odezwał się ani słowa, Marek odczuł i zrozumiał ten ruch warg, który mu mówił:

„Ihezal została ci, panie..."

— Właśnie o Ihezal chciałem mówić — rzekł, jakby na głośno wypowiedziane zdanie odpowiadając.

Młody wojownik żachnął się mimo woli.

— Nie ma powodu, panie, abyśmy mówili o tym, co jest w najzupełniejszym porządku.

— Czy tak?

— Tak, Zwycięzco. Ihezal służy ci, jak ci służę i ja, jak wszyscy na Księżycu służyć powinni...

— A jednak masz do mnie żal z tego powodu. Zdaje ci się, że ja ci ją zabrałem.

— Czego żądasz ode mnie, panie?

Pytanie to rzucił tak po prostu i z nagła, że Marek nie znalazł na nie odpowiedzi. Istotnie: czego żądał, czego chciał od tego chłopaka, któremu, choć mimo woli i wiedzy, bądź co bądź zabrał jedyne ukochanie? Odczuł, że śmieszny jest z tą chęcią zawiązania przyjaznych stosunków z pokrzywdzonym człowiekiem — i złość go ogarnęła na myśl, że się przez to w oczach jego poniża. Ściągnął brwi i chciał już rzucić jakiś rozkaz władczy, krótki i nieodwołalny, który by przeciął ten nastrój fałszywy, oznaczając właściwe obu stanowisko, ale Jeret tymczasem odezwał się głosem dziwnie zmienionym, jakiego on, Zwycięzca, z dawien u niego nie słyszał:

— A żal...? Mógłbym mieć żal jedynie do tego losu i porządku rzeczy, iż dwom panom służyć nie można i kto świętości odda duszę, jest dla życia stracony.

Umilkł — i po chwili dopiero dodał:

— Gdybyś, panie, był jak ja człowiekiem...

— A czymże ja jestem? — rzucił Marek mimowiednie, widząc, że Jeret zdania nie kończy.

Chłopak podniósł na niego jasne i spokojne oczy:

— Jesteś bogiem, Zwycięzco.

I nim Marek, tym po wszystkie wieki najcięższym słowem oszołomiony, zdążył odpowiedzieć i zaprzeczyć, on już był daleko, jak czarna, ruchliwa plama widny na żółtym piasku wybrzeża, w pobliżu sań i ludzi krzątających się około ostatnich przygotowań do wyprawy w głąb straszliwej i nieznanej szernów krainy.

Marek powstał i leniwym krokiem zwrócił się ku ogrodom opadającym stromo od tyłów świątyni ku morskiemu brzegowi. Tutaj — przed wrodzoną nienawiścią księży-

[223] *pójdź* — dziś: chodź.
[224] *jeno* — tylko.

cowych ludzi ukryty żył Nuzar od dnia owego, kiedy się ofiarował Zwycięzcy powieść zdobywcze zastępy na dziedziny szernów. Ogród słabo był wprawdzie strzeżony; straż, postawiona przy bramach, miała raczej za zadanie bronić przystępu do wnętrza fanatycznym napastnikom, niż pilnować jeńca, który miał zupełną swobodę ruchów. Istotnie morzec mógł był uciec każdej chwili i przesunąwszy się morskim wybrzeżem, które właśnie od tego miejsca ku północy ciągnęło się strome i skaliste, przepaść w gęstych lasach u stóp *Otamora*, gdzie nikt by go już wynaleźć nie zdołał. Jednakże nie próbował nawet ucieczki. Był dwukrotnie świadkiem straszliwego pogromu szernów i kaźni wszechpotężnego niegdyś wielkorządcy Awija; widział w ręku Zwycięzcy piorunującą broń, a rzuciwszy się na niego, miał się sposobność przekonać, jak te ręce są potężne. Odtąd w ciemnym, krwawymi obrazami walki i mordów jeno zajętym umyśle morca dokonała się rozstrzygająca przemiana. Zwycięzca zjawił się jego oczom jako istota najpotężniejsza, a przeto najwięcej czci i miłości godna na Księżycu. Gdyby bodaj na chwilę zdolny był uwierzyć, że nowy władca jego może umrzeć lub w ogóle być pokonanym, rzuciłby się niewątpliwie powtórnie z nożem na niego — po prostu dlatego tylko, aby mieć w chwili śmierci chwałę przed samym sobą, iż on, morzec Nuzar, pokonał, co było najpotężniejszego — ale nic nie było równie dalekie od jego myśli, jak podobne przypuszczenie...

Toteż z rozkoszą myślał, że służy nieśmiertelnemu i wszechpotężnemu panu, i radował się naprzód w duszy obrazami pogromu ostatecznego szernów, o którym nie wątpił, że będzie straszny, chowając gdzieś na dnie dzikiego serca jeszcze słodką nadzieję, że po wygubieniu skrzydlatych pierwobylców przyjdzie kolej i na ludzi... Planów nie śmiał robić — było to rzeczą pana — ale był pewny, że będzie to jakieś krwawe polowanie, gdzie on jak pies wierny u nogi Zwycięzcy tropić będzie wszelką żywą istotę, aby z ręki jego ginęła.

Gdy tak myślał, nieposkromiona, bałwochwalcza miłość wzbierała w jego sercu ku nowemu panu i drżał z niecierpliwości, aby skrzydlatymi saniami gonić już na południe... Palnej broni w rękę mu nie dano — nie chciałby jej nawet brać, ale łuk sobie naprzód wyprosił tęgi i sam z psiego jelita przyrządził już do niego cięciwę i z trzciny strzał przysposobił lotnych, aby szyć nimi szernów przy boku zwycięskiego pogromcy.

Toteż gdy teraz wszedł do ogrodu Zwycięzca i oznajmił mu, że wyprawa pod wieczór wyruszy, zatrząsł się cały z radości i wyć począł a skakać, do ogara przed łowami raczej niż do istoty poniekąd ludzkiej podobny.

Marek nakazał mu spokój, zupełnie jak psu, którego się do nogi przyzywa.

— Słuchaj! — rzekł — pozwoliłem ci służyć za przewodnika, chociaż mógłbym się obejść bez ciebie, ale jeślibyś zdradził, skórę każę zedrzeć z ciebie!

Nuzar nie rozumiał po prostu, co znaczy: zdradzić. Przejście, gdy się da, do wroga w razie pogromu uważał za rzecz zupełnie naturalną, od której jedynie nienawiść mogłaby powstrzymać, opuszczenie zaś sprawy zwycięzców za coś niepojętego. Patrzył tedy z tępym zdumieniem na Marka, usiłując zrozumieć tajemne znaczenie jego słów i dołączonej do nich groźby, aż w końcu uśmiech wykrzywił jego szeroką, ohydnym piętnem naznaczoną gębę:

— Zdradzę, jeśli każesz! — rzekł z przekonaniem, sądząc snadź[225], że Zwycięzca chce mu nakazać posłuszeństwo wobec siebie, choćby wiedział, że miasto[226] nagrody kaźń go z jego ręku czeka.

Marek roześmiał się mimo woli...

Przeszedł ogród i tylnym wejściem zmierzał do świątyni. W sklepionym korytarzu spotkał Ihezal. Skinął tedy na nią i z nią już razem zeszedł do podziemnej komnaty, kędy przebywał szern Awij, nieodmiennie łańcuchami do ściany przykuty. Marek próbował wielokrotnie nadać mu względną wolność przynajmniej, rozluźniając przykuwające dłonie jego pęta, ale za każdym razem szern korzystał ze swobody ruchów po to jedynie, aby napaść żywiącego go dozorcę lub też rzucić się w niepohamowanej wściekłości na Zwycięzcę. Ataki te były tym niebezpieczniejsze, że przychodziły niespodziewanie i nagle, przez większą część dnia bowiem szern leżał odrętwiały, nie racząc nawet usunąć się, kiedy dozorca kopał go, chcąc w więzieniu zrobić porządek. Przykuto go tedy ciasno na powrót i jeno aby znęcaniu się nad bezsilnym więźniem kres położyć, nie wolno było ni-

[225]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[226]*miasto* (daw.) — zamiast.

komu wchodzić do niego, jak tylko w towarzystwie Marka albo Ihezal, która drugi klucz do lochu posiadała.

W dawnym skarbcu nie zmieniło się nic, od czasu jak go na więzienną celę obrócono — pył jeno gęsty przysiadł stos świętych ksiąg, na podłodze się walających, i przyciemnił złote na ścianach znaki i napisy... Wiała stąd jakaś pustka rozpaczliwa rzeczy dokonanej już i minionej, łkało po kątach pogwałcenie jakieś i pohańbienie w pośpiesznej przemianie tego wszystkiego, co wczoraj jeszcze było święte...

Marek spostrzegł w blasku pochodni, że Ihezal przybladła nagle... Stojąc na stopniu ostatnim — jak niegdyś owej nocy, gdy dziadka tutaj nad księgami naszła niespodziewanie, wahała się przez chwilę, jak gdyby niepewna, czy ma wejść... Białe ramię, oparte o uszak drzwi, wysunęło się z szerokiego rękawa, pierś wzniosła jej się kurczowo pod lekką lśniącą zasłoną. Przez jeden moment zdawało się, że padnie...

Podchwycił ją szybkim ruchem, w tejże jednak chwili spostrzegł okrągłe, czerwone oczy potwora, lśniące w cieniu i na nich wprost zwrócone. Cofnął dłoń wstydliwie i podszedł ku więźniowi.

Krwawe oczy szerna przygasły nagle. Wtulił łeb między okrągłe ramiona, spod których sterczały skrzydła jak dwie płachty czarne, w luźnych fałdach na rogowym szkielecie rozwieszone. Dłonie jeno białe, w żelazo pęt ujęte, lśniły na tym tle, białe, umęczone dłonie, straszliwe przez swą bezwładną nieruchomość...

Marek patrzył na niego długo w milczeniu. Nie umiał sobie zdać sprawy, po co tutaj przyszedł — po co zachodził tu w ogóle — do tej kaźni i do więźnia, którego męka nieuchronna budziła w nim uczucie bolesnej odrazy... A przecież ciągnęła go tutaj jakaś nieprzeparta moc, jakby urok zły, przez dziwnego potwora na niego rzucony. Stokroć powtarzał sobie, kiedy z niesmakiem loch opuszczał, że już tu więcej nie powróci — i wchodził znowu wkrótce, wynajdując sobie błahe pozory albo udając, że chce z szerna wydobyć jakieś wiadomości, z których by mógł skorzystać w zamierzonej wyprawie...

Szern na pytania odpowiadał mu rzadko, a nigdy już nie wypowiedział żadnego słowa, które by dla Zwycięzcy mogło mieć jakieś znacznie. Czasami nie mówił wcale. I teraz, gdy Marek się do niego odezwał, nie poruszył się nawet, zupełnie jakby nie słyszał rzuconego mu obojętnego pytania. Po pewnym czasie jeno[227] białe jego fosforyzujące czoło zaszło mętnosiną barwą, przez którą przeświecać poczęły szybko następujące po sobie błyski, całe gamy barw, roztapiające się chwilami w ogólnym, fioletowym tonie...

— Mówi — szepnęła Ihezal, patrząc na szerna szeroko rozwartymi oczyma.

A kolory grały tymczasem coraz silniej na czole potwora, czasami zmienne jak ruchliwa zorza polarna i tak jaskrawe, że sklep cały tęczowym światłem się mienił, a czasem znów przyciszone, leniwie i słodko wzajemnie w siebie się przelewające... Marek, patrząc, miał wrażenie, że śpiewa się przed nim jakiś przedziwny hymn światła i barw, zdolny może wyrazić rzeczy, jakich ludzki głos nigdy nie ogarnie.

Naraz na czole szerna zapłonął blask krwawy, jakby krzyk jakiś ogromny, kilku zimnymi błyskami sinymi przerwany — i zgasł w jednym momencie, jak ogień z nagła przytłumiony...

Awij rozwarł teraz z wolna przymknione[228] dotychczas oczy i popatrzył na Marka.

— Po coś ty tutaj przyszedł? — odezwał się głosem — po co w ogóle ludzie przyszli na Księżyc i niepokoją wyższe od siebie istoty?

Psem jesteś, ale słuchaj, co mówi wiedzący, nim zginiesz marnie za karę, iżeś śmiał rękę podnieść na szerna.

Zło wszelkie idzie z Ziemi i jest ona gwiazdą zbuntowaną i przeklętą, której nie powinny widzieć oczy nasze!

Księżyc był sadem cudnym i mieszkali na nim szernowie w miastach bogatych, nad szumiącymi morzami!

Dawno, dawno temu...

A dni wówczas były krótkie i Ziemia wschodziła i zachodziła na sklepieniu nieba, okrążając Księżyc cały dookoła — i służyła szernom, aby jasno im było w nocy!

---

[227] *jeno* (daw., gw.) — tylko.
[228] *przymknione* — dziś: przymknięte.

Ale przyszedł czas, że stanęła na niebie gwiazda ona złowieszcza, zbuntowawszy się — i przeklętą stała się kraina, ponad którą się zatrzymała!

Ziemia nienasycona wykradła z niej wodę, wykradła powietrze — i pustynia jest dzisiaj nieprzebyta tam, kędy niegdyś ogród był rozkoszny!

Stoją na pustyni zwaliska gór i trupy rozpadających się miast stoją nad wyschłymi rzekami.

Przeklęta jest Ziemia i przeklęte to wszystko, co ona sprawia, i przeklęty twór wszelki, który stamtąd przychodzi.

Mówił to zwykłym, rzężącym głosem szernów, ale w sposobie wypowiadania i intonacji zdań było coś, co słowom jego nadawało podobieństwo do jakiegoś hymnu czy powtarzanej prastarej klątwy lub modlitwy... Gdy zamilkł, zapadając w poprzednią, nieruchomą obojętność, Marek rzucił się żywo ku niemu:

— Mów, mów jeszcze! Więc niegdyś, na tamtej stronie...? I podanie dotychczas między wami się przechowuje?

Drżał z niecierpliwej żądzy, aby posłyszeć jeszcze nieco z tych słów, tradycją snadź[229] z pokolenia w pokolenie między szernami przekazywanych, które mu w dziwny sposób odsłaniały rąbek dawnej tajemnicy Księżyca, kiedy to morza były na pustyni i miasta bogate stały nad szumiącymi rzekami... Na próżno jednak nalegał, starając się obietnicami, prośbą czy groźbą dobyć coś więcej z milczącego szerna. Awij raz tylko jeszcze wzniósł na Zwycięzcę błyszczące oczy i charknął nienawistnie:

— Wracaj na Ziemię! wracaj na Ziemię, dopóki czas! Myśmy jeden tylko błąd zrobili, pozwalając żyć tu i mnożyć się ludzkiemu pokoleniu! Ale teraz wytracimy was wszystkich, jeśli psami naszymi być nie zechcecie!

Potem wtulił znów głowę między ramiona i obwisł ciężko i nieczule na skuwających mu dłonie łańcuchach.

Marek pomyślał, że w tej chwili on to właśnie ma zamiar wytracenia wszystkich szernów raczej, ale nie powiedział już tego... Owszem, przez pewien czas wahał się, czyby nie oswobodzić szerna i w przyjazny sposób skłonić go do opowieści, ale wkrótce porzucił tę myśl, wiedząc już z doświadczenia, że nie prowadzi ona do niczego, a narażałaby wszystkich na niebezpieczeństwo z ręki nieobliczalnego potwora.

Z zadumy wyrwało go ciche westchnienie. Odwrócił się szybko: Ihezal stała, nieruchomie o uszak drzwi plecami oparta, blada jak trup, z szeroko rozwartymi oczyma, obłędnie utkwionymi w oczach szerna, które na nią wprost zwrócone jaśniały znów krwawo i złowieszczo, jak cztery czerwone rubiny, rozżarzone na czarnym, aksamitnym tle zwiniętego w kłąb potwornego ciała...

— Ihezal! Ihezal! — zawołał Marek.

— Boję się... — szepnęła zmartwiałymi usty. Dreszcz nagły ją przebiegł, ale mimo widocznych wysiłków woli oczu od krwawych źrenic szerna nie mogła oderwać.

Marek pochwycił ją na ręce i wybiegł szybko na dzienne światło. Dziewczyna w przejściu nieświadomym ruchem zalęknionego dziecka objęła go rękoma za szyję, przytulając się do niego mocno całym ciałem, że on, niosąc ją tak, czuł przez rozchełstaną bluzę falowanie jej drobnej, ciepłej i jędrnej piersi i gwałtowny łomot tętniącego serca. Była jedna chwila, że oman jakiś uderzył mu w skroniach; przygarnął ją silniej mocarnymi rękoma i pochylił usta nad jej wonną, do złotego kwiatu tak podobną głową — czuł już ciepło jej czoła i słodkie łaskotanie sypkich włosów na wargach spragnionych...

Pełne światło dnia uderzyło na nich złotą falą... Marek otrząsł się i postawił dziewczynę na stopniach. Rozwarła oczy, jakby senna jeszcze; lekki dreszcz przebiegł jej ciało i zarumienione policzki...

Miało się już ku zachodowi. Marek, idąc z towarzyszącą mu wciąż dziewczyną wzdłuż morskiego wybrzeża, milczał zawzięcie. Minęli już osadę i ostatnie ciepłe stawy, dymiące nieustannie srebrnym oparem, wstępując z wolna na opustoszałą wyżynę, kędy jeszcze przed niedawnym czasem wznosiła się groźna wieżyca Awija. Gruzy tu były jeno teraz i belek nieco opalonych wśród rozwalonego muru — w obszernym i rozkosznym niegdyś ogrodzie chwast się bujny panoszył około krzewów suchych, podczas walki połamanych

[229] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

i stopami zwycięzców w grunt wdeptanych. Była tu teraz pustać[230] bezpańska, miejsce, które uchodziło za przeklęte, tak że nikt się nie odważył chaty na zgliszczu zbudować.

Na łysym czole wzgórza, nieopodal nad zwaliskami, usiadł Marek i patrzył długo na miasto, tuż w dole u nóg jego szeroko rozsiadłe i zachodnim słońcem pozłocone. Ihezal przyległa cicho u jego kolan, zwróciwszy zadumione[231] oczy na bezpromienne ogniste słońce, chylące się wolno ku widnokręgowi.

Naraz Marek drgnął i spojrzał na dziewczynę.

— Czy nie chcesz zaślubić Jereta, nim wieczorem ruszy na wyprawę? — zapytał z nagła, przerywając brutalnie przedziwną ciszę miejsca i godziny.

Ihezal podniosła na niego z wolna duże, czarne źrenice, pełne jeszcze słonecznego blasku, który tlił na ich dnie gorącym, złotym zarzewiem...

— Jereta? — powtórzyła, jakby nie rozumiejąc pytania.

Uśmiechnęła się i wstrząsnęła głową.

— Ach, nie! Ani jego, ani nikogo, teraz ani nigdy!

Powieki z długimi rzęsami opadły jej do połowy na oczy, w których blask słońca dogasał — zadrgały purpurowe wargi.

Marek przechylił się w tył i legł na wznak, wspierając głowę na złożonych pięściach. Patrzył w niebo pogodne, wieczorną zorzą szeroko aż po zenit malowane.

— To jest dziwne właściwie — zaczął po chwili — przybyłem tu i idę dzisiaj szernów wytracać, w ich kraju własnym, na ich własnym globie. Dlatego, że ludzie tu chcą żyć... Dlatego, że oni są słabsi i że nie przybyli przed tysiącleciami na Ziemię i nie uczynili nas bydłem swoim... I jakie, jakie ja mam prawo? i jakie prawo macie wy w ogóle?...

Urwał i zaśmiał się szeroko, nieco wymuszenie.

Ihezal patrzała na niego ze zdumieniem.

— Panie...?

— Tak, tak, wiem! mówiłaś mi! Błogosławieństwo idzie z Ziemi i święte jest wszystko, co z niej przychodzi. Święty jest mord, święta jest krzywda i łupiestwo... I nawet te kajdany...

Uczuł, że mówi rzeczy, które zgoła nie wpłyną na jego czyny, i zamilkł, nie dokończywszy zdania.

— Jasny jesteś, panie mój! — tchnęła cicho Ihezal, patrząc na niego rozkochanymi oczyma.

Psy gdzieś na dole w mieście zaszczekały, a potem ozwał się przeciągły, chóralny śpiew... Nie słyszało się tego z oddali dokładnie; zda się, że to jeno powietrze samo, rozfalowane i dźwięczne, rzuca jakieś przeczucia i wspomnienia melodii, że pieśń wonią tylko skądeś zalatuje, że pachnie, miasto[232] brzmieć...

Słońce było ogromne i czerwone, nisko nad daleką, poczerniałą równiną zwieszone... Od morza chłód już szedł przedwieczorny.

Marek zerwał się nagle i usiadł.

— Pójdźmy — rzekł.

Dziewczyna poruszyła się leniwie.

— Jak każesz, panie...

Wzniosła ręce, aby zebrać rozwiązane włosy, ale sypkie złoto wymykało się jej z drżących palców i błyszczało w słońcu na ramionach, na barkach, na twarzy... Opuściła dłonie bezradnie. Głowa przechyliła jej się nieco w tył, dotykając prawie piersi Markowej. Pobladła nagle i przymknęła powieki, z lekka usta rozchylając.

— Czy ty jesteś bogiem, panie? — szepnęła sennie.

Marek uczuł, że skroń jej, w tył podana, musnęła mu wargi...

Na dole — gdzieś na wybrzeżu, daleko, ozwał się twardy dźwięk trąby. Marek jednym skokiem zerwał się na nogi. Dziewczyna z cichym jękiem opadła mu twarzą na stopy, ale on już patrzył ku miastu, ku morzu. Pobudka ozwała się znowu, słychać ją było w ciszy wyraźnie.

— To moja godzina — rzekł Marek — Wzywają moich żołnierzy.

---

[230]*pustać* — pustka; teren opustoszały.
[231]*zadumiony* — dziś: zadumany (pogrążony w zadumie).
[232]*miasto* (daw.) — zamiast.

Schylił się i podjął leżącą dziewczynę.

— Ihezal, słuchaj, jeślibym nie wrócił...

Patrzyła mu w oczy.

— Jasny jesteś i jak płomię[233] okrążysz glob księżycowy! Morze cię poniesie i wichry, szczęk i pioruny pójdą za tobą; strach ci będzie za gońca, strach wołający wielkie święte twe imię! A którzy padną, błogosławieni będą, że padną przy tobie, a którzy przeżyją, wołać będą: „Chwała Zwycięzcy"... A ja...

Głos jej się w piersi zaparł, poruszyła bezdźwięcznie ustami — i nagle wybuchnęła spazmatycznym łkaniem.

Trąba zagrzmiała po raz trzeci: wzywano teraz Zwycięzcę, aby sprawiał woje[234] do drogi.

III

Był czas wielkiej morskiej ciszy, która co dzień w przedpołudniowej porze poprzedzała nadejście burzy, szalejącej wichrem piorunowym, zaledwie słońce szczytu nieba dosięgło. Na wschodzie, kędyś poza *Wyspą Cmentarną*, chmury się już zbierały czarne i pomruk z nich szedł groźny, daleką, białą błyskawicą zapowiedziany, jakby łyśnięciem kłów potwornego zwierza, który legł na nieboskłonie i skradał się z wolna, goniąc po morzu za uciekającym słońcem. Za kilka, kilkanaście godzin ryk jego potężny wstrząśnie powietrze, ciężkie łapy opadną na wodę i stratują rozszalałą, pianą bryzgającą aż gdzieś pod niebo, na którym szare kudły zwierza się rozwełnią — ale tymczasem zwierz czaił się jeszcze w oddali, między skłon nieba a widny krąg morza wtulony — i cisza była ogromna.

Powierzchnia wód wyglądała jak olbrzymia, sinostalowa tarcza gładzona doskonale; czuło się niemal okiem twardość jej niezarysowaną, nagle z płynności w metal zakrzepłą. Około brzegów dalekich wysp jeno[235] barwa morza się zmieniała: drżały tam jakieś pawie otęcze, niby pierścienie, kamień drogi ujmujące. A nad tarczą morza łyskliwą żar wisiał w powietrzu nieruchomy, ciężki prawie i osowiały, jarkim[236] blaskiem słońca na wskroś przebity...

Ihezal, biegnąc wybrzeżem, minęła już ostatnie domy osady. Wszystkie drzwi były na głucho zamknięte, okna pozasłaniane. Młodzież poprzedniego wieczora pociągnęła ze Zwycięzcą na wyprawę — ci, którzy pozostali, pokryli się w mrocznych izbach przed południowym upałem, straszniejszym, zda się, dziś niż zazwyczaj.

Dziewczyna przystanęła w cieniu cypla skalnego, biegiem i gorącem zmożona. Oczy ćmiły jej się od nadmiernego blasku i morze wydawało się w nich chwilami plamą czarną, na bezmiar kędyś rozlaną. Zwidywały jej się wtedy na mgnienie oka w blasku czerwonych pochodni mknące po lodzie niezliczone sanie z rozwiniętymi na nocny wiatr żaglami, słyszała ostry świst płoz okutych i krzyk gromki, jak wicher odlatujący.

Rzuciła okiem mimo woli, czy nie dostrzeże jeszcze tych niknących w dali ogników, które wyglądały jak garść gwiazd z rozmachem po śliskiej tafli lodu puszczonych, ale w otwarte źrenice blask ją znowu słoneczny uderzył i rozpływająca się w nim, zaledwie nad widnokrąg sięgła[237] błyskawica. Spojrzała szybko w stronę czających się chmur: burza nadchodziła, nieuchronna, ale tak leniwa, że ledwo było znać krok jej opieszały po bladym błękicie nieba.

— Zdążę jeszcze — szepnęła prawie głośno, a upewniwszy się, że jej nikt nie śledzi, zbiegła żywo ku zastygłej pośród skał zatoce. Pewnymi rękoma odwiązała małą, pod głazem ukrytą łódkę i wskoczywszy w nią, skierowała się na pełne morze, w stronę widnej z dala *Wyspy Cmentarnej*. Wiosła wygięły się w jej drobnych dłoniach i łódź szła, ryjąc jak ostrze diamentu ciemną stal wody... W smudze zaiskrzyło się słońce migotliwymi perłami.

---

[233]*płomię* — dziś r.m.: płomień.
[234]*sprawiał woje* — dziś: sprawiał wojów (wojowników).
[235]*jeno* — tylko.
[236]*jarki* — dziś: jarzący się; żarzący się.
[237]*sięgły* — dziś: sięgający.

Na kilka staj[238] od brzegu Ihezal opuściła wiosła. Brakowało jej sił w obezwładniającym upale, lekkie szaty dusiły jej ciało. Rozdziała się tedy szybko do naga, aby swobodniej wiosłować, ale zaledwie słońce dotknęło się jej białej skóry, nagła, rozkoszna omdlałość przeniknęła niemocą wszystkie jej członki. Rzuciła się na dno łódki, przymykając oczy.

Przez zwarte powieki czerwony, własną jej krwią malowany blask bił w jej źrenice — na piersiach i biodrach czuła błądzące słońce ogniste, jakby usta jakieś mocarne, niesyte, pocałunkami ją pochłaniające... Jasna, zwycięska postać w pamięci jej zamajaczyła i dreszcz niemal lodowaty przebiegł jej ciało, żarem słońca objęte...

Zbudził ją silniejszy grzmot, odzywający się w dali. Zerwała się nagle: powierzchnię morza marszczył już pierwszy, nisko lecący wiatr. Chwyciła znów wiosła i zaczęła pracować pośpiesznie, z wysiłkiem, mając teraz do przezwyciężenia zrywający się co chwila powiew przeciwny i falę, która szła równa, obła i łódkę w takt kołysała, rozpryskując się w biały grzebień o dziób jej ostry.

Wicher się już zrywał niecierpliwy, skrzydłami lotnymi niespokojnie w wodę bijący, kiedy Ihezal złotowłosa, upadając ze znużenia, przybiła wreszcie do ukrytej pod drzewami maleńkiej przystani w niskim brzegu *Wyspy Cmentarnej*. Zaledwie miała czas dziób łodzi do pniaka przytroczyć i szaty z niej porwać zrzucone, gdy burza zwaliła się całym brzemieniem na spienioną pod zaciemnionym niebem wodę. Wicher pełną garścią chwycił złote włosy dziewczęcia i targnął nimi, na blask je błyskawic rzucając, szarpnął jej odzież z ręku i wirem szalonym około białego jej ciała się owinął. Skoczyła pod kamień jakiś płaski, pochyło spod zielonego trawnika sterczący, i walcząc z wiatrem, ubierać się jęła pospiesznie. Pierwsze, ciepłe krople deszczu padły jej jeszcze na barki nieokryte.

Biegła w ulewie, na oślep, przewijając się znajomym bezdrożem między kępkami drzew, nagle w blaskach błyskawic wstające przed nią w pomrocznej cięzi[239] — przeskakiwała głazy w trawie ukryte i zsuwała się po oślizgłych wodą zboczach pagórków. Około kopców, kędy wedle podania leżą zwłoki pierwszych ludzi na Księżyc przybyłych, zawróciła znowu w stronę brzegu morskiego i wbiegła na szczyt niskiego wzgórza, między głazy spiętrzone.

Pod jednym z nich otwierało się wejście do obszernej pieczary. Ihezal weszła w nią i tutaj przystanęła dopiero, chwytając oddech kurczowo wznoszącą się piersią. Woda ściekała jej z włosów i lekkiego odzienia, oklejonego wprost na smukłych jej członkach.

Z bocznej komory wysunął się starzec i spojrzał w szary półmrok jaskini.

— Jesteś! — zawołał — bałem się już o ciebie...

— Spóźniłam się nieco, dziadku — odrzekła — ale nie mogłam wcześniej wypłynąć; obawiałam się, aby mnie nie spostrzeżono.

Malahuda ujął ją za rękę i pociągnął w głąb za sobą.

W jednym z rozgałęzień obszernej pieczary urządzone miał iście pustelnicze mieszkanie. Dawny arcykapłan sypiał na pęku skór, podobnie jak półdzicy rybacy z okolicy *Przesmyku*; za krzesła i stół służyły mu wielkie kamienie. W kącie widno było[240] naprędce z kamienia postawiony piec, który snadź[241] ogrzewał jaskinię podczas nocnych mrozów.

Ihezal, zapomniawszy o znużeniu i przemokłej odzieży, wpatrzyła się w dziadka w mrocznym świetle, dobywającym się skądś przez szczeliny w sklepieniu. Wydał jej się starszym i smutniejszym — i dostojniejszym zarazem, mimo że stał teraz przed nią bez uroku świętości i władzy, którą porzucił był onego dnia, witając wchodzącego Zwycięzcę... Serce jej się ścisnęło na ten widok — i mimo woli porównywała tę szlachetną, a nawet w dobrowolnym opuszczeniu pełną godności postać z chytrym i łapczywym Elemem, do którego wstręt miała nieprzezwyciężony, czując może nieświadomie obłudę jego wobec Marka pod pozorami uległości i pokory. Przyszło jej na myśl, że Malahuda, pozostawszy na stolcu arcykapłańskim, mógłby teraz pełnić świętą wolę Zwycięzcy i hojnymi rękoma

[238]*staje* a. *stajanie* — daw. pozaukładowa miara długości; tu: chodzi zapewne o s. staropolskie wynoszące ok. 134 m a. s. austriackie równe 65,4 m.

[239]*cięż* a. *cięć* (gw.) — cień.

[240]*widno było* — dziś w tym znaczeniu: widać było.

[241]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

rzucać błogosławieństwo nowej ery na świat księżycowy. Żal w niej wezbrał nieukojony — miasto[242] witać się z dawno niewidzianym, zawołała z wyrzutem:

— Dziadku! dlaczego ty odszedłeś i czemu nie chcesz powrócić!

Ale starzec nie słuchał jej słów. Krzątał się już jak dobry gospodarz po jaskini i wyciągał z jakiegoś schowka proste, skórzane odzienie.

— Rozbierz się — mówił — trzeba się oblec w coś suchego.

Jednocześnie białymi niegdyś, a teraz namulonymi od pracy dłoniami rozwiązywać jął zawęźlone w pośpiechu zawiązki pod jej szyją.

Dziewczyna chwyciła go za ręce:

— Nie, nie...

Spojrzał na nią ze zdumieniem:

— Przebrać się musisz.

A ją rumieniec nagły całą umalował.

— Przebiorę się, dziadku, ale tam, za tym głazem, w ukryciu.

Widziała, że starzec, do niewinnego bezwstydu księżycowych kobiet przyzwyczajony, nie rozumie zgoła jej wzdragania, dodała więc tonem objaśnienia, rumieniąc się jeszcze bardziej:

— Przysięgłam Zwycięzcy, któremu służę, że nikt mnie nagiej nie zobaczy, nawet kobieta...

— Cóż to za ślub niedorzeczny! — mruknął Malahuda, daleki od przypuszczenia erotycznego podkładu w tak dziwnej przysiędze.

Nie spierał się jednak i gdy Ihezal przewdziewała się[243] na uboczu, on rozniecał żar, tlący się w piecu, aby zgotować posiłek.

Za krótką chwilę wnuczka w twardą skórę na białym ciele przyodziana stała już przy nim, pomagając mu białymi rękoma.

Południowa burza tymczasem szalała na świecie. Głuchy odgłos grzmotów wpadał do pieczary — zdawało się, że wicher z łoskotem kamienne drzwi sobie otwiera; czuć już chłodny oddech jego, za chwilę runie do wnętrza i stanie w jaskrawe błyskawice ubrany... W krótkich przerwach ciszy słychać było potężny, jednostajny, uroczysty łomot morza, które biło o skalną wyspy podstawę, cierpliwe i pewne, że jeszcze kilka wieków, jeszcze jeden lub dwa marne tysiące lat, a pochłonie i tę resztę dawnego lądu, jak już setki mil pochłonęło — nim jemu z kolei przyjdzie wyschnąć i przepaść...

Po krótkim posiłku starzec usiadł z wnuczką na głazie, kudłatą skórą pokrytym, i złożywszy ręce na kolanach, mówić jął powoli:

— Dałem ci znać, że tutaj jestem, dopiero teraz po odejściu zbrojnych na wyprawę, gdyż jedyny mój zaprzysiężony powiernik, rybak i dobrowolny stróż prastarych grobów na tej wyspie, doniósł mi, żeś się zaklęła Zwycięzcy odnaleźć moją kryjówkę i zawiadomić go o niej. A ja nie chcę...

Dziewczyna chciała coś odpowiedzieć, ale arcykapłan nakazał jej dłonią milczenie.

— Nie przerywaj mi teraz — rzekł. — Mam ci wiele do powiedzenia i chcę, abyś mnie wysłuchała uważnie.

Dziwno ci, że odszedłem. Wiem, że niektórzy przypuszczają, że — starzec — do władzy przywykły, nie chciałem jej dzielić z gwiezdnym przybyszem i wolałem raczej dobrowolne wygnanie... Tak nie było. Tłumaczyć ci nie będę wszystkich powodów, które mnie do ukrycia się skłoniły, bo zbyt wiele musiałbym opowiadać o gmachach, które jednej nocy runęły i pewien jestem, że nie zrozumiałabyś mnie dobrze.

Wyście tam już Zwycięzcę powitali — ja czekam na niego dopiero. Nie tak, jak Choma, który, jako mnie słuchy dochodzą, tego uznać nie chce i wieści przybycie innego, prawdziwego Zwycięzcy. Nie — ja czekam, aby ten, który przybył, stał się Zwycięzcą. Niemniej przeto czekam.

Gdy zobaczę, iż błogosławieństwem jest dla Księżyca prawdziwym, umrę w spokoju, a jeśli będzie mnie na co potrzebował, zjawię się przed nim; teraz jeszcze nie czas.

---

[242] *miasto* (daw.) — zamiast.

[243] *przewdziewać się* — dziś: przebierać się.

Ostatniej nocy wyszedłem z jaskini i widziałem sanie pełne zbrojnych, młodych i dufnych, śmigające wartko na południe. Czekać będę, aż wrócą tą samą drogą. Uznam Zwycięzcę, jeżeli powrócą, a nie będą rozproszone uciekały przed ścigającym je wrogiem.

Starość moja nauczyła mnie jednej rzeczy wielkiej: każde przedsięwzięcie jest błogosławione, gdy skutek je uwieńczy pomyślny i błogi. Zbyt wiele klęsk i upadków w życiu widziałem, aby się cieszyć zamiarami albo zaliczać wdzięczność i uwielbienie z góry na poczet czynów, które mają być spełnione dopiero.

Zatęskniłem jednak za tobą, bo kwiatem mi zawsze byłaś, dziecię jedyne nieżyjących dzieci moich — i dlatego cię wezwałem, posyłając z wieścią stróża mogił tutejszych.

Prawże mi teraz, jako się masz, i opowiadaj, co oczy twoje widzą.

Ihezal zapatrzyła się w mroczną głąb pieczary i milczała kęs czasu, nim mówić poczęła:

— Dziadku, oczy moje teraz widzą jedno tylko... Idą moje oczy przez burzę na wskroś, przez morze rozkołysane w daleki kraj i straszliwy, i widzę bitwę krwawą, od szalejącej tuczy[244] czerwieńszą. Słyszę gromy strzałów i jęki padających, a serce się we mnie raduje i pieśń zwycięstwa śpiewa, bo to szernowie pola trupem zalegają, bo to morcy jęczą nieprawi, w pierś gromem i słowem Jasnego rażeni.

Dziadku! widzę go, że jest zwycięski, roześmiany i młodemu bogu podobny — i serce we mnie płacze, że nie jest on jak ja człowiekiem!

Przypadła twarzą do kolan dziadka i głos szatą jego tłumiąc, skarżyć się poczęła gorącymi słowy[245]:

— Dziadku! krew się we mnie wzburzyła! Dziadku, nie wiedziałam, co to jest ogień, a oto mnie pożera i trawi, że jak kwiat zwiędnę w południowym skwarze. O! żeby już przyszła burza dżdżu! o, żeby przyszedł wicher niszczyciel albo piorun, który zabija!

Malahuda nie odpowiadał. Suchymi rękoma ujął ją tylko za głowę i pogrążył się w cichej zadumie. A ona płakała tymczasem bez łez, spazmem jeno szarpiącym, który pierś jej drobną zrywał, aż po pewnym czasie uspokoiwszy się nieco, mówić zaś jęła:

— Dlaczego mi nie odpowiadasz, dziadku? Boję się twego milczenia! Wolałabym, abyś mnie skarcił, abyś mnie za włosy jasne, karząc, do nóg swoich pociągnął! Oto mówił Zwycięzca, pan błogosławiony, że nowe prawa chce dać ludowi i ustawy podobne do tych, które są pono na Ziemi, i że zrównać chce kobietę z mężczyzną, aby nie była nadal niewolnicą! Dziadku! dlaczegóż Zwycięzca, który jest mądry, nie przemieni raczej mężów księżycowych, żeby byli jemu podobni i aby służyć im i podlegać było warto i słodko? Nie swobody chce serce moje niewieście ani zrównania, lecz owszem, poddanym pragnie być najmocniejszemu, a on jest ci jeden, który zstąpił z Ziemi na Księżyc! Dlaczego on usty mocarnymi nie spali kwiatu ciała mojego? Wszakżem ja jest kwiat piękny i wonny, najwonniejszy owszem, jaki wyrósł na księżycowym globie, który pono, z Ziemi widziany, srebrny jest także i świecący, do gwiazdy wielkiej zgoła podobny... Czyż przeto, że jemu spodobało się być bogiem, ja mrzeć mam z niesytej własnej krwi tęsknoty?

Przysięgłam się jemu, a on mnie nie bierze! Boję się tego, dziadku, bom ja go z miłości nadmiernej znienawidzić gotowa i dobrać się do serca jego, aby się przekonać, czy w nim krew także płynie czerwona...

Mówiąc to, głowę w tył odrzuciła i błysnęła białymi zębami, jak pantera złota, co rozpęd już w sobie do skoku zbiera.

Starzec powstał z wolna.

— Źle jest, źle — rzekł raczej do siebie, na wnuczkę nie patrząc — kto wie, czym ja ostać tam nie był powinien i czuwać...

Spojrzał na dziewczynę w twarz jego zapatrzoną — uśmiechnął się smutno.

— Nie nad tobą, nie! Tu czuwanie na nic by się nie zdało. Wiedziałem już, że zginiesz, wówczas, kiedy weszłaś do skarbca i nad księgami mnie zastałaś. Obawiam się, że nad nim czuwać bym winien, nad nim, którego wy dziś już zwiecie Zwycięzcą i nad miarę wielbicie. Bo oto mi się widzi, że jeśli zwycięży naprawdę i rzeczy, które na Księżycu krzywo wyrosły, prościć[246] zechce jak pan, zwróci się wszystko przeciwko niemu, i ty nawet, nawet i ty!

---

[244]*tucza* — chmura; szczególnie: ciemna, ciężka chmura burzowa.
[245]*słowy* — dziś N.lm: słowami.
[246]*prościć* — dziś: prostować.

Ale teraz już nie czas. Co innego wybrałem wedle sumienia swego i nie ujmę już teraz w rękę tego, co raz z niej wypuściłem.

Siedzieli jeszcze długo, milcząc albo z cicha urywanymi zdaniami rozmawiając z sobą, aż promień słońca, przez szczeliny skądś wpadający, doniósł im, że burza się skończyła i świat, strugami deszczu odświeżony, cieszy się znowu życiem.

Wtedy Malahuda wziął za rękę złotowłosą Ihezal i wyszli oboje na słońce. Po trawie świeżo umytej i od dżdżu jeszcze oślizgłej, co bose ich nogi chłodną głaskała pieszczotą, przebiegli łączką niewielką, dostając się na szczyt wzgórza od wieków *Grobem Marty* nazwanego. Głaz tu był wielki, pochyły, ze śladami liter przed wiekami może kowanych[247], których nikt już odczytać nie umiał...

Na tym to głazie Malahuda wsparł rękę drżącą i powiedział:

— Nie wiem już dzisiaj, co jest prawdą, ale jest w księgach podanie, że w tym grobie leży matka księżycowego ludu, błogosławiona rodzicielka pierwszego męża i sióstr jego, i natchnionej prorokini Ady, która służyła w dziewictwie Staremu Człowiekowi. Ale podanie mówi, że Stary Człowiek nie był ojcem ludu księżycowego, jeno opiekunem... Owszem, niektórzy utrzymują na podstawie kart jakichś, pono ze spalonego domu jego przed wiekami nalezionych[248] (nie wiem, czy prawda?), że miłość do ludzkiej kobiety jego, boskiego, na Księżyc sprowadziła i że cierpiał, dopóki nie odszedł na Ziemię... Czemuż byś cierpieć nie miała i ty?

Mówił to kapłana dawnym nałogiem, od lat przyzwyczajony słowa Pisma wykładać i dla spraw życia codziennego ciągnąć z nich naukę czy pociechę, ale wnet się opamiętał, że mówi rzeczy mało dające się tu stosować i nieprzekonywujące zgoła. Zresztą nie wierzył sam w to, co mówił...

Zamilkł tedy, spostrzegłszy zwłaszcza, że Ihezal go nie słucha. Pobladłą twarzą zwrócona była na południe i wypatrywała kłębiących się białych chmur na widnokręgu, które wyglądały jakoby wojska, w powietrzu nad morzem pośród perlistej kurzawy walczące. Zauważył snadź podobieństwo i Malahuda, bo ozwał się nagle, myśląc o rzeczywistej bitwie, która się w tej stronie w owej chwili może właśnie odbywała:

— A jeśliby Zwycięzca zginął?

W pierwszej chwili, słysząc te słowa, Ihezal pobladła jeszcze bardziej, tak iż się zdawało, że kropli krwi nie ma w jej ciele, ale zaraz potem potrząsnęła głową z uśmiechem.

— Nie! On zginąć nie może!

Rzekła to z takim przekonaniem głębokim, że starzec nic nie odpowiedział, jeno brodę swą siwą na pierś pochylił i zadumał się, patrząc zaczerwienionymi oczyma na morze jasne i szerokie.

A o tej właśnie godzinie Marek w krainie szernów spoczynek odbywał w pierwszym mieście zdobytym.

Noc całą niósł go szalony pęd wichru, w rozwite żagle dmącego. Kierując się wedle kompasu, mijał wyspy w świetle gwiazd czarnym cielskiem na lśniącym lodzie majaczące; niekiedy Nuzar go ostrzegał o gorących wirach podmorskich, kędy[249] woda nie zamarzała nawet w nocy... Na rozleglej płaszczyźnie sanie, w szeroki łańcuch rozsypane, dawały wzajemnie znać o sobie blaskiem czerwonych pochodni na przodzie umieszczonych i mknęły tak wciąż bez ustanku i postoju przez ziemskich dni jedenaście...

Nad ranem, kiedy już za czterdzieści godzin słońce się miało pokazać i szary obrzask szedł po lodach od wschodu, Nuzar dał znać Zwycięzcy, że się zbliżają do wybrzeża. Jakoż Marek spostrzegł istotnie daleką, białą od śniegu linię na horyzoncie, sterczącymi jakby wieżami tu i ówdzie poprzerywaną.

Morzec stał przy nim i ręką wskazywał:

— To ich miasto największe, w którym dziś już nikt prawie nie mieszka. Połowa zapadła w morze razem z gruntem i gdy jest cisza, widać przez toń wieże, ponad którymi ryby pływają. Szernowie cofnęli się w głąb lądu i tam dalej na wschód. Oto ich osada, kędy[250] mają przystań...

---

[247] *kowany* — dziś: kuty; wykuty (w kamieniu).
[248] *naleziony* — dziś: znaleziony.
[249] *kędy* — gdzie.
[250] *kędy* — gdzie.

Pokazywał zaledwie widoczną grupę domów na wybrzeżu, około głęboko wciętej zatoki.

Sanie, na których jechał Jeret, poczęły się zbliżać w pędzie do Zwycięzcy. Młody wojownik blady był i usta miał zaciśnięte, ale twarz spokojną.

— Zwycięzco — rzekł — wicher nas pędzi wprost na osadę, za kilka godzin tam będziemy.

Marek wydał rozkazy. Stery sań, ostro w lód się wrzynające, zazgrzytały krzepkimi skręcone rękoma i cały tabor począł zawracać ogromnym półkolem wzdłuż brzegów zatoki. Najbliżej lądu wysunęły się sanie, na których działa polowe umieszczono, i w pewnej chwili runęły ogniem na uśpioną szernów osadę. Widać było kurz, z walących się domostw nagle powstający, a ludzie nabijali już pośpiesznie po raz drugi wystrzelone armaty i znowu zagrzmiała z bliska salwa celna a straszliwa.

Nim zdziesiątkowani we śnie, obłąkani z przestrachu mieszkańcy mogli zdać sobie sprawę z tego, co zaszło, wicher poranny porwał już napastników i niósł dalej, ku miejscu pustemu, gdzie wedle słów Nuzara mogli bez przeszkody lądować.

Słońce już wschodziło, kiedy tabor sań, na ląd wyciągniętych, zamieniono na obóz warowny.

Pokazywali się też już z dala szernowie, zdumiali[251], napadu zgoła pojąć niemogący, podlatywali z rzadka na ciężkich skrzydłach ku obozowi i ginęli od niechybnych strzałów załogi. Cofnęli się tedy z nagła, pozostawiając chwilę spokoju napastnikom.

Marek wiedział, że spieszyć mu się potrzeba i nie dawać szernom czasu do opamiętania, lecz zmuszony był przeczekać ranne roztopy, nim by mógł zacząć straszliwe swoje polowanie. Tymczasem więc trzymał tylko obóz w pozycji obronnej, a sam rozglądał się ciekawie po otaczającej go krainie.

Płaska była i rozległa. O ile z opowiadań Nuzara mógł wywnioskować, szernów stosunkowo niezbyt wielka liczba żyła już na Księżycu: większość miast zalegała w gruzach, opuszczona, i pola szerokie leżały odłogiem, o ile nie było rąk morców do ich uprawy. Leniwi szernowe niechętnie brali się do pracy, mając ją sobie niemal za ujmę.

Tym bardziej jednak Marek dziwił się straszliwej ich potędze, przez którą zdołali ujarzmić skrzętne i liczniejsze od siebie plemię człowiecze.

Grunt grząski był jeszcze i mokry od spływającej wody z roztopionych śniegów, gdy Jeret zwrócił uwagę Marka na zbliżające się gromady. Szli kupą morcy, wedle zwyczaju przez szernów w pierwszy ogień pędzeni. Ale do bitwy właściwej nie przyszło. Kilka salw broni palnej w zbitą masę wysłanych rozproszyło ją w okamgnieniu. Młoda, spod śniegu w oczach rozwijająca się trawa zaczerniła się gęstym trupem. Ludzie poszli rannych dobijać.

Wstrętny to był widok dla Marka, który widząc w potwornych szernach istoty zwierzęce, nie robił sobie wyrzutów z ich mordowania, ale wzdrygnął się na myśl o rzezaniu bezbronnych morców, bądź co bądź ludzką postać noszących. Ale nie mógł się wahać, wydał więc tylko litościwy rozkaz, aby rannym szybko i pewnie śmierć zadawano.

Dwóch czy trzech lekko skaleczonych morców wybrał Nuzar i obietnicą życia namówił, aby z nim razem zwycięzcom służyli za przewodników. Zwłokami nakarmiono psy do zaprzęgu przywiezione.

Jakoż wkrótce rozpoczęło się polowanie wedle krwawego serca Nuzarowego.

Uruchomiono sanie, koła do nich zakładając, i posuwano się tak z wolna naprzód taborem. Obóz zatrzymywał się miejscami, a wtedy wychodzili z niego myśliwcy. Marek szedł naprzód, mając koło siebie trzech morców i kilka psów o dobrym węchu i paszczach zajadłych, a za nim szli zbrojni, z ręką na cynglu, z bystrym i czujnym okiem, każdy załom gruntu naokół śledzący. Gdy się pojawił morzec lub szern, zabijano go i posuwano się znów dalej, ku murom zbombardowanej w nocy osady.

Słońce rozświetliło się tymczasem jasne na niebie i morze rozkołysało się słodko, dzwoniąc kryształem o piasek płaskiego wybrzeża. Z rozwiniętych przedziwnych roślin księżycowych woń szła upajająca i chwilami cisza była taka, że Markowi zachciewało się legnąć na wznak wśród zieleni i patrzeć na błękitne niebo ogromne, rozpięte nad tym smutnym a dziwnie rozmarzającym krajem. Lecz oto warknął pies albo morzec zahukał

[251] *zdumiali* — dziś: zdumieni.

koło jego nogi i Marek podnosił raźno broń do oka, aby ubić uciekającego szerna lub nakazać gromadny strzał do morców, spokojnie w polu pracujących i nieświadomych jeszcze napadu. Domostwa napotykane po drodze palono z pośpiechem, a jeśli były kamienne, rozwalano sumiennie, aby snadź nie posłużyły za kryjówkę szernom uchodzącym. I pracowano tak wśród licznych postojów, z wolna, ale niestrudzenie. Szernowie dotychczas nie stawiali poważnego oporu; zdawało się, że kraina bez zbytnich ofiar i wysiłków będzie zawojowana, a ród pierwobylców księżycowych do cna wyniszczony.

Tymczasem zbliżało się południe długiego dnia księżycowego. Podczas największego upału stanął Marek ze swoim oddziałem pod murami miasta. Nowa osada, działowymi kulami rozwalona, którą minął był wcześniej, była pusta zupełnie. Widocznie wszyscy mieszkańcy schronili się do starego grodu, którego zaniedbane i na wpół w gruz rozsypane mury obronne lśniły się oślepiająco w południowym słońcu.

Zwycięzca czuł, że spotka się tutaj z oporem rozpaczliwym. Patrzył na wieże wiekiem poszczerbione o kształtach mocarnych, na łuki i olbrzymie bramiska ze sklepieniami rozchodzącymi się często z powodu opadania gruntu, za którym miasto falą kamiennych domów ku morzu spływało, aby wreszcie utonąć w jego głębinach — i myślał o wieści przed setkami lat przez Starego Człowieka Ziemi przekazanej, że są i na *Wielkiej Pustyni* miasta podobne — w gruzach i ruinie.

Któż to wie, jakie skarby, jakie tajemnice ten gród ginący w sobie chowa? i o czym mógłby mu powiedzieć, gdyby nie był zmuszony zamienić go za chwilę na bezkształtną kupę gruzów, kulami dział poszarpaną?...

Na krótką chwilę przyszło mu na myśl, żeby wysłać parlamentarzy. Nuzara na przykład, i starać się ocalić to miasto prastare od zagłady, ale roześmiał się sam zaraz z tego. Jakież tu mogło być porozumienie? jaka zgoda? Dylemat był jasny: albo ludzie będą wiecznie służyli szernom na Księżycu, lub też szernowie muszą być wytraceni do nogi. Doświadczenie wieków lud już nauczyło, że pakty żadne ani ugody nie prowadzą z wiarołomnymi szernami zgoła do niczego, gdyż z chwilą kiedy widzą korzyść w ich złamaniu, łamią je bez namysłu. Czy miał im więc zaproponować, aby wyszli wszyscy i potopili się dobrowolnie w morzu, zostawiając glob swój własny zagwiezdnym przybyszom — czy też ludzi wszystkich miał zabrać z powrotem na Ziemię? Wszakże innego wyjścia nie było!

Gdy tak myślał, sprawni wojownicy jego ustawiali już działa z pośpiechem, zwracając ich lśniące paszcze ku cichym i jakby zamarłym murom miasta. Od straszliwego żaru słonecznego drżało rozfalowane powietrze, zamieniając kamień na majak jakiś nierzeczywisty, mieniący się w oczach i rozwiewny. Były chwile, że Markowi zdawało się, że miasto całe jest tylko odbiciem jakiegoś snu w ruchliwej i blasku pełnej wodzie i rozpłynie się wnet jak sen na tym pustym morskim wybrzeżu.

Nie wiedział nawet, kiedy dał głową przyzwalający znak Jeretowi, pytającemu, czy można zaczynać. Straszliwy łomot wystrzałów z nagła go dopiero otrzeźwił. Pojrzał na mury zwietrzałe, które kruszyły się pod uderzeniem kul, i na wieże, mocne z pozoru, chwiejące się nagle w podstawach. Działa ryknęły powtórnie, z bliska, i tuman kurzawy buchnął w górę z walących się domów.

Jednocześnie zabrzmiał u jego nóg ostry krzyk Nuzara. Spojrzał w kierunku wyciągniętej ręki morca — i zdało mu się, że ciężka, nisko zawieszona chmura czarna płynie na niego z niepojętą szybkością.

— Szerny! szerny! — rozległ się już krzyk w szeregach.

W jednej chwili wyćwiczonym ruchem rozsypali się wojownicy, aby nie dawać w gromadzie celu z góry miotanym pociskom szernów. Zachrzęściła ręczna broń palna i ozwał się grzechot strzałów, nieregularny, lecz nieustanny. Z chmury szernów poczęły co chwilę padać ciężkie ciała na ziemię i broczyć... Niewiela[252], a rozpoczął się pościg zabójczy za rozproszonymi w ucieczce potworami.

Większa ich część jednak schroniła się w mury miasta — i znowu działa zagrzmiały. Bito w domostwa jeszcze stojące, w na pół rozwalone wieże i w sklepiska przed wielu wiekami stawiane, potem bito w gruzy, a w końcu już tylko w bezładną masę spiętrzonych głazów i kamienia. Burza się rozhukała tymczasem na świecie i waliła gromami, pomagając ludziom w dziele zniszczenia.

[252]*niewiela* (daw.) — dziś: niewiele; tu w znaczeniu: mało co, lada chwila.

Czasem z kupy zwalisk szern się jaki zerwał, rozpaczliwej próbując ucieczki, ale wnet padał kulą rażony, nie zdoławszy nawet dosięgnąć pierścienia oblegających niszczycieli. Niektórzy, strachem śmierci obłąkani, wzlatywali nad rozhukane morze i ginęli rychło, w fale padając.

Zwycięstwo odniesiono zupełne — nawet bez straty jednego człowieka.

Kiedy jednak Marek po pewnym czasie wprowadzić chciał ludzi swoich na dymiące ruiny, aby je przeszukać, Nuzar pochwycił go za brzeg bluzy i potrząsł głową przecząco.

— Tych jeszcze nie trzeba gubić — rzekł pokazując na zwycięskie szeregi — jeszcze ci się, panie, przydadzą.

Marek spojrzał na niego z pytaniem.

— Szernowie tam są jeszcze w jamach ukryci; pod miastem całym ciągną się głębokie pieczary. Kto wejdzie tam, zginie.

— A wejścia do pieczar? — spytał Marek.

— Są liczne. Niektóre z nich pod batem morcy zamurowali, bo wody morza się przez nie wdzierały.

— Gdzie się znajdują?

— Ujęci morcy wskażą ci je niechybnie. Znają te miejsca aż nadto dobrze, bo mury pod uderzeniem fal psują się ciągle i wciąż je trzeba wzmacniać i naprawiać...

Marek nie czekał nawet uspokojenia burzy. Morze jeszcze rozkołysane i wściekłe biło o zwaliska, rozmywając je uderzeniami, kiedy na rozkaz Zwycięzcy pośpiesznie zakładano miny, mające usunąć falom kamienną zaporę.

Jakoż rychło zagrzmiał huk potężny i bryznęły w górę słupy wody i kamienia. Morze cofnęło się na moment, wybuchem w tył rzucone, ale w tejże chwili zakotłowało się gwałtownym wirem i runęło przez rozdarte zapory do wnętrza pieczar tajemniczych.

Szernowie, potopem zagrożeni, uciekać zaczęli z kryjówek bocznymi wyjściami i ginęli z ludzkich ręku bez miłosierdzia, aby się spełniły słowa Pisma, iż przyjdzie na Księżyc Zwycięzca.

A on sam usiadł nad gruzami i w nowym, świeżym słońcu, zza chmur wychylonym, patrzył, jak morze, po burzy uspokojone, wypełniwszy jaskinie, wygładzało się z wolna, otwierając się oku szerokim tęczowym zwierciadłem, przez które widno było[253] tam w głębi miasto zatopione, jedyny ślad, jaki pozostał, że tu na tych gruzach żywe niegdyś mieszkały istoty.

Wojownicy wreszcie odpoczywali...

Ptak jakiś przedziwny o złocistych skrzydłach zerwał się z pobliskich zarośli i lśniąc w słońcu, krążyć począł nad głową Zwycięzcy, coraz szersze zataczając kręgi.

IV

Wieść naprzód przyszła głucha, nie wiadomo skąd, i rozchodziła się między ludem, z ust do ust podawana. Opowiadano sobie wzajem o przedziwnych Markowych przewagach i mimo że je uświęcony „Zwycięzca" odnosił, dziwiono się im, nie dowierzano prawie, zwłaszcza że nikt nie umiał podać pewnego źródła tych wiadomości... Wskazywano półdzikich rybaków z okolic *Przesmyku*, którzy zjawili się byli od pewnego czasu w towarzystwie jakiegoś starca obłąkanego w pobliżu *Ciepłych Stawów*. Podobno jeden z ich współziomków, opuściwszy szeregi Marka, z niewiadomej przyczyny do domu powrócił i przyniósł dobrą nowinę — ale że pogłoski szły z drugiej i niepewnej ręki, przyjmowano je ostrożnie, choć chciwie słuchano i poglądano po staremu ku *Wielkiemu Morzu*, za którym kraj szernów leżał.

Wyprawa ta wydawała się czymś tak nieprawdopodobnym przyzwyczajonym z pokoleń do szernowskiego jarzma ludziom, że dotychczas oswoić się nie mogli z myślą, iż poszła ona istotnie, i z lękiem, wbrew wieściom pomyślnym, oczekiwano klęski i przybywającego po niej najazdu straszliwych pierwobylców. Byli już niektórzy, co brak pewnych wiadomości tłumaczyli wygubieniem do szczętu zuchwałych szaleńców i złorzeczenia czynili niemal Zwycięzcy, do niedawna wychwalanemu przez nich nad miarę...

[253] *widno było* — dziś w tym znaczeniu: widać było; widoczne było.

A gdy wreszcie dnia pewnego o szarym brzasku wschodzącego poranku zjawiło się dwoje sań skrzydlatych na brzegu zmarzłego morza, lud z trwogą wyległ naprzeciw przybyłych, nie śmiejąc ich nawet wypytywać, zali nie są ostatnimi, którzy przy życiu zostawszy, ujść jeszcze zdołali z pogromu. Ale z sań wyszli ludzie znużeni, lecz weseli i ze śmiechem zdążali ku miastu, dając z dala znaki radosne... Krzyknięto tedy z uciechą i zaczęto biec ku nim i otaczać ich kołem zgiełkliwym a ciekawym... Tedy oni prawili rzeczy wprost niesłychane: jako Zwycięzca idzie w chwale przez ziemię szernów i wytraca bez miłosierdzia wszelkie żywe ich nasienie, jako miasta już zdobył wszystkie nad brzegiem morza i na równinach leżące, strachem i śmiercią kraj zamiatając, a teraz poszedł w góry na południe ku biegunowi wzniesione, kędy w grodach niedostępnych ukryli się pozostali jeszcze przy życiu szernowie. Ich zaś wysłał tutaj, ażeby przywieźli nowy zapas amunicji, która jest już na wyczerpaniu.

Tłum tedy, szalony obłędną radością, wziął przybyłych na ręce i niósł ich w tryumfie ku świątyni, gromkie wznosząc okrzyki.

Ranek był jeszcze mroźny i śniegi z pól nie zeszły, kiedy się to wydarzyło. Wielu mieszkańców osady przy *Ciepłych Stawach* spało jeszcze albo w domach zamkniętych czekało ciepłych promieni słońca. Gwar ich dopiero wciąż rosnący obudził, więc z izb zacisznych wychodzili, nierzadko z oczyma jeszcze snu pełnymi, a posłyszawszy, co się dzieje, przyłączali się do tłumu, który o tak wczesnej porze zalegał już cały plac przed świątynią.

Elem, w pałacu swoim zgiełk posłyszawszy, sądził zrazu, że to wraca Zwycięzca, i pośpiesznie szaty na siebie kazał kłaść arcykapłańskie, aż mu Sewin doniósł dopiero, że to poselstwo jeno z radosną wieścią przybyło. Więc nie czekając, aż go obloką, wyszedł, jak stał, w domowym stroju z narzuconym jeno futrem na ramionach — i wołał z progu donośnie, aby posłowie naprzód jemu się pokłonili i sprawę z poselstwa zdali. Oni jednakże, wedle wyraźnego snadź[254] Zwycięzcy polecenia, poszli przede wszystkim szukać dziewczyny złotowłosej, a znalazłszy ją na przejściu z dawnego pałacu do świątyni, twarzą przed nią uderzyli w sposób dotychczas niebywały, wręczając jej drogie podarki. A więc: perły różowe, zdarte z odwiecznych szat uroczystych szernowskiej starszyzny dostojnej, kości przed setkami lat snadź w tajemniczym kraju rzezane i ozdoby z ciągnionego złota, do kwiatów przedziwnych podobne.

Ihezal przyjmowała podarki w milczeniu — z dziwnym jeno, prawie błędnym uśmiechem na ustach, a kiedy ręce miała już pełne wszelkich rzeczy drogocennych, zdało się posłom, że zły blask nagle w oczach jej zaświecił, podobny do błyśnięcia krótkiej stali, znienacka w pierś uderzającej. Ale rychło przywarła powieki i uśmiechając się miłościwie a kusząco, mówić jęła do posłów zdumionych:

— Zaliście mi nie przywieźli rzeczy najcenniejszej, która droższa jest o wiele od tych pereł różowych, po posadzce się oto z dźwiękiem toczących, jako że ręce moje są zanadto pełne?

Aza[255] nie wziął kto z sobą dla mnie rzeczy najczerwieńszej i jak dzwon po kraju szernów huczącej?

Czemużeście mi nie przywieźli podarku najkosztowniejszego, który żądam mieć?

Tak mówiła, nieprzytomna, zda się, od uniesienia tajemnego, a kiedy posłowie dopytywać się poczęli: co jest takiego, czego by pragnęła? a oni o tym łasce Zwycięzcy skwapliwie doniosą, dorzuciła jeszcze te słowa, zgoła niezrozumiałe:

— Serca jego bym chciała, krwawego, czerwonego serca!

Był zaś między posłami chłopak jeden nieletni, co sam się teraz Marka o powrót dopraszał, za rodziną rzekomo stęskniony. Ten od początku — jakby w zachwyceniu — patrzył w twarz Ihezal, a kiedy mówić skończyła, nagle wyjął zza pasa żelazo krótkie i niepohamowanym ciosem wraził je sobie w gardło. Krew z otwartej rany buchnęła strumieniem, a on upadł na posadzkę, bijąc nogami.

Zrobiło się zamieszanie. W zdumieniu niesłychanym skoczono mu na ratunek, ale on ruchem ręki wszystkich oddalał, poglądając jeno z gasnącym uśmiechem w twarz złotowłosej dziewczyny... Dopiero kiedy Ihezal, ciekawością wstręt na widok konania prze-

[254]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[255]*aza* (daw.) — azali; czy.

mógłszy, głowę pochyliła nad rannym, on, charcząc gardłem przebitym, szepnął z trudnością:

— Musiałem umrzeć, bom słowa twoje zrozumiał i zostawszy przy życiu, byłbym spełnił, czego żądałaś!

Więcej mówić nie zdołał. — Ihezal także już nie pytała. Odwróciła się z odrazą od konającego i wzruszając z lekka ramionami, odeszła w głąb z wyrazem niesmaku i politowania na ustach purpurowych.

Słowa jej własne i śmierć ta, która bezpośrednio po nich nastąpiła, wydały jej się czymś wstrętnym; miała teraz wrażenie, że nie ona sama, lecz duch jakiś zły z niej przemawiał, i oczy naszły jej łzami, a serce wezbrało nagle nieposkromioną miłością ku temu oddalonemu i jasnemu bogu... Garście pełne chłodnych, różowych pereł przycisnęła do łona i do lic rozpalonych, szepcąc w uniesieniu:

— Nie, nie, nie! Niechaj twe serce mocarne bije i grzmi, niech ja ginę raczej w próżnej tęsknocie! Pierwsza bym mordercę twego na męki srogie wydała, o ukochany!... i dobrze się stało, iż ten chłopak karę wymierzył sobie natychmiast, ośmieliwszy się pomyśleć to, com ja powiedziała!...

Jednocześnie zamajaczył jej jednak w oczach cień uwięzionego Awija: cztery oczy jego krwawe i skrzydła czarne, na gładzonej ścianie poniżej złotego Znaku Przyjścia szeroko rozpostarte. Uczuła nieprzemożoną bezwiedną żądzę spojrzenia w te oczy straszne i urokliwe, aby zobaczyć w nich pognębienie na widok darem przysłanych jej łupów...

Mechanicznie, nie myśląc prawie, co robi, zeszła po schodach w głąb i otwarła drzwi kaźni.

Awij wzniósł głowę. A ona, rozjarzywszy powoli i nie śpiesząc się zgoła wszystkie światła u stropu i po ścianach, bawić się poczęła w milczeniu różowymi perłami, przesypując je z dłoni do dłoni, aby blaski w nich grały tęczowe, i cieszyła się, że paznokcie jej palców podobny połysk mają i barwę. A potem nagle rzuciła kilka pereł na twarz potwora i zaśmiała się głośno, srebrzyście. Awij wtulił głowę w ramiona i śledził jej ruchy płonącymi oczyma. Ihezal zbliżyła się jeszcze więcej ku niemu.

— Czy poznajesz? — rzekła, pokazując mu ozdoby złote i kawałki tkanin przedziwnych, zza morza przez Zwycięzcę jej przysłanych.

Na ustach jej igrał uśmiech niewinny, prawie zalotny.

On poznał przesypywane przed oczyma swymi klejnoty — i na jedną chwilę czoło zaszło mu ciemnostalową, mętną barwą i zgasły krwawe źrenice, ruchliwymi powiekami nakryte. Wnet jednak rozwarł znów oczy i spojrzał bystro na dziewczynę.

— Czy poznajesz? — powtórzyła. — Oto dla igraszki przysłał mi podarki i świecidełka Zwycięzca wszystkomogący na znak, że przeszedł potężną stopą przez krainę szernów i poraził ich bronią piorunową! Zawojował miasta i wygładził ich mieszkańców! mury zburzył i okopy i wieżom kazał czołem do stóp swych uderzyć! Błogosławiony jest Zwycięzca, szernów pogromca, i błogosławiona gwiazda Ziemia, która go zesłała!

Coś jakby uśmiech zadrgało około rogowych warg potwora.

— Tak — rzekł po chwili — gruby człowiek, którego nazwaliście Zwycięzcą przedwcześnie, przeszedł przez kraj nasz i złupił miasta nasze, i mieszkańców ich pozabijał. Widzę w twych ręku klejnoty jasne, cząstkę skarbów nieprzebranych, któreśmy przez wieki zebrali, wtedy, gdy jeszcze ludzi nie było nawet na Ziemi, świecącej nam jasno, jak słońce ogniste i ruchliwe... Przeszedł wasz Zwycięzca nad morzem i przez kraj przeszedł nizinny, a oto stało się, czego ty mi nie mówisz, ale ja wiem: do gór przyszedł wyniosłych i stanął przed nimi bezradny! Nie pomoże broń piorunowa i słupy żelazne, ogniem bijące: stanął Zwycięzca sławiony przed wyniosłymi górami, kędy są miasta szernów na cyplach skał! we wnętrzu skał ogromnych! Pogląda w górę, jak pies, któremu ptak ścigany uciekł na gałąź wysokiego drzewa. Oto jest moc waszego Zwycięzcy, oto jest jego potęga! Skrzydła szernów szerokie wyniosą ich dziś, jako przed wiekami, na szczyty skał, do domów niedostępnych, kędy szydzić mogą z napastników i dumy ich nieposkromionej!

Zazgrzytał śmiechem złośliwym szern, żelazami do ściany przykuty, i wpatrzył się krwawymi ślepiami w dziewczynę, której ręce z wolna opadły wzdłuż bioder, sypiąc perły różowe na kamienną posadzkę więzienia.

— Czymże wy jesteście, istoty marne i niedoskonałe? — zaczął znów po chwili — czymże wy wobec nas jesteście? Chwalicie się swoim rozumem, a zdziałaliście mało co

więcej od psów, które w podobny sposób, jak wy, na Księżycu się rozmnażać umieją! Przybył do was człowiek z Ziemi i opowiada o urządzeniach, sztukach i wynalazkach, które tam mają...

— Przeszliśmy już dawno przez to wszystko, my, szernowie, i już nawet zapomnieć zdążyli, doszedłszy do tej mądrości dojrzałej, że trzeba tylko żyć i innym kazać pracować za siebie! Idź! powiedz swojemu Zwycięzcy, niech pójdzie na *Wielką Pustynię* i przeszuka gruzy miast, w pył się tam rozlatujące — a dowie się, o czym myśmy wiedzieli przed wiekami, kiedy jeszcze życia na Ziemi nie było! Niech sobie przypnie skrzydła i niech zdobędzie za morzem miasto nasze największe, na skałach wysokich — niech się nauczy czytać księgę tam ukrytą, a barwami tylko pisaną — i przekona się, jak znaliśmy Ziemię, gdy ona o nas nawet nie śniła — i jaki ciężar wiedzy odrzuciliśmy już z dawna jako rzecz niepotrzebną! To wszystko, czym wy usiłujecie nas pokonać, to, czym się dzisiaj na Ziemi chełpicie, co sobie macie za rzecz najcenniejszą i wam tylko właściwą!

Dziewczyna słuchała tego potoku chrapliwych słów w dziwnym oszołomieniu, nie śmiejąc nawet oczu oderwać od postaci szerna, który wydał jej się nagle nie tylko straszną, ale zarazem i wyższą jakąś istotą... On snadź to zauważył, bo oczy błysnęły mu dumą nieposkromioną, zgoła nieprzystojną dla jeńca, i mówić znów począł szyderczo:

— I cóż z chwilowej przewagi waszego Zwycięzcy? Jeśli nie powróci na Ziemię, to zdechnie tutaj, a wy — mimo broń piorunową — służyć nam będziecie po staremu!

Urwał nagle i wpił urokliwe oczy w twarz mieniącą się[256] dziewczyny.

— Służyć nam będzie plemię człowiecze — rzekł — z wyjątkiem tej, która zechce zostać panią i pójdzie za szernem dobrowolnie w miasto cudowne, na górach zbudowane, aby tam z nim królować i mieć morców od psów posłuszniejszych i ludzi do usług jeńcami pobranych — i skarby nieprzebrane, od gwiazd ciemną nocą wyiskrzonych jaśniejsze! Królować będzie ludzka kobieta, przez szerna wybrana — królować będzie od chwili, kiedy pozna i zrozumie, że nie ma zła ani dobra, które ludzie słabi wymyślili, nie masz słuszności ani krzywdy, zasługi ani nagrody, kary ani grzechu, jeno moc jest jedna, w najwyższym tworze świata, w szernie wszystkomyślącym zawarta!

Oniemiała, przerażona Ihezal wysiłkiem słabnącej woli wstecz się cofała, drżąc na całym ciele w dziwnym, niepojętym dla siebie samej uczuciu...

— Pójdź! — zawołał Awij.

Krzyknęła głośno i ku drzwiom się rzuciła. Na schodach upadła wyczerpana, wybuchając spazmatycznym płaczem.

Kiedy przyszła wreszcie do siebie, posłyszała liczne głosy ludzi, wypełniających świątynię. Ulgę jej to sprawiło, że nie jest sama, i uniósłszy się, pobiegła z radością niemal zmieszać się z tłumem.

Na kazalnicy, pustej od dawna, stał znowu arcykapłan Elem i opowiadał zgromadzonym słowa poselstwa od zwycięskich wojowników zza morza przyniesione. Sławił moc i odwagę człowieczego plemienia, sławił jedyne jego wywyższenie nad wszystkie twory świata, prawiąc zarazem o zwierzęcej ciemności i dzikości na zagładę skazanych szernów... Głos jego niezbyt donośny, ale przenikliwy, brzmiał ostro pomiędzy filarami świątyni, wywołując czasem silniejszym słowem dzwoniące gdzieś pod kopułą echo.

Prawił tak długo, aż wreszcie zakończył hymnem na cześć przez wieki oczekiwanego Zwycięzcy, który przybył z Ziemi, a kiedy spełni swe dzieło, na Ziemię znowu powróci. Gdy przestał mówić, zrobiła się cisza chwilowa — i wtedy zabrzmiał nagle głos od wejścia świątyni:

— Nieprawda! nieprawda! Zwycięzca nie przybył!

Wszystkie twarze zwróciły się w tamtą stronę. Na szerokiej podstawie filaru, plecami do niego przyparty, stał starzec w dawnym habicie Braci Wyczekujących, z głową ogoloną i płonącymi oczyma. Suchą rękę wzniósł nad głowy ludu i trzęsąc nią w powietrzu, krzyczał w zapamiętaniu:

— Nieprawda! Kłamie Elem, zdrajca i pohańbiciel Zakonu! Zwycięzca nie przybył na Księżyc! to ja mówię, ostatni i jedyny już Brat Wyczekujący! Tamten jest fałszerz! Nie wstali umarli! nie wstali umarli!

---

[256] *mieniący się* — tu: zmieniający się; zmieniający wygląd (wyraz twarzy).

Wszczął się ruch i zamieszanie. Wielu słuchało ze zgrozą słów starca, jakby odzywającego się głosu proroka, ale inni rzucili się ku niemu z nienawistnymi okrzykami, aby go ściągnąć i za drzwi świątyni wyrzucić. Skoczyli mu jednak na ratunek dziwni przybysze z okolic *Przesmyka*: rybacy półdzicy i do wszelkich trudów zaprawieni. Wywijali mocnymi pięściami, krzycząc:

— Prawda jest u proroka Chomy! Precz z Elemem! precz z fałszywym Zwycięzcą!

Wytworzyła się bójka u drzwi, w której nieliczni rybacy mimo rozpaczliwą obronę musieli ulec, pokrwawieni i razem ze starym Chomą za próg wyrzuceni. Na placu jednak otoczyli zakonnika zwartym kołem, a on, na barkach ich wzniesiony, mówić znów począł:

— Przekleństwo Księżycowi dla fałszu i obłudy! Oto Zakon świętej dziewicy Ady podeptany jest nogami, a ciało jej na proch spalone! Obrabowana świątynia i splugawiona zamkniętym szernem w miejscu, kędy Słowo było przechowywane! Biada, biada Księżycowi dla grzechu i zgorszenia! Nieprzyjaciel zesłał fałszywego Zwycięzcę, który lud uwiódł, aby więcej już nie czekał! Mimo bojów, o których słyszycie, nie spełni on wybawienia — i przyjdzie gorsza niedola! gorsze zło i pohańbienie!

Ludzie z przerażeniem go słuchali, w tejże jednak chwili załomotał po bruku miarowy krok oddziału zbrojnych, przez arcykapłana wysłanych. Idąc zwartą kolumną, przez Zwycięzcę wyćwiczeni, rozłamali w mgnieniu oka tłum, otaczając odłączonego od obrońców swych Chomę jakby żelaznym pierścieniem. Chciano go jeszcze odbijać, ale on sam dał znak zwolennikom, aby męczeństwu jego nie przeszkadzali. Tedy zbrojni ujęli suche ręce jego w kute łańcuchy i mając się przed napadem na baczności, powiedli więźnia ku przedsionkom nowego arcykapłańskiego pałacu.

On sam, arcykapłan Elem, siedział już wewnątrz, krytym gankiem niedawno wzniesionym ze świątyni przeszedłszy — i rozmawiał z Sewinem. Zausznik stał przed nim pokorny i zastraszony na pozór gniewem zwierzchnika, ale chytre oczy jego zwracały się często porozumiewawczo na wzburzonego arcykapłana, zdając się więcej mówić niż usta.

— Dlaczego nie spełniono, czego chciałem? — wołał Elem — czemu pozwolono przyjść Chomie tutaj?...

Sewin skłonił nisko głowę.

— Wasza Wysokość ma niewątpliwie słuszność i wydaje zawsze mądre rozkazy, ale spełnić je w tym wypadku było trudno, zwłaszcza że Wasza Wysokość nie dozwoliła Chomy aresztować...

— Było tysiąc innych sposobów, aby go zatrzymać!

— Zapewne. Toteż moja wina, jako przełożonego policji Waszej Wysokości, żem nie umiał wśród tego tysiąca znaleźć ani jednego skutecznego... Zresztą dłuższe pozostawanie szaleńca pośród rybaków, na jednym miejscu, groziło poważnym niebezpieczeństwem. Wyznawcy jego wzmacniali się i łączyli, mógł powstać wrzód na organizmie naszego państwowego ustroju. Dozwoliliśmy mu więc przenosić się z miejsca na miejsce i wszędzie rzucać ziarno raczej, niżby miał oczekiwać żniwa w jednym miejscu. Teraz zależy wszystko od woli Waszej Wysokości. Możemy rzadki zasiew kiełkujący stłumić albo też wedle okoliczności pozwolić mu wzróść, jak Wasza Wysokość uzna za stosowne... Choma spełnił swoje i jest dziś ujęty. Przyznam się nawet, żem mu naumyślnie pozwolił dzisiaj dostać się do świątyni, właśnie dzisiaj, kiedy w doszłych nas z kraju szernów wiadomościach mamy przeciwwagę dla bluźnierstw obłąkańca...

Elem zamyślił się. Siedział przez chwilę nieruchomy, gładząc białymi dłońmi długą czarną brodę, i patrzył na Sewina — bez gniewu już, owszem, nawet z pewnym podziwem. Naczelnik policji oczy miał spuszczone, około ust błąkał mu się niewyraźny uśmiech.

— Niech go tutaj sprowadzą — rzekł nagle Elem. — Chcę z nim mówić sam.

Sewin skłonił się i wyszedł, a po chwili dwóch żołnierzy przywiodło do sali starca z okutymi rękoma. Arcykapłan dał im znak, aby się cofnęli, pozostawiając go sam na sam z uwięzionym.

Choma stał ze zmarszczonymi brwiami i wzniesioną głową, oczekując z pewnym ukontentowaniem męczeństwa, które sobie był przepowiedział z dawna. Zdziwił się tedy niepomiernie, gdy zobaczył, że arcykapłan przyjaźnie zbliża się ku niemu i zgoła niegroźnym, owszem, poufałym ruchem kładzie mu dłoń na ramieniu. Cień przykrego zawodu przemknął po jego strupieszałej twarzy — zaraz jednak pomyślał sobie, że pewno słowa jego wzruszyły zatwardziałe serce arcykapłańskie i że to chwila odpowiednia, aby on je

swoją wymową zmiękczył do reszty. Wzniósł tedy natchnionym ruchem okute dłonie i począł proroczyć[257].

— Nieszczęścia spadną na Księżyc, jakich jeszcze dotychczas nie było! Szernowie skażą wszystkie niewiasty ludzkie, a potem wyschnie wielkie morze i pola przestaną rodzić. Będą umierali wszyscy po kolei, przeto iż nie czekali na prawdziwego Zwycięzcę, wskrzesiciela martwych, lecz obałamucić się dali samozwańcowi! Pustynia głodna wyjdzie z granic swoich i pochłonie kraj, gdzie ludzie mieszkali, aby nie zostało nawet śladu po grzesznikach!

Mówił długo, wymyślając coraz to nowe a straszniejsze klątwy i groźby, aż zamilkł w końcu zmęczony, gdy już sądził, że wzruszył dostatecznie serce arcykapłana. Dziwno mu tylko było, że Elem nie pada na kolana i nie kaja się przed nim. Wszakże rybacy jego po wysłuchaniu czwartej części słów tak groźnych dawno bili już o ziemię twarzami, wyprzysięgając się grzechów nie tylko popełnionych, ale takich nawet, o których im się dotychczas nie śniło.

Elem spokojnie i z uwagą, choć z dziwnym uśmieszkiem na ustach, wysłuchał słów proroka — zdawało się, że ceni w myśli ich znaczenie i doniosłość; przy każdym szczęśliwszym i bardziej piorunującym zwrocie kiwał głową z uznaniem, robiąc natomiast niechętny ruch, kiedy się prorok powtarzał lub nudnym się stawał. W końcu uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Nieźle, nieźle! — rzekł, klepiąc Chomę po ramieniu. — Nie myślałem nawet tam, w *Kraju Biegunowym*, że jesteś takim mówcą, chciałem rzec: prorokiem!

Chomie zachowanie arcykapłana wydało się trochę nieprzystojnym[258], nie chcąc jednak zrażać na wstępie tej nakłaniającej się ku niemu duszy, nie odrzekł ani słowa i ważył jeno w myśli, jaką by dalej wieść drogą dzieło nawrócenia.

Elem tymczasem usiadł i kazał mu zbliżyć się ku sobie. Prorok mimo woli przez dawne, wpojone latami posłuszeństwo wobec przełożonego podszedł ku niemu skwapliwie i gotów mu już prawie był oddać pokłon czołobitny, gdyby sobie nie był dość wcześnie przypomniał o zmienionej swej roli obecnie. Nie miał jednak czasu na dalsze rozważania, gdyż arcykapłan zagadnął znienacka:

— Ale powiedz mi, jakie ty masz dane, że przybyły z Ziemi Zwycięzca nie jest Zwycięzcą rzeczywistym? Tylko nie prorokuj już w tej chwili, lecz mów jasno i w porządku.

Choma wyciągnął ręce, ile mu na to kajdany pozwalały, i zaczął liczyć na palcach.

— Przede wszystkim nie powstali umarli, aby go witać, jak napisano. Po wtóre: dzień się nie zrobił wieczny, lecz noc po staremu zapada, wbrew słowom proroków dawniejszych. Po trzecie: nie rozwarło się *Morze*, aby mu do kraju szernów drogę utorować. Po czwarte: nie zwycięża szernów sam, lecz ludziom bić się z nimi każe. Po piąte... nie powstali umarli...

— To już było! — zawołał Elem — wymyśl jeszcze co nowego!

Choma zgniewał się i wpadł znowu w zapał prorocki, zwłaszcza że łatwiejszy on był od żmudnego wyliczania. Teraz jednak arcykapłan nie chciał go już słuchać tak cierpliwie, jak poprzednio. Owszem, przerwał mu potok dreszczem wstrząsających słów dosyć brutalnie i wezwał żołnierzy, aby go odprowadzili do więzienia.

— A wymyśl co lepszego, na wszelki przypadek! — zawołał za nim jeszcze.

Po czym żołnierze wywlekli proroka z izby, począł im się bowiem opierać, nie dlatego wprawdzie, aby pragnął tu dłużej pozostać, ale dla samej zasady, przeczuwając, że się zaczyna jego męczeństwo. Zdumiony też był znowu niemało, kiedy go wprowadzono do suchej i widnej celi i dano wszelkie skromne wygody, których zdrowie jego i wiek potrzebowały. Rozejrzawszy się po nowym swym mieszkaniu, pokręcił głową z podziwem i zapytał z pewnym onieśmieleniem strażnika przez okienko w drzwiach: kiedy będzie ukamienowany? Strażnik roześmiał się tylko szeroko i poradził mu, aby zjadł kawałek chleba, który ma na stole, bo pewnie jest głodny. Choma tedy z przyzwyczajenia zaczął go nawracać, namawiając, aby się odprzysiągł fałszywego Zwycięzcy, ale strażnik był śpiący i niewiele przeto słowom jego dostępny. Jakoż ziewnął wkrótce i zasnął właśnie

[257]*proroczyć* — dziś: prorokować.
[258]*wydało się (...) nieprzystojnym* — dziś: wydało się nieprzystojne.

w chwili, kiedy starzec był w połowie swoich przepowiedni o nieuchronnym i straszliwym księżycowego świata zniszczeniu.

Przed pałacem tymczasem na placu stał Sewin i mówił do ludu, wzburzonego z przedziwną tłumu logiką zarówno występem Chomy, jak i jego uwięzieniem... Tłum

Zausznika arcykapłańskiego powitano krzykiem i gradem obelg; on jednak przeczekał ten wybuch spokojnie i z zastygłym uśmiechem na chudej twarzy, a gdy się na mgnienie oka cisza zrobiła, skorzystał z niej natychmiast, aby zawołać:

— Jego Wysokość arcykapłan Elem przysyła mnie, aby się o waszej woli względem ujętego starca dowiedzieć!...

Te słowa dziwne sprawiły wrażenie. Lud przyzwyczajony był zawsze dowiadywać się o woli arcykapłanów i wtedy nie wahał się nigdy, co ma czynić: jeśli był w dobrym humorze, słuchał, jeśli w złym, oponował głośno i krzykliwie. Ale pytanie Sewina zmieszało tłum najzupełniej. Chciano dzisiaj Elemowi robić na przekór, a nie wiedziano, jakie są jego zamiary. Nawet z postawy jego żołnierzy nie można tego było wywnioskować: siedzieli spokojnie z odłożoną bronią na stopniach pałacu i rozmawiali z sobą, przeciągając się w słońcu...

Krzyki ustały, zaczęły się natomiast w mniejszych kółkach zwady pomiędzy tłumem. Sewin i ten okres przeczekał spokojnie, a w końcu odezwał się, mimo że tłum zgoła woli swej nie objawił:

— Jego Wysokość cieszyć się będzie, że wola jego zgadza się najzupełniej z waszą. Istotnie postanowił on to, czego wy się domagacie: wybadać Chomę, który tymczasem wygodne ma w pałacu pomieszczenie, a następnie oddać go wam, abyście z nim wedle sądu swego postąpili...

Tłum rozszedł się, wychwalając Elema.

Pod koniec tego długiego dnia Ihezal odwiedziła znowu Malahudę. Gdy mu opowiedziała wszystko, co się wydarzyło, starzec zadumał się posępnie.

— Nie powinienem był dopuścić — rzekł po pewnym czasie — aby Elem wziął kołpak arcykapłański. Stał się błąd.

Ale na uwagę dziewczyny, że można to jeszcze naprawić, że dość mu się pokazać wśród tłumu, aby go z powrotem jako pana powitano, potrząsł głową przecząco.

— Mówiłem ci już raz — rzekł — i teraz powtarzam: za późno! Obecnie zjawiając się, wzmógłbym tylko zamieszanie. Tu muszę czekać, w ukryciu.

Ihezal nie nalegała. W ogóle dziwna była tego dnia: oczy jej patrzyły w świat jakby spoza mgły jakiej, usta miała pobladłe i drżące...

Kiedy przed zapadającym wieczorem wracała przez chłodne morze, twarzą ku złotemu, zachodzącemu słońcu zwrócona, lica jej kwitły niezdrowym rumieńcem, przez cienką białą skórę gdzieś od wnętrza przeświecającym — i czarne oczy, sino podkrążone, głębszymi się jeszcze wydawały niźli zazwyczaj.

Przybijając do brzegu posłyszała gwar tłumu, zgromadzonego jeszcze na placach i przed domami: klątwy, nawoływania, śpiewy, kłótnie i targi, całą ruchliwą i zgiełku pełną małość dnia dzisiejszego — i wargi ściągnęły jej się nagle niepohamowanym obrzydzeniem. Przymknęła oczy, starając się wywołać przed nie postać Zwycięzcy świetlaną, ale wbrew natężonej woli pod zwartymi powiekami zamajaczył jeno szerokoskrzydły, czarny cień szerna Awija, czterema krwawo płonącymi źrenicami w nią wpatrzony.

V

Stało się rzeczywiście, jak szern Awij przepowiedział.

Kraj nizinny pomiędzy brzegiem *Wielkiego Morza* a górami, wznoszącymi się już w pobliżu południowego bieguna, zawojował Zwycięzca zupełnie. Miast zburzył trzydzieści kilka i wytracił szernów tak na tym obszarze, iż śladu po nich nawet nie zostało. Czternaście długich dni księżycowych minęło od chwili, kiedy zdobywcy wylądowali na tajemniczym brzegu, i dotychczas szczęście wojenne szło za nimi bez ustanku i odmiany. Ale dnia czternastego, po upływie roku z górą — licząc po ziemsku — trudów i walk nieprzerwanych, znaleźli się z dala od morza, w kraju górzystym i niedostępnym.

Słońce szło tu już we dnie nisko, poza ich plecami połogi[259] łuk po niebie zakreślając, i długo w noc płonęła zorza wieczorna, świadcząca, że gwiazda dnia pełzła niegłęboko pod widnokręgiem schowana. Minięto już strefę burz południowych; dni były mniej upalne, a w nocy mróz nie tak silnie dokuczał.

Ogromne góry pierścienne wznosiły się przed nimi, jakoby twierdze. Ponad nieprzebytym pasem lasów i zarośli, podnóża gór pokrywających, błyszczały w słońcu strome łąki zielone, głębokimi poryte żlebami... A wyżej był już tylko głaz lity, w turnie i krzesanice poszarpany i lśniącą koroną lodową z góry nakryty...

Obok tych pierścieni olbrzymich wznosiły się i inne, niskie a rozległe, z obłego, lasem porosłego wału utworzone...

Na wąskich, zielonych dolinach między pierścieniami nie można było znaleźć żywej duszy. Tu i owdzie napotykano jedynie domostwa opuszczone i rozmyślnie zburzone; zwaliska te jednak wyglądały niepokaźnie — snadź[260] były to tylko szałasy pasterskie, które rzucono pośpiesznie i zniszczono bez żalu, uchodząc przed nadciągającym nieprzyjacielem.

Ale dokąd schronili się szernowie? Marek mimo woli zwrócił oczy na te potężne i przyrodzone twierdze kamienne, którymi kraj cały pokryty był ku południowi, jak okiem zasięgnąć. Góry piętrzyły się za górami, szańce olbrzymie, groźne i niezdobyte. Zrozumiał Zwycięzca, że tutaj wyprawa jego niszczycielska musi się zakończyć — że odtąd jedynym dla niego zadaniem może być: nękać szernów tak w ich niedostępnych warowniach, aby wreszcie sami zażądali pokoju...

Zmarszczył brwi i usiadł na głazie, patrząc w dziwny kraj przed sobą... Pokój z szernami! — Pokój z szernami! — Wiedział, że równa się on klęsce, gdyż żadnej nie przyniesie korzyści ani też niczego ludziom nie zapewni... Kiedy stąd odejdzie, szernowie znowu wzrosną w moc i poczną znów lud niepokoić, nie dbając o przyrzeczenia i obietnice, jakie by od nich wymóc zdołał. Przez pewien czas będzie ich jeszcze powstrzymywała pamięć straszliwej klęski na równinach i groza imienia Zwycięzcy, ale potem? potem? Czy nie zechcą się owszem mścić tym srożej, aby powetować pogrom niespodziewany?

Dając ludziom broń palną, Marek pozostawił sobie tajemnicę wyrobu materiału wybuchowego — w tej myśli, że wracając na Ziemię po doszczętnym wytraceniu szernów, zabierze ją z sobą, aby nie dać ludziom możności używania tej broni straszliwej w celach walk bratobójczych...

Ale teraz widzi, że szernów zupełnie wygładzić nie zdoła. Więc co? Trzeba będzie dać ludziom i na przyszłość skuteczną obronę w ręce, trzeba ich będzie nauczyć wytwarzać środki wybuchowe i odszedłszy stąd, myśleć, jakie zgubne skutki może ta wiedza przynieść dla globu srebrnego...

Pełen troski pojrzał za siebie, na rozległe równiny przebyte — ciągnące się aż hen ku dalekiemu morzu, nad którym wlokło się słońce, nisko nad horyzontem zwieszone. Opuścić ten kraj zdobyty znaczyło to samo, co dać możność szernom zajęcia go na nowo i nowego wzrośnięcia w siły na tych żyznych łanach, które snadź od wieków były ich śpichrzem... Cała wyprawa wtedy była na próżno podjęta i lepiej jej było zgoła nie zaczynać... A sprowadzić tutaj ludzi zza morza? rozdzielić między nich te pola? pomóc im pobudować domy i osady?

Wszakże kiedy on, Zwycięzca, stąd odejdzie, oni będą w takim razie pierwsi ofiarą mściwych szernów! Na wieki wieków trzeba by tych osadników skazać na życie wojenne, z dłonią przyrosłą do broni, z oczyma czujnymi, które by wciąż śledzić musiały, zali[261] od gór niedostępnych nie spada na nich nawała wrogów. I kto wie, czy mimo to wszystko jeszcze oprzeć by się zdołali, morzem od dalekich współbraci odcięci, zdani jedynie na własne siły w najbliższym szernów sąsiedztwie? Któż to wie, czy mężowie, tutaj osiedleni, nie staliby się z czasem niewolnikami szernów? czyby kobiety ich nie były zmuszone rodzić morców na nowe i wieczyste już rodu ludzkiego pohańbienie? Ludzie, mieszkający w dawnych miastach, za morzem, zamiast braci swoich wspomagać, gardzić by nimi jęli z czasem, jako istotami nieczystymi, wrogo stając przeciwko tym, którzy mieli być przedmurzem, ród ludzki od szernów chroniącym.

---

[259] *połogi* — pochyły, nisko pochylony.
[260] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[261] *zali* (daw.) — czy.

I to byłoby błogosławieństwo, które oczekiwany Zwycięzca przywiódł na świat księżycowy! to byłby czyn, za który przyszłe pokolenia święcić mają jego imię!

Zerwał się Marek i spojrzał na piętrzące się przed nim góry. Nie! tutaj się zatrzymywać nie można! Raz rozpoczętą grę trzeba doprowadzić do końca: zwyciężyć ostatecznie albo też paść — nie ma innego wyboru!

Wezwał Jereta i Nuzara. Gdy przyszli, aby rozkazów jego wysłuchać, on zwrócił się przede wszystkim do morca z zapytaniem:

— Gdzie są szernowie?

Nuzar wzniósł na niego oczy zdziwione, nie wierząc, czy Zwycięzca pyta się, chcąc istotnie zasięgnąć wiadomości, czy też tylko, aby jego wybadać.

Ociągając się, wskazał ręką w stronę gór.

— Tam...

— Gdzie?

— Tam, wewnątrz.

— Wewnątrz? poza tymi pierściennymi łańcuchami skał?

— Tak.

— Czy byłeś tam?

Nuzar potrząsnął głową z przeczeniem.

— Nie. Oni tam morców nie dopuszczają. A zresztą...

— Co?

— Aby tam się dostać, trzeba mieć skrzydła, jak oni, szernowie. Skały są niedostępne.

Zwycięzca zamyślił się. Wtedy morzec, upewniwszy się szybkim spojrzeniem, że Jeret, odwrócony, nie słucha, wspiął się na głaz i szepnął Markowi:

— Czy to już nie czas, panie... zdradzić? Szernowie się już schronili; moglibyśmy teraz zacząć polować na ludzi?

Marek, nie odpowiadając nawet, oddalił go skinieniem ręki. A potem spojrzał na Jereta.

— Cóż?

Jeret wzruszył niepewny ramionami.

— Trzeba mieć skrzydła...

Mówiąc to, patrzył w twarz Markowi. A on milczał przez czas niejaki, jeno brwi mu się nad oczyma powoli w jeden twardy łuk ściągały, aż wyrzekł wreszcie stanowczo:

— Więc będziemy mieli skrzydła. Wola nasza skrzydłami nam będzie.

Jeretowi twarz się rozjaśniła. Szybkim ruchem pochylił się do stóp Markowych.

— Tyś jest naprawdę zesłany na ten świat Zwycięzca!

Za mało[262] składano już rozbite namioty i gotowano się do dalszej wyprawy. Marek rozumiał, że przede wszystkim musi okazać szernom moc swą nieodpartą, zaczepiając ich i gromiąc tam, gdzie czuli się zupełnie bezpiecznymi. W tych górach pierścienniych były bez wątpienia ich miasta ukryte; ale który z tych niezliczonych wałów skalnych warto było przebywać? Czy wszędzie szernowie mieszkają? Jeżeli po trudach niesłychanych po to tylko na zlodowaciałą grań się z wojownikami wydostanie, aby ujrzeć przed sobą pustą kotlinę?

Pytani morcy, których Nuzar ongi pobrał, nie umieli dać pewnego objaśnienia. Nie byli z tych stron i podawali sprzeczne i chaotyczne wskazówki... Wnioskowanie również nie prowadziło do niczego. Jeśliby szernowie w tym kraju byli dawniej niepokojeni, pobudowaliby byli miasta swe wśród pierścieni górskich co najniedostępniejszych, ale jeśli pokój tu zawsze mieli i kryć się przed żadnym wrogiem nie potrzebowali, cóż by ich zmuszało do wybrania miejsc obronnych i trudnych? czyż nie usadowiliby się raczej od wieków wśród tych połogich, lasem porosłych wałów? Z drugiej jednak strony mogli teraz, opuściwszy dawne siedziby, uciec właśnie przed najazdem w góry, dające im pewne i bezpieczne schronienie.

Na wszelki sposób uczuł Marek, że stoi wobec problemu, który samym myśleniem nie da się rozwiązać. Trzeba będzie próbować, szukać, zdobywać. Z tą też myślą niewesołą ruszył w stronę bieguna południowego, pozostawiając na razie przypadkowi dalszy wybór drogi.

---

[262] *za mało* — tu: niedługo, wkrótce.

W ciągu dnia jeszcze obeszli rozległy, lesisty wał jednego z niższych pierścieni górskich i przed zachodem słońca stanęli w miejscu, gdzie wał przerwany jakoby bramą szeroką do poziomu opadał, otwierając wygodną drogę do wnętrza. Kotlina to była olbrzymia, w stosunku do otaczającego ją lądu nieco wgłębiona, a na niej z rzadka rozsiane kopce niełączących się z sobą pagórków i stawów kilka cichych i zamarłych.

Noc długą, ale niezbyt już mroźną, przepędzono u wejścia owego, mając się na ciągłej baczności przed napadem szernów. Ale szernowie się nie zjawili. Więc z pierwszym brzaskiem dnia, zaledwie świt szary kontury gór począł na gwiaździstym jeszcze niebie rysować, pchnął Zwycięzca swoje szeregi we wnętrze kotliny.

Przeszli ją wszerz i wzdłuż, badając każdą wyniosłość gruntu, każdy załom nielicznych pagórków. Znaleziono jednak tylko osady opuszczone, jak tam — w kraju odkrytym, pola niedawno jeszcze uprawne i ślady pośpiesznej ucieczki... Szerna nie spotkano ani jednego.

Nie ulegało już teraz wątpliwości, że mieszkańcy schronili się w okolice niedostępne i tam gotują się do obrony. Spojrzenie Marka zwróciło się mimo woli na olbrzymi, turniami zjeżony pierścień, wprost naprzeciw owej bramy otwartej na południu się wznoszący. Kilkadziesiąt kilometrów dzieliło szczupły zastęp zdobywców od tej niezdobytej zaiste twierdzy, co lśniła przed nimi lodami szczytów w jasnym słońcu porannym.

Zwycięzca wzniósł rękę i wskazał zawieszoną pod niebem grań Jeretowi.

— Tam was powiodę.

Młodzieniec skłonił głowę na znak posłuszeństwa.

— Pójdziemy za tobą wszędzie — rzekł.

Zaczęła się tedy mozolna wyprawa. Od północnej strony ściany, ponad lasami widoczne, wydały się Markowi tak niedostępnymi, że postanowił raczej ze stratą czasu pierścień okrążyć, szukając jakiej przełęczy, którą by łatwiej można dostać się do wnętrza. Ale im dalej się posuwano, tym silniej występowało u Marka wrażenie, że idzie razem ze swymi ludźmi wzdłuż muru okolnego[263] twierdzy wprost niezdobytej. Obawiał się przy tym zasadzki i nie śmiał się w głąb lasów zapuszczać, aby z bliższa poszukać możliwego do przebycia miejsca.

Na Ziemi drugi już tydzień upływał, odkąd tak zaczęli krążyć około olbrzymiego „krateru", i zbliżyło się księżycowe południe, kiedy natrafili na stok z lasów ogołocony i mniej, jak się zdawało, bystry[264]. Tędy powiódł Zwycięzca swoich wojowników.

Doszedłszy do pewnej wysokości — po łąkach zrazu bujnych, a następnie coraz skąpiej zielem porosłych, przez które nierzadko kamienny calec[265] wydobywał się na wierzch twardymi łysinami — przedzierali się potem w górę przez pola ogromne, grubym piargiem zasłane, skacząc z kamienia na kamień w ciągłym i mozolnym trudzie... Ze śniegów, szczyt pierścienia wieńczących, spływające potoki ginęły tutaj bez śladu wśród głazów, tak że pragnienie coraz dotkliwsze nękało wstępujących ludzi. Padali już prawie ze znużenia, ale żaden nie śmiał nawet zażądać odpoczynku: wszystkie oczy patrzyły jeno na Zwycięzcę, kroczącego na czele gromady — dopóki on szedł, nikt się zatrzymać nie chciał.

Marek zarządzał częste postoje, ale bawił na nich krótko, chcąc się co rychlej wydostać nad piargi, gdzie by mógł znaleźć cieknącą po skale wodę. Lecz pola, okruchem skalnym zasypane, przeciągać się zdawały w nieskończoność... Po usypisku z głazów ogromnych jak domy, między którymi były tak wielkie szczeliny, że jeno dzięki małej wadze ciał na Księżycu wojownicy przesadzać je zdołali, przyszła kolej na piargi jeszcze uciążliwsze, drobne i ruchome, które usuwały się za każdym krokiem spod nóg, ciągnąc ludzi wstecz za sobą. Wzięto się tedy nieco w bok ku sterczącej grzędzie kamiennej.

Popękana była i niepewna przez mnóstwo luźnych głazów ruchomych, zwodniczo w calec wciśniętych. Nogi tu już nie wystarczały; trzeba się było uciekać do pomocy rąk.

W pewnej chwili zdawało się idącym na przedzie, że widzą szernów w pobliżu, ale wnet pokazało się, że była to tylko złuda. Zwierz jakiś górski przemknął między kamieniami i przepadł z oczu... Gorączkowe zwidzenia poczęły nachodzić ludzi, wyczerpanych pragnieniem i trudem. Sił ubywało.

---

[263] *okolny* — dziś: dookolny; okalający.
[264] *bystry* — tu: stromy.
[265] *calec* — tu: odosobniona, naga skała.

W jednym miejscu, gdzie trzeba się było na drugą stronę grzędy przerzucić, aby ominąć gładkie krzesanice, jeden z żołnierzy zatoczył się i runął w przepaść. Idący za nim stanęli nagle. Niektórym poczęły drżeć nogi, a palce rąk, kurczowo w szczeliny kamienia wciśnięte, zwierały się coraz mocniej, tracąc już czucie. Poczęto się oglądać za siebie i przysiadać, ile miejsce na to pozwalało. Nastała chwila przygnębiającego milczenia, naraz ktoś jęknął, w innej stronie odpowiedziało mu westchnienie spazmatyczne... Dał się słyszeć łoskot drugiego ciała spadającego. Tym razem żołnierz jakiś skoczył sam w przepaść, głową w dół, z rozłożonymi rękoma...

Chwila jeszcze...

Wtem na przodzie, wśród garstki z kilku śmielszych i zręczniejszych złożonej, którzy nie spostrzegli upadku dwóch towarzyszów, pnąc się całym wysiłkiem w górę, rozległ się zbawczy okrzyk:

— Woda! woda!

Zapomniano o wszystkim — rzucono się naprzód w szalonym pośpiechu. Ludzie, przed chwilą już ubezwładnieni, pięli się teraz z niepojętą zręcznością po zębatej i stromej grani — osłabli nowych sił skądeś dobywali. Zaczęto wykrzykiwać radośnie i prześcigać się wzajemnie.

Grzęda kończyła się tutaj tępo, przyparta do szerokiej i obszernej półki, w wielkiej części trawą porosłej i przerżniętej głębokim żlebikiem, na którego dnie szemrał potok, w piargach poniżej ginący.

Marek patrzył, jak ludzie cisną się, chwytając wodę rękoma, ustami, w czapki i blaszanki — jak kto mógł i zdołał. Napad szernów w tej chwili mógłby być zgubny po prostu, ale na szczęście żadnej żywej duszy nie było naokół... Mimo to zrozumiał Zwycięzca, że w ten sposób dalej posuwać się nie może, jeżeli nie chce stracić ludzi tych i siebie. Toteż kiedy ugaszono pierwsze pragnienie, nakazał rozłożyć się wojownikom na spoczynek, a sam, dobrawszy sobie kilku co najśmielszych ludzi i morca Nuzara do towarzystwa, ruszył w górę, ażeby wyszukać najlepsze przejście na grań — a nadto, stanąwszy tam, przekonać się, czy wwodzić na nią żołnierzy warto, to jest, czy we wnętrzu pierścienia kryje się istotnie osada szernów...

Chciał i Jeret iść z nim razem, ale on kazał mu zostać z wojskiem i baczyć, aby ich z nagła nie napadnięto.

Wchodzenie wzwyż było istotnie nader mozolne. Marek, myśląc ciągle, że trzeba mu się będzie tędy przedzierać całą gromadą zbrojnych i objuczonych ludzi, wyszukiwał i wybierał przejścia co najłatwiejsze, co pociągało za sobą znaczną stratę czasu... Mijały godziny długie; słońce skryte za bystry zrąb skalny — szli bowiem po stoku północnym — przechyliło się na zachód i spojrzawszy wędrownikom w twarz z lewej strony, prażyć ich zaczęło złotawymi już promieniami... Trudności przejścia zwiększały się z każdym niemal krokiem. Przerzucać się musieli na półki bystre, pośród krzesanic nad przepaściami zwieszone, i drzeć się nieraz w górę kominami pełnymi zapartych głazów, które pochód znacznie utrudniały... Znaczono za sobą drogę, ustawiając małe kopce z kamieni w miejscach widocznych, na wystających cyplach skalnych lub skąpych trawnikach.

Nie doszli dotychczas do linii wiecznego śniegu. Charakter skały zmuszał ich do potężnego trawersu ku wschodowi, z małym tylko wznoszeniem się w górę. Krążyli tędy popod granicą śniegu, przecinając tylko zasiane nim żleby, które jednakowoż zbyt bystre były i z góry obcięte, ażeby mogły służyć za prostą drogę wzwyż.

Wreszcie natrafiono na żleb, nie szerszy wprawdzie od innych, ale znacznie mniej stromy i pnący się w górę bez przerwy aż do szerokiej śnieżnej przełęczy. Nadto zastanowiły Marka na śniegu jakieś ślady. Były to jak gdyby odciski palczastych nóg szernów i bruzdy, wydarte snadź[266] przez ciężkie, wciągane tędy przedmioty.

Teraz nie wątpił Zwycięzca, że znalazł drogę właściwą i że we wnętrzu górskiego pierścienia spotka szernów istotnie.

Nie było celu odbywać dalszej drogi samotnie i tracić czasu na to niepotrzebnie. Zatrzymawszy tedy tylko Nuzara przy sobie, odesłał resztę ludzi z powrotem, aby cały oddział sprowadzili znajomym już sobie przejściem.

---

[266] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

Nastały długie godziny oczekiwania, więcej jeszcze męczące niż wspinanie się w górę. Nuzar zwinął się w kłębek pod jakimś głazem, jak gdyby zwierzę, i spał na śniegu; Zwycięzcę poczęły w samotności dręczyć różne myśli i obawy. Żałował już, że nie poszedł sam po towarzyszów — wysłańcy mogli przeoczyć kopce, dość rzadko stawiane, i nie trafić na właściwe miejsce... Bał się nadto, czy bez jego pomocy i towarzystwa ludzie zdołają pokonać trudności przejścia — czy przy jakim nieuchronnym wypadku nie wybuchnie znów popłoch, czy nie ogarnie ich zaraźliwym tchnieniem straszliwa górska choroba na widok skał niedostępnych i zionących zewsząd przepaści?

Wreszcie pomyślał także o niebezpieczeństwie ze strony szernów, o którym w ciągłym trudzie wstępowania zapomniał był zupełnie. Wszakże każdej chwili mogli oni wypaść z zasadzki i zniweczyć doszczętnie szczupły zastęp po prostu strącanymi z góry kamieniami!

Czuł, że na tę myśl przerażenie dławi mu dech w gardle. Zrozumiał teraz dopiero, jak szaleńczo i lekkomyślnie zapuścił się w turnie z garstką oddanych sobie i wierzących w niego niezłomnie ludzi.

Spojrzał na śpiącego Nuzara i zawahał się, jakby go chciał obudzić... Ale wnet porzucił ten zamiar jako śmieszny i niepotrzebny. W czymże mógł mu teraz być pomocny ten morzec o mózgu na wpół zwierzęcym?

Niepokój jednak nurtował go coraz większy, nie pozwalając mu usiedzieć na miejscu. Wstał i ruszył sam powrotną drogą na grzędę, ograniczającą żleb od zachodu. Gdy stanął na niej, wyszedłszy z cienia, słońce oblało go żywe. Przymrużył oczy pod blask i począł się pilnie rozglądać wkoło. Badał przez szkła każdy cypel skalny, każdy załom i szczelinę, ale nie dojrzał niczego oprócz głazu i kamienia.

Snadź[267] szernowie, zbyt ufając niedostępności skał, nie pomyśleli nawet o potrzebie zasadzki... Prawdopodobnie nie wierzyli, aby się Zwycięzca na to szalone przejście odważył, a tym mniej, aby znalazł jedyną może ludzkim nogom dostępną drogę na szczyt.

Odetchnął swobodniej. Z tej strony przynajmniej nie groziło mu niebezpieczeństwo na razie.

Miał już schodzić w dół, aby iść naprzeciw swego zastępu, ale naraz ogarnęło go nieprzemożone lenistwo. Rozciągnął się na skale w słońcu z myślą, że chwilę jeno krótką odpocznie, zaledwie jednak głowę na złożonych ręku położył, sen go zmorzył słodki i głęboki...

Po jakimś czasie zbudziło go lekkie dotknięcie. Otworzył z trudem rozespane oczy. Nuzar siedział przy nim i wskazywał ręką w dół.

— Idą, panie — rzekł.

Marek zerwał się na równe nogi.

— Szernowie?

— Nie. Twoi ludzie idą, Zwycięzco.

Na próżno jednak patrzył Marek w wskazaną stronę. Bystre oczy morca dostrzegły, czego on przez szkła nawet nie mógł wyśledzić. Przypuszczał już, że się Nuzar pomylił, gdy doleciał go wreszcie ledwo dosłyszalny gwar zmieszanych głosów. Spostrzeżono go snadź[268] z dołu, stojącego na wyniosłej grzędzie na tle białych śniegów, i podniesiono okrzyk powitalny. Jakoż dostrzegł wreszcie drobne, poruszające się mrowie pośród głazów. Jego ludzie zbliżali się istotnie.

Za kilka godzin ruszono razem w górę. Co silniejsi szli przodem, rąbiąc na zmianę szerokie stopnie w śniegu, w które wstępowali idący za nimi, tak się z wolna ku przełęczy posuwając żlebem, bystrzejszym miejscami, niż się początkowo z dołu patrzącym wydało. Droga była uciążliwa i zawrotna. Słabszych i skłonniejszych do górskiej choroby powiązano długimi linami, zabezpieczając ich w ten sposób od upadku. Nadto Marek zakazał zbrojnym surowo oglądać się poza siebie. Szli zatem naprzód w milczeniu, bojąc się krzykiem lub pieśnią ostrzec szernów przedwcześnie — wszyscy w błękitne niebo nad białym śniegiem przełęczy wpatrzeni...

Nieraz zdawało się naprzód idącym, że już tylko kroków kilkadziesiąt od siodła ich dzieli, że niewielkiego jeszcze tylko potrzeba wysiłku, aby osiągnąć cel upragniony —

[267] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[268] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

i rąbali śnieg coraz twardszy z niecierpliwym pośpiechem — ale wkrótce nadzieja okazywała się złudną; siodło, które za grzbiet najwyższy już mieli, było tylko progiem, poza którym rozciągała się znowu ku górze pochyła, lśniąca płaszczyzna... Więc ręce znużone im mdlały, a w oczach blaskiem oślepłych śnieg nagle czerniał i zdawał się falować jak morze... Marek wtedy stawał sam na przedzie i powtarzając gromko rozkaz: „Nie patrzyć! nie patrzyć w dół!" — wiódł upadających ze znużenia, wolą jego zahipnotyzowanych, wciąż wyżej i wyżej.

Właściwy żleb już się zakończył, rozlany w górze w obszerne, nieco wklęsłe pole śnieżne. Rąbanie stopni na niezbyt pochyłej płaszczyźnie było już zbyteczne, toteż łańcuch idących rozsypał się wnet szerokim półkolem. Każdy szukał sobie tu drogi sam, jak mógł i umiał.

I naraz stała się rzecz dziwna. Przed oczyma żołnierzy, tylekroć zawiedzionych w nadziei, że szczytu już dochodzą, nagle w najmniej spodziewanej chwili otworzył się widok do wnętrza tego olbrzymiego kotła w pośrodku górskiego pierścienia, a idący za nimi nie zdawali sobie jeszcze sprawy, że towarzysze ich już najwyższe wzniesienie w przełęczy osiągnęli... Dobiegali ich tedy małymi grupami i stawali z kolei sami w podziwie wobec tego widoku, nawet dla ich księżycowych oczu nadzwyczajnego. Z niezmiernej wysoczyzny patrzyli na ogromną dolinę okrągłą, otoczoną ze wszech stron potężnym wałem górskim o lodowych szczytach. Dolina lśniła się cała przepyszną zielenią, od której odcinały się ciemniejsze oka pawie licznych stawów. Małe wyniosłości, jak gdyby kopce zielone, rozsiane były z rzadka po dnie kotliny, wspinającej się łagodnymi piętrami ku lesistym zboczom gór. Na piętrach owych i na wzniesieniach, a także u brzegów niektórych stawów bieliły się małe osady, rozległymi sadami otoczone. Ale w pośrodku doliny sterczał mniej więcej do połowy wysokości okolnego wału górskiego potężny, tępo ścięty stożek, dźwigający na szczycie obronne i wielkie miasto, najeżone setką wież i dziwnych budowli strzelistych.

Cień południowo-zachodniego grzbietu pierścienia zaścielał już większą część doliny, kryjąc w szafirowej cięgzi[269] pogasłe stawy, i otulał podnóże stożka, pełzając wolno wzwyż ku bramom miasta, które paliło się całe złote i purpurowe w blaskach chylącego się na widnokręgu słońca...

Marek stał długo i patrzył oniemiały na ten cudownie piękny i cichy kraj, który — nim słońce zgaśnie — on miał zamienić na widownię walki, najkrwawszej może, jaka dotychczas na Księżycu była stoczona — gdy nareszcie wyrwały go z zadumy głosy żołnierzy, urywane i świętym jakimś tchnące lękiem.

Obejrzał się. Ludzie jego stali od tajemniczej krainy szernów odwróceni i z podziwem pokazywali sobie jakąś rzecz nadzwyczajną na dalekim południowym horyzoncie. Ponad krainą, jak gdyby morze falami, tak w nieskończoność gdzieś idącymi górami zwełnioną, wgryzał się w ostrą piłę najdalszych szczytów obłok jakiś nikły i białawy, kolisto górą sklepiony i dziwnie odmienny...

Przez długi czas nie mógł sobie Marek zdać sprawy z tego zjawiska, aż nagle — usta mu zadrgały... Tak! wszakże znajduje się już w pobliżu bieguna południowego i w tej wysokości!... Tak, tak! ten skrawek znikomy, ten wąski sierp biały, w dole zębatym od gór widnokręgiem poszczerbiony!...

— Ziemia! Ziemia! — poczęto tymczasem już głośno wołać pośród żołnierzy.

Niektórzy padali twarzą na śnieg, inni wznosili ręce i trwali tak, pełni zachwytu, nie mogąc zrozumieć, jak gwiazda, z innego krańca księżycowego globu dla nich widoczna, tutaj zjawia się znowu przed ich oczyma!

— Ziemia idzie za Zwycięzcą! — szepnął ktoś zbladłymi usty[270].

— Ziemia przyszła patrzeć na szernów pogrom ostateczny.

Jeret rozłożył ręce szeroko:

— Ziemia jest wszędzie! — zawołał. — Oczy ludzkie widzą ją na jednym miejscu i nieruchomą, ale ona okrąża tarczę Księżyca i pilnuje granic *Wielkiej Pustyni*!

— Ziemia jest wszędzie! — zakrzyknięto chórem.

---

[269] *cięgź* a. *cięgć* — cień.
[270] *usty* — dziś N.lp: ustami.

I wnet ludzie padać poczęli na twarz przed Zwycięzcą, sławiąc go, świętego Ziemi wysłańca.

A on stał nieporuszony, zapomniawszy w tej chwili o szernach i korzącym się u stóp jego ludzie, i patrzył na białą zjawę ojczyzny swojej skroś nieba — po raz pierwszy wilgotnymi oczyma...

VI

W niskiej i ciasnej izdebce gwar panował nieopisany. Czekano na mistrza Rodę, który spóźniał się dzisiaj nad miarę, i skracano sobie czas gorącymi dysputami, przechodzącymi co chwila w spory zażarte. Młodzi ludzie, podnieceni, z błyszczącymi oczyma przyskakiwali do siebie, krzycząc i wywijając rękoma, o ile tłok i szczupłość miejsca na to pozwalały.

Jakiś chłopak o płonących oczach i rozwichrzonej czuprynie dowodził zapamiętale:

— Czyny, jakich tak zwany Zwycięzca dokonywa, nie wchodzą wcale w rachubę! Jest to obojętne, co zdziała, chociażby na naszą względną korzyść, wobec tej sumy naszych krzywd w stosunku do ludzi zamieszkujących *Wielką Pustynię*... My tam musimy się dostać, tam żyć!

Na krawędzi stołu siedział człowiek niestary, ale z głową niemal zupełnie wyłysiałą i z twarzą gładką, bez zarostu, uśmiechającą się ustawicznie jakimś przyrosłym do ust grymasem. Wypłowiałe rybie oczy zwrócił na mówiącego i odezwał się, kołysząc z lekka górną połową ciała:

— A ja powtarzam: tam nie ma miejsca już dla nas...

— Musi być! — krzyknął tamten zapamiętale.

Łysy człowiek mówił głosem spokojnym i monotonnym:

— Nie ma miejsca dla nas. Jaskinie i pieczary, w których oni żywot, wierzę, iż rajski, prowadzą, szczupłe są niewątpliwie w stosunku do zaludnienia...

— Więc niech nam miejsca ustąpią! Niech oni idą tutaj bić się z szernami!

— Tak, tak! — krzyknięto ze wszech stron.

Łysy człowiek uśmiechał się ciągle.

— Jak ich zmusić do tego? co? nie wiecie?

Jakiś zapaleniec o wychudłej, poczerniałej twarzy przyskoczył do niego z pięściami:

— Mataret! milcz! jesteś przekupiony...

Hałas wszczął się znów większy. Izba huczała, jak wnętrze ula podczas roju; w powietrzu krzyżowały się krzyki, dowodzenia, wołania. Chwilami, kiedy gwar na jeden moment przycichał, słychać było miarowe, uparcie powtarzane słowa Matareta:

— A ja wam mówię, że miejsca tam już nie ma...

Dalsza część zdania ginęła jednak nieodmiennie w zrywającym się znów zapamiętałym wrzasku.

W pewnej chwili ktoś stojący koło drzwi zawołał:

— Roda idzie!

Zwrócono się żywo, aby witać mistrza.

Jakoż wszedł istotnie, a raczej wbiegł, rzucając się natychmiast bez tchu na najbliższe krzesło. Był bez czapki — bluza na nim była rozdarta — zmierzwione włosy i liczne sińce na twarzy i odkrytej piersi świadczyły o przebytej walce.

— Co się stało? mistrzu! — poczęto wołać do niego ze wszystkich stron.

Roda dał znak ręką, aby się uciszono. Siedział z głową bezwładnie na poręcz krzesła opuszczoną i dyszał ciężko. Oczy miał przymknięte — wśród zakrwawionych warg widać było dziurę, powstałą przez wybicie dwóch zębów przednich.

Mataret jeden nie ruszył się z miejsca. Siedział wciąż na stole i ze zwykłym uśmieszkiem patrzył spod przymrużonych powiek na mistrza.

— A nie mówiłem! — rzekł po chwili. — Pewnie znowu miałeś kazanie do ludu!

Roda się zerwał. Oczy mu się zaiskrzyły; wzniósł w górę pięść, sterczącą z podartego rękawa, i potrząsając nią groźnie, począł wołać zapuchłymi od uderzeń ustami:

— Niegodni! niegodni niewolnicy! podły ciemny tłum! bydło!

— To racja — przyświadczył spokojnie Mataret — ale powinieneś był o tym wiedzieć już od dawna...

Roda rzucił mu z boku wściekłe spojrzenie.

— Tak! ciebie nic nie obchodzi, niczemu snadź[271] nie wierzysz naprawdę! Byleś mógł siedzieć na stole, kiwać się i uśmiechać, to cóż ci szkodzi, że kapłani lud bałamucą? że tak zwany Zwycięzca wyzyskuje go haniebnie do swoich celów, że jedyna chwila ratunku może minąć niepowrotnie i na darmo! Cóż tobie szkodzi, że tłum żyje w karygodnej i opłakanej ślepocie, własnego dobra nie rozumiejąc, że ciągle oczy na bezpłodną Ziemię wywala, nie chcąc poszukać należnego mu raju tu, gdzie on jest, tu — na Księżycu! Tobie to jest obojętne, ale ja, ja chcę...

— Zbierać sińce koniecznie! — dokończył Mataret.

— Chociażby nawet! W każdym razie mam to przeświadczenie...

Zaczęto krzyczeć znowu tak, że w rozgwarze podnieconych głosów ginęły słowa mistrza. Niektórzy wołali, że arcykapłan Elem i jego wysłannicy winni są wszystkiemu, oni to bowiem lud wrogo przeciw apostołom prawdy podburzają — i trzeba tedy z arcykapłańską przewagą bój rozpocząć; inni, rozsądniejsi, wykazywali natomiast niemożliwość mierzenia się z siłami władzy, przynajmniej dziś, na razie, do czasu...

— Lud jest nam wrogi — mówili oni — nie przekonamy go ani nie przeciągniemy masy na naszą stronę! Wszelkie wysiłki okazały się daremnymi! Trzeba nam działać na własną rękę!

Po pewnym czasie godzili się na to wszyscy, ale nikt nie umiał sobie zdać jasno sprawy, na czym owo działanie na własną rękę ma polegać.

Matareta, który wystąpił ze zdaniem, że najlepiej dać pokój wszystkiemu, gdyż lud jest widocznie po to, aby był głupi i nieszczęśliwy, zakrzyczano natychmiast i omal nie ukamienowano. Całe szczęście, że w pustej izbie nie było przedmiotów mogących posłużyć do tego tradycyjnego i doraźnego wymiaru tak zwanej sprawiedliwości.

Wreszcie mistrz Roda zabrał głos. Uspokoiło się nieco, a on zaczął mówić obszernie, powtarzając na wstępie po raz setny to, o czym wszyscy zgromadzeni wiedzieli i czemu wierzyli niezłomnie. A więc mówił o niezamieszkanej Ziemi i odwiecznym obywatelstwie ludzi na Księżycu, o bajkach kapłańskich i o niewątpliwym raju, który się znajduje na tamtej, rzekomo pustej stronie Księżyca.

Słuchano go z należnym szacunkiem, ale niezbyt uważnie, gdyż każdy z obecnych znał już te rzeczy na pamięć. Ożywiono się natomiast, gdy zaczął wyliczać krzywdy, jakie oni, w Bractwo Prawdy związani, ponieść musieli od społeczeństwa i władzy. Wyśmiewano ich i prześladowano na każdym kroku. Zgromadzenia odbywać muszą potajemnie z obawy przed arcykapłańskimi siepaczami, a publiczne występy członków Bractwa w celu szerzenia prawdy przynoszą tylko, jako jedyny plon, sińce, guzy i rany. Tu słuchacze zaczęli żywo potakiwać, zwłaszcza że mało było między nimi takich, którzy by nie stwierdzili byli na sobie w bolesny sposób prawdziwości słów mistrza.

— A jednak — prawił Roda — nie wolno nam sprawy zaniedbywać! Obecnie bawi na tej stronie Księżyca człowiek, z tajemnego wnętrza *Wielkiej Pustyni* przybyły — i my musimy skorzystać z jedynej sposobności, aby odkryć drogę do wydartej nam szczęśliwej ojczyzny! Użyliśmy wszelkich środków, aby rozbudzić tłum i otworzyć mu oczy na istotne cele rzekomego Zwycięzcy. Gdyby się nam to było powiodło, gra byłaby już łatwa! Zwycięzca po powrocie z krainy szernów, gdzie nadzwyczajne pono za krew naszych rodaków odnosi przewagi, byłby ujęty i tak czy owak zmuszony do wydania swej tajemnicy. Wiecie jednak wszyscy, że wszelkie usiłowania nasze spełzły na niczym, rozbijając się o przemożną głupotę ludzką, która wierzy łacniej[272] starej i naiwnej a niedorzecznej bajce o ziemskim człowieka pochodzeniu, niż najoczywistszej i płodnej w skutkach swych prawdzie! Jedna nam tedy droga pozostaje, którą Bractwo Prawdy może iść samo i bez pomocy niczyjej pożądany cel osiągnąć!

Urwał na chwilę, a uczniowie i wyznawcy zaczęli się tłoczyć koło niego i prosić, aby odkrył wreszcie myśl swoją, którą już od dawna wyjawić przyobiecał. Nawet Mataret przestał się uśmiechać i przechylił się nieco w stronę mówiącego, aby lepiej słowa jego słyszeć.

Roda rozkrzyżował ręce, kładąc je na ramionach dwóch najbliżej stojących towarzyszów; twarz jego, pokaleczona i posiniała, rozjaśniła się blaskiem jakiegoś złego uśmiechu.

---

[271] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie; tu: właściwie.
[272] *łacniej* — dziś: łatwiej.

— Musimy opanować wóz — rzekł — tam, w *Kraju Biegunowym*...

— Wóz Zwycięzcy! — zakrzyknięto.

— Tak jest. Zwycięzca może pobić szernów i lud uwodzić jak mu się podoba, ale bez naszego zezwolenia stąd nie odjedzie!

Mataret skrzywił się niechętnie i machnął ręką.

— Głupstwo! Jeżeli nam zechcą odebrać wóz przemocą, siły nasze nie wystarczą!...

Roda zaśmiał się i począł szeptać coś żywo przyciszonym głosem. Opowiadał swój plan obszernie i szczegółowo. W miarę jak mówił, nawet najbardziej nieufni poczynali kiwać głową, przytakując z zadowoleniem jego słowom. Gdy zaś skończył, wybuchnął wśród zebranych jednogłośny okrzyk zachwytu.

Młodzi zrywali się, jak gdyby biec już chcieli do *Kraju Biegunowego*, pewni powodzenia i zwycięstwa. Ten i ów na głos snuł plany fantastyczne o zdobyciu i podziale krajów tajemniczych na „tamtej stronie" — w oczach zapaleńców cała pustynia bezpowietrzna wydała się naraz jakimś czarodziejskim rajem niesłychanym, zbiorem grot najcudniejszych, pełnych miast kryształowych, łąk, kwiatów, słońc sztucznych i wszelkiego bogactwa! Mówiono o nocach jasnych, kiedy przez szczeliny głębokich wąwozów patrzy się w górę na promienną Ziemię nad głowami, i o rozkosznych dniach, których żar złagodzony jest słodkim i wilgotnym cieniem sklepień kamiennych.

Ktoś zdjął ze ściany mapę Księżyca, z drogocennych szczątków kart po Starym Człowieku przerysowaną — i rzucił ją na stół. Kilkanaście głów się nad nią pochyliło; wodzono palcami po obszernych równinach Księżyca, które znają światło Ziemi nocami, wskazywano rysy, szczeliny, góry, kłócono się już o położenie największych miast i sposób komunikacji między nimi...

Mataret niezadowolony, że go strącono ze stołu, usunął się w kąt izby i usiadł w milczeniu na stosie ksiąg, w pyle się walających. Zbliżył się Roda ku niemu.

— Jakże ci się mój plan podoba? — zagadnął niby mimochodem, nie chcąc się zdradzić tonem, że mu zależy na zdaniu dziwaka.

Mataret, wbrew zwyczajowi, przestał się uśmiechać. Wzniósł tylko brwi i ruszył nieznacznie ramionami:

— Wóz jest podobno strzeżony — rzekł.

— Straż jest nieliczna, możemy nią łatwo zawładnąć...

— Tak...

Wsparł dłonie na kolanach i milczał przez pewien czas w myślach zatopiony. Naraz wzniósł głowę:

— Roda, kiedy wyruszamy do *Kraju Biegunowego*?

— Chcesz mi i ty towarzyszyć?

— Naturalnie. To będzie ciekawe...

— Wolałbym pozostawić cię tutaj na czele Bractwa Prawdy... Bo przecież wszyscy odejść nie możemy. To wzbudziłoby podejrzenia.

— Ja pójdę — rzekł Mataret stanowczo i powtórzył znowu:

— Kiedy wyruszamy?

Roda spojrzał na wielki zegar kalendarzowy, umieszczony w przeciwległym rogu izby:

— Jest około południa; lepiej wyprawę odłożyć do jutra będziemy mieć cały dzień przed sobą...

— A jeśli tymczasem Zwycięzca dziś w nocy powróci?

— Nie sądzę. A zresztą to lepiej dla nas nawet. W zamęcie, jaki niewątpliwie nastanie po jego powrocie, zniknąć możemy niepostrzeżenie...

Mataret pokręcił głową.

— Różnie się może zdarzyć. Może nasz Zwycięzca przybyć tu, uciekając przed zwycięskimi szernami, a wtedy będzie pewno gnał w *Kraj Biegunowy*, aby zniknąć co prędzej w swym wozie...

— Myślisz, że szernowie mogliby istotnie zwyciężyć? — spytał Roda niespokojnie.

— Nic nie myślę prócz tego, że lepiej dzisiaj jeszcze wyruszyć...

— Możemy wreszcie i tak zrobić...

Urwał, a po chwili zaśmiał się głośno.

— O! to będzie nadzwyczajne! Gdy zechce nam uciec i przekona się, że odjechać nie może, bo części wozu jego odśrubowano i ukryto! O! to znakomite będzie! Musi się wtedy wdać z nami w układy, a my będziemy dyktowali...

Mataret, pogrążony w myślach, zdawał się słów mistrza nie słuchać. Nagle przerwał mu:

— Czy ty jesteś bezwzględnie pewny, że on przybył... nie z Ziemi?

Roda się obruszył.

— Czyż wątpisz jeszcze? Dlaczego tedy nie idziesz zmieszać się z tłumem, który oczy wiecznie na Ziemię wytrzeszcza? czemu przystąpiłeś do Bractwa Prawdy?

— Bo chcę znaleźć prawdę za wszelką cenę — odrzekł Mataret krótko i powstał z miejsca, przerywając rozmowę.

Przy stole tymczasem nad mapą wszczęła się kłótnia. Chodziło mianowicie o znaczenie linii powtórzonej tutaj również za oryginalnymi kartami Starego Człowieka, na których wyrysowana była oddzielnie... Linia ta falista, czerwoną barwą wyciągnięta, poczynała się krzyżykiem, w miejscu oznaczonym dziwną nazwą *Sinus Aestuum*, biegła w lekkich skrętach przez *Mare Imbrium*, aż po górę *Platona*, załamując się tutaj nagle ku wschodowi, aby dalej przewijać się znów wśród gór ku północnemu biegunowi Księżyca...

Członkowie Bractwa Prawdy starali się od dawna wytłumaczyć sobie znaczenie tego krętego węża, przecinającego czwartą część księżycowej kuli. Niektórzy przypuszczali, że jest to ślad drogi, przebytej niegdyś przez Starego Człowieka, ale mistrz Roda przeciwny był takiemu mniemaniu — owszem, uważał je nawet za herezję wobec prawdy.

— Po cóż by bowiem — mówił — Stary Człowiek miał się posuwać z trudem i w niebezpieczeństwie po martwej powierzchni Księżyca, kiedy musi istnieć pod powierzchnią wygodna komunikacja między ukrytymi osadami?

Linia czerwona pozostała tedy nadal niepokojącą członków Bractwa zagadką, powodem częstych, a niekończących się sporów pomiędzy gorętszymi wyznawcami Prawdy.

Jeden z nich, młodzieniec o rozwichrzonej czuprynie, który przemawiał był właśnie dzisiaj, w chwili gdy Roda przybył na zgromadzenie, wystąpił teraz z nową teorią. Utrzymywał on mianowicie, że jest to „linia niebezpieczeństwa", jak się wyrażał... Nie droga przez Starego Człowieka przebyta, lecz droga na powierzchni do przebycia możliwa, której mieszkańcy *Wielkiej Pustyni* strzegą zapewne w ciągłej obawie powrotu „wydziedziczonych"...

Prawda

Rzucił tę myśl jako przypuszczenie, w miarę jednak, jak mu zaczęto oponować, zapalał się coraz bardziej i upierał, aż w końcu począł uważać domysł swój za prawdę niewątpliwą i udowodnioną i żądał nawet, aby Bractwo wyciągnęło stąd praktyczne konsekwencje w celu dostania się bez pomocy „Zwycięzcy" do tajemniczego kraju pod *Wielką Pustynią*.

Wezwano Rodę do rozstrzygnięcia sporu.

Mataret, stojąc we drzwiach, patrzył przez chwilę, jak mistrz z niezmierną powagą zdanie swoje wygłaszał, wodząc palcem po rozłożonej mapie... Zrobił nawet ruch, jak gdyby się miał zbliżyć i posłuchać, ale uśmiechnął się tylko i rękę położył na klamce...

Długim, wąskim i ciemnym korytarzem dostał się niepostrzeżenie na ulicę. Była to najnędzniejsza dzielnica w mieście, siedlisko ubogich wyrobników, na wpół zaprzedanych w niewolę kupcom i fabrykantom mieszkającym w pięknych domach tam, w środku osady, w pobliżu świątyni i arcykapłańskiego pałacu. Lepianki marne i krzywe cisnęły się z obu stron ciasnej ulicy, opadającej w załomach ku morskiemu brzegowi. Kupy śmiecia walały się przed progami, gnijąc w żarze południowego słońca — zza rozwalonych opłotków sterczały więdnące badyle bujnych chwastów. W cieniu wylegiwało się kilka psów, zleniwiałych upałem.

Mataret przebiegł szybko zaułek, oglądając się, czy go kto nie widzi. Domyślano się, że jest członkiem tajnego Bractwa Prawdy, znienawidzonego zwłaszcza w tej dzielnicy, gdzie Zwycięzca miał najgorętszych wyznawców i zwolenników. Ludzie, w ciężkiej pracy i trudzie gorzkim żyjący, widzieli w tym jasnym ziemskim przybyszu nadzieję lepszej przyszłości i oczekiwali z niecierpliwością chwili, kiedy pokonawszy szernów, powróci zza morza, aby ład nowy na Księżycu zaprowadzić.

Ale dzisiaj nikt z okna nie wyjrzał ani nie rzucił przez zęby przekleństwa, mijając w przechodzie „pustyniarza", jak pogardliwie tutaj członków Bractwa nazywano. Dziel-

nica, która zazwyczaj nawet podczas największych południowych upałów roiła się ludźmi, nędzą do pracy zmuszonymi, wyglądała jak gdyby wymarła. Dopiero na szerszym placu, skąd się już pięknie brukowane drogi ku śródmieściu poczynały, spotkał Mataret grupkę z kilku robotników złożoną. Stali w cieniu jakiegoś pustego kramu i rozmawiali żywo, z widocznym niepokojem poglądając ku morzu.

Z kilku zasłyszanych w przelocie słów Mataret wyrozumiał, iż stało się coś ważnego, co miało związek z wyprawą Zwycięzcy na południe. Przyśpieszył tedy kroku, zwracając się w stronę miasta, gdzie spodziewał się zasięgnąć pewnych wiadomości.

Plac przed świątynią był natłoczony ludem. Rozprawiano o przybyciu posłów, którzy z powodu niesprzyjającego wiatru w nocy zmylili drogę i wylądowawszy nad ranem daleko na wschód za szczytem *Otamora*, pół dnia zużyć musieli, nim się pieszo zdołali dobić do miasta. Mataret przysłuchiwał się z zajęciem krzyżującym się w powietrzu zdaniom. Z bezładnych urywków rozmów niewiele zdołał się dowiedzieć o szczegółach, ale odniósł wrażenie, że tym razem posłowie mniej pomyślną przynosili nowinę. Lud był niespokojny; zamiast radosnych okrzyków słychać było spory i narzekania, twarze pełne troski poglądały ku morzu, jak gdyby obawiały się grożącej z tej strony nawały wrogów.

Zwątpił już, czy uda mu się coś niewątpliwego dowiedzieć, kiedy niespodziewanie na stopniach świątyni wśród tłumu zobaczył Jereta. Zdumiał się wielce, nie sądził bowiem, aby on, prawa ręka Zwycięzcy, był użyty na posła... Jeśli tak się stało, musiała to być rzecz nader ważna, z którą młody wojownik przybywał.

Znał on Jereta dawno i dobrze. Byli nawet niegdyś przyjaciółmi, nim ich rozdzieliła różnica wierzeń i poglądów na sprawę Zwycięzcy. Liczył jednak na dawną zażyłość, toteż przecisnąwszy się przez tłum, pociągnął Jereta za rękaw, dając mu znaki, że chce z nim mówić. Młodzian poznał go i powitał.

— A! Mataret!...

— Później! za chwilę! — dorzucił, posłyszawszy wzrastający gwar w otoczeniu. — Przyjdź za dwie godziny do świątyni!

Ostatnie słowa mówił już wstępując na kamienną arcykapłańską kazalnicę przy schodach.

Lud ruszył się i zafalował, zobaczywszy go wzniesionym nad sobą. Dały się słyszeć znowu głośniejsze skargi i okrzyki. Niektóre z nich bluźniły już Zwycięzcy.

Jeret zaczerpnął w piersi powietrza i mówił:

— Wstyd mnie, gdy patrzę na was, gdy słucham głosów waszych, niewieścich zgoła, a nie męskich! Zwycięstwo będzie nasze, ale trzeba jeszcze wysiłku i pomocy! Przybyłem tu nie skarg waszych słuchać, ale zebrać nowy oddział, który by wsparł walczących! Broni jest jeszcze zapas. Niech młódź się zgłasza i zaciąga w szeregi, bo gdy słońce zajdzie, ruszymy znów na południe po zamarzłym morzu!

Mówił jeszcze przez jakiś czas, rzucając na głowy tłumu zdania krótkie i twarde jak kamienie. Mataret tymczasem ustąpił nieco na bok. We drzwiach świątyni dostrzegł Ihezal. Stała o węgar[273] oparta, patrząc przed siebie dziwnymi, sennymi oczyma, które zdawały się nawet nie widzieć tego, na co patrzyły. Twarz miała pobladłą i wychudzoną, białe ręce trzymała złożone na piersi, na kosztownych łańcuchach z szyi jej zwisających.

Mataret pochodził z jednej z najprzedniejszych i najbogatszych rodzin w mieście i był niegdyś w bliskich stosunkach z domem arcykapłana Malahudy. Zobaczywszy teraz dziewczynę, przystąpił do niej i pokłonił się.

— Jak się macie, złotowłosa? — rzekł z uśmiechem.

Ihezal spojrzała na niego z roztargnieniem i odwróciwszy się, weszła do świątyni bez słowa odpowiedzi. Wzruszył tedy ramionami i siadł na progu, czekając na Jereta. Nie widno go już było[274] na kazalnicy. Skończył mówić i wmieszał się między lud. Mataret, patrząc z góry, dostrzegł go, jak rozmawiał z kilku starszymi, odpowiadając żywo na jakieś zadawane pytania. Później zbliżył się do niego Sewin. Zausznik arcykapłana prawił mu coś długo z uprzejmym i chytrym uśmiechem na ustach, wskazując kilkakroć ręką grupę stojących osobno rybaków, którzy przyszli tu byli z uwięzionym obecnie Chomą.

---

[273]*węgar* — część otworu drzwiowego a. okiennego, występ wzdłuż pionowych krawędzi otworu, stanowiący oparcie dla ościeżnicy i uszczelnienie połączenia ze ścianą.

[274]*Nie widno go (...) było* — dziś: nie widać go było.

Mataret widział jeszcze, jak Jeret się żachnął i dłonią odepchnął arcykapłańskiego sługę od siebie — a później znudziło mu się patrzeć na wszystko i wzniósł oczy na niebo, wyjątkowo dzisiaj o tej porze jeszcze pogodne.

Południowa burza opóźniała się. Słońce przechyliło się już z zenitu na zachód i sypało miałki żar na fasadę świątyni. Mataret przymknął oczy; w upalnej spiece dnia senność go ogarniała.

Majaczyły mu się właśnie jakieś przedziwne wejścia do pieczar kryształowych na tamtej stronie Księżyca, kiedy zbudziło go z półuśpienia lekkie dotknięcie na ramieniu. Jeret stał przed nim.

— Chciałeś mówić ze mną...

— Zmęczony jesteś — rzekł Mataret, patrząc rozbudzonymi naraz oczyma w sczerniałą i wychudłą twarz jego.

— To nic, to nic, odpocznę...

Weszli w głąb świątyni i przysiedli w jednym z bocznych, przyciemnionych krużganków. Jeret złożył dłonie na głazie i wsparł na nich czoło.

— Zmęczony jestem rzeczywiście — szepnął po chwili, nie wznosząc głowy.

Mataret patrzył na niego w milczeniu, mrugając nerwowo powiekami. Zdawało mu się, że czyta na tej ogorzałej i pobrużdżonej twarzy, z boku ponad złożonymi widnej rękoma, całą historię wyprawy: historię trudów niesłychanych i wysiłków, bojów, zwątpień i nadziei...

— Dlaczego ty właśnie przybyłeś? — zapytał wreszcie znienacka.

Jeret drgnął i spojrzał mu w oczy. Nieobecny w czasie, kiedy się zawiązało ostatecznie Bractwo Prawdy, nie miał pojęcia o jego istnieniu, wiedział jednak z dawniejsza, że Mataret, sceptyk urodzony, z wielką nieufnością patrzył na Zwycięzcę... To nawet było powodem, że stosunki ich, niegdyś bardzo serdeczne, oziębiły się z czasem. Mimo wszystko jednak nie mógł się nigdy oprzeć uczuciu pewnego podziwu i uległości niemal wobec tego dziwnego człowieka, który uśmiechał się ciągle, ciągle przeczył i myślał, nie zapalając się na pozór nigdy i do niczego, jak gdyby stał gdzieś ponad wypadkami, a nie w prądzie ich największym, jak inni ludzie. On, Jeret, umiał tylko działać, wybuchać, radować się albo ponuro w sobie się zasklepiać...

Toteż teraz, wręcz zapytany, zawahał się przez chwilę, ale przemogła w nim wnet ochota wywnętrzenia się przed kimś, wobec kogo nie potrzebowałby odgrywać roli wodza, posła ani nauczyciela...

— Jestem tu potrzebny — szepnął, mówiąc więcej posępnym ściąganiem brwi niż tymi obojętnymi słowami.

— Źle wam się powodzi? — rzekł Mataret, nie spuszczając z niego oka.

Jeret ruszył ramionami.

— Nie... nie można powiedzieć: źle... Ale...

Urwał i zamilkł, jakby szukając wyrazu. Mataret milczał również przez jakiś czas, a potem rzekł, powstając:

— Jeżeli nie chcesz mówić, odchodzę. Po cóż mam cię zmuszać do tego, abyś kłamał przede mną?

Jeret pochwycił go żywo za rękę.

— Zostań. Owszem. Chcę mówić, tylko...

Otrząsnął się.

— Widzisz, ja sam nie wiem, jak to nazwać. Źle nam się dotychczas nie powodzi, mimo że jest ciężko w tej chwili... Zrobiliśmy dotychczas wszystko, co w mocy ludzkiej leży...

Wzniósł głowę, spojrzał Mataretowi wprost w oczy.

— Wszystko, co w mocy ludzkiej leży — powtórzył z naciskiem — ale ponadto: nic.

Zaczerwienił się naraz, jakby mimo woli słowo wiele znaczące z ust mu się wymknęło... Mataret nie uśmiechał się. Oczy jego wyłupiaste i zazwyczaj szydercze patrzyły gdzieś w dal — prawie smutno. Wyciągnął rękę i położył ją na złożonych dłoniach wojownika.

— Mów — rzekł.

Jeret począł mówić. Opowiadał długą i krwawą historię, jakby w myślach przed samym sobą ją rozsnuwając. Mówił o walkach na nizinie, o miastach zdobytych i zburzo-

nych, o setkach i tysiącach szernów wyciętych w pień bez miłosierdzia, bronią ognistą rażonych, topionych w rzekach lub w morzu i pożarom na pastwę oddanych. Mówił o tym wszystkim spokojnie i równo, jak robotnik, który wieczorem powtarza w myśli ciężką pracę przebytego dnia...

A potem opowiadał Mataretowi, jak przyszli w niedostępne góry i poczęli się na grzbiet olbrzymiego pierścienia skał wydostawać. Mówił o trudach przejścia, o dziwnym mieście szernów wewnątrz kotliny i o Ziemi, która, zewsząd widoczna, tam się oczom ich ukazała.

— Mieliśmy to sobie za dobrą wróżbę i znak, że Zwycięzca jest z nami. A tymczasem, od chwili kiedyśmy z tamtej wysoczyzny na Ziemię spojrzeli, zaczął się dla nas najstraszniejszy trud, bo bezowocny. Myślałem, że spadniemy jak wicher i zmieciemy to miasto w dole; żal mi już prawie było jego na zagładę skazanej piękności, ale tutaj Zwycięzca się zawahał. Postąpił jak człowiek: rozumnie. Postąpił tak, jak każdy z nas byłby w tym przypadku postąpił...

I tu opowiadał dalej, jak Zwycięzca, przeliczywszy szeregi, nie ośmielił się wprowadzić ich wszystkich w kotlinę, aby nie mieć w razie niepowodzenia odciętej drogi do odwrotu.

— Cząstce wojska — mówił — kazał się wrócić i pilnować drogi (o! jeśli to można drogą nazwać), którą weszliśmy na przełęcz, aby snadź szernowie z innych miast nie przedostali się za nami... Tam ja byłem wodzem. Reszta żołnierzy pod jego własnym przewodnictwem opuściła się ku wnętrzu kotliny, do połowy niemal wysokości wału górskiego — i tam założyła obwarowany obóz. Na równinę w dole schodzą tylko drobne oddziały, nękają szernów i wracają znów do obozu, często ze stratami. Przestaliśmy zwyciężać, wojujemy teraz.

— I tak jest wciąż, bez zmiany? — zapytał Mataret po chwili milczenia.

Jeret poruszył głową.

— Bez zmiany. Z tą ilością wojska nic nie zdziałamy, to pewna. Szernowie widzą naszą bezsilność i rozzuchwalili się. Oni nas teraz zaczepiają. Nie było prawie godziny, abym ja ze swym oddziałem nie musiał staczać utarczek... Zdawało się, że cała kraina jest pusta, a oni tymczasem powyrastali skądeś całymi zastępami i prą na nas. Skały czernią się od nich i roją, jakby od złego ptactwa. Strzelamy do nich ciągle i bijemy, ale musimy oszczędzać nabojów w obawie, aby nam ich nie zabrakło. Wtedy bylibyśmy zgubieni...

— I co będzie dalej? — zapytał Mataret.

— Nie wiem. O pewnej rannej porze dnia wczorajszego Zwycięzca sam przeszedł dzielącą nasze oddziały przełęcz i mówił długo ze mną. Nie mówił jeszcze o odwrocie, ale z jego stroskanej twarzy myśl tę już było widać. Kazał mi przybyć tutaj i przywieść jak najprędzej posiłki, broń i naboje. Ciężką miałem drogę ku morzu i saniom, pod opieką garstki małej zostawionym; przekradać się musiałem jak gad samowtór z towarzyszem, ale wiem, że jeszcze ciężej wracać nam będzie z posiłkami, bo szernowie chcą teraz za wszelką cenę zgubić Zwycięzcę i nas z nim razem...

Nastała cisza. Obaj patrzyli przed siebie, błądząc w zadumie myślami daleko od miejsca, w którym się znajdowali.

— Tak. Trzeba ich zawiadomić — odezwał się nagle Mataret po pewnym czasie.

— Kogo?

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko zwykłym swoim uśmiechem i wyciągnął dłoń ku Jeretowi.

— Nie o Zwycięzcę mi chodzi. To mniejsza. Może nawet nie o lud... Nie wiem sam o co. Zbieraj posiłki i trzymajcie się, dopóki będzie można. Ja zrobię swoje.

Zwrócił się ku odejściu i wydał lekki okrzyk. Pod rzeźbionym narożnikiem stała w cieniu Ihezal. Zauważywszy, że ją spostrzeżono, postąpiła szybko naprzód. Minęła Matareta i szła wprost ku Jeretowi.

— Jeret! — zawołała, składając ręce błagalnym ruchem — Jeret! weźcie mnie z sobą!

— Słyszałaś wszystko?!

Przyświadczyła niemym skinieniem głowy.

Jeret zmarszczył brwi i poruszył niespokojnie dłonią. Spojrzał na Matareta, jakby jego obecność powstrzymywała go od odpowiedzi.

— Weź mnie! — powtórzyła — ja chcę do Zwycięzcy!

Oczy jej płonęły prawie radośnie, odblask jakiejś nadziei rozświetlał jej białe, wewnętrzną gorączką strawione lica.

Jeret się odwrócił.

— Pilnuj szerna, którego ci zostawiono! Dość jeden w więzach na ciebie!

Ihezal pobladła i cofnęła się w tył.

— Jeret! — krzyknęła.

Ale on wychodził już ze świątyni, nie oglądając się nawet poza siebie.

Dziewczyna pochyliła głowę i stała przez pewien czas bez ruchu. Wir dziwnych, w szalonym kole tańczących myśli ją ogarnął. Huczały jej w piersi jakieś hymny radosne, że on jest... że może być, jak ona, człowiekiem, a jednocześnie czuła ból, jakby kto nagłą i niepojętą pustkę w jej duszy uczynił...

Obejrzała się trwożliwie. Przez pustkę wewnętrzną odczuła mimo woli silniej pustkę miejsca, gdzie się znajdowała, pustkę ogromnej, opuszczonej świątyni. Odruchowo przypadła do stóp jakiejś kolumny, wtulając się między podstawy wielkich kamiennych kadzielnic.

Próżne były i wystygłe. Od dni już długich nie rzucał nikt wonnej żywicy do wnętrza miedzianych czar, kędy się walały w pyle resztki węgli, niegdyś świętych. Na pniu kolumny znać jeszcze było czarne ślady dymu, który stąd niegdyś wznosił się ustawicznie.

Patrzyła na otaczającą ją pustkę zdziwionymi, szeroko w lęku rozwartymi oczyma, jak gdyby ją dzisiaj po raz pierwszy dopiero spostrzegła i zauważyła.

— Jak to było? — powtórzyła szeptem bezwiednie — jak to było? jak było?...

Sny jej się dziewczęce przypomniały, a potem zjawa jasnego ziemskiego przybysza...

— Gdzie on teraz jest?...

W uszach zadźwięczały jej zasłyszane niegdyś zgrzytliwe słowa:

„Przeszedł Zwycięzca nad morzem i przez kraj przeszedł nizinny, a oto stało się, że do gór przyszedł wyniosłych i stanął przed nimi bezradny..."

I znowu:

„Służyć nam będzie plemię człowiecze — z wyjątkiem tej, która zechce zostać panią i pójdzie za szernem..."

— Nie! nie! nie! — krzyknęło w niej coś buntem rozpaczliwym.

Wyciągnęła ręce białe, z szerokich fioletowych rękawów wysunięte.

— Jeret! — wołała w głos, choć dawno już nikogo koło niej nie było. — Jeret! zmiłuj się! weź mnie z sobą! Ja chcę do Zwycięzcy! Nie zostawiajcie mnie tutaj pod urokiem szerna! Na oczach jego nie ma łańcuchów! Chcę do Zwycięzcy! Chcę widzieć, czuć, że on jest silniejszy, że on...

Upadła z klęczek twarzą na kamienną posadzkę, aż zadźwięczały drogie, u szyi jej zwisające łańcuchy.

Słońce, rozsrebrzone w mglistej śreżodze, wpadało jeszcze przez okno do świątyni, ale grom zbliżającej się burzy zahuczał już — donośny i groźny. Ihezal nie ruszyła się z miejsca.

„Oto pęka nade mną sklepienie świątyni — myślała — oto walą się kolumny i rozchodzą zręby kamienne...

Niech się stanie! niech się stanie!

Niechaj świat cały zapadnie i mnie pod gruzami pogrzebie!"

Ponowny, huczący i bliski już grom wstrząsnął ścianami i blask słońca, chmurą pochłonięty, zagasł nagle. Ihezal płakała cicho.

Tymczasem Mataret, pożegnawszy się na schodach z Jeretem, którego wezwano do arcykapłana, szedł zadumany przed siebie, nie myśląc nawet, dokąd idzie. Na rogu jakiejś ulicy trafił niespodziewanie na Rodę. Mistrz oczy miał błyszczące i jasność na pokaleczonej twarzy. Zobaczywszy towarzysza, przystanął i zawołał na niego głośno:

— Mataret, czy już wiesz?

Ten, zamiast odpowiedzieć, przystąpił ku niemu i ujął silnie za łokieć.

— Zawołaj ludzi, którzy mają nam towarzyszyć — rzekł — wyruszamy zaraz.

— Czyś oszalał? — krzyknął Roda — patrz!

Wskazywał ręką na zaciemniające się chmurami niebo, pod którym wicher już hulał i wpadał ze świstem w opustoszałe ulice, targając ubrania na nich, jedynych dwóch ludziach, którzy się jeszcze przed burzą do domów nie schronili.

— Wyruszamy natychmiast — powtórzył Mataret spokojnie.

Stanowczy, niemal rozkazujący ton, którego dotychczas nigdy nie przybierał, zadziwił Rodę. Spojrzał na towarzysza w zdumieniu, nie wiedząc prawie, jak się zachować... Mataret, spostrzegłszy jego zakłopotanie, uśmiechnął się:

— Mistrzu, jesteś wielki i nigdy czcić cię nie przestanę, ale wierz mi, że nam nie wolno już teraz tracić czasu. Mam swoją myśl...

Deszcz jeszcze lał strugami, jakby niebo w wodę się roztopiło, kiedy jedenastu ludzi w płaszcze owiniętych wykradało się z bram miasta z małym zaprzęgiem psów, dążąc odwiecznym szlakiem ku północy.

VII

— A jeśli ja posiłków nowych zbierać nie pozwolę?

Jeret wzniósł z wolna głowę i spojrzał w twarz arcykapłanowi.

— W takim razie ja je zbiorę bez pozwolenia Waszej Wysokości — rzekł spokojnie, ale stanowczo.

Elem zaśmiał się.

— Podobasz mi się, chłopcze — rzekł — to była tylko próba... Posiłki odejdą dziś w nocy...

— Wiem.

— Zwycięzcy rzeczywiście takich sług jak ty potrzeba. Bez nich nie zdziałalibyśmy zapewne nic...

— Czy Wasza Wysokość pozwoli mi odejść?

— Czekaj. Rad bym się jeszcze dowiedzieć nieco.

— Powiedziałem już wszystko Waszej Wysokości!...

Arcykapłan zbliżył się ku niemu i zwrócił na niego przejmujące spojrzenie nieruchomych czarnych oczu.

— Walczycie tedy, zwyciężacie — mówił z wolna.

— Tak.

— Dzięki Zwycięzcy? prawda?

Jeret przyświadczył skinieniem głowy.

— I gdyby Zwycięzcy z wami nie było — ciągnął Elem dalej, nie spuszczając z niego wzroku — to cała wyprawa nie mogłaby się udać, co?

— Bez wątpienia. Bez Zwycięzcy nic byśmy nie zdziałali.

— Nawet gdybyście mieli broń palną?

Jeret rzucił głową mimo woli i spojrzał na arcykapłana. Nie odpowiadał zrazu. Przemknęło mu przez myśl, że jednak... w tym przypadku...

— Broń palną mamy od Zwycięzcy — rzekł głośno z pewnym pośpiechem.

— Tak, już ją macie... od Zwycięzcy... — powtórzył Elem z wolna, jakby w roztargnieniu.

— Wasza Wysokość... — Jeret spojrzał znów ku drzwiom.

— Czy widziałeś wnuczkę Malahudy? — zapytał arcykapłan, zmieniając nagle ton.

Jeretowi twarz sposępniała. Zmarszczył brwi i nie odrzekł ani słowa. Elem tymczasem mówił dalej z przyjaznym uśmiechem:

— Pozostawiłem jej dawny pałac. Nie tyle ze względu na Zwycięzcę, którego te sprawy nie powinny właściwie obchodzić, jak przez pamięć o rodzie jej dostojnym... Czy wciąż poza Zwycięzcą nic nie widzi? — dodał, zwracając się wprost do Jereta — nawet teraz, kiedy jego tu nie ma?

Jeret ruszył niechętnie ramionami.

— Nie pytałem jej o to. Moja rzecz: wojna z szernami. O resztę się nie troszczę.

— Tak — rzekł Elem, odstępując nieco — tak, słusznie cię tutaj mają za największego bohatera ze wszystkich, jacy kiedykolwiek żyli na Księżycu... Posłowie poprzedni opowiadali, że to ty właściwie sprawiasz szeregi i ty właściwie odnosisz zwycięstwa.

— Wasza Wysokość! — krzyknął Jeret porywczo — proszę mi pozwolić odejść!

— Idź już — rzekł Elem z uśmiechem. — A pokłoń się Zwycięzcy do nóg ode mnie, który sługą jego jestem i psem na równi z tobą.

Młódź tym razem bez zapału, owszem, niechętnie nawet do szeregów się zgłaszała i Jeret z największym trudem tylko zdołał zgromadzić trzystu ochotników z bronią palną obeznanych, którzy zgodzili się powiększyć szczupły zastęp Zwycięzcy. Byli to przeważnie ludzie ubodzy, wyrobnicy i rzemieślnicy, w ciężkiej doli żyjący, którym błogosławione imię Zwycięzcy jeszcze nie przybladło. Ludzie, po wsiach i dalszych osadach mieszkający, odpowiadali wysłańcom Jereta ni to, ni owo, prawiąc im o uwięzionym starcu Chomie, na którego pono duch proroczy spłynął. Zamożniejsi i z zasady każdemu arcykapłanowi rządzącemu oddani, wyśmiewali wprawdzie Chomę, ale natomiast powtarzali słowa, które Jeret od Sewina był usłyszał, że Zwycięzca, o ile jest Zwycięzcą istotnym, bez pomocy obejść się winien i własną ręką szernów porazić...

Bractwo Prawdy zdziałało także swoje. Wprawdzie niewielu stosunkowo członków liczyło, ale byli to wszystko ludzie młodzi i najzapaleńsi, na których w innym przypadku mógłby był Zwycięzca liczyć najwięcej...

Wieczorem tłum dosyć liczny odprowadzał ochotników do sań przygotowanych, ale więcej wśród niego słychać było płaczu i pożegnań niż okrzyków zachęty, które rozbrzmiewały niegdyś szeroko, gdy sam Zwycięzca sanie na południe prowadził.

Z górnego tarasu świątyni patrzyła za odjeżdżającymi Ihezal. W białe puszyste futro szczelnie przed mrozem owinięta, poglądała zadumanymi oczyma, jak światła sań niknęły cicho w oddali — i chociaż zgasły już, patrzyła jeszcze długo w stronę, kędy zginęły. Potem weszła do wnętrza świątyni i wolnym, sennym krokiem zwróciła się ku wejściu do podziemnego sklepu, gdzie szern Awij był zamknięty.

A tymczasem na północy, na szerokiej równinie Roda z Mataretem i dziewięciu towarzyszami rozbijali obóz na nocne leże.

Mistrz, w miarę jak się zbliżano do celu wyprawy, snuł plany coraz fantastyczniejsze. Opowiadał szczegółowo, jak zamierza wozem zawładnąć i w jaki sposób uczynić go niezdatnym do użytku. A potem wymieniał warunki, na których gotów będzie zawrzeć pokój z przybywającym Zwycięzcą. A więc przede wszystkim odkrycie drogi do tajemniczej krainy na „tamtej stronie"...

Niegdyś żądał od przybysza, aby wszystkim tę drogę obwieścił, całemu ludowi — obecnie jednak po namyśle doszedł do przekonana, że lepiej będzie, gdy tajemnicę poznają tylko członkowie Bractwa Prawdy, a potem dopiero wedle potrzeby i uznania lud będą objaśniali... A nawet nie wszyscy stowarzyszeni muszą się od razu dowiedzieć. Są między nimi ludzie różni. Na razie wystarczy, gdy oni, jedenastu, usłyszą... Wreszcie, gdyby Zwycięzca się temu opierał, to niechże powie przynajmniej jemu i Mataretowi, a chociażby już tylko jemu. Ale od tego już nie odstąpi. On, Roda, znać musi wszystko, całą prawdę, którą zna i dzisiaj, ale jeszcze nie tak dokładnie, jak trzeba. W ogóle, jak tylko Zwycięzca powróci...

— A jeśli nie powróci? — przerwał mu Mataret.

— Jak to?

— Jeżeli zginie w kraju szernów, on i jego ludzie?

— Byłoby to fatalnie! — rzekł Roda skłopotany — naprawdę fatalnie! Nie mielibyśmy już środka, aby się dowiedzieć...

— I nic ponadto? — zapytał Mataret.

— Nie rozumiem cię.

— Przecież to jasne. Co się z nami stanie wtedy, jeśli szernowie będą w końcu górą? Czy myślałeś o tym?

— Po cóż takie rzeczy przypuszczać!

— Zapewne. Ja tylko zastanawiam się, czy nie słusznie by było naprzód wesprzeć Zwycięzcę, a potem dopiero stawiać mu żądania...

— Odkądże to takie rzeczy przychodzą ci do głowy?

— Od niedawna. Ale mniejsza!...

Roda zamyślił się.

— Wszakże Jeret, mówiłeś, miał zebrać posiłki — rzekł po chwili.

— Tak, posiłki. Zapewne. Nie mówmy już o tym.

Roda kilkakrotnie jeszcze wracał uporczywie do tego tematu, ale Mataret już nie odpowiadał. Uśmiechał się tylko wedle zwyczaju i patrzył wyłupiastymi rybimi oczyma

na góry czerniejące w dali na tle łuny pozachodniej, pomiędzy które wieść miała jutro ich droga...

Noc przepędzili na jednym miejscu w spokoju, nie posuwając się naprzód nie tyle z obawy mrozów, do których, jak wszyscy ludzie księżycowi, byli przyzwyczajeni, jak raczej z powodu nader obfitych śniegów, zaścielających cały kraj dokoła. Na tym puszystym i utrudniającym wszelki pochód całunie niepodobna się było orientować w nieprzeniknionej ciemności „księżycowej" nocy.

Następny dzień nie miał już dla nich wieczoru, bo nim słońce przechyliło się w stronę, kędy zwykle zachodzi, oni przedostawali się już krętym wąwozem w kotlinę wiecznego świtu na północnym biegunie Księżyca.

Tutaj przed wejściem w kraj otwarty złożono radę wojenną. Wszyscy byli zaopatrzeni w broń, w palną broń, której tajemnicę Zwycięzca przywiózł na Księżyc, i gotowi do czynu. Nie wątpili ani na chwilę, że przyjdzie im stoczyć ciężką walkę. Nie wiedzieli, jak liczna jest straż przy wozie, ale przypuszczali, że w każdym razie będzie liczniejsza od ich szczupłej garstki. Tę straż należało rozbroić albo pokonać.

Wprawdzie mistrz Roda nosił się przez pewien czas z zamiarem, aby wystąpić wobec czuwających żołnierzy z płomienną a ścisłą mową, w której by ich niezbicie przekonał o słuszności stanowiska Bractwa Prawdy i skłonił do uległości wobec swych planów, ale Mataret oparł się temu stanowczo.

— To nie prowadzi do niczego — mówił do mistrza — wyśmieją cię tylko i obiją w końcu, a tego próbowałeś już tyle razy, że nie warto jeszcze raz próbować dla próżnego popisania się wymową...

Roda zżymał się[275] zrazu, ale w końcu ustąpił, sam niezbyt snadź[276] pewny skutku swego kazania.

— Ale to tylko dlatego — mówił — że nie mam zgoła pewności, czy żołnierze na straży postawieni są ludźmi dość rozumnymi, aby słowa moje mogli pojąć, bo gdyby nie to!...

Ostatecznie postanowiono użyć siły. Zbliżyć się w przyjazny sposób do straży i wedle możności zabrać jej broń lub gdyby się to nie udało, na dany przez Matareta znak wymordować. Roda w zasadzie potępiał tę ostateczność i oświadczył stanowczo, że on sam zabijać nie będzie, ale przyznawał, że w danym razie może nie być innej drogi wyjścia. Zresztą cel Bractwa Prawdy jest tak wysoki, mówił, że można dla niego nawet nieco krwi poświęcić.

Trzeba było teraz przede wszystkim wóz wyszukać na rozleglej równinie.

Z opowiadań świadków wiedzieli, że spadł on był w pobliżu dawnych namiotów Braci Wyczekujących, które znajdowały się ongi u stóp wzgórz oddzielających biegunową kotlinę od *Wielkiej Pustyni*. Oni przybyli ze strony przeciwnej i aby się tam dostać, musieliby przejść środkiem rozległej i gładkiej płaszczyzny, narażając się na to, że obudzą przedwcześnie czujność strażników. Dla uniknięcia tego błędu postanowiono tedy wybrać drogę okólną, łańcuchami wzgórz, przedstawiającymi z powodu nierówności gruntu aż nadto dobrą zasłonę dla szczupłej garstki.

Droga była uciążliwa. Przedzierano się z wolna między omszałymi głazami, po śliskich, wilgotnych zboczach, nigdy słońcem nieoświetlonych. Chłód zionął z każdej szczeliny, przejmując dreszczem znużonych wędrowników. A płaszczyzna przed nimi była ciągle gładka; oczy, szkłami nieuzbrojone, nie mogły wyśledzić niczego, co by wskazywało miejsce, gdzie upragniony wóz Zwycięzcy mógł się znajdować.

Po kilkudziesięciu godzinach nad wyraz przykrego przedzierania się po bezdrożach, przez głazy i zarośla jakichś nibyskrzypów ogromnych, których mięsiste łodygi łamały się pod nogą przechodnia, kiedy już zatoczono większą część półkręgu ponad dnem kotliny, ukazały się oczom znużonych wzgórza obłe i łyse, na których niegdyś były groby Braci Wyczekujących.

Na grzbiecie, widne z dołu, czerniły się jeszcze kamienie ogromne, służące niegdyś trupom za oparcie. Za radą Matareta tutaj porzucono uciążliwy pochód stokami i posta-

[275] *zżymać się* — oburzać się, gniewać się.
[276] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

nowiono wydostać się śmiało na grzbiet w tej myśli, że stare grobowe kamienie wystarczą dla zamaskowania ich osób.

Na wysoczyźnie uderzyło ich w oczy słońce czerwone, idące już nad *Wielką Pustynią* w stronę Ziemi, wąskim, ku słońcu wygiętym sierpem błyszczącej na widnokręgu.

Oprócz Matareta i Rody jeden tylko z uczestników wyprawy widział niegdyś świętą Ziemię, kiedy go jeszcze jako chłopca nieletniego zabrali z sobą rodzice w pobożną pielgrzymkę do *Kraju Biegunowego*, gdzie Bracia Wyczekujący obiecanego Zwycięzcy wyglądali. Toteż cała gromadka stanęła w cichym podziwie, patrząc na ostry srebrzysty sierp wrzynający się w niebo czarne prawie z tej strony.

Jakieś onieśmielenie nagłe, niezmiernie do lęku podobne, ogarnęło tych ludzi. Przecząc wszystkim „bajkom" o Ziemi, poczęli z wolna i nieświadomie uważać ją samą także za bajkę i stanęli teraz w zdumieniu mimowolnym i dla siebie samych niespodziewanym, widząc ją jaśniejącą i ogromną na nieboskłonie. Młodzik, który widział ją był niegdyś jako dziecię wierzące, podniósł odruchowo dłoń do czoła, aby nakreślić Znak Przyjścia...

Zatrzymał rękę dość wcześnie i obejrzał się ze wstydliwym lękiem, czy kto nie spostrzegł podejrzanego ruchu. Ale nikt nie zważał na niego; wszyscy patrzyli na Ziemię w milczeniu. Naraz w ciszę wpadły słowa Rody:

— Tak, tak, to zupełnie naturalne, że ta bajka powstała, że musiała powstać nawet...

Głos jego brzmiał zrazu niepewnie, jak wymówka czy usprawiedliwienie raczej, ale wnet dźwiękiem własnych słów obudzony z ciężkiego uroku, począł mówić ze zwykłą sobie swadą i pewnością:

— Człowiek, aby dodać sobie we własnych oczach znaczenia i wynieść się ponad marność, którą czuje, szuka rad dla siebie początku wyższego niż to, co go otacza. Nie zdziwiłbym się nawet zgoła, gdyby bajka o ziemskim ludzi pochodzeniu starsza była niźli nasze wygnanie z raju, do którego drogi powrotnej właśnie szukamy. Może już tam, w miastach rozkosznych, pod *Pustynią* ukrytych, śniło się ludziom w długie, srebrnym blaskiem Ziemi rozjaśnione noce, że zeszli na Księżyc z tamtej pustej i bezpłodnej gwiazdy, która tak łatwo uwodzi oczy dziwną zaiste pięknością...

Mówił jeszcze długo w ten sposób, a uczniowie i towarzysze słuchali go w nabożnym skupieniu, usiłując śmiało poglądać na Ziemię uwodzicielkę.

Roda wyciągnął rękę:

— Patrzcie na te głazy dookoła nas i pomyślcie o dziwnym obłędzie człowieka! Popęd samozachowawczy i żądza jedynie rozumnego szczęścia, księżycowego, ustępują czasem przed myślą fałszywą, a jednak zdolną wbrew naturze określić czyny człowieka. Pokolenia całe spędzały życie w tej tu kotlinie, modląc się do martwej gwiazdy srebrnej, i całe pokolenia patrzyły spod tych głazów zmarłymi oczyma na tarczę jej zmienną, wyczekując razem z żywymi posła stamtąd, Zwycięzcy...

— Czyżby nie przybył w istocie? — bąknął Mataret półgłosem, w myślach zatopiony.

Roda dosłyszał i odwrócił się żywo ku mówiącemu:

— Z Ziemi?

Zapanowało milczenie. Po chwili dopiero Mataret wstrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Nie! mimo wszystko uważam to za niemożliwe.

Roda chciał coś odpowiedzieć, ale przerwał mu lekki okrzyk jednego z towarzyszów.

— Wóz! — wołał, wyciągając rękę w stronę zacienionej kotliny.

Odkrycie to wstrząsnęło wszystkich obecnych. Ci, którzy byli usiedli, zrywali się i biegli ku mówiącemu; tłoczono się i wytężano wzrok, aby zobaczyć ten upragniony cel wyprawy.

Jakoż wkrótce dostrzeżono go. Stał u stóp wzgórza, na łące, podobny z dala do lśniącego kamyka, na wpół ukrytego pośród zieleni. Straży nie było widać. Nieopodal jeno stał mały, niezdarnie sklecony namiot, niby szałas pasterski, także do połowy niskich ścian bujającą zielenią zarosły.

Niepodobna było przypuścić, aby w tej marnej lepiance wszyscy strażnicy się mieścili — ukryli się oni widocznie — rozumował Roda — w wygrzebanych dołach z góry zasłonionych w pobliżu wozu i czuwają tam bez przerwy wedle rozkazu Zwycięzcy. Jeżeli się ich nie uda zajść niespodziewanie, trzeba się przygotować na ciężką walkę.

Po krótkiej naradzie ruszono w dół, nie tracąc czasu. Każdy z jedenastu uczestników wyprawy, z gotową bronią, ukrytą pod odzieniem, szedł inną drogą, korzystając z każ-

dego załomu gruntu, z każdego głazu i szczeliny, ażeby się ukryć przed bacznym okiem śledzących niewątpliwie okolicę strażników. Czołgano się na brzuchu i przystawano z zapartym oddechem, kiedy kamień jaki potrącony przypadkiem w dół się stoczył, mogąc obudzić czujność straży.

Wedle planu mistrza Rody zbliżyć się mieli wszyscy do wozu najwięcej, jak tylko będą to mogli zrobić bez zwrócenia na siebie uwagi, a potem na dany świstawką znak rzucić się do walki... Znak miał dać Mataret. On jeden nie krył się — miał owszem iść prosto w stronę lepianki z góry widzianej i zająć wyłącznie swoją osobą ludzi wozu pilnujących.

Po godzinie Roda podpełznął tak blisko, że zaledwie kilkadziesiąt kroków dzieliło go od wozu. Ukrył się w kępie bujnego zielska, które wyrosło na zgliszczach stosu, kędy[277] niegdyś ciała pomarłych członków Zakonu spłonęły, i czekał umówionego znaku, drżąc na całym ciele. Przygnębiało go i rozstrajało to, że nie widzi przeciwników. Wychylał co pewien czas głowę ostrożnie spoza mięsistych i bujnych badyli, śledząc niespokojnym okiem przestrzeń, dzielącą go od wozu. Nie dostrzegł jednak nikogo — naokół[278] pustka była zupełna, a nadto nic nie wskazywało, aby tutaj przebywała jaka żywa ludzka istota. Zielsko bujało zewsząd swobodnie, nogą nieprzydeptane; okrom[279] rozpadającego się szałasu po drugiej stronie wozu nie było widać żadnej kryjówki, gdzie by się człowiek mógł przytulić.

Naraz dostrzegł Roda Matareta. Szedł on, brodząc w chwastach po kolana, ku lepiance i rozglądał się ze zdziwieniem dokoła. Roda widział, jak przystawał i schylał się niekiedy, badając grunt pod nogami. Doszedł wreszcie do chaty i zapukał pięścią w zaparte drzwi. Otworzono mu nierychło. Kto stał na progu, Roda z kryjówki swej nie mógł zobaczyć, ale widział plecy Matareta, rozmawiającego żywo z kimś, który był za drzwiami. Po chwili Mataret cofnął się i usiadł spokojnie na kamieniu pod ścianą. Z domu wyszła jakaś kobieta i opowiadała mu coś, pokazując na wóz rękoma.

Roda nie mógł dłużej wytrzymać. Nie bacząc, że plan cały może popsuć przedwczesnym ukazaniem się, wyskoczył z kępy zielska i pobiegł szybko ku lepiance. Mataret dostrzegł go i począł mu dawać znaki, wołając głośno, aby się zbliżył.

— Pójdźcie wszyscy! — zakrzyknął — nie ma niebezpieczeństwa.

Kobieta, spostrzegłszy wyskakujących nagle z zarośli ludzi, rzuciła się z przerażeniem do ucieczki, ale Mataret chwycił ją za rękaw...

— Nie bój się, przezacna! — zaśmiał się — oni ci nic złego nie zrobią!

Roda stał już przy nich.

— Co to jest? co to jest? — wołał.

Mataret patetycznym ruchem ręki wskazał trzęsącą się jeszcze ze strachu kobietę.

— Mam zaszczyt, mistrzu, przedstawić ci straż wozu Zwycięzcy! — rzekł.

Ale Roda się nie śmiał. Wściekłość jakaś się w nim zbudziła: czuł tylko, że go „znowu oszukano", nie zdając sobie sprawy, że się cieszyć raczej powinien z tego zawodu, iż spotyka tutaj zamiast zbrojnej straży jedną tylko wylęknioną kobietę.

— Kto ty jesteś? — krzyknął zwracając się do niej.

— Nechem, panie...

— Na licha mi twoje imię! Ale co robisz tutaj?

— Pilnuję wozu...

Odpowiedział jej chóralny wybuch śmiechu.

— Sama? — rzucił Roda, przygryzając usta ze wściekłości.

— Tak, panie. Tamci poszli.

— Kto? gdzie? dokąd? jak?

Kobieta padła przed nim w strachu na kolana.

— Nie gniewajcie się, panie! Wszystko wam opowiem. Ja nie jestem winna...

— Mów!

— Panie! Zwycięzca litość nade mną okazał. Dawno, dawno, owego dnia, kiedy na południe ku morzu stąd wyruszył... Służyć mu zawsze chciałam, ale on mnie nie potrzebował. Więc kiedy posłyszałam, tam przy *Ciepłych Stawach*, że straż do *Kraju Biegunowego*

[277] *kędy* — gdzie.
[278] *naokół* — dziś: naokoło.
[279] *okrom* — oprócz.

dla pilnowania wozu wysyła, uprosiłam ludzi, aby mnie wzięli z sobą, że im będę jedzenie przyrządzała i odzież łatała w razie potrzeby... Myślałam, że w ten sposób Zwycięzcy przydam się na co...

— Do rzeczy, do rzeczy! Gdzie jest straż?

— Odeszli, panie. Z początku było ich tu dwudziestu, ale tutaj jest kraj nudny i tylko Bracia Wyczekujący wytrwać tu mogli. Strażnicy tęsknili do domów i nie mieli tu co robić. Odchodzili więc po dwóch, po trzech, niby to na krótki czas, zdając pieczę nad wozem tym, którzy pozostawali. Ale żaden z nich, odszedłszy, nie wrócił. W końcu zostałam ja z dwoma najmłodszymi tylko. Aż i tym się znudziło. Nie wytrzymali. Poszli i oni, kiedy słońce stało na południu, ot ponad tymi górami. Mnie przykazali wozu pilnować, więc pilnuję...

— Nie jestże to przepyszne, co? — zaśmiał się Mataret. — Czcigodna Nechem jako jedyna niezłomna strażniczka wozu świętego!

Roda się żachnął.

— To jest łajdactwo! Taka ucieczka, takie lekceważenie nałożonego obowiązku!

— O co się ty gniewasz właściwie? — spytał Mataret półgłosem, patrząc na niego zdumionymi naprawdę oczyma. — Przecież na tej niedbałości strażników myśmy chyba wyszli najlepiej.

— Ale mogliśmy wyjść jak najgorzej! — oburzył się mistrz. — Pomyśl tylko, gdyby tu był kto przyszedł przed nami i zepsuł wóz...

— Nie byłabym dała! — krzyknęła Nechem i błysnęła zębami, gotowa jak zwierz rzucić się na każdego, kto by się ośmielił własność Zwycięzcy naruszyć. — Nie byłabym dała, panowie, chociaż jestem sama! Powiedzcie Zwycięzcy, który was wysłał, że wszystko jest w porządku...

Roda chciał coś odpowiedzieć, ale Mataret chwycił go szybko za rękę, dając mu znak milczenia.

— Tak, Zwycięzca nas posłał tutaj — rzekł, zwracając się do kobiety. — Mamy z jego polecenia stan wozu zbadać i donieść mu, czy wszystko jest w porządku...

— O! jeszcze jak! — zawołała Nechem z radosną dumą. — Oglądajcie! Po odejściu strażników ja wozu doglądałam i czyszczę go nawet. Świeci się jak złoto...

— Pewne części wozu kazał nam Zwycięzca zabrać z sobą — wtrącił Roda.

Nechem spojrzała na niego podejrzliwie.

— Pewne części zabrać, mówicie, panie?

— Nie, nie, uspokójcie się! tylko na przypadek gdybyśmy nie wszystko zastali w porządku — rzekł szybko Mataret, po czym odciągnąwszy Rodę na bok, tak aby ich Nechem nie mogła słyszeć, zwrócił się do niego z wyrzutem:

— Po co straszysz babę? gotowa nam przeszkodzić...

Roda rzucił głową pogardliwie:

— Każę ją związać zaraz!

— Nie potrzeba.

— Owszem. Zwłaszcza że obawiam się zdrady, podejścia, zasadzki. Strażnicy mogą powrócić. Może są gdzieś w pobliżu...

— Dlatego też trzeba nam działać niezwłocznie...

Mówiąc to, spojrzał na góry. Oświetlone były ich szczyty od strony północnej; słońce snadź zbliżało się ku Ziemi.

— Patrz! na tamtej stronie jest właśnie dzień...

— Więc co z tego?

— Nic. Śpieszyć się musimy...

— Bez wątpienia — rzekł Roda. — Ale Nechem będzie nam przeszkadzała rozebrać wóz, jeśli jej związać nie każę...

Mataret chwycił go znów za rękę.

— Czekaj. Pierwej wóz trzeba obejrzeć. I wewnątrz także. Wszak Zwycięzca wyjaśnił ci jego urządzenie?

— Tak.

— Więc pójdźmy...

Zbliżył się do wozu, około którego stało dziewięciu ich towarzyszów, podziwiając w niemym uwielbieniu nadzwyczajną machinę. Patrzyli oni na ogromny stalowy cylinder, wryty w grunt głęboko, z którego sterczał stożkowaty szczyt pocisku ze zwieszającą się na wpół zbutwiałą sznurową drabiną.

— Tędy snadź wchodził Zwycięzca — odezwał się Roda, wskazując na nią.

— Wejdźmy — rzekł Mataret.

Usta mu drgały nerwowo; w oczach miał blask niezwykły. Ręką chwytał już za sznur, pośpiesznie, chciwie. Wyglądał, jakby mu pierwszy raz w życiu pilno było do czegoś: zmieniony był nie do poznania.

Ale mistrz Roda nie patrzał na niego w tej chwili. Otoczony uczniami, wykładać im znowu począł, że Ziemia jest niezamieszkana, i wskazując pocisk, mówił, jak niedorzeczne jest przypuszczenie, aby taki kloc stalowy dolecieć mógł do Ziemi, niewątpliwie bardzo od Księżyca odległej. Mataret przerwał mu wreszcie zniecierpliwiony:

— Czy czekasz, aby strażnik który powrócił?

Roda spojrzał na wóz.

— Nie wiem, jak się wziąć do rzeczy... — szepnął.

— Zobaczymy. Naprzód trzeba zbadać wszystko...

Mówiąc to, zabierał się znowu do wchodzenia po drabinie. Ale sznury, w wilgotnym powietrzu zetlałe, rozlazły mu się w ręku, nim nogę zdążył w pętlę założyć. Zaczęto się tedy naradzać, z czego zbudować drabinę. Materiału żadnego nie było pod ręką, aż jeden z obecnych zwrócił uwagę na chatę, w której Nechem mieszkała. Postanowiono rozebrać dach i lichymi drągami podparte ściany i zbudować z tego rusztowanie, po którym by się można było dostać do szczytu pocisku, gdzie się znajdowała klapa wchodowa[280].

Kobieta podniosła lament, nie zważano na nią jednak teraz. Silne młode ręce rwały pośpiesznie nędzną budowlę; wbijano pale i wiązano je strzępami szat w braku sznurów. Roda przypatrywał się pracy bezczynnie, wydając tylko rozkazy.

Wreszcie wszystko było gotowe. Sklecono coś w rodzaju schodów, po których można się było dostać z pewnym trudem do otworu żelaznego cylindra i tkwiącego w nim pocisku.

Mataret szedł pierwszy, za nim Roda. Po długich bezskutecznych usiłowaniach udało im się wreszcie otworzyć klapę, wiodącą do wnętrza. Metalowa drabinka opuszczała się stąd aż do dna pocisku. Roda, spojrzawszy w dół, zawahał się:

— Nie mamy tam po co wchodzić, ciemno jest...

— Wejdź — rzekł Mataret popychając go z lekka.

Kiedy Roda zagłębił się w czeluści, Mataret, stojąc jeszcze na schodkach, zatrzasnął klapę za sobą. Jednocześnie zabłysło światło elektryczne, przez zamknięcie drzwiczek mechanicznie się zapalające.

— Co robisz? — zawołał Roda.

— Nic — odrzekł Mataret spokojnie i zeszedł w głąb.

Roda był dziwnie zaniepokojony, znalazłszy się tak sam na sam z towarzyszem we wnętrzu pocisku tajemniczego, ale wstydził się dać to poznać po sobie. Począł się tedy rozglądać dokoła i tonem nauczycielskim wyjaśniać Mataretowi mechanizm i urządzenie, co sam niegdyś od Zwycięzcy był posłyszał.

Mataret słuchał go z roztargnieniem, przypatrując się jednocześnie ścianom pocisku.

— To ten guzik, nieprawdaż? — odezwał się naraz, pokazując kościaną gałkę w metalowej oprawie, tkwiącą w ścianie za szybką cienkiego szkła.

— Jaki guzik? — spytał Roda.

— Ten guzik trzeba nacisnąć, aby... wyruszyć w podróż?

— Tak. Zdaje mi się... Ostrożnie! nie dotykaj! — dodał żywo, spostrzegłszy, że Mataret wyciąga rękę w stronę guzika. — Moglibyśmy wylecieć niechcący...

— Dlaczegóż niechcący? — rzekł Mataret z dziwnym uśmiechem.

Roda wzruszył ramionami.

— Wyjdźmy już. Dość długo tutaj siedzimy.

Mataret go zatrzymał.

— Czekaj. A gdybyśmy tak wyruszyli naprawdę „na tamtą stronę" we dwóch?

---

[280] *wchodowy* — dziś: wejściowy.

— Czyś oszalał?!

— Nie. Bądź co bądź Zwycięzca walczy w naszej sprawie, a potrzeba mu pomocy, bo inaczej padnie w wojnie z szernami... Można by mu tę pomoc sprowadzić z „tamtej strony"... Wesprą go zapewne, gdy się dowiedzą...

Roda stanął między Mataretem a złowieszczą gałką w ścianie.

— Wychodzimy stąd natychmiast! — rzekł. — Idź naprzód i otwieraj klapę!

Mataret się zaśmiał.

— Przeląkłeś się? Nie bój się! nie mam przecież zamiaru... To żart był tylko...

W tejże jednak chwili szybkim ruchem sięgnął ponad ramię mistrza i wepchnął gałkę w metalowy pierścień, rozgniatając szkło.

Lekki dreszcz wstrząsnął podłogą pocisku.

— Co robisz! — krzyknął Roda.

Mataret był blady.

— Nie wiem, czyś się nie omylił — rzekł. — Zdaje mi się, że stoimy w miejscu...

— Nacisnąłeś guzik?!

— Tak.

Roda rzucił się ku schodkom, ale Mataret go powstrzymał.

— Jeżeli jednak jesteśmy już w przestrzeni, nie można klapy otwierać. Tu musi być gdzieś okno...

Po długich poszukiwaniach odnaleźli metalową płytę w podłodze, zakrywającą gruby szklany blok.

Mataret przykląkł i patrzył długo. Gdy powstał, blady był jak trup, w oczach miał najwyższe zdumienie.

— Zdaje mi się, że lecimy na Ziemię — szepnął.

Roda rzucił się do okna i spojrzał. Tam pod ich nogami Księżyc uciekał z przerażającą szybkością — widać już było ogromną część *Wielkiej Pustyni*, od której oddalali się coraz więcej, pędząc w przestrzeń.

Roda opadł bez sił na podłogę.

— Na Ziemię, na Ziemię... — szeptał zmartwiałymi wargami.

— Tak — rzekł Mataret z cicha. — Zwycięzca mówił prawdę. Nie myślałem...

Wtedy Roda zerwał się nagle i krzyknął, przyskakując z pięściami do Matareta:

— Ależ Ziemia jest niezamieszkana! rozumiesz? niezamieszkana!! Ja ci zaraz udowodnię...

CZĘŚĆ TRZECIA

I

Nechem, wyrwawszy się z rąk członkom Bractwa Prawdy, biegła w błędnym przerażeniu przez równinę, gdy nagle posłyszała potworny huk za sobą i uczuła, że prąd powietrza rzuca nią gwałtownie o ziemię. Kiedy po pewnym czasie przyszła do przytomności i powstawszy, obejrzała się za siebie, zdało jej się zrazu, że naokół nic się nie zmieniło. Wóz sterczał wśród zielonych krzewów, jak dawniej, i cisza była zupełna. Zaczęła więc zawracać nieśmiało, poglądając, gdzie by się mogli podziać ludzie, czepiający się ścian wozu jeszcze przed chwilą.

Gdy jednak podeszła bliżej, zaniepokoiła ją zmiana, jaką spostrzegła. Zewnętrzny pancerz wozu stał wprawdzie w tym samym miejscu, co dawniej, ale brak w nim było stożka samego pocisku, sterczącego przedtem u wylotu. Zauważyła również, że rusztowanie, z resztek jej lichego domku wzniesione, zniknęło bez śladu. Przypomniała sobie, że gdy uciekając, obejrzała się raz, widziała członków Bractwa Prawdy uczepionych śmiesznie u wylotu maszyny, tuż około lśniącego szczytu właściwego wozu. Teraz nie widać ich było nigdzie. Tknęło ją jakieś złe przeczucie i szła ku wozowi z lękiem w zamarłym sercu, ostrożnie i gotowa w każdej chwili do ponownej ucieczki.

Na kilkadziesiąt kroków przed wozem potknęła się, a spojrzawszy na przedmiot, o który zawadziła nogą, wydała straszliwy okrzyk grozy. Była to głowa oderwana od ciała i pokaleczona ohydnie. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa — w przerażeniu nawet uciekać nie mogła. Potoczyła tedy błędnym wzrokiem dookoła: wszędzie leżały szczątki ciał, poszarpanych okropnie, razem z kawałkami zmiecionego rusztowania.

Nechem patrzyła przez pewien czas w niemym osłupieniu na to wszystko, czego zgoła nie rozumiała, aż nagle krzyknęła znów przeraźliwie i rzuciła się do ucieczki. Biegła, nie wiedząc sama, dokąd biegnie ani po co. Przewracała się na kamieniach, powstawała znów i gnała przed siebie, zadyszana, z sił opadająca i tą jedną tylko chęcią pędzona: znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, gdzie jakaś straszliwa i niepojęta dla niej rzecz się stała.

Po kilku godzinach doszła do krańca równiny i padła na mech wyczerpana. Odpocząwszy nieco, zaczęła się zastanawiać i gromadzić myśli rozpierzchłe, usiłując związać w jakiś sąd jednolity to wszystko, co spostrzegła. Ale było to tak nadzwyczajne, że przechodziło po prostu zdolności jej myślenia. Wóz, a przynajmniej część jego najważniejsza, środkowa, zniknęła — to było pewne. Zniknęła tak w jednym mgnieniu oka, jak gdyby się w nicość rozwiała. Słyszała przy tym huk straszliwy i czuła jakieś potworne wstrząśnienie powietrza, które ją o ziem rzuciło[281]. Była prawie pewna, że to samo wstrząśnienie stało się powodem okropnej śmierci uczepionych u szczytu wozu napastników, ale dalej nic już pomyśleć nie umiała. Co to wszystko znaczy? dlaczego się to stało? w jakim celu? z jakiego powodu?

Uczuła, że nie rozwiąże nigdy tej zagadki, i przestrach ją ogarnął na nowo. Stało się w każdym razie coś, co nie powinno było się stać — i kto wie, czy ona nie jest odpowiedzialna za to, co się stało? O strażnikach zbiegłych nie myślała wcale ani o tym, że gdyby wytrwali byli na posterunku, zdołaliby prawdopodobnie przeszkodzić temu napadowi, któremu ona oprzeć się nie mogła. Wiedziała tylko, że ci przybysze podeszli ją i sprowadzili dobrowolnie czy też nieumyślnie jakiś straszny wypadek, niedający się już cofnąć...

A Zwycięzca? Przeczucie mówiło jej, że nie stało się to z jego wiedzą ani wolą. I jeżeli teraz będzie się gniewał? Na nią, naturalnie na nią przede wszystkim, która była przy tym obecna i nie przeszkodziła niczemu. Trzeba może iść i wyznać? Albo raczej ukryć się i nie wspominać o tym nikomu? Nawet Zwycięzcy...

Ta myśl ostatnia zwłaszcza zapuszczała w jej mózgu korzenie. Poparło ją mimowolnie uświadamiające się rozumowanie: „Jeśli Zwycięzca jest wszechwiedny[282], to zupełnie zbyteczna[283] powiadomić go o wypadku, o którym wie sam z siebie — raczej ukryć się tylko przed jego gniewem należy. A jeśli wszechwiedny nie jest, to lepiej, że dowiedziawszy się

[281] *które ją o ziem rzuciło* — dziś: które ją rzuciło o ziemię.
[282] *wszechwiedny* — dziś: wszechwiedzący.
[283] *zbyteczna* — dziś: zbyteczne (jest).

o wszystkim przy jakiejś sposobności, nie będzie wiedział, że ona, Nechem, brała w tym jakikolwiek udział. W każdym razie — trzeba się ukryć".

Z tym postanowieniem, odpocząwszy nieco, puściła się krętym wąwozem ku południowi, zamyślając następnie rzucić się na zachód, ku zagubionym wśród gór osadom, aby tylko być jak najdalej od miasta przy *Ciepłych Stawach*, gdzie niewątpliwie Zwycięzca przebywa...

Bo nie wiedziała nawet, że morze ją w tej chwili dzieli od niego, wojującego z szernami w pobliżu drugiego bieguna Księżyca...

I Marek, stojąc na wale górskim, w Ziemię zapatrzony, jawiącą się na horyzoncie, nie przeczuwał zgoła, że wóz jego dąży właśnie z zamkniętymi w nim dwoma ludźmi ku tej rodzimej jego gwieździe.

Miało się pod wieczór i oczekiwał przybycia posiłków z Jeretem na czele. Walka stawała się coraz cięższa i sił już zaczynało brakować upadającym z bezsenności i trudu. Według odwiecznej reguły stali oni się teraz z napastników napastowanymi. Już nikt nie myślał o tym, aby szernów w ich gniazdach wydusić — chodziło teraz o to tylko, aby się utrzymać w zajętych pozycjach i nadejścia posiłków doczekać. Nie mówiono głośno o odwrocie, ale większa część wojowników myślała już o tym, jako o rzeczy nieuchronnej, która odwleka się tylko z powodu zbyt słabych sił garstki, mogącej przepaść w ciężkim pochodzie przez kraj, niedawno w tryumfie przebyty. Czekano tedy i wyglądano z utęsknieniem a niepokojem, czy Jeret z nowym zastępem nie idzie, z którym złączywszy się, raźniej będzie podążyć ku *Morzu Wielkiemu*...

Gwiazda Zwycięzcy bladła.

On sam nie mówił nic i nie zwierzał się nikomu ze swych zamiarów. Kazał jeno, odkrywszy śnieżystym żlebem wygodniejszą „drogę", powciągać na linach działa w dole zostawione, ustawił je na pozycjach, paszczami ku cudnemu miastu szernów zwróciwszy, i czekał. Działa stały nieczynne, gdyż amunicji było już niewiele; kroków zaczepnych nie przedsiębrano żadnych. Ograniczano się tylko do odpierania spadających wciąż znienacka szernów, których trupami zasłane już były wszystkie skały naokół.

Tak minął jeden jeszcze dzień, nieskończenie długi dzień księżycowy. Pod wieczór Zwycięzca, dotychczas niewzruszony, począł się widocznie niepokoić. Z najwyższego siodła przełęczy, otoczony garstką przybocznych strzelców, badał przez szkła całą okolicę, zwracając wzrok ciągle w stronę, skąd się spodziewał przybycia posiłków. Twarz mu się przeciągała i marszczył chmurnie brwi, nie mogąc wyśledzić wśród widnych stąd wąwozów żadnego znaku idących... Do zachodu słońca było już mało co więcej nad pięćdziesiąt godzin.

Miał już dać swoim ludziom znak do powrotu na wewnętrzną stronę górskiego pierścienia, gdzie z główną siłą leżał obozem, kiedy zastanowił go nagły ruch ku dołowi szernów, krążących dotychczas około jego wojska jak stada kruków nieodstępnych. Drgnęło w nim przeczucie, że Jeret idzie z posiłkami i szernowie chcą przeszkodzić połączeniu. Tedy zamiast wracać na swoją stronę, ruszył z ludźmi pędem w dół ku oddziałowi, zostawionemu dla pilnowania drogi, i rozkazał niezwłocznie rozpocząć ogień resztą amunicji.

Zachrzęściła broń ręczna i huknęły strzały w zawieszoną poniżej na śniegach chmurę szernów... I naraz, jakby boska muzyka, zagrała w uszach Zwycięzcy z dołu odpowiedź; strzelano i tam — Jeret szedł niewątpliwie.

We dwie godziny[284] później widać już było oddział, wdzierający się wśród nieustannej walki stromym żlebem do góry. Ludzie szli powoli, odstrzeliwali się bowiem często, a nadto obarczeni byli skrzyniami z amunicją i bronią. Marek wysłał im część swego oddziału ku pomocy.

Kiedy nareszcie na spadzistym śnieżnym stoku wojsko się połączyło i szernowie zniknęli w szczelinach skał, pozostawiając jeno gęsty trup poza sobą, Jeret, ociekły krwią i potem, zbliżył się do Zwycięzcy, aby mu zdać sprawę z poselstwa... Marek jednak nie słuchał.

— Później, później — przerwał mu. — Czy to już wszyscy, którzy przybyć mogli?

— Pozostawiłem za *Morzem* Anasza. — Może jeszcze jutro nieco ludzi przywiedzie... o ile dojść zdoła...

---

[284]*we dwie godziny* — dziś: w dwie godziny.

— Dobrze. Na odpoczynek nie ma teraz czasu. Obejmij dowództwo nad tymi wszystkimi i prowadź za mną na tamtą stronę, do mego oddziału.

— Czy nie lepiej by było tamtych tu wezwać? — rzekł, myśląc o odwrocie do kraju, jeden z podwładnych Marka, dotychczasowy naczelnik wojska po tej stronie przełęczy.

Marek, nie odpowiadając, ruszył w górę.

Przebyto śnieżną przełęcz i spuszczono się na zawieszoną wśród turni halę, gdzie główna część wojska spoczywała. Nowo przybyli zaczęli się witać głośno ze starymi wojownikami, którzy ze swej strony radośnie ich przyjmowali, pewni, że ich przybycie zwiastuje im rychły powrót do ojczyzny. Zapomniano prawie o obecności ubóstwianego niedawno Zwycięzcy i trapiono się tylko, że długa noc nadchodzi, którą trzeba będzie tutaj jeszcze przeczekać.

Zwycięzca tymczasem przerwał rychło powitania i ku niezmiernemu zdumieniu wojska kazał natychmiast rozdzielać amunicję i formować się w szeregi. Żołnierze posłuchali z nałogu, ale szmer niezadowolenia przebiegł między nimi. Niektórzy skarżyli się już głośno, że z sił opadają, i parskali półgębkiem, że cała wyprawa była próżnym a krwią kosztownym szaleństwem.

Dosłyszał to Marek i jakby w odpowiedzi rzucił Jeretowi rozkaz ustawienia ludzi przy działach, z dawna przygotowanych. Potem, spojrzawszy na chylące się słońce, zwrócił się do wojska:

— Mamy czterdzieści godzin do zachodu. Wystarczy. Będziemy nocowali w mieście szernów.

Krótkie te a niespodziewane słowa spadły na żołnierzy jak grom. Przez chwilę milczeli wszyscy oszołomieni, aż nagle zabrzmiał huczny okrzyk zapału. Ludzie, już chwiejni i gotowi już do sromotnego odwrotu, nawet ucieczki, poczuli znowu, że jest ponad nimi prawy Zwycięzca, z którym iść im trzeba na śmierć i na życie.

Marek nie dał ochłonąć pierwszemu uniesieniu i nie pozostawił swym ludziom czasu do namysłu. Huknęły działa, a pod osłoną ich ognia wojsko zaczęło się staczać pospiesznym krokiem w dolinę.

Na ten napad szalony szernowie nie byli snadź[285] przygotowani, zwłaszcza teraz, kiedy dzień się miał ku końcowi. Nie stawili też nawet gromadnego oporu. Zbiegali się jeno zewsząd luźnymi kupami, krążyli bezradni z krzykiem nad głowami prącego naprzód wojska i ginęli strasznie całymi masami, nie zdoławszy powstrzymać pochodu. Zwycięstwo, które, zda się, zostało już było w tyle na szerokich równinach, szło znowu przed ludźmi, jak za niedawnych dobrych czasów...

W kilka godzin, nie wstrzymując pochodu, zamiótł Marek większą część kotliny, napełniając krwią i trupami ciche, szafirowe stawy wśród łąk zielonych. Spotkane po drodze domostwa burzono pospiesznie niszczącymi bombami i walono wciąż naprzód ku miastu, na środkowym, skalistym stożku górskim zbudowanemu. Działa tymczasem, ze stoku zwleczone, zbliżały się za nimi i biły ponad ich głowami coraz straszliwiej w chwiejące się już mury...

Jeret patrzył na Zwycięzcę rozpłomienionymi oczyma. Nie mówił ani słowa, ale znać było, że widzi w nim znowu boga jasnego, zesłanego iście na Księżyc dla pogromu wrogów ludzkości, i wielbi go tym gorącej, że niedawno ośmielał się już był o nim wątpić.

A on — Zwycięzca — tymczasem, podprowadziwszy zastęp do stóp wzgórza, na którym wznosiły się bramy i wieże grodu, nie zatrzymał się i tutaj, lecz wskazał ręką niedostępne z pozoru turnie:

— Naprzód! naprzód! dopóki słońce nie zajdzie!

Łatwiej to jednak było rozkazać, aniżeli wykonać. Żołnierze padali dosłownie z wyczerpania, w gardłach im zasychało, ręce się trzęsły, a oczy oślepłe od błysku ustawicznych strzałów zaledwie zdołały rozróżnić drogę przed sobą.

— Wypocznijmy, panie! — wtrącił Jeret nieśmiało.

Ale Marek potrząsnął głową przecząco.

— Ani godziny — rzekł — słońce nam ucieka, a szernowie mogą się opamiętać!

— Połowa żołnierzy padnie...

— Tak, lecz druga połowa dojdzie za mną tam!

---

[285] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

Mówiąc to wskazał na wieże, błyszczące ostatnimi promieniami słońca, kryjącego się już za okolnymi turniami.

Ryknęły więc znowu działa i zaczęto się wdzierać na bystry stok, pod gradem pocisków i kamieni, z góry przez szernów sypanych.

Nie wiadomo, jaki byłby wynik tego szaleńczego szturmu, gdyby nie szczęśliwy przypadek. Kiedy żołnierze zaczynali się już mieszać i cofać mimowolnie, tak że lada chwila mógł zgubny popłoch wśród nich wybuchnąć, Nuzar, idący na przedzie obok Zwycięzcy, odkrył z wrodzoną sobie bystrością pod załomem skały wejście do pieczary, z wiodącymi wewnątrz w górę stopniami. Była to widocznie droga do miasta dla mieszkańców, chcących się podczas znużenia lub zbyt silnego wichru nogami zamiast skrzydeł posiłkować.

W tę ciemną szyję, zakrywającą przede wszystkim od pocisków z góry miotanych, wprowadził Marek natychmiast swoich junaków. Kute wrota, zapierające przejście w pewnej wysokości, wysadzono bez trudu wybuchem podłożonej miny i wspinano się wzwyż, strzelając na oślep przed siebie, aby drogę z nieprzyjaciół oczyścić.

Wreszcie rąbany w skale korytarz się skończył i wojownicy wyszli nagle na obszerną łąkę, na łagodnym stoku wzgórza ponad skałami już położoną. Z dołu widać jej nie było i oni też nie widzieli stąd swych towarzyszów, przy armatach pozostawionych, ale słyszeli ciągle łoskot strzałów bijących w mury miasta, które się wznosiło o kilkaset kroków wzwyż przed nimi. Marek kazał dać trzykrotną salwę, jako umówiony znak, aby ognia z dołu zaprzestano, i ruszył wprost na miasto wybitym w murach wyłomem.

Popłoch ogarnął szernów. Stała się snadź[286] rzecz dla nich zgoła niespodziewana, bo nie próbując już nawet obrony, zerwali się jak spłoszona chmura ptactwa drapieżnego i zaczęli uciekać w dół, zostawiając miasto zwycięzcom.

Słońce właśnie zachodziło, kiedy Marek, kazawszy wciągnąć na linach w dole zostawione działa, obwarowywał się na długą noc w opustoszałym grodzie. Ognie wszędzie rozpalono i czujne postawiono straże w obawie nocnego szernów napadu; część wojska stała na zmianę w pogotowiu, z ręką na broni, śledząc oczyma, czy gdzie nad głowami nie błyśnie słabym obrzaskiem czoło przelatującego szerna, aby go razić natychmiast strzałem niechybnym.

Marek tymczasem przy zapadającym mroku zamknął się samowtór z Jeretem w jednym gmachu ogromnym i sklepistym, w gruz się już od starości i niedawnych strzałów armatnich rozpadającym.

Siedział na jakimś głazie do starego ołtarza podobnym, z łokciami wspartymi na kolanach i z brodą w dłoniach ukrytą, i patrzył szeroko rozwartymi, nieruchomymi oczyma w płonące ognisko. Nieopodal na rozesłanej skórze legł Jeret. Raniony był w nogę rzuconym z góry kamieniem; na wychudłej od trudów i poczerniałej twarzy świeciły mu jeno oczy blaskiem gorączkowym. Uniósł się nieco na łokciu i opowiadał Zwycięzcy, gestykulując drugą ręką, dzieje przebytego dnia. Mówił, jak od morza aż po góry szli krajem pustym, spotykając po drodze jeno wystygłe zgliszcza, które ongi za pierwszym przejściem zostawiono — i jak na wstępie do kraju górzystego spotkał zastępy szernów, usiłujących w walce pochód jego wstrzymać. Prawił o trudach i wysiłkach niezmiernych i o bitwie nieustającej, gdzie każde staje[287] drogi trzeba było krwią kupować — i o grożącym już pogromie u stóp góry, od którego wybawiła go jeno dość wczesna pomoc Markowego wojska...

A Zwycięzca słuchał w milczeniu, zasępiony i nieruchomy. Jeno kiedy Jeret, o poselstwie wspomniawszy, opisywał zamieszanie i niechęć tam, w kraju ludzkim, brwi mu się zbiegły na chwilę i rzucił głową jakimś dumnym ruchem niechęci...

Młody wojownik wreszcie zamilkł i badawczym wzrokiem począł patrzyć w twarz Marka. Znać było, że drga mu na ustach powstrzymywane czcią pytanie: co dalej? Po czynie ostatnim i wprost niepojętym zwycięstwie wygubił w sobie wszelkie, jeśli jakie istniały, wątpliwości o posłannictwie i boskiej mocy jasnego z Ziemi przybysza, ale niemniej troska o przyszłość myśl mu ćmiła radosną. Wiedział, że choćby Zwycięzca walkę całą chciał dalej prowadzić, to żołnierze padną z trudu samego i wycieńczenia.

---

[286]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

[287]*staje* a. *stajanie* — daw. pozaukładowa miara długości; tu: chodzi zapewne o s. staropolskie wynoszące ok. 134 m a. s. austriackie równe 65,4 m.

I Marek to czuł także. Teraz w zdobytym mieście szernów, w górskiej, obronnej, a przecież wziętej pieleszy widział jaśniej niż kiedykolwiek, że o ostatecznym, nieodwołalnym zawojowaniu księżycowych pierwobylców nie może być nawet mowy. Potrzeba by na to lat całych i sił bez porównania większych niż te, jakimi ludzie tutaj w ogóle mogli rozporządzać...

Niewesołe dumania przerwało mu wejście kilku żołnierzy ze straży. Prowadzili oni szerna, ze starości już posiwiałego, którego ujęto w pobliskim gmachu. Ponieważ nie usiłował się zgoła bronić ani uciekać, więc go nie zabito, lecz wedle rozkazu Zwycięzcy, który kazał jeńców brać żywcem dla języka, przyprowadzono w zdrowiu przed jego oblicze.

Stary szern opończę na sobie miał przedziwną, gęstym a bezcennym szytą kamieniem, i obręcze z wyrabianego złota na ręku i nogach. Przywiedziony przed Marka, patrzył na niego ciekawie, ale spokojnie.

Marek przemówił do niego, ale on poruszył tylko głową na znak, że nie rozumie, i począł błyskać mętnymi światłami na czole. Wśród obecnych nikt tej mowy barwnej nie rozumiał — rzucono się tedy na poszukiwanie Nuzara i poddanych mu dwóch morców, ongi ujętych, którzy, wśród szernów w tym kraju wychowani, mogli prawdopodobnie służyć za tłumaczów.

Czekano więc na nich, a tymczasem począł Marek rozpytywać żołnierzy o okoliczności, wśród których szerna ujęli. Ci opowiedzieli mu rzecz dziwną. W wieży okrągłej, nieopodal gmachu, w którym się znajdowano, wzniesionej, trafiono, szukając noclegu, na sklep[288] zamczysty tuż pod samym szczytem...

Miasto całe było próżne i opuszczone: nikt w nim nigdzie dotychczas szerna nie znalazł, nie spodziewano się więc i tutaj zastać nikogo.

Sklep jednak był zamknięty. Sądzono, że szernowie, oknem przed najściem wrogów ulatując, drzwi zostawili zaparte. Wzięto się tedy do pracy, aby drzwi wyrąbać — ot, tak, bez myśli, można się bowiem było i gdzie indziej na nocleg rozłożyć...

— Byliśmy bardzo znużeni — mówił jeden z żołnierzy — to prawda, ale gdy się człowiek walką rozochoci, to choć z nóg spada, rad by jeszcze tłuc, co jest pod ręką... A przy tym ta wieża jest dziwna i zaciekawiała nas. Na ścianach około schodów są różne znaki, a z dołu widzieliśmy na płaskim dachu jakieś niepojęte przyrządy... Gdyśmy drzwi z wielkim wysiłkiem rozrąbali, bo mocne były i grube, wpadłem ja pierwszy do komnaty z tym oto towarzyszem moim i zobaczyłem szerna. Nie wiem, co mam o tym powiedzieć, ale gdy go zobaczyłem, pomyślałem zaraz, że to musi być szern zwariowany. Siedział bowiem spokojnie tyłem do nas i malował kamyki.

— Co robił? — zapytał Marek, nie rozumiejąc.

— Mówię: malował kamyki. Nawet się nie poruszył, kiedyśmy weszli. Tam izba cała jest pełna kamyków kształtu kulek, mało co większych od pięści i pokrytych w zupełności kleksami farb najrozmaitszych. Leżą w porządku na półkach. Oto wziąłem jeden na okaz.

Mówiąc to, podał Zwycięzcy sporą gałkę z kamienia toczoną, która pokryta była od jednego bieguna do drugiego gęsto zwiniętą linią spiralną, z drobnych plamek różnobarwnych złożoną. Marek wziął kulkę w rękę i przyglądał jej się długo, a potem zwrócił oczy na szerna. Jeniec drżał teraz cały, patrząc z najwyższym niepokojem na ręce Markowe. Zwycięzca począł gałkę podrzucać, jakby bawiąc się nią — oczy szerna biegały za nią, wciąż śledząc niemal każde jej poruszenie w powietrzu.

W tej chwili właśnie doniesiono, że przybywa Nuzar z towarzyszami. Morcy weszli i spostrzegłszy szerna, byli tak jego widokiem poruszeni, że zapomnieli nawet oddać zwykłego pokłonu Zwycięzcy. Patrzyli przez pewien czas na starego potwora, oniemiali i zalękli niemal, spoglądając z widocznym zdumieniem na pęta surowych rzemieni, które się wiły około przegubów jego dłoni, tuż obok lśniących złotych obręczy. Aż nagle Nuzar, rzuciwszy okiem na gałkę, w ręce Marka bujającą, wzniósł ręce w górę i obróciwszy się, runął przed Zwycięzcą twarzą na posadzkę.

— Tyś jest pan — wołał — tyś jest mocarz największy! Wielkiego Szerna pojmałeś, o którym tylko słyszały uszy nasze, bo oczom naszym widzieć go nie było wolno! A oto patrzymy na niego, jak stoi przed tobą, panem, i w pętach!

---

[288] *sklep* (daw.) — sklepienie; tu: sklepione pomieszczenie; komnata.

Dwaj towarzyszący mu morcy padli również na twarz, bełkocąc jakieś niezrozumiałe wyrazy. Po dłuższym czasie dopiero zdołał z nich Marek wyciągnąć niejakie objaśnienia...

Słyszeli oni z dawien wśród szernów, że w mieście jednym niedostępnym jest starzec wszechwiedny, Wielkim Szernem nazwany, stróż tajemnic wszelkich, spisywanych od wieków barwami na krągłych kamieniach. Za świętość i jedyną nietykalną istotę mają go szernowie, choć on nie rządzi ani nie rozkazuje. Oni sami nie chcą nic wiedzieć, uważając to za ciężar niepotrzebny i zapomnienie ceniąc nad inne dobro, ale on wie wszystko, a kiedy czuje zbliżającą się śmierć, wybiera następcę, którego wtajemnicza, aby snadź[289] wiedza nie przepadła...

Wielki Szern również spisuje wszystko ważne, co się staje, i ma nad tym pieczę. Morcy poznali go po płaszczu i złotych obręczach, a nadto po okrągłym kamieniu, których w kraju szernów, okrom[290] tego dostojnika, pod karą śmierci pismem pokrywać nie wolno.

Marek słuchał ze zdumieniem opowiadania, patrząc na starca ciekawie. A potem zapytał morców, czy zdołają się z szernem porozumieć?

Nuzar się stropił.

— Jeśli on zechce co mówić blaskami, wyrozumiemy może od biedy — rzekł — ale jemu głosem nic się nie powie, jeśli nie był nigdy wśród ludzi. Szernowie między sobą używają głosu tylko tak, jak ludzie ruchów rąk lub głowy, dla wyrażenia rzeczy najprostszych, gdy nie mogą sobie wzajem patrzyć na błyszczące czoła. Cóż mu tedy powiemy?

Mimo to Zwycięzca zażądał, aby spróbowali zapytać szerna, czemu nie uciekał razem z innymi? Nuzar się cofnął, nie czując się na siłach tego wyrazić; tedy dwaj pozostali morcy zaczęli wydawać dzikie i zgrzytliwe głosy, pomagając sobie przy tym pewnymi ruchami. Szern patrzył na nich pogardliwie, a po chwili błysnął czołem. Morcy, umilknąwszy, wpatrywali się z natężoną uwagą w przemykające blaski...

— Co mówił? — spytał Marek niecierpliwie.

— Powiada, że tak mu się podobało — odparł Nuzar z pewnym wahaniem w głosie.

— Jak to? i nic więcej?

— Nic, panie. Mówi, że mu się tak podobało.

Marek powstał i zbliżył się ku stojącemu nieruchomo szernowi. Potworne oblicze pierwobylca spokojne było i z lekka wzgardliwe, kiedy spoglądał na dwakroć wyższego od siebie olbrzyma. Nie znać na nim było ani śladu trwogi lub pomieszania; zaledwie cień ciekawości przeglądał z czworga krwawych, przygasłych oczu...

— Mówcie mu — rzekł Marek, do morców się zwracając — mówcie mu, że będzie żyw i wolny, jeśli zechce odpowiadać na moje pytania...

Morcy jęli znowu wyć i szczekać, gestykulując przy tym żywo, a gdy po pewnym czasie szern im coś odbłysnął, zwrócili się do Zwycięzcy z wyrazem zakłopotania w tępych twarzach.

— Powiada, że gdyby mu było na życiu zależało, byłby uciekł razem z innymi... Chciał tylko zobaczyć...

Morzec urwał.

— Zwycięzcę! — podpowiedział Nuzar szybko.

— Czy tak rzekł? Istotnie?

— Powiedział inaczej, ale nie śmiem...

— Mów!

— Grubego i głupiego psa chciał zobaczyć — dokończył morzec z kłopotliwym uśmiechem.

Wszelkie dalsze usiłowania wydobycia z szerna czegoś ponadto spełzły na niczym. Zdawał się być tak obojętnym na to, co go czeka i co z nim zrobią, że ani groźbą, ani obietnicą nagrody nie można go było zmusić do dawania odpowiedzi. Raz tylko, gdy Zwycięzca zapytał o treść ksiąg kamiennych, będących w jego przechowaniu, uśmiechnął się wyniośle i odparł:

— Idź a przeczytaj — po czym zapadł w niewzruszone już milczenie, cieniem na jego czole się objawiające.

---

[289] *snadź* (daw.) — tu: przecież.

[290] *okrom* (daw.) — oprócz.

Marek kazał go tedy odprowadzić do sklepionej komnaty na wieży i straż koło niego czujną postawić. Sam zaś, odprawiwszy morców i Jereta, wyszedł na dwór, aby odetchnąć nieco świeżym, mroźnym powietrzem...

Niebo było pogodne i gwiazdami wyiskrzone. Śnieg jeszcze nie padał, szron tylko obfity pokrył ulice i płaskie dachy domów kruchą powłoką. Marek, odkrywszy przy blasku wziętej z sobą latarni na wpół zrujnowane schody na szczyt kopuły gmachu wiodące, począł z wolna wstępować w górę. Głazy wąskiego przejścia zionęły jeszcze ciepłem, za dnia upalnego wessanym, w niepewnym świetle latarni majaczyły na nich resztki rzeźb jakichś i malowań, spełzłych już snadź przed wiekami i wieki całe w zaniedbaniu ginących... Na jednym miejscu, gdzie wznoszący się wciąż w górę korytarz rozszerzał się w rodzaj niskiej kolistej komnaty, zastanowiło Zwycięzcę malowidło dziwne, z szeregu stykających się kół złożone. Wzniósł latarnię i począł się przyglądać pobladłym resztkom...

— Nie omyliłem się — szepnął do siebie — ale to dziwne, to dziwne!...

Koła owe nie były niczym innym, jak mapami ziemskiego globu z różnych stron zdejmowanymi. Zatarty już rysunek nie pozwalał rozróżnić zbyt wielu szczegółów, ale znać było jeszcze, że mapy musiały być niegdyś wcale dokładne. Zarysy lądów, mórz i pasma górskie oznaczone były bez błędu, lubo[291] grubymi liniami... A ponad tym wszystkim ciągnął się pas falisty koloru czarnego z ceglastożółtymi na tym tle językami. „Czyżby to miało oznaczać w barwnym języku szernów przekleństwo dla gwiazdy znienawidzonej?" — myślał Marek, wstępując znów wyżej.

Po kilkunastu krokach trafił znów na szerszą niszę i znalazł w niej znowu rysunki podobne, jeno starsze bez porównania, tak że kształty ginęły prawie w szarzyźnie kamienia. I to była Ziemia niewątpliwie, ale jakaś inna niż ta, którą ludzie znają. Wewnątrz jednego z kół można było poznać coś podobnego do Europy, ale Morze Śródziemne było tu tylko wąskim, zamkniętym jeziorem, a głęboka zatoka morska wrzynała się z północy aż po Góry Karpackie...

Dziwne uczucie ogarnęło Marka. Nie wątpił, że ma przed sobą mapę rodzimego globu swojego z owych zamierzchłych epok przedhistorycznych, kiedy może nawet ludzie jeszcze nie istnieli, a oczy szernów patrzyły już na gwiazdę, na niebie czarnym ponad pustynią wiszącą...

Jakaś groza go objęła; przyspieszył kroku, aby się wydostać z tych dusznych korytarzy na szczyt kopuły...

Gdy stanął na niewielkiej platformie u szczytu, noc była na Księżycu nieprzenikniona. Cień gruby legł pod gwiazdami na mieście, na kotlinie całej i na górach, kryjąc przed okiem nawet białość ich śniegów. Jeno w stronie południowej lekki srebrzysty obrzask ponad piłą sczerniałych szczytów się znaczył — a Zwycięzca poznał, że to blask dalekiej Ziemi, tam pod widnokręgiem ukrytej...

Wyciągnął ręce z tęsknotą ogromną — i pociechą mu była myśl, że jeszcze kilka długich dni księżycowych, a poleci w błyszczącym wozie swoim przez niebieskie przestworza tam, do domu, zostawiając ten straszny świat bez żalu za sobą.

II

Słońce ukryte jeszcze było za okólnym wałem górskim i zaledwie śnieżne szczyty na zachodzie różowiły się u czół pierwszymi, złocistymi promieniami, kiedy Marek w towarzystwie Jereta i kilku ze starszyzny wyszedł na zwiedzenie zdobytego miasta.

Rad był, że noc już minęła, długa, ciężka noc, podczas której myśli posępne jak złowieszcze ptaki siedziały u jego wezgłowia, czekając jeno, rychło się z krótkich męczących snów przebudzi, aby go napaść całą chmarą. W tych godzinach czuwania, przy świetle płonącego na kamiennej posadzce ognia, czyn jego i to całe „zwycięstwo" w dziwnie ponurej stawały przed nim postaci. Rozumiał, że się pokusił na rzecz szaloną i zgoła, niestety, bezowocną. Miał miasto w posiadaniu i czuł już, że mimo woli więźniem w nim będzie... Gdy zasnął na krótką chwilę, budziły go zwidzenia nocnych napadów — zrywał się z łoża w przestrachu i biegł na mróz patrzeć, czy straże czuwają i czy nie błyszczą

[291] *lubo* (daw.) — choć, chociaż.

w górze pod zaćmionymi gwiazdami blade ogniki nadlatujących chmurą szernów. Cisza jednak była niezmienna i spokój. Szernowie snadź[292] nie chcieli się w cieniu nocnym na niepewną walkę narażać, czy też lękali się zimna, lub przestraszeni jeszcze świeżym pogromem sił dotychczas nie zebrali, dość że nic nie mąciło spokojnego snu zdobywców... Wracał tedy Marek do izby i zapatrzony w płonący ogień, usiłował snuć jakieś plany, przedrzeć myślą ten otaczający go mrok beznadziejny. Ale myśl, w jakąkolwiek stronę wysłana, grzęzła ciągle w jakiejś niemożebności zasadniczej, w niepodobieństwie wysnucia wniosku, mającego bodaj pozory sensu...

W końcu znużył się bezcelowym myśleniem. Nad ranem napadł go sen, blisko dobę trwający, z którego obudził się silniejszym i nadspodziewanie pokrzepionym. Nie zeszło na niego wprawdzie natchnienie i nie miał żadnego planu dalszego działania, ale przez reakcję swej zdrowej fizycznej natury popadł w pewną beztroską obojętność wobec wszystkiego, co może przyjść. Myślał już tylko o chwili obecnej, o tym, że jest w mieście zadziwiającym, kędy każdy głaz i każda budowla mogą mu opowiadać tajemnice nieśnione i nadzwyczajne.

Ubrał się tedy pośpiesznie i nie czekając wschodu słońca, wezwał orszak, mający mu w wycieczce towarzyszyć. Na wstępie jednak otrzymał przykrą wiadomość: Wielki Szern, wieczorem ujęty, znikł był w ciągu nocy bez śladu. Żołnierze czuwający nad nim przysięgali, że stać się to musiało jakąś siłą nieczystą, gdyż pomimo że więzień nie miał pęt nałożonych, drzwi celi zamknione[293] były szczelnie i bez przerwy strzeżone. Nadto zniknęły z nim razem malowane kamienie, które izbę wypełniały.

Marek, usłyszawszy tę wiadomość, zadumał się. Chociażby nawet przypuścić, że szern umknął, korzystając z chwilowego niedbalstwa straży, to gdzież się mogła podziać owa „biblioteka" z głazów, ważąca zbyt wiele, aby ją mógł unieść już niejeden, ale stu szernów nawet? A gromadę taką, przybywającą po kamienie, byliby przecież strażnicy niewątpliwie spostrzegli...

Nagłe błysnęła mu myśl, niby promień światła niespodziewanego. Zrozumiał, że Wielki Szern pozostał wyłącznie dlatego, aby ocalić swe „księgi", których niepodobna mu już było ukryć podczas nagłego i nieoczekiwanego snadź wtargnięcia ludzi. A teraz spełnił swoje zadanie i umknął. Spełnił zadanie, to znaczy, powrzucał cenne kamienie w jakąś tajemną i niewidoczną dla oka kryjówkę, może wewnątrz muru gdzieś wyżłobioną i głazem gładkim w ścianie zapartą, a uczyniwszy to, dostał się również tajemnym przejściem na dach i korzystając z nocy spłynął na szerokich skrzydłach niepostrzeżenie w dolinę.

Pierwszym odruchem woli chciał Zwycięzca wydać już rozkaz swym ludziom, aby celę przeszukali i w razie potrzeby jęli się łupania murów, byle tylko ukryte kamienie odnaleźć, ale zamiar ten zgasł w nim wnet sam, rozpływając się w uczuciu dziwnym i przykrym, a zawiłym.

Pochylił głowę i patrzył w milczeniu na otaczających go ludzi... Przez jedną krótką chwilę miał wrażenie, jakby był spólnikiem[294] tych pogromionych[295] szernów i bronić miał skarbu ich wiedzy przed niszczycielską ręką ludzkich barbarzyńców. Otrząsnął się wnet z tego, ale zarazem przyszło mu na myśl, że z kamieni owych on, choćby je odnalazł, nic nie skorzysta, nie będzie bowiem mógł snadź[296] nigdy odczytać barwnego ich pisma, a trudu będzie musiał i czasu poświęcić wiele na walenie muru, kto wie czy nie bezowocne... Nie odrzekł tedy ani słowa żołnierzom, wieść mu przynoszącym, i szedł wolnym krokiem przez miasto...

Domy wszędzie były kamienne i rzadko który z nich miał drzwi na poziomie ulicy. U największej części okna tylko było widać koliste i płytkie przed nimi balkony, często sterczące tylko belki kamienne, do wzlotu snadź mieszkańcom służące. Budowle to wszystko były stare i od długich wieków snadź niepoprawiane. Kamienie sypały się z górnych piętr, doły obrastał w wilgotnym cieniu mech jakiś, dając gmachom pozór skał samorodnych.

---

[292]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[293]*zamkniony* — dziś: zamknięty.
[294]*spólnik* — dziś: wspólnik.
[295]*pogromiony* — dziś: zgromiony.
[296]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

Do jednego z takich domów wszedł Marek i minąwszy sień ponurą i ciasną, znalazł się niespodziewanie w sali okrągłej, z niesłychanym urządzonej przepychem. Posadzkę kamienną pokrywały tu futra strzyżone i barwione wzorzysto[297], do tkanych dywanów na pierwszy rzut oka nader podobne. Broń jakaś dziwna wisiała na ścianach i makaty a rzeźby niewysłowionej roboty. Na niskich kwadratowych sofach leżały porzucone tkaniny purpurowe i miękkie, pełne ostrej jakiejś upajającej woni... W skrzyniach, ze składanych kawałków rzezanej kości sztucznie zdziałanych, spoczywały całe bogactwa naczyń drogocennych, pereł i kamieni. Miedziane wygasłe czary na kutych trójnogach stały między sprzętami i pośród zwierciadeł z nieznanego czarnego metalu.

Drzwi nad wysokim kamiennym progiem otworzone wskazywały drogę, którędy uszli mieszkańcy...

Marek, schyliwszy się w zbyt niskim na wzrost jego otworze, wyszedł na balkon, w powietrzu przy szarym murze zawieszony.

Słońce wschodziło właśnie, połową tarczy zza zębatej piły szczytów leniwie się wychylając. Promienie jego złociły już miasto, nie grzejąc jeszcze zbytecznie. W dolinie, u stóp wzgórza, opar się snuł białawy, podobny do morza, pierścieniem gór zamkniętego, pośród którego sterczał jeno samotnie skalisty ostrów, miasto na sobie dźwigający.

Uczucie beznadziejnego osamotnienia ogarnęło Zwycięzcę. Pojrzał po towarzyszach i z twarzy ich zrozumiał, że czuć oni muszą to samo. Oto są tutaj — garstka ludzi zuchwała — doliną i górami, i krajem szerokim, i morzem od domów swoich odcięci; zdobywcami są niby i w mieście wroga gospodarzą, a nie wiedzą nawet, co się wokół nich dzieje pod tym całunem mgły, całą kotlinę zaścielającym...

Dumał tak Zwycięzca, kiedy na ulicach miasta budzić się jęły głosy niespokojne — nieliczne zrazu, a potem coraz tłumniejsze. Żołnierze biegli w zamieszaniu i pytali o wodza. Dostrzegł to pierwszy Jeret z wysokiego balkonu i zwrócił się ku Markowi.

— Zwycięzco — rzekł — stało się coś niedobrego; szukają cię.

Marek obrócił głowę w głąb ulicy, starając się na próżno wyrozumieć coś z dolatującego zgiełku. Ale Jeret słuch miał widocznie bystrzejszy, czy też lepiej gwarę swoich współziomków rozumiał, bo posłuchawszy nieco, rzekł przyciszonym głosem:

— Szernowie napierają...

Nie było czasu do stracenia. Marek ruszył powrotną drogą na plac przed gmachem, kędy[298] noc przepędził. Kiedy mijał znów bogatą komnatę, przyszło mu na myśl, że to jednak szczególna[299], iż tyle skarbów w mieście zostało po uchodzących szernach, a tak mało żywności, której szczupły zapas z trudem się tylko udało żołnierzom jego zgromadzić. Najpierw pomyślał o tym obojętnie, ale potem myśl powróciła do niego z przeraźliwą jasnością. Wszakże to z pewnością nie jest przypadek! Szernowie unieśli z sobą zapasy, albo też zniszczyli je, o ile im tylko na to czas w śpiesznej ucieczce pozwolił, oddając raczej w ręce wrogów skarby i martwy dobytek! A teraz... teraz?

Na placu wojsko oczekiwało wodza z niecierpliwością. Garść żołnierzy, na noc u stóp wzgórza pozostawiona, powróciła była właśnie, napadem szernów zdziesiątkowana. Pozostali przy życiu opowiadali, że kotlina cała roi się od strasznych pierwobylców, którzy miasto gęstym otaczają pierścieniem z widocznym zamiarem uwięzienia i ogłodzenia zuchwałych zdobywców...

Marek, otrzymawszy tę wiadomość, spojrzał w twarz Jeretowi. Ten stał z pochyloną głową i namarszczonymi brwiami.

— Co mamy robić? — zagadnął Zwycięzca.

Młody dowódca wzruszył ramionami.

— Ty mnie się pytasz, panie? Zdziałałeś czyn boski, gród szernów niedostępny zdobywając, a teraz...

Urwał i zamilkł.

Marek nie pytał już więcej. Chmurny, ale stanowczy rozkazał wojsku szykować się do opuszczenia tak krwawo wziętej twierdzy.

Kiedy szeregi stoczyły się pośpiesznym marszem ze skalistego zbocza, mgły się już na dole rozwiały, odsłaniając całą obszerną zieloną kotlinę. Czerniła się ona teraz od szer-

[297] *wzorzysto* — dziś: wzorzyście.
[298] *kędy* (daw.) — gdzie.
[299] *szczególna* — dziś: szczególne; rzecz szczególna.

nów, zewsząd ją zalegających. Zwycięzca wzniósł rękę, wskazując towarzyszom daleki wał górski...

To, co się teraz dziać zaczęło, podobne być mogło tylko do zamętu, jaki powstaje w pełnym ulu, kiedy przejść chce przezeń żuk-niszczyciel. Ludziom broniącym się ręce mdlały i ból łamał karki, zdrętwiałe od wznoszenia głowy ku spadającemu z góry wrogowi.

Każdą piędź przestrzeni trzeba było zdobywać, każdy krok krwią okupować. Szli jak rębacze w puszczy dziewiczej, z tą jeno różnicą, że nie martwe kłody i pnącze ścinać musieli, ale wśród żywych ciał żelazem przejście sobie czynić. A kotlina przed nimi zdawała się rosnąć w nieskończoność...

Oparli się wreszcie o stawek kolisty i tu pod nadbrzeżnymi skałami stanąwszy, zaczęli sobie gęstą strzelbą mościć drogę ku górom. A kiedy atak szernów osłabł na chwilę i zbite zastępy rozpraszać się zaczęły, ognia nie mogąc wytrzymać, ludzie, nie czekając, ażeby się wróg opamiętał, ruszyli skokiem naprzód, siekąc po drodze zapóźnione w ucieczce luźne kupy.

Tak z wolna posuwali się ku górom, patrząc oślepłymi od dymu i błysku strzałów oczyma na ten niebosiężny wał skalisty, jak gdyby on im miał być ucieczką i ochroną...

Nadziei tej Marek nie podzielał; owszem, był przekonany, że z chwilą wstąpienia na stok górski bitwa się jeno zaostrzy, gdyż szernowie zechcą wyzyskać niedogodne położenie wdzierających się w górę żołnierzy. Poglądał też często ku śnieżnemu grzbietowi, starając się wyśledzić czatujących w zasadzkach szernów, gotowych staczać z góry gruz i kamienie... Na szczęście jednak obawy okazały się płonnymi. Czy to, że szernowie, mimo przeważającą liczbę, znużeni byli walką, nader dla nich kosztowną, czy też po prostu nie przypuszczali, że ludzie zdołają żywcem przedrzeć się przez kotlinę: dość, że nie pomyśleli zgoła o obsadzeniu górskiego przejścia. Odstąpili nawet od niego, kiedy oddział Marka zaczął się wdzierać na stok, dając opadającym ze znużenia ludziom chwilę odetchnienia...

Żołnierze odsapnęli niewiela[300] i pożywiwszy się nieco, ruszyli znów w górę, nie zwłócząc. Marek szedł w przodzie, czujne mając oko na wszystkie strony — w tył jeno[301] nie śmiał się oglądać, aby nie liczyć szeregów, do połowy niemal stopniałych. Przewagę dawała mu tylko broń palna — toteż teraz drżał na myśl, że szernowie, złupiwszy poległych, mogą zabrać ich broń i naboje i zwrócić przeciw pozostałej garstce. Tym bardziej tedy gnał do pośpiechu, czując, że jedyne ocalenie jest już tylko w ucieczce.

Ludzie zagadywali go czasem: „Zwycięzco!" — a on za każdym razem, kiedy to miano posłyszał, zaciskał usta boleśnie, jak gdyby mu szyderczą obelgę w twarz rzucono. Zresztą pochód uciążliwy odbywał się w milczeniu, przerywanym jeno czasami zgiełkiem coraz rzadszych walk z dopędzającymi oddział szernami. Stawano tedy na krótką chwilę i bito napastników kulami — i posuwano się znowu naprzód, byle wyżej i wyżej.

Na przełęczy Marek zarządził dłuższy odpoczynek. Żołnierze znużeni, nie bacząc już na nic, niepamiętni niebezpieczeństwa wciąż grożącego, rzucać się na śnieg zaczęli i zasypiali tak w okamgnieniu, jakby ich śmierć nagła ogarniała. Niewiele czasu upłynęło, a Zwycięzca stał już tylko sam, patrząc pod blask słońca na opuszczoną kotlinę.

Przetarł ręką czoło i powieki, jak gdyby sen z oczu chciał spędzić. Bo naprawdę snem mu się to wszystko teraz strasznym wydało: walka i przedziwne miasto zdobyte, i potem ten odwrót najkrwawszy... Ciche, śnieżne góry były dookoła niego i tam w dole kotlina cicha leżała, zielona i stawów pełna tęczowych, w blasku słońca uśpionych. Myśl jego ginęła w jakiejś dziwnej próżni.

„Po co, po co to wszystko?" — zapytywał się w duchu tak szczerze i nie znajdował odpowiedzi na to proste pytanie...

Z wolna obrócił oczy ku południu, w stronę bieguna.

Lekki, biały, kulisty obłok ponad górami.

Ziemia.

Wyszła już z pierwszej kwadry i zbliżała się z wolna do pełni, górnym rąbkiem swej tarczy widna oczom Zwycięzcy. Cisza była naokół niezmierna, świat cały księżycowy zamarł w blasku słońca, niskim łukiem po niebie biegnącego.

---

[300] *niewiela* (daw.) — dziś: niewiele.
[301] *jeno* — tylko.

Marek zadumał się. Szeroko rozwartymi oczyma patrzył teraz na Ziemię i myślał, jak ciężka walka go jeszcze czeka, nim będzie mógł po skończonym trudzie powrócić tam — na rodzinną swoją planetę. I myślał także, co ludziom księżycowym po sobie zostawi. Nie dokonał wprawdzie i wie już, że nie dokona podjętego dzieła: szernów wytępić do imienia[302] na Księżycu niepodobna — ale ogniem i mieczem przeszedł całą wrogów krainę i nauczył tych strasznych pierwobylców bać się człowieka i jego broni, a zastęp zbrojnych jego towarzyszów, choć zdziesiątkowany, umie teraz stawić czoło szernom w otwartym boju i zwyciężać ich, jeśliby się kiedyś jeszcze pokusili o zawojowanie ludzkich dziedzin...

Pocieszał się tymi myślami i tym jeszcze, że kiedy powróci szczęśliwie do ludzkich osad, przed odlotem na Ziemię uporządkuje tam stosunki, nada prawa wydziedziczonym i uciśnionym, mocnych nauczy sprawiedliwości i miłosierdzia...

Byle wracać! byle wracać co prędzej!

Zerwał się i zaczął budzić uśpionych żołnierzy. Wstawali niechętnie, ociągając się, na wpół jeszcze nieprzytomni i ciężkim snem pijani. Marek jednak nie dopuścił już żadnej odwłoki. Ledwo byli na nogach, kazał im schodzić w dół, ku równinom, ku morzu.

Południe zastało ich już u stóp gór pierścienny; przed nocą spodziewali się być na równym kraju padolnym[303].

Jakoż rzeczywiście raźno posuwano się naprzód. Odwrotu ich szernowie prawie nie niepokoili, nie można było bowiem brać pod uwagę drobnych utarczek zwycięskich z przypadkowo napotykanymi gromadami, które po jednej lub dwóch salwach szybko się rozpraszały. Pierwobylcy widocznie, krwawym nauczeni doświadczeniem, nie ufali swym siłom w pustym i odkrytym kraju. W żołnierzy wstępował duch wesoły. Cieszyli się, przeczuwając (Marek bowiem tego nie mówił), że idą do domów i będą mogli odpocząć po niesłychanym trudzie. Jeret tylko patrzał przed siebie ponuro i unikał coraz więcej widoku Zwycięzcy.

O pewnej godzinie popołudniowej, kiedy wchodzili już na rozległe równiny, Marek zbliżył się do niego na postoju. Nie mówili dawno z sobą, toteż Jeret drgnął, kiedy usłyszał niespodziewanie głos Zwycięzcy.

— Jeret — rzekł on — chciałem się z tobą naradzić...

— Jestem tu, panie, aby słuchać twoich rozkazów.

Marek skinął na niego i wyszli obaj poza obóz na małą wyniosłość ponad płynącą leniwie rzeczułkę. Widać stąd było nieliczne namioty (resztę ich w walkach utracono bezpowrotnie) i krzątających się dookoła nich żołnierzy. Obdarci byli i słońcem opaleni; na wychudłych ich twarzach rysowały się wyraźnie ślady przebytych trudów. Poruszali się jednak żywo, znosząc wodę w wiadrach na uwarzenie strawy — straże obchodziły obóz miarowym krokiem z bronią na ramieniu. Marek patrzył przez pewien czas w milczeniu na ten stopniały do połowy zastęp wiernych swoich towarzyszów, aż naraz zwrócił się do Jereta z zapytaniem:

— Co myślisz o tych ludziach?

— Byliśmy ci wszyscy wierni i spełniliśmy, co leżało w naszej mocy, Zwycięzco...

— Dlaczego nazywasz mnie ciągle „Zwycięzcą"? — zauważył Marek.

Jeret nie odrzekł ani słowa. Więc Marek zapytał znowu po chwili:

— A o mnie co myślisz?

Teraz młody dowódca wzniósł na niego oczy i odparł szczerze:

— Nie wiem.

Marek uśmiechnął się.

— Mniejsza. Nie o tym chciałem mówić... Dostałem się między was na Księżyc i pełnię trud, który wziąłem na siebie dobrowolnie. W krajach, które odtąd, gdzie stoimy, ciągną się ku morzu, mieszkali niegdyś szernowie. Nie zdołaliśmy ich w górach wytracić, ale te żyzne łany przed nami są wolne. Oddam je ludziom na posiadanie.

— Nim ludzie tu przyjdą — ozwał się Jeret po chwili — szernowie powrócą do swych zburzonych miast na nizinach i trzeba będzie nową walkę toczyć.

— Nie. Ludzie tutaj już są i nie powinni pozwolić szernom na powrót.

Jeret spojrzał na niego zdumiony.

---

[302] *do imienia* (daw.) — całkowicie.

[303] *padolny* — tu: dolinny.

— Ty byś chciał, panie?...

— Słuchaj mnie — rzekł Marek, przerywając mu. — Myślałem nad tym długo, co wypada robić, i wahałem się nawet... To sąsiedztwo szernów w górach nie jest bezpieczne ani wygodne, ale niepodobna nam już opuścić zawojowanego kraju, jeśli cała wyprawa nasza nie ma być zgoła bezowocna. Tam, z tamtej strony morza, zaczyna wam być ciasno — tutaj są ziemie bujne i bogate... A od szernów przecież będziecie się umieli bronić... Tych krajów nam już opuszczać nie wolno.

Jeretowi nagle rozbłysły oczy.

— Zwycięzco! więc my nie idziemy do domów?

— Z radością to wyrzekłeś...

— Tak, panie. Z radością. Bo ja... nie mam tam nic...

Urwał i sposępniał nagle. Marek zrozumiał, że Jeret myśli o dziewce. Wyciągnął dłoń i dotknął z lekka jego ramienia...

— Jeret — rzekł — wierz mi, że nie masz powodu...

— Nie mówmy o tym, panie. Rad jestem, że krew nasza nie na próżno była rozlana. A obawiałem się już, że zechcesz nas odwieść stąd...

— Ale czy wy pozostać zechcecie?

— Ludzie są zmęczeni i pilno im do domów. Myślę jednak, że zostaną, gdy im ty, Zwycięzco, rozkażesz. Początkowo będzie tu ciężko, bo szernowie zapewne pokoju nam nie dadzą. Zostaniemy jednak, dopóki inni nie przyjdą, aby się tutaj już osiedlić, i obrony stałej nie utworzą.

— Czy i ty chcesz tu pozostać?

— Tak. Na zawsze.

— Jak wolisz! Myślałem zabrać cię z sobą.

— Nie. Wracaj, panie, sam nad *Ciepłe Stawy* i ucz ludzi prawa...

— Poczekam na Anasza. Wedle tego, coś mówił, powinien by dzisiaj przywieść posiłki...

— Sądzę, że jutro spotkamy go nad morzem lub na naszym dawnym szlaku w głąb kraju...

Zamilkł na chwilę. Po jakimś czasie dopiero Marek ozwał się znowu, patrząc z boku na zadumanego młodzieńca:

— Osadnicy zapragną tutaj pobudować domy i założyć rodziny... Czyś i ty?...

— Ja?

— Tak. Zamierzałeś niegdyś pojąć w małżeństwo... wnuczkę Malahudy. Czy mam ci ją przysłać tutaj, powróciwszy za morze?

Jeret spojrzał mu prosto w oczy.

— Panie, czy ty sądzisz, że wnuczkę Malahudy można komuś przysłać?

— Myślę, że mnie posłucha, gdy jej powiem, że taka jest moja wola...

— A jeśliby cię posłuchała, czy sądzisz, panie, że ja ją zechcę wziąć z twoich rąk?

Nie mówiono już więcej o tym.

Namioty zwinięto rychło i ruszono znowu na północ, ku morzu. Nad większymi rzekami i w pobliżu wybrzeża miano dopiero zostawić załogi.

Przed zapadającym wieczorem spotkano Anasza z niezbyt liczną, ale dobrze uzbrojoną garścią ludzi. Opowiadał, że przybycie jego z posiłkami opóźniły trudności, jakie miał ze strony rządzącego arcykapłana Elema, a także niespodziewany napad szernów od strony *Przesmyku*, który jednakże odparto z łatwością dzięki pomocy Malahudy.

— Czyjej? czyjej pomocy? — zapytał Zwycięzca.

— Malahudy — powtórzył Anasz wyraźnie — dawnego arcykapłana. Zaginiony starzec zjawił się niespodziewanie w najgorętszej chwili, właśnie w porze, kiedy wszyscy głowy potracili, i objął dowództwo nad zbrojnymi, którym Elem nie umiał przewodzić. Napastników otoczono i wybito do nogi.

Na nocnych już leżach, nim mróz począł ogarniać krainę, wezwał Marek złączone oddziały i objawił im swój zamiar pozostawiania załóg w zdobytych ziemiach. Przyjęto tę wieść bez zapału, ale też i bez szemrania. Rozumieli wszyscy, że trzeba utrzymać to, co się tak krwawo kupiło — i że jedyny na to jest sposób: zaludnienia tych niedostępnych dotychczas nodze ludzkiej okolic.

Tedy Marek oddał głos Jeretowi, który wezwał ochotników, chcących z nim na posterunku pozostać — przynajmniej do czasu, nim osadnicy nowi zza morza nadpłyną. Ludzie zgłaszali się z wolna, zwłaszcza spośród świeżo z Anaszem przybyłych; ale i między weteranami nie brakło takich, którzy byli gotowi stanowić przedmurze dla przyszłych miast i wiosek człowieczych.

W końcu zebrał się zastęp wcale pokaźny, który można już było na kilka, dość silnych, rozdzielić. Zwycięzca zostawił tym ludziom wolność podzielenia się ziemią do woli, zastrzegając tylko, że pewne obszary mają być zawsze własnością gromadzką, nigdy zaś osobistą.

Dziwnym się żołnierzom wydal ten rozkaz, przyjęli go jednak bez protestu i święcie zachować poprzysięgli, zwłaszcza kiedy posłyszeli, że jest to wstęp do nowych i zbawiennych praw, którymi Zwycięzca chce ludność nowego kraju uszczęśliwić.

Pierwszą osadę postanowiono założyć na miejscu, gdzie właśnie noc przepędzono — i tutaj na przyrodzonym szlaku wiodącym od gór w kraje nizinne zostać miał Jeret z garścią co najwyborowszego[304] męża, jako stróż i naczelnik.

Rankiem, gdy reszta obozu, oprócz pozostających, ruszyła dalej, żegnał się z nim Zwycięzca, wzruszony myślą, że po raz ostatni ściska drobną, a tęgą dłoń wojownika... Gdy miał już odejść, drgało mu jeszcze na ustach pytanie, co ma złotowłosej Ihezal powiedzieć, jeżeli go o niego zapyta, ale spojrzawszy w posępne oczy Jereta, uścisnął mu tylko dłoń jeszcze raz, żywo i gorąco, i odszedł bez słowa...

I tak posuwano się ku morzu, zostawiając załogi po drodze, w miejscach na osady dogodnych a obronnych, aż gdy w późnej popołudniowej godzinie zobaczono z dala rozfalowaną siną przestrzeń wody, mała już tylko garstka została przy Zwycięzcy. Nad morzem spotkano oddział pilnujący sań zostawionych. Tutaj pozostawał jako naczelnik Anasz, który na razie miał jeszcze odprowadzić Zwycięzcę do starego kraju i wrócić z osadnikami.

Słońce zachodziło, kiedy sanie, przygotowane już do drogi, oczekiwały na piasku, rychło[305] mróz nocny zetnie morze szklistym pomostem. Marek, rozciągnięty na wybrzeżu, patrzył na łunę zachodnią. Paliła się szeroko, czerwieńsza i krwawsza niźli zazwyczaj, jakby symbol ostatni i pożegnalny owych długich dni, pełnych trudu, mordu i pożogi... Zwycięzca przypomniał sobie ostatni wieczór przed wyjazdem i jasną głowę Ihezal na piersi swojej opartą — i wzniósł ręce w milczeniu, jakby Bogu bez słów dziękując, że trud jego największy jest już ukończony i że wraca do kraju, skąd rychło odleci na zawsze z Księżyca...

Łuna tymczasem nie gasła, lecz zdawała się owszem zażegać coraz szerzej i krwawiej, pół nieba prawie obejmując. I nagle dziwny strach przeniknął Marka, jak gdyby ten pożar niebieski i ta krew po zachodzie słońca nie tylko przeszłe dni znaczyła, lecz miała dla niego być zarazem wróżbą jakiegoś losu strasznego...

III

Wieść o napadzie szernów na ludzkie dziedziny przyszła tym razem od zachodu i wywołała niesłychany popłoch. Zbiegowie z rybackich krajów nad brzegiem morza w okolicy *Przesmyku* donieśli, że zbliża się oddział pierwobylców, nie wiadomo skąd przybyły — i pali i morduje wszystko po drodze... Nikt nie myślał stawiać oporu. Uciekano tylko na wschód, ku miastu przy *Ciepłych Stawach* z jękiem a przekleństwami. Wołano już głośno, że Zwycięzca zapewne poległ, a z nim i wszyscy towarzysze — i teraz zacznie się zemsta szernów nieuchronna a straszliwa. Ludzie łamali ręce w bezradnym przestrachu i cisnęli się dokoła arcykapłańskiego pałacu, wołając na próżno Elema, aby się ukazał i lud swój ratował.

Elem nie wychodził. Zamknięty w komnatach, stracił głowę zupełnie i nie wiedział wprost, co począć. Nie wierzył on wprawdzie, aby Zwycięzca był już zgubiony, ale słysząc za oknami przekleństwa miotane na głowę tego do niedawna bożyszcza ludu i zarazem głosy wzywające jego, jako arcykapłana, aby w tym nieszczęściu dał pomoc i ochronę: poczuł całkowitą bezsilność władzy swojej i stanowiska.

---

[304] *najwyborowszy* — dziś: najbardziej wyborowy.
[305] *rychło* (daw.) — szybko.

Szeregów sprawiać nie umiał, nie mógł stanąć na czele zbrojnych, aby opór stawić strasznemu wrogowi, a czuł, że nawet w razie odwrócenia zguby, jaka grozi rodzajowi ludzkiemu, chwieje się pod nim tron arcykapłański, i musi coś radzić, coś postanowić, jeżeli nie chce, aby w razie cudownego ocalenia zejść musiał w cień z zajmowanego dotychczas stanowiska.

Lud tymczasem burzył się w trwodze i rozpaczy. Odzywały się głosy, że należy się ukorzyć przed szernami i błagać ich o zlitowanie, a zwłaszcza Awija, który mógłby być pośrednikiem. Byli tacy, którzy nie namyślając się dłużej i nie czekając już rozkazu arcykapłańskiego, pchać się zaczynali do świątyni i domagać się, aby ich puszczono przed oblicze dawnego wielkorządcy...

Gdy Sewin doniósł Elemowi o tym ruchu, zadumał się on na chwilę głęboko. Myśl jakaś poczęła mu świtać w głowie. Nie wierzył, aby Awij, więziony długo i dręczony, zechciał być po uwolnieniu łaskawym pośrednikiem między ludźmi a swymi zwycięskimi w tej chwili współziomkami; byłoby to przypuszczenie stanowczo nazbyt optymistyczne... Sądził jednak, że więzień może się stać poniekąd środkiem ocalenia, jako zakładnik, i może zechce dla bezpieczeństwa własnego życia przez pisma jakieś skłonić napastników do pokojowych układów. Postanowił tedy sam z szernem się rozmówić.

Sewin ogłosił z okna ludowi tę wolę arcykapłańską, a on sam kazał tymczasem wdziewać na siebie uroczyste szaty. W skarbcu po dawnych arcykapłanach strojów była wielka obfitość, Elem jednak wybrał stamtąd tylko klejnoty co najjaśniejsze, nakazując się oblec w suknie nowego wyrobu, jaskrawsze i więcej barwne od starego odzienia. Chciał okazałością i przepychem postaci swojej olśnić oczy szernowskie, spodziewając się, że w ten sposób zewnętrznie moc swą okazawszy, skłonniejszym go zrobi do uległości...

Awijowi o zaszłych wypadkach doniosła Ihezal. Zaszła do podziemnej komnaty bez zamiaru mówienia z więźniem o czymkolwiek, z przyzwyczajenia raczej, które stało się już jej wewnętrzną potrzebą. Ludzie odsuwali się od niej coraz więcej. W miarę jak gasł urok Zwycięzcy, w dalekim kraju w niepewnych walkach zagubionego, poczynano i na nią patrzeć inaczej, gorszym i podejrzliwszym okiem. Zapomniano nawet, że była wnuczką Malahudy, ostatnią latoroślą odwiecznego arcykapłanów rodu, a widziano w niej już tylko strażniczkę szerna i przeto zaczęto ją za istotę nieczystą uważać. Młodzież podziwiała po dawnemu piękność jej uwodzicielską, ale w podziwie owym była jakby obawa, jakby nienawiść prawie.

Spoglądano na nią z daleka i mówiono po cichu rzeczy dziwne. Byli tacy, którzy przypisywali jej siły nadprzyrodzone i zgubne. Mówiono, że przenosić się może niewidzialna z miejsca na miejsce i umie zsyłać wzrokiem mór i chorobę. Doszło do tego, że ludzie, mijając ją, kreślili zbawienny Znak Przyjścia na ustach — znak, który przez wypełnienie czasów stracił już był dawne swoje znaczenie, ale mimo to zachował się wśród ludu jako środek odżegnania wszelkich złych uroków.

Ihezal nie szukała też niczyjego towarzystwa; dziadka nawet przestała od dawna odwiedzać. Miała sama wrażenie, że wzbiera w niej złość i jad, jak u lśniącego gadu, zamknionego w miejscu, gdzie nikogo kąsać nie może. Wzgardzona i odepchnięta, ludźmi zaczęła gardzić nawzajem ze zdwojoną siłą, zwłaszcza że mimo wszystko czuła swoją moc nad nimi. Wiedziała, że kiedy się ukazuje na stopniach świątyni, ci, którzy uciekają, aby szat jej nie dotknąć, poglądają bokiem w oczy jej czarne i na jedno jej wezwanie gotowi by się złemu zaprzedać, byle tylko w godzinę śmierci dłonie jej poczuć na czole. I była to rzecz dziwna, że im więcej się jej bano i więcej unikano, tym moc jej tylko wzrastała.

Lubiła czasem doświadczać tej siły. Stawała na progu świątyni i pętała oczyma przechodnie[306], wabiąc ich na chwilę nieodpartym uśmiechem, aby w tymże okamgnieniu odwrócić się od nich, jak od martwego i zgoła obojętnego przedmiotu... A czasem znowu wzbierała w niej pogarda bezbrzeżna i zła, aż bolesna prawie, kiedy przechodziła wśród niechętnego sobie tłumu z zastygłą twarzą i zaciśniętymi ustami, nie racząc nawet rzucić okiem koło siebie albo odpowiedzieć na rzadkie pozdrowienie... W tych godzinach kryła się w mrocznej głębi opuszczonej świątyni albo wyzywając hardo potępiające ją głosy, szła do podziemnego sklepu, aby spędzać długie chwile w towarzystwie Awija.

[306]*pętała oczyma przechodnie* — dziś B.: (...) przechodniów.

Sama rzadko mówiła, ale słuchała coraz chętniej dziwnych opowieści szerna, który jej prawił o kraju swoim i o miastach na pustyni martwych, i o żywych miastach wśród gór, które legną pokonane może u stóp Zwycięzcy, ale mu nigdy tajemnic swoich nie rozewrą... Po rozmowach takich wychodziła często na dach świątyni i patrzyła na szerokie morze. Ku *Wyspie Cmentarnej*, ciemnym zarysem na lśniącej powierzchni się kładącej, ku falom, które szły z dala, ruchliwe i ciągłe, ku widnokręgowi dalekiemu w sinych mgłach, słońcem przepojonych... I wtedy przychodził jej na myśl Zwycięzca. Czasem jak ze światła i mgły przedwczorajszej usnute, dawne wspomnienie — czasem jak fala dziewczęcej krwi gorącej, co bije nagłym, rozkosznym uderzeniem w usta i w piersi, paląc je silniej niż słońce pod lekkim odzieniem, że wyrwać się chcą spod zasłon i ochłodzić w rzeźwym powietrzu lub mdleć pod pocałunkami...

Ale najczęściej myślała o nim z dzikim, namiętnym żalem. Czemu moc jej swoją pokazał i odszedł od niej, jak gdyby nigdy nie był jej widział? Dlaczego ważniejsze były mu walki i dobro ludzi, i jego posłannictwo — niż ona, kwiat i perła —? Usta jej wzdymały się krwawym szyderstwem; szła znów z powrotem do jamy potwora, aby słuchać obelg i bluźnierstw, przeciw tamtemu jasnemu miotanych... A czasem ukrywała się w ciemnym zakątku pod alabastrową kolumną i trzęsła się od łkań wewnętrznych, niezdolnych przez oczy łzami wytrysnąć.

Owego dnia wieść o najeździe szernów doszła Ihezal, kiedy rankiem wracała znad morza. Nie umiałaby powiedzieć nawet, kto ją jej przyniósł i kiedy... Widziała ludzi biegnących, ale nie obchodziło jej to zgoła, dlaczego biegną i o co krzyczą. Zaledwie słyszała dźwięk ich zalęknionych głosów... Minęła tak jedną grupę i drugą, i dziesiątą — i o nic nie pytając, nie nadsłuchując niczego, spostrzegła, wchodząc na stopnie świątyni, że wie już o wszystkim.

Kilka służebnic czekało ją w przedsionku; chciały jej coś mówić, o czymś opowiadać, lecz ona odprawiła je bez słowa skinieniem dłoni i szła prosto do dawnego skarbca...

Awij dnia tego posępny był i mrukliwy. Nie odpowiadał jej na pytania, nie prawił zwykłych, długich, dziwnych a straszliwych powieści... Kilkakrotnie powtarzał tylko, jakby tonem rozkazu: „Puść mnie, rozwiąż!".

I teraz to były pierwsze słowa, którymi przywitał wchodzącą złotowłosą. Zgojone od dawna skrzydła rozpostarł, o ile mu na to pozwalały łańcuchy — i krwawe światła zaczął wydobywać z siebie.

— Puść mnie! — zakrzyknął wreszcie — puść mnie! Czuję, że wiatr jest nad morskimi falami i słońce. Puść mnie, wolnym chcę być!

— Z mojej łaski?

— Mnie łaski wyświadczyć nie można. Stoję daleko poza tym wszystkim, co wy łaską, litością albo krzywdą nazywacie. Chcę być wolnym przez wolę swą, której ty jesteś narzędziem.

— Nie jestem.

— Będziesz.

— Zginiesz, jeśli cię uwolnię.

— Nie zginę. Jeśli rozkujesz moje więzy, będę królem nad tobą, będę królem nad tą tłuszczą psów, a przez jak długi czas? Cóż to kogo, ciebie lub mnie obchodzi?

— Współbraci twoich Zwycięzca wycina.

— Kamień, lecący z góry, miażdży krzewy po drodze, a przecież spadnie nisko i leżeć już będzie na wieki. A krzewy odrosną. My mamy moc.

— Tymczasem ty jesteś w więzach i ja cię mogę bić, jeśli mi się spodoba.

— Mówisz tak do mnie, abyś sama słowa swoje słyszała, bo czujesz, że jesteś niczym wobec mnie... Słowo, Siła

Ihezal zbliżyła się z wolna do potwora i jąwszy ułomek laski, porzucony gdzieś w kącie, zamierzyła się, chcąc go w twarz uderzyć. Szern nie drgnął nawet. Rozwarł tylko szeroko czworo swoich krwawych oczu, do czterech nieruchomych ogni w tej chwili podobnych.

Ihezal opuściła rękę bezwładnie.

— Awij! Awij! — krzyknęła mimowolnie.

Cofnęła się w głąb, krzyżując ręce na piersiach.

— Ziomkowie twoi napadli nasz kraj — rzekła po chwili zgoła niespodziewanie.

Szern nie okazał zdziwienia ani radości. Milczał przez pewien czas.

— Za wcześnie — ozwał się wreszcie. — Jeszcze nie nadeszła pora...

Dalsze słowa przerwało mu wejście posłańców arcykapłana.

Weszło ich do celi sześciu, chłopów rosłych i tępych, którzy minąwszy Ihezal, jakby jej nie widzieli, zbliżyli się wprost do więźnia, zarzucając mu pętle na uwolnione z okuć dłonie. Po dwóch trzymało sznury z każdej strony; dwaj pozostali poczęli żywo rozkuwać żelaza i otwierać kłódki, przywierające szerna do kamiennej ściany.

— Co robicie! — krzyknęła Ihezal.

Nie odpowiedzieli jej wcale, jeno targnęli uwolnionego więźnia i pociągnęli na linach za sobą ku górze. Ihezal poszła z wolna za nimi.

W pośrodku świątyni na tronie arcykapłańskim siedział Elem w całej okazałości uroczystych, klejnotami wszelkimi błyszczących szat. Otaczali go kołem dostojnicy miasta i stolicy. Zebrani byli wszyscy, jakby na roki lub gody, lecz wzrok ich, mimo zewnętrzną powagę, biegał co chwilę niespokojnie ku wrotom świątyni i znać było, iż najlżejszy szelest ich straszy. Gdy szerna przyprowadzono, patrzyli na niego, jak gdyby oni byli skazańcami, a on sędzią, los ich w ręku trzymającym. Elem jeno zachowywał jeszcze pozory mocy i godności.

— Wiedz — rzekł do byłego wielkorządcy — że bracia twoi w zamorskim kraju są pokonani i zniszczeni na wieki. My jednak chcemy litosierdzie łaskawe okazać nad nimi, zwłaszcza nad tobą...

Przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu, którego w piersi mu brakowało.

Wtedy szern niespodziewanie zapytał:

— Czy daleko od wałów waszego miasta są zwycięscy szernowie? Widzę bowiem po was, że się boicie: i barwne szaty nie mogą zakryć podłych strachów waszych.

Zaległo głuche milczenie.

Elem oprzytomniał pierwszy i uniósłszy się nieco na siedzeniu, odezwał się, jakby nie zauważył hardego szyderstwa w głosie skrępowanego szerna:

— Istotnie niedobitki waszego rodu, pogromem przepłoszone, wpadły tu do naszego kraju, ale gotów jestem nawet darować im życie...

— Cha, cha! — zaśmiał się szern.

— Tak, darować im życie, jeżeli...

— Co?

— Zechcą ustąpić.

— Cha, cha, cha!

Twarz Elema sposępniała.

— Inaczej zginiesz ty, nim oni murów miasta dosięgną.

— Czego chcecie ode mnie?

— Ostrzeż ich, napisz, powstrzymaj... Jesteś tu naszym zakładnikiem. Wyślemy posła...

— Kto z was pójdzie z moim poselstwem?

Zrobiła się cisza. Nikt nie dawał odpowiedzi i nikt nawet myślą nie szukał śmiałka, który by się odważył posłować, wiedząc, że idzie na pewną śmierć i na męki. Awij to zrozumiał.

— Uwolnijcie mnie — rzekł.

Elem się zawahał.

— Kto nam zaręczy, że uwolniony, zechcesz nas chronić, a nie mścić się?

— Ja wam ręczę — rzekł wielkorządca — że uwolniony mścić się będę, a nie chronić was. Lecz jeśli mnie nie uwolnicie, zemsta będzie jeszcze straszniejsza!

Arcykapłan chciał mu coś odpowiedzieć, ale w tej chwili przeszkodził mu ruch, powstający nagle u drzwi świątyni. Wbiegali ludzie z krzykiem i lamentem — słychać było głosy, że szernowie palą już osady w pobliżu miasta — z wałów widać ścielące się szeroko dymy... Popłoch naraz zapanował. Dostojnicy porywali się z siedzeń, niektórzy z nich cisnęli się w zalęknieniu około tronu Elemowego, jak gdyby ratunku lub schronienia od niego czekając.

Elem stał bezradny, niezdolny nad tym zamieszaniem zgubnym zapanować...

Szern wtedy, targnąwszy się na linach, wstąpił na podniesienie tronu i zacharczał:

— Do nóg moich, psy! na twarz, na twarz! Skomleć mi tutaj o życie, którego wam nie dam!

Nie wiadomo co by się było stało, bo odruchowo w nieprzytomnym strachu niektórzy ze starszyzny i ludu zatoczyli się już, jakby mając runąć pod nogi potwora, gdy nagle u wrót świątyni zabrzmiał potężny, znajomy głos:

— Ludu! stój!

Obejrzeli się wszyscy. Na niskiej z kwadratowego głazu kazalnicy obok wejścia stał Malahuda. Szarą miał szatę na sobie, bez oznak żadnych i ozdób, na której odcinała się tylko długa, siwa broda, ale z postawy jego całej biło dawne, przemożne dostojeństwo. Znać było, że przyszedł ująć władzę w tej ciężkiej chwili.

— Malahuda! Malahuda! arcykapłan! Cudem się jawi! — poczęto krzyczeć ze wszech stron i cisnąć się ku niemu.

A on, objąwszy okiem świątynię, powstrzymał napór i uciszył zmieszane gwary jednym ruchem dłoni.

— Szerna odprowadzić do lochu — rzekł — a lud na plac, przed świątynię. Tam wydam rozkazy.

Rzucono się na Awija i wepchnięto w mgnieniu oka do podziemia, gdzie pachołkowie przywiązali go znów do kamiennej ściany. Tłum tymczasem zaczął się ze świątyni przez szerokie wrota na dziedziniec wywalać.

Malahuda przeczekał, aż cała fala podle[307] niego przepłynęła, po czym ostatni wyszedł z opustoszałej hali, nie rzuciwszy nawet okiem na Elema, w głębi nieruchomo i samotnie siedzącego.

Ze schodów zwrócił się wprost na arcykapłańską mównicę, górującą nad placem. Powitano go zapamiętałym okrzykiem radości. Wiatr rozwiewał jego długi, biały włos, nienakryty kołpakiem ani złotą obręczą nie spięty — dłoń, którą wzniósł nad tłumem, bez pierścieni była i bez arcykapłańskiej laski, a jednak ugięli się wszyscy na jego znak i zamilkli, aby rozkazów wysłuchać.

Dawny arcykapłan przemawiał krótko. Polecił kobietom, dzieciom i starcom rozejść się do domów, a na placu zgromadzić się wszystkim zdolnym do wojennego trudu. Oddzielnie kazał Anaszowi zebrać i uszykować mężów obeznanych z użyciem broni palnej.

— Zwycięzca — rzekł (po raz pierwszy przed ludem wymówił to miano, do Marka je stosując) — Zwycięzca nie zginął ani nie upadł. Bądźcie przekonani. Gdyby było inaczej, szernowie nie małą garstką, o której słyszę, ale całym zastępem byliby się tutaj na nas zwalili. Ten napad to widocznie ostatnia ich próba ratunku. Spodziewali się popłoch tutaj wywołać. Niechże zamiast tego zastaną mężów i zgubę znajdą ostateczną. Wiodłem was nieraz do boju i dzisiaj jeszcze w braku młodszych powiodę.

W kilka godzin zebrane szeregi z Malahudą i Anaszem na czele wysypały się z murów miasta, dążąc na zachód, ku rozwleczonym po horyzoncie dymom.

W mieście oczekiwano tymczasem wieści niecierpliwie. Jakoż przyszła wcześniej, niż myślano. Wnet po południu, zaledwie burza ucichła, przybiegli pierwsi posłowie, donosząc o zwycięstwie. Garstkę zuchwałych szernów otoczono znienacka i wybito do nogi, tak iż żaden z życiem nie uszedł.

Zapanowała radość nie do opisania. Lud wybiegał przed bramy, ażeby powitać zwycięskiego starca, tak w porę przybyłego — wołano już, że musi on na nowo zasiąść stolec arcykapłański na miejsce niegodnego Elema. Ale radosne poselstwa spotkały tylko Anasza, wracającego na czele zwycięskich szeregów. Malahuda zniknął.

Nie taił wprawdzie, teraz odchodząc, że się ukrywa na *Wyspie Cmentarnej*, ale nakazał zarazem, aby mu nikt nie śmiał samotności przerywać.

Obwieścił to Anasz ludowi i powiedział jeszcze, że Malahuda kazał mu nie odstępować od pierwotnego zamiaru i zawieść w nocy posiłki Zwycięzcy za morze. W mieście utworzone tylko być miało pogotowie dla obrony na wszelki przypadek.

Lud był dotknięty i oburzony odejściem Malahudy. Odczuwano to jako wzgardę ze strony dumnego starca i w gniewie zapominano nawet, że on przed niewielu godzinami zjawieniem się swoim ocalił miasto może od hańby i zagłady. Z nastroju tego skorzystał co rychlej Elem, posyłając między lud Sewina, który w formie pogłoski rzucił myśl, że to sam arcykapłan wezwał starca ku obronie, znając jego większe doświadczenie w rzemiośle wojennym.

---

[307] *podle* (daw.) — obok, wzdłuż.

Zresztą tak prędko się to stało i pozornie z taką łatwością, że ludzie wkrótce przestali wierzyć w istnienie niebezpieczeństwa, przed którym drżeli niedawno, i ze śmiechem, a jeszcze więcej z pewnym przykrym wstydem i tylko niechętnie wspominali o minionym popłochu. Tego dnia szernowie po prostu przestali być strasznymi: nie tylko Malahudzie się nie dziwiono, że ich pokonał, lecz nawet zaczęto mówić z lekceważeniem o Zwycięzcy i jego wyprawie, która niegdyś uchodziła w ich umysłach za cud szalonej odwagi.

Owszem, miano prawie za złe Markowi, że się bawi tak długo wyniszczaniem nienawistnego plemienia, i radzono już głośno nad tym, iż właściwie nie należy mu wysyłać dalszych posiłków. I prawdopodobnie Anasz, mimo wyraźnego rozkazu Malahudy, nie byłby nigdy za morze wyruszył, gdyby nie nęciła ochotników nadzieja zdobyczy — widzieli bowiem byli klejnoty, ongi przez Zwycięzcę złotowłosej wnuczce arcykapłańskiej przysłane.

Dla Ihezal wydało się to wszystko, co było zaszło, dziwnym snem, który nader przykre uczucie zostawił po sobie. Widziała, jak szerna wyciągano z lochu, i widziała straszne upokorzenie ludzi, gotowych już niemal w podłym strachu upaść na twarz przed związanym potworem... Czuła, że była chwila, kiedy w całej przepełnionej świątyni jedyną istotą górną i dumną był ten zwierz właśnie, zły i nieludzki. Wstyd ją ogarnął nagły i gorący, wstyd za ludzi marnych, wstyd za tę godzinę pohańbienia, na którą patrzeć musiała — i za Zwycięzcę nawet, który bezbronnego potwora uwięził... I ten wstyd zwrócił się niespodziewanie ostrzem przeciwko szernowi. On, Awij, był świadkiem i pośrednią przyczyną tego wszystkiego...

Za pierwszym odruchem chciała iść i zabić go, ale lęk ją ogarnął niepokonany na myśl, że będzie musiała przedtem spojrzeć w krwawe i szydercze jego ślepia. Zamknęła się tedy w swoich komnatach i nie wychodziła z nich przez długie godziny... Malahuda przysyłał po nią, aby w ważnych sprawach przybyła na *Wyspę Cmentarną* — nie odpowiedziała posłowi, nie dopuściła go nawet przed swoje oblicze... Wieczorem wyruszał Anasz z posiłkami za morze; ludność cała na zamarzły brzeg wyległa — ona nie raczyła nawet twarzy ku oknu obrócić...

I noc całą, w długich przerwach między jednym a drugim snem, spędziła samotnie, w zadumaniu coraz bardziej zawziętym... Kilkakrotnie zrywała się, jakby z zamiarem zejścia do lochu, kędy[308] szern był zamknięty, ale za każdym razem brakło jej siły czy odwagi — i cofała się znowu w komnaty ukryte, nie pozwalając nawet służebnym zaglądać do siebie.

Tak też upłynął i ranek dnia następnego. Godziny całe przepędzała jakby zastygła w dziwnym odrętwieniu, leżąc z szeroko rozwartymi oczyma... Dopiero około południa, kiedy powietrze, ciężkie od zbliżającej się burzy, innych ludzi obezwładniało, w nią nagle wstąpiła jakaś gorączkowa energia.

Była właśnie w komnatach swoich. Zerwała się z szerokiej sofy i poczęła wołać na służebnice, aby jej sprowadziły pachołków. Przyszło ich czterech: parobki grube, do oprawców podobne. Ihezal dała im znak, aby zaczekali.

W tylnej, niewielkiej izbie, kędy się zazwyczaj przyodziewała, było szerokie zwierciadło metalowe nad półokrągłym basenem wody w posadzce. Tutaj weszła Ihezal, wiodąc dwie z dziewek służebnych za sobą. Stanęła przed zwierciadłem i kazała, aby ją rozebrały.

Chyżymi dłońmi rzuciły się obie rozwiązywać wstęgi jej zwierzchniej szaty na ramionach i nad piersią, od czasu przybycia Zwycięzcy na Księżyc ludzkim oczom zawsze zakrytą. Potem jedna z nich schyliła się do jej nóg, aby zdjąć sandały, gdy druga szybkimi, pieszczotliwymi ruchami palców wyjmowała przepięcia z jej włosów, co spłynęły rychło złotą falą po plecach jej już nagich. Na biodrach wisiała luźno szata spodnia, koloru zmiennej morskiej wody, u łona ściągnięta cienkim złotym łańcuszkiem, aż do stóp zwisającym. Szarpnęła go sama obiema rękoma, a kiedy je roztworzyła, ostatnie odzienie spłynęło z niej cicho na białe futro, na brzeg basenu rzucone.

Zakwitnęła teraz przed własnymi, w zwierciadle utkwionymi oczyma jak kwiat czarodziejski. Usta jej się wydęły miłośnie i powieki ciężkie opadały wpół na źrenice, kiedy patrzyła na odbicie swojego ciała... Pod kaskadą sypkiego złota włosów lśniły jej drobne białe ramiona, spięte dwiema bladymi różami piersi... Biodra jej smukłe, z lekka różowym

[308] *kędy* (daw.) — gdzie.

snem krwi prześwietlające, perłową linią spływały słodko w dół ku okrągłym kolanom i stopom małym, do dwóch lilii podobnym...

Przegięła się wężowym ruchem, unosząc ręce nad głową.

— Piękna jestem...

— Piękna jesteś, o pani! — odpowiedziały chórem obie służebnice.

Trwała tak chwilę, smukła, gibka, naga i doskonała — aż nagle, jakby ją wspomnienie jakieś uderzyło, zwinęła dłonie przed oczyma, na pierś głowę pochylając. Służebnym zdawało się, że dosłyszały jęk czy jakiś spazm powstrzymywanego łkania.

Kiedy ręce znów z twarzy odjęła, miała usta zaciśnięte i w oczach twardy, rozkazujący wyraz.

— Ubierajcie mnie — rzekła krótko.

Poskoczyły obie, aby ją myć i wonnymi nacierać olejami, ale praca szła im nieraźno[309], gdyż od lubieżnego zachwytu ręce im drżały, ślizgając się po białym ciele pani.

Ihezal ruchem głowy wskazała w milczeniu skrzynie, kędy[310] przechowane były szaty jej najkosztowniejsze.

Po kilku chwilach w sztywnym odzieniu, pod płaszczem purpurowym, klejnotów pełnym i złota, trudno by się nawet było domyśleć nagiego i wyśnionego cudu jej ciała. Włosy owinięto jej wieńcem wysokim dookoła skroni i nakryto perłami i koralem szytą zasłoną, nogi obuto w ciżmy zielone, z długimi, wlokącymi się po ziemi za każdym krokiem złotymi łańcuchami — na wierzchu jej dłoni świeciły ogromne różyce z drogich kamieni, przypięte złotymi sznurkami do czterech pierścieni na palcach i obręczy szerokiej około przegubu ręki.

Gdy wyszła tak do czekających pachołków, ci pochylili głowy mimowolnie, cofając się ze czcią pod ścianę. Ihezal dała znak ręką, aby szli za nią.

Minęła w milczeniu korytarze, łączące komnaty jej ze świątynią, i zwróciła się wprost ku zejściu do dawnego skarbca. Przy drzwiach kazała pachołkom zapalić pochodnie. W czerwonym blasku rozbłysłego smolnego łuczywa zaciśnięte usta jej zadrgały jakimś strasznym, zimnym okrucieństwem...

Pchnęła drzwi do lochu i kazała pachołkom wejść naprzód. Ustawili się po obu stronach, świecąc smolnymi pochodniami, a wtedy weszła i ona — z dźwiękiem łańcuchów u nóg, z błyskami drogich kamieni, sztywna w szatach bogatych i ciężkich, z zastygłą, białą twarzą.

Szern spojrzał na nią zdumiony. Od czasu owego chwilowego uwolnienia podczas popłochu nie przykuwano go — już w pośpiechu zadzierzgnięto tylko liny, u przegubów dłoni uwiązane, za żelazne w ścianie pierścienie i nogi sznurem do oka w kamiennej posadzce przytroczono...

— Ihezal! — charknął po chwili.

Zbliżyła się ku niemu bez słowa, z nieruchomą wciąż i jakby zastygłą twarzą. Powoli wyjęła z fałdów sukni ostry sztylet o giętkim ostrzu i głowicy, z jednego wyrzezanej korala, i zaczęła nim błyskać w świetle pochodni, jakby się bawiąc.

— Ihezal!

Ostry ból zdławił mu krzyk w gardle. Dziewczyna nagłym a niewinnym na pozór ruchem przyłożyła mu ostrze sztyletu do czoła, znacząc na nim szeroką szramę. Potem cofnęła się nieco i dała znak dwom pachołkom, aby się zbliżyli z pochodniami. Przez pewien czas patrzyła na potwora w krwawym blasku smolnych świec, aż wreszcie wyjęła je z wolna z ręku trzymających i podsunęła pod rozpostarte czarne skrzydła.

Szern zwinął się z bólu — sklep napełniała woń spalenizny.

— Panami są ludzie — mówiła Ihezal, cofając nieco pochodnie — do nich należy Księżyc i wszelki twór na nim żyjący.

Od morza aż po krańce pustyni, nad którą świeci Ziemia, gwiazda błogosławiona: na morzu i za morzem, w krajach, które jeszcze nie są poznane...

Głos jej się załamał i zgasł. Gwałtownie uderzyła szerna w pierś płonącą pochodnią, która jej przy tym z ręki wypadła i tlała, rozlewając się na posadzce szeroką, czerwonym ogniem nakrytą plamą smoły.

---

[309] *nieraźno* — nieszybko.
[310] *kędy* (daw.) — gdzie.

Cień szerna od ściany odchylonego padł na górę i zamajaczył ogromną czarną zmorą pod złotymi literami świętego niegdyś napisu... A z kłębu zwiniętego potwornego ciała błyszczało czworo straszliwych, krwawych oczu... Ihezal uczuła nagle, że siły ją opuszczają. Obejrzała się mimo woli, szukając dłonią oparcia; pachołkowie umknęli w jakimś zabobonnym strachu. Była sama.

Przez jedną chwilę chciała uciekać i ona. Ale uczuła, że nogi jej nie służą, duszność jakaś ją ogarnęła, zaczęły jej ciężyć sztywne, drogocenne szaty. Cichy jęk wyrwał jej się z ust posiniałych i na wpół rozwartych.

Szern dotychczas nie wydał głosu. Zwijając się w męce, miał rogowe wargi zaciśnięte i teraz patrzył tylko w milczeniu straszliwymi oczyma na słaniającą się dziewczynę. I ona wzroku od oczu jego oderwać nie mogła. Nigdy jeszcze wobec nich nie czuła się tak bezsilną, jak teraz, kiedy przyszła właśnie dumnemu potworowi moc swoją i wspaniałość okazać. Szeroko rozwartymi, tępymi źrenicami patrzyła na niego nieruchomie, niezdolna kroku nawet postąpić. Widziała ranę na piersiach, pochodnią wypaloną, która teraz w czerwonych skaczących płomieniach u stóp jego gasła — i oczy, oczy...

Straszliwy, obłąkany krzyk wydarł jej się z piersi i zamarł w połowie na najwyższym tonie, jak fontanna nagle mrozem ścięta.

A szern zaczął mówić:

— Panami są szernowie, zła ani dobra nieznający, panami są w więzach nawet, w ranach i pokonaniu.

Służyć im musi każdy twór, który przyszedł na Księżyc, a choćby się wyłamywał spod władzy ich — upadnie.

Panami byli od początku, kiedy Ziemia-służebnica nocom ich świeciła, i będą panami do skończenia czasów, kiedy *Wielka Pustynia* wypije morze i Księżyc cały pochłonie...

Ihezal bezdźwięcznie poruszyła wargami.

— Pójdź bliżej — rzekł znowu szern po chwili, nie spuszczając z niej wzroku.

Zachwiała się, ale posłuszna postąpiła kilka kroków.

— Bliżej.

Postąpiła jeszcze — już tylko pół kroku ją od niego dzieliło.

— Litości...

— Rozetnij sznury — rzekł Awij.

Mechanicznym, bezwolnym ruchem podjęła sztylet i chyląc się do nóg potwora, zaczęła przecinać krępujące je więzy.

— Ręce...

Wyprostowała się i wolno, jak gdyby sennie, wraziła ostrze sztyletu między dłoń szerna i żelazny pierścień na ścianie. Awij miał jedną rękę już wolną. Nie sięgnął jednak po sztylet, aby sobie i drugą uwolnić, jeno powtórzył tym samym cichym, rozkazującym głosem:

— Dalej, i drugą...

Ihezal przecięła sznur.

I nagle uczuła, że jakaś straszliwa czarna masa na nią się zwala. Chciała się bronić, chciała odeprzeć ciężar rękoma, sztyletem pchnąć, ale z dłoni jej jak liść zwiędły wyleciał, a w tej chwili dwa skrzydła szerokie, wzniesione, gdzieś w górze nad jej głową załopotały i opadły na nią, spowijając miękko... Uczuła ręce straszliwe, ślizgające się po jej bokach i szukające wśród sztywnych fałdów szat ciała żywego — a potem na obnażonych biodrach dotknięcie zimnych, śliskich dłoni. — Nagła noc ogarnęła jej głowę, żar w ustach i krtani, ból — jakiś potworny, nieludzki, straszliwy ból, który skręca jej mięśnie i wnętrzności, ból tak ohydny, że aż do dzikiej rozkoszy podobny...

Upadła bez przytomności.

IV

Świt wstawał szary nad zamarzłym morzem. Malahuda, w futro ciepłe przybrany, wysunął się na świat ze swojej jaskini na *Wyspie Cmentarnej*. Towarzyszyły mu dwa wierne psy, dzielące od pewnego czasu jego samotnię. Wybiegłszy na dwór za panem, zaczęły ujadać i skakać wesoło, rozgrzebując biały śnieg nogami i węsząc dookoła kryjówek uśpionych na noc księżycowych zwierzątek.

Starzec patrzył przez chwilę na skoki psów, uradowanych, że się dostały na wolność po długim nocnym zamknięciu, a następnie zwrócił się z wolna w stronę wzgórza, przewieszoną ścianą ku morzu spadającego. Psy, spostrzegłszy, że odchodzi, zaprzestały igraszek i pobiegły za nim. Nogi grzęzły mu w sypkim, zmarzłym śniegu; idąc, podpierał się długim kosturem.

Doszedłszy do szczytu wzgórza, usiadł i odpoczywał przez długą chwilę, patrząc ku szerokiej lodowej płaszczyźnie, nieskalanym zwierciadłem u stóp jego się ścielącej.

Do wschodu słońca było jeszcze daleko. Śnieg siniał dopiero pierwszymi światłami, mżącymi gdzieś z bladego nieba, w których świat cały roztapiał się równomiernie, bez przejść, bez cieniów, bez ostrych zarysów... Pod gwiazdami tylko szeroki, jasnoperłowy i srebrzysty obrzask na wschodzie zapowiadał, że światła te zwiastują przyjście słońca, które przebiegłszy długą drogę ponad *Wielką Pustynią*, idzie teraz dołem, morzami, aby się wreszcie w tym kraju na horyzont spod lodów wydobyć.

Malahuda wytężył oczy ku południu, na morza roztocz bezbrzeżną. W rannym świcie twarz jego była stara i znużona. Nikt by nie powiedział, widząc go, że jest to ten sam człowiek, który jeszcze przed dwoma dniami umiał porwać tłum i w chwili niebezpieczeństwa stanąć na czele szeregów i wrogów ludzkości straszliwych gromić na współ[311] z młodymi. Teraz w samotności oczy jego straciły błysk rozkazujący, dolna warga ust zwisła nieruchomie nad długą, siwą brodą, którą targał niekiedy zrywający się wiatr przedporanny... Psy, szukając ciepła, zbliżyły się do jego kolan i patrzyły razem z nim na szerokie morze.

Tak upłynął pewien czas, gdy naraz uszu starca doleciał dziwny, zaledwo dosłyszalny świst. Było to tak, jak gdyby lód kędyś zaczął z cicha dzwonić, ostrym żelazem krajany, lub jakby wiatr się gdzieś między krami zabłąkał i gwiżdżąc, wylatywał pędem przez szczeliny zwałów lodowych. Malahuda drgnął i powstawszy, przeszedł szybko na sam skraj wzgórza, gdzie brzeg się urywał, pionową ścianą spadając ku morzu. Stanął nad samym wiszarem i patrzył przez chwilę z natężeniem przed siebie. Tam daleko, daleko, na lodowej lśniącej płaszczyźnie — coś, jakby punktów czarnych kilka, na pozór nieruchomych, które jednak rosły wciąż w oczach i oddalały się ciągle od siebie...

Teraz starzec zwrócił się na prawo, gdzie na miejscu najwynioślejszym stał duży stos, przykryty ośnieżonymi gałęziami. Szybkim ruchem zdarł z niego ten ochronny dach i kosturem poprawił pęki łuczywa, u spodu przygotowane. Za chwilę rozbłysnął ogień, wzbijając się słupem w górę buchającymi szeroko dymami.

Punkty czarne zbliżyły się tymczasem znacznie: rozróżnić już można było kilkoro sań, pędzących po lodzie z rozwianymi na wiatr żaglami. Malahuda, stojąc podle[312] stosu płonącego, liczył je z dala... Cień padł mu na czoło i usta drgnęły niepokojem.

Zstąpił ze wzgórza drogą okólną i zeszedł na brzeg, gdzie morze wrzynało się w ląd płytką zatoką.

Z sań spostrzeżono snadź ogień i domyślono się, co ma ten stos o tak wczesnej porze oznaczać, bo wkrótce zaczęły one zataczać szeroki łuk i wjeżdżać, zwolniwszy pędu, w zakrytą od wiatru zatokę. Przy brzegu zwijano pospiesznie żagle, hamując jednocześnie sanie rzuconymi pod płozy łańcuchami.

Z pierwszych sań, które znacznie wcześniej od innych osadziły się przy lądzie, wyskoczył spod skórzanego dachu Anasz. Malahuda podbiegł żywo ku niemu.

— Zwycięzca?

— Jest z nami. Oto te sanie środkowe...

— A reszta? Tamci pierwsi i Jeret?

— Zostali.

— Żywi?

— Tak. Choć legło wielu. Żywi zostali załogami w zdobytym kraju na równinach... I ja tam rychło powrócę.

W tej chwili i Markowe sanie osadziły się na miejscu, ryjąc przodem okutych płóz szeroką bruzdę w nadbrzeżnym śniegu. Żołnierze zaczęli wyskakiwać spod skórzanych nakryć i wznosić radosne okrzyki. Wreszcie wyszedł i Marek. Spostrzegłszy Malahudę, rzucił się żywo ku niemu.

---

[311] *współ* — dziś: wespół.

[312] *podle* (daw.) — wzdłuż, pod; tu: obok.

— Starcze, szukać cię wszędy[313] kazałem...

Były arcykapłan dał znak ręką.

— Pomówimy teraz. Wcześniej nie było można. Każ, panie, tym ludziom jechać wprost do miasta, dopóki lód przed wschodem trzyma. Ciebie później łodzią odeślę.

Marek wydał Anaszowi odpowiedni rozkaz i patrzył jeszcze, stojąc obok Malahudy, jak sanie, powstrzymane w biegu, zaczęły na nowo żagle rozwijać i rozsypywać się szerokim półkolem do dalszej drogi. W pewnej chwili przyszło mu na myśl, że ci ludzie zobaczą pierwej niż on złotowłosą Ihezal, która wyjdzie zapewne na stopnie świątyni i będzie szukała pośród przybyłych jasnym okiem wyniosłej jego postaci...

Sanie tymczasem mknęły już w pędzie poza ograniczającym zatokę przylądkiem.

— Zimno jest — rzekł Malahuda. — Chodźmy.

I nie czekając odpowiedzi, ruszył przodem z psami, nieodłącznie mu towarzyszącymi. Marek postępował za nim. Szli tak w milczeniu czas dosyć długi, krążąc płytką doliną pomiędzy dwoma wzgórzami, aż znaleźli się wreszcie u stóp wyniosłości, gdzie było wejście do pieczary przez starca zamieszkanej.

Marek zdumiał się, zobaczywszy to pierwotne nad wyraz schronisko arcykapłana, niegdyś rządzącego całym ludem księżycowym i do zbytku raczej a przepychu przyzwyczajonego, ale nie odezwał się ani słowa[314], wchodząc za nim niską szyją skalną do wnętrza.

Tutaj Malahuda ujął go za rękę, dając znak, aby usiadł.

— Chcę mówić z tobą, synu — rzekł. — Wówczas, kiedy przybyłeś na Księżyc, nie pora była, ale teraz muszę. Zrozumiesz może niejedno, gdy ci opowiem... Nie gniewaj się, że cię synem nazywam, ciebie, któryś jest ogromny i Zwycięzcą tutaj mianowany. Ja stary jestem i dobrze ci życzę...

Marek pochylił głowę.

— Starcze, od chwili, kiedy pierwszy raz słowa twoje słyszałem, chciałem być z tobą i mówić tak szczerze!

— Przedwcześnie było wówczas, przedwcześnie! teraz dopiero... Ale prawże[315] mi ty naprzód, gdzieś był i co zdziałałeś, abym z ust twoich własnych posłyszał...

Więc Marek rozpoczął długą opowieść. Siedząc tak na głazie przykrytym skórą, w mroku jaskini, kędy światło nafcianego kagańca żółkło coraz bardziej wobec sinego świtu, przedostającego się szczelinami w sklepieniu, prawił obszernie o całej wyprawie swojej, o walkach, utarczkach, zwycięstwach i niepowodzeniach. Nie zataił nic, nawet obaw swoich, że pogrom szernów, jako niezupełny, owoców dobrych nie wyda i nie zapewni trwałego pokoju — i nie krył się z tym, że wedle jego przekonania dalsza wojna z pierwobylcami w górzystym ich kraju jest wręcz niemożliwa... Opowiadał też, jak z ciężką obawą zostawiał załogi w kraju zdobytym, losu ich niepewny, jeśli nie w czasie najbliższym, to na przyszłość, kiedy sąsiedztwo szernów zacznie ciążyć nad nowymi osadami, jak chmura gradowa, każdej chwili grożąca zgubą i zniszczeniem.

Malahuda zadumał się głęboko, słuchając tych opowieści. Kilkakroć przecierał ręką czoło wysokie i pobrużdżone, ale nie przerywał Markowi, dopóki nie skończył mówić. Dopiero po pewnym czasie ciszy, kiedy Marek, zadumany z kolei, patrzył tępym, znużonym wzrokiem na ścielące się cienie po załomach głazów, starzec powstał naraz i rzekł:

— Zrobiłeś, synu, wszystko, co mogłeś zrobić. Teraz ja ci winienem dać pewne wyjaśnienia, abyś mnie lepiej mógł zrozumieć...

Urwał nagle, jak gdyby zmieniając postanowienie, i odezwał się krótko:

— Zresztą to obojętne. To ci jeno radzę: wracaj na Ziemię jak najrychlej, jeżeli tylko możesz wrócić.

Marek spojrzał na niego zdumiony.

— Chcę wrócić i powrócę, ale nie rozumiem...

Starzec się uśmiechnął blado.

— Widocznie trzeba jednak, abym mówił wszystko, inaczej może byś mi nie ufał. Słuchajże tedy. Byłem arcykapłanem i wierzyłem razem z całym ludem, razem z ojcami moimi w przyjście obiecanego Zwycięzcy. W dniu, kiedy ty przyszedłeś na Księżyc, ja przestałem wierzyć. Tak się już stało. Sam sobie z tym wszystkim rady dać nie mogłem,

[313]*wszędy* (daw.) — wszędzie.

[314]*nie odezwał się ani słowa* — dziś: nie odezwał się ani słowem.

[315]*prawić* (daw.) — mówić, opowiadać; *prawże*, konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że: mów, mówże.

bo to była wiara całego życia mojego, a ja jestem już stary, bardzo stary. Ale wiedziałem, że jeśli ty zechcesz, wiele zdziałać możesz, więcej niż my, i dlatego pozostawiłem ci pole otwarte. Sam zaś cofnąłem się tutaj, aby w samotności i ukryciu rozmyślać nad tym, co jest.

Przestał mówić na chwilę, a potem zaczerpnąwszy oddechu, podjął znowu:

— Straciwszy wiarę, że Zwycięzca nadprzyrodzony, którego księgi nasze zapowiadały, wcielenie Starego Człowieka, zesłanym być może, czekałem tutaj początkowo, abyś ty, przybysz z Ziemi przypadkowy, stał się dla nas owym Zwycięzcą, jakim lud stęskniony mianował ciebie od razu. I wtedy jeszcze byłem gotów przekląć cię, gdybyś nie dopełnił nadziei naszych, bez twej woli zresztą do ciebie przywiązanych... Może tylko dla tej winy twojej, żeś przebył przestrzeń międzygwiezdną, którą położono od początku jako mur między światami... I tamci pierwsi, których groby tu podle nas stoją, złamali to prawo oddalenia i oto nieszczęście wynikło dla nich i całych ich pokoleń aż do dnia dzisiejszego... Uchodź ty, póki czas.

— Dziwnie mówisz, starcze...

— Tak, tak. Nie o tym chciałem mówić. Myśli mi się plączą i powracają wciąż do tego, co boli. Otóż w samotności nauczyłem się patrzeć na rzeczy spokojniej i nie wymagać od ludzi tego, co przechodzi siły człowieka, chociażby nawet przybył z Ziemi.

Mogłeś był nic dla nas nie zdziałać, a tymczasem poszedłeś i walczyłeś razem z nami i dla nas. Bo cóż ciebie to w końcu obchodzi, co się dzieje na Księżycu? Odejdziesz od nas pewnego dnia i legenda jeno zostanie: oby jasna i święta! Zwycięstwo twoje, synu, nie jest zupełne, i masz słuszność, obawiając się o los tych, którzy tam załogami zostali, i tych, którzy pójdą za nimi zamieszkać te żyzne ziemie zdobyte. Ale inaczej nie można zrobić... Skończyłeś swoje zadanie i ja cię błogosławię.

— Nie skończyłem — rzekł Marek. — Pilno mi wracać na Ziemię, a jednak chcę pozostać tu jeszcze czas jakiś, aby prawa wasze naprawić i zmienić panujące stosunki. Źle jest u was.

— Źle jest i będzie, i tak już pozostanie. Na to nic nie poradzisz — odparł starzec posępnie.

— Chcę poradzić.

Malahuda potrząsł głową.

— Nie próbuj. Nic nie zdziałasz, a to może być zguba dla ciebie. Zatrzymałem rozpalonym ogniem wasze sanie, bo chciałem mówić z tobą i ostrzec cię. Wracaj na Ziemię. Tam przy *Ciepłych Stawach* i w całym kraju księżycowym inni już są ludzie, niż w chwili kiedyś przybył lub kiedy na podbój szernowskich dziedzin wyjeżdżałeś.

Zawistni są o władzę — mówił dalej Malahuda — i myślą teraz, że mogli byli zrobić bez ciebie to wszystko, co ty zdziałałeś. Wyrzucać ci zaczną, żeś nie spełnił rzeczy niemożliwych, zobaczysz! A jeśli jeszcze dotkniesz tego, co jest może złe, lecz trwaniem wiekowym uświęcone, powstaną na ciebie właśnie najmożniejsi, którym się oprzeć nie zdołasz, choć jesteś ziemskim i chociaż uciśnieni będą za tobą. Uchodź, mówię ci.

— Nie. Podjąłem to zadanie dobrowolnie i uważam jego spełnienie za swój obowiązek. Może tym bardziej właśnie, że ochota pcha mnie do czego innego, do posłuchania słów twoich, starcze. Odejdę dopiero, gdy zrobię, co zamierzyłem.

Malahuda milczał przez pewien czas. Wreszcie wzniósł głowę i rzekł:

— Oby nie było wtedy za późno!... Ale jeżeli tak chcesz koniecznie, posłuchaj przynajmniej jednej rady mojej. Byłem arcykapłanem i rządziłem dłużej, niż ty żyjesz na świecie. Gdy przybędziesz do miasta przy *Ciepłych Stawach*, stań się panem od razu. Nim zaczniesz działać cokolwiek, naucz ludzi, aby cię czcili i bali się ciebie. Wyniszcz nieprzyjaciół swoich, otwartych i skrytych, a nawet takich, którzy mogliby nimi zostać w przyszłości; tych nawet zniszcz, którzy ci może sprzyjają, lecz oczy tłumu mogliby ku sobie obrócić. Zrób mnie więźniem, abym tej wyspy nie mógł opuścić, każ ściąć natychmiast Elema albo zagrzeb go w piasku, nie zwłócząc[316] i nie szukając pozoru, zabij najmożniejszych i spraw, aby nie było człowieka, który by się nie lękał śmierci, patrząc na ciebie. A potem otocz się strażą i rozkazuj, nie pytając o wolę niczyją. Wtedy jedynie będziesz mógł ludzi zbawiać.

[316] *zwłóczyć* — tu: zwlekać; ociągać się.

— Nie wierzę w to — ozwał się Marek po chwili. — Stare metody, które niegdyś, przed wiekami stosowano także na Ziemi... Porzuciliśmy je od dawna, gdyż nie są skuteczne: nie wiodą do niczego. Nie przeczę, że chcę, aby zrazu wolę moją tylko pełniono, ale nie przez postrach. Ludzie muszą zrozumieć, że to dla nich zbawienne...

— A jeśli nie zrozumieją?

Marek wzruszył ramionami.

— Powrócę na Ziemię.

— Powrócisz pono[317] rychlej[318], niźli sam sądzisz w tej chwili.

Rozmowa się urwała, zwłaszcza że Zwycięzca, długą nocną podróżą znużony, przymykał już oczy, opierając głowę o twarde głazy pieczary. Malahuda wskazał mu w kącie stos miękkich futer i postawiwszy przy posłaniu kawał zimnego mięsiwa oraz dzbanek z wodą, wysunął się cicho z jaskini.

Słońce, nierychło po świcie następujące, wschodziło właśnie i czerwieniło rozległe śniegi, które miękły szybko w blasku porannym. Na szczycie kopców, które *Grobem Marty* i *Grobem Piotra* nazywano, płonęły pierwsze blaski dnia, iskrząc się i mieniąc w drobnych grudkach lodu. Na horyzoncie, za morzem, wznosił się przed oczyma starca olbrzymi stożek *Otamora*, leniwie ze snu się budzący i nakryty jeszcze z góry obłokiem, jakby kotarą obronną, co oczy zaspane od słońca osłania. Od wschodu wąski pas złotego światła spływał niby potok lawy, aż do stóp wyniosłej góry, do morza lodem ściętego, ale zachodnia strona cała w gęstym sinym cieniu tonęła. Cień też był poza górą na ogromnej przestrzeni wybrzeża; jeno tam, wprost na zachodzie, błyszczało rozpalonymi słońcem szybami miasto, przewinięte tu i owdzie kłębami oparów, z *Ciepłych Stawów* nieustannie bijącymi.

„Oto mamy nowy dzień — myślał Malahuda — i nie wiadomo, co on nam przyniesie. Ale cokolwiek by się stało, nie zmieni to w niczym zwykłego porządku wschodu i zachodu słońca, nawet fal tych, które idą przez morze, kiedy lody ustąpią. Wiatr zdoła zerwać kamień ze szczytu *Otamora* i rzucić go w dolinę, ale największe szczęście lub nieszczęście ludzkie nie poruszy jednego ziarnka piasku nad brzegiem wody..."

Daleko, daleko na wschodzie, kędy[319] dzień już był większy, poczynały lody pękać na morzu i głuchy, stłumiony łoskot szedł po świecie, niewyraźnym echem od ścian dalekiej góry odrzucany. Z drugiej strony, od miasta słońcem zalanego, biły ledwo dosłyszalne dźwięki ciężkich młotów, kujących na znak radości w ogromne tarcze spiżowe, wolno zawieszone. Zdawało się Malahudzie, że odróżnia nawet odgłos trąb, zachodnim wiatrem niesiony. Witano tam snadź zwycięskich przybyszów...

Dzień już był ogromny i lody dawno spłynęły, kiedy starzec, wyjrzawszy znów z jaskini na szczyt wzgórza, dojrzał flotylę łodzi, płynącą od miasta ku wyspie. Domyślił się, że to powitalny orszak po Zwycięzcę przybywa, i poszedł go o tym zawiadomić.

Marek, wyspawszy się do syta i odpocząwszy, siedział był właśnie przed wejściem do pieczary i przyglądał się z zajęciem roślinom, naokół szybko się do słońca otwierającym, kiedy Malahuda ostrzegł go, że trzeba mu się gotować do drogi.

— Wyjdź naprzeciw nich nad morze — rzekł — bo ja nie chcę, aby mi tutaj koło domu zieleń deptano. Oni po ciebie przyjeżdżają; mnie z tymi ludźmi nic nie łączy; zbyt długo byłem samotny.

Potem zaczął go żegnać z tkliwą ojcowską czułością.

— Byliśmy zaledwie kilkadziesiąt godzin razem — mówił — a pokochałem cię prawdziwie. Myślałem już nieraz i obecnie myślę znowu, że źle zrobiłem, odchodząc od ludu w chwili twojego przyjścia, ale wonczas[320] nie mogłem inaczej. Teraz cię błogosławię: oby ci się wszystko jak najlepiej powiodło! Więcej nie mogę już nic zrobić dla ciebie. Nie przecz, nie uśmiechaj się! Zdaje ci się, żeś mocny, ale ja ci powiadam, iż żegnałbym cię słowami: „Wróć tutaj do mnie, gdy tam już nic nie będziesz miał do zdziałania" — gdyby nie to, że masz inną drogę powrotu, na gwiazdę świecącą nad pustyniami, z której zeszli byli ongi ludzie na Księżyc. Starasz się naprawić winę tych naszych praojców i moc nam niesiesz i światło: obyś był od nich szczęśliwszy i nie znalazł tu grobu jak oni...

---

[317] *pono* (daw.) — podobno, prawdopodobnie.
[318] *rychlej* (daw.) — szybciej.
[319] *kędy* (daw.) — gdzie.
[320] *wonczas* — wówczas, wtedy.

Mówiąc to, wskazywał kopce, całe w zieleni wiosennej ukryte.

Marek chciał mu jeszcze odpowiadać, ale on ręką tylko skinął i nie oglądając się, wszedł do swego domostwa. Powlókł się więc wolno nad brzeg morza, rozmyślając jeno o dziwnych słowach starca.

Łodzie były już niedaleko. Można było rozróżnić dokładnie czarne kadłuby pod olśniewająco białymi w słońcu żaglami i ludzi stojących na pokładzie. Naraz przyszło Markowi na myśl, że między tymi ludźmi może być Ihezal... Rozkoszna fala uderzyła mu do piersi. Tak, tak! jest tam z pewnością i za chwilę wyskoczy na zieloną trawę wybrzeża i iść będzie ku niemu jak kwiat, z wargami uśmiechem rozchylonymi... Uczuł już naprzód wdzięczność dla niej, że płynie go tutaj powitać, i zbiegł pędem z pagórka w miejsce, gdzie łodzie miały lądować.

Ale po rzuconym na ląd pomoście wyszedł tylko Sewin, zausznik arcykapłana Elema, i za nim kilku ze starszyzny miasta. Marek niespokojnym okiem rzucił na inne statki: pełne były ludzi obcych, przeważnie bez znaczenia, i kobiet z pospólstwa, witających go przeraźliwym krzykiem i wianiem zielonych gałęzi.

— Zwycięzco... — zaczynał Sewin zginając się tak, że prawie czołem goleni jego dotykał.

— Gdzie Elem? — przerwał mu twardo Marek.

— Jego Wysokość arcykapłan rządzący przybyć nie mógł...

— Dlaczego? Winien tu być. Sługą jest moim.

— Jego Wysokość zajęta sprawami...

Marek odepchnął mnicha szybkim ruchem ręki i nie słuchając dalej, skoczył do łodzi.

— Żagiel w górę! na morze! — krzyknął rozkazująco do sternika.

Sternik obejrzał się na Sewina, który pozostał był na brzegu.

— Na morze! mówię! — powtórzył Marek.

Zazgrzytały naciągnięte liny, szczęknął łańcuch od steru...

Sewin, widząc odpływającego Zwycięzcę, wsiadł z towarzyszami do innej łodzi, po czym cała flotylla z rozwiniętymi żaglami puściła się za nim ku miastu.

Wprost z zatoki, werzniętej w głąb lądu w pobliżu dawnego szernów zamczyska, podążył Marek do świątyni, nie odpowiadając nawet na powitania licznie na brzegu zgromadzonego ludu. Znalazłszy się tutaj, posłał natychmiast ludzi, aby mu sprowadzono Elema. Arcykapłan zjawił się nierychło i z twarzą zgoła odmienną od dawnej, uległej i pokornej. Wybijał wprawdzie i teraz przed Zwycięzcą pokłony, panem go zowiąc i władcą, ale w oczach jego był hardy błysk, kłamiący służalczym słowom.

Rada starca Malahudy przypomniała się Markowi. Patrząc na byłego mnicha, myślał, że właściwie dobrą i zbawienną rzeczą byłoby krótkie ciało jego skrócić jeszcze o głowę, gdyż będzie on niewątpliwie stawał na przeszkodzie planom wszystkim, ale odrzucił tę mimowolną myśl od siebie, czując, że po takim początku nie mógłby już zboczyć z krwawej drogi...

Zapytał go więc jeno groźnie, na powitanie nie odpowiadając: czemu tak późno przybywa?

— Zwycięzco — rzekł Elem — rządzę ludem i czasu mam niewiele. Sądziłem, że sam zechcesz zjawić się w moim arcykapłańskim pałacu i zdać sprawę z wyprawy...

Markowi krew uderzyła do głowy. Powstrzymał się jednak i chwycił jeno karła za szaty na karku, jak się psa bierze za skórę, i podniósł jedną ręką na wysokość swojej twarzy.

— Słuchaj no — rzekł głosem stłumionym — a może byś ty mnie zdał sprawę, coś robił tutaj tymczasem, kiedy mnie nie było? Słyszę, żeś się podobno z szernami chciał układać?

Elem pobladł ze strachu i wściekłości w tej niewygodnej a śmiesznej pozycji, ale zaledwie Marek, wstrząsnąwszy nim z lekka, postawił go znów na posadzce, odrzekł hardo:

— Domyśliłem się, Zwycięzco, żeś się i ty cofnął przed szernami, chociaż na pewno wiem o tym dopiero teraz, chciałem więc czasu nieco uzyskać...

Marek zagryzł usta.

— Wracaj do siebie — rzekł — i czekaj moich rozkazów. Wezwę cię wkrótce znowu. Teraz mam inne sprawy...

Mówiąc to, oglądał się dokoła, ale dopiero po odejściu arcykapłana zapytał: gdzie jest Ihezal, która nie wyszła powitać go do tej pory? Nikt mu nie umiał odpowiedzieć, ale

natomiast doniesiono mu o ucieczce więzionego Awija. Marek na tę wiadomość rzucił się niespokojnie.

— Jak? co? — zaczął wołać ludzi i dopytywać, ale i tutaj nikt mu nie zdołał dać dokładnych wyjaśnień. Wiedziano od pachołków, że wnuczka Malahudy katowała szerna, ale co się stało potem, kiedy z lochu wyszła? — Ludzie zachodzący tam w kilka godzin, aby szernowi przynieść jadło, zastali próżne obręcze na ścianie i wiszące w nich poprzecinane sznury. Na posadzce obok dopalonej pochodni leżał sztylet, który widywano dawniej w ręku Ihezal. Widoczne było, że po odejściu dziewczyny, która broń przypadkowo zostawiła, potwór zdołał jakoś uwolnić jedną rękę i poprzecinał krępujące go więzy. Skorzystał z niedomkniętych drzwi i teraz próżno by go było szukać.

Marek mimo małą nadzieję złowienia zbiega zarządził zaraz pościg. Wyruszyła tedy obława z ludzi i psów złożona, która miała przeszukać całe skaliste morskie wybrzeże i gęste zarośla na stokach *Otamora*. Nuzar przyłączył się również do myśliwców.

Tymczasem Zwycięzca poszedł sam szukać złotowłosej Ihezal. Służebne powiedziały mu, że znajduje się w swoich komnatach, lecz chora jest i nikogo widzieć nie może. Ale on nie zważał na to. Odsunął zastępujące mu drogę dziewki i pchnął drzwi.

Szedł przez długi szereg komnat pustych i chłodnych, aż nareszcie w ostatnim, niewielkim pokoju znalazł dziewczynę. Leżała na niskiej sofie, naga cała i z rozpuszczonymi włosami, mając jeno dziwnym sposobem szeroki szal owinięty dookoła bioder. Zobaczywszy wchodzącego Marka, nie poruszyła się nawet z legowiska i patrzyła mu tylko w twarz szeroko rozwartymi oczyma, jak gdyby w tępym jakimś osłupieniu.

— Ihezal! ptaku mój złoty! — zawołał Zwycięzca radośnie, wyciągając do niej ręce.

Poruszyła bezdźwięcznie bladymi wargami, rozwierając wciąż szerzej suche i osłupiałe oczy.

— Co tobie? co tobie, dziecię? — mówił on tymczasem, klękając obok sofy i chyląc mimowolnie twarz na pierś jej drobną, liliową, prawie dziecięcą.

Odsunęła go z lekka ramieniem.

— Czemu dopiero dzisiaj? czemu?

Powstała z wolna i wyszła do drugiej izby, drzwi na zaporę zamykając za sobą.

Marek uniósł się z klęczek zdumiony. Jakieś złe przeczucie ścisnęło mu gardło i młotem krwi uderzyło w skronie. Stał przez chwilę bez ruchu, aż nagle rzucił się ku drzwiom, za którymi zniknęła Ihezal, i począł walić w nie potężną pięścią.

— Ihezal! Ihezal! otwieraj!

Nikt mu nie odpowiedział. Chwycił więc za okucie i szarpnął z całej mocy, ale żelaza nie puściły. Odwrócił się, szukając okiem jakiegoś ciężkiego przedmiotu, aby rozbić nim podwoje — i cofnął się zdumiony.

Na progu drugich drzwi — tuż poza nim — stała Ihezal, spokojna, blada, cała w powłóczystą szatę odziana.

— Co mi rozkażesz, panie? — zapytała dziwnym głosem, w którym drgało coś, jakby szyderstwo ze smutkiem połączone...

Marek nie odpowiadał zrazu. Tak mu się inną i obcą wydała ta dziewczyna w tej chwili, że z trudem tylko zdołał nić swoich wspomnień nawiązać do wrażenia, jakie odnosił.

— Co tobie jest? — wybąknął wreszcie...

— Co rozkażesz, panie? — powtórzyła znowu, tym razem z niespodziewanym zalotnym uśmiechem, podczas którego kąty ust dziwnie jej jakoś zadrgały.

Marek zbliżył się ku niej i usiadł.

— Oddałem ci szerna pod straż. Co się z nim stało?

— Nie wiem.

Stała tuż przed nim, drobnymi udami pod lekką szatą kolan jego niemal dotykając. Wolnym ruchem palców rozwiązała wstęgę pod szyją i rozchyliła barwną wonną tkaninę. Naga była pod zwierzchnim odzieniem, jak poprzednio, jeno szal nieodmiennie szerokim zawojem opasywał jej biodra.

Nagle Marek uczuł, że ona bierze twarz jego w dłonie i ciśnie do swojej piersi. Odurzająca woń go ogarnęła, przymknął oczy i ustami głodnymi dotykał jej ciała, czując jednocześnie, jak ostre jej paznokcie zagłębiały mu się w skórę poza uszami. Chciał ją objąć

ramieniem, gdy nagle zachwiał się w tył pchnięty. Ihezal wyślizgnęła się z jego ręku[321]; usłyszał tylko srebrzysty szyderczy śmiech i trzask drzwi zamykanych. Był znowu sam.

V

Stanowienie nowych praw szło Markowi opornie, jak to stary arcykapłan z góry był przewidział. W jednej chwili wszyscy stanęli przeciw niemu; ze zdumieniem spostrzegł, że wrogowie wyrastają zewsząd, tam nawet, gdzie najmniej się tego spodziewał.

Zaczęło się to zaraz owego pierwszego dnia, kiedy powrócił z zamorskiej wyprawy. Zwołał był wtedy na czas popołudniowy wielkie zgromadzenie ludu do świątyni, na którym zakreślić chciał i wyjawić plan reform zamyślonych. Zebrała się ciżba sroga, ale niepokój w niej był od początku, zgoła odmienny od owego zbożnego oczekiwania, które dawniej poprzedzało każde wystąpienie Zwycięzcy. Niecierpliwiono się owszem i wołano, jakby to on właśnie był przed oblicze ludu wezwany i miał się jawić, aby zdać jakieś rachunki. Gdy wszedł na dawną arcykapłanów kazalnicę, powitał go okrzyk mieszany, wśród którego jednak nieliczne tylko głosy cześć jego obwoływały.

Marek nie zważał na to. Pilno mu było opowiedzieć ludziom, jak przed odejściem na Ziemię chce im życie na Księżycu urządzić. Nakazawszy więc ciszę głosem, gdy ruch ręki nie skutkował, mówić począł, wykazując na wstępie zło istniejące, które usunąć należy. Prawił o krzywdzącej nierówności praw, które jednym nazbyt wiele pozwalają, wiążąc innych na każdym kroku — mówił o niewolnictwie jawnym i gorszym, ukrytym, co sprawia, że większa część ludności w nędzy ciężko pracuje, aby się zwiększała majętność sytych — o kobiecie uciśnionej, o braku oświaty i o władzy, którą zmienić należy, odbierając ją na przyszłość z ręku samowolnych kapłanów, a dając ją ludowi, aby — jak słuszna — sam stanowił o losie swoim, który sam ma znosić.

Słuchano go dosyć spokojnie, z rzadka tylko szemraniem przerywając, gdy jednak chciał przejść do pozytywnej części przemówienia i rozwinąć plan poprawienia istniejących stosunków, ozwał się ktoś niespodziewanie, zapytując o losy zamorskiej wyprawy. Na ten znak wszczął się straszliwy hałas, jak gdyby z góry przygotowany. Wołano tak i krzyczano ustawicznie, że Marek mimo usiłowań nie mógł przyjść do słowa. Co dziwniejsza jednak, że cisza nastąpiła natychmiast, gdy tylko Elem się podniósł, siedzący dotychczas w milczeniu naprzeciw na wyniosłym tronie pod filarami.

Mówił on jakoby w obronie Marka. Na wstępie zwrócił się do ludu z prośbą, aby zechciano słów Zwycięzcy z należną czcią wysłuchać, gdyż niewątpliwie znajdzie się wśród nich wiele rzeczy zbawiennych i pożytecznych. On sam, Elem, mimo że jest z woli ludu (tak powiedział) arcykapłanem rządzącym, nie ośmieliłby się dzisiaj głosu zabierać, gdyby nie był pewny, że przemawiając, trafia w myśl Zwycięzcy, który stanowisko jego uznał bezsprzecznie od początku i uświęcił.

— Zwycięzca — prawił dalej — położył wielkie zasługi i należy mu się wdzięczność. Bo chociaż wojenna wyprawa na południe, mimo nadzwyczajną dzielność wojska jemu podlegającego i szczodrą ofiarność ludu, krwi ani mienia nieszczędzącego, nie powiodła się tak, jak można było oczekiwać, to jednak w każdym razie pewien szmat ziemi zdobyto i, jeżeli tylko szernowie zechcą na przyszłość siedzieć spokojnie, można tam będzie nowe założyć osady.

I teraz występuje Zwycięzca z pewnymi projektami, których warto w każdym razie posłuchać. Wprawdzie ludziom, z księżycowymi stosunkami dobrze obeznanym, zbyt się to wszystko śmiałym i nadzwyczajnym widzi, ale on, Zwycięzca, jest panem, któremu wolno ze szczęściem i dobrem ludu robić próby, choćby najniebezpieczniejsze, jeśli mu się jeno tak spodobało.

Wreszcie zakończył:

— Widzę jednak, że dzisiaj nie jesteście dość skupieni, aby rad i poleceń błogosławionego Zwycięzcy słuchać, przeto nakazuję wam rozejść się teraz do domów, a my wam już czas oznaczymy, kiedy będziecie się mieli znowu pojawić...

Lud z krzykiem i hałasem zaczął się wysypywać ze świątyni.

Marek był tak niesłychanie zdumiony treścią i sposobem przemowy Elema, że nawet mu nie przerywał. Usiadł tylko na kazalnicy i patrzył z zajęciem na arcykapłana, który,

[321] *wyślizgnęła się z jego ręku* — dziś: wyślizgnęła się z jego ręki.

mówiąc, rzucał często przelotne spojrzenia na Sewina, stojącego obok w pokornej postawie i przytakującego niekiedy jego słowom nieznacznym ruchem głowy. Gdy jednak lud, podniósłszy okrzyk na cześć arcykapłana, szybko opuszczał świątynię, nie objawiając zgoła ochoty słuchania nauk Markowych, przyskoczył ten do Elema i zatrzymał go ruchem ręki, gdyż chciał i on już odchodzić.

— Co to ma znaczyć? — zapytał groźnie.

— Wychodzą — odparł Elem z niewinną prostotą.

— To twoje łajdactwo, twoja intryga! Każę cię batami przed ludem oćwiczyć, aby wiedziano, czym mi jesteś, psie!

Arcykapłan pobladł.

— Każ to uczynić, Zwycięzco — rzekł — jeno nie próbuj potem znaleźć u ludu posłuchu...

Naraz, widząc, że w świątyni nie ma już prawie nikogo, zgiął się pokornie do kolan Markowych.

— Panie! niesłusznie karcisz i potępiasz najniższego sługę swojego i psa, który ci jest wierny! Wszakże widziałeś, że lud był dzisiaj niespokojny i roztargniony; nie chciałem, aby słowa twoje padały marnie na rolę nieprzygotowaną. Bałem się, że jeśli raz w czymkolwiek nie posłuchają ciebie, powaga twoja święta i nadksiężycowa szwank poniesie dotkliwy a opłakany tym więcej, że z grzechem dla ludu byłoby to połączone. Słuszniem tedy uczynił, każąc się rozejść gawiedzi dzisiaj; wezwiesz ją, gdy uznasz sam za stosowne.

Marek nie łudził się ani na chwilę co do właściwych intencji Elema, nie mógł mu jednak w tym przynajmniej nie przyznać słuszności, że zgromadzenie to pierwsze nie było zgoła nastrojone, aby planów jego chętliwym[322] uchem posłuchać. Ponieważ chodziło mu prawdziwie i głęboko o to, aby reformy zamierzone bądź co bądź przeprowadzić, więc postanowił wybrać drogę inną, która mu się zdała na razie najodpowiedniejszą. A mianowicie powołał do życia pewnego rodzaju wydział, z najrozmaitszych członków miejscowej starszyzny złożony, który miał naprzód w ciszy pod jego osobistym kierownictwem wszystkie niedostatki rozważyć i prawa nowe zakreślić, aby w ten sposób były one dla ludu uradzone, nie zaś narzucone przez kogokolwiek, chociażby nawet przez ziemskiego przybysza.

Elem cofnął się od udziału w tej komisji, tłumacząc się niemożliwością pogodzenia tego ze stanowiskiem swoim i obowiązkami, przysłał natomiast w zastępstwie swoim Sewina, który miał być obecnym na wszystkich obradach i zdawać sprawę z nich panu swojemu. Zwycięzcę jednak dotknęła najbardziej niemożliwość pozyskania Malahudy. Opór starca był tak stanowczy, że wszelkie usiłowania, aby go przekonać, spełzły na niczym. Postanowił on nie ruszać się z *Wyspy Cmentarnej*, a na wszystkie nalegania odpowiadał jeno:

— Zbyt zmęczony jestem długim życiem i nierad już mieszam się tam, gdzie się beze mnie obejdzie. Ostawcie mnie w pokoju...

Gdy wreszcie Marek wybrał się sam do niego z prośbami, rzekł:

— Mogę ci, synu, później być potrzebnym. Niech się to teraz uradzi beze mnie. Jeśli kiedy w razie potrzeby wystąpię po twojej stronie (a tak myślę, bo wiem, że zamiary masz dobre), to nie powiedzą przynajmniej, że swojej bronię rzeczy.

Obrady postępowały niezbyt raźno. Od samego początku okazywało się mnóstwo trudności, prawie nie do przezwyciężenia. Marek miał czasem wrażenie, że jest jakaś ręka poza nim, która wzięła sobie za jedyne zadanie obracać wniwecz wszystko, co on zdziała lub bodaj zamierzy. Ale postanowił wytrwać — przynajmniej do czasu. Zżymał[323] się tylko i oburzał coraz częściej, nie spostrzegając nawet, że gniew jego coraz mniej robi na ludziach wrażenia.

Przy tym na świecie dziwne rzeczy dziać się zaczynały. O pracach w komisji rozchodziły się, nie wiadomo przez kogo rozsiewane, wieści przesadne a potworne, usposabiając lud z góry wrogo do wszystkiego, co by tam było postanowione. Mówiono na przykład, że majętności będą podzielone równo pomiędzy wszystkich obywateli, ale w ten sposób, że ci, dla których by już ziemi ani dobytku nie starczyło, będą po prostu zarznięci. Na

[322]*chętliwy* — dziś: chętny; tu: przychylny.
[323]*zżymać się* — gniewać się, oburzać się; reagować niecierpliwie.

przyszłość też uregulowany ma być rozrost rodzin przez topienie nadliczbowych niemowląt... Władza arcykapłańska miała być pono zniesiona, lecz natomiast rządzić miał tajny komitet, wydający zaoczne wyroki śmierci na wszystkich opornych. Kobietom ma być nadana wolność najszersza, tak że nie będą na przyszłość potrzebowały podlegać mężom ani dochowywać im wierności. I morcy będą snadź z ludźmi zrównani...

Te i tym podobne baśnie krążyły między ludem powszechnie, podburzając go coraz więcej — a wszelkie usiłowania Marka, aby kres im położyć, chybiały celu najzupełniej.

A jednocześnie też zaczęto mówić o zjawieniu się proroka Chomy, który nie wiadomo jak uszedł z więzienia arcykapłańskiego i teraz arcykapłańskiemu, pono[324] nader energicznemu pościgowi urągając, chodzi między ludem i głosi, że Zwycięzca nie jest Zwycięzcą, lecz grzesznym samozwańcem, któremu należy wymówić posłuszeństwo. Wzywał on wiernych do pokuty i gromadził rzeszę, która przeciągała z nim od osady do osady.

Nie próżnowało także Bractwo Prawdy. Straciło ono wprawdzie w niewyjaśniony sposób członków swoich najwybitniejszych, ale tym bardziej — przypuszczając, że stało się to za sprawą „pana Marka", mającego wszędy swych szpiegów i siepaczy — starało się ludność podżegać przeciwko niemu. Mówiono już głośno w pewnych kołach, że jest on oszustem, który pcha ludzi na zatratę w dziedziny szernów, chcąc odwrócić ich uwagę od niedostępnego raju na tamtej stronie Księżyca. Nadto — ponieważ po zatracie Rody, Matareta i ich towarzyszów brakło w Bractwie ludzi uczonych, zaczęły w łonie pozostałych rodzić się i krążyć wieści najfantastyczniejsze: nie wierzono już w ogóle w rozciągłość nieprzerwaną *Wielkiej Pustyni*, sądząc, że otacza ona tylko szerokim pasem kraj najcudniejszy, rozkoszny i żyzny.

Na dobitkę i zza morza wieści przychodziły co najgorsze. Młode kolonie, ustawicznie przez szernów trapione, żądały ciągle nowych posiłków w ludziach i broni, nic w zamian macierzystemu krajowi nie dając.

Marek, zrażony niepowodzeniem dzieła, w którym trwał już tylko przez upór, z tym większą tęsknotą oglądał się za ludzką istotą, z którą by mógł szczerze mówić i otwarcie... Miał bowiem tylko wrogów licznych i ukrytych i niewielką garść przyjaciół, którzy trzymali się go ostatecznie tylko dlatego, że uważali go nieodmiennie za nadprzyrodzoną i boską poniekąd istotę. Czuł, że znajduje się w nad wyraz dziwnym położeniu przymusowego kłamstwa. Powiedzieć tym wyznawcom nielicznym, że jest naprawdę i niewątpliwie takim tylko jak oni człowiekiem, znaczyło to stracić ostatnich w zbawiennym dziele sprzymierzeńców. Ci nawet bowiem, dla których z natury rzeczy przede wszystkim pracował: najnędzniejsi, wydziedziczeni i ubodzy, coraz chętniej dawali posłuch złym podszeptom i czy to bojąc się stracić łaskę u możnych, w których obalenie nie wierzyli, czy też po prostu dobra swego nie rozumiejąc, w niczym nie chcieli Markowi pomagać.

Tedy gromadził jeno[325] w pewnych godzinach szczupły zastęp swoich przyjaciół — i myśląc o ziarnie, które po jego odejściu na zasiew tutaj zostanie, prawił im długo o wszystkim dobrym, wznosił i nauczał.

Ihezal nie brała udziału w owych zgromadzeniach. Zmieniona do niepoznania, unikała teraz Marka widocznie albo znowu w szalonych jakichś napadach drażniła jego zmysły, aby nagle wymknąć mu się z szyderczym śmiechem na ustach. A Marek zaczął naprawdę pragnąć jej towarzystwa i im ona dziwniejszą i dzikszą się stawała, tym bardziej on tęsknił za taką, jaką ją był poznał[326] ongi w początku.

Nie chciał się głośno przyznać przed sobą, że ta dziewczyna to jeden z powodów, może najgłówniejszy, dla którego on trwa jeszcze na Księżycu, do odlotu swego się nie spiesząc...

Pewnego dnia po gwałtownej kłótni z Elemem, który czując już cały niemal lud za sobą, pozorną nawet uległość zaczął odrzucać, wyszedł na dach świątyni, aby odpocząć nieco i szerokiemu morzu się przypatrzyć. Niespodziewanie zastał tutaj Ihezal. Stała wsparta o balustradę i zadumana. Morze szumiało w dole rozgłośnie i głuszyło kroki nadchodzącego, czy też ona tak była w myślach jakichś zatopiona, że go nie dosłyszała...

Dopiero gdy zbliżył się do niej na taką odległość, że mógł ręką wyciągniętą dotknąć jej ramienia, odwróciła się nagle i krzyknęła głośno z przerażenia, widząc go tuż za sobą.

---

[324]*pono* — dziś: ponoć; podobno.
[325]*jeno* — tylko.
[326]*był poznał* — daw. forma czasu zaprzeszłego; dziś: poznał (wcześniej, dawniej, przedtem).

Stała w narożniku i nie mogła ujść, koło Marka nie przechodząc, wcisnęła się tedy jeno głębiej i patrzyła na niego zalęknionym wzrokiem. Marek cofnął się o krok, otwierając jej wolne przejście.

— Ihezal, chcesz odejść...

— Muszę — szepnęła, spuszczając głowę, ale nie poruszyła się z miejsca. Twarz miała bolesną, lecz cichą, jak niegdyś, dawniej, kiedy to długie godziny tutaj ze Zwycięzcą spędzała, słuchając słów jego przedziwnych o Ziemi, o gwiazdach...

— Co tobie jest? — ozwał się Marek po chwili głosem cichym i miękkim, jakby w obawie, aby jej głośniejszym nie spłoszyć słowem.

Nic nie odpowiedziała, jeno ramiona zadrżały jej nagle, a u rzęs zawisły dwie duże łzy, opadając z wolna na pobladłe policzki.

Marek ujął ją za rękę i pociągnął lekko ku sobie. Nie opierała mu się i usiadła na wskazanej ławce kamiennej. On teraz rzucił się zwyczajem swoim na posadzkę i wsparłszy brodę na dłoniach, patrzył jej długo w oczy. Wytrzymywała przez pewien czas wzrok jego, tylko źrenice robiły jej się mętne i jakby przygasłe. Wreszcie spuściła powieki.

— Ihezal — zaczął Zwycięzca — czemu ty mnie teraz unikasz? Tak mi ciebie potrzeba...

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

A on mówił dalej:

— Niegdyś byłaś przy mnie, jak ptak, który siada na ramieniu, złoty i rajski a niepłochliwy. Miałem cię blisko i dość mi było rękę wyciągnąć...

Wzniosła na niego smutne oczy.

— Czemuś ręki nie wyciągnął wtedy, Zwycięzco?

— Nie wiem, nie wiem! Może nie było mi jeszcze tak źle, może jeszcze tak samotny nie byłem... Dzisiaj przed niechętnymi sobie muszę udawać silnego, przed przyjaciółmi zapierać się muszę swego człowieczeństwa, a przecież, chociaż na dalekiej Ziemi zrodzony, choć większy od was wzrostem i myślą, jestem taki sam człowiek, jak wy, i sam jestem, sam, sam! Ihezal, bądź ty ze mną!

— Za późno — rzekła bezdźwięcznie — za późno. Mogłeś mnie wtedy mieć i na wieczność. A teraz ja już jestem tak strasznie daleka od ciebie... Uchodź, uchodź, dopóki czas. Uciekaj na Ziemię!

Wyciągnął ku niej ręce — odsunęła je lekko.

— O! Czemuś mi ty taką krzywdę wyrządził! — ozwała się znowu po chwili z dziwną zajadłością w głosie — dlaczego mnie tak sponiewierałeś? Czemuś nie patrzył na mnie, kiedy byłam przed twymi oczyma, albo czemu od razu mnie precz nie odegnałeś, jenoś zezwolił[327]...

Urwała nagle i popatrzyła mu w oczy błędnymi źrenicami. Zły śmiech poczynał jej już wargi krzywić.

— Nic mnie z tobą, Zwycięzco.... — mówiła. — A może ja jestem właśnie Dusza księżycowego ludu i trzeba mnie było mieć w ręku?... Przeoczyłeś chwilę właściwą i przychodzisz teraz z dłonią do ptaka, który już odleciał, ho! ho! odleciał... I teraz ty — Zwycięzca...

Zaśmiała się sucho i ohydnie.

— Ihezal!

— Precz! Nie chcę patrzeć na ciebie, nie mogę! Nie mogę! — powtórzyła, osuwając się na kolana.

Z oczu wyzierał jej potworny lęk; drżące ręce wyciągnęła błagalnie ku niemu.

— Miej litość nade mną! Odejdź! odejdź! niech ja cię już nie widzę! niech nie pamiętam...

Marek podniósł się powoli. Smutek bezbrzeżny wypełniał mu duszę i ruchy niemal paraliżował. Przez krótką chwilę stał przed dziewczyną z jakimś litościwym, dobrym zamiarem wyciągnięcia rąk do niej... Ogromne znużenie na niego spadło. Odwrócił się i ciężkim, leniwym ruchem zmierzał ku schodom, z platformy w dół wiodącym. Ihezal słyszała jeszcze jego kroki na stopniach kamiennych, coraz głuchsze...

---

[327] *jenoś zezwolił* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: jeno zezwoliłeś; *jeno* (daw.): tylko.

I po jego odejściu rzuciła się nagle na kamienną posadzkę ze strasznym, niepohamowanym łkaniem. Trzęsła się cała jak liść wiatrem miotany i biła głową jasną o ziemię, targając rękami włosy i odzienie.

Ale powoli spokój na nią zstępował. Leżała jeszcze jakiś czas bez ruchu, martwemu ciału podobna, i tylko rzadki przelotny dreszcz, ściągający gwałtownie jej ramiona, świadczył, że żyje. Powstała wreszcie — jak senna, z trupio bladą twarzą i posiniałymi wargami. — Oczy jej szeroko rozwarte, zapadłe były i podkrążone, na gładkim czole rysowała się kurczowo zmarszczka pionowa. Poczęła ogarniać się automatycznymi ruchami rąk, porządkowała na sobie szaty i gładziła włosy stargane...

Wreszcie zeszła do świątyni. Tutaj zastała Zwycięzcę rozmawiającego z kilku ludźmi, wśród których był także dowódca arcykapłańskiej straży pałacowej. — Marek nie patrzył na nią, zajęty żywą rozmową; stanęła więc na uboczu, słuchając.

Mówiono o strasznych wypadkach, jakie od pewnego czasu wydarzały się w mieście i okolicy. Ludzie ginęli niespodziewanie, zwłaszcza jeśli oddalili się samotnie od mieszkań, ale trafiło się także, że znajdowano w domach wybitą całą rodzinę. Wszyscy mieli na sobie sine znamiona od dotknięcia szernowskich rąk zabójczych. Nie ulegało wątpliwości, że jest to sprawa zbiegłego Awija, który snadź ukrywa się gdzieś i porą sposobną na łów wychodzi: stawiano straże i urządzano obławy, przetrząsając każdy zakątek okolicy w szerokim promieniu, każdą kupę zarośli, każdy załom skał nadmorskich — i zawsze na próżno.

A potwór tymczasem snadź[328] krył się gdzieś w pobliżu, jak o tym świadczył teren jego działania, głównie na miasto się rozciągający... Ludność wobec tej tajemniczej klęski, wiecznym postrachem nad nią wiszącej, była zgoła bezradna i wybuchała jeno gniewem przeciw Markowi, że to on niegdyś Awija uwięził, nie dozwalając stracić go na miejscu. I Marek czuł, że ten jeden szern ukryty groźniejszy jest niż całe ich zastępy tam, w zamorskim kraju, gdzie można było przynajmniej walczyć z nimi otwarcie — nie mógł jednak znaleźć środka zaradzenia złemu.

Nikt nie przypuszczał, aby zwierz wśród ludności zdołał zyskać dobrowolną pomoc, ale obawiano się, że wymusił ją może groźbą, i zaczęto się już nawzajem podejrzewać. Człowiek jeden na drugiego patrzył z nieufnością i strachem. Wreszcie całe oburzenie zwróciło się przeciw Nuzarowi, którego Zwycięzca miał ciągle przy sobie. On to jeden, morzec przeklęty, musiał Awija ochraniać i służyć mu! Należy go tedy zabić, zmusiwszy wprzód mękami do wyznania, gdzie się szern ukrywa.

Z tym właśnie przyszli ludzie obecnie do Marka: żądano, aby wydał Nuzara. Ihezal słyszała, jak Zwycięzca oparł się temu stanowczo, dozwalając jeno zamknąć morca na pewien czas pod najściślejszą strażą dla próby i przekonania się, czy szern nie stoi z nim w jakiej łączności i czy w takim razie nie narazi się na schwytanie, pozbawiony jego pomocy... Na męki, on, Zwycięzca, nie zezwoli, zwłaszcza iż przekonany jest w głębi duszy o niewinności morca, który jak pies znajduje się ciągle przy jego nodze.

Posłom nie wydawało się to dostatecznym i właśnie wadzić się z Markiem poczynali, kiedy Ihezal, uśmiechnąwszy się nieznacznie, wyszła ze świątyni, ku izbom swoim zmierzając...

Gdy jednak znalazła się w korytarzu, zwróciła się nagle na prawo i stwierdziwszy, że jej nikt nie śledzi, wsparła się całą mocą o jedną z płyt kamiennych w ścianie. Ustąpiła z wolna, otwierając ciemne przejście w murze, i zamknęła się zaraz za znikającą w nim dziewczyną.

Ihezal biegła żywo po omacku, licząc wyciągniętą dłonią głazy co kilka kroków ze ściany sterczące. Kiedy naliczyła ich siedem, zwróciła się znowu na prawo i poczęła szukać rękoma czegoś na wilgotnej posadzce. Namacała wreszcie zrąb otworu i pierwszy stopień bystro[329] w dół opadających schodów. Zsunęła się nimi w głąb i po krótkim jeszcze krążeniu krętymi przejściami znalazła się w obszernych naturalnych jaskiniach, słabym światłem dnia rozjaśnionych. Ciągnęły się one tuż pod ogrodami, świątynię ze skalistym brzegiem morskim łączącymi. Dzień wchodził tu przez kilka zakrytych szczelin w pionowej ścianie skalnego i niedostępnego wiszaru[330] nad morzem.

---

[328]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[329]*bystro* — tu: stromo.
[330]*wiszar* — urwisko.

Istnienie pieczar tych było tajemnicą, pilnie w rodzie arcykapłańskim strzeżoną, i nikt o nich nie wiedział obecnie z wyjątkiem wnuczki Malahudy... Stojąc w ogromnej grocie, pełnej fantastycznych stalaktytów, uderzyła w dłonie po trzykroć. Na ten znak zjawił się w jednej z bocznych galerii szern Awij. Płaszcz miał na ramionach purpurowy, końcami między skrzydła na piersi zarzucony, i starą arcykapłańską złotą obręcz świętą na głowie, przecinającą mu czoło nisko, tuż ponad parą górnych oczu.

Ihezal zaczęła drżeć na całym ciele, a on — do dziwnego królewskiego szatana podobny — zbliżył się do niej i wyciągnął straszliwe białe dłonie. Dziewczyna stała bezwładna, z rękami w dół opuszczonymi, kiedy Awij począł zzuwać z niej odzienie. Cisnął na ziemię płaszcz bogaty i spodnią szatę drogo wyszywaną, a gdy wreszcie zdarłszy z niej ostatnią białą tunikę, rozwiązał szal koło bioder owinięty, na śnieżnych i atlasowych bokach dziewczęcych ukazały się dwa piętna ohydne, od uścisku palących ręku szernowskich[331] pochodzące...

Wtedy upadła przed nim na twarz, on zaś, skrzydła czarne szeroko z obojego boku rozpostarłszy, wstąpił jedną nogą na głowę jej jasną, zadzierzgając szpony w rozsypane złoto jej włosów.

VI

Wieść o śmierci Malahudy raziła Zwycięzcę jak grom. Wszystko szło jak najgorzej i Marek postanowił był właśnie jeszcze ostatnią próbę uczynić, nimby Księżyc opuścił: wezwać Malahudę, aby wyszedł nareszcie ze swego osamotnienia i poparł go dawną powagą swoją: kiedy rybak, służący zwykle za posła staremu arcykapłanowi, doniósł mu naraz, że ten już nie żyje. Został pono zabity — jak mówił rybak, drżąc na całym ciele.

Marek w pierwszej chwili przypuszczał, że popełniono tę zbrodnię na rozkaz Elema, obawiającego się mimo wszystko wciąż dawnego rywala. Wpadł więc jak burza do pałacu arcykapłańskiego i wywlókłszy drżącego z przestrachu mnicha z pośrodku odbywającej się właśnie narady, począł go kląć i grozić śmiercią natychmiastową. Dawny mnich, nie wiedząc o niczym, oniemiał z przerażenia, gdy jednak po pewnym czasie wyrozumiał, o co chodzi, okazał takie zdumienie i tak szczerze się przysięgał, że Marek pomimo woli zaczynał wierzyć w jego niewinność... Puścił go tedy, zagroziwszy mu jeno, że całą rzecz zbada, a jeśli okaże się w tym bodaj cień winy jego, Elema, będzie on mimo straże swoje i mimo lud cały tak straszliwie ukarany, że póki jeno Księżyc istnieje, wspominać będą ludzie ze zgrozą i przestrachem zemstę Zwycięzcy. Tymczasem zaś kazał sobie natychmiast przygotować łódź, aby się udać na *Wyspę Cmentarną* i na miejscu zbadać, co by się dało.

Był czas przecudnego rana, kiedy Zwycięzca samotrzeć[332] z rybakiem i jednym wioślarzem zbliżał się do małej, zielonej przystani, kędy niegdyś lądowała Ihezal, odwiedzając dziadka po raz pierwszy. Krzewy i drzewa przedziwne, z długimi, opuszczającymi się aż do wody gałęziami stały przy brzegu, pełne zadumy i smutku w cichym nad wyraz powietrzu. Pod nimi z zielonej murawy sterczał głaz jeden — pochyły niby waląca się ściana lub gigantyczny jakiś kamień grobowy... Obok tej skałki właśnie przybiła łódź do brzegu. Marek wyskoczył pierwszy na ląd i gdy tamci zajęci byli przywiązywaniem łańcucha do pnia sterczącego nad wodą, on biegł już szybko w górę.

Pod kamieniem błysnęło mu coś w wydeptanej trawie — przystanął i podjął z ziemi złotą od sukni zapinkę z kawałkiem wstążki, przy niej jeszcze wiszącej. Niewielka była i płaska, ozdobnie wyrobiona z dużym w pośrodku kamieniem. Poznał klejnot, który przysłał był niegdyś złotowłosej Ihezal z pierwszych łupów, wziętych na szernach...

Tamci dwaj tymczasem, umocowawszy łódź, zbliżyli się ku niemu. Schował więc szybko zapinkę w zanadrze i ruszyli wszyscy trzej drogą pomiędzy wzgórza ku grocie Malahudy. Kiedy byli już blisko, psy im drogę zabiegły — wygłodniałe były i dzikie i rzucały się zapamiętale, zwłaszcza na Marka, choć dawniej przyjazne wobec niego okazywały usposobienie. Marek, kiedy już słowa uspokajające nie działały, zamierzył się kijem na jednego z nich, a w tej chwili drugi rzucił mu się pod uniesione ramię i chwycił za koszulę zębami. Żachnął się Marek, pozostawiając szmat oderwanego płótna w pysku rozwścieczonego

[331] *od uścisku palących ręku szernowskich* — dziś: od uścisku palących rąk szernowskich.
[332] *samotrzeć* (daw.) — sam z dwoma towarzyszami; we trzech.

zwierzęcia. I nagle oba psy, opuszczając Marka, rzuciły się zajadle drzeć owo płótno. Zaświeciła wśród strzępów złota sprzączka z kawałkiem wstążki purpurowej...

Ale Zwycięzca nie zauważył już tego. Rad, że się pozbył natrętnych napastników, ruszył biegiem ku wejściu pieczary. Leżał tu przy samym wstępie trup Malahudy, tak jak był padł, na wznak przez głaz przewieszony. Oczy miał szkliste, na wpół otwarte i usta rozchylone w ostatnim krzyku. Nie ulegało wątpliwości, że napadnięto go znienacka i zabito, nim miał czas spróbować obrony. Krwi nie było znać nigdzie, ani też żadnego śladu od uderzenia na głowie. Kazał go tedy Marek rozdziać z szat, aby doszukać się rany. Lecz skoro tylko opończę na nim brunatną ze skóry rozpięto, cofnęli się wstecz ze strachem obaj pomocnicy: na ciele starca widne były ohydne sine plamy, znamienne dla ludzi, którzy z ręku szernowskich padli[333]. Marek zagryzł usta w milczeniu.

Rychło zaczęto kopać grób między kopcami, znaczącymi miejsce spoczynku pierwszych ludzi na Księżycu. Ciało spowito w tkaniny w jaskini znalezione i przysypano ziemią, przyciskając ją jeszcze wielkimi głazami, aby snadź psy wygłodzone do trupa się nie dostały.

W milczeniu sprawił Zwycięzca ten cały ostatni obrządek i milczał wciąż, kiedy łódź posuwała się z powrotem przez ciche fale ku miastu.

W przystani spotkał ludzi, którzy mu donieśli, że podczas jego nieobecności przyszły wieści zza morza. Jakoż wkrótce ujrzał i posłów przez Jereta wysłanych. O świcie oni już po lodach przybyli, jak rzekli, ale ich zatrzymały straże arcykapłańskie, nie dozwalając ukazać się zaraz przed obliczem Zwycięzcy. Odebrano im też listy, które Jeret był napisał, tak że teraz, kiedy ich nareszcie uwolniono, nie wiedzą nawet, co mają mówić. Opowiedzieć mogą jeno tyle, na co własnymi patrzyli oczyma, ale nie będzie to wiele ani nic nader dobrego.

Wziął ich tedy Marek z sobą do świątyni, aby tam swobodnie pomówić. Już w drodze od przystani zastanowił go ruch niezwykły. Ludzie przebiegali pospiesznie, rzucając na niego jakieś nieufne i lękliwe spojrzenia — na placach zalegały znaczniejsze gromadki, które jednakże rozstępowały się żywo, kiedy tylko on się ku nim zbliżył. Marek zbyt był jednak zajęty myślą o Jerecie i o tym, co mu posłowie doniosą, aby zwracać na to baczniejszą uwagę.

Główne drzwi od świątyni zastał zamknięte, wszedł jednak bocznym wejściem, nie dość silnie zapartym, aby sobie przez nie nie mogły utorować drogi mocne jego ramiona. Zresztą i do tego nie przywiązywał wagi. — Widocznie nie wiedziano jeszcze, że wrócił, i zamknięto jego mieszkanie przed gośćmi niepowołanymi.

Gdy znalazł się sam na sam z posłami w obszernej salce poza główną halą, jął ich natychmiast wypytywać o losy pozostawionych za morzem załóg i nowo przybyłych osadników. Posłowie rzeczywiście niewiele dobrego mieli do powiedzenia. Walka tam trwała zażarta: ludzie nękani ciągłymi napaściami szernów, którzy, nie śmiejąc w otwartym boju wystąpić, podjazdową wojną ich gnębili, cofnąć się musieli z najdalej wysuniętych posterunków, aby resztę zdobytego kraju uchronić. Myślą Jereta było utworzyć zwarty i w ciągłym kontakcie między sobą stojący łańcuch załóg, w obronnych gródkach porozmieszczanych, ale na to trzeba było ludzi, ludzi i jeszcze raz ludzi, których brakowało wciąż mimo silnego napływu ze starych krajów. Broniono się tedy tymczasem, jak się dało, urządzając co pewien czas wyprawy na szernów, aby ich nawzajem w ciągłym trzymać postrachu. Ale to wszystko męczyło ludzi tak, że ręce im już opadały — i było wielu takich, którzy głośno wołali, że należy porzucić ten kraj niewdzięczny i wracać co rychlej do starych siedzib za morze.

Pono[334] Jeret o tym właśnie rozpisywał się w zaginionych listach. Ustnie kazał im tylko powiedzieć jeszcze Zwycięzcy, ażeby mimo wszystko był o plon swego trudu spokojny, bo dopóki on, Jeret, żyje, kraj będzie utrzymany. I prosić kazał Zwycięzcę, aby dobro działał w starych osadach ludzkich i przyobiecane prawa tam stanowił, nim z Księżyca na Ziemię odejdzie.

---

[333] *z ręku szernowskich padli* — dziś: z rąk szernowskich padli.
[334] *pono* (daw.) — podobno.

Marek zamyślił się, wysłuchawszy tego poselstwa. Posłowie mieli powracać z nową partią osadników, przyobiecał im tedy dać listy do Jereta, napominając tylko, aby ich nie stracili. Jakoż zaraz wziął się do pisania.

Wspomniał o trudnościach, z jakimi ma tutaj do walczenia — i że ręce za każdym ruchem krępują mu ludzie nowemu porządkowi niechętni, tak że czasem traci już nadzieję, aby bez użycia siły mógł zdziałać co dobrego. A siły dotychczas nie chce używać.

„Liczyłem jeszcze na pomoc i powagę Malahudy — pisał w końcu — ale starzec już nie żyje... Zginął w sposób tajemniczy, zdaje się, że z ręku szerna uwięzionego, który umknął dziwnym sposobem. Jestem teraz sam i dwie tylko drogi mam do wyboru... Porzucić wszystko i wracać na Ziemię albo wezwać ciebie z garstką wiernych moich towarzyszów w bitwach w tamtym kraju prowadzonych i zrobić tutaj porządek, usunąwszy tych wszystkich, którzy przeszkadzają. Waham się jeszcze i nie umiem wybrać. Smutny jestem. Mimo cały żal, jaki miałeś do mnie, a może i masz jeszcze, wierzę ci, bo wiem, że — nie mnie, ale sprawie jesteś całą duszą oddany. I ufam ci, że jeśli dam znak: «Przychodź!» — przyjdziesz. I staniesz po mojej stronie. Ale nie wiem, czy to mi właśnie uczynić należy..."

Pisał jeszcze dalej w ten sposób, kreśląc w końcu Jeretowi szczegółowy plan owego porządku, jaki myślał zaprowadzić.

„Jeżeli przypadkowo — kończył — będę zmuszony Księżyc opuścić, niczego nie dokonawszy, niech to przynajmniej po mnie zostanie, co nielicznym przyjaciołom moim tutaj rozpowiadam — i co teraz piszę do ciebie. Gdy przyjdzie sposobna pora, przyjdź sam i zgromadź przyjaciół moich pozostałych i pełnij rozpoczęte dzieło. Może naprawdę trzeba, abyście wy sami zrobili wszystko, a nie ja za was, przybysz z gwiazdy dalekiej? Nie wiem w tej chwili nic; dni u was są długie — nim ten się zakończy, może się jeszcze wiele rzeczy zmienić i wiele rozstrzygnąć..."

Dał listy posłom, którzy się jęli żegnać z nim pospiesznie, mieli bowiem iść jeszcze na zachód słońca, do osad nad morzem w tamtej stronie położonych, i stamtąd dopiero nocą puścić się po lodach na południe.

Po odejściu ich Marek zamknął drzwi od świątyni i chodził samotny wielkimi krokami po hali, dumając. Rozumiał to coraz dokładniej, że to ostatnia pora spróbować na własną rękę innej drogi, niźli ta, którą szedł dotychczas, jeśli się nie chce przyznać do porażki i ustąpić. Przecież — myślał — znalazłoby się wśród ludu dużo takich, którzy by dobro własne zrozumieli i poszli za nim, gdyby nie podstępne Elema knowania. Istotnie Malahuda miał słuszność: trzeba było nie czekać i nie szukać pozoru, lecz powróciwszy zwycięzcą zza morza, kazać natychmiast Elema stracić albo uwięzić przynajmniej, a może wtedy wszystko byłoby poszło inaczej.

Zacisnął zęby i brwi namarszczył.

— Tak, ja albo on! — rzekł głośno do siebie — nie ma wyjścia innego!

Żałował teraz prawie, że nie napisał był od razu do Jereta, aby przyszedł, nie zwłócząc[335], z garścią zbrojnych, ale pomyślał wreszcie, że i sam sobie da radę tymczasem. Odrzucił włosy spadające mu na czoło i z podniesioną głową zwrócił się ku drzwiom świątyni.

Na dziedzińcu huczał gwar wielkiego tłumu. Zwycięzca, zbyt w myślach zatopiony, nie zauważył go zgoła, choć od pewnego czasu mógł go słyszeć dobrze i wewnątrz gmachu, zwłaszcza że wybuchały z niego czasem hałaśliwe i przeciągłe okrzyki. Dopiero otwierając drzwi, z wnętrza na zasuwy żelazne zamknięte, posłyszał Marek wyraźnie te głosy, ale nie zastanawiał się zrazu, skąd pochodzą i co znaczą, rad tylko, że lud jest zgromadzony i nie będzie go potrzebował zwoływać, aby do niego przemówić.

Wyszedł tedy na wzniesiony ganek przed świątynią krokiem pewnym i zawołał zaraz na wstępie, aby się uciszono, bo on chce mówić. I rzeczywiście cisza zrobiła się głucha, ale jeno[336] na jedno okamgnienie, bo nim jeszcze zdążył usta otworzyć, już zewsząd wybuchnęły głosy zmieszane, niby ryk wzburzonego morza.

Niewiele z tego zamętu wołań można było wyrozumieć: Marek chwytał uchem tylko oderwane, głośniej wykrzyknięte wyrazy, a wszystkie przeciw sobie zwrócone. Krzyczano

[335]*zwłócząc* — dziś: zwlekając.
[336]*jeno* (daw.) — tylko.

coś o zabójstwie Malahudy, o szernie na lud zesłanym, o wojsku zostawionym na zatracenie, a nawet tu i owdzie odzywały się obelgi, zwłaszcza z ust zwolenników proroka Chomy i członków Bractwa Prawdy.

Marek patrzył spokojnie na tłum, zastanawiając się, jakie to na ludu zrobi wrażenie, gdy wezwie teraz Elema i zgniecie przed jego oczyma... Wiedział już, że w tej chwili na żadną pomoc ani na posłuch niczyj liczyć nie może i sam musi czynu wstrętnego dokonać. Był już gotów. Spojrzał w bok, w stronę, gdzie na stopniach nowego arcykapłańskiego pałacu jawił się właśnie Elem, orszakiem służby i zauszników swoich otoczony. Wzdął już piersi, aby huknąć na niego tak, jak na psa się woła, by przyszedł do nogi — gotów, jeśliby ów nie posłuchał, utorować sobie drogę przez ten tłum i Elema w garści tu przynieść...

Nagle smutek go napadł bezbrzeżny i niemoc, po wzburzeniu zwykle następująca. Bezcelowość zamierzonego czynu, bezcelowość w ogóle wszystkich jego usiłowań stanęła mu naraz żywo przed oczyma — i jeno wielka, niezgłębiona tęsknota, która krzyczała mu w duszy, jak małe dziecię, ręce do matki wyciągające: „Na Ziemię! na Ziemię!"...

Usiadł na głazie służącym dawniej arcykapłanom za mównicę, i tępym, znużonym wzrokiem powiódł po tłumie. Uciszono się, nie wiadomo dlaczego, na jedną chwilę, a on wtedy, raczej myśli swojej niż ludu tego pytając, rzekł:

— Czego wy chcecie ode mnie?...

Widocznie program tego zgromadzenia ludowego był z góry przez mądrych aranżerów ułożony, bo tumult ustawał z wolna; ludzie jacyś ruchliwi ciszyli gawiedź i porządkowali pewne grupy... Po chwili zaczęły przed Zwycięzcę występować delegacje. Szli kupcy i oddzielnie ci, którzy ziemie posiadali — kapłani, będący po wioskach sędziami zarazem, i właściciele różnych warsztatów, piekarze i rzeźnicy. Za nimi postępowali jeszcze rzemieślnicy wszelkiego rodzaju i wieśniacy w ciężkim znoju dzień cały pracujący, wyrobnicy miejscy, rybacy, perłołówcy, a nawet zdziczali myśliwcy z lesistych stoków *Otamora*. Nie brakło też kobiet, które w oddzielną grupkę zebrane, posuwały się ku stopom Zwycięzcy nieco lękliwie, popychając się wzajem łokciami.

Marek patrzył bez ruchu na tę barwną procesję i miał przez pewien czas dziwne wrażenie, że to nie fakty przed jego oczyma się rozgrywają, lecz płyną jeno przez duszę wspomnienia jakichś dawno widzianych i przeżytych rzeczy, jak gdyby był już na Ziemi i myślą tylko błądził jeszcze po tym księżycowym kraju...

Zdziwił się prawie, gdy posłyszał głos do siebie zwrócony. Przewodnicy kupców i ziemian stali przed nim i ręce wyciągając, wołali:

Prawo, Rewolucja, Lud, Obraz świata

— Zwycięzco! daruj nam spokój dawny, któryśmy mieli! Ostaw w rękach naszych mienie, w ciągu pokoleń zyskane! Nie niszcz dobrobytu!...

A kapłani już następowali za nimi, krzycząc podniesionymi głosami, przywykłymi do zawodzenia pieśni przed ludem:

— Zwycięzco! mocny ziemski przybyszu! nie ruszaj praw, któreśmy sobie od wieków wypracowali! Nie daj mocy w ręce ciemnych i niedoświadczonych!

I tak dalej szli wszyscy przed jego kolana i wszyscy prosili, aby pozostawił wszystko tak, jak było — po staremu. A więc właściciele warsztatów nie chcieli zmian w zapłacie, mówiąc, że ich to zrujnuje i zniszczy rzemiosło wszelakie; rybacy i myśliwcy wzbraniali się datków, choćby najmniejszych, na korzyść ogólną; wyrobnicy rolni i miejscy błagali go, aby nie sierdził na nich możnych, którzy życie ich w ręku trzymają, dając sposobność nędznego zarobku, aby snadź nie pomarli; wreszcie padały mu do nóg kobiety, błagając o pozwolenie zachowania dotychczasowej czci niewieściej, to znaczy podlegania mężom w domach i grzeszenia potajemnie...

Ze smutkiem a goryczą słuchał Marek tych wszystkich przemówień, a oczy jego wybiegły daleko poza schylone u jego nóg gromadki i szły, szukając w tłumie ludzi, którzy by myśleli inaczej i gotowi byli wystąpieniem swym zadać kłam samozwańczym przodownikom. Czuł, że jeżeli teraz takich w tłumie zobaczy, mimo znużenie i smutek duszny[337], wstanie i nogą tych zgiętych roztrąci, i skrzyknie przyjaciół, którzy naprzód z nim zechcą podążyć...

Ale zamiast tego ujrzał tylko twarze grube, niecierpliwie odpowiedzi jego oczekujące a zaciekłe, ludzi podburzonych i opętanych, którzy są gotowi, gdyby proszalnych słów nie

[337] *duszny* (daw.) — duchowy; dotyczący duszy.

wysłuchał, otwartym przeciw niemu buntem wybuchnąć. Znać było, że chcą tego nawet, żądni, jak każda zgraja, krzyku, obelg, bitki i zamieszania.

Zaśmiał się gorzko w duszy i wzrokiem bezbrzeżnej pełnym pogardy i... litości zarazem powiódł po błagających go przemówicielach[338]. Widział twarze tępe lub chytre, oczy zamglone, w których nawet nie palił się odblask fanatyzmu, mięsiste usta i sterczące kości policzkowe ludzi powstrzymanych w duchowym rozwoju.

Nagły wstręt go objął i tęsknota straszna, niewypowiedziana, żrąca: „Na Ziemię! na Ziemię!!". Martwym skinieniem dłoni odsunął cisnących się do kolan jego przodowników, chcących już w obłudnej pokorze szaty jego całować.

— Odejdźcie! róbcie, jako się wam podoba. Ja wracam na Ziemię...

Okrzyk radosny był mu odpowiedzią. Nie słuchał go już, cofnąwszy się szybko w głąb świątyni...

I tu jednak niedługo pozostawiono go w spokoju. Przyszli posłowie od arcykapłana Elema, przepraszając, że on sam się nie jawi, ale zajęty jest w tej chwili wielce. Im natomiast pójść tu rozkazał, aby w jego najwyższym arcykapłańskim imieniu żal wyrazili żywy, nawet rozpacz zgoła, że Zwycięzca błogosławiony zamierzył Księżyc opuścić tak rychło — i aby zapytali zarazem, jakie są jego rozkazy, które arcykapłan wypełnić gotów natychmiast ze zwykłym sobie wobec boskiego męża posłuszeństwem i uległością.

Marek, słuchając tych słów nieszczerych, nawet się już nie roześmiał. Wszystko mu było jedno i chciał się tylko jak najprędzej pozbyć uprzykrzonych natrętów. Więc rzekł im, że Jego arcykapłańskiej Wysokości nie ma nic do rozkazania i chce jeno, aby mu ludzi dano dzisiaj, którzy w *Kraj Biegunowy* pójdą uprzedzić straż nad wozem czuwającą, że on jutro przybędzie. Wysłał był bowiem zaraz po przybyciu zza morza kilku zaufanych w tamte strony, ale ci nie powrócili dotychczas i on nie wie, czy strażnicy wszystko utrzymują w należytym porządku, jako im ongi[339] był przykazał.

Po odejściu posłów jął się zaraz gotować do drogi. Porządkował zapiski i układał fotografie, pakując to wszystko z wolna i systematycznie — czasu bowiem miał dość do odjazdu; kawał dnia i noc cała jeszcze przed nim była. Myślał, że niegdyś obiecywał sobie wziąć szerna związanego i kilkoro księżycowych ludzi z sobą na Ziemię; uśmiechnął się teraz na to wspomnienie. Szern umknął, a ludzi tutejszych ma on już dosyć zaprawdę!

Zabrałby jednego Jereta chyba, ale on tutaj najpotrzebniejszy i za dobry na to, aby go na Ziemi jak dziwowisko oglądano... Zaśmiał się w duchu: może by Elema zabrać i w klatce później pokazywać? Ale ta myśl dziecinna i złośliwa zgasła w nim prędko. Usiadł i podparł głowę na dłoni.

Przypomniał sobie tego samego Elema tak, jak go był po raz pierwszy zobaczył[340]: w szarej, mniszej szacie, z ogoloną głową, z płomiennymi oczyma fanatyka, oczekującego z żywymi i trupami pospołu Zwycięzcy w wierze niezłomnej, że przyjdzie... Czy to ten sam człowiek? ten sam?! A inni? a ci wszyscy, którzy oczekiwali? byli spokojni, cisi, wierzący?... Wszakże Malahuda, witając go, mówił: „Zniszczyłeś wszystko, co było — budujże teraz...". Cóż się stało — !?

Zerwał się z miejsca i porwał w przestrachu nagłym rękoma za głowę. Zobaczył wyraźnie to, co dotychczas chwilami jeno przeczuwał, że przyjście jego na Księżyc zamiast być błogosławieństwem, stało się jakąś klęską straszliwą i niepowetowaną, jakimś wdarciem się gwałtownym w naturalny, powolny rozwój tego świata ludzi bądź co bądź tutaj już zadomowionych. I to właśnie przewróciło wszystko do góry nogami, rozpasało namiętności, ukrytą podłość dosadniej na jaw wydobyło...

Wzruszył ramionami:

— Ha, trudno! tak się widocznie musiało stać.

Ale czuł, że to fatalistyczne zdanie ustami tylko wypowiada na zagłuszenie myśli, która mówi co innego...

A ta myśl...

— Ihezal...

Tak, to imię płacze w nim od dawna, od chwili kiedy pomyślał o powrocie już nieodwołanym...

---

[338]*przemówiciel* — mówca, przemawiający.
[339]*ongi* (daw.) — niegdyś, kiedyś.
[340]*był (...) zobaczył* — forma daw. czasu zaprzeszłego; dziś: zobaczył (wcześniej).

— O! ptaku, ptaku mój złoty!

Żal jakiś straszliwy zatargał mu wnętrzności, że aż zębami chwycił dłoń ręki, aby nie krzyczeć...

— Przebacz mi, przebacz... — zaczął po chwili szeptać do siebie, jak gdyby ona przed nim stała. Nie umiał sobie jasno uświadomić, za co ją przeprasza, ani też swojej rzeczywistej czy urojonej winy określić, ale czuł, że chodzi tu o jakieś zniweczenie snu od tęcz kraśniejszego, o jakieś pokalanie rzeczy białych przez to po prostu, że ich się w ręce i na pierś nie wzięło, o życie strwonione, może — o przepadłą... miłość...

Myśl jakaś samolubna powtarza mu ciągle, że przecież on złego nic nie uczynił i nie wie nawet, skąd ta dziwna zmiana zaszła w dziewczynie i na czym ona polega, ale czuł wbrew tej myśli, że od niego tylko zależało, aby ona była jak najwonniejszy kwiat, a że teraz jest czymś tak niepojętym i strasznym...

Chciał zagłuszyć te wszystkie rozterki wewnętrzne pracą około przygotowań do podróży i myślą o Ziemi radosną, ale robota szła mu niesporo[341] i wspomnienie Ziemi jakąś martwą, szarą mgłą się pokrywało przed jego oczyma.

W samotności przepędził czas aż do przedwieczornej godziny, kiedy słońce pochylać się już na zachód poczęło i rumienić krwawo na nieboskłonie. Patrzył na to słońce przez zaczerwienione szyby okien, kiedy z zadumy wyrwało go kołatanie u drzwi, lekkie zrazu, potem coraz natarczywsze. Podniósł się i otworzył.

Przed nim stał Elem w uroczystych szatach arcykapłańskich, w starożytnym kołpaku wysokim i z dwiema kadzielnicami w ręku, a za Elemem — na ganku i na schodach szerokich — orszak barwny starszyzny i dostojników, który się łączył w tyle z niezmiernym tłumem, cały plac zalegającym. Zaledwie Marek zjawił się w progu, arcykapłan upadł przed nim na oba kolana i zaczął wywijać kadzielnicami, otaczając go kłębem gęstych, wonnych dymów. Za przykładem Jego Wysokości poszli inni członkowie orszaku; lud, który z powodu zbytniego tłoku klękać już nie mógł, pochylił jeno głowy, witając Zwycięzcę przeciągłym okrzykiem.

A arcykapłan śpiewał, wybijając ciągłe pokłony:

— Błogosławiony bądź, panie, z Ziemi przybyły, radości oczu naszych, który już odchodzisz! O-ha!

— O-ha! — powtórzył tłum za nim żałośliwym jękiem.

— Błogosławiony bądź, Zwycięzco, który szerna poraziłeś i dałeś moc w ręce człowieka! Płaczą serca nasze, że już odchodzisz! O-ha!

— O-ha! O-ha! — jęczał tłum.

— Pokój nam darowałeś i mądrość płynęła z ust twoich, abyśmy byli oświeceni! Czemuż nas teraz opuszczasz, sieroty biedne, zbyt prędko wracając na promienną Ziemię? O-ha! O-ha!

— O-ha!

— Dzięki czynimy tobie...

Marek odwrócił się i wszedł do świątyni, zatrzaskując ciężkie drzwi za sobą.

Oczy jego, na ganku oślepione słońcem, wprost na twarz mu padającym, błądziły zrazu w mroku, zalegającym olbrzymią salę... Nie wiedział, czy to złudzenie, czy rzeczywistość: tam w głębi o czarną kazalnicę ze złotym napisem oparta stała Ihezal... Nie widział jej już był[342] dawno, niemal od owego pamiętnego dnia na platformie dachu. Zbliżył się teraz ku niej z wolna.

— Ihezal! powracam na Ziemię...

— Wiem, że masz zamiar powrócić...

Dostrzegł w półmroku, że oczy ma przerażone i jakby błędne, na ustach skostniały, do skrzywienia podobny uśmiech.

— Ihezal!

Obejrzała się szybko wokoło. Jakiś ledwo dosłyszalny szelest za kazalnicą...

Z zastygłą maską na twarzy, jakby pod przemocą obcej woli rozwarła mechanicznie drżącymi rękoma szatę na piersi.

— Pójdź...

---

[341] *niesporo* — nieszybko.

[342] *nie widział (...) był* — forma daw. czasu zaprzeszłego; dziś: nie widział (wcześniej).

Nagle wyciągnęła ręce przed siebie.

— Nie! nie! Uciekaj ode mnie! — zaczęła wołać stłumionym głosem — zawołaj tu ludzi i idź stąd! Miej litość nade mną! nad sobą! Uciekaj! wracaj na Ziemię!

Chwycił ją za dłoń wyciągniętą.

— Co tobie? dziewczyno!

Szelest dał się słyszeć znowu — Ihezal pobladła, wyraz straszliwego lęku odbił jej się w oczach.

— Pójdź — rzekła bezdźwięcznie — ukryj twarz tutaj, na piersi mojej, pochyl się... Ciało moje pachnie i piękne jest — jak śmierć...

W tej chwili otworzyły się boczne drzwi; kilku ludzi wsunęło się nieśmiało do świątyni. Ihezal, spostrzegłszy ich, wydała okrzyk przerażenia i radości na poły — i rzuciła się szybko do ucieczki. Marek niechętną twarzą zwrócił się ku przybyłym. Ale oni pokornie zbliżyli się ku niemu i pochylili głowy, witając go:

— Pozdrowiony bądź, mistrzu!

Byli to jego nieliczni uczniowie, którzy przyszli go żegnać — smutni naprawdę. Usiadł z nimi tedy na posadzce u stóp kazalnicy i zaczął rozmawiać. Zdawało mu się jeszcze w pewnej chwili, że w mroku poza nim przemknęła jakaś czarna postać, niknąc szybko w przejściach, do dawnego arcykapłańskiego pałacu wiodących, ale to było snadź tylko złudzenie...

Uczniowie płakali. Pocieszał ich tedy, tłumacząc, że odejść musi, bo dłuższy jego pobyt tutaj nic już nie sprawi dobrego — a wierzy, że oni są ziarnem, które pozostawił tutaj na zasiew — i które po wiekach plon wyda pewno... Uspokoją się tymczasem namiętności i niechęć możnych przeciw niemu minie, kiedy zejdzie im z oczu. A przy tym on zmęczony już jest strasznie i tęskni za domem swoim, który jest na błyszczącej gwieździe ponad *Wielką Pustynią*...

A oni tedy pytać go jeszcze zaczęli o wiele rzeczy i radzić się, jako mają czynić, kiedy jego tu już nie będzie — i domagać się, aby im przyrzekł, że kiedyś znowu powróci...

Rozmawiali tak przyciszonymi głosami w zapadającym zmroku, kiedy nagle dały się znowu słyszeć u drzwi pukania i przerażone głosy, wzywające Zwycięzcy. Marek powstał niechętnie, aby otworzyć.

Na progu stali z zalękłymi twarzami posłowie, niedawno do *Kraju Biegunowego* wysłani.

— Panie, wozu nie ma!

Marek w pierwszej chwili nie zrozumiał tej wieści straszliwej.

— Co? co?!

— Nie ma wozu twojego, panie! — odrzekli.

Wiadomość ta już się snadź pierwej między ludem rozeszła, niepokój bowiem i zamieszanie panowały w całym mieście. Grupy tworzyły się na placach i ulicach; rozprawiano głośno i ze zdziwieniem o zniknięciu wozu Zwycięzcy.

Marek stał, jakby gromem zmiażdżony, niezdolny słowa przemówić.

CZĘŚĆ CZWARTA

Trzy są na Księżycu relacje o śmierci człowieka zwanego niegdyś Zwycięzcą, który przybył nie wiadomo skąd, za czasów arcykapłana Malahudy, a za rządów następcy jego Elema publicznie był stracony. Pierwsza z tych relacji — i zdaje się najstarsza, pochodzi z czasów, kiedy rządził Sewin, który, kazawszy udusić poprzednika swego Elema, objął był po nim stolec[343] *arcykapłański. Wówczas pamięć Zwycięzcy nie była jeszcze święta, ponieważ Sewin dopiero pod koniec dni panowania nakazał go czcić jako proroka i męczennika.*

Relacja druga, znacznie późniejsza, spisana była przez historyka Omilkę, znakomitego uczonego, który przez długi czas był przewodniczącym Bractwa Prawdy.

Co do trzeciej relacji zdania są podzielone: niektórzy przypisują jej wiek nader poważny, utrzymując, że jest ona dziełem jednego z przyjaciół i uczniów straconego Zwycięzcy; inni natomiast sądzą, iż powstała ona w czasach nowszych, z podań i legend ustnie przez pokolenia przekazywanych.

Wszystkie te trzy relacje zgadzają się mniej więcej w opisie wydarzeń towarzyszących śmierci człowieka zwanego Zwycięzcą, różnią się jednak tak niezmiernie w poglądach na samą jego osobę, że uważamy za stosowne wszystkie trzy tutaj przytoczyć, żadnej zresztą co do wagi nie dając od siebie pierwszeństwa.

Z chronologicznego porządku wysuwa się naprzód opowiadanie z czasów pierwszej połowy panowania arcykapłana Sewina:

I

Opowieść prawdziwa
o sromotnym straceniu niecnego zbrodniarza,
który się mienił być
zapowiedzianym przez proroków Zwycięzcą
i za szalbierstwo swoje
srogą a zasłużoną poniósł karę

Bacz, czytelniku, abyś miał stąd naukę! Arcykapłan Elem słusznie na rozkaz jego Rządzącej Wysokości, świętobliwego Sewina, był uduszony, gdyż siła złego naczynił, w czym nie najmniejsze było sprowadzenie do kraju samozwańczego Zwycięzcy i rozwiązanie świętego zakonu Braci Wyczekujących, których dopiero arcykapłan Sewin za poradą błogosławionego starca i proroka Chomy na nowo ustanowił, a pod bezpośrednią władzę rządzących arcykapłanów poddawszy, na wiek wieków przeciw nieprawomyślnym zakusom ubezpieczył. Za onegoż Elema (oby imię jego było zapomniane!) poniósł śmierć zasłużoną człowiek nazwany Zwycięzcą, wszelakoż nie z rady niegodnego arcykapłana, lecz z woli ludu oburzonego jego niecnymi postępkami. Człowiek ten, narobiwszy wiele zamieszania w całym kraju i wplątawszy lud w ciężką wojnę z szernami, która jeno dzięki nadzwyczajnej odwadze i bitności obałamuconych przez rzekomego Zwycięzcę szeregów klęską się nie skończyła, udał, że chce powrócić na Ziemię, skąd pono, jak sam mówił, przybył, choć znacznie większe jest prawdopodobieństwo, że był to morzec olbrzymiego wzrostu, który za krew ludzi chciał sobie kupić panowanie nad szernami, ojcami swoimi, a dopiero gdy mu się to nie powiodło, próbował zapanować nad ludźmi. Za nieczystym jego pochodzeniem przemawia i ta okoliczność, że rad się innymi morcami otaczał i miał nawet jednego, imieniem Nuzar, który mu wiernym pozostał do ostatniego tchnienia, razem z nim śmierć poniósłszy — szernów zaś, choć walczył z nimi, szczędził, jako mógł, z wrodzonej snadź skłonności.

Otóż człowiek ten, gdy mu się zdobycie władztwa nad szernami nie powiodło, udał, że wracać chce na Ziemię — w przekonaniu, że lud go jako dobroczyńcę swego i opiekuna przemocą powstrzyma i on tak łatwym kosztem przyjdzie do królowania nad ludzkimi plemionami. Te rachuby jednak zawiodły i krom niegodnego arcykapłana Elema, będącego snadź[344] w spółce tajemnej z onym Zwycięzcą, nikt go nie usiłował nawet nakłaniać do

[343] *stolec* (daw.) — tron władcy; por. *stolica*.
[344] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

pozostania, zwłaszcza że widziano już, ile zła przewrotne i nierozumne jego nowatorstwa na lud mogą sprowadzić.

On tedy[345] urządził widowisko jakoby uroczystego pożegnania, a posłał tymczasem ludzi do *Kraju Biegunowego*, kędy ongi sam był ustawił ogromną a bezużyteczną rurę żelazną, wmawiając w łatwowiernych, że jest to wóz, w którym on przybył z Ziemi i na którym zaś może odjechać. Ludziom tym był zapowiedział, ażeby baczyli, zali jest co w onej rurze w środku, i żeby mu zaraz dali znać, jeśliby nic nie znaleźli. Sam zaś tak dzień pożegnania oznaczył, aby posłowie w tym właśnie czasie mogli do niego powrócić.

Przyszli tedy i donieśli mu, że w rurze nic nie ma, o czym onże[346] Zwycięzca rzekomy sam naprzód dobrze wiedział, ale gdy wieść posłyszał, udał wielkie zamieszanie i zaczął krzyczeć, że mu wóz jego skradziono i że on już na Ziemię powracać nie może. Wszystko to było ułożone i zrobione w tym celu, aby ludzie myśleli, że on nierad na Księżycu zostaje i koniecznością jeno do tego przyniewolony[347]. Aby to zaś miało większy pozór prawdy, przez czas niejaki okazywał srogie przygnębienie i niby to usiłował nowy wóz zbudować, z czego jednak nic nie wyszło.

Ale niebawem wyszły na jaw tajemne jego zamiary. Gdy bowiem tylko po pewnym czasie zauważył, że dawną powagę wśród ludu utracił, odrzucił precz wszelkie względy i udawania i stanął w całym bezwstydzie prawdziwej swojej istoty przed oczyma ludzi, od których dotychczas dobra jeno doświadczał.

Zwołał tedy wielkie zgromadzenie, a kiedy lud, więcej ciekawością niż posłuchem wiedziony, stawił się na nie, on wystąpił z przemową, w której oświadczył, że zmuszony do przebywania na Księżycu, nie chce tu siedzieć z założonymi rękoma, lecz będzie pełnił dzieło swoje, losem mu snadź przeznaczone, od którego omal że nie był odstąpił, zniechęcony napotykanymi trudnościami. Teraz jednak nie ma wyboru i przeto nie będzie się wahał, lecz spełni, co ongi[348] był zamierzył, jeśli się nie da po dobremu, to siłą. Słuchać go wszyscy muszą, ponieważ on tak chce.

Odtąd dopiero zaczął okazywać, czym jest w istocie i co potrafi. Dobrał sobie siepaczy i gdy przewrotnych a niemądrych praw jego nowych przyjąć nie chciano, począł lud gnębić i strachem posłuch dla siebie wymuszać.

W dawnej świątyni, którą splugawił, na dom ją sobie mieszkalny obróciwszy, założył swój dwór, z podobnych jak on niecnot się składający, przy którego pomocy spodziewał się wkrótce zawładnąć całą krainą księżycową, przez ludzi zamieszkaną. Natrafił jednak na opór niespodziewany i to powoli do szału zaczęło go doprowadzać. Srogi i wyuzdany, krwią znaczył swoje samozwańcze panowanie. Nikt przed nim nie był bezpieczny; wszystko chciał zmieniać i nikomu z praw przyrodzonych korzystać nie dał. Pozabierał ludziom czcigodnym łany ich rodzajne, niby to mając wspólnotę rolników na nich zaprowadzić, ale w istocie tylko dlatego, ażeby osłabić możnych, którzy by mu się skutecznie mogli opierać. Zamieszanie podobne sprowadził też we wszystkich fabrykach i nakazał znowu gawiedzi, ażeby czynszu z domostw nie płaciła, ponieważ — mówił — każdy ma prawo mieć dach ponad głową. Gawiedź atoli po większej części mędrsza była od niego i nie występowała przeciw dobroczynnym domów swoich właścicielom, wiedząc, że dłużej ich stanie niż onego Zwycięzcy, który się mieni być nędznych opiekunem, a sam z łupiestwa dobra wszelkiego zażywa.

Nie skąpił sobie bowiem w niczym ów człowiek nieposkromiony, a już najmniej w używaniu uciech z kobietami. Żyła zaś w owym czasie dziewczyna pewna, imieniem Ihezal, wnuczka poprzedniego arcykapłana Malahudy, na rozkaz Zwycięzcy pono także w pustelni zaduszonego. Dziewczyna ta, której pamięć dzisiaj słusznie jest czczona dla wielkiej czystości obyczajów, miała nieszczęście wpaść w oko samozwańcowi i często przez niego nagabywana bywała. Opierała mu się jednak mężnym sercem do końca i ani siłą, ani obietnicami nie dała się zmusić, aby mu była powolna.

Ta stałość dziewicy doprowadziła go do takiego szału i zapamiętania, że chcąc sobie opór jej powetować, jął sprowadzać do siebie kobiety przeróżne, po większej części lekkich obyczajów (chociaż i uczciwym też nie przepuszczał) i — niby to je nawracając — orgie

[345]*tedy* (daw.) — więc.
[346]*onże* — tenże.
[347]*przyniewolony* — dziś: zniewolony.
[348]*ongi* (daw.) — kiedyś, niegdyś.

z nimi święcił wyuzdane, o których bliższych szczegółów nawet opowiadać się nie godzi. Dowiadywał się też przez szpiegów swoich tajemnych, które kobiety popadły były niegdyś w ręce szernów i morców były rodziły, i rad je do siebie zwoływał, w tym nieczystym towarzystwie przestając.

A trzeba też wiedzieć, że oprócz morców kilku, z których najulubieńszy mu był wspomniany już Nuzar, miał i szerna, dawnego wielkorządcę Awija u siebie. Szern ten złośliwy, którego w podziemiach świątyni ukrywał, tak że przez długi czas nikt nie wiedział o jego istnieniu, wychodził był nocami na rozkaz jego i bił ludzi, i wszelakie płodził sprośności. To wszystko dopiero po śmierci tego rzekomego Zwycięzcy jawnym się stało.

Wreszcie przebrała się miara ludzkiej cierpliwości. Zakałę i ohydę ową należało w końcu usunąć. Mówili o tym od dawna głośno wszyscy co godniejsi obywatele ludzkiej społeczności, a wtórzył[349] im prorok Choma, starzec natchniony, wzywając do świętej wojny z samozwańcem. Ponieważ jednakże nie chciano sprowadzić próżnego krwi rozlewu, spodziewano się bowiem, że ów Zwycięzca będzie się bronił, postanowiono ująć go podstępem, o ile by się dało we śnie, i związanego stawić przed sądem.

Zbrodniarz snadź[350] przeczuł, co się święci, gdyż właśnie przed nocą, kiedy zamiar miano wykonać, wyruszył z całym swym dworem ze świątyni i sposobił się do opuszczenia miasta, mówiąc, że idzie w okolice bezludne, nowe państwo wedle myśli swej zakładać.

Nie pozwolono mu jednak na to, obawiając się słusznie, że to państwo jego gorszym by pono[351] było złem i większym niebezpieczeństwem dla ładu i spokoju niż szernów najbliższe sąsiedztwo.

Tak tedy miał się już los onego zbrodniarza na tym miejscu dokonać, gdzie tyle bezeceństw nabroił. Zamknięto mu bowiem bramy miasta, aby go z niego nie wypuścić, a kiedy je chciał przemocą wyważyć (silny był zaś w ręku nadzwyczajnie), przybiegli do niego nauczeni posłowie, niby od arcykapłana, aby co tchu wracał do świątyni, gdyż tam starszyzna ludu i sam arcykapłan chcą mieć z nim ważną rozmowę. On nie bardzo ufał, bo się pomacał po pasie, czy ma swoją palną broń przy sobie, ale wstyd mu snadź[352] było lęku okazać albo ludzi brać z sobą dla straży, gdyż zadufany był strasznie w sile swej nadzwyczajnej, więc nie chcąc odmówić wezwaniu, aby nie powiedziano, że odrzuca zgodę, której niby to sam wciąż wołał, kazał zwolennikom swoim czekać u bram na siebie, a sam zwrócił się ku śródmieściu, mając jeno morca Nuzara przy nodze, jakoby psa wiernego.

Aliści niewiele uszedł, kiedy w wąskiej ulicy zza węgłów zarzucono na niego sznury znienacka i wnet na bruk obalono. Próbował się bronić i wołał morca Nuzara, aby skrzyknął u bram stojących jego zwolenników, nie wiedząc, że i ci w tej chwili są już wojskiem otoczeni i ujęci. Morzec jako ten pies wściekły rzucał się na ludzi, a kiedy mu ręce w tył związano, kąsał jeszcze zębami, kogo dopadł.

Rzekomy Zwycięzca tymczasem leżał na ziemi sznurami omotany i niezdolny się ruszyć, ale ludzie obawiali się jeszcze zbliżać do niego, taki postrach wzbudzał ogromną swoją postacią. Wreszcie gdy widziano, że zaplątany jest dobrze i tak związany, iż uwolnić się ani ruszyć nie może i nic już nikomu złego nie uczyni, poczęto śmielej podchodzić; ten i ów kopnął go nogą albo poszarpał za włosy ogromnego łba leżącego bezwładnie na kamieniach.

Sąd postanowiono odbyć jeszcze dnia tego samego, aby przed nadejściem nocy skończyć już z tą zakałą.

Arcykapłan Elem wymawiał się od sądzenia, jako że wstydził się zapewne, iż to on sam tego zbrodniarza i świętokradcę sprowadził — i chciał, aby go w tym zastąpił Sewin, który wówczas nie był jeszcze arcykapłanem. Sewin, człek niesłychanie mądry i cnotliwy, lecz skromny, usuwał się długo, aż wreszcie, wręcz przymuszony, zebrał sąd ze starszych i godniejszych obywateli na placu przed pohańbioną świątynią i kazał przywieść uwięzionego.

Przystawiono go na wozie, okrytego sińcami i oplutego, nikt bowiem nie śmiał nóg mu rozwiązać, aby sam szedł, w słusznej obawie, że mógłby umknąć albo spsocić znów

[349] *wtórzyć* — wtórować; towarzyszyć głosem.
[350] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[351] *pono* (daw.) — podobno; zapewne.
[352] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

jaką rzecz niespodziewaną. Tak tedy jego, który mienił się być dumnie Zwycięzcą, teraz w pohańbieniu, jakoby snop chrustu, przytoczono.

Kiedy go Sewin ujrzał, powstał spiesznie ze swego siedzenia, które miał wynioślejsze w pośrodku innych sędziów, i powiedział głośno, że on swoim rozumem sądzić tego człowieka nie chce, ale chciałby posłyszeć, jaką lud ma względem niego wolę.

Ludu była na placu wielka moc zebrana. Był zaś wśród niego i święty starzec Choma, który wprawdzie już niedowidział, ale zawsze słyszał jeszcze trochę (później bowiem ogłuchł był zupełnie, jak wiadomo). Ten ci to prorok, posłyszawszy, że fałszywego Zwycięzcę przed sąd przywiedziono, począł był krzyczeć zaraz, bożym duchem uniesiony, że takiego zbrodniarza nawet sądzić się nie godzi, lecz od razu z woli ludu trzeba go ukamienować. Na ten głos ze wszystkich stron zawołano, aby więźnia wydać ludowi, który ma już dla niego przygotowaną nagrodę za wszystkie jego łotrostwa.

Czcigodny i dostojny Sewin słuchał długo tych wołań w milczeniu, rozważając w duszy, co by mu czynić należało. Wreszcie gdy same z siebie ucichnąć nie chciały, domagając się owszem coraz natarczywiej wydania zbrodniarza, dał znak ręką, aby mu pozwolono głos zabrać. I wtedy przemówił mniej więcej w te słowa:

„Wielce szanowni obywatele i współziomkowie moi! Zebraliśmy się tutaj — sędzie — z polecenia rządzącego arcykapłana, Jego Wysokości Elema, aby rozważyć sprawę tego tu oto związanego człowieka, którego wydania właśnie się domagacie!

Mieliśmy zamiar, uważnie wszystko zbadawszy, wysłuchawszy spokojnie świadectw i orzeczeń i tego nieszczęśnika nawet obrony, wydać wyrok sprawiedliwy, o którym w tej chwili sam jeszcze nie wiem, jak by był wypadł. Ale my wszyscy jesteśmy tylko sługami ludu i wola wasza jest dla nas prawem najwyższym. Wy zaś w oburzeniu srogim nie chcecie sądu i nie pozwalacie nam zgoła rozprawy zwykłym przeprowadzić porządkiem. Nie śmiem sądzić, o ile wola wasza jest słuszna i sprawiedliwa; wszakże tylko sługą waszym ja jestem.

Cóż mi tedy czynić wypada? Nie mogę inaczej — a wiem, że razem ze mną myślą to wszyscy inni sędziowie — jak tylko w pokorze głosu waszego posłuchać i wolę wam uczynić. Oto oddaję podsądnego w ręce wasze; uczyńcie z nim wedle swego rozumienia i sumienia — a ja was proszę tylko, abyście byli z nim miłosierni.

I dlatego niech zapomną właściciele, iż chciał on ich z majątków wyzuć, niechaj dostojni nie pamiętają, że prawa ich odwieczne naruszał, mężowie niech przepomną[353] buntowania żon swoich, ojcowie — hańby swych córek i jadu w serca młodzieniaszków sączonego; niechaj mu wierni darują, iż religię świętą pokalał — niechaj nędzni przebaczą mu jego uwodzicielstwo i obietnic szalonych niewypełnienie, żołnierze — krew swych towarzyszów, na dalekich zamorskich błoniach na próżno rozlaną! Pamiętajcie, że chciał on może dobrego i że sąd może by go nawet uniewinnił, gdybyście zechcieli pozostawić zwykły bieg sprawiedliwości... zwłaszcza że Jego Wysokość arcykapłan Elem rad by pono ochronić dawnego swego przyjaciela i opiekuna, dzięki któremu wziął czapkę po ojcu waszym, Malahudzie, wygnanym naprzód, a potem niecnie zamordowanym.

Wy jednak chcecie inaczej i niechaj się stanie wola wasza. O tym tylko nigdy nie zapominajcie, że nie my w tej chwili sądzimy człowieka zwanego Zwycięzcą, ale wy sami! Czyńcie, co wam się podoba, ja jednak umywam ręce od tej sprawy; krwi jego nie będę winien — niech ona spada na was i na głowy dzieci waszych, jeśli tak chcecie!"

To powiedziawszy, dostojny Sewin zakrył twarz połą szaty i trwał tak kęs czasu w milczeniu. Kiedy oczy odsłonił na nowo, Zwycięzcy na wozie już nie było. Lud porwał go, a uwiązawszy mu liny do nóg, wlókł go tak głową po bruku aż na morskie wybrzeże, kędy jest miejsce, zwane *Przystanią Dobrego Oczekiwania*. Tutaj wkopano w piasek słupiec ogromny, a rozdziawszy onego fałszywego Zwycięzcę z szat (które trzeba było rozcinać, aby je zedrzeć, gdyż obawiano się lin rozluźniać), nagiego do słupa przytroczono, tak iż się nie mógł poruszyć.

Przyprowadzono też zarazem i morca jego ulubionego, imieniem Nuzar. Temu obiecano, iż z życiem będzie puszczony (nie masz obowiązku dotrzymywania obietnic wobec morców), jeśli drewnianym nożem rozpruje brzuch byłemu panu swojemu. On lepak[354]

[353] *przepomnieć* (daw.) — zapomnieć.
[354] *lepak* (daw.) — jednak, zaś.

wzbraniał się tego uczynić, wierząc nierozumnie, że pan jego, kiedy zechce, słup wyrwie z piasku i wszystkich pozabija. Nie bawiono się tedy z nim dłużej, lecz przewróciwszy na twarz, głowę mu w piasku zakopano, tak iż konając, wierzgał nader uciesznie sterczącymi do góry nogami.

Teraz poczęto radzić, jaką by śmierć sławetnemu Zwycięzcy zgotować, który wisiał na słupie jakoby martwy, zamknął był bowiem oczy, nie chcąc na śmierć morca swojego patrzyć.

Różni różne męki doradzali, tak że niepodobna się było porozumieć. Tymczasem gawiedź, długim oczekiwaniem zniecierpliwiona, zaczęła miotać na niego kamieniami, początkowo jeno dla rozrywki, a potem w coraz większym zapamiętaniu, aby go utłuc. On zrazu oczy otworzył i szarpnął się na linach, jakby się chciał urwać, ale przekonawszy się snadź[355], iż nie poradzi, obwisł bezwładnie i czekał śmierci, mamrotając[356] jeno coś do siebie.

Trwało to wszystko bardzo długo, gdyż ten Zwycięzca czaszkę miał twardą i skórę też znacznie grubszą od zwykłych ludzi, więc mu kamienie wielkiej szkody nie czyniły. I nie wiadomo jak by się to wszystko było skończyło, gdyby dobry duch nie był zesłał w on czas na miejsce to wspominanej już dziewicy imieniem Ihezal.

Ta, przyszedłszy, stanęła wprost przed kamienowanym, tak że on, oczy otworzywszy, dojrzał ją zaraz wśród tłumu. A taka w nim była nieczysta namiętność ku tej dziewczynie, iż na bliską śmierć swoją nie zważając, zaczął na nią wołać imieniem.

Ona wtedy wyszła z ciżby i podeszła blisko ku niemu. Zaprzestano na chwilę rzucać kamieniami, aby i jej przypadkiem nie obrazić. Dziewica zasię zapytała: „Czegóż ty chcesz ode mnie, Zwycięzco?". To powiedziawszy, wyciągnęła nóż, a jako że była niskiego wzrostu, więc na palcach nóg się uniósłszy, poczęła żgać ostrzem w pierś wiszącego, tam, gdzie jest serce. Pracę miała ciężką, bo jak się rzekło, skóra na nim była twarda, ale w końcu mu poradziła.

A kiedy on już ostatnią parę z siebie wypuszczał, na dachu świątyni zbezczeszczonej, którą widno było dobrze, ukazał się szern, przez niego tam ukrywany, o czym dotychczas nie wiedziano. Zatrzepotał w powietrzu skrzydłami, a czując, że ginie opiekun jego możny, rzucił się lotem w stronę lasów na stokach *Otamora* i przepadł tam bez wieści.

Tego też dnia pod wieczór zginęła z oczu ludzkich dziewica Ihezal; wielkie jest prawdopodobieństwo, iż w nagrodę cnotliwego życia swego wzięta była żywcem na Ziemię, gdzie mieszka Stary Człowiek i duchy dobre, opiekujące się pokoleniami ludzkimi na Księżycu, i skąd przyjdzie z czasem prawdziwy Zwycięzca, co oby jak najrychlej się stało!

Tak tedy skończył marnie człowiek, który narobił tyle mętu na Księżycu, jak nikt przed nim i z pewnością nikt po nim nie narobi. Nauka stąd wielka a zbawienna, że władzy we wszystkim trzeba być posłusznym i nie wierzyć nowatorom, którzy ino ku złemu a ku nieszczęściu ludzi nakłaniają i wiodą...

II

Z dzieła prof. Omilki, historyka, ustęp dotyczący dziejów tzw. Zwycięzcy

Jedną z najbardziej zagadkowych postaci w dziejach ludu księżycowego jest niewątpliwie Marek, zwany Zwycięzcą, chociaż mnóstwo wieści o nim, krążących do dziś dnia pomiędzy gminem, trzeba złożyć na karb legendy, niemającej zgoła nic z prawdą wspólnego... Opowiadają na przykład, że był olbrzymiego wzrostu, z górą dwakroć wyższy od najtęższych ludzi na Księżycu, że siłę miał niepospolitą, dzięki której podołać mógł sam temu, czemu by sześciu chłopów zaledwie dało radę — i więcej tym podobnych baśni, świadczących jeno[357], jak lud skory jest do wszelakiej przesady i jak w podaniach rozdyma do niemożliwych granic skromniejszą znacznie rzeczywistość, o ile ona dotyczy osób, które fantazję jego zajęły. W każdym razie musiał to być człowiek dorodny, dobrego wzrostu i silny, kiedy te fizyczne właściwości jego tak w pamięci ludu utkwiły, iż następnie zrobiono z niego olbrzyma.

---

[355] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[356] *mamrotając* — dziś: mamrocząc.
[357] *jeno* — tylko.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą: kiedy powstała bajka o jego ziemskim pochodzeniu? czy jeszcze za życia jego, czy też dopiero w jakiś czas po tragicznej śmierci? Wiele danych przemawia za tym, że już za czasów jego działalności w stolicy księżycowego kraju pospólstwo, nawiązując do kapłańskich legend bałamutnych, jakoby ludzie z Ziemi przed wiekami przybyli, szeptać sobie zaczynało i o tym bądź co bądź niezwykłym człowieku, że przyszedł z tej gwiazdy, stanowiącej najciekawszy fenomen niebieski na Księżycu. Ja osobiście nie wierzę jednak, aby te brednie sam Marek mógł był rozgłaszać o sobie; był on zbyt rozumny, aby się chciał narażać na śmieszność. Co najwyżej skłonny jestem przypuścić, że przez bierne zachowanie się wobec powstającej legendy, o ile uszu jego doszła, mógł poniekąd pozwolić jej wzróść i rozwinąć się, widząc korzyść dla siebie w takim podaniu wśród tłumu o nadksiężycowym swoim pochodzeniu. To bowiem bierne przyzwolenie nie kompromitowało go wobec ludzi rozumnych, a w oczach tłumu nadawało mu znaczną powagę.

W każdym razie pochodzenie tego dziwnego człowieka jest sprawą dotychczas niezupełnie wyjaśnioną. Zjawia się nagle pewnego dnia — i to, ile podaniu można wierzyć, w *Kraju Biegunowym*, z dala od zwykłych ludzkich siedzib — zabiera z sobą Braci Wyczekujących, przybywa do stolicy przy *Ciepłych Stawach* i wypędziwszy rządzącego arcykapłana Malahudę, bierze natychmiast ster wszystkich spraw w swoje ręce.

Nikt go nie znał dzieckiem, nikt nie wie, gdzie się chował i skąd nabył tych rozległych wiadomości, które mu tak wiele pomogły w dalszym działaniu. Przypuszczenie, jakoby morcem był z pochodzenia, nie wydaje mi się dość prawdopodobnym. Morcy na ogół bywają tępi i trudno uwierzyć, aby który z nich sam z siebie doszedł do wynalazków, wśród szernów nawet nieznanych, jak na przykład broń palna, której wprowadzenie właśnie Markowi, zwanemu Zwycięzcą, ogólnie przypisują.

To pewna, że nie chował się w kraju przez ludzi zamieszkanym — ponieważ zaś każdy rozumny człowiek odrzucić musi baśń o cudownym przybyciu jego z Ziemi, która, jak wiadomo, jest gwiazdą od Księżyca niezmiernie odległą i wszelkiego życia na lśniącej powierzchni swojej pozbawioną, więc nie pozostaje nic innego, jak uznać za fakt od dawna w łonie Bractwa Prawdy podniesione przypuszczenie, że ojczyzną Marka Zwycięzcy była tamta, dziś dla nas niedostępna strona księżycowego globu.

Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że tam, w kraju niegdyś żyznym i bogatym, jest w ogóle gniazdo odwieczne ludzkości. Na tę prawdę zwrócił pierwszy uwagę zaginiony przedwcześnie mędrzec Roda, który zarazem dowiódł w pismach swoich niezbicie, że Ziemia nie tylko nie jest kolebką ludzi mieszkających na Księżycu, ale że w ogóle nie ma na niej i nie może być żadnych istot żywych. Z czcigodnym założycielem Bractwa Prawdy różnię się jednak znamiennie w poglądach na powody, które skłoniły ludzi do przeniesienia się na tę stronę globu, przez szernów przed wiekami zajętą. Ojciec wiedzy naszej, Roda, sądził, że pod legendarną postacią Starego Człowieka kryje się wygnaniec, za zbrodnie jakieś z kwitnącej ojczyzny na tamtej stronie wydalony, a co do współczesnego sobie Marka Zwycięzcy, przypuszcza, że był on po prostu posłem mającym ludzi tutejszych pchnąć do walki z szernami, niepokojącymi już i tamte pod powierzchnią dzikiej pustyni ukryte i rozkoszne dziedziny.

Cenię niezmiernie powagę Rody i nie wątpię ani na chwilę, że ten wielki uczony musiał mieć ważne powody, kiedy tak utrzymywał, niemniej przeto muszę w imię prawdy wręcz oświadczyć, że to, co powiedział, jest głupstwem wierutnym. Stare ludzkie dziedziny wśród *Wielkiej Pustyni* nie są dzisiaj bynajmniej krajem kwitnącym. Źle się tam ludziom dziać zaczyna, zwłaszcza że jest im ciasno, gdyż pustynia chłonie coraz więcej owe szczupłe żyzne okolice, gdzie można żyć. Tak zwany Stary Człowiek nie przybył z pustyni sam, lecz przywiódł kilkoro ludzi: była to niewątpliwie próbna ekspedycja, czyby się nie warto przenieść na tę stronę?

Dlaczego zamiar nie doszedł do skutku i dlaczego za pierwszą wyprawą w ciągu wieków całych nie wyruszyła następna — nie umiem na razie powiedzieć. Być może, iż kraj pusty i ciężkie na nowiźnie warunki życia odstraszyły przyzwyczajonych do wygód mieszkańców starych siedzib wśród pustyni. Garść jednak, ze Starym Człowiekiem przybyła, została na miejscu i rozradzając się, zawiązała niejako drugie społeczeństwo ludzkie na Księżycu, z pierwszym żadnej niemające styczności.

Po wiekach dopiero przypomniano sobie snadź w starych siedzibach o dawnej wyprawie i posłano Marka Zwycięzcę, aby obaczył, jak się te rzeczy mają i czy warto się tam przenieść wobec coraz cięższych warunków życia na *Pustyni*.

Marek zobaczył przede wszystkim, że szernowie tutaj kraj zawojowali, że trzeba naprzód z nimi zrobić porządek, jeśli reszta ludności z tamtej strony, przenosząc się tutaj, nie chce się dostać w ich niewolę. Stąd owa wojenna wyprawa na południe, która ostatecznie nie była całkiem bezowocna. Duży szmat lądu zdobyto i osady tam założono, a chociaż popadły z czasem w zależność od szernów, jednak stanowią przedmurze dla kraju tutejszego, okupując sobie i nam spokój pewnym niezbyt ciężkim, choć nie bardzo miłym haraczem.

Zdaje się, że po ukończeniu wojny Marek Zwycięzca chciał naprawdę powrócić do swej ojczyzny. Podania o wozie ja nie uważam za bajkę. Marek wóz jakiś miał, zdolny dziwną siłą unosić się w górę, w którym przyleciał z *Pustyni*, i ten wóz ktoś mu zepsuł czy ukradł, tak że nie mógł już odjechać.

Odtąd zaczyna się jego tragedia.

W innym rozdziale niniejszej pracy, w związku z walkami plemienia ludzkiego na Księżycu, kreślę też dzieje tej wyprawy Markowej na południe; tutaj opowiem tylko pokrótce wypadki upadek i śmierć tak sławionego niegdyś Zwycięzcy bezpośrednio poprzedzające.

Wszystko, co robił Marek Zwycięzca, zdążało do tego jednego celu: przygotować tutaj grunt odpowiedni dla pustynnych ludzi, którzy przyjść za nim mieli. W tej myśli, jako się rzekło, rozpoczął wojnę z szernami, w tej samej myśli wypędził energicznego arcykapłana Malahudę i starał się całą władzę ująć w swoje ręce. Arcykapłan Elem, człowiek chytry, na stolcu[358] przez niego osadzony, poddawał mu się początkowo we wszystkim, mając snadź nadzieję w stosownej chwili — może dopiero po odejściu Zwycięzcy? — zebrać dla siebie cały plon jego rządów.

Tymczasem zaczęła wzrastać niechęć przeciwko przybyszowi, a to głównie z tego powodu, że wziął się on samowolnie do zmieniania odwiecznych i uświęconych praw, określających porządek życia na Księżycu. Nie domyślano się wprawdzie, że robi on to w tym celu, aby rozluźniwszy wszelkie węzły prawne i osłabiwszy najmożniejszych, ułatwić tym samym podbój kraju przez swoich współziomków, w każdym razie oburzenie wzrastało z dnia na dzień.

Nie chcąc być niesprawiedliwym wobec i tak dość już w pewnych kołach poniewieranego Marka Zwycięzcy, muszę tutaj zrobić pewne zastrzeżenie. Co do powodów jego nowatorskich usiłowań panuje wśród ludzi uczonych przeważnie pogląd powyżej wyłuszczony; nie brak jednakże i takich, którzy występują w jego obronie, nie posądzając go o złą wolę w tym względzie. Być może, iż ów człowiek bez zdrożnego zamiaru osłabienia i wydania na łup tutejszego społeczeństwa wprowadzić usiłował porządek, zdaniem swoim dobry i obowiązujący istotnie w jego ojczyźnie, nie bacząc jeno, że tu stosunki są inne i to, co mogłoby być na *Pustyni* dobre, tutaj zgubnym stać by się musiało.

Pozostawiam na razie tę sprawę nierozstrzygniętą. To pewna[359], że przygotowywał grunt czy dla zawojowania tutejszego społeczeństwa, czy też dla połączenia się rozdzielonych społeczeństw ludzkich na Księżycu — i że mu się to nie powiodło.

Zażądano od niego wręcz, aby opuścił te okolice i wyniósł się co rychlej, skąd przyszedł. On gotów to był uczynić, może nawet z myślą, iż wkrótce z ziomkami swymi powróci, ale tymczasem sztuczny[360] wóz mu się zepsuł. Opowiadają, że po otrzymaniu tej wieści wpadł w rozpacz. Początkowo nie chciał jej wierzyć i wybrał się niezwłocznie sam do *Kraju Biegunowego*, gdzie wóz miał być w potężnej rurze żelaznej schowany. (Rura ta stoi podobno do dziś dnia w owym miejscu, rdzą już na poły strawiona).

Przekonawszy się o prawdzie dla siebie niemiłej, powrócił do stolicy przy *Ciepłych Stawach* — i to się stało ostatecznie jego zgubą. Człowiek to był ambitny, niespokojny i żądny władzy. Gdyby był osiadł gdzieś w odległych okolicach albo przeniósł się do nowych osad w krainie szernów za morzem, byłby może dożył spokojnej względnie starości. Jednak usposobienie jego na to nie mogło się zgodzić; chciał panować za wszelką cenę

[358]*stolcu* — tron władcy; por. *stolica*.
[359]*pewna* — dziś: pewne.
[360]*sztuczny* (daw.) — wykonany według prawideł sztuki; wymyślny, wyrafinowany.

— gdy nie mógł przy pomocy swoich rodaków, to sam — i na swój sposób uszczęśliwiać lud, który tego zgoła nie pragnął.

Zamieszkał więc w dawnej świątyni i stamtąd począł wydawać rozkazy. Nie bardzo go zrazu słuchano, ale on, otoczywszy się nieliczną, lecz na wszystko gotową garścią zwolenników i zgromadziwszy koło siebie pewną liczbę towarzyszów broni z czasów wyprawy na południe, siłą posłuch wymuszał.

Nie wiadomo, czy prawdą jest to, co mówią o orgiach, jakie miał w domostwie swoim wyprawiać — w każdym razie jednak sposób jego życia był tego rodzaju, że nie mógł się podobać mieszkańcom tego kraju, którzy radzi byli widzieć u przybysza, zmuszonego pozostawać między nimi, raczej powściągliwość pewną i pokorę.

Arcykapłan Elem, później, jak wiadomo, przez następcę swego Sewina uduszony, złym okiem patrzył na to wszystko, ale jako człowiek mądry i ostrożny obawiał się sam otwarcie wystąpić przeciw samozwańczemu władcy. Usuwał się tedy w cień, podburzając natomiast coraz bardziej lud przeciw niemu — i to przeważnie za pośrednictwem owego Sewina, wówczas zaufanego sługi swojego, jako też zaprzedanego mu duszą starca, niejakiego Chomy, później przez niektórych za proroka uznanego.

Wreszcie tak rzeczy stanęły, że lada chwila groził wybuch otwartej walki. Czuł to snadź i Marek Zwycięzca, bo gromadził siły, jakie mógł zebrać, a nawet napisał listy do niejakiego Jereta, wówczas naczelnego rządcy krajów na szernach zdobytych, aby mu przybył z pomocą. Jeret ów, człowiek nader dzielny, chociaż nie bardzo mądry, Marka wprawdzie nie lubił, mając z nim jakieś spory osobiste, pono podczas wyprawy wojennej powstałe, ale był tak sprawie jego reform oddany, iż gotów był przyjść z bitnymi ludźmi na wezwanie i mordować, kogo by on mu wskazał.

Oczekiwał tedy Marek Zwycięzca jego przybycia, gdy nagle zamiast tego otrzymał wieść, że Jeret zginął w drodze z ręku[361] nieznanego zabójcy. Niektórzy utrzymują, że szern go jakiś napadł, ale są i tacy, którzy przypuszczają, iż śmierci owej nie był obcy arcykapłan Elem, obawiający się słusznie nadejścia posiłków i wybuchu wojny domowej.

Dość, że i te rachuby szalonego przybysza zawiodły. Teraz zobaczył nareszcie, że sam sobie zostawiony, z maleńką jeno[362] garstką zwolenników, choć się Zwycięzcą mianował, na zwycięstwo tutaj liczyć nie może, i postanowił poniewczasie opuścić okolice *Ciepłych Stawów*. Na to jednak nie pozwolono. Ujęto go podstępem i związanego stawiono przed sądem.

Długie były spory, kto ma wyrok wydawać w tej sprawie. Arcykapłan Elem, nie lubiąc w ogóle występować otwarcie ze swym zdaniem, a może obawiając się trochę zarzutu, że teraz sądzi człowieka, którego sam poniekąd sprowadził i Zwycięzcą mianował, wymawiał się od tego sądu i chciał wszystko zwalić na barki Sewina. Było to bardzo chytrze i mądrze pomyślane; lud jest zmienny i Elem snadź[363] przewidywał, że kiedyś uczcić gotów straconego dzisiaj — przeto chciał sobie przygotować odwrót, działając przez swego zausznika. Zresztą Sewin stawał się już niewygodnym i niebezpiecznym — sądzę więc, że arcykapłan miał także uboczną myśl wyzyskania w przyszłości przeciw niemu tego wyroku, który nie mógł wypaść inaczej, jak tylko zgodnie z wolą ludu, to jest na śmierć.

Ale i Sewin nie mniej od Elema był chytry. Przejrzał on grę i tak sprawą pokierował, że właściwie nie on wydał wyrok, lecz sam lud. A nawet poszedł dalej, bo kiedy się Elem najmniej tego spodziewał, wkrótce po straceniu Marka Zwycięzcy, gdy jeszcze oburzenie przeciw niemu nie przygasło, uknuł spisek i osądziwszy rządzącego arcykapłana jako wspólnika rzekomego Zwycięzcy, ujął go i kazał udusić, głosząc się arcykapłanem na jego miejscu. To zresztą nie przeszkodziło mu wcale pod koniec życia i panowania ogłosić Marka za męczennika, któremu się wdzięczna za dobrodziejstwa pamięć należy.

O samym męczeństwie Marka Zwycięzcy opowiadają przesadzone rzeczy. Prawdą jest, że go wedle dawnego na Księżycu obyczaju ukamienowano nad brzegiem morza, nie okrutniej i nie zawzięciej niż wielu innych, którzy w dawnych czasach występowali przeciw ustanowionemu i uznanemu porządkowi spraw na Księżycu. Podobno ostatni cios nożem, w serce wymierzony i śmiertelny, zadała mu wnuczka starego arcykapłana Mala-

---

[361] *z ręku* — dziś: z ręki.
[362] *jeno* — tylko.
[363] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

hudy, mszcząc się w ten sposób śmierci dziadka, który miał zginąć podstępnie zgładzony na rozkaz Marka Zwycięzcy.

Jeżeli teraz rzucimy okiem na całą tę sprawę, dziwną, a jednak tak po prostu i logicznie się rozwijającą, i zechcemy ją ująć w pewną ilość sądów jasnych a niewątpliwych, to wypadnie nam je mniej więcej w ten sposób sformułować:

1. Marek Zwycięzca na śmierć zasłużył, a to:
a) ze względu na realny porządek rzeczy,
b) ze względu na idealny porządek rzeczy na Księżycu.

2. Śmierć jego stała się nieszczęściem, a mianowicie:
a) ze względu na porządek rzeczy realny,
b) ze względu na porządek rzeczy idealny.

Zasadniczo co do ustępu 1. zauważyć należy, że na śmierć właściwie zasługuje każdy, kto wyrok śmierci otrzyma — przynajmniej wobec tego, kto ten wyrok wydaje. To jest jasne i nie potrzebuje dalszych dowodów. Może tu tylko zachodzić pytanie: czy wyrok ów był zgodny z racją pewnego porządku? czyli innymi słowy: czy ze stanowiska ogólnego możemy przyznać mu słuszność na danym miejscu i w danym okresie czasu? To właśnie mam zamiar roztrząsnąć.

Naprzód, co do ustępu 1. a) — Realnym porządkiem rzeczy nazywam tę sumę istniejących stosunków, która się składa na towarzyskie, gospodarcze i państwowe bytowanie danego społeczeństwa. Jeżeli pewne stosunki się wytworzyły, to znaczy, że były potrzebne, a więc i konieczne. Kto usiłuje przełamać ten istniejący stan rzeczy, chociażby w najlepszej myśli, występuje przeciw rzeczy potrzebnej i koniecznej i tym samym staje się winnym zbrodni przewrotu społecznego i karę ściąga na siebie.

Nie waham się twierdzić tego głośno, ja — profesor Omilka, choć jestem członkiem i nawet przewodniczącym Bractwa Prawdy, które przez wielu jest posądzane o przewrotowe dążenia. Być może, iż niegdyś, kiedy Bractwo nasze było jeszcze związkiem tajnym, podobne myśli świtały w głowach niektórych jego uczestników, ale od tego okresu dzieli nas już sporo czasu i dzisiaj z podniesionym dumnie czołem wyznać mamy prawo, że ulepszać tylko chcemy powoli i rozjaśniać istniejące stosunki, a nie wywracać je nieopatrznie.

Działalność Marka Zwycięzcy zaś była właśnie nieopatrzna. To jest najwłaściwsze wyrażenie. Nowinami swoimi rujnował istniejący porządek, chcąc na jego miejscu postawić nowy, którego nikt nie pragnął, a zatem: który nie był potrzebny, a tym mniej konieczny. Słusznie więc, jako burzyciel rzeczy przez wieki całe budowanych, jako gwałciciel w przyrodzony sposób wzrosłych stosunków, zasłużył na śmierć.

Z idealnym porządkiem rzecz się ma znowu nieco odmiennie. Nazywam nim tutaj ów porządek jeszcze nieistniejący, ku któremu społeczeństwo dąży, jako ku wynikowi rozwoju danych stosunków. Ten idealny porządek ma na przykład Bractwo Prawdy na oku, starając się przyspieszyć jego urzeczywistnienie środkami (jak być powinno) dozwolonymi i legalnymi.

Otóż główną koniecznością przyszłości jest dla ludzi zrozumienie tej niewątpliwej a dotychczas nie dość powszechnie uznanej prawdy, że człowiek na Księżycu powstał i tutaj ma żyć, wszelkie zaś opowiadania o zagwiezdnym jego pochodzeniu są bajką szkodliwą, bo odciągającą jego uwagę od jedynych rzeczywistych zadań życia. Niezdrowi marzyciele wybrali sobie na rzekomą ojczyznę gwiazdę największą i rzadko stąd widywaną, nazwawszy ją Ziemią. Czas by już było tę niedorzeczną nazwę zmienić. Ziemią nazywamy na Księżycu grunt, który mamy pod nogami; mówimy na przykład: ziemia żyzna albo jałowa i tak dalej. Otóż od czasu, kiedy sobie ubrdano, że gwiazda owa była *gruntem* dla człowieka, poczęto ją również „Ziemią" nazywać. To jest rzeczywiste pochodzenie tego bałamutnego nazwania, którego usunięcie wielu błędom kres mogłoby położyć.

Wracając do sprawy Marka Zwycięzcy zaznaczyć należy, że zjawienie się jego odwlokło urzeczywistnienie owego idealnego porządku przyszłości i prawdy, utrwalając mnóstwo jego zwolenników w śmiesznym przekonaniu, że tak zwana Ziemia jest zamieszkana i że stamtąd ludzie pochodzą. To, że sam Marek wprost o sobie nigdy nie twierdził, jakoby

przybył z Ziemi, winy jego nie zmniejsza, gdyż twierdzeniom takim nie przeczył, co było jego pierwszym obowiązkiem. Będącego tedy zawadą w rozszerzeniu Prawdy na Księżycu słusznie na śmierć skazano.

To jest jedna strona tej całej sprawy. Druga przedstawia się znowu inaczej. Powiedziałem, że śmierć jego stała się nieszczęściem. Każda śmierć właściwie jest nieszczęściem, a przede wszystkim dla tego, kto ją ponosi, zwłaszcza niedobrowolnie i w pełnym zdrowiu. Ale tutaj nie o to idzie. Chodzi mnie, jako członkowi Bractwa Prawdy, zawsze o realny i idealny porządek rzeczy na Księżycu.

Marek Zwycięzca, wprowadzając różne nowiny w urządzenia społeczne, sprawił tylko wiele zamieszania, a przedwcześnie stracony, niczego nie mógł doprowadzić do końca. Gdyby był dalej żył[364] i działał, byłoby się pokazało w końcu albo:

że zamiary jego były dobre i urzeczywistnione korzyść mogą przynieść stosunkom społeczeństwa na Księżycu, lub też:

że są złe niewątpliwie i w ogóle w pełni urzeczywistnić się nie dadzą.

W jednym i w drugim razie byłby z tego pożytek. W pierwszym, który ja zresztą uważam za nieprawdopodobny, śmierć jego przeszkodziła udoskonaleniu się realnego porządku rzeczy na Księżycu, w drugim — wykazaniu niewątpliwej doskonałości podstaw porządku obecnie istniejącego. Wtedy nie byłoby owych sporów dzisiaj toczonych o wartość jego teorii i nie byłoby powstającego częstokroć stąd zamieszania.

Również ze względu na idealny porządek śmierć jego nie była bynajmniej zakończeniem pomyślnym. Jak wiadomo, ciało jego spod kupy kamieni, którymi go zabito, było przez kogoś wykradzione i spalone czy też ukryte, tak że zwłok później nikt już nie widział. To dało pochop ciemnym jego zwolennikom do przypuszczenia, że Marek Zwycięzca po śmierci mocą jakąś nadzwyczajną sam spod owych kamieni wyszedł i wrócił spokojnie na Ziemię, podobnie jak to utrzymuje legenda o tak zwanym Starym Człowieku. To znowu umocniło tylko znaczną część ludu w starym błędzie o ziemskim człowieka pochodzeniu. Gdyby był żył do końca i umarł później, jak każdy porządny człowiek na Księżycu umiera, baśń taka o nim powstać by nie mogła.

Zresztą być bardzo może, iż żyjąc dłużej, dałby się był może w końcu nakłonić do wyjawienia Prawdy, której my, w Bractwo związani, służymy, i byłby przyznał, że pochodzi z tamtej strony Księżyca i że tam jest odwieczny ludzki początek. To musiałoby, jak wierzę, położyć raz na zawsze kres wszelkim błędom i przyspieszyć urzeczywistnienie idealnego a tak upragnionego porządku. Obecnie zaś, z wyjątkiem członków Bractwa Prawdy, wszyscy ku Ziemi oczy wytrzeszczają: zwolennicy ubitego pseudo-Zwycięzcy w przekonaniu, że on stamtąd na nich duchem patrzy, a przeciwnicy — czekając z tej pustej gwiazdy nowego, tym razem prawdziwego Zwycięzcy.

Na wszelki sposób nie jest dobrze.

III

Posłowie do Braci,
gdziekolwiek by oni byli,
z wieścią dobrą o Zwycięzcy,
który żył między nami

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Tak tedy[365] Zwycięzca odwieczerza onego zebrał był ucznie swoje podle murów miasta na miejscu, kędy niegdyś był zamek szernów zburzony, a obaczywszy, iż wszyscy koło niego usiedli, odezwał się do nich, mówiąc:

„Powiadam wam, że przyszedł czas, abych[366] was opuścił, powracając na jasną gwiazdę Ziemię, skąd do was przybyłem i kędy jest dom wieczysty Starego Człowieka, ojca duchów waszych.

Policzyłem dni spędzone między wami i zważyłem trud zdziałany i widzę, wstecz się oglądając, że niczego już dorzucić nie mogę do tego, co uczyniłem.

[364]*był (…) żył* — daw. forma czasu zaprzeszłego; dziś: żył (wcześniej).
[365]*tedy* — więc.
[366]*abych* (daw.) — abym.

Znużony jestem i odpocznienia łaknie dusza moja — i serce moje patrzy ku gwieździe dalekiej nad pustyniami.

Ostaniecie tu sami, abyście pielęgnowali zasiew ręku[367] moich, a jeśli was będą prześladowali dla mojej pamięci, cieszcie się myślą, a umacniajcie, że plony obfite zbiorą wnukowie wasi...

Dla mnie pora już do *Kraju Biegunowego*, kędy czeka wóz mój skrzydlaty, gotów nieść mnie przez niebo szerokie do jasnego domu mojego".

Gdy to powiedział, płacz się wszczął między uczniami; niektórzy zakrywszy twarze, popadali na kamienie, szlochając; inni chwytali go za ręce, prosząc, aby jeszcze pozostał pomiędzy nimi.

Zwłaszcza kobiety, które niegdyś w moc szernów były popadły, a teraz łaską Zwycięzcy do społeczności ludzkiej na powrót przyjęte, padały do nóg jego i włosami okrywając jego obuwie, błagały z krzykiem, aby ich nie opuszczał, lecz pozostał zawsze na Księżycu.

Zwycięzca słuchał długo płaczu i próśb, nie odpowiadając zgoła, aż wreszcie powstał i wyciągając ręce ponad głowy schylonych, powiedział:

„Tęsknota mnie woła na gwiazdę moją rodzinną, ale może pozostałbym między wami, gdybym wiedział, że wam to korzyść przyniesie.

Wszalakoż nie jest dobrze, abyście zawsze mieli pasterza ponad sobą, kiedy ja was uczę, że człowiek sam się rządzić powinien i sam o sobie stanowić. Jeśli dziećmi się staniecie przy mnie i poddanymi, jakoż będziecie później dobro czyniącymi panami samych siebie?

Lepiej jest, abym już poszedł..."

To powiedziawszy, zstępował ze wzgórza, idąc ku miastu, a uczniowie szli za nim, smutni i przygnębieni bardzo.

Był zaś wieczór bliski i słońce miało wnet zajść, wisząc nisko ponad równinami, którędy jest droga w *Kraj Biegunowy*.

A kiedy z uczniami wstępował Zwycięzca w mury miasta, zabieżeli[368] mu drogę ludzie niektórzy, których on niegdyś był wysłał do *Kraju Biegunowego*, i wołać poczęli z daleka, iż nie masz już wozu cudownego, który go ongi przyniósł był z Ziemi.

Tedy Zwycięzca przeraził się bardzo i dopytywał ich, aby mówili prawdę wszystko, co by wiedzieli.

Oni zaś jęli opowiadać, jako nie znalazłszy wozu na miejscu, kędy był, wracali już w srogim pomieszaniu, kiedy u pierwszych ludzkich osad napotkali kobietę niejaką imieniem Nechem, którą Zwycięzca ustanowił był strażniczką wozu świętego.

Ta opowiadała im z płaczem i narzekaniem wielkim, iż czasu pewnego przyszli duchowie, a otoczywszy wóz błyskawicą jaskrawą i tak go przed oczyma jej zakrywszy, unieśli z sobą w przestworze.

Ten ci był znak, iż na Ziemi chcą, aby Zwycięzca na zawsze na Księżycu pozostał i poniósł tutaj śmierć dla dobra ludzi, którzy w niego uwierzą.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Tedy przez dziewięć dni i nocy budował Zwycięzca wóz nowy, aż dnia dziesiątego, przekonawszy się, iż duchy nie chcą, aby z Księżyca mógł odejść, wezwał ucznie swoje i tak do nich przemówił:

„Los mój się dopełnił, który mi każe pozostać z wami aż do śmierci. Rzucałem dotychczas siew, plonu ja zbierać nie będę, ale chcę pługiem przeorać ziemię, iżby ziarno w niej nie zaginęło.

Wy jesteście trzosłem[369] i lemieszem, i radłem, które wodzę po twardych zagonach, odwalając skiby i niszcząc na nich bujną zieleń chwastów. Powstawać będą przeciw wam, iż burzycielami jesteście, ale wy ufajcie mi i słowom moim, które do was mówiłem.

Nie przyszedłem was uczyć pokory ani poddania się, ani cierpliwości bezczynnej, ani wyrzeczenia, które żadnych nie przynosi owoców.

Mówię wam tylko: myślcie więcej o dniu jutrzejszym niż o chwili obecnej, więcej o pokoleniu przyszłym aniżeli o tym, co żyje około was. Oto założymy tutaj kuźnię ognia, który przyszłe wieki oświetli, i dom burzy, co odświeża zgniłe powietrze w południe".

---

[367] *ręku* — dziś: rąk.

[368] *zabieżeli* — tu: zastąpili.

[369] *trzosło* a. *trzósło* — część pługa w kształcie noża do odcinania skiby w płaszczyźnie pionowej.

Tak mówił wonczas Zwycięzca do uczniów swoich, którzy go słuchali w milczeniu, znacząc w pamięci słowa, które powiedział.

I od onego dnia osiadł Zwycięzca w świątyni w pośrodku miasta, które jest przy *Ciepłych Stawach*, i zamknął się w niej z przyjacioły[370] swymi, by go snadź[371] nie naszli podstępem wrogowie, którzy już wówczas umyślili go zabić.

A którzy chcieli nauk jego słuchać, przychodzili we dnie i w nocy, a on szedł z nimi na dach i tu w obliczu nieba i morza powiadał im to wszystko, o czym już była mowa w tych księgach. Jeśli zaś spostrzegł zło albo posłyszał o jakiej nieprawości arcykapłańskiej, tedy posyłał ludzi uzbrojonych i karał.

Czekał zaś Zwycięzca na przyjaciela i sługę swego Jereta, który był za morzem; napisał był bowiem listy po niego, aby przybywał z mocą, jaką zebrać zdoła, gdyż czas już uczynić ład na księżycowym świecie.

Po trzech dniach i trzech nocach atoli na Jereta przybywającego napadł w drodze szern, którego chował sobie arcykapłan Elem, aby niszczyć nim ludzi, i zabił go. Posłyszawszy o tym, Zwycięzca zapłakał gorzko i przez długi czas nie przyjmował pożywienia, żałując przyjaciela i sługi.

Kiedy jednak południe było na niebie, zawołał uczniów i tak do nich powiedział:

„Jesteśmy tutaj osaczeni i nic dobrego zdziałać nie możemy, gdyż wrogowie wiążą nam ręce, dybiąc na każdym kroku na życie nasze.

Zbierzcie się oto wszyscy, a opuścimy to miasto i pójdziemy w *Kraj Biegunowy*, kędy Ziemię widać na nieboskłonie. Tam uczyć was będę i mówić słowa ostatnie, które są jeszcze to powiedzenia, nim los się mój dopełni".

Tedy zebrali się wszyscy i odziawszy się, przypasali broń i ruszyli razem ze Zwycięzcą ku bramom miasta, ażeby wyjść na równinę.

Ale bramy zastali zaparte. Arcykapłan Elem bowiem posłyszał był już, iż Zwycięzca chce ujść z uczniami swymi, i umyślił go zabić, nim odejdzie.

Poczęli tedy ludzie tłuc w bramy, aby uczynić w nich wyłom, ale tejże chwili przybieżeli posłowie od arcykapłana i udawszy pokorne twarze, błagali Zwycięzcę, aby nie odchodził, lecz poszedł jeszcze do Jego Wysokości, który zwołał wielkie zgromadzenie ludu i tam w obliczu wszystkiego narodu księżycowego chce uczynić z nim zgodę.

Zwycięzca wiedział, iż arcykapłan zło zamierzył w sercu, ale poczuł, że to jest los jego, którego już nie uniknie, i przykazawszy uczniom czekać spokojnie pod murami, poszedł sam, mając posłów Elema koło siebie z obojego boku[372].

A kiedy weszli w boczną ulicę, tak że stojący podle bram uczniowie nie mogli widzieć, co się z mistrzem dzieje, wyskoczyli siepacze arcykapłańscy zza węgłów i narzuciwszy Zwycięzcy długie sznury na głowę i ręce, obalili go znienacka na ziemię.

Uczniowie, krzyk jego posłyszawszy, chcieli mu bieżyć[373] na pomoc, aliści[374] wojsko, dotychczas po domach sąsiednich ukryte, wypadło z nagła i otoczywszy garść ludzi przeważającą siłą, wiązać zaczęło zmieszanych utratą mistrza i wodza.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Tak tedy[375] Zwycięzca, podstępem ujęty, stawion[376] miał być przed sąd arcykapłański. Wprzódy jednak dla większego urągowiska zawleczono go w więzach do sklepu[377] podziemnego w świątyni i przykuto do ściany, kędy[378] niegdyś trzymany był szern Awij, dawny wielkorządca, przez Zwycięzcę ongi[379] w pierwszej bitwie ujęty.

Szern ten umknął był z Elemową pomocą i chował się w ukryciu pod jego opieką, jako się już rzekło.

---

[370]*z przyjacioły* (daw.) — z przyjaciółmi.
[371]*snadź* (daw.) — tu: przecież.
[372]*z obojego boku* — dziś: z obu boków.
[373]*bieżyć* (daw.) — iść, biec, podążać.
[374]*aliści* (daw.) — ale, lecz, jednakże.
[375]*tedy* — więc.
[376]*stawion* — dziś: stawiony; postawiony.
[377]*sklep* (daw.) — pomieszczenie sklepione; komnata, piwnica.
[378]*kędy* (daw.) — gdzie.
[379]*ongi* — niegdyś, kiedyś.

Otóż kiedy siepacze odeszli, pozostawiwszy Zwycięzcę samym, szern ten zjawił się przed nim, a usiadłszy na stosie porzuconych ksiąg świętych, w których spisana była Obietnica, począł mu urągać.

„Uwolnij się — mówił — jeśli jesteś Zwycięzcą naprawdę! Oto jam był tutaj przez ciebie przytroczony, a teraz jestem wolny i patrzę na ciebie, który zginiesz.

Mógłbym cię zabić sam i nawet nie zdołałbyś się bronić przeciw rękom moim, ale ja wolę, aby cię lud zabił, któremu dobrze czyniłeś!

Czekam już długo na śmierć twoją, a kiedy ją zobaczę, powrócę do braci mojej za morze i opowiem im, jak zginął ten, który śmiał się mianować Zwycięzcą nad nami!"

Tak mówił szern i śmiał się. Wszelako Zwycięzca mu nie odpowiadał, trwając w myślach o Ziemi, na którą wnet już miał duchem powrócić.

Wtedy szern, zbliżywszy się, począł go kusić i mówił:

„Obiecałeś mnie niegdyś wziąć z sobą na Ziemię i pokazać ludziom, którzy na niej mieszkają. Ty już na Ziemię nie wrócisz sam, ale za morzem wielu z moich rodaków nie widziało cię jeszcze. Pokłoń mi się i przysięgnij, że będziesz mi służyć wiernie jak pies, a wyrwę cię z ręki ludu twojego i wezmę do kraju szernów, abyś żył tam spokojnie i ćwiczył morców w wyrobie broni palnej, z którą poślemy ich później na zawojowanie twych braci..."

Tedy Zwycięzca otworzył oczy i pojrzawszy[380] na szerna, odparł:

„Próżno mnie kusisz, zwierzu. Chociaż ja zginę, wasze panowanie jest już skończone, bom ja je złamał rękoma, i nigdy już człowiek najlichszy nawet szernom służyć nie będzie!"

W tymże czasie, kiedy Zwycięzca od szerna był nagabywany, zebrali się starsi z ludu w pałacu arcykapłańskim i radzili razem z Elemem, co by z ujętym począć.

Wnet zgodzili się wszyscy, iż nie masz innego sposobu, jeno zgładzić go trzeba, aby zagasić to światło, które zeń bucha i oczy ich razi, do mroku a cienia duszy przywykłe.

Tak tedy śmierć jego postanowiono, i to co najrychlejszą, aby go snadź[381] przyjaciele jego, zebrawszy się, nie odbili z więzienia. Bano się jednak wydać wyroku, iżby lud, przejrzawszy z czasem, nie zwrócił się przeciw katom dobroczyńcy, zbawcy i nauczyciela swojego. Umyślili tedy uczynić tak, ażeby motłoch sam śmierci Zwycięzcy zażądał, jakoby wbrew woli arcykapłana i starszyzny.

Posłał więc Elem szpiegów i podburzycieli swoich między lud, którzy mieli go pouczać, jak ma wołać, kiedy zbierze się sąd, a zaś zausznika swego, Sewina, wysłał na plac ze starszymi ku sądzeniu Zwycięzcy.

Ten ci Sewin arcykapłanowi był wielce oddany i umyślił był wszystko uczynić, co on zechce. Ale w tym dniu łaska Ziemska zeszła na duszę jego i przejrzał, i straszno mu się zrobiło, iż sądzić a skazywać ma tego, który był światłem Księżyca.

A tymczasem Zwycięzcę na wozie, związanego jakoby zbrodniarza, przed sąd przywleczono i wystąpili przekupieni ludzie, którzy świadczyć mieli przeciwko niemu.

A nie było zbrodni ani winy, której by na jasną głowę jego nie rzucano. Obwiniono go o grabież i gwałt, i bunt, i zdradę, nawet o spółkę z szernami, których pogromcą był i niszczycielem.

Wszelako Zwycięzca nie otwierał ust, lecz słuchał w milczeniu wszystkiego, co mu zarzucano, będąc już myślami na jasnej gwieździe Ziemi, skąd ludziom był początek i kędy[382] zbawione dusze przebywają.

Wreszcie gdy oszczercy i fałszywi świadkowie mówić zaprzestali, on jakby się ocknął i uniósłszy się na wozie, ile mu więzy pozwalały, zawołał mocnym głosem do ludu:

„Przybywając tutaj z Ziemi, o! ludu księżycowy, nie wiedziałem nawet, że jestem tak hojny! Dałem wam życie moje i śmierć wam moją daję! Stałem się naprawdę Zwycięzcą przez was oczekiwanym, a dzień dzisiejszy jest naprawdę koroną mego tryumfu! Po śmierci nikt mnie już w duszach waszych zwalczyć nie zdoła! A uczniowie i przyjaciele moi, którzy tu może jesteście, pamiętajcie zbrodnie, które mi zarzucają, gdyż wnet nadejdzie czas, kiedy będą nazwane cnotami!..."

---

[380]*pojrzawszy* — dziś: spojrzawszy.
[381]*snadź* (daw.) — tu: przecież, wszakże.
[382]*kędy* (daw.) — gdzie.

Chciał mówić jeszcze dalej, ale krzyk się podniósł między starszyzną, a potem także wśród tłumu, że bluźni. Tedy jeden z najętych siepaczy przypadł ku niemu, a bojąc się podejść bliżej, uderzył go w głowę długim kijem, który trzymał w ręku, mówiąc:

„Milcz, psie!"

A oto z pośrodka[383] sędziów powstał Sewin z pobladłymi wargami i zawołał:

„Nie będę sądził tego człowieka! Litości jest pełne serce moje, gdy patrzę na jego upadek, i was proszę o litość dla niego. Wszelako czyńcie z nim, co sami zechcecie".

Gdy to powiedział, odwrócił się i odszedł, twarz swoją zakrywszy, a za nim powstali inni sędziowie, oddając Zwycięzcę na łup motłochowi.

Rozdział sześćdziesiąty

Tedy uwiązano u nóg jego sznury, a jako był leżał na pomoście wozu ze skrępowanymi rękoma, tak go z niego ściągnięto i przyprzęgło się do każdego sznura po sześciu ludzi, i powlekli go po ulicach miasta, aż jasne kędziory głowy jego krwią się zabarwiły od ran, wybitych twardymi kamieniami bruku.

Tłum zaś biegł za wleczonym liczny i krzyczał, podżegając ciągnących ludzi do coraz szybszego biegu. A tam, gdzie gawiedź ona przeszła, szli potajemnie uczniowie Zwycięzcy (bali się bowiem tłumu) i zbierali chustami krew jego najdroższą, płacząc.

A nalazła się też między nimi kobieta jedna nierządna i opętana, imieniem Ihezal, która była wnuczką arcykapłana Malahudy, zabitego przez szerna, którego sobie chował był Elem na zgubę dusz ludzkich.

Tą niegdyś upatrzył sobie był Zwycięzca, iżby ją przywieść ku dobremu, jako iż żal mu było jej duszy zatraconej, gdyż piękna była na ciele i do słońca wschodzącego zgoła podobna. Aliści ona szałem zdrożnym opętana chciała męża poznać w Zwycięzcy, a kiedy uwidziała[384], że istota jego jest na wskroś boska, znienawidziła go i zemstę mu poprzysięgła.

Ta biegła teraz za pochodem i urągała wleczonemu, i bluźniła głośno, krzycząc, aż ustała wreszcie od wielkiego znużenia, gdyż wątła była jako kwiat.

Tak ją naszli uczniowie, krew Zwycięzcy zbierający, leżącą twarzą na kamieniach brukowych z włosami pełnymi krwi jego i szlochającą. Przelękli się tedy bardzo, iżby ich nie wydała, lecz ona, powstawszy, nowym tknięta obłędem, wołać jęła, wielką żałość udając, aby bieżeli i ratowali Zwycięzcę z ręku[385] katów.

A kiedy oni stali w pomieszaniu, nie wiedząc, co by te słowa jej niespodziewane miały oznaczać, ona — odmieniwszy twarz, nagle wybuchnęła śmiechem i bluźnić sprośnie zaczęła, miotając przekleństwa srogie na jasną głowę Zwycięzcy, z płaczem i śmiechem na przemian.

A później poszła do domu swojego przybrać się w szaty godowe i włosy zmierzwione utrefić.

Zwycięzcę tymczasem przywlekli siepacze nad brzeg morza, a ocuciwszy go, gdyż zemdlał był w drodze, dźwignęli go na sznurach pod pachy założonych i przywiązali do słupa wysokiego, który tam stał z dawien, służąc za znak łodziom wpływającym do przystani.

Przyprowadzono też morca niejakiego, który odprzysiągłszy się szernów, służył Zwycięzcy wiernie jak pies i z nim razem był pojmany.

Temu obiecywano wielką zapłatę, iżby Zwycięzcę zgładził, chciano bowiem, aby dla większej hańby zginął z ręki nieczystej. Morzec ów jednak, dobrym duchem nawiedzony, wzdragał się tej zbrodni uczynić, przeto zakopano go w piasku głową na dół tuż u stóp Zwycięzcy, tak iż wierzgając przed śmiercią nogami, kopał obnażone i krwawe jego kolana.

Wtedy zaczęto Zwycięzcę z wielkim krzykiem kamienować, aby się spełniły słowa proroka: „Dałem wam łaskę, wyście się za to głazem dla mnie stali. Krew moja jest pieczęć".

Wszelako duchy ziemskie, z wysoka zesłane, otoczyły go chmurą niewidzialną, która pęd miotanych kamieni pętała, tak iż miękko na ciało jego padały, zgoła mu krzywdy nie czyniąc.

Wiatr się zaś zerwał burzliwy, niezwykły o tej porze (było to bowiem już przed wieczorem), i pędził wały morskie na piasek wybrzeża, hucząc.

---

[383] *z pośrodka* — dziś: spośród.
[384] *uwidzieć* — dziś: zobaczyć.
[385] *z ręku* — dziś: z ręki.

Trwoga poczynała ludzi obejmować i byli tacy, którzy radzili, aby Zwycięzcę zdjąć ze słupa i puścić wolno albo też odbieżeć[386], pozostawiając go własnemu losowi i mrozom nadchodzącej nocy.

Kiedy tak mówiono, zjawiła się od strony miasta Ihezal, strojna w szaty jaskrawe i z utrefionymi włosami na głowie. A szła ze śmiechem, jakoby na wesele idąc, choć obłęd jej wyzierał z oczu, niespokojnie naokół biegających.

Dojrzał ją Zwycięzca, a ponieważ był jej dobrze czynił przez całe życie, więc sądził, iż ona teraz biegnie jemu na pomoc. Wzmógł się tedy i głowę skrwawioną nieco uniósłszy, zawołał na nią imieniem: „Ihezal!".

Wołał zaś, nie aby pomocy od niej żądać, gdyż wiedział, że śmiercią musi dzieło swoje zamknąć i że go niczyja ręka nie wybawi, ale iż pragnął jej nawrócenia i sądził, że duch ją dobry w ostatniej chwili naszedł na widok srogiej męki jego.

W kobiecie tej jednak serce było nad wyraz zatwardziałe, taż że przybiegłszy ku niemu, miasto[387] litość mu okazać albo pożałowanie, ujęła nóż ostry i wspinając się na palce, raziła go w serce, iż skonał.

Co gdy uczyniła, duchy ją zaraz złe napadły i zaczęła tańczyć, i jęczeć, i szlochać, i opętana pognała ku ogrodom na stokach obok świątyni i tam kędyś przepadła na zawsze, przez duchy one nieczyste snadź[388] uniesiona.

A tejże chwili kiedy skonał Zwycięzca, szern się pokazał z rozpiętymi czarnymi skrzydłami na dachu świątyni, a podleciawszy krzywym lotem z niesłychaną zuchwałością w pośrodku ludu, usiadł na szczycie słupa, kędy było ciało.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Tłum, przerażony zjawieniem się szerna i z nagła powstającą burzą, rozbiegł się rychło, ostawiwszy ciało krwawe i martwe, do słupa jeszcze przywiązane.

Nad wieczorem dopiero nadeszli słudzy arcykapłańscy i poprzecinawszy sznury, zdjęli zwłoki i przysypali wielką kupą piasku i kamienia.

W pośrodku nocy jednakże stała się jasność niezmierna i z hukiem ogromnym, do uderzenia tysiąca piorunów podobnym, przybieżał w ogniu jasny wóz Zwycięzcy i stanął ponad mogiłą, nad brzegiem morza usypaną.

Jasność tę widziało wielu ludzi, którzy na odgłos grzmotu z domów powybiegali, dziwując się w trwodze nadzwyczajnemu zjawisku.

A wtedy Zwycięzca wyszedł spod głazów, którymi go przywalono, młody i jasny, bez śladu jakiejkolwiek rany na świetlistym ciele. Stanąwszy na szczycie mogiły, skinął na wóz, a ten jakoby pies posłuszny, do ręku pana przyuczony, zatoczył wielkie koło i u nóg jego się położył.

Zwycięzca zasie[389] wstąpił do woza i przeleciawszy w ogniach nad miastem, poszybował ku gwieździe Ziemi, kędy jest jego i nasza ojczyzna.

Nie martwcie się tedy, bracia moi, i nie frasujcie, iż jesteście opuszczeni, gdyż owszem, weselić wam się należy, iż on srogą śmiercią swoją prawdę przypieczętował i dobrej sprawie życia swojego dał ostatnie świadectwo, a dla nas przykład zostawił, jako się idzie bez trwogi ku dziełu swojemu, i zaś dał nadzieję, że jest ze śmierci odrodzenie.

On patrzy z Ziemi wysokiej na sprawy nasze tutaj i błogosławi czyny wasze górne a odważne, a kiedy czasy się dopełnią, przyjdzie znowu w jasności, ale już nie wieść i nauczać, lecz karać srogą prawicą wrogi dzieła swojego.

Tak będzie.

Stara Ziemia

[386]*odbieżeć* (daw.) — odejść; tu: opuścić.
[387]*miasto* (daw.) — zamiast.
[388]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[389]*zasie* — dziś: zaś.

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Nie umieli sobie zgoła określić czasu, który upływał. Godziny długie mijały, nieznaczone na żadnym zegarze — pocisk, pędząc w międzygwiezdnej przestrzeni, wpadał z otchłani światła słonecznego w rzucony na bezmiar cień Ziemi, a wtedy nagła noc i mróz obejmowały zamkniętych w stalowej łupinie mimowolnych podróżników... I znowu w czasie krótszym niż jedno mgnienie oka, bez przejścia żadnego — zupełnie niespodziewanie, kiedy marzli już z zimna, strachem bezgranicznej i na pozór wiecznej nocy obłąkani — wpadali znów w światło, które ślepiło[390] im źrenice i rozgrzewało wkrótce do żaru niemal ściany ich wozu.

Ruchu nie odczuwali zgoła. Księżyc tylko malał za nimi i świecąc coraz żywiej, stawał się z wolna podobnym do tej gwiazdy zmiennej, co ziemskie noce rozjaśnia. Widzieli, jak cień go z wolna z jednej strony zakrywał i wrzynał się poszczerbionym półkolem w po raz pierwszy oczom ich pokazaną *Wielką Pustynię*... Ziemia natomiast rosła na czarnym, gwiazd pełnym niebie, i wydymała się do potwornych rozmiarów. Blask jej srebrny i mocny bladł, rzednął niejako — kiedy sierpem olbrzymim już połowę niebieskiej otchłani zajęła, wydawała się, jak gdyby zrobiona była z opalu, przez którego mleczną barwę przebijały różne kolory mórz, łanów, piasków. Śniegi jeno gdzieniegdzie błyszczały nieodmiennie światłem srebrzystym, rażącym wprost oczy, na tle aksamitnej czarności nieba.

I tak — nieruchomi na pozór, gnali przez przestrzeń między dwoma jasnymi sierpami: Ziemi i Księżyca, z których jeden — wklęsły — zwiększał się pod nimi nieustannie, drugi — wydęty — malał coraz bardziej w górze.

Uczony Roda nie odzywał się prawie przez cały ciąg tej niepojętej podróży. Wciśnięty w kąt wozu, siedział osowiały, jakby martwy — policzki mu pożółkły jeszcze więcej niż zwykle, oczy, szeroko rozwarte, przerażone, zapadły gdzieś w głąb orbit pod nastroszonymi brwiami. Mataret natomiast krzątał się i gospodarzył w tym tak nieszczęśliwie owładniętym wozie Zwycięzcy. Znalazł wodę i różne zapasy wyciągów, którymi się żywił, zmuszając i towarzysza, ażeby wziął nieco w usta.

Roda jadł niechętnie, spoglądając z lękiem a nienawiścią na rosnącą wciąż Ziemię. W głowie jego kłębił się wir myśli, które na próżno starał się uporządkować. Wszystko mu się teraz wydało dziwnym, niepojętym i szalonym. Myślał wciąż od początku o tym, co zaszło — i gubił się ciągle w jakimś chaosie rzeczy sprzecznych i idących na wspak temu, w co dotąd wierzył jako w prawdę oczywistą i niewątpliwą.

Bo też istotnie było w tym dziwne i aż śmieszne nieprawdopodobieństwo... Urodził się i wyrósł na Księżycu wśród ludu przechowującego podanie, iż przed wiekami pierwsza para rodziców pod przewodnictwem legendarnego Starego Człowieka z Ziemi na Księżyc przybyła, dając tu początek nowym pokoleniom. I podanie mówiło jeszcze, że kiedy ludzkość, przez straszliwych księżycowych pierwobylców[391], potwornych szernów, nękana, w największym się znajdzie pognębieniu, zjawi się znów z Ziemi na Księżyc przybyły Zwycięzca, aby lud z ręki wroga wybawić. Karmiono go tymi baśniami od dziecka, ale on, zaledwie lat rozumu doszedł, rychło przestał im wierzyć. Owszem, przekonany był, że Księżyc jest odwieczną ludzi kolebką, a Ziemia lśniącą gwiazdą olbrzymią jedynie, co świeci nad martwą i pustynną, powietrza nieposiadającą półkulą Księżyca, martwa sama i pusta, wszelkiego życia na błyszczącej powierzchni swej pozbawiona.

Wierzył tak niewątpliwie w tę prawdę przez siebie odkrytą, którą jeno kapłani dla samolubnych celów chcą zakryć złotymi bajkami o ziemskim rzekomo ludzi pochodzeniu, iż stał się nawet założycielem bractwa mającego na celu rozpowszechniać i rozwijać to przekonanie. I właśnie kiedy zawiązane przezeń Bractwo Prawdy zaczęło rość[392] w moc i znaczenie, coraz liczniejszych gromadząc zwolenników, przybywa na Księżyc człowiek tajemniczy a olbrzymi, którego lud rychło z Ziemi oczekiwanym Zwycięzcą mianuje.

---

[390] *ślepić* — dziś raczej: oślepiać.
[391] *pierwobylec* — pierwotny mieszkaniec; por. *tubylec*.
[392] *rość* — dziś: rosnąć.

Tutaj nasuwały się Rodzie wspomnienia wszystkich walk jego i wysiłków krwawych w obronie Prawdy ze wzrastającą dziwnego przybysza przewagą...

Nie wątpił on ani na chwilę, że nie z Ziemi spadł ów człowiek ogromny, ale przybył po prostu w wozie swym latającym z tamtej strony Księżyca, pustynnej rzekomo, a w istocie kryjącej w głębokich, jak gdyby obronnych jarach kraj rozkoszny i żyzny, pierwotną ludzi ojczyznę, zazdrośnie przez żyjące tam szczęsne plemię przed wygnańcami ukrywaną.

Postanowiono tedy zagarnąć wóz Zwycięzcy, zajętego walką z szernami za morzem, i zmusić go w ten sposób do wyjawienia drogi do tajemnego wnętrza dawnej ojczyzny. Wóz ogarnięto istotnie i on — Roda — byłby z pewnością dopiął swojego celu podniosłego, dał wydziedziczonym raj utracony z powrotem, gdyby nie ten przeklęty Mataret o łysej czaszce, co razem z nim teraz, w metalowej łupinie zamknięty, pędzi przez otchłanie międzygwiezdnej przestrzeni i patrzy nań drwiąco wyłupiastymi oczyma.

Wiedział przecież dobrze — bo Roda zdołał to od Zwycięzcy wyciągnąć i jemu powiedział, że wóz jest gotowy do drogi, a mimo to, gdy weszli do wnętrza, pewni już tryumfu nad znienawidzonym przybyszem, pocisnął[393] przez nieostrożność czy też umyślnie guzik fatalny — i oto Księżyc rodzimy tak śmiesznie zniknął pod ich nogami, jak gdyby w otchłań się zapadł, i lecą teraz obaj w przestwór, bezradni, uwięzieni, niewiedzący[394] losu najbliższej chwili nawet.

Wściekłość go ogarniała tak szalona i wstyd, i rozpacz zarazem, iż wyć miał ochotę w bezsilnym gniewie i ręce targać zębami. Krępował go jednak w tych wybuchach wzrok Matareta spokojny i — jak mu się zdawało — drwiący. Zaszywał się więc tylko, on — uczony i przez zwolenników na Księżycu uwielbiany Roda — jak leśne zwierzę schwytane, w najskrytszy kąt wozu i przeżywał bez ustanku wstyd i nękające go myśli, nie mogąc dojść zresztą do żadnego rozumnego wyniku.

I teraz, kiedy siedział zadumany po raz tysiączny może nad tym położeniem swoim bez wyjścia, Mataret zbliżył się ku niemu i wskazał ręką na okno w posadzce, poza którym Ziemia rosła z przerażającą szybkością pod ich nogami.

— Spadamy na Ziemię! — rzekł.

Rodzie wydało się, że szyderstwo w jego głosie posłyszał, szyderstwo w treści tych prostych i krótkich słów, z jego uczoności, wiedzy, powagi, ze wszystkich jego nauk i teorii, wedle których ów rzekomy Zwycięzca nic nie miał z Ziemią wspólnego, i krew mu nagle uderzyła do głowy.

Było mu w tej chwili już zgoła obojętne, co się z nim stanie za godzinę czy dwie, byłby nawet chętnie dał życie w tym okamgnieniu, byle tylko znienawidzonego nagle towarzysza zawstydzić i upokorzyć.

— Naturalnie, ty głupcze! — zakrzyknął. — Naturalnie, że spadamy na Ziemię.

Mataret tym razem uśmiechnął się istotnie.

— Naturalnie, powiadasz, mistrzu, a więc...

— A więc bałwan jesteś — ryczał Roda, niezdolny już dłużej panować nad sobą. — Bałwan, jeśli nie rozumiesz, że w tym wszystkim jest podstęp owego przeklętego przybysza!

— Podstęp!?

— Tak jest! A tylko człowiek tak ograniczony i nieprzenikliwy jak ty mógł się nań złapać... Gdybyś mnie był posłuchał...

— Nic nie mówiłeś, mistrzu!

Ten ostatni wyraz wymówił Mataret z pewnym naciskiem, mimowolnym może...

— Owszem, mówiłem ci, abyś nie dotykał guzika. Czy ty myślisz, że ów Zwycięzca był głupi na tyle, aby pozostawić wóz gotowy do drogi, który za najlżejszym naciśnięciem przeklętej sprężyny powiezie byle durnia w kraj, skąd on przybył, w szczęśliwe miasta na tamtej stronie Księżyca? To śmieszne doprawdy! Przecież on widocznie naumyślnie wóz tak nastawił, aby nieproszonych natrętów wyrzucić na Ziemię.

— Sądzisz? — szepnął Mataret, nie mogąc odmówić pewnego prawdopodobieństwa temu przypuszczeniu.

---

[393]*pocisnąć* — dziś: przycisnąć.

[394]*niewiedzący* — dziś raczej: nieznający.

— Sądzę, myślę, wiem! Pozbył się najniebezpieczniejszego przeciwnika, mnie się pozbył przez twoją głupotę. On w jakikolwiek inny sposób, gdy zechce, do ojczyzny swej się dostanie, a my jesteśmy zgubieni bez ratunku. Pędzimy przecie, jak dwa robaki w rzuconym z ręki orzechu bez woli, bez sensu, bez celu i spadniemy wcześniej czy później na Ziemię, gwiazdę przeklętą, pustą i niezamieszkaną, gdzie zemrzeć nam przyjdzie marnie i rychło, nawet gdybyśmy w chwili strasznego upadku ocaleli. Och, jakże on się teraz śmiać z nas musi, jak szydzić!

Na to przypomnienie szał wściekłości go ogarnął. Wyciągnął pięści ku uciekającemu nad nimi Księżycowi i począł kląć grubymi, ludowymi wyrazami tego zwycięskiego przybysza, odgrażając mu się tak, jak gdyby go mógł jeszcze ujrzeć kiedy i pognębić.

Mataret nie słuchał już tych krzyków. Zamyślił się, a po chwili rzekł:

— Jesteś więc pewny ciągle, że Ziemia jest niezamieszkana i niemożliwa do życia dla żadnej istoty?

Roda patrzył przez chwilę w twarz towarzyszowi, własnym uszom nie wierząc, że taka bluźniercza wątpliwość z ust jego wyjść mogła, a potem roześmiał się gorzko.

— Czy jestem pewien! Patrz!

Mówiąc to, wskazał z kolei okno znajdujące się u ich stóp. Rzuceni w przestrzeń siłą wybuchu ściśnionych[395] gazów i — wobec szybkości obrotu Ziemi wolnym względnie postępowym ruchem Księżyca, zakreślając olbrzymią parabolę, coraz więcej do linii prostej się zbliżającą, spadali na Ziemię, która wirowała z zachodu na wschód przed ich oczyma, coraz nowe morza i lądy im pokazując. Byli jeszcze daleko w przestrzeni — i ruch ten, nieznaczny zrazu, i teraz jeszcze dość wolnym im się pozornie wydawał. Jednak lądy jakieś niedawno jeszcze widziane, zniknęły im już, za rąbek widnokręgu nachylone; przelatywali właśnie ponad Oceanem Indyjskim, zajmującym niemal cały krąg ich widzenia aż po łukowatą linię cienia na zachodzie, którą noc uciekająca wrzynała się w jasny sierp dnia na Ziemi...

Mataret, dążąc oczyma za ruchem ręki mistrza, wpatrzył się w tę beznadziejnie pustą, srebrzystosiną powierzchnię. Zwykły uśmiech zginął mu na mięsistych wargach, wysokie czoło pokryło się siecią drobnych zmarszczek pionowych. Patrzył długo, aż wreszcie zwrócił na Rodę oczy posępne, choć spokojne.

— Zginiemy istotnie — rzekł krótko.

A z mistrzem Rodą stało się coś dziwnego. Zapomniał doszczętnie, że ten wyraz „zginiemy" — oznacza śmierć, nieuchronną śmierć dla nich obu, a uczuł tylko radosny tryumf, że on jednak miał słuszność, nazywając Ziemię gwiazdą niegościnną i pustą. Oczy mu się zaśmiały i począł potrząsać zwichrzoną czupryną dużej głowy, rzucając z ust zdania głośne, jak wtedy, gdy pewien siebie bezwzględnie nauczał jeszcze rzeszę zwolenników na Księżycu.

— Tak, tak — mówił — zginiemy! Ja miałem słuszność i trzeba być głupcem takim jak ty, aby na chwilę bodaj przypuszczać, że ta gwiazda pyzata i świecąca, co się przed nami teraz jak szczenna suka wydyma, może być siedliskiem życia jakiegokolwiek! Cieszę się, że się przekonasz nareszcie, że się wy wszyscy przekonacie, iż to, co ja mówiłem zawsze...

— Wszyscy się nie przekonają — wtrącił Mataret, ruszając ramionami. — My pomrzemy...

Urwał i spojrzał na towarzysza, w którym pod wpływem słów powtórzonych zbudziła się nagle okropna świadomość beznadziejnego położenia. Zerwał się i zapieniony z gniewu przyskoczył do Matareta z zaciśniętymi pięściami, bełkocąc wyzwiska i obelgi.

— Ty głupcze, coś ty narobił! — powtarzał w koło bez końca, aż wreszcie schwycił się rękami za głowę i rzucając się na podłogę, począł jęczeć i zawodzić, a przeklinać dzień i godzinę, w której przyjął był jego, szaleńca i półgłówka, do wielce czcigodnego Bractwa Prawdy, co teraz osierocone przez mistrza swego zostało samo na Księżycu.

Przez chwilę jakąś patrzył Mataret na wijącego się w spazmatycznym, niemęskim płaczu nauczyciela, ale nie mogąc snadź[396] znaleźć słowa żadnego, aby go uspokoić, skrzywił jeno wargi i odwrócił się odeń pogardliwie.

---

[395] *ściśniony* — dziś: ściśnięty.

[396] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

Czas mu się dłużył nieskończenie. Nie miał co robić — a zresztą nie było w ogóle nic do zrobienia. Pędzili ku Ziemi, a raczej spadali na nią z szybkością, z której Mataret nie umiał sobie zdać sprawy. Miał ochotę spojrzeć przez okno — i jakiś mimowolny strach go od tego powstrzymywał. Założył ręce na plecach i jął się przyglądać ścianom wozu bez myśli, bez czucia — z tą tylko chłodną a uporczywą świadomością, że wkrótce, może już za chwil parę, nastąpi coś potwornego, czemu zapobiec nikt nie jest w możności.

Bliskość Ziemi dawała się już odczuwać wzrostem siły przyciągania objawiającej się w powiększonym ciężarze wszystkich przedmiotów. Mataret, o karlim wzroście i drobnych siłach zwyrodniałego na Księżycu ludzkiego plemienia, czuł, jak z każdą chwilą własne członki coraz bardziej ciążyć mu zaczynają; poruszanie przedmiotów, które na Księżycu — sześć razy lżejsze — wznosił ręką bez natężenia, teraz przechodziło już zakres jego sił: zdawało mu się, że niewidzialne druty jakieś wiążą wszystko i spajają w jedną nierozerwalną masę, dążącą jeno fatalnością swej wagi ku straszliwej Ziemi. Jeszcze chwil kilka — a uginać się począł pod własnym ciężarem. Ręce obwisły mu bezwładnie, kolana drżały pod naporem ciała.

Osunął się na podłogę tuż obok okrągłego okna — i spojrzał w dół...

To, co zobaczył, było tak straszne po prostu, że tylko niepokonana ociężałość powstrzymała go od rzucenia się w tył za pierwszym widokiem. Ziemia powiększała się teraz przed jego oczyma z niepojętą, nieprawdopodobną szybkością — a równocześnie miał wrażenie wiru, który go o zawrót głowy i mdłości przyprawiał.

Przed pociskiem, z nieznaczną względnie chyżością postępowym ruchem Księżyca z zachodu na wschód pchniętym, wirowała teraz bliska już powierzchnia ziemska w zawrotnym pędzie czterystu kilkudziesięciu metrów na sekundę, a w każdym mgnieniu oka, w miarę jak spadający pocisk się zbliżał, pęd ów potworny wzrastał pozornie, tak że za chwil parę to, co Mataret miał przed oczyma, nie było już zgoła podobne do żadnej rzeczy stałej, wydając się jeno burzą jakichś przelatujących pod nimi zarysów.

Horyzont cały wypełniała ta oszalała tarcza, w którą — wobec zwiększonego kąta widzenia z pobliża — zamienił się błyszczący do niedawna sierp pod ich nogami. Ocean nachylił się już za ograniczony nagle widnokrąg — lądy jakieś migały w dole, których okiem niepodobna było chwycić, i naraz — jak gdyby ich orkan[397] kosmiczny porwał! Wpadli w wirującą atmosferę ziemską — pocisk, dotąd nieruchomy na pozór, zakołysał się nagle i zwinął — pod wpływem nacisku powietrza jakieś skrzydła ochronne automatycznie z boków jego się rozwinęły i prysły w tejże chwili... Mataret uczuł już tylko żar rozgrzanych momentalnie przez tarcie atmosfery ścian wozu — i przestrach nieludzki: chciał krzyknąć...

Nagła noc go ogarnęła.

II

„Niesłychane, nieprawdopodobne wynalazki i odkrycia upływającego stulecia stawiają nas wobec problematu, który dumą, lecz zarazem i strachem przejąć musi człowieka. Pędzimy w postęp krokiem tak chyżym, że straciliśmy już wszelką miarę szybkości tego dążenia naprzód; nic nam już się nie wydaje nieprawdopodobnym, nic niesłychanym. Dla jednych dlatego, że wiedzą tak wiele i takie skryte tajniki bytu poznali, że rozumieją każdą rzecz nowo się pojawiającą jako naturalny i konieczny wynik tego, co jest, jako tylko jedno z urzeczywistniających się kolejno w ludzkim mózgu zastosowań odwiecznych i niezmiennych sił przyrody...

A dla innych nie ma również nic dziwnego przez to po prostu, że nie wiedzą nic i o niczym już wiedzieć nie chcą, spodziewając się tylko z nałogu każdego dnia nowej rzeczy cudownej, której nie rozumieją, ale z góry za prostą uważają, tak jak cudo największe, mózgiem ludzkim dotąd nieprześcignione: rozwój organizmów, powstanie gwiazd i sam fakt bytu w ogóle, czemu się nigdy nikt z wyjątkiem najmędrszych nie dziwił.

Nie wiadomo dokąd zajdziemy, ale to pewne, że bardzo wysoko — aż po kres ludzkiej możności, jeśli ten istnieje w ogóle. Są bowiem ludzie, którzy twierdzą, że uświadamianie sobie sił przyrody i wielorakiego ich zastosowania do potrzeb człowieka nie jest niczym

[397] *orkan* — silny wiatr.

innym, jak stwarzaniem ich w nowej formie w duchu ludzkim — a stwarzanie końca nie ma i mieć nie może, dopóki są pierwiastki dające się łączyć i wiązać z sobą.

W każdym razie jednak nie ulega wątpliwości, że za lat kilkadziesiąt lub kilkaset może zdobędzie ludzkość taką doskonałą władzę nad przyrodą, że to, co dzisiaj możemy, niczym się wyda po prostu przyszłym pokoleniom.

Duma to myśleć o tym rozwoju, ale — jak powiedziałem — i strach zarazem. Są dziwne sprzeczności w umysłowym bytowaniu człowieka, konieczne, nieuchronne, a w skutkach fatalne. Któż za lat kilkaset — a cóż dopiero parę tysięcy — zdolny będzie objąć umysłem ludzkim całokształt wiedzy ludzkim umysłem zdobytej? Czy ta potęga ducha wzrastająca nie będzie musiała przesilić się wreszcie w jakiś sposób niespodziewany a straszliwy?

Niegdyś — przed wiekami — postęp szedł krokiem bardziej równomiernym i między najuczeńszym człowiekiem a chłopem na wpół dzikim nie było nawet w przybliżeniu podobnej różnicy duchowego poziomu, jaki dzisiaj zachodzi między przodownikami a tłumem, z wynalazków ich i odkryć bez troski powszechnie korzystającym i kulturalnym na pozór.

Cezar rzymski, mieszkający w marmurowych pałacach w zbytku i wyuzdaniu, mimo wszystko mało się różnił wiedzą — choć nawet dumał nad Platonem — od parobka brudnego, gryzącego kawał cebuli w cieniu filarów amfiteatru, chroniących go od południowego żaru. Dzisiaj mój szewc żyje tak samo jak ja, owszem — w większy może dostatek opływa, korzysta ze wszystkich urządzeń i udoskonaleń wraz ze mną, z tej samej opieki prawa i z ustaw tych samych, osobie jego społeczną wartość nadających — a tymczasem on nie wie nic, a ja wiem wszystko...

Coraz cięższy to trud wiedzieć wszystko lub wiele bodaj — i brzemię dla coraz szczuplejszej garstki wybranych do podjęcia możliwe. Niesiemy oświatę dla wszystkich, uczymy lud wszystkiego, ale czymże może być to „wszystko" wobec ogromu wiedzy niepodobnej już prawie dziś do ogarnięcia ludzkim umysłem i pamięcią? Poza wiedzącymi naprawdę, którzy są jedynymi zaiste twórcami wiedzy, sztuki i bytu — a niezgłębioną przepaścią od reszty ludzi mimowolnie są oddzieleni: dwa typy się formują, a nie wiadomo który z nich gorszy. Jedni — to powierzchnia, ludzie znający tytuły dzieł i nazwy wynalazków, którzy mówią radzi o wszystkim i za mądrych się częstokroć, a nawet przeważnie, uważają, a nie wiedzą nic — i drudzy, jednej poświęceni gałęzi i w jednym pracujący kierunku, którzy odrzucają z ciasną wzgardą wszystko inne, do ich zakresu nienależące, jakby to było niczym. Ci uważają się również za mądrych, a w istocie także nie wiedzą nic.

Na razie tworzą oni wiele i długo jeszcze tworzyć będą zapewne. Ale nie zawsze. Bo oto poczyna się już czas, że coraz ciaśniej im jest w ich studniach wąskich, ze zbytnią ufnością w głąb wierconych — i coraz bardziej brak powietrza dla oddechu.

Zbliżają się z wolna do serca bytu, gdzie wszelkie żyły się łączą, a kto nie zna ich wszystkich, gubi się w sieci niepojętej, niezdolny już posunąć się dalej, chyba po omacku. Więc na powierzchnię wychodzą, gubią się w powierzchni.

I tak coraz mniejsza drużyna wszystkowiedzących przodowników dźwiga postęp i los ludzkości na uginających się barkach — a jeśli ich zabraknie? Jeśli i ich siły nadludzkie ogromowi brzemienia nie podołają?".

Jacek odrzucił książkę. Białą, wąską ręką przetarł wysokie czoło i uśmiechnął się blado bezkrwistymi ustami; czarno płonące oczy jego powlokła jakaś mgła zamyślenia...

Tak oto pisano już z końcem dwudziestego wieku, a ileż to stuleci przeszło od tego czasu! Po okresie niesłychanych, nieprawdopodobnych wynalazków, gdzie jedno odkrycie rodziło dziesięć nowych i zdawało się istotnie, że ludzkość jest na drodze jakiegoś bajecznego rozwoju bez końca, który aż przeraża swoją wielkością — nastąpił zastój nagły, jak gdyby siły przyrody tajemne, mogące służyć człowiekowi, wyczerpały się wreszcie w swych kombinacjach i wszystkie już do tryumfalnego rydwanu ludzkiego dobrobytu wprzęgnięte, nie miały nic więcej do odsłonięcia. Nadszedł okres wyzyskiwania i zastosowywania coraz wszechstronniejszego tych zdobyczy ludzkiej myśli, która na pozór osiągnęła już wiedzę najgłębszą.

A tymczasem owi wiedzący, owi rzeczywiście coraz bardziej nieliczni wszystkowiedzący, przekonywali się z każdym dniem bardziej i dosadniej, że naprawdę nie wiedzą nic, tak jak ongi — na początku — kiedy duch człowieczy dopiero do lotu się zrywał.

W tymże samym czasie, kiedy szereg wynalazków, nim przerwał się nagle, zdawał się wzrastać z zawrotną jakąś szybkością, krokiem coraz większym, wiedza, prawdziwa wiedza o tym, co jest, na odwrót coraz wolniej posuwać się poczęła. Było to tak, jak gdyby do sumy wiadomości już zdobytej wiek po wieku przydawał ciągle tylko połowę tej reszty, która pozostawała każdego czasu jeszcze do zdobycia, ukazując w dali coraz wyraźniejszą granicę możliwości, nigdy nieosiągniętą: można się do niej zbliżać, zbliżać się coraz wolniej, ale zawsze pozostanie jakaś połowa tego, czego się nie wie jeszcze, w cieniu tajemnicy — i w końcu uderza się głową o te same nierozwiązalne zagadki, przed którymi już greccy mędrcy z zadumą stawali.

Czym jest w najgłębszej istocie to, co jest, i dlaczego jest w ogóle? Czym jest myśl ludzka i sam duch poznający? Jakie są nici, łączące umysł ludzki ze światem, i na jakich drogach i w jaki sposób byt się w świadomość przeradza? I wreszcie — co z chwilą śmierci się dzieje?

Lekki uśmiech wydął piękne, kobiece niemal usta Jacka.

Ach, tak! Był czas — właśnie kiedy pisano książkę oną, przed chwilą rzuconą — że ludzie, nie mogąc sobie dać rady z tymi pytaniami, usiłowali je odrzucić po prostu, odmawiając im wszelkiego znaczenia, nawet sensu. Wówczas — kiedy to człowiekowi, postępem wiedzy oszołomionemu, zdawało się, że takie tylko zagadnienia treść mają rzeczywistą, na które można odpowiedzieć albo co do których jest ta pewność lub nadzieja przynajmniej, że się na nie wcześniej czy później odpowiedzieć musi... A nad wszystkim innym, jako nad „metafizyką", wzruszano ramionami.

A ta „metafizyka" powraca tymczasem i staje wciąż przed człowiekiem z niezmiennie zakrytą twarzą, i dręczy go — bo w istocie, dopóki się nie wie tego, nie wie się nic właściwie...!

I jak przed wiekami, przed dawnymi wiekami, tak wstają i dzisiaj prorocy i niosą Objawienie, mające ludziom, chcącym i zdolnym wierzyć, uprościć wszelkie myślenie i serce uspokoić, i na pytania wszelkie odpowiedź dać ostateczną. Religie są, jako były zawsze, mimo że im tyle razy zachód i zgubę przepowiadano — silniejsze dzisiaj może niż kiedykolwiek, jeno że zmienił się ich zakres i znaczenie. Tłumy przestają wierzyć i bóstwa szukać za błękitami, te tłumy olśnione wiedzą, której nie rozumieją, zaślepione blaskiem skarbów przez najwyższe duchy zdobytych, z których korzystają, zgoła myśli do ich nagromadzenia nie przyłożywszy.

Ale za to ci najmędrsi, ci, którzy niegdyś w czasie nadmiernej w siły swe ufności pierwsi religię jako „zabobon", jako rzecz zbyteczną i ciemną rozbijać poczęli, teraz chronią się pod jej skrzydła — jeden po drugim — z lękiem jakimś w oczach, co zbyt blisko w nierozwiązywalne tajemnice patrzyły, i z pragnieniem ukoju[398] w wysilonych mądrością sercach.

A obok tego wszystkiego — po staremu gdzieś z gór niebotycznych, gdzieś z głębi lasów, w Azji jeszcze ukrytych, idą ludzie dziwni, tajników przyrody w szczegółach niebadający, a mający nad nią moc prawie kuglarską, z której nie korzystają, nie potrzebując niczego, i w wielkim spokoju ducha z uśmiechem zagadkowym na ustach patrzą z politowaniem na tych „wszystkowiedzących", co nicość wiedzy swej odkryli...

Bezwiednie nożem z kości słoniowej, w białej ręce trzymanym, począł przewracać kartki leżącej przed nim książki... W ciszy pokoju, odgrodzonego drzwiami nieprzepuszczającymi głosu od świata, słychać było tylko szelest pożółkłego papieru i tykotanie zegara elektrycznego, któremu wtórował w kącie gdzieś robak, stare meble drewniane toczący.

Oto on — Jacek — jest jednym z tych niewielu „wszystkowiedzących"... Nie wie nawet doprawdy, kiedy i jakim cudem zdołał objąć ten ogrom duchowego dobytku z dziesiątek stuleci, a nadto zapytuje się sam czasem: „Po co ten cały nieludzki wysiłek?". Rozwarła mu niby przyroda wszystkie tajniki swoje i słucha go jak pana, ale on wie aż nadto dobrze, iż jest to tylko złudzenie, nawet nie jego własne, ale tych jeno, co nań patrzą i dziwują się jego mądrości a potędze.

On sam wie, że rozkazuje światu tak śmiesznie, jak ów wódz Irokezów, dawno wygubionych i zapomnianych, co stawał przed każdym świtem na wzgórzu i wskazując ręką na wschód, kazał słońcu wzejść tamtędy i palcem mu drogę aż na zachód przez niebo dla

[398] *ukoju* — D.lp; dziś: ukojenia.

dziennego biegu wytykał. A słońce go słuchało. Zapewne — poznać rzeczy, to znaczy mieć władzę nad nimi, bo się wie, jak im rozkazywać, a jednak ta cała władza jego, której ludzkość tyle błogosławionych a cudownych zawdzięcza wynalazków, jako moc osobista niewarta jest jednego spojrzenia tego przed tygodniem spotkanego Azjaty, co przed nim czarę pełną wody wolą tylko i oczyma wywrócił, nie znając nawet sposobu, w jaki to czyni, i nie przynosząc nikomu tym śmiesznym czynem korzyści...

A zresztą — czyż on wiele więcej wie od tego cudotwórcy o tym, co czyni sam, i o istocie sił, którym słuchać się każe — z mniejszym nawet woli wysiłkiem, bo tylko przez poznanie sposobu ich działania? Oto trzeci rok upływa, jak, nie wychodząc z tej izby, nakreślił dla przyjaciela swego, Marka, plan wozu, którym by się mógł dostać na Księżyc, i wozowi drogę nieuchronną jak obieg gwiazd wytknął przez przestworza, a potem przy tym stole siedząc, z miejsca się nawet nie ruszywszy, przez pociśnięcie guzika wóz z zamkniętym wewnątrz podróżnikiem we właściwej cząstce sekundy wyrzucił w przestrzeń — i jest pewien bezwzględnie, że w obliczonym z góry momencie i w miejscu oznaczonym spadł bez szkody na powierzchnię starego towarzysza Ziemi; a w rzeczywistości cóż on wie o ruchu samym, który tutaj z taką ścisłością sprawił i zastosował?

Czyż nie jest pod tym względem mniej więcej w tym samym miejscu, co ów przed wiekami Zenon Eleata, usiłujący w naiwnych przykładach wykazać w samym pojęciu ruchu sprzeczność, jaka go uderzyła? Eleata twierdził, że Achilles żółwia nie dogoni, gdyż w czasie, który zużyje na przebycie dzielącej ich przestrzeni, żółw zawsze nieco naprzód się posunie... A on — po kilkudziesięciu wiekach wie nadto, że to, co się porusza, stoi zarazem, a to, co stoi, porusza się, bo ruch wszelki i spoczynek są względne — i gorzej jeszcze, że ruch, ta rzeczywistość jedyna a nieuchwytna, jest zmianą położenia w przestrzeni, która jest rzeczą zgoła nierzeczywistą...

Wstał i aby przerwać tok gnębiących go myśli, zbliżył się ku oknu. Lekkim dotknięciem umieszczonego w ścianie guzika rozsunął firanki i kazał się lśniącym szybom roztworzyć. Do pokoju, oświetlonego bez lamp przebiegającymi pod stropem smugami jasności, wlał się pełną falą srebrzysty blask Księżyca. Jacek nieznacznym znowu ruchem dłoni zgasił sztuczne światła i zapatrzył się w Księżyc, właśnie pełni dochodzący.

Myślał o Marku, o tym dzielnym człowieku jakby nie z tego stulecia, bujnym, wesołym, skorym do czynu... Dalecy krewni, wychowali się razem, ale jakże innymi drogami poszło ich życie! Podczas gdy on wiedzę gromadził gorączkowo, z zapamiętałością jakąś, której sam w tej chwili nie rozumie, tamten szalał i działał, szukał przygód niesłychanych, rzucał się z miłostek w wir życia publicznego, brał udział w wielkich zgromadzeniach ludowych i bronił różnych spraw jemu, Jackowi, zgoła obojętnych, aby znowu niespodziewanie zniknąć na pewien czas z widowni, po prostu dla fantazji wdarcia się na jakiś niedostępny szczyt himalajski lub dla spędzenia paru tygodni w miłosnym oszołomieniu.

I oto ten szaleniec serdecznie ukochany, który wszystko przez różowe szkło widział, przyszedł doń dnia pewnego z oświadczeniem, że — ni mniej, ni więcej — tylko zrobić chce wycieczkę na Księżyc.

— Ja wiem, że ty wszystko umiesz i możesz, Jacku — prosił jak dziecko — zbuduj mi tedy wóz, którym mógłbym tam pojechać i wrócić!

Jacek zaśmiał się: „ach, wszystko!...". Ale tę drobnostkę bez wątpienia zrobić potrafi — wdzięczny jest owszem Markowi, że mu się zachciało dostać na Księżyc tylko, a nie na którą z planet systemu słonecznego na przykład, bo wtedy rzecz byłaby do wykonania cokolwiek trudniejsza...

Śmiali się obaj i żartowali.

— I czemuż ty się tam wybierasz? — pytał Marka. — Czy ci już źle na Ziemi?

— Nie, ale wiesz, ciekaw jestem, co się stało z tą wyprawą O'Tamora sprzed kilku wieków, który w towarzystwie, zdaje się, dwóch mężczyzn i jednej kobiety dał się wyrzucić w pocisku na Księżyc, by tam założyć nowe społeczeństwo...

— O'Tamorowi towarzyszyło trzech mężczyzn i jedna kobieta...

— Ach! Mniejsza... Zresztą mam i inny powód. Sprzykrzyła mi się już Aza.

— Aza? Któż to jest?

— Jak to, nie wiesz? Aza!

— Twoja nowa suka myśliwska czy klacz?

— Cha, cha, cha! Aza! Cudo! Śpiewaczka, tancerka, którą się zachwycają obie półkule... Opiekuj się nią, Jacku, gdy odjadę!

Tak mówił wówczas Marek, roześmiany, wesoły, kipiący bujnym, młodym życiem...

Jacek zmarszczył brwi i przetarł ręką czoło niecierpliwie, jakby chciał odegnać przykre jakieś wspomnienia.

— Aza... Tak jest, Aza, którą się zachwycają obie półkule...

Wzniósł z wolna oczy na Księżyc.

— I gdzie ty teraz jesteś — szeptał — i kiedy powrócisz? I co opowiesz? Co tam zastałeś, co cię tam spotkało?

— Tobie wszędzie dobrze — dodał po chwili już na wpół głośno.

Tak, jemu dobrze będzie wszędzie, myślał, bo ma w sobie jeszcze ten pierwotny, niepowstrzymany, twórczy pęd życia, co umie wytworzyć naokoło pożądane stosunki, a nawet w najgorszych znajduje strony dobre...

Przecież on, Marek, i tutaj czuł się swobodnym i wesołym i nie skarżył się, chociaż to tak trudno wobec tego, co ich otacza... A przecie niepodobny jest do tych wszystkich innych, zadowolonych...

Zamknął okno i nie zapalając świateł, powrócił do biurka na środku okrągłego pokoju. Przesunął się cicho po miękkim dywanie i macając ręką w cieniu, opadł w fotel wysoki. Cisnęły mu się na myśl przypomnienia wszystkich zmian w ciągu wieków zaszłych, co miały niby ludzkość uszczęśliwić, wyzwolić, podnieść...

Jakżeby się zdziwił ten człowiek w zamierzchłych gdzieś czasach, w dwudziestym stuleciu tę książkę przed chwilą porzuconą piszący, gdyby spojrzeć mógł dzisiaj na mapę Zjednoczonych Stanów Europy! Wówczas to zdawało się tak odległym i niedoścignionym ideałem, a przecież przyszło względnie łatwo i nieuchronnie.

Jeno że wprzódy potrzeba snadź[399] było tych wszystkich wstrząsających ludzkością przewrotów, o których mówi historia: straszliwego, niesłychanego, bezprzykładnego pogromu Państwa Niemieckiego przez Cesarstwo Wschodnie, w jakie zamieniła się dawna Austria po zagarnięciu polskich krajów Rosji i połączeniu się z południowosłowiańskimi państwami... Tej nieoczekiwanej przez nikogo wojny trzyletniej potężnej Anglii, pani połowy świata, z Unią Krajów Łacińskich, po której Imperium Brytyjskie, niepokonane, ale też i niezwycięskie właściwie, rozpadło się jak strąk grochu dojrzały na kilkanaście państw samodzielnych — i jeszcze tych wszystkich burz, walk, zamieszań!

I oto pewnego dnia zrozumiano nareszcie w sposób taki jakiś prosty i niewątpliwy, że nie ma o co walczyć właściwie i zaczęto się dziwić, po co tyle krwi z taką rozlano zapamiętałością? Ludy Europy po kilkudziesięciu wiekach historycznego rozwoju dojrzały do zjednoczenia i zjednoczyły się na zasadzie samoistnych jedności narodowych, jak największej zażywających swobody.

A krok w krok za tymi zmianami postępował rozwój stosunków społecznych i gospodarczych. Obawiano się niegdyś gwałtownych przewrotów w tej dziedzinie i nawet wszystko zdawało się wskazywać na konieczność nieuchronnej jakiejś katastrofy, a w istocie wszystko poszło tak gładko i... nudnie aż do obrzydliwości... Rozrost nadzwyczajny spółek i towarzystw spółdzielczych ułatwił przejście prawie niepostrzeżenie. Wyzyskanie nowych wynalazków, z jednej strony, wymagało zjednoczenia coraz większych sił — z drugiej zaś, podnosiło skalę dobrobytu ogólnego w tak niespodziewanie szybki sposób... Wkrótce nie warto już było posiadaniem osobistego majątku trosk sobie przysparzać.

Jeno że spodziewanej przez niektórych utopistów równości to nie sprowadziło bynajmniej. Zrównano prawa bezwzględnie i godność podniesiono człowieczą, dano wszystkim dobrobyt i oświatę dla wszystkich, ale — nie zrównano duchów ludzkich — ani — co za tym idzie — wartości i zakresu władzy jednostki. Och! Jakże to wszystko dalekie od tego śnionego niegdyś raju!

Byli po staremu bogaci i względnie ubodzy. Ludzie, którzy zajmowali jakieś stanowisko „pożyteczne" dla społeczeństwa i ważne, otrzymywali pensje częstokroć po prostu olbrzymie i po krótkim stosunkowo czasie służby — dożywocia, pozwalające im bez obowiązkowych zajęć na rozrywkach resztę dni spędzać. Rzadko się zdarzało, aby ci — wyzwoleni — dobrowolnej pracy jeszcze nadal się poświęcali.

---

[399] *snadź* (daw.) — przecież, widzocznie.

Rządy były właścicielem jedynym, ale nie mniej dbałym o swoją kieszeń niż dawniej ludzie prywatni. Miasta ogromne pełne były wykwintnych hoteli — teatry, cyrki i sale zabaw kapały od złota — śpiewaków zaś i histrionów wszelkiego rodzaju płacono jak po wszystkie czasy sumami nieprawdopodobnymi. Tymi drogami pieniądz z kieszeni dostojników i „emerytów" wracał na powrót do kas państwowych.

A iluż to ludzi „nieproduktywnych" dlatego tylko głodu nie znało, że pracować musieli obowiązkowo i jeśli się nie umieli rządzić tym, co im dawano za pracę niechętną, bywali zabierani pod państwową opiekę... A byli wśród nich ludzie młodzi nieraz, późniejsi wynalazcy i odkrywcy, pisarze i artyści do ręcznej pracy zmuszeni, marniejący często, sławni nieraz dopiero po śmierci, a za życia w cień przez szczęśliwych i modnych „kolegów", schlebiaczy gawiedzi, zepchnięci...

Jacek myślał o tym wszystkim, ważąc znów w ręku książkę, przed chwilą czytaną...

Nie na dwie, jak się obawiał ten wyklęty ongi gwoli[400] pesymizmowi swemu pisarz dwudziestego wieku, ale na trzy części ludzkość się rozpadła. W środku jest tłum. Większość olbrzymia. Zgraja sytych, w miarę zażywających spoczynku i o ile możności jak najmniej myślących. Mają prawa, mają dobrobyt i oświatę — to znaczy uczą się w szkołach wszyscy tego, co dla nich zrobiono. Mają poczucie obowiązku i są przeważnie cnotliwi. Dzielą się na narody i każdy jest dumny z tego, że do swego narodu należy, chociaż, gdyby się był w innym urodził, byłby także z tego dumny. Niegdyś były narody świętością, z najserdeczniejszej krwi ulepioną — dzisiaj wyrodziły się z wolna w rodzaj strojów odmiennych, niemających głębszego znaczenia. Różnica duchów się zatarła. W treści swych małych dusz tłum się stał wszędzie mimo różnic mowy, dochodów, władzy tak rozpaczliwie do siebie podobny!

Odmienność rasy i plemienia tętni może jeszcze żywa u tych najwyższych — „wiedzących", którzy ponad błyszczącym tłumem europejskim stoją, nieprzebytą przepaścią duchowego rozwoju odeń oddzieleni. A oni przecież najmniej o narodowości mówią, w jedno braterstwo wiedzy i ducha losem swym związani.

Ale i w dole pod tłumem sytym i zadowolonym jest czerń międzynarodowa, którą również przepaść od niego odgranicza. Przeczy się temu głośno i zawsze, a jednak tak jest. Nie pomogą tu najpiękniejsze i nawet szczere słowa o równości, o prawie powszechnym do życia i dobrobytu, o nieistnieniu warstw uciśnionych! Zresztą — oni nawet nie są uciśnieni wcale.

Te miliony maszyn, ludziom służące, wymagają z swej strony do obsługi całej rzeszy robotników czujnych, umiejętnych, metalowej, nielitościwej dziwostworze po prostu zaprzedanych i niemyślących o niczym więcej, jak że w danej chwili trzeba pewien guzik pocisnąć lub dźwignię przerzucić. Pracują względnie krótko, płatni są dobrze, ale umysł ich, zaostrzając się w jednym kierunku, tępieje dziwnie we wszystkich innych, robiąc ich z wolna obojętnymi na to, co się dzieje poza fabryką, warsztatem i kołem ich najbliższej rodziny.

I to jest znamienne, że się nie buntują ani nie podnoszą, jak niegdyś robotnicy minionych stuleci. Daje im się mądrze wszystko i wszystko przyznaje, czego chcą, aż w końcu — przestają chcieć czegokolwiek, nawet tych rzeczy, które by z łatwością mogły być dla nich dostępnymi. Nie mają ojczyzny, koniecznością pracy z miejsca na miejsce przerzucani, język sobie nawet wyrobili oddzielny, międzynarodowy, w dziwny sposób ze strzępów różnych języków sklejony.

A więc właściwie wszystko jest, jak było! Jeno że te granice niewyraźne, o których utrzymanie z góry, zniesienie z dołu, ongi walczono, wyraźniejszymi się stały, szerszymi i trudniejszymi do przebycia z chwilą, kiedy w zasadzie istnieniu ich zaprzeczono. Ustało obustronne parcie na zewnątrz i siłą faktów warstwy poczęły się skupiać i zasklepiać, cofając się mimo woli i wiedzy coraz bardziej od siebie.

I wszystko jest tak, jak było. I mimo dobrobyt, mimo wiedzę, mimo wolność i prawa[401] niby doskonałe — tak samo dzisiaj, jak i przed wiekami, płytko jest na Ziemi i ciemno, i duszno coraz bardziej w tym życiu, u którego kresu czeka śmierć, z jednako zawsze zakrytą, niepojętą twarzą.

---

[400] *gwoli* — z powodu dla; z C. gwoli pesymizmowi, dziś z D.: z powodu pesymizmu.

[401] *mimo dobrobyt, mimo wiedzę, mimo wolność i prawa* (daw.) — mimo z rzecz. w B.; dziś z D.: mimo dobrobytu itd.

A szczęście? Osobiste szczęście człowieka?

O, ludzka duszo, nigdy niesyta i niepoprawna! Nauka, wiedza ni mądrość żadna nie wytrzebią z głębi pragnień nierozumnych, śmiesznych a pożerających jak ogień, gdy wielce rozgorze.

Cień był w pokoju od chmur, co Księżyc zasnuły. Jacek mimowolnym niemal ruchem wyciągnął dłoń i dotknął na pamięć guzika w rzeźbach biurka ukrytego. Na owalnej tarczy z mlecznego szkła w ramie brązowej zamigotał barwny obraz: drobna, dziecięca na pozór twarz pod bujną falą jasnych włosów i oczy ciemnobłękitne, ogromne, szeroko rozwarte...

— Aza, Aza... — szeptał w ciszy, pochłaniając wzrokiem to nikłe odbicie.

III

Mataret, odzyskawszy przytomność, nie umiał sobie przez długi czas zdać sprawy z tego, co się z nim stało właściwie i gdzie się znajduje. Przecierał oczy kilkakrotnie, niepewny, czy to istotnie ciemność nieprzenikniona go otacza, czy też powieki ma jeszcze zamknięte. Przypomniawszy sobie, że jest w wozie, który pędził z Księżyca na Ziemię, usiłował bezskutecznie zapalić światło elektryczne. Naprzód długo nie mógł znaleźć guzika — w wozie było dziwnie wszystko poprzewracane, a gdy wreszcie wyszukał, na próżno naciskał palcem. W przewodach coś się widocznie zepsuło: noc nie ustępowała.

Począł w ciemności wołać na Rodę. Przez długi czas nikt nie odpowiadał, aż wreszcie posłyszał stęknięcie, które mu dało przynajmniej znać, że towarzysz jego żyje. Po omacku posunął się w stronę, skąd głos go dochodził. Trudno mu się było orientować w położeniu. Przez cały czas podróży wóz własnym ciężarem pod wpływem przyciągania — naprzód Księżyca, a potem Ziemi — tak się obracał, że podłogę jego zawsze mieli pod nogami, teraz Mataret, posuwając się, zauważył, że pełza po wklęsłej ścianie pocisku.

Znalazł mistrza i wstrząsnął nim za ramię.

— Żyjesz?

— Żyję jeszcze.

— Nie jesteś ranny?

— Nie wiem. Zawrót mam w głowie. Boli mnie całe ciało. I ciężko, tak ciężko straszliwie...

Mataret czuł to sam, mogąc się zaledwie z największym wysiłkiem poruszać.

— Co się to stało? — zapytał po chwili.

— Nie wiem.

— Byliśmy już blisko Ziemi. Widziałem, jak wiruje... Gdzież teraz jesteśmy?

— Nie wiem. Może to my przelatywaliśmy ponad nią! Minęliśmy Ziemię teraz widocznie i pędzimy znów w przestrzeni dalej, w cieniu jej pogrążeni.

— Czy uważasz jednak, że wóz przybrał dziwne jakieś położenie? Chodzimy po ścianie.

— Cóż mnie to obchodzi? Wszystko jedno. Tak czy owak, śmierć nas czeka nieuchronna, na ścianie czy na powale[402]...

Mataret zamilkł, przyznając w duszy słuszność mistrzowi. Wyciągnął się na wznak i przymknął oczy, poddając się ogarniającej go z wolna senności, co przychodziła nań snadź[403] i jako zapowiedź zbliżającej się śmierci.

Nie usnął jednak. Majaczyły mu się tylko w jakimś na wpół przytomnym marzeniu księżycowe szerokie równiny i miasto przy *Ciepłych Stawach* nad brzegiem morza położone... Lud niby widział skądś wracający, z uroczystości jakiejś, od stopni świątyni, na których stał człowiek wyniosły, Zwycięzcą na Księżycu nazwany — i patrzył nań szyderczymi oczyma. Zawołał nawet na niego po imieniu. Raz i drugi.

Rozwarł oczy. Rzeczywiście wołano go.

— Roda...?

— Czy śpisz?

— Nie, nie śpię. Zwycięzca...

— Do licha ze Zwycięzcą. Krzyczę na ciebie już pół godziny. Wytrzeszcz ślepia!

— Blask!

---

[402]*powała* (daw.) — sufit.

[403]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

— Tak jest. Jaśniej się robi. Co to jest?

Mataret dźwignął się i usiadł, zadzierając głowę ku górze. Istotnie okrągłe okno boczne, przy tym położeniu wozu do góry teraz zwrócone, szarzało z wolna jaśniejącą plamą na tle ciemności.

— Dzień się robi — szepnął.

— Nie rozumiem — rzekł Roda. — Dotąd przechodziliśmy z światła w ciemność i na odwrót bezpośrednio, w jednym momencie...

W tej chwili ze zwiększającą się nagle jasnością szelest jakiś suchy doleciał ich uszu — pierwszy odgłos, który od czasu odlotu z Księżyca z zewnątrz ich dochodził.

— Jesteśmy na Ziemi! — krzyknął Mataret.

— Z czego się cieszysz?

Ale on już nie słuchał. Walcząc z nieznośnym ciężarem własnego ciała, wydrapał się bliżej ku oknu, ponad którym przesuwały się jak gdyby tumany piasku, gęstniejące czasem tak, że mrok znowu gruby zalegał wnętrze wozu. Mataret patrzył, nie rozumiejąc tego wszystkiego. W pewnej chwili przymknął oczy, niespodziewanym jaskrawym blaskiem uderzone. Piasek znikł i słońce oślepiające padło na okrągłą szybę. Słychać było wyraźnie świst wichru przewalającego się po świecie.

Kiedy znowu powieki rozwarł, jasno było dokoła — przez okno przeglądało się w górze niebo ciemnobłękitne, powietrzem malowane, nie czarne bynajmniej jak dotąd, kiedy przez przestrzeń międzygwiezdną przelatywali.

— Jesteśmy na Ziemi — powtórzył Mataret z przekonaniem i począł odkręcać śruby, zamykające wyjście z ich długotrwałego więzienia.

Nieraźno szła mu robota. Wszystko ciężkim mu się nadmiernie wydawało, a członki obezwładnione, leniwe, nużyły się szybko, tak że co chwila musiał odpoczywać. Gdy wreszcie ostatnie śruby z brzękiem w dół opadły i świeży powiew przez okno otwarte w twarz go naraz uderzył, zachwiał się, powietrzem pijany i zmęczony trudem, nie mogąc zrazu w braku sił na świat się wydobyć.

Po dłuższym odpoczynku dopiero wrócił do równowagi i chwyciwszy się rękoma za obrzeże okna, dźwignął głowę, a potem i całe ciało na zewnątrz. Roda cisnął się już za nim i wysuwał dużą rozczochraną czaszkę z wozu.

Patrzyli długo obaj w milczeniu.

— A nie mówiłem, że Ziemia jest niezamieszkana! — ozwał się wreszcie Roda.

Przed nimi — dokoła — jak okiem zasięgnąć ciągnęła się roztocz piasku, żółta, w garby niby fale pogięta, jarkim[404] rozżarzonym słońcem spalona. Wóz ich, zlatując na Ziemię, wpadł był w wydmę olbrzymią, z której go ustający teraz właśnie wiatr pustynny wygrzebał.

Mataret nie odpowiadał na słowa Rody. Patrzył szeroko rozwartymi oczyma i porządkował w duszy dziwne wrażenia. Wszystko naokół niego było ciche, martwe, nieruchome; trudno mu było uwierzyć, że to jest ta sama Ziemia, którą widział był, zda się, przed chwilą w szalonym wirze mknącą pod swymi stopami... Przecierał oczy i zbierał myśli rozpierzchłe — niepewny, czy śni teraz, czy się też ze snu niepojętego obudził.

Chwilami lęk go ogarniał nerwowy, którego przyczyny sam zgoła nie znał. Drżał wtenczas febrycznie od stóp do głów z okropnym, szalonym pragnieniem w sercu, aby to wszystko, co zaszło, ta podróż i ta Ziemia — okazały się jeno sennym majakiem... Starał się zapanować nad sobą i myśleć przytomnie.

Wreszcie poczuł, że głód mu zaczyna dokuczać. Wrócił do wozu i wydobył stamtąd resztę wody w miechu z nieprzepuszczalnej błony i szczupłe zapasy pozostałej jeszcze żywności. Zwrócił się do Rody:

— Jedz!

Mistrz wzruszył ramionami.

— Właściwie nie wiadomo, po co mam jeść i życie o kilka godzin przedłużać.

Mimo to rzucił się łapczywie na zapasy, aż go Mataret musiał powstrzymywać uwagą, że żywność należy oszczędzać.

— Po co? — warknął Roda. — Głodny jestem. Zjem, co mam do zjedzenia, i powieszę się na czubku tego wozu przeklętego!

---

[404] *jarki* — jasny, żarzący się; por. *jarzyć się*.

Mataret, nie słuchając, ładował w worek resztę pożywienia i wynosił z wozu różne łatwe do zabrania drobne przedmioty, które mogły się przydać. Wreszcie, gdy związał wszystko razem, próbował zarzucić tobołek na plecy, ale spostrzegł, że się przeliczył ze swymi siłami, nie pamiętając o sześciokrotnie zwiększonej wadze na Ziemi. Rad nierad wyrzucił tedy wszystko, bez czego tylko można się było obejść, a resztę podzielił na dwa węzełki.

— Bierz — rzekł do Rody, wskazując jeden z nich — i pójdź[405].

— Dokąd?

— Gdziekolwiek. Pójdziemy przed siebie.

— To nie ma zgoła celu. Mnie jest wszystko jedno, w którym punkcie tej płaszczyzny przestrzeni zginę.

— Gdy Ziemia przelatywała pod nami, wirując, widziałem morze i kraje jakieś, zda mi się, zielone. Może dotrzemy do okolicy, gdzie się da żyć.

Roda, mrucząc niechętnie, zarzucił tobołek na ramię i ruszył za Mataretem. Szli na wschód słońca, grzęznąc w piasku, obezwładnieni upałem i zbyt gęstym dla ich księżycowych płuc powietrzem Ziemi, a nade wszystko wagą ciał własnych, które — drobne i niepozorne — wydawały im się, jak gdyby naraz w ołów były zamienione. Odpoczywali co kilkadziesiąt kroków, ocierając znojny pot z czoła.

Na przystankach Roda, korzystając z każdego zauważonego szczegółu, dowodził w dalszym ciągu, że Ziemia nie jest zamieszkana i w ogóle nie może być zamieszkana przez żadne istoty.

— Pomyśl — mówił — ten ciężar tłoczący! Któreż stworzenie znieść go zdoła przez dłuższy czas!

— Jeśliby tu jednak ludzie byli więksi i silniejsi od nas, jak na przykład Zwycięzca?

— Nie pleć głupstw! Gdyby tu ludzie byli więksi, ważyliby jeszcze więcej i nie mogliby się już zgoła poruszać.

— A jednak...

— Nie przerywaj, kiedy ja mówię! — oburzył się Roda. Ja nie rozprawiam z tobą, ale ci powiadam jeno pewne rzeczy, o których wiem. Ty słuchaj i ucz się.

Mataret wzruszył ramionami i podjąwszy swój tobołek, puścił się znowu naprzód w milczeniu. Mistrz postępował za nim, nie przestając dowodzić zdyszanym głosem prawdziwości swego zdania.

— Zdechniemy jak psy — powtarzał. — Tu nie ma, mówię, żadnej żywej istoty.

— Więc my będziemy pierwszymi — wtrącił Mataret — cała Ziemia będzie do nas należała.

— Dużo ci przyjdzie z tego! Piasek i woda, którąśmy z góry widzieli, jeżeli to jest woda w ogóle, a nie jakiś na szkliwo ścięty kamień...

Mataret tymczasem przystanął i patrzył przed siebie z zajęciem.

— Widzisz! — rzekł po chwili, rękę wyciągając.

— Co?

— Nie wiem, co to jest... Pójdźmy bliżej.

Po kilkudziesięciu krokach, mając już twardszy, skalisty grunt pod nogami, mogli rozróżnić wyraźnie linię jakąś, drogę ich przecinającą i biegnącą w obie strony gdzieś w nieskończoność. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli sztabę żelazną, metalowymi kozłami nieco nad poziom wzniesioną, która, jak okiem zasięgnąć, przekrawała pustynny kraj od końca do końca.

— Co to jest? — szeptał Roda zdumiony.

— Tu jednak muszą być jakieś żywe istoty — odezwał się Mataret. — Ta dziwna rzecz zda się być ręką ludzką zrobiona.

— Nie ludzką! Nie ludzką! Ostatecznie... może istotnie jakieś życie tutaj jest, ale ludzi nie ma na Ziemi! To pewne, przekonasz się... Po cóż by zresztą człowiek rozumny taką rzecz robił; marnował tyle żelaza nie wiadomo na co?

— Więc któż Ziemię zamieszkuje?

— Bo ja wiem kto? Jakiś rodzaj istot...

---

[405] *pójdź* (daw.) — chodź.

— Szernowie — bąknął przez zęby Mataret i obaj poczuli, jak dreszcz przeszedł ich członki na samo wspomnienie straszliwych księżycowych pierwobylców.

Oglądali zagadkową szynę z zajęciem, która tymczasem od pewnej już chwili poczęła z lekka dzwonić; naraz...!

Odskoczyli obaj w tył z przestrachem. Potwór jakiś olbrzymi, lśniący, ze spłaszczoną głową, przeleciał z hukiem po szynie w pędzie tak straszliwym, że nim mieli czas oprzytomnieć, on już był daleko. Patrzyli z lękiem a zdumieniem, nie śmiejąc nawet myśleć, co by to było właściwie.

Po dłuższym czasie dopiero ozwał się pierwszy Mataret, spoglądając nieufnie w stronę, w której zniknęło zjawisko.

— Jakiś zwierz ziemski...

— Ładna rzecz — mruknął Roda — jeśli tu takie potwory żyją. Przecież to miało ze sto kroków długości albo i więcej. A mknęło jak wicher. Czy nie zauważyłeś nóg?

— Nie. Spostrzegłem tylko wzdłuż całego ciała aż do ogona szereg ócz, które wyglądały jak okna... Mnie się jednak zdaje, że się to posuwało na kołach. Może to nie potwór, ale wóz jakiś dziwny?

— Głupiś. Gdzieżby wóz mógł pędzić tak szybko przez nic zgoła nie ciągniony?

— A nasz kto ciągnął przez przestworza? — wtrącił Mataret. — Może na Ziemi taki zwyczaj.

Roda zamyślił się na chwilę.

— Nie, to niemożliwe. Po jednej tak gładkiej sztabie wóz nie mógłby biec, przewróciłby się niewątpliwie.

— To prawda — przyświadczył Mataret.

Przesunęli się chyłkiem między kozłami pod szyną, spoglądając na nią nieufnie, i szli znowu dalej z troską i niepokojem w sercach. Obcymi się czuli na tej Ziemi, która, wedle zwalczanej przez nich na Księżycu legendy, miała być pono kolebką ludzi pierwotną, a im się wydała straszną i pustą. Roda, nużąc się szybciej od towarzysza, przystawał co chwila i skarżył się na nieznośny upał, który, chociaż nie dochodził księżycowych żarów w południe, dotkliwszym im się wydał w gęstym ziemskim powietrzu. Naokół zaś, wśród żółtej piasku roztoczy — nigdzie cienia nie było.

Jeno tam gdzieś daleko przed nimi majaczyły skały jakieś o dziwnych kształtach, w oślepiającym słońcu aż białe, a pośród nich coś jakby olbrzymie pióropusze strzępiaste na wysokich, z lekka wygiętych słupach.

Dążyli tedy ku owym skałom, resztę sił wytężając w nadziei, że chłodu trochę znajdą pod nimi, gdy naraz zwróciły ich uwagę cienie jakieś przemykające przed ich oczyma szybko po piasku. Roda odwrócił się pierwszy i dostrzegł na niebie, między sobą a słońcem, niby stado ptaków potwornych o szerokich białych skrzydłach i spłaszczonych ogonach. Mataret zauważył u niektórych, bliżej lecących, że zamiast nóg miały koła pod sobą, a posuwały się w powietrzu chyżo, nie poruszając rozpiętymi skrzydłami. Natomiast przed głową ich, niewyraźnie się od ciała odcinającą, szedł jakiś wir, który zaledwie z trudnością można było okiem złapać.

Zniknęły rychło w stronie, ku której i pierwszy potwór błyszczący był podążał.

— Na Ziemi wszystko jest straszne — wyszeptał Roda zmartwiałymi usty[406].

Mataret nie odpowiadał. Gdy patrzył za ptakami, uderzyło go położenie słońca na firmamencie. Stało już nisko i poczynało różowieć, za śreżogę[407] jakąś złotawą zachodząc.

— Już dawno temu, gdyśmy wyszli z wozu? — spytał po chwili.

— Bo ja wiem? Może cztery, może pięć albo sześć godzin...

— Słońce stało wówczas w zenicie?

— Tak.

Mataret wyciągnął rękę ku zachodowi.

— Patrz, już się skłania. To niepojęte po prostu. Czyżby tak szybko przebiegało po niebie?

W pierwszej chwili i mistrz nie umiał sobie zdać sprawy z tego dziwnego dlań zjawiska. Przeraził się znów strasznie i patrzył osłupiałymi oczyma na słońce, które snadź

[406] *zmartwiałymi usty* — dziś forma N.lm: (...) ustami.

[407] *śreżoga* — rozedrgane powietrze nad rozgrzaną powierzchnią, tworzące wrażenie mgły np. nad asfaltem w upalny dzień.

oszalało, przebiegłszy w sześć godzin połowę niebieskiego sklepienia, podczas gdy na Księżycu zużywa na to godzin kilkadziesiąt. Ale wnet uśmiech rozjaśnił jego szerokie usta.

— Mataret! — ozwał się — czyż ty już naprawdę nic nie wiesz z tego, czegom ja was w Bractwie Prawdy nauczał?

Łysy uczeń spojrzał z pytaniem na mistrza.

— Przecież — ciągnął dalej Roda — dni na Ziemi są krótkie i tylko dwadzieścia cztery nasze godziny wynoszą, a zatem...

— A prawda, prawda.

Mimo to uspokojenie patrzyli obaj z podziwem na słońce, mknące w oczach po niebie, jak im się zdawało.

— Za godzinę gotowa być noc — szepnął Mataret.

— Przekleństwo! — syknął mistrz, zapominając o tym, co sam przed chwilą mówił — przekleństwo! Trzysta pięćdziesiąt godzin ciemności i mrozu. I cóż my zrobimy? Nie trzeba nam było wozu opuszczać...

Teraz Mataret pierwszy połapał się w nowych warunkach.

— Dwadzieścia cztery, a nawet tylko dwanaście godzin ciemności, przecież to Ziemia.

— A prawda, prawda! — rzekł Roda z kolei.

— Jednak to dziwne — dodał po chwili — bardzo dziwne. W każdym razie mróz nam na pewno dobrze dokuczy, nim słońce wzejdzie. Chociaż nie wiem, jak będzie ze śniegiem? U nas, to jest na Księżycu, spada śnieg dopiero w dwadzieścia lub trzydzieści godzin po zachodzie słońca, a tu będzie już dzień nowy.

— Może tutaj śnieg rychlej[408] spada?

Rozmawiając, posuwali się wciąż naprzód. Upał dnia ustawał nieco, a i oni już trochę przywykli do zwiększonego ciężaru swych ciał, tak że szło im się cokolwiek raźniej.

Skały były już blisko. Pod nogami wyglądał tu i ówdzie z piasku calec granitowy, w którego szczelinach trafiała się czasem nikła jakaś i pożółkła trawka.

Stawali wtedy obaj nad nią i oglądali długo, starając się z tego źdźbła marnego wywnioskować, jak może bujniejsza roślinność na Ziemi wyglądać, o ile istnieje w ogóle.

Słońce właśnie zaszło i dwaj Księżyczanie, do skał dotarłszy, szukali legowiska na noc, gdy w gęstniejącym szybko mroku uderzyła ich oczy olbrzymia jakaś postać kamienna, na poły ludzka, zwierzęca na poły. Ciało tego potwora, ze wszystkich znanych im istot, najwięcej jeszcze przypominało psa, który jako jedyne czworonożne zwierzę chował się wśród ludzi na Księżycu, jeno[409] okrąglejsze było i więcej muskularne, a na wzniesionej szyi człowieczą dźwigało głowę.

— Tutaj są myślące istoty na Ziemi, jak my, ludzie albo szernowie — zagadnął po pewnym czasie niemego podziwu Mataret — kiedy umieją robić takie rzeczy z kamienia.

— Jeśli jednak tak wyglądają! — dorzucił Roda, wskazując ręką nieruchomego potwora...

Straszno im było i smutno niewypowiedzianie. Wyszukali sobie kryjówkę w szczelinie skały, o ile możności jak najdalej od niesamowitego posągu, i robili przygotowania, aby się jakoś zabezpieczyć przed spodziewanym mrozem nocnym, kiedy wschodnia część nieba poczęła się z wolna złocić i pokrywać jasną łuną, gwiazdy rozbłysłe zaćmiewającą — aż wreszcie wypłynęła z niej kula jakaś ogromna, czerwona, świetlista.

Było to dziwne i niepojęte, jak wszystko, co ich w tym — najkrótszym w ich życiu — dniu spotkało. Kula tymczasem, jak gdyby bania światłem napełniona, wznosiła się w górę, wydając się coraz mniejszą, ale i coraz jaśniejszą zarazem. Cień pierzchał — łagodny, srebrny obrzask lśnił się na piaskach i skałach, nadając pozór życia straszliwemu potworowi z kamienia.

— Co to za gwiazda może być?

Roda szukał długo w myśli, aż wreszcie potrząsnął głową przecząco.

— Nie znam tej gwiazdy — rzekł, patrząc na Księżyc, z którego właśnie przed kilku godzinami przybyli.

---

[408] *rychło* — szybko.
[409] *jeno* (daw.) — tylko.

Ale Mataretowi przypomniał się nagle widok, jaki miał z okna wozu, pędząc w przestworzu — a chociaż tamto, z bliska widziane, większe było i mniej jasne, to jednak — pewne podobieństwo...

— Księżyc! — zawołał.

— Księżyc...

Patrzyli obaj ze straszną, żrącą tęsknotą w biednych sercach na tę płynącą spokojnie po niebie, niepowrotnie straconą, ojczyznę swoją.

IV

Z pociągu błyskawicznego Sztokholm-Aszuan wysiadła młoda dziewczyna o jasnych włosach i dużych ciemnobłękitnych oczach, patrzących na świat jak gdyby z dziecięcym jeszcze zdumieniem... Postępował za nią, niosąc w ręku drobne walizki, siwy, ale czerstwy jegomość o wyłupiastych nieco oczach w twarzy zarazem patriarchalnej, chytrej, tępej i poczciwej. Niewygodnie mu było w stroju, wedle najświeższej mody skrojonym, do którego snadź[410] nie przywykł, i czuł się trochę zmęczonym uporczywie graną rolą młodzieńca, chociaż starał się nie okazywać tego po sobie.

Do dziewczyny, ledwo stanęła na dworcu, przybiegł żywo sam dyrektor największego hotelu Old-Great-Cataract-Palace i z pełnym godności pokłonem wskazał jej ręką oczekujący samochód elektryczny.

— Apartamenty są od wczoraj przygotowane — rzekł z lekkim wyrzutem w głosie.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

— Dziękuję, kochany dyrektorze, iż się sam trudziłeś, aby mnie powitać, ale ja doprawdy wczoraj przybyć nie mogłam. Wszak telegrafowałam.

Dyrektor skłonił się znowu.

— Wczorajszy koncert odwołano.

Mówiąc to, wskazywał znów ręką pojazd czekający.

— Ach nie! Rzeczy moje tylko zabierzcie... Pan ma gdzieś kwity — zwróciła się do towarzysza. — Ja pójdę piechotą. Nieprawdaż, panie Benedykcie? Będzie przyjemnie. To tak niedaleko.

Rześki staruszek bąknął coś pod nosem, szukając kwitów po kieszeniach, a dyrektor cofnął się dyskretnie, usiłując nie okazać zgorszenia. Sławna Aza mogła mieć fantazje nawet tak nieprawdopodobne, aby chodzić piechotą.

Śpiewaczka, minąwszy kolejowe zabudowania, szła żwawo aleją niskimi palmami wysadzoną. Z lubością wciągała w pierś słodkie powietrze skłaniającego się dnia wiosennego. Dzisiaj rano, w futra ciepłe otulona, wsiadła do wagonu w Sztokholmie — w ciągu kilkunastu godzin przeleciała tunelem popod[411] Morze Bałtyckie i wszerz przez Europę i znowu tunelem pod wodami Śródziemnego Morza i przez wschodnią krawędź Sahary — i oto, nim słońce zaszło, patrzy na nie z brzegu Nilowego, wyciągając z rozkoszą w cieple młode gibkie członki, długim siedzeniem nieco zdrętwiałe.

Szła, rada z ruchu, tak szybko, zapominając o swym towarzyszu, który zaledwie mógł jej nadążyć, że nie spostrzegła nawet, jak się znalazła przed ogromnym hotelem. Przygotowano jej pokoje na uprzywilejowanym najwyższym piętrze z szerokim widokiem na zalew Nilu, który niegdyś, przed wiekami, za młodu, rzucał się tutaj ze skał kaskadą, zgubioną obecnie w podniesionej tamami wodzie, użyźniającej pustynną ongi[412] okolicę...

Siadając do liftu[413], spytała o kąpiel — była naturalnie gotowa. Do stołu kazała podać za dwie godziny we własnej jadalni, nie chcąc schodzić do wspólnej sali.

Poleciwszy panu Benedyktowi czuwanie nad służbą znoszącą pakunki, zamknęła się zaraz w swej sypialni i odprawiła nawet garderobianą. W ścianie obok łóżka były drzwi do łazienki; otworzyła je szeroko i poczęła się zwinnymi rękoma sama rozbierać. W bieliźnie już siadła na sofie i twarz podparła dłonią. Duże oczy jej straciły wyraz dziecięcy, upór jakiś niezłomny wyjrzał z nich twardym, zimnym połyskiem i zaciął drobne usta purpurowe. Dumała chwilę...

---

[410] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[411] *popod* (daw.) — pod; pod spodem.
[412] *ongi* (daw.) — dawniej, niegdyś.
[413] *lift* (z ang.) — winda; *siadając do liftu* dziś: wsiadając do (...).

Szybkim ruchem zerwała się i podbiegła do telefonu, po przeciwnej stronie łóżka umieszczonego. Zadzwoniła gwałtownie.

— Proszę mnie połączyć z centralną stacją telefonów europejskich...

Nadsłuchiwała jakiś czas w milczeniu.

— Tak. Dobrze. Tutaj Aza. Gdzie jest doktor Jacek obecnie? Proszę sprawdzić.

W kilka sekund jej odpowiedziano:

— Jego Ekscelencja Naczelny Inspektor sieci telegraficznej Stanów Zjednoczonych Europy znajduje się teraz w swym mieszkaniu w Warszawie.

— Proszę o połączenie i znak...

Rzuciła słuchawki i przeszła znów ku sofie, wyciągając się na miękkich poduszkach z podwiniętymi pod głowę rękami. Uśmiech dziwny rozchylił teraz jej usta — oczy, zapatrzone w strop, błyszczały.

Lekki odgłos dzwonka przywołał ją znowu do aparatu.

— Czy to ty jesteś, Jacku?

— Tak, to ja.

— Jestem w Aszuan.

— Wiem. Miałaś tam być już wczoraj.

— Nie byłam. Nie chciałam, aby się wczorajszy koncert odbył.

— Tak?

— Nie spytasz, dlaczego?

— Hm...

— Przecież ty wczoraj miałeś doroczne zebranie Akademii...

Chwyciła szybko wyciągniętą ręką mały notatnik z kości słoniowej, który rozbierając się, na krzesło obok porzuciła, i spojrzawszy na zapisek, pośpiesznie z jakiegoś dziennika po drodze zrobiony, mówiła dalej:

— O godzinie ósmej wieczorem, w Wiedniu. Miałeś mówić o...

Nie mogła przeczytać niewyraźnie napisanego słowa, więc rzuciła notatnik i dokończyła z lekkim wyrzutem w głosie:

— Widzisz, ja wiem!

— Więc cóż?

— Nie byłbyś mógł być obecnym. Koncert odbędzie się jutro.

— I jutro ja nie będę.

— Będziesz!

— Nie mogę.

— Wszakże samolotem w parę godzin...

— Więc nie chcę.

Zaśmiała się głośno, srebrzyście.

— Chcesz! O, jak ty chcesz, Jacku... I będziesz. Do widzenia! Nie... jeszcze.... Jesteś? Wiesz, co ja robię w tej chwili?

— Jest pora obiadowa. Siądziesz wkrótce do stołu.

— Nie. Idę do kąpieli! Nie mam już prawie nic na sobie...

Rzuciła ze śmiechem słuchawki i zdarłszy jednym ruchem rąk z siebie koszulę, skoczyła do wanny marmurowej.

Pan Benedykt tymczasem, odprawiwszy służbę, począł jeszcze raz troskliwym okiem przeliczać złożone pakunki. Było wszystko w najzupełniejszym porządku. Przeszedł teraz do swojego pokoju, który go zaraz na wstępie zaniepokoił. Wydał mu się zbyt wielkim i ozdobnym. Szukał przez pewien czas oczyma cennika po ścianie, a gdy go nie mógł znaleźć, zadzwonił.

Wchodzącego lokaja zapytał o cenę. Służący spojrzał zdumiony: takie pytania nie były w zwyczaju w Old-Great-Cataract-Palace, mimo to jednak odpowiedział z szacunkiem, wymieniając kwotę istotnie wysoką.

Pan Benedykt z wyrazem dobrodusznej chytrości rozwarł wyłupiaste oczy i przybrał minę tajemniczą a poufałą.

— Mój kochanku, czy nie macie pokoju trochę tańszego? Widzisz, to dla mnie jest za drogo.

Dobrze wychowany lokaj usiłował mimo wszystko zachować kamienny wyraz twarzy.

— Na tym piętrze nie ma innych pokojów.

— Czemuż nie spytaliście się?

— Sądziliśmy, że w towarzystwie pani Azy...

— Tak, tak, serce, ale ja całe życie ciężko pracowałem nie na to, aby wam teraz niepotrzebnie napychać kieszenie.

— Więc chyba o piętro niżej...

— Ha, cóż robić! Każ przenieść moje rzeczy, kochanku.

Przeszedł na dół i rozgościł się we wskazanym mu przez złośliwość lokaja pokoju, który wprawdzie nie o wiele był tańszy, ale za to ciemny prawie zupełnie i pełen ohydnej woni benzyny, zalatującej od jakiegoś umieszczonego w podwórzu motoru. Pan Benedykt westchnął ciężko i uporządkowawszy rzeczy swoje, wyszedł na przechadzkę, nie zapominając zamknąć drzwi szczelnie na klucz za sobą.

Naprzeciw hotelu był ogromny dom gry. Stary pan wolnym krokiem zwrócił się w tamtą stronę. Wprawdzie on sam nie byłby nigdy zaryzykował ani jednej sztuki złota dla rzeczy tak niepewnej, jak ruleta, ale lubił patrzeć, jak inni pieniądze tracili. Dawało mu to wzruszenie dosyć dziwnego rodzaju. Czuł się mianowicie podniesionym na duchu i rozrzewnionym niemal myślą o własnej rozumnej oszczędności w porównaniu z lekkomyślnymi albo chciwymi graczami. Bo pan Benedykt chciwym ani też skąpym zasadniczo nie był. Miał namiętność do śpiewu i włóczył się chętnie po świecie kosztownymi pociągami, byle tylko być w towarzystwie zachwycających go śpiewaczek. Namyślał się też poważnie nad tym, żeby mieć jaką przygodę miłosną, ale ponieważ brak mu było wprawy w tym względzie, więc odkładał rzecz na później.

We drzwiach sali gry zaczepił go wytworny lokaj.

— Pan nie we fraku? — rzekł, obrzucając go krytycznym spojrzeniem.

Wściekłość ogarnęła pana Benedykta.

— Nie jestem we fraku, głupcze! — odparł z godnością, o ile możności, jak największą i odepchnąwszy zastępującego mu drogę służącego, wszedł do środka.

Ale to drobne zajście zepsuło mu humor. Krążył przez pewien czas po sali, gniewało go to, że ludzie, na których dziś patrzył, przeważnie wygrywali, dochodząc do pieniędzy bez trudu, a jemu sprawiając zgorszenie, a gdy wreszcie jakaś wymalowana kokotka poprosiła go o pożyczkę stu sztuk złota, odwrócił się bez słowa na pięcie i podążył z powrotem do hotelu.

Tutaj Aza oczekiwała go już w jadalni.

Po obiedzie we dwoje zjedzonym pan Benedykt podsunął śpiewaczce papierośnicę. Usunęła ją lekko dłonią.

— Nie, dziękuję. Nie będę palić. A i pana proszę, abyś nie palił dzisiaj przy mnie. Muszę gardła na jutro szanować.

Staruszek schował papierośnicę skwapliwie, choć z pewnym smutkiem na dobrotliwej twarzy.

— Przejdź pan do swego pokoju na papierosa — rzekła Aza — i wróć za chwilę. Wszakże to obok.

— Nie. Przeniosłem się o piętro niżej.

— Dlaczego?

— Tutaj było dla mnie zbyt drogo.

Pieniądz

Aza wybuchnęła śmiechem.

— Pyszny jesteś, staruszku! Przecież pan masz mnóstwo pieniędzy.

Pan Benedykt uczuł się dotkniętym. Pojrzał z ojcowską pobłażliwością na śmiejącą się dziewczynę i z lekkim wyrzutem w głosie wypowiedział głęboką sentencję:

— Moja droga pani, kto pieniędzy nie szanuje, tego i pieniądze szanować nie będą. Ja mam, bo ich nie wyrzucam na próżno.

— Ba, więc po cóż je pan masz?

— To moja rzecz. Bodaj aby móc po każdym występie zasypać panią kwiatami. Pracowałem ciężko przez połowę życia... Gdybym tak postępował jak pani...

— Jak ja?!

— Naturalnie. Odwołała pani telegraficznie koncert wczorajszy i musi pani teraz zapłacić olbrzymią karę Towarzystwu...

— Tak mi się podoba!

— Ach, gdyby się to pani przynajmniej tak podobało! Ale spóźniła się pani droga tylko przez lekkomyślność: przez nieuwagę opuściła pani ostatni pociąg, zasiedziawszy się na tym przyjęciu w klubie. A nie mówiłem!...

Śpiewaczka zerwała się nagle. Dziecięce jej oczy zapłonęły gniewem.

— Panie, ani słowa! Ani słowa o tym nikomu! To zresztą jest nieprawda. Nie przyjechałam wczoraj, bo nie chciałam.

— Ależ, paniusiu droga, po cóż ten gniew? — łagodził przerażony staruszek. — Ja doprawdy nie chciałem pani zrobić przykrości i nie myślałem...

Aza już się śmiała.

— Nic wielkiego. Och, jaką pan masz minę zakłopotaną!

— Panie Benedykcie — rzuciła naraz niespodziewanie — czy ładna jestem?

Stała przed nim wyprężona w lekkiej barwnej sukni domowej o szerokich rękawach, w klin pod szyję wyciętej. Głowę w jasnej włosów koronie odrzuciła w tył, dłonie na karku zaplotła, wysuwając białe łokcie krągłe z opadłych rękawów. Naprzód podane usta zadrgały jej wabiącym uśmiechem, co wzdyma wargi, bojąc się nazbyt ich rozchylić, by nie umknęły pocałunkowi...

— Ładna, ładna! — szeptał mężczyzna, patrząc na nią zachwyconymi oczyma.

— Czy bardzo ładna?

— Bardzo...

— Piękna?

— Piękna! Cudowna! Jedyna!

— Zmęczona jestem — odezwała się znowu, niespodziewanie ton zmieniając. — Idź pan już do siebie.

Ale po jego odejściu nie udała się na spoczynek. Wsparła białe łokcie na stole i wcisnąwszy brodę w dłonie, siedziała tak zamyślona ze ściągniętymi brwiami i twardo zaciśniętymi usty[414]. Niedopity kieliszek wina szampańskiego stał przed nią, grając topazową tęczą w bijącym zewsząd blasku świec elektrycznych. Szkło było weneckie, stare, nieprzepłacone — cienkie jak płatek róży — o barwie nieco zielonej, jak gdyby lekką mgłą opalową i złotą przyprószonej. Obok na śnieżnym obrusie walały się olbrzymie, prawie białe grona winne z Algieru i mniejsze, do krwi skrzepłej barwą podobne, z greckich wysp szczęśliwych. Brzoskwinia, na pół rozłamana, rozchylała — jak kobieta — wonne, wilgotne, pocałunku żądne a chłodne usta...

Na progu stanął lokaj.

— Czy pani pozwoli już zabrać?

Drgnęła i powstała.

— Tak, tak. Proszę mi przysłać jeszcze przez pokojową flaszkę szampana do sypialni. Niezbyt mrozić.

Przeszła do buduaru i wyjąwszy podróżną stalową kasetkę, otwarła ją tajemnym złotym kluczykiem, który wisiał wśród breloków u jej paska. Wyrzuciła na stół zwitek notatek i rachunków. Liczyła przez pewien czas sumy jakieś, kreśląc cyfry szybko ołówkiem na tabliczkach z kości słoniowej, a potem wyjęła plik telegramów, osobno złożonych. Przeglądała je raźno, wypisując z nich czasem daty i nazwy miejscowości. Były to przeważnie wezwania różnych miast ze wszystkich stron świata, aby raczyła je zaszczycić odwiedzinami i wystąpić raz lub dwa w jakimś największym teatrze. Depesze były krótkie, w tych samych prawie słowach spisane, a wymowne jeno cyfrą na końcu wymienioną i zawsze bardzo wysoką.

Aza odrzucała niektóre z nich z wyrazem pogardliwym albo niechętnym, nad innymi namyślała się długo, nim zanotowała datę na tabliczkach.

Spomiędzy telegramów wyleciała, zamieszana w nie przypadkowo, kartka papieru. Był na niej wypisany jeden tylko wyraz: „kocham!", i imię. Śpiewaczka uśmiechnęła się. Czerwonym ołówkiem podkreśliła imię dwa razy i pomyślawszy chwilkę, dopisała datę sprzed paru tygodni, po czym sięgnęła do szkatułki, szukając w jej wnętrzu właściwego miejsca dla dokumentu.

Wysypały się spod jej ręki listy i kartki, nieraz z notatników wydarte, na których z pośpiechem parę słów tylko skreślono. Na niektórych z nich były krótkie dopiski jej

[414] *usty* — dziś popr. forma N.lm: ustami.

ręką zrobione: daty, cyfra, znak jakiś. Przeglądała je teraz, uśmiechając się albo marszcząc brwi, jak gdyby sobie chciała z trudem coś przypomnieć. Jedną kartkę zbliżyła ku światłu, niewyraźne nazwisko czytając.

— Ach, to on — szepnęła. — Umarł.

Rozdarła papier i rzuciła w kąt. W ręku trzymała teraz bilet z czerpanego papieru, zżółkły nieco i jakby częstym dotknięciem palców wygładzony.

Zalatywała od niego woń jej sukni i ciała — snadź długo był niegdyś przy niej, nim się tu dostał do stalowej skrzyneczki między inne papiery.

Usta jej zadrgały — wpatrzyła się uporczywie w kilka słów ołówkiem na bilecie nakreślonych i już niemal zatartych...

Dwa tylko wyrazy, przy których ręka silniej ołówek nacisnęła, znać było dobrze: „Jesteś piękna", i na dole imię: Marek.

Przez długi czas patrzyła Aza na te słowa, początkowo myśląc o tym, który je kreślił, i o dniu i chwili, kiedy nakreślone zostały, a potem — cofając się pamięcią wstecz coraz dalej — o życiu swoim całym od pierwszej młodości, od zagubionego gdzieś we wspomnieniach dzieciństwa.

Przypomniały jej się dni prawie nędzy obok pijanego wciąż ojca i nieustannie płaczącej matki, praca w jakimś zakładzie koronkarskim i pierwsze spojrzenia mężczyzn oglądających się za nieletnią dziewczyną na ulicy.

Wstrząsnęła się ze wstrętem i odrazą.

Przed oczyma zamajaczył jej cyrk jakiś i taniec na wyciągniętej w powietrzu linie, i oklaski... Tak, oklaski w tej chwili, kiedy w bezczelnej pantomimie miłosnej, trzymając się liny palcami jednej nogi, z drugą podniesioną w tył — gwałtownie przegięta — dawała całować biedne dziewczęce usta ohydnemu błaznowi, który stał za nią...

Teatr trząsł się od oklasków, a jej mróz przerażenia ściskał serce, bo błazen za każdym razem, patrząc w nią zaczerwienionymi oczyma, szeptał głosem zdławionym: „Zepchnę cię, małpo, i skręcisz kark, jeśli się nie zgodzisz...".

Kolacje po wielkich restauracjach i spojrzenia znowu, i uśmiechy lubieżne dostojnych emerytów, uśmiechy, które umiała już na złoto zamieniać — dzieweczka kilkunastoletnia...

Dobrodziej znienawidzony, ohydny dobrodziej, którego imienia już prawie zapomniała — nauka śpiewu i występ pierwszy — potem dalsze... kwiaty — sława — bogactwo. Ludzie, którymi się nauczyła pomiatać i wabić ich, zimna sama, i rzucać obojętnie, kiedy się sprzykrzą albo zrujnują.

Spojrzała znowu na kartkę papieru w ręku trzymaną. Przed tym jednym człowiekiem uciekała, bojąc się go. Pamięta — pisała do niego — jak niegdyś przed wiekami w dawnych śmiesznych czasach pisywano: „Gdybym nie miała tego całego życia za sobą, gdybym całując cię, mogła powiedzieć, że jesteś pierwszym, którego całuję...".

Zerwała się nagle i wrzuciwszy bez ładu wszystkie papiery na powrót do szkatułki, zatrzasnęła ją nerwowym ruchem. Chodziła jakiś czas szybko po pokoju, błyskając oczyma spod opuszczonych brwi. Piękne drobne usta wykrzywiły jej się w uśmiechu, który miał być szyderczy, ale wznosił drżące kąty jej warg, jak gdyby się miała rozpłakać.

Sięgnęła ręką po szklankę i czekającą od chwil paru butelkę szampana. Nalała po brzegi i wychyliła duszkiem perlisty płyn, z lekka tylko zamrożony i spływający jej białą pianą po palcach.

Naraz zapragnęła powietrza. Skoczyła do windy, osobno dla jej użytku w ścianie umieszczonej, i kazała się jej wynieść na dach.

Ogród tu był na płaskim dachu olbrzymiego budynku, pełen palm karłowatych, krzewów dziwnych, wyszukanych kaktusów i kwiatów o silnym, duszącym zapachu. Przeszła szybko po ścieżkach, trzcinowymi wyłożonych matami, i stanęła przy okalającej platformę balustradzie.

Nocny, rzeźwy wiatr wiał od pustyni. Szeleściły w nim sucho palmy karłowate i drżały liście pergaminowe figowców. Stała, wciągając wiatr z rozkoszą rozdętymi nozdrzami. Pustynia była za nią ogromna, nieprzenikniona, dotąd pracowitej ręce ludzkiej bezmiarem swym urągająca; przed nią w dole olbrzymi zalew Nilowy, nad którym gdzieś od strony Arabii Szczęśliwej, od dalekiego Morza Czerwonego księżyc wschodził właśnie ognisty.

Woda poczęła się lśnić i błyskać srebrzystymi smugami, aż daleko, daleko zaczerniały na niej jakieś punkty, jak gdyby głazy i pnie z powodzi sterczące, i odrzynały się coraz wyraźniej od tarczy księżyca, pełniejszej z każdą chwilą... Zwaliska świątyni, niegdyś poświęconej Izydzie, na zatopionej od wieków wyspie.

Wzrok dziewczyny błądzący zatrzymał się na tych ruinach i powoli uśmiech tryumfu rozchylił jej piękne wargi.

V

Hafid pogardzał w głębi duszy całą cywilizacją i wszystkimi jej wymysłami. Po staremu — na grzbiecie wielbłądów zwoził na targ daktyle, jak ojciec jego i praojciec, i prapradziad w zamierzchłych onych czasach, kiedy Pustyni Libijskiej nie przerzynały jeszcze koleje jedno- ani dwuszynowe i nie latały nad nią ptaki z płótna i metalu, noszące ludzi we wnętrzu.

On też był jedynym może człowiekiem na świecie, który się cieszył całym sercem, że mimo nadzwyczajnych wysiłków nie udało się zamierzone nawodnienie Sahary. Jemu wystarczała zupełnie rodzinna, palm daktylowych pełna oaza i targ ludny w mieście nad Nilem.

Ranek był wczesny. Z dwoma pomocnikami, siedząc na grzbiecie starego dromadera, prowadził osiem wielbłądów, uginających się prawie pod ciężarem juk — i cieszył się naprzód myślą, że oddawszy ładunek do magazynów, za otrzymany grosz upije się wraz z towarzyszami do nieprzytomności. Bo trunek to była jedyna rzecz, którą w cywilizacji cenił i poważał. Ałłach też na starość stał się wyrozumialszym i aby nie zniechęcać do reszty słabo wierzących weń zwolenników, nie zabraniał już im tak srodze rozpalających napojów.

Cieszył się więc Hafid w prostym sercu swoim, że na oazie rosną palmy i rodzą daktyle i że on ich owoc wozi do Aszuan, gdzie go ludzie chętnie kupują, a wreszcie, że Bóg jedyny a dobrotliwy pozwolił niewiernym psom szynki pobudować i przymyka oczy, gdy się wierni w nich upijają. Dumał właśnie nad tym prawdziwym a doskonałym porządkiem świata, gdy Azis, parobek jego, sprzykrzywszy sobie długie milczenie, ozwał się, ościeniem na zachód wskazując:

— Mówią ludzie, że wczoraj tam gdzieś za koleją kamień spadł z nieba ogromny.

Hafid ruszył filozoficznie ramionami.

— Może się gwiazda która oberwała, a może jeden z tych sztucznych ptaków przeklętych skrzydła zwichnął...

Zaśmiał się szeroko.

— Bardzo przyjemnie jest patrzeć, gdy zlatuje człowiek, co niepotrzebnie latał po powietrzu, zamiast siedzieć na grzbiecie wielbłąda, którego nam Bóg dał dla wygody.

Ale jako że był człowiek praktyczny, obejrzał się i dodał z zajęciem:

— Czy nie wiesz, gdzie to upadło?

— Nie wiem. Mówią, że za koleją, ale to może nieprawda.

— Może być prawda, może być nieprawda. W każdym razie, gdy będziemy wracać, trzeba poszukać. Kto zlatuje, ten się zabija, a kto się zabił, ten już nie potrzebuje pieniędzy, które mógł mieć przy sobie. Szkoda by była, gdyby to zabrał jaki zły człowiek.

Jechali znowu z godzinę w milczeniu. Słońce już żywo dopiekało, kiedy dojeżdżali do skał, poza którymi widać już było mury miasta nad Nilem. Hafid na skały patrzył z przyjaźnią: stanowiły one jedno ważne ogniwo w łańcuchu boskiej harmonii świata. Kiedy powracał pijany do domu, poczuciem obowiązku bohaterskim mimo znużenia gnany z powrotem, dromader jego, duszy obowiązkowej w sobie niemający, klękał tutaj w znanym miejscu i zrzucał pana w cień na skąpą trawkę pod skałą. W ten sposób Hafid nie miał sobie nic do wyrzucenia, a mógł się przespać i odpocząć.

Myślał właśnie o tym mądrym zrządzeniu Opatrzności, kiedy wielbłądy naraz prychać zaczęły i wyciągać długie szyje ku popękanej skale z piasku sterczącej. Azis zaniepokoił się i wraz z drugim parobkiem, Selmą, poszedł zobaczyć, co by to tam być mogło. Za chwilę zaczęli wołać obaj na Hafida.

Naszli[415] oni wśród skał drżących z przestrachu przybyszów z Księżyca...

[415] *najść* — znaleźć, spotkać; tu: 3.os.lm cz. przesz.: *naszli*.

Roda, otworzywszy oczy tego dnia, miał wrażenie, że dopiero przed chwilą był zasnął. Zdziwił się też niepomiernie, widząc, że słońce już wzeszło na horyzont i zaczyna dobrze dogrzewać. Po chwili dopiero przypomniał sobie, że jest na Ziemi i że tutaj taki zwyczaj. Towarzysz jego spał czujnie, zerwał się też zaraz na równe nogi, gdy tylko mistrz się poruszył.

— Co się stało? — spytał, przecierając oczy.

— Nic. Słońce świeci.

Wyszli obaj z kryjówki, zdziwieni jeszcze i tym, że noc przeminęła bez śniegu i mrozu. Okolica po dniu wydała się im nie mniej pustą i straszliwą, jak w mroku wieczornym. Przekonali się tylko, że Ziemia nie jest zgoła bujniejszej roślinności pozbawiona — o kilkadziesiąt kroków przed nimi chwiały się osamotnione drzewa dziwne o wysokich pniach z zieloną koroną liści ogromnych u góry. Natchnęło ich to pewną otuchą, że zdołają tu życie utrzymać, a tylko wspomnienie wczoraj widzianych okropnych potworów duszę im niepokojem zatruwało.

Ostrożnie, oglądając się za każdym krokiem, zaczęli się zbliżać ku drzewom. Po drodze, mijając załom skały, stanęli nowym, a niespodziewanym uderzeni widokiem. Przed nimi wznosiło się coś niby dom dla wielkoludów w gruz się rozsypujący. Patrzyli na kolumny niesłychanej grubości i na skały na nich spiętrzone, mające stanowić powałę[416].

— Istoty, które tutaj mieszkały, musiały być znacznie większe od Zwycięzcy, może sześć, może dziesięć razy — mówił Mataret, zadzierając głowę do góry.

Roda założył ręce na plecach i przypatrywał się ruinom.

— To już bardzo dawno opuszczone i rozwalone — rzekł. — Patrz, jakieś krzewy kolczaste w szczelinach murów rosną...

— Rzeczywiście. A jednak, mistrzu, to dowód, że Ziemia nie jest pusta, jak nauczałeś zawsze. Muszą tu być ludzie, choć pewnie ogromni. O, wizerunki jakieś na ścianach! Przecież to zupełnie ludzkie istoty. Wprawdzie niektóre z nich mają psie i jakieś ptasie głowy na karku...

Roda zagryzł usta niechętnie.

— Mój drogi — ozwał się po chwili — ja utrzymywałem zawsze, że ludzi nie ma teraz na Ziemi, ale mogli niegdyś być. O tym nic nie mówiłem. Owszem, jest wielkie prawdopodobieństwo, że dawniej było na Ziemi inaczej i nim stała się pustynią bezpłodną, ludzie po niej chodzili lub przynajmniej istoty do ludzi podobne. Teraz, jak widzisz, dawne ich domy są w ruinach; życie tutaj wszelkie wygasło i...

Urwał, zaniepokojony jakimś głosem, który od strony pustyni go doszedł. Zbliżały się dziwne i przerażające istoty o czterech nogach i dwóch głowach, z których jedna na długiej szyi była na przodzie, druga — do człowieczej zgoła podobna — nad grzbietem zwierza sterczała.

— Uciekajmy! — krzyknął mędrzec i puścili się obaj pędem do kryjówki, w której noc spędzili. Tutaj, w suche liście palmowe zagrzebani, oczekiwali w śmiertelnym strachu, aż cudaczne potwory ich miną.

Nadzieja ta jednak zawiodła; zwietrzyły ich wielbłądy i wkrótce parobcy Hafida ich wygrzebali, wołając na pana swojego w zdumieniu niesłychanym z powodu tego odkrycia.

Arab zbliżył się z wolna, pomocnicy bowiem jego byli czarni i nie wypadało, aby na ich głos zbytnią skwapliwość okazywał — i zobaczył rzecz zaiste dziwną.

Obok rozwalonej komyszy[417] z kamienia i ziela suchego stały dwie figurki o kształtach człowieczych, ale śmiesznie małe i niesłychanie wystraszone. Jeden z tych człowieczków łysy był i miał wyłupiaste oczy, drugi kręcił zbyt wielką na wzrost swój głową o rozwichrzonej czuprynie, mamrocząc coś i mamląc, czego żaden porządny człowiek nie byłby zdolny zrozumieć. Parobcy wyciągali ku nim kije z udaną groźbą, śmiejąc się do rozpuku z ich obłędnego strachu.

— Co to jest? — zapytał Hafid.

— Nie wiadomo. Może małpy uczone, a może ludzie. Mówią coś.

— Gdzieżby zaś ludzie tak wyglądali! Przecież to do niczego niepodobne.

---

[416] *powała* — sufit; sklepienie

[417] *komysz* — krzak, zarośle, zwłaszcza na miejscach podmokłych.

Zsunął się z grzbietu dromadera i ująwszy rozczochranego człowieczka za kark, podniósł go na wysokość twarzy, aby mu się przyjrzeć dokładniej. Człowieczek zaczął wrzeszczeć i wierzgać nogami, co parobków doprowadziło znowu do szalonego śmiechu.

— Zabierzemy to ze sobą do miasta czy co?

— Może kto kupi...

Hafid potrząsł głową.

— Nie warto sprzedawać. Więcej można zarobić, pokazując w klatce albo na sznurku. Co to robiło, gdyście przyszli?

— Leżeli obaj ukryci — odparł Azis. — Ledwie ich mogłem wyciągnąć. Przestraszyli się bardzo i patrzyli to na mnie, to na wielbłądy, bełkocąc coś do siebie.

Łysy człowieczek tymczasem wdrapał się na kamień, aby być wyższym, i zaczął coś gadać, ruszając rękoma. Patrzyli wszyscy trzej na niego, a gdy skończył, wybuchnęli niepohamowanym śmiechem w przekonaniu, że jest to jedna ze sztuk, jakiej karzełka gdzieś w cyrku wyuczono.

— A może to głodne? — zauważył Hafid.

Selma wyjął z troków garść daktylów i podał je karzełkom na dłoni. Patrzyli obaj nieufnie, nie śmiejąc wyciągnąć ręki po owoc. Wtedy parobek, litościwym sercem uniesiony, pochwycił włochatego karlika za kark lewą dłonią, a prawą usiłował mu wepchnąć owoc do gęby. W tej chwili jednak zaklął straszliwie. Człowieczek chwycił go zębami za palec.

— To kąsa — rzekł Azis i oddarłszy kawałek brudnej szmaty od burnusa[418], przewiązał nią mocno głowę niebezpiecznego potworka. Po czym umocowali ich obu łykiem na jucznych wielbłądach i ruszyli ku miastu z niespodziewaną zdobyczą.

— Trzeba będzie naprzód kupić klatkę — mówił Hafid po drodze. — Tak ich pokazywać nie można. Jeszcze by uciekli.

Pomyślał trochę i dodał:

— Nie trzeba też, aby ich ludzie przedwcześnie na targu za darmo widzieli. Najlepiej będzie, jeśli ich tymczasem w worki schowamy.

Jakoż nim dojechali do miasta, narzucił broniącym się karlikom worki palmowe na głowy i rzetelnie ich w nich zawiązał.

Przez dzień, kupią[419] zajęty, zapomniał był prawie o nich, zwłaszcza że to był dzień, gdzie było się czemu podziwować. Podobno śpiewaczka jakaś sławna miała tego wieczora dawać przedstawienie i ludu nazjeżdżało się mnóstwo ze wszystkich stron świata. Z każdego pociągu, co się na dworcu zatrzymywał, wysypywały się tłumy, a samoloty spadały na ziemię ciągle całymi stadami jak jesienią jaskółki z europejskich krajów lecące. Dużo było strojnych pań i panów, którzy nie mieli snadź[420] nic lepszego do roboty, jak przebierać się kilkakrotnie na dzień i pokazywać się ludziom w coraz innym stroju, jak gdyby w maskaradę się bawili.

Hafid, zładowawszy z wielbłądów daktyle, włóczył się, patrzył i cudował[421]. Nad wieczorem dopiero w szynku przypomniał sobie o znalezionych za dnia potworkach. Zaczął wołać na parobków, aby mu je przynieśli. Pobiegł tedy Selma do wielbłądów po zdobycz, a Azis tymczasem jął opowiadać, jak mu się z wielkim trudem udało zyskać tyle u dziwostworów zaufania, że je mógł nakarmić mlekiem kokosowego orzecha.

— Oni nie są głupi — rzekł — i mają imiona! Wskazywali kolejno na siebie i powtarzali ciągle: „Roda, Mataret"!

— Aha! Tak ich pewno wołali w cyrku, skąd snadź[422] uciekli. To jakieś bardzo uczone małpy — zauważył Hafid.

I licząc naprzód na wielką ilość pieniędzy, jakie za pokazywanie ich zbierze, kazał sobie podać pełną flaszkę wódki. Uczuł też szczodrość w zacnym sercu i zawołał do osobnej izby kilku przyjaciół, aby ich poczęstować i na początek za darmo pokazać krasnoludków, których Selma tymczasem był przywiódł.

---

[418] *burnus* — rodzaj wierzchniego okrycia z kapturem, bez rękawów, najczęściej wełnianego, noszonego przez Arabów.

[419] *kupia* — czynności kupieckie; kupiectwo; handel.

[420] *snadź* — widocznie, prawdopodobnie.

[421] *cudować się* — dziwić się.

[422] *snadź* — widocznie, prawdopodobnie, najwyraźniej.

Uprzątnięto stół i postawiono ich na środku. Poganiacze wielbłądów, oślarze, przewoźnicy i drążkarze przyglądali im się z zajęciem, obracając rękoma na wszystkie strony i dotykając brudnymi palcami skóry na twarzy, czy podobna do człowieczej. Hafid jął się popisywać ich zmyślnością.

— Roda, Mataret — mówił, wskazując na nich palcami.

Przyświadczali skinieniem głowy żywo i z widocznym ukontentowaniem, że ich nareszcie zrozumiano. Więc różni różne im teraz zadawali pytania, nie otrzymując naturalnie żadnej dającej się wyrozumieć odpowiedzi. Usiłowano poradzić sobie znakami i ruchami rąk, aby się dowiedzieć, skąd przybyli. Po niejakim czasie karzełki pojęły widocznie, o co pytającym chodzi, a jeden z nich, Roda, nachyliwszy się ku oknu, przez które właśnie Księżyc do izby zaglądał, zaczął nań wskazywać uporczywie, mówiąc przy tym jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— Spadli z Księżyca — rzucił w formie dowcipu Hafid. Odpowiedziano mu chórem śmiechu. Więc dla zabawy pokazywano teraz malcom Księżyc i wskazywano ruchami rąk, że spadli z niego. I za każdym razem, gdy ci przyświadczali głowami, wybuchał wśród obecnych, a nieco już pijanych, śmiech nieposkromiony i długi.

Wreszcie ktoś podsunął łyskowi, który się wabił Mataret, szklankę z wódką. Ten, spragniony widocznie, pociągnął nieopatrznie spory łyk i począł się ku ogólnej uciesze krztusić straszliwie. Wtedy drugi człowieczek zapłonął gniewem i wymyślał coś, tupiąc nogą w stół, a wywijając rękoma. Było to tak zabawne, że kiedy skończył i ochłonął nieco, jeden z obecnych, przewoźnik, wziął pióro z indyka i drażnił nim po nosie krasnoludka, aby go do nowego wybuchu pobudzić.

Mataret tymczasem, wódką zatruty, leżał na stole i jęczał, trzymając się oburącz za łysą głowę.

VI

Łagodnie, wolno jak ptak, który się waży na szerokich skrzydłach spływając ku ziemi, opuszczał się spod nieba biały samolot na cichy w wieczornej godzinie zalew Nilowy. Jacek leciał sam, bez pilota. Powstrzymał już przed chwilą wirującą śrubę powietrzną — i ślizgał się teraz na skrzydłach rozpostartych jak olbrzymi latawiec, lekko z tchnieniem wiatru na boki się kołysząc. Daleko przed nim, w stronie gdzie była niegdyś święta wyspa File, biła łuna od rozjarzonych tysiącami świateł ruin.

W chwili kiedy już prawie wody dotykał, odjął ręce od sternicy i nagłym ruchem szarpnął dwie po bokach znajdujące się dźwignie. Pod spodem samolotu rozpięło się czółno płócienne i uderzyło ostrą piersią o falę, rozpryskującą się w krople pełne srebrnego Księżyca.

Teraz ruchem dwóch dźwigni znowu wywinął Jacek skrzydła białe ku górze, tak że utworzyły one dwa na krzyż złożone żagle, jak u łodzi owych, co pod Alpami po Lemańskim pływają Jeziorze.

Wiatr szedł słodki gdzieś od strony Arabii i drobna łyskliwa fala szła za nim po wodzie. On dał się nieść fali i wiatrowi, słuchając szelestu miałkiego rozbryzgiwanych przodem łódki kropel. Dopiero gdy brzeg przed nim bliski zamajaczył, ocknął się z zamyślenia i żaglami począł chwytać powiew, zwracając dziób ku widnym ruinom w oddali.

Przez czas pewien mknął samotnie w blasku Księżyca, ale w miarę jak się zbliżał ku dawnej świątyni Izydy, spotykał łodzie coraz liczniejsze, różnorakie, aż w końcu dostał się w tłum, spod którego wody prawie nie było widać. Dążyli wszyscy w stronę zwalisk, prześcigając się wzajemnie i cisnąc; tu i ówdzie rozlegały się klątwy przewoźników lub krzyk kobiet, przestraszonych nachyleniem się wątłego statku, z boku przypadkiem wiosłem uderzonego. Liczne łodzie motorowe, elektrycznością gnane, zaledwie mogły się poruszać w tym tłumie, torując sobie z trudem drogę błyszczącymi dziobami.

Jacek, zyskawszy szczęśliwie parę metrów wolnej przestrzeni, rozpostarł znów skrzydła samolotu i puścił w ruch śrubę powietrzną.

Lekko jak mewa, zrywająca się z toni do lotu, uniósł się w górę i zakołował wysoko ponad ciżbą ludzi stłoczonych. Błyszczały pod nim w dole różnymi światłami łodzie na szeroki zalew rzucone, jak garść ogników z ręki wysypana... Gdzie miejsca było nieco

więcej, toń powtarzała odbiciem ognie na łodziach płonące, rozrywając je drobną falą na żywe, rozedrgane, złote plamy wydłużone.

Świątynia Izydy gorzała światłem od wnętrza, jak gdyby słońce w niej schowano pod rozpiętymi na bezgłowych kolumnach purpurowymi zasłonami.

Przy resztkach pylonów u wejścia czuwały straże, odbierające od przybyłych karty wstępu i oddające ich pod opiekę przewodnikom, którzy w zalanym wodą chramie[423] łodziom wskazywali miejsca. Jacek z góry rzucił w chustkę owinięty swój bilet i opadł skrzydlatym czółnem na wodę w pierwszym, nienakrytym przedsionku świątyni.

Kolumny potwornych rozmiarów sterczały tu z gładkiej toni połową ciała, pleśnią już na granicy zetknięcia się z wodą objęte, ale u góry błyszczące niezniszczalną krasą barw, co tyle już wieków przetrwała, że plącze się myśl, chcąca je policzyć. U wejścia do szeregu dalszych naw gigantycznych, olbrzymim peplonem[424] z purpurowej materii teraz nakrytych i pełnych światła jarzącego, stali znowu na małych, przy dwóch pylonach nad wodą uczepionych balkonikach dozorcy, bacząc, by się kto w głąb bezprawnie nie wcisnął. Tutaj zwinął Jacek skrzydła łódki swej zupełnie i odjąwszy je, do boków przytroczył i płynął dalej w niepozornym czółenku, w które się zamienił jego samolot.

Świątynia była jak buda jarmarczna — pełna cywilizowanych i bogatych barbarzyńców ze wszystkich części świata na Ziemi. Pływała ta gawiedź w łódkach najrozmaitszych, w barkach, czółnach motorowych i w weneckich czarnych gondolach, snuła się po przyczepionych naprędce do ścian i między kolumnami zawieszonych bezczelnie metalowych galeriach, ocierając się łokciami o hieroglify stare i wizerunki bóstw przed kilkudziesięciu wiekami w kamieniu rzezane i zatopione częstokroć po kolana wodą, co wyspę ich świętą zalała.

W niepozornym, podróżnym ubraniu, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, mijał Jacek tych ludzi, dążąc w głąb między coraz gęstszym lasem kolumn rzeźbionych wieńcem sztucznych świateł elektrycznych u kapiteli owitych[425].

W ostatniej sali lamp już nie było. Pod stropem, co się sprzed wieków ostał jeszcze, granitowymi złomami ciążąc na olbrzymich pąkach lotosu, kolumny kończących — pod ciężkim stropem kamiennym pływała jeno świetlista mgła niebieskawa, niby zamarzła i uwięziona błyskawica letnia, rozchodząca się na wszystkie strony od głowy olbrzymiego posągu tajemniczej bogini... Woda, płytka w tym miejscu na dawnej świątyni posadzce, przepojona była również falami światła błękitnego, zdając się być jakimś stawem z bajki, cysterną źródła zaklętego...

Stary posąg Izydy czerniał w tych blaskach nieruchomy, ogromny, z wzniesioną dłonią, z ustami w dziwnym półrozwarciu zastygłymi, na których, zda się, przed wiekami słowo tajemnicy niewypowiedziane zamarło i trwa przez wieki niepojęte.

A u stóp posągu na wielkim, sztucznie zrobionym liściu lotosu stała kobieta. Włos jasny nakryty miała, jak bogini egipska, chustą w pasy i uwieńczony tiarą o ptasiej głowie i słonecznym dysku z góry. Ramiona drobne owijała jej gaza jeno srebrzysta, biodra ściśnięte były osłoną sztywną i pasem, w pachwinach spiętym opalem ogromnym i bezcennym. A spod zasłony wysuwały się nogi białe, nagie, złotymi obręczami w kostkach ujęte, podobnie jak przeguby dłoni, w górę właśnie wzniesionych.

Jacek skłonił nagle głowę, widząc, jak patrzy na nią pożądliwie tłum — i usta zacisnął.

Aza śpiewała, wtórując sobie ledwo dostrzegalnymi tanecznymi ruchami ramion i biódr[426]. Śpiewała dziwną, rytmiczną pieśń o bogach, których już nikt od dziesiątek wieków nie czcił.

O walce światła z ciemnościami, o mądrości najwyższej, w tajemnicę niezgłębioną okrytej, o Życiu i Śmierci.

Śpiewała o bohaterach i o krwi, i o miłości...

Muzyka dostrojona, ukryta, zda się, gdzieś z toni prześwietlonej bijąca, szła za jej głosem posłuszna, drżąca, jakby w świętym lęku, gdy o tajemnicy Powrotu mówiła —

---

[423]*chram* — świątynia.

[424]*peplon* — tu: długi i szeroki, prostokątny pas materiału; w starożytnej Grecji materiał taki, spinany klamrą, stanowił kobiece okrycie wierzchnie, także: *peplum*, *peplos*.

[425]*owity* — owinięty.

[426]*biódr* — dziś forma D.lm: bioder.

burzą dźwięków ją wspierając, kiedy obwoływała cześć zwycięskich światła bohaterów — szepcąc cicho, gorąco, obłędnie, gdy usta jej rozkosz i szczęście miłości sławiły.

Śpiewała w na wpół rozwalonej, wodą podmytej świątyni Izydy, wobec tłumu błyszczącego, co w bogów nie wierzył ani w bohaterów, w życie ni w śmierć, ani miłość... A przyszedł tutaj jeno dlatego, że rzecz to była niesłychana i niebywała, aby w chramie starym koncert dawano, i że występowała w nim Aza, sławna po całej Ziemi — i jeszcze, że za wstęp trzeba było zapłacić sumę, która by biedakowi na rok życia starczyła...

Niewielu tu było takich, co by istotnie przybyli dla wielkiej sztuki artystki i napawali się teraz głosem jej cudnym a wyrazistym, stwarzającym na powrót czarem przedziwnym to wszystko wielkie, co było i przeszło, i już się niemal zapomniało. Patrzano też przeważnie na jej twarz tylko, na kolana nagie i ramiona, liczono wartość niewielu, ale najprzedniejszych klejnotów, które miała na sobie, i oczekiwano niecierpliwie, kiedy hymny hieratyczne skończywszy, tańczyć pocznie przed oczyma tłumu.

Powoli jednak cud się począł dokonywać. Artystka chwytała głosem dusze ludzkie, gdzieś w głębi trzew[427] ukryte, i budziła je... Otwierały oczy nieporadne, zdumione własną istnością i falować zaczynały w rytm własnego śpiewu. Ten i ów ręce cisnął do piersi i szeroko, jakby raz pierwszy rozwartymi oczyma, łowił przypomnienia dziwne, od pokoleń w najskrytszych zwojach jego mózgu śpiące — i śnił pod przemocą artystki na krótką przelotną chwilę, iż rzeczywiście bóstwu jest oddany i gotów za światło do walki wznieść ramię i iść, gdzie usta te go zawołają, królewskie, uwodzące, mocne... Łowiono tedy uchem każdy dźwięk jej głosu, śledzono zapamiętałymi oczyma każdy ruch jej ciała prawie nagiego. W krótkich przerwach, kiedy śpiewać przestawała, krążąc jeno w poświętnym tańcu i kołysząc się rytmem, który jej z głębi gdzieś ginąca muzyka rzucała — w takich chwilach cisza tak doskonała zalegała dawną świątynię, że słychać było plusk fali ledwo dostrzegalnej, co podmywała niestrudzenie od wieków potężne kolumny i wygryzała tajemne znaki, ryte w granicie...

Jacek wzniósł oczy powoli. Światło przechodziło teraz nieznacznie z błękitu przez fiolet w blask płomienno[428] krwawy, smugi jasne, pod stropem błądzące, zgasły nie wiadomo kiedy — paliła się tylko woda, jak morze chłodnego płomienia, i czerwone jakieś zastygłe błyskawice szły spoza posągu Izydy, który poczerniał na tym tle jeszcze więcej i zda się, urósł jeszcze, wyolbrzymiał... Nie widać już było w cieniu tajemniczego uśmiechu dziwnych ust bogini — ręka tylko, wzniesiona na wysokość twarzy, nieodmiennie subtelnym, dyskretnym ruchem na próżno nakazywała milczenie, czy też znak jakiś dawała, niepojęty od wieków, niezrozumiany...

Zdawało się Jackowi przez chwilę, że na ciemnej twarzy widzi oczy boskie, żywe, na siebie zwrócone... I nie było w nich gniewu ani oburzenia na tych ludzi, co urządzają sobie zabawę w miejscu poświęconym niegdyś najgłębszym tajemnicom, nie było żalu za dawnym uwielbieniem ni smutku, że chram zbezczeszczony w gruz się rozpada, jeno[429] dziwne, tysiąclecia już trwające oczekiwanie, jak gdyby człowiek, co posłucha gestu bogini, nakazującego milczenie, i z ust jej przyjmie zagadkę najwyższą, miał przyjść dopiero... Jutro, za wiek czy za tysiąc lat...

Izis na wysokim tronie nie widzi zniszczenia naokół się rozpościerającego, nie widzi tłumu, nie słyszy gwaru, krzyków, śpiewu, jak ongi[430] snadź[431] nie widziała kornych pątników ani kapłanów, nie słyszała modlitw, próśb, uwielbień. Patrzy w dal i ręką nakazuje milczenie, i czeka...

Czy idzie? Czy idzie już ten oczekiwany?

Czy przyjdzie kiedykolwiek?

Naraz światła jaskrawe wraz z wracającym śpiewem uderzyły Jacka. Aza śpiewała teraz o straconym, boskim kochanku Hatorze, wydając głosem i tańca zapamiętałymi ruchami miłości rozkosz i upojenie, żądzę, tęsknotę i rozpacz...

Dreszcz przebiegł Jacka; odwrócił głowę, czując, że jakimś wstydem niepojętym czoło mu się rumieni. Chciał sobie uprzytomnić uśmiech i widziane przed chwilą w my-

[427] *trzew* — dziś popr. forma D.: trzewi.
[428] *płomienno* — dziś: płomiennie.
[429] *jeno* (daw.) — tylko.
[430] *ongi* (daw.) — niegdyś, dawniej.
[431] *snadź* — zapewne, prawdopodobnie.

ślach oczy bogini, ale zamiast tego majaczył mu uporczywie w wyobraźni złapany źrenicą w przelocie ruch piersi tancerki i usta jej drobne, dziecięce, na wpół rozwarte, wilgotne... Gorąca fala uderzyła mu do głowy; wzniósł powieki i wpatrzył się w nią wyzywająco, namiętnie, zapominając o wszystkim, o wszystkim...

A jej drżały ramiona białe i dreszcz ciało od stóp do głów przechodził, kiedy z ust, jakby żądzą nabrzmiałych i bolących jeszcze od pocałunków, mówiła o boskim Hatorze i o rozkoszy uścisku, i o unicestwiającym, płomiennym oddaniu... Prysnął czar wielki, który przed chwilą trzymał jeszcze ludzi w kole zaklętym. Dusze — na wpół z ciał wychylone, ukryły się raźno jak biedne zwierzątka leśne w dziuplach drzew: nie umiano już tego słuchać inaczej, jak lubieżnymi nerwami, wystygłą krew podniecającymi. Oczy powlekły się mgłą, usta obleśny uśmiech wykrzywiał, przez gardła pożądliwe szło łaskotanie...

Teraz ten tłum zaś był panem — ona kupioną jego niewolnicą, co za pieniądze ramiona i łono obnaża i pod pozorem sztuki pozwala się kochać myślom lepkim i obrzydłym, i pod pozorem sztuki tajemnice wzruszeń swych na widok rzuca publiczny...

Jacek mimo woli wzniósł oczy na twarz bogini: niezmącona była, jak zawsze, dziwnie uśmiechnięta, oczekująca...

Naraz — chwila jedna ciszy głębokiej, i świątynia cała zatrzęsła się od grzmotu oklasków, ze wszech stron się zrywających, jak nawałnica. Woda pod rozchwianymi łodziami pluskać jęła i falować.

Aza skończyła śpiew i oparła się wyczerpana o kolana posągu Izydy. Dwie służące płaszcz na nią zarzuciły biały, a ona nie cofała się jeszcze, dziękując oczyma i usty[432] za oklaski obłędne, szalone, które ciągle, bez przerwy wznawiając się, biły. Ludzie krzyczeli jej imię bez końca, rzucając kwiaty pod jej nogi, tak że wkrótce stała jak gdyby w pływającym ogrodzie — władna, tryumfująca. Nad nią wznosiła się ciągle ręka bogini, gestem tajemnym próżno ciszę nakazująca...

W pewnej chwili Aza, jakby przypomniała sobie o czymś, poczęła szukać wśród tłumu oczyma — i nagle spojrzenie jej skrzyżowało się ze wzrokiem Jacka. Uśmiech zaigrał jej na ustach przelotny; zwróciła oczy w inną stronę. Jacek widział, jak zbliżył się ku niej znany mu pan Benedykt, włóczący się za nią wszędzie po świecie. Mówiła coś doń, a potem rozmawiała jeszcze z innymi, co się wokół cisnęli — uśmiechnięta, zalotna razem[433] i królewska. Znać było, że upewniwszy się o jego obecności, umyślnie unika teraz jego wzroku...

Wpłynął między olbrzymie kolumny i przemykał się między nimi ku wyjściu. Gnębił go jakiś wstyd — drażniły go spojrzenia ludzi zdumionych, że ktoś opuszcza teatr właśnie teraz, kiedy Aza, skończywszy pierwszy numer programu, ma odtwarzać następnie postać Salambo, kreację swoją najsławniejszą, w której wykonuje naga taniec z wężami i drugi ze świętą zasłoną bogini...

Duszno mu było w ogromnej hali i ciasno. Chciał co prędzej wydostać się na przestwór, zobaczyć gwiazdy i roztocz wody, Księżycem jeno posrebrzoną.

Ścisk przed świątynią już ustał. Część łódek była wewnątrz, inne, nie znalazłszy miejsca, powróciły do miasta. Czekało tylko kilka parowców na tych, co w świątyni na galeriach się pomieścili. Jacek minął je i z wolna zwrócił się ku brzegowi. Nie chciało mu się skrzydeł rozpinać ani puszczać w ruch motoru, płynął więc z lekkim wiatrem od Arabii wiejącym, kołysany drobną, cicho pluszczącą falą.

Niedaleko brzegu zdawało mu się, że ktoś zawołał nań po imieniu. Obejrzał się zdumiony w tę stronę — pusto tam było i cicho, od miasta daleko, jeno w Księżycu trzy palmy wyniosłe rysowały na niebie smukłe swe kibicie. Już miał dalej popłynąć, gdy znów ów głos wołający go usłyszał, czy uczuł raczej...

Przybił do brzegu i wyskoczył na ląd. Pod palmami siedział człowieczek na wpół nagi, bo burnusem jeno zniszczonym odziany, z gołą głową, której długie czarne włosy na barki mu spadały. Trwał nieruchomy, z oczyma w gwiazdy zapatrzonymi, z zaplecionymi na piersiach rękoma.

Jacek nachylił się i spojrzał mu w twarz.

— Nyanatiloka!

---

[432]*oczyma i usty* — dziś forma N.lm: oczyma i ustami.
[433]*razem* — tu: zarazem, jednocześnie.

Dziwny człowiek odwrócił z wolna głowę i uśmiechnął się przyjaźnie, nie okazując zdziwienia.

— Tak. To ja.

— Co tutaj robisz? Skąd się bierzesz? — wołał Jacek.

— Jestem. A ty?

Młody uczony nie odparł nic — czy nie chciał odpowiedzieć... Po chwili dopiero zagadnął znowu:

— Skąd wiesz, że ja tu jestem?

— Nie wiedziałem.

— Wołałeś na mnie. Dwukrotnie.

— Nie wołałem. Myślałem tylko o tobie w tej chwili.

— Słyszałem twój głos.

— Myśl moją słyszałeś.

— To jednak dziwne — szepnął Jacek.

Hindus uśmiechnął się.

— Czy więcej dziwne niż wszystko, co nas otacza? — rzekł.

Jacek usiadł w milczeniu na chłodnym piasku. Buddysta nie patrzył nań, ale on miał wrażenie mimo to, że go widzi, więcej nawet, że przegląda na wskroś jego myśli. Było to uczucie aż gnębiące. Poznał był niedawno tego niepojętego człowieka w jednej ze swoich częstych wędrówek i on, który posiadł całą wiedzę współczesną, on, który miał w rękach moc, jak mało kto na świecie, i z samotnej wieżycy swego ducha z pogardą mimowolną na ludzki tłum poglądał, czuł się dziwnie onieśmielonym w obecności tego wtajemniczonego pustelnika o duszy przepaścistej a prostej na pozór jak dusza dziecka. Ale równocześnie pociągało go coś ku niemu nieprzeparcie...

Od czasu pierwszego poznania spotykał go często i w sposób zgoła niewytłumaczony w różnych stronach świata. I dzisiaj to dziwne spotkanie nad Nilem...

Nyanatiloka uśmiechnął się i nie zwracając głowy, rzekł, jakby odczuł jego zdumienie:

— Przybyłeś tutaj samolotem, jak widzę?

— Tak.

— Dlaczego przybyłeś?

— Bo chciałem.

— Czemu się więc dziwisz, że ja tu jestem, gdy ja także mogłem chcieć?

— Tak, ale...

— Ja nie mam samolotu, myślisz?

— Tak.

— Czymże jest maszyna? Czyż nie środkiem tylko, za pomocą którego wola twoja wywołuje zmiany w położeniu twego ciała i w obrazach, które widzą twe oczy?

— Zapewne.

— Czy nie sądzisz, że wola może sprawić to samo bez sztucznych środków i zawiłych?

Uczony skłonił głowę.

— Wszystko, co wiem, kazałoby mi powiedzieć: „nie!", a jednak, odkąd poznałem ciebie i tobie podobnych...

— Dlaczego nie chcesz sam spróbować siły swojej woli bezpośrednio?

— Nie wiem, jakie są jej granice.

— Nie ma granic.

Milczeli przez pewien czas obaj, patrząc na Księżyc płynący w górę i coraz jaśniejszy. Po chwili Jacek ozwał się znowu:

— Widziałem już dziwne rzeczy, które robiłeś. Przewracałeś oczyma czarę pełną wody i przechodziłeś przez drzwi zamknięte... Jeśli potęga woli nie ma granic, powiedz, czy mógłbyś tak samo ten Księżyc na niebie w inną pchnąć drogę lub przebyć bez ochrony i środków pomocniczych przestrzeń, która nas od niego dzieli?

— Tak — odpowiedział Hindus spokojnie, ze zwykłym na ustach uśmiechem.

— Więc czemu tego nie robisz?

Nyanatiloka zamiast odpowiedzi zapytał Jacka z kolei:

— Nad czym pracujesz teraz?

Uczony ściągnął brwi.

— Mam w swej pracowni wynalazek przedziwny i straszny. Zabijam to skupienie sił, które nazywają materią. Znalazłem prąd, który przepuszczany przez jakiekolwiek ciało rozluźnia jego atomy na pierwotne ich części składowe i unicestwia je po prostu...

— Robiłeś próby?

— Tak. Z niesłychanie drobnymi cząstkami miligrama. Taki pyłek, rozluźniając się, powoduje wybuch, jak garść spalonego dynamitu...

— Ale z tą samą łatwością mógłbyś zmusić do rozluźnienia się większe masy? Wysadzić i unicestwić dom, miasto, ląd?

— Tak. To jest przedziwne właśnie, że z tą samą zupełnie łatwością. Dość by mi było przepuścić prąd ów...

— Dlaczego tego nie robisz?

Jacek powstał i przechadzał się jakiś czas pod palmami.

— Pytaniem mi na pytanie odpowiadasz, ale to nie jest to samo — rzekł. — Ja szkodę bym tym sprowadził, zniszczenie...

— A ja — odparł Nyanatiloka — nie sprowadziłbym zamieszania we wszechświecie, który snadź[434] musi być takim, jak jest, gdybym rzucał gwiazdy na inne drogi?

— Wiem ja — ozwał się znowu po chwili — wy się śmiejecie z wyzwolonych, że robią jeno sztuczki drobne i zabawne... Nie przecz! Jeśli ty się nie śmiejesz, to śmieje się wielu innych uczonych zarówno z tego, jak i z ćwiczeń naszych w ruchach i oddychaniu, żmudnych i długich a dziecinnych na pozór... A jednak trzeba zapanować nad sobą, trzeba się dowiedzieć o woli swojej. Te ćwiczenia, te posty, to zaparcie się i osamotnienie wiodą właśnie do tego. A gdy wola się już oswobodziła i moc swą skupiać umie, czyż nie wszystko jedno, w czym się objawia?

— Sądzę, że nie. Moglibyście działać na pożytek...

— Czyj? Tylko człowiek sam na swój pożytek działać może. Pożytkiem człowieka jest oczyszczenie duszy. Wola wyzwolona innego pożytku nie widzi ani nie dąży ku innemu celowi. Jakże chcesz, abym sprawiał rzeczy, które mi są obojętne i może wikłałyby mnie na powrót w grube formy życia, z których się właśnie wybiłem?

— Wszystko jest dziwne, co nas otacza — rzekł Jacek po pewnym czasie — dziwniejsze, niżby się śnić nawet mogło ludziom w głąb niepatrzącym. A jednak mam wrażenie, że najdziwniejsze ze wszystkiego, o czym wiem, są właśnie te rzeczy, które ty czynisz.

— Dlaczego?

— Nie wiem, jak je czynisz.

— A wiesz, w jaki sposób poruszasz ręką lub co się dzieje, gdy kamień z dłoni upuszczony spada na ziemię? Zbyt mądrym jesteś, abyś mi odpowiedział słowem nic nieznaczącym, które nową niewiadomość w sobie kryje.

Młody uczony milczał zadumany, a Hindus prawił tymczasem dalej.

— Wytłumacz mi, jak to się dzieje, że wola twoja podnosi powiekę twego oka, a ja ci wytłumaczę, jak gwiazdy wolą poruszać. Równy cud i równa tajemnica jest obojga. Wola jest większa niźli wiadomość, ale ciału jest poddana, a to są jej zwykłe granice. Musi się odważyć wyjść poza ciało, musi nie chcieć niczego dla ciała, a wtedy bytem całym zawładnie, bo już nie będzie dla niej różnicy między „ja" a „nie ja".

— I wtedy nie ma granic?

— Nie może ich być. Są granice dla ruchów, dla pożądań, dla poznania wreszcie, dla woli ich być nie może, bo w samym zaczątku swoim przez ten sam fakt, że stoi nad ciałem, stoi nad formą wszelką i wszelkim bytowaniem... Wszak to wasz poeta przed wiekami powiedział:

„Czuję, że gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Może bym sto gwiazd zgasił i drugie sto wzniecił!".

I miał słuszność. Jeno ten wyraz „może" był niepotrzebny. To było wątpienie i dlatego upadł.

Jacek patrzył nań zdumiony.

[434] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

— Skąd ty znasz naszych poetów?

Pustelnik milczał przez pewien czas.

— Nie zawsze byłem „bikhu" jak teraz — rzekł wreszcie z pewnym wahaniem.

— Ty nie jesteś Hindusem z krwi?

— Nie.

— A imię twoje?

— Przyjąłem je później, Nyanatiloka, Trójświatowiedny, gdym poznał tajemnicę trzech światów: materii, formy i ducha...

Zamilkł — i Jacek nie pytał już o nic, widząc, że pustelnik niechętnie odpowiada. Usiadł był znowu na trawie pod pniem palmowym i patrzył po toni, kędy w oddali błyskały nikłe światełka łodzi i jarzyła się między olbrzymimi pylonami brama świątyni, z dala do czeluści gorejącego pieca podobna...

Naraz — jakby się ocknął z zadumania, wzniósł głowę i spojrzał bystro w oczy Trójświatowiednemu.

— Dlaczego ty mnie szukasz? — zagadnął znienacka.

Bikhu zwrócił nań z wolna jasne, szeroko rozwarte oczy.

— Żal mi cię — rzekł. — Czysty jesteś, a z trzęsawiska materii wyzwolić się nie możesz, choć wiesz już sam, że jest ona złudzeniem i mniej nawet niż wyrazem tylko.

— Cóż mi ty pomożesz... — szepnął Jacek, głowę spuszczając.

— Czyham na chwilę, kiedy zapragniesz iść ze mną w puszczę...

Jacek miał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili zajął go ruch na wodzie i z dala dochodzące głosy. Zaroiły się światełka i zakotłowały przed bramą starej świątyni, i powoli układały się w długi łańcuch ciągnący ku brzegowi — do miasta.

Okrzyki biły w cichym nocnym powietrzu, nawoływanie przewoźników i śmiechy jakieś kobiece, toczące się jak perły po szklanej tafli sztucznego jeziora. Przedstawienie snadź było skończone.

Jacek zwrócił się do buddysty żywo, nie mogąc ukryć nerwowego pomieszania.

— Nie, na puszczę... nie pójdę — rzekł — ale chciałem cię prosić, abyś mnie odwiedził w Warszawie.

Nyanatiloka cofnął się był o krok i patrzył nań z łagodnym uśmiechem w oczach.

— Przyjdę.

— Obawiam się tylko — uśmiechnął się Jacek — że obco ci będzie, przywykłemu do samotności, słyszeć gwar życia...

— Nie. To obojętne. Dzisiaj już potrafię samotnym być w tłumie, tak jak ty nie zdołasz jeszcze być samotnym nawet wtedy, gdy jesteś sam.

Mówiąc to, skinął głową z lekka i zgubił się w cieniu palm na wybrzeżu.

Orszak tryumfalny Azy zbliżał się coraz bardziej; Jackowi zdało się nawet, że głos jej słyszy srebrzysty.

VII

Klatka, na grzbiecie osła umieszczona, była wprawdzie dość obszerna jak na dwóch ludzi tego wzrostu, ale siedzieć w niej nie było na czym. Były tam dwie huśtawki, u górnej kraty uwieszone, ale zarówno Roda, jak i Mataret uważali za rzecz nieprzystojną korzystać z tego śmiesznego urządzenia.

Chwiejny chód osła nie pozwolił im zaś stać, siadali więc z konieczności na dnie palmową wyłożonym matą, unikając o ile możności wzajem swego wzroku.

Wstyd i rozpacz odbierały im wprost ochotę do życia. Nie wiedzieli zgoła, co się z nimi dzieje. Złośliwi wielcy ludzie ziemscy uwięzili ich w klatce, jak nierozumne zwierzęta — ich, dumę niegdyś i ozdobę wielce czcigodnego Bractwa Prawdy na Księżycu, i obwożą ich teraz po ludnych placach nie wiadomo dlaczego i w jakim celu. Nadto dodano im trzeciego towarzysza, co do którego nie umieli sobie jasno zdać sprawy, czy jest zwierzęciem, czy też człowiekiem. Wzrostu był mniej więcej tego, co oni, twarzy cokolwiek ludzkiej, ale miał ciało włosem porosłe i drugą parę rąk tam, gdzie zwykle bywają nogi.

Ten towarzysz czuł się zupełnie zadowolonym ze swego losu w klatce i zabrał nawet na wyłączną własność obie huśtawki, przeskakując ustawicznie z jednej na drugą. Roda próbował się z nim porozumieć, zrazu mową i na migi, on jednakowoż słów wysłuchał,

grymasy czyniąc nieprzystojne, a w końcu skoczył mędrcowi na kark i począł gwałtownie grzebać w jego rozwichrzonej czuprynie.

Uznali go tedy za istotę zwierzęcego rodzaju mimo pewnego do człowieka podobieństwa. To towarzystwo jednak jeszcze więcej ich upokarzało, zwłaszcza że zmuszeni byli, by nie cierpieć głodu, jeść z jednej misy z tym przedziwnym potworkiem.

Około południa nareszcie, po długim milczeniu, Mataret zagadnął mistrza, poglądając mu ukradkiem w oczy:

— I cóż? Ziemia jest zamieszkana?!

Roda pochylił głowę.

— Nie czas na kpiny. W każdym razie wszystkiemu ty jesteś winien, bo przez ciebie tutaj jesteśmy.

— Nie wiem... Gdybyś się ty nie był upierał przy swoim zdaniu, że Zwycięzca nie z Ziemi pochodzi...

— To jeszcze nie jest pewne — bąknął mistrz, aby resztki honoru salwować[435].

Mataret roześmiał się gorzko.

— Mniejsza z tym — rzekł po chwili. — Omyliłeś się czy omyliliśmy się obaj, mniejsza z tym. Chwilami gotów jestem ja sam przypuszczać jeszcze, że chyba skądinąd Zwycięzca przybył na Księżyc, bo przecież jest człowiekiem rozumnym, a z tymi dogadać się nie można. Za co oni nas mają?

— Bo ja wiem?

— A ja sądzę, że się domyślam. Uważają nas po prostu za zwierzęta czy co... Wszak widzisz sam, jak się nam przyglądają.

Roda chodził po klatce na grzbiecie osła, rzeczywiście, jak mały lewek uwięziony, bujną grzywą potrząsając. Gniew, rozpacz, wstyd, oburzenie dławiły go tak, że słowa nie mógł ze siebie wydobyć. A Mataret szydził, jak gdyby się znęcać chciał nad nim.

— Spróbuj skoczyć na huśtawkę — mówił — i wywiń koziołka, jak ten zwierzak kosmaty; zobaczysz, jak się ci ludzie ucieszą! Wszak oni na to czekają. Jeśli jeszcze zaryczysz pięknie i język wystawisz, gotowi ci dać garść owoców, które by się naprawdę przydały, bo głodni jesteśmy. To bydlę czterorękie zjadło wszystko, co tu było.

Roda nagle przystanął.

— A wiesz ty, mnie się zdaje...

Urwał.

— Co takiego?

— Może oni nas... karzą? Może oni się domyślają, żeśmy wóz Zwycięzcy ukradli? Wszak mogli go znaleźć tam, w piasku...

Mataret zmarszczył brwi.

— Tak, to byłoby najgorsze. Wtedy nie mielibyśmy już nadziei...

— A przecież ty jesteś winien temu, jak zawsze — ty! Po co dawałeś tym ludziom do zrozumienia, żeśmy przybyli z Księżyca? Trzeba było udać...

— Co udać? Co?!

— O, Ziemskie Potęgi! — jęknął Roda, z dziecięcego jeszcze nawyku wzywając mocy, wśród ludu na Księżycu za boską uważanej — cóż my teraz poczniemy?

Mataret ruszył ramionami; rzeczywiście nie miał pojęcia, jak wyjść z tego nad wyraz okropnego położenia.

Stali obaj zadumani i zatroskani. Małpa, towarzysząca im w klatce, zbliżyła się także, starając się postawę ich naśladować. Ale ta nieruchomość dziwotworów znudziła któregoś z widzów, więc rzucił w nos Rodzie pestkę daktyla, a gdy to nie pomogło, począł go łaskotać kawałkiem trzciny i kłuć przeważnie tam, gdzie małpy prawdziwe zwykle ogon miewają.

Hafid pozwalał na takie poufałości jedynie tym, którzy osobno za to płacili, a że tym razem był to chłopak, za grosz jeden mieszkańcom klatki się przypatrujący, więc wpadł w gniew i napastnika kawałkiem powroza przegonił.

W ogóle Arab nie był dzisiaj w dobrym humorze. Interes wprawdzie szedł doskonale i w pół dnia wróciły mu się nie tylko pieniądze na kupno klatki i wynajęcie osła wydane,

[435] *salwować* (z łac.) — ratować.

ale nadto napchane miał dobrze obie kieszenie. Z tej strony tedy nie było powodu do zmartwień. Chodziło o co innego.

Hafid miał wrodzony i nieprzezwyciężony wstręt do obcowania z władzami i w ogóle z istotami rodzaju ludzkiego, przedstawiającymi porządek publiczny, a niejasne przeczucie mówiło mu, że wcześniej czy później zawezwą go i poczną rozpytywać, skąd przyszedł do posiadania krasnoludków i jakim prawem je w mieście pokazuje. O tym nie myślał był z góry, a teraz czuł już, że coś niedobrego się święci. Przyjaciel jego, przewoźnik, człek bardzo rozumny, pokręcił był głową dziś rano, gdy się on na targ wybierał, a policjant, stojący zwykle na rogu placu, coś nazbyt długo patrzył w jego stronę.

Ostatecznie więc Hafid chciał się pozbyć zdobyczy i kłopotu jak najprędzej, to znaczy sprzedać obu karlików, ale jak na złość kupiec się nie trafiał. W dzielnicy, po której się z klatką włóczył, mieszkali ludzie sami nie mający do zbytku na swe potrzeby, a w sąsiedztwo wielkich i lśniących hoteli, gdzie przesiadują cudzoziemcy bogaci, Hafid jakoś nie śmiał się zapuszczać.

I tak namyślał się już, co zrobić, czy podarować komu tych małpoludzi, czy też wieczorem utopić ich w Nilu, bo przecież na oazę brać ich ze sobą zgoła sensu nie było — kiedy zobaczył jakiegoś dostojnego pana o siwej głowie, co szedł z wolna na plac zadumany. Pan Benedykt to był, który umyślał kupić dla Azy, odjeżdżającej nazajutrz, wielki kosz owoców i wyrachował, że taniej mu to wypadnie, jeśli sam się na targ uda, nie dowierzając służbie niesumiennej.

Hafid, zoczywszy go, zaczął wołać we wszystkich nieznanych mu językach, to znaczy wydawać dźwięki, które według jego przekonania oznaczały w tych mowach osoby godne i poważne. Pan Benedykt zauważył Araba i zbliżył się doń w myśli, że ma banany na sprzedaż.

Zdumiał się, zobaczywszy klatkę z zamkniętymi w niej ludźmi i małpą.

— Co to jest? — zapytał.

Hafid zrobił tajemniczą minę.

— O, panie! To są... to są takie istoty...

— Jakie istoty?

— Bardzo rzadkie.

— Skąd to masz?

— O, panie! Gdybym ci zaczął opowiadać trudy, z jakimi walczyć musiałem dla zdobycia tych dwóch niby-ludzi, trawa by porosła świeża wokoło nas, a my byśmy się jeszcze z miejsca nie ruszyli, ty słuchając, ja mówiąc ciągle!

— Więc mów krótko: gdzie to żyje?

— O, panie! W sercu Sahary, w piaskach, po których samum się jeno przechadza, jest oaza pewna, ludzkim okiem dotąd niewykryta! Ja i dromader mój wierny byliśmy pierwszymi, którzy tam...

— Nie łżyj. Gdzie tych karlików znalazłeś?

— Panie, kup ich ode mnie.

— Czyś ty oszalał?

— Oni są naprawdę bardzo pocieszni. Mnóstwo sztuk umieją, tylko teraz zmęczeni są trochę, więc ich nie chcę pokazywać. Ten z dużymi włosami wywija koziołki na huśtawkach, a tamten łysy udaje, że umie czytać, naśladując zupełnie człowieka! Aż się małpa śmieje, z którą są w wielkiej przyjaźni...

Panu Benedyktowi zaświtała jakaś myśl w głowie.

— Czy myślisz, że wyuczyliby się oni służby w pokoju?

— O, doskonale! U mnie w domu zamiatają izbę i babce mojej czyszczą buty, która wprawdzie boso chodzi, ale tylko przez upór, bo ja jej niczego nie żałuję. Stara jest...

— Nie pleć!

— O, panie! Będę milczał jak grób, jeśli ci się to spodoba.

— Do stołu usługiwać by umieli?

— Jak najlepszy lokaj w Old-Great-Cataract-Palace, który zresztą jest moim przyjacielem i może poświadczyć...

— Ile chcesz za tych małpoludzi?

— O, panie, gdybym trud mój chciał obliczyć...

— Mów, tylko prędko.

Hafid wymienił jakąś sumę i po półgodzinnym targu zgodził się odstąpić swą zdobycz za dziesiątą część żądanej początkowo ceny. Pan Benedykt zapłacił, a Arab schował przede wszystkim pieniądze w zanadrze, po czym, przygotowawszy dwie pętle z powroza, otworzył klatkę i zaczął łapać wystraszonych Księżyczan. Wreszcie udało mu się to. Uwiązał każdemu postronek do nogi i wysadziwszy ich na ziemię, wetknął końce w rękę pana Benedykta.

— Niech cię Bóg błogosławi, panie! — rzekł, zabierając się do odejścia.

— Czekaj! Czekaj! Przecież ja ich tak nie powiodę! Musisz mi ich zanieść do hotelu.

Hafid potrząsał głową.

— O tym nie było mowy, panie! Ja nie mam już czasu.

To mówiąc, popędził osła i zniknął w tłumie, rad, że się pozbył za dobry grosz niebezpiecznego nabytku.

Zgraja ulicznej gawiedzi otoczyła zakłopotanego pana Benedykta. Nie wiedział on, co począć. Nagabywano zewsząd karlików, zalęknionych znów niepewnością swego losu, i śmiano się, gdy ich nowy właściciel kijem groził napastnikom. Rozpoczęła się naokoło gonitwa, wśród której niepodobna się było naprzód posunąć.

Pan Benedykt po pewnym czasie, nie mogąc sobie dać rady, zaczął obiecywać obskakującym go wyrostkom dobry napiwek, byle mu tylko potworków do hotelu zawiedli. Ale ci — rozbawieni — udawali, że się ich boją, i uciekali z krzykiem, gdy tylko któremu z nich chciał wetknąć postronki w rękę.

Rad nierad, ruszył ku hotelowi, wiodąc sam owych człowieczków, odprowadzany tłumem dzieci, uliczników i podmiejskiej gawiedzi.

Po drodze wstąpił jeszcze do magazynu strojów dziecięcych i wybrawszy dla swych pupilów aksamitne spodenki i bluzki marynarskie ze złotymi galonami, kazał ich zaraz przestroić. Gdy się z tak ubranymi członkami Bractwa Prawdy pokazał znów na ulicy, radość pospólstwa, czekającego nań cierpliwie, nie miała po prostu granic. Szczególniej zachwycał ich Mataret z łysą czaszką, w szerokiej, białej kryzie na szyi. Bawili się również i Rodą, rzucającym obłąkane z wściekłości spojrzenia naokół.

I tak szli w tryumfie zgrają całą ku hotelowi, gdzie Aza mieszkała.

VIII

Z przygasłym cygarem w zębach spoza rozłożonej szerokiej gazety poglądał Grabiec przez okna rozwarte na tłum przed kawiarnią. Niedopita filiżanka wystygłej już kawy czarnej stała przed nim; w ręce, niedbale wspartej na marmurowej płycie stołu, obracał bezmyślnie próżny kieliszek z koniaku. Wysokie czoło, w dużą łysinę na szczycie wspaniale sklepionej czaszki przechodzące, pokrywała mu od skroni sieć zmarszczek drobnych i ruchliwych — dolna część dziwnie zmiętej twarzy ginęła w długiej jasnej brodzie. Usta jeno błyszczały spod nikłych wąsów — pełne, młodzieńcze, niespokojne, kłócące się wyrazem z przygasłymi na pozór oczyma, w których zimnym stalowym błysku znać jednak było spod znużenia wyglądającą niepożytą moc i upartą — jak gdyby uśpioną.

Gazety nie czytał już od dawna, choć trzymał ją ciągle w ręku, może, by się od spojrzenia zasłonić lub przedzielić papierową ścianą od siedzącego przy stoliku towarzysza. Wzrok jego obojętny błądził po strojnych, śmiejących się damach, które w towarzystwie mężczyzn otaczały małe stoliki przed kawiarnią rozstawione, lub szedł dalej na drugą stronę gazonami zasłanego placu, gdzie przed ogromnym i obrzydliwie ozdobnym pałacem gry ruch się już wszczynał popołudniowy. Po szerokich wschodach, kilkoma błyszczącymi mosiężnymi poręczami przedzielonych, szli po wzorzystym chodniku w górę, chyłkiem, drobni gracze z niewielkimi snadź sumkami w kieszeni, wybierający z umysłu[436] tę wczesną porę, kiedy ich jeszcze nie będzie krępowała obecność nababów, rzucających całe majątki na sukno zielone. Przez natłok spacerujących w dole przeciskali się też, nie patrząc na boki, szulerzy zawodowi, opętani, zaledwie śniadanie w pośpiechu przełknąwszy, aby nie stracić czasu drogiego i tej chwili, która właśnie może szczęście przynieść. Kilka automobilów zatrzymało się przed portalem; między wysiadającymi Grabiec poznał niektórych stałych i poważnych bywalców domu gry, co przybywali wcześniej, aby

[436] *z umysłu* — tu: umyślnie, specjalnie, z premedytacją.

im ulubionych miejsc nie zajęto. Lokaje stali na schodach znudzeni, rozmawiając półsłówkami ze sobą.

Co chwila wstawał też ktoś od stolików przed kawiarnią i odchodził w stronę szerokich wschodów. Czasem młodzieniec jakiś ozdobny i wymuskany, częściej emeryt dostojny lub która z dam, śledzących badawczymi oczyma tych, co mają obficie złotem nabite kieszenie. Te poławiaczki kruszcu już wygranego poznać można było na pierwszy rzut oka między szulerkami spieszącymi, aby szczęścia przy czarodziejskich stołach na własną rękę próbować: szły wolno, ociągając się, a chociaż zbyt wartość swoją targową znały i ceniły, aby zachęcać łaskawym spojrzeniem przechodniów, to jednak wyraz ich twarzy i ruch cały mówiły niemylnie, że nie są płochliwą zwierzyną, zwłaszcza dla chcących i mogących złoto sypać myśliwców.

Grabiec wodził po przechodniach wzrokiem roztargnionym, który zdawał się jeno w przelocie dotykać głów ludzkich tak obojętnie, jakby to drzewa były lub toczące się z góry kamienie. Czasem na jedno mgnienie oka zatrzymywał wzrok na twarzy jakiejś niby senatorskiej, na jakiejś niby rycerskiej postaci — i wiódł okiem znowu dalej z wyrazem zawodu po tłumie kobiet strojnych i głośno się śmiejących, po tym mrowiu ludzkim, dziwnie ze siebie i z życia zadowolonym — jeno usta wyginały mu się ledwo dostrzegalnym, wzgardliwym uśmiechem, który z wolna tak do warg jego przyrastał, że w końcu wyglądał już jakby przyrodzone skrzywienie.

— Co pan sądzi o współczesnej literaturze?

Drgnął z lekka, jakby mu owad niemiły usiadł na twarzy. W zamyśleniu zapomniał był prawie zupełnie o nieproszonym towarzyszu, który siedział naprzeciw niego, po drugiej stronie stolika. Średniego wzrostu, pękaty, z obrzydliwą głową żydowską na cienkim karku, trzymał w piegowatych i brylantami ustrojonych palcach zeszyt jakiegoś tygodnika i nachylał się poufale przez stół, patrząc z godnością wyłupiastymi i rybimi trochę oczyma spoza grubych szkieł, na śmiesznie garbatym, czerwonym nosie osadzonych. Rzadkie, tłuste włosy zaczesane miał na przód głowy z widocznym zamiarem ukrycia pod nimi pryszczów pokrywających łysinę — mięsiste i naprzód podane, choć wąskie wargi poruszały mu się jeszcze, jak gdyby powtarzał po cichu i przeżuwał dopiero wypowiedziane pytanie.

— Nic nie sądzę, panie Halsband — odparł Grabiec po chwili, zmuszając się do tonu towarzyskiej uprzejmości.

Żyd odrzucił tygodnik i gestykulując żywo rękoma, począł mówić głosem gardłowym z charakterystycznym akcentem, który przetrwał tysiąclecia.

— Pan zawsze dziwnie odpowiadasz! Zupełnie jakby pan chciał uniknąć rozmowy. A to przecież ja pana pytam, i jeśli pytam...

— Wiem, słyszę — uśmiechnął się Grabiec. — Ale to tak nieokreślone pytanie...

— Jakże mam mówić inaczej? Nie chodzi mi o jakiś poszczególny wypadek, ale o sąd pański ogólny, o syntezę pańskiego sądu. Właśnie czytam w tym „Przeglądzie"...

Uderzył dłonią w porzucony tygodnik.

Grabiec wzruszył z lekka ramionami.

— Nie znam się na tym — rzekł, patrząc z udanym zajęciem na ludzi rojących się przed kawiarnią.

Halsband zaperzył się.

— To wcale nie jest odpowiedź, to wykręt! Przecież pan sam jesteś literat. Jakże więc można...

— Nie, panie. To, że sam przypadkowo piszę, nie kwalifikuje mnie bynajmniej do wydawania sądów, zwłaszcza takich, które by panu mogły się na coś przydać. Raczej przeciwnie... Od gadania, od nicowania bez celu i końca tego, co zostało stworzone lub choćby tylko napisane, wy jesteście: redaktorowie[437] wielkich dzienników, krytycy, przeżuwacze, historycy literatury i sztuki. Ja nie znam nawet tytułów dzieł, o których pan możesz rozprawiać godzinami.

— Zbytnia skromność — uśmiechnął się Halsband zjadliwie. — Wiadomo powszechnie, że pan jesteś erudyt[438]. Ale pan się myli, sądząc, że ja potrzebuję pańskiego

[437] *redaktorowie* — dziś popr.: redaktorzy.
[438] *erudyt* — dziś popr.: erudyta.

zdania. Jeśli pytam, to tylko dlatego, że mnie to zaciekawia, w jaką syntezę skupiają się pewne fakty w soczewce pańskiej indywidualności... Pan sam mnie zaciekawia — dodał z odcieniem pewnej łaskawości w głosie.

Grabiec nie słuchał. Zastanowiło go coś istotnie na placu przed kawiarnią, bo jął patrzeć pilno przez otwarte okno w stronę, gdzie przy stoliku siedział samotnie jakiś dziwny nad wyraz człowiek. Nie był on garbaty, a robił wrażenie ułomnego z powodu długich rąk i głowy olbrzymiej, głęboko wciśniętej w ramionach. Ubrany był starannie, ale nieumiejętnie; włosy jeżyły mu się niesfornie we wszystkich kierunkach na czaszce, z której zdjął był właśnie kapelusz. Postać cała byłaby śmieszna, gdyby nie oczy ogromne, otchłanne i tak niepojęcie przykuwające, że spojrzawszy na nie, zapominało się o reszcie niemal potwornego ciała.

— Kto to jest? — zapytał Grabiec żywo, przerywając potok słów swemu towarzyszowi. — Czy pan nie wie przypadkiem?

Halsband spojrzał niechętnie we wskazanym kierunku.

— Jak to, pan go nie zna? To Łacheć.

— Łacheć?!

— Tak jest, ten sam, co zrobił muzykę do pańskiego hymnu, który wczoraj Aza w świątyni Izydy śpiewała. On u mnie pracuje. Przygarnąłem go...

Grabiec, nie czekając dalej, rzucił pieniądze na stół i począł się zabierać do odejścia. Nim się jednak zdołał wśród tłumnie wchodzących gości kawiarnianych przecisnąć ku drzwiom, dziwny człowiek, siedzący przy stole, zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Na próżno szukał go wśród ciżby oczyma. Zagubił się snadź wobec niskiego wzrostu między przechodniami, czy też zdążył już wejść do wnętrza domu gry, na którego wschodach[439] szerokich coraz rojniej było od ludzi. Jeno[440], że teraz wielu już wychodziło, krzyżując się w ścisku z przybywającymi. Niektórzy wracali z obojętnymi maskami na twarzach, tak jak byli weszli, ale w większej części można było wyczytać z ruchów, z postawy, z oczu, z wyrazu ust, jaki los spotkał ich złoto tam, przy zielonych stołach: czy uciekają, w niewielu minutach grosz ostatni straciwszy, czy też unoszą na razie zdobycz upragnioną, którą przyjdą znów stracić, nim wieczór zapadnie.

Przez jakiś czas, stojąc przed kawiarnią, myślał Grabiec o tym, aby pójść do kasyna i tam w salach Łachcia poszukać. Nie znał poprzednio jego muzyki; Łacheć był młodym, początkującym dopiero kompozytorem, którego imię zaledwie kilka razy obiło mu się o uszy, jako imię oryginała raczej niż mistrza. Aza, prosząc go kiedyś o pozwolenie zużytkowania na koncert jego *Hymnu o Izydzie*, mówiła mu wprawdzie, że Łacheć, dziwny, fenomenalny Łacheć, słowa jego na dźwięki przetapia, ale Grabiec nie zwrócił na to uwagi. Było mu to zresztą obojętne. Nierad przystawał — i jedynie pod nieodpartym wpływem śpiewaczki — na udział swój w tej farsie zamiany ruin przedwiecznej świątyni w teatr i w owym parodiowaniu w niej, jak mówił, dawnych szczerych obrzędów — więc się też nie chciał mieszać do niczego.

Dopiero wczoraj... Uległ długim i uporczywym namowom Azy (był bowiem jednym z tych niewielu, którym ona nie rozkazywała) i przybył wieczorem do filajskiej świątyni w tej szyderczej i gorzkiej myśli jedynie, że będzie słuchał słów własnych jak dźwięku zgoła obcego, co w zbezczeszczonych ruinach brzmi śmiesznie, przez nikogo nieodczuty, niezrozumiany i przeto bluźnierczy. Przecież Grabiec wielkość tam śpiewał, bohaterstwo i tajemnicę, i namiętności moc — wszystkie te rzeczy, dla których ów tłum dostojny wrogiem byłby z urodzenia, gdyby je na tyle chociaż rozumiał, aby je mógł nienawidzić i lękać się ich.

Myślał o tym wczoraj z pogardliwym uśmiechem na ustach, o wyżarte wilgocią hieroglify na granitowej kolumnie wsparty, gdy nagle zabrzmiał śpiew Azy, ginący niemal z początku w potężnych falach orkiestry, przedziwnej, niepojętej. Nie słyszał dotąd tego śpiewu i dźwięków tych — nie chciał z umysłu bywać na próbach — toteż teraz miał wrażenie nagłego, olśniewającego objawienia.

Jak gdyby ktoś, odeń silniejszy, porwał go w orle szpony i wzniósł nad ziemię, i pokazał na jawie światy jakieś, przezeń tylko wyśnione... Jak gdyby słowa jego stawały się żywymi

[439] *wschody* — dziś w tym znaczeniu: schody.
[440] *jeno* (daw.) — tylko.

istotami, jak gdyby myśli jego własne dostawały skrzydeł, piorunów i bożej mocy zabijania i wskrzeszania! Zobaczył wir cherubinów, tańczących na powietrzu z ognia, nie wierząc prawie, że z niego wzięły początek, tak wielkie i płomienne mu się bowiem wydały. Morze zobaczył rozhukane, wściekłymi, spienionymi falami o brzegi bijące!

Pojrzał mimo woli po słuchaczach. Na morskim brzegu był piasek. Miałki, sypki, ani odporu, ani echa falom niedający piasek. Śledzono oczyma śpiewaczkę, na stopy jej patrzono i nagie kolana, kiwano z uznaniem głowami, gdy zespół orkiestralny jakiś nadzwyczajny snop błyskawic wyrzucił — i nie płoniono się pod biczem małość smagającym — i nie wyciągano rąk ku pokazanej na złotych chmurach wielkości, ku odsłaniającej twarz tajemnicy...

Uciekł wczoraj ze świątyni starej przed własnym krzykiem, wcielonym na próżno i marnie ginącym — ale łomot tych skrzydeł myślom jego przez muzyka przypiętych huczał mu ciągle w uszach i mózgu... Huczał poprzez drobne sprawy dnia całego, poprzez rozmowy puste różnych natrętnych Halsbandów.

I w tej chwili obłędnym przypomnieniem zatańczyła mu w pamięci orkiestra burz, morza i słońca śpiewającego na chmurach zwełnionych, na pryskających pianą bałwanach.

— To musi, to musi, to musi być! — wyrzekł do siebie niemal głośno, w myśl jakąś własną zapatrzony.

Zakotłowało w nim coś i zawrzało. Zdjął z głowy kapelusz szerokoskrzydły i nie zważając, że ludzie nań z podziwem patrzą, począł chodzić wielkimi krokami dookoła gazonu z rzadka palmami ocienionego. Zapomniał, że miał Łachcia szukać w kasynie, zresztą wstręt go objął nieprzeparty na myśl samą, że mógłby się teraz znaleźć w tłoku, w ciżbie, wśród ludzi zajętych dzisiaj w sposób podobny, jeno w wyższym stopniu i bardziej jeszcze interesownie, śledzeniem padającej kulki rulety, jak wczoraj ruchów śpiewaczki... Mimowolnie zwrócił się w lewo, w stronę rozległych ogrodów, co na falistym gruncie rozsiadły się tutaj, ponad domem gry i złoconymi hotelami, aż gdzieś po żółty brzeg Nilowy.

Słońce wiosenne paliło, ale pod palmami świeżość szła wonna od trawników właśnie zroszonych i od krzewów rozkwitłych, rozrzuconych kępami po całej ogromnej przestrzeni. Sztuczne strumyki roznosiły życiodajną wilgoć wyszukanym drzewom, ze wszystkich stron świata tutaj sprowadzonym — nad małymi stawkami, pełnymi lotosów, siedziały figowce rozrosłe o lśniących liściach, z wiszącą w powietrzu siecią korzeni. Na wzgórkach ręką ludzką usypanych, wśród poukładanych pracowicie głazów, sterczały kaktusy najrozmaitszego kształtu i pochodzenia: podobne do słupów, kul i węży dziwnie powyginanych — opuncje kolczaste, z potwornie zgrubiałymi łodygami, i srebrnozielone agawy, strzelające w górę spośród mięsistych liści olbrzymimi świecznikami kwiatostanów. W grotach, ukryte przed zbytnim słońcem, w powietrzu ochłodzonym wodą, przez sztuczne lodozwały przepływającą, chowały się paprocie i rośliny północne, zdumione sąsiedztwem palm, chwiejących się u wejścia na tle ciemnobłękitnego nieba.

Grabiec minął główne, szerokie aleje i począł się błąkać po bocznych ścieżkach wśród zagajników różnych i lasków ponad małymi strumykami o brzegach gęsto zarosłych bambusem i trzciną szerokolistną. Ludzi spotykał tutaj coraz rzadziej; upał popołudniowy rósł i wisiał ciężko w nieruchomym powietrzu, wilgocią gorącą przesycony, duszący. Grabiec szedł wciąż przed siebie, ze spuszczoną głową, w myślach zatopiony. Nie zauważył nawet, jak się dostał w obszerny zwierzyniec na wyniosłości ponad ogrodami. Mijał, nie patrząc, łączki ogrodzone, na których wśród sztucznie poukładanych kamieni pasły się antylopy, ogromnymi, tępymi oczyma patrząc przez sztachety gdzieś w stronę dalekiej, rodzinnej pustyni — przechodził około sadzawek pełnych krokodyli, w płytkiej, ciepłej od słońca wodzie aż po nozdrza ukrytych — koło klatek potężnych, w których drzemały lwy niewolą osowiałe, z przygasłymi oczyma, z sierścią skudloną i nieczystą.

Na szczycie wzniesienia stała klatka wysoka, kilkoma palmami daktylowymi ocieniona. W środkowej, wąskiej jej części, błyszczącymi kratami od bocznych skrzydeł oddzielonej, siedziały na gałęziach uschłego jakiegoś drzewa cztery sępy królewskie, na podziw ogromne. Łby, potężnymi hakami dziobów zbrojne, wcisnęły między ramiona obwisłych skrzydeł, nastroszyły pióra u nasady nagich, muskularnych szyj, oczy okrągłe na słońce zwróciły i trwały tak nieruchome, zastygłe, jak dawne jakieś cztery bogi egipskie, strasznych i tajemnych ofiar oczekujące.

Ale naokoło nich zgiełk był tylko nieprzystojny i bezczelny. Przez mimowolną zapewne, a dziwnie złośliwą głupotę pomieszczono w obu skrzydłach klatki ogromnej zgraję papug i małp ruchliwą, pstrą, ustawicznie wrzeszczącą. Co chwilę gibon jakiś lub magot, z ohydnie gołym, czerwonym pośladkiem, wyciągał przez kratę rękę kosmatą, usiłując dla psoty dosięgnąć piór w ogonie ptaków królewskich; papugi wieszały się na prętach przegrody i rozdziawiając dzioby karykaturalnie do orlich podobne, wtórowały zgiełkliwym krzykiem miauczeniu wykrzywiających się małp.

Sępy wyglądały jak ślepe i głuche w kamiennym swym spokoju. Żaden z nich ani razu głowy nie zwrócił, żaden nawet nie załopotał na postrach skrzydłami. Gdy jednego z nich magot obrzydliwy długą ręką za lotki obwisłe dosięgnął i szarpnął, garść pierza wyrywając, on posunął się tylko o pół kroku dalej na gałęzi, nie spojrzawszy nawet na napastnika, tak właśnie, jakby się usuwał kędyś na skałach przed rzuconą wiatrem gałęzią.

Grabiec przypatrywał się ptakom zrazu mechanicznie, myślom dalekim oddany, później z rosnącym nagle zajęciem. Wsunął dłoń ostrożnie między pręty i spróbował przegrody.

— Mocna — szepnął do siebie — szkoda.

Małpa jedna, większa i złośliwsza nad inne, wyciągnęła znów swe kosmate ramię i długimi, spłaszczonymi na końcach palcami starała się chwycić za pierze na piersiach sępa. Ptak wzniósł szyję i głowę w tył rzucił, przechylając ją nieco na bok. Krwawe oczy jego wpatrzyły się w ruchliwą dłoń małpią, przebierającą przed nim palcami. Głowę jeszcze więcej cofnął, jakby do uderzenia, dziób trochę rozchylił.

— Bij! — syknął Grabiec, patrząc na tę scenę.

Ale sęp, widząc, że mimo wysiłku małpa dosięgnąć go nie może, nie raczył się trudzić i przymknąwszy oczy, wsunął znów łeb straszliwy pomiędzy skrzydła, nie zważając już na nic więcej.

Grabiec uśmiechnął się wzgardliwie.

— Głupi! — szepnął na wpół głośno — myślisz, że to jest wielkość.

— Tak, to wielkość — odpowiedziano za nim.

Obejrzał się ze ściągniętymi brwiami, nierad, że go ktoś śledzi i słucha jego słów.

Stał tuż za nim pod baldachimem ogromnych liści rosnącego obok bananu człowiek młody i smukły, w obcisłym stroju awiatora, z puklami włosów kędzierzawych, wypadających spod zsuniętego nieco w tył kaptura.

— Mistrz Jacek!

Zadrgał mu w głosie obok zdziwienia jakiś szacunek mimowolny, choć bez śladu uniżenia.

Uczony wyciągnął dłoń ku pisarzowi. Podali sobie ręce w milczeniu.

Stali jakiś czas bez słowa obok siebie; Jacek patrzył na klatkę rojną od małpiej gawiedzi ze zwykłym, pobłażliwym w smutnych oczach uśmiechem; Grabiec odwrócił się w bok, gdzie między strzępiastymi koronami palm niżej sadzonych błyskał ogromnym i szklisto[441] mętnym zwierciadłem daleki zalew nilowy. W pośrodku słońce tylko pływało po samotnej toni, przybladłe, jakby na wodzie po wierzchu rozlane, ale u brzegów pełno było łodzi, śpiących w żarze popołudniowym z obwisłymi na łukowatych rejach żaglami. Błyszczące czółna motorowe pochowały się gdzieś, czy też nie widno ich było z dala spomiędzy czarnych kadłubów barek — łaskawe liście palm zakryły przed okiem nowe miasto, bogatym a pospolitym stylem swym obrzydliwe... Grabiec miał na chwilę przelotne wrażenie, że czas się cofnął i oto on jest świadkiem wieku jakiegoś, znanego z podań jeno dawnych, kiedy królowie żyli i bogi[442]...

— Słyszałem wczoraj pański hymn Izydy...

Odwrócił się. Jacek nie patrzył nań, mówiąc te słowa: oczy miał wytężone na zalew nilowy, w stronę ruin w rozsłonecznionej wodzie tonących.

— Słyszał pan...

— Tak. I gdybym nawet nie wiedział, że to pan, byłbym musiał poznać... Ten krzyk, to wołanie...

Mówił to z wolna, źrenic nań nie zwracając.

---

[441] *szklisto* — dziś popr.: szkliście.

[442] *bogi* — dziś M.lm: bogowie.

Pisarz wzruszył nieznacznie ramionami. Z wolna wzniósł rękę i w zamyśleniu położył ją na prętach klatki.

— Panie — zaczął — przed chwilą skarcił mnie pan, że chciałem widzieć sępa miażdżącego dziobem bezwstydną łapę zaczepiającej go małpy. Przyznam się, że rad bym tym i ptakom klatkę otworzył, aby sprawiły rzeź. Ale co by pan powiedział, gdyby te sępy królewskie — nie walcząc — spokoju nawet nie umiały w niewoli zachować i poczęły tu, wobec papuziej hołoty, dawać widowisko ze siebie! Łbami bić o pręty i włóczyć skrzydłami po ziemi? Wołać wichru, wołać skał i morskich bałwanów, które tutaj nie wejdą? Aby wiedziano, że wielkość znają i swobodę i że za nią tęsknią obłędnie... Aby papugi wiedziały mianowicie i małpy.

— Gubimy się w porównaniach — odparł Jacek — dajmy spokój zwierzętom i ptakom, choćby nawet królewskim. To może pięknie brzmi, ale nigdy nie jest ścisłe i do fałszywych wniosków wiedzie. Bez względu na to, co pana otacza, pan jak monarcha stoi nad tłumem, który pana słucha...

Ostry, zgryźliwy śmiech przerwał mu zdanie.

— Ha, ha! Znam! Znam te stare piękne teorie, któreśmy sami na własną pociechę ukuli! Wiem, pan myśli: „Wszelka sztuka prawdziwa jest władaniem nad duszami, jest narzucaniem ludziom innym własnych uczuć, wyobrażeń, pomyśleń!". Czy pan wierzy, że tak jest istotnie?

— Tak jest istotnie.

— Było. Ale to czasy tak dawne, że na legendę już dzisiaj zakrawają, i nieprawdopodobną. A przecież tak było. Tutaj, gdzie teraz stoimy, kiedyś się świątynie wznosiły potężne i szeregi tajemniczych, grozą przejmujących bóstw granitowych; tu na miejscu tych hoteli, domów pospolitych, jakimi obecnie świat się cały upodobnił. Ale wtedy nie tylko sztuka, lecz i mądrość, i wiedza wszelka była królową, a nie sługą płatną jak ninie[443].

Jacek milczał, słuchając. Z wyrazu jego twarzy trudno było odgadnąć, czy przyznaje słuszność Grabcowi, czy tylko nie chce mu się sprzeciwiać. Ten zaś tymczasem, wsparłszy się plecami o pień palmy, mówił z wolna, jak gdyby — nie dbając o to, czy go kto słucha — myśli jeno rozsnuwał sam przed sobą, z dawna przemyślane, bolące.

— Tak było w Grecji, w Arabii, w Italii, w Europie jeszcze gdzieś aż po połowę wieku XIX. Byli artyści najwięksi, z głodu nieraz ginący, władcami ludów samopańskimi, wiedli, wznosili, rzucali w proch. Zapalali pożar albo zwierzęta dzikie zamieniali na zamyślone duchy. Mieli poddanych, którzy zdolni byli słuchać, ale stracili ich, gdyż sami się dostali pod władzę poddańców swoich. Jesteśmy najemnikami, których się utrzymuje dla dostarczania wzruszeń, słów wielkich, dźwięków, barw, jak was, mędrców, dla wiedzy, krowy dla mleka.

Jacek rzucił głową z wyrazem niechęci.

— Kto winien temu?

— My. Z chwilą kiedy sztuka przestała być panią samowładną i ludziom życie formować, rwać ludzi do czynu (bo o czyny przecież chodzi jedynie!), trzeba ją było rzucić, jako rzecz zużytą, i innych środków władzy dla ducha poszukać albo stworzyć sobie nowy świat, w którym by znowu byli ludzie mogący jej podlegać. Sztuka była środkiem życia i mocy, zrobiono z niej, a raczej z jej formy, cel: kunszt, zręczność rzemieślniczą, zabawkę. Nie chodzi już o to, co się ludziom na głowy rzuci, w którą stronę się wichrem łan zamiecie, skąd się Słońcu nad nim wzejść każe lub Księżycowi, ale o to, jak słowa brzmieć będą, jak się barwy lub dźwięki dowcipnie ułożą... Z czarodziejstwa marne kuglarstwo powstało, bo to już tylko uszom i oczom jest dostępne. Dzisiaj już za późno piorunami bić w piasek. Ocean by nań trzeba wypuścić, który zatapia, ryje, pochłania! Nie sztuka nim dzisiaj będzie.

— A jednak są dzisiaj, jak zawsze byli, wielcy twórcy i doprawdy, że w ustach swoich słońca czasem miewają — mówił Jacek w zamyśleniu.

Grabiec skinął głową.

— Tak, są. Jeno wartość ich w stosunku do społeczeństwa się odwróciła. Przestali wieść słowem, bo nie ma kogo wieść, więc mówią wciąż do siebie, aby się wygadać. Wynaleźli nawet łachmanik dla okrycia tej nędzy swojej: sztuka dla sztuki. O, jak to ładnie

[443] *ninie* (daw.) — teraz.

brzmi! Nie chodzi mi o sztukmistrzów słów, dźwięków, barw, jak o linoskoczków nie dbam i połykaczy żywych żab, myślę o twórcach! Dla nich dziś sztuka (sztuka dla sztuki, panie!) to klapa bezpieczeństwa, aby im światy w duszy poczęte piersi nie rozsadziły, gdy oni mocy nie mają w czynie i prawdzie na zewnątrz ich wyrzucić. Patrz pan! Obnaża się zawsze do głębi swej istoty twórca i artysta, lecz gdy Fryne niegdyś na słonecznym brzegu morskim wobec ludu naga stanęła, to nie mlaskano lubieżnymi językami, oczu nie wytrzeszczano, ale się głowy wszystkie pochyliły jak przed objawieniem, a ona wiedziała naprzód, że tak się stanie, bo w jej piękności była święta moc. My dzisiaj obnażamy się bezwstydnie, jak dziewczęta sprzedajne w tinglu[444] mającym pozory pałacu, ba, nawet kościoła, tyle tam złoceń, marmurów i świateł! Ale to tylko pozory: kram to jest brudny w istocie!

Podniósł rękę w górę i prysnął rozłożonymi palcami, jakby pustkę w dłoni pokazywał.

Jacek słuchał go, usiadłszy na ławce kamiennej, z brodą na dłoniach opartą. Utkwił w nim oczy nieruchome, spokojne i głębokie... Uśmiechnął się ledwo dostrzegalnym, smutnym uśmiechem.

— Miej pan odwagę powiedzieć — rzekł — że od myśli tylko naszej i od naszego zamiaru zależy, aby się każde miejsce, gdzie jesteśmy, w świątynię zmieniło prawdziwą...

Grabiec udał, że nie słyszy słów, czy też nie dosłyszał ich rzeczywiście, myślami swymi zajęty. Milczał przez jakiś czas, w dół ku miastu oczy zwróciwszy, a potem zaczął znów mówić głosem stłumionym a pełnym bezbrzeżnej nienawiści i wzgardy.

— Zbyt dobrze jest na świecie dla małp, papug i wszelkiego bezmyślnego plugastwa, które przez liczbę i zorganizowanie władzę ma jedyną! O buntach wiemy już tylko z powieści. Buntowali się niegdyś uciśnieni, najbiedniejsi, zdeptani, a pracą rąk swych maszynę świata trzymający, i wołali: „chleba!". Przywódcy dla przyzwoitości kazali im jeszcze dodać: „praw!", ale to głupstwo, bo o chleb chodziło naprawdę. Teraz mają go już zadość, więc siedzą spokojnie, bo i czegóż mogliby jeszcze chcieć? Aż nazbyt wiele jest na świecie równości, zbyt wiele chleba, powszechnych praw i szczęścia pospolitego!

Zwrócił się teraz wprost do Jacka i spojrzał mu przenikliwie w twarz.

— Czy nie sądzi pan — rzekł, nagle ton zmieniając — że nadszedł już czas, aby się zaczęli buntować najwyżsi duchem, którym na pozór niczego nie braknie? Czy nie pora, aby zaprotestowali czynem przeciw ustanowionej równości, co jest dla nich obelgą?

Jacek powstał, twarz spoważniała mu naraz.

— Panie, nie ma potrzeby protestować przeciw temu, czego nie ma. Nie jesteśmy równi. Pan wie o tym sam. A ze społeczeństwa korzystamy zarówno, jak ono z nas...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Grabiec. — Otóż jedna z baśni przez tłum nam narzucona! Ja właśnie mówię, że pora nadeszła, by najwyżsi przestali wreszcie wierzyć w rzekomą łaskawość społeczeństwa małp, które im niby umożliwia myślenie i twórczość, dając obfite środki do życia, ułatwiając badania... Mniejsza z tym, że to szczęście nie wszystkich spotyka, że połowa duchów największych z głodu mrze po dawnemu, marnując się; mniejsza już o to, powiadam! Ale dla mnie, dla pana, dla nas wszystkich hańbą jest dostawać, jakby z łaski i pod miarą to, czym byśmy winni rozporządzać sami, nieograniczenie! Wszelkie dobro i wszystek życia cud do nas należy, bo nasze to duchy stworzyły, a obdarowany jest tylko tłum. Świat dzisiaj podobny do zwierzęcia potwornego, u którego brzuch się rozrósł, wielki nad potrzebę, kosztem nóg i głowy. Zamiast tłumowi, jak słuszna, kazać pracować na siebie, my wszyscy pracujemy na ten tłum ohydny, głupi, próżniaczy, niemający zajęcia poza urzędem nadanym. Pracują nań robotnicy, mędrcy pracują, a on trawi i...

Urwał w połowie zdania.

— Ordynarny wyraz ciśnie się na usta — rzekł po chwili — ale to trudno: ordynarne jest wszystko, co nas otacza. Trzeba z tego wyjść lub zdechnąć. Zacząć się teraz musi odwrotny bieg: fala przypływu cofającego się od wieków morza. Pocznie się nowa wojna święta i zdobywanie, raczej urzeczywistnianie praw najwyższych, zgoła niepowszechnych. Nie wolności nam dzisiaj potrzeba, lecz władzy i niewoli! Nie równości, lecz różnic! Nie braterstwa, lecz walki! Do najwyższych należy świat!

---

[444]*tingel* (z niem., daw.) — podrzędna kawiarnia lub restauracja, miejsce występów piosenkarzy, tancerzy, striptizerek; także: *tingel-tangel*.

— Jakie siły stawia pan w tej walce naprzeciw siebie? — spytał Jacek, oczy nań podnosząc. — Z jednej strony społeczeństwo całe, zorganizowane doskonale, zadowolone z tego, co jest, i gotowe przeto bronić istniejącego stanu wszelkimi siłami, a z drugiej?

— My.

— To znaczy?

— Twórcy, myśliciele, wiedzący: żywi.

— Dramat pan układa.

— Nie. Chcę życia. Życie tworzę. Można poruszyć pracowników istotnych, masę olbrzymią, świat z dołu na atłasowych barkach trzymającą: niechaj nim zatrzęsą! Będą woleli służyć najwyższym niż tej gawiedzi urzędniczej, tym emerytowanym, bezmyślnym próżniakom i darmozjadom.

— Złudzenia.

— A zresztą...

— Co?

— Wy sami jesteście potęgą. U was jest wiedza, u was jest moc!

Jacek zaprzeczył głową powoli, ale stanowczo i rzekł z dumą jakąś wewnętrzną:

— Nie, panie. Tylko wiedza. Moc, którą ona ze sobą przynosi, wynalazki wszystkie i praktyczne zastosowania oddajemy ludzkości do wspólnego użytku. To jest właśnie to, co pan służbą naszą nazywa. Wiedzę zostawiamy sobie, bo z tłumu nikt jej nie udźwignie. Więcej nic.

Grabiec spojrzał na Jacka ciekawie, jakby miał powody niezupełnie wierzyć, iż on wszystką moc czarodziejską i straszną, z wiedzy płynącą, tłumowi oddaje, lecz pohamował się i głosem na pozór spokojnym zapytał tylko:

— I czy zawsze tak ma być?

— Nie widzę wyjścia. Prawem ciężkości woda użyźniająca z podniebnych lodowców spływa w doliny.

— Dobre porównanie. Pan wie, że ta woda góry rozkrusza i z powierzchni Ziemi zmywa po to, aby poziom ogólny podnieść o jeden palec, by morskie dno dźwignąć nieznacznie? Płasko będzie na końcu. Gór zabraknie i lodowców, a doliny się ku niebu nie wzniosą.

— Gasną też gwiazdy życiodajne, wyczerpawszy moc swą na ogrzanie bezpłodnej przestrzeni. To snadź[445] prawo przyrody Ziemią, wszechświatem i ludzkim społeczeństwem rządzące.

— Tak, ale nie jedyne. Prawem przyrody zderzają się także wygasłe słońca, by z nich nowe, przyszłymi światami ciężarne mgławice wybłysły, prawem przyrody wewnętrzne ognie nowe łańcuchy górskie z głębin Ziemi wysadzają. Jeno przed każdym odrodzeniem iść musi zagłada! Jest i nam potrzeba trzęsienia Ziemi, co miasta w gruz wali i na pował[446] lądy całe wywraca.

— A jeśli po nim nowe życie nie wykwitnie?

— Musi.

Jacek pochylił głowę w zadumie.

— Władza, czyn, bój, życie... Czy nie przecenia pan sił ludzi, którzy całą swą istotę myśli oddali? Nie mówię już nawet o samej walce; przypuśćmy rzecz nieprawdopodobną, że powstaną ci najwyżsi i z pomocą, bo ja wiem? może wiedzy swojej i geniuszu; może tych mas roboczych, spokojnie dzisiaj drzemiących i wyzyskiwanych zawsze, zawsze uwodzonych zwyciężą: cóż dalej? Wierzy pan, że będą władać? panować? działać? Pan mówi, że sztuka prawdziwa i wielka jest dzisiaj tylko marnym, bo bezcelowym ujściem dla energii ducha, która by mogła w czynach się wyładować. Otóż to jest już złudzenie, żeby mogła. Oddzieliła się myśl nasza od naszych czynów i nam się tylko zdaje, żeby do nich zdołała powrócić. Pozostań pan przy sztuce swojej i przy granych na teatrze dramatach i nam pozwól pozostać w tym szerokim świecie myśli, do którego nikt niepowołany wedrzeć się nie zdoła. Nie warto schodzić w dół.

— A lord Tedwen? — rzucił Grabiec.

Na chwilę zaległo milczenie.

---

[445]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

[446]*pował* — zwalone drzewo w lesie; stos powalonych drzew; wywrócenie się drzew w lesie.

— Lord Tedwen — odparł wreszcie Jacek — rzucił władzę i jest dzisiaj tylko mędrcem. To właśnie dowodzi, że życia z myślą dzisiaj łączyć już niepodobna. Zostaw nas pan w spokoju.

— To pańskie słowo ostanie? — rzekł Grabiec z chmurnie namarszczonymi brwiami.

Uderzyło Jacka coś w jego głosie czy w wyrazie twarzy, że spojrzał mu bystro w oczy.

— Dlaczego pan pyta?

Grabiec nachylił się ku niemu.

— A gdybym ja panu rzekł, że Ziemia już drży, że tam, pod jej skorupą zastygłą, wzdyma się już fala ognistego przypływu, czy i wtedy, i wtedy?

Nagłym ruchem wzniósł Jacek głowę. Patrzyli sobie przez pewien czas w oczy w milczeniu.

— Czy i wtedy? — powtórzył Grabiec.

Jacek długo nie odpowiadał. Wreszcie powstając, rzekł spokojnie, lecz twardo:

— Tak. I wtedy nawet nie dam innej odpowiedzi. Nie wierzę w tłumny ruch. Niech mnie pan słucha: to, co jest, jest ohydne, ale gdy wstręt we mnie wszystkie uczucia przemoże, gdy zwątpię ostatecznie i uznam, że od takiego bytu lepsza zagłada i to już sposób ostatni, by odepchnąć zalewającą nas płytką falę, to, co potrzeba, zrobię ja sam.

Powiedziawszy to, skinął głową i zwrócił się do odejścia ku miastu.

IX

„Idę teraz rozbijać bank" — mówił Łacheć do siebie, przeliczając złoto, które mu jeszcze zostało z honorarium wypłaconego onegdaj[447] przez Towarzystwo Międzynarodowych Teatrów.

Niewiele już tego było: coś około dwudziestu sztuk, po odrzuceniu srebra, którego na stołach gry nie przyjmowano. Uśmiechnął się.

— To właśnie dobrze; więcej nie przegram.

Ale smutek dziwny go ogarnął. Onieśmielali go ci krążący gęsto we wspaniałym przedsionku mężczyźni strojni i wytworni, te kobiety z obnażonymi ramionami, śmiejące się, wonią pachnideł doskonałych owiane... Miał wrażenie, że mijając go, rzucają nań spojrzenia krótkie i urągliwe, szydzące z jego ubrania, nie dość dobrze skrojonego, i z niezgrabnej figury. Na próżno usiłował nadać sobie wyraz swobody i pewności siebie. Zapomniał, że ci wszyscy ludzie szaleli wczoraj pod wpływem dźwięków jego muzyki — czuł się wobec nich małym, zalęknionym, śmiesznym i nędznym.

Chciał się zgubić co prędzej. Oddał przy drzwiach kartę wstępu i wszedł na salę. W ucho mu wpadł znany, łaskotliwy, miałki brzęk złota, ustawicznie przesypywanego. Stoły gęsto były obstawione. Poza rzędem siedzących w krzesłach stali jeszcze inni i cisnęli się, rzucając stawki przez ich ramiona. Galeria typów, postaci, „nagich dusz", żądza złota z wszystkich pozorów ogołocona. Łacheć lubił czasem przed rozpoczęciem gry krążyć tutaj i przypatrywać się twarzom, ruchom, chwytać słowa rzadkie rozmów, urywanych i krótkich, a tak wymownych. Ale dzisiaj parł go jakiś niepokój wewnętrzny: pilno mu było zacząć grę samemu. Przeszedł szybko przez pierwszą i drugą salę, nie rzuciwszy nawet okiem na grających — w trzeciej dopiero rozejrzał się, czy nie ma gdzie miejsca wolnego.

Ktoś powstał i odchodząc, zaczął się przebijać przez szeregi za poręczami krzeseł stojące. Łacheć skorzystał z utworzonego wyłomu, aby się zbliżyć chyłkiem ku stołowi.

— *Messieurs! Faites vos jeux*[448]*!*

Na zielonym suknie leżały stosy złota i paski papierów podłużne stemplem domu gry oznaczone, które przy osobnej kasie graczom wydawano jako kwity na złożone sumy znaczniejsze. Dorzucano jeszcze i stąd, i zowąd garście pieniędzy; starszy krupier z talią kart w ręku czekał na ostatnie stawki spóźnione.

— *Rien ne va plus*[449]*!* — wyrzucił pierwszą kartę.

Ktoś jeszcze chciał na kolor czerwony parę sztuk złota postawić — obok siedzący pomocnik krupiera szybkim ruchem grabek odrzucił stawkę.

---

[447] *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj.

[448] *Messieurs, faites vos jeux* (fr.) — panowie, zaczynajcie grę (okrzyk krupiera w salonach gry).

[449] *rien ne va plus* (fr.) — więcej nie wolno już stawiać (zapowiedź krupiera tuż przed uruchomieniem ruletki).

— *Trop tard, monsieur, rien ne va plus*[450]*!* — powtórzył.

W ciszy najzupełniejszej, wyczekującej, zaszeleściły karty, pojedynczo na skórzaną podkładkę rzucane. Białymi palcami, ruchem szybkim i wytwornym, z najdoskonalszą obojętnością na wygolonej twarzy, krupier wkładał znaczki czarne i czerwone, doliczając oka.

— *Trente neuf*[451]*!* — zawołał, przerywając pierwszy szereg.

Rozjaśniły się oczy tych, co na kolor czerwony stawiali; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa szereg drugi nie dosięgnie tej cyfry, niższej tylko o jedno oko od maksimum.

— *Quarante*[452]*!* — zabrzmiało niespodziewanie. — *Rouge perd et couleur*[453]!

Ktoś syknął z cicha — kobieta jakaś nerwowym ruchem dłoni mięła ostatni banknot przed sobą leżący — zaśmiano się krótko w innej stronie. Grabki krupierów wpadły chciwie na złoto, zgarniając je z połowy stołu całą falą; miałki, sypki, ckliwy dźwięk rozległ się znowu. Na pozostałe, wygrywające stawki począł się sypać złoty deszcz: jeden z krupierów rzucał zręcznie z góry pieniądze, pokrywając nimi leżące na stole monety i papiery. Wyciągnęły się zewsząd ręce graczy. Niektórzy wycofywali sumy zdobyte lub przesuwali je na inne pola, inni — w miejsce straconych — nowe garście złota stawiali.

— *Messieurs, faites vos jeux!* — powtarzał starszy krupier słowa uświęcone, trzymając znów karty w pogotowiu.

Łacheć dotąd nie stawiał. Stał za krzesłem jakiejś grubej matrony i błądził okiem po graczach, dookoła stołu ściśniętych. Znał niektórych z nich. Przychodzili tutaj codziennie i grali zawsze — o jakiejkolwiek porze było wejść, spotykało ich się niechybnie, jeśli nie przy tym, to przy innym stole, z jednakowo zajętymi minami, z kupą złota i banknotów przed sobą i z białymi kartkami, na których każdą grę notowali skrzętnie.

Wygrywali czy przegrywali: zdawało się to nie sprawiać na nich głębszego wrażenia. Łacheć rozumiał, że ci ludzie grali jedynie po to, aby grać, bez celu innego, bez żadnej myśli dalszej. Patrzył na nich niemal z zazdrością, że ich cieszy i zajmuje to, co dla niego najprzykrzejszą jest pracą: gra sama, śledzenie kart z rąk krupiera padających, widok złota przesuwanego. Przegrana była dla nich klęską dlatego, że mogła im uniemożliwić grę dalszą — wygrana cieszyła ich, że zwiększała kapitał, który można było rzucać znów na sukno zielone.

Znać było, że ze zdziwieniem, niepozbawionym pewnej domieszki pogardy, patrzą na tych, którzy przybiegają do stołu, aby wygrać kilka sztuk złota i odejść, unosząc łup w kieszeni, jak gdyby go można tam, za drzwiami, lepiej zużytkować niż tutaj, na stół znowu rzucając.

A takich chciwców było wielu. Oni to stali w zwartych rzędach poza krzesłami, oni cisnęli się na każde wolne miejsce przy stole i oni... bank wzbogacali. Niektórzy z nich grali pojedynczymi sztukami złota, śledząc z niepokojem każdą kartę, padającą z rąk krupiera, od których los ich mizernych stawek zawisł — inni rzucali naraz majątki całe, góry kruszcu i banknotów, z pozorną obojętnością w twarzy, która jednak ściągała się dziwnym kurczem, gdy karty na stół padać poczynały.

I za każdą grą sumy po prostu nieprawdopodobne przez stół się przewalały. Łacheć patrzył na ten przypływ i odpływ, złotą falą sukno zielone wciąż zalewający, i liczył palcami w kieszeni nędzne grosze swoje, które miał rzucić w ten potop. Śmiech go zebrał gorzki.

Od dłuższego czasu grał tutaj codziennie, bez zapału, bez namiętności, nawet bez ochoty zgoła, odrabiając te kilka godzin co dnia, jakby nałożony obowiązek. Nudziło go to nawet i męczyło, ale postanowił sobie wytrwać.

Chciał wygrać. Chciał się po prostu uwolnić od tej zależności duszącej, która ciężyła nad nim jak zmora przez całe życie. Wszystko jedno mu było, jakim sposobem cel osiągnie: ten wydał mu się na razie najprostszym i — ostatnim.

Zdawało mu się niegdyś, chłopakowi młodemu, że rychło wybije się na wierzch talentem swym, w który wierzył niezłomnie, dziełami, które śniły mu się już jak ptaki o szerokich skrzydłach, z piorunami w szponach na świat w słonecznej glorii lecące...

---

[450]*trop tard, monsieur, rien ne va plus* (fr.) — za późno, proszę pana, więcej nie wolno już stawiać.
[451]*trente neuf* (fr.) — trzydzieści dziewięć.
[452]*quarante* (fr.) — czterdzieści.
[453]*rouge perd et couleur* (fr.) — czerwony przegrywa i kolor.

Śniła mu się jakaś królewskość nadchodząca, przed którą będą ludzie głowy chylili, jakieś radosne i święte podniesienie, ale z tych snów aż nazbyt wcześnie go rozbudzono.

Był dla dziwnej nieforemności ciała i lękliwego usposobienia pośmiewiskiem kolegów już w szkole powszechnej, którą, jak każdy, przebyć musiał obowiązkowo. Nauczyciele nie lubili go z powodu wiecznego roztargnienia, niepozwalającego mu skupić dłużej myśli na żadnym przedmiocie; dzikim go nazywano i tumanem, z którego świat nie będzie miał pożytku.

On też czekał dnia wyjścia ze szkoły jak wyzwolenia. Syn rodziców podrzędne mających stanowisko, a więc niezasobnych, śnić nawet nie mógł o tym, aby o własnych siłach oddać się studiowaniu muzyki, która, jedyna na świecie, miała dlań wartość i urok. Ale społeczeństwo, doskonale urządzone, w zasadniczych ustawach miało paragraf przyznający prawo do bezpłatnej nauki i utrzymania na koszt skarbu wszystkim, którzy by w jakim kierunku zdolność okazali.

Ukończywszy szkołę powszechną, miał nadzieję, że mu się uda dostać pod opiekuńcze skrzydła owej dobroczynnej ustawy; ale przy egzaminie, mającym wykazać jego muzyczne uzdolnienie, przepadł sromotnie.

Muzycy zawodowi, wysokie pensje ze skarbu biorący, powiedzieli bez ogródek i jednogłośnie, że powinien raczej rondle skrobać, bo jest cudak.

Był też i inny paragraf w ustawie, nakazujący wszystkim pracę obowiązkową. Zresztą, gdyby mu się nie chciał kto poddać — na jakiś czas przynajmniej — musiałby z głodu umrzeć.

Wyznaczono Łachciowi drobną posadę w Urzędzie Międzynarodowych Komunikacji, gdzie przez kilka lat uchodził znów za bałwana, za darmo chleb zjadającego. Nieludzkich po prostu wysiłków używał, aby się kształcić i ze szczupłej pensji opłacać prywatnych nauczycieli, mających mu otworzyć królestwo dźwięków; głodem przymierał, w łachmany się odziewał. Po odbyciu koniecznych lat „służby społecznej" w Urzędzie Komunikacji na nieodmiennie niskim stanowisku, gdy tylko nadszedł dzień, kiedy wedle praw obowiązujących wolno mu było ją porzucić — poszedł co rychlej, a lekkomyślnie w świat, z emeryturą tak śmiesznie małą, że musiałby co trzeci dzień tylko jadać, i to nieobficie, aby mu na życie starczyła — i z teką pełną orkiestralnych utworów, których mu nikt nie chciał zagrać.

On sam — twórca — zręczności wykonawcy nie posiadając, śnił jeno z tęsknotą, patrząc na nuty nakreślone, o dniu nienadchodzącym, kiedy by one dla własnych uszu jego zmartwychwstały wszystkie żywymi dźwiękami, i drżał z niepokoju a pragnienia na samą myśl taką.

Udawał się od jednej powagi muzycznej do drugiej, kołatał do teatrów i sal koncertowych, rozmawiał z wirtuozami — zawsze na darmo. Wzruszano ramionami, słysząc o jego samouctwie: nie miał patentu z ukończenia państwowej szkoły muzycznej, nie był do niej przyjęty nawet, a zatem nie posiadał talentu. Nie chciano z nim więcej gadać.

Raz tylko jakiś dyrektor w przystępie dobrego humoru obiecał wysłuchać jego koncertu. Łacheć czekał parę tygodni na dopuszczenie go przed oblicze dostojnika. Nadszedł wreszcie wielki dzień. Przyszedł do wytwornego gabinetu z zeszytami w ręku — onieśmielony, zalękły, dzikszy jeszcze i niezgrabniejszy niźli zazwyczaj. Dyrektor wskazał mu niedbałym ruchem ręki pianino.

— Zagraj pan — rzekł — mam piętnaście minut czasu.

Łacheć zaczerwienił się i wybełkotał coś niezrozumiałego.

— No prędzej, czas upływa — nalegał dostojnik, przeglądając jakieś notatki.

— Nie umiem.

— Co?

— Nie umiem grać — powtórzył Łacheć. — Tworzę tylko i dyryguję.

Dyrektor zadzwonił.

— Następny! — rzucił krótko lokajowi ukazującemu się we drzwiach.

Tak się skończyło to wiekopomne w jego życiu posłuchanie.

Zmuszony był w końcu udać się z prośbą o pomoc do pana Benedykta, dalekiego jakiegoś wuja z macierzystej strony. Pan Benedykt, rad w własnych myślach za człowieka dobroczynnego uchodzić, pomocy nie odmówił i sumek niewielkich kilkakrotnie w for-

mie pożyczek mu udzielił, ale hojnym nie był bynajmniej, zwłaszcza że nie wierzył i on w talent tego dziwnego muzyka, nieumiejącego grać nawet.

Po pewnym czasie dostał się Łacheć w łapy Halsbanda, na którego zamówienie za marny grosz, aby wyżyć, dorabiał muzykę do różnych lichych wierszydeł na zadane tematy.

Halsband, kolejno faktor, reporter, dziennikarz i właściciel wielkiego tygodnika, zajmował się obecnie historią sztuk i literatury, a równocześnie stał na czele ogromnego „Towarzystwa rozpowszechniania arcydzieł współczesnych i dawnych za pomocą udoskonalonych gramofonów". Tym to udoskonalonym bydlętom ryczącym służyła muzyka Łachciowa. Pisywał dla nich czasem nawet „nowo odkryte" utwory mistrzów pomarłych. Z wściekłości mścił się, jak mógł, na słuchającej tych okropności publice, parodiując gorzko najwspanialsze motywy, ale i na tym niewielu się poznawało.

Nadto Halsband, jako teoretyk sztuk i literatury, a przy tym dawny dziennikarz, miał swoje pretensje. Uważał za dobre i wysławiał przed innymi zawsze to, czego nie rozumiał, w przekonaniu snadź[454], że to najpewniejszy sposób okazania się mądrym i głębokim. A że dbał także rozumnie o tak zwane gusta publiczności, robiąc dla nich niekiedy „ustępstwa", więc Łacheć dostawał od niego do „obrobienia artystycznego" przedziwny materiał, będący po prostu chaosem, gdzie rzeczy przypadkowo naprawdę genialne mieszały się z popularnymi ohydami oraz z ramotami rozpaczliwymi, w których prócz dźwięku bezsensownych a napuszonych słów nic już zgoła nie było.

Groziła mu już śmierć z uduszenia w tej atmosferze, w której musiał żyć, kiedy przez przypadek czy fantazję jakąś zwróciła Aza nań uwagę. Dowiedziała się z żartobliwych napomknień pana Benedykta, że Łacheć w nocach bezsennych zorkiestrował sławny *Hymn o Izydzie* wyniosłego Grabca, i zapragnęła śpiewać go właśnie w zrujnowanej świątyni na Nilu, która dotąd jeszcze nigdy teatrem nie była.

Rzecz się wydała zrazu wprost niesłychaną, ale Aza przemogła wszystkie przeszkody i postawiła na swoim. Zwaliska stare na nilowej toni zamieniono na jedną noc w salę koncertową. Ludzie ze wszystkich stron świata ściągnęli, aby być świadkami tego dziwowiska, więcej sławą przemożną śpiewaczki i niezwykłością pomysłu przywabieni, niźli znanym imieniem Grabca i zgoła nic im już niemówiącym młodego kompozytora.

Łachciowi zapłacono jednak znaczną stosunkowo sumę. Przeliczał długo i obracał w rękach po raz pierwszy na swe imię wystawione czeki. Poczuł nagle, że w tym złocie, które za nie mógł dostać, jest moc. Dziwna, ciężkimi młotami w mennicy w kruszec zakuta moc, która daje posiadaczowi wolność czynienia, co mu się podoba, rozkazywania ludziom, użycia, tworzenia...

Zacisnął rękę... Mściwość jakaś wściekła ściągnęła mu mięśnie w twarzy i dłonie w pięście zwinęła. Za upokorzenia wszystkie, za głód, za nędzę, za te szmaty brudne, którymi się odziewał, za ukłony Halsbandowi oddawane, za służbę gramofonom, za niewolę, za połowę życia prawie zmarnowaną!

Głosy, nie wiadomo skąd zlatujące, dziwne w uszach mu zabrzmiały, pieśni jakieś niewysłowione, burze dźwięków i przewiewy wiatru po zeschłych ziołach zamarłego stepu... Rozwarł oczy szeroko, brodę wsunął między dłonie. Rysy twarzy wygładzały mu się z wolna: patrzył w głąb duszy swojej, na skarby tam ukryte, każdej chwili wybłysnąć na świat gotowe.

Uczuł, że właściwie nic go nie obchodzi to wszystko, co przeszedł, że nie ma żalu do nikogo, że nie chce nawet, aby go słuchano, jeno tworzyć pragnie i żyć, żyć w dźwięku tych pieśni, co się z duszy jego snują. Radość cicha, ufna, dziecięca wypełniła mu serce po brzegi i rozlała się na szerokich ustach jasnym uśmiechem.

Długo siedział w milczeniu. Zerwał się nagle i począł znowu przeliczać pieniądze. Tak, sumy tak wielkiej nigdy za życia w ręku jeszcze nie miał, a jednak jest ona mała, rozpaczliwie mała, jeśli chce sobie za nią kupić spokój i swobodę, i prawo tworzenia... Na rok wystarczy, może na dwa lata. A potem znowu powrót do nędzy, do brudu, do upokorzeń lub w najlepszym razie konieczność zabiegów, handlu, sprzedaży, obowiązek

[454]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

myślenia o powodzeniu, o upodobaniach bezwzględnie mu wstrętnej gawiedzi, o łaskach wirtuozów, kabotynów[455], histrionów[456], o poparciu śpiewaczek...

Niespodziewana fala krwi uderzyła mu do głowy. Nie umiał w pierwszej chwili zdać sobie sprawy, czy to wstyd, czy inne jakieś nowe i dziwne uczucie. Zrozumiał jedno, że nie chce, nie może zgodzić się na to, aby Azie cośkolwiek zawdzięczał jako swojej dobrodziejce. W pierwszym porywie chciał wziąć otrzymane pieniądze w garść i iść, i rzucić jej pod nogi...

Opamiętał się. Aza wybuchnęłaby wtedy śmiechem, patrząc na niego jak na błazna i na tę marną dla niej sumę, która jest jednak całym jego majątkiem.

Przez nią zapracowanym majątkiem! Jej się spodobało, aby miał pieniądze — ona mu je podarowała po prostu.

Przymknął oczy, dłonie zwinął przed twarzą. Stanęła mu żywo w pamięci taka, jaką widział na próbach, wykonaniem dzieła swego dyrygując: wyniosła, królewska, przepiękna.

I słodka! I słodka — jak życie, jak obłęd, jak śmierć...

Inaczej, inaczej stać przed nią kiedykolwiek, bodaj raz za żywota! Być panem, władcą, bogiem — mimo tę postać niezgrabną, mimo tę ohydną rozczochraną głowę, pięknym być mocą i wielkością!

Trzeba pracować, tworzyć!

Trzeba mieć za co żyć.

Z mimowolną pogardą zmiął czeki, olśniewające go przed chwilą, i wsunął do kieszeni. W najbliższej kasie państwowej zamienił na złoto i poszedł prosto do domu gry.

Grał uporczywie, zaciekle, a jednak zimno. Postanowił wygrać sumę jakąś nieprawdopodobną, która by mu dała niezależność zupełną na całe już życie. Nie ryzykował, nie szalał. Pracował po prostu ciężko, zdobywał przy zielonych stołach jedną sztukę złota po drugiej lub... tracił w ten sam sposób.

Po godzinach długich wychodził, by zaczerpnąć powietrza, z rezultatem tak śmiesznym, że chwilami rozpacz go ogarniała, gdyż widział, że nawet przegrać posiadanych pieniędzy nie może i tak pozbyć się przynajmniej gnębiącej go a złudnej snadź[457] nadziei. Były momenty, że pragnął wprost stracić wszystko, aby nie czuć obowiązku rzucania się dalej w ten nieznośny dla siebie wir gry.

Ale taki nastrój przemijał szybko.

— Muszę wygrać! — powtarzał znów z uporem i wracał do sal „pracować" dalej w pocie czoła.

Grał ostrożnie, chciałoby się rzec: po chłopsku. Od nieznaczących stawek zaczynał, a podwyższał je dopiero w miarę, gdy mu wygrana na to pozwalała. Los igrał z nim tymczasem jak kot z myszą. Gdy po godzinie walki, w której zdobywał po jednej sztuce złota, przechodził do energiczniejszego ataku i rzucał naraz większą sumę na stół: karta nieodmiennie padała na jego niekorzyść.

Czasem, gdy widział, jak się złoto przed nim całymi falami przesypuje, jak ludzie w przeciągu paru minut wygrywają sumy zupełnie już fantastyczne, ogarniała go żądza zaryzykowania wszystkiego, co ma, na jeden rzut. Wszak to tak łatwo wygrać: postawić sumę na kolor szczęśliwy i podwoić ją, po drugim rzucie będzie już w czwórnasób zwiększona, po trzecim ośmiokrotnie...

Tak, tylko mieć właśnie ten moment szczęśliwy, tylko trafić!

Postawił jedną sztukę — dla próby: wygrał. Zadrżała mu ręka — rzucił sztuk dziesięć: drapieżne grabki krupiera zgarnęły je do kasy. Zaczynał znowu od jednej sztuki.

Tak było do tej chwili — ciągle. Obawiał się, że i teraz tak będzie. Zaczął stawiać nieśmiało, wstydliwie, przesuwając rękę z błyszczącym krążkiem złota ponad ramieniem siedzącej przed nim damy, która oglądała się nań za każdym razem złymi oczyma w obawie, że potrąci jej przedziwny kapelusz. Łacheć cofał się wtedy skromnie i powtarzał: „przepraszam", zaledwie śmiejąc potem sięgnąć po wygraną.

---

[455]*kabotyn* — człowiek, który usiłuje imponować tanimi efektami i zgrywaniem się na znawcę.

[456]*histrion* (z łac. *histrio*: aktor) — tu: aktor; w średniowieczu wędrowny aktor, uprawiający rodzaj bezsłownych przedstawień, niekiedy z towarzyszeniem muzyki.

[457]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

Bo los zaczął mu się uśmiechać. Tym razem wygrywał wciąż, zrazu po parę sztuk, później, gdy się rozzuchwalił, całymi garściami. Po pewnym czasie poczuł, że kieszeń, do której, stojąc, pieniądze wsypywał, poczyna mu ciążyć. Wsunął dłoń i przeląkł się. Kieszeń była pełna — wśród złota szeleściły mu pod palcami banknoty, które tylko na znaczniejsze sumy wydawano.

„Przyszła moja godzina" — pomyślał.

W sposób zgoła bohaterski zaczerpnął w kieszeni, ile dłoń mogła pomieścić, zawahał się chwilę...

„Postawię na kolor czerwony; pięć razy z rzędu postawię!"

Nie licząc, rzucił na stół.

— *Trente deux*[458]! — zabrzmiał po chwili znudzony głos krupiera.

Łacheć pobladł z lekka.

„Stracę!" — pomyślał.

Jeszcze sekunda...

— *Trente un*[459]!

Wygrał nadspodziewanie. W uszach mu zahuczało.

Krupier przeliczył szybko pieniądze i dorzucił równą sumę tak obojętnie, jakby garstkę grochu dla zabawki po zielonym suknie przesuwał.

Łachciowi zadrgała dłoń: chciał wycofać wygraną.

„Powiedziałem sobie, że pięć razy z rzędu na ten kolor postawię" — pomyślał i zostawił wszystko na stole.

Znowu wygrał kolor czerwony. Krupier tym razem, przeliczywszy jego stawkę, usunął złoto i położył kilka podłużnych pasków papieru.

„Powiedziałem sobie, że pięć razy postawię" — powtarzał Łacheć w myśli uporczywie, powstrzymując odruch ręki, która chciała zgarnąć banknoty do kieszeni.

I znów wyszedł kolor czerwony. I jeszcze raz. Czterokrotnie. Poczęto już poglądać z zazdrością, jak na szczęśliwego gracza: suma leżąca na stole i bezsprzecznie jego, jego własna, była naprawdę ogromna. Czuł w szyi duszące tętna krwi — chciał chwycić pieniądze i uciekać.

„Do piątego razu, powiedziałem!"

Pot kroplisty wystąpił mu na skroń. Jeśli jeszcze teraz suma się podwoi...

Krupier, kładący karty, rozglądał się wokoło z talią w ręku, pytając wzrokiem, czy wszystkie stawki są już na miejscu. „Nie, nie! To niepodobna, aby jeszcze raz wyszedł kolor czerwony!" — huczało Łachciowi w głowie.

— *Rien ne va plus!*

Gwałtownym ruchem chwycił grabki i przegarnął stos banknotów na sąsiednie pole w środku stołu — właśnie w chwili ostatniej, gdy już pierwsza karta padała.

Czekał z zapartym oddechem.

— *Rouge gagne, couleur perd*[460].

Łacheć właśnie z pola czerwonego przesunął stawkę swoją na *couleur*. Przegrał wszystko.

Jakoś go to nie dotknęło. Aż się sam zdziwił. Poczuł tylko straszną zawziętość.

„Dobrze mi tak — pomyślał. — Trzeba było zostawić. Teraz się poprawię".

Co tylko mógł w rozwartą dłoń zaczerpnąć, nabrał z pozostałej reszty w kieszeni i postawił na *rouge*.

Karty ze znanym mu drażniącym szelestem poczęły z ręki krupiera padać na skórzaną podkładkę. Łachciowi sekundy wydawały się niezmiernie długimi. Niby obojętnie podniósł oczy i zaczął się przyglądać graczom około stołu. Zajął go najpierw za krzesłami stojący brodaty Żyd, który chociaż sam nic nie postawił, patrzył w najwyższym podrażnieniu za grą w rękach krupiera, kręcąc głową nerwowo i mlaskając językiem po wyschniętym snadź[461] podniebieniu.

— *Rouge perd, couleur gagne*[462].

---

[458]*trente deux* (fr.) — trzydzieści dwa.
[459]*trente un* (fr.) — trzydzieści jeden.
[460]*rouge gagne, couleur perd* (fr.) — czerwony wygrywa, kolor przegrywa.
[461]*snadź* (łac.) — widocznie, najwyraźniej, prawdopodobnie.
[462]*rouge perd, couleur gagne* — czerwony przegrywa, kolor wygrywa.

„Aha — pomyślał Łacheć, patrząc, jak pieniądze jego przegrane do kasy zgarniają — trzeba było tamtym razem wedle postanowienia na *rouge*[463] zostawić, a teraz dopiero przesunąć na *couleur*[464]".

Niesłychana jasność tego zdania uderzyła go.

„To takie proste" — powtarzał w kółko w myśli, nie mogąc się połapać, jak właściwie teraz ma stawiać.

Nie uważał nawet, że kilka gier tymczasem przeszło. Usiłował sobie przypomnieć: zdawało mu się, że słyszał ciągle wygrywający kolor czarny — jedna gra była nierozstrzygnięta.

„Trzeba stawiać tedy na *noir*[465]".

Wyciągnął rękę pełną znów złota.

Krupier powstrzymał go uprzejmym ruchem. Mieszano w pośrodku stołu karty na nowo; podczas tego uroczystego i z pełnym ceremoniałem odbywającego się obrzędu wszystkie stawki muszą być cofnięte.

„To dobrze, to dobrze! — zaśmiał się w duszy. — Byłbym znowu głupstwo palnął. Przecież rozum sam wskazuje, że jeśli czarne wygrały kilkakrotnie, to teraz musi się odmienić, a więc na czerwone dalej stawiać powinienem".

— *Faites vos jeux, messieurs*[466]!

Postawił na czerwone i przegrał. Siedemnaście razy stawiał na kolor czerwony i siedemnaście razy czarny kolor wygrywał.

Patrzył wciąż na Żyda kręcącego głową. Zauważył, że trzyma on w ręku złotą monetę i nie może od godziny zdecydować się, gdzie ją postawić. Oczy mu wychodziły na wierzch, językiem mlaskał obrzydliwie i coraz głośniej.

Łacheć uśmiechał się.

„Ten się musi męczyć dopiero!"

Sięgnął do kieszeni, aby jeszcze raz postawić; palce pod ostatnimi sztukami złota trafiły na płótno. Otrzeźwiał nagle, jakby z jakiegoś snu, w którym nie był sam sobą. Przerażenie go ogarnęło.

„Jak to? — powtarzał w myśli — przecież miałem już tyle..."

Zdawało mu się, że wszyscy patrzą nań i śmieją się. Cofnął się chyłkiem od stołu, jakby uciekał. Krew pulsowała mu w skroniach — ckliwe ciarki rozchodziły się po całym ciele. Teraz dopiero myślał przytomnie o swojej grze — wszelkie momenty, na które przy stole nie zważał, stawały mu żywo w świadomości. Zaczął rozumować. Trzeba było przejść do koloru czarnego, bo widocznie była *passa*. Wystarczyłoby parę sztuk położyć na *noir* i czekać spokojnie. Byłby majątek. A jeśli nie, to już raczej należało odstąpić, kiedy zauważył, że mu się nie szczęści. Przecież tak robił zawsze do tej chwili. Gdyby był odszedł przed kwadransem, byłby miał....

Liczył w pamięci, ile mógł mieć przed kwadransem.

A teraz?

Wsunął rękę do kieszeni i chodząc po sali ze spuszczoną głową, przeliczał pozostałe złoto. Potrącał ludzi, albo ustępował im niezgrabnie z drogi, wchodząc innym na palce. Ktoś syknął przez zęby, ktoś obdarzył go niezbyt pochlebnym epitetem. Nie zważał na to; nie słyszał po prostu.

Monety w kieszeni palcami przeliczane mieszały mu się ciągle, to znowu liczby zapominał i zaczynał rachować na nowo.

Wreszcie stanął i nie krępując się już obecnością patrzących nań ludzi, garstkę złota ostatnią na dłoń wysypał, licząc. Miał mniej więcej tyle, co przed rozpoczęciem gry — właściwie tedy nic nie stracił oprócz pieniędzy wygranych.

Powiedział to sobie niemal głośno, niby na pocieszenie, ale mimo to nie mógł się pozbyć ogarniającego go przygnębienia, które z każdym momentem podobniejsze było do rozpaczy.

Był bogaty — przed chwilą. Tak jest, to, co wygrał, było już niewątpliwie jego własnością, a był to przecie majątek zdolny mu dać na zawsze tę wolność, tę swobodę, to

[463]*rouge* (fr.) — czerwony.
[464]*couleur* (fr.) — kolor.
[465]*noir* (fr.) — czarny.
[466]*faites vos jeux, messieurs* (fr.) — panowie, zaczynajcie grę (okrzyk krupiera w salonach gry).

życie, za którym tęsknił. Los się doń uśmiechnął i złoto przemiótł przez jego kieszenie na tak krótką chwilę, że nawet dotknięciem jego nie miał się czasu ucieszyć — i poniósł dalej jak wiatr suche liście.

Tylko dlatego, aby on miał teraz to uczucie straty.

A dalej?

Trzeba zacząć znowu resztkami ostrożną, mozolną, nędzną grę albo wyrzec się jej i wydawszy te ostatnie grosze z łaski śpiewaczki mu spadłe, wrócić do Halsbanda, do gramofonów, do wystawania w przedpokojach dyrektorów teatru, do pracy zarobkowej, niszczącej wszystko, co tam w głębi duszy się rodzi.

Uczuł, że ani na jedno, ani na drugie sił już nie ma; miał ochotę płakać jak dziecko.

Naraz — dziwna jakaś obojętność.

— Wszystko jedno — szepnął, uśmiechając się z uczuciem ulgi niespodziewanej: przecież to taka drobnostka, co jutro będzie! A dzisiaj... mogę się jeszcze napić flaszkę szampana! Starczy. Wszedł do bufetu i rzuciwszy się na okrągłą kanapkę w kącie stojącą, kazał sobie podać wino.

— Pół flaszki? — bąknął dostojny kelner, z ledwo dostrzegalnym odcieniem impertynencji, obrzucając szybkim i do oceniania gości nawykłym spojrzeniem postać Łachcia niepokaźną.

— Całą. Extra dry.

— Służę panu.

Łacheć rozrzucił długie ręce po oparciu kanapy, nogę na nogę założył. Ogarnęło go uczucie słodkie boskiej beztroski człowieka, który właściwie nie ma nic do stracenia. Uśmiechnął się do siebie, myśląc o grze swojej i o przegranej, uśmiechał się jeszcze na myśl, że nędzarzem jest właściwie, a rzuca tutaj złoto i pije szampana, gdy mu się tak podoba.

Nalał sobie szklankę po brzegi z przyniesionej flaszki i nie wznosząc głowy na oparcie w tył odrzuconej, zbliżył do ust. Poczuł na wargach smak mikroskopijnych kropelek pryskającego płynu, a w nozdrza uderzył go rzeźwy, podniecający zapach.

Ze szklanką przy ustach patrzył spod spuszczonych powiek na ludzi przed nim krążących. Jeden łyk wina uderzył mu od razu do głowy.

„Jestem sobie pan — myślał — przegrałem, bo mi się tak podobało, wolno mi. Piję dobre wino tutaj, na aksamitnej kanapce, bo mi się tak podoba, a jak zechcę, to jutro plunę w pysk całej tej wystrojonej hołocie, co patrzy na mnie jak na wilka. A jak znowu zechcę, to się powieszę i koniec! Robię, co chcę".

Była mu strasznie przyjemna ta świadomość absolutnej wolności, do ostatnich granic posunięta, niewątpliwa. Powtórzył sobie to zdanie kilkakrotnie, dziwiąc się w rozweselonym sercu, że jest takie proste i jasne i że mu wcześniej na myśl nie przyszło.

Smukła kibić rozmawiającej z kimś kobiety przesunęła się mu przed oczyma. Tyłem była doń zwrócona, ale on ją poznał od pierwszego spojrzenia, poznał wpierw, nim ruch jej zdołał okiem uchwycić, nim spostrzegł barwę jej włosów.

Gruchnęło mu coś w piersi jak młotem, aż uczuł w gardle dławienie. Powstał, potrącając stół, i usiadł szybko z powrotem, pomyślawszy, że nie wiadomo, po co powstaje.

Kobieta tymczasem, obejrzawszy się snadź na stuk pchniętego mebla, dostrzegła go i stała, uśmiechniętą łaskawie twarzą ku niemu zwrócona, oczekująca, aby ją powitał.

— Aza...

Wstał znowu i niezgrabnym ruchem zbliżył się ku niej. Ręce mu drżały i pot nagle okrył czoło; gdy jej dłoń podawał, przyszło mu do głowy, że ona z pewnością, widząc go tutaj, myśli, iż on gra pieniędzmi przez nią zarobionymi. Wstyd go objął gryzący i wściekłość, wobec której tracił resztę przytomności. Nie uważał prawie, jak Aza przedstawiała go swemu towarzyszowi, dosłyszał tylko wyraz „mój muzyk", który go ukłuł niepojęcie.

— Rzucam już muzykę, proszę pani — wyrwał się głupio i bez namysłu.

— Co pan mówi? — zaśmiała się śpiewaczka. — Czyżby pan już tak wiele wygrał...?

Zaledwie to powiedziała, żal jej się zrobiło. Łacheć spąsowiał i uśmiechnął się dziwnie, jakby mu się usta mimo woli do płaczu raczej kurczyły. Dotknęła jego ręki.

— Panie Henryku — ozwała się doń po imieniu z lekkim odcieniem dobrotliwej wymówki w głosie — tego nawet żartem nie trzeba mówić! Pan jest wielkim twórcą i szkoda by było zaprzepaszczać tak piękny talent, który już teraz przecież wybić się musi.

Muzyk był karmazynowy; czuł, że mało, a krew mu tryśnie oczami. Aza tymczasem rozbawiona mówiła dalej, główkę przechylając z łaskawą zalotnością.

— Dlaczego nie był pan u mnie po koncercie? Oczekiwałam pana. Chciałam podziękować jeszcze raz za tę cudowną muzykę. To pański tryumf był, nie mój i nie Grabca nawet!

„Chce mi z łaski sprawić przyjemność" — pomyślał.

Zdawało mu się, że towarzysz Azy, młody, niezmiernie wytworny człowiek, zrozumiał to tak samo i patrzy nań drwiącym okiem, jak na żebraka.

Szarpnęła się w nim duma i głowę mu rzuciła do góry. Pobladł naraz i pomijając wzrokiem strojnego młodzieńca, który właśnie usta otwierał, aby zdawkową pochwałę do słów Azy dorzucić, spojrzał jej prosto w twarz jasnymi, otchłannymi oczyma.

— To ja pani dziękuję — rzekł powoli cedząc wyrazy. Była pani doskonałą wykonawczynią dzieła mojego. Nie życzę sobie lepszej. Jestem zupełnie zadowolony i jeszcze raz dziękuję.

Ukłonił się szybko, z niespodziewaną dla siebie zręcznością i wyszedł. We drzwiach przypomniał sobie, że nie zapłacił za wino. Rzucił służącemu niedbale parę sztuk złota, niemal połowę tego, co mu zostało jeszcze przy duszy, i wybiegł, nie oglądając się już, na schody.

Tutaj opuściła go nagle chwilowa pewność siebie; naprężone nerwy odmówiły posłuszeństwa.

„Idiota jestem — myślał, przeciskając się przez ciżbę ku ogrodom — idiota, błazen, nędzarz i cham. Co ona sobie teraz o mnie pomyśli? Rozmawia zapewne z tamtym cacusiem i śmieje się..."

Obłędna nerwowa rozpacz go ogarnęła. Wtulił palce w szerokie usta i gryzł je, pędząc przez aleje palmowe, z których upał wygnał wszystkich przechodniów.

— Byle dalej! Byle uciec!

Czuł, że łkanie dusić go w piersi poczyna, że dałby wszystko, życie całe i duszę, byle mógł z nią mówić inaczej, tak jak tamten, i żeby ona tak na niego patrzyła...

„Powieszę się" — błysnęło mu przez myśl. Zacisnął zęby z nagłym i niezłomnym postanowieniem i począł szukać okiem drzewa ustronnego z wygodną gałęzią.

— Tak, powieszę się — powtarzał. — To wszystko nie ma już zgoła sensu. Zbyt nędzny jestem i nazbyt głupi.

Zobaczył drzewo figowe o rozłożystych, krętych konarach. Wyszukał wzrokiem jeden z nich — sięgnął ręką, czy mocny. Kapelusz rzucił na ziemię, zerwał kołnierzyk. Był gotów.

Przypomniało mu się naraz, że nie ma z czego zrobić pętli. Szelki zbyt słabe urwałyby się niechybnie. Cały ohydny a tragiczny komizm sytuacji stanął mu przed oczyma. Usiadł na ziemi i począł się śmiać spazmatycznie, chociaż łzy gorące i duże z oczu mu płynęły.

X

Jacek postanowił był wyjechać z Aszuan, nie widząc się wcale z Azą. Zły był na siebie, że w ogóle uległ jej namowom, a raczej posłuchał mimochodem rzuconego wezwania, bo ona przecież nie namawiała go nawet wcale — i przybył wbrew zamiarowi po to chyba jedynie, aby uczuć znowu ciążącą na sobie niewolę jej uroku. Rozdrażniła go przy tym rozmowa z Grabcem. Widział już teraz, że ten szczególny człowiek, genialny jako pisarz, a myślą o wywyższeniu twórców obłąkany, rzeczywiście przewrót jakiś przygotowuje — i nierad o tym myślał, nie wierząc w możliwość powodzenia. Wprawdzie i w nim samym aż nazbyt często zrywał się bunt przeciw samowładztwu wszelkiej miernoty, która rzeczywiście twórców i myślicieli dla dobrobytu swego wyzyskiwała, pozorną im jeno i niby czestną[467] ostawiając swobodę, ale gasił on go szybko wolą przemożną, jako odruch uczucia niegodny ducha, co wielki jest sam w sobie, i jeno coraz wynioślejszym, choć jeszcze niezmiennie pobłażliwym poglądał okiem na otaczających go ludzi. W zamęt walki bez ostatecznej konieczności mieszać się nie miał ochoty: zbyt wiele mieli owi najwyżsi duchem do stracenia, aby warto było rzucać to na kartę jedną dla nie dość cennego zysku, jakim mogłoby być panowanie nad zgiełkiem życia.

[467] *czestny* a. *czesny* — cnotliwy, szlachetny, znakomity; także: doczesny, ziemski.

Ale Grabca powstrzymywać nie chciał i nie mógł. Przede wszystkim czując, że w zasadzie on ma słuszność w tym, co mówi, następnie zaś wiedząc, że i tak na nic by się to nie zdało.

Myślał o tym w hotelu, zamykając małą torbę podróżną, którą brał z sobą na samolot.

W tej chwili zapukano do drzwi. Obejrzał się żywo.

— Kto tam?

Przyszło mu na myśl, że może to być posłaniec od Azy, a chociaż niby postanowił odlecieć, nie widząc się z nią, serce mu dziwnie radosną nadzieją zabiło.

Z pewnym rozczarowaniem ujrzał na progu znanego sobie lokaja, którego mu do posługi przydano.

— Ekscelencjo, wedle życzenia samolot jest już gotowy.

— Dobrze, zejdę zaraz. Czy pytał kto o mnie?

Lokaj zawahał się.

— Ekscelencja nie kazał wpuszczać nikogo.

— Kto był?

— Posłaniec.

— Skąd? Od kogo?

Zawołał to mimo woli tak głośno, że aż mu się wstyd zrobiło, zwłaszcza gdy spostrzegł, jak po wąskich ustach lokaja przebiegł uśmiech dyskretny.

— Z Old-Great-Cataract-Palace. Zostawił list.

Podał Jackowi podłużną, wąską kopertę.

Jacek rzucił okiem na papier.

— Kiedy to przyniesiono?

— Przed chwilą właśnie.

— Tak... dobrze — mówił, przebiegając oczyma kilka wierszy, dużym, wyrazistym pismem skreślonych. — Każcie samolot wtoczyć z powrotem do hangaru; pojadę później.

Jak stał, w podróżnym ubraniu, skoczył do liftu i w chwil parę był już na dole. Do mieszkania Azy w Old-Great-Cataract-Palace był spory kawałek drogi, niezbyt miły zwłaszcza teraz w upale, ale on mimo to odprawił ruchem dłoni podjeżdżający samochód i puścił się piechotą. Mimo że już dzisiaj chodził wiele, czuł potrzebę ruchu, który go zawsze uspokajał.

W drodze przebiegło mu jeszcze przez myśl, aby zawrócić i odlecieć, kartą tylko Azę przeprosiwszy.

Roześmiał się sam ze siebie. Do czegóż prowadzą te dziecinne wybiegi? To było przecież niewątpliwe, że się z nią zobaczy. Gdyby nawet nie była przysłała[468] po niego, byłby z pewnością w ostatniej chwili jakiś pozór dla siebie wynalazł i poszedł sam.

Dziwny był jego stosunek do tej kobiety. Wiedział, że go nie kocha i kochać nigdy nie będzie, i wiedział zarazem, że trzyma go przy sobie świadomym nieprzepartym urokiem, gdyż jej to snadź[469] pochlebia mieć wśród tylu głupców pozłacanych mędrca u swoich stóp — i dla tej jeszcze zabawki, aby go widzieć niezaradnym wobec siebie i słabym... A poza tym mogła mieć ukryte osobiste powody, dla których go puścić z ręki nie chciała; wszakże on ze swym stanowiskiem, wiedzą i imieniem mógł jej być tak często i w ważnych dla niej rzeczach pożytecznym w tych kołach właśnie, gdzie zazwyczaj jej kobieca władza przemożna już nie sięgała.

Wiedział o tym wszystkim i o tym jeszcze, że wybrała świadomie dla ich stosunku tę obłudną zawsze formę przyjaźni, aby go dręczyć tym więcej i tym pewniej do siebie przywiązać, ale się nie oburzał ani żalu do niej nie czuł żadnego. Jeśli wyrwać się czasem chciał spod jej przewagi, to jeno[470] dla tego, aby się od męki bezwzajemnej uchronić i myśl od czaru uwolnić, pod którym ćmiła się i mieszała coraz częściej.

Ale sił mu na to brakowało i myślał wtedy, że jednak męka ta i to patrzenie upojne na cud przedziwny jej ciała to jedyny dział jego, który wziął od życia, poza kręgami jego niejako resztą istoty swej się unosząc.

Czasem, kiedy krew w nim wzbierała i ogarniało go pragnienie obłędne pocałunków jej i uścisków, wił się jak robak w bólu niewysłowionym, myśląc, że ona piękności swojej

[468]*była przysłała* — forma daw. czasu zaprzeszłego, dziś: posłała (dawniej, wcześniej, uprzednio).
[469]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[470]*jeno* (daw.) — tylko.

nieprzepłaconym skarbem szafuje i kupczy może nie tylko na deskach teatru w setnym jarzących świateł rozlśnieniu, lecz także w wonnej ciszy swego pokoju, kiedy blask lamp przyćmionych zaledwie ustom świętokradzkim ku białej piersi drogę wskazuje.

Tak myśleli wszyscy i on, inaczej myśleć nie śmiejąc, starał się zazwyczaj wcale o tym nie pamiętać. A kiedy obłęd tej myśli go ogarnął, zmagał się z nią i zgniatał ją w sobie, dopóki nie zgasła w jakimś ogromnym morzu tęsknej czułości, co wszystko gotowa przebaczyć, ulitować się wszystkiemu.

— Mojaś ty — szeptały mu usta wówczas — moja, choć tysiące patrzą na ciebie i ręce po ciebie wyciągają, bo ja jeden może zdolny jestem piękno twego ciała zrozumieć i czuć twoją biedną, jasną duszę, gdzieś na dnie serca schowaną, do której zaledwie echo życia twego dochodzi.

I patrzył na nią znowu z dobrą, choć smutną pobłażliwością, i godził się nawet na słabość swą wobec niej i to, co świat by nazwał poniżeniem, jak czasem człowiek dorosły poddaje się rad kaprysom dziecka ukochanego, co mu na czworakach biegać około stołu każe.

To uczucie miał i teraz, idąc do hotelu na jej wezwanie bez pewności nawet, jak go przyjmie i jak powita. Wiedział, że będzie to zależne od chwilowego jej usposobienia, ale szedł, bo chciał ją widzieć on sam. Myślał o niej słodko i cicho.

Przystanął mimo woli w miejscu, gdzie szeroka aleja palmowa zakrętem o pustynię bliską ocierała się niemal. Przymknął powieki, tyle jeno otworu źrenicom właśnie zostawiając, iżby słońce na twarz mu padające mogło w nie oprócz barwy krwi jego własnej rzucać jeszcze pozłotę piasków na bezbrzeż już tutaj za zielonymi polami koniczyny rozsypanych i żółtych.

Powoli wszystko w świadomości jego poczęło się rozpływać i gubić. Zapomniał niemal, gdzie jest, po co wyszedł z domu i dokąd dąży. Uczucie ulgi niewysłowionej i słodkiej, uczucie pokoju niezgłębionego spływało nań z promieniami słońca. Przewinęło mu się jeszcze przez pamięć: Aza, Grabiec, loty jakieś górne i ciężki ducha trud, mędrzec Nyanatiloka — i topniało wszystko, jak wiosenny śnieg tam, w ojczyźnie jego, gdy ciepło bije z nieba, z ziemi już rozpulchnionej, z rozpętanych wód.

Słońce! Słońce...!

Był moment, że nie myślał już o niczym innym, jak tylko o słońcu i wietrze od skał dalekich, różowych odbitym, gorącym, przez pustynię kędyś przebiegłym od morza błękitnego, od fal ciepłych, co na piasek się wślizgują z lubieżnością kotów, gdy z histerycznym pomrukiem łaszą się około głaszczących je dłoni. Upajała go wonna, dzwoniąca w uszach cisza odwieczerza i pieszczota wiatru słodkiego, którą czuł na twarzy, we włosach, na warg rozchyleniu.

Dziwne, łaskotliwe uczucie fizycznej niemal rozkoszy rozpłynęło mu się po członkach.

— Tak całować muszą jej usta, tak pieszczą dłonie miękkie, słodkie, wonne...

Świadomość i wrażliwość swą zatrzymał na jakimś punkcie odczuwania, jak kulę kryształową na ostrzu noża poza czasem i przestrzenią.

— Tak całować muszą jej usta...

Naraz rozwarł oczy, jakby z letargu wieczność trwającego zbudzony. W rozgrzanym powietrzu dreszcz go przejął nagły; zalana światłem przestrzeń pociemniała mu w źrenicach. Przypomniał sobie, że ranek cały zmarnował, siedząc w hotelu nie wiadomo dlaczego i bawiąc się jak dziecko w „męską dumę", kiedy mógł być przy niej, patrzeć jej w oczy, czuć dotknięcie ręki, głos jej słyszeć dźwięczny. I to teraz, kiedy go wezwała, czas jeszcze traci...

Z nerwowym pośpiechem skinął na przejeżdżającą dorożkę elektryczną i kazał się wieźć do hotelu.

Aza czekała nań w swoim pokoju. Przywitała go żywo i z widocznym zadowoleniem, że przybył, ale nie wytrzymała długo, aby mu nie zacząć robić wymówek, że tak późno przychodzi i na wyraźne zaproszenie jej dopiero.

— Czy nie podobałam ci się wczoraj? — mówiła, tak bowiem po imieniu nazywali się od pewnego czasu niby braterstwo. — Uciekłeś przed końcem koncertu i dziś się ledwie mogłam ciebie doczekać.

Jacek rozmarzony był jeszcze myślą o niej, tam, w słońcu, i nie odpowiadając, patrzył na nią przez chwilę z uśmiechem, jakby na sen objawiony. Znać było, że przykrość mu teraz sprawia wszelka rozmowa, tak chciałby patrzeć jeno na nią i czuć, że jest.

Ale Aza nalegała, by odpowiadał. Wyciągnął ręce i końcami palców dotknął jej wyśnionych dłoni.

— Cudem byłaś — szepnął — ale byłbym prawie wolał nie widzieć cię tam wczoraj, nie słuchać tego śpiewu razem z innymi.

— Dlaczego?

— Piękna jesteś.

Chłonął ją rozmiłowanymi oczyma.

— To cóż? — odezwała się Aza przekornie. — Więc dlatego, że jestem piękna, właśnie trzeba na mnie patrzeć i kochać mnie, a nie uciekać...

Jacek wstrząsnął naraz głową.

— Nie mogę się nigdy oprzeć wrażeniu, patrząc na ciebie w teatrze, że poniewierasz swą piękność i rzucasz ją na pastwę tłumowi. Aż mi żal i boli mnie to, żeś piękna i boska jest wtedy.

Aza uśmiechnęła się.

— Ale jestem piękna i boska?

— Wiesz o tym aż nazbyt dobrze. Dziw mi nawet czasem, że nie wystarcza ci ta świadomość i doświadczasz jeszcze piękności swej, używając jej na pętanie ludzi, którzy nawet patrzeć na nią nie są godni.

— Sztuka jest dla wszystkich, którzy jej chcą — rzekła Aza nieszczerze. — Artystką jestem; to, co mam w sobie, muszę przed ludźmi wyrzucić ruchem, głosem. Tworząc, nie pytam się wcale...

Przerwał jej, z lekka się uśmiechając.

— Nie, Azo. To jest złudzenie. Wszakże nie tworzysz nic. Robisz tylko cud z tego, co myślą innych stworzone jest przez to, że sama jesteś cudem. Ciebie tam chcą, cudnej! Płacą ci za to, za jedno tylko, i ty zobowiązujesz się być piękną wobec każdego, kto przy drzwiach złoty grosz rzuci. Tracisz wolność piękności; wywłaszczasz się codziennie w teatrze na rzecz tych wszystkich, którzy, o sztuce mówiąc radzi, śledzą jeno lubieżnymi oczyma każdy twój ruch... Widziałem to wczoraj i ty sama czuć to musisz. Za dobra mi jesteś na taką służbę.

Zaśmiała się głośno i wyniośle.

— Ja sama najlepiej wiem, na co jestem dobra! Nie służę ja, ale władam. Dla mnie pobudowano teatry, opery napisano i wymyślono narzędzia muzyczne. Dla mnie pracował ten, co wznosił przed wiekami świątynię ową na wyspie, i ci, co po wiekach wodą ją zalali, abym ja dzisiaj przeglądać się mogła w toni, tańcząc i śpiewając. Piękna jestem i mocna... Władać mogę i chcę, a więc dlatego...

— Sprzedajesz piękno swego ciała...

— Nie inaczej, jak ty moc ducha swojego — odrzuciła mu w twarz wyzywająco.

Jackowi przypomniała się niedawna z Grabcem rozmowa. Pochylił głowę i dłonią przetarł białe czoło.

— Jak ja moc ducha — powtórzył — może to być, może... Wszyscy jesteśmy w jednym położeniu. Człowiekowi się zdaje, że włada, rozkazuje, przewodzi, bierze sobie sam, co chce, a tymczasem jest najemnikiem od urodzenia kupionym i tłumowi służy za umówioną bez jego współudziału zapłatę. Tłum sobie kupuje i przodowników, i błaznów, i artystów, i parobków, a kiedy byli jeszcze królowie, to królów sobie kupował i płacił im za to, że są królami, choć im się zdawało jak tobie, że z bożej łaski panują. Nawet pogromców kupuje sobie tłum i niszczycieli, i wrogów, bo i tych snadź mu potrzeba — dodał, myśląc o Grabcu.

Aza nie zważała już na jego słowa. Powstała z krzesła i aby przerwać tę rozmowę, rzuciła z umyślną obojętnością:

— Więc zgódźmy się z tym...

— Zapewne. Godzimy się zawsze, ciągle, nieustannie i na wszystko, jak gdyby to, co nas otacza, było coś warte, jakby naprawdę było potrzebne... Przecież ty mogłabyś równie piękną być na puszczy, samotna, jak kwiat...

Wzruszyła ramionami wzgardliwie.

— I co by mi przyszło z tego?

— A tak. Zawsze się myśli, co z tego przyjdzie. Ty, ja, oni, wszyscy. Nie umiemy cenić sami tego, co w nas jest, więc w innych szukamy potwierdzenia sądów naszych o sobie, własne na cudzych budujemy. Nie wierzymy dostatecznie w wieczność swoją, więc szukamy u innych, jak my znikomych, pozornej nieśmiertelności (sława, sława!) i w dziełach lub choćby w działaniu chcemy zdobyć myślom swoim trwanie, którego pragniemy...

Mówił to z głową wspartą na dłoni, jak gdyby z sobą samym rozmawiając, choć oczyma zamyślonymi patrzył na stojącą przed nim kobietę.

Słuchała go niechętnie. Nudziły ją nie dość zrozumiałe słowa, których tylko dźwięk zewnętrzny i treść najprostszą uchem w tej chwili chwytała, nie mając zgoła ochoty zastanawiać się nad nimi. A co więcej — drażniły ją zawsze u Jacka te chwile, kiedy wobec niej myśli swoje dla siebie samego rozsnuwał, czując, że usuwa się wtedy dziwnie i niemal zupełnie spod władzy jej czarodziejskiej.

Położyła mu nagle ręce na ramionach.

— Chcę, żebyś myślał o mnie, tylko o mnie, gdy przy mnie tu jesteś.

Uśmiechnął się.

— O tobie myślę, Azo. Gdybym wierzył w nieśmiertelność duszy tak silnie, jak jej pragnę, i w postęp jej wieczysty od niczego niezależny...

— To cóż...?

Przerwała mu zdanie tym pytaniem, rzuconym lekko i niedomagającym się innej odpowiedzi, jak uśmiechu na jego ustach. Rzęsy długie opadły jej do połowy na duże dziecięce oczy — wysunęła naprzód wargi, drżące lekko przyczajonym gdzieś w kątach uśmieszkiem czy przeczuwanymi pocałunkami. Pierś jej kusząca, czystą linią pod lekką suknią zarysowana, wznosiła się głębokim oddechem.

Patrzył jej w twarz, nie spuszczając powiek, tak jasnym, spokojnym wzrokiem, jakby naprawdę kwiat miał przed sobą tylko, a nie kobietę piękną i pożądaną. I mówił swój sen:

— Wziąłbym cię za rękę i tak bym powiedział: pójdź ze mną, spróbujmy być samotnymi nawet wobec siebie wzajem. Kwitnij jak kwiat, bo piękności twojej niepotrzebne są ludzkie oczy; obejmuj duszą świat, ile jeno zdołasz, jak światło słońca, i nie troszcz się o więcej. Nie pójdzie na marne słodycz ust twoich, chociaż jej żadne wargi nie spiją; ni jeden ruch ciała twego nie przepadnie, ni jeden uśmiech nie zginie, choć w cudzych oczach i w żądzy cudzej na krótki żywot doczesny się nie utrwali...

Spojrzała nań teraz z istotnym zdumieniem, nie umiejąc sobie zdać sprawy, czy mówi poważnie, czy drwi z niej tylko po prostu. Jacek spostrzegł tę niepewność w jej wzroku i umilkł nagle. Smutek go ogarnął i wstyd, że mówi przed nią rzeczy śmieszne dlatego, że wyłaniają się ze słów jego niezupełne, oderwane od podłoża myśli, z której wyrosły, i rozproszone.

Powstał i sięgnął dłonią po rękawiczki, leżące obok na stole. Skoczyła żywo ku niemu.

— Zostań!

— Nie chcę. Czas mi już... Przed zachodem słońca trzeba mi już być nad Morzem Śródziemnym, w powietrzu, wysoko...

— Dlaczego to mówisz, gdy wiesz, że tu zostaniesz?

Usiadł z wolna, posłuszny.

Naturalnie, że zostanie. Chwilę jeszcze czy godzinę. Uczuł, że zostałby przy niej zawsze, gdyby tego chciała. A równocześnie zrozumiał, że ona nie zechce tego nigdy, bo on sam nie umie chcieć, wyszedłszy jakoś śmiesznie poza nawias życia i prawiąc jej teraz o samotnej piękności, zamiast ręce wyciągnąć i na pierś ją wziąć, na usta, siłą opór jej zmóc, jeśliby się jaki pojawił.

Widział, że jest piękna, ponętna, kusząca, jedyna. Przeczuł, że cała rozkoszą jest i szczęściem. Mgła jakaś gorąca do mózgu mu uderzyła — wpatrzył się w nią oczyma, w których powoli palić się poczynało zapamiętanie miłosne, bezdenne i smutne jak śmierć.

W krwi jego, co na pozór myśli jego wybujałej służyła, jak światłu oliwa w lampie starodawnej, falowania się budziły i dreszcze — z przedwiekowych przypomnień, z tych czasów może, kiedy jacyś jego przodkowie świat złotym mieczem zaprzepaszczali dla jed-

nego błysku uwodzicielskich oczu. I jak morze, wydymające swe wały ku Księżycowi, tak biła krew jego ogromnym przypływem ku tej wielkiej tajemnicy życia, jaką jest miłość — ku tajemnicy zgubionej już niby na wyżynach, a przecież żywej i przypominającej się ciągle w oddechu ust, w serca uderzeniu, w tętnie drgającym w nurtach żył.

— Aza...! — szepnął.

Zbliżyła się ku niemu.

— Co?

Patrzyła nań spod powiek spuszczonych wzrokiem, który zdawał się zasypiać w omdleniu, jak u obezwładnionej spojrzeniem węża gazeli, ale usta jej drgały drapieżnie, świadcząc, że nie ona tutaj jest ofiarą... Wyciągnęła dłonie i dotknęła jego czoła. Lekko, lekko, jakby wiatr cichy, słońcem przepojony, włosy mu spadłe odrzucał ze skroni...

Jak tam — na granicy pustyni...

Uczuł słońce w powietrzu piersiami wciągane, w krwi, co, coraz gorętsza, tętnice rozpierała, oczy mu ćmiąc i myśli w dziwny taniec porywając za sobą... I słodycz niewysłowiona, obezwładniająca, która nagle całą istotę falą zalewa.

Jak tam — na granicach pustyni...

Pochylił się czołem do jej rąk — uniosła mu nieco głowę.

— Kochasz mnie?

Wionęła mu tym słowem w twarz z pobliża, usta naprzeciw ust jego wzniesionych trzymając.

— Tak.

Stała nad nim ze świadomym uczuciem przewagi nieodpartej, przemożnej: oto w tym człowieku, jak dziecię w dłoniach jej cichym, wiedza świata niezgłębiona, mądrość cała najgórniejsza do stóp jej się chyliła. Przez piękność swoją i płeć mogła jej rozkazywać teraz tak, jak rozkazuje już tym twórcom wszystkim, poetom, malarzom, muzykom, co pono wyżsi mają być od niej! Jak tłumowi rozkazuje, bogaczom, dostojnikom, starcom i młodzieży.

Zamajaczyły jej w pamięci słowa Grabca, niedawno do niej wypowiedziane:

„Mistrz Jacek ma wynalazek tajemniczy i straszny. On go sam nie wyzyska, lecz kto go opanuje, będzie królem świata samowładnym".

Królem świata!

Schyliła się ku niemu jeszcze więcej. Drobne pasma jej włosów, opadłe ze skroni, muskały białe czoło mędrca.

— A wiesz, że ja jestem piękna? Piękniejsza niż życie, niż szczęście, niż sen?

— Tak.

— I ty nigdy jeszcze ust moich nie całowałeś...

Słowa jej były jak tchnienie, które zaledwie można uchem pochwycić.

— Chcesz...?

— Azo!

— Powiedz mi tajemnicę swoją, daj mi w rękę swoją moc, a będziesz mnie miał...

Jacek powstał i cofnął się o krok. Blady był śmiertelnie. Usta zacisnął i patrzył przez chwilę w milczeniu na zdziwioną jego ruchem dziewczynę.

— Azo — zaczął wreszcie, z trudem słowa wymawiając — Azo, kocham cię, czy pragnę, mniejsza o to; mniejsza, jaka jest moja tajemnica i moc, ale ja nie chcę cię... kupować jak inni.

Wyprostowała się dumnie.

— Jak inni? Kto się może pochwalić, że widział sam jeden mego ciała cud? Kto mnie posiadał?

Szybkie, zdumione spojrzenie rzucił Jacek na jej twarz. Schwyciła je w przelocie i zaśmiała się.

— Dla jednego... mniej niż uśmiechu, mniej niż spojrzenia ludzie się włóczą u moich nóg i giną, gdy ja tak chcę! Nikt nie miał jeszcze ceny, aby mnie kupić. Dzisiaj za mnie trzeba dać świat!

Patrzył na nią oniemiały, z zapartym oddechem i czuł, że mówi prawdę w tej chwili. A ona pochyliła głowę i ściągnąwszy brwi, jakby pod wpływem przypomnienia jakiegoś, rzuciła jeszcze:

— Nazbyt wiele brudu znieść musiałam dzieckiem[471], aby się brudzić jeszcze i teraz. Brano mnie i poniewierano, gdym bezbronna była, ale ja się nie dałam nikomu, z wyjątkiem jednego człowieka, którego ty wysłałeś na Księżyc!

— Azo...!

Posłyszała w jego głosie nutę przedziwną, gdzieś z krwawej głębi serca dobytą, i zaraz wezbrało w niej okrucieństwo kobiece. Zrozumiała, że ma w ręku narzędzie tortury dla niego, łańcuch, który szarpiąc go i raniąc, tym silniej do niej przykuje. Wpatrzyła się weń szeroko rozwartymi oczyma; na ustach zaigrał jej uśmiech, z jakim snadź[472] niegdyś damy rzymskie słuchały jęku mordowanych niewolników na arenie.

— On jeden mnie zna — mówiła — on, twój przyjaciel! On jeden w całym wszechświecie wie, jakie są moje pocałunki, jak pierś moja pachnie, jak pieścić umieją me dłonie. I nie ma go tutaj na Ziemi. Tam, na Księżyc, tam, między gwiazdy, na niebo szerokie i błękitne uniósł tajemnicę mojej miłości, która kogo innego zabić by mogła rozkoszą niewysłowioną... Nie wierzysz? Zapytaj go, kiedy powróci tu do mnie... On ci powie, wszak ty jesteś jego przyjaciel i mój przyjaciel szlachetny, jedyny, który nie chce niczego...

Zatoczył się jak pijany.

— Azo...!

Za ścianą zakotłowało się naraz od niespodziewanych śmiechów. Słychać było tupanie nóg biegającej służby, piskliwe głosy chłopców hotelowych i bas marszałka, starającego się na próżno zamęt uciszyć.

Jacek nie zważał na to wszystko. Wpatrzony w śpiewaczkę żuł jakiś wyraz w ustach...

Aza jednak na odgłos rozgwaru poskoczyła żywo ku drzwiom, a gdy jej się zdawało, że w zgiełku głos pana Benedykta odróżnia, otwarła je na oścież.

Widok, jaki ją uderzył, był zaiste jedyny. W przedpokoju, służbą natłoczonym, stał pan Benedykt, broniąc się jedną ręką jakiemuś maleńkiemu człowieczkowi o rozczochranej głowie, który, jak kot na piersi jego uczepiony, piąstką go po twarzy okładał. W drugiej ręce zacny emeryt trzymał sznurek uwiązany do nogi innego karzełka, usiłującego na próżno słowem i gestami powstrzymać gniew swego towarzysza. Służba była bezradna, bo co który wyciągnął rękę, by rozwścieczonego karła pochwycić, pan Benedykt krzyczał zawzięcie:

— Precz! Nie róbcie mu nic złego; to dla pani Azy...

Śpiewaczka zmarszczyła brwi.

— Co się tu dzieje? Czyście poszaleli!

W tej chwili pan Benedykt zdołał nareszcie uwolnić się od napastnika i podbiegł ku niej krokiem zgoła młodzieńczym.

— Paniusiu — zaczął zdyszany, wznosząc wysoko brwi pokryte sińcami — przywiodłem paniusi coś...

Mówiąc to, pociągnął za sznurki w dziecięce marynarskie ubranka przystrojonych karzełków.

— Co to jest?

— Krasnoludki, paniusiu, bardzo łagodne! Służby się nauczą...

Aza, podrażniona rozmową z Jackiem tak brutalnie i głupio przerwaną, nie była w dobrym humorze. Kiedy indziej byłaby tylko śmiechem parsknęła — teraz wezbrała w niej złość.

— Wynoś się, dziadu, pókiś cały, razem ze swymi małpami! — krzyknęła wcale nienastrojowo, jak prawdziwa dawna cyrkówka, tupiąc cudowną nóżką w posadzkę.

Służba, dusząc się od powstrzymywanego śmiechu, wyniosła się raźno chyłkiem, a pan Benedykt oniemiał. Nie spodziewał się nigdy takiego przyjęcia. Pochwycił cofającą się Azę za szeroki rękaw i począł przepraszać, zaklinając się, że był pewien, iż sprawi jej właśnie przyjemność, te rzadkie okazy przypadkowo nabyte dla niej sprowadzając.

We drzwiach ukazał się Jacek, głośną rozmową przywabiony. Ochłonął już był zupełnie, jeno twarz miał bledszą niż zwykle. Śpiewaczka go spostrzegła i zaczęła się skarżyć.

— Patrz — mówiła — ani chwilę nie może się mieć spokoju! Człowiek stary, a nie ma rozumu. Jakieś małpoludy mi tutaj sprowadza! I złe do tego...

---

[471] *znieść musiałam dzieckiem* — dziś: (...) jako dziecko.

[472] *snadź* (daw.) — zapewne, prawdopodobnie.

Jacek spojrzał na karłów i drgnął. Mimo śmieszne w tych strojach postawy[473], znać było w ich twarzach inteligencję niepospolitą, zgoła na małpoludzi ani sietniaków[474] niewskazującą. Nieokreślone przeczucie zbudziło się w nim...

— Coście wy za jedni? — spytał żywo i mimo woli rodzinnym swym, polskim językiem.

Skutek był niespodziewany. Księżyczanie zrozumieli te słowa w „świętej mowie" ich ksiąg najstarszych wypowiedziane i poczęli opowiadać obaj naraz, bezładnie, w radosnej nadziei, że się skończy nareszcie to długie i fatalne dla nich nieporozumienie.

Z trudem łowił Jacek uchem znaczenie mieszaniny poprzekręcanych wyrazów, jakimi go zarzucali. Zadał im jeszcze kilka pytań, aż wreszcie zwrócił się do Azy. Twarz miał poważną, usta mu drgały nerwowo.

— Oni przybyli z Księżyca — rzekł.

— Od Marka? — krzyknęła dziewczyna.

— Tak. Od Marka.

Pan Benedykt wytrzeszczył oczy, nie rozumiejąc właściwie dobrze, co to wszystko znaczy.

— Arab mi ich sprzedał — mówił. — Podobno żyją tacy na pustyni w dalekiej oazie...

XI

— Posłuchaj mnie przynajmniej tym razem — mówił Roda do Matareta — i wierz, że jest dobre to, co ja robię.

— Odbije się to kłamstwo na naszej skórze, zobaczysz! — odparł Mataret niechętnie i odwróciwszy się tyłem do mistrza, począł wchodzić po krześle na stół, stojący pod oknem w hotelowym pokoju. Kiedy się już tam znalazł, wychylił głowę i patrzył z zajęciem na ruch uliczny, udając, że nie słyszy, co się mówi do niego.

Ale Roda nie dał się tak łatwo zniechęcić. Poprawił się w kącie miękkiego fotela i odrzucając w tył spadającą na oczy czuprynę, dowodził w dalszym ciągu, że wszystko zło, jakie ich spotkało, spadło na nich jedynie z Mataretowej przewiny i dość, aby jemu, Rodzie, zostawić wolne pole do działania, a natychmiast los ich się polepszy.

— Nie można przyznawać — mówił — że byliśmy z owym Markiem w nieprzyjaźni, bo mogliby ludzie tutejsi mścić się na nas za to...

Mataret nie mógł w końcu wytrzymać. Odwrócił się od okna i rzucił gniewnie:

— Ale z tego nie wynika, że mamy siebie przedstawiać jako przyjaciół jego najlepszych i zaufanych, a ty tak robisz właśnie.

— Mój drogi, nie mijam się w tym twierdzeniu tak dalece z prawdą...

— Co? Jak mówisz...?

— Naturalnie. Zaufanie miał do nas, kiedy mi wszystko o sobie i wozie swoim opowiadał. A przyjaźń... Cóż to jest przyjaźń? Kiedy jeden człowiek życzy dobrze drugiemu. Największym dobrem człowieka jest prawda jego życia. Zaś cała działalność nasza była właśnie ku temu zwrócona, aby Zwycięzcę wywieść z błędu o rzekomo ziemskim jego pochodzeniu, a więc życzyliśmy mu dobrze, czyli...

— Oszalałeś, przecież Marek naprawdę z Ziemi do nas przybył! — przerwał Mataret, tamując bystry potok słów nauczyciela.

Ten się żachnął[475].

— Ciężko myślisz jak zawsze. To cóż, że z Ziemi przybył? Choćby nawet i ze Słońca! Myśmy nie mieli obowiązku wiedzieć o tym z góry. Najlepiej, abyś ty milczał zawsze, a mnie mówić pozwolił.

— Będziesz łgał znowu o przyjaźni...

— To nie jest łgarstwo, mówiłem. Jesteśmy w takim położeniu, w jakim mogą być tylko jego najszczersi przyjaciele. Przyjechaliśmy na Ziemię w jego wozie i prosto od niego, a więc niejako w jego poselstwie. A stąd wniosek, że musieliśmy być jego przyjaciółmi. Czasem skutki wyrokują o przyczynach. Nie krzyw się, ja mówię poważnie. Być może, że sami nie wiedzieliśmy wprzód o tej przyjaźni.

---

[473]*mimo śmieszne (...) postawy* — dziś: mimo z D.; mimo śmiesznych postaw.

[474]*sietniak* a. *sietniok* (gw.) — idiota, debil.

[475]*żachnąć się* — wyrazić oburzenie, niezadowolenie, sprzeciw, gniew, zniecierpliwienie.

Mataret splunął i zeskoczył ze stołu.

— Nie chcę się mieszać do tego wszystkiego. Rób sobie, jak ci się podoba, ja ręce umywam.

— Otóż tego pragnę tylko, abyś mi nie przeszkadzał. Dam sobie radę. Gdyby nie moje energiczne wystąpienie wobec tego starego bałwana, który nas wodził na sznurku, bylibyśmy dziś może w jakiej klatce znowu siedzieli, a tak, dzięki mnie, widzisz, jak nas szanować zaczynają! Zobaczysz, że wkrótce będziemy tutaj zgoła poważnymi osobistościami. Dobry jestem, wyrozumiały i przebaczający, ale jak tylko dojdę do wpływu, każę tego łajdaka, co nas w klatce zamykał, obłupić żywcem ze skóry albo głową na dół w piasku zakopać.

Wejście Jacka położyło kres wymowie mistrza księżycowego. Zerwał się raźno na jego powitanie, a nie mając już czasu zsunąć się z wysokiego fotela, co zawsze z wielkimi robił ostrożnościami, stanął na nim i chwyciwszy się jedną ręką za oparcie dla utrzymania równowagi na miękkiej poduszce, drugą oddał pokłon przybyłemu.

— Bądź pozdrowiony, dostojny panie!

Jacek uśmiechnął się przyjaźnie.

— Panowie — rzekł — nie mogę dłużej się tutaj zatrzymywać, ale w drodze będziemy mieli dość czasu na rozmowę. Sądzę bowiem, że zechcecie mi towarzyszyć i być gośćmi w moim domu?

Roda skłonił się głęboko z wysokości swego fotelu, a Mataret rzekł z lekkim pochyleniem głowy:

— Wdzięczni ci jesteśmy, panie. Zresztą pytasz niepotrzebnie; wszakże nie mamy wyboru, na łasce twojej jesteśmy.

— Nie — odparł Jacek. — Obowiązkiem moim jest, i miłym, służyć wam jako wysłańcom mego przyjaciela i starać się, abyście raczyli zapomnieć o tych przykrościach, jakie was u wstępu na glob nasz spotkały. Wstyd mi. Wybaczcie Ziemi jej barbarzyństwo i głupotę.

To powiedziawszy, zwrócił się do Rody z miną frasobliwą:

— Mistrzu, listów nie znaleziono. Byłem sam na pustyni w Markowym wozie, ale tam nie zostały. Przetrząśnięto wszystko.

Roda udał wielce zakłopotanego.

— To fatalne! Chociaż treść listów, które nasz przyjaciel Marek do waszej dostojności pisał, znam dokładnie i będę mógł z pamięci powtórzyć...

— W takim razie nie ma nieszczęścia...

— O nie! Obawiam się tylko... bo wszak to było jedyne nasze uwierzytelnienie...

— Zbyteczne. Wierzę wam na słowo.

Roda uderzył się ręką w czoło.

— Teraz sobie przypominam. Rzeczywiście listy w wozie nie zostały. Odebrał mi je ten bałwan, który nas w klatce...

— Niech pan już nie wspomina o tym przykrym nieporozumieniu. Hafida poleciłem już szukać. Jeśli listów gdzie nie zaprzepaścił, odbierzemy je. Mnie jednak wołają obowiązki i tutaj już nie mogę czekać na wynik poszukiwań... Chciałbym nawet odlecieć zaraz, jeśli panowie nie macie nic przeciw temu, aby mi towarzyszyć.

— Jesteśmy na rozkaz gotowi — rzekł Roda, kłaniając się znowu.

Za chwilę siadali już do samolotu. Jacek, umieściwszy się na przodzie, rzucił jeszcze okiem poza siebie, czy towarzysze jego dobrze się trzymają, i opuścił rękę na dźwignię, włączającą śrubę powietrzną w system akumulatorów.

Zawarczały skrzydła jej w szalonym obrocie, a z ubitego przed hotelem dziedzińca piasek prysnął w bok, wirem powietrza wyrwany. Samolot śmignął z miejsca w górę niemal pionowo. Roda krzyknął mimo woli z przerażenia i zamykając oczy, chwycił się metalowych prętów przed sobą, aby w tył nie osunąć.

Jacek obrócił się z uśmiechem.

— Nie miejcie, panowie, obaw — rzekł — wszystko jest w porządku.

Mataret, pobladłszy, trzymał się również prętów kurczowo, ale oczu nie zamykał, starając się uporczywą wolą przemóc ogarniający go zawrót. Czuł lekkie kołysanie i świst wichru bijącego nań z góry, wprost spod skrzydeł rozpostartych, na czoło. Niebo miał

przed oczyma. Kiedy głowę nachylił i spojrzał w dół, dostrzegł między swymi wzniesionymi kolanami hotel wśród palmowego ogrodu, malejący z zadziwiającą szybkością. Przypomniał mu się odlot z Księżyca i nagły dreszcz trwogi zatrząsł jego ciałem. Zwarł gwałtownie powieki i zęby zacisnął, żeby nie krzyczeć.

Samolot tymczasem, przyjąwszy położenie więcej poziome, wznosił się wciąż w górę linią spiralną, kręgi coraz szersze zataczając pod niebem.

Kiedy Mataret, paroksyzm strachu pokonawszy, oczy znów rozwarł, Aszuan był już tylko małą kępką na bezmiernej żółtej płaszczyźnie przeciętej Nilem jakby wstęgą błękitną o zielonych brzegach.

Kołujący ruch samolotu sprawiał, że świat się zdawał kręcić z wolna na dole. Kiedy słońce Matareta w twarz uderzyło, zauważył, że jest znowu wysoko na sklepieniu, chociaż już zachodziło, kiedy z domu wychodzili. Barwę jednak miało złotą, jakby świetlistym znojem dnia wyczerpaną, przebijającą przez popiół jakiś różowy, co z wolna na słonecznej tarczy osiadał, ćmiąc ją w oczach nad spadającym w dół zaczerwienionym nieboskłonem.

Słowa jakieś wpadły Mataretowi w ucho. To Jacek, obrócony znowu, mówił doń. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co go pytają. Spojrzał w bok odruchowo. Roda, wplótłszy jedną dłoń między pręty siedzenie zabezpieczające, drugą kreślił szybko na czole, ustach i piersiach Znak Przyjścia, z którego szydził na Księżycu, i kłapał przy tym nielitościwie zębami.

— Uspokój pan towarzysza — mówił Jacek. — Nic nam nie grozi.

Roda rozwarł nagle oczy i zaprzestając odżegnywań, zaczął wrzeszczeć. Mataret zrozumiał, że wyklina Jacka w potocznym księżycowym narzeczu, grożąc mu, że jeżeli natychmiast nie opuści się na ziemię, to on, Roda, udusi go własnymi rękami i połamie maszynę przeklętą. Jacek nie mógł tego wprawdzie rozumieć, ale Mataret zląkł się, aby mistrz, strachem opętany, nie popełnił rzeczywiście jakiegoś szaleństwa. Chwycił tedy Rodę jedną ręką za dłoń i syknął przez zęby:

— Jeśli się nie uspokoisz natychmiast, zrzucę cię na łeb. I tak niewart jesteś czego innego.

W głosie jego była groźba nieubłagana. Roda zamilkł momentalnie i zęby jeno dzwoniły mu jeszcze, kiedy osłupiałym i przerażonym wzrokiem patrzył na dawnego ucznia swego, który teraz tak mało dlań okazywał szacunku.

Jacek uśmiechał się ciągle, patrząc na nich przyjaźnie.

— Jesteśmy około trzech tysięcy metrów nad powierzchnią morza — rzekł. — Teraz zaczniemy lot prosto ku domowi.

To mówiąc, zwrócił maszynę ku północy i nadawszy jej sterem położenie poziome, za pociśnięciem dźwigni przerwał działanie akumulatorów. Śruba powietrzna nabytym rozpędem warczała jeszcze przez parę minut, ale ruch jej stawał się coraz wolniejszym; oko mogło już po kilku chwilach łowić jej wirujące śmigi — aż wreszcie zawahała się i stanęła. Samolot teraz jak latawiec albo ptak ogromny, na nieruchomo rozpiętych skrzydłach płynął ku północy samym działaniem siły ciężkości po równi pochyłej, płaszczyznami sterów ściśle określonej.

Drgania, ruchem śruby wywoływane, ustały zupełnie, a ponieważ w powietrzu najlżejszego wiatru nawet nie było, więc zdało się lecącym, że wiszą nieruchomie w otchłani nieba.

Ale to złudzenie nie trwało długo. W miarę zwiększającego się pędu powietrze, skrzydłami spadającego samolotu rozdzierane, smagać poczęło twarze podróżników jakby wicher gwałtowny, a kiedy Mataret spojrzał znów w dół, spostrzegł, że tam nisko, nisko pod nimi świat ucieka z szalonym pośpiechem, wznosząc się ku nim równocześnie. Słońce, jak olbrzymia kula sinoczerwona, leżało po lewej stronie gdzieś na piaskach dalekiej pustyni. Od wschodu szła ku nim noc.

Jacek, sprawdziwszy okiem jeszcze raz położenie skrzydeł i steru oraz kierunek igły magnetycznej, zapalił cygaro i obrócił się w siedzeniu twarzą do swych towarzyszów.

— Przed nocą będziemy nad Morzem Śródziemnym — rzekł. — Teraz mamy czas pogadać.

Powiedział to zupełnie przyjaźnie ze zwykłym na ustach uśmiechem, ale Rodę treść słów nagłym strachem przejęła. Zdało mu się, że słyszy w nich jakieś straszne i groźne

szyderstwo, zląkł się, że Jacek, domyślając się prawdy, zażąda teraz — między niebem a ziemią — od niego rachunku i strąci go może w tę przepaść, mroczącą się już wieczornym cieniem pod ich nogami.

— Litości, panie dostojny! — krzyknął. — Przysięgam ci na imię Starego Człowieka, że Marek jest Zwycięzcą i królem na Księżycu, a myśmy mu żadnej krzywdy zgoła nie wyrządzili!

Jacek spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Niech się pan uspokoi, panie Roda. Jest pan zbyt rozdrażniony tym przybyciem na Ziemię, a może i przejściami ostatnich dni. Czyż mam powtarzać, że nie żywię żadnych złych zamiarów względem panów? Raczej przeciwnie. Wdzięczny wam jestem nadzwyczajnie za tę bohaterską podróż przez otchłań międzygwiezdną na życzenie mego przyjaciela, choć nie taję, że wolałbym zobaczyć tu jego samego. Wszak teraz, gdy wysłał wóz z wami, nie będzie już miał sposobu powrócić...

Te ostatnie słowa Rodę znacznie uspokoiły. Pomyślał, że kiedy Marek nie może powrócić z Księżyca, to wszystko jest w porządku, gdyż nigdy się już nie wykryje, że to, co on opowiada, jest nieprawdą. Zyskał od razu pewność siebie — i poprawiwszy się w ciasnym siedzeniu, zaczął prawić Jackowi o przyjaźni swej ze Zwycięzcą, bacząc jeno pilnie, aby okiem w dół nie rzucić, gdyż za każdym razem przyprawiało go to o zawrót głowy.

— Marek — mówił — nie ma zgoła zamiaru wracać. Tak dobrze, jak na Księżycu, nigdy na Ziemi mu nie było. Obraliśmy go bogiem i królem, a on sobie kupił mnóstwo młodych żon i zabrał na rzecz swoją grunta co najlepsze. Ma też dużo psów. Właśnie pisał w listach, które Hafid nam ukradł, aby tutaj na niego nie czekać... Długo nie mógł posłów wynaleźć, aż dopiero my, Ziemię radzi poznać, zgodziliśmy się wreszcie. Chcieliśmy coś zrobić dla niego...

Lekki powiew wiatru od zachodu zakołysał samolotem, co przerwało nagle wynurzenia Rody. Po chwili, gdy równowaga została przywrócona, zapytał Jacka, czy nic nie grozi, a otrzymawszy odpowiedź uspokajającą, zaczął znowu mówić:

— Podróż nasza była bardzo przykra i wylądowanie, jak pan sam wie, niebezpieczne wielce. Ja myślę, że powinni nas tu na Ziemi za to odpowiednio wynagrodzić. Ja jestem wielkim uczonym, a towarzysz mój także nie jest głupi, choć tak mało mówi. Jednak nie mamy żądań wygórowanych. Dla mnie wystarczy zupełnie, jeśli dostanę jakieś wybitniejsze stanowisko...

Przerwał mu Jacek pytaniem o jakiś szczegół dotyczący Marka, a Roda łgał coraz straszliwiej.

Po pewnym czasie Jacek nie wątpił już, że ma do czynienia z oszustem, który świadomie prawdę ukrywa. Jak jednak ta prawda mogła wyglądać i jakim ją wydobyć sposobem?

Zadumał się. Zapewne nic tam dobrego Marka nie spotkało, kiedy przysłał wóz i posłów... Może wzywa pomocy? Ale dlaczego takich właśnie posłów wybrał kłamiących i z jakiej przyczyny oni kłamią? Czy zgubili istotnie listy Marka, czy może ich wcale nie mieli? Czyżby Marek w jakimś niebezpieczeństwie groźnym nie miał czasu ani możności listów przygotować?

I znowu Jackowi na myśl przychodziło, że może zbyt czarne robi przypuszczenia. Może temu bujnemu szaławile dobrze jest istotnie na Księżycu — przecież to zgoła prawdopodobne, że królem tam został i władcą między karłów społeczeństwem.

Wieczór już zapadał. Przemknęli nad piramidami, które błyszczały w dole, jak zwykle reflektorami elektrycznymi dla podziwu gapiów oświetlone, i płynęli teraz pod gwiazdami nad rozłożystą deltą Nilową. Samolot obniżył się znacznie ku ziemi, gdyż Jacek, puszczając śrubę w ruch kilkakrotnie, lot tylko przyśpieszał, a szafował jeszcze ciągle nabytą w Aszuan wysokością... Mimo że paręset metrów teraz byli tylko nad powierzchnią, nic tam w dole nie było widać krom[476] światełek czasem niespodziewanie ukazujących się i niknących rychło w pomroce... Były to lampy elektryczne, wskazujące samolotom nocną porą żeglującym miejsca wylądowania: wioski i miasta, których nazwy oznaczone światłem majaczyły z góry drobnym, jasnym wężykiem na ziemię czarną rzuconym.

Jacek milczał, a księżycowym podróżnikom powoli oczy zaczynały się kleić. Czasami tylko, kiedy śruba w ruch puszczona zatargała lekkim statkiem powietrznym lub wiatr

[476] *krom* (daw.) — oprócz.

od pustyni wiejący skrzydła jego przechylił, otwierali powieki przerażeni, nie umiejąc w pierwszej chwili zdać sobie sprawy, gdzie są i co robią tutaj w czarnej nocy zawieszeni.

Po jakimś czasie samolot niestrudzony zaczął chwiać się coraz więcej i kołysać na boki. Mataret zauważył, że walczą z wiatrem, wznosząc się równocześnie znowu w górę po krętej wężownicy. Spojrzał w dół: mdłe światełka zniknęły gdzieś bez śladu, zdawało mu się natomiast, że słyszy w ciemności łoskot jakiś jednostajny, szeroki, nieustanny...

— Gdzie jesteśmy? — spytał mimowolnie.

— Nad morzem — odparł Jacek. — Przelecimy je nocną porą, kiedy w górze cisza jest największa. Wydostajemy się właśnie z wiru wiatrów przybrzeżnych...

Jakoż niezadługo, kiedy samolot wyżej wybujał, kołysanie ustało nagle i drżały tylko wiązania metalowego szkieletu od wiru śruby, wrzynającej się szalonym obrotem w nocne powietrze. Gdy po jakimś czasie, na wysokości już snadź[477] będąc dostatecznej, Jacek śrubę zatrzymał, samolot począł płynąć w cichym najzupełniej przestworzu, nad morzem, z którego właśnie po prawej stronie podróżników wyzierać[478] poczynał późny Księżyc, czerwony i niecały.

[477]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[478]*wyzierać* — wyglądać.

CZĘŚĆ DRUGA

I

Do drzwi pracowni Roberta Tedwena zapukano lekko.

Starzec wzniósł głowę znad karty papieru, po której kreślił znaki jakieś i kolumny cyfr, i nadsłuchiwał przez chwilę... Pukanie powtórzyło się wyraźniej: siedem uderzeń, cztery z wolna po sobie następujące i trzy szybkie. Uczony dotknął palcem umieszczonego w biurku guzika i drzwi rozsunęły się cicho, niknąc w ścianie. Przez rozchyloną ciężką portierę wsunął się Jacek.

Podszedł ku siedzącemu w wysokim krześle starcowi i skłonił się przed nim w milczeniu. Sir Robert Tedwen, poznawszy go, wyciągnął dłoń.

— A, to ty... Czy z ważną sprawą jaką przychodzisz?

Jacek zawahał się.

— Nie — odrzekł po chwili. — Chciałem cię zobaczyć tylko, mój mistrzu...

Lord Tedwen popatrzył badawczo na dawnego a ukochanego dotąd ucznia swojego, ale nie nalegał pytaniami.

Zaczęto rozmawiać. Starzec dopytywał, co słychać na świecie, gdy mu jednak Jacek odpowiadał, słuchał obojętnie o wypadkach i zdarzeniach, nie przywiązując w istocie zgoła wagi do tego wszystkiego, co się dzieje tam na zewnątrz, poza drzwiami metalowymi jego pracowni, wciąż niemal zamkniętymi.

A przecież niegdyś trzymał w ręku los tego świata ruchliwego, o którym obecnie zaledwie raczył pamiętać, że istnieje.

Sześćdziesiąt z górą lat temu, kiedy dochodził dopiero trzydziestki, był już wybranym prezydentem Stanów Zjednoczonych Europy — i zdawało się, w dniu, kiedy zechce, dożywotnim samowładcą zostanie.

Zadziwiający geniusz administracyjny i praktyczny łączył się w nim z żelazną stanowczością i wolą niezłomną, umiejącą prostą drogą a niechybnie dążyć do wytkniętego celu. Zmieniał śmiało istniejące prawa, zakreślał losy narodom i społecznościom — nie cofał się przed niczym. W ogromnej masie urzędniczej (a któż wówczas nie był urzędnikiem, jakikolwiek zawód społeczny pełniąc?) wrogów miał zaciętych samowoli swej i bezwzględności: szemrano powszechnie i czasem bardzo nawet głośno, lecz gdy Tedwen rozkazał, nie było, kto by śmiał nie posłuchać. Mówiono, że dąży do władzy nieograniczonej i że koniecznością jest usunąć go nie tylko od steru, lecz w ogóle od jakiegokolwiek udziału w rządach, i wiedziano równocześnie, że w dniu, w którym mu się spodoba włożyć na głowę z muzeum jakiegoś wygrzebaną koronę królewską, wszyscy się przed nim pochylą.

Sir Robert Tedwen sam i dobrowolnie porzucił władzę. Tak nagle i bez widocznego powodu, z jednego dnia na drugi, iż długo nie mogli się ludzie z tym faktem pogodzić i łamali sobie głowy, doszukując się dziwnych przyczyn i zawikłanych.

A lord Tedwen tymczasem zaczął pracować. Przyrodnik jeden z największych, zajmujący się osobliwie biochemią — a przy tym umysł o rozległym widnokręgu i niesłychanej wiedzy ogólnej — w ciągu lat kilkunastu od chwili swego ustąpienia rzucił ludziom garść wynalazków zadziwiających i błogosławionych.

W jakiś czas zapomniano nawet, że bywał prezydentem Zjednoczonych Stanów Europy, a wiedziano tylko, że dzięki środkom jego, organizm odradzającym, choroby istnieć przestały; że on za pomocą opanowania atmosferycznej elektryczności i władzy nad pogodą i ciepłotą, urodzaje zbóż z góry ustanawia i karmi ludzkość głodną... I mnóstwo rzeczy jeszcze większych i cudowniejszych.

To był drugi okres w życiu Roberta Tedwena. Zerwał z nim, nim doszedł lat pięćdziesięciu. Tak niespodziewanie, jak poprzednio stanowisko naczelne był porzucił, odstąpił teraz od „kuźni" swoich, skąd na świat rokrocznie nowe szły wynalazki, i zaniechawszy praktycznego wyzyskiwania wiedzy, jął się zawodu nauczycielskiego, przysposabiając uczniów wybranych do trudu największego: dźwigania dorobku myśli ludzkiej.

Jednym z umiłowanych i najzdolniejszych uczniów jego był Jacek. Znał on go już starcem i czcił nie tylko jako nauczyciela i mędrca największego, lecz nadto jako przyjaciela swego, który mimo ogromną różnicę lat gotów był zawsze myślą i sercem życie jego dzielić...

Ale i ten czas, kiedy starzec zadziwiający był wychowawcą i niejako ojcem „wiedzących", należał dziś już do przeszłości. Z wiekiem coraz mniej uczniów przyjmował i coraz skąpiej udzielał im swej mądrości niezgłębionej, aż dnia pewnego tych niewielu, których miał jeszcze przy sobie, przychodząc doń, zastało drzwi jego domu zamknięte.

Lord Tedwen przestał nauczać.

Gdy błagano go o słowo wiedzy, wzruszał tylko ramionami i mówił ze smutnym na ustach uśmiechem:

— Sam nie wiem nic... Blisko osiemdziesiąt lat życia strwoniłem; muszę teraz korzystać z ostatnich dni, aby pracować dla siebie.

Jakoż pracował. Umysł jego potężny, wiekiem nieosłabły, wgłębiał się w tajniki istnienia, snuł teorie ogólne a otchłanne, odkrywał prawdy nagie i tak straszliwe, że chociaż rzadko i tylko najzaufańszym rąbek ich odkrywał, dreszcz słuchaczy przechodził i zawrót ogarniał głowy najmędrszych, jak gdyby w przepaść z nagła spojrzeli.

Legenda zaczynała się rodzić około olbrzymiej, milczącej postaci starca. Dawno już w żadne czarnoksięstwa nie wierzono, a jednak stroniono przed nim z obawą jak przed czarnoksiężnikiem, gdy wyniosły, zadumany przesuwał się nad brzegiem morza w codziennej przechadzce.

W domu nie przyjmował nikogo, z wyjątkiem członków wielkiego bractwa uczonych, któremu przewodniczył, prośbom dawnych uczniów swych ulegając.

Jacek, nazbyt dociekaniami własnymi i koniecznym jeszcze w swym wieku urzędem społecznym zajęty, rzadko go nawiedzał. Za każdym razem jednak, gdy stanął przed nim, nie mógł się oprzeć zadziwiającemu uczuciu: starzec zdawał się młodnieć wciąż duchem, jakby myśl jego z biegiem lat nabierała owszem coraz straszliwszej jasności i odwagi...

A przy tym ten wzrok — spokojny i chłodny — co przebiegał ludzkie sprawy, usiłując udać, że go zajmują, i padał gdzieś w przepaść bliską a niezgłębioną, która się otwiera tuż za wypowiedzianym słowem, tuż za promieniem światła, zawieszonym na pyłku powietrza, za drgającą cząstką tak zwanej materii, za najprostszym sprzężeniem tej rzeczy niepojętej, którą ochrzczono mianem siły — i biegnie aż poza gwiazdy, aż poza kres wszelkiego bytu, zarówno dusze człowiecze, głazy i nicość obejmując.

Nie dawał jednak lord Tedwen nigdy znać po sobie, że cośkolwiek jest mu obojętne lub niegodne uwagi. W chwili wolnej od pracy umysłowej rozmawiał na pozór tak samo chętnie z przechodniem na brzegu morza lub z dzieckiem muszle zbierającym, jak i z którym z członków stowarzyszenia mędrców... Zdawało się nawet czasem, że w rzadkich godzinach wytchnienia chętniej myśl ku rzeczom drobnym, codziennym i prostym zwraca.

I teraz, siedząc z Jackiem w cichym gabinecie, zwrócił wkrótce rozmowę, która o światowych zdarzeniach toczyć się jęła[479], na skromniejsze tory osobistych wypadków i znajomości...

Pytał o uczniów dawnych, którzy w zadziwiającej pamięci jego byli żywi, choć niejeden z nich w grób się już położył, przypominał z dobrym na ustach uśmiechem drobne okoliczności, temu lub owemu wypadkowi towarzyszące.

Jacek, ku oknu twarzą zwrócony, głos tylko mędrca słyszał i miał złudzenie, że zajmuje go istotnie to, o co pyta. Kiedy się jednak przypadkiem obrócił i spojrzał w oczy jego, przerwał mimo woli obojętne jakieś opowiadanie... Oczy starca rozwarte, nieruchome, podobne były do dwóch otchłani bez dna, do promieni dziwnych, z nieskończoności biegnących, i ponad tym wszystkim, co się mówi i dzieje, szukających czego w bezkresie...

Wstyd go ogarnął i wtłoczył mu słowa nazad w pierś.

Zaległo krótkie milczenie. Lord Tedwen uśmiechnął się.

— Z czym przybyłeś do mnie, synu? — powtórzył. — Mów teraz o sobie. To mnie zajmuje naprawdę.

Młody uczony poczuł rumieniec na twarzy. Miał zamiar istotnie mówić o Grabcu, o tym ruchu, którego nieuchronne wszczęcie przeczuwał i rady starca, co mógł być władcą, zasięgnąć, o zdanie go zapytać. I naraz zrozumiał, że to wszystko tego dziwnego człowieka równie mało musi obchodzić jak liść suchy, który może spada w tej chwili z drzewa przed jego domem albo równie wiele, gdyż on ujrzy poza tym wszystkim

[479] *jąć* (daw.) — zacząć; *jąć się czego*: zabrać się za co.

czarnoksięskimi swymi oczyma jeno tajemnicę bytu objawiającą się zarówno w ziarnku piasku, falą morza miotanym, jak w przewrotach największych światów i ludzkości, jak w myśli najświetniejszym przebłysku.

Schylił głowę.

— Chciałem mówić rzeczywiście o pewnych sprawach, ale widzę w tej chwili, że drobne są ostatecznie...

— Nie ma rzeczy drobnych — odparł sir Robert. — Wszystko ma swoją wartość i swoje znaczenie. Mów.

Jął tedy mówić. Opowiadał o spotkaniu swym z Grabcem i o tym, jaką on walkę, jakie powstanie wzniecić zamierza na od dawna uspokojonej Ziemi i jak chce wciągnąć w wir ten ich, mędrców i uczonych, aby mieli jako mózg świata przynależne im stanowisko.

Starzec słuchał w milczeniu, z nieco pochyloną głową, patrząc spod krzaczastych, wysoko wzniesionych brwi nieruchomym wzrokiem prosto przed siebie. Czasem tylko po wygolonej, bruzdami wieku zoranej twarzy przebiegł mu około wąskich i zaciśniętych warg uśmiech przelotny i gasł szybko w zadumie.

— Ojcze — ozwał się wreszcie Jacek, kończąc opowiadanie — ten człowiek wezwał mnie wprost, abym mu dopomagał, bym tę moc, jaką wiedza nasza stanowi, rzucił na szalę...

Lord Tedwen zwrócił nań teraz przenikliwe spojrzenie swych oczu.

— A ty, coś mu odpowiedział?

— Rzekłem, że moc wiedzy naszej jest wszystka, już podarowana, w rękach tłumu, i my nie mamy nic, kromia[480] prawd najwyższych niedających się już przekuć na złoto ani żelazo...

Zaległo krótkie milczenie. Robert Tedwen skinął z wolna głową kilkakrotnie, szepcąc więcej może do siebie niż do słuchającego go ucznia:

— Kromia prawd najwyższych... Tak, tak! Jeno że już nie wiemy, co ten wyraz „prawda" oznacza, tak dalece niczym jest wszystko, co tym mianem zwiemy...

Wzniósł głowę szybko i popatrzył na Jacka.

— Daruj, do myśli swoich wracam mimowiednie, ale to jest zajmujące, coś ty mi powiedział.

Jacek milczał. Starzec przyjrzał mu się uważniej.

— Nad czym dumasz?

— Skłamałem w rozmowie z Grabcem.

— A!

— My mamy moc... Ja mam moc — poprawił się.

Lord Tedwen nie odpowiadał. Wzrokiem nieco roztargnionym przebiegł po twarzy Jacka i wzruszył dziwnie ustami...

— Masz moc... Mamy moc... — szepnął po chwili.

Coś jakby uśmiech po wargach jego przemknęło.

— Tak — rzekł Jacek w zamyśleniu. Siedząc z pochyloną głową, nie zauważył uśmiechu na twarzy nauczyciela.

— Tak — powtórzył — mam moc. Zrobiłem odkrycie straszliwe. Czynię fizycznie to, co dotąd robiliśmy tylko myślą badawczą: rozprzęgam „materię" i gaszę ją w tak prosty sposób, jak podmuchem ust świecę się gasi zapaloną. Gdybym chciał...

— Gdybyś chciał...?

— Mógłbym grozą wymusić posłuszeństwo najzupełniejsze dla siebie czy dla tego, komu bym oddał swój wynalazek... Jednym ruchem palca, na przyrządzie nie większym niż zwykły aparat fotograficzny położonego, mogę unicestwiać miasta i burzyć kraje całe tak, iż ślad by nie pozostał, że były...

— I co z tego? — spytał lord Tedwen, nie spuszczając zeń oka.

Teraz Jacek wzruszył ramionami.

— Nie wiem, nie wiem!

— Dlaczego nie oddałeś Grabcowi swego wynalazku?

---

[480]*kromia* (daw.) — właśc. *krom*, *okrom*: oprócz.

Szybkim ruchem wzniósł Jacek głowę. Patrzył przez chwilę na twarz starca, jakby chciał z niej wyczytać znaczenie i zamiar tego pytania, ale oczy i rysy sir Roberta zarówno nic nie mówiły, jak obojętny na pozór ton słów wypowiedzianych.

— I tego nie wiem — rzekł wreszcie. — Miałem wrażenie, że powinienem to zostawić dla siebie i zniszczyć przed śmiercią albo użyć... w razie ostatecznej potrzeby... tylko jeden raz...

— Zniszcz swój przyrząd dziś jeszcze. Po co używać wysiłku na rozwianie fantomu, który nazwano materią, kiedy wcześniej czy później rozwieje się sam nieuchronnie?

— Źle jest tymczasem i podle...

— Cóż z tego? Czyż przeto mamy fizycznie robić to, co w każdej chwili, jak sam przyznajesz, myślą zrobić możemy, nie wytrącając naszych bliźnich ze stanu, który dla nich może najlepszy jest właśnie? Pamiętaj, że gdy z pęt fizycznych przez tak zwaną śmierć się uwolnimy, czyn naszej myśli będzie dla nas rzeczywistością jedyną...

— Trzeba wierzyć...

— Tak. Trzeba wierzyć — powtórzył Tedwen poważnie.

— A ten świat, ten świat dookoła, czyż ma się dalej toczyć taką drogą, jaką dotąd się toczy?

Starzec oparł dłoń na ramieniu Jacka.

— Twój wynalazek na właściwe tory go nie sprowadzi.

— Gdyby władzę mieli najlepsi...

— Chcesz władzy?

— Nie złączyłem się z Grabcem. Nie wiem, czy umiałbym władzę wykonywać. Żal mi świata mojego, w którym żyję codziennie. Ale...

— Co?

— Zdaje mi się, że dobrowolnie a niedołężnie poza życiem zostaję, i wstydzę się tego czasem.

Lord Tedwen milczał przez parę chwil. Oczy jego, szeroko rozwarte, zdawały się błądzić gdzieś po latach minionych, co ze wspomnień żywo przed nim wstawały... Otrząsnął się wreszcie i zwrócił ku Jackowi.

— Cóż można zrobić dla tego życia, dla współżycia ludzi raczej? Wiesz o tym, że miałem ja władzę, jak może nikt inny...

— Tak.

— I porzuciłem ją. Czy wiesz dlaczego?

— Nie dawała ci, mistrzu, zadowolenia; wolałeś pracę ducha swojego...

Mędrzec potrząsnął głową z wolna, ale stanowczo.

— Nie. To nie o to idzie. Przekonałem się jeno, że dla ustroju społecznego nic zrobić nie można. Społeczeństwo nie jest wytworem rozumnym i dlatego doskonałe nigdy nie będzie. Wszelka utopia, od najstarszych platońskich począwszy, przez ciąg wieków aż po dni dzisiejsze, aż po sen Grabca twojego, utopią na zawsze pozostanie: dopóki się roi po książkach, buduje się gmach z kart, nie dbając o prawo ciężkości, ale z chwilą gdy się rękę do dzieła przyłoży, widzi się nowe zło, które na miejscu dawnego, usuniętego powstaje. Współżycie ludzi doskonałe, ustrój idealny to problemy z natury swej niedające się rozwiązać. Zgoda jest pojęciem sztucznym, wyrozumowanym; w przyrodzie, wszechświecie i ludzkiej społeczności istnieje tylko walka i przemijająca, pozorna równowaga prących na siebie sił przeciwnych. Sprawiedliwość jest postulatem uwodzącym i niezmiernie popularnym, gdyż właściwie z ludzkiego stanowiska nic rzeczywistego nie oznacza i każdy może ją sobie inaczej rozumieć, i słusznie, gdyż właściwie dla każdego powinna by być inna sprawiedliwość, a tymczasem społeczeństwo jest jedno lub chce być jednym przynajmniej. W końcu to obojętne, czy włada lud czy tyran, mędrcy wybrani czy szalona zgraja krzykaczy: zawsze ktoś jest uciśniony, zawsze komuś jest źle, zawsze jakaś krzywda się dzieje.

Ktoś zawsze musi cierpieć. W jednym wypadku większość cierpi, w innym nieliczni, ale może najlepsi, a zresztą chociażby jeden tylko cierpiał pokrzywdzony, ten właśnie, któremu kazano być „równym", gdy on się przypadkiem na samowładcę urodził. Któż oceni, kiedy większa krzywda się dzieje, i kto wymierzy prawo, jakie człowiek każdy na

świat ten ze sobą przynosi? Oddanie słuszności jednej zasadzie jest pogwałceniem drugiej, nie mniej „sprawiedliwej", i tak zawsze, bez końca.

Zamilkł na chwilę i przesunął dłonią po wysokim, zmarszczkami pooranym czole.

— Nie znaczy to — podjął znów, wzrok na milczącego Jacka zwracając — abym sądził, że nie trzeba się starać o poprawienie istniejących każdego czasu stosunków. Ale robić to mogą, nawet muszą, ludzie mający złudzenia, to jest wierzący, że to, co zrobią, będzie lepsze od tamtego, co było. Takich nigdy nie braknie, leży to już w ludzkiej naturze.

— Ty sam tak myślałeś, mistrzu — wtrącił Jacek.

Tedwen skinął głową.

— Ja sam tak myślałem, z górą pół wieku temu, kiedy młody byłem jeszcze... A później, straciwszy tę wiarę, myślałem znowu, że kiedy nie można wszystkich zadowolić i idealnych „sprawiedliwych" stworzyć stosunków, to niechże przynajmniej będzie wiele, jak najwięcej dobra do podziału... Wiesz, że przez szereg lat „uszczęśliwiałem ludzkość" wynalazkami, ażem się w końcu przekonał, że i to jest nic... *Hawel hawolim, omar koheleth, hawel hawolim, hakol hawel*... „Marność marności, powiedział kaznodzieja, marność marności, wszystko marność!". I to nie jest droga właściwa. Z wynalazków, z odkryć, dobrodziejstw, ułatwień, korzystają przede wszystkim ci, co i tak są syci, a najmniej warci w społeczności: większość olbrzymia, gnuśna i bezmyślna. Wynalazki wzmagają tylko te „zalety" tłumu...

— Więc sądzisz, panie, że robić ich nie potrzeba, nie warto?

— Czyż przeto mniej by się pojawiały, gdybym powiedział, że nie potrzeba ich robić albo nie warto? Zawsze będą ludzie, których myśl z przyrodą się zmaga i zaprzęga ją do służby człekowi. Są oni pożyteczni, a nadto są ludźmi jedynymi. Pomyślałem, że o nich chodzi przede wszystkim, a nawet może jedynie o tych, co są mózgiem i duszą ludzkiej społeczności. Stary już byłem, kiedym się jął zawodu nauczycielskiego. Chciałem, aby jak najwięcej prawdziwych, myślących ludzi było na świecie. Znasz mnie z tych czasów; i tyś słuchał mych słów, synu ukochany.

— Błogosławimy cię wszyscy, nauczycielu.

— Niesłusznie. Jeszcze raz przytoczyć muszę kaznodzieję: „Kto wiedzę mnoży, przyczynia boleści". Patrzę na was, ludzkości kwiat i światłość Ziemi, i widzę was dumnych, ale smutnych, wplątanych w kołowrót świeckich wypadków, wysilających ducha na tak zwany pożytek tłumu przepaścią od was oddzielonego. Moja to wina, że tę przepaść widzicie i czujecie, moja wina, że myśl wasza znużona przelatuje nad pustką ostateczną, nie mogąc znaleźć odpocznienia, jak orzeł na szerokich skrzydłach nad wodami oceanu zbłąkany...

A cóżem ja wam dał w zamian? Jaką prawdę niewątpliwą? Jaką wiedzę? Jaką moc? Zaiste, że zbyt mało wiem ja sam, abym mógł być nauczycielem... Wszystko, co wam mówiłem o wszechświecie i bycie, było tylko rozszarpywaniem rzeczywistości, jaką oczy wasze znają, a niestety — niestety! — na żadne „dlaczego?" nie umiałem wam dać ostatecznej odpowiedzi.

Dlatego to właśnie pewnego dnia zamknąłem się przed swymi uczniami, pragnąc znaleźć wpierw mądrość dla siebie, w tych dniach ostatnich, które mi jeszcze do żywobycia zostały... Dzisiaj niewiele mi już do stu lat niedostaje[481]: od dwudziestu blisko pracuję w samotności i skupieniu.

— I co nam masz do powiedzenia dzisiaj, nauczycielu? — zapytał Jacek.

Zdawało się, że lord Tedwen nie słyszy pytania. Wsparł czoło wysokie na dłoni i patrząc przez okno na szerokie, rozkołysane letnim wiatrem morze, mówił z wolna głosem rozpływającym się niemal w szepcie:

— Trud życia jest już poza mną i wysiłek wszelki, jaki myśl ludzka zdolna była ponieść. Wychodziłem na szczyty najwyższe, kędy już oku ginie oddalony świat i pustka jest naokoło, i zaś zstępowałem w głębokości takie, kędy już znowu pustka jest jeno. Nie uląkłem się żadnego pomyślenia i żadnej istności nie uważałem za nietykalną, badając ją owszem aż do ostatnich korzeni, rozrywając na włókna najpierwsze...

— I co nam powiadasz dziś, nauczycielu? — powtórzył Jacek, nalegając.

Starzec zwrócił nań oczy szeroko rozwarte, spokojne.

---

[481] *niedostawać* (daw.) — brakować.

— Nic.

— Jak to: nic?

— Wszystko, com odkrył, jest tylko patrzeniem na znany nam świat z bliska, z wnętrza kropli wody, z wnętrza atomu albo drgającej cząstki elektronu, lub z takiej odległości, gdzie giną szczegóły i różnice, a byt w jedno równomierne morze się zlewa. Nie wyszedłem nigdzie poza doświadczenie, nie odpowiedziałem sobie na żadne „dlaczego?", i przeto nie mam wam i dzisiaj nic do powiedzenia.

— Ale co, co odkryłeś? Mów!

W głosie Jacka zadrgała nuta natarczywej ciekawości człowieka, co dążąc na górę wysoką i niedostępną, spotyka na drodze podróżnika, właśnie ze szczytu jej wracającego.

Starzec zawahał się przez jedną chwilę. Wyciągnął rękę i zgarnął leżące przed sobą papiery — przez pewien czas przebiegał jeszcze okiem kolumny cyfr i znaki, i drobne, na brzegach kart w pośpiechu robione zapiski...

— *Nihil ex nihilo*... — szepnął. — Zmysłowy świat naprawdę i dosłownie jest niczym.

Wzniósł głowę. Budził się w nim genialny odkrywca, budził się nauczyciel...

— Stara, przed wiekami wysnuta teoria tak zwanego „eteru" — począł mówić — upadła wobec zasady względności ruchu, nie mogąc się pogodzić z drugim fantomem myśli człowieczej, jakim jest materia... Dzisiaj dzieci w szkołach już wiedzą, że światło rozchodzi się z jednakową we wszystkich kierunkach szybkością, bez względu na to, czy źródło jego w ruchu jest, czy w spoczynku... Gdybyśmy chcieli ten fakt pogodzić z istnieniem eteru jako przewodnika drgań, musielibyśmy przyjąć nie jeden, ale tyle eterów wszechogarniających, niepodzielnych i bezgranicznych, ile jest ciał zmieniających względem siebie położenie we wszechświecie... A przecież musi być jakiś ośrodek, kiedy przezeń falami idą z gwiazdy na gwiazdę strugi światła i ciepła, i elektryczności, kiedy jedno ciało niebieskie ciąży ku drugiemu...

Powstał i począł chodzić po pokoju, ręce w tył założywszy. Naraz stanął nad Jackiem i dłoń mu wsparł na ramieniu.

— Eter jest — ozwał się — bez względu na to, jak go nazwiemy, nie ma tylko materii. To, co zmysły nasze od wieków za jedyną rzeczywistość uważają, nie jest nawet skupieniem sił, nawet zagęszczeniem ni rozrzedzeniem stałym eteru, lecz tylko pozorem śmiesznym, falą jedynie, która idzie przez eter podobnie jak fala głosu przez powietrze. Nie ma rzeczy stałej ani istotnej, zarówno słońca i systemy słońc, jak każda drobina, każdy atom i elektron są falowaniem tylko, zjawą niesamoistną i mknącą po eterze, który wobec badawczej myśli ludzkiej sam w jedno wszechogarniające i nieskończone nic się rozwiewa... Materia jest jeszcze mniej niż niczym.

Usiadł teraz i podparł dłońmi obiema czoło zamyślone.

— Wszystko płynie: *panta rhei*... Jak płomień gazowy, który dla oczu naszych trwa, mimo że składają się nań coraz inne cząstki węgla z tlenem się łączące! Ale po płomieniu ślad jakiś zostaje w nowym ciał połączeniu; fala materii bez śladu przemyka po eterze. Słońce w przestrzeń pędzące w każdej minucie, sekundzie i setnej sekundy z innych rozedrganych, pozór mu dających cząstek eteru się tworzy i gdyby to drganie powstrzymać, zniknęłoby bez śladu i reszty jak tęcza, gdy promień światła zagaśnie. Zasada niezniszczalności materii i energii jest kłamstwem myśli naszej, za stałą goniącej wartością: wszystko w nic się obraca, z niczego wszystko powstaje.

— Więc gdzież jest prawda? Gdzie byt niewzruszony? — szepnął Jacek pobielałymi wargami.

Robert Tedwen opuścił dłoń na rozwartą starą księgę, co na stole obok leżała.

— Tutaj. Patrz, czytaj.

Jacek nachylił się i jął czytać w mroku zapadającego wieczoru.

Stare, przed wiekami ręką w bukowym drzewie rznięte czcionki na pożółkłym, niezniszczalnym papierze odbite...

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo.

To było na początku u Boga.

Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało.

W nim był żywot, a żywot był światłością ducha.
A światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły...".

Oderwał oczy od kart i spojrzał ze zdumieniem w twarz mędrca posiwiałego.

Wargi starca poruszały się z wolna, jakby szeptem powtarzał zdania przeczytane: „Na początku było Słowo... ".

— Nauczycielu...?

Zwrócił głowę w jego stronę.

— Tak jest. Wiedza moja cała, której życie poświęciłem, zdolna była tylko jedno wykazać: iż nie ma przeszkód, aby wierzyć. Te wszystkie śmieszne mary, te „oczywistości", które rzekomo Objawieniu się sprzeciwiają, tak się przed myślą moją badawczą rozwiały, jak sen gorączkowy parną nocą śniony: przed pustką stanąłem, pustką niepojętą, a wszystkorodną, którą Słowo jedno wypełnić i zapłodnić jest zdolne...

Jedyną prawdą i rzeczywistością wśród płynącej fali jest duch. Z niego, dla niego i przezeń wszystko jest: Słowo stało się ciałem.

— Amen! — odpowiedział głos jakiś z proga.

Jacek wzniósł oczy.

Pod ciężką kotarą drzwi, do dalszych izb gdzieś wiodących, stał ksiądz młody w czarnej sukni, o suchej zastygłej twarzy. W białych dłoniach książkę trzymał niewielką z krzyżem w pośrodku i ze srebrnym na rogach okuciem.

Skinął głową i wskazał ręką okno otwarte, przez które właśnie wpadać poczynał odgłos bijącego gdzieś z dala dzwonu.

Lord Tedwen powstał.

— Oto mój nauczyciel — rzekł. — Na starość znalazłem źródło Mądrości i Prawdy, którą Bóg zsyła na świat ten przez usta pokornych...

Jacek spojrzał na księdza, a chociaż mu się zgoła nie wydało, aby ten kapłan o tępych, twardych rysach był sługą Prawdy pokornym, nie rzekł ani słowa, głowę jeno nieco pochyliwszy.

Starzec tymczasem żegnał się z nim spiesznie.

— Daruj, lecz sam muszę pozostać; godzina codziennej modlitwy nadchodzi...

Mrok już gęstniał, kiedy Jacek wracał zadumany nad brzegiem morza do samolotu swojego. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że właściwie stary nauczyciel nie dał mu żadnej odpowiedzi ani nie usunął dręczącej go wątpliwości, jak się ma zachować wobec ruchu, który za poduszczeniem Grabca lada dzień się rozpocznie... Przypomniał sobie także, iż jeszcze wiele pytań miał zadać, że chciał opowiedzieć o przybyciu dziwnych z Księżyca posłańców, powtórzyć wieści o Marku, prawić o niepojętym czarodzieju Nyanatiloce, ale brakło mu jakoś czasu na to. Zresztą tam — wobec tego starca — zgubiło się to wszystko w jego własnej świadomości...

Przez chwilę myślał, czyby nie wrócić lub do następnego dnia nie poczekać, aby jeszcze z sir Robertem pomówić.

Uśmiechnął się sam do siebie i wzruszył ramionami.

— Na co? Po co? Przecież i tak nic mi nie odpowie. Stary już jest i wiekiem przytłoczony...

Przykrość mu sprawiało wspomnienie młodego księdza, którego widział tam — we drzwiach pracowni uczonego, zwłaszcza iż czuł, że włada on teraz duszą mędrca niepodzielnie.

— Stary jest i myśl jego osłabła... — szepnął znowu.

Ale w tejże chwili przypomniał sobie to, co mu ten starzec mówił o swoich odkryciach, przypomniał sobie pokryte cyframi karty jego rękopisu, który miał w dłoniach; odwagę ducha, co się nie zawahał przed postawieniem teorii na pozór szalonej i nieprawdopodobnej; i wytrwałą bystrość jasnej myśli, która do ostatka ją prześledziła i niewątpliwym, dowodnym poparła rachunkiem — i uczuł, że nic już nie rozumie...

Usiadł na kamiennej ławce na wybrzeżu i wsparłszy brodę na ręku, zapatrzył się w niebo pociemniałe nad morzem, kędy już gwiazdy pierwsze błyskać poczynały...

Myśli snuły mu się uporczywie około punktu jednego:

— Ten ksiądz, ten młody, zastygły, nieznany nikomu ksiądz, który zawładnął umysłem mędrca sławnego.

Przeżuwał w duszy długo tę zagadkę niepojętą dla siebie, aż naraz jak gdyby światło jakieś, raczej przeczucie...

Nie ksiądz! Nie ten lub ów człowiek ułomny i niedoskonały, ale coś ogromnego, coś niewyrażonego, co z rozumem ludzkim zgodzić się nie chce, a w ludzkich duszach trwa i w tęsknotach, i w pragnieniach: Objawienie...!

Jakie? Czyje? Komu dane? Czemu to, a nie inne?

Może to wszystko jedno?

Posiwiały mędrzec powiedział, że cała nauka i wiedza jego zdołały jeno, jako czyn największy, rozkruszyć rzekome oczywistości, co niby na przeszkodzie stoją Objawienia i wiary...

Może w istocie nauka nie robi nigdy nic innego, jak tylko to, że zwite zmysłami naszymi sieci pozorów rozsuwa, aby światło mogło przez nie przeniknąć? Twórcza moc jest gdzie indziej i o tym, co ona tworzy, wiedzieć nie można — w to tylko można wierzyć.

Tworzy ludzki duch i duch wszechświata tworzy...

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo... ".

I pod ciężarem Słowa najbardziej znikoma nicość eteru rozfalowała się w siły, światłem rozbłysła i ciepłem, zadrgała elektrycznością i poczęły iść przez nią dreszcze materii: elektrony, atomy, drobiny, w kosmiczny pył się zbijające, w gwiazdy i słońca, i systemy słońc... i w gromady systemów, w mleczne drogi, w wszechświat.

Słowo!

„Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało... ".

Błogosławieni ci, którzy wierzą!

Błogosławieni, owszem, którzy nie widzieli, a uwierzyli!

Jak wzbudzić w sobie ten płomień, mówiący ustawicznie „tak!" — jedynie twórczy i dający moc prawdziwą a spokój?

Wiara i czyn są ponad myśleniem i wiedzą, ale tak trudno, tak trudno, tak trudno rękami je z zewnątrz dosięgnąć, gdy się nie obudziły w duszy same.

A zresztą — może to wszystko śmieszne są rzeczy, tęsknoty rozbudzonej fantazji jeno, której nie należy dawać do siebie przystępu?

Odrzucił w tył głowę.

Nad morzem rozkołysanym, na niebie pośród gwiazd smuga światła olbrzymia, wodotrysk białego ognia, ginący mgłą rozperloną gdzieś u zenitu, jasną głową nieomal o widnokrąg na zachodzie oparty...

Kometa, która pojawiła się niespodziewanie przed kilku dniami i za kilka dni, o Słońce się otarłszy, zniknie z jego pobliża na wieczność, na wieczność, na wieczność całą!

Świecące nic, na miliony kilometrów przestrzeni rzucone, symbol i żywy obraz świata całego...

Mimo woli przypomniał sobie, jak przed wiekami dawnymi obawiano się komet, mając je za zwiastuny nieszczęścia lub wojny, i w tej chwili przyszedł mu na myśl Grabiec...

Czyżby to była jego kometa...? Jego, który z czynem na świat ten chce iść, wzgardziwszy dumnie wszystkim, co jest tylko samym myśleniem? Kometa wiodła pono niegdyś Aleksandra i Cezara, Atyllę, Wilhelma Zdobywcę, Napoleona...

Igraszka cieniów, cieniów bój, zwycięstwa cieniów...

Jedyną prawdą jest duch!

Zamyślił się, twarz w dłoniach obu ukrywając.

II

Właśnie pan Benedykt siedział w swoim gabinecie przy biurku zarzuconym fotografiami Azy, kiedy przyrząd automatyczny, od dawna już zastępujący niezręcznych a kosztownych lokajów, oznajmił mu, że ktoś pragnie się z nim widzieć.

Zacny staruszek nierad był natrętowi. Po owym niefortunnym zajściu w Aszuan zmuszony był zerwać wszelkie stosunki ze śpiewaczką, która więcej na oczy nie chciała go widzieć. Przez jakiś czas nie mógł sobie dać rady zupełnie. Nazbyt przywykł do próżniaczej włóczęgi po świecie i towarzyszenia *divie*, która wprawdzie nigdy przesadnie dlań łaskawą

nie była, ale przyzwyczaiwszy się nawzajem widzieć go koło siebie, nieraz kpiny przyjaznym osładzała uśmiechem. Nie wiedział po prostu, co ma teraz robić ze sobą i z czasem swoim, którego naraz zaczął mieć bardzo dużo. Zbyt cenił swą wartość — chociaż byłby w kłopocie, gdyby mu kazano określić, na czym ona polega — aby nie być przekonanym, że wcześniej czy później Aza zatęskni za nim i błąd swój uznawszy, w skrusze a pokorze zawezwie go znowu do siebie. Ale tymczasem tygodnie mijały w próżnym oczekiwaniu, a śpiewaczka znaku życia nie dawała.

Wreszcie brakło mu cierpliwości i postanowił się zemścić.

„Ożenię się — pomyślał — i o niej nie chcę już wiedzieć!"

Nie wiadomo dlaczego zdało mu się, że jej to straszną przykrość sprawi.

Zatarł ręce zadowolony. Wyboru wprawdzie jeszcze nie zrobił, ale to była już rzecz najmniejsza. Tyle jest dziewcząt młodych i biednych, do ciężkiej pracy albo do występów gdzieś na małej scence zmuszonych, które będą szczęśliwe, gdy bogaty emeryt raczy im miejsce u boku swego ofiarować...

Zabrał się zaraz do dzieła, to znaczy postanowił Azę zawiadomić o swoim postanowieniu...

Zapytał w centralnym biurze adresowym o miejsce jej pobytu i kupił melancholijną, liliową ćwiartkę listowego papieru. Przyszło mu na myśl, że razem z listem należałoby Azie zwrócić jej fotografie. Nie był tylko pewien, czy wraz z nielicznymi, które z rąk jej własnych różnymi czasy otrzymał, ma jej też odesłać to mnóstwo skupowane po sklepach, którym stroił dumnie ściany swego gabinetu i szuflady biurka zapełniał?

Po głębszym namyśle dla większego wrażenia postanowił przesłać jej wszystko razem.

Skrzynka była już przygotowana i właśnie żegnał się z fotografiami, układając w myśli zwroty listu, jaki miał napisać, gdy gość mu się oznajmił.

Pan Benedykt zaklął z cicha, ale nie mniej przeto siarczyście. Nie miał sposobu ukryć rozrzuconych portretów. Składanie ich do szuflad zbyt wiele by czasu zajęło, a nie chciał ich oddać na pastwę oczom przybysza... Kręcił się tedy przez chwilę niezaradnie, aż nagle pomysł genialny strzelił mu do głowy: zdjął pokrowiec wzorzysty z obok stojącej sofy i przykrył nim całe biurko wraz z fotografiami. Po czym poszedł ku drzwiom i otworzył, naciskając równocześnie guzik, wprawiający w ruch windę elektryczną.

Za chwil parę w drzwiach przedpokoju stanął Łacheć.

— Ach, to ty...

— Tak, to ja.

Uśmiechnęli się obaj kwaśno.

— Dawno cię nie widziałem.

— I ja również dawno nie widziałem wuja...

Przeszli do gabinetu.

Łacheć przybył do pana Benedykta z myślą wprost rozpaczliwą wyciągnięcia od niego jeszcze jakiejś pożyczki. Po owej nieszczęśliwej grze w Aszuan zostało mu tyle grosza zaledwie, że mógł najtańszym pociągiem wrócić do Europy. Zniknął też tak nagle, że ani Halsband, nierad go z rąk wypuszczać, ani szukający go Grabiec nie wiedzieli, gdzie i kiedy się zgubił...

Od samobójczych myśli, pod wpływem rozdrażnienia w nim wybujałych, ocaliła go jakaś wewnętrzna, uparta, chłopska tężyzna, a nade wszystko pomysł nowy dzieła muzycznego, zwycięski, tryumfalny, mocy pełen i pełen śmiechu bogów, rodzący się w duszy nie wiadomo skąd w chwili największego zgnębienia... Odkąd pierwsze twórcze zarysy w głowie mu zamajaczyły, nie był już zdolny myśleć o niczym innym. Wszystko mu znikło sprzed oczu oprócz jednego wielkiego pragnienia: stworzyć, napisać, usłyszeć!

Parę tygodni, parę miesięcy spokoju! Trochę możności skupienia się i pracowania, bez koniecznej pamięci o tym, że trzeba jeść, mieszkać, zarabiać!

Wiedział, że od wspaniałomyślnego Halsbanda każdej chwili w formie zaliczki jakąś sumkę podłą może dostać, ale wiedział również dobrze, iż w takim razie jednej godziny spokoju mieć nie będzie, nagabywany wciąż: „co robi?", „czy wnet już skończy?", „kiedy do obowiązkowych zajęć powróci?".

Pomyślał o wuju Benedykcie jako ucieczce ostatniej i postanowił go złupić za wszelką cenę.

Myśl o tej operacji koniecznej nie była mu przyjemna. Miał wstręt nieprzezwycię- Pieniądz, Nienawiść

żony i aż bolesny przed wszelkim poniżaniem się, prośbą, dziękczynieniem — i przez dziwaczną „konsekwencję" duszy ludzkiej uczuł z góry nienawiść do wuja za to, że ma zamiar pieniędzy odeń pożyczyć.

Teraz, siedząc naprzeciw niego po drugiej stronie biura, pokrowcem ze sofy ściągnionym przykrytego, patrzał nań z wściekłością nielicującą zgoła z zamiarem, jaki go tu sprowadził, i poruszał żuchwami, jakby miał ochotę zacnego staruszka zemleć w zębach bez litości.

— Jakże się miewasz? — ozwał się pan Benedykt po głębszym namyśle.

— Jak najgorzej — zgrzytnął Łacheć.

Pan Benedykt uczuł ochotę powiedzenia siostrzeńcowi czegoś przyjemnego.

— Podobała mi się muzyka twoja dla pani Azy napisana.

Łacheć podskoczył na krześle.

— Podobno zarobiłeś mnóstwo pieniędzy?

— Przegrałem wszystko.

— O!

Wzniósł brwi wysoko i patrzył przez chwilę na kuzyna, kiwając głową smutno i z wyrzutem. A potem rzekł niespodziewanie:

— Żenię się.

— Czy wuj osza...!

Urwał w połowie wyrazu i wypluł ze siebie niby uprzejmie:

— Winszuję. A z kim, jeśli wolno zapytać?

Pochylił głowę, aby ukryć uśmiech złośliwy, i w tej chwili wzrok jego padł na połowę twarzy Azy, spod pokrowca na biurku wyglądającą.

Oddech mu zaparło dzikie podejrzenie; chwycił pokrowiec oburącz, aby go odrzucić, ale pan Benedykt czuwał. Przyparł dłońmi tkaninę i tak mocowali się przez parę chwil, aż wreszcie muzyk zwyciężył. Za zdartą szmatą posypały się fotografie na podłogę całą kupą. Pan Benedykt, zarumieniony jak młodzieniaszek, schylił się, aby je zbierać, a Łacheć pobladł. Wbił oczy w tę twarz, z setki kawałków kartonu doń wyglądającą, i zacharczał głosem stłumionym:

— Z kim? Z kim się wuj żeni?

— Nie wiem jeszcze! Czyś ty zwariował? Po co to rozsypałeś? Muszę odesłać... Ożenię się w najbliższych dniach, ale nie wiem jeszcze z kim.

Łacheć wybuchnął śmiechem.

— A, tak to co innego!

— Jak to co innego? — sapał zaczerwieniony z wysiłku emeryt. — Pomóżże mi zbierać. Licho cię nadało czy co! Przecież ja to muszę odesłać!

Muzyk zmieszał się nagle i onieśmielił... Potrącając krzesło, przypadł na kolana i począł zgarniać niezgrabnie fotografie rozsypane, bąkając jakieś wyrazy usprawiedliwienia wobec zrzędzącego wciąż staruszka. Wreszcie robota była ukończona. Usiedli znowu naprzeciw siebie i rozpoczęli dziwnie zajmującą rozmowę, podczas której każdy z nich myślał co innego, niż mówił. Panu Benedyktowi świrowało wciąż w głowie, po kiego licha siostrzeniec nawiedził go o tej porze mało właściwej, a Łacheć, opowiadając jakąś wymyśloną historię, grał w myśli ze sobą w cetno i licho: „pożyczy czy nie pożyczy?".

W końcu nie mógł już wytrzymać. Przerwał zdanie w połowie i zagadnął niespodziewanie:

— Wuju, jestem w nędzy. Pomocy mi trzeba...

Pan Benedykt zamilkł. Przez pewien czas przypatrywał się gościowi, ruszając brwiami białymi i głową kiwając poważnie, aż się tamtemu to nareszcie znudziło.

Zagadnął po raz drugi:

— Czy nie mógłby mi wuj... dopomóc?

I teraz pan Benedykt nie od razu odpowiedział. Powstał naprzód, przeszedł się po pokoju i chrząknął parę razy.

— Mój drogi — zaczął — powinien bym ci właściwie robić wyrzuty, że jesteś lekkomyślny... Istotnie w Aszuan nie trzeba było grać, lecz grosz zarobiony tak niespodziewanie schować dobrze...

Łacheć powstał, ażeby odejść. Pan Benedykt dostrzegł jego zamiar i ujął go kordialnie za ramię. Uśmiechnął się nawet dobrotliwie.

— Siadaj, siadaj! Przecież ci nie odmawiam! Żenię się, jak powiedziałem. Chciałbym zatem i tobie dla pamięci sprawić przyjemność...

Podszedł do biurka i wysunął jedną z szuflad. Przerzucał coś długo, aż wydobył wreszcie parę ćwiartek zapisanego papieru. Przebiegł je szybko oczyma.

— Jesteś mi winien dwa tysiące sto szesnaście sztuk złota... Oto twoje rewersy.

— Tak. Gdyby teraz jeszcze taką sumę... choćby połowę...

— Na bieżącą srebrną monetę to zamieniwszy, będziemy mieli...

— Gdyby teraz choć czwartą część tego...

— Powiedziałem ci już, że się żenię. Nie chciałbym, aby w takiej chwili coś między nami... Twoja matka była mi jakąś siostrą cioteczną...

Pan Benedykt był istotnie roztkliwiony. Przełknął ślinę i rozwarł szeroko wilgotne oczy. Bohaterskim a serdecznym ruchem wyciągnął dłoń z kwitami w stronę zdumionego Łachcia.

— Masz! Od tej chwili nic mi już winien nie jesteś! Darowuję ci dwa tysiące sto szesnaście złotników. Przyjmij to dla pamięci matki twej.

Głos mu zadrgał ze wzruszenia.

Łacheć oniemiał, zupełnie oszołomiony takim niespodziewanym obrotem rzeczy. Widział, że wuj stoi i czeka, aby on mu się rzucił na szyję lub przynajmniej podziękował, bąknął tedy coś niezrozumiałego i wsunąwszy własne rewersy do kieszeni, jak gdyby one rzeczywiście jakąś wartość miały dla niego, zaczął się zbierać do odejścia.

Pan Benedykt poruszył się niecierpliwie. Znać było, że jest zdumiony chłodnym zachowaniem się siostrzeńca wobec swej hojności i ma jeszcze ochotę coś powiedzieć... Jakoż zatrzymał go na progu.

— Słuchaj — rzekł, nieco tajemniczego podźwięku słowom swoim nadając — ale tyś mi przez trzy lata nie płacił zgoła procentu... Kapitał ci podarowałem, ale procent... widzisz... ja się teraz żenię, będę miał znaczne wydatki... Jeśli nie masz przy sobie, to przyślij mi za kilka dni procent zaległy. Niech już między nami wszystko będzie wyrównane!

Uścisnął go serdecznie i wrócił do pokoju. Nie mógł zgoła zrozumieć, dlaczego się Łacheć nie cieszył, lecz owszem, wychodząc, takie na niego rzucił spojrzenie, jakby go chciał wzrokiem uśmiercić.

Westchnął głęboko i boleśnie nad ludzką niewdzięcznością, uśmiechnął się łzawo do własnej szlachetności i z uczuciem spełnienia dobrego czynu siadł przy biurku, aby pisać list do Azy.

Tymczasem Łacheć, wyszedłszy z domu wuja, począł się włóczyć po ulicach miasta bez myśli i celu.

Ogromne lampy elektryczne, błękitnym oszkleniem złagodzone, zalewały światłem chodniki szerokie, pełne przechadzających się wieczorem tłumów... Od dawna zniesiono już stary i śmieszny zakaz otwierania sklepów nocą. Obecnie magazyny zamykane bywały od jedenastej do piątej po południu, a za to do północy i dłużej świeciły rozlśnionymi wystawami, pełne ruchu, gwaru i przesypującego się ciągle wraz z ludźmi złota. Złoto sypało się zresztą wszędzie, płynęło rzeką, to rozpryskując się na boki, jak woda w kroplach, to spływając w innym miejscu w jedno szersze koryto... Dźwięk jego nieustanny słychać było u wejścia do olbrzymich, licznych teatrów, sal koncertowych, cyrków i bio-fono-skopów — we drzwiach kawiarni, gdzie w przerwach między głosem fonografu (Halsband and Co, Ltd.), wykrzykującego na przemian ostatnie depesze i arie najmodniejszych śpiewaków, niby skromnie odziane, a jednak obrzydliwie nagie tancerki wierzgały nogami w czarnych, siatkowych trykotach; w bankach, najintensywniej teraz pracujących; w zamtuzach, urządzonych z niesłychanym przepychem i przeto wyższych ponad wszystkie ograniczenia policji publicznej obyczajności; i wszędzie, wszędzie, gdzie tylko było oko zwrócić lub stopę.

Krążącym tłumem potrącany, spychany z chodnika i znów ustępujący z drogi licznym samochodom, środkiem ulicy pędzącym, szedł Łacheć, dokąd nogi go niosły, nie wiedząc zgoła, gdzie idzie i co jutro będzie robił. Nie umiał już nawet myśleć o swoim położeniu. Poprzez gwar rozmów, krzyku, nawoływań, świstu syren i wrzasku trąbek samochodowych, chrapania obrzydliwego samograjów i zgrzytu kół hamowanych wpadały w uszy Łachcia jakieś okruchy, strzępy oderwane muzyki jego własnej, co, zda się, z duszy mu wybuchła, otaczając na chwilę dobroczynną falą głowę jego umęczoną... Stawał

wtedy na moment w tłumie ulicznym, setki mil odeń myślą odległy, i chwytał dźwięki przelatujące, nim zginą, nim je rozgwar zwycięski porwie i zagłuszy. Lecz oto znowu ktoś go potrącił, ktoś nazwę świeżo wyszłego dziennika w ucho mu wrzasnął albo stróż porządku publicznego iść mu dalej kazał, by nie tamował ruchu swobodnego, więc znów się zbierał pospiesznie i szedł przed siebie, jak gdyby rzeczywiście dokądś zdążał wśród tego zamętu.

Stanął nareszcie we wnęku[482] jakiejś bramy, nie wiedząc właściwie, dlaczego staje. Miał wrażenie, że się znajduje kędyś w dobrze sobie znanym miejscu. Wzniósł głowę. Przed nim, po drugiej stronie ulicy, widniał napis olbrzymi, ozdobnie i poniekąd zalotnie z kolorowych lampek ułożony: „Halsband and Co, Ltd. — Udoskonalone Gramofony".

Żachnął[483] się jak koń, którego spłoszy nagle pękająca pod nogami petarda. Z okien gmachu ogromnego brzmiała straszliwa kakofonia setki instrumentów dla próby snadź w ruch puszczonych: każdy z nich wygrywał co innego, jedne śpiewały, inne, w których pokutowała jakaś uwięziona orkiestra, jęczały rozpaczliwie, jakby prosząc o litość nad własnym losem, a były i takie, co udawały równocześnie głosy zwierząt lub pijane krzyki kłócących się robotników na przedmieściu.

Łachciowi włosy stanęły na głowie. Chciał już uciekać od tego straszliwego piekła i więzienia swojego, gdy nagle wpadł mu w uszy zwycięsko z gardzieli jakiegoś potężniejszego instrumentu dobywający się, jakby szyderstwo straszliwe, jego własny *Hymn o Izydzie*. Poznał słowa Grabca dostojne a mocne i burzę swych dźwięków, i Azy głos... zniekształcony, sponiewierany w blaszanej gardzieli...

W oczach mu pociemniało; wsparł się plecami o mur i począł patrzeć na dom z tak straszną nienawiścią, z takim wrogim zapamiętaniem, że aż wargi mu drżały ponad odsłoniętymi zębami i ręce zwijały się w pięści, mocno, coraz mocniej, do bólu... Przez myśl przelatywały mu jak błyskawica różne straszne a niewykonalne pomysły: wysadzić budę w powietrze, potrzaskać wszystkie przyrządy. Halsbandowi gardło poderżnąć albo wsadziwszy mu w uszy dwie najgłośniej ryczące machiny, na śmierć go nimi zawrzeszczeć...

Naraz uczuł całą bezsilność swoją i wtulił, jakby zawstydzony, głowę między wysokie ramiona. Brwi mu się ściągnęły — patrzył teraz ponuro przed siebie jakimś tępym, zmartwiałym wzrokiem...

Trwał tak długo bez myśli prawie, gdy nagle poczuł, że ktoś mu kładzie dłoń na ramieniu. Odwrócił się. Obok niego stał Grabiec.

— Szukam pana od dawna... Pójdź pan ze mną.

Łacheć mimo woli posłuchał tego głosu rozkazującego i nie pytając nawet, dokąd go wiedzie, zapuścił się z Grabcem w sieć słabiej oświetlonych bocznych uliczek.

Szli przez długi czas w milczeniu. Minąwszy dzielnice rojne i gwarne, pełne sklepów błyszczących, przedostawali się właśnie ku ogromnym fabrykom na krańcach miasta, gdzie noc i dzień za czarnymi murami gorączkowa wrzała robota. Drogi tu były i dziedzińce przeważnie niebrukowane, lecz tylko okruchem i żużlem węgla na pewną wysokość pokryte; miejsce łagodnych świateł ze śródmieścia zajmowały nieosłonięte lampy łukowe, wyglądające na wysokich masztach jak gwiazdy zawieszone na szubienicach. W jaskrawym, zimnym ich blasku cienie padały czarne od kominów fabrycznych; od przesuwających się raźno po szynach wagonów, od ludzi krążących. Ogromne okna zabudowań, na drobne, od pyłu wiecznego mętne szybki podzielone, buchały żarem światła, jak czeluście pieców jakichś piekielnych.

Grabiec przystanął z milczącym wciąż Łachciem w załomie muru. Była właśnie pora, kiedy robotnicy w jednej z fabryk zmienili się po zwykłej dwugodzinnej pracy, ustępując miejsca świeżym zastępcom. Przez szeroko rozwarte drzwi wpłynęła fala ludzi milczących, w spodnie szare i bluzy płócienne jeno odzianych. Widać ich było doskonale, jak rozsuli się po hali ogromnej, stojąc w gotowości tuż za zajętymi przy maszynach robotnikami. Ten i ów zakasał rękawy, roztarł dłonie stwardniałe... Zabrzmiał pierwszy dzwonek; twarze oczekujących przyjęły wyraz tępy a czujny.

Na drugi znak setka ludzi nagle od maszyn odstąpiła i w tejże samej chwili, bez sekundy przerwy, sto nowych rąk opadło na dźwignie, pochwyciło rękojeści regulato-

[482]*we wnęku* — dziś r.ż.: we wnęce.
[483]*żachnąć się* — okazać oburzenie, zniecierpliwienie, gniew, niecierpliwość; obruszyć się.

rów, wparło opuszczone czopy. Uwolnieni, gromadząc się w pośrodku, przeciągali teraz wolno i leniwie mięśnie znużone, jakby z kataleptycznego snu jakiegoś zbudzeni, słowa urywanych rozmów towarzyszom rzucali, stawali się ludźmi na powrót. Przy maszynach niestrudzonych stały już nowe manekiny.

Z otwartych drzwi poczęła się fala ludzi wysypywać na dziedziniec obszerny. Grabiec przebiegał bystrym okiem mijających go robotników, aż naraz postąpił ku jednemu z nich.

— Józwa!

Zagadnięty obrócił się i zatrzymał. Chłop ogromny, ryży, o ponurym wejrzeniu. W młodych oczach tlił się dziwny płomień uporu i stanowczości.

— To wy, Grabiec?

— Tak.

Robotnik spojrzał podejrzliwie na Łachcia.

— A kto to przyszedł z wami?

— Nowy towarzysz. Mniejsza o imię. Pójdźmy.

Wysunęli się z mijającej ich gromady, zwracając kroki ku wielkiej tawernie w pobliżu, gdzie nocną porą po pracy zbierali się robotnicy na odpoczynek i zabawę.

Rewolucja

W obszernych izbach tłumnie było i gwarno. Łacheć patrzył z zajęciem i nie bez pewnego podziwu na twarze te i postacie jędrne, silne, zwaliste, tak inne od tych, które widywał przez całe życie swoje w śródmieściach, na teatrze, na ulicy, w biurach urzędniczych i w kawiarniach. Przepaść oddzielająca masy robotnicze od reszty społeczeństwa wzrosła w ciągu wieków tak dziwnie i niepojęcie, że tam „na wyżynach" cywilizowanego motłochu nie wiedziano prawie o ich istnieniu...

Usiedli w kącie przy osobnym stoliku. Korzystając z chwili, kiedy się Józwa oddalił dla wydania służącemu poleceń, czy też rozmowy z jakimś znajomym, Grabiec zagadnął Łachcia, głową na tłum wskazując:

— Czy wie pan, co to jest?

Łacheć spojrzał mu w oczy.

— Morze, morze, które trzeba rozkołysać, rozwichrzyć, wzdąć i zalać nim świat...

W głowie Łachcia, dotąd oszołomionej, nagle coś błysnęło, zdawało mu się, że zaczyna rozumieć...

— I pan chce...?

Grabiec skinął głową, wzroku zeń nie spuszczając.

— Tak.

— I pan mnie wezwał...?

— Tak.

— Aby już nie było Halsbandów, gramofonów, starych emerytów?

— Tak jest. Aby nie było nic z tego, co jest. Jeno wielkie morze, chłonące brud ziemi, a nad nim rozkazujący falom bogowie.

Józwa zbliżył się do nich i usiadł ciężko na krześle.

Zaczęli rozmawiać, pochylając głowy ku sobie. Początkowo Łacheć tym, co mu Grabiec rzekł, oszołomiony, nie mógł powiązać treści dolatujących go słów. Patrzył tylko na te dwie głowy ku sobie pochylone, tak bardzo różne, a jedną jakąś myślą w tej chwili objęte. Oczy Józwy otwierały się ciężko, gdy mówić zaczynał, i trwały nieruchomie rozwarte, uporczywe, twarde. Słowa wypowiadał wolno, każde z osobna, z najzupełniejszym, niemal obojętnym spokojem na pozór, ale chwilami znać było, że drga gdzieś pod nimi nieubłagana, obłędna nienawiść i moc, wysiłkiem woli tylko od wybuchu powstrzymywana...

Twarz o niskim czole pod okrągłą czaszką wydawała się na pierwsze wejrzenie tępą i niemiłą. Gdy jej się jednak Łacheć po kilku chwilach lepiej przypatrzył, przyszło mu do głowy, że ten człowiek nie może być tylko robotnikiem... Zaczął zwracać uwagę na jego słowa.

— Grabiec — mówił Józwa, pięściami obiema wsparty na stole — czy wy myślicie, żem ja po to zszedł między robotników i dziesięć lat życia spędził w ogłupiającej pracy fabrycznej, aby dzisiaj spełniać czyjekolwiek życzenia? Słuchajcie mnie, Grabiec, mnie dobro niczyje zgoła nie obchodzi, utopii nie piszę, o przyszłości ludzi nie marzę. Ja tylko wiem, że trzeba, aby czasem na wierzchu było to, co przez wieki całe bywało na dole, aby ognie podziemne wybuchały na zewnątrz... Co jutro będzie, jutro pokaże.

— Jednakże nie wzbraniacie się iść ze mną? — wtrącił Grabiec.

Po szerokich wargach Józwy uśmiech przebiegł nieznaczny.

— Nie ma powodu wzbraniać się — odparł. — Na razie cel jest wspólny. Jeno że wy chcecie nas, dzicz, jak myślicie w duchu, użyć za narzędzie, a ja się śmieję i z tego, i z was. Najlepiej sprawę postawić jasno i otwarcie. W waszym przekonaniu ze zwycięstwa, z naszą pomocą otrzymanego, skorzystacie wy, mędrcy, uczeni, artyści i coś tam podobnego. A ja wam powiadam, że nie my wam, lecz wy nam później służyć będziecie, o ile naturalnie przyjdzie nam ochota korzystać z tego, co wy możecie dać.

— Czas to pokaże. Wyzyskać was nie chcemy.

— Chcecie. Ale mniejsza o to. Macie słuszność, że czas wszystko pokaże. Na razie nie ma o czym mówić. Teraz nam i wam chodzi tylko o jedno: o zniszczenie tego, co jest, o zgnębienie rozpanoszonego środka, o przewrót. Idziemy razem... Gruzy zostaną tam, gdzie przejdziemy, zgliszcza i krew.

Łacheć słuchał z zapartym oddechem — myśli jakieś nowe, winu mocnemu podobne, do głowy mu uderzały.

III

Była godzina południowa, kiedy samolot Jacka, wracającego od lorda Tedwena, opadł na platformę dachową domu jego w Warszawie. Jacek wyskoczył szybko z siedzenia i zadzwoniwszy na mechanika, aby się zajął maszyną, zbiegł po schodach na dół. Ogarniał go dziwny niepokój, którego sobie nie umiał wytłumaczyć: pilno mu było do pracowni. Miał wrażenie, jakby się tam stało coś pod jego nieobecność...

Myśl ta dręcząca naszła go w pewnym momencie podczas drogi, gdy wysoko ponad ziemią w powietrzu zawieszony na próżno jeszcze śledził okiem we wschodnich krańcach widnokręgu miasta rodzinnego. Od tej chwili pędził też z zawrotną szybkością, największą, na jaką stać było lotny jego pojazd. Warczenie śruby, rozdzierającej oszalałymi śmigłami powietrze, łączyło się ze świstem wichru nieustannym; Jacek musiał założyć maskę na usta, aby umożliwić sobie w tym pędzie niesłychanym oddychanie... Krew biła mu w skroniach, pulsa[484] bolały po prostu od tętna przyspieszonego.

Doznał pewnej ulgi, gdy zobaczył, że dom jego stoi na dawnym miejscu niewzruszony.

W wielkim, azbestowymi dywanami o świetnych barwach zasłanym przedsionku, tuż u drzwi pracowni spotkał służącego, który na łoskot opadającego samolotu z dalszych wybiegł pokoi.

— Co słychać?

— Nic nowego, Ekscelencjo. Czekamy waszego przybycia.

Jacek pomacał się po kieszeni, gdzie klucz miał od drzwi swojej pracowni.

— Nikt o mnie nie pytał?

— Nie. W ciągu tych dwóch dni nie było nikogo.

— A przybysze z Księżyca?

Służący uśmiechnął się.

— Mają się dobrze. Tylko ten rozczochrany...

Urwał.

— Co takiego?

— Ekscelencja kazał zadowalać wszystkie ich życzenia. Ten rozczochrany wydaje ciągle rozkazy. Podołać im nie można. Mówi przy tym dziwnym językiem, który doprawdy mało polszczyzny ma w sobie, i gniewa się, że go nie rozumiemy.

Jacek skinieniem dłoni oddalił lokaja i odkładając na później przywitanie z karłami, włożył klucz do tajemnego zamka. Kilka naciśnień[485] i obrotów i drzwi rozsunęły się nagle na obie strony, ciemną czeluść otwierając za sobą. Metalowe zasłony na oknach były pospuszczane; Jacek wyszukał dłonią guzik w uszaku drzwi i włożywszy w otwór poniżej mały kluczyk, nacisnął. Fala światła wpadła przez naraz odsłonięte okna, ćmiąc mu źrenice.

Raźnym krokiem przeszedł pierwszy okrągły gabinet, w którym zazwyczaj przy biurku pracował, i otworzywszy jeszcze jedne metalowe drzwi w ścianie ukryte, szyją wąskiego

[484]*pulsa* — dziś popr. forma M.lm: pulsy.
[485]*naciśnienie* — dziś: naciśnięcie.

korytarza udał się do laboratorium swego prywatnego, które tym jednym przejściem tylko przez gabinet jego ze światem się łączyło.

Stanąwszy na progu drzwi, wydał mimo woli lekki okrzyk.

Nad przyrządem, w którym zamkniona[486] była straszliwa tajemnica jego wynalazku, siedział nieruchomo człowiek jakiś pochylony... Jacek jednym skokiem był przy nim. Człowiek powstał z wolna i odwrócił się.

— Nyanatiloka!

Patrzył przez jedną sekundę w twarz buddyście, a potem nie pytając nawet, jak się tu dostał przez zamknięte żelazem drzwi i okna, schylił głowę nad przyrządem... Jeden z drutów, przewodzących prąd elektryczny, był przecięty. Jacek spojrzał na wskazówkę zegara, natężenie prądu notującego — i zmartwiał! Drut został przerwany właśnie w tej chwili, kiedy prąd, z niewytłumaczonej przyczyny ponad miarę wzmożony, dochodził tego natężenia, że przyrząd mógł samorzutnie wybuchnąć... Jeszcze jedna cząstka sekundy, a nie tylko dom jego, lecz miasto całe byłoby się zamieniło w kupę gruzów na porytej ziemi.

— Już nie ma niebezpieczeństwa — rzekł Hindus, uśmiechając się. — Prąd jest przerwany.

— Ty to zrobiłeś?

Nyanatiloka nie odpowiadał. Ujął Jacka za rękę i z wolna poprowadził do gabinetu z powrotem. Uczony dał się wieść jak dziecko, myśleć prawie niezdolny. Chaos jakiś w głowie mu kotłował; bał się po prostu pytać Trójświatowiednego, co się stało, tak mu się to wydawało nieprawdopodobnym i wywracającym wszelki porządek ludzkiego myślenia.

Po jakimś czasie dopiero, kiedy siedział już w wygodnym fotelu przed swoim biurkiem, ocknął się z oszołomienia i począł patrzeć na Nyanatilokę, jakby ze snu zbudzony, szeroko rozwartymi oczyma. Miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jego burnusa dla przekonania się, że ten człowiek stoi przed nim rzeczywiście, ale jakiś wstyd go powstrzymał...

Nie wiadomo, czy Nyanatiloka zaczątek ruchu jego zauważył, czy przeczuł myśl...

— Czy sądzisz — ozwał się — że zmysł dotyku jest pewniejszy od zmysłu wzroku? Przecież mnie widzisz oczyma.

— Skąd się tu wziąłeś?

— Nie wiem — odparł Hindus zupełnie szczerze.

— Jak to, nie wiesz? Przecież to niepojęte! W chwili, kiedym zamykał pracownię, przed dwoma dniami, wiem na pewno, że nikogo w niej nie było...

— Wczoraj jeszcze byłem na wyspie Cejlonie w towarzystwie mych braci...

— Nyanatiloko! Miej litość nade mną! Mów prawdę!

— Prawdę mówię. Dziś, przed godziną czy może przed dwiema, modląc się, uczułem nagle, że w pracowni twojej dzieje się coś strasznego. Mimo największego wysiłku nie zdołałem zrozumieć, co to jest, nie mogłem więc powstrzymać katastrofy z odległości, a czułem, że nie ma chwili do stracenia.

Jackowi kroplisty pot wystąpił na czoło.

— Mów, mów dalej!

— Niewiele jest już do powiedzenia. Zamknąłem wszystkie zmysły, aby mi pozór świata zewnętrznego nie przeszkadzał, i zapragnąłem znaleźć się tutaj. Gdym oczy otworzył, zobaczyłem drut przyrządu twego przed sobą: przeciąłem go.

— Gdybyś się był zawahał przez jedną ćwiartkę sekundy, byłbyś pod wpływem wybuchu wraz z domem całym zamienił się w jedno nic po prostu.

Nyanatiloka uśmiechnął się, patrząc mu w oczy.

— Nie wierzysz? — rzucił Jacek.

— Czy wybuch maszyny twojej zdolny jest zamienić w nic to jedno, co naprawdę jest, ducha?

Jacek zamilkł. Białymi dłońmi przetarł czoło kilkakrotnie i powstawszy, zaczął chodzić po pokoju. Po chwili dopiero odezwał się:

---

[486] *zamkniony* — dziś: zamknięty.

— Nie mogę dziś mówić z tobą. Zbyt wielki chaos czuję w głowie i jestem po prostu myśleniem znużony... Dziwną rozmowę już miałem wczoraj wieczorem, która mi jeszcze z myśli nie wyszumiała.

Urwał i przystanął — a potem naraz zwrócił się żywo ku Nyanatiloce.

— Słuchaj! Mów mi, co jest duch! Ciągle, ciągle słyszę to słowo... Wiem wiele, a o tym jednym nie mam pojęcia, chociaż to jest najbliższe, choć to jest mną! I nikt o tym nie wie, nikt o tym nigdy nie wiedział! Czyż naprawdę zawsze tylko wierzyć w to trzeba, co jest w człowieku głębią najistotniejszą?

— Wierzyć, to mało — szepnął Nyanatiloka, patrząc przed siebie szeroko rozwartymi oczyma. — Trzeba wiedzieć koniecznie.

— A ty wiesz?

— Wiem.

— Skąd? Jak?

— Bo chcę.

Jacek wzruszył ramionami z wyrazem zawodu w twarzy.

— W błędne koło wchodzimy. Tak różny jest sposób myślenia mój a twój, że snadź[487] nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Czyż wiedza może być od woli zawisła[488]?

— Tak. Jest od woli zawisła.

Zaległo na chwilę milczenie. Jacek usiadł znów i wsparł głowę na dłoniach.

— Dziwnie mi prawisz. Trudno mi uznać wyniki twego, tak niepojętego dla mnie rozumowania. A jednak pociąga mnie to wszystko, ta wiedza twoja spokojna i pewna, na akcie woli oparta. Mówże mi, czym jest ten duch dla ciebie?

— Duch jest tym, co jest. Wszystko się stało przez niego, a bez niego nic się nie stało, co się stało.

Jackowi zamajaczyła w oczach ogromna siwa głowa lorda Tedwena, nad księgą Ewangelii św. Jana schylona.

— Więc i ty, i ty to samo... — szepnął.

Nyanatiloka zdawał się nie słyszeć.

— Świat powstał z ducha — prawił dalej — duch jest światłością życia i prawdą jego jedyną, a co naokół niego, to pozór jedynie zeń wysnuty i na razie przemijający. Duch stał się ciałem...

— A jeśli zamrze wraz z ciałem? — wtrącił Jacek mimo woli.

Wschodni mędrzec uśmiechnął się.

— Jestżeś zdolny[489] bodaj na chwilę tak przewrotną rzecz przypuścić?

— Nie wiem nic. Przed tobą przyznaję się otwarcie do tego, że nie wiem. Są ludzie, co twierdzą, że tak zwane ciało, bez względu na to, czym ono jest, nie zaczątkiem, ale ostatnią fazą jest ducha, który się weń ścina, aby się nareszcie uwolnić od prężności własnej i zginąć z nim razem.

— Nie ginie duch. Nie może zginąć to, co naprawdę jest.

— Więc jaki jego los po śmierci ciała? Po stracie tych zmysłów, którymi widzi, czuje, słyszy, po stracie mózgu, za pomocą którego myślał?

Nyanatiloka nie spuszczał oka z mówiącego.

— Wolny wtedy jest.

— I co?

— Jest. Jedyną prawdę czerpie wtedy ze siebie, zamiast ulegać z winy zmysłów tak często innych duchów prawdzie lub śnieniu.

— Nie rozumiem.

— I rozumieć nie potrzeba, jeno wiedzieć. Co robisz, gdy zamkniesz zmysły?

— Śnię.

— I duch, ostawszy sam, śni, jeno że sen ten jest wówczas dla niego rzeczywistością niewątpliwą i jedyną, bo nic mu się z zewnątrz nie przeciwstawia. Skąd przypuszczasz, że to życie, w którym jesteśmy obaj obecnie, inną ma podstawę? Że jest czymś... mniej niż ducha pomyśleniem: boć to przecie najwyższe! Może w życiu jakimś innym, gdyśmy

[487] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.
[488] *zawisły* — tu: zależny.
[489] *jestżeś zdolny* — konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy (czyż) jesteś zdolny.

się innego, choć również z woli wysnutego pozoru ciała zbywali, myśl nasza ostatnia zawiązkiem tego życia się stała, co trwa...

— Tak, przypuśćmy. Ale dlaczegóż myślimy wszyscy to samo i podobną rzeczywistość duchem dla siebie tworzymy, bo przecie widzę to samo ja, co i ty?

— Bo duch w zasadzie jest jeden i przez przemiany różne do ostatecznej dąży jedności, która snadź była kiedyś na początku, choć nie wiem, czy ten początek można brać w czasowym znaczeniu.

— A to życie przyszłe?

— Wiem, że będzie, dopóki się ze złud ostatnich, z obłędów woli, różności żądnej, nie wyzwolimy; lecz nie wiem, jakie. Może myślą swą ostatnią przed zmysłów zatraceniem to nowe życie dla siebie stworzymy i każdy będzie miał w nim to na razie, w co wierzył, czego pragnął, spodziewał się lub czego się właśnie obawiał... Pomyśl, jaka rzecz piękna i straszliwa zarazem: móc stworzyć życie nowe z ostatniej myśli swojej, rozwijać ją, wypełniać, urzeczywistniać! I jak trzeba pilnować tej myśli ostatniej, aby nie była podłym strachem lub męką, bo w jakimż piekle nieodwołalnym wtedy człowiek się pogrąża!

— A wyzwolenie?

— Nie pragnąć niczego! Święte i wielkie słowo, aż nazbyt często i świętokradzko nadużywane, byt wszechogarniający, niezmienny, pełny, istotny, błogostan ostateczny, pierścienia przemian zamknięcie: Nirwana. Bóg jest otchłanią, otchłań jest Bogiem, i my do Boga wrócimy!

Jacek po chwili zamyślenia powstał i otrząsnął się.

— Niepotrzebnie mówię z tobą dzisiaj o tych rzeczach — rzekł. — Myślenie nuży mnie teraz i do ostatnich granic wyczerpuje. Mam wrażenie, żem stracił chwilowo zdolność sądzenia: słowa twoje w dziwny stan mnie wprowadzają. Nie mów, nie mów mi więcej. Boję się! Gdzie indziej muszę myśl teraz zwrócić... a głowę mam oszołomioną, niemocną...

Tarł czoło rękami.

Hindus powstał.

— Pójdę — rzekł. — Odwiedzę cię kiedy indziej.

Jacek zaprzeczył żywo.

— Nie, nie! Pozostań. Wiele jest rzeczy, co do których właśnie chciałem ciebie spytać o radę... Tylko teraz muszę nieco ochłonąć.

Dotknął ręką dzwonka, wzywając służącego.

— Trzeba się przede wszystkim posilić — rzekł z wymuszonym uśmiechem.

Służący właśnie wchodził. Jacek zatrzymał go we drzwiach skinieniem dłoni.

— Przygotuj nam śniadanie i poproś posłów z Księżyca, żeby tu do mnie przyszli...

Po odejściu lokaja Nyanatiloka podniósł oczy na Jacka.

— Jak zamyślasz postąpić wobec tych wieści o przyjacielu twoim, Marku?

Jacek tak już był przyzwyczajony, że ten niepojęty człowiek myśli jego czyta, nim w słowach się pojawią, iż nie zdziwił się nawet, skąd może wiedzieć o wydarzeniach ostatnich tygodni. Wzruszył tylko ramionami i rozłożył ręce szeroko.

— Nie wiem jeszcze. Podejrzani mi są ci karzełkowie. Zdaje mi się, że trzeba będzie nowy wóz zbudować i jechać na Księżyc...

Błysnęła mu jakaś myśl. Urwał i spojrzał na Nyanatilokę.

— Słuchaj, przecież ty byś mi mógł powiedzieć, co się z Markiem dzieje...

„Bikhu" potrząsnął głową przecząco.

— Nie wiem. Mówiłem ci już raz, bracie, że wola ludzka nie posiada granic w swoim działaniu, ale wiedza jest ograniczona i świadomość nie wszędzie dotrzeć zdoła. Zasady poznaje najgłębsze, lecz wiele szczegółów jest przed nią zakrytych, bo z obcych wynikają źródeł.

— A jednak wiesz zazwyczaj, co ja myślę.

— Gdy mówisz do mnie myślami, wiem. Uderzasz mimo woli myślami ducha mojego.

Położył dłoń na jego ramieniu.

— Dajmy temu jednak pokój w tej chwili. Sam mówiłeś, że jesteś znużony...

Jacek uczuł, że nagle pod wzrokiem buddysty myśli poczynają mu się mieszać i coś, jakby dziwnie słodka obezwładniająca mgła, całą istotę jego ogarnia... Błysnęło mu jeszcze w świadomości, że on go wolą swoją usypia; szarpnął się buntem wewnętrznym, chciał krzyczeć, uciekać i naraz cień go ogarnął nieprzemożny, gasząc świadomość jego do małej, maleńkiej iskry, tlejącej tym tylko uczuciem, że w cieniu istnieje...

Stracił zupełnie poczucie czasu i miejsca, w którym się znajduje. Stan ten mógł trwać zarówno sekundę, jak tysiąclecie... Nie pragnął niczego, o niczym nie wiedział, nie czuł nic z zewnątrz siebie.

Powoli, powoli jakiś dźwięk, jakaś mgła, zrazu tak gęsta i szara, że od ciemności różniąca się zaledwie, potem coraz jaśniejsza, srebrna, w tuman obrzasku nieokreślonego się rozwiewająca.

Dziecięca, bezinteresowna, prawie nieosobista ciekawość zaczęła się w nim budzić. Coś mu błysło przed oczyma niby zarysy krajobrazu dziwnego: zielone pola, nisko zawieszonym słońcem oświetlone... Po jakimś czasie zauważył, że nie umiejąc zgoła określić miejsca w przestrzeni, kędy sam się znajduje, widzi jednak dokładnie kotlinę obszerną, zasianą stawkami okrągłymi o dziwnej, nieznanej u brzegów roślinności. Kotlina zamknięta była ze wszech stron niby pierścieniem olbrzymimi górami o śnieżnej, poszarpanej pile szczytów.

Począł się zastanawiać, gdzie jest i co tutaj robi? Męczyło go to, że chłonąc najwyraźniej wrażenia wzrokiem, nie może dostrzec ani poczuć siebie samego, własnego ciała, jak gdyby był czymś nieważkim i nieuchwytnym zgoła.

Myślał właśnie o tym, gdy naraz poznał, że i przez słuch mimo swą niematerialność może odbierać z zewnątrz wrażenia. Dźwięk go jakiś uderzył, coś jakby zamęt bitwy: strzały, jęki, okrzyki. Teraz dopiero spostrzegł, że w pośrodku ogromnej kotliny na turni wysokiej wznosi się miasto. Naokoło walka wrzała rzeczywiście. Garstka ludzi szła przebojem przez napadające ją zewsząd, z powietrza i z ziemi, chmary niby ptactwa, niby płazów skrzydlatych...

Potwory czterookie na szeroko rozpiętych błonach unosiły się całym stadem, rażąc z góry pociskami odstrzeliwujących się ludzi...

Zdało się naraz Jackowi, że głos znajomy posłyszał. Nagłym wysiłkiem woli rzucił świadomość swoją w tamtą stronę.

— Marek!

Tak, zobaczył go całkiem dokładnie, jak biegł na czele szeregów — dziwnie olbrzymi przed skarlałymi towarzyszami. Jakąś broń o kształcie jatagana długiego miał w ręku i wskazywał nią na mury miasta, czerwone od ostatnich słonecznych promieni...

Chciał krzyknąć, chciał nań zawołać.

Szum, zamęt, łoskot jak gdyby walącego się świata błyskawica czarna, wszystko na jeden moment pochłaniająca.

Otworzył oczy. Przed nim, po drugiej stronie biurka w jego gabinecie siedział Nyanatiloka z brodą na dłoniach opartą i wpatrywał się weń uporczywie.

— Spałem?

— Tak, bracie. Zasnąłeś na chwilę. Cóż widziałeś?

Jacek naraz zrozumiał.

— Byłem na Księżycu?!

— Chciałem, abyś był. Nie wiem, czy mi się udało. Nie jesteś martwym przedmiotem, lecz świadomym duchem, jak i ja. Duch duchowi nigdy bezwzględnie nie podlega, lecz walkę z nim toczy...

— Tak jest. Byłem na Księżycu. Widziałem Marka. Miasto tam jakieś na dziwnych potworach zdobywa. Jest może królem istotnie. Ale mało wiem, mało! Zbyt rychło się obudziłem. Czy nie mogłeś mnie dłużej w tym stanie utrzymać?

— Nie zdołałem. Zwłaszcza że musiałem baczyć, byś nie zaprzestał myśleć po swojemu, swoimi patrzeć oczyma, a nie przez moje.

Jacek chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili drzwi się otworzyły: służący oznajmił przybycie wezwanych karlików.

Weszli obaj, poglądając nieufnie na Nyanatilokę, Roda zląkł się nawet niepomiernie, gdyż strój Hindusa, prosty burnus biały, przypomniał mu jakoś Hafida, który w klatce

ich woził. Jacek nie dał mu ochłonąć. Otrzeźwiony już ze snu zupełnie, żywym krokiem ku Księżyczanom postąpił i zapytał wręcz:

— Dlaczego mówiliście nieprawdę, że Marek panuje spokojnie nad ludem księżycowym, gdy on właśnie w tej chwili walczy z potworami we wnętrzu wielkiego pierścienno łańcucha gór?

Roda pobladł i zaczął się trząść na całym ciele.

— Panie najdostojniejszy! Wojnę on toczy rzeczywiście...

Przerwał. Przyszło mu na myśl, że przecież Jacek żadnym sposobem wiedzieć nie może, co się tam na Księżycu dzieje, więc nie ma zgoła powodu, aby go o istotnym stanie rzeczy powiadamiać. Odął[490] wargi mięsiste i głowę hardo w tył rzucił.

— Boleśnie mi jednak, panie — kończył niby zdanie rozpoczęte — że z lekkim sercem kłam mi zadajesz. Do obowiązków i zwykłych zajęć króla należy wojna; cóż więc dziwnego, gdyby się Marek obecnie rzeczywiście na wyprawie znajdował, o czym zresztą ani ty, ani my w tej chwili wiedzieć nie możemy.

Jacek patrzył przez jakiś czas na karzełków w milczeniu, wreszcie odezwał się:

— Chciałem wam powiedzieć, że postanowiłem w nowym wozie udać się na Księżyc za moim przyjacielem. Czy zechcecie mi towarzyszyć?

Chwilowa pewność siebie włochatego „mędrca" znikła w jednym momencie. Nogi poczęły znów pod nim drżeć, wybełkotał jakieś słowa niezrozumiałe...

Ach! Tak, na Księżyc! Powrócić na Księżyc, znaleźć się znowu w mieście przy *Ciepłych Stawach*, wśród uczniów swoich w pośrodku uwielbiających go członków Bractwa Prawdy! To było tęsknotą jego od pierwszej chwili, kiedy nogę na Ziemi postawił — ale ciarki go przechodziły na samą myśl, że mógłby się znaleźć na Księżycu w towarzystwie Jacka i może jeszcze innych jakich ludzi, którzy rychło by poznali wszystkie jego kłamstwa i podstępy...

Nie wiedział, co robić, jaką dać odpowiedź, gdy naraz spostrzegł, że Mataret, stojący dotąd za nim, wysuwa się naprzód. Straszne przeczucie czegoś niedobrego ścisnęło go za gardło — chciał jeszcze dać ręką znak towarzyszowi, powstrzymać go, ale już było za późno.

— Panie — rzekł Mataret poważnie, głowę na Jacka podnosząc — zdaje się, że już czas, abyśmy prawdę wyznali...

— Milcz, milcz! — zakrzyknął Roda rozpaczliwie.

Mataret nie zważał nań zgoła. Śmiało patrzył w oczy Jackowi i mówił:

— Marek nie wysłał nas wcale tutaj. Myśmy sami podstępem wóz jego opanowali i nie chcąc prawie tego, przybyli na Ziemię.

Jacek pobladł gwałtownie.

— A Marek! Marek... czy żyje?

— Walczy z szernami, jak sam, nie wiem skąd, domyśliłeś się, panie, przed chwilą.

I zaczął opowiadać, jak po przybyciu Marka, którego lud księżycowy od razu zapowiedzianym przez proroków Zwycięzcą okrzyknął, oni za oszusta go uważając, walkę z przewagą jego rozpoczęli i jak gromadzili nieuznających go towarzyszy około siebie. Mówił o walkach z potwornymi pierwobylcami, szernami, toczonych, o klęskach i zwycięstwach, i o tym wreszcie, że oni wozem zawładnęli raczej z myślą sprowadzenia pomocy z tamtej, niedostępnej strony Księżyca, skąd, jak sądzili, Marek pochodził, niźli w zamiarze uniemożliwienia mu powrotu do ojczyzny. Nie wspomniał tylko, że jego to był zamiar wyłącznie, a nie Rody, chcącego jedynie pognębić znienawidzonego przybysza.

— Spadliśmy niespodziewanie na Ziemię — kończył — a co dalej było, wie pan zarówno dobrze, jak i my sami. Kłamaliśmy w strachu, aby się tutaj na nas nie mszczono; byliśmy słabi wobec was, bezradni i osamotnieni. Teraz zna pan już całą prawdę. Niechaj pan uczyni, co pan uważa za stosowne, jeśli pan jednak ma istotnie zamiar udać się na Księżyc, to niech to pan robi spiesznie, bo Marek może naprawdę potrzebować pomocy.

W milczeniu wysłuchał Jacek długiego opowiadania. Brwi z wolna ściągnęły mu się ponad oczyma, aż sparły się w łuk twardy i nieruchomy. Wargi zacisnął, oczy wytężył przed siebie...

— Pojedziecie ze mną na Księżyc — rzekł naraz, do karłów się zwracając.

---

[490] *odąć* — dzis: wydąć.

Mataret przyświadczył ruchem głowy.

— Tak, panie, pojedziemy.

Roda pochylił się również na znak zgody, ale w duszy zaprzysiągł sobie, że wszystkich środków raczej użyje, niźli zgodzi się dobrowolnie na tę drogę, podczas której byłby najzupełniej w mocy człowieka mogącego się mścić na nim. Niedługi pobyt na Ziemi wystarczył mu już, aby zrozumiał, że tutaj chroni go bądź co bądź prawo równe dla wszystkich i żadna krzywda stać mu się nie może, dopóki mu winy ktoś nie dowiedzie, ale tam — lecieć samotrzeć[491] przez otchłań wszechświata z przyjacielem wroga swojego...!

W głowie Jacka tymczasem myśli wartkim prądem płynęły. Obejrzał się pomimowolnie na Nyanatilokę, ale ten znikł kędyś, cicho z pokoju się wysunąwszy, więc nie mając mówić do kogo, ujął skroń w obie ręce i zadumał się głęboko nad losem przyjaciela, nad zamierzoną podróżą, nad tym, co tutaj zostawia i tam co zastać może.

Wir, który się tutaj zerwie lada chwila! Nie chciał w nim brać czynnego udziału, a jednak dziwne ogarniało go uczucie, że zejdzie stąd, ulatując w przestrzeń jakby w ucieczce przed walką, przed grozić mogącym niebezpieczeństwem, przed ostatecznym zmaganiem się sił...

A jeśli tu będzie potrzebny? Jeśli tu czyn ostatni, straszny, który dla siebie samego zachowuje, nie chcąc broni w obce dać ręce, spełnić wypadnie, a jego tu nie będzie, aby rzucić grom?

— Cóż mnie to wszystko obchodzi? — szepnął z cicha do siebie. — Odejdę. Niechaj się dzieje, co chce. Tam przyjaciel jedyny mnie woła...

Powstał właśnie, kiedy na progu zjawił się znów służący z listem na tacy.

— Od pani Azy — rzekł, kładąc na stole kopertę.

Jacek rozerwał ją szybko i przebiegał pismo oczyma, zapominając o obecności karłów księżycowych, którzy z zajęciem śledzili zmianę na jego twarzy...

Usiadł z wolna w krześle i ćwiartkę papieru zapisaną przed sobą położył. Aza donosiła mu, że przyjeżdża wkrótce do Warszawy na czas dłuższy, odpocząć po występach i tryumfach...

„Chcę, abyś był wtedy w domu, mój przyjacielu — pisała, o przelotnym, dawnym nieporozumieniu snadź[492] już zapomniawszy — gdyż pragnę o wielu rzeczach z tobą pomówić i czas wyłącznie w twoim spędzić towarzystwie... Może się niejedno zmieni w moim życiu: ty pierwszy będziesz o tym wiedział...".

— Mam jeszcze czas — rzekł do siebie po chwili, prawie głośno — nim wóz mi zbudują, a potem...

Urwał i dawszy ręką znak służącemu, aby się wraz z karłami oddalił, podszedł ku oknu i wsparł o szybę czoło zamyślone i smutne.

IV

— Pani musi za wszelką cenę wydostać tajemnicę Jacka. Jest nam nieodzownie potrzebna.

Mówiąc to, Grabiec usunął jakby mimo woli rękę, którą właśnie dłoń Azy dotknęła. Śpiewaczka zauważyła ten ruch i cofnęła się wstecz. Brwi zbiegły się nad jej oczyma. Uraził ją suchy, rozkazujący niemal ton jego słów.

— A jeśli nie zechcę mieszać się w to wszystko? — rzuciła wyzywająco.

Grabiec wzruszył ramionami.

— To trudno. Znajdę inny sposób i wynalazek ów mieć będę. Pani zaś dalej będzie śpiewała...

Urwał i począł się oglądać za kapeluszem i rękawiczkami. Znalazłszy je, skłonił się szybko przed milczącą kobietą.

— Żegnam panią...

— Nie! Zostań pan jeszcze!

Nagłym ruchem przystąpiła doń z roziskrzonymi oczyma.

— Panie! Grajmy w otwarte karty. Co mi pan daje za... ową... tajemnicę?

Cofnął się z wolna ode drzwi i usiadł na najbliższym krześle.

---

[491] *samotrzeć* — samemu z dwoma towarzyszami; we trzech.

[492] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

— Nic, tak dalece. Mówiłem już pani. Sam nie wiem, co będę miał...

— Więc czemuż ja się mam narażać?

— Bo pani chce. Zaciekawia panią i pociąga to wszystko, co się stanie, co się stać może, właściwie: rada pani wziąć udział w tej największej i ostatecznej może już walce, która zatarga trzewiami ludzkości.

Zaśmiała się.

— I to już wszystko? Gotów pan wmówić we mnie, że to ja właśnie proszę was o pozwolenie zrobienia wam przysługi największej...!

— To obojętne, jak się rzeczy brać będzie. Pani chce władać i wie pani, że jedynie w naszych szeregach i po naszej stronie jest miejsce dla królów.

Usiadła naprzeciw niego i wsparłszy łokcie na kolanach, brodę między dłonie rozłożone wsunęła.

— Czy pan nie pomyślał, że mogłabym... wynalazek Jacka... użyć dla siebie samej?

— Nie pomyślałem tego i nie pomyślę. Zbyt dobrze sądzę o pani, abym miał przypuszczać, że pani miewa zamiary tak niepraktycznie zabawne. Sama niczego pani dokazać nie zdoła.

— Więc może z Jackiem na współkę?

Grabiec spojrzał na nią z mimowolnym zaniepokojeniem, lecz w tejże chwili uśmiechnął się.

— Niech pani spróbuje. Może on się zgodzi.

Lekkie szyderstwo brzmiało w jego głosie.

Wstała, dotknięta znowu, i zbliżyła się o krok.

— Czy pan myśli, że nie mam już innego sposobu panowania nad światem i wami, jak tylko przez wyłudzenie od kogoś przepisu na środek wybuchowy?

Ogarnął ją chłodnym, badawczym spojrzeniem. Milczał przez jakiś czas, wodząc oczyma po jej twarzy, ramionach, biodrach, jakby ją oglądał i cenił.

— Tak — wyrzekł nareszcie — pani jest piękną i przeto pani się zdaje... Nie, pani droga! Pani, jak dotąd, nie włada, ale służy ludziom swoją pięknością.

Żachnęła się gwałtownie. Przypomniało się jej, że to samo zdanie niedawno z ust Jacka słyszała. Zdławiony śmiech zadrgał jej w krtani.

— A jednak dzieje się wszystko, co ja tylko zechcę! I pan przyszedł do mnie z prośbą...

Przerwał jej ruchem ręki.

— Pani Azo, dajmy teraz pokój roztrząsaniom. Ja czasu mam niewiele; czekają na mnie. A więc słowo ostatnie: czy się pani podejmie wydostać tajemnicę Jacka dla niczego innego, jak tylko po to, aby mieć prawo stanąć po jednej stronie z nami?

Mówiąc to, powstał był znowu, ku drzwiom już połową ciała zwrócony. Zawahała się na jedno mgnienie oka.

— Tak! Bo wy wszyscy w końcu mnie służyć będziecie.

Grabiec uśmiechnął się.

— Być może. Na razie dziękuję. Wybór środków naturalnie już od pani zależy.

We drzwiach odwrócił się jeszcze.

— Pospieszyć się pani musi — rzekł. — Jacek gotów nam ulecieć...

Spojrzała nań pytająco.

— Czy pani nie wie, że buduje wóz...?

— Wóz?

— Tak. Aby się udać w nim na Księżyc, za owym Markiem, co posłów przysłał właśnie. Czasu nie ma do stracenia.

Wyszedł z lekkim ukłonem, pozostawiając Azę samą i zadumaną. Od czasu przybycia karłów z Księżyca raz tylko zapytała, jakie wieści od Marka przynoszą... Powiedziano jej, wierząc jeszcze wówczas kłamstwu przybyszów, że dobrze mu się powodzi i nie ma zamiaru powracać na Ziemię... Chciała jeszcze spytać, czy dla niej listu jakiego lub słowa bodaj nie przekazał, ale wstyd ją zdjął dumny i zęby jeno zacisnęła.

Miała wrażenie w owej chwili, że nienawidzi Marka tak samo, i gorzej nawet, jak tych ludzi wszystkich, co płaszczą się około jej nóg, ślizgając lubieżnym spojrzeniem po ciele jej niedostępnym; jak tych artystów i poetów, co kłamiąc, jak ona sama, o sztuce, wywyższenia tylko pragną za jej pomocą i władzy, i dostatku; jak Jacka wreszcie, tego

ohydnego człowieka z mózgiem potężnym i sercem miękkim jak u kobiety, niezdolnego zażądać i zdobyć, i mieć...

Jeno że Markiem nie mogła gardzić tak, jak tamtymi. Bunt się w niej odzywał, że kochała go niegdyś naprawdę. I smagała się sama szyderstwem i z niego szydziła, że dla gwiezdnych mrzonek jakichś, dla śmiesznego na Księżycu królestwa, zapomniał o niej, szczęściu najwyższym i największej rozkoszy — głupcem go nazywała i narwańcem, ale mimo to nie mogła się oprzeć uczuciu podziwu, że zdołał zrobić to wszystko i poszedł od niej tam — na wieczność...

Coś jakby pragnienie zemsty nieokreślonej pierś jej rozpierało.

„Będę tutaj władczynią, będę! — myślała — tutaj na Ziemi, a ty siedź sobie jak Twardowski na Księżycu".

Żywa w niej zawsze i przemożna żądza władzy i panowania nową w tej myśli znalazła podnietę. To stało się też poniekąd przyczyną, że mimo wahań do zwolenników Grabca przystała, wierząc, że wcześniej czy później sama wszystkich u nóg swoich zobaczy. A choć się przekonała wkrótce, że Grabiec sam, wyniosły i chłodny, nie bardzo się do roli poddanego nadaje, trwała dalej w sprzysiężeniu, zwłaszcza gdy się dowiedziała, że Jacek nie chce do niego przystąpić. Miała wrażenie, że poza innymi rzeczami jest to jeszcze gra pomiędzy nią a tym młodym i pięknym jak dziewczyna mędrcem, i chociaż kromia[493] dobra niczego odeń nie doznała, pragnęła instynktownie raczej niźli rozumowo, aby go za wszelką cenę pognębić.

Urządzała u siebie na zlecenie Grabca zebrania sprzysiężonych i wedle możliwości brała udział w przygotowaniach, nie zastanawiając się nawet zrazu, dlaczego ją w to wszystko wciągnięto. Teraz dopiero zrozumiała, że ma być jeno narzędziem dla zdobycia zazdrośnie strzeżonej potęgi Jacka. W pierwszej chwili oburzyło ją to i mało brakowało, a byłaby się cofnęła od dalszego współudziału. Wysiliła swą moc, aby Grabca usidlić z myślą, że parsknie mu w twarz śmiechem szyderczym i wzgardliwym, kiedy do nóg jej się osunie i odwróciwszy się, pójdzie swą drogą, lecz Grabiec dziwny spokój wobec niej zachował. Zaczęła wierzyć, że ten człowiek niewzruszony i pewny siebie rzeczywiście gotów nad światem zapanować. Źle by było zrywać z nim przedwcześnie.

Zgodziła się więc na podejście Jacka, na „wyrwanie mu żądła", jak myślała, którego zresztą on, „niedołężny", nigdy by sam nie użył.

„Wybór środków do pani należy" — powiedział Grabiec.

Uśmiechnęła się w myślach. Tak, niewątpliwie znajdzie środki — wcześniej czy później. Teraz rozumie, dlaczego Jacek milczał tak długo, nie dając nawet na listy jej odpowiedzi! Na Księżyc uciec przed nią zamyślił, jak tamten! A chociaż jej na nim, tak jak wówczas na tamtym, nie zależy, to przecież chce, aby pozostał i służył jej.

Na jedno mgnienie oka myśl jej gorącą falą do piersi uderzyła, aby rzucić ten próżny zamęt życia tu na Ziemi i z Jackiem razem lecieć na gwiazdy za jedynym królewskim kochankiem... Przymknęła oczy — usta jej drgnęły żądzą prawdziwą i słodką: paść pod stopy jego mocarne, lico jego roześmiane raz jeszcze zobaczyć...

Otrząsnęła się rychło z tej „dziecinnej słabości". Drapieżny uśmiech błąkał się znów po jej wargach czerwonych, twarde spojrzenie oczu szło w dal gdzieś poza chwilę obecną, wypadki dni wyprzedzając...

Zawołała na służbę i kazała przebierać się, kiedy jej oznajmiono, że przyszedł Łacheć. Spojrzała na zegar: była godzina czwarta.

— Zapomniałam zupełnie — szepnęła.

Nie kończąc stroju, narzuciła tylko na bieliznę suknię szeroką, domową, z mieniącego się jedwabiu, i włosy bujne pośpiesznie w węzeł zawiązawszy, wyszła tak do gościa.

Od owego przelotnego spotkania w domu gry nie widziała Łachcia. Słyszała jednak o nim często i z coraz większym zdumieniem słuchała tego, co jej donoszono. Łacheć na pozór przynajmniej przestał się zajmować muzyką. Zniknął na jakiś czas, że nikt nie wiedział, gdzie się znajduje, aż naraz wypłynął na jednym z tych zgromadzeń ludowych, które coraz częściej odbywały się po świecie... Mówił płomiennie, dziko, porywając za sobą tłum. Wzywał do wywrócenia wszystkiego, co istnieje, do stworzenia nowego porządku na Ziemi. Aza, czytając o tym, sądziła zrazu, że to ktoś inny o tym samym imieniu,

[493] *kromia* — właśc. *krom*, *okrom*: oprócz.

ale gdy ją po raz drugi i trzeci podobne wieści doszły, z wyraźnym dodatkiem, że tym podżegaczem szalonym jest muzyk, dotąd skromne stanowisko w oficynie Halsbanda zajmujący, nie mogła już wątpić. Nie znała wszystkich członków sprzysiężenia (Grabiec zbyt był ostrożny mimo pozorów dumnej i wzgardliwej beztroski), domyślała się więc tylko, że owe wystąpienia muzyka mają związek z tym, co się właśnie na świecie rozgrywa.

Władze Stanów Zjednoczonych Europy, przyzwyczajone od dawna z pobłażliwym lekceważeniem patrzeć na wszystkie „rozruchy" i „niepokoje", niepociągające już od wieków żadnych skutków poważnych za sobą, i teraz przez długi czas w niczym nie przeszkadzały Łachciowi. W ostatnich tygodniach dopiero zaczęto nań zwracać baczniejszą uwagę. Zbyt powszechnie go słuchano i nazbyt wiele wpływu zyskiwał — to zaś, z czym do ludu przychodził, zgoła dla rządu miłe nie było.

Wydano wreszcie rozkaz policji, aby go uwięziła. Tutaj jednak stała się rzecz nieoczekiwana. Ludność, która tak ufała i tak czciła powagę służby bezpieczeństwa, że nigdy we śnie nawet nie ośmieliła się przeszkodzić jej w czynnościach, tym razem jawny opór stawiła, wyrywając Łachcia przemocą z rąk władzy.

To było już niepokojące. Rząd dla samego utrzymania powagi musiał zwyciężyć za wszelką cenę. Postanowiono muzyka niebezpiecznego ująć przy najbliższej sposobności i przykładnie ukarać, atoli okazało się, że łatwiej to było postanowić, niż wykonać. Podżegacz przepadł jak kamień w wodzie — i jeno[494] co pewien czas w miejscach nieprawdopodobnych pojawiał się nagle, przemawiał, mącił, porywał i nikł znowu, nim go zdołała dosięgnąć „ręka sprawiedliwości".

Aza z zajęciem śledziła w pismach codziennych tę niebezpieczną grę w chowanego z przemożnym rządem europejskich Stanów Zjednoczonych i powoli w umyśle jej muzyk niepokaźny urastał do kształtów bajecznej jakiejś postaci. Zadrżała też mimo woli, gdy dnia wczorajszego zetknęła się z nim niespodziewanie na ulicy. Poznał ją pierwszy i skłonił się głęboko, przemykając się między krążącym gęsto tłumem. Aza zatrzymała natychmiast swój automobil, wolno w ciżbie się posuwający. Muzyk zauważył to i przystanął. Przez krótką chwilę znać było w jego twarzy wahanie: wszak narażał się na ujęcie, gdyby go poznano...

Przyskoczył jednym susem do pojazdu.

— Pani chciała mi co rozkazać?

Lecz ona zrozumiała już niebezpieczeństwo, jakie mu przez nią groziło.

— Przyjdź pan jutro, o czwartej!

Rzuciła mu adres swego mieszkania, nie wiedząc nawet w tej chwili, dlaczego mu przyjść nakazuje i co mu powie, gdy przyjdzie.

Muzyk zniknął w tłumie, a ona rychło o spotkaniu zapomniała, innymi zajęta sprawami. Teraz dopiero, gdy szła do salonu, aby go powitać, stanęła jej ta scena żywo w pamięci. Była nieco zakłopotana; nie wiedziała, jak go ma przyjąć, co mu powiedzieć. Wyobraźnią własną stawiała go na pewnej wyżynie bohaterstwa i niezwykłości i obawiała się, że ten śmieszny niegdyś, choć genialny artysta zechce odpowiednio z tych wyżyn do niej mówić — i zła już była prawie, iż go do siebie nie wiedzieć po co zaprosiła.

Z twarzą wyniosłą i chłodną, z lekko namarszczonymi brwiami stanęła na progu. Muzyk zerwał się z krzesła i zbliżył się ku niej cicho, z głową kornie pochyloną. W oczach przepaścistych, po dawnemu zalękłych, miał nieme błaganie i dziękczynienie zarazem, że wolno mu na nią patrzeć, przy niej być...

— Witam pana.

Nie dosłyszał nawet tych banalnych aż do okrucieństwa słów. Ruchem jakimś samorzutnym osunął się przed nią na kolana i przypadł twarzą do jej sukni. Cofnęła się, naprawdę przestraszona.

— Co pan robi? Co pan?

Wzniósł na nią oczy smutne i wstał z wolna.

— Przepraszam panią. Źle zrobiłem. Jeżeli pani każe, odejdę natychmiast.

Mówił z gorzką jakąś pokorą — drżącymi wargami, nerwowo, nieporadnie dłonie cisnąc do piersi.

Cień niesmaku przebiegł po pięknych ustach tancerki. Patrzyła nań długo i chłodno.

---

[494] *jeno* (daw.) — tylko.

— To pan przemawia na zgromadzeniach?
— Tak.
— Szukają pana?
— Tak.
— Co panu grozi?
Ruszył ramionami.
— Nie wiem. Przypuszczam, że zamknięcie, może dożywotnie, w jakim domu pracy...
— Pan się naraża na ujęcie, przychodząc tutaj we dnie...
Zawahał się na mgnienie oka.
— Tak. Wiem o tym. Śledzą mnie.
— Czemu pan przyszedł?
Łacheć naraz wzniósł głowę, jak gdyby się żachnął pod uderzeniem tego zimnego pytania. Lękliwość dotychczasowa znikła mu z twarzy; patrzył na Azę dumnie, wyzywająco.
— Mógłbym odpowiedzieć: ponieważ mnie pani wezwała — zaczął z wolna — lecz to nie byłoby prawdą. Przyszedłem, bo mi się tak podobało, bo chciałem panią zobaczyć za wszelką cenę, choćby mi życiem przyszło za to płacić...
Uśmiechnęła się wzgardliwie.
— Dziwnie pan do mnie przemawia. Mogę panu kazać wyjść zaraz...
Łacheć przeląkł się nagle i znowu spokorniał — oczy jeno[495] płonęły mu gorąco i zapamiętale.
— Kocham panią — mówił głosem stłumionym — kocham, nie wiedząc nawet, kim pani jest właściwie, ani co pani zrobi z moją miłością, na nic zresztą pani niepotrzebną! Mówię to, bo mi trzeba wszystko wypowiedzieć... Nie wiem, jak długo będę jeszcze żył i czy panią kiedy zobaczę...

Kobieta demoniczna

— Dlaczego mnie pan kocha?
— Na cóż to pytanie! Przecież ja od pani nie żądam niczego...
Przerwała mu ruchem ręki. Okrucieństwo niebaczne zadrgało jej w oczach. Osunęła się z wolna na fotel i spod powiek, nieco spuszczonych, patrzeć jęła na niego, z lekka usta w uśmiechu rozchylając.
— A gdybym ja była gotowa... oddać panu... wszystko?
Muzyk cofnął się o krok; w pierwszej chwili zdumienie najwyższe i obłąkanie w źrenicach jego się odbiło. Natychmiast jednak pochylił głowę i rzekł cicho, jak gdyby tonem za treść słów o przebaczenie błagając:
— Odszedłbym stąd...
— Pan by odszedł? Pan by mną wzgardził?
— Nie. To by nie była wzgarda... Ja wiem, że pani dla żartu tylko spytała, ale ja odpowiadam poważnie... Czy pozwoli mi pani mówić?
— Niech pan mówi — rzekła z zajęciem rzeczywistym czy też udanym.
Usiadł na niskim taborecie nieopodal jej nóg i zaczął opowiadać, w oczy jej zapatrzony.
— Widzi pani, całe życie moje dotąd było jedną uporczywą walką, aby móc tworzyć... Po co powtarzać, com przeszedł, jakie upadki, jakie klęski, jakie upokorzenia! To wszystko jest już poza mną. I teraz...
— Teraz rzucił pan muzykę — wtrąciła.
Potrząsnął głową i uśmiechnął się.
— Nie, pani. Nie rzuciłem muzyki. Tylko mi oczy otworzono. Człowiek, który rękę mi podał, czy też przypadek, sam nie wiem doprawdy. Zrozumiałem, że złą szedłem drogą. Nie pracować i mrzeć trzeba, ażeby tworzyć, ale żyć!
— Żyć...
— Tak! Ja pani tego lepiej nie objaśnię; nie umiem, nie potrafię. Wiem tylko, że dla mnie skończyła się już ta walka podła i bez chwały, którą wiodłem. Z głodu przymieram, upadam ze znużenia, szczuty jestem jak zwierz w kniei, niepewny dnia ani godziny, a przecież serce w piersi mojej z radości się śmieje! Parłem się niegdyś w górę i kopano mnie, zeszedłem teraz w dół i podnoszę się! Byłem między ludźmi „cywilizowanymi" i nie rozumieli mnie, anim ja ich nie rozumiał, dzisiaj z „dziczą" przestaję i czuję każde drgnienie ich serc, ku światłu się rwących, przez pożar i gruz, ale ku światłu, i wiem,

[495] *jeno* (daw.) — tylko, jedynie.

że oni głosu mego słuchają! I wie pani, że teraz dopiero rodzi się w duszy mojej wielka, wielka pieśń! Jeśli przeżyję te dni, co oto nadchodzą, zahuczę nią ponad zniszczeniem jak wicher, zagrzmię takim hymnem tryumfu ponad skowytem ludzkiej nędzy, że serca człowiecze będą pękać z nadmiaru życia, z obłędu rozkoszy!

Zerwał się — oczy zapłonęły mu szeroko rozwarte:

— Do diabła teatry! — krzyknął — precz z kulisami, z malowanką, ze światłem sztucznym i z tą orkiestrą bezduszną, nazbyt uczoną, a tchórzliwą! Morze zagrać mi musi, wichry na skałach, gromy na niebie, lasy żywiczne i stepy! Pani, pani moja! Dożyć ja chcę tej pieśni, stworzyć ją chcę! Tworzyć już dla niej słuchaczy, oczyszczam świat, aby się po nim mogła rozhulać szeroko, gdy z piersi mojej wybiegnie...!

Pięści zaciśnięte wsparł na piersiach, zza szerokich warg, w uśmiechu rozchylonych, zęby mu białe błyszczały...

Aza — nieruchoma — patrzyła nań spokojnie spod spuszczonych powiek.

— Panie...

Oprzytomniał i pochylił głowę.

— Przepraszam panią. Zbyt głośno mówię...

— Niech pan tu przyjdzie bliżej. Tak. Pan jest dziwny, dziwny człowiek. W panu się pali duch. Ale niechże mi pan powie nareszcie, co to wszystko ma ze mną wspólnego? Dlaczego by pan... uciekł... gdybym dłoń wyciągnęła...

Twarz Łachcia rozjaśniona sposępniała nagle.

— Kocham panią.

Zaśmiała się głośno.

— To już wiem.

— Nie, nie wie pani. Pani nie może nawet wiedzieć, co to znaczy; gdy myślę o pani, świat mi się cały gubi sprzed oczu. O! Jak to dobrze, że ja nie mogę mieć żadnej nadziei!

Ukrył twarz w dłoniach i trwał tak chwilę w milczeniu.

Ona patrzyła nań teraz z istotnym zaciekawieniem.

— Niech pan mówi dalej. Chcę wszystko wiedzieć.

— Dobrze. Będzie pani wiedziała.

Oczy na nią znowu zwrócił, zapamiętaniem miłosnym aż obłąkane, i mówić jął szybko, popędliwie:

— Nie wiem, czy to miłość zawsze taka bywa, ale ja nienawidzę panią jednocześnie! Boję się, nawet nie pani, ale siebie samego się boję. Czuję, że gdybym raz bodaj do ręki pani przylgnął ustami, to byłby koniec wszystkiego, wszystkiego... Ja już bym się od niej nie zdołał oderwać.

— Nie ma obawy. Sama bym ją panu wyrwała, gdyby było potrzeba.

Błysnął oczyma niesamowicie.

— Zabiłbym panią.

— To się tak mówi...

Igrać z nim poczynała, jak kot bawiący się myszą.

— Nie, pani. Ja jeżeli mówię... Ach! Gdybyż to pani mogła wiedzieć, ile ja razy o tym myślałem, patrząc na panią z ukrycia, chłonąc panią oczyma!

— Aby mnie zabić?

— Tak. Pani powinna być zabita. Pani na ten świat przyszła na nieszczęście ludzi!

— Ja i szczęście dać umiem. O! Jeszcze jakie szczęście!

Dreszcz gwałtowny wstrząsnął postacią Łachcia.

— Ja wiem, domyślam się, czuję. I właśnie dlatego... Szczęście obłędne, które łamie, niweczy... Być mocnym na tyle, zdobyć się na to: palce około białej szyi pani owinąć i ściskać, ściskać, aż dech ostatni uleci! A przedtem nawet ust pani nie dotknąć...

Dziwna, aż bolesna rozkosz przebiegła Azę dreszczem po grzbiecie.

— Dlaczego... przedtem... moich ust nie dotknąć? Czy pan nie widzi... jakie są krwawe? Czy pan nie czuje z daleka, jakie są gorące?

Łacheć, wyczerpany wzruszeniem, oparł się plecami o ścianę i patrzył na nią w milczeniu nieprzytomnymi oczyma.

— Co by się stało, gdybym ja pana pocałowała?

— Nie wiem, nie wiem. Ja muszę już iść.

Zerwał się pospiesznie.

— Zostań...
— Nie chcę.
— Musisz.
— Niech pani... niech pani...
— Słuchaj, patrz na moje usta. Powiadasz, że to zatracenie? Niech będzie. Czy ty czujesz, że jeden mój pocałunek więcej wart niż te wszystkie śmieszne zbawiania ludzkości, te walki, te wielkie słowa i czyny, sztuka cała, całe życie? Czy ty nie czujesz?
— Czuję. Ale... dlatego... odejdę...
— Nie. Zostaniesz. Póki ja zechcę!
Łacheć uczuł jej wzrok palący na sobie i zachwiał się naraz na nogach. Miał wrażenie, że mięśnie się w nim wszystkie rozluźniają, w oczach mu pociemniało, w głowie szum i bezwładność... Ostatnim zdławionym wysiłkiem wyrzucił jeszcze:
— Odejdę...
Zaśmiała się głośno, tryumfalnie i nim spostrzec mógł, co się dzieje, przypadła drapieżnymi wargami, co tak bosko miłość udawać umiały, do ust jego rozpalonych.

V

Blady, cichy świt wstawał ponad Tatrami... Nyanatiloka siedział nieruchomy, jakby zastygły, twarzą ku zachodzącemu Księżycowi zwrócony. Oczy miał przymknięte, dłonie zaplecione około kolan. Zimna rosa poranku pokrywała ciało jego na wpół nagie i lśniła, ściekając kroplami po długich, czarnych włosach. Kilka świerków rozłożystych chwiało się nad nim w wietrze zawiewającym czasem od turni, których szczyty poczynały już różowieć w pierwszych promieniach wschodzącego gdzieś za skałami słońca. Cisza była doskonała, świat cały obejmująca; zdawało się, że usnął w niej nawet potok daleki, nie śmiejąc szmerem mącić tej przedziwnej godziny łaski zamyślenia.
Nyanatiloka, nie wznosząc powiek, poruszał z wolna wargami, jakby się modlił szeptem Istocie wszechrzeczy.
— Bądź pozdrowione, niebo — mówił cicho — bądź pozdrowiona, Ziemio i duszo moja, które wszystkie jednym jesteście, pomyśleniem stworzone, w pomyśleniu żywe...
Dzięki ci, duszo moja, że czujesz niebo i ziemię, dzięki ci, żeś zrozumiała swój prapoczątek i wiesz, że końca ci nigdy nie będzie! Wraca wszystko do morza, do obfitości i mocy i kropla żadna nie jest stracona, choćby na piasek padła lub skały, ale długa jej droga i praca mozolna.
Nie skróci się obieg rzeczy doczesnych, bo niczym jest czas, i żywot ponadeń jest wzniesiony — nie zmniejszy się brzemię pracy ani mąk, bo nie tam patrzy dążący do prapoczątku swego duch.
O, duszo moja, bądź pochwalona w przedwiecznej i niezniszczalnej, wszechogarniającej istocie swojej, że nauczyłaś się patrzeć ponad czas i męczarnię bytowania ku morzu i źródłu wszystkiego — jednemu!
Kamień gdzieś zerwał się u szczytu skał i runął w przepaść, lawinę całą głazów pociągając za sobą. Załoskotało dalekie echo i zgasło w wąwozach. Blask słoneczny opadał coraz niżej; złociły się w nim już rozległe pola piargów ponad halami i wierzchołkami najwyższych limb, do skrzesanego zbocza poprzyczepianych. W toni fioletowej stawu przeglądało się niebo coraz jaśniejsze i złote na nim kawały górskich czół...
Nyanatiloka z wolna rozwarł oczy. Tuż u stóp jego przy ognisku wygasłym leżał Jacek w płaszcz przed nocnym chłodem owinięty i spał. Włosy jego kędzierzawe rozrzucone były po mchu wilgotnym, zgiętym ramieniem zakrył oczy, ale usta widać było rozchylone w sennym oddechu, od chłodu nieco przybladłe. Buddysta patrzył nań długo z dziwną, smutną serdecznością w zadumanym wzroku.
— Gdybyś ty wyjść mógł poza ciało swoje — szeptał znów — gdybyś zdołał zrozumieć, jaka jest twoja droga... Tak mi się zdaje, żem jako perłę znalazł duszę twoją, a powinienem ją uczynić kroplą wody przeczystej, w słońcu mgłą się na wszechświat rozpływającej. A nie przeto, iżbym miał jakikolwiek inny obowiązek oprócz dbania o rozwój własny, lecz że żal mi piękności przyćmionej i pochowanej mocy najwyższej...

Nad nimi, na skałach wysoko, odzywały się wróble skalne, dziobiące dojrzałe siemię górskich ziół. Gdzieś na zboczu przeciwległym zabrzmiał ostry, porywczy gwizd ukrytego w trawach świstaka.

Trójświatowiedny poruszał jeszcze jakiś czas ustami bez głosu, jakby tylko myśli modlitewnej drżeniem warg wtórując, aż wreszcie wyciągnął rękę i dotknął lekko ramienia śpiącego.

Jacek zerwał się szybko i usiadł, przeciągając członki zesztywniałe. Naraz obejrzał się dokoła z wyrazem zdumienia najwyższego.

— Gdzie my jesteśmy?

— Na stokach Żabiego. Patrz, Tumie Mięguszowieckie przeglądają się w Morskim Oku...

Stał już na nogach.

— Skąd ja się tutaj wziąłem?

Zamajaczyło mu jakby przez sen przypomnienie, że dnia wczorajszego wieczorem we własnym domu rozmawiał z Nyanatiloką o ukochanej puszczy tatrzańskiej... Dłońmi przycisnął czoło. Tak, pamięta dobrze! Miał wrażenie, że wsparty o biurko swoje zasypia, a potem śnił mu się ogień w żywicznym lesie rozłożony i Księżyc płynący ponad szczytami... Śniło mu się... a teraz...

Pojrzał po sobie. Płaszcz mu opadł z ramion; odziany był, jako przyszedł był wczoraj do domu: w ubranie miejskie, codzienne... Rzucił okiem, czy nie dojrzy gdzie samolotu swego, którym by go Hindus przewieźć mógł we śnie. Pusto było naokół; zioła jesienne, rosą zimną pokryte, stały równo — nie znać było na nich nawet śladu stopy, jak gdyby oni, przychodząc tutaj, nogami ziemi nie tykali.

— Skąd ja się tutaj wziąłem? — powtórzył.

— Mówiliśmy wczoraj o Tatrach — rzekł Nyanatiloka skromnie, a nieco wymijająco. — Zmarzłeś. Pójdźmy się ogrzać ku schroniskom w dole.

Jacek nie ruszał się z miejsca.

— Czyż mówić o czym wystarcza...?

— Nie. Ale myśleć. Duch stwarza sobie otoczenie, którego chce. Pomyślenie jest prawdą jedyną.

— Przeniosłeś mnie tutaj wolą swoją?

— Nie sądzę, bracie, aby tak było. Zdaje mi się, owszem, że bezwzględnie rzecz biorąc, jesteśmy tam, gdzieśmy byli. Zmieniła się tylko rzeczywistość zmysłów naszych...

To mówiąc, Nyanatiloka szedł raźno naprzód, roztrącając nagimi kolanami zioła bujne i strząsając czołem rosę z obwisłych smrekowych gałązek. Jacek postępował za nim w milczeniu i szukał mimo woli jakiegoś wybiegu dla siebie, którym by mógł wobec własnego rozumu upozorować to niepojęte przeniesienie się nie wiadomo kiedy z dalekich równin Mazowsza w serce tatrzańskich gór. Uderzył się w czoło kilkakrotnie, aby się upewnić, że nie śpi — próbował wiązać szeregi myśli logiczne i subtelne, zupełnej wymagające trzeźwości.

Posłyszał głos, mówiący doń:

— Czy nie chcesz, bracie, abyśmy tutaj zostali? Mówiłeś wczoraj w pracowni swojej, że to miejsce jedyne, gdzie mógłbyś być i rozmyślać, i sobą samym żyć...

— Boję się, żem jednak jeszcze nie dojrzał do tego — szepnął Jacek. — Oto strach mnie przejmuje na samą myśl...

Wzrokiem obejmował wszystko niezmiernie wyraźnie, jasno i dziwił się jeno[496], że gdy usta otworzy, słyszy swój głos jakby z dala skądś przychodzący... Czuł, że Nyanatiloka zatrzymał się i patrzy nań teraz — i ogarnął go wstyd, żeby myśli jego utajonej nie spostrzegł tymi czarodziejskimi oczyma... Schylił się dla ukrycia twarzy i zerwał rosnącą u nóg gałązkę goryczki, kwiatem ciemnobłękitnym pokrytą.

„Aza miała być dzisiaj u mnie — myślał — tak w liście pisała..."

Żal mu się zrobiło, że nie jest teraz w swojej pracowni, chociaż wczoraj uciec był rad przed zapowiedzianą wizytą.

Wyprostował się z gałązką zerwanego kwiatu w ręce i oczy wzniósł.

Zdumienie piorunujące, straszne, z przerażeniem graniczące schwyciło go za pierś.

---

[496] *jeno* (daw.) — tylko.

Był w swoim pokoju, przed stołem zarzuconym papierami, wobec książek swoich i obrazów.

— Nyanatiloka!

Nikt mu nie odpowiadał; sam był. Przez rolety podniesione wpływało zimne światło poranne, gwar rozbudzonej już ulicy dochodził z dołu.

— Śniłem! — szepnął Jacek z ulgą i wzniósł rękę do czoła.

— Zasnąłem był widocznie przy rozmowie wczoraj w fotelu i...

Skoczył w tył. Dojrzał we własnej dłoni, na wysokość oczu wzniesionej, kwitnącą gałązkę goryczki świeżą, błyszczącymi kroplami rosy jeszcze pokrytą...

Palce rozwarł z przerażeniem tak szybko, że kwiat z nich wypuszczony upadł na dywan tuż obok stóp jego, odzianych w buty przemoczone i zwalane. Lśniły na czarnej ich skórze rosą przyklejone drobne listeczki borówek i iglice smreków uschnięte... Ubranie jego całe miało ostry zapach żywicznego dymu, jak kiedy się noc przy watrze[497] z kosodrzewiny przepędzi.

Postąpił ku fotelowi i usiadł na nim z wolna, głowę wspierając na ręku.

„Czymże jest — myślał — wszystko, co widzimy, czymże jest tak zwana rzeczywistość życia, jeśli ja siedzę tutaj w tej chwili z górskim kwiatem w ręce i nie wiem po prostu, co się stało i jak to było możliwe...? Mówił Nyanatiloka (wszakże mnie się nie śniło!?), że nie my się w takich wypadkach z miejsca na miejsce przenosimy, lecz stwarza sobie duch otoczenie wedle woli; ale przecież ja przed chwilą nie duchem jeno byłem w Tatrach, lecz z ciałem mym i z tym ubraniem nawet, które mam na sobie rosą pokryte i kawałkami zielska leśnego, przesiąkłe żywicznym dymem watry na noc rozpalonej...? Czyż jest na świecie jakakolwiek teoria, która by mogła usprawiedliwić to zamieszanie i nieporządek ten w wypadkach? Lord Tedwen istnienie świata fizycznego jako pozoru tylko złudnego udowodnił po prostu, ale nie odebrał przeto temu, co się staje, niewzruszonych praw, nie wyrwał z głębi naszych człowieczych dusz przekonania o porządku istnienia i stawania się... Nie wiem nic! Nie wiem zgoła nic!"

Ścisnął głowę rękami i trwał tak przez jakiś czas w milczeniu, usiłując już nie myśleć nawet o tym.

Zachrzęściła poza nim w ścianie metalowa skrzyneczka, którą mu z centralnego urzędu wprost do domu ranną pocztę przesyłano. Wstał i aby myśl rozerwać, dotknął sprężyny, skrytkę zamykającej. Paczka papierów wysypała się na stolik — były to przeważnie karty niewielkie, na których obok nazwiska zapisano tylko numer jakiś i godzinę, o której wysyłający pragnie rozmówić się z Jego Ekscelencją telefonicznie... Jacek przerzucał te karty prędko, nie myśląc prawie o tym, co robi. Myśl jego wbrew woli wracała uporczywie do zdarzeń nocy ostatniej, niezdolna zatrzymać się na doniesieniach mniej i więcej ważnych, które miał w ręku.

Nareszcie jedna rzecz zajęła go żywiej. Było to codziennie przysyłane mu sprawozdanie kierownika zakładów, którym polecił wedle planów najściślejszych nowy „wóz księżycowy" dla siebie zbudować. Dyrektor donosił, że robota postępuje z wolna, ale pewnie, i on spodziewa się za dwa lub trzy miesiące oddać Jackowi pojazd do drogi gotowy.

Dwa lub trzy miesiące! Drgnął niecierpliwie. Tak długo czekać wprost niepodobna! Jeżeli Marek tam, na Księżycu, pomocy jego potrzebuje, to może ona być już spóźniona — a przy tym... co tu może zajść w tym czasie, nim on zdąży wyjechać! Czyż nie ma już innego środka nad ten wóz, w przestrzeń ścieśnionymi wyrzucony gazami?

Obejrzał się. Za nim siedział w fotelu Nyanatiloka milczący, spokojny jak zawsze. Jacek przywykł już był tak do jego niespodziewanego i dziwnego pojawiania się w różnych miejscach i najczęściej wtedy, gdy o nim myślał, że nie okazał już nawet zdziwienia. Przystąpił jeno żywo ku niemu.

— Mówiłeś kiedyś — zaczął bez wstępu — że dla woli nie ma przeszkód mniejszych lub większych, że jeśli pokonała jeden milimetr przestrzeni, to już pokonać potrafi i tysiące mil...

— Tak myślę, bracie.

— Byliśmy dziś w nocy w Tatrach, nie ruszając się niby stąd...

— Tak myślę.

---

[497] *watra* (gw.) — ognisko.

— Byliśmy tam naprawdę. Leży na mym stole łodyga goryczki, kwiatem okryta świeżym... Jestem pewien, że ją zerwałem dziś rano na stokach Żabiego... Nyanatiloka!

— Słucham cię, bracie.

— Ja chcę być na Księżycu, dzisiaj! Za godzinę, natychmiast! Być nie we śnie, ale rzeczywiście, jak w Tatrach dziś byłem, i móc tam działać.

— Nie wiem, czy zdołasz tego dokazać.

— Zrób to ty! Dopomóż mi!

Nyanatiloka potrząsnął głową z wolna i stanowczo.

— Nie.

— Dlaczego? Ja chcę, ja cię proszę o to!

— Nie. Nie teraz...

— Więc nie możesz zrobić tego widocznie! Snadź mądrość twoja cała i potęga polegają jedynie na robieniu figlów i sprowadzaniu omamień.

Urwał. Wstyd mu się zrobiło tego, co mówił — spojrzał na Nyanatilokę z obawą. Mędrzec buddyjski spojrzał nań pobłażliwie i uśmiechał się nieznacznie.

— Daruj! — szepnął Jacek.

— Nie mam ci nic do darowania, bracie mój...

— Uniosłem się...

— Przecież to zabawne — dodał po chwili, siadając z wolna na krześle — że mówię do ciebie tak, jakbym ci właśnie miał za złe, że cudów działać nie możesz...

Zamilkł szybko, przypomniawszy sobie, że jednak to, co ten buddysta już niejednokrotnie przed oczyma jego czynił, cudem bywało jednak...

— Nic nie rozumiem! — rzekł głośno, chociaż mówił tylko do siebie samego.

Nyanatiloka spoważniał.

— A jednak mógłbyś to, bracie, zrozumieć tak łatwo, gdybyś tylko chciał...

— Działasz cuda!

— Nie. Cudów nie działam. Nie działa cudów w ogóle nikt z tej prostej przyczyny, że nie jest zgoła cudem panowanie ducha nad pozorem i nie wykracza poza zakres praw Bytu odwiecznego... A jeśli ci odmawiam...

— Tak, dlaczego mi odmawiasz? — powtórzył Jacek.

— Posłuchaj mnie.

Nyanatiloka przysiadł się ku niemu i dłonie obie wsparłszy na poręczy krzesła, mówić począł, oczu od twarzy jego nie odwracając:

— Chcesz się dostać bezzwłocznie na Księżyc za przyjacielem swoim na skutek posłyszanych wieści. Dopomogłem ci już raz myślą tam być i patrzeć duszy oczyma na czyny twego przyjaciela, ale ciebie to nie zadowala. Chciałbyś tam być tym kształtem marnym owinięty, który nazywasz swym ciałem, z możnością udzielania się innym, wykonywania pewnych ruchów, słowem: działania, tak jak ty jeszcze działanie w tej chwili rozumiesz. Nie sądzę, aby to było potrzebne i duszy twojej pomogło, a przecież o co innego zgoła nie chodzi.

— Owszem, chodzi o przyjaciela mojego, który pomocy mej potrzebuje.

— Co mu ty pomożesz? Czy weźmiesz z sobą maszynę swoją zabójczą i zniszczysz Księżyc cały, aby jego ocalić, jeśli mu co zagraża? Czy ty zresztą wiesz, co się tam dzieje naprawdę? Mówiłeś wczoraj w przytomności mojej z karłami i wnioskujesz z tego, coś od nich usłyszał, że przyjaciel twój Marek z zamiarem czy wbrew zamiarowi wdał się niespodziewanie w los księżycowego ludu i wpływa osobą swą na jego dzieje. Cóż chcesz teraz zrobić? Stanąć przy nim i dopomóc mu, aby się prędzej stało na Księżycu wszystko tak, jako jest na Ziemi?! Czy sądzisz, że dobre jest rzeczywiście to, co jest u was?

— Może Marka trzeba z niebezpieczeństwa wybawić — wtrącił Jacek wymijająco.

— Po co? A jeśli taki los jego, który wziął już na siebie? Nie przeszkadzaj mu umrzeć, bo może właśnie tego jest mu potrzeba. Jestżeś pewien, że przyjaciel twój więcej zdziałać może żyw i sam niźli jasna jaka o nim legenda, która z pokoleń pójdzie w pokolenia? Czy chcesz ją przerwać w zaczątku? Zniweczyć? Uniemożliwić?

Podszedł ku siedzącemu ze schyloną głową Jackowi i dłonie mu obie z tyłu wsparł na ramionach.

— Słuchaj mnie! Nie myśl o Księżycu, nie myśl o globach zaziemskich: dość rychło je poznasz! Nie przeszkadzaj temu, co się dzieje, choćbyś nawet miał moc! Nie trzeba

przeszkadzać niczemu, bo nie o to chodzi, co się dokoła nas dzieje, lecz o to, ku czemu we wnętrzu własnym dążymy...

Jacek uniósł głowę. Czuł za sobą postać stojącego Nyanatiloki, ale oczu nie odwracał ku niemu, jeno wytężył je kędyś w zamyśleniu na ścianę przeciwległą, kędy[498] portretów kilka wisiało.

— Skąd ty wiesz, że nie idzie mi o siebie samego? — rzekł. — Może ja właśnie chcę uciec?

— Nie ucieczesz[499]. W twarz trzeba pojrzeć wszystkiemu i wszystko przejść, nie odwróciwszy się. Bez wysiłku, bez radości nawet. Być sobą.

Pochylił się jeszcze więcej. Jacek nie był już pewien, czy głos jego słyszy, czy tylko szelest myśli własnych, tamtego dziwną podnietą wzbudzonych.

— Osiąga się wszystko wtedy dopiero, gdy się nie żąda, nie pragnie niczego. Beznamiętnym trzeba się stać jak wszechświat, jak światło niezatroskanym; wiedzącym, a nie badającym, jak Bóstwo!

Myśli Jacka szły gdzieś w dal nieokreśloną i rozwiewną.

Wiedzącym, a nie badającym!

Stworzycielem prawdy własnej, będącej zarazem prawdą wszechświata, który się zamknął w człowieku.

Zamiast poszukiwaczem cudzych prawd, co niczym się okazują, i pustką, i pozorem...!

A prawda własna — to wiara!

Jakakolwiek wiara, ale twórcza, mocna, stworzona w duchu i niewątpliwa — a właśnie przez to prawdą niewzruszoną będąca!

To znaczy: wiedzieć, a nie badać!

Tworzyć, a nie szukać.

Myśleć, a nie wątpić.

Nie poddawać się, a czuć; nie pragnąć, a chcieć!

Gdzie droga do cudu takiego?

Nyanatiloka powiedział raz: „Trzeba się nauczyć być samotnym w pośrodku gwaru i ciżby[500], jako na puszczy głuchej jeszcze samotnymi być nie umiecie".

Nad Nilem to mówił, kiedy od zwalisk chramu[501] Izydy powracała Aza...

— Ekscelencjo...

Drgnął i zerwał się żywo. Lokaj stał we drzwiach nieruchomy, wyprostowany.

— Co tam?

— Niepokoiliśmy się, że Ekscelencja na noc nie zeszedł do swojej sypialni...

Jacek rzucił ręką niecierpliwie.

— Co słychać?

— Pani Aza...

— Co? Przybyła?

— Tak jest. Osobnym pociągiem dziś rano. Chcieliśmy zbudzić Ekscelencję wedle polecenia, ale sypialnia była pusta, tu zaś nie śmieliśmy wchodzić.

— Gdzie jest pani Aza?

— Wskazano jej przygotowane od paru dni pokoje. Kazała oświadczyć, że za godzinę będzie na śniadaniu i spodziewa się spotkać Waszą Ekscelencję...

Po odejściu lokaja Jacek zwrócił oczy na twarz Nyanatiloki. Patrzył nań pilnie, jakby chcąc wybadać, jakie na nim zrobiła wrażenie ta wieść o przybyciu w odwiedziny śpiewaczki sławnej, ale lico jego spokojne było, pogodne i zastygłe, jak zawsze. Zwykły uśmiech nawet nie schodził mu z warg, w oczach nie było oburzenia, smutku ani nawet pobłażania...

— Czy zejdziesz zaraz na dół, bracie? — zapytał głosem zgoła obojętnym.

Aza czekała już tymczasem w sali jadalnej, rozgościwszy się swobodnie, jakby we własnym domu. Zrzuciła podróżne ubranie i w lekką suknię ranną odziana, z wonną przy ustach cygaretką siedziała w głębokim, skórą krytym krześle z poręczami. Przed nią na

---

[498] *kędy* — gdzie.
[499] *ucieczesz* — dziś popr. forma: uciekniesz.
[500] *ciżba* — tłum.
[501] *chram* — świątynia.

stole, nakrytym lnianym, wzorzystym obrusem kilkuwiekowym, lśniła srebrna zastawa do herbaty i kryształowe, grube, rżnięte czary z różnym owocem i słodyczami. Ona odsunęła dłonią filiżankę z niedopitą chińską herbatą i odrzuciwszy głowę na oparcie fotelu, patrzyła przymrużonymi oczyma na błękitny dymek egipskiego tytoniu, co się snuł z wolna ku rzeźbionemu stropowi. Przegub stopy wsparła na kolanie drugiej nogi; wśród rozrzuconych fałdów jasnego jedwabiu widniały dwie łydki smukłe i jędrne w czarnych, lśniących pończochach i stopy drobne, złotymi obute trzewikami.

Kobieta demoniczna, Pożądanie, Samobójstwo, Śmierć

Od czasu odwiedzin Łachcia i śmierci jego niespodziewanej Aza porzuciła już zupełnie dawne swoje mieszkanie, w którym i tak dotąd, włócząc się po świecie, gościem jeno rzadkim bywała. Dziwne to wszystko na niej zrobiło wrażenie. Ginęli dla niej ludzie niejednokrotnie — pod drzwiami jej i z dala — na kraniec świata niby przed nią uciekając — ginęli cicho, bez słowa jednego, bez skargi, bez wyrzutu albo też listami sążnistymi zapowiadając jej dzień i godzinę swojej śmierci, obwiniając ją lub błogosławiąc nieszczerze i po błazeńsku za „bolesne szczęście", jakie im dała — a ona przechodziła zazwyczaj nad tym wszystkim do porządku dziennego — jak nad szpilką zgubioną, złamanym w gorsecie fiszbinem...

O Łachciu nie mogła myśleć spokojnie. Ile razy z domu wychodziła, zdawało się jej zawsze, że widzi na progu od ulicy tego trupa skurczonego, o przerażająco białej, męką przedśmiertną wykrzywionej twarzy, którego nie wiadomo po co jej przyniesiono...

Zatrzęsła się teraz na samo przypomnienie. Wiedziała, że zginął dla niej i przez nią.

Myśl jej, przeciw nieokreślonym wyrzutom zbuntowana, zżymać się zaczęła. Przecież ona nie wyrządziła mu żadnej zgoła krzywdy. Czegóż mógł chcieć? Cóż, że go pocałunkami oszalałymi doprowadziła do obłędu, a w chwili ostatniej, kiedy się ośmielił sięgnąć po nią, jak psa odepchnęła? Czyż dlatego zaraz życie sobie odbierać! Lub jeszcze gorzej: tak je ważyć na śmierć dobrowolnie i widocznie?

Zamajaczyły jej w pamięci oczy jego, w pierwszej chwili obłąkane zdumieniem i strachem, a potem smutne tak przeraźliwie i jakby gasnące...

Leżał złożonymi ramionami na jej kolanach i ku twarzy jej wyciągał głodne usta — prawie piękne w tym momencie. Kazała mu bluźnić. Przeklinać mu kazała sztukę swą i to odrodzenie przez czyn, którym się chełpił; głośno musiał zaprzeczyć wszystkiemu, co poprzednio ośmielił się był przeciw niej powiedzieć — i powtórzyć wyraźnie, że niczym jest on wobec niej i niczym jest wszystko wobec jednego ust jej pocałunku...

Ha! Przecież go nawet w pierś nie pchnęła, kiedy w najwyższym obłędzie miłosnym objąć ją chciał rękami; uderzyła go tylko wzrokiem i tymi słowy chłodnymi: „Cóż ty jesteś wart dla mnie — marny, podły i bezsilny, jak inni, chociaż jak inni chełpliwy...?". A on rzekł, odchodząc: „Nie dlatego, żem cię nie posiadł, lecz że owszem usta twoje pocałowałem, żem przestał wierzyć już w siebie...".

Śmieszna historia!

Rzuciła precz dopalony papieros i stopy w złotych trzewikach wyciągnęła na puszystym dywanie. Zła była na siebie, że myśli wciąż o rzeczy wedle przekonania swego drobnej i niewartej pamięci i tak na dnie gdzieś w duszy śpiącą słabość swoją potwierdza, kiedy by właśnie mocną być winna, mocną i nielitościwą, jak leśny ryś w gałęziach drzewa ukryty, co nad puszczą całą panuje.

Odwróciła się na szelest drzwi otwieranych. Na progu stał Jacek — przybladły nieco, i kłaniał jej się głęboko, przepraszając za spóźnienie. Nie wstając z krzesła, wyciągnęła ku niemu dłoń lewą, wypieszczoną, z długimi, różowymi paznokciami. Jacek pochylony dotknął jej lekko drżącymi, gorącymi wargami — i w tej chwili Aza, spojrzawszy z góry ponad jego głowę, dostrzegła we drzwiach dziwną postać półnagiego buddysty. Drgnęła mroźnym, niewytłumaczonym przestrachem i oczy rozwarła szeroko... Ta twarz wydała jej się znaną skądś, tak dobrze, tak dobrze znaną...

Powstała z wolna i podczas gdy Jacek, zdziwiony jej zachowaniem, na bok nieco ustąpił, ona wytężyła oczy i pamięć...

Coś jakby mętne przypomnienie, kiedy małą jeszcze była dzieweczką: sala olbrzymia, ludźmi zapchana, estrada w światłach rozjarzona, a na niej postać ta sama, te same dłonie o długich, subtelnych palcach, które teraz widzi na klamce drzwi — i ta twarz, długimi czarnymi okolona włosami...

I skrzypce czarodziejskie, w żywy chór aniołów dotknięciem dłoni tych zamienione, śpiewają. Czuje w dziecinnej piersi oddech zaparty: gra on, mistrz nad mistrze, skrzypek niezrównany, pan strun i złota, i serc, wielbiony, sławny, potężny, kochany, bogaty, piękny — jak bóg...

— Serato!

Trójświatowiedny głowę z lekka pochylił.

— Rzeczywiście, niegdyś nosiłem to imię — rzekł bez śladu zakłopotania zwykłym, spokojnie brzmiącym głosem.

VI

Dniem i nocą przemyśliwał Roda nad tym, jak by uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa. Nie chciał w towarzystwie Jacka jechać na Księżyc i postanowił raczej wszystko uczynić, aby do tego nie dopuścić. Zdawał sobie jednak zupełnie jasno sprawę z tego, że to „wszystko", co w mocy jego leży, jest właściwie bardzo niewiele, i drżał na samą myśl pojawienia się z Jackiem w mieście przy *Ciepłych Stawach*.

Już nawet nie tyle gnębiła go obawa zemsty za Marka ze strony uczonego, któremu mimo całą pobłażliwość jego nie bardzo dowierzał, co strach przed wstydem, na jaki by się musiał na Księżycu narazić...

To by już było naprawdę ironią losu nie do pojęcia! On — Roda — przewodniczący Bractwa Prawdy, który przez całe życie zwalczał „bajki" o ziemskim ludzi pochodzeniu, powracający teraz właśnie z Ziemi i zmuszony zaświadczyć, że jest zamieszkana i pod względem urządzeń od Księżyca o niebo całe doskonalsza.

Roda bowiem stał się zapamiętałym wielbicielem zwłaszcza technicznej kultury na Ziemi. Poznał ją doskonale — przynajmniej w powierzchownych objawach. Jacek, mając niewzruszony zamiar wziąć obu „posłów" ze sobą na Księżyc z powrotem, chciał, aby przedtem — o ile się da — jak najwięcej skorzystali z pobytu na Ziemi, i najął przewodników, z którymi zwiedzali różne kraje i miasta, patrząc się i ucząc z każdym dniem więcej.

Początkowo odbywał tę podróż Roda wspólnie z Mataretem, ale później zdołał Jacka uprosić, że go od towarzysza uwolnił. Od owego pamiętnego dnia, kiedy Mataret wyznał prawdę niepotrzebnie, stosunki między nim a mistrzem były już tak naprężone, że nie mówili prawie do siebie, chyba żeby sobie rzucać oskarżenia i obelgi nawzajem. W podróży ten stan pogorszył się jeszcze, o ile to było możliwe. Innymi oczyma patrzyli na świat; Mataret, cały cud postępu ziemskiego uznając, nie przestawał być i tutaj po staremu sceptykiem, który i na odwrotną stronę medalu nie ma oczu zamkniętych. Podczas gdy Roda zachwycał się i chwalił ustawicznie, on — ziemski świat poznając — coraz częściej uśmiechał się szyderczo i wzruszał jeno ramionami, gdy go pytano, czy jednak nie lepiej i nie doskonalej tu niż na Księżycu? Przychodziło stąd do zażartych kłótni między oboma członkami Bractwa Prawdy, które w końcu tak się stały nieznośne, że musieli się rozdzielić.

Pozbawiony towarzystwa swego rodaka Roda czuł się wprawdzie nieco osamotniony, ale ostatecznie to, co widział i słyszał, tak go pochłaniało, że nieczęsto brak ten odczuwał.

Korzystał zaś wiele i prawdziwie. Bystry z natury, chwytał w lot formę ziemskich urządzeń i wkrótce już zdawał sobie sprawę z panujących stosunków. Ponieważ zaś niepokoiła go ciągle myśl o możliwym, a bynajmniej niepożądanym już teraz powrocie na srebrny glob rodzinny, więc szukał wśród nich wyjścia dla siebie jak najdogodniejszego.

Jasno określonego planu nie posiadał jeszcze, ale majaczyły mu już w głowie jakieś niewyraźne zarysy, z których mogło się coś z czasem utworzyć.

Z pobytu na świecie dowiedział się o wrzeniu coraz wyraźniejszym i bardziej zdecydowanym, w domu swego opiekuna spostrzegł, że tutaj jest niejako węzeł jakiś tego ruchu. Niewiele mu stosunkowo czasu było na to potrzeba, aby odgadnąć, że o tajemnicę tu chodzi jakiegoś wynalazku straszną i potężną, która posiadaczowi zapewnić by mogła bezkarność, moc i przewagę.

Zrozumiał, że wydobycie tej tajemnicy było celem kilkakrotnych odwiedzin Grabca, a także niewątpliwie i tego przedłużającego się pobytu Azy w domu uczonego.

Roda wbrew dotychczasowym swoim zwyczajom milczał, patrzył i czekał.

„Przyjdzie moja godzina! — myślał. — Jako tamtemu opanowałem wóz, tak spróbuję przy sposobności i temu wydrzeć jego maszynę".

Rzeczywiście wszyscy o tę maszynę walczyli. Grabiec, niepojętą dla siebie śmiercią Łachcia dotknięty i w działaniach swych osłabiony, tym więcej parł na Azę, aby się śpieszyła... Pragnął mieć w ręku straszną, niszczącą potęgę i stawiać warunki społeczeństwu, światu — bez walki zwyciężać.

Bo mimo wszystko w chwilach spokojnego rozmysłu strach go ogarniał przed tą burzą, którą oto rozpętywał. Poruszył podziemne moce, rzucił zarzewie w olbrzymie masy zastygłego w fizycznej pracy robotnika — i już dziś przed wybuchem zląkł się, widząc, jak fala się wznosi, wydyma, rośnie. Chciał to morze na smycz niejako wziąć i w służbie wiedzących tego świata puścić na ohydną, cywilizowaną trzodę ludzką — a uczuł rychło, że gdy ono się raz rozpęta, nie będzie miał nad nim władzy nikt, gdy się rozwichrzy i rozkołysze, nikt go na powrót między połamane tamy nie wciśnie.

Pewnego jesiennego popołudnia, przeleciawszy z Józwą w parę godzin szmat kraju, odwiedziwszy po drodze ogniska ruchu, podsyciwszy tu i owdzie ogień już płonący, zażegłszy go gdzie indziej, opuścił się na puste, słońcem spalone wzgórze ponad Wiecznym Miastem. Rozmawiali przez jakiś czas o dziennych sprawach rozszerzającego się wciąż sprzysiężenia, ale słowa padały im z ust leniwie, aż wreszcie umilkli obaj, w przedziwny gród, tam, pod stopami swymi zapatrzeni.

Jasne, złote słońce wisiało na niebie; powietrze samo, nasycone pyłem świetlnym, oczy niemal ślepiło. A pod tą błękitną i złotą śreżogą[502], pod tumanem przejasnym i opalowym, co brzegi widnokręgu zacierał i chłonął, spało w ciszy miasto Grabca ukochane, jedyny, wieczysty, królewski Rzym.

Tam, na północy daleko, na wschodzie i na zachodzie, dwa były centra życia, dwa czerwoną i złotą krwią tętniące serca lądu europejskiego: Paryż i Warszawa. Dwa węzły potworne wszystkich sieci i dróg, dwa ośrodki tego, co tłum powszechnie nazywał kulturą, olbrzymie polipy, chłonące tysiącem ramion soki wszystkiej ziemi, stolice rządów i kupców, i przemysłowców, ogniska zabaw, grzechu, podłości, miernoty. Na wzór tych dwóch miast największych rozwijały się, rosły i przemieniały inne, nie mogąc im zresztą nadążyć, dawne stolice dawnych państw europejskich, zawsze ogromne, potworne, ruchliwe, a jednak przez tamte dwa „słońca" do drugiej zepchnięte rangi.

Rzym pozostał tym, czym był przed wiekami: miastem jedynym. Dziwnym cudem jakimś uchował się przed niwelującą wszystko, barbarzyńską ręką „postępu" i „cywilizacji". Stały po dawnemu nietknięte ruiny na Forum: nad resztkami złotych domów na Palatynie chwiały się na wietrze cyprysy sędziwe i kwitnęły krwawe róże pod drzewami pomarańczowymi.

W kościele Świętego Piotra dzwony biły po dawnemu i w Watykanie siwy starzec w potrójnej koronie — białą, słabą ręką bezludny żegnając dziedziniec — dumał o tych czasach, kiedy stąd jego poprzednicy ruchem palca dźwigali narody Ziemi, a zaś głowy królewskie w pył uginali...

A na Kapitolu, na Kwirynale, a pałacu tysiącletnim u św. Jana Laterańskiego, w gigantycznych resztkach dawnych łaźni, teatrów, cyrków, w krużgankach bazylik, pod kopułami kościołów, w gmachach świt Odrodzenia pamiętających, w ogrodach, na placach, nad fontannami — stały posągi białe, bóstwa z dawien nieczczone, odłamy snów marmurowych, strzępy bujne minionej, twórczej młodości...

To miasto jedyne wymarzył sobie Grabiec na przyszłą dumną stolicę duchową odnowionego świata.

Pochylił głowę i patrzył w słońcu na setkę kopuł wydymających się ku niebu, pokrytych złotozielonawą patyną wieków, na obeliski stare i strzeliste, na poszczerbioną turnię Cyrku Flawiuszów.

Dostojeństwo spokojne a mocne biło od tego miasta, co tysiąclecia przetrwało i nie uznało za stosowne zmienić się za przykładem innych.

Grabiec śnić począł...

---

[502]*śreżoga* — rozedrgane powietrze nad rozgrzaną powierzchnią, tworzące wrażenie mgły np. nad asfaltem w upalny dzień.

Tam, na północy, na wschodzie czy na zachodzie, niechaj sobie będą wielkie „współczesne" metropolie, ogniska pracy, ruchu, codziennych drobnych zabiegów, niech się roją jak ule, niech huczą jak kuźnie, byle gwar ich dalej nie dochodził, jak po krańce tej wyzłoconej słońcem i jesienią Kampanii, byle nie mącił zadumanej ciszy pod cyprysami na ruinach... Tu będzie mózg i dusza ludzkości, nieprzemijająca świątynia „ziemskich bogów", siedlisko a stolica wiedzących, co będą zarazem królami świata.

Niegdyś, kiedy cezarowie w marmurowych domach na palatyńskim wzgórzu mieszkali, okrąg świata słał miastu temu pszenicę, wino, oliwę, kruszec kosztowny i drogie kamienie, niewolników, kobiety i bogów nawet — okrąg świata mu służył, woli jego podlegał, za rację bytu swego miał po prostu istnienie, rozkwit i blask tego miasta jedynego.

Teraz ma się to powtórzyć. Co tylko kraje i ziemie, i morza wydać mogą najlepszego, tutaj ma spływać; tutaj ma być na nowo środek świata, myśl jego i wola.

Wieści po lądach szerokich — po wyspach morza dalekich będą chodziły, że jest gród święty, do którego wstęp wybranym jeno jest dozwolony. Opowiadać o nim będą matki swym dzieciom, jakby starą baśń jaką wschodnią, że jest tam moc wszystka i wszystko piękno, światło, mądrość i życie, ale w nieprzebytych murach bramy są wysokie i nie giąć się trzeba, lecz raczej na miarę ich wzróść, aby wnijść[503] do wnętrza.

O, miasto wyśnione, miasto ukochane!

Krótki, twardy śmiech Józwy wyrwał Grabca z zamyślenia. Odwrócił żywo głowę i spojrzał na towarzysza.

Stał on z pięściami wspartymi na jakimś starym, połamanym już i w zielsko wrosłym sarkofagu, z czołem jakby do uderzenia pochylonym, z namarszczonymi brwiami.

— Józwa, tyś się śmiał?

Przywódca rzucił w tył głową.

— A co? Śmiałem się.

Zakreślił ręką szerokie koło.

— Przecież to zabawna rzecz pomyśleć, że po tej burzy naszej będą tu tylko gruzy bez kształtu i kamienie, na których zielsko porośnie, i krzewy, i potem las... Damy my radę, o! damy tym gmachom, co wieki przetrwały, tym starym sklepieniom połatanym sztucznie cementem, kolumnom tym, żelaznymi prętami związanym. O! Będą się tu w proch sypały te kopuły, będzie trzęsienie ziemi, jakiego od stworzenia świata nikt pono jeszcze nie widział!

Rozśmiał[504] się znowu drapieżnie, a potem, zwracając się wprost do Grabca, dodał:

— Słuchajcie, Grabiec, wy coś kręcicie... Jak się ma naprawdę sprawa z ową maszyną Jacka?

Grabiec nie miał ochoty odpowiadać. Ostatnie blaski zachodzącego słońca, tak podobne do królewskiej aureoli, miasto otaczającej, zmieniły mu się w oczach nagle na pożar; zdawało mu się, że widzi wieczny Rzym, walący się w gruz bezpowrotnie — i dziką, od dawnych hord barbarzyńców straszniejszą tłuszczę, co idzie przez zgliszcza i przez zwaliska — niepowstrzymana, szalona...

Dopiero gdy Józwa po raz drugi natarczywiej powtórzył pytanie, Grabiec zwrócił oczy na niego.

Zawahał się jedną chwilę. Czyż mu ma powiedzieć prawdę, że straszny wynalazek Jacka, jeśli się do ręki jego dostanie, to służyć mu będzie zarówno do pognębienia rozwielmożnionego dzisiaj społeczeństwa ludzkiej trzody, jak do utrzymania w tamach i... w niewoli nowej rozpętanych na jeden dzień mas roboczych? Czy mu to ma szczerze i bezczelnie powiedzieć? I dodać jeszcze, że dopóki on żyw, to raczej wszystko się zwali na świecie, nim tu jeden kamień ze szczytu starych kolumn opadnie?

Patrzył na Józwę i myślał, jakie by to na nim zrobiło wrażenie. Tak, ten człowiek — usłyszawszy to — nawet by się nie żachnął, nawet nie oburzył, roześmiałby się tylko szerokimi ustami, białe, drapieżne i mocne zęby odsłaniając, tak pewien, że potęgą ostateczną i niezmożoną będzie zagłada i będzie zniszczenie, które on właśnie wiedzie za sobą.

---

[503] *wnijść* (daw.) — wejść.

[504] *rozśmiać się* — dziś: roześmiać się.

— Posłałem Azę do Jacka — rzekł Grabiec na pozór spokojnie i obojętnie, w inną patrząc stronę — ona uczyni, co się da...

— Głupstwo! — syknął Józwa pogardliwie. — Nie rozumiem tych półśrodków! I na co tutaj kobieta? jakaś komediantka? co ona potrafi? Lepiej by było rozbić ten dom jego w Warszawie na piargi i wziąć, co trzeba, przemocą.

— Nie należy zapominać, że Jacek może się bronić! Jednym ruchem palca wysadzić zdoła całe miasto.

Józwie oczy zabłysnęły.

— To cóż! Właśnie prześliczny początek! Warszawa, Paryż, a potem te inne, mniejsze wrzody na zarażonym cielsku Europy...

— Na to by już kolej nie przyszła — rzekł Grabiec, jakby do siebie. — W tych warunkach razem z Warszawą przepadłaby też i tajemnica piorunującej maszyny Jacka.

— Więc co?

— Musi on nam swój wynalazek oddać dobrowolnie, zwłaszcza że bez jego wskazówek, kto wie, czybyśmy sobie umieli poradzić!

Józwa wyciągnął ręce żylaste, potężne.

— I to zresztą niekonieczne — rzekł po chwili. — Niech diabli mędrców wezmą z ich maszynami! Mam ja u siebie składy potężniejszych a żywych materiałów wybuchowych! Niech się tylko wszyscy moi ruszą, niech taniec zawiodą, a duszą wam ręczę, Grabiec, że ani śladu, ni wspomnienia z tego ślicznego świata nie zostanie.

Grabiec usta już otwierał, aby odpowiedzieć, ale naraz zrozumiał, że wszelkie słowa są tutaj próżne i stracone. Pojrzał w oczy Józwy, płonące zaciekłą, nieubłaganą nienawiścią do wszystkiego, co było i jest — po prostu dlatego tylko, że jest i że było — i po raz pierwszy w życiu zimny strach go objął. Przez jedno okamgnienie myślał, czyby nie pchnąć zawczasu noża w tę szeroką pierś, ale zbuntował się rychło sam przeciw tej myśli, podłej i tchórzliwej. To by znaczyło przed podróżą roztrzaskać okręt, do nowych krajów wiozący, z obawy przed burzą, która może pokonać siły i mądrość sternika...

Patrzył na Józwę. To nie był przecież człowiek tępy ani ślepy, nienawidzący dlatego, że przypadkowo urodził się i żył w ciężkich warunkach, na ręczną i ogłupiającą pracę losem skazany... Przeszedł on owszem ongi wszystkie stopnie szkół publicznych i miano go nawet dla wielkich zdolności posłać na koszt państwa do Szkoły Mędrców, gdy on nagłe przepadł, jak kamień do wody rzucony.

Rychło się w zamęcie życia zapomina o przepadłym człowieku, nikt też wkrótce nie pamiętał, że Józwa żył, a tym mniej rozmyślał nad tym, co się z nim stało. A on tymczasem, doszedłszy pewnego dnia do przekonania, że złe jest to, co jest, w poszukiwaniu siły zstąpił w głąb i zbierał moc, wiedziony jedynym, obłędnym pragnieniem zniszczenia...

— Dziwna, żem ja go spotkał[505] i poznał — szeptał Grabiec do siebie, zwracając oczy na słońce zachodzące w krwawych blaskach nad Rzymem.

VII

Potrząsnął z wolna głową i uśmiechnął się.

— Nie — zaczął, nie patrząc na Azę, jakby nie na jej odpowiadał pytanie — nie wyrzekałem się niczego, żadne mnie nie spotkały zawody, nie byłem zgoła na nic rozgoryczony, niczym rozczarowany.

Jacek poruszył się niecierpliwie na krześle.

— Więc czemuż...

Urwał nagle i zamilkł, wstydem jakimś ogarnięty, że pyta o to, co by powinien już był może zrozumieć.

Nyanatiloka podniósł nań oczy spokojne i jasne.

— Tamto było mało. Poszedłem dalej, chciałem żyć.

— Żyć...! — szepnął Jacek do siebie, jak echo.

W jednej chwili stanęło mu żywo w pamięci wszystko, co słyszał o tym człowieku dziwnym, jeszcze jako chłopiec nieletni, i co wiedział o nim teraz.

---

[505] *dziwna, żem ja go spotkał* — dziś: dziwne, żem (...).

„Chciałem żyć" — mówił Serato-Nyanatiloka, on, którego imię było niegdyś synonimem życia samego, rozpętanej mocy, szczęścia, rozkoszy, władztwa.

Mówiono o nim wówczas jak o bożyszczu. Kędy się pojawił ze skrzypcami czarodziejskimi, ludzie jak obłąkani padali przed nim na kolana, a on robił z nimi po prostu, co chciał. Jeśli można było kiedykolwiek rzec o jakimś artyście, że władał, a nie służył sztuką swą tłumowi, to o nim niewątpliwie. W przesławnych, nieporównanych i jedynych improwizacjach swoich chwiał słuchaczami jak trzciną nadbrzeżną; jednym ruchem smyczka, jednym palca przesunięciem rzucał ludzi z obłędu radości w smutek i przygnębienie, szeptał im baśnie cudowne, przerażał ich i unicestwiał, pod nogi swoje miotał lub w tejże chwili, mocą cudotwórczą, podłych zjadaczy chleba przemieniał na rozszalałych, z wichrami pędzących bogów życia.

Przypomniało się Jackowi, co mawiał o nim biskup jeden, dzisiaj już nieżyjący:

— Ten człowiek, gdyby chciał, mógłby skrzypcami swymi nowe stworzyć objawienie, a ludzie poszliby za nim, choćby ich wiódł do piekła.

Kapłan mówił to z lękiem i krzyż kreślił na czole, a w oczach Jacka, młodego chłopca podówczas, rosła postać skrzypka do fantastycznych, nadludzkich rozmiarów, stawała się jakimś symbolem wywyższenia, władania, królewskości i pomazaństwa.

Nie można było powiedzieć, iż Serato jest bogaty, gdyż to określenie zbyt słabe nie malowało dosadnie tej potęgi złota, która przez palce jego nieopatrzne płynęła. Nie było myśli, której by nie mógł urzeczywistnić, ani tak fantastycznego zamiaru, którego wykonać by nie zdołał. Jeden koncert przynosił mu więcej, niż wynosiły niegdyś listy cywilne królów i cesarzy, dopóki jeszcze w Europie istnieli.

Piękny, zdrowy, niezatroskany, życiem jak burza huczący pił rozkosz istnienia pełnymi piersiami i naprawdę nie było rzeczy, której by mu los odmówił. Kobiety drżały, patrząc nań, i mógł wśród nich wybierać, jak sułtan z baśni *Tysiąca nocy*, pewien, jak ów sułtan, że żadna wezwania jego nie odrzuci, chociażby wiedziała, że śmierć ją czeka nazajutrz z jego ręki.

Nikt nie widział nigdy Seraty smutnym ani przygnębionym; mówiono o nim, że się tak śmieje, jak słońce świeci na niebie. I gdy pewnego dnia wieść się rozniosła, że ten człowiek zginął kędyś nagle i niepojęcie, przypuszczano powszechnie zbrodnię i szukano długo jej śladu — tak dalece nie mógł nikt pomyśleć, aby on sam dobrowolnie odwrócił się od tego życia, które chciwymi usty z pełnej dotąd pił czary.

Mimo woli wzniósł Jacek oczy i zwrócił spojrzenie na twarz siedzącego przed nim pustelnika.

I to jest on! On sam — Serato...!

Nyanatiloka, Trójświatowiedny.

Półnagi, spokojny, użebranym chlebem żyjący, a boski...

„Chciałem żyć" — mówi.

Chciał żyć...!

Więc czymże było tamto — ten szał bujny, kipiącej mocą sztuki, sławy, miłości? Nie byłoż to właśnie życiem, które jemu, Jackowi, błyska czasem jak ogień przelatujący przed mózgiem, zmęczonym mądrością? I możnaż było tamto wszystko rzucić tak niepowrotnie a lekko...

— Nie żal ci...?

Dawny skrzypek wzniósł powoli głowę.

— Czego? Czy patrząc na mnie, możesz przypuścić, że było tam coś poza mną, czego bym mógł w obecnym stanie swoim żałować? Nie cofnąłem się od niczego, nic nie odrzuciłem, jenom poszedł dalej i wyżej. Tamto mogło być coś warte, lecz to, co mam teraz, warte jest bez porównania więcej. Sławę miałem, bogactwo, władzę. Cóż mi to znaczy, co inni myśleli o mnie, wobec tego, że dzisiaj za to, bez cudzego zdania, wiem ja sam, czym jestem? Bogatszy jestem dziś niż kiedykolwiek, bo nie mam pragnień niezaspokojonych wobec tego, że nie pragnę niczego, co przez innych tylko mogłoby być spełnionym — miast[506] pozornej władzy nad bliźnimi, mam doskonałą nad samym sobą.

— A sztuka — wtrącił Jacek — czy nie tęsknisz za nią?

Nyanatiloka uśmiechnął się.

[506] *miast* (daw.) — zamiast.

— Jakaż harmonia zewnętrzna, chociażby najdoskonalsza, może się równać z tym dostrojeniem duszy, które teraz zdobyłem? Jaka moc twórcza artysty z tą pewną świadomością, że świat swój cały stworzyłem i póki chcę, utrzymuję?

Powstał i zbliżył się ku Jackowi.

— Niepotrzebnie zresztą o tym mówimy — rzekł — gdy jest tyle rzeczy ważniejszych. Nie trzeba myśleć o tym, czym człowiek był, aby nie brakło czasu na myślenie, czym być może. I to każdy, każdy może być, każdy bez wyjątku, kto zechce.

Jacek zaśmiał się.

— A tak, kto zechce! Kto się zdobędzie na moc, aby się wyrzec od razu wszystkiego, jak ty.

Nyanatiloka przerwał mu ruchem dłoni.

— Ileż ci razy mam powtarzać — zaczął łagodnie — że ja się niczego nie wyrzekałem. Wszak wyrzec się, znaczy porzucić jakąś rzecz ponętną, wartość dla człowieka mającą. Ja wyzbyłem się tylko pewnych form życia, które stały się dla mnie próżnymi z chwilą, gdy doskonalsze poznałem. Po latach pracy duchowej, która z każdym dniem większą rozkoszą mi była, po latach odosobnienia i samotności najszczytniejszej, w której moc życia w nieskończoność się potęguje, zdobyłem to, co my nazywamy „wiedzą trzech światów", która, jeśli nie jest mądrości słowem ostatnim, jest niewątpliwie pierwszym i zasadniczym. Tej wiedzy już się nie traci. Mógłbym teraz powrócić do form życia dawnego, wejść między ludzi tutejszego społeczeństwa, szaleć jak oni, pracować niepotrzebnie, cieszyć się sławą, bogactwem, powodzeniem i być w duszy nadal tym, czym jestem, ale śmiech mnie ogarnia na samą myśl o tym, tak to już dla mnie nie ma żadnego powabu.

Rozłożył ręce i głowę wzniósł nieco ku górze.

— Żyję w formie najdoskonalszej — mówił dalej — osobistej, a wszechogarniającej, przez to, że nauczyłem się łączyć ze światem i duchem jego w jedność prawdziwą, jaka snadź była na początku, nim się świadomość człowiecza poczęła. Nie potrzebuję patrzeć na łąki kwitnące, słuchać morza huczącego ni burzy, bo sam jestem, zaprawdę, ziemią rodzajną i kwiatem, i rzeką, i drzewem, wichrem i morzem. W tętnie swej krwi, w rytmie myśli swojej czuję harmonię bytu: tę najgłębszą, tę pod zjawiskami złudnymi ukrytą, pod tym, co się człowiekowi, wyrwanemu ze świata, wydaje nawet złym, niesprawiedliwym lub niepotrzebnym. Całe długie życie moje poprzednie, chociaż skąpe dla mnie nie było, dać mi nie zdołało ni jednej chwili szczęścia bodaj podobnego temu błogostanowi, w jakim się obecnie znajduję ciągle i bez obawy utracenia go kiedykolwiek.

Nyanatiloka mówił to, do Jacka się zwracając, zupełnie tak, jakby zapomniał o obecności Azy, która w głęboki fotel wtulona, z brodą o złożone na poręczy dłonie opartą patrzyła nań w milczeniu szeroko rozwartymi oczyma.

Początkowo słuchała, co mówił, później słowa jego stały się dla niej dźwiękiem bez znaczenia, na który zważać nawet nie miała ochoty. Słyszała tylko brzmienie głosu równe, spokojne i miękkie; widziała z boku ramię nagie i jędrne, choć szczupłe, przez słońce południowe barwą dojrzałego owocu powleczone. Jakaś młoda świeżość i moc szły od tego człowieka. Włosy czarne i lśniące, lekko faliste, spadały mu na odkryte czerstwe ramiona i Azie zdawało się, że czuje zapach jego kędziorów, rzeźwy, przypominający woń górskich ziół, rosnących nad zimnym, kryształowym strumieniem. Twarz jego widziała w zgubionym profilu: linię wypukłą, gdzie skroń łączy się z kością czołową, wzniesioną powiekę oka, jeden kąt ust świeżych, drgających, czerwonych.

„Młody, jasny, boski — szeptała w myśli — taki był i wówczas..."

Zerwała się nagle z przerażeniem.

— Serato!

Odwrócił się powoli i spojrzał na nią wzrokiem nieco roztargnionym, nierad widocznie, że mu przerywa.

Ona patrzyła przez pewną chwilę, jakby niepewna, oczom własnym niedowierzająca.

— Serato? — powtórzyła z odcieniem jakiegoś zdumienia.

— Słucham.

Aza liczyła coś półgłosem, oczu zeń nie spuszczając.

— Sześć... dziesięć... Osiemnaście, nie! Dwadzieścia! Tak jest. Dwadzieścia lat.

Nyanatiloka zrozumiał i uśmiechnął się.

— Tak. Przed dwudziestu laty opuściłem Europę, na Cejlon się udając.

— Ja byłam dzieckiem, małą dziewczynką w cyrku... Pamiętam... Mówiono wówczas, że Serato ma lat czterdzieści.

— Czterdzieści i cztery — poprawił.

Jacek, który śledził tę rozmowę z rosnącym zajęciem, zerwał się teraz z krzesła.

— Ty! Ty byś miał sześćdziesiąt kilka lat obecnie?

— Tak. Czy cię to dziwi?

Jacek cofnął się o krok, nie wiedząc, co myśleć, z oczyma w spokojnej twarzy pustelnika utkwionymi.

— Wszak to jest młody, trzydziestoletni człowiek — szeptała Aza, jakby do siebie, w bezbrzeżnym zdumieniu. — Młodszy jest niż wtedy, gdym go widziała, przed dwudziestu laty. To nie może być.

— Dlaczego?

Wypowiadając ten wyraz zwrócił się twarzą na przelotną chwilę ku Azie i uderzył ją owym spokojnym spojrzeniem chłodno patrzących oczu.

Zamilkła nagle, nie wiedząc nawet, dlaczego ogarnia ją lęk niewytłumaczony. Przyszła jej na myśl bajka jakaś odwieczna, gdzie trup, zaklęciem strasznym przy sztucznym życiu i przy młodości utrzymany, rozlał się, gdy je złamano, w okamgnieniu cuchnącym błotem około własnych kości.

Krzyknęła lekko i cofnęła się wstecz.

Nyanatiloka tymczasem mówił do Jacka:

— Czy nie rozumiesz, że przy pewnym udoskonaleniu może wola panować nad wszystkimi funkcjami ciała, jak zazwyczaj panuje nad niektórymi tylko ruchami? Wszakże już fakirzy najniższych stopni, tak od wiedzy prawdziwej dalecy jak Ziemia od Słońca, choć w jej promieniach żyjący, zdołają wedle woli powstrzymywać tętno serca i pracę nerwów i wprawiać się w ten sposób na jakiś czas w stan pozornej śmierci.

— Tu chodzi o życie, o niewytłumaczoną młodość twoją — wtrącił Jacek.

— I czyż to nie wszystko jedno, w którym kierunku wola działa? Idzie ostatecznie o pewien stan organów, o ich funkcje, jak wy tu w Europie swoim językiem uczonym mówicie, albo, jak my byśmy powiedzieli, o wyrwanie formy z czasu i postawienie jej ponad nim.

Jacek ścisnął rękami głowę.

— Myśl się miesza, myśl się miesza. Więc ty mógłbyś właściwie żyć wiecznie?

Nyanatiloka uśmiechnął się.

— Nie mogę nie żyć wiecznie, bo wszak duch jest nieśmiertelny, a ja duchem jestem, jak ty, jak my wszyscy. A co do ciała, które czym innym nie jest, jak tylko formą ducha zewnętrzną i przemijającą, to nie warto go nazbyt długo utrzymywać. Póki potrzebne, lepiej, że młode jest i zdrowe, zdolne słuchać wszelkich rozkazań, niżby więdnąć miało i słabością swoją przeszkadzać, ale kiedy spełni już swe zadanie, dość człowiekowi wiedzącemu wolę utrzymującą je rozluźnić...

Urwał i naraz zmieniając ton, rękę wyciągnął do Jacka.

— Pójdź, nie wiem, dlaczego w dusznej izbie siedzimy. Słońce już zaszło i chciałbym trochę z dachu na gwiazdy popatrzeć. Zamyślimy się tam razem i mówić potem będziemy o istnieniu z tej i z tamtej strony gwiazd jak o rzeczy jednej, ciągłej i nieprzerwanej.

Aza nie zauważyła nawet, kiedy wysunęli się z pokoju, choć jej się zdawało, że patrzy na nich ustawicznie. Siedziała jakiś czas jakby w odrętwieniu, oszołomiona całkowicie tym, co usłyszała, nie umiejąc sobie sprowadzić do kategorii ludzkiego rozumu historii wieczyście młodego skrzypka, co stał przed nią teraz w postaci buddyjskiego świętego.

Naraz przyszło jej na myśl, że ona musiała się raczej pomylić, że ten człowiek nie jest i nie może być zaginionym przed dwudziestu laty Seratą. Widocznie rzucone przez nią przypadkowo imię przyjął i okrył się nim, jak gdyby z niewytłumaczonego powodu chciał, aby jak najmniej wiedziano, kim on jest w istocie.

— To oszust.

Zerwała się odruchowo; chciała dzwonić na służbę, wołać Jacka, krzyczeć, aby tego człowieka zamknięto w więzieniu, nie pozwolono mu nazywać się tamtym imieniem...

Wsparła się dłonią o stół.

Czyż to możliwe jednak, aby go nie poznała, innego zań wzięła, aby ktokolwiek do niego był tak podobny?

Spuściła z wolna powieki i pod powiekami zamajaczyła jej scena, tak dawna, że snem się już prawie stała, a jednak żywa i wyrazista...

Ongi — przed laty dwudziestu — Serato miewał szalone pomysły. Czasem, błagany i wzywany naglącymi telegramami, mimo wstawiennictwa najpierwszych dostojników, artystów i swoich przyjaciół, w teatrach pierwszorzędnych grać nie chciał, chociaż mu góry złota sypano pod nogi. Innym zaś razem występował tam, gdzie się go najmniej śmiano spodziewać, i zamieniał swoją obecnością przydrożną gospodę na pamiętną długo salę koncertową. Bywało też, że jak grajek wędrowny szedł ze skrzypcami zapylonym gościńcem, ciągnąc za sobą w pola z wyludnionego miasta całe tłumy opętane.

Aza, mała w cyrku dziewczynka, słyszała o tym od starszych kolegów i koleżanek, z dziwnym drżeniem warg imię jego wypowiadających — i śnił jej się skrzypek czarodziejski, światami na czele rzeszy przeciągający, jak boskie jakie zjawienie, jak boska moc ucieleśniona. Nawet nie pragnęła go zobaczyć, tak go jej żywo malowała dziecięca fantazja. Gdy było ciemno i ona zmęczona w kątku cicho zasiadła, opowiadała sobie niezmiennie jedną i tą samą bajkę najcudniejszą:

— Przyjdzie...

Będzie to dzień wcale do innych niepodobny, jaśniejszy jakiś i słodszy, kiedy on się pojawi i weźmie ją za rękę i każe pójść za sobą na świat, pod tęcze jakieś, na obłokach jak bramy rozpostarte...

Przyjdzie z pewnością. Uwolni ją, małą, biedną Azę od błazna strasznego, który żąda od niej rzeczy nieprawdopodobnie ohydnej; zabierze ją na łąki, na pola, które są pono gdzieś za murami miasta, i ona tam śpiewu skrzypiec jego słuchając, zapomni już o cyrku, o linie, na której trzeba tańczyć, aby nie bito, aby ludzie klaskali.

Uśmiechnęła się gorzko na to wspomnienie śmiesznych marzeń dziecięcych. Nie była przecież tak naiwną; wiedziała aż nadto dobrze, co znaczą wzroki podstarzałych panów z pierwszych rzędów krzeseł, ślizgające się po jej trykotach opiętych na szczupłym, dziecięcym ciele, i jaki mają cel błazna nagabywania.

A jednak...

A jednak w tych chwilach marzeń ukrytych nabywany przedwcześnie, z dnia na dzień, cynizm życia gubił się gdzieś naprawdę, opadał, jak ta żółwia skorupa czy powłoka żabia, w której uwięziona była zaklęta królewna z bajki. I wychodziła wtedy ze siebie samej niejako taką, jak była jeszcze w istocie w głębi duszy: dzieckiem, patrzącym na świat zdumionymi oczyma i śniącym o rzeczy jasnej, cudownej...

I przyszedł. Przyszedł rzeczywiście dnia jednego, raczej jednego wieczoru. Znużona była nad wszelki wyraz. Kazano jej po linie pochyło wyciągniętej wbiegać na deskę, skąd miała skoczyć na trapez rozbujany, potem na drugi, na trzeci, wirować, tańczyć w powietrzu. Wzięła rozpęd za pierwszym razem i ześlizgnęła się w połowie z liny drucianej, padając na bok dotkliwie. Wśród widzów posłyszała kilka lekkich okrzyków przestrachu, które zaraz zagłuszyły syki niezadowolonych. Kierownik przedstawienia podszedł ku niej i sprawdziwszy, że cała, łypnął złymi oczyma.

— Biegaj, psia...!

— Boję się — szepnęła w nagłym ataku trwogi.

— Biegaj — zasyczał groźnie przez zęby.

Cofnęła się posłuszna o parę kroków, drżąc na całym ciele. Poskoczyła — i nagle jakby ją siła niewidzialna osadziła na miejscu przed samym początkiem liny.

— Boję się — jęknęła prawie z płaczem — boję się.

W widowni zaczynano się niecierpliwić. Afisze zapowiadały na ten wieczór „widowisko niebywałe, jedyną, oryginalną królewnę powietrza, czarodziejkę latającą", a tymczasem czarodziejka stała zalękła, nieporadna, z czerwonymi powiekami i z wargami dziecinnie do płaczu skurczonymi.

— To oszustwo! — wołano w dalszych rzędach. — Zwrócić pieniądze! Przerwać przedstawienie!

Tłum bezlitosny, żądający tylko zabawy za swój grosz, szydził z niej, miotał wyzwiska, wyśmiewał się, robił głośno nieprzyzwoite uwagi.

— Biegaj!

Usłyszała głos kierownika, wściekłością nabrzmiały, jakby przez sen. Cofnęła się jeszcze raz do rozpędu, zbierając wszystkie siły rozprężonej woli. W oczach jej pociemniało,

w uszach szum miała nieznośny, drżały jej kolana — czuła, że spadnie, nim końca liny dobiegnie.

Podskoczyła, zrobiła kilka kroków z zamkniętymi oczyma i naraz uczuła, że ktoś ją chwyta za ramię właśnie w chwili, gdy stopą miała dotknąć drutów wyciągniętych.

Obejrzała się. Stał przy niej, dostawszy się snadź z widowni, człowiek jakiś wytwornie odziany, o czarnych falistych włosach, i powstrzymywał ją białą, miękką, a silną jak stal dłonią.

— Czekaj.

Nie miała nawet czasu dziwić się ani przerazić — ogarnęło ją tylko niewypowiedzianie słodkie uczucie, że jest pod czyjąś opieką. Dyrektor skoczył ku natrętowi blady z wściekłości, lecz nim usta otworzył, opiekun jej rzekł głosem spokojnym a rozkazującym:

— Proszę mi dać skrzypce jakiekolwiek!

— Serato! Serato! — huczało już w całym amfiteatrze jak w ulu.

Serato! Gwałtownym ruchem zwróciła głowę, wpatrzyła się weń chciwie, zachłannie, serce jej niemal przestało bić.

Bajka, wyśniona, złota baśń: przyszedł, weźmie, powiedzie...

Nie! Coś innego w niej zadrgało, coś, z czego w pierwszej chwili nawet sprawy sobie zdać nie umiała. Czuła palce jego mocne na odkrytym, dziecięcym ramieniu, żar ją objął jakiś pod przelotnym wzrokiem jego, co twarz jej musnął, w piersi się coś zatłukło. Miała ochotę łkać, zgubić się, unicestwić, zapragnęła, aby on ją zgniótł swymi rękami albo nogą stanął na piersi, i równocześnie uciekać chciała, uciekać...

Cisza nagle ogarnęła teatr. Usłyszała jakiś dźwięk nieziemski, przedziwny, jakiś srebrny płacz. Zdumiała się prawie, skąd by pochodził.

Serato grał.

Nikt teraz już na nią nie zwracał uwagi. Przysiadła nieco na uboczu i patrzyła. Jakiś szum krwi w uszach kradł jej dźwięki muzyki; widziała tylko dłoń jego białą, wodzącą smyczek, opuszczone powieki, usta rozchylone nieco w wygolonej twarzy, wilgotne, krwawe. Dreszcz dziwny przebiegł ją od stóp do głów i po raz pierwszy w życiu to dziwne uczucie, że są na świecie pocałunki, uściski i że ona jest kobietą.

Przestała być dzieckiem w owym okamgnieniu.

Zakołowało jej w głowie; przez sekundę była tylko cała tym jednym, nieprzytomnym pragnieniem: czuć jego oczy, jego ręce, usta jego czuć na sobie.

Naraz zbudziła się w niej znowu świadomość. Spokojnie, prawie wyzywająco rozejrzała się dokoła. On — Serato — nie patrzył na nią. Zatopiony w przedziwnej improwizacji, zmieniwszy w narzędzie cudu jakieś z orkiestry podane skrzypce, zapomniał pewno o jej istnieniu i o tym odruchu litości, który go na cyrkową arenę dla jej wybawienia sprowadził.

Grał sobie samemu, a ludzie słuchali.

W amfiteatrze cisza była niepojęta. Aza przebiegła okiem szeregi siedzeń; wszędzie słuchacze na posągi zamienieni; jedni chłonący oczyma postać skrzypka królewską, inni z twarzą w dłoniach ukrytą i jeszcze inni patrzący w dal szklanymi źrenicami, z których duch odbiegł, aby się kołysać kędyś za muzyką na falach powietrza.

Nagle gniew ogarnął Azę, że on się nad nią zlitował i teraz na nią nie zważa, i zazdrość, że uniósł widzów, którzy jej zwykle klaskali, i odruchowa małpia żałość. Nim mogła sama zastanowić się nad tym, co robi, właśnie w chwili, gdy struny skrzypiec ledwo uchem dosłyszane śpiewać poczynały jakiś święty, cichy sen, wydała przeraźliwy okrzyk cyrkowy i jednym rzutem wbiegła na naprężoną linę, i skoczyła prosto na trapez o kilkanaście metrów niżej zawieszony.

Postrzeżono jej skok szalony w amfiteatrze i zaczęto wołać, krzyczeć, klaskać, pokazywać ją sobie palcami. Nikt już muzyki Seraty nie słuchał — wszyscy na nią patrzyli, jak rzuca się, naprawdę do ptaka podobna, z drążka na drążek, z jednej liny na drugą.

Gorzkie, zaciekłe uczucie tryumfu w piersi. Nigdy nie była tak szaloną, tak zuchwałą, wyuzdaną po prostu w tym tańcu powietrznym, gdzie jeden fałszywy krok, jedno chybienie na milimetr równowagi znaczyło śmierć... Gięła się i prężyła, dając drobne kształty swoje gawiedzi na pokaz z przedziwną bolesną rozkoszą, co nie wiadomo skąd nagle się w niej zbudziła, wyzywała spojrzenia lubieżne, szczerzyła zęby w bezczelnym uśmiechu do ludzi, odzierających ją z sukien oczyma.

Usiłowała nie spojrzeć na skrzypka — gniotła ją jednak bolesna ciekawość...

Nieznacznie, nieznacznie, tak, aby on nie widział. Ręce podnosząc, nachyliła głowę; szybki rzut oka pod ramię...

Stał obok porzuconych skrzypiec na arenie i uśmiechając się z zadowoleniem, bił jej oklaski wraz z innymi.

Zeskoczyła z podniebnej huśtawki i wbiegła pędem do garderoby, ukrywając straszne, szarpiące łkania, których długo nie mogła ukoić.

Wtedy po raz pierwszy i ostatni zarazem widziała Seratę. Jednak każdy rys jego twarzy, spojrzenie oczu, wyraz ust tak się wbiły w jej świadomość, że po upływie długich lat stawał on w jej oczach jak żywy i prześladował często jak zmora, której niepodobna odegnać.

Nie! Ona się nie mogła omylić! To jest naprawdę Serato, on sam — ten człowiek niepojęty, czarem jakimś wieczyście młody, co teraz tutaj przychodzi z niezrozumiałą dla niej nauką, z nadludzkimi i przerażającymi ją siłami...

Nagły dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem. Chwila podobna do owej, którą przeżyła ongi przed dwudziestu laty, kiedy on dłoń na jej dziecinnym ramieniu położył, jeno ogień potężniejszą falą uderzył dziś na nią...

Zaplotła ręce na karku i wpatrzyła się z podniesioną głową przed siebie.

Myśli jej grały.

— Mocniejsza jestem niż wszystkie moce świata: niż mądrość, niż sztuka, niźli zemsta nawet! Mocniejsza będę niż świętość twoja...

Uczuła dziwnie rozkoszne łaskotanie krwi w piersiach naprzód podanych, mgła jej jakaś oczy na jeden moment przesłoniła, usta same rozwarły się nieco:

— Przyjdź! Przyjdź...!

VIII

Siedzieli w milczeniu z głowami pochylonymi, słuchając ze skupioną uwagą wywodów jednego z „braci wiedzących", który rozwijał właśnie wśród nich, w zgromadzeniu mędrców, teorię nową o początkach życia.

Niewielki, o dużej, płowej głowie i szarych oczach bystro patrzących, mówił na pozór sucho, jakby lekcję nauczoną wydawał, cyfry wymieniał, nazwiska uczonych, fakty i odkrycia — i zaledwie czasem twarz mu drgnęła nieznacznie, kiedy w krótkim, piorunującym i niespodziewanym zdaniu jednym błyskiem myśli wiązał w całość i oświecał mozołem wieków zdobyte i aż dotąd sprzeczne jeszcze na pozór spostrzeżenia całych pokoleń badaczy.

I zdawało się słuchającym, że ten człowiek niepokaźny, ale myślą potężny, buduje przed ich oczyma piramidę przedziwną, o podstawie jak świat szerokiej, gdzie każdy głaz oddzielny, jakimś łukiem śmiałym i nadpowietrznym z innymi spojony, dźwiga niewzruszenie piętro nowe, coraz zwartsze[507], śmiglejsze, coraz wyżej ku niebu wstępujące, aż ponad majaczący już w myślach szczytowy cios, zwornik ostateczny, z którego wzrok jednym rzutem całokształt budowy obejmie. Wszystko, co dotąd sprawdzono, odkryto, wynaleziono, wysiłkiem rozumu zdobyto, czy stworzono, cegłą się stawało i granitem dla mędrca o szarych oczach; zdało się czasem, że jednym słowem, jak gdyby pewnym i sprawnym młota uderzeniem, łupie bezkształtny głaz doświadczenia, z którym dotąd rady sobie dać nie umiano, i wydobywa zeń jądro przedziwnie do budowy dopasowane.

Słuchacze, przyzwyczajeni wstępować pod chmury i świat w samotnych wieżycach myśli swej z góry oglądać, wznosili się z mówcą bez zawrotu głowy na te wyżyny, gdzie ich wiódł pewnie i śmiało.

Zakończył długi wykład, oczy mu szare zapłonęły, słowa z ust popłynęły żywiej. Rzucił ręką naokoło, jakby ze szczytu wskazywał ściany piramidy swojej, skąd stopiły się już dla swobodnego oka poszczególne cegły i kamienie w całość jedną, doskonałą, nienaruszoną i tak prostą przedziwnie.

— Przeszliśmy — kończył — labirynt dziwu od plazmy najprostszej, pod nieorganicznym pozorem chcącej się jeszcze zataić, od zarodka, i pierwej: od wszczęcia się tego zarodka, nim pierwszy jego podział ku zbudowaniu nowej istoty nastąpił, aż do przemian

[507] *zwartszy* — dziś: bardziej zwarty.

w mózgu, dumnej myśli ludzkiej towarzyszących; widzieliśmy wszystko i wiemy, że da się to jedno z drugiego wywiązać i wywieść, jak wzór matematyczny ścisły, błędowi niepodlegający, pewny, nieuchronnie do jednego prowadzący wyniku. Ten wzór oto, jakby tajemnicze słowo zaklęcia z dawien przeczuwane, a nieodkryte, ja określiłem, krzesząc i zestawiając materiał doświadczenia przez dziesiątki wieków nagromadzony.

Widzieliśmy tedy życie we wszystkim jego mechanizmie od najprostszego do najskomplikowańszych[508] i wiemy już, że wedle jednej wszędzie odgrywa się zasady, bez wyjątków, przeskoków, bez dowolności, którymi się łudzi oko ludzkie, nie dość jeszcze głęboko patrzące. Dowiedzieliśmy się także niewątpliwie, że nie celem istnienia jest życie, nie wynikiem jakiegoś rozwoju, niedającego się owszem bezeń pomyśleć, lecz jego początkiem, alfą i omegą, bytu całokształtem i jedynym walorem. Niegdyś, przed długimi wiekami, szukano uporczywie i mozolnie, jak by z nieograniczonego bytowania wyrozumieć powstanie organizmu — dzisiaj wiemy nie tylko, że jest w tym zasadnicza i pierwotna konieczność, lecz nadto, wedle jakiej zasady to się dzieje; tu i tam jedna włada niewzruszona matematyczna formuła.

Urwał na chwilę i obróciwszy się, wskazał ręką szereg znaków zapisanych na czarnej tablicy.

— Oto jest zagadka istnienia — podjął znów z gorzką ironią w głosie — rozwiązana, do banalnej nagości cyfr sprowadzona. Jesteśmy dziś czarodziejami naprawdę i moglibyśmy wedle niej stwarzać nowy świat, nowy byt, rzeczywistość nową i dowolną, gdybyśmy tylko... Ach, tak! Taka drobnostka stoi na przeszkodzie ziszczeniu tej mocy odnalezionego zaklęcia. Widzicie, panowie, że zrównanie, które tu napisałem, ma w pewnej zasadniczej części swojej postać matematycznej całki i jak każda całka wymaga uzupełnienia przez pewną ilość stałą, owo C matematyków, tworzywo fizyków, odwieczna *vis vitalis* biologów, słowem: to coś, o którym się nie wie w tym wypadku, czym jest właściwie, i wiedzieć się już nie będzie, bo to z formuły zgoła nie wynika.

Pochylił głowę i ręce rozłożył ruchem bezradnym.

Jacek ze skronią na dłoni opartą słuchał, milcząc jak inni. Słowa ostateczne uczonego towarzysza nie były dlań niespodzianką: wiedział już w chwili, gdy zoczył owo równanie magiczne na tablicy wypisane, że mądrość ludzka, w najwewnętrzniejsze[509] tajnie istnienia się wdzierając, uderzyła tu znowu o mur niewidoczny, a wyczuwalny, stanęła znowu twarzą w twarz wobec jednej i tej samej, wiecznie się powtarzającej zagadki, wobec tego Nic, które zarazem jest wszystkim.

„A Słowo stało się ciałem" — zadźwięczało mu w uszach przypomnieniem. Mimo woli wzniósł oczy na wyniosłą postać lorda Tedwena, z prezydialnego miejsca wszystkim widną.

Starzec siedział prosto, z rękoma na pulpicie złożonymi, z oczyma patrzącymi nieruchomo przed siebie spod zaczerwienionych powiek. Zaledwie lekkie drgnięcie w łuk zaciśniętych ust świadczyło o życiu zastygłej, surowej twarzy. Jacek sądził, że sir Robert odezwie się teraz, gdy mówca uczony zakończył swój wykład — i czekał niecierpliwie jego słów, ciekaw, jak będzie rozwijał wobec grona najmędrszych na Ziemi słuchaczy konieczność dogmatu, jako uzupełnienie wiedzy, niczym bez niego będącej.

Lord Tedwen jednak milczał i milczeli wszyscy dookoła. Jacek po kolei przebiegał oczyma zgromadzonych, patrzył na starców, chylących czoła myślą poorane, na mężów w sile wieku, z dziwnym, zaświatowym smutkiem w wytężonych oczach, na ludzi, co z lat młodzieńczych wyszli dopiero, a od brzemienia wiedzy barki już mieli przygięte: szukał ust, które by się głosem rozwarły, żądał słowa, objawienia...

Głuche milczenie mówiło aż nadto wyraźnie: „nie wiemy". W tej chwili, kiedy zagadkę fizykalną bytu, rozwoju i życia ujęto w matematyczny, jasny wzór, kiedy dotarto nareszcie po długich i mozolnych kołataniach do ostatecznego zrozumienia mechanizmu świata, w tej wyrocznej chwili to straszne słowo: „nie wiemy!" patrzyło z zadumanych oczu mędrców, kładło się pieczęcią na ich ustach zaciśniętych, mgłą powlekało wysokie, bruzdami pokryte czoła.

---

[508] *najskomplikowańszy* — dziś popr. forma: najbardziej skomplikowany.
[509] *najwewnętrzniejszy* — dziś popr. forma: najbardziej wewnętrzny.

Natarczywym, o słowo krzyczącym wzrokiem wparł się Jacek w chłodne oczy lorda Tedwena.

„Mów! — błagał go tym spojrzeniem, nalegał, rozkazywał — mów, mów, wybaw nas od tej nicości, w którą się grążymy z myśli naszej jasnymi słońcami, wybaw nas, jeśliś sam jest wybawiony...!"

Starzec zrozumiał.

Poruszył głową z wolna, patrząc w krąg, czyli nikt głosu nie żąda[510], a kiedy pod jego wzrokiem wszyscy czoła jeno schylali, wzruszając bezradnie ramionami, on podniósł białą dłoń...

Powstał z siedzenia wysoki, poważny, dostojny, dźwigający niemal całe stulecie na barkach rozłożystych. Przez chwilę stał tak w milczeniu, jak gdyby się wahał.

— Tu wiedza się kończy — rzekł wreszcie — zdobyliśmy wszystko, co można było zdobyć, usłyszeliśmy wszystko, co znieść było można ludzkim rozumem. Powiedziałem wam ja, com w latach dobył samotnych, pracy mojej myślowej snadź już ostatnich; mówili po mnie inni, mędrcy doskonali, światło ziemi, przyjaciele moi albo uczniowie, gdyż mistrza między wami już nie mam, będąc najstarszym. Dotarliśmy do jądra wszechrzeczy i może powinien bym powstać w tej chwili i rozwiązać to zjednoczenie badaczy, bo dalej już iść nie można, znieść nasz zakon wiedzących, gdyż wiedzieć już więcej nic nie będziemy. Krążymy teraz błędnym ruchem, jak ryby dokoła szklanej kuli nie do przebicia. Słońce daleko za nami, chłód nas ogarnia. Mieliśmy odwagę dotrzeć aż dotąd, miejmy też odwagę przyznać: tutaj wiedza się kończy.

— Nieprawda!

Jacek drgnął na ten głos. Zapomniał prawie, że za zezwoleniem lorda wziął był ze sobą jako gościa Nyanatilokę na doroczne zgromadzenie mędrców. Ze zdumieniem też spojrzał na niego i z lękiem prawie, słysząc, jak niespodziewanie twardym słowem odpowiada starcowi.

Sir Robert zamilkł na jeden moment; jak szybka fala po morzu, zmarszczka przebiegła mu po czole, ale w tejże chwili uśmiechnął się jeno z wyniosłą pobłażliwością...

— Gość nasz — rzekł — nie rozumiejąc dobrze słów moich, przeczy tej oczywistej prawdzie i niestety, już ostatecznej, że doszliśmy do kresu ludzkiej wiedzy i dalej kroku zrobić nie zdołamy żadnego. Gość nasz, mądrością Wschodu czcigodną karmiony, nie dość ściśle snadź[511] określa sobie różnicę między wiedzą a wiarą, czyli uznawaniem za pewne rzeczy rozumem nieudowodnionych... Zarówno wiedzy, jak wiary przedmiotem jest prawda, ale prawdy te są z pochodzenia i z rodzaju swego różne i mieszać ich nie można. Jesteśmy u kresu wiedzy, powtarzam: tam dalej już tylko dla wiary jest miejsce.

Zgromadzeni kiwać poczęli poważnie głowami, słuszność przyznając słowom swego arcymistrza. Jacek, pojrzawszy w krąg, zobaczył twarze zadumane z półuśmiechem rezygnacji na ustach, i inne, bolesną ironią mimo woli skrzywione, i jeszcze inne, smutne już tylko... Znał tych wszystkich ludzi, na świecie najmędrszych, i wiedział, co który myśli. Mógł wskazać palcem tych, co się trzymali wiary całym wysiłkiem: nielicznych katolików Kościołowi posłusznych i pełniących wszelkie jego przykazania (jako że katolicyzm był religią jedyną, która się ostała wśród powodzi wieków) i tych znowu, co tworzyli sobie sami i tylko dla siebie systematy religijne, mniej lub więcej mgliste i mistyczne, wypełniając sobie nimi tę przestrzeń pustą a nieprzebytą, o którą wiedza, uderzając, rozbijała się, jak morze o brzeg arktycznego lądu. Większość wśród nich stanowili panteiści o najwyższym ducha polocie, co od matematycznych wzorów swej wiedzy odrywali oczy, aby objąć miłosnym spojrzeniem świat, w którym — wedle ich wierzenia — objawiała się najświętsza *amor Dei intellectualis*; nie brakło jednak także chłodnych racjonalistycznych deistów, teozofów różnego pokroju i mistyków wszelkich odcieni, aż do ludzi, którzy mimo wielkiej nauki i wiedzy przerażającej ogromem zabobonów się różnych trzymali, śmiesznych nieraz i dziecinnych.

„*Horror vacui*[512]" — pomyślał Jacek, patrząc na tych ludzi, co za wszelką cenę szukali pozytywnej treści metafizycznej życia i świata, chociażby nawet trudno ją było pogodzić z tym, co im mówiła myśl ich badawcza a strudzona.

---

[510]*czyli (...) nie żąda* — konstrukcja z partykułą -li (wzmacniającą); dziś: czy nie żąda.

[511]*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

[512]*horror vacui* (łac.) — lęk przed pustką.

Przez jedną chwilę zazdrość go ogarnęła, gdy porównał w myśli ich wiarę, nawet najkruchszą, z tym stanem, w jakim on się znajdował i jemu podobni — ci, ze smutkiem największym słuchający słów Roberta Tedwena. Uczucie nicości, pustki najstraszniejszej, przerażającej i to przekonanie najgłębsze, że jeśli się ma żyć, to tę pustkę trzeba czymś wypełnić — a równocześnie jakaś niemoc, niedołęstwo samozachowawczego zmysłu, brak jakiś czy zbytek, niepozwalający uwierzyć — w cokolwiek, byle uwierzyć.

Z tej to gromady boleściwej wyszło i tych kilku sceptyków zapamiętałych, siedzących przed nim z śmiertelnie rozpaczliwymi oczyma a pogardliwym na bladych ustach uśmiechem. Podobni do szaleńców ranę własną coraz więcej rozdzierających, zawzięcie sondowali bystrymi rozumami istnienie i osłupiałymi twarzami patrzyli w nicość, przyznać się już nawet nie chcąc, że i oni radzi by w głębi duszy ujrzeć cokolwiek innego — choćby marną ułudę, którą by zaraz w następnej godzinie rozbili, tak są bowiem widokiem wiecznym kryształowej pustki na śmierć zmęczeni i przerażeni na śmierć.

Jacek zakrył twarz obiema dłońmi i w zadumie pogrążony nie uważał przez chwilę, co się wokoło niego dzieje. Dopiero gdy go silniejszy głos Nyanatiloki znowu uderzył, podniósł głowę i z myśli swych zaledwie ocknięty słuchać jął.

Buddysta stał na wzniesieniu, przez lorda Tedwena snadź na mównicę wezwany, włos spadający na czoło ruchem głowy odrzucił w tył i wzniósł ramię śniade.

— Bo nie wiarę ja wam niosę — mówił kończąc zdanie zaczęte — nie jeszcze jedno nowe wierzenie do tysiąca już istniejących, które by wzmogło tylko zamieszanie, lecz wiedzę. Z całą świadomością i odwagą powtarzam wobec was, o najmędrsi: jest wiedza jeszcze poza tym kresem, który wyście oto wskazali, wiedza prawdziwa, radosna, dająca moc...

Poruszano głowami w niedowierzaniu, słuchając słów raczej z pobłażliwą łaskawością niźli z istotnym zaciekawieniem. Jacek zrozumiał, że Nyanatiloce udzielono głosu i mówić pozwolono wyłącznie dlatego, że jest on jego przyjacielem. Myśl ta ubodła go nieznośnie, jakby zniewaga wyrządzona dziwnemu pustelnikowi. Nagła odraza go zdjęła do tego zgromadzenia mędrców, którzy słuchaliby przybysza niewątpliwie, gdyby wystąpił był przed nimi jako cudotwórca i nowe objawienie im obiecywał, lecz nie wierzą ani przypuścić nawet nie chcą, w niezadowalającą ich mądrość własną mimo wszystko zaufani, by ktoś w dziedzinie wiedzy mógł innymi niż oni pójść drogami i dalej zajść niż oni.

Powstał odruchowo i chciał przyjaciela pociągnąć za sobą do domu, ale Nyanatiloka, ruch jego spostrzegłszy, dał mu ręką znak, aby się jeszcze zatrzymał. Po czym nie zważając na uśmiechy i oznaki zniecierpliwienia u słuchaczy, obrócił się ku czarnej tablicy, na której mówca poprzedni swój matematyczny wzór życia był napisał, i wskazując dłonią na człon jego nieznany, a stały, rzekł swobodnie, jakby lekkiej rzeczy jakiejś dotykał, a nie najgłębszych tajemnic istnienia:

— Czy nie sądzicie, że stąd należałoby zacząć, zamiast stawać tutaj bezradnie? Chcę wam mówić właśnie o tej stałej, a niepojętej ilości w równaniu bytu, która jest zarazem jego tworzywem i regulatorem. Wy wszyscy wiecie, że to jest duch... Źle mówię! Wy raczej wszyscy wierzycie w to mniej lub więcej silnie: i to właśnie nie wystarcza, że tylko wierzycie. Patrzę na was, o najmędrsi, i widzę smutek na waszych czołach, w oczach rozterkę, tęsknotę za rzeczą niewyrażalną w bolesnym rozchyleniu waszych ust. Nie zadowala was wasza wiedza, choć wielka, i wiara nie uspokaja najmocniejsza, gdyż nazbyt mądrzy jesteście, aby w rozdrobnieniu bytu kres zobaczyć ostateczny, a zaś zbyt przyzwyczajeni krajać ostrzem myśli wszystko dane, aby się wierze poddać bez zastrzeżeń i nie mieć żadnej chwili wątpliwości. Na rozdrożu stoicie; darujcie, że wam to mówię, lecz i ja szedłem niegdyś tą waszą drogą i sądziłem jak wy, że jest jedyna.

Urwał i zwrócił się twarzą ku sędziwemu przewodniczącemu zgromadzenia.

— Czy mnie nie poznajesz, mistrzu? — rzekł. — Kiedyś począł nauczać, byłem przed czterdziestu laty jednym z pierwszych uczni[513] twoich, nim odszedłem od badań, aby szukać harmonii naprzód w sztuce, w życiu, wreszcie w wiedzy najgłębszej, niedociekającej, lecz twórczej, daleko stąd na Wschodzie.

Lord Tedwen oczy dłonią osłonił, zdumienie najwyższe na twarzy mu się odbiło.

[513] *uczni* — dziś popr. forma: uczniów.

— To ty? To ty? — wyszeptał.

— Tak. Ja to jestem, nauczycielu, ja, Serato, jedyny, któregoś na próżno przy sobie zatrzymywał, choć wielką łaską to było, jeśliś kogo za ucznia raczył przyjąć. Stoję przed tobą po latach czterdziestu i widzisz, że nawet starszy nie jestem niż wówczas, gdym od ciebie odchodził, skrzypce w ręce ująwszy, i tobie dziękował, żeś chciał dla mnie dobrze, a wskazał drogę mimowolnie, którą iść... nie należy, przynajmniej dopóki się nie ma wiedzy innej, z głębi ducha dobytej i pozwalającej z uśmiechem patrzyć na wszelką nicość doczesnego istnienia. To, ku czemu wy dążycie na próżno w rozpacznej[514] tęsknocie, początkiem być winno. Patrzcie na mnie! Wy odkryliście formułę życia niewątpliwą, ujęliście ją w znaki algebraiczne, na czarnej tablicy wypisali: i stoicie przed nią bezradni! Ja, nie znając jej, życie swe nawet materialne trzymam w ręku i nie pozwalam mu zamierać, i nie używam po temu innego środka, jak tylko swojej wiedzy i woli!

Niepokój ogarnął słuchaczy. Obojętni aż do tej chwili, powstawali teraz z miejsc, podając sobie nawzajem znane wszystkim dawne imię dziwnego człowieka, który w ten sposób do nich przemawiał. Niektórzy cisnęli się bliżej, inni z niedowierzaniem kręcili głowami, żywo rozprawiając. Jeden sir Robert po chwili pierwszego zdumienia spokój odzyskał zupełny. Patrzył w milczeniu na Nyanatilokę, a gdy ten przestał mówić, ozwał się powoli i dobitnie:

— Jeśliś ty jest Serato naprawdę, dokonałeś rzeczywiście cudu dziwnego, jednakże działać w duchu, a wiedzieć, to nie jest jedno. Zwierzę każde płodzi życie, nie mając jasnej świadomości własnego istnienia. Wszelka wiedza jest zawsze i tylko badaniem.

— A czemu nie ma być tworzeniem? — odparł Nyanatiloka. — Darujcie, mędrcy, że śmiem wam powiedzieć: zapominacie w tej chwili, iż badanie i dla was jest tylko środkiem wiodącym do pożądanego celu, jakim jest najzupełniejsze uświadomienie bytu. To jest wiedza właśnie, to jest prawda niczym innym, jak samym bytem świadomym będąca. A jeśli wszechświat cały, z życiem swym i wszystkimi siłami, samookreślającym się duchem został stworzony, czemuż i prawd nie tworzyć tą drogą, tych najistotniejszych? Czemuż nie rozświecać tajemnicy wprost w duchu, gdy ona tam cała i bez reszty się mieści? Wszakże i wy znacie wyraz „intuicja", i wiecie, że jest ona zawsze na początku i każdemu badaniu drogę musi wytykać. Dlaczego miast ją zabijać po pierwszym drgnieniu, wiodąc dalej rachuby, nie dać się jej wprzód w bujny kwiat rozwinąć? Jeśli wola usunie zewnętrzne przeszkody i doprowadzi ducha do odpowiedniej doskonałości, to znaczy wolności, da nam intuicja wiedzę na szczegóły nierozproszoną a najprawdziwszą, bo w ten sam sposób powstałą, jak byt, i bezpośrednim świadomym jego równoznacznikiem będąca.

Wzniósł obie ręce i wyciągnął je z góry ponad głowami mędrców. Jacek nie widział go jeszcze nigdy takim, choć wielokroć słuchał jego nauki. Oczy mu płonęły słonecznie, jasność biła od całej przedziwnie młodzieńczej jego postaci.

— Bracia — wołał w uniesieniu — przyjmijcie mnie jako posła od duchów waszych własnych, który wam dobrą przynoszę nowinę. Przyszedłem wam mówić o tym wszystkim, co w świadomości waszej śpi, nie umiejąc się inaczej dostać na zewnątrz, jak w kruchym wierzeniu: o wieczystym bóstwa królowaniu, o dusz nieśmiertelności, o wiedzy nieprzemijającej, o tym, co wartość nadaje życiu jedyną!

Śmiech nagły zabrzmiał około drzwi. Jacek zwrócił głowę pośpiesznie, patrząc, kto by się wedrzeć ośmielił do przybytku mędrców i zakłócać jego powagę. Uniósłszy się nieco w siedzeniu, dojrzał ponad ramiona towarzyszy łysą czaszkę Grabca. Ktoś go tam przy drzwiach, zdobnych odwiecznym egipskim znakiem ziemi skrzydlatej, zatrzymywał czy pytał, jakim prawem tu wchodzi, lecz on, nie odpowiadając, usunął jeno[515] ruchem dłoni odźwiernego i szedł prosto ku krzesłu prezydenta.

Brwi lorda Tedwena zbiegły się razem; z surową wyniosłością spojrzał na przybysza.

— Sir Robercie! — zakrzyknął Grabiec, śmiało wzrok jego wytrzymując — sir Robercie, niegdyś władco i panie, zaprzestań słuchać śmiesznych bajań wschodniego omamiciela, bo doprawdy, że nie czas dzisiaj wyrzekać się wam czegokolwiek ani szukać za światem szczęśliwości, gdy ona jest blisko...

---

[514]*rozpaczny* — dziś popr.: rozpaczliwy.
[515]*jeno* (daw.) — tylko.

— Ktoś jest? — zapytał lord Tedwen krótko.

— Ja jestem moc! Nie boże królestwo na mgłach wam przynoszę, nie o nieśmiertelności dusz ja wam chcę prawić, ale wam daję królestwo wasze własne: nieśmiertelność rasy wielkich utwierdzam! Z drogi niechaj mi zejdą ci, co życiu chcą przeczyć.

Pojrzał wyzywająco na Nyanatilokę, nie mając go za nic innego, jak za ascetycznego pustelnika ze Wschodu, jakich ostatecznie w różnych czasach dość się po Europie włóczyło... Zdawało się, że czeka przede wszystkim na jakieś słowo z jego strony, aby go przed oczyma mędrców pognębić, ale Nyanatiloka nie objawiał wcale ochoty wdawania się w rozprawę. Uśmiechnął się tylko tajemniczo i ustąpił z mównicy, zajmując dawne miejsce swe obok Jacka.

Więc Grabiec, na szemrania między zgromadzonymi wcale nie zważając, wstąpił sam żywym i śmiałym krokiem na podniesienie i zwrócił się twarzą wprost do mędrców siedzących w szerokich stallach.

— Nie proszę was nawet — zaczął — o głos, nie przepraszam, że samowolnie się tutaj wdarłem. Niektórzy z zebranych znają mnie dobrze i wiedzą, że to, czego pragnę, aż nazbyt mnie usprawiedliwia... Na zgromadzenie mędrców przyszedłem, bo nie dość mi mówić z tym lub owym, nie dość tego lub owego pozyskać: chcę się zwrócić do was wszystkich, wszystkich mieć za sobą!

— Mów pan do rzeczy i krótko — ozwał się przewodniczący, któremu ktoś szepnął tymczasem imię Grabca — nie mamy czasu do zbytku.

Grabiec skłonił lekko głowę ku starcowi i jął wyłuszczać rzeczowo plan, z którym przyszedł do stowarzyszenia braci wiedzących. Głos jego miarowy, siłą woli powstrzymywany, płynął równo, ale znać było, że kipi pod nim niepokój najwyższy, niepokój człowieka drżącego o los swojego dzieła, któremu życie poświęcił. W chwilach kiedy przestawał mówić, aby powietrza w piersi zaczerpnąć, rozglądał się po sali ogromnej, śledząc okiem, jakie wrażenie słowa jego sprawiają, lecz ze spokojnych twarzy słuchaczy nie mógł wyczytać niczego.

— Powiedziałem wam wszystko — zakończył wreszcie. — Wiecie już teraz, czego chcę: dajcież mi odpowiedź. Od was zależy zostać panami świata albo zginąć w zawierusze, która lada dzień się rozpęta, a może być jeno wichrem lecącym przed wschodzącym rydwanem waszej mocy.

Cisza zaległa po tych słowach. Wszystkie oczy zwróciły się powoli na twarz lorda Tedwena, który siedział milczący, z przymkniętymi powiekami i z lekkim uśmiechem na starczych pomarszczonych licach. Usta mu jeno czasem drgały nerwowo i dłoń na pulpicie wsparta kurczyła się mimowiednie... Zdało się, że w myśli przeżywa jeszcze raz swoje dzieje, że przypomina sobie cierniową drogę od szczytów władzy, dobrowolnie rzuconej, aż do stóp krzyża, skrytego zazdrośnie gdzieś w sercu — tak głęboko, aby go ostrze jego własnej myśli nawet naruszyć nie mogło...

Tymczasem niecierpliwsi wśród zebranych, a zwłaszcza ci, co dawniej już porozumieli się z Grabcem i myśl jego za dobrą uznali, poczęli naprzód z rzadka, potem coraz śmielej na prezydenta nalegać, aby dał odpowiedź...

Lord Tedwen powstał. Blady był teraz; przelotny rumieniec znikł z lic jego pergaminowych — spod brwi namaszczonych szeroko rozwartymi, stalowymi oczyma pojrzał po zgromadzonych.

— Czego chcecie?

— Czynu! — zakrzyknął Grabiec.

— Czynu! Czynu! — zakrzyknięto chórem. — Jeden czyn nas może jeszcze zbawić! Wyrwać z zaklętego koła naszej wiedzy! Uwolnić od ciężaru naszej mądrości!

— Czyn jeden jest tylko: w głębi ducha!

Nie słuchano go już nawet. Otoczono wieńcem Grabca, dopytywano o szczegóły przygotowanej walki, rozwijano różne pomysły... Kilku tylko najstarszych i kilku najsmutniejszych sceptyków trzymało się na uboczu od tego zamieszania i rozgwaru.

Jacek mimo woli pojrzał na Nyanatilokę. Siedział on spokojnie, ze złożonymi na piersiach rękoma, patrząc wytężonym okiem przed siebie...

— Mów! Odezwij się!

Nyanatiloka wzruszył ramionami.

— Nie pora. Z miłości jeno ku tobie dziś się tu odzywałem; teraz już nawet głosu mojego by nie usłyszano...

Rzeczywiście hałas wzrastał. Dały się już słyszeć głosy nieprzyjazne, wprost przeciw Tedwenowi zwrócone; domagano się odeń natarczywie, aby zdanie swoje wypowiedział.

Sir Robert stał jakiś czas nieporuszony. Dopiero gdy gwar zmieszanych głosów przycichł na chwilę, on powiódł spokojnym okiem wokoło, jak gdyby przeliczając tych, co nie brali udziału w powszechnym zamieszaniu. Niewielu ich znalazł i uśmiechnął się gorzko.

— Czego chcecie ode mnie? — powtórzył.

Grabiec zwrócił się doń.

— Lordzie — rzekł — słyszałeś, com mówił, i widzisz, że wszyscy niemal odpowiadają chętnie memu wezwaniu...

— Nie szedłem nigdy za większością...

— Za sobą samym idź, lordzie! Byłeś niegdyś władcą, od wieków najpotężniejszym: zechciej nim stać się jeszcze i teraz...

Lord Tedwen wyprostował się dumnie.

— Gdybym był chciał, nie byłbym schodził stamtąd, gdzie byłem. Rzuciłem męty i wiry rzeczypospolitej, gdyż nazbyt była pospolita; nie czas mi teraz wpływać na nie na powrót!

— Właśnie o to chodzi — rzucił Grabiec popędliwie — aby od pospolitości zbawić świat...

Starzec zaśmiał się.

— Złudzenia! Jam to właśnie chciał uczynić i zbawić przynajmniej najlepszych, zawiązując przed półwiekiem to bractwo; w arce z drzewa cedrowego zbawić chciałem myślących od powszechnego potopu, a widzę, że sami statek rąbiecie...

— Wzniesiemy go na szczyt góry Ararat, skąd światu będzie rozkazywać!

— Pójdziecie na dno!

— To słowo twoje ostatnie, lordzie?

— Tak.

Grabiec zwrócił się do rozproszonych po sali mędrców.

— Kto z was jest ze mną?

Ogromna większość poczęła się kupić około niego; przy lordzie Tedwenie pozostało kilku zaledwie...

Jacek chciał wystąpić, lecz poczuł, że chwyta go i na miejscu z dala od obu obozów zatrzymuje silna ręka Nyanatiloki.

— Słuchaj, patrz i zrozum!

Wyzywającą, dumną twarzą pojrzał Grabiec na starca.

— Widzisz?

— Widzę — odparł lord Tedwen i wziąwszy oburącz księgę złotą, w której zapisane były imiona wszystkich członków braci wiedzących, rozdarł ją przed oczyma zgromadzonych.

IX

„Jeżeli nie pokonałem tamtego, to jednak tego zgniotę z pewnością! — myślał Roda, skradając się jak kot ku zamkniętym drzwiom wiodącym z gabinetu Jacka do jego pracowni".

Trwoga go przejmowała w ciemności za każdym szelestem urojonym, choć wiedział, że na razie przynajmniej jest zupełnie bezpieczny. Pierwsza część zuchwałego planu udała mu się wyśmienicie. W chwili kiedy Jacek z nieznośnym gościem swym o czarnych i przerażających oczach wybierał się na zjazd mędrców doroczny, Roda, korzystając z jego nieuwagi i z nikłej swej postawy, zdołał się ukryć pod fotelem i tak w gabinecie pozostać. Słyszał zgrzyt zasuwanych pociśnięciem guzika metalowych okiennic i w nocy, która po tym nastąpiła, trzask drzwi zamykanych.

Był sam. Nie wychodził jednak z kryjówki przez kilka godzin, obawiając się, że Jacek, na odjezdnym przypadkowo nieobecność jego zauważywszy, może jeszcze powrócić i tutaj go szukać. Siedział skulony w najniewygodniejszy sposób, dusząc się prawie, w cieniu zupełnym, bez możności liczenia upływającego czasu.

Wreszcie, kiedy mu się zdawało, że Jacek powinien już być na swym samolocie za dziesiątą granicą, gdyby w Europie jeszcze granice istniały, wyszedł powoli i ostrożnie i członki rozprostował zesztywniałe. Jakiś kawałek papieru, ręką wyciągniętą strącony, spadł ze stołu na podłogę. Roda zwinął się momentalnie w kłębek jak zwierz czujący niebezpieczeństwo i długa godzina minęła, zanim zdał sobie sprawę, że przecież nic mu zagrażać nie może. Drzwi oddzielające gabinet od reszty mieszkania głosu nie przepuszczały, a otworzyć ich nie mógł nikt, dopóki Jacek nie wróci. Miał dwa lub trzy dni swobodnego czasu przed sobą.

„To się tedy udało — myślał — ale to dopiero trzecia część zadania i najłatwiejsza. Należało teraz dostać się do pracowni, zabrać straszliwy aparat, a potem czekać cierpliwie powrotu Jacka i wymknąć się z łupem niepostrzeżenie, kiedy drzwi otworzy".

Wiedział, gdzie Jacek klucze od przejścia chował, i podpatrzył tajemny znak, za pomocą którego jedynie drzwi można było otworzyć. Zaczął szukać rękoma w ciemności około siebie. Długie siedzenie pod fotelem, na środku pokoju stojącym, miało ten skutek, że wyszedłszy stracił najzupełniej orientację. Poruszał się z wolna i ostrożnie. Dobrze znane meble, które przypadkiem spotykał, wydały mu się dziwne i o kształtach niespodziewanych, tak że zamiast połapać się wedle nich, w którym miejscu się znajduje i w jakim kierunku ma szukać drzwi upragnionych, gubił się jeno[516] do reszty, nie mogąc już zgoła określić swego położenia. Miał wrażenie, że przeniesiono go w ciemności do jakiegoś obcego i tajemniczego gmachu...

Wybawiło go biurko, o które naraz uderzył głową. Obszedł je dokoła i znalazł krzesło, na którym zwykle Jacek siadywał. W jednej chwili rozwikłało się wszystko w jego świadomości. Mógł teraz nacisnąć guzik na biurku się znajdujący i światło sobie zapalić, ale nie zrobił tego przez zbytek ostrożności czy też nierozumne przy całym zuchwalstwie tchórzostwo, boć wiedział dobrze, że przy zamkniętych drzwiach i okiennicach żaden blask nie dostałby się na zewnątrz.

Zresztą nie odczuwał już potrzeby światła, odkąd zdobył pewny punkt orientacyjny. Tyle razy myślał o tym, jak się tutaj sam po ciemku znajdzie, i wbijał sobie w pamięć wszystkie szczegóły urządzenia, że mógł się teraz śmiało poruszać.

W parę chwil miał już klucze, z tajemnej a z dawna wypatrzonej skrytki dobyte, i zaczął pracować około drzwi do właściwej pracowni uczonego wiodących. I to poszło nadspodziewanie łatwo. Zamek odskoczył bez szelestu i Roda miał przed sobą wąską szyję korytarza, na którego końcu przez szyby w długich oszklonych drzwiach majaczył słaby, siny obrzask wieczyście płonącego światła elektromagnetycznego.

Ta nieoczekiwana jasność ucieszyła Rodę nad wszelki wyraz. Obawiał się, że i w pracowni przyjdzie mu ruszać się po ciemku, co mogłoby cały zamysł jego zniweczyć, gdyż nie znał jej tak dobrze, jak gabinetu, w którym często u Jacka przesiadywał. Śmiało tedy pomknął naprzód. Szklane drzwi były znowu zamknięte, i to sprawiło mu trudność nieprzewidzianą, bo klucza od nich nie miał.

Mógł wprawdzie łatwo wygnieść szybę i tak powstałym otworem dostać się do wnętrza, ale nie chciał tego zrobić, aby się nie narażać na dodatkowe niebezpieczeństwo przez pozostawienie niepotrzebnego śladu po sobie. Jeśli plan jego miał się udać w zupełności, nie powinien był nikt poznać, że on tu w ogóle przebywał.

Powrócił do gabinetu i jął po omacku szukać klucza, drżąc na samą myśl, że Jacek mógł go zabrać ze sobą i zniweczyć w ten prosty sposób jego plan tak świetnie rozpoczęty. Na próżno jednak myszkował po wszystkich znanych sobie skrytkach. Klucza nie było, albo przynajmniej nie było go w miejscu dlań dostępnym.

Zmęczony, a przy tym już zgłodniały, powlókł się znowu ku drzwiom, straciwszy prawie nadzieję, aby mu się udało je otworzyć. Mechanicznie, myśląc o czym innym, oglądał zamek przy słabym, zza szyb bijącym obrzasku, który jednak wystarczał w zupełności jego oczom bystrym, a nadto do ciemności już nawykłym. Przez głowę przebiegały mu straszne przypuszczenia, że na przykład w tej chwili może Jacek nadspodziewanie wcześnie powrócić i otworzywszy drzwi, zastać go w tym podejrzanym miejscu. Niepokoiło go to tym więcej, że nie wiedział zgoła, ile czasu upłynęło od chwili, gdy go tu zamknięto. Miał wprawdzie na taki wypadek przygotowaną wymówkę, że przypadkowo dostał się

[516] *jeno* (daw.) — tylko.

w pułapkę, zdrzemnąwszy gdzieś w kącie w fotelu, i zagrożony śmiercią głodową (mógł bowiem nie wiedzieć, kiedy Jacek wróci), szuka teraz wszelkich możliwych przejść, aby się wydostać, ale sam nie bardzo ufał skuteczności tego środka obrony.

Naraz wydał lekki okrzyk radosny. Rzucił okiem przypadkowo w wąską szparę między zamkiem drzwi a wgłębieniem w uszaku i zauważył, że nie wypełnia jej zasuwa. Wziął nóż i ostrożnie wraził jego ostrze w szparę. Nóż przeszedł bez oporu — widocznie drzwi nie były wcale na klucz zamknięte.

Roda chwycił całą mocą za klamkę — drzwi nie poruszyły się. Był snadź[517] w nich jakiś zatrzask ukryty, który należało odnaleźć. Zabrał się do roboty. Zwinnymi palcami badał każdą śrubę, każdej ozdoby na drzwiach dotykał, wkładał ostrze noża we wszystkie szpary i otwory, jakie tylko mógł namacać — wszystko na próżno.

Już miał, zniechęcony, odstąpić od drzwi i dać za wygraną, gdy naraz zauważył, że są one zamknięte na najprostszą w świecie „zakrętkę", jakich się od tysiąca lat powszechnie używa. Wściekłość go ogarnęła na myśl, że tyle czasu strwonił niepotrzebnie. Przecież to było do przewidzenia, że na końcu korytarzyka, z drugiej strony już przed włamaniem zabezpieczonego, drzwi o cienkich, nieprzedstawiających poważnej zapory szybach, nie będą już opatrzone żadnym zamkiem osobliwym.

Zakrętka znajdowała się zbyt wysoko jak na mały wzrost Rody; przyniósł więc krzesło z gabinetu i wszedłszy na nie, drzwi otworzył.

Znalazł się teraz w upragnionej pracowni uczonego. W pierwszej chwili stanął oszołomiony pośród mnóstwa niepojętych dla siebie przyrządów i naczyń, nie wiedząc po prostu, jak szukać między nimi straszliwej maszyny, na której zabraniu mu zależało. Po pewnym czasie dopiero przypomniał sobie, że jak słyszał z rozmowy Jacka, ma to być niewielka czarna skrzynka składana, podobna z wyglądu do podręcznego aparatu fotograficznego. Począł się rozglądać, przemykając ostrożnie między przyrządami w obawie, aby nie potrącić którego i nie uszkodzić, albo, co gorsza, trafiwszy na piekielną maszynę, nie sprowadzić przypadkiem wybuchu.

Na środku pracowni stał duży bęben metalowy o kolorze przyciemniałej miedzi, od którego pęki drutów izolowanych biegły ku ścianie, gubiąc się w wybitym w niej otworze. Dwa cienkie przewody złociste, z osobliwego jakiegoś stopu sporządzone, łączyły ten bęben zewsząd zamknięty z niepokaźną skrzynką na trójnogu, która musiała być prawdopodobnie owym poszukiwanym aparatem.

Rodzie zimny pot wystąpił na skronie. Należało zabrać tę skrzynię, czego nie można było uskutecznić bez przecięcia drutów z bębnem ją łączących, a nie sprowadzić przy tym wybuchu, który by nie tylko jego zabił, ale i całe miasto niewątpliwie zniweczył. Na chwilę strach go ogarnął tak wielki, że gotów już był wyrzec się zdobyczy. Bezradny i drżący patrzył na aparat, jak mysz na kawałek przynęty w pułapce umieszczonej. Na szczęście przypomniał sobie, jak Jacek mówił przy jakiejś sposobności do Nyanatiloki, że od pewnego czasu nigdy maszyny naładowanej nie zostawia w pracowni.

Wyjął nóż i położył go na drutach, aby je przeciąć, lecz ręka tak mu drżała, że nie mógł się na to zdobyć. Gdy tak stał przerażony i niepewny, co począć, wzrok jego padł przypadkiem na drugą skrzynkę całkiem do pierwszej podobną, która leżała osobno na uboczu. Poskoczył ku niej żywo w nadziei, że jest to drugi aparat, który będzie mógł bez trudu unieść ze sobą. Skrzynka ta jednakowoż była pusta. Widocznie Jacek zamierzał drugą maszynę dopiero zbudować — może z zamiarem wzięcia jej z sobą na Księżyc — i kazał sporządzić zewnętrzną dla niej powłokę, czekającą jeszcze na wypełnienie.

Roda nie namyślał się dłużej. Powrócił do aparatu stojącego na środku pracowni i z zamkniętymi oczyma ciął nożem po drutach. Posłyszał lekki syk — krew mu z przestrachu zakrzepła w sercu, ale nie było to nic innego, jak tylko świst drutów, które przecięte skręciły się momentalnie jak węże.

Za kilka chwil Roda powracał do gabinetu, unosząc cenny łup ze sobą. Na miejscu zabranego aparatu ustawił próżną skrzynkę i przecięte przewodniki tak z nią połączył, że ktoś wchodzący, choćby sam Jacek nawet, nie od razu zamianę mógł spostrzec. Drzwi zamknął za sobą skrzętnie. W ciemności, nie rozstając się ani na chwilę ze zdobyczą, którą sobie chustą na piersi przywiązał, wyszukał skrytkę i włożył w nią klucze z powrotem, po

[517] *snadź* — widocznie, prawdopodobnie; przecież.

czym poszedł omackiem ku drzwiom wchodowym[518], gdzie postanowił był w ukryciu powrotu Jacka oczekiwać.

Wtulony w fałdy portiery przycisnął dużą głowę do marmurowego obramienia drzwi i przyczaił się jak kot, aby w chwili, gdy drzwi się otworzą, wyślizgnąć się jednym skokiem. Senność zaczynała go morzyć, spotęgowana jeszcze znużeniem i przebytymi wzruszeniami. Na darmo usiłował ją pokonać, powtarzając sobie w myśli, że zasnąć teraz to znaczy narazić się na niechybne niemal wykrycie, gdyby Jacek wszedł niespodziewanie. Majaki jakieś chodziły mu po głowie, dziwnie błoga ociężałość członki ogarniała. Świadomość jego rozpływała się z wolna; coś mu się zdało, że jest na Księżycu, że w długiej nocy czeka na przyjście spiskujących z nim przyjaciół i uczniów.

Naraz...

Nie wiedział, co to znaczy, że wskroś fałdów materii postrzega światło. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest właściwie i co się to stało, co jest majakiem, a co rzeczywistością, gdy dotknąwszy przypadkowo przywiązanego na piersi aparatu w jednym mgnieniu oka uprzytomnił sobie wszystko. Zasnął snadź[519], nie wiedząc o tym. Chciał się zerwać. Ale nagle trwoga potworna członki mu sparaliżowała. Jeśli w pokoju było jasno, to znaczyło, że jest tu ktoś, czyli że Jacek powrócił.

Jakoż usłyszał jego głos:

— Nie ma czasu do stracenia. Czysty szał tych ludzi ogarnął...

Potem znowu milczenie.

Nie mógł na razie wyrozumieć, czy Jacek mówi sam do siebie, czy też jest kto drugi w gabinecie, a nie śmiał uchylić fałdów portiery, aby się ruchem nie zdradzić. Słyszał krok szybki miękkim dywanem tłumiony i głuchy stuk krzesła przesuwanego; znać było, że Jacek krąży po pokoju wzburzony jakąś wiadomością czy wypadkiem.

Wreszcie ucichło, chodzący zatrzymał się widocznie. Słychać było kilka słów niewyraźnie rzuconych.

Roda zaparł oddech. Jedną ręką przycisnął silniej aparat do piersi przywiązany, drugą z niesłychaną ostrożnością rozszerzył nieco szparę między uszakiem drzwi a zwieszającą zasłoną, aby głos go lepiej dochodził.

— Cóż możesz zrobić? Mówię ci raz jeszcze, porzuć to wszystko i pójdź ze mną w daleki świat, a wkrótce zobaczysz, że nie było się czym przejmować ani o co kłopotać.

Zimny pot pokrył Rodę w jednej chwili od stóp do głów. Poznał głos Nyanatiloki, którego przenikliwości bał się instynktownie i więcej niźli Jacka i wszystkich ludzi na Ziemi. Zdało mu się, że straszne oczy pustelnika przebijają już tę wątłą zasłonę, za którą się ukrył — odruchowo chciał krzyknąć, uciec, ale na szczęście mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Słyszał uderzenia swego serca tak głośne, że bał się, aby już one same go nie zdradziły.

— Teraz iść z tobą nie mogę — odparł Jacek jakby z wahaniem. — Muszę być tu, na miejscu.

— Po co?

— Bądź co bądź to mój obowiązek. Z tego powodu nawet odwlekam wyprawę, choć tam może przyjaciel mój mnie potrzebuje.

Dalszej rozmowy nie mógł Roda dosłyszeć. Oddalono się snadź od jego kryjówki, i mówiono szeptem, jak robią częstokroć ludzkie, którzy zbyt ważne rzeczy mają sobie do powiedzenia, aby głos podnosić nawet wtedy, gdy są przekonani, że ich nikt nie podsłuchuje.

Roda chwytał tu i ówdzie jakiś wyraz oderwany, który przypadkiem głośniejszym echem zabrzmiał w ustach mówiącego. Było to najczęściej powtarzane imię Grabca — dwa czy trzy razy obiło mu się o uszy nazwisko Azy i Marka... Potem zdawało mu się jeszcze, że jest mowa o Księżycu, o nim i o Matarecie.

„Będziesz ty miał Księżyc!" — wyszeptał w duszy i mimo wewnętrzną trwogę uśmiechnął się złośliwie. Stuk odsuwanego krzesła dał mu znać, że Jacek znów powstał.

— Czy nie najlepiej byłoby — mówił teraz głośno do Nyanatiloki — skończyć z tym wszystkim od razu i radykalnie?

---

[518] *wchodowy* — dziś: wejściowy.

[519] *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie.

Zaśmiał się z cicha jakimś śmiechem okropnym, który ściął krew w żyłach Rody.

— Wszak wiesz — ciągnął, nie mogąc snadź dłużej tłumić głosu — że dość mi przejść tam, poza te drzwi żelazne, i dwie maleńkie wskazówki połączyć ze sobą...

— Tak. I co?

— Ha, ha! Najzabawniejsza rzecz, jaką sobie można wyobrazić! Nie na próżno raczył mi rząd powierzyć stanowisko dyrektora telegrafów całej Europy. Kazałem przewody powszechnej sieci drutów sprowadzić do mojej pracowni... Niby dla doświadczeń. Ha, ha, pyszne doświadczenie! Stwarzać jeszcze nie umiemy, ale potrafimy niszczyć. O tak, wystarczy puścić w przewód główny jedną iskrę z mego aparatu...

— I co? — powtórzył Nyanatiloka spokojnie.

— Piorun. Grom, jakiego pono od początku świata nie rzuciła wola świadomej istoty. Cała Europa, dosłownie cała Europa, siecią telegraficznych drutów oplątana, miasta, lądy, góry: to wszystko w jednej chwili zamieni się w potworną masę wybuchową, każdy atom, rozluźniając się na cząstki pierwotne, działa jak nabój dynamitowy, woda nawet i powietrze...

— I co?

— Czy nie rozumiesz, że taki wybuch straszliwy musiałby zepchnąć Ziemię z jej orbity, jeśliby jej wręcz na kawałki nie połupał? Księżyc, jak dziki koń w maneżu z uwięzi spuszczony, poszedłby w przestrzeń i kto wie, o jakie ciało niebieskie by gruchnął; zamąciłaby się równowaga słonecznego układu...

— I co?

— Śmierć.

Zmartwiałemu Rodzie zdało się, że słyszy śmiech Nyanatiloki.

— Nie ma śmierci. Przecież ty sam wiesz dobrze, iż nie ma śmierci dla tego, co istnieje prawdziwie. Rozwiałbyś tylko ułudę marną i nie wiadomo po co, kiedy ją tak wiele duchów z tak wielkim trudem ze siebie wysnuło, czyniąc ją swą rzeczywistością. Co ci do innych, gdy sam dla siebie możesz ten majak zniszczyć jednym woli poruszeniem. A do tego nawet jeszcze nie dojrzałeś. Czyn niepotrzebny, czyn dziecka, co gasi światło, aby nie widzieć straszącego je obrazu, a potem jeszcze więcej boi się w ciemności.

Rozmowa znowu przycichła. Po jakimś czasie dopiero doleciało Rodę wyraźniejsze westchnienie, a potem słowa Jacka głuche, choć głośniej znów wypowiedziane.

— Tutaj naprawdę nie mam nic do roboty, a jednak nie mogę iść za tobą, dopóki wiem, że będę tęsknił za tym, czego nigdy nie miałem i nigdy nie będę miał. Tyś przeszedł przez życie jak burza płomienna i nie potrzebowałeś niczego żałować w chwili, kiedyś się zamknął w sobie i swój świat zaczął stwarzać. Ja mam czasem wrażenie, że jestem dzieckiem niezaradnym, które by chciało, aby mu się złote bajki jeszcze wyśniły.

Dalsze słowa rozpłynęły się w szepcie, który snadź Nyanatiloka tylko mógł usłyszeć. Rodę cała ta mało dlań zrozumiała rozmowa niewiele obchodziła, a jeśli słuchał, to tylko dlatego, że spodziewał się pochwycić jakie słowo, które by mu mogło być wskazówką, kiedy się drzwi otworzą i on będzie się mógł uwolnić z pułapki. Bardzo mu było niewygodnie, a przy tym ciągle obawiał się, że może nie jest dość dobrze ukryty i fałdy portiery kształt jego zdradzają. Na domiar wszystkiego po słowach, które usłyszał, piekielną trwogą przejmowała go maszyna do piersi przywiązana. Niejasne tylko przeczucie mówiło mu, że aby działała, musi być do niej z zewnątrz jakaś siła doprowadzona i mieć znów ujście, jak to widział na ogromnym bębnie, w pracowni stojącym, ale to nie uspokajało zgoła jego lęku nerwowego. Były chwile, że czuł się bliskim omdlenia i drżał tak, że naprawdę Jacek mógł go zauważyć po ruchu przykrywającej go portiery, gdyby był patrzył w tę stronę...

Jacek jednak siedział przy biurku z twarzą w dłoniach ukrytą, nie myśląc nawet patrzeć ku drzwiom. Stał przed nim Nyanatiloka wyniosły, spokojny jak zawsze, i jeno na twarzy błąkał mu się zamiast zwykłego uśmiechu cień smutnej jakiejś zadumy.

— Światy się tutaj walą — mówił — a ty nie masz odwagi wstać i odejść ze mną i nie oglądać się nawet za tym, co jest konieczne i nieuchronne, i... obojętne, choć tak strasznie wygląda. Żal mi cię. Smutny jestem po raz pierwszy od dawnych, dawnych czasów, smutny tak, jakbym miał umrzeć. Tym smutniejszy, że wiem, gdzie leży źródło twego wahania. Ty oszukujesz sam siebie, wynajdujesz różne powody, aby się nie przyznać

do tego jednego: strach ci, że odszedłszy stąd, nie będziesz patrzył w oczy tej kobiety... Pomyśl, że odszedłszy stąd i odnalazłszy samego siebie, nie będziesz tego w ogóle pragnął.

Jacek wzniósł głowę.

— A czy nie myślisz, że mogę się lękać tego samego właśnie, że poszedłszy za tobą, nie będę pragnął już patrzeć w jej oczy? Jeśli to pragnienie, będące męką moją, a może i przekleństwem, jest zarazem jedynym mym szczęściem?

Zamyślił się w głuchym milczeniu, aż naraz powstał gwałtownie i począł trząść rękami około głowy, jakby chciał odegnać obsiadające go roje nieznośnych os.

— Muszę się ratować! — zakrzyknął — i mam ratunek, mam, mam, chcę mieć!

Trójświatowiedny pojrzał nań pytająco.

— Mój przyjaciel mnie potrzebuje — rzekł Jacek. — Zwlekałem i tak już zbyt długo. Pojadę na Księżyc. To mój obowiązek. Wóz w tych dniach powinien być gotów.

Potem z wymuszonym nieco uśmiechem spojrzał na Nyanatilokę.

— Jeśli powrócę żyw, bez względu na to, co tu zastanę, pójdę za tobą!

Nyanatiloka skinął z wolna głową, a potem, patrząc Jackowi w oczy, ruchem ręki wskazał na zamknięte drzwi pracowni. Jacek zawahał się na chwilę.

— Przed odjazdem zniszczę tę zabójczą maszynę — rzekł wreszcie. — Nie chcę, aby się w niczyje, może szalone, ręce dostała.

To powiedziawszy, z nerwowym pośpiechem zadzwonił na lokaja i zmieniając ton, zwrócił się jeszcze do milczącego wciąż towarzysza:

— Każę sobie przygotować samolot, aby obejrzeć wóz mój księżycowy. Pozostań tu tymczasem; za jeden lub dwa dni powrócę i pożegnam się z tobą.

W chwili kiedy lokaj wchodzący drzwi otwierał, w zapadającym mroku wieczornym Roda wyślizgnął się jak kot niepostrzeżenie z gabinetu i rzucił się w dół po schodach, nie patrząc już poza siebie.

X

Od czasu nagłego wyjazdu Jacka Aza przemyśliwała już tylko nad tym, jak by najprędzej zadanie swoje wypełnić: opanować zabójczą maszynę... Nie domyślała się naturalnie wcale, że zniknięcie Rody miało z tym jakikolwiek związek, i nie przypuszczała ani na chwilę, że mógł on już unieść cenną dla niej zdobycz.

Ze świata dochodziły głuche odgłosy zapowiedzianego przez Grabca „trzęsienia ziemi". Wybuchały niespodziewanie bezrobocia, krótkotrwałe co prawda, ale zorganizowane przedziwnie, kończące się tak samo, jak powstały: na pozór zgoła bez przyczyny.

„Grabiec ćwiczy swoje wojska — myślała Aza, czytając wieści — i mierzy swe siły".

Jakoż tak było rzeczywiście. Nie należało jej więc bezwarunkowo tracić czasu, jeżeli chciała we wszczynającym się ruchu rolę jakąś odegrać, a nie być po prostu zdeptaną przez tę wzburzoną falę ludzką, co jak morze z przepastnych głębokości biła spieniona i niecierpliwa o brzeg...

Jacka nie udało się jej pozyskać wbrew wszelkim przewidywaniom i przypuszczeniom. Zazwyczaj wrażliwy na każde jej słowo, każdy uśmiech i ruch, poddający się jak chłopię jej woli, nawet kaprysowi, stawał się niepojęcie twardym i niedostępnym, kiedy jeno wspomniała o sprawie najżywiej ją w tej chwili obchodzącej.

Trzeba więc było szukać innej drogi. Wzrok Azy mimowolnie zwracał się na Seratę. Wprawdzie, gdy na rozum rzecz brała, ten dziwny mędrzec i cudotwórca wydawał się jej jeszcze mniej przystępnym niż Jacek, bądź co bądź pod jej wpływem będący, ale była to już droga ostatnia, której nie można było pominąć...

Dziwne było uczucie Azy wobec niego. Chwilami odzywało się w niej zmysłowe jakieś pragnienie zdobycia tego człowieka, który niegdyś pierwszy, i mimowiednie obudził w niej kobietę — spotęgowane jeszcze przewrotną żądzą złamania jego świętości... Gotowa mu była oddać się, gdyby się tylko dało do tego doprowadzić, i wyobrażała sobie nie bez pewnej rozkoszy, że w chwili miłosnego oszołomienia może osłabnąć jego wola, którą młodość swą trzyma, i ona odepchnie go jako zgrzybiałego starca, jak łachman sterany.

— Zwycięstwo! — uśmiechały się drapieżne jej usta, tracąc zwykły wyraz dziecięcy — zwycięstwo większe niż to, które Grabiec może odnieść nad światem całym...

Kiedy o tym myślała, zapominała prawie, że to nieprawdopodobne opanowanie Nyanatiloki miało być jeno środkiem dla osiągnięcia celu, zdobycia jakiegoś marnego i w gruncie rzeczy nic ją nieobchodzącego przyrządu śmierciodajnego — i dyszała całą rozkoszną żądzą spróbowania swoich sił, walki, zwycięstwa... Grabiec, a nawet sam Jacek wydali się jej wobec tego świętego zdobyczą marną i niemal zachodu niewartą...

Do Nyanatiloki trudno jej jednak było dostąpić. Mędrzec rozmawiał z nią, gdy tylko tego chciała, lecz tak obojętnie, jakby ona już nie tylko kobietą, lecz nawet człowiekiem nie była, a jeno jakąś maszyną mówiącą. Wzrok jego ślizgał się po niej z roztargnieniem i znać było, że on się zmusza po prostu przez szacunek dla domu Jacka, w którym była gościem, aby ją zauważyć, słuchać i znosić cierpliwie. Kiedy mu raz nasunęła wspomnienie owego spotkania w cyrku przed laty dwudziestu, Nyanatiloka rzekł „pamiętam" tak spokojnie i nic nieznacząco, że ona aż drgnęła z przykrym uczuciem upokorzenia. Chciała go wybadać, czy bodaj nie będzie unikał w słowach tego wypadku, co by dla niej było dowodem, że jednak nie jest mu obojętną, ale on — nie podtrzymując zresztą ze swojej strony rozmowy — mówił z nią, gdy chciała, o tym z tą samą chłodną i uprzejmą obojętnością, z jaką odpowiadał na jej chytre pytania co do swego dawnego życia, stosunków z kobietami, miłości, miłostek...

To wszystko jednak, zamiast zrazić Azę, podniecało ją jeszcze więcej, tak że wkrótce nie mogła już myśleć o niczym innym, jak tylko o możliwości i sposobie pokonania tego mędrca nadludzkiego...

Jacek tymczasem nie wracał z oględzin wozu swojego. Oprócz obszernego pisma do Seraty przyszedł tylko od niego krótki list do Azy, w którym przepraszał, że ją samą w domu pozostawia, i usprawiedliwiał się kłopotami, jakie ma ze strajkującą co pewien czas fabryką, oraz koniecznością osobistego dozoru roboty.

Aza zamyśliła się, przeczytawszy tę kartę pobieżną. Jakże inaczej pisywał do niej ten Jacek jeszcze niedawno, nawet wtedy, gdy dotknięty czymś, spod przewagi jej chcąc się niby uwolnić, usiłował być chłodnym i obojętnym! Zrozumiała, że jest to wpływ Nyanatiloki, jeśli nie bezpośredni, to w każdym razie uboczny, i zawziętość tym większa ogarniała ją przeciw temu człowiekowi, który zjawił się tutaj chyba po to, aby wszystkie jej plany krzyżować.

„Gdyby nie on" — rozumowała — nie ten w cudaka indyjskiego zamieniony skrzypek, wszystko poszłoby łatwo. Jacek sam nie byłby miał siły oprzeć się jej urokowi. Byłaby zrobiła z nim, co by jeno zechciała — wcześniej czy później. Niewątpliwie wydałby jej był tajemnicę swego wynalazku, a nawet, kto wie, czyby się nie zgodził, miast innym korzyści płynące z niego oddawać, na spół z nią tylko potęgę tę wyzyskać i nad światem samowładnie zapanować? Byłaby ona wtedy królową naprawdę, nie potrzebując się oglądać na Grabca ani na nikogo, na nikogo na świecie...

Nyanatiloka to zepsuł.

„Zemszczę się — mówiła w myślach. — Ty sam, ty sam, stary czarowniku, musisz mi za to oddać jego moc; zdradzisz przyjaciela jak Judasz, gdy zechcę, i zmarniejesz, zdechniesz w mych oczach, jak tylu innych pyszałków..."

Były jednak chwile, kiedy sama nie bardzo wierzyła w powodzenie własnych zamysłów wobec przedziwnego człowieka. Przychodziło jej wtedy na myśl, czy nie lepiej byłoby dać tutaj pokój temu wszystkiemu i przenieść się na inny świat...

Wszak Jacek wybierał się na Księżyc. Gdyby zechciała, wziąłby ją z pewnością ze sobą — do Marka, który niewątpliwie jest królem i samowładcą całego globu srebrnego...

Przymknęła oczy wtedy i śniła na jawie ten znany sobie uśmieszek mocarnego człowieka, z którym by ją pewno na Księżycu powitał, rad, że ją widzi tak ponad wszelkie spodziewanie, wdzięczny, że o nim pamiętała i aby się z nim złączyć, naraziła się na podróż niebezpieczną a szaloną...

Tęskniła prawie za nim. Nawet nie za tym uśmieszkiem, nawet nie za spojrzeniem jego oczu i dotknięciem ręki, jak raczej za tą mocą jego męską i spokojną, w niczym do chłodnej, wyniosłej i zamkniętej w sobie obojętności Trójświatowiednego niepodobną, która kiełznała ją, jak wzrok pogromcy kiełzna dziką panterę, i słodkim napełniała spokojem.

Krótko trwały w niej takie chwile „słabości", jak je sama nazywała, ale przychodziły dość często, tak że walczyć z nimi musiała i przeciwstawiać cały chłód swego rozumu tym fantastycznym, nie wiadomo skąd budzącym się porywom...

Raz w takim usposobieniu napisała do Jacka, odpowiadając właśnie na kartę, w której ją o przedłużeniu swojej nieobecności powiadamiał. Nie mówiła mu o przelotnych planach swoich wprost i nie żądała jeszcze, aby ją zabrał ze sobą, ale w każdym razie w liście jej brzmiała jakaś nuta tęsknoty i głębokiej, przyjaznej serdeczności, tak rzadko się u niej szczerze odzywająca.

List zastał uczonego w warsztatach mechanicznych wielkiej fabryki, w której właśnie wóz jego księżycowy przygotowywano. Był on zniecierpliwiony niespodziewanie wolnym postępem robót i ciągłymi przeszkodami, zwłaszcza że znał ich źródło i obawiał się poważnie, aby go wypadki nie ubiegły. Postanowienie odlotu na Księżyc, które zrazu było tylko odruchowym pragnieniem pomagania opuszczonemu przyjacielowi, stało się dlań z czasem rodzajem deski ratunkowej czy tarczy, którą się zasłaniał lub przynajmniej zasłonić usiłował przed wzrastającym dokoła niego i w nim samym zamętem.

To było jeszcze najprostsze wyjście z rozterki. Odlecieć i nie wiedzieć już o niczym, pozbyć się obowiązku zajęcia stanowiska w rozpoczynającej się burzy, z Grabcem lub przeciw niemu, uchylić się od konieczności wyboru między Nyanatiloką i Azą, a mieć przy tym tę wymówkę przed samym sobą, że się spełnia wzniosły czyn, narażając się dla przyjaciela... Jacek zdawał sobie najzupełniej sprawę, że to, co robi, jest podyktowane raczej słabością i niezdecydowaniem, lecz rozumiał zarazem, że jest to jedyna rzecz, na którą może się zdobyć bez wyrzutów i wątpliwości, czy nie powinien był postąpić inaczej.

Jedyną jego obawą dotąd było, że wszystko naokół niego iść może raźniej, niżby on sobie życzył, i nim zdoła puścić się w podróż swoją nadpowietrzną, wybuchnie walka, uniemożliwiająca tu już fizycznie odlot w niewykończonym jeszcze wozie... Toteż naglił zarówno zarząd warsztatów, jak i robotników, około wozu pracujących, patrząc z rozpaczą, jak się robota wolno naprzód posuwa.

List Azy przyniósł mu nową rozterkę. Poczuł z niego, wyczytał między wierszami tę myśl, że Aza byłaby może gotowa odlecieć wraz z nim ze starej Ziemi w międzygwiezdne przestrzenie, i w pierwszej chwili drgnął dziwnie jasną radością.

Tak, tak! Odlecieć z nią razem precz od tego życia, od stosunków, które duszą, od społeczeństwa, co przytłacza, i od grożących walk, wyrwać ją przeszłości, która tu w dole — na Ziemi — pozostanie, jak rzecz nieistniejąca, i nowy rozpocząć los...

Zaśmiał się gorzko.

— Tak, oddając ją w ręce Markowi!

Po raz pierwszy uczuł coś — jakby przypływ nienawiści do dawnego przyjaciela z dziecinnych lat. Równocześnie wydało mu się, że jest w nader śmiesznym położeniu. Przecież to oczywista — rozumował — że Aza przybyła do jego domu i teraz podsuwa mu myśl wspólnego na Księżyc odjazdu w tym wyłącznie celu, aby się z Markiem połączyć! Używa go po prostu za narzędzie swej woli. Nie mówi mu nawet wprost, co chce, lecz czeka, aby propozycja wyszła od niego, a wtedy jeszcze zapewne wzdragać się będzie i każe się prosić, jak o łaskę, by to uczyniła, czego sama widocznie pragnie nade wszystko.

Miał chwilę, kiedy chciał już kazać przerwać roboty około wozu.

— Zostanę tutaj — mówił do siebie głośno. — Cóż mnie ostatecznie obchodzi los jakiegoś szaleńca, który kiedyś był moim przyjacielem! Wszystko jest podłe, wstrętne i złe! Najmędrsi nawet nie umieją zachować spokoju i chciwe ręce wyciągając po niepewną władzę, nawet najwięksi nie umieją się zadowolić wielkością swego ducha... Dosyć już tego, doprawdy, dość! Powinienem wrócić do domu i położyć rękę na małej dźwigni mojej maszyny i unicestwić ten świat, niewart już czego innego...

W tej chwili zaniepokoił się przypomnieniem, że po powrocie z owego ostatniego zebrania mędrców nie zaszedł wcale do swojej pracowni i nie obejrzał postawionego tam aparatu...

Machnął ręką.

To głupstwo! Przecież do mojej pracowni nie mógł się nikt dostać beze mnie... Chyba jeden Nyanatiloka. Ten ci był ze mną wprawdzie na zebraniu, ale któż wie, czy nie potrafi on być w dwóch miejscach równocześnie!

Na wspomnienie mędrca zadumał się znowu głęboko... Nęciła go myśl udania się z nim razem w samotność cejlońskich puszcz lub niedostępnych gór himalajskich na poszukiwanie wiedzy ostatecznej i tak różnej od tego, co w Europie i wśród ludów po europejsku myślących mógł znaleźć — a bał się, że nie zdobędzie się jeszcze na spokój konieczny do jej uzyskania.

W każdym razie myśl ta pomogła mu do otrząśnięcia się spod uroku listu Azy i pozbycia się niepokoju, jaki mu przyniósł ze sobą.

Postanowił odpisać uprzejmie, lecz chłodno i w taki sposób, jakby nie zrozumiał i nie spostrzegł zupełnie zawartego między wierszami listu życzenia, aby mu towarzyszyć w zamierzonej podróży...

W podróż jednak puścić się musi bezwarunkowo! Byle tylko wóz szczęśliwie i jak najprędzej był już gotowy!

Skończywszy list pośpiesznie w hotelu, kazał sprowadzić automobil i ruszył natychmiast z powrotem do fabryki, którą opuścił był przed godziną właśnie dla odpisania śpiewaczce.

W drodze zaniepokoił go jakiś ruch niespodziewany, mijał ciągle ludzi, którzy — jak mu się zdawało — byli robotnikami i powinni by obecnie stać przy pracy.

„Znowu jakieś bezrobocie — pomyślał. — Fatalność już widocznie ciąży nad tym moim wozem i nad całą podróżą księżycową!"

Kazał pospieszać woźnicy, łudząc się nadzieją, że wpływ jego osobisty może zdoła powstrzymać robotników od porzucenia ponownego pracy, na której mu tak wiele zależało.

Na progu fabryki spotkał dyrektora. Stał samotnie z rękami w kieszeniach i świstał przez zęby.

— Co słychać? — zapytał, wyskakując z automobilu.

Dyrektor ruszył ramionami, nie witając go nawet ukłonem, choć zazwyczaj odnosił się doń z uprzedzającą grzecznością.

— Robotnicy...? — zapytał Jacek.

— Poszli — odparł dyrektor spokojnie.

— Bezrobocie znowu?

— A tak!

— Kiedyż się to skończy?

— Nie skończy się.

— Jak to?

— Ano tak. Poszli sobie i nie ma ich. Mówią, że już nie wrócą. Mnie się to wszystko znudziło. Niech diabli wezmą taką robotę!

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i poszedł, pozostawiając Jacka zdumionego na schodach.

Teraz dopiero, obejrzawszy się, dostrzegł, że stoi około niego nieco opodal kilku ludzi, którzy przypatrują mu się z zajęciem, szepcąc coś między sobą. Niektórych z nich poznał; byli to robotnicy fabryczni, starsi majstrowie, innych jednak nie widywał nigdy w tej okolicy. Przez jeden moment miał ochotę zapytać się ich, co tu robią i czemu tak patrzą na niego, ale — ostatecznie — co go obchodziło!

Przygnębiony i bezradny, począł schodzić ze schodów, zmierzając do czekającego na dole samolotu.

Na ostatnim stopniu zastąpił mu drogę jeden ze znających go robotników.

— Niech pan zaczeka!

Jacek spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Czego chcesz, przyjacielu?

Robotnik nie odpowiadał, lecz zagrodziwszy mu drogę jedną ręką, drugą dawał znaki poza siebie. Jacek mimo woli spojrzał w tę stronę. Zza węgła szedł ku niemu człowiek ogromny o ponurej, upartej twarzy pod rozwichrzoną czupryną.

— Pan jesteś mistrz Jacek? — zapytał wręcz, przystępując ku uczonemu.

— Tak. Ale ja nie wiem, kto pan jesteś.

— To mniejsza. Nazywają mnie Józwa...

— A! Grabiec mi raz wspominał...

— Może. Mnie także mówił o panu. Pan masz maszynę, za pomocą której można miasta i całe kraje niweczyć...

— Co komu do tego?

— Owszem. Mnie jest coś niecoś do tego. Potrzebuję tej maszyny.

— Nie będziesz jej pan miał.

— Będę!

Skinął na robotników, którzy w okamgnieniu otoczyli Jacka zwartym pierścieniem.

— Mogę pana kazać zabić natychmiast!

— Tak. I co z tego?

— Więc zatrzymamy pana tutaj, a tymczasem przetrząśnie się pańską pracownię w Warszawie.

Jacek mimo grozy położenia uśmiechnął się mimowolnie. Spod spuszczonych powiek niewymownie wzgardliwym wzrokiem patrzył teraz na Józwę. Miał ochotę zapytać go, czy wyważywszy drzwi jego pracowni, aby zabrać zabójczą maszynę, zdoła również dobrać się do jego mózgu i wyłuszczyć stamtąd tajemnicę jej zastosowania, bez czego będzie ona zawsze tylko marną, na nic niezdatną łupiną.

W tejże chwili przystąpił do Józwy jakiś człowiek i podał mu kartkę z kilkoma nakreślonymi wyrazami... Przywódca rzucił na nią okiem i uśmiechnął się, po czym dał znać robotnikom, aby odstąpili Jacka.

— Nie potrzebujemy już pana — rzekł. — Mój przyjaciel, Grabiec, donosi mi właśnie...

Urwał, a potem dokończył z uprzejmym, nieco szyderskim ukłonem, ręką na stojący opodal samochód wskazując:

— Możesz pan wracać swobodnie do domu. A radzę panu dobrze skarbu swego pilnować...

Jacek wzruszył ramionami i wsiadłszy do samochodu, kazał wrócić do hotelu.

Tutaj nie miał już nic do roboty. Warsztaty widocznie stanęły na czas dłuższy — trzeba się było wyrzec myśli o rychłym wykończeniu wozu i na razie przynajmniej zapomnieć o podróży na Księżyc.

W hotelu kazał sobie przygotować na wieczór samolot z zamiarem jak najśpieszniejszego powrotu do Warszawy.

W domu jego tymczasem Aza doprowadzała grę swą do końca.

Burza, Rewolucja, Lud

Wieczór był parny, duszny. W powietrzu wisiała, zda się, burza — burzę czuć też było na ulicach olbrzymiego miasta. Z nastaniem zmroku zapłonęły wprawdzie światła jak zazwyczaj, ale po jakimś czasie grążyć się zaczynały w cieniu całe ulice, jakby ręka jakaś złowroga pozrywała przewody i psuła elektryczne maszyny. Ruch mimo to nie ustawał ani na chwilę, jeno że zamiast zwykłych przechodniów, teraz nie wiadomo czemu po domach się kryjących, pojawiły się tłumy jakieś nieznane, po raz pierwszy oglądane w śródmieściu, o których nikt nie umiał powiedzieć, skąd wyszły i gdzie się kryły zwyczajnie.

Spokojny, wypasiony i niezatroskany dotąd mieszkaniec ze zdumieniem patrzył na ludzi o posępnych, zaciekłych twarzach, w bluzy proste odzianych, o których istnieniu jeśli wiedział, to jeno ze słyszenia, prawie za bajkę to sobie mając, że tacy są gdzieś i żyją jak on...

Pomruk zły szedł ulicami, chociaż wszystko spokojne było jeszcze na pozór. Aza słyszała go z dachu Jackowego domu, gdzie wyszła się schronić przed dusznym powietrzem pokojów, którego nawet pracujące całą siłą wentylatory nie były zdolne odświeżyć. Siedziała na płaskim tarasie, w składanym krześle rozciągnięta, i patrzyła spod spuszczonych powiek na ten mąt tam w dole, oświetlony płonącymi jeszcze w najbliższej okolicy latarniami. Dalej — była już noc nieprzenikniona i czuło się jeno, że przewala się wśród niej tłum, gotów ją w każdej chwili rozjaśnić wybuchającymi minami i pożarem, na wspaniałe domy rzuconym... Śpiewaczka wiedziała, co to znaczy. Przez pewien czas siedziała nieporuszona, wciągając niejako wszystkimi porami z dziwną rozkoszą to elektryczne napięcie buntu i walki, które wisiało już w powietrzu. Nozdrza rozdymały jej się drapieżnie, usta zastygły w jakimś lubieżnym półuśmieszku. Miała przez chwilę wrażenie, że czuje drażniący zapach dzikiego zwierza, ruszającego się z komyszy[520]...

[520] *komysz* — krzak, zarośla.

Nagle ocknęła się i zerwała. Wszak to ostatnia chwila, aby działać! Jeżeli jutro rozruch się pocznie, a ona nie stanie przed nim jak anioł ognisty, ze straszliwym narzędziem śmierci i zniszczenia w ręku...!

Szybko zbiegła po schodach na niższe piętro i udała się wprost do gabinetu Jacka. Wiedziała, że zastanie tutaj Nyanatilokę.

Stanąwszy na progu, spojrzała pod światło płonącej na stole lampy, która zastępowała zwykłe strumienie blasku elektrycznego, przygasłe już z powodu przerwania przewodów.

Mędrzec siedział w krześle z pochyloną na piersi głową i można było sądzić, że śpi, gdyby nie oczy szeroko rozwarte, którymi wpatrywał się w pustą przestrzeń przed sobą. Nagi był do pasa, mając jeno chustę wełnianą około bioder owiniętą. Długi czarny włos spływał mu w spokojnych pasmach na ramiona.

Aza zatrzymała się we drzwiach. Na jeden moment onieśmielenie ją ogarnęło, a potem nagle niespodziewany przypływ żądzy wprost obłędnej, ażeby wyrwać tego człowieka z nieruchomości i wiecznej równowagi, zedrzeć zeń świętość, zmusić do namiętnego dreszczu... Zapomniała niemal w tej chwili, że nie to właściwie było jej celem, że miała go jeno podeptać, aby sobie otworzyć przejście do owych drzwi, za plecami jego się znajdujących.

— Serato!

Nie ruszył się z miejsca, nie zwrócił oczu, nawet nie drgnął na dźwięk swego imienia.

— Słucham — rzekł zwykłym, spokojnym głosem...

Wszystkie plany Azy, które sobie układała długo i mądrze dla tej rozstrzygającej walki, zamąciły się i pierzchły naraz z jej myśli.

Odruchowym instynktem pchnięta, skoczyła ku niemu i przywarła usta do nagiej jego piersi, dłonie jej błądziły koło jego twarzy, chwytały za włosy rozsypane, osuwały się wzdłuż ramion... Urywanym wśród obłędnych pocałunków głosem zaczęła mu szeptać słowa pieściwe, mówić o rozkoszach niewysłowionych, których on zapewne w życiu swoim całym jeszcze nie przeczuł, wzywać go, prosić, aby ją przygarnął do siebie, bo ona ginie z miłości...

Nie wiedziała nawet zgoła w tej chwili, czy mówi to, co myśli i czuje naprawdę, czy też jeno straszną jakąś komedię odgrywa, która ją samą porwała... Czuła tylko, że odchodzi od przytomności z tym ostatnim jeszcze błyskiem świadomym, że wszystko od razu na jedną rzuciła kartę.

Nyanatiloka nie drgnął nawet. Nie odpychał jej, nie usuwał się od jej pocałunków, nie zmrużył powiek rozwartych. Zdawać się mogło, że nie jest człowiekiem żywym, lecz jakąś przerażającą figurą woskową, gdyby nie uśmiech nieco wzgardliwy, który mu się po wargach przewinął.

Aza nagłym przestrachem tknięta odsunęła się od niego.

— Serato, Serato... — wykrztusiła ze ściśniętego kurczem gardła.

Na jego twarzy, smagłej jak zawsze, nie było znać ani śladu rumieńca; krew w żyłach nie zatętniła mu żywiej.

— Czego pani żąda?

— Jak to...? Ty pytasz! Ciebie chcę, ciebie! Czyżeś ty nie czuł moich pocałunków?

Wzruszył nieznacznie ramionami.

— Czułem.

— I... i...?

Spojrzał jej teraz wprost w twarz wzrokiem jasnym, spokojnym.

— I dziwię się, że to ludziom sprawia przyjemność...

— A!

— Tak. A nawet, że to i mnie niegdyś przyjemność sprawiało.

Wzrok Azy padł przypadkowo na ostry brązowy sztylet do rozcinania papieru, leżący obok na stole. Nim miała czas zdać sobie sama sprawę z tego, co robi, pochwyciła nóż i całym rozmachem pchnęła go w lewą, nagą pierś Nyanatiloki.

Krew trysnęła jej na twarz i suknię — widziała jeszcze, jak pustelnik zerwał się, wyprężył i przechylił w tył...

Z krzykiem przerażenia i grozy rzuciła się ku drzwiom do ucieczki. W przedsionku spotkała Jacka, który właśnie, opuściwszy się samolotem na dach domu, szedł pospiesznie do swej pracowni. Na jej widok stanął jak wryty. Dostrzegł krew na jej twarzy i odzieniu.

— Azo! Co się stało? Jesteś ranna?

Usunęła mu rękę, którą chciał ująć.

— Nie, nie... — mówiła jakby sennie, patrząc mu w twarz nieprzytomnym wzrokiem.

— Nie chodź tam! — krzyknęła nagle, widząc, że Jacek zwrócił się ku drzwiom gabinetu, skąd wyszła.

— Co to jest?!

— Ja... ja...

— Co?

— Zabiłam... Nyanatilokę.

Kobieta, Mężczyzna, Dusza, Mędrzec, Mizoginia

Z krzykiem przerażenia rzucił się Jacek ku drzwiom. W tejże jednak chwili na progu stanął Nyanatiloka. Blady był jak trup, w pobielałych wargach nie znać było ani kropli krwi, która za to obfitą, zaledwie przyschłą falą zalewała mu ciało i owiniętą około bioder przesłonę. Na piersiach, pod lewą brodawką, miał świeżo zasklepioną bliznę.

Aza, zoczywszy[521] go, zatoczyła się i oparła plecami o ścianę. Krzyk zamarł jej w ściśniętym gardle.

Jacek cofnął się o krok.

— Nyanatiloka...?

— Nic, już nic, mój przyjacielu. Byłem bliski śmierci...

— Ty jesteś krwią świeżą zlany, na piersi masz bliznę!

— Przed chwilą była tu rana. Mogłem był umrzeć, bo nóż przeszedł przez serce... Ale w ostatniej chwili przytomności wspomniałem, że jestem ci jeszcze potrzebny. Wysiłkiem gasnącej woli chwyciłem tlejącą jeszcze iskrę świadomości i począłem się zmagać ze śmiercią. To była walka najcięższa, jaką kiedykolwiek stoczyć mi wypadło. Ale w końcu, jak widzisz, zwyciężyłem.

— Ty się chwiejesz na nogach...!

— Nie, nie! — uśmiechnął się blado. — To reszta osłabienia, która wnet przejdzie. Nic mi już nie jest. Czekałem na ciebie, wiedząc, że wrócisz tej nocy... Odejdziemy stąd...

Jacek poderwał się nagle.

— A moja maszyna!

Mędrzec wstrzymał go ruchem dłoni.

— Nie ma jej już tam. Skradziono ci ją. Nie przeczułem tego wcześniej. Tak może lepiej. Wszak bez ciebie nikt jej użyć nie zdoła?

— Nie...

— Więc dobrze. Odejdziemy stąd obaj na zawsze, na zawsze...

Aza teraz dopiero oprzytomniała. Jasność jakaś przerażająca rozpłonęła jej w mózgu. Jednym rzutem poskoczyła naprzód i padła do nóg Nyanatiloce.

— Daruj mi, daruj!

Uśmiechnął się.

— Nie jestem wcale gniewny.

Chciał postąpić, ale ona rękami objęła jego stopy. Włos jej złoty, nieprzepłacony, jasny włos w gwałtownym ruchu rozwiązany, posypał się przed nim na posadzkę, usta jej wonne przylgnęły do jego bosych nóg...

— Ty święty jesteś naprawdę! — wołała. — Zmiłuj się, zmiłuj nade mną, boży człowieku! Weź i mnie ze sobą! Jak pies będę ci służyć! Będę czynić, co zechcesz! Poświęć mnie, oczyść!

Wzruszył obojętnie ramionami.

— Kobiety nie mogą dostąpić łaski wiedzy.

— Dlaczego? Dlaczego?

Nie odpowiedział na jej jęk. Tam za oknami zahuczały jakieś strzały, tłum się zakotłował, zaryczał... Krwawa łuna uderzyła w szyby; Nyanatiloka objął ręką ramiona Jacka.

— Pójdź!

Jacek się nie opierał. Słyszał jeszcze za sobą, jak we śnie, krzyk Azy, wlokącej się za nimi po ziemi, słyszał słowa jej, którymi zaklinała cudotwórcę, aby jej nie odtrącał, grożąc, że nadeptana przezeń, wpadnie na dno zbrodni, występku, podłości... Spojrzał na mistrza — zdawało mu się, że usta jego się poruszyły, jakby mówił:

[521] *zoczyć* (daw.) — zobaczyć.

— Cóż mnie to obchodzi? Wszak kobieta nie ma duszy...

EPILOG

Po ośmiu dniach śmiertelnej trwogi i niepewności Mataret ośmielił się nareszcie wypełznąć ze swej kryjówki. Ogłuszający huk, który dzień i noc łomotał w zawarte ciężkie drzwi sklepionej piwnicy i dreszczem przejmował grube mury, tak że miejscami rysować się poczynały, ustał był od niejakiego czasu i tam na świecie snadź zapanował już spokój...

Mataret wahał się długo. Ilekroć zbliżył się ku drzwiom, aby kute zawory odsunąć, stawała mu w pamięci ta straszna chwila, kiedy w oczach jego w nocy owej pamiętnej miasto zaczynało się walić, i ogarniał go znowu przypływ trwogi podobnej do tej, co rzuciła go wówczas tu, w najgłębszy loch Jackowego domu.

I byłby może pozostał jeszcze w tym podziemiu nie wiadomo jak długo, gdyby nie głód, śmiercią wprost grożący. W pospiesznej ucieczce nie myślał nawet o zapasach; całym pożywieniem jego przez te osiem dni był bochen chleba, zachwycony gdzieś przypadkiem po drodze, kiedy przebiegał około drzwi piekarni, mieszczącej się na dole wielkiego domostwa. Wody nie miał zupełnie, zadowalać się musiał winem, które w wielkiej obfitości stało tu pod ścianami w beczkach pękatych i we flaszkach rzędami na półkach ułożonych.

Nie myślał wcale, jakiemu przypadkowi zawdzięczał to, że loch był właśnie otworzony i że on się w nim mógł ukryć. Wpadłszy tu, zasunął jeno wrzeciądze za sobą i przysiadł w ciemności zalękniony, nie śmiejąc przez pierwsze kilka godzin nawet ruszyć się z miejsca. Gdy mu pragnienie dokuczyło, piekąc ogniem wyschłe już i tak ze strachu podniebienie, począł po omacku szukać dokoła siebie, najpierw w myśli, że może gdzie dla odświeżenia ust znajdzie wilgoć cieknącą po murze...

Piwnica sucha była doskonale i wilgoci nie znalazł, ale natrafił na beczki i butelki. Przeląkł się w pierwszej chwili, czy nie są to zapasy jakowychś cieczy chemicznych Jackowi do naukowych doświadczeń potrzebne, i mimo pragnienia wahał się długo, nim rozbitą flaszkę zbliżył do ust.

Pierwszy łyk wina rozszedł mu się w jednej chwili rozkosznym ogniem po żyłach i skrzepił znakomicie zwątlone trwogą jego siły. Miał ochotę pić dalej, aż do niepamięci, ale przemógł w nim rozum, ostrzegający, że ten napój jedyny i zbawienny może się stać śmiertelnym w razie nadużycia. Poskromił się więc i postanowił nie pić więcej, jak tylko tyle, aby nieco przygasić dokuczające mu pragnienie.

Zrazu było wszystko dobrze i wino okazało się napojem znakomitym, który nie tylko poił go i wzmacniał fizycznie, lecz nadto, w podniecenie umysł jego wprawiając, podtrzymywał duchowo i rozweselał. Jednak po dwóch czy może trzech dniach — czasu bowiem w ciemności dokładnie liczyć nie mógł — ciągłe i przymusowe upajanie się poczęło fatalne wywoływać skutki. Żołądek jego, skąpym kęsem suchego chleba jeno oszukiwany, nie znosił już w końcu wcale tęgiego napoju; bolesny zawrót głowy i ogólne osłabienie ogarniały go i z każdą chwilą bardziej gnębiły. Wolał już cierpieć pragnienie, niż wziąć do ust chociażby jeden łyk wina, do którego wstręt poczuł nieprzemożony.

Ostatni dzień spędzony w tym przypadkowym więzieniu był mu już męką niewysłowioną; brak pożywienia sprawiał, że wino, do którego mimo woli wracał z konieczności, silniej go zatruwało i na odwrót, zatrucie winem wywoływało tym gwałtowniejsze uczucie głodu.

Chwilami zapadał w sen pełen majaczeń, który trwał nie wiadomo jak długo. Zwidywały mu się wtenczas różne straszne rzeczy: rozruchy krwawe, miny potworne, miasta całe walące, i walki jakieś, niby to z ludźmi, niby ze złośliwymi, księżycowymi szernami prowadzone... A potem znowu następowało niespodziewane ukojenie. Śniło mu się, że stoi wraz z Jackiem na jakimś wzgórzu ponad miastem i słucha opowiadania o nowych, szczęśliwych stosunkach na Ziemi. Jacek uśmiecha się doń dobrotliwie i mówi, że wszystko szczęśliwie się skończyło, że teraz panują naprawdę najlepsi, najmędrsi, i on wkrótce pojedzie już na Księżyc, aby tam wspomóc Marka w zaprowadzaniu ładu wiecznego...

I znów jasny sen ginął w gorączkowym strasznym chaosie.

Miasto słoneczne w dole zamieniało się nagle w kupę gruzów dymiącą — łuny pożarów gdzie okiem sięgnąć krwawiły nieboskłon, jęki śmiertelne zewsząd dolatywały i śmiech potworny, szatański człeka jakiegoś, wyrosłego na bezmiar, co twarz miał Józwy i pięści jego potężne...

Mataret zrywał się ze snu w przerażeniu i chciał krzyczeć, wołać pomocy.

Cisza dokoła niego była bezmierna i noc i jeno głód coraz gorszy, coraz więcej trawiący targał mu jelita i pchał go rozpaczliwie ku wyjściu.

Mimo to, i chociaż odgłosy walki już były od dość dawna ucichły, z drżeniem odsuwał rygle ciężkich drzwi, ażeby wyjść na świat. W ciemnym i wąskim korytarzu i jeszcze na schodach w górę wiodących zatrzymywał się co kilka kroków i oddychał ciężko, pragnąc jak gdyby nabrać odwagi z powietrzem świeższym w zduszoną pierś wciąganym.

Wyobrażał sobie, co zobaczy, gdy stanie na ulicy, i przygotowywał się z góry na ten widok.

„Naokoło będą gruzy" — myślał. Prawdopodobnie dom Jacka już nie istnieje i kto wie, czy chcąc wyjść na światło, nie znajdzie zapory ze spiętrzonych cegieł, kamieni i belek żelaznych, które go już może żywcem pogrzebały, podczas gdy on o tym nawet nie wiedział... A jeśli mu się uda szczęśliwie wyjść, to znajdzie się niewątpliwie w pustce straszliwej i ostatecznej. Miasta już nie ma, zwaliska jeno wszędzie i pośród nich trupy i pożar pełzający po gruzach, trawiący, co się jeno da strawić w tych kupach głazu i żelaza.

Drzwi na końcu schodów były rozwarte. Wyszedł nimi do szerokiej sieni; dom stał jeszcze widocznie, a przynajmniej dolne jego piętro było nienaruszone. Cichość jednak martwa panowała dookoła. „Snadź domownicy zbiegli lub ich może zabito" — myślał Mataret, przemykając się wzdłuż marmurowych ścian ku szerokim podwojom, na ulicę wiodącym. Za lekkim naciśnięciem roztworzyły się bez szelestu; stanął w oślepiającym blasku światła słonecznego i zdumiał się.

Miasto miało zwykły, codzienny wygląd. Zaledwie zauważyć było można tu i ówdzie jakiś sklep zamknięty, okno rozbite lub drzwi wyłamane, gdzieniegdzie na murach widniały świeże dziury, jak gdyby strzałami wybite, w dali, zdawało się Mataretowi, że widzi dom jakiś zwalony czy też zniszczony pożarem... To wszystko. Ludzie snuli się po ulicy jak zazwyczaj, trochę ich może mniej było, ale w zachowaniu ich nie przebijało nic, co by świadczyć mogło o nadzwyczajnych jakich zdarzeniach.

Przed domem stało dwóch policjantów, jak gdyby symbol żywy niewzruszonego porządku.

Na lekki stuk drzwi, zamykających się za Mataretem samorzutnie, jeden z nich odwrócił się żywo i chwycił za broń u boku wiszącą.

— Czego tam szukasz? — huknął gniewnie.

Mataret zląkł się.

— Schowałem się właśnie... — zaczął nieśmiało.

Tymczasem zbliżył się i drugi policjant. Przyjrzał się Mataretowi uważnie, po czym zwrócił się półgłosem do towarzysza:

— Ekscelencja...

— Nie — odparł tamten. — Jego ekscelencja Roda nie jest łysy. Widziałem go. To musi być ten jego towarzysz czy sługa, z którym przybył z Księżyca.

Podszedł ku Mataretowi.

— Do tego domu nie wolno wchodzić — rzekł.

— Ależ ja zawsze tu byłem...

— To nic nie znaczy. Tym gorzej raczej. Kto wie, ptaszku, czy ty nie jesteś wspólnikiem...

— Trzeba go związać — odezwał się drugi policjant.

— Tak jest — przyświadczył pierwszy — i zaprowadzić na odwach lub wprost do ekscelencji...

Ponieważ kajdanki okazały się za wielkie na drobne ręce Matareta, więc związano mu dłonie sznurem i tak poprowadzono. Nie opierał się ani o nic nie pytał. Osłabienie ogarnęło go straszne, zaledwie powłóczył nogami, w oczach mu się ćmiło. Policjanci zauważyli wreszcie, że już nie może iść dalej, wsadzili go więc na rogu ulicy do samochodu i powieźli przed gmach jakiś wspaniały, którego on dotąd w wędrówkach swych po mieście nie zauważył.

Tutaj wprowadzono go do dużej poczekalni, w której przesiedział godzinę, nim drzwi się wreszcie rozwarły. Służący w liberii zawezwał go przed oblicze ekscelencji...

Mataret chwiejnym krokiem wszedł do gabinetu i oniemiał. W pokoju z przepychem urządzonym, na krześle przed biurkiem, w bogatym stroju siedział mistrz Roda.

— Ty... to ty? — wykrztusił po chwili.

Roda zmarszczył brwi.

— Noszę tytuł ekscelencji, proszę o tym nie zapominać.

Po czym skinąwszy na służącego, aby się oddalił, pozwolił Mataretowi zbliżyć się i usiąść.

— Gdzie się ukrywałeś? — zaczął surowym tonem.

— Jeść mi daj — jęknął Mataret — jeść i pić...

Ekscelencja łaskawie nie wzbraniał mu się posilić, a kiedy Mataret, pokrzepiony nieco, stanął znów, przyjął go dobrotliwie i zaraz na wstępie obiecał wziąć go do swojego boku, jeśli mu tylko będzie posłuszny.

Mataret patrzył przez pewien czas na dawnego mistrza, a potem towarzysza niedoli, ze zdumieniem graniczącym wprost z nieufnością wobec swych zmysłów. Nie dowierzał własnym oczom i uszom i nie mógł wyrozumieć, czy Roda mówi poważnie, czy też kpi tylko...

— Ależ powiedz mi, co się stało — wybąknął wreszcie.

— Mówiłem ci już, że należy mi się tytuł ekscelencji.

— Skąd? Jak?

— Świat uratowałem!

— Co?

— Uratowałem porządek społeczny!

— Nic nie rozumiem.

— Naturalnie. Zawsze byłeś tępy... Gdyby nie ja, już by to miasto dzisiaj nie istniało.

— Więc rewolucja?

— Zgnieciona! Zgnieciona dzięki malutkiej maszynce, którą ja bohatersko z narażeniem własnego życia uniosłem z domu tego Jacka przeklętego.

— Jakże to?

W Rodzie odezwała się dawna żyłka oratorska. Zapomniał o nowej swojej powadze i wyskoczywszy nabytym na Ziemi narowem na krzesło, mówić począł w ożywieniu, wymachując przy tym rękami:

— Tak, tak! Nie w ciemię mnie bito. Skradłem naszemu czcigodnemu opiekunowi, a raczej zdobyłem na nim, piekielną maszynę, którą mógł był świat cały w powietrze wysadzić! Uniosłem ją tu na piersi, i czułem, że los Ziemi niosę, rozumiesz? Los tej Ziemi, która i dla nas, ludzi z Księżyca, matką była przedwieczną... Serce mi drgało żywiej; snadź Bóg mnie tu sam sprowadził, abym ją i plemię człowiecze ocalił...

Zamilkł na chwilę, spostrzegłszy snadź, że dziwnie te słowa w ustach jego wydawać się muszą uchu Matareta, przywykłemu z dawien do innych wręcz zdań, przezeń wygłaszanych. Zaraz jednak, niezmieszany, podjął na nowo:

— Zresztą mniejsza o to. Ty tego i tak nie zrozumiesz. Ostatecznie o tę maszynę dobijali się wszyscy. Mogłem ją był zanieść do Grabca i nawet miałem tę myśl początkowo.

— I co zrobiłeś?

— Czekaj! Do Grabca napisałem tylko, że maszyna zdobyta, aby w razie czego sądził, że mi ją przemocą odebrano... Można ją także było oddać Józwie lub za nagrodą, niby wrogom wydartą, zwrócić Jackowi, jako prawemu właścicielowi...

— Co zrobiłeś?

— Ach! Jaki ty jesteś niecierpliwy! Zrobiłem to, co najlepsze było w tym wypadku. Ty wiesz, że zawsze miałem poszanowanie dla władzy prawowitej...

— Ha, ha!

— Tak jest, nie śmiej się. Cenię władzę. I dlatego po dojrzalszym rozmyśle udałem się do przedstawicieli rządu...

— I oni... za pomocą tej maszyny?

Roda zaśmiał się szeroko.

— A tak. Za pomocą tej maszyny.

— Wybili, wymordowali przeciwników?

— I, to nie, tak źle nie było... Zresztą...

Zeskoczył z krzesła i zniżając głos, rzucił do ucha Mataretowi:

— Zresztą, powiem ci w zaufaniu: z tej głupiej maszyny w ogóle nie można było strzelać.

— Jak to?

— Po prostu, nie było można. Widocznie brakowało czegoś w aparacie, który ja przyniosłem. A kiedy wyważono przemocą drzwi w pracowni Jacka, aby zabrać resztę, okazało się, że on zniszczył wszystko przed swoim nagłym zniknięciem.

— Więc co?

— Nic.

— Nie rozumiem.

— Boś głupi. Wszak o tym, że maszyna jest bezużyteczna, nie wiedział i nie wie nikt prócz rządu i mnie. Słyszeli zaś wszyscy z dawna, że Jacek straszliwą broń posiada... Wystarczyło, gdy się wieść rozeszła, że ten zabójczy aparat jest w rękach władzy...

— Ach! Pojmuję, pojmuję...

— Widzisz. Rozgłoszono to zaraz i połączono druty całej sieci telegraficznej z tą niewinną skrzyneczką. Rząd powiedział: jeśli mamy ginąć w rewolucji, to raczej niech ginie świat cały! Uczeni pierwsi stchórzyli. Potem przyszła kolej na robotników i cały ten motłoch, któremu żal się zrobiło słonka bożego...

— A Grabiec? A Józwa? A tylu innych?

— Grabca rząd kazał powiesić. Józwę zabili właśni jego zwolennicy, gdyż nie chciał się poddać, pragnąc, owszem, aby świat wysadzono w powietrze, czego oni znowu nie chcieli...

— I ty ostatecznie jesteś ekscelencją?

— Tak jest. Mam tytuł „Stróża maszyny" i „Zbawcy porządku".

Z powagą niewysłowioną przeszedł się Roda po gabinecie i stanął znów przed dawnym towarzyszem, ręce w tył zakładając.

— Czy ci nie mówiłem zawsze — zaczął — że dam sobie radę? Kto by był pomyślał, kiedy nas tutaj w klatce razem z małpą zamykano...

Urwał i obejrzał się lękliwie, czy kto nie słyszy. Po czym poklepał Matareta łaskawie po ramieniu.

— Nie zapomnę o tobie. Cierpiałeś razem ze mną, więc chociaż mam wiele do zarzucenia zachowaniu się twemu wobec Jacka, przed którym mnie oczerniałeś, jakobym był kłamcą, wszystko ci przebaczę i postaram się, aby...

Zamilkł, gdyż w tej chwili Mataret plunął mu w twarz i obróciwszy się na pięcie, wyszedł z gabinetu.

W sieniach nie było już policjantów, nikt go więc nie zatrzymywał. Wolnym krokiem zwlókł się z szerokich schodów marmurowych i wpadł w tłum uliczny. Ten i ów z przechodniów spojrzał na dziwnego karzełka — niektórzy znali go jako przybysza z Księżyca, przystawali więc, aby mu się przyjrzeć, ale przeważnie nie zwracano nań wcale uwagi.

Szedł więc w ruchu ogólnym zagubiony, bez celu, bez myśli prawie, dokąd idzie. Czasem wzrok jego padł na dom jakiś strzałami rozwalony, z którego robotnicy pospiesznie gruzy już usuwali, gdzieniegdzie spotykał grupki ludzi rozmawiających żywiej o wypadkach ostatnich dni, ale poza tym nie zauważył śladu żadnego, że groźna burza przeszła nad światem. Najwidoczniejszą zmianą była jedynie wzmożona liczba miejskich strażników i policjantów, którzy podejrzliwymi, brutalnymi oczyma wodzili za przechodniami...

Mataret myślał o Jacku. Gdzie się mógł podziać tak nagle? Czy nie zginął w rozruchu? Czy nie jest uwięziony? Mimo woli przychodziły mu na pamięć wszystkie chwile w towarzystwie uczonego spędzone, rozmowy z nim, zamiary nowej księżycowej wyprawy, celem niesienia pomocy Markowi... A może istotnie Jacek na Księżyc odleciał, jego tu pozostawiwszy?

Wzniósł głowę ku niebu, gdzie na błękicie rysował się mleczny, blaskiem dziennym przyćmiony sierp późnego Księżyca, pośród chmurek pierzastych i rozwianych.

Ocknął się z zamyślenia, uderzywszy o zbity tłum ludzi stojący pod jakąś ogromną płachtą papieru na murze przyklejoną.

Czytano w głos wydrukowane na niej obwieszczenie; słychać było okrzyki zdumienia, a częściej jeszcze słowa uznania i pochwały dla rządu, który wydał rozporządzenie...

Mataret zbliżył się zaciekawiony i wydrapawszy się szczęśliwym przypadkiem na cokół latarni ulicznej, czytać począł sam...

W oczach mu pociemniało.

Właściwie nie powinno by go to nic obchodzić, a jednak czuł, że go wstyd ogarnia, jego, barbarzyńskiego przybysza z Księżyca, za to, co się na Ziemi teraz dziać poczyna.

Ogłoszenie Rządu Stanów Zjednoczonych Europy, do ogólnej podane wiadomości, brzmiało, jak następuje:

„Obywatele!

Rząd opiekuńczy, dbały o dobro rzeczy społecznej, staraniom jego powierzonej, wobec niesłychanych i nader ubolewania godnych wypadków ostatnich dni, widzi się zniewolonym raz na zawsze koniec położyć złu, które społeczeństwo na piersi własnej, własną ofiarną krwią, niestety, wyhodowało.

Uczeni, odkrywcy i wynalazcy byli niegdyś bezsprzecznie błogosławieństwem ludzkości. Im to poniekąd zawdzięczamy dobrobyt, z opanowania sił przyrody płynący, bo chociaż myśmy własnymi, pracowitymi rękami zbudowali fabryki i porządek gospodarczy ugruntowali, to trzeba przyznać, że oni niejednokrotnie wynalazkami swymi dali nam impuls do tej pracy owocnej. I chociaż oświata ogólna jest także zasługą społeczeństwa, które ku wiedzy i ducha podniesieniu się kwapiąc, szkół miliony pobudowało i ujęło nauczanie w swe ręce, to jednak nie da się zaprzeczyć, że mędrcy niemałą tu rolę odegrali, pomagając swymi badaniami do otwarcia nowych dziedzin myśli.

Była to słuszna wypłata społeczeństwu, że im pozwoliło rozwinąć się i stworzyło im pracą swoją konieczne dla spokojnych dociekań warunki.

W końcu jednak wynaleziono już wszystko, czego nam potrzeba, i dowiedziano się daleko więcej, niż możemy potrzebować. Uczeni ci, którzy się dumnie „wszystkowiedzącymi" nazwali, stali się dla nas zbytkiem kosztownym i społeczeństwo jedynie przez pamięć zasług dawnych ich poprzedników cześć im oddawało.

Atoli stała się rzecz straszna. Ci z łaski społeczeństwa żyjący mędrcy sprzysięgli się przeciw niemu i wespół z najciemniejszym motłochem usiłowali dla własnej korzyści zatrząść utwierdzonym od wieków porządkiem na Ziemi.

Obywatele! Mędrców już nie potrzebujemy! Wystarczy nam to, cośmy dotąd zdobyli. Rząd, dobro społeczności ludzkiej mając na oku, położyć tu musi kres rozpanoszonej pysze i wichrzycielstwu.

I przeto:

1. Rozwiązuje się od dzisiaj stowarzyszenie uczonych, pod nazwą *Braci wiedzących* istniejące.

2. Znosi się wszelkie pensje, dotąd uczonym wypłacane, pozostawiając im wolność zarobkowania ręcznego, jeśli chcą żyć.

3. Takoż znosi się wszelkie zakłady, tak zwanej czystej nauce i badaniom bezpłodnym poświęcone, pozostawiając jedynie instytuty społecznego pożytku i ekonomicznej wartości.

4. Zakazuje się na przyszłość najsurowiej i pod ciężkimi karami utrzymywania prywatnych laboratoriów oraz wydawania dzieł, które by przez osobną cenzuralną komisję w rękopisie za pożyteczne wprost nie były uznane.

5. Utrzymując w mocy i w pełnym uposażeniu istniejące szkoły zawodowe, zamyka się raz na zawsze wszelkie szkoły wyższe, tak zwane filozoficzne, czyli ogólne, a przede wszystkim dotąd kosztem rządu utrzymywaną *Szkołę mędrców*.

6. Aby uniemożliwić obejście powyższego rozporządzenia, zakazuje się stanowczo wszelkiego prywatnego nauczania, bez względu na to, pod jakim by ono pozorem było prowadzone.

Obywatele! Rząd tuszy[522], że z wdzięcznością przyjmiecie do wiadomości to rozporządzenie".

[522]*tuszyć* (daw.) — mieć nadzieję; por. *otucha*.

Mataret zsunął się z latarni i, wsparty o mur, patrzył przed siebie osłupiałymi oczyma, tak mu się nieprawdopodobnym i potwornym wydało to, co przeczytał. Niedługi stosunkowo pobyt na Ziemi i ciągła styczność z Jackiem nauczyły go cenić nade wszystko dorobek myśli ludzkiej i rozkwit jej swobodny, toteż teraz miał wrażenie, że przed oczyma jego dokonywa się jakieś straszliwe samobójstwo.

Wzniósł głowę i spojrzał bystro w tłum. Szukał ludzi, którzy by drgali tym samym, co on, oburzeniem, nadsłuchiwał, czy się słowo buntu nie odezwie.

Ale przechodnie, stanąwszy na chwilę przed tym ogłoszeniem, tak doniosłym dla losów ludzkości, robili zaledwie kilka uwag mniej lub więcej obojętnych, przeważnie wyrażali uznanie rządowi lub co najwyżej dziwili się jego stanowczości i szli dalej niezatroskani, rozmawiając o rzeczach codziennych, tu i ówdzie zaledwie słowem o wypadki ostatnich dni potrąciwszy.

Ktoś wspomniał o maszynie Jacka piekielnej na dowód niesłychanej złośliwości uczonych, za którą słusznie karę teraz ponoszą. Inny wymienił nazwisko Rody jako zbawcy, wyrażając się przy tym z uznaniem o rządzie, który mu w nagrodę wielkiego czynu wysokie nadał odznaczenie. W treść tej rozmowy wplątało się z boku opowiadanie jakiegoś starszego jegomości prawiącego dwom młodszym towarzyszom, że pono w najbliższych dniach wystąpić ma znowu w teatrze przesławna Aza, która od dłuższego czasu już się na scenie nie pokazywała.

Wiadomość, rzucona przypadkiem i z ust do ust podawana, zelektryzowała wkrótce cały tłum, tak że zapomniano o rozporządzeniu mędrców dotyczącym. Dopytywano się, czy to prawda. Skąd przyszła wieść? W jakiej roli naprzód da się widzieć boska aktorka?

Mataret nie słuchał więcej. Wolnym krokiem powlókł dalej, ze schyloną na piersi głową, z szyderczo i wzgardliwie wykrzywionymi usty:

— Ziemia — szeptał — stara Ziemia...

Za nim, przed plakatem głoszącym śmierć wiedzy, brzmiała jeszcze ciągle rozmowa o sławnej śpiewaczce i tancerce niezrównanej — Azie.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zulawski-trylogia-ksiezycowa

Tekst opracowany na podstawie: Jerzy Żuławski, Na srebrnym globie. Rękopis z księżyca, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987; Zwycięzca, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1959; Stara ziemia, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Dagmara Deska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Cyril-Rana!!@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.
Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.